



STEFAN ŻEROMSKI

Popioły



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

STEFAN ŻEROMSKI

Popioły

Popioły

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII I POCZĄTKU XIX WIEKU

W GÓRACH

Ogary poszły w las.

Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym. Zdało się chwilami, że nikły dwugłos jeszcze brzmi w boru, nie wiedzieć gdzie: to jakby od strony Samsonowskich lasów, od Klonowej, od Bukowej, od Strawczanej, to znowu jakby od Jeleniowskiej Góry... Gdy powiew wiatru nacichał, wynurzała się cisza bezden- na i nieobjęta na podobieństwo błękitu nieba spomiędzy obłoków i wówczas nie słychać było nic a nic.

Naokół stały jodły ze spłaszczonymi szczytami jakoby wieże strzeliste, nie wyprowa- dzone do samego krzyża. Ich pnie sinawe jaśniały w mroku. Mchy stare zwisały z olbrzy- mich gałęzi. Wrosły między głazy, w niezmierną ławicę skalisk aż do gruntowej posady serdecznym korzeniem, wszczepiając pazury pobocznych skrętów w każdy zuchelek ziemi i wysysając każdą kroplę wilgoci, wielkie jedle chwiała królewskie swe szczyty w przecią- gu niejednego już wieku pomiędzy mgłami Łysicy. Tu i owdzie stała samotnica, której gałęzie uschły i sterczały jak szczeble obcięte toporem. Sam tylko jej wierzchołek jasno- zielony, z szyszkami w górę wzniesionymi, niby gniazdo bocianie bujał nad przestworem. Gałęzie świerków, na których leżała ciężka pościel śniegowa, zwieszono ku ziemi powy- ginały się w pałąk. Te wyciągnięte zewsząd, z bliska i z daleka, kosmate łapy w białych oponach, wyłożone jak gdyby perłową macicą, zdawały się czaić i czyhać. Radosna zieloność najmłodszych, końcowych igieł jaśniała niby wysunięte pazury. Co chwila, ulegając własnemu ciężarowi, czule na każde westchnienie wiatru, sypały się puchy śniegowych owalów i ginęły w podścielisku na ziemi tak bez śladu jak krople deszczu w toni jeziora. Ze szczytów zlatywał pyłek ledwie dostrzegalny, tak lekki, że stał długo w powietrzu migocąc swymi kryształami, nim spłynął ku ziemi.

Około południa łagodna odwilż poczęła rozgrzewać śniegi. Wskroś bladoniebieskiego przestworu płynęły białe obłoki, przeniknięte od blasku słońca. Na najwyższych, krzyżo- wych spławach świerków stopniały lód zamieniał się na olbrzymie krople, które w ciemnej zieleni igieł świeciły jak wielkie diamenty. Tam i sam długi sopel, zwisając ze zdrewniałe- go mchu, z kory popękanej i chropawej, miotał snopy zimnych iskier. Niżej, pod śniadym cieniem gałęzi, był dawniejszy, ranny chłód. Niektóre młode *rsioki*, w sobie czerwono- brunatne a żółtawe u szczytu, zgięte pod nadmiernym ciężarem śniegu, trzymały wysokie głowy u samej ziemi nie mogąc oderwać od niej przymarzłych gałęzi. Gdzie indziej ster- czały wykroty pniów wysiepanych z ziemi przez srogie świętokrzyskie wichry, tworząc pod zaspami strachem zionące pieczary.

Rafał, plecami oparty o pień grubego buka, stał bez ruchu i nasłuchiwał.

Nad sobą i przed oczyma miał tęgie, powykręcane, obmarzłe gałęzie o barwie łuski okonia. Cienkie, stalowe różgi były nieruchome, a wielki śniat, ze skrętami i kłębami jak wyprężone mięśnie człowieka, zdał się być duchem mrozu. Olbrzymi buk stał samot- ny, twardy i zimny, jakby nie należał do drzew. Król na Łysicy! Nie drżą przed wiatrem jego gałęzie, pień się nie schyla. Rozłożysty, nad lasy wyniesiony wierzchołek patrzy się z władczego cypliska w szerokie niziny na północ i na południe, ogląda się po górach jed- noramiennych. Pustki wszędy, niwki, wsie... Daleko, za ostatnim wzgórzem łańcucha, za Stróżną, ciągną się w poprzek role, aż do Krajna, aż na szczyt góry Kamienia. Odwieczny buk pamięta za wiosen swej młodości bór nierozdarty w nizinie Wilkowa, Ciekot, Brze- zinek, po górach aż ku Kielcom. Zginęły za jego żywota pod siekierą dąbrowy, oschły między działkami chłopskiej nowiny mokre, zakisłe, nieprzebyte gozdy, z których się wieczne wody sączyły. Tam gdzie kosmaty rsiok wiekami rósł i gnił — wiatr po badylach świszcz. Połanki ról wżarły się w samą knieję, liszajem pełzną w strzępy jej płaszcz, z roku na rok wdzierają się wyżej aż popod szczyty zawalone głazami Psar, Radostowej... Wysycha u stóp górskich nieciecz, drzew żywicielka, zostaje grunt czerwony i szczyry się kamieniami pod słońcem. Tylko jałowiec osłania jego nagość i rany. Już coraz rzadziej niedźwiedź ociera się kudłatym ciałem o pień starego buka; coraz rzadziej przychodzi śnić w cieniu jego gałęzi wielkorogi jelen — i wilk-kobyłarz nie tak często czatuje tutaj na

dropiate jagniątka lani. Już nie świszczą ponad konarami skrzydła orłowe i sęp tylko kiedy niekiedy przylata popatrzeć z wierzchołka w zgrozie i gniewie na zniweczoną dziedzinę.

Wbrew srogim myśliwskim zasadom Rafał zeszedł był ze stanowiska i chyłkiem dotarł do szczytu góry. Przez chwilę stał tam u wejścia na gołoborze i, przejęty głuchą trwogą, patrzył w to miejsce, gdzie wiedźmy, strzygi, błędnice zlatują się o północy i gdzie się ukazuje sam Zły. Gładkie boki olbrzymich złomów kwarcytu iskrzyły się w słońcu ziarnistym szkliwem, jakby sam mróz. Obmarzłe kije, sterczące spod śniegu, były podobne do broni wykutej z kryształu. Stare jodły rzucały cień na połowę urwiska.

Wróciwszy na swe miejsce młody myśliwiec wyteżył słuch... Gdy go do ostatniej granicy na zwiady posłał, ludziło mu się, że i las z nim razem słucha. Cisza była wciąż ta sama, głęboka, głęboka, zaiste niezgruntowana...

Ale oto z krańców leśnych wypłynął gnuśny powiew, ze snu twardego obudzony szept, tchnienie rzewne, przeciągłe długo wstrzymywanego oddechu puszczy łysogórskich. Szczyty drzew pochylały się przed nim jakby we czci, gdy płynął w bory ów śpiew niewysłowiony. Brzmienie jego, ledwo wydobyte z nicości, jak płaczem cichym zdradzone wyznanie wzruszeń przedwiecznych, jako jęk bez nadziei, szło z samotni leśnych po wtóre, po trzecie i, sącząc się cichymi odcieniami dźwięków, nicestwiało w otchłani. Zdało się, że ten śpiew zakłęty, mieszkający w drzewach, coś wypomina, że woła... W jasnym powietrzu, między zielonymi kępami igieł płynął pod niebem. Knieja obejmowała go tajemniczym ramieniem swoim, puszcza go znowu brała, matka rodzona, puszcza — dusza prajcowska, puszcza — siostra-miłośnica. Zamierał jak westchnienie ów żalony świst-poświst... Gdzie zamierał?

Może na zburzyszczu wysokich skał, które się po odejściu fal i pian morza rozpadły w rumowie głazów mchami rudymi porośłe... Może w kolisku dębowych pniów, do gruntu zmurszałych, które zwartą strażą otaczają prochy z przyciesi świętej kontyny, gdzie przed wiekami Pogoda łaskawie przyjmowała obiady... Może na czole kamiennym, na twardych piersiach bożyszczka Lelum-Polelum, które śpi w dole nieznanym, mchem tysiąca zim i tysiąca wiosen okryte, i spać będzie nikomu nie znane na wieki wieków... Może w tropach wiecznego jelenia, który między rogami nosi po lasach drzewo krzyża świętego, a ukazuje się ludziom raz na sto lat...

Kiedy nadciągała z daleka owa pieśń lasów, zdało się Rafałowi, że płynąć będzie przez jego ciało tak samo jak przez drzewa. Zapominał wówczas, gdzie jest i co się z nim dzieje. Snuły się w nim wspomnienia nieujęte, niedotykalne, zamglone, przedziwnie żebrzące o pamięć.

Był daleko od tego miejsca, nie pod szczytem Łysicy, na stanowisku. Był w ogrodzie swego dzieciństwa. Tajęła kra i okieść wszystkiego, co rzeczywiste... Ogród zapomniany, na tyłach starego dworu. Rozłożyste jabłonie z pniami w pewnych miejscach zwężonymi od dawnych szczepień, jak butle. Pęki, bukiety różowych kwiatów... Bujny agrest, gęste porzeczki obrosły każdą drożynę. Nad wysokimi trawami, które jeszcze powleka kropłista rosa, wznoszą się śnieżnobiałe, dziewicze drzewka wiśniowe. Zda się, że to chmurki wiosenne, obłoczki ranne z krańców nieba aż tu przyzęgłowały i między wysokimi topolami, między starymi parkany bezradnie osiadły. Brzęczą pszczoły, osy, muchy, napęlniają cały sad gwarem, a serce dla niewiadomej przyczyny czcią i grozą. Och, jakże miło, jak radośnie w tym cieniastym sadzie rodzinnego domu! Za drzewami owocowymi ciągną się niedostępne zarośla, gaje wikłów i rokitnicy. Na kępach, wśród zapleśniałej wody, straszą oczy kudłate wierzby o pniach spróchniałych i lesie bujnych prętów, olchy smutne, czarne z krwawymi odziemkami. Żaby kumkają w wodzie lśniącej grzybieniem i skrzekiem, a niezliczone ptaki pogwizdują. Szmer liści, pogwar owadów i ledwie dające się ująć przyciszone szepty, szmery, syki, ledwie dające się ciałem wyczuć westchnienia czy ciche jęki, jakoby mrowienie i lechtanie przechodzi w poprzek i wzdłuż...

Mały chłopczyk, gadułka zdrowy, szczęśliwy, wesół i rozśpiewany, biegnie ścieżkami tego ogrodu. Skacze u nóg ojca niosącego nabitą strzelbę i dba o to tylko, żeby w rosach nóg nie zamoczyć. Tu rzuca mu się w oczy biedronka pełzająca po mokrym liściu, tam ślimak zaczerpnął w białej rosie; promień słońca padł na pąsowy kielich tulipana, świeżo rozkwitły tego poranka... Cicho, cicho... W gąszczach rozlega się słodki i wesół jak sama wiosna, jak dusza dziecięca, głos wiwilgi. Wtem z łoskotem piorunu wybucha strzał i huczy w drzewach. Serce drętwieje i staje w biegu. Radosne ciało całe drży... Z wyżyny

wiązu rosnącego w kącie ogrodu spada trzepocąc skrzydłami złotolita wiwilga i broczy krwią mokre trawy. Ach, jeszcze widać jej otwarty dziób i straszne, przeraźliwe oczy! Słychać jej sepleniący syk, zdławiony, gdy po nią rękę wyciągnął. I nagły ów strach! Nagły, przesywający strach, radość, zemstę, rozkosz i niewysłowiony dziecięcy ból. Trzepie się ptak i miota z boku na bok. Wstaje na nogi... Oczy jego zmętniały, kilkakrotnie wyteńczyły się jeszcze. Patrzą. Coś je zamazało, zawlekło...

Kiedy to było i gdzie? Czy były naprawdę, czy mu się śniły tylko te okrutne ptasie oczy, wbite w pamięć jak gwoździe wbite w rany, które na samym początku życia istnieją?

Ale oto cisza nastaje, a po społu z nią, niby chmurki w wyżynie, inne przepływają widzenia.

Las ciemny, srogi, oświetlony blaskiem księżycy. Ogromne śniegi na nim leżą, na czarnym lesie. Dzwonią janczary i echo ich odbija się w kniei jak zuchwałe wzywianie do boju. Księżyc w zimnym przestworze króluje. Źrenice nie mogą oderwać się od jego tarczy i przedziwne szepty, półsłowa, wreszcie jakieś wyrazy płyną do niego z piersi. To bezlitosne światło woła ku sobie, wciąga na wysokość ku słodkiej harmonii, ku rozkoszom, jako ta leśna, melodiom... Ojciec lubił tamtędy jeździć, drogą „na las”, mało znaną. W tych ostępach włóczyły się stada wilków. Toteż gdy wjeżdżano w posępne gąszcze drzew zwartych, podsypywano prochu na panewki dwu flint i dobywało się zza pasa podwójne pistolety. Słychać jeszcze szept modlitw matki... Dreszcz zimny do szpiku przejmuje i niby czyjeś skostniałe palce podnosi włosy na głowie. Janczary rzegocą coraz głośniejsze, coraz głośniejsze, im dalej w knieję; wreszcie zda się, że biją jak dzwony. Cztery konie mkną drogą, której nie przetarła sanica. Od uderzeń kopyt rozpryskują się zadmy śniegu, jak góry pyłowej mąki. Kiedy niekiedy coś pod saniami trzaska. W lesie słychać niepojęte głosy... Cały bór wre i huczy od echa janczarów. Aż oto w pewnym miejscu zasłona świerków na krótko się rozchyła; z wąskiej leśnej polanki widać górę, a na niej poszczerbione ruiny. Księżyc oświetla śnieg i lód, który na gżemsach zburzonych ścian, na krawędziach wybitych okien leży.

To ruiny arianskiego kościoła.

Jaki dziwny, niespodziewany żal!...

Gdzież jest ten dzień, gdzież się na wieki został?...

A ta wiosenka... Po świętach Wielkiejnocy powrót z rodzicami od krewnych do domu. Jadą tą samą drogą. Wolno wlecze się bryka po korzeniach i ciemnych bagnach szlaku. Naokół las gęsty, mokry, dymiący się od pary. Wszędzie w mroku poddrzewnym lśni stojąca woda. Oślizgłe, czarne kije ze zgniłymi gałęziami leżą w ciemnych bajorach drogi. I oto znowu ruiny ukazują się na górze. Konie wstrzymano i rodzice pozwalają dzieciom wejść na szczyt wzgórze. Brat starszy i siostry biegną na wyścigi...

Niegdyś wdzierala się na tę górę szeroka jezdna droga dla landar, bryk, kutek wozów, ale już i na niej sosny wyrosły. W kolejach stoją grube świerki, na zakrętach stanęły jodły stuletnie, z przykopy biegnącej środkiem strzeliły białopienne brzozy. Las zamknął dostęp do ruin, wziął w posiadanie, co weń weszło, i na powrót stał się sobą. Już ani okien, ani drzwi. Nikt nie strzeże wyklętej świątyni, oprócz wysokich kęp ostu. Dzika róża po nagich skarpach pelza z wysoka i wyciąga kolczaste, żebracze badyle. W tym miejscu, gdzie może był ołtarz, gdzie oczy wyznawców szukały widomego znaku — czarny szkielet jeżyny. Niestrudzona woda gryzie cegłę i kamień, a mech rozsypane ich prochy grzebie pod sobą. Na zewnątrz murów, w głębi świątyni i w lesie jakie mnóstwo podlaszczek! Ubogie kwiatuszki, siwe biedotki leśne, są jakby kroplami bladego nieba północnej wiosny, które spadły z wysoka na ziemię i rozprysły się w kształt kwiatka. Jaka rozkosz, jaka tajemnicza, niedostępna rozkosz — niby ów las... A jakie coś drapieżne, bolesne, oślizgłe od deszczów i straszliwe od echa każdego kroku w tej ruinie kościoła! Co w niej jest, co płacze i woła z ziemi za odchodzącym dzieckiem? Oczy nie mogą się z nią rozstać i nogi nie mogą odejść. Zerwane kwiecie z rąk wylatuje, i w uszach odzywa się jak gdyby syk sepleniący wiwilgi zabitej w ogrodzie...

Nagły, daleki, jadowity głos drgnął w lasach. Za pierwszym ozwał się drugi, rzewny i czysty niby mięszyszy tenor. Rafał ocknął się jak ze snu i machinalnie dźwignął strzelbę do twarzy. Po chwili oprzytomniał i napastnicze oczy w las wlepił. Pierzchył marzenia. Słońce przypiekało, wzmogły się powiewy ciepłego wiatru i ze wszystkich drzew leciały

raz wraz na ziemię ogromne płyty lepkiego śniegu.

— Psy gonia... — szepnął do siebie.

W istocie słysząc już było dźwięk dwu głosów, Niemna i Wisły, ale tak daleko, gdzieś w ciepłej kniei, na południowym stoku łańcucha gór, że tylko młode ucho mogło rozróżnić to granie. Echo płynęło z wolna, jakby w znużeniu, ale zbliżało się ciągle. Nim jedno krańców leśnych dosięgło, już płynął w pościgu rzeźwy huk niby muzyka złowroga, pełna dzikiego czaru, gwałtu i siły. Młody mężczyzna obejrzał starannie panewkę swej broni, troskliwie przyjrzał się suchym i lśniącym ziarenkom prochu. Zaczął się i cały przeistoczył w narzędzie śmierci. Tęsknota, jaka mogłaby zdusić życie, osiadła w jego oczach i zmieniła je we dwa pociski. Serce głośno biło w piersiach i każdym uderzeniem zdawało się również czatować.

Psy nadciągały bliżej, bliżej... Już można było rozróżnić same głosy.

W pewnej chwili od szczytu góry dał się słyszeć tępy, jednostajny, rytmiczny odgłos biegu — duch-duch, duch-duch... Serce w słuchającym zamarło i ustało. Trzasła w pobliżu gałązka. Przez chwilę gęściej, obficie śnieg się posypał... Oto spomiędzy zarosli młodej świerczyny wysunęło się stado sarn, a na ich czele szedł z wysuniętą głową ciemnoorzechowy rogacz. Rafał wziął go na oko, przycisnął kolbę do szczęki i położył palec na cynglu. W tej samej chwili sarn stanął. Przednią lewą nogę podniósł, odwrócił śliczną głowę z różkami i uważnie nasłuchiwał. Z całego stadka para szła gęsta.

— Na komorę... — marzył Rafał kierując luźną pod przednią łopatkę kozła.

Nagle olbrzymia czapa mokrego śniegu runęła na jego ręce, twarz, kolbę i panewkę. Pociągnął za cyngiel. Krzemień sucho trzasnęła, ale iskra nie zapaliła zmoczonego prochu. Gdy młodzieniec przetarł oczy, ujrzał już tylko samie nogi, wyteżone jak stalowe sprężyny, i białe ich „talerze”. Przesadziły najwyższe stojące szczyty chojaków i znikły. Tylko te szczyty zielone i giętkie jeszcze długo drżały i kiwały się, a śnieg leciał niespokojnie z potrąconych gałęzi.

Ujrzawszy, że znowu jest sam na tym miejscu, gdzie przed sekundą odbyło się coś jak misterium tajemne, Rafał ze wściekłością cisnął strzelbę w zarośla, a sam runął na ziemię dusząc się od łkania.

Ocucił go strzał, po nim drugi. Jak gromy rozległy się i długo buczały w lesie. Po ostatnim dało się słyszeć z dołu, w połowie wysokości górskiej, nawoływanie:

— Na-hohoho! Na-hoho! Na-hoho!

Psy ucięły. Zaraz potem drugi głos, bliższy Rafała, odpowiedział jednokrotnie tym samym sposobem.

Młody myśliwiec jeszcze przez czas pewien leżał na ziemi, pękając ze złości. Po chwili jednak zerwał się na równe nogi, strzepnął śnieg z siebie, odszukał w krzakach pojedynkę. Wytarł oczy i, na podobieństwo sarn skacząc przez choiny, pomknął na dół.

W odległości kilkuset kroków stał nad zabitym rogaczem ogromny chłop w krótkiej brunatnej sukmanie i oglądał uważnie swoją małą fuzyjkę.

— Zabiliście, Kasper! — szepnął Rafał zdyszany od biegu.

— Ij!... tak mi się ta nawina!... Sam nawet nie wiem, jako to być mogło. Myślałem se, że tego kozielka to przecie jaśnie panicz położy.

— A kiedy nie wyszły na mnie... — rzekł Rafał, czerwony jak burak.

— O, hery! Widzicież wy, moi ludzie... A na to miejsce przecie wagę miały. Nie wyszły i pokój! A już ta pod tym bukiem niejednen wygarnął. Czasem to tam nawet dłużej przystaną i wezmą szukać wrzosu abo chwycą wargami, ile zdoła, młodych koniuszków jedli. Poszły, sobacze, bokiem... — mówił stary wyga wlepiając z jawnym śmiechem w młodzieńca swe wypelzłe oczy.

W tej samej chwili jeszcze raz odezwał się w dole niecierpliwym głosem:

— Na-hoho!

— O, nasz pan woła! — z trwogą mruknął Kacper. — Chodźwa.

— A cóż zrobicie z rogaczem?

— Trza go brać na ramię, tylego konia!...

Zabity sarn, trafiony w samo serce, leżał martwy. Dokoła niego zamróz odtajał i krople wody sączyły się ze świerkowych gałęzi. Pyszna jego głowa, rzucona bezwładnie, parzyła w Rafała umarłymi oczyma. Młodzieniec uczył nagle poryw wściekłości, chwycił za kordelas, który miał przy sobie, i byłby zadał zdechłemu zwierzęciu cios jeszcze jeden,

ale już strzelec podsadzał się pod nie. Dowłókł rogacza do sąsiednich wykrotów, dźwignął go w górę i, ująwszy rękoma po dwie jego nogi, zarzucił sobie na plecy to brzemię ze zdumiewającą siłą. Poszli na dół. Co chwila nogi ich zapadały w szczeliny między złomami brył kamiennych, w rumowiska stoku góry pod mchem ukryte. Rozwalali zgniłe pnie, miękkie jak ciasto, o próchnie rudozielonym od pleśni. Skomlenie psów w zagajnikach na dole wskazywało im drogę. Rafał, wielkimi krokami postępujący przodem, ujrzał wreszcie wuja. Chudy szlachcic, niewielkiego wzrostu, siedział w kucki nad sarną i patroszył ją. Skrwawionymi rękoma wyrывał dymiące jeszcze wnętrzności i ciskał psom... Gdy nadeszli, pan Nardzewski obejrzał się złowrogo na strzelca, zmierzył okiem rogacza i z lekka sepleniącym głosem zauważył:

— Toś, kundlu, kozła musiał dla siebie zostawić...

— Ale bo...

— Nie wiedziałeś, prawda? że ja tu czekam na stanowisku. Gdzieżbyś ty o takich rzeczach mógł pamiętać! Żebym ja kozy po tobie strzelał, chamska szyjo!

— Ale bo szły jakosi krzywo...

— Krzywo szły od buka!... Łżesz!...

— Jeszcze, rzekę, psiedusze wiatr owieje. Wiatr szedł od Klonowa, akuratnie. Takem se ozmyślał...

— Jak ja ci dam ozmyślanie, to się nogami nakryjesz! Kładź kozła! A cóż ty, Rafciu, jakoś nic nie niesiesz z Łysicy! — łaskawie zwrócił się do siostrzeńca.

— Nie wyszły na mnie. Słyszałem tylko, że walą za drzewami, aż ziemia stękała.

— Ts... Nie przeszły koło wielkiego buka... Słyszane rzeczy!... Patrosz... — mruknął do strzelca.

Gdy ten otwierał mały składany koziczek wiszący u jego pasa na rzemyku, Nardzewski spytał go opryskliwie:

— Skądżeś strzelał?

— A spod znaczonej jedli, kajem stał. Wylazł mi sarn pod lufę, jakby go tam pastuch przygnał. Jeszcze ta była ścięta jedla, okrzęsana, to se stanął, ma-li skoczyć.

— Skądże się tam wzięła jedla okrzęsana?

— Skąd jedla? A to ją, wielmożny panie, ściął ten chłop z Porąbek, co to z Miemcem miał sprawę.

— Nic nie wiem o żadnym Niemcu ani o sprawie.

— O, dyć to we wszystkich, we wsiach gadają.

— No, to i ty gadaj, kiedy wszyscy.

— Dobrze. To tak było, żeby to z końca... Przyjechał chłop z Porąbek, Jamrozek ma na przewisko, parą koni doskonałych i gołym wozem, że to tylko koła były i ozwora, w sam szczyt Łysicy po suchą jedlę, żeby ta już była dobra jedla, smolna, we wiatrach wysuszona. Robi krótki na sól — to mu potraza suchego drzewa. No, dobrze. Ściął on se jedlicę tyłą co wieża na Świętym Krzyżu, odziabiał wszystkie gałęzie precz, jak się patrzy. Ma se kloc tyłosny, że byłby z niego wał do młyna. Wziemi mój Jamrozek, rozsunięli wóz jak najdłużej, że się poślednie koła ino ino trzymały za ozworę, sworzeń se wyrzutowali, żeby zatkać, patrzą, a tu z krzaków wylazi dozorca leśny. Odzienie na nim zielone, na głowie ma skopeczek z jakimś guzikiem, w ręku strzelba. Spojrzał ino raz na Jamrozka, tram opatrzył, wymierzył go jakimś żółtym łokciem i zaczął pisać na papierze. Jak skończył, dopiero zaczął gadać do chłopu niby po naszemu, ale jakosi frymuśnie. Chłop zdjął czapkę, drapie się... Myśli se: — „Żle!” Wziął do niego Miemieć szwargotać z polska, a wreszcie zawrzasał:

— Marsz do Słupia!

— No, dobrze. Chłop wdział czapkę, okielznał konie i pojechał z góry tą dróżką, co ta idzie nad strugą ku Porąbkom. Miemieć szedł przy wozie, sapał i fajkę kurzył. Jak wyszli z lasu, są ta polanki wykarczowane, a idą z pieca na łeb po górze jeden za drugim. Jamrozek zdjął czapkę, pokłonili się i pedają:

— Niechże ta wielmożny pan feśter darują...

Miemieć swoje:

— Marsz do Słupia!

A no pojechali znowu noga za nogą miedziami abo i prosto bez pola. Ujechali kawałek drogi, chłop zdjął czapkę i gada:

— Niechże to choć wielemożny pan fešter wleżą na wóz, bo tak to na jutro na rano do Słupi nie zajedziewa.

Miemieć se pomyślał, wytrząsnął faję i siadł na wóz. Poślednie koła były kawał od przodka. Wziął się pluder za kłonicę, trzyma się krzepko, za obie. Jamrozek to samo wleźli na przodek, kulasy postawili na orczyki i zacięli szkapska, ale tak, żeby przecie poczuły. Ale cóż ta mieli jechać „do Słupia” drogą? — poszli na przełaj, a potem na ukos bez rolą, po zagonach, po skibach. Wzięły poślednie koła tyńcować na prawo, na lewo, prac z zagona w zagon, z przykopy w przykopę. Miemieć się trzyma garściami, wrzeszczy. Chłop nic, jedzie, kaj mu kazali... Co się ma oglądać? Ino sprzężaj zacina... Aż jak ta konie poszły co duchu, jak tylne koła wytną w skibę czy ta w kamień... Jakosi się Miemieć uciszył.

— Jak to uciszył się? — pytał Rafał.

— A ja sam tego nie wiem, bo się ta i oni, choć i Jamrozek, nie oglądali. Myśleli se: Co mi do tego? Kazał pan fešter jechać, to jadę. I pokój. Dopiero, jak już w Porąbki wjechali, we wieś, obejrzeni się: nie masz Miemca. Zamartwili się. Ale, pedają, noc szła, cóżem ta miał robić?...

— Któż Niemca znalazł? — spytał Nardzewski łagodniejszym głosem, puszczając kłęby dymu z krótkiej fajeczki.

— A musi go ktoś znalazł, bo ciągiem po lasach łązi. Kwardy.

— Dobrze wam tak, podle chamy! — mruknął szlachcic — cały byście las wycięli!

— Ij, wielmożny panie, któż ta tyli las wytnie? Nie było nas, był las, nie będzie nas, to samo las na Łysicy będzie. Jak świat światem, ludzie ze solą jedzą. Trza ją w króbkach trzymać. Zawdy ludzie króbkę robili, jedle na nie ścinali, a las stoi. A cóż ta dopiero za prawo ma do niego taki pluder! Las je królewski. Starostwo je i pokój. Tu my takie stada dzików gonili, jelenie my ploszyli z Cisowskich lasów aż po Siekierno... Ile razy ja tu na Łysicy niedźwiedzia widział, jakem jeszcze był małym berbeciem! Aby to jest dźwierz piękny — niedźwiedź. Abo jelen... Mocny Boże! Jak rogi położy po sobie, jak lasem pójdzie — okropnie pięknie patrzeć! Aby tylko na świętego nie trafić... Panie, zachowajże też...

— Jak to na świętego? — dopytywał się Rafał.

— A to widać paniczek nie wie o naszym jeleniu — mruknął strzelec niechętnie.

— Nie wie, skoro się pyta — rzekł Nardzewski.

— Ludzie gadają tacy, co widzieli...

— Który widział?

— A Łakomic widzieli. Powiadają to samo o starym Szafrąncu, co miał ze sto lat abo więcej, że go to samo ślepiami widzieli.

— Jakże to było?

Chłop spoglądał posepnie i zwlekał.

— Łakomic nama gadali i zaprzysięgli się. Wyšli, pedają, ze swoją fuzyjczyną i stanęli na stanowisku, jak ogary pana krajczego Olchowskiego.

— Aha... — wtrącił Nardzewski.

— No, przecie nie ja stał, ino oni, choć ta już na Boskim sądzie, Panie świeć... Stoją se oto pode drzewem z cicha i czekają. Aże słyszą: duch-duch! Idzie. A dzień był wietrzny, ciemny. Idzie na dół po kamieniach, a przed nim jakiesi światło, tak jakby dodnia pod zimę, kiej słonie z lasu wychodzi. Zda im się pojrzeć ku niemu: widzą, idzie wolnego jeleni stary, wielki jak koń cugowy i okropnie piękny. Rogi położył... Wzieni go na oko, a prosto w łeb. Dopiero co się nie dzieje!... Trzymają kolbę przy pysku i nie widzą jelenia, tylko światło, tak jakby czerwone słonie wyszło z lasa i prosto im we ślepie lunęło. Strzelba im z rąk wypadła, a i samych łomot o ziemię. A jeleni poszedł kole nich, bokiem. Dopieroż zobaczyli, że miał między rogami krzyż złoty i że z onego takie światło w las waliło.

— Duży był krzyż? — poważnie pytał Nardzewski.

— Biedyc-ta duży! Pasyjka niewysoka, ino gruba na dwa palce. Dopiero mój Łakomic za lufę i w nogi co duchu! To ich jeszcze na trzeci dzień tarnosił strach, jak se wspomnieli, że oni do takiego gada chcieli wygarnąć... A jakby go też człowiek zabił... Rany!

— Ty, żebyś go i z krzyżem spotkał, tobyś nie ścierpiał.

Chłop udał, że nie słyszy, i ciągnął dalej:

— Tera taki psia para jedli ściać nie da! Sadził ją tu, czy co? Nic, ino kamera. Wszystko, pada, do kamery należy.

— A tak, teraz wszystko do kamery... — westchnął Nardzewski. — No, skończyłeś? Strzelec wyprostował się i wytarł ręce w śniegu.

— Wielmożny panie, ony nama tu i zapolować z pieskami nie dadzą!...

— To nie twoja rzecz.

— A przecie gadają, że Górno, Krajno, Porąbki, Brzezinki, Masłów, wszystko precz niemiecki król puścił w dzierzawę młodemu panu z Olchowa.

— No, więc cóż z tego?

— A to i do lasów ma wręb, choć i rządowe dozorce będą drzewa pilnowały. A on już kozłatka nie popuści — choć i jaśnie pan Olchowski.

— Zobaczmy, a teraz weź no, rozpal trochę ognia. Ręce mi zgrabiały.

Strzelec w mgnieniu oka wyczyścił miejsce, śnieg zgarnął, naniósł suchych żółtych gałązek jałowcu i sośniny. Skrzesał ognia i umiejętnie, szybko, z dziwną wprawą rozdmuchał płomień. Igły poczęły trzaskać i niewidoczny błękitnawy płomyczek biegał to tu, to tam po zgiętych pałkach. Rafał pomagał Kacprowi, znosił suche gałęzie i rzucał w ogień. Stary pan siedział na wystającym głazie nieruchomy i chmurnie patrzył w ognisko. Już wtedy nadchodził szybki wieczór styczniowy. Wiatr się odwrócił i dał z północy. Z drzew nie leciały już kępy śniegu, a spadające strugi wody nagły mróz zamieniał w sople.

Strzelec upatrzył młodego świerka i począł go ścinać u samej ziemi małą siekierką, którą nosił za pasem. Okrzesał prędko gałęzie, ściał wierzchołek i przygotował drąg kilokulokciowy. Wówczas związał do kupy rzemiennymi pasami przednie i poślednie nogi dwu zwierząt i drąg ów między nie wsunął. Gdy to wszystko załatwił, zbliżył się do ognia i rozgrzewał nad nim ręce. Właśnie wtedy pan Nardzewski wyciągnął z kieszeni kapciuch i nabijał „galicyjskim” tytuniem swą glinianą fajeczkę. W trakcie tej czynności, nie patrząc, podał strzelcowi dużą szczyptę tytoniu. Chłop zdjął czapkę i pięknie podziękował. Zaraz też roztarł tytuń na lewej dłoni, zwilżył go śliną obficie, ugniótł palcami i dopiero tak przygotowaną masą naładował fajkę. Potem całą fajkę wsunął w gorący popiół, pełen czerwonych węgielków. Gdy zwilżony tytuń dobrze zaprzął, wyjął fajkę z popiołu i jeden z węgielków umieścił na wierzchu.

Rafał, zaciekawiony, spytał go, czemu to wszystko robi.

— Czemu? Abo tak dopiero będzie prawdziwie tęgie paliwo. To je dopiero tutiun! Żeby też tak jaśnie paniczek zapróbował... Już się ta z tym nie zrównają ani debrejskie liście, ani knaster niekrajany, ani ta i nasz powszedni w obertuchach.

— No, pokażcie.

— Rafciu, ostrożnie! — zawołał Nardzewski.

Podrażniony młodzieniec starannie otarł cybuszek i pociągnął, ale natychmiast puścił go z rąk i zatoczył się jak uderzony drągiem w głowę. Przez pewien czas tchu złapać nie mógł, a choć się wreszcie uspokoił, długo jeszcze czuł ogień w piersiach i w gardzieli.

— Takie je chłopskie paliwo, jaśnie paniczku, he he...

— No, dość już twego palenia. Chodźmy.

Zdeptali ognisko. Strzelec chwycił jeden koniec drąga, Nardzewski drugi; schylił się obadwaj i jednocześnie, jak na komendę, podnieśli zawieszona zwierzęta. Chłop szedł pierwszy. Koniec drąga był wparty o jego ramię. Niższy wzrostem Nardzewski dotrzymywał mu kroku, choć się zataczał w prawo i w lewo. Kiedy Rafał, palony żądzą współdziałania, dopominał się, żeby mu wuj miejsca ustąpił, szlachcic go ofuknął

— Daj no pokój! Pilnowałbyś strzelby...

Szli tak dość długo z góry w kierunku klasztoru. Nie dochodząc do źródła świętego Franciszka skręcono na lewo. Nardzewski ochryplym głosem dał rozkaz, żeby stanąć, i wręczył siostrzeńcowi tak upragniony koniec pawęzu. Rafał z pietyzmem oparł go na ramieniu, ale w tej samej chwili zgiął się i przysiadł pod ciężarem. Doznał wrażenia, że mu w barach kości pękły. Ze ściśniętymi zębami, oddechem zapartym i twarzą brunatną od nabiegłej krwi, szedł jednak twardo aż do drogi bodzentyńskiej. Tam go znowu zlizował stary myśliwiec.

Był już mrok prawie, gdy na skraju leśnym stanęli przed kurną chatą, zadętą ze wszech stron przez górskie śniegi. Para koni zaprzężona do prostych fornalskich sanek stała już

przed niskimi drzwiami. Wwalono sarny na sanie przy pomocy oczekującego parobka i zagrodnika, i wszyscy trzej myśliwi ulokowali się jako tako w sąsiedztwie zwierzyny. Młode konie skoczyły z miejsca i poszły w górę. Śnieg po odwilży przymarzał wierzchem; okryła go śreń, cienka skorupka lodowa. Podkute kopyta trzaskały ostro w szklistą powłokę. Ogary biegły z trudem i kaleczyły się, zapadając w śniegu. Obadwa były senne, znudzone i odbywały tę podróż resztkami siły. Nardzewski podniecał je co chwila pieszczotliwymi dźwiękami, cieszył pogwizdywaniem.

Za lasem, na szerokiej drodze, ciał jak kosą wiatr północny, ostry i przenikający do kości. Gdy stanęli na przełęczy, którą szła droga, widać było na prawo i lewo ogromne przestrzenie, dwie rozległe doliny — i lasy, jak okiem sięgnąć. Jedna z tych dolin, płaska, od strony Kielc, była krajem dawno uprawnym, zaludnionym, poprzeryzanym przez olbrzymie wsie, dwory, kościoły. Druga była jeszcze starodawną głuszą. Widać w niej było siedliska na wydartych w puszczy polanach. Wsie te o nazwach leśnych, wspominających królestwo i dzieje borów, jak Brzezinki, Klonów, Wilków, Psary, Siekierno, Dąbrowa... słały w czysty lazur odwieczna wysokie drzewa dymów. Wyniosłe góry dwoma pasmami spływały ku Łysicy i wrastały w nią, ażeby dalej iść jednym grzbietem wysokim i najeżonym skałami. Stał jeszcze po nich wszędzie las, jak władca, i rozpościerał swe panowanie. Granatowe jego łany oszczędzały od śniegu. Gięły się na odległych garbach gór i niby długie srebrnoszate zwoje spływały przestronnymi wąwozami ku dolinom, gdzie już osiadł zimny cień wieczora. Na krańcach leśnych rozpoczynała się dziedzina jałowca, również dzika i rozległa. Zasnute śniegiem jałowce zdały się być z mrozu samego utkane i tak przedziwnie złudne, jakby na nie w biały jeszcze dzień padało światło księżycy. Ta ziemia, opasana borem, skryta w jego tajemnicy, miała w sobie grozę i wspaniałą dumę.

Rafał wlepił w przestrzeń oczy, widział dokładnie każdy zakąt i szczegół, ale w tej samej chwili wspominał ją i obejmował, jak inną, z dziecięcych lat. Był tu dawno, dawno, wiosną... Zielone smugi łąk leżały na jego oczach i ciągnęły się ku cudnej rzece, ku Czarnej Nidzie, która ze strumieni górskich urasta. Powiał ku niemu woniejący wiatr z głębokich wąwozów góry Radostowej, z przecudnych wąwozów, nad którymi wiszą brzoźowe gaje. Chóry słowików przerywały ciszę tej nocy wiosennej, kiedy tamtędy jechał za dawnych lat z głową leżącą na kolanach matki. Teraz rozmawiał z wujem, ale jednocześnie śniło mu się, że przez tę daleką, śpiącą, martwą dolinę jedzie na dzikim koniu. Żelaznym wędzidłem rozdziera mu wargi i trzyma jego łeb zgięty ku ziemi. Jedzie ku słońcu, ku słońcu, które tarczą ognistą zachodzi za lasy błękitnawe, okiem niedosięgnięte... Dalekie lasy, dalekie lasy, odwieczne.

Śliskie sanice co chwila leciały w zatoki na rozbitym gościńcu, gdy konie poszły z góry.

— Te, trąba! — wołał Nardzewski na furmana, gdy się sanie zbyt ostro toczyły w wyboje.

W pewnym miejscu, gdzie stało jeszcze kilkanaście sosen i buków po wyrąbanym lesie, wskazał jedno z tych drzew i rzekł:

— Tu pięć lat temu zabiłem sępa.

— Sępa?

— A tak. Szedłem sam z polowania. Było to jakoś na jesieni. Słońce zachodziło jak teraz. Patrzę: na buku coś się rusza. Nie chciałem oczom wierzyć... Miałem lufę nabitą lotkami. Złożyłem się i palnąłem.

— Skrzydła też to miał, skrzydła! Jezus ci Maryja... — wtrącił Kacper. — Jak my go rozciągnęli na ziemi, to psy, przecie nie bele jakie, poszły w pola ze skomleniem i strąbić ich do domu nie było sposobu.

Rafałowi twarz tak naziębla, że nie mógł mówić. Z gościńca skręcono na boczną, karokolomną drogę, która szła tuż nad brzegiem górskiej rzeki. Wartka woda kłębam toczyła się w obmarzłych brzegach, bijąc w tafle lodu, który żywe jej ciało schwycić usiłował. Konie chrapały i wyprężone ich nogi silnie były kopytami w twardą drogę, żeby się na niej utrzymać.

— No i cóż, Rafciu, u was tam w Sandomierszczyźnie nie ma ani takich dróg nędznych, ani takich wertepów. Prawda? Droga jak po stole...

— Ależ też za to lasu ani odrobiny.

— Co wam po lesie! Pszenicę za to macie jak nasz bór. Jeszcze wam mało?

— Już ja bym wołał tu mieszkać! Tu to dopiero życie.
— Tu wołałbyś mieszkać? Co gadasz? He, bracie, tu niełatwo wysiedzieć. Tu tylko taki jak ja wytrzyma.

— Już ja bym tam wytrzymał!

— Tak powiadasz?

— A tak.

— No, no, pamiętaj sobie, żebym ja cię za słowo nie chwycił i nie osadził w tej norze.

— Nic się nie boję..

— Ejże!... Ale wiesz?... to mię cieszy, że matczysko będzie kontente. Co? jak myślisz? Wasze kuligi, bale czy reduty powinny dobrze wypaść. Mamy rogacza, mamy sarnę, jest w spiżarni dziesiątek zajęcy, jest warchlak. Będzie na ten wasz wieczór?... Powiadaj krótko! Bo jak nie, to jutro od świtu idziemy w knieję.

— Aż nadto, wuju.

— Nadto, nie nadto. Skoro jedziesz tyli świat, to z byle czym wracać nie sposób. Niechże się i dzika okolica pochwali.

Po chwili dodał:

— Pocziwa Anusia... My z twoją matką najbardziej zawsze z całego rodzeństwa paliśmy ku sobie afektem braterskim. Trudno o lepszą siostrę. Ech, Boże miłosierny...

— Gdyby to wuj zjechał do nas na ten kulig, dopiero by to mama i... tatka...

— Aby za tatkę nic nie obiecuj! Z tatką to już całkiem inny sentyment. *Amicus Plato...*

— No, niech tam, ale żeby tak wuj na ten kulig...

— Zwariowałeś, dycypulusie? Ja na kulig! Ja z Wyrw! Trzydzieści lat z domu nie wyjeżdżam, a teraz dopiero na kulig wyruszę, i to jeszcze aż gdzieś za Klimontów, we światy! Cóż ty gadasz?

Raptem szorstko dodał:

— Nie wyjadę. Nie, nie wyjadę. Mam dosyć!

Był już mrok. W nizinie ukazały się drzewa ciemne, aleje, budynki, światełka w majątku Nardzewskiego. Wkrótce sanie pędem wjechały na dziedziniec i stanęły przed ganekiem dworu. Z okien tryskało w noc rześiste światło. Gdy konie osadzono, z ganku i z za węglów domu wybiegło kilku ludzi. Jedni wysadzali pana, inni zabierali się do wydobywania z sanek zwierzyny. Na gumnie panował ruch: do spichlerza znoszono w workach omłot dzienny, zadawano bydłu słomę, koniom obrok i siano. Psy podwórzowe, jeszcze uwiązane na łańcuchach, wyły wniebogłosy, czekały myśliwskie kundły, wyżyły, jamniki. Jakiś olbrzymi kundys co chwila rzucał się do Rafała, żeby go z czułością liźnąć po twarzy.

— Co takie światło na pokojach? — spytał Nardzewski.

— Jakisi przyjechał...

— Kto przyjechał?

— Miemieć czy co. Trudno go ta wyrozumieć. Przyjechali aże z samych Kielc z drugim. Tamtego furmanka powiozła do Bożęcina, a ten ostał i siedzi.

Nardzewski czmychał nosem w sposób wcale niegościnnie. Wreszcie nie mógł wytrzymać i popchnął pierwszego famulusa z brzegu, dodając:

— Diabli cię z twoim Niemcem!

Wpółśród wściekle szczekającej gromady myśliwi weszli na ganek i do pokojów. Na ich powitanie wstał z za stołu mężczyzna młody jeszcze, wygolony, przystojny, ubrany z dajczerska w krótkie, czarne suknie z klapami, w grube pończochy i płytkie trzewiki. Kłaniał się zgrabnie, mierząc Nardzewskiego uważnym spojrzeniem. Po chwili rzekł, z trudem wymawiając słowa i śmiesznie je akcentując:

— Czy honor mam z dziedzicem, z jegomością panem Nardzewskim?

— Nardzewski jestem, do usług... Kogóż, jeśli łaska, mam zaszczyt... w tych ubogich... te... progach?

— Moje miano jest Hibl. Z kieleckiego krajzamtu...

— A tak... Miło mi... Racze waszmość rozgościć się jak u siebie. Służę zaraz.

Komisarz Hibl usiadł w obdartym krześle i przy blasku drgającego płomienia dwu świec lojowych, obojętnie, zimnymi oczyma przypatrywał się Rafałowi, który sam na sam zostawiony z gościem przez wujka nie wiedział, co ma robić. Nie zdjął nawet z ramienia swej pojedynki. Dopiero Kacper przyszedł mu z pomocą. Rafał usadowił się w ciemnym

rogu dużej stacji i zaraz poczuł, jak mu się straszliwie chce spać. Głód skręcał mu kiszki, ale senność i nad tym górowała. Oczy chłopca dostrzegały jeszcze „Niemczyka” i płomyki topniejących świec, ale w przedziwnie wielkiej odległości...

Całe stado psów wałęsało się po pokoju. Jedne z nich wskoczyły wnet na sofę przy stole i oko w oko przypatrywały się gościowi, inne rozkładały się na dobre obok wielkiego pieca. Niemen i Wisła, bohaterzy dnia, śmiało układały się do snu w rogu kanapki, która była miejscem spoczynku Rafała. Tymczasem Nardzewski zrzuciwszy lisiurę wyszedł z sąsiedniego pokoju w lżejszych butach i łosiej kurcie ze srebrnymi guzami. Twarz jego była czerwona i oczy przekrwione od wiatru. Siadł przy stole naprzeciwko niemieckiego przybysza. Nim znowu zaczął z nim rozmawiać, rzucił rozkaz:

— Wieczera!

Kacper znikł we drzwiach wejścia, prowadzących do sieni i kuchni na drugiej stronie wielkiego dworu.

— Siadaj, Rafale — rzekł Nardzewski.

Zwracając się do Hibla, przydał:

— Mój siostrzeniec, Olbromski, z Sandomierskiego. Na poetyce w szkołach sandomierskich *iuventutem* marnuje...

Gość skłonił się w milczeniu, nie podnosząc oczu. Nardzewski patrzył weń nieruchomym spojrzeniem, w którego wyrazie nie było cienia przyjaźni.

— Rad bym wiedział — rzekł z cicha, uprzejmie i prawie z pokorą — czy mamy zaszczyt należeć do tej samej nacji, co waszmość, panie komisarzu, czyli też, niestety...

Obcy podniósł głowę. Uśmiech nieokreślony wypłynął na jego wargi. Rzekł ostrożnie, z namysłem:

— Jestem w mieście stołecznym, Wiedniu, urodzony. Tam mój ojciec zamieszkały był, gdy przybył z czeskiej strony...

— Z czeskiej strony? proszę...

— Tak jest. My są Słowianie.

— Rozumiem.

— Kiedy ja byłem sześć lat stary, rodzice moi przybyli do Wschodniej Galicji i w jarosławskim krajzamacie osiedli. Tam się wychowałem. Ojciec mój był mandatarium w dobrach księcia Olelkowicza.

— I to rozumiem.

— Teraz ja... Ja jestem prawie Galicjanin. Wiednia nie pamiętam, umiem po polsku.

— Doprawdy?

— Bardzo jestem przywiązany do tutejszych zachodniogalicjijskich obywatelów i do tego kraju Zachodniej Galicji. Ja do tego kraju ze Lwowa wydelegowany, kiedy po nieszczęśliwych przypadkach i smutnych zamieszkach ten kraj używać nareszcie zaczął błogiej pomyślności pod panowaniem Najjaśniejszego cesarza i króla Franciszka Wtórego, zostałem.

— Toś waćpan dobrze powiedział.

— Bardzo to jest piękny kraj!

— A tak, dosyć piękny, tylko trochę niewesoły i, jak to sam spostrzegłeś, złej konduity... — mówił szlachcic kiwając głową.

— Na lepszym pożytkowaniu ról zbywa... — nieśmiało wtrącił urzędnik. — Żadne drogi tu są, osobliwie w kieleckim krajzamacie. Ach, co za drogi! Ja myślałem, że tylko w Karpackich Wielkogórach takie drogi bywają.

— To są, mości panie, polskie drogi. Ale jakoś i takimi zajędzie, skoro się uprzeć. Co mówię? Wjedzie tam, gdzie, zdawałoby się, tylko czarownica na łopacie doleci...

Dalszą rozmowę przerwało wkroczenie wieczery. Drzwi się otwarły i tłusta gospodyni wniosła salaterki z kielbasą w zawieszonym sosie. Dwie dziewczki niosły półmiski z kartoflami, suto kraszonymi skwarkami słoniny. W mgnieniu oka stół nakryto obrusem i ustawiono fajansowe, powyszczerbiane talerze. Sztućce były bardzo pospolite, w oprawie z jeleniego rogu. Gość ostrożnie zabrał się do niewielkiego kawałka kielbasy, a resztę momentalnie podzielili między siebie myśliwi, zgłodniałi po całodziennych marszach i poście. Dymiące kartofle znikły. Znikła także druga potrawa: zając pieczony na rożnie. Przy drzwiach stał wciąż strzelec Kacper i łkał ślinę, aż mu się grdyka ruszała. Zajęty był wykręcaniem ze strzelb nabołów i przemywaniem luf ciepłą wodą.

Rafał, słysząc pociągającą muzykę szorowania wnętrza flint mokrymi pakułami okręconymi o stempel, nie tknął już wina, którego kieliszek wuj mu podsuwał. Przysiadł w kucki obok strzelca i sennymi oczyma patrzył, jak czarna woda strzyka w miskę z panewek. Nudziła go rozmowa i obecność Niemca, a spać jeszcze nie było sposobu, gdyż slano mu zawsze w tym właśnie pokoju na sofie.

— Waszmość dobrodziej hoduje, jak widzę, piękne psy. To bardzo piękne psy są — mówił przybysz, głaszcząc z widoczną odrazą łeb Niemna, który mu poufale na kolanach łapy opierał.

— A niezłe psiska. Dziś się już podstarzały, ale jeszcze z pola nie schodzą. Jeszcze i cuch, i rozum przedni mają. Osobliwie suka. Chodź no tu do pana. Wisetka.

Przygarnął sukę i gładził ją pieszczotliwie.

— Ona to wydaje się na oko niby melancholiczka, a to jest psisko bardzo a bardzo wietrzne i gońca pierwszej wody. I on tam, Niemen, ma ochotę i upór, ale za nią tylko poprawia. Spójrzaj no waszmość, co to za przestronne nozdrza! jakie wilgotne! Jak waści pies takim nosem wiatr weźmie, to tam już ma co trąbą podać do mózgu. A jaki za to u tego grzbiet! Bo i pieczeniasty, i długi, zwał waćpan. A za to u tej... noga. Co? Stopka podługowata, widzisz waćpan? Ona mi się jeszcze ani razu nie podbiła...

— Ale! — wtrącił Kacper — gdzie się to taka suka podbije. To idzie po śniegu czy po grudzie jak ten lis.

— On, choć jest pies cnotliwy, nieraz się znosi i milczkiem, zdrajca, nakłada, a ją zawsze słyhać: idzie równo lasami jak dylizans po gościńcu. Głos jak u młodej wdówki. Co ona wiatrem i prędeż, to ten musi kopytem, leniwiej, na rozum i nie tak ręczo, a za nią, za nią!

— To bardzo piękne psy... A czy i tamte kundle także jakie zalety mają? — z odcieniem ironii pytał Hibl wskazując wielkie kudłate psiska pod piecem.

— Tamte? A to samo psy zacne. Na dzika — jedyne! Toż zeszłego roku w samą wilię wzięliśmy z nimi dzika prawie żywcem.

— Aż tak? — dziwił się Galicjanin.

— Byliśmy we dwu z tym oto strzelcem.. Wyszlakował był dziki w lasach, tu na Bukowej Górze. Nocowały w małym smugu, w oparzeliskach. Poszliśmy raniuteńkiego. Puściliśmy te pieski w zagajnik. Cicho, cicho... Aż jak wrzaśnie oto ten — Rozbój; aj-aj-aj! Na oko wszystkie i zębami! Wygnały dzika tylego jak bawół wprost na niego, na Kacpra. No, zaczął mierzyc, celować, przykładać się i, dasz waćpan wiarę? — chybił. *Artifex!* On i takie sztuki potrafi, choć przecie ze mną trzydzieści lat za zwierzem chodzi, a chwali się, że kszykowi, jaskółce w lot nie zborguje. A psy swoje: stanowią dzika w głębokich śniegach. Żebyś waszmość widział ten obraz! Jeden się wszczepił w ucho, przelazł na balyku przez bestię i wisi, ani piśnie. A ślepie u niego — żywa krew! Drugi trzyma za lewe ucho; przednimi łapami worał się w śnieg, w ziemię, i nie popuszcza. Trzeci, Kusy, dopada, dopada... Dzik toto wszystko wlecze na sobie i brnie śniegami. Ale kłem, rozumiesz to waszmość, nie może, ani ani, bo Rozbój... Czasem tylko dmuchnie nosem albo ciapnie pyskiem... Ja tu strzelić nie mogę, bobym psa, czego Boże broń, zabił. A już wolałbym sobie w nogę pałać niż w takiego psa. No, a dzik mi idzie w lasy i my jak głupcy za nim. Dopiero się przecie mój Kacperek odważył. Przeżegnał się i wlaż na dzika okrakiem, siadł se na nim mocno jak na koniu, obcasy wparł w ziemię. Tym oto kozikiem, co go ma u pasa, zaczął mu podrzynać gardziółek. Naśmiałem się też wtedy! Bo to jechał na dziku ze siedem pacierzy, nim mu wszystkie żyły i *arterias* poprzerzynał.

— Szelma też to była sroga, choć i ten dzik! — westchnął Kacper. — Znałem ja się z nim! Dopadł ci mię on jednego razu na Cisowskim, a jak mię zaorał kłem po łdach, to do samej kości mięso ozdaruł, jak cygankiem, aże w kolano. Pod siebie mię przecie o mało nie wziął, ciortu brat, bom go się był bardzo przeląkł. Teraz jeszcze, jak se spomnieć, to człowiekowi *seremno*. A ja już bywałem pod dzikiem. Już mi ta jeden orał kozuch na plecach to prawym to lewym kielcem, i deptał po mnie raciami: z tego wiem, co taki ma w sobie za siłę! Świnia! Ślepiem na mnie, zatracony, pojrzał tylim, jak żołędzia lupina a krew człowiekowi w żyłach zmarzła i w gardzieli głos zatkało... Alem ja i tamtego to samo polechtał po szyjce...

— Ba! my tu rozprawiamy — wtrącił Nardzewski — a waszmość, panie komisarzu, może i owo zgoła nie myśliwy?

— Ja wcale myśliwy nie jestem. Gdzież czas na takie zabawy znaleźć bym mógł? Zawsze na służbie.. Oto i teraz delegowany na komisję do wielmożnego pana, jako do zwierzchności gruntowej, jestem.

— Do mnie? Na komisję?

— Tak jest.

— A w jakiejże sprawie, jeśli łaska?

— Spraw bardzo wiele.

— Nawet bardzo wiele. To ciekawe...

— Czy możemy zacząć w tej chwili?

— Noc to... Ale proszę, proszę...

— Ja przybyłem za dnia i czekałem cierpliwie. Jutro muszę jechać dalej.

— Toteż ciekawie słucham.

— *Primo*, konskrypcja dusz.

— Dusz konskrypcja? Chłopskich?

— Tak jest.

— Słyszane rzeczy!

— Baron von Lipowski, pierwszy cyrkulowy komisarz kieleckiego krajzamtu, nie mogąc sam osobiście, mnie wysłał...

— A cóż waszmościom, u Boga Ojca, do moich chłopów?

Urzędnik z lekka a szczerze uśmiechnął się nie podnosząc oczu. Nie odpowiedział też na to pytanie, lecz zadał inne:

— Czy wielmożny pan na fundamencie dekretu ratę ofiary styczniowej dziesiątego i dwudziestego grosza na ręce egzaktora w Chęcinach, urodzonego Czaplickiego, zapłacił był?

— Ratę ofiary? Cóż to za ofiara?

— Po wstąpieniu wojsk Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości w kraj tutejszy — mówił urzędnik głosem kaznodziejskim — odezwę do obywatelów feldcaygmajster de Foullon z żądaniem składania ofiary bez najmniejszej zwłoki wydał był. W styczniu zeszłego, 1796 roku przez duchownych z ambon ten cyrkularz publikowany jest, a każdy pleban udzielał go obywatelom za rewersem. Czy wielmożny pan to *publicandum* otrzymał?

— Być może. Ale ja do papierów żadnej zgoła wagi nie przywiązuję. Mnie papier potrzebny tylko na przybicie prochu i śrutu, i to jeszcze przekładam fletuchy z pakuł nad papierowe.

— Otóż, przeciw lepszemu spodziewaniu, wielmożny pan jeden z niewielu zaległ w opłacie.

Nardzewski siedział na swym krześle z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego, schłostana przez wiatry, była teraz szkarłatna, wargi odęte. Milczał długo.

— Bardzo być może... przeciw lepszemu spodziewaniu — wycedził wreszcie przez zęby.

— To *ad primum*. A teraz co do *homagium*. Pan baron von Lipowski, pierwszy cesarski komisarz kieleckiego krajzamtu, żebym wyraził wielmożnemu panu niezadowolenie z powodu jego absentowania się w tej tak ważnej sprawie, polecił mi był.

— Do diaska! siła grzechów, jak widzę, ciąży na moim sumieniu...

— Tak jest. Wielmożny pan nie tylko nie udał się osobiście do Krakowa...

— Ja do Krakowa! Ale czegoż to waszmość wymagasz ode mnie?

— To nie było wymagane.

— Nie wymagane znowu! Więc jak?

— To było oczekiwane od obywatelów.

— Raz wymagane, drugi raz oczekiwane!... Ja, mości panie, trzydzieści lat z tych oto Wyrw nie wyjeżdżałem i nie wyjadę. Nie wyjadę, chociażby kije z nieba leciały! Tu siedzę i skończona rzecz. O niczym nie wiem... A pierwszy von Lipowski komisarz... Mam już dość Krakowa — i wszystkiego świata!

— To wszystko bardzo być może...

— Ostatni raz byłem w Krakowie *anno Domini* 1768. Porachuj no waszmość, ile to lat.

— Rzeczywiście — wykrztusił Hibl przeglądając jakieś papiery.

— Dawne to już, ubiegłe czasy, mości panie. Jeszcześ wówczas wasze nawet Wschodnich Galicjów nie oglądał.

— Wielmożny pan tam do szkół zapewne?... — mówił urzędnik segregując w dalszym ciągu stopy swych notat.

— Do szkół? Ale co znowu! Ja szkoły traktowałem w Sandomierzu, w sławnym po wsze czasy kolegium ojców jezuitów, choć już z niego ani dymu, ani popiołu. Ale nie do nauk byłem stworzony. Szczerze mówiąc, ledwie się przez infimę, gramatykę i *syntaxim* przebił nie bez trudu, a poetyki i retoryki owo zgoła zaniechałem. Kraków!... — mówił w zadumie — nigdy tam moja noga nie postanie. To waszmość możesz oświadczyć pierwszemu baronowi z czegoś tam kieleckiego.

— Z kieleckiego cyrkułu — wyraźnie i zimno oświadczył urzędnik.

— Mnie te nazwy ani pachną, ani śmierdzą...

Hibl nieznacznie coś zanotował w pugilaresiku.

— Powiem waćpanu — ciągnął szlachcic — czemu Krakowa nie lubię. Sam pojmiiesz.

— Proszę, proszę...

— W młodocianym wieku osierocony przez rodziców, wzięty byłem przez opiekuna całej mojej puścizny, krajczego — Panie świeć nad jego duszą! — Olchowskiego ze szkół, gdzie się tyle że wałkonił i po wagarach chodził. Na dworze jego, w Sieprawicach, młodość strawiłem. Siostrę moją, matkę tego oto młodzieńca, wychowała nieboszczka krajczyna. Pan Olchowski, jako sam człek ongi rycerski, bo z królem Janem bywał, widząc we mnie ochotę do szabli, udzielił mi błogosławieństwa w imieniu rodziców, a na znak i zakład posłuszeństwa *antiquo more* kazał rozciągnąć na kobiercu i własną swą senatorską ręką wyliczył mi pięćdziesiąt batogów. Zaraz też sto obrączkowych wspaniał do trzosika, dał dwu pocztowych, dwa konie wierzchowe jak diabły, ryngraf na piersi, i sam odwiózł do chorągwi pancерnej, co się wówczas uwijała koło Miechowa. Wtedy oto pierwszy raz widziałem Kraków. A ostatni raz, ostatni... I niech go tam jasne pioruny spalą, cały wasz Kraków! Więcej tego wszystkiego kosztować nie myślę...

Gość zaśmiał się z cicha, chytrze rozszerzając powieki. Szepnął z udanym zdziwieniem:

— Dlaczego? Wielmożny pan obiecał wyjaśnić...

Szlachcic słyszał ten okrzyk i widział uśmiech, ale niezrażony mówił dalej:

— Dlaczego? A no dlatego... Wytrzymałem był w tym Krakowie obleżenie pospołu z bracią z województwa sandomierskiego, krakowskiego jako też i ziemi sanockiej. Wytrzymałem dziesięcioniedzielny szturm do miasta. Byłem przytomny, kiedy nieprzyjaciel zdradą wpuszczony był do grodu, a my wszyscy sromotnie poddać się przymuszeni byliśmy. Złożyliśmy jak barany ryszturnek wojenny i dwie niedziel zamknięci w zamku krakowskim czekaliśmy na rezolucję, co też z nami uczynią. Trzy nasze związki konfederackie, Boże mój, Panie miłosierny! rozłączono, a każdy do innej sali na zamku graf zamknąć kazał. A skorośmy do tych sal weszli, warta z ukrytych miejsc pokazała się, u drzwi i okien miejsca zajmując. Nazajutrz przyszedł placmajor z rezolucją, ażebyśmy do podróży byli gotowi. Dwustu siedemdziesięciu nas samej szlachty oficerów w marsz wyszło przez Grodzką Bramę. A za oną bramą zastaliśmy konwój z karabinierów. Ci nas wiedli błotami i drogą złą w naznaczoną podróż. Później dopiero dano nam podwozy i tak oto z wolna jechaliśmy w oczach ludzkich przez Skalbierz, Staszów, Iwaniska... Za Staszowem idzie tam droga szeroka lasem... No, mój ta już był blisko kraj. Z dała Święty Krzyż widać... Zdarzył się był nocleg w miasteczku Bogoryi. Dokoła zajazdu, gdzie my w stajniach pokotem leżeli, warta czuwała. Wstałem ja w późną noc, przyszedłem do karabiniera pierś w pierś, gdy się nie spodział, i wziąłem mu z rąk broń siłą a w mgnieniu oka.

— Spał? — cicho szepnął urzędnik.

— Co miał spać?... Czuwał!

— Więc jakże?

Szlachcic uśmiechnął się boleśnie i strzepnął palcami.

— Nie pamiętam już dobrze, jak się to stało... Dość, że mię... te... puścił. Rzuciłem się we drzwi, między domostwa, wypadłem w pola i dopiero co mocy w nogach! Gwałt uczynili żołnierzykowie, dalej sypać za mną w ciemności kulami, tylko mi koło

uszu gwizdały. Ręka Boska odegnała... Lasami przyszedłem do tych moich Wyrw bosy, obdarty do naga, głodny. A stanąwszy w tych progach, takem sobie rzekł: „Teraz Ci, Panie Jezu, ślubuję, że już nie wyjdę!”. Otóż i siedzę jak leśny wilk. Widzisz waszmość, że jadłem dość w tym Krakowie chleba, na poły z plewami spieczonego... Zważ waszmość, że działa się ta sprawa w roku Pańskim 1768. Gdzież mnie teraz do Krakowa? Co bym tam ujrzał?

— Wielkie zmiany, pożądane zmiany. Ten dzień 17 sierpnia zeszłego roku na zawsze zostanie w pamięci wszystkich, co go widzieli. Najprzedniejsze obywatelstwo Zachodniej Galicji zgłaszało się do nadwornego komisarza, pana barona Margelika, z życzeniem asystowania przy wjeździe jegomości pana hołdowniczego, księcia Auersperga.

— Najprzedniejsze obywatelstwo, mówisz waszmość? Patrzajcież!

— Tak jest. Nie wszyscy mogli być przyjęci, osobliwie na dzień samego wjazdu 9 sierpnia. Co to za festyn był! Szły naprzód ku miastu przez most z przedmieścia Josephstadtu...

— Skąd, proszę?

— Od przedmieścia Podgórze dawniej zwanego.

— Dawniej zwanego!... a teraz Josephstadtu...

— Cechy, korpus kawalerii, stangreci obywatelów asystujących bez koni naręcznych, berajterowie, trębacze, później szlachta polska na pięknych koniach...

— Berajterowie, trębacze i szlachta polska na pięknych koniach...

— Damy polskie w powozach, dwór jegomości pana hołdowniczego, wreszcie on sam — i znowu korpus kawalerii.

— Piękne widowisko, przez Bóg żywy!

— A w dniu hołdu! Od pałacu Spiskiego do kościoła Panny Marii i do katedry na Wawelu stanęła infanteria i kawaleria w prostych liniach. Wyszli mieszczanie ze swymi cechami, świeckie i zakonne duchowieństwo, deputowani z cyrkulów i wszystka obecna szlachta w paradnych strojach, dalej personel Gubernium krajowego, wszystkie urzędy, Akademia. Wszyscy uszykowali się w swych miejscach. Cisza jest, bardzo wielka cisza. Wtedy począł dzwonić na Wawelu wielki, starodawny dzwon Zygmunt.

Nardzewski słuchał uważnie. Z podziwu czy zachwytu głowa jego chwiała się na prawo i na lewo, a z gardła dobywał się co chwila przemocą trzymany głos.

— W wieczór — ciągnął komisarz — było całe miasto iluminowane, a w Sukienicach książę jegomość Auersperg dał wielki bal, gdzie się aż do samego rana bawiono. Zjazd był tak wielki z obydwóch Galicjów, że Sukiennice nie mogły wszystkich gości ogarnąć. Blisko sześć tysięcy szlachty w nich się z największą radością bawiło. Przy stole były spełnione toasty z wielkim zapałem, przy odgłosie armat...

Nardzewski wciąż śmiał się. W pewnej chwili mruknął nie odwracając głowy.

— Zawieś mi kartę.

Strzelec natychmiast porzucił rozkręcone strzelby i do wahadła zegara, który naprzeciwko miejsca, gdzie siedział Nardzewski, wisiał na ścianie, przyczepił asa żołędneho. To uczyniwszy, prędkimi krokami i z obawą, jakby się paliło, pobiegł do sąsiedniej izby, przyniósł stamtąd dwa piękne pistolety dziwerowane, z kolbami bogato srebrem nabijanymi, i położył je przed dziedzicem na stole.

— Kontynuuj waszmość, jeśli łaska... Miło mi słuchać tego, co mówisz, miło mi, przez Bóg żywy! He-he... Więc tedy powiadasz jako wiarogodny świadek, że sześć tysięcy najprzedniejszej szlachty do rana z radości hulało, że te... I toasty, i okrzyki... A królewski, starodawny dzwon Zygmunt...

Urzędnik zamilkł i zbladł. Oczy jego kilkakrotnie błysnęły złowrogo i znowu skryły się pod powiekami. Prawa ręka ociężałym ruchem skradła się w zanadrze jedwabnej sukni i wydobyła stamtąd wąski, wenecki sztylet tak szybko, że ten ruch ledwie zdołały pochwycić bystre oczy Rafała. Nardzewski ciągnął:

— Mówże waszmość, miłościwy panie, z łaski swej... Niech i moje serce napoi się po brzegi radością tych dni! Ja tu w lasach, pośród wilków i lisów żywiąc, gdym rad, strzelam do tego znaku. Waszmości pewno dym prochowy nie szkodzi... Cha-cha... Na wiwat!

To rzekłszy ujął pierwszy z brzegu pistolet i spojrział w oczy Niemca. Po twarzy snuł mu się uśmiech, a spomiędzy warg wypadał szorstki ów chichot, podobny także do czkawki czy łkania.

Hibl miał twarz spokojną, tylko jakby stężałą. Prawe jego oko było przymknięte i dolna szczęka nieco wysunięta. Mówił z wolna, głosem pewnym i spokojnym:

— Cały ten wiekopomny akt przysięgi na wierność monarchom dynastii Habsburskiej odbył się w największym porządku.

Nardzewski podniósł pistolet i strzelił.

Dym napełnił pokój. Wapno przez kilka chwil sypało się ze ścian i powały.

Rafał podszedł do zegara i sprawdził, że czarny znak żółednego asa był z karty wystrzelony. Gdy się dym rozwiął i zaczął odpływać do izb przyległych, młody chłopiec ujrzał w polu odchylen wahał się mnóstwo kul, które siedziały w modrzewiowych belkach. Niektóre były wpakowane jedna na drugą i rozplaszczone.

Komisarz nie interesował się wcale wynikiem strzału. Siedział na swoim miejscu i kiedy niekiedy machał ręką dla odpędzenia dymu. Widząc, że Kacper z pośpiechem nabija wystrzelony pistolet, mówił oschle, wyraźnie i śmiało:

— Mnie dym prochowy nie szkodzi, ale może wielmożny dziedzic zaniecha strzałów. Jeszcze ważne sprawy... Podług osnowy rozkazu mej władzy ogłaszam jako zwierzchności gruntowej, że liczba dni roboczych, jakie odtąd komornicy świadczyć będą rocznie bez różnicy płci, trzynastcie, a liczba dni chałupników dwadzieścia sześć wynosić ma. Chłopi posiadający grunta, o ile płacą określone podatki, pracować na rzecz wielmożnego pana nie więcej nad trzy dni w tygodniu mają. Dłużej jak osiem godzin w zimie, a dwanaście w lecie żaden pracownik w polu czy w gumnie robić obowiązany nie jest. Święto, gdy przypada w dzień pańszczyźniany, liczy się na korzyść pracowitego chłopca.

— No i cóż jeszcze? — mruknął Nardzewski.

— *Presshafte Leute* — mówił urzędnik — to znaczy podupadli na zdrowiu, starcy powyżej lat sześćdziesięciu wolni od robocizny być mają.

Nardzewski znowu ujął pistolet i strzelił. Nie czekając nim się dym rozejdzie, wyrwał broń z rąk strzelca. Ostatni słuchał tak ciekawie tego, co mówił urzędnik, że ledwie ruch pana spostrzegł.

— Nabijaj! — wrzasnął Nardzewski — bo ci tu na miejscu łeb roztrzaskam!

— Żaden poddany...

— Co jeszcze? Co jeszcze?

— Aby żaden kmicie, skrzywdzony przez pana, żadną drogą samowładnie sprawiedliwości dla siebie forytować nie ośmielił się, rozporządzono jest, żeby do krajczamtu w Kielcach, wprost do pełnomocnego komisarza ze skargą szedł — ciągnął urzędnik głosem ochrypłym, ukryty już prawie w dymie prochowym.

— Niechaj spróbuje!

— Rozporządzono dalej...

— Co waszmość chcesz mówić? — z cicha, głosem suchym rzekł szlachcic wstając ze swego miejsca. — Ja tu jestem panem, ja prawem! Naddziady tu moje siedziały... Moja to jest ziemia i moi ludzie. Te Wyrwy to jest mój kraj. Mój i niczyj więcej! I przez Boga żywego tu nikt...

Komisarz śmiał się.

— Za Jana Kazimierza, po wojnach, przybył tu prapradziad mój, Józef, i te pustki lasami porośłe kupił za grosz w boju na kresach ranami zdobyty. Sam własną ręką, wyszorowaną w ciągu lat przez pancerz i rękawicę, karczował te role, rwał pniaki i jałowce. Sam zrównał nowiny, wyniósł kamienie. Idź waść i obacz one kamionki dokoła moich pól! Latami ten człowiek... Na tych to rolach moje chłopcy siedzą. Nie miał na zawołanie najemników, a choćby i byli, to czymże by ich opłacił? Przyszli za nim ludzie bezpańscy z dobrawoli, nędzarze przymierający głodem, i za kawały gruntu, za budynki i gospodarski dobytek zobowiązali się do stałej daniny w pracy. Lepiejże im może było tulać się po slotach, nie mieć dachu nad głową? Lepiej było poniewierać się w czeladzi po dużych dworach, czyli też siedzieć tu w jasnych domostwach, na świętej, pospólnej ziemi, z której nie płacili przecie pieniędzy? Żyli tu jako jedna rodzina. Babka moja, jak zapamiętam, matka i moja, Panie, świeć nad jej duszą, żona, były ich lekarkami. Spytaj waszmość, kogo chcesz, czy i ja sam, choćem człek twardy...

Hibl kiwał głową.

Chłop, Szlachcic, Prawo,
Własność, Władza, Polak,
Niemiec

— Jeśli zagrodnik trzysta zagonów roli pańskiej posiada — mówił z uśmiechem ironii — niech płaci od każdego zagona po groszy miedzianych trzy, jak jest zwyczaj. Przypadnie za wszystkie jego rolę złotych sześćdziesiąt. Rachujmy dzień roboczy najtaniej po groszy miedzianych piętnaście, przypadnie za wszystkie dni robocze w roku złotych siedemdziesiąt osiem. Dobrze mówię?

— Mów wasan.

— To jakże? Gdzież reszta? Kto bierze osiemnaście złotych? A przecież to nie koniec! Muszą przecie nadto stróżę po nocach odbywać, na posyłki chodzić. A daniny? Za cóż jeszcze daniny składają? Czy także z gruntu pradziadowskiego? Przecie go pracą na pańskim z czubem okupili. Dają różne gatunki zboża, dają kury, jaja, połowę miodu od pszczół, muszą znosić do dworu określoną ilość lnu, jagód, orzechów, grzybów. Nawet gdy się orzech w lasach nie urodzi, dać go muszą, bo tak prapradziadom za Jana Kazimierza dawali.

Nardzewski słuchał tego wszystkiego jakby w osłupieniu. Ręce jego bezwładnie leżały na pistoletach.

Rzekł spokojnie:

— Skądże to waszmość wiesz? Skąd wiesz? Drażnisz mię licząc na to, żeś pod dachem szlachcica polskiego... Ale, przez Boga żywego, nie czyn tego dłużej.

— Ja się broni nabitej nie boję... — rzekł komisarz z dumą, wstając ze swego miejsca.

Po chwili zwrócił się do strzelca ze słowami:

— Zawiadomić wójta i ławników, żeby się jutro cała wieś zgromadziła na dziedzińcu dworskim. Urzędowe rozporządzenia przeczytane będą. *Ad tertium...* Co do gromadzkiego spichlerza...

Nardzewski spojrział na strzelca okropnymi oczyma i z cicha mówił:

— Niech mi Jawor obębni po wsi, że jutro mają się zejść wszyscy, kto żyw. Na mój rozkaz, słyszałeś! Będzie brał karę Tomek Zalesiak za to, że się dobierał do mego lamusa. Otrzyma przy całej wsi i w oczach tego oto pana komisarza sto pięćdziesiąt miotełek brzoźowych, jak za Jana Kazimierza, Michała Korybuta i innych bywało.

— Oświadczam uroczyście wielmożnemu panu, że to się nie stanie — mówił komisarz. — Bić zabrania się wszelką miarą. A teraz pragnąłbym udać się na spoczynek.

Szlachcic konwulsyjnie chwycił się za głowę i coś jak szczekanie wyłamało się z jego zduszonej gardzieli. Wstał ze swego miejsca i zaczął chodzić po izbie z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego była straszna, o kolorze dymu, który ją owiewał. Co pewien czas piersi jego jęk wstrząsał, a wargi ciskały wyrazy bez związku.

Rafał w postawie siedzącej chrapał w kącie sofki, jak zarżnięty. Sen jego był tak twardy, że nawet nowy strzał wuja tylko go na chwilę ocucił...

Był już dzień biały, kiedy Nardzewski zaczął budzić siostrzeńca. Młodzieniec nierychło podniósł głowę. Zdało mu się, że dopiero co zasnął i chwileczkę drzemał. Ze zdumieniem też spostrzegł, że jest rozebrany i leży pod kołdrą.

— No, kochanku, szkapę zaprzężone: komu w drogę, temu czas — mówił Nardzewski. — Droga daleka, dzień mały...

Chłopiec wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Na dworze słychać było gwar ludzki, szczekanie psów i donośny głos urzędnika przemawiającego z ganku. Stary szlachcic chodził po pokoju szarpiąc czuprynę i wąsy. Twarz jego była szara, oczy zdziczałe. Naglił siostrzeńca do pośpiechu, tłumacząc mu ochrypłym głosem, że dzień krótki. Zmusił go do prędkiego wypicia winnej polewki, otulił niedźwiedzią kiereją, wyprowadził na dwór i wsadził do szerokich sanek, naładowanych zwierzyną. Cztery dzielne konie w lejc zaprzężone, włochate i dymiące na mrozie, niepokoiły się wśród tłumu chłopów w rudych sukmanach, bab w wełniakach i dzieci. Kiedy woźnica był gotów, Rafał uściskał wuja i zasiadł się dobrze w słomianym siedzeniu.

Tak mu było żal jechać, tak niewymownie... Palila go nienasycona ciekawość, jak w lesie, gdy się odezwał głos ogarów.

Co też to będzie? Co się tu stanie?

Widział rozognione twarze chłopów, błyszczące ich oczy, które nic nie dostrzegały poza figurą urzędnika. Hibel w krótkim futerku, oparty o słup ganku, coś dobitnie rozpowiadał.

Nardzewski dał znak furmanowi i sanie, głośno skrzypiąc na mrozie, ruszyły z miejsca.

— Przeprowadzić Zalesiaka! — krzyknął wtedy szlachcic przerywając tym sposobem wykład komisarza.

Rafał nastawił ucha.

— Sołtys, bębnić!... — wołał Nardzewski.

Dał się słyszeć ponury, groźny głos bębna...

Konie Rafała, ściągnięte długim batem, pomknęły z kopyta torem iskrzącym się od mrozu.

KULIG

Z Opatowskiego w kierunku Koprzywnicy i złotopszenicznej niziny Powiśla, wskroś jedyne na świecie Sandomierskiego Płaskowzgorza, gnał kulig. Łańcuch kilkudziesięciu sań budził całą okolicę radosnym głosem dzwonek, brzmiącym łoskotem janczarów, trzaskaniem batów na cztery konie, wrzawą okrzyków, bębnow, fujarek, melodią śpiewów i muzyki. Kilkunastu pajuków rwało na folwarcznych szkapach, trzymając w garściach pochodnie, w ślad za saneczkami arlekin w czarnej masce, zakopanego w wielkie niedźwiedzie, który na czele orszaku pomykał. Blask złotych ogni w dymie — płatomi rozdzierających noc, o kilka wiorst na płaszczyźnie widoczny, kładł przed oczy zaspy, parowy, urwiska i wskazywał wśród nich przetartą drogę.

Noc była widna, księżycowa, mroźna.

Wielkie śniegi, przemarłe w tęgich mrozach, leżały pierzastymi zaspami. Tu i owdzie wypełniły po brzegi wawóz, których tyle w tamtej okolicy, gdzie indziej zadęły opłotki a nawet wioszczyzny przytulone do urwisk. Mglistymi kępy i drgającymi żywo światełkami znaczyły się dwory na przyczółkach parowów. Konie po brzuchy zapadały w wywary, roznosiły w puch największe zadmy, które ledwie przeorał arlekin. Kulig nie znalazł przeszkód. Tworząc ogromny korowód leciały sanie najrozmaitsze. Jedne były snycerskiej roboty, pozłacane lub posrebrzane, z czasów jeszcze saskich i Stanisławowskich, w kształcie łabędzi z długimi szyjami, w kształcie gryfów i orłów, pozaprzęgane czwórkami w piórach i czubach; inne — zgoła prostackie, ledwie przez domowego cieślę pomalowane *lubryką* lub na zielono, a ciągnięte przez fornalki rozmaitej maści i wzrostu. Zarówno pyszne cugi jak chety z jedną brawurą i życiem rzucały się w zaspy, niby czółna w fale jeziora.

Radość kipiała w sercach.

Kapela, złożona z klimontowskich Żydków, rznęła od ucha mazury, oberki, krakowia-ki, drabanty. Chwilami porywająca melodia przygasła jak od zachwyty, co dech zapiera, i tylko z jakiejś głębi, jakby spod śniegu, dolatywała do uszu i serc. Wtedy odzywały się pieśni. Więc z jednej strony słyszeć było tkliwe dyszkanty damskie:

Ścieni dąbek, ścieni, już się nie zieleni...
Dałam chłopcu słowo, już się nie odmieni!

A z innej naigrawały się potężne basy męskie:

A ja sama nie wiem, co to za przyczyna:
Gustuję w bronce, wzdycham do blondyna!

Zaraz odcinał się chór paniński:

Granatowy fraczek, woskowane buty —
Teraźniejsza młodzież same bałamuty.

I znowu z góry donośnie, siarczyście zanosily się skrzypce, basy i flety, głuszac wszystkim.

Rafał, jak większość najmłodszych kawalerów, jechał konno. Pierwszy to raz w życiu dostał od ojca pozwolenie zażycia faworytnej „Baśki”, młodej klaczki swego chowu. Baśka liczyła sobie dopiero trzy wiosny. Pochodziła z ojca czystej krwi araba i matki polki. Była płocha, żywa, a przecie nad wszelkie słowo rozumna. Główkę miała maleńką, śliczną. Siwa sierść pokrywała jej skórę, cienką jak jedwabnica. Klacz szła w płasach, stroiła

ogniste skoki. Bawiła się jak człowiek: to nastawiwszy uszka i rozdując nozdrza z chrapaniem, słuchała muzyki, to za nią w żartkich lansadach szła niosąc jeźdźca rozkosznie jak w kolebce. Rafał był szczęśliwy co się zowie. Kieliszek starego węgryzyna, wypity gdzieś w ostatnim dworze w Górkach, Ossolinie czy Nasławicach, rzucił jego uczucia jakoby na ptasie skrzydła. Koń niósł go wskroś tych zasp, których zimny oddech tak miłośnie mu twarz ochładzał... A w saniach lecących przed nim — te dwie panie... Jedna starsza, mężatka czy wdowa; druga — młodziutka dziewczyna. W blasku księżyca widział ich głowy i kołpaczki: u jednej — starożytny, sobolowy, z kitką osadzoną wśród brylantów; u drugiej — okrągły, suty, z gronostajów cynkowanych.

Osobliwie ta starsza, w salopie złotego koloru z puszystym futrem... Tańczył z nią krakowiaka i mówił już kilka wyrazów. Stał mu w oczach cudny czar tej osoby, jej oczy zachwycające, które, zdawało się, nie widzą go wcale, i uśmieszek, który się z jego pomyłek w tańcu tak przedziwnie naigrawał. Wtedy nawet, gdy on, Rafał Olbromski, żywy i trzeźwy, na nią patrzył w futro otuloną, widział ją w głębi siebie inną, odmienną. Wspominał, jak z nim tańczyła w sukni greckiej purpurowego koloru, rozkosznie ściskającej stan i piersi, potoczystej, z ogonem i obszyciem ze złotego masyfu.

Pamiętał śliczne ręce w bufiastych rękawach, ze śliskiego atlasu, które się do niego w tańcu wyciągały, i włosy z grecka trefione. Podniecał konia do skoku i kiedy się równał z saniami, wówczas brylanty na kołpaczku, zwróconym w jego stronę, migotały w blasku księżyca. Oczu nie było widać, i Rafał pewien był, że nie patrzą. Jakże czarodziejsko, jak rozkosznie mieniły się błyski drogich kamieni.

Zdało się pomimo wszystko, że to uśmiech ów skryty, niewidoczny, schowany i wgardliwy, a przecie nad wszystko powabniejszy, przez noc się ku niemu przebija. Schylał się niby to poprawiając trzęźłę lub puśliko, ale i tak oczu nie widział.

Sam był przebrany w strój niby wiejski, krakowski, w żupan granatowy z karmazynowym kołnierzem, lamowany srebrnymi galonami z szychu, w zuchwałą czapkę karmazynową, rogatą, z pawim piórem. Pas z kółkami pobrzękiwał na nim, a stalowe podkówki trzaskały o strzemię.

Co chwila odwracał się ku niemu i drugi kołpaczek. Ta głowa dziewczyna była bliżej. Nie kryła wcale swych spojrzeń. Widział oczy i rozchylone usta, małe, pąsowe, czuł nawet unoszący się nad saniami w czystym powietrzu zapach *l'eau de la reine d'Hongrie*, tak pocziwie zwany larendogłą. I były chwile, że jak przykuty, jak we śnie, sam nie wiedząc czemu, wpatrywał się w te oczy, które się do niego śmiały z serdecznością i szczęściem.

Bo nie masz krainy, nie masz takiej strony,
Gdzieby nie kochali chłopcy cudzej żony...

— wyleciały jak z procy skądś, aż z ostatnich sanek, swawolne słowa.

Niby groty z ognia uderzyły w Rafała i jakoby oczywiste prawdy zatrzęsły nim aż do samej głębi duszy. Pochylił się na kark konia i tylko siłą wstrzymał ręce, żeby go nie objąć i ust płonących nie przycisnąć do wzdętej jego grzywy.

Jeden głos męski potężny, drżący od siły i wesela, śpiewał w nocy:

Nie będę się żenił, nie będę się spieszył...

— Jeszcze czego! — wołał drugi.

Będę się umizgał i dziewczęta cieszył...

— ciągnął pierwszy z taką szczerą prawdomównością w każdym tonie, że wszystkie sianie wybuchnęły śmiechem radosnym, prawdziwym aż do samego dna. Był to jak gdyby akord tej samej pieśni, jakby okrzyk zgody czulej, jakby potwierdzenie prawdy nieomyłnej, a długo zamęcanej przez kłamców.

Z dała, z dała, od przednich sań leciała piosenka:

— A ja się stanę małą ptaszyną
I okryję się gęstą krzewiną...

Jednak ja twoją nie będę!

— Mają cieślowie takie topory,
Że wycinają lasy i bory.
Jednak ty moją być musisz!...

Pieśń ta w inną stronę jak wiatr poniosła duszę Rafała. Dłonie jego ścisnęły jak gdyby toporzysko siekiery i ramię kurczyło się, żeby z całego ducha ciąć owe „lasy i bory”. Ujrzał je w oczach, jak żywe: bory niezmierzone, głuchą świętokrzyską puszcą. Wionął na niego smutek i żal...

— Także to nas waćpan zabawiasz, mości kawalerze — rzekła nagle starsza z pań.

— Ale bo ja... właśnie w tej chwili... — bąkał Rafał zmieszany, nie mogąc znaleźć słowa odpowiedzi.

— Ani nam nie śpiewasz pięknych piosenek, ani grzecznym dyskursem nie rozweślasz... Niemy waćpan jesteś jak ten worek skórzany, w którym nogi trzymamy. Tyle że z nami jedziesz, jak i on...

— Nie umiem śpiewać. I dlatego właśnie...

— Toć to kulig, nie pogrzeb. Waćpan jedziesz na swym koniu za naszymi saniami jak za trumną.

Rafał płonął ze wstydu, ale w tonie mowy pięknej pani nie czuł gniewu ani odrazy. Toteż pod wpływem nagłej decyzji zeskoczył z konia i stanął w tyle sanek. Przez chwilę myślał, że za ten krok będzie cierpiał srogie jakieś kary, ale było mu wszystko jedno.

— O, nie zasłużyłeś waćpan, żebyśmy cię na naszych saniach wiozły! Nieprawdaż, Heleno?

Młodziutka towarzyszka śmiała się z cicha i co chwila wykręcała się na swym miejscu.

— Już się na pewno poprawię! — szepnął.

— Więc akomoduj się waść, bo źle będzie...

Wrzawa na saniach jadących przodem wzmagala się coraz bardziej. Bliżej, rozgłośniej słychać było jedną i drugą kapelę. Pochodnie uwijały się gdzieś w dole.

— Cóż to za zgiełk? Dlaczego? — pytała piękna pani.

Rafał podniósł głowę i spostrzegł, że cały łańcuch sanek zjeżdża w dolinę rzeki Koprzywianki. Z urwistych brzegów, omijając zadęte wąwozy, sanie pędem zlatywały na dół wśród krzyku kobiet i nawoływań męskich.

Klaczka Rafałowa niechętnie szła za saniami. Musiał ją ciągnąć za uzdę, a wsiąść na siodło już nie mógł. Ani sposobu! Przyrósł do miejsca w tyle sanek. Owiewał go czarodziejski zapach i jasny blask tych dwu zjawisk, które miał przed oczyma. Teraz już widział uśmiechy obydwu twarzątek, zwróconych ku niemu...

— Gdzież jest dom rodziców waćpana? — pytała pani.

— Z tamtej strony, za rzeką.

— Czy go już widać?

— Ledwo, ledwo! Światła się daleko w nim błyszczą.

— Gdzie to?

Rafał nachylił się nisko i wskazywał ręką. Sobolowe futro musnęło go po twarzy.

— Ach, więc to tam są Tarniny? — prędko wypowiedziała panna Helena, nie wiadomo, czy do swej towarzyszki, czy do Rafała.

On czuł, że musiała się przy tym strasznie zaczerwienić, że cała stanęła w ogniu, bo i jego ogień ogarnął. Słodki, melodyjny głos brzmiał w jego uszach, w całej głowie, w piersiach. Te to przecudne, jaśnie wielmożne usta nazwały jego wieś rodzinną...

— Tak, to Tarniny... — odpowiedział z pozornym spokojem.

— Musimy tam zajechać... — mówiła starsza pani — a przewrócimy wszystko, mości mruku, do góry nogami. Prawda, Heleno?

— Ja sam będę dopomagał, bo dom nasz stary, niski i niepiękny. Musiałby rodzic drugi dom wystawić.

Powiedziawszy to głupstwo z dość wielką brawurą, obejrzał się mimo woli, czy aby rodzic nie słyszał aforyzmu.

Woźnica stanął w saniach i wstrzymał swą czwórkę. Cztery spasione konie okryte lamparcimi skórą, w szorach nasadzonych licznymi dzwoneczkami, z czubami pąsowych piór na łbach, stały w blasku nad brzegiem urwiska jakby senne widziadło. Po chwili, gdy ruszył lejcami, zapadły w dół, idąc zrazu klusem, później galopem. Wierzchówka Rafała nie chciała ich naśladować i młodzieniec, pragnąc nie wypuścić z rąk wodzów, musiał skoczyć na ziemię. Runął w śnieg i ledwo utrzymał cugle. Po chwili namacał końcem stopy strzemię i gwałt za saniami.

W nizinie, nad brzegiem rzeki, utworzył się istny zator pojazdów i koni. Mostu w tych miejscach nigdzie nie było. Jeżdżono od początku świata w bród. Pierwsze sanie, przebywając rzekę po lodzie, oberwały wielką jego taflę i ledwo, ledwo wydobyły się z wody. Brzegi rzeczki były spadziste, obmarzłe, nie do przebycia. Jedyne łagodniejsze miejsce zostało zniszczone. Czekało na chłopów z najbliższej wioski. Tymczasem zjeżdżało sań coraz więcej. Dwie kapele złączyły się teraz i od ucha cięły zawołanego mazura. Okazało się, że pierwsze sanie wiozą napotkanego w drodze „turonia” czyli „kłapacza”, tj. chłopą przebranego za straszdyło z wysoką szyją jak u żyrafy i ruchomą paszczką, czerwonym sukniem wybitą. Na wybrzeżu Koprzywianki powstał gwar, zgiełk, hałas. Dzwonki, janczary, krzyki, śpiewy, muzyka zlewały się w ogromny wybuch wesela. Turoń posuwał się z wolna między saniami, kłapiąc dolną żuchwą i nachylając się to tu, to tam. Rafał na widok tego stracha, tej przeraźliwej chimery, uczuł w sobie dreszcz, który się wskroś śmiechu przebiegał. W tej samej chwili panna Helena, obok której stał właśnie, z nagłą ujrawszy poczwagę, krzyknęła, rzuciła się na oślep a lewą ręką pochwyciła ramię Rafała. On instynktownym ruchem przysunął się ku niej. Tak przez chwilę stali obok siebie, złączeni śmiertelną grozą, gdy turoń nachylił się ku ich twarzom i końską swoją paszczę szeroko otwierał. Po chwili śmiali się do rozpuku, zaznajomieni ze sobą wskutek tego zdarzenia, jakby od wielu lat chowali się pod jednym dachem.

— Boisz się waćpanna turonia? — zapytał cicho.

— Ależ nie... Co znowu! Tylko tak na mnie zakłapał.

— Ja się dawniej bałem. Och, bardzo, strasznie! Śnił mi się po nocach ze swoim czerwonym językiem. Po Bożym Narodzeniu przyszedł raz do nas, do Tarnin. Byłem wtedy chory, a w dodatku mały smarkacz. Drzwi się otwarły i wsunął się łeb... Wie pani, taki okropny, bez oczu...

— Och, wiem! Nagły łeb, jakby się wyśnił albo jak czasem z ciemnego pokoju... wiesz waćpan, coś takiego wyłazi...

— Czasem jeszcze i teraz, choć to śmieszne, zdaje mi się, że stoi za oknem na deszczu, na wicherze, i słychać kłapanie. A oczu strach podnieść... Spojrzeć? — Za nic! Prawda?

— Za nic! A to tylko wiatr wyje w ciemną noc, w jesień... To po prostu topole jęczą i skrzypią, a stare lipy huczą. Przejdzie chwila i wszystko nacichnie!

Gromada chłopów, zwołana przez umyślonych na miejsce, jęła się pracy. Usiłowano przeprowadzić konie i sanki w innym dostępnym miejscu, ale znowu lód nie wytrzymał. Radzono tedy, co czynić. Jedni utrzymywali, że wypadnie objechać aż na Koprzywnicę; inni byli zdania, żeby się cofnąć w górę rzeki, gdzie jakoby przed laty był jakiś lekki mostek.

— Chłopczy! — zawołał nagle ktoś z tłumu szlachty — a nam co po moście? Który się podejmie przenieść sanki razem z paniami na drugi brzeg rzeki, dostanie natychmiast czerwony złoty jeden, pojedynczy!

— Zimna woda, jasnie panie! — rzekł pierwszy chłopowina z kraja.

— A ja idę! — krzyknął drugi ściągając z ramion zwierzchni kozuch.

Po chwili już kilkunastu rozzutych i na pół odzianych brało za bary pierwsze sanie. Furmani siedli oklep na wyprężone konie i w drugim brodzie przejeżdżali wodę. Powstał krzyk dam siedzących w saniach, śmiechy i oklaski zgromadzonych na brzegu. Przenoszenie długo trwało. Wkrótce jednak na przeciwległej stronie zgrupował się zastęp niemały. Zmącona woda chlupała, gdy chłopstwo podsadzało się pod sanicę i brnęło środkiem.

— Zimno! — wołali dźwigający.

— Dalej go! czerwony złoty na głowę... — zachęcał projektodawca.

— Kapelę nam tu dawajcie, kapelę! — dopominała się młodzież — co tu mamy różniący czekać...

— Pochodni! — nastawały panie.

— Ej, chłopcy pracowite! — ozwał się głos młody — a weźcie no jeden z drugim lopaty, ubijcie nam tu śnieg, a równo, twardo!...

— Żydy, mazura!

— Pejsate Żydy, naszego!

— Kulig! — wykrzyknął arlekin, podniesiony przez młodzież nad głowy wszystkich. Żydki urżnęły od ucha.

Wkrótce śnieg ubity był twardo i zrównany niby najdoskonalsza posadzka. Oczekując na przybycie wszystkich puszczono się w płąsy, zatoczono mazura, jakiego świat nie widział.

Matrony i starcy otaczając koło przyklaskiwali, a młodź hulala co tchu. Wnet futra, opończe, bekiesze poczęły zawadzać, więc je rzucano w sanie. Hajduki wysoko wznosiły pochodnie i gruby, bujny, migotliwy blask oświetlił miejsce. Zabyły kółka pasów, barwne kierzaje, wyszywane gorsety, białe rękawy koszul.

Rafał tańczył z panną Heleną. Wyglądał szatno i szumno. Krzeszał hołubce jak żaden. Krew w nim kipiała.

— Olbromszczak... — gwarzono naokół z aprobatą i poklaskiem.

— Dobra krew.

— Widać zaraz, że dumna sztuka...

— Po ojcu, po starym cześniku. To samo tancerz był ongi, a towarzysz nie lada jaki, chociaż dziś kutwa nad kutwami.

— Patrzajcie no... Co to za płąs! co za gracki ruch!

— To mi tan!

— Diabło i pięknie!

— Ej, dziś dziś! ej, dziś dziś!

Panna Helena zrzuciła futerko i kapłoni rękawek. Miała na sobie suknię niebieską z krótkim stanem, z fartuszkim linowym w paski, bez żadnego upiększenia. Nie wpięła nawet kwiatu we włosy, spuszczone na czoło. Gdy od tańca zakwitły jej policzki, oczy, zdało się, pochłonęły migotliwe blaski pochodni i otrzymały ich siłę palenia. Rafał nie mógł od niej oderwać wzroku, zapomniał o świecie całym. Taniec był dla niego już nie zabawą, lecz wybuchem radości, płąsaniem ze szczęścia. Oczy, złączone z oczyma ślicznej panienki, pełne były zachwytu i poczęły wypowiadać to, czego na pozór nie było wcale w duszy, co tam leżało jak ruda kruszcu bez ceny, martwym pokładem. Teraz bił stamtąd blask i wznosił się pachnący dym.

Kiedy najbardziej rozkosznie wciągał w nozdrza ten królewski zapach i najsiarczystsze krzeszał hołubce, usłyszał głos ojca. Stary cześnik mówił:

— Kto, mośćbrodzieju, na mój grunt dnia dzisiejszego, kto, mówię, na mój grunt nogą stąpi, tego mośćbrodzieju, już nie wypuszczam za granice włości: takie u mnie z dawnien dawna *ius terrestre* — dnia dzisiejszego.

— A toż tańczymy, sąsiedzie dobrodzieju, na waszym gruncie, aż w całej parafii dudni — ktoś z boku zawołał.

— Nie nasza to rzecz, mośćbrodzieju, *sub divo* hulać!

— Dlaczego, panie bracie?...

— Dlatego, że to despekt dla szlachcica, mośćbrodzieju. Choć u mnie pod strzechą izdebki, choć, mówię, nie do tańca, aleć, miłościwe panie i łaskawi sąsiedzi, Bóg widzi, jako się rzekło...

Rafał zatrzymał się w tańcu i wmieszał w tłum. Nie rad był wcale nasuwać się rodzicowi na oczy. Stary tymczasem już go był dostrzegł i obrzucił szorstkim wejrzeniem.

— Raczcież — ciągnął — miłościwe mośćbrodziejki, raczcież, sąsiedzi panowie i bracia... zaszczyć...

Był to starzec zgarbiony latami, łysy, z krótkim, mlecznym wąsem i grubą brwią nad wspaniałymi jeszcze oczyma.

Wkoło tańczących wtoczyły się saneczki arlekina i czarna jego maska wynurzyła na światło.

— Do Tarnin, kto żyw! — wołał głośno, trzepiąc swą różgą wokoło, a szczególnie mężczyzn blisko stojących. — Do Tarnin!... cóż tu stoicie, mazgaje?

Wszyscy ruszyli do swoich sanek. Powstał ścisk, gwar, wyszukiwanie i wdziwanie rzuconych futer i burek.

Królowała śmiech. Buchnęła w rozmowach beżmierna wesołość. Zakipiały śmiałe żarty, mignęły tu i owdzie ukradkowe całusy po rękę, jak cieniem zakryte obrazą, która trwała przez mgnienie oka, uśmiechy, których piękność i rozkosz głębia nocy pochłania i życzliwie zataja. Gdy Rafał dopadł wierzchówki i miał skoczyć na siodło, ujrzał ojca tuż przy sobie. Cześnik nieznacznie zmacał ręką kark klaczy, badając, czy bardzo zgrzana, i coś pod nosem mruknął. Rafał wiedział, że z tych badań dobrego nic nie wypadnie, ale tylko przekrzywił krakuskę na głowie. Co ma być, to tam już jutro... Klacz sama stanęła obok sanek, w których siedziały znajome panie. Chwilę stali na miejscu, nim ogromny wąż zaprzęgów ruszył się z miejsca. Widzieli znowu przed sobą rwący się w kierunku Tarnin barwisty łańcuch. Ognie, okrzyki, śpiewy znowu napelniły dolinę.

W dali, na wzgórzu między drzewami, wśród Sandomierskiego Płaskowzgorza, które się skłania ku dolinie Wisły, paliły się światła w oknach starego dworzyszczu. Kiedy narzecie i pojazd Helenki ruszył z miejsca, Rafał usłyszał głos ojca, który gramolił się do małych saneczek.

— Rwij mi, dnia dzisiejszego, z kopyta do dom i przyjmuj na ganku.

Kawaler z bólem podciął klacz, ze wściekłością przechylił się na siodle i wymijając pochód ruszył cwałem. W mig był na ganku. Już tam pierwsze sanie stawały, i matka w kontusiku drojetowym, z siostrami w odświętnych sukniach, witała gości, błagała o zaszczyt niskich progów. Rafał stanął przy matce, kłaniał się, zdejmował futra, szuby, wprowadzał panie, znosił krzesła. Wkrótce zjawił się i ojciec. Nikt nie mógł poznać starego Olbromskiego, który nigdzie nie był i nikogo prawie nie przyjmował u siebie. Dziś stary zmienił skórę. Przybrany w piękny kontusz, Bóg wie jakie czasy pamiętający, „na opaszki” wrzucony — w drogi żupan — giął się w ukłonach, muskał węża jak za dawnych, pijackich czasów, uśmiechał się, prawił komplementy i sumitował. Gdy wstąpiła na ganek jedna z najpoważniejszych matron okolicznych, stary cześnik podał jej ramię i z krygami, muskaniem węża oraz odrzucaniem wylotów wiódł ją uroczysto przez tłum zgromadzony już nie tylko w bawialni, w alkierzach, w ciasnych i niskich izdebkach dworu, ale nawet w sieni, na ganku, w bokówkach starych ciotek, siostr-panien odwiecznych i rezydentek.

Rafał dopiłnował, żeby godnie przyjąć swe damy. Podał ramię pani stolnikowej i wprowadził ją do domu. Sam nie wiedział, skąd mu się wzięła pewność taka, śmiałość ruchów, ukłonów, które wykonywał, i słów grzecznych, które mówił. Pani stolnikowa trzymała za rękę swą towarzyszkę, pannę Helenę, i śmiała się wesoło. Stanęli za progiem izby bawialnej, gdzie był już tłok taki, że obrócić się nie było sposobu, gdy cześnik przeproszał właśnie swych gości i zaklinał, żeby się bawili, jak mogą.

— Łuczywa nam tylko sąsiad dobrodziej nie poskapisz! — wołał ktoś z tłumu. — Wyjdziemy na dziedziniec i jak nad wodą... hulaj dusza!

Stary zwrócił się w stronę tego głosu i mówił z pięknym ukłonem, śmiejąc się chytrze:

— Dom ciasny, na miły Bóg, ciasny, mośćbrodzieju! Sam to widzę i boleję, ale nieraz tu już krzesano hołubce pod tą strzechą niską za dobrych starych czasów. Hańbaż by to dla mnie, dnia dzisiejszego, była, gdyby na dziedzińcu tak znakomici goście...

— Cóż, kiedy ciasno, sąsiadeczku dobrodziej nasz!... cóż, kiedy ciasno...

— Ciasno, nieciasno! — zawołał ktoś inny. — Szlachecki dom ciasny, a miejsca w nim do tańca, dla braci, nie brakło, jak świat światem. Jakoś się rozsuniemy...

— Mośćbrodzieje! — wołał głośniejszy cześnik zarzucając w tył wyloty starego kontusika — mośćbrodzieje! ściany każę wyjąć z tych oto pradziadowskich węglów!...

— Co znowu! Miejsca dla nas — świat!

Muzyka, ustawiona za oknami, grała krakowiaka i kilka par puściło się w tany. Dla stojących nie było już tam miejsca. Tłoczono się tedy z izby do izby.

Służba folwarczna, *ad hoc* poprzebierana w liberyjne kubraki, roznosiła wino na tacach i domowe ciasto. Gwar rozmów napelnił dom cały aż do ostatniej sionki, gdzieś na ogrody wychodzącej. Było wesoło, ale czuli to wszyscy, że o tańcach w tym domu nie może być mowy. Toteż szeptano po cichu, żeby chwilę jeszcze z grzeczności pobawić i ruszać dalej

dla odszukania dworu większego.

W bokówce, gdzie wisiał wielki obraz Matki Boskiej Sulisławskiej ze szerniałymi od starości ramami, w bokówce, która zamknęła w sobie niejedno już zapewne długie życie, całkowite, od kolebki do grobu, starosta i starościna kuligu prawili długą orację do gospodyni domu, cześnikowej Olbromskiej, częstując ją deską wyrobioną na wzór pszenicznego sandomierskiego placka.

Wskroś tonów muzyki przebijały się do dalszych izb ledwie strzępy tej mowy:

— „Cóż tedy czynić — wołał starosta — kiedy kogo *astra* necesytowały urodzeniem, iż odjąć się nie może naturze i do wesołej przywyknąć konwersacji? Sili się *ars*, różne *media* i *remedia* podając... Ale *fluctuantur* podczas i same nawet nadzieje, kiedy *tenax propositi* człowiek uchwyci się kresu i portu swego, słusznie zaprawdę *gratulari* sobie może...”.

Gwar zagłuszył ciąg dalszy. Ale za chwilę znowu dała się słyszeć rzecz miódopłynna:

— „Jakoż prędzej niebotyczne cedry zajadłym czas zębem skosi, prędzej kwitnące zwiednieją laury, aniżeli rozkwitła w serdecznych wirydarzach przyjaźń jakiejkolwiek podpadnie alteracji...”.

W sąsiednich izdebkach młodzież tańczyła jak mogła, kręcąc się na miejscu. Zbliżała się już chwila stanowcza, i oglądano się już tylko na arlekina, żeby wydał hasło do odjazdu. Rzeczywiście przedarł się przez tłum w swej masce, krzycząc i trzepiąc różgą naokół po sprzętach, ścianach i plecach. Stał na środku obszerniejszego pokoju, zatrzymał tańczących i jeszcze raz wykrzyknął kręcąc się na pięcie:

— Hej! kulig, kulig!

Wtedy stary Olbromski znowu z gracją podał ramię swojej matronie. Muzyka urwała i z nagłą, niespodzianie ucięła wspaniałego poloneza. Wszyscy z podziwieniem oczekiwali, co będzie dalej. Cześnik występował z niewymowną precyzją i nadzwyczajnymi ceregielami. Minął jedną izbę, drugą, jakieś alkierze, bokóweczki, sienie, aż wreszcie zatrzymał się przed szczelnie zamkniętymi drzwiami. Tu zarzucił wyloty, musnął wąsa i z nagłą klasnął w ręce. W mgnieniu oka drzwi się na oścież rozwarły. Oczom idących ukazała się duża, pusta, wysoka i doskonale oświetlona sala. Arlekin wyrwał się naprzód i w podskokach ją przebiegł wołając:

— Kulig, kulig!

Pary wkroczyły do wielkiej izby. Muzyka umieszczona w przeciwległych drzwiach zagrała krakowiaka i cały tłum z okrzykiem wesela puścił się w tany. Nierychło spostrzeżono, że jest to prosta, stara kuchnia z piekarnią dla czeladzi, przybudowana w tyle dworu. Cześnik w przewidywaniu kuligowego najazdu kazał ją z sadzy oczyścić, wprawić nową i wywoskować do tańca podłogę. Ściany zawieszono festonami z jedliny, olbrzymi komin i piec chlebowy zastawiono świerkowymi drzewkami, tworząc z nich pewien rodzaj leśnej altany. Woskowe świece w drewnianych lichtarzach, które przybito do ścian, rzucały rzesiste światło.

— Ot, to mi figiel gracki! — wołano ze wszech stron.

— To po naszymu!

— To lubimy!

— W górę gospodarza! Ot, to prawdziwa niespodzianka!

— W to nam graj!

Teraz dopiero wyzwoliła się zabawa co się nazywa. Wszystko co młodsze znalazło się w sali i hulać zaczęło. Były tam i modne fraczki, i starodawnym krojem szyte kontusiki, głowy w lokach i podstrzyżone. Większość panien miała już na sobie suknie odkrywające ramiona, a czoła zakryte puklami włosów, ale nie brakło dziewic odzianych w staromodne suknie, w lewitki i bufonki, w krótkie rękawki z długimi angażantkami z koronek. Wszystko to mieszało się w tłum barwisty, utkany mnóstwem kierezji chłopskich, krakowskich „suk”, gorsetów i białych bufiastych rękawów. W pierwszej chwili tuliła się po kątach młodzież uboższa, ale wnet radość powszechna wciągnęła w wir i najmniej odważnych. Chwilami ta rozbawiona młodzież sprawiała wrażenie zdrowej, dzielnej, urodziwej stadniny, pędzącej z krańca w kraniec po błoni. Nowa podłoga dudniła jak skóra na bębnie, światło jarzących świec chyliło się poziomo to w tę, to w inną stronę, zawieszono festony chwiały się do taktu, a cała izba, zdało się, trzeszczała w swych węglach. Wrzawa uciechy huczała w niej jak spieniona woda. Zdrowie, młodość i kipiące życie przemieniły

ten taniec w wylew radości. Bawiono się z pełnego serca, hulano z potrzeby dusznej, tańczono w całym znaczeniu tego wyrazu do upadłego. Słysząc było tylko śmiech i krzesanie hołubców.

Otwarto drzwi, gdyż było duszno nawet w tak wielkiej izbie. Ktoś spróbował odebrać okna, a gdy się okazało, że są na głucho zabite gwoździami, wyrzucił je razem z futryną. Wnet z dwu czarnych otworów wionęły białawe obłoki i ukazały się w nich liczne głowy czeladzi, dziewczek i parobków wiejskich, co z rozdziawionymi ustami patrzali nieruchomo na to pańskie „granie”.

Starsi z gości, nacieszywszy się rozkoszą młodych, natupawszy w miejscu i po wyładowaniu westchnień za ubiegłymi laty, rozpełzli się po stancyjkach dworu. Wszystkie alkierzyki i przybudówki z niskimi powalami, o wybielonych wapnem belkach, pełne były gwaru i śmiechu. Każda z tych skrytek miała już swój choćby najmniejszy stół i gro- no biesiadników. Niektóre łączyły się między sobą nakryciami, tworząc jadalnię dziwnie pokrzywioną, która szła wskroś całego dworzyszczka. Jedzono na porcelanie, na cynie, na holenderskiej farfurze, na wszelkim naczyniu, jakie w domu było. Przepłynęła już była kolejka gdańskich wódek, obnoszono potrawy i strugą łac się zaczął węgrzyn. Szlachta piła. Większość przyjechała już dobrze podochocona, a teraz weseliła serce do znaku. Gospodarz, gospodyni, dwie ich córki i syn obsługiwali gości. Rafał, obchodząc stoły z dzbanem wina, słyszał mimo chęci szeptane rozmowy.

— Beczkę węgrzyna sprowadził na saniach z Krakowa stary kutwa, słyszeliście?

— Cuda, cuda!...

— Starsza córka skwaśniała im na ocet siedmiu złodziei, więc teraz z młodszą umyślili spróbować z innej beczki.

— Sarnie combry jadą! — Widziałeś sąsiad... Jak mi Bóg miły — sarnina!

— Combry, ale baranie.

— Mnie aby waszmość powiesz! Ja węchem poznam cuch sarni, kiedy się jeszcze na brytfannie smaży, a dopieroż na półmisku...

Gdzie indziej mówiono jeszcze ciszej:

— Tańce w kuchni, a przyjęcie w bokówkach.

— Piastowskim obyczajem...

— Pastuchy od prosiąt w lejebikach z galonami.

Rafał płonął ze wstydu, gdy niepostrzeżony słuchał słów takich. Najbardziej go zabolął szydery śmiech pięknej pani.

Skoro tylko mógł się wymknąć, biegł do izby bawialnej. Tam ścigał oczyma błękitną panią. Smutek uciskał mu serce w chwili, kiedy spostrzegł, że tańcząc z kim innym była wesoła i rozbawiona. Kiedy go spostrzegła, oczy jej śmiały się jeszcze bardziej, jakoś promiennie i z radością. Wówczas na jedną sekundę nie rozstawały się ich oczy. Były ciągle zwrócone... Nawet podczas drabantów i anglezów, które usiłowała zainaugurować młodzież wykwińniejsza i bardziej światowa (od strony Zawichosta), panna Helena odwracała głowę w tym kierunku, gdzie był jej kawaler. Gdy w przerwach między jednym tańcem a drugim przechadzała się z towarzyszkami, Rafał przyłączał się do niej na chwilę. Nie mógł, po prostu nie był w możności oderwać oczu od tego widoku, jak usta jej uśmiechają się z dziecinną szczerością, a jednocześnie słowa są napuszone i przymusowy wyraz powagi nadaje twarzy siła woli.

Kiedy tak błędzili między ludźmi, nie wiedząc, co do siebie mówić, ośmielali się każdym spojrzeniem i oczyma mówili sobie rzeczy niewysłowione. Były chwile nadziejskie, że szli obok siebie z utopionymi w źrenicach źrenicami, zaczarowani przez uśmiechy omdlałe ze szczęścia. Zdumienie przenikało ich serca aż do samej głębi i trwoga nieznana a nieprzekraczająca czasu mgnienia powieki. Oczy jej, błękitne jak w dzień letni dalekie lasy, stawały się z nagle ciemnymi i nabierały siły ognia, na obraz płomieni prędko wybuchających. Wtedy przez krótkie chwile iskrzył się w nich jak gdyby gniew, drżały jakieś pragnienia, żal powstały z niczego... Niewiedzące o sobie wzruszenia, gorące, namiętne, dziecięco niewinne i naiwnie lubieżne, przepływały szybko przez twarz i gasły nagle w wybuchach śmiechu niespodzianego, a ostrego jak toczony sztylet. Wszczyniali jakąś rozmowę, nie wiedząc dlaczego półgłosem prowadzoną, o wszystkim i niczym, o niebie i ziemi, o frakach i najładniejszych imionach, o łacinie i głębokim śniegu... Od tej rozkoszy ciągle odrywały Rafała wskazówki ojca, nawoływania matki lub siostr. Dawał tedy

szturchańce i rady sługusom, zapraszał co znaczniejsze osoby do jedzenia i picia, a nawet podawał fajki i własnoręcznie zapalał fidybusy. Kłaniał się, mówił niezliczoną ilość słów grzecznych, ledwo-ledwo rozumiejąc, co mianowicie mówi. Ten stan niepewności języka bardzo potęgowało ciągle przepijanie do młodych sąsiadów. Pierwszy to raz w życiu Rafał pił bezkarnie, i to starego węgryzyna. Gwarzył teraz coraz głośniejsze, śmielej, płynniej, kwiecieśniej. Biegał między tłumem i coraz jawniej szukał oczyma panny Helenki.

Tak minęła noc.

Nad ranem, po dłuższym odpoczynku, muzyka znowu zagrała. Młody gospodarz wychylił jeszcze kilka kieliszków wina w ręce jednego z sąsiadów, równie jak on dorastającego — i z nagłą uczuł taką miłość do tego młodziana, że razem z nim udał się do sąsiedniego pokoju i zaczął mu ze łzami wyjawiać najsekretniejsze swoje tajemnice. W trakcie tych zwierzeń spostrzegł, że przez sionkę przyległą przesunęła się jakaś osoba niby obłoczek niebieski. Co tchu pobiegł za nią pragnąc jej służyć, w razie gdyby czegokolwiek potrzebowała. Rozdzielił tłum szlachty, głośno, z plastycznymi ruchami rozmawiającej, i szybko wszedł do zacisza przeznaczanego na gotownię damską. Było tam pusto. Woskowe świece słabo paliły się przed starym, szerniałym zwierciadłem. W kącie tego pokoju panna Helenka kłęczała na ziemi i wyrównywała, jak mogła, oberwaną w tańcu plisę swej sukienki. Rafał zobaczył ją raptem. Ujrzał jakby pierwszy raz w życiu kolor jej lic, niedający się z niczym na świecie porównać, wybuch pąsowego ognia policzków spływającego w delikatny śnieżnobiały mat czoła. Zobaczył jasne, puszyste włosy... Spostrzegłszy go wyprostowała się i wlepiła weń przestraszone, upajające oczy, oczy o żalonym błękitcie kwiatu lobelii.

Coś wyrzekł, wyszeptał...

Zbliżył się do niej bezradnie stojącej. Posunęła się, żeby wyjść stamtąd. Wtedy bezwiednym ruchem ujął jej ręce, nachylił usta i dotknął wargami jasnych włosów. Przez chwilę trwał ten piekący, namiętny pocałunek. Cichy okrzyk wyrwał się z jej piersi. Odsunęła go w zdumieniu i wyszła. Rafał stał plecami o ścianę oparty tak, jak go zostawiła. W głowie jego, w piersiach, w uszach, w sercu zlewały się oddalone, rzewne, namiętne dźwięki mazura i jeden szczególnie, najwyższy, najrozkoszniejszy spazm skrzypiec. Szalonym szczęściem napełniało go drganie całego domu od tańca i zgiełkliwy gwar przechodzący w bezładną wrzawę. W czaszkę waliły młoty krwi, a w oczach płomienie świec migotały jak sama wcielona, widoma rozkosz miotająca się w sercu.

Zaśmiał się na cały głos i twardym krokiem wyszedł stamtąd. Zdawało mu się, że już teraz z radości nie wytrzyma. To już koniec. Rozwali pięściami, nogą rozkopie i na drzazgi rozsypie ten cały dom, wyzwie tu wszystkich i zeklnie. Będzie się z każdym bił na śmierć, kto by śmiał... Tak postanowiwszy padł w ramiona pierwszego z brzoza brzuchatego szlachcica, który go z miejsca, a bez żadnej racji, zaczął dusić w uścisku i kłuć po twarzy ogoloną brodą. Rafał wypił z nim braterski, na wieczne czasy, kielich i płacząc ze szczęścia rzewnymi łzami szedł dalej.

W sąsiedniej izbie ujrzał rodzonego swego ojca złączonego dziwnym uściskiem z księdzem dziekanem, który się na ten kulig przypadkowo zaplątał. Gruby dziekan trzymał starego cześnika za ramiona, a cześnik dziekana za żebra, i obadwaj rzadko kiedy jednocześnie, ale z wielkim usiłowaniem zachowania taktu mazura, skakali pod powałę na jednym miejscu, w ciasnym kąciku między stołem i szafą, piejąc zupełnie cudzymi głosami:

— Hej, dziś dziś! Hej, dziś dziś!

Nikt na nich uwagi nie zwracał. Przy stole siedzieli kilkunastu biboszków, którym już z czupryn tego się kurzyło. Porozpinali kontusze i siedzieli w żupanach z kitaju, sagatysu, kamlotu. Niektórzy coś krzyczeli ochrypłymi głosami. Jeden podnosił co chwila cybuch, gruby jak maczuga, grożąc nie wiadomo komu. Naprzeciwko niego stał szlachcic, chudy, mizerny, zawziędły i wołał:

— A, mówię, tak! To tak, mówię! Czekajże, rybeńko... Od razu rym go w pysk, rym z drugiej i to *arte*. Dopiero wtedy rura mu zmiękla... Do nóg mi. „Wielmożny panie, powiada, wszystko jak przy świętym konfesjonale...”

Ktoś spał na rękę, całym ciałem rzuciwszy się na stół. Okna były otwarte, i jasne światło księżycza dogasało już przy słabym blasku daleko wstającego słońca.

Z izby, gdzie tańczono, dolatywał śpiew krakowiaka, tak rześki, szczęśliwy i radosny, że aż same nogi drgały:

W Krakowie na sali
Niemcy tańcowali...
Polak wąsem ruszył —
Wszyscy uciekali.

Naokół przyklaskiwano, przytupywano. Z kąta ozwał się jakiś zapity, ochryply głos:

— Aby to jedno prawda... Ogromnie te Niemcy pouciekali, i to z Krakowa.

Ale go zaraz skarcił i zagłuszył okrzyk powszechny:

— A tobyś wać siedział i ciągnął likwor, skoro go masz przed nosem. Oto filozof...

Rafał poszedł do sali tanecznej, oparł się tam plecami o ścianę i rozpalonym okiem śledził każdy ruch panny Heleny. W pewnej chwili ujrzał, że tłum mężczyzn stojących przed nim rozsunał się i że jedna z panien tańczących wybrała go w mazurze. Podał jej rękę i przebiegł salę niezupełnie właściwymi skokami. Po chwili uczył w swej ręce dłoń pany Helenki. Oprzytomniał. Krew zbiegła mu do serca. Głos zupełnie obcy, jakby duch jakiś postronny, szatan czy anioł, przemówił przez jego usta tak cicho, że tylko ona mogła posłyszeć te straszliwe wyrazy, które mu pierś rozdzierały:

— Przyjadę do Dersławic!... W nocy. Na koniu. Czekaj mię przy oknie od ogrodu. W tym narożnym. Od ogrodu!... Zastukam trzy razy w szybę, w to miejsce, gdzie w okiennicy jest wykrajane serce. Przy oknie czekaj... Słyszysz?

Panna Helenka spojrzała na niego, na dzikie oczy zmacone do dna, na żyły jak strąki, czerwoną twarz, wzburzone włosy, i parsknęła śmiechem tak niesłychanie szczerym, że wszyscy obejrżeli się i nie wiedząc, o co chodzi, wtórowali temu głosowi.

Słyszac dokoła śmiech powszechny, Rafał ruszył przed siebie z głową schyloną, jakby miał zamiar uderzyć nią w tłum cały niby taranem. Nie wiedział tylko, gdzie mu się ten tłum sprzed oczu podziewa. Nogi się pod nim gięły, jakby w nich nie miał kości. Usłyszał wtedy nad uchem dobrotliwy szept matki:

— Rafciu, Rafciu, chodź ze mną, błagam cię na wszystko. Ojciec zobaczy.

Dźwięk wyrazu „ojciec” dźwignął go z omdlenia.

— Przyjadę na koniu... Słyszysz? Zastukam trzy razy... w serce... — szepnął matce do ucha tym samym demonicznym głosem.

— Przyjedziesz, przyjedziesz, tylko chodź co tchu bo ojciec...

Rafał posunął się naprzód, ale w niewłaściwym kierunku i tak lekkomyślnie obwisłymi ruchy, że matka zmuszona była wesprzeć go siłą i wyciągnąć prawie z domu. Gdy go owiało mroźne powietrze zimowego świtu, zupełnie stracił siłę w nogach. Opadł na ziemię jak płaszcz. Kilku parobków odniosło go do tak zwanego belwederu i tam złożyło na posłaniu. Belweder — był to dawny dwór, gniazdo prapradziadowskie z modrzewiowego drzewa. Stał w głębi ogrodu. Ze starości zapadł się w ziemię, ściany jego zgięły się; dach prawie gruntu dotykał, a dzikie krzewy, zasłaniające okna, do połowy wielkiego dachu wystrzelały. Były tu pokoje gościnne, spiżarnie i składy gospodarcze. W największej izbie stało kilka posłanych łózek, a na ziemi przez całą szerokość leżało pokotem na słomie rozciągnięte posłanie dla gości. Już tam kilku braci szlachty co słabszych w głowie chrapało dobranym chórem. Piec był dobrze napalony, a stary dwór, co jeszcze króla Jana pamiętał, trzymał ciepło; toteż spało się tam nie najgorzej. Rafał własnoręcznie przez matkę rozebrany aż do bielizny, przykryty dobrze, usnął jak kłoda.

O jakiejś godzinie dnia zbudził się i usiadł na posłaniu. Dokoła na ziemi i na łózkach chrapali sąsiedzi. Rafał nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Głowa mu z bólu pękała, w oczach się ćmiło. Spozstrzegł śpiących, ale nikogo nie mógł poznać. Drżał na myśl, że jest sam jeden w jakimś miejscu wiecznego potępienia. Widział głowy, rozrzucone ręce i nogi, poroztwierane usta, wreszcie blask świecy płonącej w rogu izby na stole... Wlepił oczy w to miejsce i po długim badaniu z ulgą i pociechą dojrzał żywego człowieka. Poznał go nawet. Był to Wicusz Jawrysz, syn ubogiego szlachetki spod Wiśniowej, drab wielkiego wzrostu, siły i bardzo dzikiego charakteru. Ten Wicusz, z czupryną zwisłą na czoło, siedział na słomie i jadł, a właściwie pożerał mazurki, kruche ciasta i strucle przekładane, które kolejno wydobywał spod poduszki. Skoro wyciągał stamtąd niepośledni mazurek,

łamał go na dwie części i każdą z nich unicestwiał kilku ciosami ogromnej zuchwy. Rafał długo i z osłupieniem wpatrywał się w tę jego czynność.

Widział, jak Wicus Jawrysz wchłonawszy wszystko, co miał pod ręką, udał się na palcach do sąsiedniej spiżarni, której drzwi zostawiono otworem, i przyniósł stamtąd nowe naręczce mazurków i strucel, jak to wszystko umieścił pod poduszką, siadł w kucki i ze zdwojoną energią zabrał się do dzieła. Rafał widział to wszystko, domyślił się wreszcie, gdzie jest, ale nie mógł przyjść do siebie. Wspomnił sobie coś rozkosznego, ale nie był w stanie zrozumieć, co ma czynić. W rozterce takiej runął na wznak i nim głowa jego dopadła poduszki, zachrapał na amen.

Świeca dopaliła się i zgasła.

Nikły promień światła wpadł przez otwór w kształcie serca przymkniętej okiennicy. Z dala, ze dworu, dochodziły tony muzyki grającej od ucha. Skrzypce zanosiły się, basy niestrudzenie wtórowały, a klarnet rzewliwie przyśpiewywał.

Rafał ocknął się znowu. Siadł na posłaniu i natychmiast przypomniał sobie pannę Helenkę. Wszystko w nim zagrało, jak ta rozkoszna, z dala dochodząca muzyka...

Co tchu zaczął się ubierać, co sił! co sił! Namacał w ciemności buty i wzuł je co prędzej, wyszukał po omacku jedną z najbardziej niezbędnych części ubrania i zaczął wciągać na nogi. Nie mógł wyjść z podziwienia, czemu czynność tak prosta tyle mu czasu zabiera. Był wściekły, bo mu się śpieszyło, toteż wciągał na się nieodzowną szatę z całej siły, bez względu na to, że złowrogo trzeszczała. Długo w ten sposób pracował nie mogąc sobie dać rady. Długo szukał wszystkiego, co było konieczne, aby móc stanąć przystojnie wobec panny Helenki. Był pewny, że znalazł już wszystko, gdy znowu ogarniać go zaczęła bezwładność i po wtóre usnął jak kamień.

Około południa nazajutrz znaleziono go śpiącego na ziemi, o kilka kroków od posłania, z lewą nogą wbitą w rękaw modnego fraka, który powyrywał wprawdzie i rozdarł, ale zdołał wciągnąć na łydkę aż do kolana.

Taki dziwny był los jednego z najpiękniejszych fraczków, jednego z pierwszych w Zachodniej Galicji granatowych fraczków sąsiada Targowskiego spod Zawichosta.

Poetica

Rafał siedział na krześle ze skurczonymi nogami, palce wbił we włosy i na podobieństwo melameda wykrzykiwał:

— *Tetrameter dactylicus catalecticus in bisyllabam, seu versus Alcmanius...*

A później odmiennym głosem:

— *Ibimus, o socii comitesque...*

Znowu cienko, a z góry:

— *Trimeter dactylicus catalecticus in syllabam, seu versus Archilochius minor...*

A potem:

— *Iteritura simul...*

Na chwilę przerywał, z chytrą spoglądał na kolegę i kuzynka Krzysztofa Cedrę, uśmiechał się w sposób błazeński i czterokrotnie za wysokim głosem deklamował:

— *Dimeter trochaicus catalecticus in syllabam, seu versus Euripidaeus...*

Kuzynek Krzyś skandował, śpiewając jak kleryk:

— *Truditur dies die...*

— *Dimeter trochaicus acatalecticus cum anacrusi, vel versus Alcaicus enneasyllabus...*

Cedro wyciągał:

— *Fastigit umbrosamque ripam...*

Za chwilę dla rozrywki zmieniali porządek. Kuzynek i zaczynał miłym, melodyjnym głosem, z prawdziwie dowcipnymi minami:

— *Versus simpliciter dactylicus vel Aristophaneius...*

A Rafał odpowiadał:

— *Lydia, dic per omnes...*

— Lydia, Lydia, Lydia... — szeptał Krzyś przymykając oczy.

— Idź do wszystkich Arystofanesów!

— „O Lydio, czemuż, powiedz, chcesz przez miłostki zgubić tego oto Sybarysa? Czemuż do Marsowego Pola wstręt powziął, tak cierpliwy niegdyś na kurzawę i upał słoneczny...”.

— Idź, mówię, bo śmiercią zginiess!

— Przeczytaj sobie, Sybarysie, z uwagą i namaszczeniem dziełko starego adwokata Marka Tulliusza Cyserona *De consolatione*.

— Skończysz dzisiaj?! *Versus Archilochius maior tetrameter dactylicus...*

Z głębokim smutkiem, wzdychając, jakby wypowiadał egzortę, wbrew radosnym dźwiękom wiosnianej piosenki Horacego, Rafał ogłaszał:

— *Nunc decet aut viridi nitidum caput impedire myrto...*

A niby dalszy ciąg, z najposepniejszą w świecie miną, grobowym głosem skandował:

Nie będę się żenił, nie będę się śpieszył...

Będę się umizgał i dziewczęta cieszył...

— Powinieneś zrozumieć tą właśnie głową „wonnościami zlaną”, że innej rady nie ma. Musisz się zgodzić na tak niewinny i słodki pewnik lysego kpiarza: *ut homines mortem vel optare incipient, vel certe timere desistant*. Przecie to takie proste i do wykonania łatwe...

— Ja dzisiaj zobaczę, czy boisz się śmierci, czy nie.

— Rafałku, nie boję się.

— *Macte!*

— Powiedz mi; długie włosy, jasne, jasne, jasne... *Lydia dic, per omnes te deos oro, cur properes amando perdere...*

Rafał podpierał brodę pięściami, nieruchome oczy wlepił w szyby okna. Daleko, daleko widział. Olbrzymia, szeroko rozlana woda Wisły gubiła się we mgłach i deszczu. Zatopione w nich wierzyby błędnie szarzały. Błonia obrosłe wikliną, daleka przestrzeń tamtego, prawego brzegu z jego miasteczkami, smugami wsi i skrzydłami lasów ukazywały się niekiedy jak odbicia chmur. Daremnie oczy szukały domów Nadbrzezia, Trześni i kępiastych, a jak lasy rozrosłych parków Dzikowa. Z tego widoku wynurzał się szczególnie rodzaj niepokoju. Jak ciemna chmura deszczowa bez wyraźnych granic płynie przez niebo, tak płynęła wskroś ciała nieokreślona żądza zjawisk, stanów i rzeczy tajemnych, wielkich, rozkosznych. Płynęła cicho, milczkiem, z wolna. Była niby nudą i z nagłą stawała się natarczywością, uderzającą jakby przeraźliwy szczęk żelaza o żelazo.

Przeszła, przepłynęła...

Szlakiem wyżłobionym przezeń ciągnęły się wdzięczne dumania, długie, bezdenne, marzycielskie wspomnianie spraw, których nie było wcale i nigdy, cudna tęsknota pełna łez i wołań, żeby przyszła istność szczęścia ukryta za mgłami. Przędła się w głowie wątła myśl i nikła w sennych obrazach: Noc księżycowa, pełna białej jasności... Nad łąkami wiszą płasko rozciągnięte opary. Wpada w taki tuman mgły co sił w kłaczy, z lekka tylko trzymając się strzemion końcami butów. Cudnie pachną skoszone potrawy, zwilgłe, zimne siana jesienne. Od Wisły tchnie wiklowy chłód. Zda się, że to miejsce, przez które jedzie sam w nocy, to jakieś inne, obce nieznanne. Jakież to straszne miejsce! Rosa i pajęczyny bielą się w miesięcznym świetle. Cisza w głębokich wąwozach... Coś nimi, ziemią idzie za człowiekiem, coś leci śladem cwałującego konia. Snuje się jako pajęczyna, a gdy stanąć i słuchać, bez wydania głosu zamiera. Gdy spojrzeć poza siebie — nic, tylko srebrzysta rosa śpi pod zasłoną nocnych tumanów...

Deszcz to mętными, płynnymi falami zanosił widnokrąg do szczętu, to się uciszał i znikał. W takich minutach ukazywały się bure wody pędzącej rzeki, a zimna kra trupio wśród nich szarzała.

Gdy się na pewien przeciąg czasu rozjaśniło, Rafał głośniejsze zaczął wykrzykiwać wiersze Horacego, zbliżył się cicho do szyb i długo, z wyteżoną uwagą w dal patrzył. Z nagłą radosnym, aż sennym z rozkoszy głosem wyszeptał do towarzysza:

— Ten chudy rybak, Bobrzyk, przybija do brzegu! *Nunc decet aut viridi nitidum caput...* Boże, ten dopiero wiosłuje. Czy ty widzisz? czy widzisz? To majster!

— Właśnie że nic nie widzę... — z rozpaczą szeptał Krzyś wbijając na próżno krótkowzroczne oczy w zamazane szyby.

— Wiosła się pod nim wyginają jak pióra. Ach, Boże... Ten płynie! Krzyś, bądź gotów...

W sąsiednim pokoju dała się słyszeć głośniejsza rozmowa i przyjaciele zaczęli znowu powtarzać swe *pensa*.

Krzyś posmutniał. Dolna warga jego ślicznych ust odeła się i blade, ciche oczy smutek owiał.

Był to daleki kuzyn Rafała, jedyny syn bardzo zamożnego szlachcica z nad Wisłoki. Obadwaj z Rafałem mieszkali na stacji u profesora Zawadzkiego, w dworku stojącym pośród ogrodów, niedaleko od ruin kościoła świętego Piotra. Cedro był szczupły, mizerny i nie bardzo silny. Uczył się doskonale, aczkolwiek nie zawsze z równą wytrwałością. Uwielbiał Rafała za jego siłę, męstwo i bardzo często odrabiał za niego różne prace szkolne.

Ustalił się być niepisany zwyczaj, że gdy wieczór zapadał, obadwaj pensjonarze wychodzili na przechadzkę do ogrodu zbiegającego ku Wiśle po zboczu góry. Tam o zmierzchu gonili się, ciskali pigułami w siebie nawzajem ile się dało, w przechodzących izraelitów, a nawet, ze smutkiem wyznać to trzeba, w przechodzących katolików. Szczególną nienawiść w nich, studentach austriackiego gimnazjum, budzili wychowawcy tak zwanego *szttyftu*, czyli szkoły żołnierskiej, która mieściła się w tymże gmachu pojezuickim. Skoro tylko za murem ogrodu ukazał się malec ze *szttyftu*, dostawał niezliczoną liczbę piguł, wymoczonych *ad hoc* w wodzie i zamrożonych umiejętnie.

Tego dnia znalazłszy się w sadzie profesorskim obadwaj zbiegli szybko wąwozem aż na samo dno doliny wiślanej. Szerzył się już mrok zimny i prędki, spływając z chmur. Sam był jak chmura.

Rafał obejrzał miejsce i przyległości. Nigdzie nie było żywej duszy. Dał znak Krzysiovi. Przesadzili parkan ogrodu. Stali o kilkadziesiąt kroków od brzegu rzeki. Z burych fal szło zimno i przejmujące seplenienie kry, która się w nich gęsto kołysała. Młodzieńcy chyłkiem szli w kierunku Żłotej i widnego z dala Samborca. Co tchu przekroczyli Jagiellońską drogę i, brnąc w błocie, stanęli nad wodą. Zmierzch już nadciągnął i olbrzymimi fałdami osiadał ziemię.

W dole rzeki był zator lodowy.

Ktoś o nim wspominał przy obiedzie jako o rzeczy okropnej. Szli tedy obejrzeć własnymi oczyma, czy tak jest, jak mówiono.

Rafał znalazł łódź, którą był widział przybijającą do brzegu. Jeszcze raz rzucił okiem...

Sandomierz piętrzył się wyniośle. Błyskały już światła na przedmieściu zwanym Rybitwy i w górze.

Odwiązał łódź, wyszukał w wikłach wiosła i skoczył pierwszy. Krzyś poszedł za nim i siadł w tyle.

Była to łódź płaska i płytka, zalana wodą. Nie zdążyli pochwycić wiosła, kiedy już prąd wodny porwał ją i wyniósł na rzekę. Rozparli się nogami, zanurzyli wiosła i co tchu w piersiach a mocy w barkach poczęli wygarniać z głębin kłęby wodne. Dziób czółna twardo, z oporem, jakby orał w piachu, zwrócił się w stronę Trześni.

— Raz, dwa! — zakomenderował twórca wyprawy głosem nieswoim, surowym, z głębi piersi.

Złomy lodu płynęły szybko a ciężko, jakoby potrząskane ściany ciosowych kościołów. Z łodzi wydawało się, że w okrąg sunie zniszczony jakiś łąd, niepodobna ziemia, zorana skibami, ruda, szczerwieniła od martwych piachów, od śladów rozpętanych, czarnych nawalnic zimy. Były momenty, że płynęła wprost na łódź tafla olbrzymia jak strop wielkiej sali, ostrymi krajami swymi godziła zdradziecko w burty stateczku. Wówczas Rafał wznosił wiosło i zadawał jej śmiertelne pchnięcie z czoła. Groźna, pływająca szyba posłusznie usuwała się na bok. Inne, słabsze, od jednego trącenia rozpadały się w drobne ułamki jak truchło bezwładne. W ostatnim blasku dnia widzieli w pęknięciach czarnozielone pasy narosłych warstw. Słyszeli dokoła siebie cichy syk lodu. Wybuchaly z żółtych głębin banie i skręty wirów, niby olbrzymie źródlika kipiące z rozwartego dna. Kiedy niekiedy łódź drżała od niespodziewanych uderzeń i trzeszczała złowrogo. Co chwila wiosła wyrzucały z pienistego beltu tafle kry lodowej i ze śliskim szczękiem miały je w górę. Zdarzało się, że jakaś gruba tafla jak skała mknęła na wartkich falach środkowego nurtu. Wtedy szkuta, podważona wiosłami, odskakiwała w bok i szła w ukośnym kierunku.

Światło, zapalone w jakimś oknie na górze miejskiej, ścięgało ich łamiąc się i chwytając na wichrowatej fali ostrą iglicą. W tej szczelinie świetlistej ujrzeli pierwszy raz dziką otchłań, z głuchym furkotem zapamiętałe ciekącą.

Mrok głęboki owiał duszę, ale nie wygnał z nich radości. Czuli rozkosz fizyczną niesłychanego pędu w miękkiej kolebce przepaści. Chwyтали ją wiosłami za gardziel i wykręcali jej stawy.

— Raz, dwa! — krzyczał Rafał ze wściekłością w głosie i namiętnym ukontentowaniem.

Wiosła wyginały się jak od wiatru pręty wikłowe, ale łódź potężnie gniotąc wklęsłe wiry i banie wodne szła na ukos w świerzy wodnej. Migotliwa igła na falach znikła i noc śmiertelna otoczyła czółno. Ramiona słabły. Pot lał się z czół, krew biła w skronie.

Drewniany statek leciał. Nie mogli już zawrócić jego dzioba ani dokąd wola kierować. Z nagłą zatoczył szalenie prędko krąg, garnąc ogonem — świszczącą falę — i zwolnił biegu.

Był gdzieś przed nimi głuchy, przeraźliwy szum. Wszystek ryczał wody grzmiał tam ponuro niby zlatujący wodospad z jakichś niezmiernych stawideł.

— Rafał, gdzie my jesteśmy? — cicho spytał Krzysztof.

— Ty czasem masz pyszne pomysły co do pytań! Skądże ja mogę wiedzieć, gdzie my jesteśmy?

— Co to tak huczy?

— Woda.

— Patrzaj, a to co?

Trwoga wgniotła Rafałowi do gardła drwiące słowo odpowiedzi. Twarzy, piersi, rąk jego dotknęło coś, jakby ciemne, wilgotne szpony olbrzymiej łapy. Obadwaj młodzieńcy zachnęli się w tył i ku obronie dźwignęli z wody wiosła. Krypka wolno poszła naprzód. Wtedy poznali, że są w koronie strzelistego drzewa, które, widać, woda wydarła z ziemi i zwała. Na wystających gałęziach i cienkich, bezlistnych prętach wisiały szmaty i torby zgnilej trawy i siana, które oblepiło zniecka ich twarze i okręcało szyje.

Odepchnęli się wiosłami i łódź wolno, jak komiega ze zbożem, poszła tam, dokąd ją skierowali, z lekka tylko przez gościniec wodny unoszona w jakimś kierunku od poprzedniego różnym. Było tam pełno kry płynącej ospale, strzyży drobnej, kilku warstwami spiętrzonej. Rafał stanął w łodzi, rozstawił nogi, wsparł je na burtach i zaczął łódź huścić. Krzyś rozumiał, że pragnie ją uchronić od oblepienia przez krę, ale truchlał na myśl o tym, gdzie się znajdują.

Płynęli tak długo.

Huk trzaskających wód, które się dokądś waliły z przerażającym łoskotem, zbliżał się ku nim. Szedł na nich z nocy.

Z nagłą uczuli obadwaj, że ich znowu główny wart porywa. Woda darła się w lewo, z szelestem prac kry. Ciekli chwilę wśród lodu, który się szybko dokoła skupiał. Dopiero całym wysiłkiem rąk zdołali go odtrącić wiosłami raz, drugi, trzeci. Łódź znowu cofnęła się na cichsze mielizny, zawalone przez strzyż. Wtedy instynktownie poznawszy główny strumień Wisły, szeregiem gwałtownych wirów pod kędzierzawymi falami lecący, pomykali się co sił w przeciwną stronę. Wiosła ich miesiły krę, rozgarniały ją, z łoskotem tłukły się w niej, aż wreszcie tył łodzi twardo uderzył w coś nieruchomego.

— Czy to brzeg? — zapytał Krzysztof.

Rafał zmacał to miejsce wiosłem i znalazł, że to jest jednolity lód, zachowany przy brzegu. Mieli przed sobą otchłań głównego toru, dokoła stłuczoną krę.

Ręce ich ustały, byli przemokli do suchej nitki. Zziębli. Rozwarte szeroko oczy wlepiali w tę noc bez gruntu, ale nic dostrzec nie mogli.

— Stań w łodzi — rozkazał Rafał — a ja wyjdę na ten lód i zobaczę, czy brzeg daleko. Tu właśnie musi być zator. Bylibyśmy w takim razie u celu.

Krzyś z posłuszeństwem wykonał rozkaz. Uczuł, jak łódź gębnęła się, gdy Rafał z niej wyszedł, usłyszał szklisty szelest jego pierwszego kroku i pewny siebie głos:

— Chodź, lód twardy. Wyciągniemy barkę na brzeg. Ja już nie mogę robić wiosłami.

Krzyś stanął na lodzie.

Naokół słychać było chrzęst strzyży, chlustanie i szelest odbitych fal. Deszcz pluskał bez ustanku.

— Wyciągniemy łódź na brzeg i zostawimy ją tutaj — rzekł Olbromski — a sami pójdziemy piechotą. To jest lewy brzeg.

— Łódź nie jest nasza! — zawołał Krzysztof stanowczo. — Musimy ją odstawić na miejsce.

— A to ją odstaw. Z największą pochwałą akceptuję projekt.

— Moglibyśmy ją dociągnąć idąc po brzegu...

— Możesz i to zrobić. Ja nie będę ciągnął.

— Cóż tu począć?...

— A to też to! Tu ją zostawimy. Powie się jutro rano przed lekcjami Bobrzykowi, da mu się na piwo.

— Ja mu zapłacę! Masz słuszność. Ja mu dam tyle, że będzie nawet zadowolony z tej afery.

— Właśnie, ty mu dasz. I ja tak myślałem.

— No, to ją tylko wyciągnijmy na brzeg...

— Zaraz. Muszę nasamprzód zobaczyć, gdzie to jest ten brzeg.

Odszedł brodząc po wodzie, która cienką warstwą stała na tym lodowisku, zmurszałym i przemokłym od długich deszczów. Gdy wrócił z wiadomością, że do brzegu będzie kilkadziesiąt kroków, ujęli obaj za łańcuch przykuty do dzioba barki i zaczęli ją z całej mocy na lód windować. Poszło to z trudem, ale ostatecznie dało się wykonać. Czółno wsunęło się na pomost lodowy dość szybko.

Znienacka Rafał zauważył, że jego nogi wolno zanurzają się w wodzie. Przerazenie włosy mu zjeżyło na głowie, bo uczył, że cała ta olbrzymia kra ugina się pod nim i idzie na dno.

— Krzyś, uciekajmy! — wrzasnął na towarzysza i chciał go chwycić rękoma, ale dłonie jego objęły próżną ciemność.

Wzdęty bałwan wodny pchnął go w piersi i dokądś odtrącił. Cedro krzyknął nagle, a potem kilkakrotnie zabelkotał w wodzie. Rafał wplaw rzucił się w to miejsce, na oślep, i złapał rękoma włosy i ramiona. Wywłócił go z fali i pchnął przed siebie jak drewno.

Ochynał się cały z głową. Poczul, jak tafle, złomy, okrucy lodu obsiadają go ze wszech stron, z dołu, z boków, z góry, jak przystawiają do gardła ostrza swych krajów i garną się w usta. Płynąc w tym gęstym roztopie, uderzył ramieniem o łódź. Trzymając się jej burtu lewą ręką, dowlócił Krzysia do calizny lodowej i wywalił go na nią. Później sam się tam wczołgał i, leżąc na brzuchu, sunął po płaszczyźnie, która się ugiwała i zanurzała w wodzie. Cedro ocknął się z jękiem i zaczął gramolić... Widzieli, że giną bez ratunku, bo znowu szli na dno razem z ułamaną taflą, gdy Rafał chwycił rękoma pręty wikłowe i rokity na brzegu. Wówczas dopiero pomyślał o ocaleniu. Wywłócił Krzysia z topieli na brzeg. Odetchnął. Pot lał się z niego. Grube zimowe ubrania nasiąkły wodą do ostatniej nitki, nogi w butach głośno chlupały.

— Cedro, zimno ci? — rzekł szeptem.

— Zimno.

— Musimy lecieć, bo zginemy. Uciekajmy!

Rzucili się w zarośla wikłowe i poczęli wyżej kolan grzęznąć w rozkisłych bagnach nadbrzeżnych. Pręty smagały ich po twarzach, pniaki jakieś raniły nogi, ostre kije z kolkami rozdzierały ręce, ale po długiej męczarni uczyli, że niski ląd staje się coraz twardszy. Wreszcie wybrnęli i znaleźli się na pochyłych zagonach.

Rafał usłyszał, jak zęby Krzysia szcękają. Dotknął go ręką i uczył, że drży. Sam także ledwie mógł stłamsić przerażający dreszcz w sobie. Woda sączyła się z każdego ich włosa.

Wtedy ogarnęła go śmiertelna rozpacz. Nie wiedział już, w którą stronę iść: stracił wszelki zmysł i rozumienie kierunku. Nastawił uszu, ale słyszał tylko wściekły, przerażający szum wody, szum — śmierć.

— Ty się nie orientujesz, gdzie Sandomierz? — mówił do towarzysza.

— Nie.

— Możesz iść sam?

— Nie...

— Krzyś!

— Idź sobie. Ja tu zostanę.

— Krzyś!

— Zimno mi, zimno, zimno... — zaskomlał jak małe dziecko.

Usiadł na ziemi.

Kostniejącymi rękoma Rafał chwycił go wpół i zaczął wlec dokądś, przed siebie. Ale uszedł tak zaledwie kilkanaście kroków. Potknął się i runął w rozmiękły zagon. Przez chwilę leżał bez sił, z twarzą w brudzie pełnej roztajalego lodu, zimno i martwo myśląc, że już nic nie poradzi. Dreszcze wyrwały się spod jego woli, łamały go i trzęsły. W głowie zatlił się krwawy płomień.

Ruchem niezawistym od świadomości, myśli i woli, głuchym aktem bezdennej rozpaczycy zaczął zdzierać z siebie mokry, obmarzły kubrak, który go tym strasznym zimnem przejmował — i raptem zaczął to czynić co sił, co tchu, co mocy w palcach. Zdarł ze siebie koszulę, spodnie i zaczął mocować się z rozmiękłymi butami. Rzemień przywarł do nóg. Zdało się, że cholewy są skórą ciała. Ciągnęły się jak guma. Po dłużej męczarni zwłókl wszystko z siebie i został nago. Wtedy to samo zaczął robić z Cedrą. Poszarpał na nim ubranie w pasy i odarł go ze wszystkiego. Tamten leżał bez sił w miękkim zagonie, dygocząc całym ciałem, gdy zzuwał z niego buty. Kiedy Krzys był już zupełnie nagi, Rafał zaczął go prać pięściami, szarpać za ramiona, bić z całej mocy po nogach i zmusił do walki ze sobą. Okładali się pięściami na dobre, gdy Rafał wrzasnął, że muszą lecieć co tchu, bo inaczej zginą obadwaj. Znalazł w ciemności rękę Cedry i jął go ciągnąć. Z początku tamten włókł się padając co krok, szedł ociężale, później coraz prędzej, aż wreszcie pobiegł. Lecieli jak obłąkani przez niewiadome pola, przelazili przez płoty, mijali wąwozy, zarośla, krzaki, doły. Było im coraz cieplej i z każdym krokiem przybywało sił. Jelenimi susami sadzili przez rowy, nie bacząc na to, gdzie noga stanie. Biegnąc tak obok siebie na wyścigi, trafili na grunt twardszy, wznoszący się ku górze, i poznali, że są na Sandomierskim Płaskowyżu. Rafał zaśmiał się z cicha.

Już teraz nie lękał się topieli. Było mu dobrze rwać tak co pary w piersiach, nurzać się w śmiertelną otmę nocną, grzać się jak ogier w biegu.

W pewnym miejscu, lecąc bez przerwy w nieznanym kierunku, z nagła usłyszeli poza sobą daleki, daleki dźwięk. Był to głos zegara na wieży kolegiackiej. Skoczyli w tę stronę i wnet nozdrzami poczuli dymy. Sandomierz!

Zbliżali się do niego od Opatowa. Gdy przybiegli do ogrodów miejskich, szli po zapłociu ich aż do swego, w skok wdarli się na górę i stanęli przed drzwiami domostwa, które było ich czasową siedzibą. Teraz nareszcie groza położenia zajrzała im w oczy...

Rafał dumiał przez chwilę i z lekka popróbowował drzwi wiodących do sieni. Ku jego wielkiemu zdumieniu — ustąpiły. Weszli cicho jak upiory i sunęli się obok ścian po dobrze znajomych dylach. Z sieni wchodziło się do stancji profesora. Trzeba ją było minąć chcąc dostać się do ich studenckiego pokoiku.

Otwarli drzwi, uczyli ciepły dech zimowego mieszkania i niby widma szli przez tę stancję. Słychać było tylko bicie ich serc... Wtem Krzys runął razem z krzesłem, na które wlał w ciemności. W mgnieniu oka dom się poruszył. Zablęśły światła. W sąsiedniej izbie ktoś skrzeszał ognia, zapalił świece i, nim zdolali dopaść drzwi, zastąpił im drogę. Był to profesor, ich mentor i chlebodawca. Stał przed nimi w bieliźnie, wysoko wznosząc świeczkę łojową. Gdy ujrzał dwie postacie nagie, jak je Bóg stworzył, unurzane w ciemnym bagnie, otwarł usta i długo im się przypatrywał. Powieki jego drgały, a szlafmyca trzęsła się jak w febrze. Winowajcy stali przed nim, zachowując cyniczne milczenie, i brutalnie przypatrywali się jego chudym łydkom. Wreszcie słowo skrzydlate wyfrunęło z jego łacińskiej gardzieli:

— Olbromski!... to ty, ptaszku! Twoja to jest nowa sprawka...

— Panie profesorze! — zawołał Cedro wyciągając ku niemu zabłoconą prawicę — przysięgam, że to ja jestem winien.

— Czemu jesteś winien, kochanku?

— Ja sam tylko! Winien jestem! Ja to go namówiłem, Rafała, ja wymyśliłem...

— Cicho! Będziesz mi tu się stroił w bohatera, mnie niewinnia!... Mnie!... — rzekł Rafał z pogardą, która kierowała się właściwie nie do towarzysza niedoli.

— Olbromski! — wykrzusił belfer trzęsąc się z zimna i wściekłości — odpowiesz ty mi za to w dniu jutrzejszym. Wielki Boże! nago łazili po mieście w nocy, zimową porą. Wszystko to się wykryje!

— O, wykryje się niezawodnie! Wszystko na świecie może być wątpliwe, to tylko jest pewne, że ta sprawa się wykryje.

Oczy jego błysnęły złowrogo, i okropna ironia zaświeciła w nich płomieniem.

— Chodź spać! Za mną! — krzyknął rozkazująco jak wódz na Krzysia i majestatycznym krokiem, zostawiając na idealnie wymytej podłodze dokładne odbicia spracowanych stóp, ruszył w stronę łóża.

Z jakąż rozkoszą uczeni obadwaj koldry na grzbietach!

Rafał wtulił głowę w poduszkę i jął rozmyślać o stanie rzeczy. Wiedział, że go nic dobrego nie czeka. Z nauczycielami od dawna dał koty, jako uczeń wcale nie świetny i pierwszy w szkole łobuz, *nota bene*, łobuz pod wąsem. Wiedział, że nazajutrz będzie zmuszony dać dowody bohaterstwa, które zadziwi całą sztabę, *szyft*, wreszcie miasto i długo zostanie w koleżeńskej powieści. W dali ukazywały się Tarniny — i ojciec. Na to wspomnienie przejmował go dreszcz, zimniejszy niż w rzece. Chciał zasnąć. Zamknął oczy... Ale sen uciekł od jego powiek za dziesiątą granicę. Noc wlokła się, trwała bez końca. Rafał słyszał, jak Krzys usnął, jak się rzucał we śnie, mamrotał, budził, znowu zasypiał. Słyszał jego oddech nierówny, prędko, zdyszany, jakby wciąż jeszcze biegli przez czarne pola...

Rozpalona głowa leżała nieruchomo na poduszce i wśród ciszy nocnej zaczęły się w niej budzić, wstawać i do kolosalnych rozmiarów urastać widziadła. Nadchodziły z ciemności zdarzenia tak bliskie, że były niemal rzeczywistością, wysuwały się z mroku osoby prawie dotykalne, brzmiały słowa, potoki krzyku, wybuchy jęków. Jakby światło przez wąską szczelinę do podziemnej pieczary spadał z nagła blask występku dokonanego i oświetlał surowe przepisy, które takich a takich czynów zakazywały. Rafał teraz dopiero spostrzegł, co zrobił. Badał, co też go za to czeka, że wziął cudzą łódź, że pływał w niej nocną porą, że tę łódź zatracił, że o mały włos nie utopił Cedry i że, o straszliwa grozo! nagi wszedł z towarzyszem do izby profesora... Teraz dopiero zaczęło wylaźać zagadkowe znaczenie takich czynów, jak włóczenie się nago po mieście. Gorąco biło nań, gdy sobie wspominał rozmaite wzmianki niegdyś słyszane o podobnych, ledwie podobnych wypadkach, wzmianki szeptem ze zgrozą zawsze mówione. Cóż go za to czeka? Jakaż jest za to kara? Któż wie, może to jest największa ze zbrodni ludzkich? Gdyby ktokolwiek mógł mu powiedzieć, oznaczyć jednym słowem wielkość tego występku! Czy to właściwie jest zbrodnia? Zbrodnia! Wysuwał w ciemność cały mózg i jakoby nowym narzędziem badał nieznaną dziedzinę, oświetlał sobie drogę nowoodkrytą, po której teraz samemu iść wypadnie.

Słyszał nierówny, tchnący żarem oddech Krzysztofa i noga za nogą schodził w głębokości przerażenia: on umrze...

Włócił się myślami po schodach w gimnazjum i na ich szczycie widział prorektora Kubaszewskiego oraz wszystkich Minosów i Radamantysów, a nade wszystko... pedelów. Nowy zimny sylogizm wypływał kroplami lodowatego połu na jego czoło: będą mię bili. Skręcał się w sobie i czuł wściekle, bezgranicznie bolesne, do cna rozszarpujące mość duszy smaganie upokorzenia.

Ale nade wszystko, nad przewidywane męki i bóle, czuł gdzieś daleko spojrzenie ojca. I wtedy truchlał jak zabity trup. Całą siłą woli, rozumowań, pocieszeń odpychał ten widok, zamazywał go, ścierał, używając skłamanych świadomie usprawiedliwień, wysnuwał ze siebie ciche błagania do kogoś, kto go wybawi. I znowu, jak powiew gorączki nie wiadomo skąd wychodzący, snuły się widma, wywody, myśli, przeczucia.

Pomimo jednak cały ten proces upadku, w głębi, za wszystkim, stało coś, czego unikał. Nie chciał tego wyznać przed sobą, bał się wyjawić wobec modlitw, ażeby ich nie spłoszyć, nie rozbić i nie odwrócić, ale wiedział to zatajoną, obłudną pewnością, że tam jest radość z dokonania tego występku, zła duma, głębokie, tęgie, młode szczęście, które drży, kipi, rwie się i głośno a bezbożnie chichoce. Za westchnieniem modlitwy, która się z serca odrywała jak wonny dym, chował się głośny, pękający śmiech siły z tego, że Krzys chory, łódź wędruje do Gdańska, a buty i mokre szmaty leżą na brzegu.

W zmaganiu się uczuć odmiennych i różniących się od siebie tak bardzo, jak światło i mrok, upływała ta noc nieskończona. Widziało się, że już świt blisko. Już wszystko się rozstrzygnie. Tak czy inaczej, ale zaraz...

Zwinięty w kłębek na posłaniu, rozżarzał w sobie odwagę, przewidywał zapytania i kuł odpowiedzi, a nadto w sekrecie przed sofizmatami udręczonej głowy ścisnął pięść i wyprężył mięśnie przedramion.

Bezdenne cisza nocy zimowej pochłaniała wszystkie te uczucia chwiejnie płonące, pełne upadków i wybuchów. Aż oto w jej głębi, jakby w czarnych niebiosach, rozległ się dźwięk zegara na wieży. Uderzył raz, po chwili drugi raz...

Włosy zjeżyły się na głowie Rafała.

— Dopiero druga... — wyszeptał prawie głośno.

Opanował go taki przestrach jak nigdy jeszcze w życiu. Rzuciły się nań wszystkie złe myśli, wszystkie fatalne kombinacje, przewidywania-obłądnicze, i rozpacz chwyciła go za gardziel. Wbił czoło w poduszkę i przypatrywał się swemu nieszczęściu. Onego czasu widział, jak polowy w Tarninach łapał na skoszonej łące jadowitą żmiję. Widział, jak rozwidlonym końcem gałązki brzoźowej przycisnął do ziemi jej szyjkę, jak potem ujął dwoma palcami łebek od tyłu, ścisnieniem otworzył paszczę... Wściekła żmija oplótła się dokoła ręki. Wtedy polowy końcem patyczka zaczął wyciskać jad z pęcherzyków pod jej zębami. Rafał wspominał sobie tę chwilę. Doświadczał w ciele podobnego drżenia, jakby żmija oplatała go całego, jakby zwracała ku niemu rozwartą paszczę i za chwilę ostre zęby utopić miała w jego oczach.

Skulony, zwinęty w kłębek, tak że kolanami dostawał nosa, trzęsąc się w febrze, drzemał i budził się na dźwięk zegara. Każde uderzenie, surowe, obce, ów głos żelazny wychodzący z rzeczy martwej przelatywał puste i ciemne dziedziny jego rozmyślań i spadał na piersi jak cios kamiennej kuli. Nareszcie blade światło ukazało się w mroku powierzchni ścian. Wkrótce wszczął się w domu zwyczajny ruch. Rodzina profesora, jego gadatliwa żona, siostry, a nawet córki zajęły się chorym Krzysiem. Posłano po lekarza. Rafała otaczały zimne spojrzenia tych osób, wyciskając na jego czoło piętno hańby. On sam czuł się winowajcą. Wypił zwyczajny kubek gorącego mleka z takim pośpiechem, że o mało warg sobie nie sparzył, i nim się ozwał dzwon szkolny, z wiązką książek pod pachą ruszył do liceum. Wszedł na schody, które widział był we śnie, i pierwszy zasiadł w pustej sali. Sprzęty jej, które jeszcze wczoraj były wyrazami wesołości, przybrały teraz szaty złowrogię. Wyniosła katedra z drewnianym baldachimem bardziej niż kiedykolwiek tchnęła surową grozą konfesjonu; czarne ławy miały w sobie posępny ciszą płyt grobowych. Wpadł do klasy jeden z kolegów, drugi, trzeci; wkrótce wielka izba pełna była wrzawy, gwaru i śmiechu. Rafał siedział zatopiony w sobie, z oczyma utkwionymi w drzwiach. Jak przez sen widział, że jego towarzysze kują zamach na łacinnika, wlepiając między rzeźbione ornamenty baldachimu katedry dobrze ubitą pigułę śniegową. Nieżywy uśmiech przesunął się po jego duszy na myśl, jak to śnieg, gdy się powietrze ogrzeje, zacznie topnieć i pysznymi kroplami kapać na łysy czerep nudziarza...

Dreszcz wewnętrzny wstrząsał jego ciało, a myśli zamieniły się w błędny dym. Wesołość towarzyszących, ich zapytania pełne swawoli, koncepty i okrzyki zawierały w sobie podwójną, potrójną sumę boleści, spychały go jeszcze bardziej w ciemny dół rozpacz. Chwilami ogarniało go nagle i śmiało postanowienie ucieczki. Jedna tylko sekunda — i w czyn się zamieni. Uciekać! Uciekać... do domu. Ale oto jakiś dźwięk, szmer, słowo zmieniały nastrój w inny aż do rdzenia. Tymczasem zeszli się profesorowie: Szczepański, Zawadzki, Orłowski, ksiądz Kozubski, przybył prorektor Kubaszewski. Toczyli w gabinecie ostatniego jakąś naradę. Oprócz Rafała nikt na to uwagi nie zwrócił, ale on ze ściśniętymi zębami liczył już teraz sekundy.

Z nagłą dostrzegł pana Filipa i głęboko wciągnął w piersi powietrze.

Pan Filip był pedelem szkolnym, zwierzchnikiem bezpośrednim kalafaktora Michałka i stróża szkolnego Jana Kapistrana. Pan Filip był niewielkiego wzrostu, szczupły, żyłasty, na pałkowatych nogach, ale silny jak koń. Długo służył w kawalerii austriackiej, odbywał liczne pochody na nieprzyjaciela, był wielokrotnie ranny i, jak zwykł był mawiać, więcej krwi na rozmaitych polach wylał, niż jej obecnie miał w sobie. Trudno było określić, w jakim jest wieku. Wyglądał na lat trzydzieści kilka, a mógł mieć więcej niż pięćdziesiąt. Była to twarz szara, ciemna, otoczona baczkami. Chodził w jakiejś resztkę obcisłego munduru, w sukiennych kamaszach, które sięgały za kolana, umiał świstać przeciągle, cienko i grubo, posiłkując się dziurami spróchniałych zębów jak otworami klarnetu. Młodzież szkolna drżała na widok tej wiotkiej postaci. Jej duże, czarne oczy, przejmujące do szpiku kości, zapierały oddech w każdym studencie.

Pan Filip umiał sieć różgą w szczególny sposób. Jednych ciał do krwi od pierwszego uderzenia, innych do trzydziestu prawie bez bólu tylko smagał. Wiedziano, że kogo

Przemoc, Szkoła, Uczeń,
Nauczyciel, Kara, Bijatyka,
Ucieczka

nienawidzi, tego rżnie „z wiedeńska”, wolno, ze strasznymi przestankami i piekielnymi ciosy. Wtedy to pogwizdywał swoje aryjki. Wtedy także zdejmował z szyi kolorowy szaliczek, rozpiął mundur, koszulę na piersiach i ostrożnie wyjmował z kieszeni cebulasty zegarek. Śmiał się przy tym i coś do siebie gwarzył z niemiecka czy z polska. Pan Filip wszystko wiedział. Znał życie każdego wychowanka jak własną kieszeń.

W pewnej chwili przeszedł się z wolna obok drzwi *poetyki*. Zajrzał w nie i ze strasznym uśmiechem szukał kogoś oczyma. Znalazł Rafała i z lekka cmoknął.

Potem odszedł, wezwał do siebie kalafaktora Michałka, chłopca dziobatego, z kołtuniastym łbem i plecami jak kariatyda. Ten Michałek stanął obok drzwi prowadzących na schody i obserwował miejscowość oczyma wołu. Pan Filip gwizdał niedbale, stojąc pod ścianą ze skrzyżowanymi rękoma i przymkniętą powieką.

Rafał domyślił się, że on to jest zwierzyną, którą osaczają w ten sposób. Było mu wciąż zimno, ale szczególny lodowaty spokój z wolna się w nim zasiał i rozpierał.

W pewnej chwili wszedł do klasy jeden z nauczycieli i zawołał Rafała do salki prorektora. Gdy tam weszli, oczom skazańca ukazał się areopag nauczycielski, żywo dyskutujący. Prorektor zbliżył się do studenta i, surowo patrząc mu w oczy, zapytał po niemiecku:

— Gdzie byłeś dzisiaj w nocy z Cedrą?

Rafał milczał.

— Jeszcze tylko szczerza skrucza i wyznanie wszystkiego może twoją karę złagodzić. Gdzie byliście obadwaj? Mów zaraz i prędko. To jedno... Czy ty słyszysz, co mówię?

Zamieć kłamstw leciała przez głowę winowajcy i tysiąc myśli, ale żadna nie zamieniła się w słowo.

— Czy ty będziesz odpowiadał? Wiemy wszystko. Gdzie byłeś dziś w nocy?

— Na rzece.

Wszystkie twarze wydłużyły się i oczy rozwarły.

— Na jakiej rzece?

— Na rzece Wiśle.

— Coś tam robił?

— Raki łapałem.

— Oszalałeś! W zimie! W roztop... Drwić tu śmiesz z nas wszystkich, łotrze! Mów, coś tam robił!

— Pływałem łódką.

— Czyją?

Rafał umilkł znowu, wsunął głowę w ramiona, jakby wszystko co miał do powiedzenia wciągnął w siebie i zamykał na klucz.

— Kto kogo do tego namówił: czy ty Cedrę, czy on ciebie?

Rafał milczał.

— Który którego namówił? słyszysz?

— Słyszę.

— No, więc?

— Ja jego.

— Toś go zgubił. Ten chłopak umrze. Odpowiadaj: po co wyszedłeś z domu w nocy i czemu tamtego ciągnąłeś z sobą?

Nagła duma i furia wydzwignęła się z nicości w piersiach Rafała. Coś w nim zakołysało się i runęło.

— Wyszedłem z domu i robiłem to, co mi się podobało! — rzekł głośno, zuchwale, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby.

— Tak ci się podobało... Aha!... — wysepleniał prorektor. — Tak ci się podobało... Czekażcie, bratku, powiesz ty mi zaraz nieco odmiennym tonem.

— Nie powiem wam nic, choćbyście mię porznęli na kawałki!

— Powiesz!... — wybełkotał zwierzchnik.

— Ani jednego wyrazu.

Prorektor w pasji ledwie zdołał namacać dłonią klamkę. Otworzył drzwi i piskliwym głosem rzucił w korytarz wezwanie:

— Filip!

W momencie, kiedy to czynił, Rafał prześliznął się jak wąż za jego plecami i szerokimi krokami odszedł w przeciwny koniec korytarza. Tam zatrzymał się w głębokiej okiennej framudze... Za nim szedł już bez pośpiechu Filip, a o kilka kroków dalej, waląc obcasami juchtowych butów, kołysał się na ogromnych biodrach kalafaktor Michałek. Z każdej sali poglądały na scenę roziskrzone oczy uczniów, ale nauczyciele rozbiegli się po klasach, zamykali drzwi i tylko sam prorektor oraz pedele zostali w korytarzu. Gdy Filip był zaledwie o kilka kroków oddalony, Rafał wydobył z kieszeni długi składany nóż w kościanej oprawie, cenny dar wujaszka Nardzewskiego. Otworzył go sekretnym gestem i skulony czekał cierpliwie.

— Może by lepiej po dobroci... — rzekł cicho Filip uśmiechając się łagodnie. — Wyadministruję miętką trzydziestkę i *fertig*. Słowo honoru: miętkie *dragsig* — i sza.

— No, chodź, aniołku, Filipku. Chodź...

Pedel spostrzegł, widąc, nóż ukryty w rękawie, bo trupia, zielona bladeść twarzy mu okryła. Straszna wściekłość zionęła z oczu.

— Z nożem... — rzekł półgębkiem do prorektora.

Wraz kazał swemu pomocnikowi, żeby zaszedł z drugiej strony.

Rafał chrapliwie mruknął przez zęby:

— Precz ode mnie, chamy, bo z was kiszki powypuszczam!

W tej samej chwili Michałek sapiąc ruszył na niego z wyciągniętymi łapami. Prorektor, obserwujący sprawę z pewnej odległości, ujrzał błysk ostrza i krew, ale niezwłocznie spostrzegł, że nóż wydarty został z rąk Rafała. Michałek jedną ręką cisnął ten nóż daleko od siebie, a drugą, z której, krew rzygała, trzymał obiedwie dłonie studenta. Pan Filip narzucił na te ręce, ściśnięte do kupy jak gdyby klamrą, pętczkę ze swego szalika. Ale oslepiająco porywczym ruchem Rafał wydarł się z objęć kalafaktora, skoczył na bok i w chwili prawdziwie lwiego susa potrafił dodać ramienia i zwiniętą pięścią trzasnąć go tak między oczy, że ten olbrzymi chłop runął na wznak i formalnie nakrył się juchtowymi butami. Rafał skoczył przezeń jak przez kłodę, w biegu huknął w brzuch prorektora i zmiatał korytarzem. Ale nim dopadł drzwi, dopędził go na giętkich nogach zwinny Filip i chwycił w pól.

W tej minucie skrzywdzony prorektor widział tylko skłębione ich ciała na ziemi. Za chwilę ujrzał mały lebek i gardło Filipa w pięściach i pazurach Rafała. Z białych nosów obudwu lała się krew, z ust toczyła się piana, z kurt, kamizelek, koszul dyndały strzępy. W pewnej chwili pedel wydobył się z obłąkanymi oczyma, z sinymi pręgami na szyi, oblany krwią, i znizywszy głowę, na oslep rzucił się do walki. Naciągnął Michałek ze swymi krwawymi rękoma i Jan Kapistran. Mieli już Rafała, gdy ten skokiem znalazł się za oszklonymi drzwiami korytarza. Wszystkie szyby wyleciały z drzwi, piorunowym ruchem zatrzęsniętych. Pościg z Filipkiem na czele rzucił się na te drzwi, nic nie zwracając uwagi na krzyk prorektora, który zboliałym brzuchogłosem nakazywał zawieszenie broni. W mig wysadzono drzwi z zawias. Filip dopadł zbiega w przedsionku, ale zwinny chłopak, rozjuszony jak ranny dzik, zwałił go z nóg jednym ciosem w skroń. Filip odbił się od ściany i, potykając kilkakrotnie, runął twarzą na ziemię. Kiedy wstał chwiejąc się na nogach, z oczyma zasłanymi bielmem, z gębą pełną krwi, obłąkany, zaczął macać rękoma dokoła, bełkotać i szukać Rafała.

Ale tego nie było już ani w przedsionku, ani na schodach, ani na dziedzińcu. Za chwilę nie będzie go już nawet w mieście.

NA POKUCIE

Na cztery wiatry zaocznym werdyktem wypędzony ze szkół sandomierskich, niewesoły wiódł żywot w Tarninach. Stary cześnik widzieć go nie chciał. W ciągu pierwszych dwu tygodni nie dopuszczał do ucałowania ręki, nie spostrzegwał wcale jego obecności i nie mówił do niego ani słowa. Winowajca jadł obiady i wieczerze sam w narożnej izdebce, gdzie też sypiał na sienniku rzuconym w kącie. Z rozkazu starego pana do dnia budził go podstarość Piotr i zabierał ze sobą. Szli po ciemku świecić latarnią w oczy zaspanym parobkom i dziewczkom, wyciągać wszelki żywiol służebny z barłogu, spod kożucha, otwierać stajnie, obory, stodoły. Rafał dozorował, kiedy bydłu zadawano słomę i odmierzano koniom obroki, wydzielał chałupnikom przychodzącym na pańszczyznę oznaczone ilości snopów do młocki itd.

O świcie spotykał się z młodszą siostrą, Zofką, idącą w grubych butach, w krótkiej spódniczce i futrzanej bekieszy pilnować dojenia krów — i zamieniał kilka słów miłszych.

W innych porach dnia i to było wzbronione. Nikt bez wyjątku, nawet matka, nie miał prawa rozmawiać z „zakalą”, z „wrzodem”, z „infamisem” rodu. Garnuszek mleka z kromką sitnego chleba „infamis” spożywał stojąc w swej klecie i zaraz musiał wracać na gumno. Aż do obiadu siedział w stodołach, w zapolu, z nogami grubo kłocią i targaną słomą obłożonymi. Tak pilnował chłopów młócących zboże. Po obiedzie aż do zmierzchu, aż do upragnionej chwili wiania omłotu, odbierania zgonin, pośladu, mierzenia i odnoszenia ziarna do spichlerza, spędzał w ten sam sposób na milczącym, sennym wsłuchiwanii się w łoskot cepów o klepisko. Gdy dokonany został oprzet wieczorny koni, bydła, owiec, wszystko zamknięte i klucze odniesione do kancelarii starego pana, miał rozkaz zjadłszy kolację spać natychmiast.

To samo zresztą czynił dom cały. Od szeregu lat szło wszystko tak mechanicznie patriarchalnym trybem, „jak w zegarku”. Już po upływie tygodnia Rafałek omdlewał z nudów. W czapce nasuniętej na oczy, z dłońmi wbitymi w rękawy lisiurki słuchał chłopskich gadek, baśni, przypowieści, patrzył niby na to, co się dokoła działo, czy nikt z robotników „nie stoi”... Myślni był na innym świecie. Dopiero wrzaskliwy głos ojca, grzmiący gdzieś po gumnie, sprowadzał go znowu na klepisko. Wówczas skazaniec zbierał rozwleczone myśli, układał przytomne i krótkie odpowiedzi na pytania, których mu zresztą cześnik nigdy nie zadawał. Tylko straszne spojrzenie starca spod nasepionych brwi witało go zawsze i żegnało. Jeżeli zaszło coś nie tak jak trzeba, wtedy otrzymywał takich spojrzeń drwiących, mściwych, okrutnych kilka z rzędu, na odchodnym jedno, dwa „moścbrodzieju”, wycedzone w taki sposób, że skóra cierpła jak od razów praojcowskiego kańczuga. Tym porządkiem upływał dzień za dniem.

Przy końcu stycznia, w niedzielę rano, Zofka, ulubienica rodzicielska, weszła do stancji Rafała i rzekła krótko:

— Jegomość tatuńcio kazał, żebyś z nami siadł do kościoła.

Rafał drgnął z radości.

Kiedy czterokonne sanie stanęły przed drewnianym kościółkiem w Sulisławicach, znowu Zofka Rafałowi szepnęła do ucha:

— Nie chodź z nami przed ołtarz. Masz zostać na kościele. Tak jegomość tatuńcio rozkazał.

Krew zakipiała w młodzieńcu. Hańba prawie nie do zniesienia: stać na kościele, między chłopstwem, ramię w ramię z kołtunami, kiedy cała szlachta okoliczna znajdowała swe miejsca w prezbiterium!... Musiał jednak być posłuszny.

Stanął między żółtymi kozuchy za kratą oddzielającą nawę od wielkiego ołtarza, zagryzł wargi i ze wstydu nie podnosił oczu. Czuł, że motloch rozstępuje się raz w raz, czyniąc ulicę dla przejścia nowoprzybyłych, słyszał szelest kroków idących ku ołtarzowi, ale oczu wciąż nie podnosił. Udawał, że się modli żarliwie, choć ani jednej litery książki, którą trzymał w ręku, nie widział. Dopiero przed podniesieniem dźwignął ukradkowo oczy.

Wśród matron i personatów parafialnych bokiem zwrócona siedziała panna Helenka. Oczy jej skierowane były w stronę Rafała, choć nie patrzyły... Oczy błękitne jak dalekie lasy w słoneczny zimowy dzień. Wspaniałe strumienie jasnych włosów wymykały się spod futrzanego toczka, który głowę okrywał. Twarz bledsza, jakby starsza od owej chwili, kiedy ją Rafał widział ostatni raz, była głęboka, piękna, niewymowna... Przyćmił oczy jak gdyby smutek. Ale za nim stały uczucia dziecięcej radości, szczebiotliwego śmiechu, nieśmiałych a wesołych pytań, z cicha rzucanych. Podziw, a może żal odwracał tę twarz, te upajające dziewicze oczy... ku organom.

Rafał zacichł w sobie, wsłuchał się sam w tony organów czy w muzykę ich mrącą jak echo w głębi serca. Kiedy znowu wznosił oczy, spotkał wejrzenie krótkie, pachnące jako dym z przecudnych kadzideł snujący się pod sklepieniem. Ów to dym wonny, czarodziejski, uroczysty oddalacz, zasnuł przestrzeń między ich oczyma. Nim ukończyła się ta święta msza, odbyło się w sercach tajemnicze misterium. Minęły długie dzieje, zaległa w duchu otchłań zdarzeń, od pierwszego zachwycenia, któremu towarzyszyła trwoga, aż do róż wiernego uśmiechu, wykwitających na ustach, aż do błyskawic szczęścia w przelicznych oczach, aż do wyznań zaprzysiężonych i pokornego ślubu.

Ani słowa nie przemówili wtedy do siebie. Zaraz po sumie Rafał odjechał do domu.

Ta niedziela stała się jakby granicą nowego czasu. Od niej inne zaczęło się życie. Budził się i zasypiał wzburzony. Dokonywała się w nim fizyczna i moralna przebudowa. Nie miał apetytu. Istotna choroba ogarnęła całe jego ciało. Była to, rzekłbyś, moralna trawiąca gorączka. Miłość szerzyła się w nim jak zaraza. Kochał się całym ciałem i całą duszą, a każda komórka ciała i każde drgnienie duszy pełne było krzyku. Zdarzały się dni, że zamieniał się w żywioł bezduszny, przykuty do miejsca, i wówczas wszystkie wysiłki woli rozбивały się o jeden promień światła, o jedną smugę błękitnego dymu, który onego dnia wznosił się ze świętych kościelnych kadzielnic.

Były dni, że czas leciał jak jaskółka na skrzydłach, kiedy indziej włókł się jak żebrak na kulach. A w ciągu takich dni Rafał żył poza wszystkim, jakby na zewnątrz dnia, prac, zajęć, nawet myśli, nawet uczuć. Żywiło go czucie niematerialne, płynące z dala na podobieństwo owego jądła, które pustelnikowi kruk nieznanym przynosił. Przymykał powieki i wpatrywał się w oczy rozsiewające iskry, z których każda tworzyła nowy świat. Oto wszystko. Sam nie mógł ani pojąć, ani zrozumieć, ani nazwać pożądań, bólów nieokreślonych, ślepych i ciemnych, palących się namiętności. Jedno tylko odczuwał, że tęskni do wydobycia się — do szaleństwa. Krzyczał na siebie jak na lotra i w tej samej chwili nurzał się w szelmowskiej dumie, kąpał w marzeniach grzesznych, niewiadomych, w snach nad snami. Dla zniszczenia w sobie tajnych zgryzot zamierzał wykraść z apteczki karafkę z gdańską wódką i pić, pić na śmierć. To znowu marzył o śmierci, o zgubie, o zbrodni, o szaleństwie.

Już po jakichś dziesięciu dniach takiego życia wychudł, zżółkł, szerniał i wyglądał obrzydliwie. O nic nie dbał. Spojrzenia ojca najbardziej srogie zaczął lekceważyć. Owszem, pragnął, żeby go bili, żeby go prali, żeby cierpieć aż do obłąkania. Śniły mu się katusze ojcowskie, bity na śmierć... Ani piśnie! A powstawszy z kobierca, zrobi to samo, coś takiego, że zapamiętają... Otwierały się przed jego wzrokiem coraz to nowe powiaty zuchwałstwa. Stracił poczucie granicy między wpojoną wiarą w rzeczy dobre i złe. Znał teraz tylko jedno: pachnący, uroczy, kwiecisty cień. Przychodziły nań chwile, że chciał na rzeczy święte, czczone, drogie dla wszystkich i dla niego samego aż do tych dni, położyć dłonie hańby, właśnie na te sprawy, dzieła, uczucia, słowa najdroższe, najświętsze... Rwać, szarpać... Wlokła go i ciągnęła ku sobie siła, nęciła boleść, zachwycała potworność. Z wewnętrznego musu chciał wydrzeć ze siebie samą naturę ludzką. Brzydził się nią jak starym, zgniłym próchnem i bezgranicznie gardził jej przepisami. Być zdrowym, starać się o łaskę dobrych uczynków, unikać chorób i śmierci — jakież to nędzne i głupie! Przez ściśnięte jego usta buchała teraz lawa wyrazów zelżywych, złych, nikczemnych, jakoby krew zgniła, co się z ciężarem po żyłach przesuwają. Nie umiałby odrzec, skąd znane mu są takie słowa, jaki wiatr przyniósł je do uszu z karczem rybackich, z plugawych siedlisk miasta. W takich momentach opętania bił o byle co, częstokroć niesprawiedliwie, chłopów pańszczyźnianych i rozkrwawiał gęby parobkom.

Kiedy znalazł się pośród rodziny, drżał często na całym ciele, czując, jak się w nim objawia chęć rzucania ciężkich przedmiotów i słów okrutnych, niepowetowanych, słów-zabójstw. Nieraz w biały dzień opanowywała go głęboka senność, to znowu gwałtowna żądza ruchu, blasku, światła, hałasu, orgii. Czuł w sobie to płacz dziecka, najżałobliwszy, to śmiech cyniczny, to pociąganie bez kierunku, bez celu, nieokreślone. Tysiąc już razy silnie pragnął, żeby te dziwne chwile umarły, zbierał do kupy wolę, żeby je wygnać i zerdrzeć ohydłą błonę przywarłą do serca. Ale nie chwile bieżące umierały, tylko właśnie wola. Jedno czarujące wspomnienie bladej twarzy było w nim stałe, wieczne, niezmiennie, wcielone w jego duszę jak życie.

Ćmiły się te oczy od wichrów wspólnych, wewnętrznych jak płomienie, które się od jednego wiatru chwieją. Przychodził z nagłą, niespodzianie, w chwilach najbardziej niestosownych, bo w obliczu ojca, zapach włosów, aksamit twarzy, upał rąk.

Dusza stała się czarną i rozpaloną. Nieraz budził się w nocy z uczuciem, że w nim jest przepaść niezgruntowana, ziejąca głębią. W godzinach południowego wytchnienia szedł cichaczem do stajni i kęsy swego chleba oddawał klaczce Basi. Była to jedyna jego powiernica. Przypatrywał jej się z rozkoszą. Była długa, na niskich, delikatnych, suchych, przepysznie foremnych nogach, które stawiała miękko niby po kobiercu i z dziwną gracją.

Miała boki wpadłe jak wilczyca, kłęb wysoki, łopatki tak długie, że ich mięśnie wystawały nad piersi, a mięśnie udowe podkasane i wydłużone. Szyja jej była płaska, długa i zgięta w pałąk, główka mała i ogromnie mądre, głębokie oczy, osadzone w nadzwyczaj szerokich kościach czoła. Oczy te były pełne sądu, pewności siebie i — przysiągłbyś: dumy.

Cienka skóra, przez którą znać było wszystkie żyły, suche ścięgna i mięśnie, była ubarwiona miękką aksamitną sierścią. Biała grzywa, obfita, bujna i wzdęta, burzyła się, a niestrzyżony nigdy ogon świetnie od tułowia odsadzał. A ruchy! Wiła się jak wąż; można nią było zawrócić na stole. Umiała pisać w miejscu, wolno i lekko, iść do ręki jak pieszczone dziecko, ale umiała również wydrzeć z rąk cugle perskiego munsztuka, z rozwartym pyskiem, wzięwszy na kiel krygowe wędzidło, rwać jak dziki wichur przez rowy i płoty, choćby jej ręka jeźdźca darła żelazem wargi.

Rafał pamiętał Basię od pierwszej chwili jej życia. Miał ją w oczach, gdy była włochołym źrebiątkiem i biegła na chwiejnych nogach za matką, tęgą, rozrosłą, białą świerzopą; pamiętał, gdy była źrebicą o krótkiej grzywie, kiedy hasała swobodnie na pastewniku... On pierwszy dopadł, pierwszy siadł na jej grzbiecie bez uzdy i siodła. Pierwszy ją na uździenicy otarł i objęździł oklep, nocami, w sekrecie przed cześnikiem. Nie dziesięć, nie dwadzieścia razy prasnęła nim o ziemię, że ledwie wstał. Nieraz go ponosiła bezdrożami, w nocy, aż oboju dech zamierał i serce stawało. Uglaskał ją wreszcie. Teraz klacz go kochała. Potrafiła rozpoznać jego kroki, gdy już z daleka nadchodził, rżała z cicha, radośnie, gdy się zbliżał, a biła nogami, kiedy się oddalał. Panicz pieścił ją, karmił, pielęgnował, sam cesał zgrzeblem, sam poił i przeprowadzał.

W tych czasach, skoro jej oddał przyniesione smakoliki, siadał w jej żłobie, splatał ręce na jej szyi, opierał czoło o jej łeb i siedział nieruchomy, w zamyśleniu. Klacz wyciągała ku niemu wilgotne, szeroko otwarte chrapy o czarnych jamach, a mądre spojrzenie jej oczu jakby z pytaniem czułym i trwożnym na nim spoczywało. Często przychodził teraz do niej bez chleba, bez jabłek... Siadał tak samo i, patrząc w oczy Baški przymrużonymi oczyma, z dziwnym uśmiechem śpiewał jej z cicha głuchą piosenkę swej duszy: śpiewkę bez słów, jeszcze nigdy i przez nikogo niesłyszaną, dźwięki z samej głębi serca płynące tak bez woli i wiedzy, jak lzy płyną z oka...

NOC ZIMOWA

Jednego z pierwszych zaraz dni marca Rafał, dopuszczony już w drodze łaski przed rodzicielskie oblicze, wszedł wieczorem do sypialni, skąd właśnie wyniósł się podstarość otrzymawszy codzienną, przepisaną niejako dozę lajań, wymysłów i krzyku. Nowy Rafał obowiązek polegał na czytaniu urywków starych gazet, które cześnik pożyczał z sąsiedztwa. Lektura trwała zazwyczaj krótko, jakieś najwyżej pół godziny. Cześnik leżał już w łóżku. Podstarość Piotr złożył był wszystkie klucze na stoliku. Łojówka topiła się już w blaszanym lichtarzu od dość dawna i niewiele jej zostało. Gdy Rafał wszedł po cichutku i zatrzymał się przy drzwiach, wnet stary krzyknął na niego:

— Co się tam czaisz? Znowu może knujesz jakie łotrostwo... Bierz gazetę i czytaj mi wyraźnie od tego miejsca, gdzie wczoraj stanął. Na czymśmy skończyli?

— Na „Dekrecie pochwały dla księdza Zdziechowicza z Piekoszowa”...

— Wiem. Dobrze. Pochlebcom zawsze dobrze, w gazetach ich będą drukowali! Jedź dalej! Wyraźnie i, mośbrodzieju, tak żeby sens było widać.

Rafał wziął w rękę podarte i zasmolone, luźne szczątki „Gazety Krakowskiej” z roku 1796 i zaczął głośno, patetycznie czytać:

„List generała Buonapartego do Dyrektoriatu. Z głównej kwatery! Weronia, dnia 29 Briumer”...

— Czego?

— Napisano: Briumer.

— Cóż to jest ten Briumer?

— Ja nie wiem.

— Ty byś też co wiedział, dryblasie! Warto było pieniądzem gotowym za ciebie w szkołach płacić. Nożem pruć pedelów toś się tam *expedite* wyuczył, niczym rzeźnik cielęta, ale co znaczy takie zagraniczne słowo, to nie twoja rzecz. Ślabizuj dalej!

„Jestem tak zmęczony fatygami, obywatelu Dyrektorowie”...

— Cóż to za jedni ci obywatelu dyrektorowie?

— No ja... tego nie wiem.

— Żeby mi się wstać chciało, tobym cię tak, mośćbrodzieju, huknął w ucho za to „nie wiem”, żebyś zaraz zmadrział!

„...iż nie jestem w stanie donieść wam o wszystkich poruszeniach wojskowych, które poprzedziły bitwę pod Arcole, co teraz zdecydowała los Włoch. Dowiedziawszy się, iż feldmarszałek Alvinzy”...

— Wyraźnie! Dnia dzisiejszego!

„Feldmarszałek Alvinzy zbliża się do Werony”...

— I Werony pewno nie wiesz, co jest?

— Wiem. Werona jest takie miasto we Włoszech.

— Mójże, mądrała...

„...dla złączenia się z dywizjami jego armii, które są w Tyrolu, poszedłem z dywizjami generałów Augereau”...

— Jak?

„...Augereau i Masseny, wzdłuż rzeki Etsch”...

— Łżesz!

„...Etsch... Tymczasem dowiedział się nieprzyjaciel o naszych poruszeniach i wysłał regiment Kroatów i kilka regimentów węgierskich do wsi Arcole, która dla swego położenia wśród bagnisk i moczarów jest bardzo mocna. Ta wieś zatrzymała cały dzień 15 przednią straż armii. Generałowie, znając ważność czasu, nadaremnie rzucali się na czele kolumn dla przebycia małego mostu pod Arcole. Wszyscy niemal byli ranieni. Generałowie Verdier, Bon, Verne, Lasne musieli być z miejsca boju sprzątnieni”...

— Widzieliście... — mruknął cześnik.

„...Generał Augereau”...

— Znowu swoje!

„...uchwycił chorągiew, zaniósł ją aż na koniec mostu, został tam kilka minut, ale bez najmniejszego skutku”.

— Masz teraz! Tak, widać, Austriak, prał tego. Złękły się Francuzi, rozumiesz, gapo?

— Rozumiem — rzekł Rafał.

W chwili gdy to mówił, patrząc ojcu w oczy z rzewną serdecznością, sięgnął ręką po klucz od stajni, ściągnął go niepostrzeżenie ze stolika i schował do kieszeni.

— Czytajże dalej. Cóż się też stało?

„...Z tym wszystkim potrzeba było przejść ten most lub kilka mil obchodzić, co by było nasze działanie zepsuło. Udałem się sam”...

— Kto się sam udał? Kto się gdzie udał, mośćbrodzieju?

— Udał się ten, co na początku, jakże się tam zwał... Buonaparte... „Zapytałem się żołnierzy: czy jeszcze są zwycięzcami spod Lodi? Przytomność moja... takie sprawiła... poruszenie... w wojsku”... — czytał Rafał głosem coraz cichszym, widząc, iż ojciec już tylko jednym okiem, i to słabo, na niego spogląda.

Nim doczytał do końca szpalty, już cześnik wpadł w głuche sapanie. Za chwilę chrapanął raz i drugi. Wtedy młodzieniec zgasił świecę i na palcach wyszedł, cicho zamykając drzwi izby ojcowskiej.

Minął kilka ciemnych już stancyjek, znalazł w mroku drzwi do swojej, zamknął je i upadł na posłanie. Leżał bez ruchu. Coś w nim teraz ostygło i zaczęło z wolna wysuwać się z piersi, wysuwać jak dusza. Został w nim tylko zimny rozmyśl i ta żelazna pewność, że klucz ma w kieszeni. Klucz ów był to płaski ułomek kutego żelaza, mający co najmniej ćwierć łokcia długości, wykrzywiony w kształt litery S. Obadwa jego końce miały kwadratowe wymyki, czyli żęby do chwytania nimi mutry zakręcającej śrubę.

Cisza ogarnęła już dwór. Bezdenna zimowa cisza. Ostatnie szelesty zginęły... W kuchni zgaszono łuczywo. Słysać było, jak drobny śnieg sennie podzwania padając w otwór drewnianej okiennicy, jak po szybie ślizga się każda jego drobina... Świerszcz nocny skrzytał trwożnie gdzieś w trzecim pokoju...

Wiatr ostry u węglów domu zakwilił, a później z załośliwym szmerem wałęsa się pod ścianami. Chwilę nacichnie i znowu z rykiem i świstem pięściami bije w ściany, usiłując wyrwać okiennice, tupie jak koń po słomianej strzesze...

Rafał, wyciągnięty na swym sienniku, czekał patrząc w ciemność. Zdawało mu się chwilami, że tak już całą noc przeleżał, że świta, to znowu nabierał pewności, że nie ma godziny od chwili, kiedy z izby cześnika wrócił. Kilkakroć dźwignął się i nasłuchiwał. Serce targano się w nim jak więzień silny i młody, który w męce pięściami usiłuje rozwalić ściany swej celi. Głowa płonęła a krew biła w skroniach. Dusił się w gorącu, które szerzył piec z rogu izby.

Przed północą siadł na posłaniu i na coś oczekiwał. Przyszła wreszcie tajemnicza chwila i dźwignęła go na nogi, jak rozkaz. Wciągnął na zwyczajne, sukienne ubranie, w którym był, spodnie ze skóry łosiej, wdział na kubrak krótki barankowy kozuszek z żółtej, twardej skóry, ściągnął się mocno rzemiennym pasem szerokim i grubym, włożył buty długie, za kolana, doskonale poprzednio wysmarowane łojem, i wcisnął na głowę futrzaną czapkę. Gdy to skończył, wylał na siebie flaszkę larendogry, którą był skrycie zabrał siostrom. Zapach dodał mu siłę, tchnął weń zuchwałstwo, potęgę i szal. Trzymając w ręce klucz od stajni Rafał pchnął okienko swego pokoju. Okiennica, umyślnie słabo przytwierdzona, podała się w ciemność, oknem wiatr ją szarpać. Awanturник skoczył w śnieg. Skoro przytknął połówki okienne, żeby w nocy nie stuknęły i nie zbudziły śpiących, skoro podparł okiennice przygotowanym drągiem, był już pewny swego. Wionęła dokoła jego twarzy wichura, zatoczyła się jak pijana wiedźma, osypała go śniegiem dymiącym z dachu, całego od stóp do głowy. Wciągnął w nozdrza ów śnieg rozpylony, lechący jak tabaka. Radość go niosła przez zasy. Pławił się w nich i kopał, nim wybrnął z ogrodu. Gdy wszedł na dziedziniec, obskoczyły go psy, olbrzymie brytany i kundły włochate, mokre, pospuszczane z łańcuchów. Skakały mu na piersi, łaszcząc się, lizały ręce. Odpędził całą gromadę precz od siebie i, już stojąc przed stajnią, badał pogodę. Śmiał się z radości widząc, jak śnieg dmie coraz lepiej, i marzył o tym, jak zasypie, zaniesie, zniszczy wszelkie ślady. Dobra, pocziwa, ukochana zamieć...

Drzwi stajenne zawierały się na sztabę żelazną, która z wewnątrz na ukos je przypierała. Koniec tej dęgi przytwierdzało się śrubą, która przewiercając odrzwia wychodziła na zewnątrz i mogła być zamknięta na mutrę, wkręcaną nań owym kluczem dopiero co skradzionym. Rafał podważył mutrę kluczem, odkręcił ją prędko, pchnął drzwi i wszedł do stajni. Przez chwilę, stojąc w gorącym końskim oddechu, nasłuchiwał, czy nie obudził się który z parobków. Ale chrapali wszyscy jak zarżnięci, jedni pod żłobami w sąsiedztwie drzwi, inni pokotem śpiący w tak zwanej grudzy. Baśka parsknęła kilkakroć, gdy do niej szedł, i dotknęła go wilgotnymi nozdrzami.

— Basiu, Basiu... — szepnął do niej na przywitanie.

Szybko jej na łeb założył trzęzłę, na grzbiet podkład i siodło.

Wywiódł ją szybko ze stajni. Klacz chrapała na zimnie i biła kopytami. Za progiem ściągnął i mocno, z drobiazgową pilnością pozapinał poprzęgi siodła, urównał puśliska i przytknął drzwi. Bez pomocy drugiego człowieka, który by sztabę dźwignął i wsunął śrubą w otwór, nie mógł ich zamknąć, toteż zostawiając je na całą noc, aż do chwili swego powrotu, otworem, spełniał czyn straszny. Chwilę namyślał się, czy żelazny klucz wziąć ze sobą, czy go rzucić w śnieg obok drzwi i za powrotem odszukać. Chwilę namyślał się... I oto piorunem zleciał weń napastniczy, obmierzły, jakby włochaty i cuchnący lęk... Podszepnął mu, żeby go zabrać. Wsunął tedy w kieszeń od rajtuzów ten duży kawał żelaza, chwycił w garść wodze i był na siodle.

Baśka w podskokach przeleciała podwórzec. Psy ścigały ją za bramę, ale się wkrótce cofnęły. Rafał wypadł w pole. Jechał topolową aleją, do obłąkania szczęśliwy. Suche pręty starych, wyschłych drzew huczały w ciemności. Była to pieśń szczęśliwa, krzyk ze wzdętej piersi i całej gardzieli. Śnieg walił zewsząd: rwał się z ziemi i smagał z boku. Trwała ciemność tak zupełna, że Rafał o kęś nie mógł w nią wszczepić wzroku, nie widział drzew, o które się ocierał... Potężne granie wichury na olbrzymich strunach lip i topól nadwiślańskich zaczęło zniżać się i przygasać. Z tego wniósł, że już minął aleję. Droga tam szła na mały wzgórek, gdzie, omijane przez żyjących, w cieniu kilkunastu brzoź leżało samotne cmentarzysko cholerycznych, dawno, dawno, przed wieloma laty tu schowanych. Rafał rozeznał poświst nagich różg brzozowych, odmienny, przedziwnie odmienny od wszystkiego na świecie. Posłyszał, jak tam wiatr szlocha na ramionach zmurszałych krzyżów, co się chyli między zarośla, jak chichot wichrowy szczeka spomiędzy badyłów dzikiego gło-

gu. Wołało na niego to straszne miejsce przeraźliwymi słowy, które włosy na ciemieniu podnoszą i lodowatą seremością ciskają w serce. Wzywały ku niemu z ziemi wzgardzone mogiły... Uderzył Baśkę w bok nogą i minął je galopem. Zostały za nim w polach, ucichły, umilkły...

Baśka niosła go wskroś wiatrów siekących twarz, w poprzek miękkich śniegów. Lecieli oboje w dzielnej rozkoszy. Rafał chylił się na jej grzywę, objął rękoma przepyszną szyję i szeptał:

— Zanieś mię...

Spostrzegł po chwili, że wiatr mu sprzyja: dał z tyłu, podniecał kobyłę do biegu, a zarazem dawał możność utrzymania kierunku drogi. Rafał czuł zresztą doskonale, że jedzie szlakiem, i skoro tylko Baśka wkraczała na zagony, sprowadzał ją w kolej. W pewnym miejscu, w stronie Godziszawic, krzyżowały się drogi i była tam na rozstaju figura z Panem Jezusem. Rafał czuł to, że powinien był zbliżyć się już do niej. Naprężył oczy i wyciągniętą ręką szukał w powietrzu słupa. Basia drgnęła i zбочzyła. Rafał zmusił ją do powrotu i dotknął ręką słupa oblepionego śniegiem. Wiatr tam wyl przedziwnie. Zdawało się, że w istocie, jak głosi baśń ludowa, diabeł owija się dokoła figury, okręca się dokoła niej jak badył, pełza jak bluszcz, póki wichur świętego obrazka nie zedrże ze słupca.

Teraz jeździec pewny już był, że nie błądzi. Skręcił na prawo i z godzinę równym kłusem jechał aż do opłotków, które były zadęte i pełne śniegu jak sąsiadki zboża. Wyprowadził Baśkę na pole i przez czas pewien brnął noga za nogą. Był już zdyszany. Czuł, że i klacz zagrzała się tego, że w niej krew kipi. Wkrótce, jak się tego spodziewał, napotkał stóg siana. Zeskoczył na ziemię, wydarł sporą porcyjkę, związał ją mocno i przytroczył do siodła. Wywiódł kobyłę za bróg, w ciszę, gdzie wiatr ledwie milczkiem kąsał, przystawił ją bokiem do ściany, sam się skulił, plecami oparł i dał w objęcia pochwyścić marzeniom.

Czyhały na tę chwilę, goniąc stadem nieprzeliczonym. Skoro tylko wytchnął, stanęły przed nim jawniejsze i oczywistsze niż wszystko, czego dotykał rękoma i mógł dotrzeć oczyma. Widma cudowne! Nieskończoną radość odczuwał na myśl, że już zbliżył się do miejsca swojego szczęścia. Pochłaniał je oczyma, jakby ciemność dookolna nie istniała, i rzeczywiście widział to, co było tylko utworem imaginacji. Widział oświetlone pokoje, meble, sprzęty, osoby, ich ruch, słyszał rozmowy... Widział ją, a raczej ogarniał wzrokiem wcieloną piękność, marzenie ziszczone, duszę swej duszy, kwiat cudnobarwny żywota. Jaśniała przed nim w mroku nocy wszystka świetlista, przeistoczona w obłok złotobiały i w uśmiech. Rozkosz widzenia jej tak cielesnymi prawie oczyma nie miała granic, łaska miłości przechodziła tu szczyt swój najwyższy. Słuchał melodii, którą budziło jej przyjście, i unaszał się sam ponad sobą jak duch.

Klacz zdawała się wiedzieć, co się to dzieje. Stała cicho, żując wędzidło i z lekka lotną zaspę rozgarniając kopytem. W pewnej chwili Rafał ocknął się ze swych snów, wspiął na siodło i z cizy wyjechał w wichur. Teraz już sama Baśka niosła go przez bezdroża. Przystanęła czasem, i wyciągnąwszy szyję, brała chrapami powietrze. Wówczas jego ręka gładziła pieśczołiwie piękną grzywę. Z ust mu się wymykały dźwięki pochwalne. Jakże wielbił swą Baśkę! Stała się oto dla niego wszystkim: nie tylko powiernicą szczęścia, lecz i dobroczynną potęgą, która niesie w jego strony...

Był teraz na granicy rozdołu Koprzywianki, w pobliżu wielkich lasów Góreckich. Gdy tam stał chwilę, pierwszy raz ogarnęło go niemiłe uczucie. Do domu było już daleko, a i do celu podróży nieblisko. Cmoknął na klaczkę. Omijał dwory i wsie albo je przebiegał cwałem, skracał sobie drogę ile się dało, wreszcie zbliżył się do Dersławic. Szum drzew i szczekanie psów zwiastowały, że już blisko, ale głównie zwiastowało światelko błyszczące między drzewami w dole. Rafał jechał polem noga za nogą aż do miejsca z dawną przewidzianego.

Oczy przywykłe do ciemności wyróżniły czarną masę budynku. Wtedy zeskoczył na ziemię i sprowadził klaczkę z wyniosłości na drogę niżej położoną. Basia szła chętnie, z cicha chrapając i ostrożnie badając powietrze nozdrzami. Stanęli obok murowanej budowli. Była to kuźnia stojąca z dala od folwarku, w alei.

Teraz, w nocy, była zupełnie pusta. Przede drzwiami jej istniał pewien rodzaj portyku na dwu otrąconych u dołu filarach z cegły, gdzie w czasie deszczu stawiano konie do kucia. Był tam nawet w kącie wygryziony mały żłobek i drabinka. Rafał umieścił przy nim Baśkę, wytarł ją silnie zwitkiem siana, a całą wiązkę rzucił w żłob, do którego uzdę

przywiązał na głucho.

Basia zaczęła skwapliwie żuć siano...

Miał już iść od niej... Otrząsnął się, przeciągnął... Chwilę dumał i nasłuchiwał. Wreszcie odszedł. Dużymi krokami przebył w poprzek szerokie pasmo gościńca, które się zniżało między rzędami lip, i szedł obok płotu otaczającego bardzo rozległy sad. Znalazł wreszcie miejsce dogodne i wkroczył na obszar dworski. Stał w ulicy ogrodowej, która prowadziła do dworu. Niskie drzewa owocowe były okryte czapami śniegu dopiero co spadłego. Musiał zniżyć się, żeby go nie strącać. Śnieg wił się tutaj między gałęziami w tysiącnych kierunkach. Było tak ciemno i panował taki chaos ruchu, jakby miliardy istot wirowały w tym miejscu. Rafał posuwał się na oślep. Zdawało mu się, że nie trafi do dworu. Raz sądził, że ten dom jest dalej, to znowu, że go już dawno minął. Tymczasem wyciągniętą ręką z nagle dotknął się ściany. Dreszcz rozkoszy przeniknął całe jego ciało. Stąpał obok kilka kroków, z rozpaczą marząc, że to już wszystko, że już trzeba wracać.

Cóż jeszcze więcej być mogło? Nic. Chyba nieszczęście... Ale za uderzeniem powtórnymy myśli, że dotyka ręką węglów domu, gdzie ona jest na pewno, że może za tą ścianą ona oddycha, we śnie pogrążona, że to on, we własnej postaci, nie we śnie ani w marzeniu idzie obok drzew, które ona jutro ujrzy oczyma, kipiało w nim obląkanie. Wciągał w siebie nozdrzami przedziwną atmosferę, która jak podniecający zapach zdawała się ten dom otaczać. Czuł bezsilność rozsądku, niedolę woli... Nic więcej nie pragnął oprócz tego, żeby jeszcze przez chwilę oddychać powietrzem tego ogrodu. Stał w gąszczu krzewów bzu, które zacięniały okna, teraz na głucho przykryte okiennicami. Tuż obok była naturalna altanka, utworzona przez kępy leszczyn, głogu i dzikiego chmielu. Pod cieniem bżowego krzewu, który w grube drzewo się rozrósł, była darniowa ławka, tej nocy zadęta do znaku. Naokoło sypały się puchy śniegowe z cichym szelestem, ale na to miejsce prawie nie padały, gdyż utworzył się tam na gałęziach jakby dach z okiści. Westchnął z głębi serca. Zatrzymał się tam i twarz ukrył w dłoniach. Serce rozdzierało się w nim od myśli, że już iść trzeba. Dźwignął głowę, zrobił jeszcze dwa kroki naprzód... I oto znalazłszy się za węglem domu ujrzał światelko w ścianie prostopadłej do tej, przy której stał.

Biały promień wydzierał się z serca okiennicy i nikłym kręgiem swoim ciemność rozpraszał. Płatki śniegowe wiły się w nim i połyskiwały miliardem brylantowych światełek.

Dołem tej ściany ciągnął się darniowy odkos, jakby długa ławka. Rafał wszedł na nią i, cicho brodząc w puchu śniegowym, dotarł do otworu wyciętego w drewnianej okiennicy. Spojrzał weń i zdrętwiał. Tuż, o dwa kroki przed nim, siedziała Helena. Na ukos od okna, przy małym biurczku, wygodnie leżąc w fotelu, czytała książkę. Woskowa świeca drżącym lśnieniem oblewała jej rozpuszczone włosy, jej przecudowne czoło, śliczną twarz, odkrytą szyję i piersi. Miała wrzuconą na ramiona futrzaną szubkę, którą okryła się była, widać, przed chwilą, zabierając się do snu. Powieki spuszczone rzucały długi cień rzęs na białe, zadumane policzki. Oczy Rafała przywarły do jej ust rozchylonych, do jej czoła, na którym osiadła melancholia, płynąca z kart książki. Zdawało mu się, że umrze pod tym oknem, że w nim, silnym i młodym, coś kona i wydaje ostatnie tchnienie. Nienasycone oczy zaszyły łzami. I oto jak mordercza kula przeszło mózg postanowienie. Wsunął palec w otwór okiennicy i trzykrotnie cicho stuknął w szybę. Z wyciągniętymi rękoma rzuciła się w tył i chwilę stała przerażona, bez życia, patrząc w okno. Wówczas znowu trzy razy zastukał. Był teraz spokojny. Czuł zimno w piersiach. Szczęście, jak złotopióry ptak zabity w powietrzu, spadło i martwe leżało w jego duszy. Smutnymi oczyma patrzył w głąb pokoju.

Światło zgasło.

Poszedł z wolna od tego okna. Przymknął oczy i wysłał duszą pierwszą rozkosz wspomnienia jasnego pokoju, światła, które go oślepiło, szczęścia, które przyszło niewołane, jak sen, i niewysłowionej, czystej rozkoszy, jaką tylko uczuć można. W oczach jego stało tak wyraźne widziadło wnętrza tego zacisza, cudnego blasku, na który zewsząd następowała otchłań mroku, że znowu je dotykalnie widział i powtórnice zamierał, zastęgał, jak od pierwszego wrażenia. Złudzony do żywego, wlepił w nie znowu oczy...

Znikło z wolna widziadło. Wówczas nagle wybuchy łez, jak gniazda żmij wylęgłych pod sercem, zdusiły go za gardło. Serce nie bolało. Przepadło pragnienie widzenia osoby, szczęścia raz jeszcze. Oto jakaś wysoka, niedosięgnięta troska, coś nadludzkiego i nadziem-

skiego przez chwilę go niosło w dali od tego miejsca. Był gdzie indziej, z nią razem, w przedziwnym zaśnieieniu, na świętym, przedwiecznym łonie. Budził się i dziwił słysząc, jak szemrze śnieg, osiadając na zaspach, jak wiatr wydyma z dachu długie jego żagle, jak szeleszczą suche różgi drzew.

Mówił sobie po stokroć, że trzeba iść. Już odejść, jak złodziej nocny...

Nagle w milczeniu rozległ się powolny zgrzyt otwieranych drzwi. Stojąc na wicherze Rafał usłyszał go, czuł w piersiach jak ostrze żelaza utopionego ręką. Był pewien, że jest zgubiony: zbudziła służbę... Ale i w nim ocknęło się lwie serce. Wyprostowany, pewnymi krokami szedł naprzód pragnąc jednym ciosem zwalić na ziemię każdego, kto zechce zakłócić jego marzenia. Zaświeci im w ślepie pańskim śmiechem! Czegóż, kogo mógłby się ulać po tym, co już widział? Co złego mogłoby go spotkać? Zbliżył się do kamiennych stopni ganku i wyciągniętymi rękoma dotknął jednego z filarów, na którym spoczywała wystawa dachu. Czuł, że we drzwiach stoi człowiek. Wparł oczy w to miejsce i milczący czekał. Wtedy usłyszał szept, głos cichszy od szemrania wiatru. Po stopniach zasłanych śniegiem Helena zesła wolno jak cień. Zstąpiła ku niemu jak niewidzialna dusza, jak sama miłość. Spłynęła w jego ramiona. Objęli się rękoma. Głowy schyliły się ku sobie, wsparły. Szli nie mówiąc.

Łaska miłości napełniła i razem wyniosła serca obojga. Dokoła ich złączonych dusz i ciał kipiała zamieć coraz potężniejsza.

Śnieg zasypywał ich od stóp do głów. Obok darniowej ławeczki, pod rozłożystym bzem, w tym miejscu, gdzie serce jego najboleśniej miłość ścisnęła i gdzie żal płynął z najgłębszej rany, stanęli. Głowy dźwignęły się, uniosły ku sobie, a usta spoily pocałunkiem wieczności.

W pewnej chwili wargi jej cofnęły się. Nasłuchiwała przez chwilę a później szepnęła cicho, zemdlałymi słowami:

— Jakim sposobem waćpan się tu znalazłeś?

— Przyjechałem.

— Na koniu?

— Tak.

— Więc jakieś wtedy powiedział, w tańcu?

— Tak.

— Gdzież on jest? koń?

— W kuźni stoi przy żłobie.

— Sam?

— Sam. Chodźmy do niego...

— Nie, boję się tam iść. Bardzo się boję.

Rafał schylił głowę. Wargi jego znalazły znowu lica, usta, oczy. Rozsunął haftki kożuska i przywarł ustami do piersi odkrytych. Usunęła natrętną głowę miękkimi rękoma, a gdy spragnione jego wargi dotknęły policzków, szepnęła:

— Mokre wąsy...

W istocie mech pod nosem natręta wciąż się okrywał twardym szronem.

— To może na przyszły raz przyjechać już bez nich?

— Bez czego?

— A bez wąsów...

— Nie trzeba.

— Co nie trzeba?

— Nie trzeba... i tyle!

— A kiedy niemiłe...

— Mokre... powiedziałaam...

Śmiech obojgu nie dawał mówić. Rafał jak mógł osuszał swe „wąsy”. Pomagała mu odchylając jedwabnego szala, którym głowa jej była nakryta. Zanurzył usta we włosy, na węzeł związane jednym ruchem, utopił je w wonnych, suchych kędziorach. A kiedy znowu zniżał się do ramion, nie doznał już oporu.

Uszy jego słyszały, jak rwie się i kipi to wzburzone serce. Ręce pieściły nie dziewicze, płonące ciało, lecz jakby żywe szczęście, ucieleśniony zachwyt. Tracił rozum, odsłaniając ustami przecudowne, niewinne łono, pełne radości i upojenia. Wydzierał jeden jeszcze

pocałunek, tylko ten jeden, z ochotą marząc, żeby go za to spotkała śmierć. I oto drogie ręce otoczyły jego szyję, ukochane, żarliwe usta wpiły się w jego usta z cichym, bolesnym szeptem... Cała postać zgięła się, złamała i przytuliła do piersi. Przygarnął ją ze czcią, przyjął do siebie ufną, cichą, posłuszną. Wtedy doznał na chwilę szczęścia jakby cudzego, rozkoszy niedościgłej, zgoła czystej, zaziemskiej, nieprzemierzonej jak niebo. Pragnął zwierzyć jej, co czuł, nazwać słowem czarę rozkoszy zbliżoną do ust, zawrzcć w nazwie ów niespodziany głos rodzący się w sercu, który go przenikał aż do szpiku kości. Duch jego pracował wtedy, jakby świat ramieniem spychać mu przyszło z posady. Tę samotną i potajemną chwilę rozkoszy z nagłą roztrąciło coś jak uderzenie... Był to głos piszczałki wartownika nocnego.

Helena drgnęła, raz jeszcze na mgnienie oka przywarła do niego w pocałunku ciała i uściśnieniu dusz... Znikła w ciemności. Szelest jej kroków zagłuszył poświsty wichru. Rafał słyszał przez chwilę, jak rozmawiała na ganku ze stróżem nocnym i wabiła do siebie psy. Nie wszystkie jednak do niej przyszły. Kilka z nich ze szczekaniem skoczyło ku Rafałowi, który umykał co siły w nogach. Ledwie, ledwie zdążył przysiąść do konia, odwiązać supel cugłów i stanąć w strzemionach, gdy go opadły. Baśka rzuciła się naprzód jak strzała. Sącząc jelenimi susy wypadła w pole i uszła psom. Długo niosła go w podrzutnym skoku wskroś wichru i śniegów po niewiadomej przestrzeni. Nie ściągał wodzów, nie mógł kierować jej chodami.

Dokoła wrzała rozpętana burza. Całe pole, skroś którego leciał, zrywało się jak oszalone jezioro. Falami huśtały się sypkie tumany i na kształt bryzgów strzelistych pian wylatywały do góry, ponad konia. Kiedy niekiedy zrywał się jakoby schylony filar, stał chwilę w powietrzu i rozlatywał raptownie jak kupa piasku. Wicher dał zaciekle. Wypadał z gwizdem, jak gdyby z jakichś szczelin w ziemi. Była ciemność nieprzejrzana, straszliwa, pełna tylko kłębow białawych, wzmagających się wśród poświstu. Co kilka chwil rozlegał się tępy wrzask zawiei, ryk zdławiony jakoby przez pętlicę z rzemienia. Wybuchwały niewiadome siły, chwytaly się w ciemności za bary śmigłe, gibkie, lecące ciała. Śniło się, że grzmocą wzajem pierś w pierś straszne pięście, zduszone gardła charczą i wyrzysgują krew, że w ciemnych jaskiniach nocy coś zdycha i daremnie prosi o łaskę.

Wierzchówka, puszczona wolno, szła w zawód z wichrami. Osnowa jej grzywy trzepała kiedy niekiedy schyloną nisko twarz Rafała. Teraz dopiero czuł upojenie. Surowymi klątwami podniecał żrebić i burzę, żeby obiedwie wyteżyły siły. Lećcie, stwory! Co ducha, co mocy! Polotny skok Baśki zmienił się w cudny bieg. Dziko parskala. Zdało się, że chce wyrzucić konchy nosowe, że rozwarte jej chrapy zioną krwią i płomieniem.

Nie czuć już było podrzutów, gdy sprężyste nogi odbijały się od zmarzłej ziemi: pławiała się w tumanach śniegowych jak w rozbującej wodzie.

Rafał, schylony nad jej szyją, nie mógł się jeszcze otrząsnąć ze snu. Miał wciąż w objęciach gibkie ciało cudnej dziewczyny, ruchliwe jak powieka. Przywierał ustami do stromych piersi i w oczarowaniu miłosnym szeptał jeszcze ciche wyrazy. Sumienie w nim zgasło. Cały się zmienił w noc i burzę.

Rozkosz miłości rzuciła na szalę czułości niedawnej miecz swój żelazny. Rozległ się w duszy jej zwierzęcy ryk, skierowany do wysokich poszeptów i tajemniczych trwóg. *Vae victis!* Podmuchy myśli, jakie nigdy jeszcze nie powstały w jego głowie, leciały teraz na wyścigi z wiatrami.

Kobyła przez czas pewien biegła po niewiadomej płaszczynie. Rafał nie wiódł jej wcale. Znienacka pośliznęły się kilkakroć jej tylne kopyta. Jechała na zadzie, zrywając się na nogi... Poderwał ją uzdą, wstrzymał i puścił wolnym kłusem. Był w jakimś nieznanym miejscu, na błoniach zarosłych iwiną i chrustami, które przeraźliwie w wicherach gwizdały. Świerzopka brnęła przez dawne śniegi, do piersi jej sięgające. Nogi jej ślizgały się na lodach jakowychś rozległych. Rafał pomyślał, że jedzie bez celu, i teraz dopiero przypomniał sobie, że ulegając klaczy mknie wciąż za wiatrem, więc się od domu oddala. Rozejrzał się na wsze strony badając, czy jeszcze nie świta. Ale mrok był naokoło niezgłębiony. Skręcił tedy bachmankę pod wiatr i pojechał przed się miernym kłusem. Baśka mknęła chętnie, bujała w polach. Stroiła skoki, chrapała czasami, cofała się czując przed sobą urwiste wąwozy, nieraz zapadała w rowy i wyrwy, przedzierała się zaroślami terek i głogu, które w nocy huczały jak lasy.

Rafał, zatopiony w marzeniach, z lekka ją tylko zwracał do wiatru. Wspominanie było dla niego dziełem sto tysięcy razy ważniejszym niż sprawa powrotu. Widział Helenkę, ale dawniejszą, z kuligu i kościoła. Dzisiejszą musiał sobie utworzyć w myśli. Tą właśnie sprawą był zajęty... Jakież były jej oczy, jakie usta w tej minucie? Rozgarniał ciemność i na samym jej dnie znajdował tajemnicę... Z daleka przylatywały wspomnienia. Wchodziła do serca jej wesołość tak szczerą jak blask słoneczny, minki w czasie tańców na kuligu, udające obojętność lub zamarsowanie i obrazę, a kończące się wybuchem śmiechu. Ciemnoszafirowe, nie zrównane oczy, głębokie i dumne, marzące i pełne płomieni, ukazywały się w nocnej ciemności. Przenikliwym, szybkim ruchem uderzały go drgania brwi prosto zakreślonych.

W pewnej chwili usłyszał szczególny huk. Zrazu sądził, że jest na brzegu Wisły, ale wnet zorientował się, że Wisła stoi, okuta przez lody. Baśka szła krokiem wolnym, ostrożnym, nasłuchując i chrapiąc niespokojnie. Wkrótce Rafał rozróżnił w tym huku trzask i skrzypienie drzew. Podjeżdżał tedy do wielkiego lasu, a z takiej strony, że wcale nie mógł osądzić, gdzie jest. Było tu zacisznie. Las go zasłaniał od wichru, był więc między nim a domem. Takiej szeroko rozwartej kniei nie było w całej okolicy.

Niewiadome zastępy drzew wołały w ciemnościach. Wylatywał stamtąd to przeraźliwy głos spadających skał, to huk wód, które lecą w bezdenną próżnię z wysokości obłoków. Słychać było stękanie całych poręb, trzask bukowych konarów i świst siekący różg brzozy, zgiętych do samej ziemi... Nade wszystkim wszakże panował martwy pomruk. Rozdymał się albo zacichał, ale trwał ciągle. Przez chwilę Rafał stał przed tą ścianą niewidzialnego boru i niechętnie rozmyślał, co ma czynić, w którą stronę jechać. Co prędzej chciał co przedsięwziąć i wracać do swych widzeń miłosnych. Było mu wszystko jedno. Byleby się tylko świt nie pokazywał...

Wtem Baśka skoczyła w bok, jak ciosem rażona. Rafał cudem tylko nie zleciał z siodła. W oczach mu coś zamigotało, tam, w tych leśnych głębiach. Przez sekundę śnił, że to migoce światelko w dersławickim dworze, i radość go owiała. Ale prędzej od ruchu źrenicy zmienił się ów sen w postrach gwałtowny, który go przebił na wylot jak gdyby lancą. Kobyła z ryczącym chrapaniem stanęła pod nim dęba, piorunem zwinęła się na tylnych nogach, wyszarpnęła mu z rąk cugle i skokiem z miejsca poszła w przestwór, precz od lasu, za wiatrem, co pary w piersiach. Stało się to tak nagle, że Rafał uczył tylko uderzenie krwi do głowy. Schylił się, ręce wsparł na lęku, nogi wyciągnął, złożył po boku klaczy... Na pustych polach, wśród tańczących śniegów Baśka kopnęła się w przecwał coraz bardziej chyży. Jeździec miał teraz pełne usta śniegu. Mokre szmaty zamieci chlastały mu twarz, długa końska grzywa siekła policzki. Wicher go do kości przejął. W tym biegu nad biegi słyszał ciągle poza sobą cmokające kłańcanie, jak gdyby zgłodniałych psów.

— Wilki za mną... — wyszeptał.

Włosy mu się jeżyły na głowie i lodowate mrowie szło po grzbiecie. Wtedy cichym a ostrym głosem, przychylając głowę do szyi kobyły, przez ściśnięte zęby mówił jej nad uchem:

— Basia, ratuj, Basia!...

Klacz jakby rozumiała, co mówi. Nie był to już galop, nie cwał. Leciała nad ziemią we fruujących pianach śniegu z chyżymi wilkami w przegony. Nozdrzami jej strzelał ostry świst. Wyciągnięta szyja okryła się gorącą pianą. Była jak godzący pocisk...

W jakiejś chwili Rafał zgarnął śnieg z oczu. Dźwignął głowę, wykręcił się na siodle i spojrzął w tył. Ujrzał cztery błyski migocące gdzieś w głębi. Gdy tak wzrok natężał, że widział prawie cielska ścigających go wilków, wiatr zdarł mu z głowy czapkę. Rafał schylił głowę i uczył wnet, że ma płomień we włosach, płomień pełgający na szyi, na krzyżu. Leciał mając grzywę ognia na sobie. Bił teraz obcasami kobyłę w zapadłe boki, smagał ją końcami lejców. Rozpacz okrążała jego czaszkę, z wolna ją oplatała jak długie, zimne skręty żmii. Wnet z piersi jego wylatywał krzyk martwiejący na ustach, wnet dziwaczny, głupkowaty śmiech. Klacz przesadzała krzaki, płoty... Drzewa leciały obok, stronami, ze świstem, krzaki miały w lecącego śmiech urwany jak okłask, chichot diabelski. Tu i ówdzie wierzchówka skręcała nagle pod wiatr i z rozwartymi nozdrzami kopała się w dzikich rzutach przez zakłęśle parowy, a zbierając nogi do kupy wypadała z nich lwimi susami. Czasem stękała jak człowiek, czasem coś jak czuły wyraz ze szlochającym krzykiem zionęło z jej pyska. Były chwile, że cmokanie nacichało. Na gołych polach Baśka ubiegała

wilki o staje albo i dwa, ale wśród parowów pościg ją doganiał. Gdy do jej uszu doleciał osłuch wilczego cmokania, gnała znowu ze zdwojoną siłą, śmigając jak ptak, skrzydła orle mający u każdej pęciny, brzuchem rozgarniała śnieg na ziemi. Rafał utracił rozumienie czasu. Chwilami zdawało mu się, że leci już przez całą noc. W głowie jego utworzył się oziębły i pusty ból, który co chwila wybuchał płatami ognia. Niekiedy ciemność rozdzielała się przed rzuconym spojrzeniem i ukazywało się w jednym błysku widziadło chat, rodzinnego domu, dnia... Za chwilę była to już tylko straszliwa, ciemna otchłań. Nie wiedział już wcale, czy jest ścigany, czy nie. Lecił w powietrzu...

W jednej chwili, nie wiedząc kiedy, usłyszał trzask. Tęczowe ognie napęłniły mu głowę i oczy. Magnął kózła przez łeb kobyły, która runęła na ziemię, i zleciał w głęboką zaspę. Przez chwilę leżał na wznak, po szyję zanurzony w miękkim śniegu, bezwładny i prawie rad z tego, co się stało. Wtem buchający parą, włochaty potwór z przeraźliwym sapaniem, jak koń, zwał się na niego. Rafał uczył wszczepione w siebie pazury i kły. Straszliwa, długa paszcza wżarła się w kożuch na jego piersiach, przejęła kłańcami grubą sukienną kurtę i, miotając łbem olbrzymim, targała w prawo i w lewo. Kły worały się w ciało. Jakoby obuchem siekiery druzgotwały mu piersi, ramiona, ręce — ciosy tego czarnego łba. Czynem rozpaczony Rafał chwycił nagimi dłońmi ów czerep za nastroszone grube kudły około stojących uszu. Zdusił żelazne, ogniem zionące gardło. Klęcząc w śniegu, zaczął teraz borykać się, wodzić na śmierć i życie ze zwierzem. Był to pod nim, w objęciu jego stalowych łap, w jego pysku, to leżał na nim. Wkrótce jednak wydał wrzask przeraźliwy, gdy ręce znalazły się w rozwarłej paszczy. Lśniące widzenie przeraźliwych oczu wilka ozionęło go mrozem śmierci. Wtedy obie ręce wydarł z paszczy i zadał w owe ślepie cios zwiniętą pięścią. Ale prawa dłoń trafiła w rozwartą paszczkę i wbiła się aż po gardziel. Piorunowym ruchem Rafał rozwarł pięść i wszystkimi palcami, silniej niż sęp szponami, wpił się w to ogniste gardło u podstawy jęzora. Darł go na zewnątrz. Wilk rozwarł pysk, wygiął się jak naciągnięty luk. Wszystkie cztery nogi wszczepił w piersi Rafała. Pazury zdarły w szmaty, w strzępy kożuch i orały żywe ciało od gardzieli do brzucha. Tylko gruby pas rzemienny kieszki od nich osłonił. Łeb targał się w oszalałym ręku Rafała ze śmiertelną potęgą. Ślepie kołowały.

Z nagła straceniec usłyszał w głowie swej myśl, pełną jasnym światłem, dźwięk krótki jak ostatnie uderzenie dzwonu: klucz. Cichym, złodziejskim ruchem lewej ręki, z cudownym przeblyskiem nadziei mordy w duszy, która jak płomyk ciepły stanęła w jego mózgu, skradł się pomiędzy rozwścieczonymi ruchami nóg wilczych do kieszeni rajtuzów i w mgnieniu oka wywłócił z nich żelazo. Ujął je pośrodku długości. Z góry, co siły w zamachu, potężnym ciosem, chichocąc wbił je w lewe ślepie. Ujrzał, że zgasło. Wtedy podwójnym ciosem w drugie, aż się po dłoń zatopiła krzywa sztaba. Gdy zgasły przed nim straszne kagańce, zaczął bić w czerep, między uszy, w kufę. Ostre końce klucza więzły między kośćmi nosa i w czaszce. Miażdżył ją teraz póty, aż się klucz na poły we łbie wilczym nurzał. Czuł, że zmasakrował kości i że rozwała mózg. Wtedy sztychem spodnim począł bić w brzuch. Rzygająca jucha oblała go wrzącą strugą jak z cebra. Wilk wciąż jeszcze był na nim, wygięty, pazury łap szarpały go, ale już słabiej, coraz słabiej. Łeb siepał się coraz wolniej. Wreszcie wśród nieustających uderzeń Rafał bez tchu runął na cielsko wilcze. Nie wydobywał jeszcze z pyska prawej ręki, zgiętej skurczem śmiertelnym. Ustał. Bezwładnym już ruchem zgał zwierza, coraz mniej ruchomego. Słyszał, gdzieś obok siebie, śmiertelne rżenie Baški. Słyszał w samej głębi serca i w szpiku kości jęki jej ostatnie, jakoby wołanie o pomoc. Słyszał, jak ją drugi zwierz rozdziera żywą, jak rozrywa jej szlachetną szyję, drze gardziel, jak chłopce płomienną krew i mlaszczącym pyskiem żre dostojne piersi. Nie miał odwagi wstać. Łkał leżąc w gorącej topieli krwi własnej i uchodzącej juchy wilka. Resztkami wiedzy i siły kuł jeszcze raz za razem. Łapy zaczęły drgać bezwładnie, wreszcie opadły. Zbliżył do zdruzgotanej mordy twarz i mówił w nią:

— Znaj pana, znaj pana!... Za Baškę!

Wyrwał z paszczy rękę jakby z cieśni ognistej. Legł na gorącym trupie i spoczął na nim jak w pościeli.

Nierychło, tknięty jakąś błędną myślą, ścisnął w ręce żelazo i dźwignął się z ziemi. Czuł śmierć nad sobą i niewymówiony mróz strachu. Serce ciskało się w nim odległymi, ślepymi i bezdźwięcznymi wybuchy. Chwilami ustawało jak zabite. Zaczął iść wskroś

Walka, Zwierzę

zaspy, z krzykiem chwytając w piersi powietrze. Brnął potykając się. Stawał. Zrywał się z kolan i na chwiejnych nogach szedł, uciekał, zmykał od lękającego rżenia kobyły. Usłyszał wietrzny szum i przypadł do drzewa. Objął pień rękoma, oblał go jak chłop wszechwładne nogi pańskie.

Był to samotny jarząb przydrożny, do pół zadęty przez wiotkie śniegi. Rafał schował klucz do kieszeni, wdrapał się na drzewo i usiadł między dwiema rozwidlonymi gałęziami. Teraz dopiero poczuł i spostrzegł, że piersi jego są nagie i że są jedną otwartą raną. Dopóki leżał na wilku, nie czuł ni zimna, ni bólu. Teraz zakrył się rękoma, skulił, przywarł do drzewa. Rozum jego wydarty był z korzeniem. Cierpiał w sobie jedną jedyną myśl, która nad czymś płakała. Chciał oddalić usta napełnione rozkoszą pocałunków, wdzięczne, uchylone ku niemu wargi. Otaczała mu głową senna łagodność wonnego szeptania, rozkosz dźwięku tkliwych słów, które z ucha nie mogą odlecieć, a z serca nie chcą się oddalić.

Miał przy ustach przecudne kędziory, okurzone dymem zapachu. Duszy jego uchwycił się błąd. Objęło go wół i za szyję dumanie o tej cudności dziewiczej, którą był pojął tej nocy, i rozkosz mocniejsza niż sama śmierć, przewyższająca samą zatrąę... Bezsilna głowa zwiśla i wsparła się o lodowatą korę gałęzi. Ołowiem ciężące powieki kleiło drzemanie, pełne widziadeł. Łoże tajemniczego szczęścia, łoże bezcielesnej rozkoszy odsłania się o krok... Wyciągnąć tylko rękę, tylko zawołać... Ale dłonie rąk nie mogą już dosięgnąć. Dłonie spuchłe są i twarde, z grubego lodu. Palce nie mogą się zginać. Ogień buzuje się w piersiach, jęzorami oplata żebra. Z piersi wyrasta jarząb. Gruby pień wrósł w nie wszystkimi korzeniami, między odkryte kości i żyły, w rany głęboko porozdzierane. Pień rozwidla się w górze na konary o barwie stali, ze strony wiatru oblepione puchowym barankiem śniegu. Wysoko, w górze świszczą nagie pręty. Wysoko, w niebie... Ścisk i męczarnia opasują szyję rzemiennym pasem. Powłoką go bez sił, bez woli, z oślepiłymi oczyma po tej straszliwej ścieżynie, po tajemnym chodniku, który wiedzie do umarłych.

— O, Boże! O, wszechmogący Boże... — szeptają wargi, zwiotczały i bielsze niżli śnieg.

W zrzędłym, w śniadym półmroku widać zaspy, zaspy. Jedne jak zboże w sąsiedkach, jak słomiane strzechy chałup z kalenicami, jak plewy rozwiane na boisku, jak mogiłki po zapomnianych, starych cmentarzach. Błękitne śniegi porywają się z ziemi, a nieprzejrzone pustkowie dymią od kurniawy.

Rafał zadygotał.

Jakże on widzi te pola? Jakże widzi tarniny krzak zadęty, którego każda igła skowyczy, każdy pręt kurczy się i wyje?

Nierychło, nierychło pojął!...

To dnieje.

Podniósł głowę płonąca w ogniach niebieskich, zielonych, fioletowych, szkarłatnych i jął patrzeć dokoła. Pola! Pola bez końca. Nagłe lkanie wyrwało się z jego ust. Buchnęło jak żywa krew z przerwanej żyły. Ujrzał Baškę. Leżała na boku, rozciągnięta, ze łbem odwalonym bezwładnie. Wilk rozszarpał jej brzuch, wlał weń ze łbem i przednimi łapami. Czarny jego kadłub, unurzany we krwi, wysuwał się z niej co chwila, wlekąc na zewnątrz śniade i pąsowe jelita. W obłądnie zacieklej zemsty Rafał skoczył na ziemię i wielkimi krokami poszedł w tamtą stronę. Bielmo zalepiło mu oczy, usta ciskały przekłete wyrazy. Ściśnięte krwawe pięście biły w wiatr.

Już za chwilę zaczął uciekać w przeciwnym kierunku. Wlókł się po zagonach, padał na twarz w lotne zaspy, dźwigał się i znowu wstawał. Za każdym krokiem otwierały się rany jego piersi i skrzepła, zastygła krew znowu broczyła. Świtało. Odsłaniały się pola coraz dalej i dalej. Modra poświata przenikała śnieżną zawieję. Rafał żegnał się z tym światłem ostatnim dreszczem serca. Ciało jego ze drżeniem waliło się na ziemię. Myśli z czaszki uciekły. Widział dokoła siebie tysiące mar, tak samo jak on podrywających się z zagonów i mknących w lekkich śniegach. Chwilami wyteżał wszystkie siły, żeby krzyczeć, ale tylko schrypiły jęk z gardła jego wypadał. Stracił wreszcie ostatnie dreszcze woli. Nie wiedział już owo zgoła, czy idzie, czy stoi. Żółte krzyże z równymi ramionami zaczęły występować dokoła. Dzień biały, święty i z końca świata wstający zaczął gasnąć... Jakoby pokrywa ukuta z ciemności, niezmierzonej myślą, nieobeszłej wyobrażeniem, krąg z brzezi obrą-

banymi zawisł nad polami i szedł na jego czoło. Ostatni raz oczy pełne łez spoczęły na widnej jeszcze wstędcze światła. Bezmiernie obrzydzenie, awersja, wzgarda przyniosły obraz śmierdzącego wilka. Coś czarnego przebijało tam śniegi, wlokło się z wolna... Za nic na świecie walczyć już nie chciał. Nie, nie!

Tymczasem czarna zjawa zbliżała się ciągle, i oto Rafał z podziwem ujrzał parę szkapiąt, tak małych, że wielkie ich łby i chude tułowia ledwie było widać między zaspami. Za końmi sunęły gołe sanie chłopskie, a na poprzecznej listwie przodka siedział skulony chłop w wielkiej rogatej czapie i żółtym kożuchu. Wiatr poddymał kołtuniaste grzywy i ogony zbiedzonych, włochatych źrebiąt i zasypywał je śniegiem.

Rafał wołał na woźnicę stojąc na miejscu, ale tamten nie słyszał wcale, gdyż magierę wsuniętą miał na uszy i głowę owiązaną szmatami. Konający ostatnim rzutem sił, z wyciągniętymi rękoma posunął się ku niemu i włókł za saniami z wołaniem coraz cichszym. Konie szły noga za nogą torując sobie drogę ku opłotkom, na których Baśka załamała się była i zginęła. Z dala poczuwszy wilka konięta dźwignęły łby i zatrzymały się w miejscu, pełne niepokoju. Chłop stanął na sanicach i wpatrywał się w dal. Wtedy Rafał przyczołgał się do niego i runął nań z boku.

Ujrzawszy półnagie widmo, od stóp do głowy staplane we krwi, zagrodnik z wrzaskiem cisnął powrózki lejców, bat i uciekał w pole. Dopiero ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, opamiętał się i ostrożnie zaczął przyglądać.

Kiedy po długich namysłach wrócił do zestrachanych koni, znalazł Rafała leżącego w poprzek sanic bez duszy.

MARY

Ogień trzeszczał i strzelał żywo na kominie, dym kłębami wywalał się spod okapu na izbę i grubą, gęstą warstwą wisiał pod stragarzem. Pierwszy raz otwarte na chwilę oczy Rafała ujrzały przed sobą rogatą głowę krowy i błyszczące spokojnym jaśnieniem jej oczy zwrócone w stronę ognia, grube, białe wargi, ociężałe miamlące strawę... Wyżej nad krową ujrzały okno zabite deskami i ogacone ściółką leśną, małą szybkę którą szron tak powłókl, że wyglądała jak wprawiona tafelka lodu. W kącie, daleko, za dymem, ktoś na wyrku stękał i niemowlę z krzykiem popłakiwało.

Zaraz wszystko to wciągnął w siebie dym. Wielkim kłębem zniżał się, zniżał coraz bardziej, sięgając niemal głowy, to znowu chłonał niewidzialną czeluścią sam siebie, mągał okrągłe półzwroty, cofał się, chwiały, odchodził. Gdy błysk ognia padł w jego czarne przepaście, coś rozwidniało się w nim i świetliste widma płynęły.

Rafał słyszał, że obok komina ludzie mówią, ale dusza jego, jakby ów dym rozproszona, słyszała tylko wycia wichru. Chata, z kołków, zrznów, chrustu, z gliny i ziemi uklepana, drżała, gdy w nią bić wzięły rozjuszone poddmuchy. Nawal wichrów siekl ją i prał, podważał liche jej przyciesi, próbował zruszyć węgły, pędził dokoła kwicząc przeciągle, tłukł w nią stumulowymi skrzydłami i wszczepiał między belki żelazne swoje pazury. Zdało się, że ta kurna zagroda stanęła na wiatrowisku, gdzie się zbiegają z czterech stron świata zamiecie, chery, zawiewy i chachaice.

Słychać było, jak krokwie nad dymem trzeszczą i prężą się przeciwko burzy, jak gonty skrzypią a zardzewiałe gwoździe skowyczą, wyważane ze swoich szczelin. Co pewien czas świszczące, szumnotne wybuchy zamieci parły wszystek dym w jeden kąt izby albo napępniały nim całą budowlę. Za chwilę ciągnący dech wysysał go szczelinami. „Zły”, dmąc w wielką gwizdek, sypał w okienko jak gdyby suchym piaskiem.

Rafał słuchał.

Głośny jego oddech podwajał, potrajał swą szybkość. Obląkana krew wydarła się ze swych upustów i niestrudzonymi ciosami gruchotała serce. Myśl, myśl ostatnia, samotna, przelatująca upierzona strachem nieskończone pola albo zmieniwszy się w czucie bryły kamiennej, potrząskanej na złomy, wirowała w przestworzu bez końca. Głowa stała się głazem lejącym w przepaść jakby w ciasną, ognistą studnię. Płochliwe skrzydło złudzenia kurczyło się co minuta... Oto schylone kłęby dymu, a z nich patrzą twarze nieznanne, mordy zwierząt, wysnuwają się pająki wielkie jak wiązy, z nogami dłuższymi od żerdzi...

Dźwigał wtedy bezsilną głowę z szeptem bezdźwięcznym warg. Usiłował spojrzeć w okienko, bo Baśka rży. Baśka rży... Daleko, daleko w zaspach... A nim wzrok do szyby przyleciał, porywał go ze sobą wiatronogi lot jakoby sen w czasie burzy na szczycie

Wiatr

masztu, sen pełen trudu, w którym nie ma czasu na pochwycenie tchu z powietrza. Le-
ciał tak po przestworzu ośmy i przerażenia, u boku śmierci. Aż oto dobrotliwy, łaskawy
i miłosierny wylew potu jakoby wodą zlał jego czoło, ręce i nogi. Przyszedł nań na wzór
aniola miłośnika, pokropił spalone ciało hizopem, tak samo jak obfity deszcz ratuje od
śmierci zgorzałe ziele.

Serce uciszyło się i wytchnęło na krótką miareczkę czasu. Wtedy uciszało się wszelkie
uczucie. Cisza i spokój...

Słyszał głos mówiący:

— Jeden żołnierz z naszych stron był i w piekle, i w niebie... A to tak było. Ten
żołnierz szedł od wojska, a służył siła lat pod niemieckim królem. Przelazł brodami bez
Wisłę i miał jeszcze przechodzić bez wielkie lasy, bez Golejowskie. No, dobrze. Wchodzi
do tego lasu i patrzy: stoi dziad staruszek, a prosi go o jałmużnę. Żołnierz pada: — „Mój
dziadku, idę od wojska, przeszłużyłem siła lat, a dostałem od króla ino trzy dukaty, hale
niech ta, dam woma jednego”. A we środku tych lasów Golejowskich zdybał drugiego
dziada na drodze, i ten go znowu prosił. Tak ón znowu to samo powiedział i dał mu
drugiego dukata... A jak już wychodził z lasu, tak znowu zobaczył dziada. Wtedy ten
dziad wstaje i powiada: — „Cóż ty, żołnierzyku, chcesz ode mnie za te trzy dukaty? Czy
Królestwo Niebieskie, czy skrzypki i torbę?” — „A jakież to, dziadku, macie skrzypki,
że ta aże za Królestwo Niebieskie obstoja?” — „Takie mam skrzypki i taką torbę, co jak
zawołam: *Chinaj do śnapsaka!* — to ci samo wpadnie, co ino chcesz...”. Tak ten żołnierz
powiedział, że woli skrzypki i torbę. Ten dziadek dał mu toto. Ha no, żołnierz idzie,
idzie, aże przyszed do wielkiego miasta, do Krakowa. Wlazł na rynek i słyszy, jako ludzie
gadają, że w tym mieście zbudował król spaniały zamek, ale w tym zamku nik mieszkać
nie może, bo kto tam nocować przyńdzie, to mu zara cosi łeb urwie. Król ogłosił, że
jakby taki się znalazł, co by tych diabłów wypędził, toby mu dał swoją córkę za żonę.
Żołnierz powiedział, że ón się podejmie to zrobić. A i poszedł. Siadł se, obstawił się
dokoła święconą kredą, wzion te skrzypeczki i nic nie pyta, ino gra. Hale, o straszna
godzino! O północy drzwi się otwarły, i do tego żołnierza pakuje się dwonastu diabłów.
Żołnierz nic nie pyta, ino gra, a diabły proszą go tańczyć. Ón gada: — „Nie mam ta
ochoty, hale jeśli chceta koniecznie, to pójdę, ale mi, psiekrwie, musicie pierwej przynieś
wór pieniędzy”. Lucyper wyprawił kilku diabłów — i przynieśli wór. Hale żołnierz gada:
— „Za taki mały woreczek nie oplaci mi się z wami tyńcować! Przyniesta jeszcze jeden”.
A jak widział, że już ma dosyć pieniędzy, jakże nie zawrzaśnie: „*Chinajta*, psiekrwie, do
śnapsaka!”. Tak wszystkie diabły bach do torby! Żołnierz wtedy związał torbę śnurem,
buchnął w nią piercią, i wszystkie diabły rozlały się w maź, że ino lby zostały, a jednego
takiego lba czterech chłopów nie mogło potem udźwignąć...

Burza biła we drzwi i okna kłębami śniegu. Skostniałe jej łapy zgrzytały po szybce,
a głos rozjuszony skowyczał. Chorego obejmował sen. Budziło go tylko dalekie, dale-
kie w huku wichrowym wołanie... Ujrzał przed sobą starca pomiędzy dwoma rumakami,
które się wspinały jak tygrysy. Straszny dziad o twarzy jakby wykutej z piaskowca, o dłu-
gich siwych kudłach, rozczesanych na ciemieniu we dwie strony, trzymał je u pysków
i szedł krokiem żelaznym. Rafał uczył w rękę rzemień uździenicy. Starzec siadł na koń
i ukazał się na nim w całej swojej wielkości. Rafał uczył strzemię pod podeszwą i z dzi-
kim śmiechem skoczył na siodło. Piersi mu pękały od szalonego tchu i słowo wędło na
wargach. Schylił się do widma z szepem:

— Zawieź mię, zawieź...

Nie mógł wymówić nazwy. Zapomniał, jak się to zwie. Widział tylko w głębi swych
oczu, czy w mrocznych czeluściach nocy, bladą twarz... Przytulił do siebie ten widok,
pochłoniął go duszą tak, jak woda chłonie trupa topielicy. Poczęli teraz obaj z dziadem
wiać i świstać polami, polami, polami, z najprędzszym wichrem w przegony. Zmienili się
w kamienne bryły z piaskowca, lecące na obłąkanych koniach. Ręce ich stały się grube,
opuchłe jak u przydrożnych figur, oczy nie widziały nic, nawet ciemności...

Jakaż to dobroczynna siła dźwignęła głowę cięższą niż góra? Jakaż to władza poruszyła
skały rąk? Ślepe oczy widzą...

Siedzą ludzie na niskich pieńkach dokoła komina. Chłopy kudłate w kozuchach. Baby
w welniakach przędą i skubią pierze. Czerwony blask pada na ich zamyślane twarze,

pośepnie wsłuchane w głos starego chłopca, który coś mówi. Zgarbiony dziad mówi:

— Gada do mnie ten Franek Dyląg, że mu gwer nie wypalił. A tu ogień gęsty, kule pierą raz kole raz. Tak ja mówię sekretnym sposobem: — „Kulę wyjm, ciśnij na ziemię i zadek w piachu nogą”. Ale się złął: — Zobaczy, pada, kapral, to mię puszcza bez żywą ulicę. — „No, rzekę, jak ta chcesz!”. Ogień szedł, a on precz gwer nabija. Wtem zawołali: *Rubt!* — to niby na odpoczynek. Mnie feldfelbel pozwolił z glitu wyjść. Wyszedłem ja z glitu, a tu akuratnie wtedy Francuz nastąpił, sam ich najpierwszy naczelnik dalej w nas! Zawołali ognia dawać! Dyląg złożył się i wypalił. Wzieno mu gwer ozerwało. Zabił i siebie, i kolegę, co kole niego stał. Ja wracam na to miejsce, gdzie gwer ostawił, widzę, Dyląga już nie masz: inny żołnierz stoi. Tamtych zabitych w tył wywlekli. Nasz glit odstąpił, a inne na to miejsce przyszły. Patrzę, mojego Dyląga, choć już z niego ino zimny trup ostał, rozciągnęli na ziemi i bili tego laskowymi kijami w plecy, w brzuch, po łbie, dla postrachu innych...

Głowa Rafała zsunęła się znowu na wiązkę słomy, okrytą zgrzebną płachtą. Łzy gorzkie padały z oczu na Dyląga trup krwawy, łzy płomienne, nie wiedzieć czemu płynące.

Głosy rozmówców oddalały się wciąż i słychać je było jak przez grubą ścianę. Jeden mówił:

— Za tamtego, za króla, chłopca choć do wojny nie gnali. Pan z panem szedł bić się we światy...

— A tyś, chłopie, zdychał wedle zagona, jako ta krowa i kón...

— Tako i dzisiaj jak i za tamtego, za króla...

Dym burymi kłęby walił w izbę i wisiał nad głowami. Co chwila zsuwał się aż na ubite klepisko.

WIOSNA

Ziemia sandomierska kąpała się w majowym poranku. Okno w narożnej izdebce Rafała było otwarte, i zapach wiosenny, gwar ptaków, dalekie szczekanie psów we wsi przylatywały do niego. Ledwie je słyszał i ledwie widział. Od chwili do chwili ciskał nim niezwalczony, nerwowy płacz. Piersi jego rozrywał ból fizyczny, a ciężki ucisk gniółł je jak głaz.

Po długiej chorobie, która go przez marzec, kwiecień i część maja trzymała u drzwi śmierci, Rafalek wychudł do cna i szerniał. Ale dopiero gdy zaczął przychodzić do zdrowia, zrodziła się druga choroba: męczarnie duszy. Oto poprzedniego dnia powziął od siostr wiadomość, że z jego winy Helenę wywieziono do Krakowa czy do Warszawy, do Paryża czy do Berlina, że padło jakieś podejrzenie, jakiś domysł. Była to rzecz oczywista, że stracił ją na zawsze. Wiedział o tym aż nadto dobrze mocą tajemnych przeczuć, mocą uczuwania w półśnie, w drzemaniu, nieomylniejszą od rachunku. Stał się teraz brzydki jak trup. Nos mu się zaostrzył i wysunął naprzód. Zapadłe oczy płonęły w swych dołach, jakby się miały do znaku wypalić. Nie sypiał w nocy, a jeśli we dnie popadł w śnienie, miewał widzenia, których potęgi, plastyki, dotykalności nie sposób wyrazić słowami. Było to drugie życie, bardziej rzeczywiste, bardziej istotne niż na jawie. Tam się rozdziły pewniki, trwogi, nadzieje, decyzje, stanowiące życie ducha. Rzeczywistość była tylko jałowym, suchym, nędznym obszarem tęsknoty. Tam i ją widywał. Uczuwał jej obecność wśród drżenia ciała... W dymach błękitnych słyszał jej głos, śmiech-wesele, nadchodzące kroki, a budził się do tej straszliwej prawdy, że tego wszystkiego wcale nie ma, nigdy nie będzie, że to był sen.

Teraz o tym świetlistym poranku od pierwszego świtu, od pięciu godzin chodził po swej izbie tam i z powrotem, tłukąc się od ściany do ściany. Na podłodze zaczerniały tu i owdzie czarne krople spadłych łez. Były tak bolesne, tak spod serca, że je omijał, bał się na nie nogą nastąpić, jak na rzeczy, w których samoistne tkwi życie. Spotykając martwe przedmioty, oczy jego cierpiały jak od ukłucia noża, a myśli zamieniały się w zazdrość. Zazdrościł skibom ziemi, kamieniom, zagonom, dalekim przykopom i rowom ich losu. Leżeć, spoczywać bez bólu, nie czuć... Ale spokój na wieki, zda się, odleciał. Wbrew woli, na przekór wszystkim wysiłkom zazdrość przeistaczała się w bezrozumną „zaciekłość”, w dziką pasję rozdzierania ran własnych, w chęć nieustanną uprzytomniania sobie niedoli.

Wszystko pomagało mu w tym z szyderczą usłużnością. Ojciec wypędził go z domu, zezwalając na przebywanie w nim tylko do chwili wyzdrowienia. Osobliwie kiedy rozeszła

się po dworach plotka-domysł, tłumacząca przyczyny nocnej wycieczki Rafała i katastrofy z kobyłą, stary cześnik popadł w stan dzikiej, zajadłej wściekłości. Dom cały drżał z trwogi. Przypomniano sobie straszny stosunek cześnika do starszego syna. Przypomniano sobie ów sądny dzień, kiedy to ów starszy, młody podówczas oficer, dopiero wypuszczony z korpusu kadetów, w sprzeczce z ojcem o świeżo ze stolicy przywiezione nowinki, gdy ten zagroził mu bizunami i kazał wołać parobków, położył dłoń na rękojeści szpady... Matka i córki chodziły teraz na palcach i usiłowały tyle już wyrobić, wygłaszać, żeby młodszy mógł przyjść w domu do zdrowia. Rany z pokąsań wilczych zabiły się, a straszna jakaś choroba, która z tego wynikła, gdy go na pół martwego znaleziono w chłopskiej lepiance dalekiej wsi, wreszcie przeminęła.

Ale wówczas dopiero zaczęło się piekło. Starzec drżał. Skrzywione jego wargi miały przeraźliwe wyrazy, ręce ciskały w przechodzących co się zdarzyło. Wszyscy mieli krótko i węzłowato zapowiedziane, a osobliwie matka, że skoro tylko „wyrodek” będzie mógł stać na nogach, ma się z domu wynosić na cztery wiatry i więcej nie pokazywać na oczy aż do dalszego rozkazu. Stał już na nogach i tego też dnia miał po śniadaniu odjechać z domu. Matka słała go skrycie do owego starszego brata, który mieszkał daleko, w leśnej okolicy, gdzieś w pobliżu Małogoszcza. Biedna matka wiedziała, że i tamten syn jest ciężko chory, pragnęła tedy, wysyłając do niego młodszego, ratować jakoś obudwu. Powziąć zresztą wieść jakąś... Sama nawet pomyśleć, nawet zamaryżować nie mogła, żeby tam pojechać. Owszem, musiała udawać, że do tej chwili nie przepuściła mu w sercu. Udało się tyle przynajmniej przez podstarościego, pańskiego zausznika i faworyta, wyrobić, że wyznaczono fornalkę, najlichszą, rzecz prosta, i najlichszą bryczkę do wywiezienia Rafała.

Cześnik zgadywał, dokąd to powędruje wypędzony z domu. Może nawet w tajemnicy przed samym sobą pragnął także powziąć wiadomość o tamtym, o pierworodnym, o ukochanym niegdyś, który, niewidziany od tylu lat, za światem... pono umierał. Wieść tylko głucha, obojętna, z dziesiątych ust, jak pies milczkiem kąsający, dobiegała ucha i jadowitym zębem wieczną w sercu rozdarła ranę. Stary kutwa błąkał się co dzień miedziami, po dołach, po łąkach, rolach od świtu, a kiedy stawał na progu domowym i kiedy zaczynała się naokół panika, rzucał zawsze wrzaskliwe, drżeniem wszystkich kto żył przejmujące pytanie, skierowane nie wiedzieć do kogo:

— Czy ten złodziej nocny, czy ten gach jest tu jeszcze?

I tego dnia Rafał słyszał już ów krzyk, ale nie zwracał nań uwagi. Męka jego wewnętrzna była po stokroć, po tysiąc razy głębsza od wszystkiego, co go ze strony ojca spotkać mogło.

Żał mu było matki. Ale był to żal drugi, daleki, jakby przybłąkany... Słuchał jej próśb, zakłęk, cichych, szepowanych skamlań, słów wyłowionych z morza łez, zaczerpniętych z nocy bez snu. Odpowiadał z przymusem, boleśnie, naprędce skomponowanymi kłamstwami. Coś przyrzekał, zaprzysięgał głębokim, najuroczystszy szepem. Złatwiał rozmaite czynności, brał, wiązał, układał sekretnie znoszone posyłki dla Piotra — brata, którego prawie nie znał. Notował jakieś lekarstwa, uczył się na pamięć pozdrowień, błogosławieństw, słów-talizmanów, które zawierały wszystką od początku do końca matczyną miłość. W tej samej chwili wstrzymywał pod powiekami łzy krwawe, dusił w sobie szlochanie rozsadzające piersi, albo z całej siły woli krzywił usta w sposób cudaczny, wesołym, niby to młodzieńczym uśmiechu.

W czasie tych właśnie rozmów z matką i siostrami, gdy był zmuszony zajmować się swoją podróżą, cierpiał najbardziej. Myśli, porzucone przez chwilę, mściły się, czucia nieszczęsne tysiącem wściekłych rąk szarpały go za włosy. Czasami jednak przychodziły nań chwile przedziwne. Zatapiał się w najwyższą ekstazę miłości: upadał na twarz przed szczęściem utraconym. Schodziło nań coś nadziemskiego i nadludzkiego: zapomnienie o sobie. Wówczas, w czasie tych mgnień błogosławionych, choć łyły się z oczu, nie bolało nic a nic serce. Widział wprawione w duszę swą i patrzące wskroś ciemności błękitne oczy z dziękczynieniem.

Pogrążonemu w tak zasępienie marzenia dano znać, że konie na gumnie czekają i że czas już jechać. Wytarł oczy i nie oglądając się za siebie szedł z izby. Matka, płacząca z cicha w sieni domu, dała mu znak, że ojciec nie chciał go widzieć przed odjazdem.

Mając przed oczyma tylko sen swój wieczny, młody wygnaniec ledwo zrozumiał, co do niego mówią. Pożegnał matkę, siostry — niby to czule, i szerokim krokiem ruszył na

gumno. Stamtąd wyprawił go w świat podstarości.

Para starych, wychudłych szkap, odwieczna dropiata kobyła i gniany, ślepy wałach, leniwo wlokąc gnaty, na których tylko skóra wisiała, wyciągnęły w pola rozeschniętą bryczkę. Naokół, wzdłuż i wszerek płaskich wyżyn i okrągłych, lekkich wzgórków, zbożne niwy rozciągały się jak okiem sięgnąć. Opar gorący migotał. Suchy i ciepły wiatr chwiał miękką ruń jasnego żyta, ciemnej, łanami rozesełanej pszenicy, ledwo wychodzące z szarej roli pióra jęczmienia. Dech wielkiej przestrzeni wiał z tych dorodnych pól, odsłoniionych ku niebu, w pieszczotach słońca. Rozległe wąwozy, czyli błonia kierujące się ku dolinie Wisły okryte już były darnią zieloną. Strużki i poniki łąkowe stały się żółtymi szlakami jaskrów, a suchsze wzniesienia zasiało nikle, błękitne albo białe kwiecie. Poprzeczne parowy, co się zbiegają ku każdemu rozdołowi, świeciły w słońcu jasnożółtymi placami i żebrami szczerzej gliny. Gdzieniedzie uczepiła się ścian tych uroczych rozpadlin kolczasta tarnina albo krzak dzikiej, powikłanej jabłonki. Obiedwie tego dnia biały i różowawy kwiat okrył jakoby komżą świąteczną. Niskie dołki między polami napęlił żyjący połysk gałęzi. Białe brzozy stały tam po małych zboczach. Dotknięte żarem wiosennego ognia pławiły czuby swoich gałęzek w powiewach, omglone młodymi liśćmi. Oziminy spływały ku nim cudnymi zgięciami zagonów, jakoby głosy przerozmaite a wysokie jednego chóru. Chaty, gnieźdzące się w załamaniach parowów albo przylepione do wyniosłych ścian z gliny, odbijały jasnością od zieleni sadów. Już czujny modrzew, tam i sam stojący, okrył ramiona cudnością zieleni, jakoby tuwalnią pajęczą. Już krzywe, grubaśne pnie wierzb nad mokradłami puściwszy nowotne różgi stały w nich nikiej świece jarzące się od wielkiego blasku. Jeszcze tylko olchy martwo smutniały w jasnej przestrzeni, a czarne kępy rokitin rzuciły mrok na zieloną murawę. Zdało się, że nawet nędzne lepianki zakwitły na wiosnę. Dachy ich, wielobarwne od słomianego poszycia, na kalenicach przegnilego, jak stary aksamit złociły się na słońcu. Wikłowy płotek pleciak, snując się od jednej zagrody do drugiej, sam jeden tylko utrzymał szarą barwę zimy. Zataczał się krzywo i martwo, wspierał na wierzbach... A dokoła niego wszędzie już radosny jar okrył szarą nędzę ziemi. Od zetknięcia prętów z wietrzykiem wytryskały liście. Nawet na niebie kwitły całkiem nowe, nieznane, jare i zadzierzyste, śniade obłoczki.

Jedną z wąskich, mylnych drożyn sandomierskich sunęła bryczka wlokąc za sobą chmurę szarego kurzu. Zapadała na dno głębokich, zimnych wąwozów, wdrapywała się na szczyt płaskowzgórza... W jednym miejscu Rafał obejrzał się poza siebie i objął widny z dala dom i okolicę. Wpatrzył się w tę stronę rodzinną i w tłumie myśli bezładnych uczuł dokuczliwy żal. Żal ten uściśnął jego duszę, jak obcy przychodzień z nieznanego kraju, i znikł. Wzmogły się po jego odejściu wszystkie gorejące uczucia i nowy ich żywot się zaczął. Rafał czuł, że nic sobie poradzić nie może, oprócz tęsknoty nic nie zyska, a jednak, ujrawszy siniejące w dali na horyzoncie aleje w Dersławicach, radośnie westchnął. Droga jego nie tamtędy wiodła i furman miał już skrócić na lewo, gdy panicz rzekł:

— Wincenty... czy to my... tego... na Dersławice jedziemy?

— Gdzie zaś! Na Bazów, na lasy Golejowskie.

— Słuchajcie, jedźmy tamtędy... na Dersławice.

— A i po cóż my, tyłosny świat! Jak się wielmożny pan dowie...

— Nie dowie się!

— Hale, ón się ta nie dowie!... Będę baty brał.

— Wincenty! Dostaniecie ode mnie strawne i jeszcze kieliszek wódki. Dowiedzieć się nikt nie dowie... Jedźmy tamtędy!

— La Boga świętego, po cóż my, paniczku, na Dersławice? Tu droga jak strzelił... Zapowiedział podstarości, jak i co mam robić...

— Na moje słowo!

— No, jużci jakbym leżał pod gankiem...

Z rezygnacją zawrócił i pojechał w stronę Dersławic.

Była to ta sama droga. Na rozstaju stała figura. Ostre zapachy młodych pól teraz ją owiewały, cierpkie kwiatki przydrożne, żółte i siwe, stały się wiankiem u jej podnóża. Rafał zwrócił na nią oczy pełne łez. Całe życie przeszłe i przyszłe, wszystko, co było i być mogło, wydało mu się niegodnym jednego oddechu tamtej godziny. Na samą myśl, że ta droga, w marzeniu milion razy widziana, przebyta, uproszona w snach i widzeniach, już do celu nie doprowadzi, że jest jedną z wielu dróg nędzy człowieczej, czuł, że nie

miłość ma w sercu, lecz tylko pragnienie śmierci. Zachwycających spojrzeń nigdy już ujrzeć nie można, urok jej obecności komu innemu się udziela — oto wszystko. Zarazem rozważał cichą, kryjomą, badawczą myślą, że wioząc w sobie śmiertelnie chorą, na pół umarłą duszę, nie umrze teraz, lecz dopiero po nieskończonych latach. Przebywał z wolna wszystkie szczeble tęsknoty aż do ostatniego. Było to ciężkie utrapienie ducha. Dźwigał bowiem w sobie wroga własnego i jej szatana kusiciela, wiekuistego zdrajcę i obłudnika: zazdrość. Wszystka robota ducha upadłego na siłach nie miała już podniet.

Ostatnim sensem wszystkich wysiłków było słowo: stało się.

Nadaremnie otaczał się fosami, rowami i bastiony rozsądku, jak obląkany, który by toczył walkę na pięści z samym sobą. Wszystko rozsypywało się w proch i przemieniało w nędzę.

Zaszumiały nad jego głową derślawickie aleje. Olbrzymie lipy z prawieków, nadwiślańskie topole o cielskach na poły wyschłych, ledwie gdzie u szczytu okryte młodymi liśćmi, z cicha szemrały. Rozlegał się w całym ogrodzie gwar ptaków budujących gniazda. Głosy wywiegł, srok, zieb, trznadłów kryły się w mokrych gęstwinach. Droga, zniżając się na dół, zaprowadziła wkrótce przed kuźnię. Rafał kazał tu stanąć i zalecił furmanowi, żeby obejrzeć stan podków końskich. Zdziwiony Wicek zlął z kozła i zaczął ze złością podnosić kulasy jasnokościstym szkapskom. Okazało się, że istotnie zdarte żelaziwa ledwie się trzymały u kopyt. Rafał nastawał, żeby je poprzybijać nowymi hacelami.

Gdy kowal zabrał się do tej roboty, zeskoczył z bryki. Ociężale zbliżył się do sztachet ogrodu i stanął u przelazu, wspartego na dwu słupkach. Ujrzał dwór, sad, wysokie nad nim lipy... Samorodna altana pod baldachimem starego bzu pałała zielenią darni okrywającej ziemną ławkę. Wybujale zarośla jaśminu i dzikich róż zakrywały ją i tworzyły żywe ściany. Widząc to miejsce oczyma, Rafał ścisnął sobie gardło, żeby nie lkać głośno. Stojąc tak długo, kąsał się własną wściekłością, smagał każdym spojrzeniem oczu. Na rabatach przed oknami domu świeciły się kwiaty, ozdobione niezgasłymi kolorami. Okno wyśnione było otwarte i dwie jego połowy wonny wiatr z lekka kołysał. Białe ściany domu uroczyście i tajemniczo milczały w rozkwitłych koronach wiśni i jabłonek. Pnie drzew czereśni stały dalekim rzędem, rozwidłone u samej prawej ziemi, powikłane w konary, ze zwieszonymi gałęziami. Stara na nich kora pękała niby przyodziewek zetlały, rozłazący się to tu, to tam. Uliczka mokra jeszcze, brunatna od wilgoci, biegła popod białe różgi, w ustronia odległe, w klomby dzikich wielkodrzewów, w cienie. Długie i subtelne liście wiśniowe i grubsze śliwin lśniły się jakoby miodem powleczone. Ostry zapach kwiatów, śpiew niezliczonych ptaków, raszek, kosów, wywiegł nad tym ciemnym, szerokim dachem, wszystko to ścigało teraz i szczyło serce widokiem swoim.

Skrepowany czarownicami więzami nie mógł ruszyć się z miejsca. Wdychał jeszcze zapach tego ogrodu i pochłaniał go oczyma na zawsze... Oglądał widome drogi szczęścia i słodczy pełne cienie osłaniające święte jego szaty... Tylko szczęścia samego już nie było. Ulegał złudzeniu, że widzi siebie idącego z Heleną w stronę niewysłowionej altany. Głowa styka się skronią z jej głową, a dokoła szelest i gwar wiosenny. Kwietne się sypią puchy, biało-różowe śniegi rozkwitłych wiśni i jabłonek. Z ran, do żywego zadanych drzewom przez obcinanie gałęzi, sączy się aromat oskoły...

Czuł w sercu szczęście tamtego dnia i nadziemską mocą wyobraźni przenosił je całe, olbrzymie jak świat, aż do tej chwili i miejsca. I nagle jeden podmuch wietrzyka wszystko w proch rozbijał. Zlatywało na ziemię jako kwiat czereśniowy. Dom był pusty, niemy. Ramy okienne chwiały się sennym kołysaniem, a szara, wypęzła od dżdżów okiennica zgrzytała do taktu z ich melodyjnym płasem, zgrzytała z cicha starczym, zjadliwym, przemądrzałym śmiechem zardzewiałych zawias. Nie ma, nie ma, nie ma... — naigrawał się ten starości głos wyziębły. Okrutny wyrok rozległ się w głowie, jakoby głos dzwonu, który śmierć zwiastuje. Zasklepiąca od balsamów wiosennych rana rozdarła się na nowo. Ukazywała się spod złudy uczuć, spod miękki wielobarw kwiatów, z głębi prochów i dymów wonnych rzeczywistość chropawa, istotny, szorstki byt i wszystka jego głupia nędza. Wlokło się z głębin cienistych mądre, liczące straty i zyski rozczarowanie. Ze ściśniętymi zębami, z oczyma pełnymi ognia prosił się o cud powtórny, o widok drogiej postaci tylko przez mgnienie oka, o złudzenie widoku... Daremnie...

Trzeba było wracać na bryczkę.

Już kował załatwił się z podkowami, a Wincenty chrząkaniem dawał znać, że czas w drogę. Rafał zawarł powieki i z obojętnością wręczył rzemieślnikowi należne cwancygiery. W trakcie tej czynności rzucił ukośne spojrzenie na kuźnię, na wygryziony u wejścia żłobek... Nie obejrzał się, gdy bryczka ruszyła z miejsca, klekocąc wyschlými sprychami, i nie odwracał głowy, gdy mijała długi ogród. Miejsce to miał w sobie, zamykał je pieszczośliwie w duszy swej na siedem zamków.

Boczna droga, na którą z gościńca skręcili, powiodła ich w lasy. Jechali wolno w poprzek pól otoczonych borem, później znowu lepszą drogą, aż do Staszowa. Po kilkogodzinnym wytchnieniu, którego szkapska nieodzownie potrzebowała, ruszono dalej. Zmierch zastał ich na granicy jakichś łąk bardzo rozległych, wśród których stały się wody stawów, daleko jak gdyby jeziora błyszczące. Nigdzie, jak oko sięgło, nie było widać ani wsi, ani nawet chaty. Kępy lasów stały tu i owdzie nad owymi łęgami, które już kwiecie zaciągnęło. Po nadrzeczu czerniały smugi olch, wyniosłych brzoźtów, kępy drzew liściastych, czyli, jak mówił furman Rafałów, żywych. Przypiaskowa, to znowu bagnista droga szła brzegiem lasu. Konie wlokły się noga za nogą, utykanego, w sposób coraz bardziej niepokojący, aż wreszcie zgoła ustały. Nie skutkował ani bat, ani biczysko, ani klucie, ani głaskanie i posiepywanie za kantary. Zwiesiły stare łbiska dwa żywe trupy i z wlepionymi w ziemię oczyma pograżżyły się w sposób zupełny, obojętny na wszystko, nie wyłączając cierpienia i nie wyłączając śmierci.

Rafał tknięty został widokiem tych koni. Zsiadł z bryczki, obejrzał zwieszzone czerepy i zdecydował, że trzeba w tym miejscu nocować. Fornal wydobył zaraz worek z chudym obrokiem, odprzągnął szkapska i urządził im żłób w przodzie wózka, a sam chętnie wziął się do miętoszenia żuchwą partyki razowego chleba oraz skiby sera zzieleniałego od starości. Rafał nie był głodny. Ciało jego, rzekłbyś, przestało istnieć. Dusza, rozplomieniona, w udęczeniach, spaliła je na węgiel. Zaczął chodzić nad łąką w pobliżu bryki tam i sam, dusząc w sobie wszystkie szaty miłosne i zawierając je w sercu, które się szarpało i było ślepymi ciosy.

Z dala, nad łąkami, dogasała zorza. Niknące zglisko jej lśniło jeszcze przez czas pewien na wodach nieznanych, na latoroślach łóz, które z wielkiej odległości oko ujmowało jak gdyby promienie świetlne, na szczytowych liściach wyniosłego białodrzewa, sokor i wiązów. Gdy tak przygasło, że tylko ceglasty brzask po nim został, Rafał polecił służącemu nazbierać suchych patyków i rozniecić ognisko. Wnet wzbil się w górę pióropusz siniego dymu, i małe jadowite płomyczki zaczęły pożerać suche igły jałowcu.

W małym kręgu ogniska Rafał, stojący z dala, widział bezmyślnie, cielesnymi oczyma, zwisły nad opalką łeb naręcznego konia, wyschlą czaszkę z ruchomymi powyżej orbit dołami. Surowy i zimny czerep nasuwał się jako kształt cierpienia, jakoby jego wizerunek i obraz prawdziwy. Po niewoli wzrok znowu przywierał do zgasłych końskich oczu, do ich siły wyczerpanej, do oczu przeżytych, a tak niedościgle mądrych, tak udęcująco wielomównych, że w ich wyrazie mieścił się cały jakiś świat, alfa i omega bytu. W mowie tych źrenic żalonych, które przymusowo widziały płomień ogniska, bo je raził i nękał, można było wysłuchać słowa, i Rafał ostrym zmysłem cierpienia zaczął słyszeć wzdychanie ich z ciemności:

— O śnie wieczny, śnie wieczny!

Na pograniczu cichego lasu i łąk, od wilgoci łąk, od wielkiego bogactwa traw pachnących we dnie i w nocy, śnie wieczny...

O dobrotliwy spoczynku kości znużonych!

W świętej ciszy nocnej, pod rosą z niebios zstępującą, w południa, w słońcu, co pali aż do zgnicia wszelkiego truchła, pod ulewnymi deszczami, które bez wytchnienia pracując obmyją, co się ostoi.

O puchy miękkich traw, które przyniesie wiatr wiosny! Kwiaty, mające się z nas urodzić... Błogosławione nasionka, którymi proch nasz zapłodnią ptacy i motyle...

Wewnątrz lodyg, w tkankach badyli krążyć będzie nasza krew i nasze ciało.

O woniejąca rodzino nasza, bracia i siostry! Dzwonki polne, maki, bławatki, bratki łąkowe... O usta nasze i oczy umarłe... W was będzie łkanie naszych piersi, w was bicie serc, w was płomień miłosny naszych żył...

Rafał odszedł. Rozgrzany piasek jeszcze nie ostygł. Nogi z lubością zatapiały się w nim, a torfiasta w głębi ziemia głucho dukała. W dali rechotały żaby. Chór ich tworzył melodię

kołyszącą, senną. Niekiedy z jej głębi dawał się słyszeć przeciągły, głuchy, cudzy pobrzęk. Wówczas mimo woli nasuwał się na oczy odległy widok. Wznosiła się z bagien olbrzymia głowa porośla tatarakiem, grzybieniem i skrzekiem, opleciona chwasty wodnymi, wywracała do gwiazd rozbłyskujących w niebie przejrzyste, jasnobarwne oczy. Śniło się, że leniwym ruchem dźwiga błoniastą rękę i niesie do ust piszczałeczkę, wykręconą z najmłodszej różgi wierzbowej, która się w ciągu poprzedniej nocy urodziła. Lepkie żabie palce przebiegają po dziurkach ligawki, i leci w zroszoną dal przygrywka żabiego chóru. Leci, błąka się, ginie między wysokimi drzewami...

W pobliżu czerniał iglasty bór. Nieruchomy, nieżywy, bez głosu stał ciągnąc z łak i wysając w siebie ciemność najgęstsza. Z dalekości, z zarzecznych pagórków, które w nocy dawno zginęły, dolatywało czasami żywe naszczekiwanie psów. W innych momentach wybijała się na wierzch cisza. Ledwie-ledwie mąciło ją suche trzaskanie płonących igieł, brzęk niewidzialnego komara. Czasem koń głośniejsz chrupnął albo dmuchał nozdrzami z umysłu, żeby odwiać sieczkę i snadniej wargą trafić na nieliczne ziarna owsa. Od dalekich białodrzewów, z łona wód, spośród rokicin, iwiny i tataraku nadciągnął powiew szelestny, wiatr zwilgły, nasiąkły ożywcza wonią, rozszerzył się po suchym gołoborzu i obudził szum leśny, szum czarny, gęsty od tłustości żywicznej, parny, ciężki i gnuśny. Ale za chwilę z suchych piasków uciekał i znowu cisza przyplływem niepostrzeżalnym wracała na dawne miejsce.

Rafał wyciągnął drugi worek z obrokiem, rzucił go wzdłuż bryczki i położył się na wznak. Patrzał w niebo rozwartymi oczyma. Miał jeszcze w sobie osłupienie i niemoc nabytą w chorobie. Od gwiazd sywał się w ciemność nocy pylny brzask, srebrny posiew światła. Białe smugi pary, mgławice obłoków, nieskupione jeszcze pierwociny chmur cicho i sennie przepływały między gwiazdami. Ciałka ich mleczne nikło jaśniały od brzasku-poświaty gwiazd, by nieco dalej posunawszy się w otchłań, rozwiać się w niedościgłą dla oka formę, stać się niebem.

Noc była parna. Migwały z rzadka szybkie i bezdźwięczne, suche błyskawice, które lud zowie zwiastunkami pogody. Zostawały po nich w oku tylko prześliczne, niebieskawe wizje fioletowych lasów, wsi usypiających między sadami, pól zielonych. Wzrok i myśl zatapiały się w nieprzeniknionej noc, szukając nadaremnie widzianych przez chwilę zarysów.

Fornał usnął jak kłoda w pobliżu gasnącego ognia.

Kiedy Rafał leżał beczynnym, rad, że nic nie czuje, że nawet nie wie, gdzie jest i co się z nim dzieje, w pobliskiej kępie olszyny rozległ się dźwięk... Jeden, po nim drugi, trzeci... Młodzieniec zerwał się i usiadł. Słuchał tonów słowicznych, całował je z radosnym uśmiechem, przyciskał do serca wszystką mocą duszy, wszystkimi siłami ciała. Z wolna te dźwięki metaliczne, tony pierwotne, tak lekkie, jakby je wywoływało dotknięcie strun cytry przez różnobarwne pióro pawia, poczęły zapadać w niego, lecieć wskroś, jak ostry krzemień przelatuje głębiny wody. Wówczas posłyszał wyrazy... Wyrazy niematerialne, nazwy-pieszczoty, pogłaskania, dotknięcia pełne czci, pocałunki oddane duszy przez duszę wpośród ukłonów aż do ziemi i wpośród dymów wonnego kadzidła. Wyrazy nowe, o których nic nie wiadomo, czym są: czy miłością, czy nienawiścią, czy litością, czy wzdargą i potępieniem. Usłyszał całe dzieje swojej miłości w owych poświstach przecudownych, lecących jakoby brylantowe strzały w jasny lazur aż do samego zenitu, w zagięciach dźwięku, który w boleści na dawne miejsce powraca jakby niewolnik w jarzmie z krzyżem zgiętym, poszarpanym batem siepacza, w strzelistych pieniach samotnych, pełnych siły i dumy, w dźwiękach wolnych, oszalałych z zachwyty, najpotężniejszych na ziemi, niedościgłych. Zdawało mu się chwilami, że to w nim samym, sobie samemu śpiewa ów niewysłowiony złotostron i że to on sam wrywa z niego zdrętwiałymi palcami owe krzyki duszy, przeciągłe, długie, padające jakoby ptaki zabite u jakiegoś kresu boleści. Posłyszał imię kochanki, nazwę jej włosów, barwę jej oczu. Złożył umęczoną głowę na jej piersiach trzęsących się od płaczu, przycisnął usta do policzków, do powiek mokrych i słonych od całonocnych łez.

Pierwszemu słowikowi, który tę tonikę zaczął, odpowiedział z dala drugi, tamtemu trzeci... Do tego trójdzwięku przyłączył się czwarty tworząc z pierwszymi akord niewysłowiony. Daleko w gęstwinach nadwodnych śpiewał ostatni.

Były to jak gdyby czaty, nocne wojska uczuć, wigilie czyhające po nocach na samotną miłość, która by się zabłąkała przechodząc tymi stronami.

Skoro tylko dzień zaczęło, zbudził Wincentego i jechał w dalszą drogę. Wypoczęte i popasione konie szły różnie. Z prawej i lewej strony widać było wsie i folwarki spalone przed dwoma laty do przyciesi. Stały jeszcze szerokie, czarne place zgorzalej ziemi, których murawa przejąc nie zdołała. Leżały stopy opalonych belek, krokwi na węgiel zetlałych. Rozwarłe paszce okien we dworach, drzwi powyłamywane, okiennice wiszące krzywo na ostatnim haku, sufity zawisłe nad zburzonymi ścianami, do pół strącone kominy i piecowiska przywalone zeschlłym popiołem widać było naokół. Tu i ówdzie wznosiły się na popieliskach domostwa, stodółki, obory. Tam i sam nowy dwór dźwigał się między zwęglonymi lipami, które, jak czarne pochodnie, były w oczy ze środka zielonych pól. Większość wiosek stała jeszcze pustkowieciem, gnieździła się w budach.

Z południa Rafał minął Chęciny. Stary, strzaskany zamek, baszty czarne, pęknięte, mur trupi unosił się przed nim w powietrzu niby czaszka rozbita. Wjechali w okolicę górzystą, leśną i dążyli do miejsca przeznaczenia. Nigdy tu jeszcze Rafał nie był. Ukazał mu się kraj zgoła inny: cichy, zapadły, smutny. Przestrzenie wzgórz bezużytecznych, o glebie czerwonej, zarosłej sośniną albo jałowcem, piaski na wzniesieniach, sapy nad rzekami. Z traktu skręcili na boczną drogę i wąskim leśnym szlakiem jechali aż do wieczora. Korzenie świerków jak węże przerastały drogę, a gdy się od niej cofnęły drzewa, to otwierała się przed oczyma żółta smuga litego piasku z dwiema koleinami, które daleko, daleko w las się ciągnęły. Dookoła stały smukłe świerki, jak strzały zaopatrzone w bełty dla bardziej chyżego lotu. Zielony, świecący się mech wiosenny otulał rudawosiną ich korę. Słońce wnikało do głębi lasu i promienie jego przelewały się nie tylko przez gąszcz gałęzi, ale nadto prześwieślały nowe, tegoroczne ich wyrostki. Młode, miękkie, zielonożółte igły były przezroczyste jakoby krople wody. Cień od drzew był na młodych murawach dziwnie uroczy, lękliwy, płochy i czuły. Zdawało się, że niechętnie znosi ludzkie spojrzenie, że istnieje tylko dla siebie, a cofa się i kryje, gdy nań patrzeć. Rafał śledził go spod nawisłych powiek.

Szeptał do niego jak do brata:

— Cieniu, mój cieniu...

Różowe, wiosenne szyszki zdały się topić i rozplywać w ciepłe słońca. Pachnąca żywica wylewała się z nich i zapach jej spływał ku ziemi. Jeszcze się trawa bujna nie puściła w lasach. Zeszłoroczne igły i suche liście zaścielały grunt barwą cmentarną, ale już tu i tam mokra droga w głębokim cieniu lśniła istnym szmaragdem zieleni. Miejscami grunt był twardszy. Tam w gąszczach jedliny dymią się młode brzoźki niby obłoczki wiosenne. W głębi lasu drzewa się przerzedzały i widać było samotne obręby, gdzie na znacznym obszarze spokojnie usypiały smugi płytkiej, stojącej wody. Warstwy spadłych igieł leżały na jej dnie, rudziejąc żywo jak bursztyn. Dookoła takich zalewisk z wybuchem krzewiła się zieleń borówek, młode, jasnozielone świerczki taplały się w niej jak gąsienice, a jaskry ze wszech stron ramą obejmowały płomienną. Na zwilgłym w pobliżu sapie barwiły się niebieskie kwiatki Matki Boskiej i kępy niezapominajek.

Szkapy szły noga za nogą. Koła bryczki zeskakiwały z korzenia na korzeń albo zarzynały się w głębokim piasku. Wówczas bryczka ledwo-ledwo podawała się naprzód, monotonicznie skrzypiąc. Suchy piasek sunął po sprychach jak w klepsydrze. Dla Rafała bardzo miłymi przyjaciółmi były te leśne głębiny. Czuł się tu skrytym ze swoją duszą, niewidocznym i jakby przyciętym. Tęsknota jego, jak niewolnica na powrozie, znużona długim jarzma uciskiem szła w kraj naznaczony, patrząc z żalobą na miejsca, które mijała. Po uprawnych niwach sandomierskich, gdzie wyzyskaną była każda skiba aż do przykopy, te zapomniane obszary lasów, rosnące samowładnie, także jak przed wiekami, takie same, być może, jak na zaraniu świata, były bliskie jego duszy, chorej z miłości. Pchało go, żeby wyskoczyć z bryki, rzucić się tu na ziemię i samemu zostać w ciągu długich dni i długich nocy, dotykać rękoma tylko drzew, a ustami kwiatów. Słuchać, jak wiatr sennie przygrywa na gałęziach sosen...

Był na granicy, na samym progu rozumienia przedziwnej mowy owych leśnych, płytkich jezior i drzew, które w nie patrząc przez lata, słyszał dźwięk, szept, westchnienie... Wiedział dobrze, jakby był swoim własnym profesorem, że jeśli teraz głosu owego nie zrozumie, nie pochwyti go w duszę swoją, to już nigdy, przenigdy nie odezwie się do

niego ta mowa. Jechał dalej a dalej, dziwiąc się samemu sobie, uczuciom, które się w nim z wolna przetwarzały, żywym, twórczym głosem świata.

Miało się już pod zachód słońca, kiedy wyjechali z lasów. Otworzyła się przed nimi jakby ogromna polana, wykarczowana z boru. Rozdzielały ją piaszczyste wzgórza porośnięte karłowatą sośniną, jałowcowe przestwory i uprawne pola. W dali, na krańcu tego obszaru, pod przeciwległym lasem, błyszczał w zachodzącym słońcu ogromny jakiś staw i rzeka, która długą taśmą blasku wiła się w nizinach zarosłych olchami. Miejsce, gdzie znajdowała się bryczka, było pod wzgórzem i całą rozległą dolinę widziało się stamtąd jak na dłoni. Daleko, nad owym stawem, biał się w kępach drzew biały dwór.

— To je Wygnanka, paniczku — rzekł Wincenty, obracając się na koźle. — Tam młody pan mieszka.

— To jest Wygnanka — powtórzył Rafał.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że wkrótce ma powitać brata. Nie znał go prawie, gdyż ów brat, poróżniony z ojcem, nigdy w Tarninach nie był. Wiedziano tylko o nim, że raniony ciężko, bliski był śmierci i że później osiadł w owej Wygnance. Te wiadomości, Bóg raczy wiedzieć od kogo, jakby od głuchej ziemi, miała matka. Wiedział o tym i ojciec, ale nigdy ani jedno słowo o synu Piotrze nie było wymówione głośno w Tarninach. Rafałowi przysła teraz do głowy myśl, że i brat może go źle przyjąć... Cóż wówczas? Nie odpowiadał sobie na pytanie, ale miał je wyryte w sercu. Wówczas zostaje... Kraków, Warszawa, Berlin...

Słońce zeszło za dalekie lasy, i stłumiony został ostatni jego promień. Znużone konie wlokły się tak ociężale, że furman co chwila wyrażał obawę, czy aby znowu nie ustaną. Jak na złość, droga była jak najfatalniejsza. Niezglębione bajory stało między dwiema długimi przymami kamieni, które wyrzucono z roli. Kamionki te osłonięte były kępami tarniny, która już okwitała. Na przypiaszkowych gruntach widać było mizerne pióra żyta i owsów. Gdy zmrok zapadł, w owym dalekim dworze wyblęły światła w trzech oknach. Rafał dziwnego doznał ścisnienia w piersi. Patrzył w te okna, których wydłużone odbicia widać było w połyskliwej wodzie stawu — i nie mógł od nich oderwać oczu. Była to pierwsza chwila, w której ciągu nie cierpiał.

W nocy już przywlekli się nad brzeg wody. Drożyna, podarta przez wiosenne ulewy, zniżyła się za groblę i szła między gajami olszyn, w bród przecinając strumienie, które płynęły z upustu i młyńskich pogródek. Koniska same ją znajdowały w ciemności. Cały ten obszar przesiąkły był wodą i napojony jej ciekawym, nęcącym, uroczym szelestem. Mrok pełen był wieczornego oparu. Zarysy drzew, krzewów, kęp i gąszczów wynurzały się i ginęły w ciemnicy. Wyżej nad poziomem stawu srebrzył się białawy, rzadki tuman. Serce Rafała biło niespokojnie. Rozglądał się w ciemności jeszcze niepełnej i zapoznawał sercem z tajemnicą tego zakątka. Widział przed sobą ciągle na wzgórzu świecące przez gąszcze drzew owe trzy okna. Minąwszy czarną, litą masę młyńską, bryczka zwróciła się w górę i stanęła przed zamkniętymi wrotami.

Naokół nie było żywej duszy. Wincenty zaczął wołać, ale nikt nie nadszedł, więc sam odniósł na bok wrótnię. Dziedzinię wciągnął ku górze, aż do dworu. Bez turkotu, bez szelestu prawie zajechawszy pod cień ogromnych drzew przed gankiem, Rafał nieśmiało zeskoczył z bryczki i wszedł do sieni. Gdy stuknął w ciemności, poszukując wejścia, drzwi otwarły się przed nim i człowiek wysokiego wzrostu zapytał w sposób wskazujący niezwykłego jękał:

— Któż ta?

Rafał nie wiedział, co ma odpowiedzieć, gdyż nie brata miał przed sobą. Zapytał wreszcie:

— Czy pan kapitan Olbromski jest w domu?

— W w... w... domu. A któż ta?

— Brat.

Ów człowiek odsunął się i Rafał wszedł do pokoju. Gdy się znalazł za progiem, ujrzał brata wychodzącego z sąsiedniej izby. Kapitan Olbromski był wysoki, szczupły i nieco naprzód pochylony. Miał twarz bardzo piękną, zupełnie wygoloną. Długie włosy z czoła w tył zaczesane spadały aż na kołnierz jego białego surduta. Gdy rozpoznał Rafała, uśmiech głębokiej radości, prawie zachwyty, prawie szczęścia ukazał się na jego twarzy. I w sercu Rafała coś drgnęło na widok tej postaci, którą z dzieciństwa ledwie-ledwie jak przez sen

pamiętał. Kapitan przycisnął go do piersi i bez słowa, długo całował w usta. Gdy go wreszcie posadził przy stole, jeszcze długo, zasłaniając oczy od blasku świecy, patrzył na niego w milczeniu.

— Sam przyjechałeś? — zapytał wreszcie przyduszonym głosem.

— Sam.

— A mama, ojciec żyją?

— Żyją, proszę brata.

— I zdrowi?

— Zdrowi.

— A siostrzyczki: Zofka, Anusia!

— Zdrowe...

— Zdrowe...

— Mama tu do mnie za tobą nie przyjedzie?

— Nie.

— Nie przyjedzie... Ale ty zostaniesz dłużej, prawda? Nie zaprzecz! Prawda? zostaniesz?

— Zostanę.

Kapitan położył rękę na rękę Rafała i ścisnął ją mocno. Po chwili odwrócił się do służącego, który stał przy drzwiach, ze słowami:

— Michcik, zajmiesz się końmi panicza i pomyśl o wieczerzy.

— We-we-dług... — mruknął tamten szczęknąwszy przy tym zębami, jakby chciał ukąsić coś zawieszony w powietrzu, wykręcił się na pięcie i poszedł.

Gdy zostali sami, kapitan Piotr spoglądał za nim we drzwi przez czas niejaki, a potem zwrócił się do Rafała z pytaniem:

— Czy ojciec dobrodziej, czy... nie kazał powiedzieć mi... To jest...

— Nic a nic! — rzekł Rafał prędko i zacerwienił się, jak gdyby go schwytano na uczynku kradzieży. Czuł w sobie niesłychane jakieś wzburzenie, niedoświadczane nigdy. Pierwszy raz w życiu stał w obliczu czegoś, co było niby nim samym, a było razem obce, wyniosłe, dostojne.

Piotr powtórzył jak echo:

— Nie, nic a nic!

W dźwięku tym brzmiało tyle krwawego cierpienia, że Rafał znieść go nie mógł. Czuł, że musi złagodzić to, co powiedział.

— Jakem wyjeżdżał — zaczął tonem objaśniającym — to nawet nie widziałem jego-mości, bo był właśnie... w polu.

— W polu był... — uśmiechnął się starszy.

— A tak, wyszedł...

— I nie pożegnał się z tobą?

— A nie, bo nawet... muszę powiedzieć...

— Mów ze mną śmiało. Ja cię nie będę sądził surowo... — uśmiechnął się Piotr. — Musiałeś coś tatuńcowi przeskrobać.

Rafał wyszczerzył się cynicznym, niemłym śmiechem, który ukazał wszystkie jego zęby.

— A rzeczywiście...

— Mówże śmiało!

— Jegomość tatuńcio kazał mi precz jechać z domu! Tyle że mi dał ślepego wałacha i kobyłę Margolę do wywiezienia, jak trupa na mogiłki.

— O! I za cóż to?

— A bo zajeździłem wierzchówkę.

— Zajeździłeś kobyłę... I za to tylko?

— A no... mówię bratu.

— Cóż to za kobyła takiej ceny?

— „Baśka”, co to żrebica po Popielatce.

— Nie widziałem jej... Dawnom już w domu nie był. Ale nie martw się, Rafciu. I ja wyjechałem, a raczej wyszedłem, bez pożegnania, prawie psami wyszczuty. Dawne to rzeczy... Myślałem, że ojciec przysyła przez ciebie...

Kapitan wstał i począł chodzić z kąta w kąt izby. Rafał wodził za nim oczyma i z nadzwyczajną ciekawością wchłaniał w siebie jego figurę, sposób mowy, każdy ruch, gest, każde skrzywienie twarzy. Nie mógł sobie dać rady z uczuciem nieporozumienia, jakie go ogarniało na widok postaci tego brata. Nie mógł na to przystać, że ów brat tajemniczy, który poza dom rodzinny gdzieś na świat się wyniósł szeroki i stał symbolem rzeczy okrytych milczeniem, grozą, rzeczy wielkich i straszliwych, mieszka oto w tak nędznym starym domu. „Toż to jest on? Piotr?” — myślał przypatrując mu się ukradkiem. Ale jednocześnie, gdy znikająca owa gruba zasłona, usunęła się razem jakby zaporą dzielącą. Nienasycona ciekawość i coś innego jeszcze, nowego, bliskiego, miłego, kazało mu zapomnieć o wszystkim na świecie. Oczy mu się świeciły jak dwa ognie żywe.

Piotr stanął przed nim. Zaczął mówić:

— Widzisz, braciszku... Jesteś jeszcze bardzo młody i nie powinieneś może wiedzieć o tym wszystkim, co ci wyjawilem. Ale... któż wie, co się stanie jutro. Chciałem ci otwarcie powiedzieć, dlaczego tak dawno u was nie byłem, żebyś nie myślał źle o moich sentymentach dla rodziny.

— Nie, gdzież tam!

— Tak było ze mną... Oddał mię ojciec do szkoły kadetów. Nie byłem w domu bardzo długo, bo na lato zwykle zabierał mię do siebie jeden przyjaciel ze szkoły. Przyjechałem do Tarnin pierwszy raz, gdy już był gefrejterem. Miałem głowę naładowaną myślami... Nie wiem, czy mię będziesz rozumiał...

Eks-student przybierał miny jak najbardziej odpowiednie, choć w istocie nie był pewny swego.

— Już w szkole, uważasz, zaczęła się była komocja w umysłach. Dużośmy czytali... *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, *Żywot Chodkiewicza*, to były jakby światła pochodni w noc ciemną. Dam ci te książki... Na opresję kmicę, na kurs sprawy publicznej krwawym patrzaliśmy okiem. Każdy zaufał w szpadzie i na nią poprzysiągł. Wierzyliśmy, że cała Rzeczpospolita na naszym leży ramieniu i że to my ją wydzwigniem. Gdy wróciłem do domu i zaczął rozmawiać z ojcem, porwała mię desperacja. Ojciec stał po stronie i w szeregu tych, których na śmierć nienawidziłem. Kazał mi tak postępować, tak nawet myśleć jak on i oni. Nastawał, żeby się zapał samego siebie. W jednej rozmowie zelżył mię, w drugiej zagroził...

— Wiem, wiem... — jęknął Rafał.

— Słyszałeś o tym w domu? — pytał Piotr schylając się nad nim.

— Słyszałem.

— Mama ci mówiła?

— Mama, Anusia...

Piotr oddychał szybko i ciężko... Policzki mu pały. Prędko chodził po izbie i kiedy niekiedy rzucał wyraz cichy jak oddech:

— Zdeptał mój oficerski honor. To nic! Ale duszę wszystką nogami... W strasznym gniewie, w dzikości wzburzenia... gdy parobków... krzyknąłem, że mój oficer, że się nie dam... wyrwałem z pochwy. Boże mój!...

Usiadł prawie bez tchu. Siedział tak, chwytając oddech piersiami prędko i z trudem. Mówił jeszcze:

— Nocą wyszedłem. Tyle już lat! Gdyśmy z Braclawszczyzny pod Grochowskim dniami i nocami ku Połańcowi... z dala widziałem naszą stronę... A potem... żeby też słowo!

— Ojciec nic o bracie nie wiedział, i my to samo...

— A i cóż mieliście wiedzieć? To co o każdym. Na Szczekocińskim placu... skłuty mnie bagnietami Prusaki... Krew mię uszła... Leżałem między trupami. Ten oto żołnierz, coś go widział, wrócił się po mnie w nocy, nalazł mię półżywego. Na rękę wyniósł... Leżałem po dworach w Krakowskim, a jakem wreszcie wstał, w gruncie rzeczy... nie było już po co...

Strzepnął palcami i rzekł prędko:

— Och, nie mogę... gadać!

Po chwili jednak zaczął znowu:

— Przyszedłem tu z tym żołnierzem, skąd on rodem. Wziąłem w dzierzawę tę oto wioszczynę i tak siedzę. Ziemi tu mało, więc karczujemy jałowce. Smutek mię zagryza... A z domu... żeby też słowo!

Rafał, pobudzony przez szczególne uczucie, zaczął mówić o domu, rozwodzić się o wszystkim, co zaszło i zostało w pamięci. Piotr zatrzymał się znowu przed nim i palającymi oczyma rozniecał w nim swadę. Porozumiewali się za pomocą dźwięków urwanych, zdań ledwie zaczętych, okrzyków, naśladowań głosów ludzkich i zwierzęcych. Piotr pytał się, jak chłopiec, o drzewa przed domem i w ogrodzie, szczególnie o pewien stary brzost w dole sadu, o konie i psy, o sprzęty w domu, o pola, drogi, o parobków i chłopów. Oczy jego i usta śmiały się teraz tak samo jak oczy Rafała. Stali się teraz zupełnie podobni, byli jak jeden we dwu osobach. Czasami, wśród powieści o czymś domowym, przerywali sobie cichym okrzykiem, jakimś ledwie początkiem śmiechu, i niby na skrzydłach lecieli do czegoś innego. Piotr zadawał pytania o stare ciotki, o rezydujących niedołęgów, a o każdego i każdą dowiadywał się jednym jakimś ruchem naśladowującym, jednym charakterystycznym zmrużeniem oka, albo samym bezsłownym dźwiękiem głosu. Niekiedy w środku żywego śmiechu twarze obudwu krzepły jakby zmrożone, gdy przesuwało się jakieś bolesne, bez słów wiadome wspomnienie, jakaś klęska znana i wiecznie, pomimo wszystko, żywa i wielka.

Michcik nakrył stół małym obrusikiem i ustawił talerze, a oni tego nie dostrzegli prawie. Wieczereć więcej niż biedną spożyli prędko, nie zwracając uwagi. Michcik posłał Rafałowi na sofie obitej zieloną skórą i stojąc przy drzwiach niekiedy pomrukiwał.

— Idź spać, stary... — rzekł do niego Piotr nie przerywając rozmowy.

Żołnierz znowu wyjąknął swoje: „Według!” — i odszedł.

Świece spaliły się w blaszanych lichtarzach. Piotr wyszukał i zapalił nowe. Dopytywał się, pomimo wszystko, głównie o ojca. Zadawał tysiące pytań o jego zdrowie, chciał osiąść wszelkie szczegóły o tym, jak też wygląda.

Rafał, brnąc w opowiadaniu, tracił z oczu granice, których dotychczas nigdy nie przekraczał. Pierwszy raz w życiu był tak szczery. Sam nie wiedział, kiedy mu przyszła myśl, żeby powiedzieć Piotrowi prawdę o nocnej przygodzie, o walce z wilkiem, żeby wyznać miłość dla Heleny. Wtem niespodziane uczucie, jakby jej rozkaz, zaleciło mu milczenie.

Piotr słuchał wszystkiego z oczyma szeroko otwartymi. Po dziesięć razy kazał sobie powtarzać szczegóły. Od jednej sprawy rozmowa skakała do zgoła innej. Nie spostrzegli się, kiedy blask świec pobladł i sprzęty bardziej widocznymi się stały. Przez otwarte okna wpływał chłód rzeźwy. Gałęzie i pręty ich, pławiny z liśćmi ledwie rozwiniętymi, szedziwe od rosy nadrannej, bez ruchu leżały w pustkach okiennych, snem nieprzepartym objęte. Kiedy niekiedy wszakże jakaś gibka różga nowotna zadrżała niby od przenikającego chłodu, i nagle kroplisty deszcz z niej się sypał szeleszcząc w dwójnasób przestraszająco, jak zwykle we śnie... Kiedy niekiedy zimny i zwilgły wietrzyk nadwodny wieszał się między gałęziami hiszpańskiego jaśminu i tulil w mokre liście, żeby pod dachem ich na śliskiej, ledwie zrodzonej odnóżce usnąć na chwilę, wytchnąć pożywnym drzemaniem nadrannym. Z mglistej daleczyzny wynurzał się łagodny, miękki głos kurki wodnej.

Dniało.

W ramach okien rozpościerał się cichy błękit, a w nim ciemnymi smugami zarysowywać poczęły dalekie wzgórza i pasma leśne na równinach. Wysoko, na bezchmurnym niebie, jak lilia świeciła się ostatnim blaskiem gwiazda poranna — zwiernica. Już zorza rdzawą luną zza świata idąc obejmowała rąb ziemi. Piotr rzekł:

— Nie widziałeś nawet, Rafuś, jak tu jest u mnie. Chodź no zobacz. Już świta.

Stanęli obaj w otwartym oknie.

W dole, tuż za płotem ogrodu, widać było skroś gałęzi uśpiony staw. Z wód jego białoniebieskich, jak stał zsiniała od ognia, dymią się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu, opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale nim odeszły, stały nad nią, jak gdyby w modłach utopione. Zdawało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taką właśnie jest nieskończoność. Ale światłość z dala nadchodząca pokropiła hizopem cienie, i na jej wszechwładny znak woda samotna została w dole, a mgły porzucały jej łono. Zwijwały swe cudne, powłóczyste szaty, rozszerzały przezroczyte skrzydła i mdlejąc, wijąc się z żalu, ginęły w błękicie. Tam gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych, siostry ich błękitne śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne: jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku.

Dalekie mielizny piasku na płytkim wybrzeżu wody były różowe jak policzki zbudzonego dzieciątka. Za stawem, na płaskim wzgórku, stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniącą zasiewem jarego żyta, które już w niwę żyjącą własnym żywotem zmieniać się poczęło.

Piotr objął Rafała wpół lewą ręką. I Rafał nieśmiało ogarnął brata również ramieniem. Zamilkli. Nieruchomo przetrwali owo świtanie patrząc się w cudne wody, w niewysłowioną barwę niebios, która z wolna płonąć zaczynała, w żywe jej odbicie na nieruchomych odmętach. Było tak cicho, że wzajem słyszeli, jak życie w każdym z nich płynie...

SAMOTNY

Przeminęła wiosna.

Rafał spędził ją w Wygnance. Brat Piotr zostawił mu zupełną swobodę. Wygnanka leżała za borami, z dala od szerszych dróg, w pustce zupełnej. Roli tam było niewiele, i dopiero kapitan, wzięwszy wioskę w dzierzawę, począł wyprawiać i obsiewać nieużytki. Tuż za stawem, na wzgórzu, rozciągała się duża przestrzeń bezpłodnego pastwiska. Ta gleba, zarosła jałowcem, wrzosem, brzezina, a pachnąca macierzanką, była, widać, przed wiekami orana, gdyż znać po niej było wyraźne bruzdy i zagony.

Gdy Rafał przebywał ją po raz pierwszy, zdybał Żyda z krzywą nogą, który kilofem, mającym niejaki podobieństwo do niego samego, wydierał z ziemi jałowce. Rafał wdał się ze starcem w rozmowę i dowiedział od niego wielu szczegółów. Żyd nazywał się Uryasz („ale to tylko na papierze”), „naprawdę” zwano go Uryś. Był z fachu szewcem, ale robił także i inne roboty. Jak kilof do Urysia, tak znowu Uryś z całej swojej figury podobny był do drzewa, do wierzby, do pnia z krzywymi korzeniami. Sękate jego ręce okryte były dużymi plamami piegów, jakby zastygłą żywicą. Broda i pejsy tak spłowiwały na słońcu i w czasie pluchot, że przypominać mogły bardziej mech drzewny niż ludzkie włosy. Odzienie gałgańskie upodobniło się całkiem do kory.

Teraz, gdy pan kapitan zaczął trzebić pustki, jego do tej roboty najmuje. Dawniej, przed dwoma laty, pan kapitan czasami przychodził na nowinę i własną ręką darł jałowce. Ale pan kapitan i wtedy nie miał potrzebnej siły, a jałowiec ma korzeń długi jak ludzka bieda. Nie. Nie miał siły. Może miał dawniej, pewnie miał, ale teraz to już całkiem nie ma. Jak można mieć siłę po tak wielkiej słabości! Teraz już ani razu nie przychodzi na rolę. Pan kapitan jak wolnym krokiem przybył, to on lubił usiąść na kamieniu i patrzeć, jak Uryś pracuje. On nie dlatego przychodził, żeby tę robotę dopilnować... To nie jest taki człowiek, co drugiego pilnuje... Urysia nie trzeba pilnować. On siadł na kamieniu, podparł głowę na ręce i patrzył. On patrzył, on milczał. Ale za najmądrzejszą mowę obstoi takie niemówienie, jeśli człowiek tak patrzy na człowieka. Z przeproszeniem panicza, czemu taki chrześcijanin nie urodzi się na żydowskiego rabiną? Dużo się trafi mądre rabiny między zakonnymi, ale najmądrzejszy rabin między rabinami, sam magiet, nie będzie taki mądry jak pan kapitan. On wszystko wie ze swego rozumu. Jego każde słowo można sprzedać za gotówkę, jak najlepszy towar.

Parę razy to on się odezwał nie o te karczowanie, nie o zarobek, nie o jadło i napitek, nie o tutejsze, ale o tamte życie... Uryś nie pamięta, nie umie powtórzyć, co on powiedział o tamte rzeczy, o samym Adonaj, ale od tej chwili, kiedy kładzie śmiertelną koszulę i zacznie mówić pacierze, wie mocno, że on mówił czystą prawdę. On nie mówił, jak zawsze mówi — bez urazy — goj do Żyda, on nie mówił nawet jak Żyd do Żyda. Raz to on przyszedł, długo milczał, a w końcu zapytał się Urysia o tamte życie, o wieczność... Co to jest, jak człowiek umrze? Czy Uryś wierzy w Jahwe? Niech mu powie... Uryś się bardzo przeląkł, Uryś dygotał, ale powiedział mu prawdę. A potem on mówił takie wielkie słowo do najbiedniejszego Żydka z Wygnanki, że Uryś dopiero zobaczył jego rozum. To żyto ozime, co je tam widać, to kapitan sam wsiadł, ale tamto jare to już siał Michcik. Gdzie to kto widział, żeby taki szlachcic siał albo karczował? On się przepasał płachtą i sam siał. Urysiowi jest bardzo przyjemnie, że on karczował tę nowinę, a pan kapitan ją zasiał.

Piękny owies rósł tam na nowej ziemi, jak dzikie ziele. Wśród jasnego zagaja wybuchwały gęsto czarne, wyniosłe jego kępy o piórach szerokich, rozwiewnych i mieniących się w słońcu.

Rafał nie był tak łaskaw na Urysia jak brat Piotr. Opuścił go ze śmiechem i tylko czasami, z głębi brzoźowego gaju, który wśród pól dawniej wyprawionych pozostał,

przypatrywał się nieraz jego, twardej pracy.

W tym gaju, w rozległych łąkach, w dziewiczych i niedostępnych rokitach nad stawem, przepędzał dni albo i wieczory, pogrążony w gnuśne marzenia. Zdarzało się, że nieraz pół dnia przeleżał na wznak w dąbrowie, patrząc w niebo, w obłoki sunące wskroś lazuru. Zdarzało cię, że długie godziny trawił skurczony na kępie wśród wiklin i tataraków, niby to czatując na kaczki. Dopiero głód pospolity wyrwał go z marzeń i pędził ku domowi. Częstookroć oplątany przez swe myśli tak rozwlekle, że były prawie niczym, nie słyszał dzikich hukań Michcika powołujących go na żołnierski obiad. Innym razem przychodził w dobie całkiem niewłaściwej, pewny, że się stawia w terminie.

Jedyną rzeczywistością było dla niego to, co wrzało w sercu.

Dlatego taką radość sprawiała mu każda chwila samotności. Widoki stawu, zakrętów rzecznych, łąk w czerwcu, gajów i dzikich odłogów miały dla niego powab niewymowny. Ich życie, opuszczone przez ludzi, czarowało smutkiem swoim własnym, tamtejszym, przed wiekami osiadłym, a tak duszy znajomym! Trafiały się w ciągu tych dni chwile zdziwień prawie bolesnych, a jednak samą radością będące, skąd miejsca te posiadały coś z niego samego, jakąś część z głębokości jego duszy, jakimś cudem stały się widomym obrazem niepochwytanego sekretu miłosnej nocy.

Były tam czarne olchy nad wodą... Nie, nie olchy. Były czarne, z krwawymi pniami przecucia nad wodą błękitną i ruchomą, zmienną i słabą, których widok rozdzierał duszę smutkiem okrutnego rodzaju. Były młode dalekie brzoźki... Gdy Rafał zwracał stęsknione oczy ku ich wierzchołkom srebrzącym się w słońcu, ku sypkoszelestnym listeczkom, ku białopiennym ciałom, które się wstydliwie kryją w przejrzystą szatę, słyszał w głębi siebie jak gdyby obietnicę tajemniczą, wyjawioną przez głos obcy, głos pełen łaski miłosnej. Nie umiałby nikomu powiedzieć, czemu patrząc na widok czarnych rokit, gęstym zastępem wiecznie posępniejących nad wartkim nurtem rzeki, sam w sobie narzekał błąkając się w poprzek wszelkich ustaw rozumu.

Gdy nieraz leżał na suchych pagórkach, otaczających niskie łąki nadrzeczne, zatopiony w ciszę niezgruntowaną, i gdy w nim budziły się i rosły marzenia o szczęściu, serce męskie i myśl wspaniała, wysoko pod chmurami dawał się słyszeć chrzęst skrzydeł bujającego bekasa, jakoby śmiech szydery, pełen złych zapowiedzi. Osoba Heleny znikła z jego wyobraźni, nawet wspomnienie o niej wypełzło. Została się w duszy próżnia niejasna, usadowiona poza obrębem wyobrażeń, przez którą płynęły strugi łez...

Kapitan Piotr spędzał te dni w zupełnej również samotności. Od rana Michcik wynosił mu obszerne karło pod lipy na dziedzińcu, skąd było widać całą okolicę, i ustawiał je na kobierczyku. Kapitan spędzał tam dzień cały, sennymi oczyma patrząc w przestwór. Błada jego twarz, otoczona bujnymi włosami, bez ruchu spoczywała na dłoni. Częściej wszakże wsparta była bezwładna głowa o tylną poręcz krzesła, i oczy zwrócone w niebo. W konarach odwiecznych lip grały roje pszczół. Pachniał odurzająco subtelny, złotolity kwiat lipowy. Z rabat kwietnika, gdzie stały rzędem wątle balsaminy, goździki i kępy bratków, biła woń rzededy.

W dali za stawem widać było łąki okryte jeszcze trawami, które dopiero kosić zaczynało. Od młyna, nieruchomego w tej porze roku, dolatywał ciekły szmer wody cedzącej się ze stawideł, który w zupełnej głuszy coś wiecznego powiadał. Gospodarstwo prowadził Michcik. Pod jego przewodnictwem wychodzili ludzie na pańskie, on pilnował parobków i dziewczuch folwarcznych, doglądał koni i bydła, stodół i spichlerza, spiżarni i kuchni. Sam także gotował obiady.

Wieś, złożona z jedenastu chałup, świeciła na czerwonym, kamienistym wzgórkunędzą swoich przegniłych dachów i ścian zmurszałych.

Jednego dnia w końcu czerwca, zaraz po obiedzie, Rafał siedział w cieniu lip obok brata; miał za chwilę wyruszyć na dalszą wędrówkę. Strzelba stała obok niego, torbę miał pod ręką. Czekał tylko, żeby południowy upał nieco zelżał. Wtem psy drzemiące dźwignęły lby i poczęły naszczekiwać. Za budynkami, na drodze, dał się słyszeć turkot i wkrótce w tumanie kurzawy stanął przed wrotami jakiś pojazd. Za chwilę wpadła na dziedzińiec para kusych kasztanów w lśniących szorach z herbami, zaprzężona do wolantki suto platanowej. Z powozu wyskoczył na ziemię smukły młodzieniec. Rzucił na ręce lokaja płócienny kitel i z pięknym ukłonem zbliżał się do siedzących.

— Książę Gintuł — szepnął do brata kapitan.

Rafał z oniemiałym zachwytem przypatrywał się nieznajomemu panu. Zapomniał oddać ukłon, a języka w gębie. Nie mógł oczu oderwać od jego kostiumu z ciemnego sukna i lśniącego obuwia. Książę Gintuł podszedł z uśmiechem do kapitana i serdecznie ścisnął jego rękę. Piotr wstał, ale przybyły osadził go zaraz na dawnym miejscu, a sam siadł na brzegu podanego krzeselka. Gdy zdjął kapelusz, Rafał miał możliwość podziwiania jego prześlicznych jasnych włosów, które w lokach spadały, i wdychania zapachu wódek, którymi piękny pan był zlany.

— Mości kapitanie, przybywam powtórnie dowiedzieć się o twoje zdrowie, choć mógłbym gniewać się do woli za wstręt, jaki żywisz, a co gorsza okazujesz. Wszak nie oddałeś mi wizyty w Grudnie... — mówił książę.

— Nie mogłem w istocie być w Grudnie. Sił mam coraz mniej... — tłumaczył się kapitan.

— Czy istotnie tak źle się czujesz?

— Źle się czuję. Upadek sił.

— Ach, to niedobrze! A jakie są symptomy twojej choroby? Bo na oko...

— Najbardziej widoczne symptomy to bicie krwi do piersi, do gardła, z czego częste krwotoki. Felczer z Włoszczowej krew mi puszczał kilkakrotnie, ale i to nie przyniosło zdrowia. Czuję po każdym krwieniu jeszcze większy ubytek.

— Czemu nie wezwiesz mego lekarza z Kielc, jak cię prosiłem?

— Alboż to lekarz może siły wrócić?... *Quand la poire est mûre, elle tombe...* No, a u księcia pana co nowego słychać?

— Nic nie słychać. Nudzę się.. Poluję, czasami trochę szaleję, a nade wszystko nudzę się... Często przychodzisz mi na myśl, stary towarzyszu.

— Dziękuję.

— Przeminięło wszystko! Jak nocny sen przeszło w dziedzinę śmierci. Nie ma nic. Pamiętasz nasze kadeckie czasy? Lekcje na szpady u Martina Dechamps? A Chillet i francuszczyzna przymusowa? A Kreys pocziwina z niemieckim? A stary tanecznik Davigni?

— Davigni... — powtórzył kapitan jak echo.

Uśmiech smutny jak łza spłynął z jego oczu i zawisł na wargach.

— Śliczna młodość nasza... Posłuchaj! Czy nie chciałbyś innej wziąć ode mnie wioski? Puszczę zastawem, którą zechcesz, na warunkach powszechnych, ale dogodnych, a w weselszym gdzieś miejscu. Blżej Grudna i świata! Chciałbym częściej być z tobą, Piotrusi. Tu pusto w tych lasach i piaskach, jakoś posępnie i nieswojo.

— Być może, ale, jeśli wola księcia, nie chciałbym się stąd ruszać. A że czynsz płacę do skarbu grudzińskiego *accuratissime*, więc — dodał z uśmiechem — nie masz racji eksmisji. Zresztą pilnie karczuję pustki jałowcowe, staw szlamuję i zarybiam, łąki osuszam. Rowy...

— Zgoła jak ów Cincinnatus.

Ordynarna, niczym nieokryta ironia wionęła przez twarz pana, gdy to mówił.

— Cincinnatus — rzekł Piotr oschle i równie szorstko — nie osiadłby był...

Książę otarł czoło wonną chustką. Chowając ją do kieszeni, schylił się i znacząco powiedział:

— Jestem mocno przekonany, że *basis* twojej choroby — to nie bicie krwi, tylko... myśli. A na to istotnie ani felczer, ani lekarz najzawołany nic nie pomoże.

Piotr podniósł na niego oczy znużone i rzekł z niechęcią:

— Nie. Już zastało się serce. Myśli ustały.

— Jeśli tak, to czemuż tu siedzisz w głuszy? Czemużbyś się wzdragał patrzeć w życie i poić nim, pókiś młody? Czytam w tobie jak w księdze. Te same tłamsisz w sobie zaskórne myśli, jak wówczas, gdyś mię na lekcjach Łęskiego, Hubego, Steynera albo później nocami w namiocie pozbawiał snu. Pamiętam straszne twoje rozmowy...

— Nie wiedziałem, że były tak straszne... — rzekł Piotr i zaśmiał się szyderczo długim i ostrym śmiechem.

Oczy księcia omgłiła duma i wzgarda. Mówił z wolna i grzecznie:

— Dziś już mowa twoja nie potrafiłaby wyrzynać na mym sercu owych bolesnych hieroglifów.

— Bo też i obiektu samego rozmowy nie masz. O czymże tu mówić? Najlepsza, co każdy z nas uczynić może, to milczeć. To jest *sors* takich jak my...

— No, śmiać się jeszcze przynajmniej pozwól. To naturze ludzkiej nie wadzi... Cóż u licha! *Il n'y a si misérable qui ne puisse se consoler dans ses malheurs...* Kiedy wstecz patrzę, czy wiesz, czego najbardziej żałuję? Oto tego, że przez czas tak długi śmiać się tak mało, że tak długotrwałe był sensatem!

— Dobrze mówi nasze chudopacholskie przysłowie: „Wolno panu, jako panu”.

— No... pewnie. Toż pamiętam, że kiedy nas z korpusu, dla braku kawalerów do tańca, zapraszano na pokoje królewskie, tyś mię zawsze odmawiał i sam... za nic, choć obaj ślicznie tańczyliśmy. Powiedz, czemuśmy się wtedy nie bawili? Czemu nie poznawaliśmy dworu, świata, cudnych kobiet?

Rozmowa urwała się. Książę chłodził się, z lekka pochylając kapelusz. Oczy jego z natarczywą uwagą spoczywały na twarzy Piotra, który siedział patrząc w ziemię z taką grzeczną obojętnością, jakby przed chwilą rozmawiał o upale albo o szemraniu pszczoł. Po długim milczeniu książę rzekł twardo i sucho:

— Jest to sztych nieodbity. — Wreszcie cóż począć! Żadnej rady, żadnej, żadnej! Ziemia tylko pod stopami została, niebo nad głową. Słońce i nam świeci. Podnieść oczy winni jesteśmy — i żyć. Piotrze, mówisz, żeś wziął determinacją po dojrzałszym namyśle, a mnie się widzi, że wciąż krzywo myślisz.

— Wszakże to nikomu szkody nie przyniosło i dziś nie przynosi.

— Tobie przyniosło szkodę! Zabiło w tobie dzielne, przyjemne, czynne uczucie.

— Wdzięczny jestem księciu za wyrażoną kompasją... Ale, jak sam mówisz, cóż począć? *qui ne sait nager, va au fond*. Ja należę do bardzo złych pływaków. O jednego też mniej. I to wszystko. Niech inni podnoszą głowy — i żyją.

— Nie chciałbym mieszać się i wchodzić w twe życie... Tylko... Na jednej ławce siedzieliśmy, w jednym glicie stawaliśmy w szkole i w polu. Widziałeś mię przy sobie w bitwach. Przecież sam dobrze wiesz, jak cię kochałem... — wybuchnął.

— Mości książę...

— Wiem, co mówię! Nikt nie był bardziej niż ty gotów do hazardu życia. Ale też... Gdy teraz na ciebie opuszczonego tutaj patrzę, zda mi się, że spełniam zbrodnię. Dlaczego jesteś taki? Tak inny? Smutny? Czego chcesz? Cóżemy mogli czynić więcej? Staliśmy oko w oko, pierś przeciw bagnetowi, na grobli, w opłotkach Chebdzia... Tyś zrobił swoje nie gorzej od Żółkiewskiego...

— Milczałbyś oto waćpan! — rzekł Piotr grubiańsko i ordynarnie. — Żółkiewski nie odszedł żywy z placu honoru. Waćpan nie wiesz, czy jak? Dał głowę. Tak jakby ją kazał wbić na spise dla wiekuistego przestרחu pokoleń. Nie wyprzysiągł się pod mieczem swego Boga.

— Bo też i było o co karku pod cios nadstawić. Ale ty, mospanku, wspomnij tylko, coś za dni swych widział. Byłaż to pospolita rzecz Żółkiewskiego? Te stada ludzkiego byłaż z szablami u boku, którymi na sejmikach rąbało każdą głowę mądrzejszą. Gdy sobie wspominam owe bandy jurgielne, owe pyski ryczące na rozkaz, owe puste, nikczemne, golone lby, które miały władzę stanowić — żal się Boże! — prawa... wyznają, wyznają...

Na twarz Piotra Olbromskiego wydobył się uśmiech spod serca, coś jak przykre tchórzostwo. Książę ciągnął dalej:

— Toż pamiętam aż do tej chwili sejmiki. Sejmiki! — powtórzył głosem najbardziej zjadliwym, jaki tylko być może. — Mój ojciec... kandydował. Wyszedłem był wówczas ze szkoły i na owe sprawy patrzałem ze czcią, jako na rzeczy święte. Towarzyszyłem ojcu. Pomnę, gdyśmy przejeżdżali obok podmiejskiego błonia, gdzie się mieściło obozowisko panów braci, równych wojewodzie... Nigdy nie wyjdą z mej pamięci owe namioty na drągach okrytych brudnymi płachtami, budy z gałęzi, żerdzi i darniny, gorejące ogniska, gdzie zarzynano woły naszego kontrkandydata i pieczono ćwierci na roznach. Beczki piwa i miodu, kufy gorzałki — cha, cha! — stały tu i owdzie, a dokoła nich taczała się z garnkami, ze szklankami, z dzbankami i skorupami w ręku istna horda tatarska, zwana partią naszego antagonisty. Chude szkapska wałęsały się tu i owdzie, ludząc do reszty, że się jest w obozowisku kipczackim. Panowie bracia w kapotach, w opończach, burkach, w butach wysmarowanych dziegciem albo i bez butów, ujrawszy nas jadących poczeli coś wniebogłosy ryczeć i wyrwać z pochew szable. Tegoż dnia wzięli się do rabunku

Polak, Polska, Historia,
Szlachcic, Walka, Państwo,
Obyczaje

sklepów żydowskich, do wybijania szyb, odrywania okiennic...

— Po cóż to wskrzeszasz, mości książę?

— Po to, u licha, żebyś nie płakał nad rozwiązaniem praw onego bydła, twojego raju. Prawo to musiało być rozwiązane.

— Ów raj był waszym, magnackim. Sam to mówisz.

— Mój ojciec przeplacał, żywił, rozpajał swoją bandę, to prawda, ale w jakimże celu? Żeby walczyć w sejmie o dziedzictwo tronu. Zaiste czynił to wbrew własnemu interesowi. Boć jeżeli kto, to pan mógł się czuć dobrze na tej drodze otwartej, która go wiodła, jeśli chciał, aż na tron.

— Dawnom to już wszystko rozważył i na jedno przystał.

— Temu właśnie, na coś przystał, zaprzeczam.

— Już nic nie zmieni tego, co w sobie zamknąłem.

— Siedząc w samotności, wśród śniegów i lodów, myślałem i ja także dniami i nocami. Myślałem głównie nad tym, że w samej istocie rzeczy przestałem być sobą, panem. Nie przewyższalem otaczających niczym a niczym. Ja ich — niczym! Jeśli chcieli, gardzili mną. Gdy byli nastroszeni wspaniałomyślnie, maczali koniec palca w wodzie i zwilżali moje zgorzałe wargi. Wówczas powinienem był wielbić ich, gdyż mogąc nie uczynili mi nic złego. Nie ratowała mnie nawet rodowa duma, bo gdym w nią z rozpaczą bił pięściami, wydawała nie dźwięk miedzi, nie szcęk stali, nie wzgardę wszystkich, czym była przez wieki, tylko jęk twoich długich, mądrych wywodów. Wtedy to olśniła mnie ta myśl, którą czczę teraz. Znalazłem w sobie skałę i na niej stanąwszy uczulem moc w duszy i siłę w oczach. Przestałem być niewolnikiem i oczy moje nabrały blasku. Ujrzałem życie, ujrzałem je całe. Trzeba w sobie mieć wszystko, trzeba samemu dumną głową przewyższyć wszystkich, mieć w sobie młodą siłę, mocniejszą niżeli śmierć. Trzeba w swoich wnętrznościach nosić potęgę lwa szalonego, a o resztę wcale nie dbać. Powiedz no, waszmość, zaprzecz, jeżeli możesz, czy kiedy czułeś się bardziej człowiekiem niżeli wówczas na stepie podolskim, kiedyśmy właśnie tak czuli? Nic, tylko — my! My — to świat! Reszta niech posłusznie milczy. Takież w tych samych miejscach był i twój Żółkiewski, kiedy króla i całą Rzeczpospolitą na rękę piastował. Był co w twoim życiu lepszego niż owe noce nasze hulaszcze czasu kampańców pod Braclawiem, powroty do obozu nad ranem z nocnych patrolów? W cóż się obróciły troski nasze, męki, *vulnera, vincula, exilium*? Nic z nich dla duszy. Tylko strupy hańby, wypomnienia zniewag budzą i dziś jeszcze po nocach. Tęskny w dumaniu nawrót wiedzie do tych rozkosznych futorów okolonych sadami wiśniowymi, które się tały w przestrzeni stepu. Do rozkosznych miłostek, do hucznych pijatyk, dzielnych harców! Gdy nam powiedziano radosne słowo powrotu, pierwsza moja myśl była: inne życie. Już mię surowe twoje obowiązki nie zmamią. Słyszysz waćpan?

— Słyszę dobrze.

— I nie myśl, żeś spodłał. Nie! To, co ty śnisz, to jest złudzenie, błąd za długi. Ze wszystkiego najgorsze jest to, że się sam zabijasz. Jedno jest złe na świecie — to śmierć. Wszystko, co jest życiem — jest dobrem.

Piotr obojętnie milczał.

— Gdy wróciłem — mówił książę — zastałem wszystko daleko lepiej, niżem sądził. Warszawa pusta — to prawda. Pusta i opuszczona jak stary cmentarz. Dziedzińce pałaców trawą zarosłe, okna wybite albo zasłonięte. I moje tam własne gniazdo takie samo. Ale za to materialne interesy nigdy tak nie stały jak dziś. Byłoby kiedy zboże w takiej cenie albo ziemia? Uszom własnym wierzyć nie chciałem, gdy mi komisarz wartość kluczyków przedstawił. Samo Grudno dwa razy tyle jest warte, a w trójnasób powiększyła się moja fortuna, osobliwie w Prusiech Południowych.

— W Prusiech Południowych... Skoro tak, to może i mnie łatwiej będzie odegrać rolę Cincinnata na twój koszt, mości książę... — rzekł szybko Olbromski.

Oczy jego świeciły się jak płomyki, a lica pały barwą ceglastą.

— Z ochotą... O cóż to idzie?

— Żołnierz, który mię z pola wyniósł na rękę, jest twój poddany, z twej wioski rodem. Służy teraz u mnie za huzara, za kucharza i podstarościego. Chciałbym mu się odwdziżyć, a nie mogę, jakbym pragnął. Otóż...

Książę Gintuł patrzył mu w oczy ze skrytym złym uśmiechem.

— Uwolnić „obywatela” ... jakże mu tam?... z poddaństwa, zrównać ze sobą, podnieść, uszlachcić...

— Niestety! nie tylko jego. Pragnąłbym zratować całą tę wioskę. Jest to włość nędzna i bardzo biedna. Pańszczyzna w takich warunkach... Właśnie wygotowałem na piśmie plan, obliczenie...

— Czyż możesz wątpić? Z największą gotowością każę rozpatrzyć wartość i jakość ich ziemi, znieść pańszczyznę, skoro sobie życzysz, oczynszować. Jedno tylko: majątek nie jest mój własny, mam braci i siostry nieletnie, toteż rada opiekuńcza będzie musiała potwierdzić moją decyzję. Dłużej to potrwa. Ale będę w tym.

Olbromski dźwignął się z krzesła, jakby się chciał schylić do nóg księcia. Rafał, który z dala, bez ruchu, stał obok płotu przypatrując się tej scenie, uczył na widok tego gestu pokory brata wściekły w sobie gniew i taki poryw dumy, jak nigdy jeszcze w życiu. Coś w nim wybuchnęło jak słup ognia. Nie mógł zrozumieć, skąd ta służalczą czołobitność w zimnym i wyniosłym oficerze, nie pojmował radości, która na twarzy brata jawnie się paliła.

Uczucie sympatii jego w tej sprawie było po stronie księcia.

Piotr, tak na poły stojąc z rękoma opartymi na poręczach krzesła, wołał:

— Michcik, Michcik!

W głosie jego było coś niebywałego. Oczy miał szeroko rozwarte i pełne łez. Rozchylone usta śmiały się wszystkimi zębami. Po chwili zwrócił się do księcia i przesłizną chudą ręką ścisnął jego kolano z szepem:

— Dzięki tobie mam... mam na tej ziemi... jeszcze jeden dzień...

Michcik zbliżył się wyprostowany, z dłońmi wzdłuż bioder.

— Do nóg panu dziedzicowi!... Pan kapitan... książę... darował ci...

Zaledwie żołnierz zdążył schylić się i objąć kolana książęce, nowe uczucie zaświeciło w oczach Piotra. Ks. Gintułt z całej siły odtrącił chłopca. Wzrok jego był pełen gniewu i szyderstwa.

— Nie znoszę tych scen czułych! Wiesz chyba waćpan... Nie jestem stworzony do bukolik. Szczególnie po tym wszystkim... Oto w tej chwili najbardziej żywo uczulem nienawiść do tego wszystkiego, czymeś mię waćpan przejął swego czasu. Mam nieprzełamany wstręt do tych szlacheckich słabości, do owej dobrej niemocy, której tyle lat uczyłeś mię nie bez skutku. Zaprawdę, wstrętna to jest rzecz. Wierzaj mi, waszmość.

— Nie rozumiem... Zgoła nie wiem...

— Mówię — ciągnął książę porywczo — że moja zdrowa, wielka, silna rasa, a i twoja, przypuszczam, otrząsa się jak po emetyku, po owych ckliwych cnotach... Dusilem się zawsze, dziś ci otwarcie powiem, w owym powietrzu sejmu, a teraz to już do cna... Przekładam potęgę ducha, wolę, siłę, dumę, królewskość takiego prymasa Ponińskiego nad wasze ckliwe sentymenty...

— Cóż to za nierozważne słowa!...

— Gdy teraz patrzal na twoje oczy szczęśliwe aż do śmierci, zapalone po dawnemu, bo teraz już zagasły, najwyżej uniesione, jak tylko to być może, uczulem w sobie twoje właśnie dawne oczy, uczulem w sobie owe słabe i godne wzgardy obszary ducha, któreś zepsuł, zatrul niskimi wzruszeniami. Takie szczęście należy się czemuś innemu. Takie wzruszenia winny poprzedzać dzieła Warnieńczyka, Chodkiewicza, Sobieskiego... Cóż by człowiek był wart, gdyby ciągle chodził w twoich kajdanach obowiązku względem małuczkich, w dybach litości względem słabusińskich, współczucia względem cuchnących? Jakież to czyn można wówczas wykonać? Powiedz... Czy można? Ty się tak radujesz, żeś chłopca wyprosił z poddaństwa, jakbyś góry dźwignął z miejsca.

— Istotnie, moja radość nie ma granic.

— Z tego, żeś nie jego dźwignął, bo on zostanie sobą, tym, czym jest, ale żeś sam na dół zeszedł z wyżyny, na padół, na nędzny jego padół. Ty sam, który jesteś świat, zamiast iść ku wyżynie, zamykasz swe aspiracje w światyczku Michcika czy kuchcika. Jemu samemu krzywdę czynisz, bo go dźwigasz, niesiesz na sobie. Wolę jego, siłę, potęgę ducha skazujesz na los wozu, który koń ciągnie.

— Słowa, słowa.

— Nie słowa. Gdy teraz spojrzę w świat, w mój świat, ogarnia mię duma, że do niego z krwi, z mięsa, z kości, z każdego włókna należę. Co za ludzie! Każdy inny, każdy

odmienny, każdy sam w sobie jedyny na świecie, każdy zaiste — pan. Gdzież był kiedy na ziemi świat podobny? Samuel Zborowski, Łaski, Radziwiłły!... A Czarniecki? a Sobieski? Kto każdemu z nich kazał czynić to, co czynili? Wszystko ze wspaniałego serca... Każda do rzeczypospolitej droga zawałona trupami ich, po dzikich polach pamiętki, od Warny po Wiedeń szlak drogi. Wyście to znieważyli pamięć tego świata, mędrkowie. Co gorsza, wyzwoliliście motloch, żeby się ośmielił rękę podnieść na pany.

Twarz Olbromskiego targnęła się i prawa ręka zaczęła niecierpliwie szukać, macać koło siebie.

— Jesteś chory... więc milknę... — rzekł książę.

— Zraniłeś mię...

Tyle tylko Piotr wyrzekł, ale wzroku od księcia nie odwracał. Oczy jego przybrały dziwny wyraz, który Rafał widział już ze drżeniem. Patrzyły jakoby wystygły popiół, w którym ani jedna już iskra utrzymać się nie może. Jeśli się roznieci, to zagasa po krótkim, po szalonym drganiu w sygnie martwicy. Książę rzekł patrząc mu prosto w oczy:

— Dowiodłbym ci, gdybyś zdrowie miał lepsze, że te twoje palladia były jak owa żaba Lafontena.

— Nie mów już więcej do mnie, mości panie... — cicho wykaszał chory.

Książę Gintuł leniwym ruchem dźwignął się z krzesła i rzekł przez zęby ściśnięte:

— Zdałbyś mi waćpan rachunek z takiego rozkazu, gdybyś oto mógł stać na nogach.

— Rachunek! — piorunującym głosem zawołał Piotr. — Rachunek zdać jeszcze jestem gotów! W tej chwili... Michcik!

— Toż widzisz chyba swój stan, że zabiłbym cię od jednego sztychu.

— Mam prawo wyboru. Dawaj pistolety!... Są świadkowie.

— Cóż za świadkowie? Nie widzę...

— Brat.

— A... pan brat. No, to pewno twój. Dla mnie łaskawie zostawisz „obywatela” Michcika.

Olbromski milczał dziwnie. Rzekł jeszcze z cicha:

— To żołnierz...

Wtem głowa jego upadła na poręcz. Twarz stała się biała jak masa gipsowa. Na wargach pokazała się krew, a pot kroplisty na czole. Ciało poczęło drżeć. Suche oczy z wolna oglądały daleką przestrzeń.

Michcik, który stał ramieniem oparty o pień lipy, zbliżył się do swego pana i zaczął do niego coś mówić jękając się tak bardzo, że ani książę, ani Rafał nie zrozumiał słowa. Po pewnej chwili, widać, kapitan dał znak schyleniem powiek, bo Michcik wsunął pod niego rękę, wziął go jak niemowlę i niósł do domu. Piękna głowa Piotra zwiśla na jego ramieniu. Rafał szedł za Michcikiem, sam nie wiedząc, co czyni. Książę pozostał na miejscu. Nie spojrzął nawet za odchodzącymi. Gdy żołnierz wszedł do pierwszej stancji i był na jej środku, niespodzianie ostrym i dzikim głosem czegoś wrzasnął raz i drugi. Rafał przypadł do niego.

Michcik z wolna, ostrożnie upuścił Piotra na sofę stojącą pod oknem. Chory ukląkł na niej bezwładnie, siadł na nogach. Barki jego osunęły się na ramę otwartego okna, a głowa jak lity kamień odwalila się i głucho wsparła o futrynę. Rafał zajrzał z przerażeniem w tę twarz. Ujrzał dolną wargę przygryzioną przez odkryte zęby górnej szczęki, uśmiech nieopisany zawarty w tych ustach — i oczy. Nieruchome przezroczyste źrenice patrzyły w staw czy pola. Patrzyły łagodnie i ciekawie z żalonym przymileniem. Zdało się Rafałowi, że brat zapatrzył się w coś, jak to bywa czasu smutku, w barwę daleką, że się zasluchał w szmer ciekącej wody, że się może wmyślił w tajemnicze westchnienie serca, na rozstajne drogi zbłąkane... Ale oczy Piotra, patrząc tak w odłogi, zmierzchły, zastygły i skostniały. Wątle jego ciało leżało bez ruchu jak porzucona przez wędrowca opończa. Michcik troskliwie wsunął rękę pod bezwładną głowę i chciał złożyć zmarłego na sofie, ale Rafał oderwał jego rękę. Uczuł w sobie nagle tak niezgłębiony ból, jakby mu wilk rozszarpał piersi i wydzierał serce.

— Niech sobie patrzy... — zdołał wyszeptać.

Przyszła nań świadomość, że może zmarły brat jeszcze widzi ziemię i wodę. Może słyszy ostatni raz szelest liści i całuje go w mrokach ostatnim dreszczem serca...

Nabożna trwoga odezwała się w nim jak głos surowy, mówiąc w głębi ducha, że nie wiadomo, co w owej chwili odchodzący czyni, nie wiadomo, czy nie żegna się z polami, z pracą swą, czy się nie modli...

Odstąpili tedy obaj ze czcią i, z dala stojąc, modlili się sami w cichości. Ale wnet chłop począł łkać i stękać. Bił się w piersi twardą pięścią żołnierską. Sylaby, urywki słów pacierza wyłamywały się z jego warg szerniałych, jakby straszliwa, zaciekła groźba, jakby pozywianie na sąd i zaprzysięganie wobec życia. Wtem usłyszeli za sobą szczepek klamki.

Książę Gintułt wszedł do izby. Cicho zbliżył się do zwłok kapitana, schylił się... Po chwili syknął jak po sparzeniu, strzepnął palcami i kazał Michcikowi położyć zmarłego na sofie.

Wkrótce zwłoki odziano w owo codzienne ubranie, gdyż nawet wojskowego munduru nie było. Szpadę tylko ze srebrnym feldcechem, zdjętą znad łóżka, położono mu u boku, a mały portret dowódcy na piersiach. Dwoma wytartymi miedziakami przyciśnięto oczy...

Książę Gintułt siedział w zamyśleniu na krześle i przypatrywał się nieboszczykowi. Rafał wyszedł do drugiej izby, która zmarłemu za sypialnię i kancelarię służyła. Przysiadł tam na kufrze. Obiegły go teraz myśli innego porządku. Zaczął rozglądać się w rzeczach i uczył łakomą żądzę posiadania rozmaitych sprzętów brata. Przede wszystkim rzucały się w oczy przybory myśliwskie, rzemienie, baty, dobre siodło... Pod oknem mieścił się stolik do pisania z szufladą zamkniętą na klucz. Ta właśnie szuflada zajęła imaginację Rafała. Ubierając zwłoki Michcik wyrzucił był z kieszeni klucz od tego stolika. Rafał widział ów klucz wypolerowany od częstego użycia, lśniący stalowym połyskiem, i czekał chwili właściwej, żeby go chwycić. Bał się jednak poruszyć, lękał głośniejsz odetchnąć... Na samą myśl, że książę Gintułt pocznie z nim rozmawiać w taki sposób jak z bratem, że zada jakieś pytania, czuł przestрах i chęć ucieczki. Tymczasem żądza zagarnięcia klucza i otworzenia szuflady, ciekawość, co też tam być może, paliła go i podrywała z miejsca. Wtem do izby wszedł znowu Michcik z parobkami w celu wysunięcia sofy na środek. Spostrzegłszy klucz na ziemi, podniósł go i oddał Rafałowi mamrocząc i wskazując gestem, że to jest klucz od stolika. Rafał natychmiast wysunął szufladę. Nie było tam nic ciekawego.

Trocha pieniędzy i papiery, przeważnie oficerskie, jak szarże, ordynanse, rozkazy, plany, mapki piórem rysowane i listy. Był także osobny zeszyt z grubego papieru, oprawiony w zieloną skórę, w którym kilka pierwszych stron było zapisanych ręką zmarłego.

Wszystkie te papiery Rafał złożył systematycznie, związał sznurkiem i postanowił zatrzymać dla siebie. Pieniądze wyspał do kieszeni z niemalym zadowoleniem. Był tak zajęty gromadzeniem spadku, otwieraniem szafy i kuferka, a nade wszystko rozpatrywaniem rzemieni, że ledwie spostrzegł, kiedy książę wyszedł i odjechał. Wówczas zlustrował dom cały. Niektóre rzeczy wspaniałomyślnie darował Michcikowi, inne parobkom, kilka przeznaczył w myśli dla matki i siostr. Zajęcia tego rodzaju zabrały mu cały czas aż do zmierzchu.

Ściemniało się, kiedy z kościoła w Grudnie, odległego o wiorst kilka, przywieziono, widać na polecenie księcia Gintułta, świece kościelne i babę-trupiarkę. Wnet zapalono świece osadzone w wysokich czarnych lichtarzach i ustawiono je dwoma rzędami obok ostatniego posłania mieszkańca tego domu.

Wóz odjechał z powrotem. Słychać było klekot jego kół, oddalający się w głębie mroku... Michcik urządził Rafałowi łóżko w spichlerzyku, zupełnie pustym w tej przednówkowej porze. Rozłożył tam wiązkę siana świeżo zwiezionego z łąki, zasłał je pościelą. Ale Rafał nie myślał o spoczynku. Siedli obadwaj z żołnierzem we drzwiach spichrza, jeden na wysokim progu, drugi na klocku drzewa, który za stopień służył, i nie mówiąc do siebie patrzali w noc. Jarzące światło biło z okien dworku. Umilkło wszystko, nawet psy nie szczeptały w wioskach sąsiednich.

Zrazu, po zachodzie słońca, panowała ciemność zupełna. Nad wzgórzami, które za dnia widać było w głębi horyzontu, wisiały teraz ciemne osłony nieruchomych chmur. Tylko woda słabo lśniła od poświaty gwiazd błyszczących w zenicie. Około północy nad owymi spiętrzonymi chmurami ukazał się brzask wschodzącego księżycy. Zarysowały się brzegi ciemnych obłoków i wyniknęły niezliczone ich pokłady, a między jedną a drugą bryłą jakoby poprzeczne doliny w niezmiernych górach. Dalekie przestrzenie, otchłanie i wysokości ukazały się oczom w tej odległej jakoby ziemi. Złoto-biała obwódka, zrazu niejasna i pełna łęku, poczęła się na szczycie obłoku. Wkrótce stała się świetlista i silna

niby namiętny, daleki, daleki śpiew... Pierwszy nadmierny jej błysk zważył się na cyplu i rozpędziwszy ciemności zleciał w głębokie doliny między chmurami. Wówczas przedziwna luna rozświetliła gnuśne obłoki, ukrytą ziemię, lasy, pola, pustkowia i wszystkie tajemnice nocy. Wolno wypłynął księżyc na firmament bez skazy. Skroś rozległej powierzchni stawu strzeliła pręga ognista, drżąca, jakoby droga daleka, droga grubym szczerozłotem wysłana do onego przedwiecznego kraju gór. Solenna cisza nocy stała nad tym szlakiem, płonącym w nocnej głębi. Olchy wybijały schylały się ku niej spod nieba, patrząc weń przerażonymi gałęzmi. Nadbrzeżne wierzyby, stojąc w promieniu księżyca, odbiły w wodzie wizerunki swych pniów strupieszających z zielonymi głowami. Ani jeden wietrzyk nie dotknął wody, ani jeden powiew nie udźwignął schylonych mieczów tataraku. Chwilami lustrzana toń rozdzierały ostre skrzela grzbietowe okonia. Wrzynały się jak piła w złocistą drogę. Kiedy niekiedy plusnęła płotka igrając z radosnym blaskiem księżyca. Cieszyła się, gdy szły od niej wolno, rytmicznie i jakby przez sen kręgi lekkie, nicestwiejące, obciążone grubym, falistym złotem, i znikaała w żywiole ciemności. Widać było muchy wodne na szudlastych nogach z wielkimi stopami, deptące jedwabną głębinę, i daleki, daleki kwiat lili wodnej, nieruchomo śpiący na brzegu szerokiego liścia. Kropla rosy nocnej świeciła się w złotym kielichu lili jak żywa gwiazda.

Czasem z zarośli, z szuwarów, z gąszczów olszowych wydobywał się nieuchwytny głos, echo radości, rozkoszy, rozpaczy, walki, głos nie wiadomo czyj... Czasem zlatująca woda wydała dźwięk głębszy, który przepłynął okrąg i coś mu nakazywał czy głosił. Słuchacze nastawiali uszu, żeby pochwycić jakowyś szmer spod fal... Ale już wówczas cisza była wszędy aż do następnego momentu, kiedy znowu we śnie westchnie woda...

Rafał wyjął z kieszeni książeczkę oprawioną w zieloną skórę z wyciskany złotym brzegiem, otworzył ją na pierwszej stronicy i przy jasnym blasku księżyca czytał pismo brata.

„Został poza mną ojciec i poza mną została matka. Jestem sam i sam idę, podobnie jak same jedne odchodzą za bramy cementarne zwłoki człowieka.

Oto w mrokach nocy kołatała się głowa moja po wezglowiu, a w niej wałęsały się myśli, niby kroki obłąkanego człowieka, idąc i powracając od ściany do ściany, bez końca, po izbie nędzy i nicości.

Najlepszy towarzysz i ostatni przyjaciel, sen, błąka się bosymi nogami dokoła mojej pościeli, schyla się nad ciągle trzeźwą, nad nieustannie otwartą źrenicą i, wzdychając boleśnie, odchodzi, z cicha szumiąc sukniami cieńszymi niż włókna pajęczyny.

Zeszła na mnie straszliwa niemoc: fizyczne cierpienie duszy. Zamieniłem się w byt obcy samemu sobie, nieistniejący w naturze, zbłąkany w zewnętrzny świat. Jestem jak świat sobie samemu nieznanym, przemierzony dla rozumu człowieka. Jestem jak świat, który by się stał samym tylko i dla swego celu istniejącym cierpieniem.

Ty się ze mną pozostań!

Jako cel mojego krzyku byłeś wówczas, gdy w dniach utrapienia ludzie poczęli zostawać za mną, jedni z obojętnością zdrową dla nich, a twardą dla mnie jak rzemienny bat, a inni ze współczuciem przystającym, gdym się nie spodział, a inni z miłosierdziem, które wylewa krynice dobrych łez, ale nie ma siły wyteńczyć kroku, i ci wreszcie, ostatni, którzy szli za mną trop w trop na górę udręczenia, dopóty aż się na poły umarli, bez sił i tchu, u stopy mojej wiecznie idącej, twarzą w proch walili ślad mój całując.

Odrza spadła na moje oczy, błędzące po ziemi z cypliska góry udręczenia. Ten cudny świat mojej młodości zmienił się w wydniętą piaszczystą. Boli mię szelest liści, nęka zapach kwiatów, dokuczają mi widok zorzy porannej i zorzy wieczornej. Usłyszałem cichy szelest godzin nieżywych. Usłyszałem cichy krok rozpaczającej ku mnie...

Ratuj mię, o Przyjacielu duszy mojej!

Miałem Cię koło siebie wśród świstu ołowianych kul, wśród trzaskania granatów z żelaza, pomiędzy błyskiem schylonych bagnietów, w szczękę szabel i lanc pędzącej konnicy, gdy oszalałe źrebce trzęsą się i stękają, a zdro-

wy i tęgi żołnierz dygoce na całym ciele.

Gdy góry ołowiu zwały się na moje piersi, a ognie zapłonęły we włosach, uczulem Cię w oczach pełnych żółtej ciemności, jako światło przychodzące.

Gdy myśl niewymówiona, sama siebie stwarzająca, jedyna, straszna strasznych żywota: — Oto umieram! — przebiła na wskroś moją głowę, poznałem Cię, o Bracie, stojącego w głowach moich...

Tyś wezwał chłopca z szeregu, który w popłochu uciekał, żeby się twarzą w twarz przeciwko idącej śmierci obrócił. Tyś włożył w jego piersi męstwo nadludzkie, na jego rękę udźwignąłeś mię z ziemi.

Tyś to uczynił, któryś jest Bóg, czyli Miłość.

Czemuś przed wiecznością zamyślił ten uczynek, a wtedy go wykonał?

Czemuś się uniżył aż do ran moich wylewających krew zropiałą, aż do wzdrygnięć i tchórzliwych skuleń ciała, do wstrętnego cierpienia, do przestraszenia rozsiewającego milczenie, do potu zmazującego czoło i do nikczemnych lez?

Czemuż skinieniem błogosławionym oddaliłeś śmierć, a jednym chłopskim spojrzaniem i jednym pogłaskaniem uciszyłeś wszystką burzę męczarni?

Ty wiesz, Ty jeden wiesz, jak było żywym piersiom oddychać powietrzem, a zbudzonym oczom patrzeć na świętą wolę dusz w łykach.

Ty wiesz, że lepiej by głowie mej było na skrwawionych kościach w pospólnym dole...

Dzisiaj, gdy uspokojony leżę beczynnym, tylko senne i nędzne przeczucie mówi mi o Tobie. Jestem jak uciszona woda stawu, w której odbiło się niebo z jego wicherzatyimi chmurami i z jasną otchłanią lazuru. Ale jak przemija odbicie chmury w toni stawu, tak ucieka przeczucie z duszy mojej, i tylko ciemność bardziej okrutna niż kiedykolwiek przenika ją aż do samego dna.

O, Boże, którego stopy dotknąłem żrenicą i ustami spalonymi przez męczarnię, ukazaż raz jeszcze trzeźwym oczom powszedniego dnia bytowanie Twoje.

Wyrwij z piersi przebiegłe zwątpienie i chytry rozmyśl, które się unoszą w kole widnokręga, a wracają nie do mózgu, lecz do serca, i wał się w spracowane, cięższe od glazu, na podobieństwo westchnienia.

Wyrwij z serca westchnienie, które w nim leży cięższe od glazu, i daj mu odpocząć u stopy Twojej, jak w dniach płomiennych pozwoliłeś odpocząć krzykowi rozpacz.

Ty, który mocen jesteś uczynić to, coś uczynił, wyrwij z serca niewierną myśl i wlej w nie błogosławioną potęgę ciszy i zaufania.

Niechaj się raz jeszcze rozraduję w miłości jednej, pospólnej z Tobą, niech wyznam na łonie Twoim krzywdę mą i niechaj zazna serce moje wiecznego spokoju na Twoim sercu, któryś jest Bóg, czyli Miłość...”

DRZEWA W GRUDNIE

Cały dzień następny zeszedł na załatwianiu spraw tyczących się pogrzebu. Michcik ruszył do miasta Włoszczowy po trumnę, a Rafał do proboszcza w Grudnie. Tam jednak wszystko już było zadysponowane przez księcia. Rafał dowiedział się tylko, że zwłoki mają być tego jeszcze dnia przeniesione do kościoła. Wrócił tedy do Wygnanki i zajął się wysłaniem listu przez umyślnego do rodziców. Nim napasiono konia i nim się sam goniec odpowiednio najadł a wypytał o drogę, nim wreszcie Rafał list obmyślił i wystylizował, miało się już ku wieczorowi. Deszcz, który zaczął być padać około południa, lał strugami. Michcik, przemokły do suchej nitki, wrócił z trumną i ułożył w niej na wieczny spoczynek ciało swego pana a towarzysza.

Ledwie to wszystko było załatwione, wpadło na podwórze ze sześć pojazdów, kilka bryk, bryczek i wozów. To książę Gintuł z całą swoją rodziną i dworem przybył dla asysty w czasie przewiezienia do kościoła zwłok kapitana. Rafał był tak oszołomiony mnóstwem tych niezwykłych figur, że ledwie zdołał wyleźć ze swego spichlerzyka. Przed oczyma jego wyskakiwały z karet, bastarda i powozów młode i stare, prześliczne i paskudne kobiety,

wspaniali panowie... Wszyscy z przybrzany wyrazem najgłębszego uszanowania wchodzili we drzwi niskiego dworu. Był także proboszcz z organistą i służbą kościelną.

Dzień się już kończył, więc hajduki, służba leśna, stangreci i lokaje zapalili smolne kagańce. Przy blasku posepnych płomieni, ze śpiewem kościelnym wyniesiono trumnę. Wśród dziedzińca stał prosty, czterokonny wóz, wysłany słomą i okryty wielkim kobiercem. Na nim ustawiono i przymocowano powrozami trumnę. Ksiądz zakasawszy poły sutanny ruszył przodem. Za nim szli ludzie z pochodniami. Tuż przy trumnie brnął książe Gintułt, za nim owe piękne i brzydkie panie. Szaty ich brudziły się, a nogi tonęły w błocie rozmięklej drogi. Mimo to żadna do powozu nie wsiadła. Dopiero za tą wspaniałą czeredą szedł z dala onieśmielony Rafał. Przy nim Michcik. Gdy orszak pogrzebowy mijał wieś, wychodzili z chat chłopci w brudnych koszulach, w zgrzebnych wystrzępionych portkach, baby we wstrętnych krótkich spódnicach, kołtuniaste, półnagie dzieci. Wszystko to z otwartymi ustami dziwowało się patrząc na wspaniałą pochód, a dopiero gdy ognie były już daleko, wioska ruszyła się i postępowała w dali od pańskiego orszaku. Za nią droga zniżała się między dwie lesiste góry nad rzekę i brzegiem jej ciągnęła. Był to w owej chwili szlak błotnisty, porznięty wyrwami, a tu i owdzie zawalony mnóstwem kamieni. Mimo to wszyscy wytrwali w pochodzie. Ubłoceni do kolan, w nocy już zbliżali się do Grudna. Deszcz nacichł, choć szemrał jeszcze.

Gdy orszak zbliżał się do alei grudzieńskich, Rafał szedł tuż obok pańskiego tłumu. Ośmielił się. Głowa jego była pełna niedorzecznej pychy z tego tytułu, że to on właśnie, na którego nikt uwagi nie zwraca, jest rodzonym bratem tego, komu takie honory czynią. Pragnął w jakiś sposób dać znać o sobie, zwrócić uwagę... Odzywał się półgłosem do Michcika, pytał go o różne szczegóły, dawał zlecenia. Żołnierz podnosił wówczas głowę i blade, osłupiałe oczy wlepił w niego, coś tam mamrocząc. Na twarzach większości pań i panów malowała się szczerza wściekłość, gdy trzeba było brnąć w poprzek bajorów nigdy niewysychających. Szczególnie jedna podstarzała dama, zachlapana, z rozkręconą fryzurą, zmokła, rzucała naokół takie spojrzenia, że mogłaby nimi zabić najsilniejszego. Książe Gintułt szedł sam na przedzie, z głową podniesioną. Przebywał najgłębsze bagna nie wiedząc o tym, zatopiony w myślach.

Nareszcie droga polepszyła się. Szła w górę, ku kościołowi stojącemu na szczycie pagórka. Po obu stronach szerokiego traktu stały przedwieczne lipy, nadwiślańskie topole, graby, klony, dęby i buki.

Teraz, gdy w ich wnętrza, wyrrywając się z kłębow siwego dymu, padały migotliwe blaski pochodni, zdawały się być podwójnie wielkimi. Konary, gałęzie, różgi, czuby ich sięgały do czarnego nieba, a liście szemrały w chmurach. Była nieskończona potęga w owych widłach, odnogach, trój- i czterozębcach, w splotach gałęzi wyteżonych ku niebu, w owych jakoby barach, piersiach, plecach, ramionach i rękach, które coś dźwigają...

Ale nade wszystko — była potęga w ich szeleście.

Jedno z tych prastarych drzew, ogromna płacząca brzoza, zwieszało się całym kadłubem nade drogą, a korona jego, bogata w ogrom liści, schylała się ku ziemi jak kudłata głowa chłopa-starca. Gdy wóz otoczony latającymi blaskami wjechał pod nie, zaszemrało... zaszemrało... Wyszedł z jego głębokiej czeluści sykliwy, przestraszony szelest, półszep, zbudzonych ze snu i zdumionych liści...

Rafał zląkł się i zadrżał.

Ach, jakże straszny, jak nieopisany głos był w tym szeleście!

Ale wnet gwara schylonego drzewa została się w mroku, korona jego cofnęła się i ukryła. Teraz inne przemawiały z wysoka. I dziwna rzecz! Jedne wchłaniały w siebie wieść o widoku, wlokącym się u ich korzeni, z zimną wzgardą, inne z obojętnością najgłębszą, z obojętnością świadomą swej głuchej i ślepej siły, a były przecie i takie, co płakały jak żywy, czujący człowiek. Serce Rafała dźwignęło się i podniosło ku owym drzewom. Ogarnął spojrzeniem wyniosłe gałęzie... Pnie zielone jak trawnik od dawnego mchu, albo obwieszane mnóstwem drobnych gałązek, jakoby dziady zgrzybiałe, obsiadłe przez prawnuki... Pnie pokryte splotami sznurów kory, zbrudzone, o barwie deszczu i szarugi... Różgi chwiejące się pod niebem...

Wtedy nagle pojął, że już nie żyje dobry brat Piotr. Z mozołem przypomniał sobie chwilę, która przed nim jak chybka mysz uciekała, chwilę, gdy patrzył na bezwładne oczy brata. Dusza jego wcieliła się w ów moment, weszła tamtędy w niewiadome, tajemne,

nikomu nieznanne powiaty...

Wtem ktoś na jego ramieniu lekko oparł rękę. Rafał otrząsnął się i ujrzał przy sobie księcia Gintułta. Młody pan przypatrywał mu się uważnie.

— Wszak nie mylę się — rzekł — waćpan jesteś bratem zmarłego kapitana Olbromskiego?

Rafał ledwie zdołał wydusić z siebie głos:

— Tak jest.

— Proszę mi powiedzieć... waćpanowie macie jeszcze rodziców żyjących?

Znowu:

— Tak jest...

— A czy waszmość daleś im znać?

— Tak jest.

— Żałuję, że to mi nie przyszło na myśl. Trzeba było lepiej zaczekać.

— Zaczekać z pogrzebem na rodziców?

— Zaczekać... z pogrzebem...

— O, rodzice prawdopodobnie nie przyjechaliby na pogrzeb — wypalił Rafał.

— A to dlaczego?

— Bo są wiekowi... A zresztą.

— A zresztą co?

— A zresztą... mieszkają daleko.

— Tak. No, a waćpan po pogrzebie dokądże masz zamiar udać się? Czy do domu?

— Nie, broń Boże!

— Nie? I... broń Boże?

— Proszę księcia pana... my obadwaj z bratem nieboszczykiem...

— Cóż takiego?

Rafał zająknął się i teraz dopiero ujrzał w głowie głupstwo, które niósł na języku.

— Proszę waćpana po pogrzebie do mego domu — rzekł książę uprzejmie, patrząc zresztą gdzie daleko. — Chciej uważać Grudno za dom własny... Zupełnie jakbyś był u brata. Zabawisz, dopóki zechcesz, odjedziesz, kiedy zechcesz...

Odchodził już, gdy wtem wrócił się jeszcze i dodał z uśmiechem:

— Możesz to napisać, jeśli wola, rodzicom, że miałem z Piotrem rachunki pieniężne.

Winien mu jestem. Waćpan tu staniesz jako sukcesor? Nieprawdaż?

— Tak, mogę... — wybąknął Rafał.

— A więc właśnie, będziemy się rachowali... Zostań tedy w Grudnie.

Książę przywołał do siebie skinieniem jakiegoś podstarzałego szlachciurę, wskazał mu Rafała i wydał jakieś zlecenia.

W tej samej chwili spomiędzy drzew na szczycie wzgórza wyłamał się dźwięk dzwonu za umarłych. Żelazne serce uderzało w bok spiżowy. Ciosami coraz mocniejszymi wyzniało ze srogich dźwięków, z martwego głosu przerażające miamłanie, słowienie tej nazwy, która mocniejsza jest nad dzień i noc, nad przestrzeń niedościgłą myślami ludzkimi, nad słońce, księżyc i gwiazdy...

DWORZANIN

Pałac grudzieński leżał w głębi starego parku. W końcu siedemnastego stulecia jeden z książąt Gintułtów założył był tę siedzibę na wzór francuski. Z biegiem lat rozrost wielkich drzew zniszczył dawną symetrię ogrodu, a tu i owdzie gaje młodej leszczyny wtargnęły nawet w ulice, gracowane niegdyś z pilnością. Pałac, przebudowany na fundamentach starego zamczyska, otaczały zbiorniki spleśniałej wody. Mury jego były kilkunokciowej grubości, szczególnie na dole, gdzie pozostały izby sklepione jak w więzieniu i okna zakratowane. Grube, ukośne szkarpy, niby potworne nogi, grzęzły w podstępnych wodach starej, głębokiej, obmurowanej fosy. Piętro dopiero, z korynckimi kolumnami i architrawem ozdobionym sztukateriami, było dziełem czasów nowszych. W chwili kiedy Rafał zobaczył pierwszy raz ten dumny pałac, ściany były mocno zdrapane, figury otłuczone, kolumny czarne i ogołocone jak słupy wiorstowe. W głębi parku kryły się tu i owdzie między drzewami murowane i drewniane domki, ozdobne i kształtne. Jeden, z takich marszałek przeznaczyl młodemu samotnikowi na mieszkanie.

Była to chatka o jednej izbie, z wejściem w stylu gotyckim i oknem jak w kaplicy. Nade drzwiami stało w niszy popiersie Wenus z zielonymi oczodołami i utraconym nosem, osłaniającej wstydliwie łono zapleśniałe i mchem wilgotnym porośnięte. Tuż ciągnęła w gąszczu szeroka, błotnista droga. Nad dziwnym domkiem wznosiły się sokory, lipy, a za oknem zwieszała aż do ziemi gałęzie precudna, wyniosła brzoza. Wprost z tegoż okna widać było głęboką aleję, która dokądś, jakby w ziemię, zanurzała się i kryła. Rafał nie mógł od niej oderwać oczu. Nigdy nic podobnego w życiu swym nie widział. Bardziej niż pałac, niż przepych książęcego dworu przemówił do niego magnackim urokiem ten szpaler. Kiedy młody samotnik pierwszy raz wszedł tam, z cicha stawiając nieśmiało kroki, otaczał go lęk rozkoszny w swej natarczywości, prawie bolesna żądza poznania tajemnic tego miejsca, przywłaszczenia sobie wiadomości o tym, co tu było.

Głębokie marzenia wypływały z cieniów tych drzew i, przemieniając się niemal w kształty, w osoby przesłicznych kobiet, niemal w figury dziewic z cudnymi włosami, cicho idące po twardej, gliniastej ziemi, znikwały od uderzeń zimnego rzutu oka. Drzewa nad tym ciennikiem i w głębi parku, z dala stojące głuchym, dumnym, uprzywilejowanym zastępem, zdawały się nie rosnąć, nie wznosić, nie dźwigać z tej ziemi, lecz na skrzydłach lecieć ku niebu. Śliskie, pręgowate pnie grabów o barwie żmii strzelały w górę, wyginając się wężowo jak gibkie i zwinne race, które pod chmurami rozpryskują się w deszcz liści, w płomyki konarów.

Prawdziwie w chmurach były ich wierzchołki. A lipy! Lipy, z których każda miała kilkakaset lat, o pniach zakutych w kolczugi grubaśne, powleczone ze strony północnej siwą patyną mchu. W jednym miejscu stał dąb zwany „łabędziem” dla kształtu pnia wygiętego jak szyja ptasia. Ogromna dziedzina jego zasępionych konarów, gałęzi, prętów i liści rozepchnęła knieję brzoź, sokór, brzoźców, topól i lip. Oczy ze czcią i pokorą spoczywały na jego pniu, bulwach, gnatach, sękach, jakichś potwornych ranach i bliznach.

Do tej alei spływało z góry światło zielone, jakby do groty lodowca Rodanu.

Pierwszą noc Rafał spędził wśród uczuć najdziwniejszych. Położenie w liczbie uczestników tego dworu nabawiało go trwogi i niepewności, a zarazem ten cały rozhuwany, a tak nowy świat ciągnął ku sobie z nieprzelamaną siłą. Dopiero nad ranem usnął snem twardym. Gdy się obudził, znalazł koło swego łóżka tackę z przyborem do kawy i z bułkami. Kawa była wystygła, ale Rafał pochłonął ją żarłocznie. Obawa trzymała go na miejscu, więc przed samym sobą udawał, że jest senny, znużony, choć pragnął zetknąć się z owym światem, ujrzeć go i poznać. Kiedy tak wahał się i namyślał, oszklone drzwi uchyliły się i wsunął przez nie głowę kozaczek w suto szamerowanej liberii. Spozrzegłszy, że Rafał nie śpi, wszedł do izby i rzekł:

— Pan marszałek kłania się i prosi do obiadu...

— Do obiadu? — krzyknął śpioch z przerażeniem.

Chłopiec uśmiechnął się chytrze i dodał:

— Zaraz będą podawać.

Rafał wyskoczył z łóżka i zaczął się gorączkowo ubierać. Wkrótce był gotów i z niecierpliwością tysiąc razy szarpał na sobie, poprawiał, obciągał i czyścił zniszczone odzienie.

Widział w oddali, naprzeciwko pałacu, stoły zastawione pod cieniem dębów tak grubych, że ledwie czterech ludzi objąć by zdołało ich pnie, a tak rozłożystych, że rzucały cień na ćwierć dziedzińca. Uwijało się tam kilkunastu lokajów w liberyjnych frakach, kozaków w pąsowych kabatach z galonami i herbowymi blachy, biegali pacholanki i kuchciki. Wkrótce ozwał się dzwonek, i z rozmaitych stron, a przede wszystkim z pałacu, pociągnęło ku stołom kilkadziesiąt osób.

Chłopak, zahukany w domu i szkole, wprost drżał na myśl, że ma się złączyć z tym obcym mu tłumem, ale jednocześnie prostował się i przybierał pozę „równego wojewodzie”. W pewnej chwili głośno otworzył drzwi i poszedł śmiało ku stołom. Nikt na niego uwagi nie zwrócił. Panował tam gwar jak w ulu. Słyszał było śmiechy, okrzyki i wesołą rozmowę, przeważnie w języku francuskim prowadzoną. Usłyszawszy te dźwięki ledwie zrozumiał Rafał ścierpł w głębi. Za chwilę zbliżył się już tak, że zaczęto zwracać na niego uwagę. Ten i ów rzucił okiem i ani myślał przerywać rozmowy. Jednej twarzy znajomej! Od grupy do grupy Rafał posuwał się dystygnowanymi półzwroty, z uśmiechem głupio-niedbałym, prezentując swój wyszarzany kostium. Ani jednej twarzy znajomej!

Miejsca zajmowano z hałasem, wśród wesołych śmiechów, spojrzeń wiele mówiących i żywej rozmowy. Rafał błyskawicznie przeczuwał ostatnią chwilę, która miała nadejść za mgnienie oka: stojący sam jeden zostanie poza krzesłami! Cóż wtedy? Krew mu uderzyła do głowy... Zostać między lokajstwem... Czy z powrotem wracać do swej kryjówki?

Głowa mu pękała z rozpaczy: nie widział już nigdzie miejsca wolnego! Wreszcie, gdy owa ostatnia chwila nadeszła i gdy w rzeczy samej ze stojącymi włosami i oczyma krwią zalanymi szedł omdlałym krokiem poza plecami osób siedzących, ktoś się podniósł przy drugim końcu stołu i jął go wskazywać lokajom. Rafał odetchnął. Wkrótce siedział już na krześle i zatopił oczy w talerzu. Słyszał tylko huk w głowie i bicie serca. Nierychło podniósł łyżkę do ust. Zrazu tak miał wzrok zmacony, że gdyby naprzeciwko siedział znajomy, nie byłby go poznał. Kiedy się nieco z położeniem oswoił, zaczął wodzić oczyma po tłumie. Przede wszystkim uderzyła go obecność kobiet o rysach jakby cudzych, twarzach ciemnych, smagłych, oczach czarnych i płonących, kobiet bardzo pięknych i porywających ku sobie. Damy te były wystrojone i mówiły po francusku, toteż Rafał domyślił się, że to muszą być owe „emigrantki”, na które tak wyrzekała kołtuniasta szlachta po dworach. Obok jednej z Francuzek, a najpiękniejszej, bokiem do niej siedział książę Gintuł Oczy miał utkwione w twarz tej sąsiadki, a na wargach uśmiech, który Rafałowi wydał się szczególnie sympatycznym. W bliskości siedziały siostry księcia, podobne do niego bardzo, szczególnie trzecia, ostatnia z brzegu. Była to jeszcze dziewczynka, jeszcze nie panna, lat może szesnastu. Przynajmniej robiono z niej młódkę.

Miała włosy jasne, tak jasne jak ziarno dojrzałej sandomierskiej pszenicy. Przecudne, subtelne rysy, proste a wykwintne, drgały ciągłym śmiechem. Oczy szafirowe, czyste i ogromne jak firmament, otwierały się ze zdumieniem, wlepiły bez ruchu w twarz starszego brata, z którym nieustannie szeptem rozmawiała — i oto dawał się słyszeć wybuch śmiechu tak niepowstrzymanego, że cały stół wpadał w wesołość, sam nie wiedząc czemu. Chuda Angielka, siedząca obok tej ślicznej blondynki, zwracała wówczas swą długą głowę i na chwilę śmiech panieński przycichał. Obydwoje, brat i siostra, przybierali uroczyste miny, żeby za chwilę zwrócić na się oczy pełne wrzasku wesołości. Jeden jakiś wyraz, dźwięk cichego słowa wyrывał nową kaskadę, nowy, jeszcze bardziej głośniejszy wybuch. W pewnych momentach, gdy śmieszka najbardziej zanosila się swym precudnym cha-cha-cha, książę Gintuł odwracał z trudem oczy od swej sąsiadki i wesołe, wilgotne od wzruszeń źrenice zwracał na rozbawioną siostrę z szeptem:

— Eli...

Nie wiadomo wszakże było, czy potępia tę zbyt głośnie wesołość, czy tylko prosi uprzejmie zebranych, żeby piękna jeszcze długo mogła się tak śmiać bez przeszkody. Ale nie tylko brat księżniczki miał w oczach ów szczególny wyraz. Wszyscy, na kogo-kolwiek Rafał zwrócił ukradkiem spojrzenie, byli zajęci jedną jedyną sprawą — właśnie owym radosnym weselem dziewczęcym. Na pozór wiodąc między sobą stateczne rozmowy, wszyscy mężczyźni, widać to było w ich twarzach, myślami i uczuciami krążyli obok prześlicznej. Dla jednych było to skrytą rozkoszą, dla innych skrytą boleścią, a dla wszystkich oderwaniem się od spraw, którymi na pozór żyli. Nawet starzy ludzie nad czymś głęboko dumali. Odrza i głuchy na wszystko zabójca-żał marszczył ich czoła. Cóż warte było życie całe? — mówiły te zmarszczki: — po co istnieć tyle lat, skoro się wiek swój cały spędziło bez tego, co jest wszystkim, bez niej? Na twarzach młodzieży leżała bladeść męki. Rafał uczył, że jest w jakimś zamkniętym kole, które sekretnie duma i z rozpaczą śni. Jakoby muzyka niedosłyszalna, tajemnicza, przepływała wskroś tego grona potęga, władza, tyrania piękności. Każdy ruch dziewczątka odbijał się w oczach patrzących jako uniesienie. Ruchy te były niewysłowione. Odzwierciedlało się w nich wszystko życie duszy. To, co każdy człowiek chowa w zamkniętej skrzyni, u niej stało w oczach, w ustach, na czole, w drgnięciach brwi i ust. Była samym weselem i dreszczem szczęścia, a biegł od niej na ludzi smutek i udręczenie.

Rafał nie widział wcale, kto siedzi przy nim. Jeszcze nie ukończył zanoszenia z sakramentalnym namaszczeniem zupy do ust, gdy wtem gruby głos zaskrzeczał tuż nad jego uchem:

— A cóż u Boga Ojca tak asan wodzisz za tą łyżką oczyma, jakbyś się bał, żeby ci jej ręka do ucha nie zaniosła?

Młodzieniec podniósł oczy i ujrzał obok siebie długie oblicze z włosami i wąsiskami zwieszającymi się z niego jak z buńczuka.

— Jesteś asan, jak słyszę, bratem onego, Panie mu ta świeć, filozofa z Wygnanki, Olbromskiego.

— A jestem.

— Pięknie u Boga Ojca brat waści gospodarzył na tej wioszczynie, nie ma co mówić!

— Jak to?

— A tożem patrzył, bo obok niego na Polińcu od lat siedzę. Chłopów, farmazon, rozpuścił, rozamorował, że mu na pole wychodzili jak z łaski, i koniec końców do garnka nie miał co włożyć.

Rafał wrzał wszystkim od niewymownej złości, która nie mogła wydobyć się na zewnątrz. Milczał z oczyma wlepionymi w pusty talerz.

— Cóż asan milczysz? Prawdę mówię, choć i gorzką.

— Ja nie wiem, czy to prawda.

— Nie wiesz. No i pewnie. Wąsów asan całych nie masz, to skądżebyś miał znać się na całej prawdzie! Ale nie o to idzie... Słuchaj no, mości panie, gdzież to zamierzacie podziąć owe graciny nieboszczyka ze dwora, choć ich ta tyle, że by żydowska koza uciągnęła? Zabierzecie toto w Sandomierszczynę? Widziałem tam chomąta, siodło, rzemienia fornańskiego coś niecoś. Kiepskie to wszystko, ale jakby niedrogo, to bym kupił. Mówili mi tu, że to niby asan dysponujesz, jak i co.

— Zabierzemy do domu.

— A to zabierajcie wnet, bo ja w tych dniach dwór zajmę.

— Waszmość pan niby?

— A ja. Cóż się wasanu nie widzi? Ja, Chłuka z Polińca. Tak wasan napisz do swoich, że Nikodem Chłuka z Polińca bierze onę Wygnankę od księcia w dzierżawę. Folwark gałgan, ale że to blisko... A i o te chomąta się spytaj, to bym kupił, jeśli niedrogo, młynek bym to samo kupił, a nawet i te szkapska...

— Ja napiszę, a teraz wszystkim się opiekuje Michcik.

— He, opiekun! Faworyt... Dawno ja na tego draba mam chrapkę. Czapki gałgan nie zdejmuję ze łba przede mną. Folwark waści brat rozpaprał, chłopą zepsuł na nic...

— Folwark nieboszczyk rozpaprał! A ziemię to kto darł spod jałowców?

— Widzicie, jaki to asan masz rezon w potrzebie! A nawet powiem: prawdę ci się udało chwycić za uszy. To jedno ten nieboszczyk, Panie mu ta świeć, zrobił. Chłopa zepsuł na nic, ale to do odrobienia, to ta już moja rzecz. Co zaś do ziemi, to nie można powiedzieć: wyprawił ziemi niemało! Gdzie dawniej, jak ludzie zapamiętają, trznadle się jeno gziły, teraz owies jak mur.

— A staw to nie brat wyszlamował? Młyn puścił, upust wystawił, rowy porznął?

— Nawet i to, powiedzmy, prawda.

W chwili, gdy się ta rozmowa toczyła, zabrzmiał znowu upajający szczebiot śmiechu księżniczki. Szlachcic Chłuka przerwał frazes, który miał wyrzucić, i wiechy swych wąsów zwrócił w stronę „jasnego” końca stołu. Sapał długo i tłamsił w sobie jakieś wzdychania, a w końcu rzekł do Rafała:

— Ta się śmieje, hę?

— Jakaż to piękna bardzo! — zdradził się młodzik.

— Pewnie, że piękna.

— Co to za włosy!

— A i to, powiedzmy, prawda. Świeci się bestia człowiekowi w ślepiach, jak ten miesiąc po nocy.

— A jakie to oczy!...

— Waść byś jej dał radę — chy! Jezus ci Maria!

— Co też to waszmość pan!... Wstyd doprawdy...

— Asan mi powiesz! Znam ja się na was, dryblasy! Myślałby kto, że się do korda porwie, tak się przecie zsierdził, a ślepie mu ogniem zioną jak czubatemu diabłowi.

— Kto to jest taki? — cicho szepnął Rafał.

— Jakże u Boga Ojca, to asan książęcą łyżką książęcą zupę zawijasz, a nie wiesz tego, kto to jest taki! Toż Gintułówna, młodego siostra, najmłodsza. Elżbieta jej. Ależ dzieu-

cha! Że się też to pod szlachecką strzechą nie urodzi taka... Już by o nią dziesięciu czuby se powyrywało i ślepie na nic podbiło. Tu będzie wyczekiwała na swego, aż ci osmętnieje z tego, jako wierzba u drogi. Wtedy przylezie wywłoka abo i zgoła Francuz...

— Księżniczka Elżbieta... — powtórzył Rafał z przedziwnym upojeniem wewnętrznym i z drobiazgową uwagą, jak gdyby przywłaszczał sobie na zawsze śliczną melodię, przypadkiem w smutku zasłyszaną.

Do samego końca obiadu Rafał siedział jak na szpilkach. Mnóstwo myśli kłóciło się w jego głowie i przemknęło bardzo wiele postanowień. Nikodem Chłuka kładł mu w głowę Bóg wie jakie wiadomości i głośno wyrzekał, kiedy Rafał ledwie piąte przez dziesiąte rozumiał. Skoro ruszono od stołu, marszałek dworu skinął na Rafała, przywołał go do siebie i oświadczył, że książę życzy sobie z nim mówić. Wezwał zaraz jednego z lokajów i polecił mu zaprowadzić młodego panicza do gabinetu, gdy się tam książę uda. Sporo jednak upłynęło czasu, nim ta chwila nadeszła. Książę, otoczony gronem pięknych pań, poszedł na spacer do parku i znikł między drzewami. Rafał wyglądał jego powrotu z głębi swej izby, nie spuszczać oka z głównego wejścia pałacu.

Nareszcie, a miało się już ku wieczorowi, wyfraczony sługus wszedł do stancji z grubiańskim prawie zawiadomieniem, że książę jest u siebie. Rafał poszedł za nim przez szereg sal, z których jedne były mozaikowane, purpurowe ze złożonymi gżemsami i z pysznymi stiukami na stropie, inne w barwach ciemnych, adamaszkowe z listewkami, albo bladoniebieskie. Przechodził jak we śnie obok wielkich obrazów, z których spoglądały na niego nagie kobiety, otwierały się krajobrazy zupełnie wyrwane ze snu, walczyły dziwaczne chimery, uctowali bogowie... Oszolomiony przepychem naczyń i mebli, które zdawały się być stworzonymi dla świątyni, brązowych żyrandolów, wielkich porcelanowych waz, lustrzanych okien, pięknocią podłóg wysadzanych marketerią z hebanu, cytryny i żółtego bukszpanu, skromnym i niespodzianie przyjemnym pięknem drzwi i odrzwiów z mahoniem, olśniony widokiem grup marmurowych i kominków z rzeźbami, usiłował zachować na twarzy wyraz doskonałej obojętności, jak gdyby te rzeczy, pierwszy raz widziane, wcale mu obce i dziwne nie były. Tymczasem, gdziekolwiek zwrócił oko, spostrzegł coś, co przykuwało do miejsca, chwytano za ramiona, wabiło ku sobie, jak kobiecy uśmiech, a nieraz jak pocałunek. Niewymowna rozkosz zastępowała tu drogę na każdym kroku. Rafał czuł bolesną, aż do zemsty podniecającą mękę-uwielbienie. Straszna praca, niewysłowione katusze tworzenia ideału piękności w twardym kamieniu, w drogocennym drzewie, pot wysiłku i lzy wiecznego zawodu artystów, gnanych przez przymus, przez ciężką pańszczyznę twórczości, ogarniały go postrachem. To niedoścignęte nigdy piękno, wyrwawszy się z powrozów pracy, czekało tu w utajeniu od dawien dawna, czyhało w obrazach, w porfirowych stolikach, we drzwiach tajemniczo okutych, w próżnych krzesłach, w wąskich, skromnie przepysznych kanapkach, tęskniąc za uwielbieniem tyle nocy i dni. Kiedy niekiedy dostrzegał w ogromnych lustrach swą postać w wyszarzanym ubraniu z werdragonowego sukienka, i wówczas niewymowna awersja do własnej postury, rozpaczliwa wzgarda dla swych rąk wiszących jak bijaki cepów, nóg, głowy, ślepiów i nosa oblewała go całego ukropem.

W pewnym małym saloniku, stosunkowo skromnie urządzonego, służący kazał Rafałowi oczekiwać. Gdy grube łydki fagasa przestały migać na posadzkach, a szelest jego pantofli oddalił się zupełnie, Rafał usiadł w głębokim fotelu i zasunął się w siebie, zagrzebał się sam w sobie. Spojrzeniami sięgającymi do dna przejrzał wszystko, co dotychczas wiedział i widział, czym był, co się z nim działo, co na świecie znaczył. Śmiech podnosił się z jego piersi, śmiech przemądrzały i bezlitosny. Nie wydobył się na wargi, tylko jak fala wzdęta przez wicher krótko zahuczał i ustał. Ociężałe spojrzenie weszło w głąb tego szeregu sal, cicho, sennie drzemiących w rozkoszy. Naokół było cicho jak w świątyni.

I oto niespodzianie gdzieś za trzecimi drzwiami rozległ się śmiech, ów jedyny na ziemi... Rafał zakrył twarz dłońmi i słuchał w zachwycie. Liczne, wesołe głosy jak burza zbliżyły się, aż wreszcie zabrzmiały w sąsiednim saloniku. Półuchylone drzwi dawały Rafałowi możliwość uczestniczenia w tym, co się tam działo. Jak wiosenne gędziolenie ptaków śpiewały radosne, drgające życiem, zdrowiem, weselem okrzyki najmłodszych sióstr księcia, ich towarzyszek i przyjaciółek. Jedna z nich wołała:

— Koniecznie *jeux de société!* Koniecznie... *Jeux d'esprit* — to nudne. Zupełnie jak lekcja gramatyki.

— Jak to? *Le secrétaire?*

— Nie, nie! *Jeux d'esprit, jeux d'exercice* — to zupełne lekcje.

— Więc dobrze...

— A może by najlepiej — *Jeux de poules*. Co myślicie? Na przykład: *Cbnif-chnof-chnorum?* Co?

— Nie, nie! *Jeux de société!* — domagała się księżniczka Elżbieta kapryśnym głosem, roztopionym w śmiechu.

— No, więc dobrze... Decydujemy!

— Zaczynamy...

— Czy są wszyscy?

— Kto się spóźni, sam sobie winę przypisze.

— Bawimy się... Mówcie! Co kto życzy?

— Ja proponuję *Le corbillon*... — ozwał się głos pierwszy.

— Ja *Les propos interrompus*...

— *Monsieur le Curé!*

— *La toilette.*

— Czekaście, czekaście! Tyle żądań... Głosujmy jak na sejmiku.

— Ja chcę koniecznie — *l'Avocat*. Koniecznie, bardzo koniecznie.

— Kto jest za *Avocat*?

— Nie, nie! *Avocat?* — to nieprzyjemne. Lepiej już *La toilette* albo *Combien vaut l'orge?*

— A może by *Le Capucin?* To zabawne. Pamiętacie Kamila w postaci *capuchon*, a Cecylkę jako *la barbe?*

— Spróbujmy naprzód *La toilette*.

— No, dobrze! *La toilette*. Wszyscy się zgadzają?

— Wszyscy...

— Wszyscy!

— *Tout le monde est assis...*

— Już jestem gotów!

— Ja będę *le miroir*... Lubię, żeby we mnie patrzono — cha-cha!...

— Ja *la boîte à rouge*...

— Skryta, skryta buatkan!...

— Ja *la boîte à poudre*...

— Eli będzie *la boîte à mouches*...

— A Kamil — *le flacon!*

— Ach, to wyborne, Kamilek — *le flacon!*

— Cecylka, czekajcie, czekajcie: *Le faux chignon*...

— Gabriel — *le fer à friser*.

Rafał, ogarnięty przez ciekawość, zapomniał, gdzie jest. Śniło mu się, że i on uczestniczy w tej zabawie. Siedząc nieruchomo w swoim fotelu, widział w szczelinie między niedomkniętymi połowami drzwi środek salonu, gdzie śliczne, dorastające panienki z twarzami cherubinów, otulone w lekkie muśliny i gazy, zsunęły szczelnie małe fotele i utworzyły zwarte koło. Nogi ich, ustawione na dywanie, niecierpliwiły się, oczy rozsypywały iskry, z ust sfruwał śmiech, a obnażone ramiona podnosiło gwałtowne drżenie. Dźwięczny głos najmłodszego księcia Kamila rozlegał się jak delikatny rozkaz:

— *Madame demande son fer à friser!*

Ktoś zerwał się z miejsca, a zajęła je osoba stojąca na środku.

— *Madame demande son faux chignon!*

Znowu szelest i śmiechy.

— *Madame demande son miroir!*

— *Madame demande toute la toilette!* — zawołał księżę Kamil.

Foteliki rozsunęły się na wsze strony i *tout le monde* z wrzawą, szelestem i śmiechem przemieniał miejsca. Oklaski i śmiechy jak grad obsypały jedną z uczestniczek, która została w kole.

Rafał nie spostrzegł się, kiedy niedomknięte drzwi szybko się otwarły. Księżniczka Elżbieta wybiegła z nich i stanęła na progu. Spostrzegła była widać Rafała dość już dawno, ale nie przestawała śmiać się. Uczyniła to dlatego, jak się domyślał, ażeby dać mu poznać, że ledwie go widzi. Wstał niezgrabnym ruchem, uklonił się z sandomierską (od strony Klimontowa) elegancją, coś nawet wymamrotał, czego by sam nie umiał powtórzyć raz drugi. Księżniczka przez chwilę na kogoś jak gdyby czekała... Nikt nie nadchodził. Prześlizgnęła się, niewiarogodnie urocza, nie śmiała się już. Rysy jej zmieniły się do niepoznania. Twarz przybrała wyraz chłodu i powagi, ale nie wyuczony, nie chwilowy, och, nie! Rafał uczył się tym wyrazem zmiądzony, zabity na duszy. Uczuł tę instynktowną dumę, wyniosłe, obojętne spojrzenie i, co najgorsza, ów grzeczny, łaskawy, pański uśmiech, gdy z wolna odwróciła się i wyszła do sąsiedniego pokoju, zamykając drzwi za sobą. Przepłynął przed nim widok ślicznej szyi i ramion z lekka odkrytych, wzniesionej głowy, na której każdy włos był nicią lśniącego złota. Wówczas przez chwilę czuł coś bardziej jeszcze niż ów uśmiech cudzego, nieprzełamanego, wrogiego w swych piersiach. Skoczyć ku niej, chwycić rękoma to królewskie, miękkie złoto. Rzucić ją przed siebie na kolana...

Stał obok swego fotela jak na płytach rozpalonego żelaza. Wyszedłby był, wyleciał stamtąd bez czapki, jak wówczas ze szkół, ale na myśl, że może się jeszcze spotkać z tą panną, że jeszcze raz, w taki sam sposób, może jej osobą swoją przerwać śmiech, zepsuć chwilę radości, nie mógł się ruszyć z miejsca. Spojrzał na swe buty, na rękawy kubraka i znowu usłyszał w sobie wybuch dźwigający się z samego dna. Stał tak długo, wpychając sobie ohydny wzgardę w piersi, gdy wtem drzwi boczne uchyliły się. Stał w nich książę Gintuł. Na ustach miał półuśmiech taki sam jak siostra. Ruchem grzecznym, ale przewidującym chwilę dużej nudy, wezwał Rafała do pokoju, z którego wyszedł przed chwilą, i wskazał mu miejsce. Sam chodził chwilę tam i sam.

— Czy waćpan pisał do rodziców o śmierci brata? — zapytał nareszcie.

— Pisałem.

— Jednak nikt nie przyjechał?

— Nikt.

— A jakże waćpan sądzisz: czy przyjadą później?

— Nie zdaje mi się. Mam zamiar odesłać rzeczy pozostałe po bracie do domu...

— Tak, tak! To będzie najlepiej. Co się da, na miejscu sprzedać. Ja wydam mojemu komisarzowi polecenie, żeby ta sprzedaż... A może już wydałem?... Zaraz sobie przypomnę... A sam nie jedź. Zostań tu lepiej, u mnie. Przyjrzyj się trochę światu, później zobaczymy, jak i co. Nieprawdaż?

Rafał skłonił się pokornie.

— Trzeba tylko — mówił książę zniecierpliwiony i prędkim głosem — ogarnąć się, ubrać po ludzku. Tak nie sposób! Jak to już mówiłem, brat waćpana ma, to jest miał u mnie pieniądze. Pożyczył mi sumę... Weźże je sobie, tę trochę uciulanych dusiów, i spraw odzienie podług mody i naszego tu zwyczaju... To tam marszałek...

Mówiąc to książę zarumieniał się z lekka, wydobył z otwartej szuflady biurka sakiewkę ze złotem i podał ją Rafałowi. Chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Wreszcie książę, jakby ociągając się, rzekł znowu:

— Brat waści był mi przyjacielem i powiernikiem za dawniejszych lat służby obozowej. Dlatego to dyskursy nasze miały nieraz charakter ostry dla tych, którzy nie znali bliskiego stosunku. Może to i waści wydało się niemiłym, że dość ostro, dość cierpko przymawiał bratu... wtedy...

Rafał trwożliwie, na poły potakująco, na poły przecząc, coś mruknął.

— Nie trzeba o tym w ogóle mówić z nikim... — z cicha rzekł książę — bo to ludzie zaraz by roznieśli po świecie, jakobyśmy się z nieboszczykiem poróżnili. Sam waści wiesz, że rozstaliśmy się w zgodzie, aczkolwiek dyskutując...

Rafał znowu niewyraźnie potwierdził.

— Nade wszystko nie należy nic mówić rodzicom, unikać wszelkich ekswisceracji w tym przedmiocie. Mogliby w żalu wyobrazić sobie...

— O, ja nie, mości książę...

— Tak, tak — rzekł pan uśmiechając się dziwnie. — Gdy się waści pobawisz i poznasz nieco świata, sam się przekonasz, że dobrze radził zmarłemu.

Zamilkł i z wolna ślicznymi ruchy zaczął chodzić po kobiercu tam i z powrotem. Przez chwilę zatrzymał się u otwartego okna i patrzył w głąb dzikiego ogrodu.

— Kochałem go... — rzekł cicho. — Już go nie ma na świecie. *Horror, horror!* Nie-dopowiedziana sentencja, niewyłożony ostatni, najdobitniejszy efekt prawdy, a jego już nie ma. Już go nie ma wcale! Ani nie zaprzeczy, ani tymi oczyma, co to... nie spojrzy. Ani po swojemu nie zmilczy. Garsteczka popiołu i — tyle. Och, Boże!

Podniósł na Rafała oczy szklane i twarz porzniętą nagłymi bruzdami, starszą o wiele, wiele lat. Chwilę tak przyglądał mu się z uwagą, jakby teraz dopiero spostrzegł, że tu ktoś stoi i że go słucha. Uśmiechnął się wreszcie owym uśmiechem wdzianym na twarz jak maska, uśmiechem przyjąć. Czekał.

Młodzieniec zrozumiał, że może nareszcie odejść. Ukłonił się ruchem pewnym, zgrabniejszym daleko bardziej niż poprzednio, i ściskając w ręce garść dukatów w jedwabnej sakiewce, pełen wzruszenia szedł przez wspaniałe sale.

EGZEKUCJA

Życie w Grudnie płynęło jak romans ciekawy, z dnia na dzień przyjemniejszy. Polowania na zwierza w lasach, na kaczki w łodziach, na bekasy, dubelty, kszyki z wyłami, konne wycieczki całym dworem, harce po błoniach — oto były zajęcia codzienne. Kiedy niekiedy zjeżdżano olbrzymią hurmą ludzi do pierwszego lepszego dworku dzierzawcy, zjadano wszystkie zapasy żywności i, naśmiawszy się do syta z prostactwa, co koń skoczy ruszono dalej. Francuzi i Francuzki goszczący u księcia nudzili się pomimo to wszystko. Wieczorami grywano w karty, nieraz do późna. Siostry księcia Gintuła uczyły się jeszcze i niby to pozostawały pod ścisłym dozorem Francuzic-nauczycielek, ale brały udział we wszelkich zabawach.

Rafał, odziany w modny fraczek, w obcisłe piaskowego koloru ineksprymable, wysoki kapelusz i świecące buty z twardymi cholewkami, uczestniczył we wszystkim na prawach niby gościa, niby domownika. Dopuszczano go z lekka do towarzystwa, ale czasami posłano tu i ówdzie albo wyręczono się nim w potrzebie. On godził się na wszystko. Żył tu, oddychał, upajał się wolnością. Nigdy przez jego głowę nie wionął cień pytania: co będzie dalej? Bez myśli o tym wiedział jedno, że nie wróci do domu z Grudna! Przenigdy! Był tu u siebie, na swej drodze. Szedł naprzód z zadartą głową — i kwita. Każdy dzień, każdy wypadek zbliżał go, łączył, zespałał z nową krainą. A co raz posiadał, tego żadna już potęga nie byłaby w stanie wyrzucić mu z pazurów. Uczył się form towarzyskich, mowy francuskiej, zwyczajów, reguł życia, zabaw, metod wybryku, kształtów modnego kaprysu, kultury zepsucia. Kochał swoją izbę, ubranie, konia, na którym jeździł zazwyczaj — i księcia. Mniej lubił młodszych jego braci, którzy dość wzgardliwie nań spoglądali, chociaż strzegli się wyjawienia niechęci. Jeden był rówieśnikiem Rafała i ten właśnie był najnieprzystępniejszy.

Przy końcu sierpnia, po żniwach, weszły w modę codzienne prawie jazdy konne. Nad wieczorem siodłano wszystkie konie wierzchowe i kto żyw dosiadał pysznych rumaków. Rafał miał ściągłego gniadego anglika. Łatwo mu było na nim trzymać się w pobliżu księżniczki Elżbiety.

Nie kochał się w niej, och nie! Można by prędzej powiedzieć, że jej nienawdził. Jej radosny, szczęśliwy śmiech odbierał mu sen i duszę całą napełniał zimną namiętnością. Z niewymownym szczęściem byłby pochwyił i na zawsze zapamiętał jakiś w niej szczegół brzydoty, coś, co by napełniło wyraźną odrazą. Ale nie było takiego nic.

Była cudowna. Co gorsza, co nieznośniejsza, myślami jej objąć nie mógł ani ogarnąć wyobrażeniem. Ciągle była poza jego wiedzą, wciąż coraz bardziej odmienna w swym czarodziejstwie. Jeżeli wyuczył się już jakiegoś jej przymiotu i mógł do woli wyśmiewać z niego w głębi siebie, nagle zjawiała się z czymś innym, czego jeszcze na ziemi nie było, z uśmiechem niebiańskim, półsmutnym, półlitosnym, z jakimś cichym dumaniem, przez które łagodny mrok płynął jak cień białej chmurki przez lazurową wodę jeziora. Z jakąż rozkoszą byłby ją za to rozszarpał, z jakąż nienawiścią zdusiłby pocałunkami owe zaziemskie troski i radości prawdziwie anielskie! Marzył o niej ciągle. Szedł z nią zawsze przez jakieś knieje, gdzie noga ludzka nie postąpiła, gdzie tylko ona i on... I tchu mu w piersiach nie stawało na samą myśl o tym, co do niej mówił.

Widział wówczas strach na jej twarzy, przeraźliwy okrzyk z ust jej wyrwał i słyszał go z upojeniem, fruujący wkoło głowy. Przy stole nigdy otwarcie nie patrzył w jej stronę, ale w każdej chwili śledził ją tajemnie. Na spacerach starał się być w pobliżu, ale nie udało mu się nigdy przemówić do niej jednego wyrazu. Z dala odpowiadała na jego głęboki i pokorny ukłon. Pomimo jednak, że zdawała się nie zwracać na jego osobę uwagi, skoro tylko się skłonił, spostrzegła ten ruch i z martwą grzecznością, wyniośle, oddawała mu dalekie skinienie głową. Nigdy się nie odwróciła w tę stronę, gdzie był, ale on doskonale wiedział, że cała jej osoba uczuwa jego obecność, że osobliwe cienie przepływają przez tę twarz i że w szczególny sposób widzą jego figurę jeśli nie oczy, to jak gdyby spuszczone powieki. Rzadko kiedy błędzące po tłumie spojrzenie przesunęło się i po nim także. Wtedy czuł gałgańską uciechę, rozkosz kradzieży, tryumf zdobywcy. Zawsze czysty śmiech księżniczki zmieniał się w tonie, kiedy Rafał był blisko, zmieniał się tak samo jak wówczas u drzwi salonu. Nie brzmiał już jak samo szczęście, lecz złowrogo dźwięczał jak straszny krzyk wzgardy.

Tak było za dnia. Nocami Rafał błąkał się po alei, która od jego domku szła w ogród. Przesycony wariacką ambicją, nadęty żądzami, pełen namiętności wybujałych aż do szaleństwa, pisał się coraz wyżej i wyżej. Zuchwałstwo rozparło się w nim tak dalece, że księżniczka, pani przemożna z tego domu, siostra rodzona księcia, stała mu ciągle w oczach. Był tak przeżarty od wewnętrznego ognia, że swe sny i furie poczytywał za rzeczywistość. Ileż to razy czekał w ustroni szpaleru podczas księżycowych nocy, ufając, że ona musi znać jego męczarnie, że takie same czuje i że w to miejsce przyjdzie wiedziona przez ciemnego anioła! A gdy chłodna, sierpniowa noc mijała, gdy oszalały od wewnętrznych szlochań wracał do izby, kąsał poduszkę, dusił się i zanosił od żalu. Kilkakrotnie tylko gościła w jego głowie myśl, że wszystkie te zajścia ducha są złudzeniem. Może księżniczka wcale nie wie o jego egzystencji. Wtedy zaciskał pięście i zdolen był rwać włosy z głowy. Traf zrządział, że się przekonał o prawdzie.

Księżniczka Elżbieta jeździła konno jak amazonka. Na siodle postać jej o łagodnych i wolnych ruchach przeobrażała się jakby w młodego chłopca z gestami zdecydowanymi, nagłymi, piorunowymi. Angielski źrebiec „Unreclaimed”, na którym jeździła, lśniący kasztan o nogach ze stali a mięśniach z żelaza, szedł przodem w każdym wyścigu. Pod jesień, gdy otworzyły się rozległe ścierniska, urządzano te gonitwy bardzo często.

Pewnego dnia wypadła gromadna wyprawa właśnie w okolice Wygnanki, gdzie zmarł brat Rafała. Wziął w tej zabawie udział książę i jego siostry. Rafał niechętnie zbliżał się do tych miejsc, które mu przypominały sprawy odrzucone z niedbalstwem. Jechał wszakże w pobliżu księżniczki. Na jednym z pagórków otaczających rozległą płaszczynę towarzystwo zatrzymało się. Po deszczach dość długotrwałych dzień był jak wiosenny, pełen woni jałowcu, wrzosu i macierzanki. Błękit nieba okrywał się co chwila obłokami iście wiosennymi, które były delikatne i urocze jak włosy dwuletniego dziecka.

Gdy całe towarzystwo zajęte rozmową skupiło się w pewnym miejscu, kilka osób zjechało niżej ku polom. Księżniczka chciała puścić konia i zwracała się z żądaniem towarzyszenia jej to do tego, to do owego z jeźdźców. Ale młodzi jej bracia i kuzyni byli znużeni. Wreszcie dwu z nich puściło w skok wierzchowce. Między nimi Rafał, którego nikt nie wzywał, skoczył niby to poniesiony przez konia. Anglik księżniczki, rozgrzany, odsadzał się coraz bardziej, niósł coraz wścieklej, wreszcie poszedł w lot niepoohamowany. Mężczyźni zostali w tyle. Wpadli na szeroką wyboistą drogę, która prowadziła do brzoźowego lasu. Rafał począł smagać swego gniadosza i gnał co tchu. Spostrzegł, że księżniczka usiłuje osadzić Unreclameda, że szarpie się z nim nadaremnie. Wtedy podwoił ciosy i w lesie, już na gościńcu, zaczął się do niej zbliżać. Ale szybkobiegacz amazonki, choć zdarty munsztukiem, rwał jeszcze skokami, od których błoto na obie strony pierzchało w las. Rafał widział już tylko lśniące kłęby konia, aksamitny kapelusz i złote włosy. Krew w nim kipiała. W pewnej chwili usłyszał głos księżniczki, jakby wzywający na pomoc. Usłyszał to raz, drugi. Wówczas co mocy w rękę ściągnął konia szpicrutą i w kilkunastu susach dopadł. Zrównał się z nią. Ujrzała go zdumiona, wielkimi oczyma. Ale i on pierwszy raz utopił w nią dziób i pazury oczu. Czuł to, że ją przesywa potężnym, ślicznym wzrokiem.

— Popręg! — krzyknęła, całą piersią i ustami chwytając oddech.

Jednym zamachem chwycił cugle jej konia, zdarł go i osadził. Ogiery otarły się o siebie, a nogi księżniczki żarem owionęły nogi jeźdźca. Wówczas czartowskim podbechtaniem wiedziony schylił się i obiema rękami porwał cudowną dziewczynę. Chwilę miał jej włosy na chciwych ustach, a ramiona i piersi na piersiach...

Ale z nagła stało się z nim coś niesłychanego. Księżniczka porwała się jak błyskawica. Uczuł tylko, że się dźwignęła na siodle.

— *Imbécile!* — krzyknęła przez zwarte zęby i zadała mu przez pysk cios szpicrutą tak niesłychany, że mu się ciemno w oczach zrobiło, a w uszach rozległ się dzwon. Zleciał z konia.

Pierwszym jego czynem, kiedy przetaił powieki, było skoczyć na siodło. Księżniczka Elżbieta znikła. Słyszał tylko za brzozami huk, tętent kopyt jej konia i lepki szelest roztrącanego błota. Wściekły ból od czoła aż do brody w pobliżu nosa targał mu twarz. Rozpacz runęła na niego jak ściana kamiennego domu. Cóż dalej? Ścigać ją i zabić, czy uciekać? Chwilę jechał trupiomartwy, jakby go przed chwilą rozstrzelano. Kiedy noga za nogą posuwając się naprzód, wybrnął z lasu, zobaczył całe towarzystwo na skraju. Nie było sposobu uciekać. Wówczas zostało już tylko cyniczne, czerstwe męstwo. Toteż wolno podjechał do zbliżającej się czeredy. Obok księcia Gintuła jechała księżniczka. Rafał raz tylko rzucił na nią okiem.

— A wasan skąd przywozisz taką pręgę? — ze śmiechem zawołał książę, gdy się o kilka kroków zbliżyli.

— Wina to siostry księcia pana... — rzekł Rafał.

— Jakimże to sposobem wina mej siostry?

— Kiedy dopędzałem Unreclaimeda, pragnąc wstrzymać... przelatywaliśmy obok drzewa. Księżniczka odgięła gałąź brzozy i laskawie puściła ją na mnie.

— Otóż i masz nagrodę za galanterią! Tak to fortuna oplaca wysługiwanie się białogłowom!

Księżniczka w milczeniu, ze spuszczonej oczyma, słuchała opowiadania Rafała. Gdy skończył, parsknęła krótkim, wzgardliwym śmiechem i odwróciwszy konia odjechała.

Książę tknął konia obcasem i przysunął się bliżej do kłamcy. Wtedy krew z wolna ustawać zaczęła w jego żyłach. Czekał błądy i zimny jak na śmierć. Przemknęło mu przez głowę widmo ojca. Tymczasem książę natarł nań koniem i rzekł półgłosem:

— Jesteś waćpan cały w błocie zawalany. Przyznaj się: spadłeś z konia? co? prawda?

— Ależ gdzie tam!

— Daj no pokój! Skocz, proszę cię, do Chłuki, wszak go znasz?

— Znam...

— Oczyszć się, obmyj, bo cię wezmą na języki i wyśmieją. My wracamy do Grudna. Powiem wszystkim, że cię posłał na Wygnankę w swoim interesie.

— Słucham księcia...

— Z daleka oddaj towarzystwu waletę jak gdyby nigdy nic i ruszaj. Wróc wieczorem o zmroku. Twarz na noc obłóż wodą... *Adieu...*

„Nic nie powiedziała” — myślał Rafał z niewymowną rozkoszą. Zadrzała w nim jak gdyby struna, wyśpiewał się krótki, osobliwy głos i upadł w nicość.

„Nic nie rzekła, ani wyrazu...” — marzył odjeżdżając.

Popędził w przeciwną stronę, ku Wygnance. Gdy się pode wsią obejrzał, już mu kawałkada grudzieńska znikła z oczu. Oстрыm klusem mijał wioskę.

Chałupy włościańskie ze zmurszałego drzewa, kryte gontem, jak żebracze łachmany wyciągały się wzdłuż, drogi. Najlichsza z nich, krzywa i rozsypująca z siebie próchno, była siedliskiem starego Żyda, Urysia. Sam krzywonogi Żydowin stał przede drzwiami i patrzył w stronę dworu z takim przerażeniem, że nawet pędzącego Rafała nie dojrzał. Inne chałupy były poroztwierane i puste. Dopiero na końcu wioski widać było zbiegowisko ludzi. Z kolein drogi podnosiła się tam kurzawa, a w niej migały jakieś figury. Krzyk dolatywał. Charget chłopstwa...

W pewnej chwili przebiegła obok jeźdźca stara jakaś baba, umykająca w popłochu, z bekiem i z głośnymi słowami pacierza w drżących, szerniałych, wywiedłych wargach. Dalej wpadły pod nogi końskie dzieci czarne, zeszlým gnojem okryte, a rozpierchłe jak stado spłoszonych wróbli. Gdy Rafał blisko podjechał do końca wioszczyzny, ujrzał

w kłębach pyłu huzarów austriackich. Kilku siedziało na koniach, trzymając cugle wierzchowców, z których zsiadli towarzysze. Tamci uwijali się w tłumie pospólstwa. Chłopi tworzyli koło wzburzone, kipiące stłumionym gwarem. Rafał nie mógł się przecisnąć, gdyż całe oplotki były zapchane przez lud i konie. Pilno mu było do dworu, ale zmuszony był wstrzymać się, zwrócić uwagę. Sięgnął z konia i pociągnął za ramię pierwszego człeczynę z brzeża:

— Ojciec, a co się to tu robi?

Podniósł na niego oczy spod obdartego, zgniłego już kapelusza ze słomy człowiek stary tak bardzo, że był istotnym grzybem.

— Hę — wymiamał. — Nie słyszę...

— Co się tu dzieje?

— Gádáj, máli gádać, bo nie słyszę...

— Czegóz was tu taka kupa?

Ów stary, trzęsący się dziad trącił w bok sąsiada i wskazał mu Rafała. Sam znowu wlepił w środek koła oczy wygniłe, stuletni pewno mózg i stuletni uśmiech obojętności. Tamten drugi spojrzął błędnymi oczyma, jakby go dopiero co zbudzono ze snu. Po chwili ocknął się i rzekł:

— A to, proszę łaski panicza, żołnierze chłopca biją.

— Za co go biją?

— A no... gzekucyja i tyła.

— Ale za co go biją?

— Za to go biją, że, proszę łaski panicza, na pańskie nie chce wychodzić i wieś bontuje. Pada, że my som niby wolne. A tu sam pokazał, jaki to... Cie wy, moi ludzie...

Rafał ruszył koniem, rozepchnął motłoch i wjechał dalej. Ujrzał posępne, głuche i nieme twarze żołnierzy. Wejrzenia ich kamienne stały wkoło jak nastawione bagnety. Rafał stanął w strzemionach i przez głowy otaczających, między wysokimi czapami, zobaczył twarz Michcika. Chłop stał obdarty ze szmat, półnagi, z koszulą rozerwaną, z odkrytymi pierściami. Łeb jego był rozkudłany i osuty kurzawą drogi. Włosy wisiały mokrymi, skrwawionymi strzępami. Z rozbitej czaszki, z nosa, z ust krew ciekle. Wargi miał czarne, oczy podbite i zamknięte, policzki sine od zniewag.

Wlekło się krwawe, wyczekujące milczenie. Tylko dokoła lud wciąż między sobą gadał, gadał, gadał...

— No, Michcik, ostatni raz się pytam... — rzekł jakiś człowiek w urzędowym kaszkiecie.

Chłop milczał.

— Michcik, upamiętaj się na rany Pana naszego Jezusa Chrystusa, bo jeszcze jedna chwila, i kłamka zapadnie. Pójdiesz w żołnierze, jak amen w pacierzu. Na oczy więcej tej oto Wygnanki nie obaczysz. Ja ci to mówię, mandatariusz ci to mówi. Pan Chłuka to teraz jest twój prawowity pan. Cóż ty, człowieku? Na panaś swego rękę podniósł? Na pańskie wychodzić, jak Bóg wszechmogący przykazał, daninę oddaj, jak święte prawo każe — i nikt na cię palca nie zakrzywi. Jeszcze jedna chwila oporu, i rozgniewa się w sercu swym pan Chłuka, da cię na wieczny czas w kamasze, jak amen w pacierzu. Ja ci to mówię, mandatariusz ci to mówi!

Nastało znowu milczenie.

Żelazne oczy żołnierzy zawisły nad Michcikiem. Każdy z nich trzymał w ręku laskowy kij ogolocony z liści. Gwar chłopski ucichł. Na dany znak pierwszy żołnierz z brzeża chwycił Michcika za rękę. Ale skazaniec odepchnął go od siebie jednym podźwignięciem ramienia i, jakby do niego tylko kierując mowę, w niego wlepiając bielma zabitych oczu swoich, zaczął jąkać się z przeraźliwym krzykiem:

— Pod Na... pod Na... służyłem... psiekrwie... Miemce!... Szanuj mię, psie! Żołnierza! W bitwach, w bitwachem-em beł, psiekrwie! W ośmi! Pod Kozubowem...

Na dany znak chwycono go za bary, z tyłu poderwano mu nogi, rzucono na ziemię. Wzniosły się kije i zaczęły świstać a rypać. Co chwila Michcik zrywał się z ziemi z krzykiem coraz straszniejszym. Nie słyhać już było słów, które z krwawych jego ust leciały, tylko sylaby jakieś porozdzierane. Rafał rozumiał je dobrze. Słyszał, że Michcik wzywa nadaremnie brata, i to zdanie w strzępach wciąż powracające:

— Szanuj mię, psie, człowieka wolnego!

Żyły Rafała uległy zaciśnieniu, a krew ich zamieniła się w dziki płomień. Oczy ośle-
pły i widzieć nie chciały. Ucho było z drewna. Wzgarda względem wszystkich rzeczy
świata, do tego chłopca, do siebie, owionęła go od stóp do głowy jak fetor nie do zniesie-
nia. Wspomnienie ciosu szpicrutą werznęło się weń nagle z całą potęgą towarzyszących
mu myśli i niewysłowna rozpacz wwalila się do serca. To co miał przed oczyma, to co
włamywało się w uszy, pomnażało tylko od chwili do chwili bezdenne i głuche obszary
nędznej boleści. Ów dawny chichot, wyłamujący się z płonących bebechów wściekłości,
zatrząsał nim całym. Koń, szarpnięty z całej siły, cofnął się i aż przysiadł na zadzie. Rafał
nawrócił go, wydobyl się z tłumu i jechał z powrotem tą samą drogą, ku Grudnu. Słyszał,
mijając wieś, że ktoś za nim biegnie, jęczy i skamle o pomoc dla Michcika, ujrzał nawet
szarą twarz Żyda Uriasza, ale słabo rozumiał, co bełkocze szlochając ten mizerny twór.
W oku, w kącie ust, w policzku, w czole wzmagał się narywający ból od cięcia szpicru-
tą. Głowę miał pełną dymu, w kościach palające zarzewie, a przed całą duszą jakby dół
wykopany.

Słońce zachodziło za lasy. Koń szedł noga za nogą. Rafał go nie popędzał. Był spragniony
nocnej ciemności, jak człowiek spalony od gorączki pragnie wody. W bezludnych
polach, między opustoszałymi ścierniami siedział na koniu z obwisłymi rękoma, patrząc
w tarczę ognistą. Czuł, jak tego dnia uderzyło nań słońce całym swoim pożarem. Udawał
się jeszcze sercem to tam, to sam...

Brat Piotr... Michcik... Role przez nich wykarczowane... Dźwigał rękę ciężką jak ka-
mień. Czuł, że nic sobie pomóc nie może... Z obszarów zasłanych jałowcem, ze ściernisk
pachnących macierzanką i cierpkimi woniami chwastów jesiennych dźwigało się ku niemu
owo bolesne, straszliwe szemranie chłopstwa, dygotał w uszach niepochwytny gwar
wściekłego motłochu, rozjuszone skamlanie, jęk nie do zniesienia. Fizyczny ból w policzku
przypiekl go do żywego niby rozpalonym żelazem. Rafał wznosił szpicrutę, zaczął ciąć
konia i zdzierać go uzdą, siekł jego lśniąca zgiętą szyję, smagał mu kłęby i brzuch. Koń
stęknął głucho, wspiął się, zwinął w sobie i rwał z miejsca, gdy ciosy coraz wścieklejsze,
obłąkane, spadały nań jak błyskawice, a munsztuk nie popuszczał...

Chiesa aurea

Na jesieni roku 1797 książę Gintult jako tako załatwił obowiązki głowy rodziny i wyjechał
z kraju. Siostry zaopatrzył w opiekę dalekich ciotek tudzież w legion nauczycielek, dwu
braci odwiózł do szkół publicznych w Krakowie, udzielił pełnomocnictwa do działania
folwarcznego komisarzowi, a władzę kierowniczą nad interesami zlał na krakowskiego
mecenasa Dorszta. W tym samym czasie pozbył się z domu wielu rezydentów, a między
innymi Rafała. Przydał ostatniego za pewien rodzaj towarzysza braciom. Przy protekcji
pańskiej udało się, z ciężką wprawdzie biedą, tyle dokazać, że Olbromski zdał wymagany
egzamin do klasy piątej i umieszczony został na poetyce w liceum świętej Anny. Dużo
trudu kosztowało księcia uzyskanie w Wiedniu paszportu do Włoch, a mianowicie do
krajów Rzplitej Weneckiej, na dwór papieża, do krajów króla Piemontu, wielkiego księcia
Toskanii, księcia Parmy i Burbonów Neapolu. Przerwana już była na pozór w Leoben
wojna, ale tłała jeszcze zarzewiem. Wszelako rozległe stosunki umożliwiły otrzymanie
drogocennego papieru z mnóstwem podpisów, winiet i pieczęci. Książę wyjechał.

Chyżo mijał góry Styrii, Karyntii, przedłużone odnogi Alp tyrolskich. Jechał wielkim,
starodawnym traktem górskim, który przecina rzeki Sawę, Drawę i Mur. Dostał się
nareszcie w pustynię Krasu, między wapienne wyniosłości i zawaliska, gdzie woda w głąb
ziemi ucieka tworząc w jej łonie pieczary, podziemia, jeziora i rzeki. Ten bezludny, zapa-
dający się świat kamieni pełen był jeszcze wojsk republikańskich, które pod dowództwem
Masseny, Guieux, Chabota, Serruviery i Bernadotte'a z wolna cofały się ku Palma Nuova
opuszczając Gorycję i Karyntię. W miejscu tym wielki trakt stykał się z drogami idącymi
ze wschodu. Z wyżyn widać było białe ich taśmy, łamiące się po bezdrzewnych i bezwod-
nych łańcuchach gór. Jak oko sięgło, słały się po nich ruchome kurzawy, a w nich brnęły
ku południowi i na zachód kolumny za kolumnami. Górskie wioseczki były popalone
i zrównane częstokroć z ziemią. Ludność witała podróżnika nieufnym, podejrzliwym
okiem, wyciągając wychudłą rękę po datek. Słowo ze szerniałych warg padające było
słowiańskie...

Książę nie pożałował bynajmniej widoku dzieł Marsa, toteż ile się dało zbaczal z traktu wojennego i co tchu dążył w stronę Triestu. Sądził, że już wszystkie szlaki strategiczne wyminał. Tymczasem na jednej z najwyższych przełęczy, w miejscu spotkania się rozstajnych dróg, woźnica obrócił się na koźle, potrząsnął głową i wskazał biczyskiem zbliżające się tuż-tuż obłoki kurzawy. Nie było sposobu ruszyć dalej, gdyż wojska wwalily się z bocznej na główną drogę i zajęły całą szerokość. Zatrzymano się pod wysoką skałą wapiennego szczytu na zakręcie drogi.

Książę wysiadał właśnie z powozu dla uniknięcia kurzu, kiedy zza tej skały wynurzyły się pierwsze rzędy infanterii. Szli ludzie przywaleni kurzem od głów do stóp, jak ruchome jego słupy. Ledwie w dymach pyłu wapiennego widać było zgorzałe na węgiel ich twarze, zamknięte oczy, zacięte usta. Szli wielkim, twardym, młodym, niestrudzonym krokiem. Przesuwały się w małych odstępach jedna za drugą kompanie grenadierskie. Gdy książę wzwyczał oczy do kurzu, ujrzał, że ci ludzie byli oberwani, prawie bez butów. Znienacka dokuczliwy ból zarznął go do żywego... Widok kroju mundurów tych grenadierów do złudzenia przypominał dawne czasy.

— Toż to mundur kawalerii narodowej — mamrotał książę.

Szedł batalion strzelców odziany w lachmany ludzaco podobne do regimentu marszałkowskiego strzelców węgierskich, w mundurach niby błękitnych z pąsowymi wyłogami, w połocistych giwerach z pąsową kitą. Ciągnęli wciąż, wywalając się zza góry jakoby ze strasznego jej łona. Wizja bolesna, sen długi i duszący... Widok każdego oddziału nożem padał w piersi i utykał w sercu. Oto idą znowu, idą znowu! Łoskot ich kroków grzmi na tej ziemi wewnątrz próżnej. Regiment fizylierów, coś jak regiment Działyńskich, a wreszcie regiment pierwszy imienia królowej Jadwigi. Pąsowe mundury, białe kolety, białe pasy i czarne kapelusze. Wszystko to obdarte, w latach różnokolorowych, w szwach, w gałganach. Nogi półbose dzielnie i twardo wytrzymywały takt na tej nieskończonej drodze między morzem a lądem, wlokąc strzepy „czarnych butów niemieckich”. Broń szczękała. Obok ludzi, idących miarowo, brnęły do taktu chude konie oficerów wyższych. Oni sami jak czarne znaki, równo kołysząc się znikali w kurzawie. Na prawo i na lewo zygzakiem schodzili w głębie pustej doliny. Czarne ich widma znikły z oczu, i sama chmura pyłu z wolna osiadała na drodze. Jeszcze długo kołysała się rytmicznie w głębi, a później poszła w górę, na dalekie, błękitnawe pasma, we światy...

Książę ocknął się jak ze snu. Popędził w swoją drogę. W Trieście, trafił szczęśliwie na odchodzący tegoż dnia do Wenecji dwumasztowy okręt z pomalowanymi żaglami — *trabaccolo* i puścił się na morze.

Już kiedy przepływano obok fortu św. Andrzeja, na grobli Lido i u wejścia do portu Malamocco okręt poddany był nadzwyczajnie ścisłej rewizji. Podróżnych badano jak zbiorów, a ich paszporty oglądano na wszystkie sposoby. Osobliwie książę, jako przybywający z Austrii, był przez celników francuskich obserwowany bardzo podejrzliwie. Gdy się te wszystkie ceremonie skończyły, wylądował wprost na mały rynek. Był tu za lat wczesnej młodości swej, z rodzicami, kiedy jeszcze nosił błękitny mundur kadecki. Dziś był zupełnie sam. Ojciec i matka spoczęli pod ziemią. Te miejsca ukazały się teraz oczom jak widok tamtych minut, jak widok samych umarłych. Młode szczęście godzin, straconych na zawsze, tało się w tych murach. Nie widząc wcale ludzi przechodzących książę brnął przez *piazettę* ku kościołowi świętego Marka z oczyma pełnymi łez, z ustami pełnymi słów miłości, z piersią pełną westchnień i żalu.

— *Pax tibi, Marce...* — szeptał do świątyni z najgłębszą czcią.

„Złota świątynia” stanęła przed nim znowu. Śnił patrząc na nią, że go niby urząd duchowy, niby trybunał sądzący zapytuje o lata ubiegłe, o życie przebyte, o szczęście odepchnięte, o pogrzebane w ziemi zwłoki i o całuny uczuć, co je do snu wiecznego otuliły. Przywarł plecami do muru Kampanili obok białej loggiety Sansovina, skulił się i z wlepionymi w kościół oczyma na długo tam został. Miał więc znowu to, za czym tęsknił. Balustradę z kilkuset kolumn o ozdobach gotyckich, połączoną z kapryśnymi słupami saraceńskimi, nad którą strzelają minarety arabskie i pięć jasnych kopuł greckiej cerkwi. Nasycił znowu oczy widokiem przedsonka okrytego mozaikami na złotym dnie... Tam św. Marek w ubiorze biskupim, tam Zmartwychwstanie, tam Wskrzeszenie Łazarza... Oto chimeryczne korynckie konie nad głównym portalem środkowym wspinają się i rwą

w świat. Dokąd? Były już przy pogromie Grecji i jako symbol tryumfu rwały się w świat na tryumfalnych bramach Rzymu. Były przy upadku Rzymu i stanęły na tryumfalnych murach Carogrodu. Były świadkami zwycięstwa Wenecji nad Bizancjum i stanęły tu, u drzwi św. Marka, na pięćset lat...

Nim wszedł do bazyliki, książę miał pod powiekami jasnovidzenie jej złotego wnętrza, wizję całkowicie złotą, pełne oczy złotego mroku. Słyszał w głębi swej duszy szelest sukni dawno zmarłych rodziców, echo, brzmiące pod ciemnym sklepieniem, rozmowy prowadzonej między wonnymi dymami czci i pokory. Podniósł oczy ze drżeniem. Obcy ludzie snują się naokół... Wszedł tedy co prędzej na mozaikowe posadzki, na owe dywany z kamienia, gdzie tylekroć hulały bałwany morza, że same mozaiki powyginały się na obraz fal i pian. Ale stuoka pamięć i tam z każdego kąta, zza każdego filara wysuwała obraz albo dźwięk dawno umarły. Jakże straszliwie patrzyły teraz w przybysza wielkie, jak gdyby senne oczy samotnych świętych, oczy pełne smutku-niesmutku, żalu-nieżalu, oczy pełne mądrości, oczy, które widzą przez wieki, oczy wieszczce! Książę czuł, że to od nich zstępuje ku niemu ów szept niezrozumiały. Jakże rozdzierająca była mowa ich zeschniętych ust, prawda, której wyznać nie mogą, zamknięta w skurczach czoł i lic, w okrutnych gestach skostniałych rąk. Mowa ta usiłowała wyjawic wieść z tamtego świata, wyznać straszliwe ostrzeżenie, jedno i to samo dawała znać przez tysiąc lat trwożliwym spojrzoniom rzesz ludzkich, które tu przychodziły ze wszystkich kończyn ziemi. Zdawało się, że głębokie luki, arkady, sklepienia i kopuły nad filarami odzianymi w polerowany, ciemnoczerwony marmur, żarzą się i świecą własnym zarzewiem złotym, które wybucha ze ścian, gdzie w czworograniastych słupach przepala się czarodziejski ogień grecki.

Książę błąkał się po świątyni z miejsca na miejsce, wodząc po twardych liniach bizantyjskich przymrużonymi oczyma. Jakże się to dokonało, że wszystko naokół jest takie samo jak za poranku jego młodości, a on sam... Gdzież się podział młodzieniec, który to widział pierwszy raz? Nie ma go już. Ten co ogląda to samo, to inny zgoła człowiek. Radosne uczucia tamtego przeistoczyły się w strupieszwały żal, podobnie jak w trupa przeistacza się żywy człowiek. I oto rozszerzył się żal, zabrzmiał niesłychanym, zaświatowym echem, na podobieństwo głosu rozlegającego się pod sklepieniem chrzcielnicy w Pizie. Gdzie się podziały ludy z ich wołą, czynem i sprawą? Gdzie państwa ich i królowie? Świątynia ta stała już taka sama, kiedy Mieszko I na tron wstępował. Została taka sama... Przeszli tędy rycerze idący odbierać grób Chrystusowy. Tu, na kamieniach przedsiönka, Fryderyk Barbarossa klęczał u stóp papieża. Niezliczone tryumfy weneckiego ludu nad Genuą, Konstantynopolem, Viceną, Weroną, Belluno, Padwą, Bergamo, Istrią, Dalmacją, Moreą, Kandią, Cyprzem i wyspą Lemnos, nad całym carogrodzkim morzem...

— Przeżyłeś i swą Wenecję, święty Marku... — zaśmiał się wędrowiec patrząc z niecną radością w mroczne głębie kościoła. — Żołdak francuski zerwał z masztów twoje szkarłatne chorągwie, wiszące w chwale od czasów Henryka Dandolo, roztrącił skrzydlatego lwa...

Poruszony do samej głębi ducha wyszedł z kościoła. Uderzyła go, jak nieznośny ciężar, myśl o zwycięstwie francuskim. Widział w marzeniu pustą lagunę, zalewisko zgnitych wysp, gdzie królował przyphływ morza. Lud uciekający przed dziczą Attyli stworzył tu ludzkie siedlisko. W ciągu trzynastu wieków potomkowie tych, co tu przybyli, wbijają w muł miliony dębowych palów, na nich wznoszą blisko trzydzieści tysięcy domów, czterdzieści rynków; przywożą z dalekich gór ciosany granit, czerwony, biały i żółty marmur, wyściełają kamieniem czterysta kanałów, dźwigają blisko pięćset mostów z marmuru. W mieście tym wyrasta niezmierna liczba świątyń i pałaców, wykwita biblioteka Sansovina, Prokuracje, Kampanila, pałac dożów i sama owa bazylika. Niestrudzeni żeglarze, waleczni żołnierze, najprzemysłniejsi kupcy zwożą w darze dla świętego Marka wszystko, co gdziekolwiek było cenne. Z Egiptu, Grecji, Bizancjum — kolumny z porfiru i serpentyny, alabastry, wazy, płaskorzeźby egipskie, snycerskie dzieła Persów, słupy z mistycznym pismem ze świątyni Saba w Akrze. Wydali ze swego łona niezliczony poczet artystów aż do wielkiego Tycjana, byli szerzycielami umiejętności i kunsztów... I oto jednego dnia przybywa z ziemi twardej samotrzeć w gondoli adiutant francuskiego generała, sam jeden z nakrytą głową wstępuje na „olbrzymie” i na „złote” schody i wchodzi na posiedzenie Wielkiej Rady, do sali, skąd słuchały wyroków dalekie ludy morza, podniesionym

Przemiana, Przemijanie,
Kondycja ludzka

głosem odczytują w obliczu doży i wszystkim Wenecji list zwiastujący wojnę, a właściwie deklarację zniszczenia ich ojczyzny, którą tyle pokoleń własnymi rękoma zdziało...

W parę tygodni później złota księga płonie u podnóża drzewa wolności, doża chroni się do swego domu, a patriarcha Giovanelli asystuje przy ceremonii zniszczenia ustaw Wenecji i zanosi do Boga modły...

Wyszedszy na plac książę otoczony został przez tłum natrętnych przewodników. Ci wskazywali mu jeden przed drugim wieżę zegarową. Rzucił okiem i spostrzegł to, z czym tak uporczywie chcieli go zaznajomić. Na karcie księgi, którą trzymał przez wieki złoty w błękitnym polu lew Wenecji, zmazane były słowa: *Pax tibi, Marce, Evangelista meus!* — i wyryte inne: *Droit de l'homme et du citoyen*. Inni, podkreślając stokrotnie dowcip gondolierski, że nareszcie po tylu latach złoty lew odwrócił jedną kartę swej księgi, wskazywali rozpoczęte z rozkazu „wielkiego generała” budowanie *Fabrica nuova*, które miało zamknąć plac św. Marka i w jedną całość złączyć Prokuracje. Bito tam w kanał pale, wznosiły się rusztowania. Książę odpędził zgraję i z wybrzeża Piazzetty popłynął w gondoli do hoteliku, dokąd już był rzeczy odesłał.

Tego jeszcze dnia zaczął składać wizyty w celu poznania stanu rzeczy. Łączyło go dalekie po przodkach kuzynostwo z jedną rodziną magnacką Wenecji. Skorzystał z tego i odnowił znajomość zawartą czasu pierwszej z rodzicami bytności. Był przyjęty bardziej życzliwie, bardziej gorąco, niż przewidywał.

Duże jeszcze kołatało się w pływającym mieście zgromadzenie emigrantów francuskich, którzy szukali tutaj nie tylko schronienia przed motłochem swej ojczyzny, ale również rozniecali namiętności patrycjatu weneckiego przeciwko Francji, jej rządowi, generałowi i niezwykłej armii. W chwili gdy książę Gintuł stanął w tym mieście, emigracja francuska zabierała się do odwrotu... Sceny paryskie powtórzyły się na placu św. Marka i na moście Rialto. Lud przez pięć wieków, od czasów doży Piotra Gradenigo, praw pozbawiony, pozbawił praw szlachtę i sam, w osobach sześćdziesięciu przedstawicieli, zasiadał w sali di Pregadi, i w Cedrowej, i w izbie Rady Dziesięciu, a nawet w izbie, gdzie zasiadali *Inquisitori di stato*. Ludwik Manini skrył się w zaciszu domowym po wzruszeniach pierwszego i szesnastego maja. Eksprokurator Franciszek Pesaro, ogłoszony za wroga ojczyzny, wygnany został z kraju. Lud, rządzący pod osłoną bagnetów francuskich, zadekretował przede wszystkim otwarcie więzień — zarówno Pod Ołowianym Dachem jak Pod Wodą — oraz zniszczenie Inkwizycji Stanu. Trzęsło się po placach, tawernach, kawiarniach i gondolach od powieści o więźniu, który miał w lochach przebyć czterdzieści trzy lata. Toteż na gmachu Prigioni widniał teraz napis: „Więzienia barbarzyństwa tryumwiratu arystokratycznego, zniszczone przez municypalność tymczasową Wenecji w roku pierwszym wolności włoskiej, 25 maja 1797 roku”. Wszystkie te szczegóły jak grad sypały się na przybywsza podczas jednego z zebrań towarzyskich w pałacu Morosini. Zdawało się, że pozbawieni władzy chlubią się tym wszystkim, co rozpowiadali. Dawało to sposobność do nierównych dowcipów, świetnych drwin z motłochu rozsiadającego się w pałacu, a nawet do rzewnych legend. Jakże doskonale natrząsano się z sekretnych artykułów „podyktowanych” w Mediolanie 15 maja, a szczególnie z piątego punktu, który żądał wydania dwudziestu najprzedniejszych obrazów i pięciuset manuskryptów! Z dumą i wzgardą istotnych patrycjuszów lżono dowcipami ową żarłoczność republikańską, która za nic zdzierła z miasta sześć milionów kontrybucji, trzy statki wojenne i dwie fregaty z załogą. Jedni rozpowiadali z najdrobniejszymi szczegółami o zajęciu fortu świętego Andrzeja, Chiozzy, arsenału i ważniejszych punktów przez cztery tysiące „załogi”, o zagarnięciu władzy nad flotą, o odwołaniu ministrów i wysyłaniu do dworów monarszych... demokratów... Ci ośmieszali „traktat” za zniesienie kary śmierci, tamci za otwarcie więzień, skasowanie „lwiej paszczy”, dziesięciu i trzech, za wywrócenie starej konstytucji, ogłoszenie swobody sumienia, wolności prasy i zupełnej amnestii...

Książę Gintuł doświadczał złudzenia, że już raz widział takich ludzi za swego niedługiego żywota. Uśmiech wystąpił na jego usta. Z uwagą przysłuchiwał się wszystkiemu. Patrzał badawczo, jak mężowie trzeźwi, politycy przebiegli, natury po włosku gibkie, znawcy rzeczy tego świata, czciciele faktu dokonanego teraz dobrowolnie ludzili się, na pół świadomie przeceniali rzeczy blahe. Jeden w ciągu godziny mówił o sile partii ludowej, przywiązanej do świętego Marka, drugi szeptał o możliwości sprowadzenia raz jeszcze najemnych komuników słoweńskich, trzeci o konieczności spróbowania raz jeszcze walki,

jak na moście Rialto. Inni rozprawiali z zapalem o takich sprawach i zabiegach, z których przed rokiem śmialiby się szyderczo. Oni, którzy pochwalili zamordowanie kapitana Laurier pod Lido na statku *le Libérateur de l'Italie*, co było ostatnim, najbardziej bezpośrednim powodem, a nadto zrozumiałym pretekstem zemsty Buonapartego, szukali teraz oparcia... w ludzie! Wzdychali do jego wierzeń. Budowali nową Wenecję na lagunach uczuć ludu. Uśmiechali się z wyrazem niezachwianej wiary w jego przywiązanie do skrzydlatego lwa. Jedna z dziewic, piękna jak marzenie, uproszona przez wszystkich, miała wypowiedzieć w gwarze utwór nieznanego poety z ludu o wykradzeniu relikwii świętego Marka przez „francuskiego złodzieja”. Książę słuchał ciekawie. Recytatorka mówiła:

— „Złodziej wszedł do dzwonnicy świętego Marka i wstąpił na wysokość lwa złoconego. Usunął duży kamień, który się sam obrócił, i zobaczył małe wydrążenie w murze. Tam leżał lew brązowy, któremu przednią odsrubował łapę. We wnętrznościach tego zwierzęcia znalazł pięć kluczy złotych, zaśrubował na powrót łapę, kamień na swe miejsce zasunął, a klucze zabrał. Udał się prosto do bazyliki i porachowawszy słupy zaszedł do kaplicy sobie wiadomej. Był tam ciężki konfesjonał drewniany roboty snycerskiej, który się na czopie obracał. Gdy go złodziej obrócił, znalazł kamienną niszę, w której głębi znajdowała się płyta. Zdjął ją, wszedł i znalazł się w korytarzu wydrążonym w grubym murze. Miał fosfor sycylijski i jeden kamień przezroczysty, wydający z siebie jasność słońca. Użył go do oświetlenia i ciasnymi zeszedł schodami.

Tu, będąc już pod powierzchnią morza, zbliżył się do wielkiej sali, dokąd wiodły wielkie drzwi dębowe, sztabą żelazną okute. Otworzył je kluczem i przeszedł. Był w sali, w której sklepienie wspierało się pośrodku na grubej kolumnie... Wyciosana tam była historia świętego Marka od Aleksandrii aż do tajemniczego grobowca. Widać tam było kupców weneckich nabywających ciało święte: dalej widać było, jak je okrywali słońcą, jak muzułmanie przestraszeni uciekli. Widać tam było dalej, jak szli na okręt, jak ich napadła straszliwa burza. Widać było, jak wylądowali w Wenecji, wchodzili do kościoła, do podziemnego grobowca. Widać było, jak doża sam jeden skrycie kryptę odwiedza...

Złodziej odsrubował kolumnę i znalazł w podstawie okrągłe schody. Zeszedł po nich i ujrzał ogromną przestrzeń, strachem przejmującą. Ale był tam guzik w murze okolicznym. Przyciska go, i oto spada most żelazny. Bez tego mostu zleciałby był w przepaść, gdzie koła obracały się ciągle, gdzie ostre noże i kolce żelazne posiekłyby świętokradcę. Przebywszy most znalazł trzy kraty żelazne, które umiał otworzyć sekretem symbolicznym. Wówczas stanął u ostatnich drzwi z brązu, które złotym kluczem otworzył.

Tu olśnił go widok kaplicy. Ujrzał tam wazy, urny, lichtarze, kadzielnice złote, srebrne i z drogich kamieni. Sto świec woskowych płonęło, wonią napełniając powietrze. W środku był ołtarz zrobiony z tego metalu, z którego jest pierścień dla doży zaślubiającego morze. Na nim był posąg świętego Marka ze lwem przy nogach. Lew miał paszczę otwartą, a zamiast oczu — diamenty. Klucz grobowca był w paszczy lwa. Gdybyś go wziął ty albo ja, wystrzeliliby ze strasznym hukiem, a przez tajemnicę magiczną poruszyłby dzwony świętego Marka. Doża nadbiegłby z patriarchą. Ale złodziej wiedział dobrze, co czynić. Obrócił cztery razy ucho lwa, i klucz sam wyszedł z grożącej paszczy. Wtedy wkłada klucz w zamek grobowca, otwiera... Święte kości przed nim leżą!

Świętokradztwo! Przekleństwo! Wieczne potępienie!

Bierze święte kości, obwija je w płaszcz swój. Korzysta z przejścia, które na dnie grobowca znajduje. Wstąpił na korytarz. Korytarz obraca się, podnosi. Dalej znajduje schody. Długo otwiera drzwi ostatnim złotym kluczem i oto wchodzi do bazyliki na balustradę nawy, gdzie zwykle nikt nie patrzy, czeka nocy, ażeby uciec. Ucieka. Noc upływa...”

Całe towarzystwo słuchało tych słów w bolesnym wzruszeniu. Twarze były jak skrzące, oczy zdrętwiały. Ten i ów ukrył twarz w dłoniach. Jeden książę Gintułt słuchał obojętnie.

Ogarniało go nie współczucie, lecz właśnie pogarda względem tych, którzy zdolni byli wzruszać się tak tym, co ich najbardziej hańbiło. Wydali mu się jak szalbierze, którzy usiłują zrobić interes na ostatniej reszcie własności ludu. Nie zdążyli wydrzeć korzyści z błędnych jego wierzeń i głupich plotek, błędnych i głupich z ich winy, więc czynią to teraz w chwili stosownej, kiedy nie pora już osiągać korzyści wyższego rzędu. Ci sami,

którzy przedsiębrali wszystko przez sześćset lat dla zdławienia i zniszczenia praw motłochu, odwoływali się do motłochu, gdy przyszło karę ponieść za winy. Czyliż — myślał — nie są jak żebracy wyciągający rękę? Udają ludzi wierzących w doskonałość praw swej Rzeczypospolitej... Gdybym też teraz wstał i zapytał ich: jak się zapatrują na maksymy Fra-Paola Sarpi, na owe wytyczne zasady udzielane prokuratorom? Pierwsza zasada: trzymać w stanie ciągłego ubóstwa stan szlachty zubożalej. Druga zasada: poprawić artykuły konstytucji w taki sposób, żeby można było posługiwać się nimi w miarę potrzeby. Trzecia zasada: schlebiać głupocie, namiętnościom, a nawet występkom motłochu.

Nie wstał jednak. Wystarczyło mu wspomnienie słów mędrca, najgłębszego znawcy rzeczy dokonanych, Nicola de Bernardo di Macchiavelli. Oto były te słowa, zawierające prawdę dowiedzioną:

„Jeżeli potężny nieprzyjaciel wstąpił w kraj jaki, naówczas wszyscy malkontenci z rządów swojego kraju przyłączą się do nieprzyjaciela. Ten, kto panuje, powinien ich mieć na oku i nie dopuścić tego połączenia się, ale owszem pociągnąć malkontentów ku sobie i siły ich obrócić przeciwko potężnemu nieprzyjacielowi, aby sam jeden był panem w kraju. Jeżeli tego nie uczyni, narazi się na zgubę, ponieważ wszystko go opuści”.

Książę siedząc na uboczu i niby to przysłuchując się rozmowie widział przed oczyma ów zastęp bagnetów znad słodkich wód Piawy, jako wynik naturalny formuły Macchiavellego. Zdawało mu się, że śni, że dostrzega blade oblicze człowieka, który tak poznał sprawy ziemskie... Cóż by dał za to, ażeby z nim przepędzić jedną godzinę życia, usłyszeć odpowiedź na zadane pytania!...

W tej samej chwili ktoś z gości przysiadł się do niego i zaczął rozmowę. W trakcie jej zapytał:

— Wszakże to rodak pański, adiutant Buonapartego, pierwszy nam przyniósł zapowiedź zniszczenia, deklarację wojny lub tak zwanego pokoju? Sam jeden wszedł na olbrzymie i na złote schody, do sali cedrowej, gdzie zasiadała wszystka dziedziczna arystokracja Wenecji.

— Rodak mój? Któż taki?

— Oficer, nazwiskiem Sułkowski.

— Czy być może?

— Tak jest.

Książę dotknięty był tą wiadomością. Józef Sułkowski był jego przyjacielem z lat obozowych. Razem niegdyś uczyli się, fantazjowali, toczyli rozmowy. Książę pamiętał go z czasów rydzyńskich... Pefen nieprzyjemnego uczucia ironii, która co chwila przeciwko niemu samemu ostrze bolesne zwracała, wyszedł z tego zebrania. Unikał też odtąd następnych.

Spędzał dni sam, najczęściej w gondoli. Jeżeli morze było niespokojne, waleśał się w obrębnie lagun od Giudekki po Murano, zwiedzał brzegi twardego lądu od Fesine do Mestre. Codziennie pozdrowiał ulubiony swój most *dei Sospiri*. Kształt tego mostu był jakby wmurowany w jego myśli i stał się symbolem pewnych zająć duchowych. Niby dziwne, magiczne szkło dawał widzieć całą prawdę życia. Z głębi jego okien, dzierganych w kamieniu, zdawały się patrzeć bolesne oczy Jakuba Foscari, kiedy wracał do swego więzienia... Nad swobodnymi wodami stała ta droga wdychania w obliczu śmierci — między tym, co jest najbardziej rozkosznego w życiu ludzkim, a tym, co jest największym złem. Dzieje nieszczęścia uczyniły ją piękną i godną myśli nigdy nieuprzykrzonych. Dzieje niepodległej siły ducha owiały westchnienia rodu ludzkiego.

Gdy zdarzył się dzień cichy, książę wyruszał o żaglu na morze i spędzał tam dzień cały. Szczególnie udał się jeden dzień pogody zupełnej, jasności zupełnej, dzień senny po jesiennemu, przejrzysty i niezwykły. Łódź nie kołysała się wcale. Morze było tak ciche, że tworzyły się na nim w matowych polach świetliste miedze i drogi, niby polne szlaki między rolami zredlonymi pod wiosnę. Były momenty olśnienia szczególnych, kiedy ruchliwe wody straciły wyraz ciekłości, stawały się bezwładne, zastygłe, przejrzyste aż do samego dna, jak niezmierny otwór wyszlifowany i drążony w górskim kryształ. Wszystkie dokoła łodzi nie fale, lecz kręgi i okrągłe zwoje wody miały jednakową barwę bez cieniów. Brzeg Lido i Malamocco roztopiał się i ginął w morzu. Ląd był okryty białymi mgłami, a śnieżne Alpy Julijskie zdały się być przemijającym obłokiem. Daleko z południowej strony leżały nad płonymi wodami chmury płasko rozciągnięte, mając oczy, jak gdyby

bliski ląd, na którym sinieją pasma gór ukrytych w tajemniczych tumanach. Tylko jakiś samotnie stojący w niebiosach obłoczek tej samej barwy kłamał zadawał złudzeniu.

Wracając z tej wycieczki książę ostrzeżony był przez gondolierów, że na plac wysiadać nie można. Łodzie jak stado rozbitych kaczek miały się u wejścia do wielkiego kanału i tłuły pod brzegiem kamiennym. Istotnie, przebiwszy się przez tłum czarnych stateczków, książę spostrzegł na wybrzeżu Piazzetty linie wojska z bagnietami, zwróconymi ku morzu, a nadto paszcze dział i kanonierów z zapalonymi lontami. Kazał podjechać do brzegu i wysiadł... Ale gdy chciał wstąpić na plac, pierwszy żołnierz z brzegu kolumny skierował ku niemu bagnet. Książę spojrzął na jego mundur, w oczy i na chybił trafił rzekł po polsku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków... — rzekł tamten z niekłamaną radością i wszystek się przemienił w uśmiech przyjazny. To samo jego koledzy z szeregu.

— Puśćcie mię, panowie bracia, na plac?

— Nie możemy... — odpowiedzieli szeptem. — Nikogo na plac nie puszczamy.

— Toż czemu? Wczoraj było wolno, a dziś nie?

— Cały garnizon pod bronią.

— A wy jakiejże broni jesteście?

— My są strzelcy z pierwszego legionu generała Kniaziewicza. Dwie nas kompanie drugiego batalionu pod szefem Forestier.

— Kto dowodzi?

— Major Chłopicki dowodzi.

— A którzy oficerowie subalterni?

— A jest adiutant Sielski, Bolesta. Jest kapitan Downarowicz, Kozakiewicz, Borowski, Kończa i Koszucki.

— A reszta legii gdzie?

— Poszła w Breściańskie i Mantuańskie, i aż w samą Bolonię, co teraz zrobiona stolicą nowej republiki.

— Cóż znowu za republika?

— Transpadan. *La République Transpadane* się nazywa.

— Miło mi zetknąć się ze swoimi... Może byście waćpanowie puścili mię na plac.

— A kiedy nie można...

— E... rozsłoń się ta!... Niechże idą, aby chyłkiem po podcieniu, a wedle pałacu...

— Żeby zaś Bolesta nie zobaczył.

Książę przesunął się i wydostał na rynek. Dopiero minąwszy pałac dożów ujrzał przyczynę zbiegowiska. Przed samym wejściem do katedry stały tęgie słupy rusztowania, a na nich biegali żołnierze. Olbrzymie liny na blokach snuły się w ciągłym ruchu. Nie można było zrozumieć w pierwszej chwili, co się to dzieje. Plac pełen był ludu, który przerwał był kordony i przez rumowie *Fabrica nuova*, przez zaułki Prokuracji wtargnął do środka. Teraz miały się bandami ku bazylice. Żołnierze łomotali napastników kolbami i bronili przystępu, ale, w tłum zmieszani, nie mogli mu dać rady. Szarpany na wsze strony, znajdując się co moment to między gawiedzią, to wśród żołnierstwa, książę spostrzegł nareszcie przyczynę. Na linach niezmiernej grubości, wciąż wodą zlewanych, spływał na dół drugi z rzędu koń grecki. Liny sprężyste drgały, tocząc się z wolna po blokach, a wielki koń, ważący blisko dwa tysiące cetnarów, bokiem do ludu zwrócony, posłusznie szedł na dół... Było coś nad wszelki wyraz tragicznego w tym zstępowaniu wielkiego znaku, żywego pomnika czasów Aleksandra Macedońskiego, było coś wstrząsającego w tej wędrówce nowej...

Książę nastawił uszu. Słyszał, że żołnierz naokół słucha rozkazów polskich, między sobą mówi po polsku. Dojrzał ludzi w mundurach tej samej barwy, ciągnących tłumem liny... Zatrząś się od straszego gniewu. Ocknął się w nim pan. Twardym krokiem, laską rozpychając przed sobą żołnierzy, którzy na widok jego bladej twarzy i oczu bezwładnie opuszczali broń, wszedł w sam środek, pod rusztowanie. Tam piorunującym głosem zawołał:

— Kto tu wami dowodzi?

Kilku oficerów, słysząc mowę polską, wysunęło się z różnych stron, bezradnie patrząc. Nareszcie z dala, bez pośpiechu, wyszedł z tłumu oficer starszy z pytaniem:

— A co tam? Nie puszczaj!
 — Waść tu dowodzisz? — zawołał książę w kierunku tego człowieka.
 — Ja dowodzę. O co idzie?
 — Nazwisko waści?
 — Moje nazwisko?... Co to jest? Co to za jeden?
 — Nazwisko waści?! To śmiesz żołnierza polskiego do takich dzieł!...
 — Kto wasan jesteś? Mam rozkaz ludzi użyć, więc używam.
 — Masz rozkaz imię polskie hańbić na wieki!... — począł nań krzyczeć jak na ekonoma, dławiąc się słowami ze wściekłości, idąc nań z laską.
 — Co to jest? Kto to? Jak śmie! Bacznosc!
 — Kondotierzy!
 — Brać go!
 — Rabusie!
 — Daj go tu!
 — Pacholy, siepacze!
 Karabiny zamigotały w oczach księcia. Sto pięści chwyciło go za bary. Rzucony na ziemię, z piersi przyduszonych kolanami, ze ściśniętej gardzieli, krzyczał ostatkiem sił:
 — Nie pozwalam!

ŻOŁNIERSKA DOLA

Już następnego dnia książę Gintuł wyjechał z Wenecji. Powziął był wiadomość, że wódz legionów w Weronie albo w Montebello znajdować się musi. Mówiono szczególnie o Montebello, gdyż tam przebywał generał *en chef*, otoczony jak koronowany książę przez ministrów Austrii, Rzymu, Neapolu, Sardynii, Genui, nieszczęsnej Wenecji, Parmy, kantonów Szwajcarii i wielu państweczek niemieckich. Książę Gintuł jechał z postanowieniami wniesienia protestu przeciwko czynnościom rabunkowym, na korzyść Francji, batalionów weneckich. Stanął na łądzie pełen furii i poganiał swego woźnicę, ale nim do Padwy dotarł, już zaczął odzyskiwać spokój. Pędząc od świtu starym gościńcem wzdłuż kanału della Brenta, pod niebem ciepłym a smutnym, zasłanym wilgotnymi chmurami, wśród pól jak oko sięgnie zarosłych szczeniem winnym o liściu przywiedłym, srebrnoszarym, jak gdyby szronem okrytym, wśród gajów drzew oliwnych, które od połowy wysokości Gór Euganejskich zstępując całą ziemię płaszczem osłaniają, uciszał się z wolna. Mroczne już liście morw z festonami wina, drzewa migdałowe, figi, słodkie kasztany, brzoskwinie i dziki granat tworzyły sploty różnokształtne nad żyzną, rodzącą ziemią. Spracowane gałę oddawszy człowiekowi owoc pograżały się w błogosławioną dobę spoczynku. Jeszcze tylko grona winne, brunatne i jasne, tu i owdzie ciążyły na wątłych gałęziach. Sennymi oczyma książę witał i żegnał wonne pagórki otaczające Padwę, wapienne złomy Vicenzy. Gdy minął te okolice, wjechał w kraj morwy. Tegoż dnia dotarł szeroką drogą, wysadzoną lipami, do Werony.

Nim rozpoczął kroki w celu dowiedzenia się o miejscu pobytu generała, chciał rzucić okiem na miasto, którego nie znał. Łatwo trafił do amfiteatru rzymskiego, na plac Erbe i sąsiadujące z nim dziedzińce dei Signori oraz do grobów Scaligerowskich. Nie tego wszakże szukał. Już w drodze opanowało go szczególniejsze utęsknienie do Werony. Z głębi myśli wzburzonych, błędnych i bezładnych raz wraz wypływało jedno i to samo imię: Julia... Książę uczuł niewysłowiony urok tej Julii, przez poetów wysnionej, cichej dziewczyny werońskiej. Widział niemal cielesnymi oczyma jej twarz, pamiętał każde jej słowo, tak pełne miłosnego męstwa, tak prawdziwe i tak nieomyślne, że każdego człowieka dzieje w sobie zawierają. Pod przedziwnym jesiennym niebem Werony, które nie chłodem, lecz rzeźwością owiewa i dodaje mocy a wiary w siebie jak uścisk dobrego przyjaciela, szedł ulicami szukając na oślep. Śnił na jawie... Czeka go tutaj szczęście... Mrok już zapadał. Łudziło go omamienie, dyszące samą rozkoszą i radością, o którym przecie wiedział, jak okrutną jest igraszką, że to jego samego czeka w czarodziejskim pałacu Julia z Capulettich rodu.

„Jeszcze ranek nie tak bliski. To słowika, nie skowronka pieśń. Ten słowik śpiewa nocą codziennie tam, w liściach ciemnego granatu. Wierzaj mi, że to był słowik”...

Do niego wyrzeczone są te słowa pełne szczęścia i szaleństwa. Cóż to tak szlocha w sercu? Tak rwie się i kona?...

„Jest to skowronka głos, zwiastuna dnia. To już nie pieśń słowicza! Widzisz na wschodzie te smugi zazdrosne, co złocą jasnością obłok poranny? Wypaliły się pochodnie nocy tej. Dzień rączy wspina się już po mglistych wzgórzach”.

Już przeszła czarodziejska noc młodości. Wypaliły się jej pochodnie...

Zapytał jednego z przechodniów o dom Julii i wkrótce przyprowadzony został do jego bram. Zaśmiał się szydlerczo i długo. Odrapana buda, w której mieści się szynk ostatniego rzędu i coś jeszcze gorszego. W głębi czarodziejskiego pałacu — kupy gnoju szerzące fetor nie do zniesienia.

„Błogosławiona, o błogosławiona po dwakroć nocy! Czyliż to wszystko, dokonywując się w tobie, nie jest tylko marą? Coś tak lubego może być istotnym?”...

Cha-cha...

Powłókł się nieznanymi ulicami, dźwigając na ramionach brzemię rozczarowania ciężkie jak góra. Błądził to tu, to tam. Noc była już zupełna, przechodniów coraz mniej, a ci, co się jeszcze wałęsali, nieśli zapalone latarnie. Księżyc wypłynął na niebo. W nikłym blasku jego kwadry ukazywały się z cienia fantastyczne gmachy i wieże. Oto rozesłał się w bladej poświacie murmurowy dziedziniec. Łuki i gzymsy okien, wysoki balkonów, wielkie obłaki portyków utkane ciemnymi plamami medalionów prokuratorskich, szczególne złamania dachów tworzyły na białych licach sąsiedniego pałacu niewymowne linie, wyrwy i znaki. Białe ściany z marmuru, które księżyc światłem oblewał, były takiej samej barwy jak on. Przysięgłbyś, że je wykuto ze skamieniałej światłości miesięcznej. W zagłębieniu przed kościołem Santa Maria Antica, między jedną białą masą a drugą, wynurzały się z czarnej czeluści dreszczem przejmujące grobowce Scaligerów. Tam pod gotyckim poddaszem śpi wyprostowany, miecz swój piastując, książę Mastin Drugi. Obok niego wszystek z białego marmuru leży Can Signoria.

Na obraz cennych marzydeł, niby z otwartych grobów, wybuchało to przedziwne snycerstwo. Baldachimy, łuki, kręcone kolumny, ramiona i rzeźbione wyłogi ciskały na ościenne mury jakoby cyfry jakieś i napisy, znaki niepojęte i słowa...

Książę błąkał się tam w samotności, nie spotykając nikogo, ani żywego ducha. Miasto było jak umarłe. Nawet z jego głębi, z oddalenia nie dochodził turkot. Wszystko naokół leżało w martwocie, jakoby cmentarz olbrzymi, pełen grobowców.

Podróżny usiadł na przymurku i zapadł w swoje marzenia. Wtem z ciemnego przejścia od strony Adygi wynurzył się miarowy łoskot kroków i rozległ głośnie na oniemiałych placach. Z cieniów uliczki wysunęła się kolumna żołnierzy i szła wprost na księcia. Iskry załśniły na bagnietach. Gintuł usunął się z drogi i chciał oddalić w kierunku placu dell'Erbe, kiedy dowódca oddziału coś zaczął mówić do niego. Książę nie zrozumiał i szedł dalej. Wówczas kilku żołnierzy otoczyło go ze wszech stron i siłą pociągnęło przed oblicze oficera. Ten srogim głosem pytał po kilkakroć w łamanej włoszczyźnie, czemu nie ma latarni, jak się nazywa, skąd i dokąd idzie... Ponieważ badany nie odpowiadał, wtrącono go w środek kolumny i przymuszono do marszu pospołu z nią. Za ledwie oddalili się z tego miejsca o kilkadziesiąt kroków, kiedy książę usłyszał obok siebie szept jednego żołnierza do drugiego w najczystszej mazurskiej mowie:

— Północek psia dusza za pasem, a ty się uganiaj po dziurach, łap włóczykijów...

— Spać się chce, że to nosem się podpierasz, nie — ganiaj!

— Wyśpisz się jeszcze, aby jeno za rzekę a dopaść barłogu...

— Cichajta! W szeregach nie mamrotać!

— Ale!

— Wyście zaś, chłopcy, z jakich okolic? — rzekł książę z niechcenia, a głośnie.

Wrażenie tych słów było tak mocne, że kolumna bez rozkazu stanęła. Sam srogi dowódca zmieszał szyk i wlaź w środek oddziału.

— Polak? — mówił z ogromnym marsem na dwudziestoletniej twarzy, gdy błysnęła latarnia i mógł zajrzeć brańcowi w oczy.

— A Polak.

— Nazwisko?

— Na cóż to waści potrzebne?

— Pytam się! Nazwisko?

— Nie powiem nazwiska.

— Co tu waćpan robisz sam jeden na ulicach Werony?

— Szedłem na schadzkę z Julią Capuletti środkiem jednej z ulic Werony. Ale co tu waćpaństwo robicie w charakterze drabów nocnych? I waść na ich czele w tak wielkim kapeluszu i kołnierzu? Pytam się!

— Bez przymówek, bo wsadzę na areszt o chlebie i wodzie!

— Wiedz waść, żem starszy od ciebie rangą wojskową, latami służby i tam dalej.

— Dowody?

— Pytam się, co tu robicie?

— Spełniamy rozkaz komendanta placu.

— To jest czyj?

— Teraz generała Kilmaine... — niezdecydowanym już głosem odpowiedział rycerzyk.

Pociągnął Gintuła na bok i szepnął:

— Miasto wre. Toż w kwietniu, od 17 do 24, wyrznęli pięciuset Francuzów. W samym szpitalu chorych zamordowali 400, bezbronnych. Pomimo zdobycia go i kapitulacji 24 kwietnia emeuta w nim nieustająca. Stąd surowość. Patrol za patrolem. Nikomu nie wolno nocą z domu wychodzić. Musimy ich trzymać za gardło...

— A was tutaj dużo?

— Było 2600 ogółem wiary, w Mantui pod Wurmserem siedzącej. Z nich to żłoga. Że wódz zabrał oficerów zdatnych, więc imion między nami znajomych nie było. Przyszła potrzeba atakowania Werony, kiedy już generał Balland pięć dni bronił się przed Wenecjanami, zbuntowanym motłochem werońskim i chłopstwem z okolic. Po całych dniach bili z fortów Saint-Pierre i Saint-Félix, z cytadeli. Posłali zdrajcy Wenecjanie po Laudona, żeby ich przyszedł ratować.

— Waćpan tu byłeś?

— Jakże! Już my w starym zamku nie mieli nadziei. Jeść nie było co, amunicja wyszła. Generał-komendant Beaupoil zaczął się układać... Nie było żadnej nadziei... Żądali, żeby my złożyli broń i przeszli wszyscy co do nogi przez Porta Vescovo. Byliby nas żywcem zarznęli. Aż tu nadchodzi wieść: pokój zawarty z cesarzem. Z Laudona nic! Radość nas ogarnęła...

— Radość was ogarnęła, że pokój... — zaśmiał się książę szydlerczo.

— Zaraz też ze szczytu fortu Saint-Félix rozpoznali kolumnę zbliżającą się. To był generał Chabran. Wnet szturm do bramy San-Zeno, bo miał dwanaście armat! Tam to szli i nasi z szefem Liberadzkim na czele. Ale że mu prorok w Awinionie śmierć przepowiedział od pierwszej kuli, więc też padł pierwszy.

— Co też to waszmość?

— Prawda święta! Ale nie czas tu i miejsce na gawędę. Proszę ze mną. Taki rozkaz!

— Może byś mię waćpan puścił na oficerskie słowo. Jestem tu przejazdem. Nie będę robił emeuty w Weronie. Nazwisko Gintuł. Z książęcego rodu...

— Nie przemawiają do mnie rody książęce, com złożył przysięgę nienawidzenia tyranów! — rzekł ze srogością oficer.

— Do licha! Idę posłusznie.

Ruszono w drogę. Książę mimo chęci obszedł całe miasto. Znużony też był potężnie, ale nie żałował, że się tak stało. Maszerował w żołnierskiej kolumnie twardym, chodzącym krokiem, ów poszept żołnierza w marszu, podniecający łoskot stąpania, szczepek broni... Wprowadzony do koszar w cytadeli, znalazł się wkrótce w izbie wątpliwego przeznaczenia, a mocno naśladowanej psiarni. Zaraz jednak wywołany został z tej kaźni, gdzie po kątach chrapały jakieś twory ludzkie, i wprowadzony, oczywiście w drodze łaski, jako rodak, do sali oficerskiej. Był to rodzaj kasyna, widocznie, a zarazem jadalnia oficerów w służbie czynnej. Mieściły się tam stoły do kart, fajczarnie i bilardy. Sala była pełna młodzi oficerskiej. Jeniec z placu Scaligerów tak był znużony, że na nikogo nie patrząc rozsiadł się na ławce i wyciągnął nogi. Dopiero gdy cokolwiek odpoczął, podniósł głowę.

Dym tytoniowy żarł w oczy i zasłaniał przestrzeń zupełnie. Świece ledwie w nim było widać. Rozmowy, wrzaski, okrzyki, spory w języku polskim, francuskim, włoskim, niemieckim tworzyły wrzawę nadzwyczajną. W jednym miejscu banda obsiadłszy stół piła, ryczała i śpiewała chórem jakąś pieśń włoską arcysprośną. Obok przy drugim stole grano w karty, gdzie indziej z wrzaskiem i plastyczną aż do zbytku mimiką ktoś opowiadał niemożliwe anegdoty francuskie, a słuchające koło pokładało się od śmiechu. Wciąż dawał

się słyszeć brzęk szkła, szcęknięcie pałaszów, walenie pięściami do taktu...

Gdzieś za fajczarniami, za karcianym stołem, tłamsiła się osobna kupa. Coś tam tajemniczego robili, pochyleni nad stołem osobnym. „Gra cicha, to znaczy na grubą stawkę”... — pomyślał książę i ruszył w tamtą stronę. Ale już z dala poznał, że nie grają. Doszły jego ucha znajome polskie matematyczne terminy... Stary oficer z krótko przystrzyżonymi włosami i małym wąsem, a twarzą tak surową, jakby była z kamienia wykuta, z czołem porytym w bruzdy i ściągniętymi brwiami, spokojnie ciągnął wykład. Dookoła, za jego plecami, obok i przed nim, notesy podsunawszy ku świecznikom łojowym, tłum cierpliwie notował. Książę przysunął się do nich, znalazł kącik za wszystkimi i ciekawie słuchał. Patrzał spod oka na niezgrabne mundury z nędznego sukna, na owe naramienniki z napisem: *Gli uomini liberi sono fratelli...* Objął głowę rękoma i, na poły słysząc wrzawę, utonął w myślach.

Te anegdoty, swada, żart ze wszystkiego, owo tęgie oficerskie dufanie w siebie, cześć dla zgrabności swych łydek i siły w gnatach — wszystko to wróciło go ku dawnym chwilom. Ta kapitalna duma żołnierska! Coś w nim zadrżało. Śmiech buchnął z piersi. Wodził oczyma po ubraniach, po twarzach. Cóż za zuchy! co za bestie czubate! Każdy z pewnością zaprzysiął się na nienawidzenie tyranów...

— Do stu tysięcy bomb! — myślał książę — muszę i ja wyimaginować sobie jakiego tyrana i znienawidzić go potężnie, żeby mieć prawo do wstąpienia w szeregi tych diabłów.

Kiedy spostrzegł, że wykład z zakresu fortyfikacji, o budowie „dzieła rogowego”, na chwilę przerwany został, a ten i ów ze słuchaczy nachyla ku swej szklanicy szyjkę wspólnego *fiasco*, skłonił się przed pierwszym młodzieńcem z brzegu i spytał:

— Racz mię waszmość objaśnić, jaka to jest broń, której mundur nosisz?

Młody oficer zmierzzył go oczyma, ale odpowiedział z galanterią:

— Miło mi powitać rodaka... Czy może kandydata do stanu wojskowego?

— Właśnie, właśnie...

— A no! Co do broni, to najświeższa formacja. Strzelcy augyliarne. *Battaglione cacciatori legione polacca ausiliaria della Lombardia* — wyrecytował jak lekcję.

W chwili, gdy to mówił, wszyscy jego koledzy zwrócili się raptownie w stronę drzwi wejściowych. Oficer rozmawiający z księciem — również. Gintuł poszedł oczyma za ich wzrokiem. Od wejścia przez środek sali przebiegał się oficer wyższy, lat czterdziestu z górą. Był tak wielkiego wzrostu, że jego ogromna, długa, wygolona twarz ukazała się nad całym tłumem. Płaszcz, całkowicie okryty kurzawą, zwisał z jego ramion, kapelusz był mocno naciśnięty na oczy. Książę od jednego spojrzenia poznał tego wojownika. Bez namysłu poszedł za nim. Dąbrowski minął salę, prędko i z dala oddawszy pozdrowienie wojskowe na ukłon podkomendnych. Wstępował po kamiennych schodach na piętro. Za nim szło kilku towarzyszy, którzy widocznie skądś dopiero co przybyli. Nie dając im wyprzedzić się, książę poszedł za dowódcą, szybko postanowiwszy od jednego razu załatwić swą sprawę. U wejścia do jakiegoś korytarza na górze Dąbrowski obrócił się i spostrzegł obok siebie przybysza. Zlustrował go twardym i zaczepnym okiem.

— Panie generale, pragnę prosić o chwilę rozmowy...

— Kto prosi?

— Jestem książę Gintuł.

— Gintuł... Gdzieś widziałem...

— Pod Powązkami.

— *Es ist... ja...* Pan przybywa z Paryża? Może z hotelu Diezbach?

— Bynajmniej! Przybywam wprost z kraju, a w tej chwili z Wenecji. Właśnie w interesie rodaków tamtejszych chcę koniecznie słów parę...

— Czy co ważnego?

— Tak jest.

Generał otwarł drzwi i wpuścił go do pokoju o niskim stropie. Stało tam na ceglanej posadzce łóżko i kilka sprzętów. Dąbrowski poszukał oczyma miednicy i, przeprosiwszy gościa, zaczął ściągać z olbrzymich ramion kurczę, przypominającą mundur kawalerii narodowej, który nosił był w brygadzie Byszewskiego i na wyprawie wielkopolskiej. Rzekał pośpiesznie:

— Jestem na wsiadany. Dziś jeszcze mam sporo do załatwienia, toteż mów prędko, mości książę.

Gintuł nie tracąc czasu zaczął rozpowiadać o tym, co widział w Wenecji, wykladać całą aferę. Z początku wyrazy więzły mu w gardle i nie szły na usta, ale wprędce gniew wczorajszy jął go przypiekać. Toteż zimno formułując zarzuty, ciskał w słuchacza nieodparte argumenty. Generał zawinął wysoko rękawy koszuli i zlewał sobie obficie głowę wodą. Książę zniecierpliwiony tym przerwał. Ale wódz zawołał:

— Słucham, mości książę, słucham uważnie.

— Może nieco później...

— Mam żadne później! Jutro idę z moimi w marsz.

— Dokąd, jeśli wolno zapytać?

— Jak to dokąd? Twarzą ku północnemu wiatrowi.

Zęby mu błysnęły.

— Przecie zawarte preliminaria...

— Ale pokój jeszcze nie zawarty. Zwlekają. Szczęk oręża powie nam, czy chcą podpisać, czy nie.

Ocierając wielką, czerwoną twarz swoją ręcznikiem, spytał:

— Więc zdjęli konie Aleksandra Wielkiego?

— Mówię to, co widziałem na własne oczy.

— A hultaje! — dorzucił z mniemaną indygnacją.

— Panie generale... To nie może być. Nigdy jak świat światem nie splamił się nasz naród takim uczynkiem. W nadziei, że pan generał mocą i władzą swą nakaże tym ludziom wyłamanie się z haniebnych służb, przyszedłem tutaj. Jesteż to rola polska deptać cudze rzeczypospolite? Po toż wyszła w te kraje owa wiara?

Dąbrowski wdziwał z obojętnością swą kurtę. Zbliżył się do księcia i rzekł twardo:

— Waćpan do mnie w jakim charakterze to mówisz?

— Mówię to jako szlachcic polski z prawieków.

— Ja jestem także obywatel polski! Oto masz moją rezolucją: żołnierz nasz musi zajaśnieć cnotą na śmierć gotową, konduita, żelazną subordynacją i energią. Dopiero wtedy zaufają mu ci, którym ja honorem swoim za żołnierza ręczyłem. Waść mi radzisz, żebym co tchu zdusił gorliwość żołnierską i zaczynał od rokoshu?

— Nic nie zaczynać, jeśli droga haniebna!

— Wdziać taki oto strój pański podróżny i wyjechać na wojaż. Mógłbym już przetrwać dysertacją, skoro mię książę obrażasz, ale że cię pamiętam z pola, więc powiem, jak jest. Mówisz, że ja i moi idziemy drogą hańby? I co? Wskazujesz na pokonanie Wenecji. A Wenecja to co? To tajny sojusznik Austrii, to wróg przebiegły i chytry. Przez usta Giustinianiego, Pesara i innych, zapewniając o neutralności swojej, za plecami, kiedy wojska republikańskie wżerały się w kamienną Pontebbę, rznęły w Sterzing, oblały się krwią pod Klagenfurt — organizował na tyłach rozruch Werony, uzbrajał całą ludność swych krajów i zamordował oficera Laurier w swym porcie. A co to jest Wenecja? Żal ci tak, mości książę, tej szlachty, która do złotej księgi pisała się nie krwią, lecz za cenę dziesięciu tysięcy cekinów złupionych w handlu albo z cudzego dobra w Cyprze, w Istrii, Gorycji... żeby na fundamencie kupionego szlactwa mieć prawo do plucia z łoża w teatrze na lud. Znasz chyba doskonale prawa ich, kodeks karny, więzienia, zasady moralne. Cóż to złego uczyniła Francja niosąc w te kraje swe wielkie prawa? Lud wenecki pieśniami powitał żołnierzy francuskich. A twoje brązowe konie, mości książę... Żartuj zdrów! Te konie, zwiastujące zwycięstwo, komuż należą się dziś, jeśli nie wielkiemu wodzowi? Azaż Wenecjanie mają do nich prawo? Skąd je wzięli? Pięścią, przemocą. To jest wojenny łup. Toteż jako łup idą dalej. Ja zresztą... Ale ci mówię: konie Lysippa należą z prawa do wielkiego wodza, Buonaparty. Żołnierze nasi nie uczynili nic złego słuchając rozkazów swych dowódców.

— Widzę, że moja sprawa przegrana. Nie pozostaje mi nic innego, tylko pożegnać pana generała.

Dąbrowski wyciągnął rękę. Poczciwy uśmiech z serca rozjaśnił jego twarz.

— Nie chciałbym rozstać się z księciem panem w gniewie. Zostań chwilę. Powiem ci jeszcze słowo.

Prawie siłą odprowadził go do drzwi otwartych na balkon i tam wtrącił. Tymczasem weszli do pokoju sztaboficerowie z dołu. Ów starszy, który wykladał naukę o szańcach i mostach, zbliżył się do wodza z ukłonem. Już rozeszła się w sali wieść o marszu od towarzyszków, którzy przybyli z Montebello.

— Pisz, bracie, rozkaz na jutro. Idziemy wprost aż na Palma Nuowa. Mamy się z naszymi połączyć w wąwozach Gorycji.

Oficerowie obstąpili stół. Dąbrowski usiadł przy nim, wsparł łokcie i czoło ukrył w dłoniach. Zaczął dyktować rozkaz dzienny. Tamci z pośpiechem pisali. Książę, słuchając tych kategorycznych słów, mimo wiedzy prostował się jak podkomendny. Znowu pójdą te tłumy niepłatne, głodne, obdarte, w kurzu obcych gościńców, forsownymi marszami, ślepo wierząc, że Wiedeń jest ich drogą... Z głębiny nocnej dochodził plusk Adygi ujętej w brzegi z granitu. W dole uśpione miasto bielilo się od słabego blasku księżycy.

Skończywszy rozkaz, wydawszy cały szereg ustnych poleceń generał podniósł się i zwrócił z pożegnaniem do swoich. Wszyscy zaraz wyszli. Kiedy za ostatnim drzwiami się miały zamknąć, rzucił jeszcze:

— Eliaszu, obudź mnie jutro do dnia...

Za chwilę był we drzwiach prowadzących na balkon.

— Daruj, mości książę... Spać, spać! Ale jeszcze słowo...

— Nie chciałbym być natrętnym.

— Muszę powiedzieć to, co się należy.

Ujął go pod rękę i olbrzymim przedramieniem przycisnął go do swego boku. Zaczął szeptać:

— Ty jeden cierpisz nad wszystkimi obiektami, jakie oczy widziały? Ciebie jednego żal nocami budzi? Ech, bracie! Ja się to samo przez krwawe lzy przypatrzył wszystkiemu, gdy z *Garde de corps* elektora przyszedł. A później, a później! Ale moja dusza nie do żalu destynowana, moje oczy nie do łez. Wszystko w sobie trza zaprzeć na zamki, na klucze. Myśl teraz nad tym: te legie, ta chłopska i małoszlachecka masa — to któż to jest? Ludzie z przizonów i zbiegi. Gniew w tobie kipi na samą myśl, że oni w służbie Buonaparty czynią, co im dzienny rozkaz przepisze... Myśl nad tym, co by ci sami czynili w austriackim glicie. Azaliż nie lepiej...

— W klubach przemocy, z musu, nie z dobrej woli!

— Nie ma już dobrej woli! Bóg dał, Bóg wziął. Wybij to sobie z głowy. Teraz praca na śmierć. Wszystko od samego początku zaczniesz i udźwigniesz ciężar dziesięciokrotny! Ile krwi, męki, trudu, sławy wsiąknie w obce pola — któż to odgadnie? Ale zostanie reszta. Ze wszystkich rozstajnych dróg jedna jakaś będzie prowadziła! Żyły będą pękać, krew z pazurów tryśnie, ale to darmo. Iść trzeba wiekuistym pochodem. Trza w karach odrobić wszystko i w mękach wyczynić wielkiego ducha. Co do mnie, znajdą mnie wszędzie i zawsze, dopóki siły w tych gnatach, a krwi w żyłach. Nic mię nie zwróci z drogi. Mnie stu akuzatorów denigruje, zem Niemiec, bom się u Maurycego Bellegarde'a i u mądrego Blüchera od *fabnjunkra* uczył, jak ślepo słuchać rozkazu, jak szyk sprawiać i jak wojsko wieść do batalii. Ba, żonę mam Niemkę! Kondotier! Szuka chleba i awantur. Nie ma hańby, której by mi nie zadali. Wiem, że zedrą ze mnie ostatni strzęp dobrego imienia. Nie oszczędzili mi nawet ostatniego postrzału, zarzutu zdrady. Wszystko, co czynię, toć to za pruskie talary. Ale niechże tam! Niech się Chadzkiewicz wygada! Towarzysze niedoli...

... *la compagnia malvagia e scempia*
Con la qual tu cadrai questa valle,
Che tutta ingrata, tutta matta ed empia
Si farà contra te...

jak Dante wygnany pisał tu właśnie, w tej samej Weronie.

— Pogardzić.

— Ale i z drugiej strony, mości książę, rozkosz to niemała wystawać pod drzwiami francuskich potentatów, włóczyć się po cudzych schodach, wyzebrywać dla żołnierza swego żołąd, buty, odzież byle jaką, prawo do walki i prawo do śmierci. Rozkosz to nie byle jaka: z poszeptów o słabostkach dyrektorów paryskich i cisalpińskich poznawać swe drogi, ścieżki sekretne i przelazy. Tamtędy własnymi sposobami iść bez tchu i odpoczynku,

Przywódca, Żołnierz, Polak,
Obyczaje

dniem i nocą, między tysiącem zgryzot. Nie wypaść się i nie dojeść, a żywić się i konsolować nadzieją. Toż mogłem pójść w łaski króla pruskiego, w służbę taką czy inną. Ostatnie gniazdo, Pierzchowiec, sprzedałem. Już teraz żołnierski chleb jeno został, taki sam jako i ojcu. Kondotier! Jedź, mości księżę, na wojaż swój, bo może by cię chęć wzięła kosztować naszego chleba i soli. A mówi ten stokroć mądry poeta, że gorzki to chleb pono, „lepiej się nie rodzić!...”

Z uśmiechem drwiącym patrzył w oczy księciu i na pożegnanie ścisnął jego rękę.

ZUCHWAŁY

W miesiącu *nivôse* VI roku Rzeczypospolitej „obywatel” Gintult zdążył w zakrytej budzie jednokonnego fiakra o zachodzie mrocznego dnia styczniowego na wybrzeże Lunettes. Już od miesiąca z górą beczynnian siedział w Paryżu. Znał go dawniej przed żywiołowym wybuchem. Obecnie rozpatrywał się długo w tym samym mieście, jak gdyby w zjawisku nieznanym wcale. Unikał starannie rodaków wszelkiego autoramentu, zarówno stronników Barsa jak Mniewskiego, którzy zresztą w owej dobie łączyli się w myśli zwolania sejmu. Wszystek swój czas księżę obracał na zagłębienie w żywe oczy Rzeczypospolitej jednej i niepodzielnej.

Tego dnia był dziwnie nieswój.

Mokry, zimny, tający śnieg zalewał i brudził ulice. Mury były przemokłe, twarze ludzkie niemile i jak gdyby splekane. Sam księżę przeziął do szpiku kości i do głębi duszy. Ów świat, który teraz poznawał, a właściwie nagle w całości zobaczył, zjawiska ogromne, sprawy lecące na skrzydłach, wieści wypełzające z zaułków, odgłosy rzeczy dawnych, szepty nowe, wciąż nowe, nagie i potworne w swej nagości, poruszyły w nim z przyciesi wszystko, co nawyk uważać za istniejące na swoim miejscu, za pewne i za swoje własne. Wszystko stało jeszcze w jego duszy na tych samych fundamentach, wzniesione osobistymi siłami wśród ciężkich dni żywota, a przecież owe nadchodzące nowe zjawiska, śmieszne tak bardzo na pierwszy rzut oka, męczyły do gruntu. Rodził się, prawda, w duszy nieustanny śmiech i tryskał na zewnątrz kryształowym dowcipem, a jednak towarzyszyło mu westchnienie bezsilne, niespokojne i znikome, prawdziwie jako cień. Wszystko stało na miejscu. Nic nie runęło i nie rozbiło się w gruzy. Życie szło, pędziło naprzód, wrzało od rozbudzonych sił.

Wtulony w kąt karetki, owinięty płaszczkiem, księżę śmiał się patrząc na postacie biegnące ulicą, skulone od zimna. W myśli jego przelatywały podarte obrazy, na własne oczy widziane daleko. Jakiż olbrzymi skok z końca w koniec świata uczynił! Chwilami wlokły się w pamięci widoki straszne, nieznośne, odpychające. Tuż obok sunęły myśli, dopiero zbudzone w głowie pod wpływem pism przeczytanych na bruku paryskim, rozmów i widoków nowych, syllogizmy obronne, doskonałe aż do tej chwili niby szpady wyborowe, i nagle rozlatujące się w proch, jakby były ulepione z popiołu. Z głębokich źródeł duszy wypływało nieznane dotychczas, obłudne znużenie, które wewnątrz siebie zawierało coraz bardziej ostrzejszy niepokój.

Powozik zatrzymał się przed bramą domu sławnego zegarmistrza Breuéta, i księżę z niechęcią wysunął nogi na bruk zalany wodą. W sieni odnalazł portiera i ze swą zwykłą, wyniosłą grzeczną postawą zażądał wskazania lokalu *księcia* Sułkowskiego. Zaspany i brudny człowiek, który stał przed nim, przypatrywał mu się w sposób tak oryginalny, że księżę zbudził się jak ze snu.

— Księżę Sułkowski? — zapytał portier uprzejmie, gdy oczy jego przybierały wyraz coraz bardziej ciekawy, przebiegły i sobaczy.

— Księżę Sułkowski — powtórzył Gintult zaglądając mu między rzęsy wzrokiem równej siły — *aide-de-camp* generała Buonapartego.

— Tak, tak... generała Buonapartego... — wymamrotał tamten.

— Co mówisz, obywatelu?

— Cóż ja bym śmiało mówić o tak wielkim generale Buonaparte? *Księżę* u niego służy za adiutanta — che-che...

— Księżę, rzeczywisty księżę...

— Bagatela! U tego samego generała Buonapartego, który kazał swoim siepaczom walić z armat do ludu nie dalej jak dwa lata temu...

— I pobił cztery armie wrogów.

Rewolucja

— A niech on zginie ze swymi zwycięstwami! Cztery armie... Co to mnie obchodzi? Oto ramię strzaskane ułamkiem kartacza... Kazał armaty wytoczyć pod Tuilerie! Ten sam generał Buonaparte...

Księżę nie słuchał dłużej. Wrażenie obmierzłej troskliwości o własny spokój, pewna postać niepowstrzymanej wzdąży, która natychmiast mogłaby się zmienić w policzek albo plunięcie w natarczywe ślepią, pchnęło go na schody. Sam znalazł w ciemności drzwi wskazane i zastukał. Długo mu nie otwierano. Wreszcie, na odgłos coraz silniejszego kołatania, dały się słyszeć kroki i ktoś klucz przekręcił. Księżę wszedł do ciemnego pokoju i ledwie zdołał dostrzec przed sobą stojącego człowieka.

— Chcę się widzieć z *obywatelem* Sułkowskim... — rzekł sykając pod naciskiem dopiero co odczutej zgniętej dumy czy zgniętej obawy.

— Kto chce się widzieć?

— Pewien... Polak.

Człowiek ów oddalił się. Po chwili wrócił niosąc w ręku świecę. Księżę poszedł za nim przez zimne i ciemne pokoje. Ostatnie drzwi żołnierz otworzył i cofnął się zabierając światło. W kącie obszernego salonu siedział na sofie młody mężczyzna w uniformie wojskowym. Ujrawszy wchodzącego wstał i czekał nie ruszając się z miejsca.

— Czy mię poznajesz? — rzekł Gintuł podchodząc do stołu.

Sułkowski zbliżył się do niego z uśmiechem szczerzej radości i ucałował go po bratersku. Usiedli na sofie i przez czas pewien przypatrywali się sobie. Gospodarz był młodzieńcem dwudziestokilkoletnim. Piękny był jak urocza dziewczyna przebrana po męsku. Długie, jedwabne, faliste włosy odczesywał z białego czoła na tył głowy. Oczy miał wielkie, nadzwyczajnego wyrazu, cudnie ocienione długimi rzęsami. Mały wąs ozdabiał jego usta, pełne teraz uśmiechu. W oczach i w tej pięknej twarzy, nim poznał towarzysza walk ubiegłych, malował się przecież nie kobiecy wyraz. Było w nich przenikające zimno.

— Wracasz z więzienia? — spytał z cicha.

— Z więzienia? A... tak, prawda. Ale to już dawne dla mnie czasy. Właściwie przybywam z Włoch, to jest — dodał z drwiącym uśmiechem — z Rzeczypospolitej Transpadańskiej.

— Przepraszam, że cię od razu zapytam: wszak z zamiarem wstąpienia do wojska? Do legiów czy może na ochotnika?

Księżę zastanowił się przez chwilę, dość zakłopotany nagłością pytania, wreszcie stanowczo rzekł:

— Nie.

— Żałuję, że z równą siłą nie powiedziałaś: tak! Przecież otrzymałaś specjalną i doskonałą instrukcję wojskową w korpusie. Ale nie uważaj z łaski swej tego, co mówię, za werbunek.

— Broń Boże! Tylko... Szczerze mówiąc, dość mam już wojny.

Sułkowski powolnym ruchem przesłicznej głowy chciał zakryć przykre zdumienie, którego doświadczył usłyszawszy te wyrazy.

— Ja nie... — rzekł po chwili z zimnym uśmiechem.

— Proszę cię — mówił Gintuł wygładzając koronkę swego żabota — nie chciałbym, żebyś mię źle zrozumiał. Straciłem zaufanie do wojny nie z lenistwa, a nawet nie z tchórzostwa. Po prostu wygasła we mnie wiara w jej doniosłość.

— Czyż to możliwe?

— Po długim rozważaniu i samotnej deliberacji doszedłem do wniosku, że każda władza ma swoje wady, każdy system swe dobre strony, a rewolucje najbardziej upragnione niczym innym nie są, tylko zamianą bardzo kosztowną pewnych nadużyć i wad na innego rodzaju, innego kształtu nadużycia i wady. Wszakże — ciągnął spokojnie i obojętnie — zamordowanie wpośród tłumu jednego człowieka wskutek tego, że był złym zwierzchnikiem, tyranem, zdziercą, oszustem, jest większym stokroć złem niż jego tyrania, zdzierstwo, i oszustwo. A ze złego, które jest większe niż poprzednie, dobro wykwitnąć nie może. Po cóż się bić? Należałoby wypowiedzieć zacieklą wojnę, ale nie ludziom, tylko samej tyranii, samemu zdzierstwu, samemu oszustwu.

— Doskonale! Tylko jakże to uczynić nie tykając ludzi, tych właśnie zdzierców i tyranów?

— Bardzo to niedaleki wróg. Należy poszukać go w samym sobie.

— Ach, dziecko!...

Książę Gintuł zmienił przedmiot rozmowy.

— Słyszałem — zapytał — że w ostatniej kampanii byłeś przy wodzu?

— Tak!

— Więc poznałeś go bliżej?

— Czy poznałem? Zapewne...

Po chwili dodał z uśmiechem:

— Chociaż bardzo często wydaje mi się, że go nie znam wcale.

— Czy tylko nie jesteś oczarowany? Wszak w miłości zaślepiamy się tak dalece, że widzimy w pięknej kobiecie tyle tajemnic i takich...

— Ta jest różnica, że ja nie kocham Buonapartego. Nie jestem również jego poplecznikiem.

— Wiem, wiem. Ale uwielbiasz go jak żołnierz żołnierza, co częstokroć przewyższa miłość dla najcudniejszej kobiety. Wiem to z doświadczenia. Ja sam tak kochałem.

— Mylisz się co do mnie. Chciałem być przy nim, byłem i będę, jeśli mnie nie odpędzi dla innych powodów.

— Domyślam się, domyślam...

— Tak jest. On strzeże swoich piorunów! Czujnie je trzyma w dłoni. Ale mogłem przecie i mogę jeszcze patrzeć na ich trzaskanie, mierzyć siłę ciosu, zamach ręki, blask, no i samą władzę ciskania — cyrklem wyczuwać.

— Czy to prawda, że ufał ci tak dalece, iż w jego imieniu wydawał rozkazy, jakie uznałeś za stosowne? Mówiono mi w Mantui, że podpisywałeś z jego zezwolenia nawet imię jego na swych rozporządzeniach i rozkazach dziennych. Słyszałem to i tutaj, w kołach bardzo wpływowych.

— Tak, to prawda. Bywało tak w chwilach stanowczych. Ale to są rzeczy małej wagi. Więc mówisz, że dość masz już wojny? — rzekł nagle w zamyśleniu.

— Tak, tak. Widać, nie byłem stworzony na żołnierza.

— To dziwne. Nie być stworzonym na żołnierza! Dla mnie wprost niepojętą jest taka natura. Ja jestem tylko żołnierzem.

— Ty, kochany bracie, jesteś uczonym, nie żołnierzem. Jakimś Kwintylianem, della Mirandola... Czyż to żołnierza mieszkanie te góry książek?... Jestem pewien, że w apartamencie Buonapartego książek nie ma...

— Znowu się mylisz. Ot, teraz, od piętnastego *frimaire'a*, to jest od przybycia do Paryża po zawarcie pokoju w Campo-Formio...

— Ach, to Campo-Formio... — zaśmiał się Gintuł jadowicie. — Okrutną sprawił wam niespodziankę tym Campo-Formio! I to za tyle nadziei, po tylu przyrzeczeniach.

— Jeszcze nieskończone, nieskończone rachunki! — zaczął krzyżeć prawie Sułkowski. — Jeszcze żyje, jeszcze nie umarł, jeszcze przed nim i przed nami lata stoją otworem. Nażre się pychą, natka zaszczytów adwokacki syn z Ajaccio — i musi wrócić do roli żołnierza, która mocniejsza jest w nim niż żądza sławy. Ale wracając do rzeczy... Teraz całe dni spędza sam jeden w gabinecie, zamknięty *sur les cartes immenses, étendues à terre*. Jeżeli gdzie bywa, to chyba w teatrze, i to *dans une loge grillée*. W ciągu tych dni czołga się od mapy do mapy z kompasem, cyrklem i ołówkiem w ręku. Tam, w tym zacisznym pokoju, czai się, waha, zsiada i w cios z wolna zmienia straszna myśl. Napaść na wybrzeża Anglii, słyszysz? żelazny marsz na Londyn czy na wybrzeża Egiptu...

— Szepcą o tym, a więc to prawda?

— Bywam u niego kiedy niekiedy, wzywany w sprawach specjalnych, taktycznych, do obliczeń, zestawień... Widziałem dawniej w jego cyfrach i w kalkułach, które z nich układał, tylko uderzenie Anglii *au coeur*, olbrzymi pomysł, żeby ją zwalić z piedestału przez nagłą inwazję, zdeptać potęgę kupców i na gruzach oligarchii zapalić ogień rewolucji, żeby nauczyć swobody ten lud, któremu wydaje się, że jest wolny, dlatego że mu to wmawiają. Teraz już tego nie ma. Znam już plan inny: plan zwrócenia nacji francuskiej imperium nadnilowego, wyrwania Anglii organów jej siły. I jeszcze jedno, jeszcze jedno. To drugie *est décidé dans son esprit*...

— Czy tak?

— Ale teraz pozostaje... Mam nadzieję, że zatrzymasz wszystko, co mówię, w zupełnej tajemnicy.

— Możesz ufać mojemu słowu.

— Teraz pozostaje... *transporter un rêve dans le réel!* Porucza mi rozebranie rzeczy wykonalnych z kupy marzeń. Tę bezmierną sprawę, największą sprawę od czasu krucjat. Tego się uczę ze wściekłością, dniami i nocami.

— Tego?

— Tak. Uczę się tworzenia potęgi.

— Tworzenia potęgi... — powtórzył Gintuł.

— Można nauczyć się uderzeniem nogą w ziemię wywoływać z niej legiony, jak Pompejusz.

— Chciałeś powiedzieć: — jak... Dąbrowski.

Sułkowski skrzywił się kwaśno. Po chwili rzekł:

— Nie. To przypadkowe zgromadzenie zbiegów, awanturników i pocziwców. Dąbrowski jest pionem czy tam laufrem w ręce pierwszego lepszego Berthier albo Brune'a. Minęły czasy Czarnieckiego, i darmo go usiłuje naśladować. Oto masz przed sobą trzy tarany: *L'armée du Nord, l'armée du Rhin, l'armée d'Italie...*

— Widzę — rzekł książę z uśmiechem bladej ironii na ustach — że samą prawdę zawiera zdanie Buonapartego o tobie...

Płonące oczy Sułkowskiego szybko przygasły.

— Jakie zdanie? — zapytał głucho.

— Podobno, mimo położonych zasług, nie otrzymałeś żadnego wyższego stopnia, żadnego odznaczenia...

— Tak, tak! Nie dbam o odznaczenia.

— A kiedy ktoś z twoich przyjaciół zapytywał Buonapartego, czemu, patrząc na wszystko co czyniłeś, pozostawił cię przecież w tym samym co przed wojną stopniu kapitana-adiutanta, miał odpowiedzieć: „Dlatego nie awansowałem Sułkowskiego ze stopnia kapitana, że od pierwszego dnia pod Mantuą na przedmieściu San-Giorgio, kiedy go poznałem, uważałem go za godnego jedyne awansu, to jest awansu na stopień naczelnego wodza”.

Sułkowski rzekł z opryskliwym uśmiechem:

— Nie on mię w każdym razie będzie nim mianował, tylko ja sam siebie! San-Giorgio! Pewno, żem mu pokazałem sztukę. We dwustu grenadierów wzięłem fort, klucz fortecy. A zresztą, w jego opinii jest najfatalniejsza omyłka. Ja nie jestem jeszcze godnym awansu na naczelnego wodza. Ja w mym jestestwie. To już ja wiem lepiej od niego. Nie jestem jeszcze naczelnym wodzem, a gdy nim będę, to nie tutaj.

— Buonaparte musiał wiedzieć, co mówi.

— Mój drogi, znam ja siebie aż nadto dobrze. Wiem, czego we mnie wcale nie ma. Tego dotychczas nabyć nie mogłem. Nie mam w sobie organu, którym mógłbym wyczuwać... Tylko on jeden na ziemi, między tyłu żołnierzami, ma w swych kościach ten ciągle pęczniący lwi szpik. Umieję ja już nie gorzej od niego przechodzić wzgórze trupów, umiem pracować spokojnie w środku ognia i być nieporuszonym w boju, kocham dym armat i huk ich paszcz ognistych, trzymam w skupieniu uniesienie jak na munsztuku dzikiego konia...

— Cóż więc jest owa władza, mój drogi?

— Nie wiem. Przed nią jedną drżą mi kolana.

— Nie rozumiem.

— Oto generał Francji, sługa ojczyzny, obrońca rewolucji, raz do mnie rzekł w zaufaniu, z uśmiechem Włocha, Korsykanina, pół-Francuza z „Azaksio”, że trzeba, by ta sama Francja popadła w nierzęd większy niż teraz. Poniekąd dlatego idziemy do Egiptu, dlatego zarzniemy tysiące ludzi... — szeptał prawie z rozpaczą. — Zapomniał już na śmierć o uliczce Saint-Charles, o domu, z którego wyszedł. Ani już mowy o powrocie za zębate wysepki Iles Sanguinaires u wejścia do portu Ajaccio. Mary mu chodzą po głowie... „Tym gorzej dla republikanów — rzekł mi wtedy — jeśli spalą na panewce swoją republikanów...”. Słyszałeś! Tym gorzej dla republikanów...

Książę Gintuł zaśmiał się sucho, krótko, dyskretnie.

— Toż mówiłem... — rzekł.

— Czy sądzisz może, że to jest w nim tylko pospolita pycha, nędzna podłość dorobkiewicza, którego oszalały tłum ludzki wypchnął aż tak wysoko? Mylisz się: to nie jest

tylko pycha. Jest to właśnie owa nadludzka potęga. Ja wiem, że on kocha siebie samego tak mocno, jak święty Antoni Padewski kochał Boga, że dla własnego celu napelnia ziemię swoją straszną, niezmierną sławą. Ale w tym jego celu mieści się nowy świat, nikomu nieznan. On do niego zmierza bez przerwy, jak Kolumb do swej Ameryki. Tam się poczynają i ciągną nowe dzieje okręgu ziemskiego. Pomyśleć!... Gdybym ja właśnie miał, posiadał tę jego tajemniczą siłę... — mówił z uśmiechem dziecięcej boleści. — Nowa ziemia. Moja nowa, odrodzona ziemia, którą widzę tak, jak tę oto mapę. Gdybym mógł stawać się bez drżenia, kiedy zechcę, nędznikiem, wówczas gdy trzeba być bardziej potężnym dla celów olbrzymich, tylko mnie jednemu wiadomych! Władać swoją duszą i jej małymi, nędznymi cnotami tak samo jak wojskiem ludzi!

— Znienawidziłem wojnę i widzę, że słusznie zrobił — rzekł obłudnie Gintułt. — „Milcz tam prawa, gdzie łni oręż”. Tak niegdyś rzekł Cezar do Metellusa, gdy mu ten zabronił ruszać skarbu publicznego. Dodał jeszcze, że na wojnie prawo jest próżnym słowem.

— Wojnę! Ten jedyny plug, który drze ugory ziemi, żeby siewca mógł w rozerwane jej łono rzucać nowych zbóż ziarna, wydobywać z niej, zamiast chwastu, pszenicę.

Książę Gintułt uśmiechał się wciąż słabym, ironicznym uśmiezkim. Sułkowski zamyslił się i rzekł po chwili.

— Znienawidziłeś wojnę. I to po tym, cośmy widzieli! Znienawidzić wojnę po tym, com uczuł stojąc pod gradem kul u mostu Zelwy! Po tej hańbie, która mi kopytami zmiażdżyła duszę! Więc mam przejść przez to krótkie życie jak obserwator? Nic nie uczynić?...

— Któż to powiedział?

— Ty! Bo tylko z mieczem w dłoni mogę sprawić, com zamierzył. Inaczej — nie! Jestem do tego stworzony, tak samo jak do tego, żebym jadł i pił. Jeślibym miał siedzieć beczynnym, pracować dla siebie, dla jakiejś ambicyjki, rodziny, rodziny, powiatu, uczyć się dla samej nauki, nie dla spełnienia wielkiego czynu, czynu-skoku ludzkości, to zabij mnie jak nędznego psa! Pamiętam, kiedym przybył z Konstantynopola, za późno, na pogrzeb, kiedy już trup pochowany w ziemi, a spadek rozerwali wierzyciele. Pamiętam, kiedym odchodził, a za mną na całej ziemi dymiała się krew wylana. O, nie! Kocham wojnę! Nade wszystko! Ja się jej nauczę całej, posiędę na własność wszystkie jej znane i tajemnicze siły, tak samo jak obejmuję i zabieram na własność arabski lub angielski język, ujmę ją w garść jak tę szpadę. Wtedy wrócę. Ja wtedy wrócę!

Skromny uśmiech nie ustępował z warg księcia Gintułta. Sułkowski spostrzegł go widać, gdyż zamilkł, jakby się w siebie cofnął i wejście zaparł. Wówczas gość jego rzekł cicho:

— W miarę jak tracę wszelki gust do wojny, zaczynam go nabierać — czy uwierzysz? — do dyplomatyki.

— Dyplomacja — mówił Sułkowski innym głosem, prędko, sucho i prawie niezgrabnie — przypomina mi zawsze mego poczciwego stryja, Augusta, który mnie mizeraka sposobiąc na męża stanu zabraniał mi surowo uczyć się matematyki, fizyki, chemii, twierdząc, że to czas zabiera i że powinna mi wystarczać tak zwana ogólna wiedza o tych materiach. Natomiast główny nacisk kładł na umiejętność muzyki, śpiewu, malarstwa, gry w szachy i sztukę odgadywania zagadek. To są umiejętności dyplomatyczne. Gdyby nie Sokolnicki, który po nocach, w sekrecie, wyuczał mnie trygonometrii, inżynierii, matematyki... byłbym dziś wściekłym dyplomatą. Mój stryj był człowiekiem spróchniałym, aczkolwiek wyklął mnie i wydziedziczył za objawiony jakobinizm z werwą i życiem, ale dyplomatyka mniej więcej pod postacią sztuki odgadywania zagadek i dziś mi się przedstawia. Toż dyplomatykowałem... Jeżeli zostaniesz mężem stanu, zwróć uwagę na jedyną w tej dziedzinie siłę faktyczną: na politykę wojenną.

— Bardzo powątpiewam, czy kiedykolwiek zostanę dyplomatą. Nie sądzę, żeby do tego przyszło. Mówiłem tylko, że mi się to podoba. Ja stoję sobie z boku i patrzę na świat jak na piękną operę, cokolwiek byś o tym powiedział, twórczo uczynków. Jest to z pewnością zajęcie godne człowieka o czwiczonym i wyższym rozumie: zapuścić się w knieję zdrad, matactw, oszustw, podejść takiego na przykład Talleyranda Périgord, ministra *des relations extérieures* waszej Rzeczypospolitej, poznać je, psuć w sposób równie dowcipny jak straszliwy dla całych krain, dla dziesiątków lat.

— Być może. A czy widziałeś tego Talleyranda?
— Byłem nawet na balu wydanym przez niego na cześć Józefiny po jej przybyciu z Włoch w dniu 2 stycznia.

— W hotelu Gallifet?

— Tak.

— Toż musiałeś widzieć tam i Buonapartego?

— Widziałem. Miałem to szczęście. Nie doświadczyłem wprawdzie wzruszeń tej dziewczynki, która zbliżywszy się do niego ze drżeniem i przyjrząwszy mu się szczegółowo, zawołała do swej matki, pełna głębokiego zdumienia: *Maman, c'est un homme!* Przypatrywałem się więcej obyczajom demokratycznym i samym demokratom. Stroje dam! Józefina Buonaparte ubrana w tunikę grecką i *coiffé en camée*... Panie Tallien, de Chateaurenaud, Adrienne de Cambis, de Crény... Te jak *Sapho de Mytilène*, inne *à la Cléopatra*. I to wszystko w pocziwie sankiulockim miesiącu *nivôse*...

Sułkowski siedział w kącie sofy zamyślony.

— Byłem także — ciągnął Gintuł — w hotelu de la Chantereine.

— Bagatela!

— A tak. Podziwiałem z zachwytem salon z fryzami i malowidłami, wykonanymi przez uczniów Davida, *stylobates en plâtre sur les bas-reliefs* przez de Moitte'a, meble w stylu greckim według de Perciera... Nadzwyczajne! Zaręczyłbym, że ty sam, który dzieckiem bawiłeś się w Wersalu na kolanach Marii Antoniny a chowałeś w młodości wśród przepychu dworów monarszych Europy, niewiele widziałeś rzeczy bardziej przedziwnych. No i zrabowanych w sposób tak republikańsko-prostoduszny nie widziałeś tam na pewno. *Les camées, les statues, les tableaux, les antiquités*... Nadzwyczajne!

— Mało mię to wszystko obchodziło dawniej i nic mię dziś nie interesuje.

— Jednak... dla tego... także prowadzi się wojny.

— Ja jej dla takiego celu nie prowadzę. Jako oficer niskiego stopnia — nie mam prawa wstępu na te salony...

— No, ale posiedzenie tej Rady panów w turbanach, *du Conseil de cinq-cents*, musiałeś widzieć? Tego się pewno nie zaprzesz...

— Cóż cię w nich tak bawi?

— Zmiłuj się, czyżbym śmiał! Pięciuset mężów w białych spódnicach do samej ziemi, w płaszczach tajemniczego kształtu, a szkarłatnego koloru, w turbanach *de velours bleu!*

— Widziałeś?

— Byłem na posiedzeniach, ukryty w tłumie „obywateli” na jednej z galeryjek, słuchałem, gdy przemawiali z gestami zarazem srogich Rzymian jak również cnotliwych handlarzy cielęciny, gdy dawali *l'essor à leur imagination*. I nic dziwnego: „*la carrière est ouverte au génie*”, więc korzystają.

— Przedstawiciele interesów ludu...

— A dopieroż *Conseil des anciens* w robach i tokach fioletowych, w białych płaszczach i pantoflach! Nie miałem szczęścia ujrzeć żadnego z członków *du Directoire exécutif* w wielkim kostiumie, ale może to i lepiej, bo zapewne nie byłbym w stanie znieść słabymi oczyma piękności tego stroju. Z pewnością przewróciłbym się ze strachu. Są oni przecie *plus puissants que les Monarques*. Raz tylko, gdy wystawiono w teatrze *Horatiusa Coclesa*, był w łoży *le Directeur* Barras, ale ten, aczkolwiek najglówniejszy, nie sprawił na mnie wrażenia czegoś potężniejszego od monarchy. Owszem, wygląda na to, czym zapewne był i jest z przyrodzenia i woli Bożej: jak tłusty siepacz, szlachetnie udrapowany i odpowiednio rozdęty przez imaginację. Ale czy nie sprawiam ci przykrości mówiąc w ten sposób?

— Nie. Myślałem teraz o czym innym.

— Ach, tak?

— Słyszałeś pewno o Joubercie?

— Generał Joubert?

— Tak jest. Czy też powtórzy się to samo tam, w czerwonych wydmach, u brzegu pustyni? Czy też spotkamy tam dziką wściekłość chłopów Tyrolu? Gdybyś to widział! Tych ludzi mocnych, wyniosłych, zwinnych, w ciemnej odzieży, przepasanych szerokimi pasami, nabijanymi błyszczącą cyną! Tak pewno żelaznym legiom Cezara ukazywały

się w wąwozach Gaster, u podnóża lodowatej góry Glernisza, w puszczy Helweckiej plemiona Orgetorixa. Tak pewno mężnie zstępowali ku łacińskim zastępom z *Adula mons* Germanowie nieprzemierzonych gór, odziani w skóry krów i jałowic, z rogami byków na głowach, z bukowymi maczugami w ręku, jak ku nam ten lud górski, ukazujący się z pieczar ukrytych na wysokości między niebem a ziemią. Było to nowe starcie rodu łacińskiego z plemieniem germańskim. Szli przeciwko naszym czworobokom najeżonym bagnietami, wielkimi kroki, w najgłębszym milczeniu. Bili się na śmierć, nie wydając jęku ni krzyku zachęty. Ani jeden nie prosił o darowanie życia. Tarzając się po ziemi, walczyli na ciałach konających towarzyszków. Porywali żołnierzy naszych za bary, wydzielali im z rąk karabiny i chwytając je za bagnety zadawali z niewidzianą siłą ciosy jak maczuga. Tysiące ich zasłały ciałami pole bitew. Żołnierze nasi patrzali na te trupy ze czcią. Starzy wojacy nasi mówili, że porozszarpywane bagnietami ciała ich wylewały ze siebie nadnaturalną, jakby podwójną ilość krwi.

Książę Gintuł w milczeniu słuchał ze zwieszoną głową. Gdy Sułkowski skończył, rzekł z westchnieniem:

— Słuchając tego, zdaje mi się, że czytam historię dzikich walk Cezara z Pompejuszem.

— Prawdziwie. Joubert, który przeszedł straszными dolinami Sterzingu, pchając przed sobą Laudona wśród wzburzonego ludu gór, Joubert, który, otoczony ze wszech stron, zdołał wtargnąć do kraju nieprzyjaciół i otworzyć drogę do stolicy, wart porównania z Pompejuszem.

— Wszystko to niewarte jednego wiersza Dantego.

— Ciesz się do woli tą pewnością! Cha-cha! Niewarte jednego wiersza Dantego... Wiem to nie z książki, nie z mądrości cudzej, lecz ze siebie, ze swego własnego przejrzenia, że wszelkie słowo w istocie swej jest czcze i próżne. Nawet słowo najgenialniejszych poetów. Nawet spisane natchnienie proroka. *Obletamenta et solacia servitutis...* Wielkimi są tylko czyny. One jedne równają się siłom przyrody, niweczą ich wszechmoc i wszechmoc naszej, ludzkiej śmierci. Toteż życie bez wielkiego czynu jest nędzą i głupstwem. Takież życie przepędza kuna, pies, motyl. A zresztą... Oto zbudziły się w nas ambicje Antoniusza, i już ich mowa ludzka nie zażegna. Przechadzamy się po łądzie ziemskim dyktując mu nowe, wysokie prawa. Idziemy z kolei obaczyć, jak wojują lotne, bezdomne ludy Masagetów, Parsów i Numidów. Wyzywamy na rękę potomka Masynissy, pogromcę, co w spalonym od słońca stepie dopada, ujarzmia miedzianą pięścią i osiada łądzwiami z żelaza dzikiego konia Arabii. Pieni się już nasze dalekie, dzikie, ciemnobarwne morze. Tłucze się z gniewem o czerwone skały Korsyki, o żółtą Kapreję, o błękitną Elbę, o granitowy brzeg Malty. Przez wieki na nas czekało. Idziemy, żeby wziąć we władanie jego bałwany aż po zdradzieckie mielizny Syrtów, po żółte piany Suez. Wiatrom, nieznanym nad sobą przemocy, każemy ryczeć w nasze białe żagle. Niechaj dźwigają wielkie korwety bojowe.

Rozkosz mi sprawia myśl o słonych, błękitnych samotniach morskich, nad którymi pod chmurnym niebem rozlega się krzyk dzikich gęsi lecących z posępnych ściernisk Północy, o tym tajemniczym egipskim łądzie, który pożarł wielkie ludy, piaskiem zasypał ich dzieje, a skostniałą ich mądrość porucił liktorskiej straży hieroglifów. Czuję tęsknotę do powiewów słonego wiatru pustyni, kamsinu, co opalał sńiade skronie Ramzesa Drugiego, Miamen, Sezostrysa, który zdeptał barbarzyńskie ludy aż po Kolchidę i Phasis, a na długich okrętach swoich wziął w posiadanie morze aż po erytrejskie wybrzeża. Czuję radość na samą myśl, że wciągnę w płuca ten wicher, który genialnymi myślami upajał czoło wodza Antoniusza i czoło wodza Aleksandra, który owiewał najcudniejsze lica tej ziemi, królewskie jagody Kleopatry, i zeschnię oblicze Pawła, pierwszego pustelnika, nieśmiertelnego jako duch i nieśmiertelnego jako ciało. Dotykam we śnie stopami gorącej ziemi pustyni, odbywam piaszczyste przeprawy... Dławi mię po nocach niezrozumiała, pełna trwogi tęsknota do straszliwej, beznosej czaszki Sfinksa.

Książę Gintuł wstał niecierpliwie, przeciągnął się... Chwilę się wahał, jakby w zamiarze wyznania Sułkowskiemu ostatniej, najgłębszej calizny swych myśli, lecz nagle zamilkł. Ujrzał w jego twarzy zimne, żelazne upojenie, w oczach siłę rozumu, którego rozwinięcie nie podobna było ogarnąć ani odeprzeć, a w ściśniętych ustach lodowaty połysk czynu. Przeszedłszy tedy tam i z powrotem po izbie, wziął kapelusz i pożegnał przyjaciela

uściskiem dłoni.

Gdy wyszedł na ulicę, deszcz zmieszany ze śniegiem ćwiczyc go zaczął po twarzy i zalał oczy. Książę owinał się w płaszcz, kapelusz nasunął na czoło i biegł ciemnymi ulicami. W piersiach jego szerzyła się owa cudna w swej mocy i szerokości rana, z której, niby krople krwi, sączyły się westchnienia. Szedł krokiem coraz bardziej przyśpieszonym, zaciskał pięści i mamrotał do siebie jakieś wyrazy urwane, które się w jęk głuchy, w zduszone łkanie przelewały.

„*Utrum bucephalus habuit rationem sufficientem?*”

Z wielką biedą i narzekaniem profesorów Rafał *de* Olbromski przebrnął zawilości wersyfikacji Horacjuszowskiej oraz innych wieszczów Rzymu — i ukończył „chlubnie” poetykę. Tym sposobem zdobył prawo wstąpienia do Akademii. W rzeczy samej, ku zdumieniu kolegów i reszty świata, zapisał się na filozofię. Ten jego niepośledni zapal do nauk austriackich oraz umiejętności powszechnie łacińsko-niemieckich miał swoje własne przyczyny. Książę Gintuł opłacił był za swego wychowawca wikt i mieszkanie tylko za rok jeden, i siedział gdzieś w obcych krajach. Ani wiedziano, ani słyszano, gdzie się obraca. Rafał został na ulicy. Do domu wracać nie miał ochoty ani możliwości, a udać się do Grudna nie śmiał. Młodzi książęta umieszczeni w pensjonacie prywatnym, prowadzonym przez emigrantkę Francuzkę, gdzie mieli konwersację i odbierali lekcje poloru, nie trzymali z chudeuszem kompanii. Zresztą, dla oka tylko i zadowolenia zwierzchności, która żądała kończenia gimnazjów politycznych, uczęszczając do szkół, rzadko go widywali. Po ich wyjeździe na wakacje, niezaproszony wcale, Rafał został na koszu. Nie miał, co prawda, chęci wyjeżdżać z miasta.

Bawił się tu arcywesolo. Mecenas Dorszt, prowadzący interesy grudzieńskie, u którego mieszkał, wcale nie zajmował się jego edukacją ani tym mniej konduita. Ze swej izdebki obok kuchni *de* Olbromski miał możność wymykania się na miasto w każdej porze dnia tudzież w każdej porze nocy. Toteż używał, osobliwie w karnawale. Miasto Kraków aż drżało od zabaw, huczało od muzyki. Zamożna szlachta zjechała z całej Nowej Galicji. Reduty i bale nie ustawały. We fraczku francuskim, jaki studenci retoryki i poetyki nosili z urzędu dla odróżnienia się od niższych, z polska odzianych uczniów klas łacińskich, dostawał się tu i owdzie na bale, wprowadzany przez zamożniejszych kolegów, i hulął do upadłego. Umiał już prowadzić angielskie kontredanse, francuskie kadryle, strasburskie i styryjskie sztajery.

Bardziej wszakże niż tańce wciągnęło go i porwało życie publiczne w *kafenbauzach*, z niemiecka urządzonych... Bilard, karty i tajemne uczęszczanie na pijatyki były przez całą zimę na porządku dziennym. Nadaremnie prorektor gimnazjalny Himonowski (od powtarzanego często przysłowia zwany *Nempe*) ściagał łobuzów dniami i nocami. Umieli zawodzić znakomicie jego czujność i przyprawiać ciało pedagogiczne o zgrozę, rozpacz i przedwczesne łysiny. Zadymiony i cuchnący *kafenbauz* Gerersdorfa z olbrzymią fajczarnią, zatłuszczonymi stołami i podartymi bilardami miał tajemniczy urok, którym przyciągał. Tylnym wejściem po brudnych schodach wpadała codziennie młoda banda, opanowywała bilard i spędzała tam rozkoszne godziny, dopóki straż stojąca na czatach nie dała znać, że nadciąga „Himcio” lub którykolwiek z belfrów.

Nie mniej namiętnie grano w karty. Szulernie takie tworzyły się u kolegów mieszkających pod opieką krewnych, a kwitły także i na pensjach utrzymywanych przez profesorów. Zaczynało się niewinnie od stawiania na kartę kilku czeskich, a kończyło nieraz straszliwą przegraną kilkudziesięciu reńskich. Wygrane dawały możność tajemnego uczęszczania na teatr niemiecki i, co stanowiło rozkosz najwyższą, na balet, świeżo przez Niemców dla szerzenia cywilizacji założony. Kilku z młodzieży kończącej szkoły miało opinię, o czym miasto szeptało ze zgrozą, uczęszczających za kulisy.

Do ostatniej kategorii Rafał nie należał z braku niezbędnych po temu funduszów. Gdy minęła zima i zbliżał się czas drugiego w roku szkolnym egzaminu, trzeba było przysiedzieć fałdów. Ale rozbudzona imaginacja i zastarzałe próźniactwo wytrącały z rąk książkę. Skoro ziemia obeschła, Rafał począł wymykać się za miasto, do okolicznych lasów, na górę świętej Bronisławy, w stronę Krzeszowic i Bielán. Zbudziła się uśpiona tęsknota. Obce, jakby przez wiatr wiosenny przyniesione uczucie ocknęło się w piersi. Zdarzało się, że szedł polami o niczym nie myśląc i nic nie wiedząc, z oczyma wlokącymi się po szarym

gruncie, aż oto jęk w sobie słyszał żaloszny, wyrzut tak dokuczliwy, że stawał zdjęty trwogą najgłębszą, strachem i okropnością zjawiska. Twarz zakrywał rękoma, ażeby nie widzieć w myślach samego siebie.

— Helena, Helena... — świślały młode trawy, przez wiosenny wiatr kołysane. Ale nim dzień upłynął, wszystko przywalił gruz i zasypało suche wapno. Mijały znowu tygodnie głuchego zapomnienia, zupełnej ciszy i rozpuszanej nicości serca.

W tym czasie najbliższe pobratymstwo Rafał zawarł z kolegą Jarzymskim. Był to zamożny chłopiec, sierota, zostający na opiece swego stryja, byłego rotmistrza kawalerii narodowej. Opiekun miał duży majątek w okolicach Siewierza i usiłował ściśle kontrolować wydatki pupila, który rzucał pieniądze na prawo i lewo. Młody Jarzymski czekał tylko chwili dojścia do pełnoletności, żeby się wyprząc z twardego jarzma opieki stryjowskiej. Nim wszakże to nastąpić mogło, musiał, w braku gotowizny na reprezentację bilardową i baletową, pożyczać, skąd się dało. U niego też odbywały się najbardziej hazardowe gry po nocach oraz pijatyki. Od niego wyruszano na reduty. Jarzymski miał zawsze u siebie kilka butelek doskonałego węgryzyna ze składu Kraussa, on dla studentów gimnazjalnych był wyrocznią mody i twórcą tężyzny. Olbromski był jego prawą ręką, pomocnikiem i powiernikiem. Kasę mieli wspólną. Dzielili się nią w sposób wzruszająco arkadyjski, równie bezinteresownie jak każdym zapalem dla nowej gwiazdy baletu albo zawodem w karcianych przegranych. Właśnie dzięki tylko tej przyjaźni z Jarzymskim *de* Olbromski wstąpił na filozofię.

Rotmistrz-opiekun wymagał natarczywie studiów, chciał widzieć swego wychowanka na jakimś urzędzie, które się otwierały po dystryktach, pragnął, żeby koniecznie zdał egzamin na komornika, co dawało bardzo dobre akcydensa. Nakłaniał przeto Jarzymskiego prośbą i groźbą do wstąpienia na Akademię i do słuchania lekcji prawa natury, które wykładał *utriusque iuris doctor* Nemetz, oraz na prawo cywilne, tłumaczone przez adwokata Litwińskiego. Jarzymski, pragnąc żyć w zgodzie z opiekunem, z boleścią przystał. Namówił dla towarzystwa i Rafała do składania egzaminu z pięciu klas do Akademii. Pod jesień, spędziwszy lato w mieście, już obadwaj zdali „chlubnie” i otrzymali świadectwa upoważniające ich jako alumnów do słuchania filozofii.

Rafała nie bawilo wcale to przeniesienie się z liceum świętej Anny do kolegium. Znudzony już był do syta łaciną, niemieczyzną, książkami i kajetami. Nigdy nie zadawał sobie trudu rozumienia, po co się to wszystko odbywa, czemu wolno w rozmowie z nauczycielem niezrozumiały wyraz łaciński zastąpić niezrozumiałym wyrazem niemieckim, a nie wolno zastąpić go zrozumiałym polskim. Nigdy się nie rozpadał ani nad łacińskimi wierszami, ani nie brał do serca nauki o sylogizmach, więc i teraz szedł w gronie koleżeńskim z obojętnością i wzgardą do paplania belfrów. Niektórzy z jego współdryblasów czytywali ukradkiem książki polskie (*Pierwiastki Anusi*, *Przygody i awantury markiza* itd.), zabłąkane z dawnych czasów. Niektórzy pisywali nawet wierszydła do bogdanek, rymy okaleczałe wykrzywioną a nierozwiniętą mową, wedle przypadkowego wzoru starych pieczeniarzy i panegirystów doby Stanisława Augusta, którzy teraz, dziwnym losu zdarzeniem, byli mimowolnymi siewcami mowy naddziadów. *De* Olbromski nie chwycił nigdy za lutnię. Myślał wprawdzie po polsku, ale przez czas pobytu w szkole, nie słysząc zgoła wyrazu rodzimego, po skończeniu gimnazjum nie umiał godziwie listu napisać i ledwie czytał we wzgardzonym języku. Daleko lepiej władał piórem w mowie niemieckiej i wcale dobrze mówił tym językiem. Mocno nim zresztą pogardzał, równie jak wszechobecną i zawsze nudną łaciną.

Jednego dnia w porze zimowej lektoria kolegium miały słuchaczy daleko więcej niż zwykle. Nawet na wykładzie pana Lody, „profesora Logiki i Metafizyki”, widać było drabów z Proszowskiego i Skalmierskiego, którzy zazwyczaj świecili nieobecnością, zalegających ostatnie ławy. Pan Lody zwracał się do nich z miłością i często im zadawał obiekcje, usiłując przyuczyc zachodnich i wschodnich Galicjan do pięknego kunsztu władania wykwinnymi sylogizmami. Łatwość tłumaczenia się po łacinie (a wszystkie obiekta w tym języku były wykładane na krakowskiej filozofii) nie na wiele się przydała, wrodzona dobroć połączona z niezgłębną nauką nic nie pomogły, gdyż większość słuchaczy grała najspokojniej pod ławkami w karty. Ciepło w salach kolegium zwabiło tego dnia tak wielki zastęp filozofów. Jedni z nich drzemali, inni przypatrywali się grającym, jeszcze inni zajęci byli lekturą rzeczy znacznie od połączonej z Logiką Metafizyki

weselszych (*Pierwiastki Anusi* itd.). Do grona zajętych grą w karty przyłączył się i Rafał. Czy profesor spostrzegł szczególne ożywienie na jego licu i wytłumaczył je sobie jako skutek głębokości wykładu, czy, zatopiony w bezdennych głębiach dociekania, uczynił to bez namysłu, dość że zadał nagle Rafałowi kwestię:

— *Utrum Bucephalus, equus Alexandri Magni, habuit rationem sufficientem?*

Olbromski władał łaciną znacznie lepiej, z czasów jeszcze sandomierskich, niż starsi od niego uczniowie z reformowanych przez Komisję szkół polskich, ale zaskoczony zniechęca, z kartami w ręce, pragnąc co prędzej pozbyć się nudziarza, zaczął wywodzić niestworzony sylogizm i dowiódł wreszcie, że koń Aleksandra był obdarzony rozumem. Nie wszystkie subtelne wiązania przesłanek sam spłodził. W znacznej mierze przyczynił się do tego Jarzymski zdradzieckim podpowiadaniem. Rafał tak został wzburzony śmiechem, który wzbudziło jego dowodzenie, że zapomniawszy się do żywego, machnął ręką, w której właśnie trzymał karty. Profesor spostrzegł ten objaw zepsucia i z rozszczepionymi palcami oddał się z okręgu sodomitów, otrząsając pył z trzewików, a puder z francuskiej fryzury, ozdobionej szynionem na tyle metafizycznej głowy. Długo jeszcze nie mógł przyjść do słowa. Piers jego falowała pod żabotem i usta wyrzucały (łacińskie zapewne) wyrazy oburzenia i zgrozy.

Całe zajście straciło na tragizmie wówczas dopiero, gdy profesor wyszedł, a miejsce jego zastąpił staruszek, mocno już pochylony laty, kanonik Andrzej Trzciński, profesor fizyki. Przyszedł zziębnięty jak kość, w swej wytartej sutannie, z powichrzoną siwą czupryną. Dla rozgrzania się kazał służącemu przynieść sobie szklankę kawy i bułkę. Miał właśnie wyłożyć zebrany dowódzenie *de porositate corporum*. Kawa i bułka znakomicie nadawały się do uzmysłowienia filozofom prawdy dowodzeń. Ucieszony tak doskonałym zbiegiem wydarzeń, nie chcąc czasu tracić, sławny autor *Zakusu nad zaciekami wszechnicy krakowskiej* popijał ciepły napój, a maczając w nim ciasto, z zapalem głosił prawdę o wsiąkaniu kawy z cukrem w nadgryzioną bułkę. Tymczasem Jarzymski, któremu karta nie szła, mrugnął na jednego z kolegów, a tamten począł zagadywać fizyka. Kanonik zbliżył się do ławek i wdał w dyskurs zajadły. Wówczas poza jego plecami Jarzymski wysunął się na środek, wypił kawę i zjadł bułkę. Gdy resztę połykał, staruszek przypomniał sobie filiżankę.

— *Ubi est mea coffa?* — spytał ze zdumieniem, zwracając się do audytorium.

Jarzymski otarł usta, skłonił się grzecznie i odpowiedział:

— *Coffa et bucella per attractionem corporum venit ad meum stomachum.*

Ponieważ materiału do doświadczeń nie stało, kanonik zafrasował się i począł uskarżać na zimno. Wreszcie, nie czekając końca godziny, ruszył na kawę do domu.

SKRYTKA

Na wiosnę tegoż roku Rafał pokłócił się z przyjaciółmi, a osobiwie z Jarzymskim, i stracił w Krakowie grunt pod nogami. Wymówiono mu mieszkanie, zgrał się w karty do nitki, spadło nań tyle od razu nieprzyjemności, tak mu obmierzło ucześnie do kolegium, że postanowił emigrować... Ale dokąd? Długo ze sobą walczył, aż wreszcie powziął decyzję: nikomu słowa nie mówiąc ruszył do domu.

Zjawił się tam w pierwszych dniach kwietnia, przed wielkanocnymi świętami. Śniegi już były spłynęły, choć jeszcze czarnymi szmatami leżały tu i owdzie w parowach. Drzwi chat były już otwarte, jakby na przyjęcie idącej wolno Marzanny. Z dala na wzgórzu ujrzał rodzinną habendę. Jakże mu się ten niski, szary, białościenny dom wydał upragnionym i drogim! Gdy najęte szkapięta zajechały przed ganek, Rafał z wolna wysiadł i nie kazał woźnicy odjeżdżać. Ale na spotkanie wyszedł sam stary cześnik, kazał furmanowi wracać do siebie, a nawet dołożył złotówczynę na piwo. Rafał został łaskawie przyjęty. Otoczono go kołem i oglądano jak Węgry z towarami. Matka dotykała rękoma jego włosów i gładziła je nieznacznie, siostry dziwiły się i admirowały przetarty mocno fraczek oraz wyszarzane pończochy, nawet stary pan, choć nadąsany i chmurny, pozwalał synowi mówić do syta i z pełnego serca, nadto śmiać się raczył, pytać łaskawie i często przytakiwać. Gdy wspomniano Piotra — płacz się rozległ. Serce Rafała zmiękło i oczy zaszyły łzami. Miał chwilę tak dziwną, że pragnął rzucić się do nóg rodzicielskich, wyznać na wzór syna marnotrawnego wszystkie swe najtajniejsze winy, spełnione w Grudnie i Krakowie. Chwila ta przemineła szybko i do wyznań nie przyszło.

Po świętach wielkanocnych, w czasie których Rafał był osobą interesującą całe sąsiedztwo, nastał czas siewu, robót w polu. Stary cześnik kazał fraczki i pończochy eks-filozofa schować do szafy, a do narożnej izby zanieść strój, ziemiański: drelichową katankę, tudzież hajdawery uszyte przez nadwornego Judkę, grube buty, spłodzone przez nadwornego Wąsika, i słomiany kapelusz używany już w roku zeszłym przez członków familii, a wypleciony z własnej słomy pszenicznej przez owczarza Joachima. Buty były potworne, o stopach jak szufle, obcasach niestruganych, z podkówkami i cholewami, których nagi jucht przebijał spod łoju i jakiegoś cuchnącego czernidla. Wciągając na wydelikaczone nogi te statki Rafał zatrząsał się z obrzydzenia i owiany został płomieniem wstydu. Przyszła mu na myśl księżniczka Elżbieta.

— Warto, żeby mię zobaczyła w tym kostiumie! — pomyślał wśród dreszczów dokuczliwego szyderstwa. — Miałaby przynajmniej dobry pretekst do pośmiania się prawdziwego...

Mimo to przywdział domową odzież i szedł na pole, gdzie mu kazano. Wszystko w sobie zagłuszał, umyślnie przyciemniał najmilsze wspomnienia. Całe dni trawił na polu, wśród szarych, z lekka już pyłących ról sandomierskich. Chodził za pługami, dozorował siewu, jeździł na folwarcznych wozach z workami i na szkapie folwarcznej z byle interesem. Wnet ogorzał, ręce mu zgrubiały, fryzura *à la Titus* zmieniła się na czuprynę *à la Bartek*. Powiedział sobie, że wszystko, co było dotychczas, było złe. Postanowił słuchać we wszystkim rodziców i nic zgola przed nimi nie taić. Tak będzie myślał jak oni, tak będzie postępował, jak oni sobie życzą. Jak najsilniej zdecydował się zapomnieć o miłości dla Heleny, która ze swą opiekunką bawiła wciąż już to w Berlinie, gdzie prowadziły jakieś procesy spadkowe, już latem u wód w Bardyjowie na Węgrzech.

W celu zupełnego wygnania z pamięci tej panny odprawiał trudne nad sobą egzorcyzmy. Umyślnie wyjeżdżał na szkapie daleko w pole, skąd widać było Dersławice. Stawał tam i patrzył na siwiejące w dalekim krajobrazie kępy drzew, podobne do obłoków. Kępy te miały zawsze ten sam kształt, zawsze jednak było je widać, niby złudne marzenia, które ostygły w powietrzu i rozwiać się nie mogą. Rafał nie chciał pozwolić sobie na myślenie o dersławickich drzewach, o tamecznym ogrodzie, nie chciał zmiłować się nad sobą i dać folgi tęsknocie do kwiatów, które się tam rozwijały na rabatach pod cichym zgrzytem okiennicy. Nakazywał sobie obojętność, śmiał się ze siebie, drwił dowcipnie ze swej głupoty i rozumował tak mądrze, jakby go słuchała cała familia w komplecie. Zawracał konia i jechał do domu spokojny i pewny siebie. Zdarzały mu się jednakże chwile niepewności.

Jednego dnia zaszedł niespodzianie na kraniec niwy leżącej na płaskowzgórzu, które z dwu stron okalał głęboki rozdół. Było to w końcu kwietnia, kiedy murawa ledwie się puściła. W głębi parowu, u stóp swoich, Rafał ujrzał przezroczystrą, pierwotną zieleń moczaru. Słońce wskrzeszało stamtąd omdlałe, półprzejrzyste mgielki o barwie perłowej muszli, zarazem błękitnawej i jakby różowej. Kilka maleńkich fal fiołkowej wody drgało i lśniło się tam między nowotnymi badylami, jak samo słońce.

W owej to chwili cudna mgła zarzuciła na duszę praktykanta w trzeźwości swe niewidzialne, nieujęte ręce. Uczuł na sobie smugi jej rozkosznych pokus, niejasnej, nadmiernie uroczej względności wszystkiego, co mogłoby być inne niż jej wola tajemnicza, pełna radości. Patrzył zdumionymi oczyma, pełnymi mgły wiosennej, w jasną łąkę, obejmował ją wzrokiem duszy, z krzykiem uniesienia, ze drżeniem przygarnął do ust jej widok... Za wrzeczadkami rzeczywistości, które go trzymały w więzieniu, otwarł mu się przez szczelinę pozór na niewysłowny dreszcz trawy i wodnego zalewiska, na przedwieczny a najwyższy cud wszystkich sił świata, na rodzenie się, na wschód wiosenny życia. Krynica pierwiastkowego uczucia i dokładnej wiedzy o nim na chwilę rozchyliła się przed jego duszą, ukazała cudowne kłęby wody wiekuistej. Spływał stamtąd tajemny, bojaźni i wzruszeniem tworzącym przenikniony powiew i nakaz, prawie szept czy śpiew: Módlmy się... Była to chwila tak osobliwa, sama jedna, pustelnicza, że się jej przeląkł. Ale nim się obejrzał, już znikła. Znikła bez śladu, bez znaku, bez cienia swego bytu, niby bruzda wyorana w powierzchni jeziora przez uderzenie wiosła, które dokądś, u boku szybkiej łodzi, w dal niezgłębioną odpłynęło.

Wrócił do roboty i w ciągu wielotygodniowych zajęć zapomniałby był o tym dzieciństwie na zawsze, gdyby nie siostra, nie Zofka. Za ogrodem, który pokrywał strome

zbocze wzgórką, leżał szmat nieużytku, zarosły w dole gąszczem olszowym, wyżej tarniną. Stało tam jedno wielkie drzewo na urwisku gliniastym, brzość stary, rozrosły i na poły uschły. Spomiędzy jego korzeni wypływało źródło wody zaskórnej i kilkoma strumykami ciekło między olchy. Na wiosnę, w maju, było to miejsce przecudne. Żyzne wyziewy wznosiły się stamtąd, karmiąc chciwie nachylone krzewiny i zielska. Brzegi stoku bramowały się za tych dni kępami niezapominajek, a strumienie płynęły między żółtymi ogniskami jaskrów. Cudne kwiaty wznosiły się nad wodą i schylały ku niej rozmarzone głowy. Wyrastały tam kwiaty nigdzie niewidziane w tych stronach, fantastycznego kształtu, jak dziecięce nocne marzenia. Strzelały z grzędzawiska sity martwice, jak kołczan obłych strzał żelazno-zielonych, gibkich, kończystych, opatrzonych u boku w kistki ciemno-dzikie; rozwidlały się jak drzewka wysokie dudy, łodygi wewnątrz puste, o ścianach nasiąkłych wodą, z których samotne dziecko pańszczyźnianego chałupnika czyni sobie piszczałkę i gra na niej jednostajną, uboższą niż ptasia piosneczkę. Samotnie stały pałki o wąskich liściach, długich na kilka łokci, podobnych do mieczów, a spośród nich wyrastały proste pręty z ciemnoszarymi welniakami, które słońce w perzynę obróci. Po mokrym zboczu nad stokiem zwisał mech barwy tak żywej, że zacierał rozkoszny błękit niezapominiek, a spomiędzy jego zwojów czołgała się ku wodzie masa szerokich liści niby monstrealnie rozrosłe żabie nogi z mokrymi błonami. Były to liście szorstkie, najeżone mnóstwem chropawych kolców. Zdawało się, że te żywoziola wciąż syczą i wciąż drżą w bezsilnym gniewie, że trupie ziewy chuchają spod ich błon zielonych, i martwe oczy lśnią pod nieruchomymi powiekami. Tam także rosły kosańce błotne, zwane płonymi, a nade wszystko rosły „jaskółki”, kwiaty o szerokich liliowych kielichach. Gdy Rafał ujrzał pierwszy z nich, nagle mu przyszło na myśl, że ten kwiat to księżniczka. Nadobny kwiat sobie samemu piękną przyświecał w tym zaciszu. Wynurzał się z mokrych traw i zatapiał w duszy człowieka cudnej siły niezwalczony urok. Rafał złamał kruchą łodygę, przycisnął do warg subtelny kielich i zdusił go, zdruzgotał, spalił pocałunkami.

Jednego dnia zastał przy źródle siostrę. Zofka przez czas jego nieobecności dojrzała, wyrosła i stała się piękną dziewczyną. Rzadko się widywali na osobności. Schodziła teraz z góry małą ścieżką wyżłobioną w glinie. Nie spostrzegła go i nucąc z cicha poszła na prawo od źródła. Rafał widział jej głowę z płowymi włosami przesuwaną się między tarniną, którą oblewał kwiat śniegowy. Dziwnym mu się to wydało, że siostra mogła wejść z taką swobodą w ten bugaj dziewiczy, którego on sam nigdy jeszcze nie przekroczył. Udał się tam i ze zdumieniem zobaczył głęboko w ziemi wrytą między cierniami ścieżkę, która chyłkiem szła w górę do skrytej w gąszczach altanki. Darniowa ławka zajmowała połowę tego schronienia. Nad nią zwartym, nieprzeniknionym gąszczem stały czarne ciernie, okryte kwiatem. Dziki chmiel przerzucał tu i owdzie swe mocne nici, i jedna tylko biała brzoźka o pękającej białej korce wdychała nad tym miejscem, gdy cichy wiatr cesał jej długie srebrnozielone włosy.

Zofka zarumieniała się, szczerwieniała ujrzawszy brata. Ona, praktyczna gospodyni, od świtu do nocy zajęta krowami, cielętami, kurami, gęśmi, spiżarnią i kredensem, siedziała tu, schwytała na gorącym uczynku „egzaltacji”, tak zgubnej i tak ogólnie potępionej... Sama wykopała tę ścieżkę, sama zniosła kamienie i okryła je ziemią a darnią. Po co? Na co? żeby przychodzić tu na wiosnę i siedzieć „sobie”. Jakże teraz żałowała tego, co się stało, gdy brat patrzył na nią drwiącymi, męskimi oczyma! Nic nie mogła powiedzieć na swe usprawiedliwienie, nic a nic. Ani jednego praktycznego względu! Nie było to ani dla dobra krów, ani dla wygody cieląt, ani dla gęsi, ani dla czeladzi. Dla nikogo... Spuściła oczy, i ponury wyraz bezsilnej hańby odmalował się na jej twarzy. Siedziała tak dość długo, skubiąc palcami trawę. W końcu rzekła:

- Rafał, nie mów tatuńcowi dobrodziejowi, żeś mię tu zastał...
- Nie mówić?
- Nie mów!
- A to mi ty powiedz, po co tu siedzisz?
- Nie mów! Zobaczysz, że nie będziesz żałował. Nieraz ci się odwdzięczę.
- Powiedz, po co tu siedzisz?
- No, tak siedzę i koniec. Jak się zmęcę w kuchni, przy praniu, to tego... To przyjdę tu i odpoczywam sobie.
- A to nie możesz odpoczywać w ogrodzie? Nie tutaj, między tarkami?

— No, a cóż ci to przeszkadza albo komu? Tu mię nikt nie widzi, a tam zaraz która z dziewczek zobaczy i woła a to do obory, a to do piekarni...

Rafał umilkł. Stał jakiś czas u wejścia, rozglądając się. Po chwili usiadł obok siostry na ławce. Srokosze kuły dokoła swe metaliczne piosenki, z trwogą odpędzając natrętnych ludzi od gniazd skrytych w gąszczu pod kwiatami. Trznadłe zanosily się od gminnych melodii. Dwa pospolite białe motyle unosiły się w przestrzeni jak gdyby skrzydlate płatki kwiatu. Po pewnym czasie Zofka podniosła się i nie powiedziawszy słowa wybiegła. Rafał został jeszcze długo, leniwie wyciągnięty. Kilka godzin przeszło, a on nie wiedział o tym wcale. Zdawało mu się jak przez sen, że jest w Wygnance. Zapomniał się i zbłąkał w puszczy dawnych marzeń. Byłby przysiągł, że dolatujący do ucha łoskot — to echo Urysiowego kilofa, że słyhać wołanie Michcika...

Kiedy spostrzegł się i schwytał na uczynku tak niecnego próżniactwa, co prędzej wyszedł i ruszył w pole, postanawiając do tej dziury nigdy już nie wracać. Ale po upływie dni kilku niechcący znowu tam trafił. Dobrze się jakoś w tym miejscu myślało. Wsparł tedy głowę na rękę i myślał. Zbudził go szelest.... To Zofka skradała się na palcach, badawczo wychylając głowę zza tarniny. Gdy go spostrzegła, chciała uciekać, ale już ją zobaczył i śmiechem rubasznym przytrzymał. Weszła tedy i usiadła. Nie była już tak strwożona jak wówczas, gdy ją wytropił. Owszem, na twarzy jej malowała się żywa jakaś i zawzięta ciekawość. Wszczęła z bratem rozmowę, nieznacznie naprowadziła ją na Kraków i Grudno. Zbywał ją szczegółami, które już kilkadziesiąt razy publicznie całej familii był obwieścił. Zofce to nie wystarczało. Umiała już to wszystko na pamięć.

— Ty mi wytłumacz — mówiła patrząc w ziemię ze zmarszczonymi brwiami — jaki jest ten książę.

— Jak to jaki? Mówilem już: wysoki, szczupły...

— To ja wiem doskonale, jakbym go sto razy widziała, ale żebyś więcej o nim opowiedział!

— Jażem się tysiąc razy rozwodził.

— To mi wytłumacz, jak to on tak nagle wyjechał... I żeby też nikt nie wiedział, gdzie on jest!

— No, nikt.

— Ale to jest tak dziwnie ładne...

— Ładne, nawet?

— Znikł i nie ma go. U nas — rzekła ze wzgardą — jeżeli kto wyjeżdża, to do Klimontowa albo do Sandomierza. Wszystkie chałupy wiedzą wtedy, że wyjechał do Klimontowa czy do Sandomierza, wróci nad wieczorem albo jutro przed obiadem. Wszystkie Żydy w mieście pamiętają o tym przez dwa dni. Raz tatuńcio jeździł aż do Opatowa, tośmy się do tego zdarzenia tydzień przygotowywali, konie paśli, kurczęta smażyli. A taki książę pojechał w świat — i znikł. Może przyjedzie, a może nie. Jego jaśnie oświecona wola! Jakaż to musi być satysfakcja tak z oczu ludzkich zniknąć!

— Cóż ci znowu strzeliło do głowy?

— Nic nadzwyczajnego. Mnie się wydaje, że i ty sam chciałbyś tak skoczyć we światy.

— Nie, wcale nie!

— Ejże...

— Głupia jesteś sroka i tyle. Ty myślisz, że świat to akuratnie tyli, co Klimontów z Koprzywnicą. Wleziesz za górceczkę, schowasz się i — nie ma! Zobaczyłabyś ty, co się to tam dzieje.

— Nie zobaczę, nie masz mię co straszyc.

— A żebyś wiedziała, że nie zobaczysz!

— Ech, co ty wiesz... Mnie się wydaje, że on musi być jakiś... puszysty, jasny, cichy... Jakie to cudne słowo: jaśnie oświecony pan, jaśnie oświecony książę pan...

Rafał nie odpowiadał. Ale w chwili, gdy siostra mówiła na poły do niego, a właściwie do siebie te słowa, uczył w sobie tęsknotę, spływającą niby kropla zjadliwa, która rozgryza i kruszy wszystko, co na swej drodze spotka.

— Powiedz mi — gwarzyła Zofka: — to on nieboszczykowi bratu Piotrowi, Panie świeć nad jego duszą, takim był socjuszem, a czy to nie powinien przyjechać tutaj i z tatuńciem się politycznie rozmówić?

— O czym?

— A bo ja wiem o czym, ale powinien.
— Wiesz co, ty zbyt długo przestajesz z krowami...
— O, rozumie się — rzekła poważnie, opierając przechyloną głowę na ręce i patrząc w ziemię.

— Jakże taki pan — tłumaczył jej Rafał dla złagodzenia tego, co powiedział — mógłby przyjeżdżać do pomiernej szlachty jak my? My sobie panowie na kilkunastu włókach, a to magnat. I z jakiej racji?...

— A z tej racji, że chciałabym go zobaczyć. Przypatrzyłabym się, czy też taki sam...

— Jeszcze dawniej — ciągnął — za polskich czasów, to podobno zajeżdżały poszóstne karoce i najwspanialsze bastardy przed nasz dwór, bo chodziło o kreski na wyborach albo tam o co. Ale teraz! Żebyś ty wiedziała, jacy oni są...

— Nigdy nie będę wiedziała — rzekła z gnuśnym a jadowitym śmiechem — więc cóż mi z tego, że ty wiesz?

— Cały taki dwór, rodzina, siostry...

— To on ma siostry...

— Ma — szepnął.

W owej chwili Zofka spojrzała na niego i podniosła głowę.

— Czemużeś mi nigdy o tym nie mówił?

— A czy to jest dla ciebie ważna wiadomość?....

— Czy to jest dla mnie ważna wiadomość?... cha-cha!... Tak, to jest dla mnie... dużej wagi.

Rafał zamilkł i odął usta. Było mu nieswojo i głupio siedzieć z siostrą w tej tarninie. Wstał tedy i wyszedł. Leniwie włókł się ścieżką obok źródła i stanął tam w zamyśleniu. Nie odwrócił się, choć słyszał, że Zofka idzie za nim podśpiewując. Sądził, że go wyminie, pójdzie sobie i da mu sposobność powrotu do altanki. Ona tymczasem poczęła wdzierać się po stromym zboczu nad źródłem, depcąc silnymi i zwinnymi nogami aksamity mchów i wielkie liście. Z radością i szczególnym entuzjazmem wołała do siebie półgłosem:

— Książę, mój książę!

— Co ty pleciesz? — syknął na nią zniecierpliwiony — czego ciągle gadasz o tym księciu?...

Zofka zerwała wysoko rosnący, prześliczny kwiat „jaskółki”. Z daleka, z głęboką powagą i przymrużonymi oczyma, w których gorzał ogień szczery, rzekła pokazując mu kwiat:

— To jest książę...

Rafał zmieszał się i całkiem spłonął.

— Spójrz — mówiła Zofka — czy nie jest najpiękniejszy ze wszystkich kwiatów? Cudniejszy niż konwalia, okazalszy niż storczyk. Dlatego nazwałam go tak: książę. Jaśnie oświecony kwiat. Mój umiłowany, mój kwiat... Cóż z tego, że nie pachnie? Cóż z tego, że nie ma żadnego zapachu?...

MANTUA

Okno szczerlnie zatarasowane wewnętrzną, składaną okiennicą... Lipcowy promień słońca włamał się już do wnętrza i, pełzając po wydeptanych ceglach posadzki, kruszył głęboką ciemność. Najmniejszego turkotu, żadnego szelestu... Jaka rozkosz! Cisza tak zupełna, że smętne nucenie mantuańskich komarów błąka się po izbie i całkowite, od początku do końca, brzmi w uchu.

Książę Gintułt, przebudziwszy się ze snu, odczuwał trwanie tej ciszy jak doskonałe szczęście. Nie wałą gromy, nie dzwonią tęskliwie szyby, nie sypią się pacyny ze ścian i sufitu. Pograżonemu w łaskawe drzemanie widziało się, że to jest pierwsza chwila po przybyciu do tego miasta, że to jeszcze kwiecień. Wystawiał sobie, że wolno idzie z Porta del Beluardo przez groblę prowadzącą do szańców przedmostowych San-Giorgio, ażeby ujrzeć cmentarz, miejsce czynu Sułkowskiego. Po to jedynie przybył. Ujrzy to miejsce, rzuci jakoby lauru liść na czoło upojone marzeniami, którego już nie ma, i odjedzie stąd co prędzej.

Wody wiosenne napęliły po brzegi Lago di Mezzo i Lago di Sotto. Modre fale żywo chwieją się, gonią i chlaszczą pianami po rudych murach. Ze drżeniem pędzą do portu Catena i do portu Ankony. Ciekawie zajrzą w ich wnętrza obmurowane i uciekają na

leb na szyję, przerażone dzikością starych bastionów. Za groblą droga idzie pod bramami fortu, później na prawo ku niewielkiemu wzgórzu. Wiosenny wiatr lekko poddyma pył drogi... O cudne trawy, któreście wówczas kryły foremne stoki i narożne bulwy szaniców, nasypy, skarpy i przeciwskarpy obmurowanych rowów! Drzewa platanów z łagodnymi liśćmi, Wergiliuszowe ulubieńce „miłujące słodkie wody”... Myśli strudzone od malarii płaczą się i gubią. To, co oczy widzą w marzeniu, leci stronami. Jakież to miejsce tam daleko widać?

Szwajcarią, gdzieś u płytkich zalewisk Zurychu jeziora, gdy idzie nawałnicą górską wiosna? Trzciny szelestne, suche, jasnożółte, nad ruchliwym fioletem toni... Może to u nas? Może to Wołyn? Widome przedmioty dalekie i bliskie, drzewa i trawy, zamglone rysy domów i siniejące góry są jak gdyby dźwięki najsubtelniejsze nie na zewnątrz nas, lecz w głębi duszy. Nie pochwyli ich pamięć ni myśl. Tułają się do sennych wspomnień. Nazwa bolesna błąka się i lka w pamięci, krąży dokoła mózgu, szeleści w uszach, w oczach, w uścich mściwie ściśniętych. Kurczem dłoń zwiera!... Mantua! Mantua!

Szpaler świerkowy ciągnie się górą ku cmentarzowi za murem starej twierdzy przedbramnej. Nieoczekiwane napastowanie żalu na widok tych świerków, które korzeniami wysysały krew tysiąca rycerzy. Cicha, przyziemna brama cmentarna. To tam.

Książę otwarł oczy i ze wstrętem myślał o czekającej go pracy. Był znużony do cna, pełen głębokości smutku. Ciągły widok oczu gasnących na wieki... Z innymi zgoła celami wrócił z Egiptu. Ziemi Świętej i Grecji. Spieszył do kraju. Do życia, do życia! Rozpoczynać pracę długą i twardą, zmagać się ze sprawami wiecznymi! Kaprys oto losu uwikłał go w sprawy najbardziej przemijające.

Nie mógł w Ankonie doczekać się na statek, który z racji wybuchłej wojny utknął w jakimś porcie. Żeby czasu nadaremnie nie tracić, książę pomknął na północ dyliżansem, pewien, że legalny paszport ułatwi mu przekroczenie nawet łańcuchów armii walczących.

Było to w kwietniu r. 1799, czasu kampanii neapolitańskiej, po bitwie pod Weroną czy Magnano. Baron Kray złamał już był lewe skrzydło armii Scherera i napastował go całą siłą. Wojska republikańskie ustępowały na południe. Batalion polski (pierwszy) pod szefem Dembowskim zasłaniał cofanie się prawego skrzydła ku Vigaccio, a generał-adiutant Kosiński osłaniał lewe skrzydło na drodze ku Nogara. Prawe skrzydło udało się do Mantui. Cała armia francuska mogła być w owej chwili odcięta przez Brescia od Lombardii. Nie pozostało nic innego, tylko umieścić załogę w Mantui, a główny korpus cofnąć za Oglio. Tak też uczynił generał Scherer. Odłączył część wojska na garnizon do Mantui, a sam pośpiesznie ruszył w kraj lombardzki.

Książę Gintult miał właśnie wyjeżdżać z ojczyzny Wirgiliusza, gdzie się na nocleg w drodze swej zatrzymał, kiedy zdyszane wojska przysły ją zająć. Ujrzał niespodziewanie w ostatnich szeregach swoich. Był to batalion artylerii polskiej pod szefem Wincentym Axamitowskim, złączony z drugim legionem pod komendą generała Wielhorskiego. W bitwach, które owo wejście do fortecy poprzedziły, legion polski tysiącem bez mała trupów usłał włoskie pola. Dogorywał w drodze do Mediolanu generał Rymkiewicz, zginął major Lipnicki, kapitan Daszkiewicz, podporucznik Paciorkowski. W furgonach wieziono rannych: kapitana Bogusławskiego, Zabłockiego, Zeferyna, Zieleniewskiego, Godebskiego, Kirkora, Berensdorfa, Markiewicza, porucznika Tomaszewskiego — i innych. Wiedzieli to żyjący, że nie na zabawę idą do Mantui. Załoga spędzona z rozmaitych stron, składająca się z rodowitych Francuzów, Piemontczyków, z *garde de corps* króla Sardynii, ze Szwajcarów, dezertów Niemców, z „cisalpinów” i jednolitego korpusu polskiego, wynosiła zaledwie około dziesięciu tysięcy ludzi. Z tej liczby połowa najwyżej mogła stać pod bronią.

Fortyfikacje starej twierdzy były nieużyteczne i uszkodzone. Niezdobyta zapewne w czasach katapult i baszt na kołach, może nawet w epoce marszałka Vaubana, Mantua była osłonięta jedynie wysuniętymi fortami Miglioretto, del Thé i szancami przedmostowymi Pradelli ze strony zachodniej i południowej. Z północy i wschodu miasto siedziało, jak przed wiekami, za jeziorem di Mezzo i zwykłym, niskim murem bez nasypu. Dowódca całej załogi, generał Foissac-Latour miał na przeprowadzenie wszelkiego rodzaju ulepszeń sto tysięcy liwrów. Tymczasem baron Kray ciągnął z siłą 39 batalionów piechoty, 4 batalionów grenadierskich, 9 kompanii dragonów i 6 kompanii lekkich. W szeregach

republikańskich szeptano, że 600 dział ma ze sobą, że idą z nim wszyscy znaczniejsi generałowie: Klenau, Elsnitz, St. Julien, a na czele artylerii posiłkowej Rebinder z 270 kanonierami.

Książę Gintułt, przypatrzawszy się z uwagą stanowi rzeczy, przyszedł do przeświadczenia, że na nic mu się nie przyda pilnie wizowany paszport, że wbrew chęci trzeba wdziewać zielony mundur artylerzysty i stawać w szeregu. Tak też uczynił. Zaczął dosługiwać się od kanoniera, ażeby między zgonionych oficerów, idących z pola bitew, nie wnosić waśni o stopnie i nie korzystać z prerogatyw nazwiska. Wkrótce jednak spostrzeżono jego wiadomości wojskowe. Powołany został do boku generała Bortona, naczelnika artylerii, później wyznaczony do biura Jakubowskiego, starego nauczyciela z Werony, który pod generałem Meyerem wspólnie z kapitanem Millerem, porucznikiem Hornowskim i Maurycym Hauke fortyfikował przedmieście San-Giorgio.

Pięciuset żołnierzy polskich pracowało tam co noc pod ogniem. Sądzone powszechnie, że atak może nastąpić tylko od strony tego przedmieścia, toteż kiedy nieprzyjaciel gromadził swoje siły od południa i zachodu, z tamtej strony Mincio, uważano to za podstęp i tym usilniej sypano szańce, wycinano drzewa i zbrojono się według planów groźnego „Amilkara” Kosińskiego. Od chwili wielkiej powodzi majowej, kiedy rzeka Mincio zatopiła wejściowe i wyjściowe śluzy jeziora Payolo, podniosła wody we wszystkich jeziorach otaczających Mantuę, więc w Lago di Sopra, di Mezzo i di Sotto, tak dalece, że grobla San-Giorgio znikła zupełnie w głębokości kilku stóp pod powierzchnią, sklepione przejścia Molini, wiodące do cytadeli, pogrzały się w wodzie do połowy a powyżej kół młyńskich — książę przeniósł się w interesach służby do środka miasta.

Miglioretto i wyspa Thé z szanćami bramy Pusterli stały się samoistnymi ładami. Były to chwile najbardziej niebezpieczne. Nieprzyjaciel zgromadziwszy mnóstwo łodzi i promów usiłował podsunąć się ku zatopionym murom. Wynikła potrzeba czuwania nieustannego. Książę miał polecenie obserwowania wysokości wód w pewnych rewirach. W małym czółenku krążył nieustannie we wszelkich kierunkach. Nocą, w zupełnej ciemności, w deszcze, docierał częstokroć aż do Angeli na wybrzeżu Lago di Sopra, gdzie Austriacy zaczęli nocami w największej ciszy sypać ostatni, najbardziej w lewo wysunięty barkan swych robót podkopowych. Przed brzaskiem wracał już to przez jezioro Payolo, już przez Corso delle Barche, pod samymi bramami miasta do śluz wyjściowych.

Kiedy jeszcze stały nad topielami ranne tumany i tłukły się dymy po całonocnym bombardowaniu, sunął nieraz w szuwarach i trzcinach aż pod Belfiore, skąd raz wraz wywalały się niespodziane dymy kanonady dla zamaskowania prac gdzie indziej prowadzonych. Gdy wkrótce zaczął się szerzyć w wojsku z racji zatopienia młynów nie głód jeszcze, lecz doskonały półgłodek, gdy żołnierz z dobrowoli oddał ze swego żołdu dwie części na fortyfikacje, książę zajął się w chwilach wolnych na własną rękę urządzeniem żarn i wydawaniem porcyjek chleba żołnierzom, zrazu swojej kompanii, potem szerszemu kołu wiary, a wreszcie każdemu, kto przyszedł. Widziano go pracującego dzień i noc za dwu, za trzech, a potem za dziesięciu i dwudziestu na wszystkich niemal miejscach. Nikt nie wiedział i nie pytał przy wzrastającym rozprzężeniu, kto to jest właściwie, u kogo mianowicie adiutantuje, gdzie służy. Był i w biurach Bortona, i przy Axamitowskim, w składach zboża i przy obronie. Przyzwyczajono się do jego zabiegliwych, pospiesznych czynności, do jego figury, przymkniętych oczu, skrzywionych ironicznie ust i pańskiego tonu.

Ale mozoły właściwe zaczęły się wówczas dopiero, gdy w połowie czerwca wody zaczęły spadać, gdy wylazły dalekie brzegi błotne pod Putole i Vergiliana, gdy ukazała się grobla Cerese przez jezioro Payolo i druga naprzeciwko bramy Pradelli. Co tchu zamknięto śluzy od jeziora di Sopra, a otwarto wyjściowe do Mincio dla utworzenia z jeziora Payolo trzęsawisk nie do przebycia. Przyszły straszliwe upały. Stęchłe błota zadymiały się. Komar jadowity zadźwijał nad uszami ludzi zamkniętych w murach, fosach, szańcach i wieżach. Wyziew błotny ogarnął ich miłosnym ramieniem. Wnet tłum żołnierzy zwałił się na pościółki lazaretów z febry i szkorbutu. Z dniem każdym przybywało nędzy. Ci nawet, którzy stali jeszcze pod bronią, trzęśli się z zimna. Twarze pociemniały i zmora wionęła wskroś miasta.

Książę wziął się teraz do roboty z całego ramienia, co się nazywa, z polska po warcholsku. Był wszędzie gdzieś go nie posiał. Należał do rzędu tych oficerów polskich, którzy

z własnej woli a fantazji pełnili na wałach i w szańcach pozasłużbowe nocne straże. Jakże polubił owe wigilie. Owe dla odegnania snu i smutku ciche pogwary o ziemi dalekiej i sprawie... Owe powieści groźne a proste o miejscach krokiem przemierzonych, o łądach i morzach, o rzeczach straszliwych i pracach niezmiernych zniszczonych, o czynach wielkich, które się ponad wszystko wydzwignęły, o sile fizycznej i cnocie cichej... Stali się wówczas między sobą wszyscy bardziej niż rodzeni bracia solidarni, otwarci, zrośnięci. Ustały pospolite spory i zawiści. Niczyje słowo i czucie nie było dla drugiego głupie, niczyja, najbardziej prosta, dusza wzgardzona...

Książę Gintuł nosił starym wiarusom, których „wujaszek”-szkorbut zagryzał, butelczyny wina pod płaszczem artyleryjskim z piwnic, które, jak twierdził sprzedawca, samego Wirgiliusza pamiętały. Gdy wysliznęły się ostatnie ręką w kieszeni namacalne dytki i gdy został jeno stary mundur na grzbiecie, zielony płaszcz i buty niezupełnie foremne, wynalazł w dzielnicy żydowskiej pewnego znawcę, który nawet o Grudnie coś niecoś wiedział. Dzień w dzień szedł teraz do pugilaresu tego finansisty rewersik na wioski w Prusiech Południowych i w Zachodniej Galicji w zamian za mięso, mąkę, wino, leki. Książę sypiał teraz tylko czasami. Gdzieś w drodze, na przymurku, w kucki, wśród worków mąki na promie, do dnia, między jaszczkami dwu *obusiów* Czechowskiego, wiecznie miotających nawisowy ogień z bramy Pradelli, gdzieś pod platanem w drodze do Redela, który ze swymi rył wciąż rowy i bił palisady za klasztorem San Francesco sul Thé na prost bramy Pusterli.

Gdy od 4 lipca Austriacy poczęli rozciągać swój front aprosów od Certosy przez Pallagina, Dosso del Corso i Chiesa Nuova, przez Simeone i Valle aż do Spanavera i, zatrudniając co noc po kilka tysięcy chłopów z okolicy oraz swoich własnych żołnierzy, wznosili wciąż nowe linie dwuramników złączonych kurtynami, a w tyle sypali czworoboki zamkniętych redut, gdzie kolejno umieszczali swe baterie od pierwszej do ósmej, prace i czuwania dosięgły szczytu. Książę Gintuł sam począł zapadać na zdrowiu. Nie spodziewane, w największy upał lodowate dreszcze, bóle głowy, rozum i przytomność wyszarpujące z czoła, a nade wszystko niechęć śmiertelna do jadła i napoju, do światła, słońca i powietrza. Ręka skostniała podnosi do oczu szkła perspektywy, a oczy widzą nie to, na co patrzą. Dalekie smugi wyrzuconej ziemi, równie ogniowe szańców darnią już odziane, dalekie gęstwiny platanów i morw, trzciny, wierzy i eukaliptusy na porbrzeżach, a z nagła... cóż to? Jak żywa rośnię przed upadłymi oczyma wydma piaszczysta gdzieś w kraju, jasna, żółta, sypka, usychającym jałowcem tam i sam porosła...

Świat zewnętrzny oddarty jest od człowieka, zwisa z duszy jak łachman ciężki i bolesny, nie do odtrącenia a nad siły, nic z nią niemający wspólnego... Ludzie snują się i wiercą naokół, jak gdyby pogrążeni w falach szczególnego eteru, w cienkich mgłach-smętnicach. Czyny ich głupie, ordynarne, wrzaskliwe, kamieniami walą się na głowę, na ciemność jej, na piersi i na ramiona. Tymczasem już ludzie przyzwyczaili się do posługi. Żądali jej natarczywie, jak od robotnika płatnego na dniówkę. Szedł tedy wciąż tymi samymi szlakami, ale już jak wóz bez koni, pchnięty z góry w wyłobione koleje. Coraz mniej mając w oczach światła, coraz słabiej rozróżniając kontury spraw, a nawet twarze, czynił przecie swoje. Policzki przybrały barwę popiołu, kości ich wylazły. Oczy wwalily się w swe doły. Usta zamilkły. Wreszcie czyny ręki były to już raczej znaki woli żywego ducha niż akty ciała.

Oto teraz siedząc po przebudzeniu na swym leżaku, zawinięty w płaszcz i wtulony w siebie, myślał, że musi wstać i iść na służbę. Niemoc przytłukła go jak wieża. Ręce i nogi leżały cięższe od kłoców dębowych.

— Po cóżeś tu, głupcze, został? — zadrwił z niego nagły, postronny śmiech szatański.

Usunęła się wraz przed wewnętrznym okiem duszy ściana domowa na obraz kotary, a za nią widać było nicość, nędzę i śmieszność trywialności poświęcenia. Patrzył przez chwilę na całe rzeczy, na początek i koniec ich, na wierzch i środek. Wszystko, co tu przedsiębrał, wsiąknie w ziemię tak samo, jak wsiąka deszcz, tak samo, jak wsiąka w ziemię krew zastrzelonego człowieka — i zginie. Śladu nie będzie. Któż jest, kto by odróżnił drzewa czerpiące soki ze dżdżu od drzewa wyhodowanego ze krwi? Czyjeż oczy wyleją łzę? Czyje piersi westchną? W mrok się rozpraszał ostatni brzask wytrzymałości.

— Już nie pójdę nigdzie! — cisnął słowo głośnie jak klątwę na nieszczęśliwych, którzy szelestu jego kroków wyglądają. Runął na wznak i zamknął oczy.

— Zdychajcie! Wszystko mi jedno. Teraz i ja nareszcie będę próżnował.

Owinął się starym, zielonym wojskowym płaszczem i niweczył swe dreszcze szeregiem skuleń i wyprężeń ciała. Sen go opętał twardy...

Wtem runął gromem strzał armatni. Okna zdrząły w swych zawiasach wszystkimi futrynami. Szyby żałośnie dźwiękły. Ledwie pochwytny szmer w ścianach przeniknął je jakoby dreszcz tyfusowy. W luftach kominów załopotwały strącone skrzydła sadzy.

— Jesteś... — wyszeptał.

Zarazem rozrzucił poły płaszcza i wstał. Ulegając nakazowi starego nałogu siadł po umyciu przy toalecie podróżnej, ostatnim wykwintniejszym sprzęciku, ogolił się starannie i uczesał. Potem oczyścił porządnie mundur już podczas ryku kilkudziesięciu armat. Skoro wyszedł na ulicę, huczała niesłychana kanonada. Tak znał się na tonie armat, zależnym od oddalenia, że wnet odróżnił baterię Redela i jednorogi Axamitowskiego od naszczekiwania dział Moneta z cytadeli i Jakubowskiego z San-Giorgio. Oto dzwonią pociski z bastionu St. Alexis, z bastionu Luthérien, z *retranchements Charles*... Szedł ulicą Garety, mechanicznie, prawie bez udziału myśli licząc pociski. Krył się przed słońcem. Pod murami stał już cień włoski martwy, jak opończa nieruchomo zwisły z wysokości nających ścian. Ulice były puste jak wymiółt. Tam i sam wyjrzała z bramy kędzierzawa głowa ulicznika albo wśliznęła się w ciemną i wilgotną sień strwożona kobieta. Przyzwyczajony do codziennego huk armat od czterech miesięcy, książę szedł ospale, ze zwieszoną głową.

Nagle osobiwy, nieznanego łoskot uderzył go w dekę piersiową jak cios pięści. Oto z narożnego domu na przecięciu dwu ulic, z domu cichego, śpiącego w cieniu swych drewnianych żaluzji, runął olbrzymi narożnik. Kupa cegieł z futrynami okien zwała się na środek ulicy o kilkadziesiąt kroków przed idącym. Zrazu nie mógł zrozumieć, co to się stało. Ale jakaś blada twarz w wyrwanym oknie... Wraz palnął w tę samą ścianę pocisk, buchnął płomieniem. Wyrwał drugą dziurę, rozleciał się na tysiąc skorup wartkich, ledwie dostrzegalnych, wiercących się w kilkudziesięciu miejscach na przestrzeni jakichś stu sążni. Szczęście chciało, że książę stał o pięćdziesiąt co najmniej kroków od miejsca wybuchu, wskutek czego czerepy bomby przeleciały już nad jego głową. Jeden z ułamków kręcił się długo na kamieniach ulicy. Gdy spoczął, książę, czając się mimo woli, podszedł ku niemu i wejrzał nań z taką ostrożnością jakby oko zapuszczał w przepaść. Zobaczył podługowaty złom żelaza, urywki na nim kutych obręczy, resztki tlejącego drelichu i smolnych sznurów...

— Karkas... — wyszeptał ze drżeniem.

Ale nim spojrzął, nim to pomyślał i wymówił, już kilka nowych piorunów padło na ulicę. Prały ją straszliwie kilkupudowego wagomiaru brandkugle, wyrzygujące ogień przez trzy swoje „oczy”, ryczały lane walce knyplów, służące do targania wiązań wszelkiego rodzaju spletanych przez pracę ludzką, pękały w powietrzu, około drzwi i okien z hukiem głośniejszym od armatniego wystrzału „świecące kule”, wyrzucały z bruku i ziemi leje sążniowej średnicy wielopudowe, jednookie, uszate bomby, i skakały naokoło, jak gumowe piłki, ślepe granaty. Książę dyszał prędko. Nogi się pod nim trzęsły, serce przestało bić i trzepotało się jak dzwon na trwogę. Widział był dotychczas walki fortów z fortami na kule, bitwy pułków na bagnety, ataki konnicy na konnicę. Teraz co innego...

— Bombardują miasto... — wymiamał do siebie, brnąc dalej spłoszonymi krokami.

Rozbijał mu głowę, miażdżył oczy, dusił oddech przeciwny naturze grzmot walących się domów, wrzask śmiertelny niewidzialnych ludzi, łomot i stęki wyrwanej ziemi, buchanie prochu, trzask drzewa, łoskot kamieni. Zielone drzazgi okiennic, zębce, krzyże, ramiona potrzaskanych ram okiennych i futryn, strzepy i zwitki rynien z malowanej blachy, gruz czerwony glinianych dachówek, jak liście pierzchało to wszystko bryzgami w powietrzu. W rozwarte jamy okien i drzwi skakały kłęby ognia. Zaduch smoły, dziegiu, prochu, gałganów palących się od zapraw otaczał każdy dom płonąca atmosfera. Książę, wtulony we framugę przy studni ulicznej, łypał na wszystko oczyma, przeciągał się od zimna.

— Madonna! Madonna!... — rozległ się za nim, gdzieś u stóp, okrzyk człowieka na ziemi.

Rzucił okiem na czarną twarz, białe zęby, wysadzone na wierzch straszliwe oczy, na ręce błędzące bezradnie po nagim bruku. Wtulił się w mur jeszcze głębiej, przylgnął do niego jak płaskorzeźba. Nie podnosił oczu...

— Żeby choć prędeż... — szepnął mu do ucha jego własny duch. Myśl tę usłyszał tak wyraźnie jak głos owego człowieka, który się wił coraz ciszej na kamieniach. Zmęczone ciało wzdrygnęło się od kilku szlochów urwanych. Przycisnął płaszcz do piersi i wśród wzmagającej się orgii pęknięć, strzałów dookolnych, wśród piachu z cegieł, czarnego dymu i ognia pożarów, zaczął usilnie nakazywać spokój rozbieganemu sercu. Namacał wreszcie wolą obojętność w ciemnościach wewnętrznych duszy, a dłonią rękającą szpady. Odszedł stamtąd. Ale dalej w ulicy, przed kościołem San Rocco, przejście było zagrodzone. Zapchała je barykada zwalonych ścian i gruzów buchająca pożarem. Wiodąc ręką po murze, obok którego postępował, trafił na bramę otwartą czy otwór wyłamany. Wszedł do ogrodu.

Ujrzał dokoła siebie drzewa porozrywane, konary z owocami rzucone o kilkadziesiąt kroków od pnia, srebrne zagajniki cytryn i bardziej ciemne pomarańcz, pokrzywione drzewa figowe skwarzące się we własnym ogniu. Liście, gałęzie, kwiaty stratowane... Przez chwilę zadumał się sennie nad wyniosłą grubolistną magnolią, którą kula ścięła w połowie wysokości. Jeszcze, zdawało się, drży pień... Raz wraz waliła w ten śliczny ogród pięciopudowa bomba. Zapadłszy się w miękką, skopaną i wynawożoną ziemię na półtora sążnia, wyrzuciła stóg ziemi z korzeniami fig i migdałów, wykroty obwieszane gruzłami czarnej próchnicy, miecąc na wsze strony donice z kwiatami, rododendrony i żywopłot z bukszpanu, kamelie i biały bambus. Książę szedł przed siebie na oślep.

Ujrzał nagle ciemnik z winorośli rozpięty na obłąkach i na drzewach morwowych. Tuż u wejścia siedział na płaskich kamieniach człowiek jakiś i trzymał w ramionach umiarkowanego chłopca lat pięciu, a raczej zmiążdżone szczątki chłopięce. Oczy dziecka zaszyły już mgłą, ciało rozerwane, krwawe zwisło jak rzecz wiotka. Jeszcze żebra wznosiły się i opadały, a maleńka gardziel, biała jak kameliowy kwiat, lękła powietrze. Człowiek siedzący kołysał się naprzód i w tył jak wahadło. Całował konające usta, wysysał jego oddech ulatujący w milczeniu straszniejszym tysiąc razy niż huk kanonady. Nie podniósł oczu na księcia, gdy ten zadreptał koło niego, żeby coś pomóc, niewiedzący w czym i jak. Wciąż tylko zgrabiłymi palcami przyciskał do piersi coraz mocniej, coraz trwożliwiej skrważone szczątki. Chuchał nadaremnie w otwarte usta dech żywota czy może przyjmował w swe rozdarte serce ostatnie tchnienie...

Skrzypiały wokół drzewa, pękało i paliło się miasto. W głębi czarnych ulic kotłowały się straszliwe, nieustające womity murów. Książę wpatrzył się oślepyłymi oczyma w ów szczególny, jedyny na świecie bełkot śmierci miasta. W dymie, pod sklepieniem z płonących kul, zbity kamieniami, ociekający krwią od zranień ułamkami kul, czarny od prochu, z płaszczem tlejącym w kilku miejscach, przyszedł do bramy Pradelli. Z tyłu od miasta waliły się teraz perzyny, czad spalenizny i upał pożarów. Nie stało powietrza na oddech. Kanonierowie ledwie mogli ustać w dymie. Pod murem leżał porucznik Kobylański, któremu urwało rękę w krytej drodze dwuramnika przedmostowego Pradelli. Książę musiał stanąć do roboty u boku Czechowskiego, niegdyś w kraju majora, awansowanego obecnie na kapitana. W tę bramę najzacieklej były pociski ze wszystkich baterii austriackiej paraleli. Słychać było głuche stękanie odwiecznych murów i nieustanny łoskot brył cegły walącej się w zgniłą fosę. Dwa jednorogi, broniące gruzów wieży, rzetelnie tego dnia pracowały. Sam kapitan celował chodząc od jednego do drugiego. Gdy Gintuł stanął przy nim, spojrzął przez ramię, wskazał ręką granatnik, sam rzucił się na ziemię pod murem. Książę ujął dłonią dwa drążki celownicze łoża, nastawił, uregulował mosiężną suwaczkę w dioptrze i, ledwie dostrzegając dalekie pola ogniowe szańców austriackich, wykrztusił zeschniętymi ustami:

— Pal!

Czarny od dymu kanonier przyłożył żywy, mocny, kończysty węgiel lontu. Półokrągły ogon łoża skoczył w tył i szcęknął powstrzymywany w klinach legarów. Runął potężny, dźwięczny strzał. Książę był przy drugim dziale. Schylił się, wlepił oko w dioptrę i znowu sennym głosem:

— Pal!

Kiedy kanonierowie rychtowali pierwsze działo, wsunął głowę między policzki strzelnicy i wyjrzał. Grobla przedbramna była pusta, zalana przez białe słońce. Dalej pod dymem rozesłało się błoto Payolo tak zielone, kwietne od porostów grązelowych, od lilii wodnych, od mokrych szuwarów i tataraku, że oczu nie można było oderwać. Z okopów austriackich, które stały w drugim rzędzie za linią barkanów i kurtyń, pękały co chwila w morzu dymów nowe stożkowate, śnieżnobiałe ich słupy. Całe powietrze wstrząsało się od dźwięcznego łoskotu, a ziemia trzęsła się nieregularnymi drgawkami. Książę wrócił do roboty, między kanonierów, których białe ze zgrzebnego płótna lejbiki przemieniły się w ciemne łachmany. Pot czarną plamą wylazł na ich plecach i barkach. Ręce mdlały od wprowadzania łoż na miejsca. Tylko białka oczu błyskające świadczyły o rozpętanej wścieklej sile.

Nadjechał generał Borton ze sztabem. Już wówczas słabła kanonada. Miasto płonęło. Ludność, schroniwszy się do piwnic i lochów, nie ratowała swego mienia. Nad wieczorem tegoż dnia, po obustronnym zaprzestaniu walki, książę Gintult szedł przed samym zachodem słońca do Miglioretto, gdzie było czoło boju. Minął bramę Pusterla, most arkadowy na Corso delle Barche al Palio. Zielona od skrzeków woda, zakisła i nieruchoma, gnijąca pod kożuchami grzybienia, pełna była gruzów i strzępów. Wierzby i eukaliptusy, wysysające wilgoć z błot, były pościnane albo podarte. Na poszarpanej drodze tarzały się niebieskawe od spalenizny czerepy bomb i rozprysłych kul. Smutek śmierci ścisnął serce żelaznymi kłamrami na tej drodze samotnej. Minąwszy Palazzo del Thé książę szedł ku Miglioretto śliczną niegdyś, platanową aleją. Nie ocalało tu ani jedno drzewo. Ogrody były zryte, same groble i forty uszkodzone nadzwyczajnie. Były to ślady bombardowania tych miejsc specjalnie poprzedniego ranka, kiedy nieprzyjaciel wyrzucił 5.114 pocisków granatnikowych i 824 bomby.

Idąc po groblach obok upustów, między cuchnącymi kanałami, książę nie znajdował w żadnym z fortów Axamitowskiego. Miał polecenie od generała Bortona oświadczyć ustnie szefowi baterii polskiej, że nazajutrz całe przedmieście San-Giorgio będzie bez strzału oddane nieprzyjacielowi. Załoga wyjdzie w nocy, bez szelestu. Wszystkie siły należy wyteżyć ku obronie Miglioretto. Przybywszy do strzałczanu, dwuramnika, wysuniętego na czoło układu wszystkich szańców, bastionów, redanów, kurtyń, lunet i biretów, znalazł olbrzymie zmiany. Wszystkie podmurowania Miglioretto były na poły zburzone, palisady zgorzałe.

W chwili gdy książę przyszedł, Axamitowski po kilku dniach i nocach walk nieustannych spał snem kamiennym. Oficerowie i kanonierowie byli tak spracowani, że drzemali stojąc, półleżąc, zwisając z łoż, wozów prochowych i armat. Noc zapadła. W ostatnim blasku dnia widać było z bliska najszerszą gać błot, zginających się ku Mincio. Jezioro Payolo przeobrażone teraz w bagna, których środkiem ciekła leniwie zgniła rzeczka, porośnięte było gajami nieprzejrzanymi trzciny jasnożółtych, szelestnych, sitowiem, tatarakiem i rokitciną. Gwar szpaków rozlegał się tam na całej przestrzeni. Groblę prowadzącą przez błota do wioski Cerese na zajezierzu widziało się w całej długości.

Książę tak przecież był zmęczony, że ledwie spostrzegał i słyszał, ledwie wiedział, gdzie jest. Powtarzał sobie w myśli raz za razem zlecenie i czekał. Wszystkimi siłami ciała starał się, ażeby ustać na nogach. Wszedł po drewnianych stopniach na *banquette* szanca, miejsce wyniesione nad poziom, gdzie stają obrońcy, żeby strzelać ponad ziemne przedpiersie. Przechadzał się tam i na powrót między jednym działem a drugim. Te posępne, spracowane spiże zdały się w tej chwili drzemać, tak samo jak ludzie. Posłaniec uczuł, że jest tu między wszystkimi sam, sam jeden czuwający. Zajadłe ćwierkanie szpaków przemieniało się w dziką melodię... Roje komarów wirowały tu i rzuciły się na twarz. Wstrętne myśli rzuciły się na duszę. Gdy tak błąkał się, głową przewyższając *hauteur d'appui* nasypu szanca, i gdy zabrął w najciemniejsze pieczary smutku, dano mu znać, że szef wstał i czeka.

Książę zdał mu raport i zarazem prosił o pozwolenie udania się na spoczynek. Axamitowski usłyszawszy wieść hiobową chwycił się za głowę i siedział przez chwilę bez ruchu. Potem dopiero przypomniał sobie drugą prośbę i zaprowadził księcia do baraku w głębi sąsiedniego *bonnet de prêtre*, gdzie sam spał niedawno. Gintult przycupnął na wygniecionym posłaniu i wnet usnął. Miał sny straszliwe, sny niezapomniane na całe życie, w których zamknięte są światy samoistne, prawdy nam tylko samym wiadome i zjawiska

prawdziwie niezemskie. W tym śnie pamiętnym księżę przebiegł jakieś inne, całkowite życie od jego początku do końca. Zapamiętał niektóre tylko kształty, ułamki, blaski widzianego świata i jego mglistą całość. Kilkakrotnie skakały na jego piersi pociski przeraźliwe. Uderzały wypadając z ciemności, naprzód w ziemię jak lane kule, a potem mknęły koło uszu na podobieństwo wielkich chrabąszczów, skarabeuszów niezwyklej wielkości. Wrażenie ich przelotu, ich muskania twarzy szorstkimi skrzydłami było nie do zniesienia. Z przęsennym jękiem, którego z piersi nie można wyrzucić, uciekał przeczuwając, że znowu padnie, odbije się od ziemi i skoczy kula skrzydlata.

Wtem tę trwożę senną, straszliwszą niż wszystko na rzeczywistym świecie, zgniółł gromadny wrzask, jęki, łoskot broni. Księżę, wyrwany z twardego snu, ocknął się, ale nie wiedział nic o sobie. W malaryjnej półwiedzy siedział na posłaniu i patrzył przed siebie. W czołach i barkach biretu, w narożnikowych szczególnie kątach ujrzał tłok artylerzystów, mocujących się jakby w czasie ćwiczeń gimnastycznych. Żołnierze wielkiego wzrostu przelazili przez wierzchołki przedpiersia i tu, rażeni śmiertelnie wyciorami, drągami, bagnetem, darli się do armat. Gintuł nie mógł pojąć, co to za ludzie. Widział w blaskach ognia ich niskie czarne kapelusze z białą obwódką, białe z ciemnymi potrzebami mundury, szerokie czerwone pasy, ciemne spodnie i czarne kamasze.

— Gułaje! Bij, zabij! — wrzeszczał obok niego jakiś podoficer pędząc naprzód z bagnetem.

— Regiment Franza Guiläy... — myślał księżę rozumiejąc teraz dopiero, co się dzieje.

Tymczasem już wszystkie armaty były opanowane. Infanteria austriacka, prowadzona do szturm przez pułkownika Ridt von Lattermann, pchała się ze wszech stron na okopy. Olbrzymi kanonier austriacki w ciemnopiaskowym mundurze obuchem młota wbijał bretnal w zapal granatnika...

Ale jednocześnie przez wąską szyję szańca krokiem żelaznym a cichym nie wbiegła, lecz zaiste wskoczyła jak pantera kompania grenadierów polskich. Księżę zerwał się ze swego miejsca, znalazł szpadę i biegł do szeregu. Szerokie bagnety werznięły się w Austriaków. Zwarty zastęp przebił najbliższych napastników. Ale wdzierają się nowe ich szeregi. Zawrzała bitwa nie na bagnety już, lecz na kolby. Rozwścieczona garść sięgnęła po gardziel wroga. Zrzuceni w ciemność przez wierzch szańca, tonęli w fosach. Bili się na moc, szarpiąc bronią mundury. Rosła kupa trupów i rannych. Wreszcie wewnątrz biretu opustoszało. Napastnik zginął albo wyrzucony został na zewnątrz. Kompania grenadierka chyżym krokiem wysunęła się przez szyję i wsiąkła w ciemność.

Gintuł szedł z nimi. Broń do ataku, krok żelazny, oko wlepione w mrok. We wszystkich naczelnych szańcach wrzała walka śmiertelna. W fosach, między palisadami, w martwych kątach narożników słychać było ciosy i jęki. Kompania idąca naprzód przez rowy, przez zwwały rannych i trupów, dojrzała przed sobą białe mundury. Wzięła je ścigać wilczy mi susy. Wnet byli w bagnach. Już stamtąd dochodził szcęk i ryk boju. Dopadli. Wrzask z tyłu przebitych, rozkazy oficerów szczujące do rzezi, przekleństwa, skomlenie rannych. Chyżo z dobytą szpadą szedł księżę, porwany przez uniesienie. W pewnym miejscu kupa białych obskoczona przez Cisalpinów i Polaków biła się po pas w błocie.

W trzcinach wyniosłych, suchych, trzeszczących żołnierze tworzyli zwarte koło. Kogo bagnet dosięgnął, tego spychał w bagno, w żywy grób. Kolba go dotukła, a obcasy wdeptywały w bajoro. Żeby nie zapadać się w błocie, stawali na żywych jeszcze ciałach i z nich prali w tłum uciekający.

W pewnej chwili kule ogniste oświeciły całe Payolo. To Redel wyczuł swym ogniem skradających się pod wodzą kapitana artylerii Szmita oraz inny oddział pod kapitanem Martynowem wplaw przebywający rzekę. Strychowana z bateriów del Thé runęła na nich kanonada. W wybuchach prochowego ognia księżę widział dokoła zbroczone bagnety i lufy, rzygające z ran krwią złane piersi i gęby, wyszczerzone zębce, wywalone, straszliwe oczy. Krwawe szpony wszczepiły się w czyjeś włosy... Nowy blask! Własna szpada cała jak piorun! Czerwieni się i cieknie gorący ogień krwi. Nowy cios... Po rękojeść! Dłonie, palce, kurczowo chwytają idącego za nogi z głębi trzęsawiska. Zduszone rżenie gardzieli, bełkot ust w błocie. Trzask trzcin. Ktoś ucieka. Szcęk kolby o czaszkę i cichy płacz. W samym kanale Payolo zapasznicy siepali się pierś w pierś, dusili się wzajem za gardła i spychali na wieki do jam śmierci. Coraz już rzadziej, ale coraz wyraźniej rozdierały ciemności gromy nieludzkich ryków i krzyki zemsty.

Walka

Dopiero nade dniem wycieczka była odepchnięta na całej linii. Grenadierowie wlekli ze sobą gromadę niewolnika schwytanego w szuwarach. Księżę staplany w bagnie płątał się między ludźmi, dźwigając głowę ciężką jak kowadło. Mróz go przenikał od stóp do głów. Nogi się gięły. Ledwo widząc drogę i przedmioty, zawłókł się rano do swej w mieście izby i nieprzytomny zgoła upadł na łóżko.

Spał teraz jak drewno, pogrążony w potach, dreszczach i ciemności. Gdy się kiedy niekiedy ocknął, znajdował przy wezłowi proste, gliniane naczynie z winem rozcieńczonym wodą. Nachylała się ku niemu ohydna twarz lichwiarza, który mu pożyczał pieniędzy. Był to Żyd z twarzą mantuńską, popielatoczną. Księżę widział w półśnie, że lichwiarz przeszukuje kieszenie jego płaszcza, że przewraca w toaletce, gdzie nic cennego nie było. Bawił się tym widokiem. Byleby cisza... Dwa czy trzy razy zjadł skibkę chleba, popił wodą i znowu spać!

Piątego dnia Żyd wbiegł do izby w popłochu i z krzykiem. Targając chorego wrzeszczał przeraźliwie, że Francuzi poddali miasto i wychodzą, że Miglioretto już obsadzone przez Austriaków, a w bramie Ceresie pięciuset ludzi. Księżę zrazu nie chciał ruszyć się i nie wierzył, ale koniec końców wstał z łóżka. Ogarnął się jak mógł i wyszedł. Żyd za nim. Mówił prawdę. Piechota z jednym sztandarem generała Foissac-Latoura ciągnęła wolno w stronę mostu Molini ku cytadeli, za nią artyleria z działami. Furgony generała dowodzącego i innych, a nawet powozy oficerskie i ekwipaże ich żon sły dudniąc między gruzami. Przerznawszy się wskroś motłochu, księżę zobaczył nareszcie i swoich. Szli w porządku z obnażoną bronią. Artyleria na przedzie, za nią konnica, kompanie piesze na ostatku. Oznajmiono mu, że garnizon poddał się i z honorami wychodzi przez cytadelę, a legia ma rozkaz zamykać kolumnę.

Stanął w szeregu, dobył szpady i postępował obok działa. Pułki lekkie francuskie zajęły sklepienie mosty, minęły je, ale nie posuwały się dalej. Wąskie przesmyki gruntu między jeziorami i na przedmurzu forticy, zastawione nędznymi domostwami, tak były pełne wojska, że noga ludzka wcisnąć by się tam już nie mogła. Artyleria Axamitowskiego i jej armaty weszły na most, w ciemną czeluść murów grubych, bezkształtnych, trupio szarych od wielowiekowych pyłów mąki. Kompanie piesze wciąż jeszcze stały w ciasnych ulicach. Księżę był w szeregu między żołnierzami. Oczy jego włóczyły się bezradnie po starych pajęczynach, które mąka obarczyła, po śladach powodzi i owych posępnych oknach-strzelnicach, co wychodzą na stęchłe jeziora. Milczące w tej chwili młyny były wstrętne jakby tortury średniowieczne.

Gdy tak w ciszy strudzone wojsko czekało na chwilę wyjścia z przeklętego miejsca, biała kolumna austriacka ukazała się z dala w ulicy. Oficerowie szli równo z nią krokiem chyżym. Zbliżywszy się sformowali szyk w dziwny sposób. Naprzód klinem weszli między artylerię i piechotę polską, a potem wzięli broń do nogi. Nikt z Polaków nie przeszkadzał im ani protestował. Wychodzili z honorami na podstawie kapitulacji jawnie zawartej i odczytanej w szeregach. Drugi jej paragraf wszem wobec głosił, że wojska cisalpińskie, szwajcarskie, polskie i piemontkie będą uważane i traktowane pod każdym względem jak wojska Rzeczypospolitej francuskiej.

W pewnej chwili na rozkaz Austriacy pochwycili za broń i nastawili ją przeciwko grenadierom, woltżerom i artylerii. W tejsze chwili ze wszystkich zaułków, z dziedzińców, zza murów rzuciła się na nieprzygotowanych piechota olbrzymim tłumem. Wydzierali zdradziecko napadniętym z rąk karabiny, czapki wbijali na oczy albo je zdzierali i wlekli obezwładnionych po bruku. Wiązali ręce powalonym na ziemię. Oficerowie w pierwszej chwili oniemieli z przerażenia. Ale i ich nie oszczędzono.

Ujrzeni, jak napadniętym w ciasnych zaułkach żołnierzom i podoficerom zdzierają naramienniki i biją nimi po twarzy, jak szarpią za włosy, kopią nogami, tarzają w błocie ulicznym, wiążą ręce i nogi. Ujrzeni wreszcie, że zdzierają mundury oficerskie z tych, którzy je męstwem w bitwach przed oczyma dwu armii zdobyli, wiążą dłonie do lufy karabina, żeby puszczać przez kije.

— Do broni! — rozległ się krzyk.

Było już za późno. Kolumna była rozerwana na kilkanaście części, a każda z nich obskoczona. Broń wydarto. Z kompanii najbliższej mostu stojących kilkuset żołnierzów chyłkiem przemknęło się ku cytadeli i uszło losu współbraci. I na grupę dwudziestu oficerów artylerii zwała się masa piechoty austriackiej z nastawionym bagnetem. Ob-

stąpiono ich pierścieniem grubym na dziesięciu chłopca. Poznawszy, co się dzieje, wyrwali szpady. Sparli się brat w brata ramionami i utworzyli pierścień obronny. W milczeniu poczeli bić. Szpady ich trzaskały karabiny i bagnety, młynem ognistym warcząc. Raziły i przesywały. Ktoś zaczął komenderować. Błyskawicami nagłych ciosów parli chłopstwo i otwierali sobie drogę. Wnet jednak ten i ów, zajęchany bagnetem, osunął się na ziemię. Żywi rozwściekli się od męki, od krzywdy, na widok tej hańby, niesłychanej w dziejach świata. Bili się w szale. Gintuł nie widział świata. Werznął się sam między żołdactwo, w tłum zbity, i prał, na śmierć idąc. Wtem tłum na rozkaz rozchylił się przed nimi w dwie strony. W dali, z ulicy wyjeżdżał orszak generalski, a najdalej, w otoczeniu wspaniałego sztabu, na pysznym koniu generał baron Kray de Krayova. Major Królikiewicz bez czapki, ze skrwawioną szpadą w ręce, blady jak trup poszedł na jego spotkanie i z dala, wskazując, co się dzieje, wołał o rozkaz zaprzestania zbrodni. Feldmarszałek z wyrazem wzgardliwego szyderstwa przymrużonymi oczyma spojrział naokół i rzekł niedbale:

— Wszystko, co się dzieje, dzieje się na mocy paragrafu sekretnego, dodatkowego o kapitulacji z dnia 28 lipca. Nie ma tu żadnego bezprawia. Zbiegowie spod sztandaru Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości będą wydani każdy z osobna pułkowi i batalionowi, do którego należą.

Tknął konia ostrogą i chciał w bok odjechać. Ale major Królikiewicz chwycił groźnie cugle jego konia i nie puścił, choć nad nim szable zawisły. Głos mu zapało. Krwawe oczy wlepił w dowódcę.

— Zapewniam każdemu życie... — wycedził marszałek.

W tej samej chwili z przeciwnej strony przymuszony jechał w tłumie oficerów polskiej konnicy blady Foissac-Latour. Zbliżając się do końca mostu zamknął oczy. Oficerowie polscy miotali mu w twarz obelgi. Książę Gintuł złamał swą szpadę i ze wzgardą cisnął mu ją w piersi.

Wołano z szeregów:

— Zdrajco!

— Krzywoprzysięzco!

— Spełniłeś największą zbrodnię na ziemi: podstępnie, na hańbę wydałeś zbiegów!

— Patrz teraz w oczy tym, którzy z ognia wyszli, gdzie bez drżenia umierali ich bracia.

— Dawaliśmy ci życie za naszą sprawę i honor. Mówiliśmy ci jak rycerze: Jeśli nas chcesz rzucić na pastwę wrogom dla ratowania Francuzów i siebie, miej odwagę uczynić to jawnie. My wiemy, co czynić mamy. Skłamałeś pod przysięgą.

— Mówiliśmy, że gdy jawnie nam wyznasz, co zamierzasz, zamkniemy się w wieży prochowej i braterskimi dłońmi wszyscy wraz rzucimy ogień, żeby się wysadzić w powietrze. Hańba ci, zdrajco!

Foissac-Latour podniósł oczy. Potem białą, drżącą rękę. W milczeniu, patrząc w zhańbiony tłum jeńców, salutował ich długo.

Popioły

TOM II

W WARSZAWIE PRUSKIEJ

Na obraz pierwszych po powrocie miesięcy domowego żywota Rafał spędził w Tarninach lat cztery. Orał, siał, kosił, żął, zwoził snopki, młócił zboże i sprzedawał. Pod kierunkiem ojca, który nim rządził jak podstarościm, eks-filozof zmienił się na ślepe i głuche narzędzie tej wyższej a wszechwładnej woli. Nie otrzymywał do ręki na swe osobiste potrzeby więcej nad trochę koprowiny, i to w przypadkach wielkiego faworu, wszystko zaś, czego potrzebował, udzielane mu było w naturze, z rozmysłem i zastanowieniem. Jedynym środkiem osiągnięcia jakiegokolwiek gotówki, niezbędnej na sprawienie ubrania choć trochę modnego, na pohulanek w mieście, były tajemne sprzedaże zboża z sąsieków, haracz nakładany bezprawnie na chłopów, ujmowanie obroków koniom folwarcznym i tym podobne procedery. Toteż osiadła w duszy poddziedzica głucha wściekłość na szaty, które nosić musiał, na zajęcia, które spełniał, na wszystko, co go otaczało. Nikt go nie rozumiał i on nie cenił nikogo według istotnej wartości. W ciągu tego czasu Rafał nie wyjeżdżał prawie z domu i najbliższej okolicy. Ledwie kilkakrotnie był w Sandomierzu. Zimową porą, w karnawale, hulał po dworach okolicznych, i to byłoby najszczytniejszą jego rozrywką, gdyby nie męczarnie doznanawane przy spotkaniu się tam z sąsiadami ubranymi według najświeższej mody.

Na jesieni roku 1802 od jednego z takich właśnie sąsiadów, który tłukł się po różnych stronach Galicji i Prus Południowych, Rafał powziął wiadomość, że książę Gintułt jest w kraju, że przesiaduje bądź u siebie w Grudnie, bądź w Krakowie. W duszy Rafała zrodziło się wówczas rozpaczliwe postanowienie. Napisał do księcia obszerny list, niby to z dziękczynieniem za wszelkie dobrodziejstwa, a w gruncie rzeczy skargę na obecne swe położenie. Długo, bo kilka tygodni, smażył ten list w największym sekrecie późnymi nocami, a gdy go wreszcie ułożył i tysiąc razy odczytawszy przepisał na czysto — doświadczył uczucia niebywalej ulgi. Nie myślał wcale o skutku tego przedsięwzięcia, wiedział nawet, że nic z niego wyniknąć nie może, a jednak sama myśl, że list ten dojdzie rąk księcia, sprawiała mu szczególną radość. Sam odwiózł ów drogocenny skrypt na pocztę w Sandomierzu. Przez kilka tygodni myślał jeszcze o nim, później, gdy odpowiedzi nie było, zaczął żałować tego, co napisał, a wreszcie popadł w dawną apatię.

Tymczasem odpowiedź nadeszła, ale na ręce starego Olbromskiego. Książę pisał do cześnika, nie wspominając o odezwie Rafałowej, z uprzejmym zapytaniem: czyby to familijnym widokom nie dogadzało, gdyby Rafał mógł na czas pewien objąć miejsce sekretarza przy osobie księżęcej? Zapewniał w sposób jak najpochlebniejszy, że postara się godnie wynagrodzić jego pracę, a zarazem rzucił mglistą obietnicę pokierowania losem młodzieńca. Jeżeli zgoda na to nastąpi, książę prosił, żeby Rafał przybył do Warszawy jeszcze tej samej jesieni. Stary cześnik w ciągu kilku dni nosił ten list przy sobie i głęboko się nad propozycją zastanawiał. Dogadzała jego ambicjom, czyniła zadość pojęciom o utrzymaniu się pańskiej klamki, ale z drugiej strony miała pozbawić folwark takiej jak Rafał siły roboczej. Zwyciężyła wreszcie pokusa kariery. Jednego dnia, po obiedzie, cześnik zatrzymał wszystkich i odczytał list księżęcy. Nadymał się przy tym setnie, jako taki, do którego księżęta *familiariter* pisują. Pod Rafałem nogi się ugięły, gdy to usłyszał. Cześnik niby to zadawał żonie, Rafałowi i córkom pytania, jak się na tę sprawę zapatrują, ale w rzeczywistości tylko odwlekał chwilę ogłoszenia dawno powziętej decyzji. Nareszcie wyrok został ogłoszony. Ze wzdychaniem i rozkładaniem rąk cześnik zgodził się na wyjazd syna. Od tego dnia zaczęły się przygotowania, szycie bielizny, pranie, reparowanie i starania o paszport do Prus Południowych.

W listopadzie Rafał wyjechał z domu. Rzucił go z uczuciem radości. Nie żał mu było nikogo i niczego. Wszystko rwało się w nim i kipiało lecąc naprzód. Swoimi końmi zjechał na granicę pruską, a stamtąd do Warszawy pędził dyliżansem pocztowym. Wprost z *pocztamtu* udał się do pałacu księcia Gintułta. Była to stara siedziba magnacka, ukryta w ogrodach, z dala od głównych ulic miasta i ich zgiełku. Opuszczony pałac, ze ścianami, z których tynk oblatwał, z pordzewiałymi kratami bram a dziedzińcem trawą zarosłym — był jakos niegościnnie zamknięty, gdy Rafał stanął u jego podwojów. Wszystkie okna były na głucho zasłonięte szerniałym płótnem firanek, drzwi pozamykane. Po upływie znacznego przeciągu czasu stary odźwierny dostrzegł wałęsającego się przychodnia i za-

pytał, czego sobie życzy. Gdy Rafał, pełen nieprzyjemnych uczuć, opowiedział; kim jest i co go sprowadza, ów człowiek powiódł go do bocznych skrzydeł pałacu. Szli przez długie korytarze, minęli jedną i drugą salę i znaleźli się wreszcie w obliczu księcia. Rafał ledwo go mógł poznać. Twarz jego szerniała, zeschnęła i okryła się zmarszczkami. Oczy przygasły. Ten sam tylko grzeczny uśmiech ją rozwidniał, jak gdyby sztuczne światło rozpraszając zmrok wieczoru, który następuje niepowstrzymanymi falami.

— Z dawna myślałem — rzekł książę po przywitaniu — żeby cię mieć przy sobie. Kiedy napisałeś do mnie, ucieszyłem się prawdziwie. Jesteś mi potrzebny.

Rafał kłaniał się, z radością słysząc, że książę mówi do niego: *ty*.

— Musisz jednak wiedzieć — ciągnął Gintuł — że się zaprzęgniesz do pracy niemałej i ciągłej. Zajęty jestem książkami, pisaniem. Codziennie będziesz zmuszony spędzić ze mną kilka godzin na robocie. Później możesz czynić, co ci się podoba. Więc jakże?

— Jestem do dyspozycji księcia pana.

— Dobrze. Umiesz po niemiecku?

— Tak. Umiałem dosyć dobrze, ale przez cztery lata w domu nie miałem w ustach jednego wyrazu.

— To nic. Chodzi o to, żebyś umiał w razie potrzeby napisać. Potrafisz?

— Potrafię.

— Wszakże — ciągnął pan z uśmiechem — chodziłeś na filozofię?

— A tak... Chodziłem.

— Po łacinie umiesz także.

— Umieję.

— Otóż to właśnie! Ponieważ ja w łacinie jestem prawie ignorant, a muszę teraz dużo czytać w tym języku, więc ty mi będziesz na polskie tłumaczył.

— Jestem do usług.

— I jeszcze jedno. Wkładam na ciebie obowiązek milczenia o tym, co tu będziemy pisali, czytali, mówili i robili, obowiązek milczenia zupełnego. Nie powiesz o tym nikomu ani jednego wyrazu. Dasz mi na to uroczyste szlacheckie słowo. Czy możesz mi dać takie słowo?

— Daję na to słowo honoru.

— Mówię ci to zaraz, gdyż chcę, żebyś od pierwszej chwili przyzwyczał się do tego, że nic o mnie nie wiesz, nic nie słyszałeś, nic wreszcie nie rozumiesz.

— Słucham księcia pana.

— Teraz idź spać i posilić się. Masz tu pokojów bez liku. Wybierz sobie, który ci się podoba, i zajmij. Musisz tylko poprzestać na jednym służącym, który i mnie obsługuje. Gdy się wyśpisz po drodze, przyjdź do mnie.

Rafał, oszołomiony tym wszystkim, nie mógł zebrać myśli. Najbardziej podobała mu się perspektywa spania po kilkodzielnym trzęsieniu się na wózku i w dylizansie. W jednym z pobliskich salonów stary kamerdyner przygotował gościowi pościel i oddał ją. Obudziwszy się nazajutrz rano i nie słysząc nigdzie w pobliżu najłżejszego ruchu, Rafał ubrał się prędko i zaczął rozglądać. Szerokie okno było zasłonięte wyniosłymi drzewami, z których sypały się złote liście. Gruby mur otaczał ze wszech stron ten osamotniony park i zamykał go od strony Wisły. W długich alejach, zasępionych cieniami lip i grabów, gdzieś przesuwał się błądliwy promień słoneczny. W całym domu panowała cisza tak głęboka, że słychać było szelest liści upadających na zeschniętą trawę. Rafał odwrócił się od tego widoku i szmeru. Na palcach wyszedł ze swej sypialni. Sąsiednie sale były puste. Był w nich półmrok, gdyż zasłonięte okna nie przepuszczały światła. Meble były obszyte pokrowcami, lustra osłonięte, żyrandole, świeczniki w płóciennych futerałach. Zimno i nieprzyjemny odór wnętrza w ciągu wielu lat zamkniętego — odstraszały przychodnia. Idąc tak naprzód z pokoju do pokoju, Rafał trafił na uchylone drzwi z kutego żelaza i wszedł do sali olbrzymiej, wysokiej na piętro. Była to biblioteka. W szafach wpuszczonych w mur, za drzwiami z drucianej siatki albo szkła, widać było mnóstwo książek, ustawionych na półkach kilku rzędami. W połowie wysokości tej wielkiej izby biegła ozdobnie rzeźbiona balustrada galerii. Tu i owdzie stały posągi, globusy, leżały olbrzymie teki i zwoje. Rafał szedł cicho, rozglądając się po tych bogatych ścianach i sprzętach, gdy wtem z jednego kąta rozległ się głos księcia:

— Jesteś, mości sekretarzu! Przychodzisz w samą porę. Właśnie mam chwilę czasu i chęć do gawędy. Więc siałeś na wsi pszenicę sandomierkę, żyto, a nawet jęczmień?

— Tak jest.

— I znudziło cię to do cna?

— Znudziło.

— I zatęskniłeś do świata?

— A zatęskniłem.

— Masz zupełną słuszność. Trzeba koniecznie tęsknić do czegoś innego, przenosić się sercem z miejsca na miejsce, z zawodu do zawodu, odmieniać same pożądanía, bo inaczej ziemia by nas obsiadła i pożarła. Widzisz, ja w tym czasie, gdy ty siałeś i żąłeś, nabrałem manii do czytania książek. Dawniej, ta żyłka nie odzywała się we mnie. Wystarczało mi samo życie człowiecze, nasze obecne, a to, co jest w książkach, uważałem za strawę godną szcurów, robaków i łysych staruszków. A oto nagle przyszło i trzyma... Waszmość, mości cześnikowiczu, do książek nie masz gwałtownej inklinacji? Co?... powiedz szczerze...

Rafał zaczerwienił się jak zbrodniarz schwytyany na uczynku pierwszej kradzieży.

— Nie wstydz się tylko, mój drogi. Nie ma w tym hańby. I mnie pewne okoliczności wepchnęły na tę żmudną i zakurzoną drogę. Włóczyłem się ostatnimi czasy po świecie, zawadziłem o Egipt, wiesz?... ten, co to w Afryce...

— Och, wiem! — rzucił Rafał, dotknięty do żywego.

— Udałem się w tę podróż po wojnie, która się tam rozegrała. Chciałem odszukać grób jednego przyjaciela, tam, pod beznosą czaszką sfinksa poległego. Tymczasem te piramidy, obeliski, sfinksy, pustynia, miasta zaginione i wszystko, co się tam działo, tak mię, uważasz, wzięło, że zacząłem z książek dochodzić, co i jak. Moi przyjaciele, a osobliwie jeden, którego bardzo kochałem, zostali tam zamordowani.

— Zamordowani! — krzyknął Rafał, ogarnięty przez głęboką, porywającą ciekawość.

— A tak. Ten, który był Polakiem, wyższy oficer w służbie francuskiej, nazwiskiem Sułkowski, został rozsiekany przez Arabów w bitwie, gdzie we dwudziestu żołnierza bił się na śmierć z kilku pułkami. Drugi Francuz, niejaki Venture...

— I ten został rozsiekany?

— Tak, pono z woli wodza, owego Napoleona, o którym musiałeś co słyszeć.

Rafał spłonął znowu ogniem wstydu, gdyż słyszał przecież niemało, ale opinii najsprzeczniejszych. Książkę zamilkł na pewien przeciąg czasu i siedział bez ruchu, z głową podpartą na ręku. Usta jego były odęte, a szkliste oczy posępne. Rzecz wreszcie:

— Brat twój umarł, tak młodo w sprzeczce ze mną... Tamten, generał, zginął, ledwie się do niego zbliżyłem i ledwie poznałem jego duszę. Nawet ciała jego nie znalazłem. Nawet szczątków. Krew zmoczyła spłacheć piasku Sahary — i po wszystkim. Kwiat na tym miejscu nie wyrośnie, gdzie zgasły oczy króla w rodzie ludzkim... Tak, bracie. Otóż będziemy, jeśli twoja wola, spisywali razem różne rzeczy o tych dalekich krajach, szczególnie o pustyni, Egipcie, Ziemi Świętej, Azji Mniejszej, Syrii. Będzie ci się to wydawało dziwne, ale zapomnisz o tym i nie będziesz myślał. Później ci to wytłumaczę. A teraz weź oto ten sekstern i pisz wyraźnie na pierwszej stronie te słowa:

Z PIERWSZEGO LISTU ŚWIĘTEGO HIERONIMA DO HELIODORA:

„O puszczo! kwieciami Chrystusowym kwitnąca... O osobności, gdzie one rodzą się głązy, z których w Objawieniu miasto wielkiego króla wystawione zostaje!

O pustynio, po przyjacielsku z Bogiem się ciesząca!”

— Taka będzie dewiza tego pisma, a teraz zacniemy...

W chwili, gdy to mówił, żelazne drzwi szczękły i bez szelestu wszedł do sali służący, cicho wymieniając jakieś nazwisko. Książę dał mu znak skinieniem głowy. Kamerdyner odwrócił się, uchylił drzwi i wpuścił do sali wysokiego, barczystego pana.

Nowo przybyły miał ogromną głowę z nadzwyczaj wydatnymi rysami twarzy. Oczy jego były wypukłe i natarczywie uważne, po dziecięcemu patrzące. Włosy nad czołem, sklepionym tak jakoś twardo i niewzruszenie jak odłamy skały, były poskręcane i spiętrzone w naturalne loki, niby u Murzyna. W tyle głowy ujęte w kitajkowy czarny worek,

tworzyły długi harbajtel, związany na końcu wstążkową kokardą. Ten wielki mężczyzna ubrany był w mundur oficera pruskiego z czerwonymi wyłogami. Szedł wyprostowany, głośno stukając obcasami trzewików o marmurową posadzkę.

Gdy spostrzegł Rafała, na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, prawie zdumienie. Przez chwilę nie odrywał od niego oczu i przykry niepokój w nich się odmalował. Rafał uczył od razu dla tego człowieka niewytłumaczoną życzliwość i przyjaźń. Księżę wstał ze swego miejsca, skłonił się przed wchodzącym i zaraz, wskazując mu Rafała oczyma, rzekł tonem uspokajającym, po francusku:

— Mój nowy sekretarz, Olbromski...

Po chwili zwrócił się do Rafała:

— Możesz teraz iść na miasto i zabawić się, robić, co chcesz. Załadaj od Łukasza pieniędzy i powiedz mu, kiedy ma ci przygotować posiłek.

Rafał wyszedł co prędzej. Na ulicy zapomniał o wszystkim. Czuł tylko, jak nadzwyczajnie zardzewiał. Nie umiał chodzić po miejskich kamieniach, wiedział o sobie, że jest niezgrabny, sztywny, przygarbiony i prostak w każdym ruchu. Gdy go wymijały piękne pojazdy eleganckich pań i panów, prostował się, ile mógł. Miasto zrobiło na niego wrażenie. Był przygnieciony jego wielkością i, jak mu się zdawało, niesłychanym majestatem. Mijał jedną ulicę za drugą, dworki otoczone parkanami, zza których rozłożyste drzewa wychylały się na błotniste koleje ulicy, pałace gdzieniegdzie wśród ogrodów za żelaznymi kratami błyszczące, kościoły, nowo wzniesione domostwa.

Gdy tak, włokąc się bez celu, oglądał jedną budowlę za drugą, ktoś go niespodziewanie zawołał po imieniu i nazwisku. Rafał podniósł głowę i ujrzał stojącą na środku wiedeńską baszardę, ciągnioną przez pięć ślicznie dobranych szpaków, a w niej z pańską gracją rozwalonego kolegę z filozofii, Jarzymka.

— Rafuś! — wołał tamten — jeżeli jeszcze żywisz ku mnie żakowskie gniewy, to nie wsiadam wcale, ale jeśli przeprosiłeś się ze mną w myśli, to spadam w twoje objęcia...

— Chodźże, chodź! — krzyknął Rafał ze szczerą radością.

Jarzynski wyskoczył na kamienie i zaczął ściskać kolegę. Już jednak po chwili zawołał:

— Po stroju od strony Opatowa czy Sandomierza wnoszę, że przyjeżdżasz wprost ze swego dystryktu.

— Nie inaczej, a ty?

— Ja tu mieszkam.

— Tu? W Warszawie? I dawno?

— Od lat trzech, to jest od chwili, gdy się uwolnił z pazurów stryjaszka i zwałił z karku jego opiekę. Ale o tym potem. Przede wszystkim siadaj no, jedziemy do krawca.

— Ależ zaraz...

— Ani jednego słowa! W takich szatkach można robić furorę, ale nie tutaj. Jedziemy do krawca i do szewca.

— Nie, stanowczo! W tej chwili jest to niemożliwe...

— Jak chcesz, ale... jak cię widzą, tak cię piszą. Przecie to my w Krakowie nie daliśmy się zjeść w kaszy, a nawet... No, ale skoro inaczej sobie życzysz... Do domu! — rzucił rozkaz stangretowi.

Rafał nie mógł się oprzeć i siadł do powozu. Rumaki powodowane przez zręcznego stangreta szły z wolna, w płasach i potrajały okazałość ekwipażu. Jarzynski z niedbałością rozparł się w siedzeniu i rozmawiał z Rafałem, który mimo woli bokiem się do niego usadowił. Wówczas przybysz spostrzegł całą wykwinność stroju kolegi. Jarzynski, pomimo jesienno chłodu, miał na sobie długopóły frak ciemnozielonego koloru z czarnym kołnierzem, złożonymi guzikami i żółtą podszewką, spodnie papuzie, kamizelkę koloru słomy, pluszowy cylinder i lśniące buty z żółtymi sztylpami. Nie był to już lekkomyślny mlókos, chyłkiem wymykający się spod wzroku opiekunów, lecz wykwinny, zimny i pewny siebie panek. Utył i zmężniał, aczkolwiek był wydelikacyony jak kobieta. Jego czoło, białe jak alabaster, odbijało od rdzawej twarzy, nasyczonej żywą barwą krwi. Twarz ta, spojrzenie oczu, uśmiech i ruchy, wszystko oznaczało siłę, równowagę, spokój.

— Powiedz no mi — cedził nie spiesząc się — gdzie ty mieszkasz? W jakimś tanim zajeździe, co? Przyznaj się... Ja nikomu nie powiem. W jakimś zajeździe, którego dobra opinia grasuje wciąż między Koprzywnicą a Zawichostem od czasów Wielkiego Sejmu? co?

— Nie, ja mieszkam u księcia Gintuła.
 — Gintuła! — zdziwił się Jarzyski tak bardzo i głęboko, że aż wyprostowany usiadł.
 — Tam, w tym pałacu pustym jak trupiarnia?
 — A tak.
 — A skądże, przepraszam, taka konfidencja?
 — Ja dawno już znam tego Gintuła.
 — Prawda, prawda! teraz przypominam sobie, żeś to ty jego poniekąd wychowanek.
 Bo tu, uważasz, nikt z nim nie ma szczęścia... Za wysokie progi, a jakże!
 — No, ja jestem u niego sekretarzem.
 — Sekre!... A niechże cię!
 — Cóż ci to?
 — No, nic nie szkodzi. Jakoś to będzie...
 — Nie rozumiem, co mówisz.
 — E, nic! A cóż ten Gintuł tak u licha sekretnie pisze, że aż ty musisz mu pomagać?
 Przecie urzędu żadnego nikt teraz nie piastuje, więc co za aparence?
 Rafał przypomniał sobie nakaz księżęcy i odrzekł:
 — Nie wiem, bo jakem ci wspomniał, od wczorajszego dnia tu dopiero jestem.
 — Opowiadają o nim duby smalone. To jakiś dziwak i nudziarz. Nie należy do towarzystwa, a nawet do żadnego z tutejszych towarzystw ani stronnictw. Siedzi sam w domu, a jeżeli się gdzie zjawić raczy, to tyle zawsze pokaże ludziom efronterii i wyniosłości, że każdy gorętszy kipi. Toteż tu młodzież ostrzy sobie na niego pazury.
 — Zmiłuj się!... o co?
 — No, o co! Wariat jakiś jest, sensat, nudziarz, powiedziałem ci. Chodzi jak paw, nie poznaje najtęższych ludzi.
 Po chwili dodał:
 — Był niby we Francji, był, podobno, we Włoszech, jeździł do Egiptu, tłukł się po Arabiach i Azjach i stamtąd przywiózł te jakieś farmazońskie banialuki, którymi się tak rozpiera. To o nim rozprowadają świadomi rzeczy. Ja draba nie znam, co może jest i lepiej, bobym z miejsca zekpał.
 — Powiedźże mi: a ty co tu porabiasz? jak czas spędzasz?
 — Ja, kochanku... Ja mieszkam tutaj, w Warszawie.
 — A w Nieporęćcach któż gospodaruje?
 Jarzyski uśmiechnął się smętnie i dmuchnął w palce.
 — Jak to?
 — Nie ma, braciszku! Poszły Nieporęćce.
 — Bój się Boga!
 — A no...
 — Cóż ty mówisz... Taki majątek!
 — Prawdę mówię.
 — No, a jednakowoż stać cię na taki ekwipaż.
 — A widzisz.
 — Jakże sobie dajesz radę?
 — Ekwipaż mam i dom prowadzę. Żyje się w świecie, moje dziecko sandomierskie. Wiesz co?... szkoda, że ty jesteś tym jakimś tam sekretarzem. To tak głupio brzmi, że aż abominacja bierze. Ale to się odrobi, będę w tym.
 Powóz wjechał w obszerny dziedziniec i zatrzymał się przed lustrzanymi drzwiami parterowego domu. Wybiegł służący w liberii i pomógł panom wysiąść. Za chwilę znalazł się Rafał w mieszkaniu dość obszernym, a urządzonym w sposób nieco dziwny. Obok mebli wykwintnych stały tam graty najpospolitsze. Nie były to salony mieszkalnego domu, lecz męskie, kawalerskie pokoje. Niektóre z nich były brudne jak numery zajazdu. Dopiero z kilku ostatnich, które wychodziły na puste place, słychać było zgiełk rozmów czy swarów.
 Jarzyski ujął Rafała pod rękę i prowadził tam właśnie. Po drodze stały ogromne fajczarnie, tu i owdzie porozrzucane przybory do czarnej kawy, tace i butelki. Dym tytoniowy gęstymi zwojami wałęsał się po kątach. W ostatnim, najobszerniejszym salonie były porozstawiane stoły do kart, i kilkunastu młodych mężczyzn grało tam, widać, od bardzo dawna. Kupy dukatów leżały przed nimi. Jedni z graczy byli wybladli po nocy

niespanej, inni porozbierani do koszul. Były wpośród nich twarze piękne i ohydne, ale przeważnie piękne, wykwintne, młodociane. Na Jarzymskiego i Rafała nie zwracano prawie uwagi. Ten i ów witał się z wchodzącym przez ramię i półgębkiem rzucał pierwszy lepszy frazes. Twarze to były zimne i pozornie obojętne, niektóre jakby znudzone, ale wszystkie oczy gorzały od szatańskiego ognia, którym, według chłopskiej legendy, przepalają się złote pieniądze zakopane w ziemi. Trwało milczenie. Niekiedy tylko przerwał je głos tego lub owego gracza:

— *Va banque!*

Rafał był onieśmielony, a zarazem wstrząśnięty do gruntu. Coś go ścisnęło za gardło. Tak już dawno nie grał, a podobnych gór złota nie widział w życiu. Dym wyborowych tytoniów przenikał go na wskroś i otumaniał mu głowę. Jarzymski posadził go na krześle w bliskości ciągnących bank, a sam znikł w przyległych pokojach. Przez czas pewien Rafał czuł się bardzo onieśmielonym, ale z wolna oswoił się z sytuacją, tym snadniej że nikt nań uwagi nie zwracał. On za to z pilnością przyglądał się twarzom, jednej po drugiej. W pewnej chwili Jarzymski wrócił. Przysiadł się do Rafała i oparł się o niego ramieniem o ramię, jak to miał zwyczaj czynić, gdy obok siebie wysiadali godzinami na szkolnych ławach. Teraz to namacalne uprzytomnienie szkolnej zażyłości było dla Rafała szczególnie przyjemne. Po jakimś czasie Jarzymek nachylił się i zapytał szepcząc, zupełnie jakby byli na lekcji starego *Nempe*:

— Chciałbyś zagrać, stary?

— Nie, nie! — odpowiedział mu szepem socjusz — dopiero przyjechałem... A zresztą... ja nie mogę grać tak hazardownie.

— Jakby się też stary cześnik dowiedział, Jezu Chryste, Panie miły!

— Ale nie o to, tylko...

— Tylko o co?

— To magnacka gra!

— Moje dziecko... — uśmiechnął się Jarzymski — nie wchodzilibyśmy też do gry tych ichmościów. Ja sam przecie nie przysiadam się do nich. Masz najzupełniejszą słuszność. To są grube sumy. Każdy należący do motii musi przynieść spory worek. Gdybyś chciał, zagralibyśmy sobie po staremu, w wiścika, jak to na Kleparzu bywało, pamiętasz?

— No, w wista... Choć ja tyle już lat nie grałem...

— Ale gra została ci w głowie, tego nie skłamiesz.

— Gra mi nie obca, to prawda.

— A więc widzisz...

Jarzymski wyszedł, kazał przewietrzyć sąsiedni pokój i rozstawić tam stoliki. Zarazem poszeptal protekcyjnie z młodzieńcami, którzy równie jak Rafał przypatrywali się grze ogólnej. Zapoznał ich z Rafałem. Byli to Litwini, synowie obywatelscy, przecierający się w Warszawie. Zasiadli we czterech do stolika i gdy dano kartę, Rafał, zaczerwieniony po same uszy, odezwał się: po czemu grają? Jarzymski rzekł z niedbałością:

— Jak tu zwykle — po dusiu, a zakłady po trzy na partie.

Rafał miał przy sobie kilkanaście dukatów, które mu z rozkazu księcia wręczył kamerdyner jako ratę przyszłej pensji sekretarskiej. Wstyd nie pozwalał wstać od stolika, a zimne poty były na czoło, gdy myślał o straszliwej cenie kart.

Jarzymski nachylił się i szepnął mu do ucha:

— Nie turbuj się o pieniądze. Płacę za ciebie.

Po chwili znowu mu szepnął:

— Graj śmiało.

Ale Rafał i bez zachęty odzyskiwał już spokój i pewność siebie. Z samego procesu gry wiało na niego dawno, dawno zapomniane upojenie. Jakoby dźwięki muzyczne, przypominające ubiegłą młodość i związane z nią szczęście, działał ten wist. Machinalnie rzucając, biorąc, tasując karty, przebiegał marzeniem, które o bycie swym nic zgoła nie wie, rozległe chwile ubiegłych zdarzeń. Uczucia, pogrzebane w ziemi, dźwigały się ze swoich łożysk i grunt drżał wokół. Dziwnym kaprysem losu szalenie szła mu karta. Nie zastanawiał się ani sekundy nad żadną kombinacją, nie wiedział nic o tym, co robi, a wykonywał wszystko przepysalnie, jakby za dyktandem szatana.

Litwinkowie grali wciąż obojętnie, ale twarze ich były coraz bardziej sztywne i oczy coraz silniej przymglone. Jarzymski śmiał się niekiedy, niedbale gwarzył o Sandomiersz-

czyźnie, o szlachcie spod Koprzywnicy... Kiedy niekiedy oczy jego wpijały się jak szpony w rękę i twarz Rafała, pragnąc wysledzić i chwycić w lot tajemnicę tak dziwnego szczęścia. Po chwili jednak te jastrzębie spojrzenia ginęły w dobrotliwie filisterskich uśmiechach. Wszystkie te okoliczności budziły w szczęśliwym graczu tylko mętną radość. Był tak pewny swego szczęścia, że gotów był stawiać jak największe sumy z najzupełniejszą pewnością, że je w trójnasób odbierze. Nie chciało mu się tylko zaczynać takiej sprawy.

Mrok zapadał. Wniesiono świece i Rafał wówczas dopiero spostrzegł, że cały prawie dzień spędza przy stoliku. Właśnie przerwano grę. Z dziesięciu robrów wygrał siedem większych i zakłady, co mu dało w zysku około setki dukatów. Gdy od niechcenia zgarniał do kieszeni ów stosik złota, Jarzyski odciągnął go na bok i z przyjaznym uśmiechem mówił:

— Cóż, Rafałku?... weselej tu żyć można niż pod opieką staruszków.

— No, pewnie.

Rafał uśmiechnął się bezmyślnie.

— Teraz powinieneś stanowczo wejść w koło towarzyskie. Będę w tym, żeby ci pomóc. Nie bardzo tylko rozgłaszaj o tym sekretarstwie u Gintuła...

— Ale ba!...

— Dajże pokój. Już ja to urządzę. Przede wszystkim musisz się po ludzku przebrać. Dziś mamy jechać do klubu i na teatr. Mógłbyś z nami... ale w tych szatach nie sposób. Wiesz co, włoż dziś moje suknie, jak to dawniej bywało. Jesteśmy jednego wzrostu.

Rafał przystał i poszedł za gospodarzem do garderoby. Wypłynął stamtąd ubrany czarno we frak i pończochy, z modną chustką na szyi. Karciarze rozjeżdżali się i wkrótce Rafał został sam z Jarzyskim. Przechadzali się po zadymionych pokojach, rozmawiając, dopóki nie założono koni do karety. Wkrótce mała, wygodna karetka niosła ich do perukarza, a stamtąd, wyświeżonych i uczesanych według ostatniego wzoru — do klubu. Rafał, wyczuwając na łądźwi ucisk ciężkiej kupy złota leżącego w kieszeni, był tak pewny siebie, jakby do owego klubu jeździł codziennie w ciągu lat. Uczucie owej pewności upodobniło się do uczuć Jarzyskiego i przemocą wdarło się na wyżynę. Rafał istotnie znał wszystkie sprawy, które dopiero miał poznać, rozumiał okoliczności, o których istnieniu dopiero miał się dowiedzieć.

Śmiało, z elegancją i wyniosłością przeszedł między szeregiem lokajów zginających grzbiety, roztwierających drzwi, i znalazł się w salach rześście oświetlonych. Stary pałac, przez sprytnego kamerdynera-dorobkiewicza zamieniony na klub tak zwany angielski, nosił jeszcze dawną, Stanisławowską cechę. Te same jeszcze zostały ściany, obicia, gzymсы, odrzwia, stare portrety i meble, tu i ówdzie wkradł się jakiś haniebnie rażący, iście szelmowski przybysz, jakiś kredens sosnowy ledwie powleczonej siarczystą ochrą, jakiś stół rozsuwany, jakaś szafa-kulfony z kieliszkami. Meble były zniszczone, obłamane, pokryte brudem.

W każdej z tych sal było jeśli nie pełno, to hałaśliwie nad wyraz. Goście klubowi, podzieleni na grupy, zasiadali przy stołach i stolikach, gwarno ucztując. W kilku miejscach ów gwar zamieniał się na zwadę i hałas, ale najbardziej wrzaskliwie było za drzwiami, do których właśnie zmierzał Jarzyski. U samych prawie podwojów nasunął się buńczucznie idącym przed oczy człowieczyzna w haftowanym fraku, z głową upudrowaną i czerwonym nosem. Klaniał się do samej ziemi, nie spuszczać z Rafała oka badawczego w sposób napastniczy.

— *Blacha* ucztuje... — mówił z boleścią, przyciskając dłonie do piersi.

— Mój przyjaciel. Ja prowadzę. Słyszysz, Kaczorosiu?

— Słyszę, ach, słyszę! Przecie nie mogę... Tu tyle saloników, dam cudowny gabinet hrabianki Rozalii, perlę...

— Idźże, Kaczorosiu, ode drzwi, żebym cię snadź nie skaleczył — prosił go rzewnie Jarzyski.

— Boję się! Wyznaję to ze skruczą. Na miły Bóg, boję się! Rotmistrz mię przestrzeli na wylot zatrutą kulą.

— Dawno ci się to, kochanku, należy za zmarnowanie tak pięknego pałacu. Słyszysz chyba przecie, co do ciebie mówię. Ja prowadzę!

Gospodarz klubu wznosił oczy w kierunku szerniałego sufitu, jakby wzywał Boga na świadka swej niewinności, i usunął się. Jarzyski otwarł drzwi z hałasem i wszedł pierwszy, prowadząc Rafała pod ramię.

Niewielka owalna sala, na której progu stanęli, była pełna gości. Szeroko rozsunięty stół zajmował jej środek. Stosy butelek, kosze z owocami, dzbany, piramidy cukrów, poprzewracane olbrzymie bukiety jesiennych kwiatów piętrzyły się na tym stole, dokoła którego siedzieli i stali towarzysze zabaw księcia Pepi. Wszyscy ostrzyżeni byli *à la Titus* albo *à la Caracalla*. Większość była w towarzyskim kostiumie. Ci ludzie dobrego wychowania, dziedzice wielkich dostatków, spadkobiercy historycznych imion, śpiewali i krzyczeli jak opętani. Skoro tylko drzwi się otwarły, barczysty węż olbrzymiego wzrostu przywitał wchodzących tubalnym okrzykiem:

— Kto śmie?

A po chwili, ujrawszy Jarzyskiego, miotał weń krzykliwe słowa:

— Z kim tu wchodzisz, starosto przemyski?

— Z przyjacielem, mości odźwierny! — odparował Jarzyski równie wrzaskliwie i prezentował Rafała wszystkim:

— Kolega mój i najbliższy przyjaciel, Olbromski, dziedzic z Sandomierskiego.

— Z Sandomierskiego... — mruknął węż.

— Prosimy... — ozwał się jeden głos w tłumie.

Rafał wiódł po zgromadzeniu ogniste oko, jak gdyby szukał, kogo ma chwycić za gardło, i dopiero po chwili z lekka skłonił się wszystkim. Krzyki na chwilę umilkły. Ktoś niezręcznie zakaszłał, inny usunął się z krzesłem. Znalazły się dwa miejsca przy stole.

— Mówimy tu — wołał do Jarzyskiego przez stół ów węż, którego zwano rotmistrzem — o Stasiu Woysiatyczu, co to pragnął wejść do najpierwszego towarzystwa, przybywszy wprost spod Kobrynia...

— A trafił na zebranie niby masonów... — przerwał mu młody blondynek mielący już językiem — a te farmazony zaczęły go wodzić po piwnicach... Kazali mu — che che — dotykać z nabożeństwem głów kapuścianych i wymawiać przy tym jakieś głupie słowa, zanurzać ręce po łokcie w garnkach kwaśnego mleka i rysować końcem palca krzyże na polciach słoniny. Trzymajcie mię!... umrę ze śmiechu...

— Ty go musisz znać, Jarzyski, tego tam Woysiatycza, bo ty znasz przecie wszystkich bez wyjątku.

— A ty, rotmistrzu, coś się nie wstydzisz z tyłimi wąsami służyć pod Zajączkiem, znasz tylko bogatych.

— Masz słuszność. Ja nie ze wszystkimi zabierać zwykłem... Mam, uważasz, krótką z przyrodzenia pamięć co do hołoty.

— Osobliwie, gdy przyjdzie długi oddawać.

— Karciane, arystokrato — wołał rotmistrz coraz głośniejszą wśród powszechnego hałasu — zaciągnięte w twoim *atelier*...

— Dowiedziałem się, że *atelier* Jarzyskiego mieści się nie tam w prywatnym mieszkaniu, lecz zgoła gdzie indziej — z cicha wycedził wysmukły, wytworny w każdym ruchu młody mężczyzna, ślicznie odziany i szeleszczący jedwabiem.

— Ba, to rzecz wiadoma! — prawil rotmistrz — rzecz wiadoma, że ma dwa, ale mówię o karcianym.

Jarzyski z lekka poczerwieniał i niedbale strzepywał pył z kłapy fraka.

— Słuchaj no, Szpilka, za wiele gadasz... — rzekł do owego modnisa o szyderczej twarzy.

— Za wiele? Żartujesz!... Jestem powściągliwy jak ksiądz Baudouin. Jeżeli mówię, że baronowa...

— Szczęśliwy! — zaryczał rotmistrz — stokroć szczęśliwy! Baronowa drze starego kasztelana, a on...

W owej chwili Jarzyski nagłym ruchem ręki porwał wielki, obmokły bukiet ze stołu. Ktoś z boku siedzący chwycił w lot jego rękę i przydusił ją do serwety. Całe towarzystwo nie przestawało chichotać. Rotmistrz ocierał spoconą twarz i z wolna mówił:

— Staniesz mi jutro przy szopie i odpowiesz za ten bukiet, któryś ruszył.

— Uszy ci obetnę, stary tchórz!

— Dobrze zrobisz. Nie będę przynajmniej nic już słyszał o tobie, twoich koniach i twojej baronowej. A teraz dosyć! Wołać Kaczora...

— Kaczor! — krzyczano.

We drzwiach pokazał się upudrowany czerep gospodarza.

— Wina tu przynoś, zbogacony lokaju! Spasłeś się, gruby jesteś jak słownik Forceliniego, śpisz sam na hetmańskim łożu i o panach swych zapominasz! — wołano.

Wnet ukazały się nowe kosze. Brodem znowu popłynęło wino szampańskie, biały burgund, stare węgierskie.

Ktoś śpiewał:

*Je ne trouve rien de charmant
Comme les belles;
Je ne pourrais un seul moment
Vivre sans elles,
Mais sans jamais trop m'engager
Je les courtise...*

Ktoś inny pijanym dyszkantem kończył:

*Toujours aimer, souvent changer —
C'est ma devise...*

— Jarzyski, to się do ciebie nie stosuje... — drwił z kąta zezowaty młokos — ty jesteś stały.

— Słyszałem od wiarogodnych matron... — gadał rotmistrz niby to do przyjaciela zwanego „Szpicem”, ale tak, że wszyscy słyszeli — na pewno... karmi go łyżeczką. Daje mu trzy razy dziennie tokaj zgęstniały. I tylko dlatego...

— Ale też i oszczędza na tym, bo on jej znowu służy i za karneciarkę, i za pucmacherkę... — szeptał Szpic.

— Mylicie się! — wołał zezowaty. — Nie stąd on czerpie głównie swoje zyski. Co to dla niego! Życie tak wystawne wymaga sum niemałych. Ja nie chcę rozgłaszać, ale mam wiadomości. To człowiek pracy, zasługi, obowiązku. Ma ukryty browar, tylko jeszcze nie wiem gdzie, na Kłopockiem, czy gdzieś w okolicy Wareckiego. Wyrabia szlacheckie piwo, jako że i sam jest szlachcic z prapradziada. Rankiem, kiedy my wszyscy bezbożnie śpimy, rozwozi je po Żydach, przebrany za fornała. Tak ten człowiek pracuje!

— Zamilcz! zamilcz... — wołano.

— Czemu go drażnicie?

— Bo chcę i mogę... — zaperzył się Szpic.

— Takeście już zgąlganieli — zaczął ryczeć rotmistrz — że chcecie wybić ostatnią źrenicę wolności klubowej, wyrwać wolne słowo z gardła! Przenigdy! Trupem się tu uwalę, a będę gadał, co mi się podoba!

— Dajcież mu się wygadać... — rzekł Jarzyski.

— Będę gadał, i to wciąż o tobie. Wiem, a przynajmniej słyszałem, że w Borchowskim ogródku na Miodowej ułatwiałeś...

— Chce mię nie tylko jutro przy szopie zgładzić swoją straszną szpadą, wslawioną w dwunastu ucieczkach z placu boju — drwił Jarzyski — ale jeszcze zdyszonorować przed śmiercią dla uniknięcia spłaty długu.

— Mylisz się. Będę tańczył na twoim grobie, to prawda, ale ci wystawię pomnik ze stosownym napisem w języku łacińskim. Wyliczę wierszem jambicznym twe zasługi.

— Tego nie rób, bo i w krótkim wierszu nie wytrzymasz, żeby nie zełgać.

— Zauważyłem — przekrzyczał innych zezowaty wyłażąc ze swego kąta — że Benedykt dąży do *absolutum dominium*.

— Nikt nie zauważył tego — odparł nazwany Benedyktem — prócz ciebie, bo ty masz wprawę. Nie rozumiem tylko, czemu się teraz martwisz tym, z czego niedawno radowałeś się tak głośno.

— Cóż znowu ci plotą?

— Przypominam tu bladookiemu, że jest mieszczaninem, należy do stanu trzeciego, nie do nas, którzy tyle win dźwigamy na frakach i fryzurach.

— Dowiedz mu tej hańby, bo inaczej skażemy cię na zapłacenie całej kolacji.

— Przecie to oczywiste. Jużem był wówczas wyszedł z kołyski na szerszy horyzont, a nawet stawiałem pierwsze *pas* na niełatwej wcale posadzce umizgów, gdy obecny tutaj bladooki zapisywał się na ratuszu warszawskim w poczet mieszczan, do cechu cnotliwych szewców czy nawet do grona arcywymownych krawców.

— Kłamiesz! — zawołał zezowaty.

— Pójdziemy na ratusz i sprawdzimy!

— Walmy na ratusz!

— Każemy Koehlerowi pokazać ten dokument.

— Więc jakże? — krzyczał mówca — jeżeli znajdziemy tam jego podpis z odpowiednio patriotycznym zakrętasem, co wtedy? Gdzie sprawiedliwość?

— Wrzucimy go do otchłani białoskórników, zjednoczonych z szewcami.

— Kazali mu zanurzać ręce po same łokcie w słojach z kiszonymi ogórkami i wymawiać po trzykroć: *Mak be nak!* — bełkotał blondyn siedzący obok Rafała.

Patrzył mu w twarz zupełnie zamglonymi oczyma i czepiał się rękoma ramienia. Jarzyski, bynajmniej niezmięszany mnóstwem zaczepek rotmistrza i innych, dbał o Rafała z pilnością. Nalewał mu z grubej butli burgunda, podsuwał talerz i potrawy. Rafał pił chętnie, byleby nie siedzieć z beczynną niezgrabnością, którą (czuł to dobrze) wszyscy widzieli. Wino dodało mu odwagi i wesela. Coraz bezczelniej i niedbalej wlepił oczy w twarze siedzących, wsłuchiwał się w rozmowy, a raczej w kłótnie wrzaskliwe, w opowieści i grube anegdoty. Francuzi emigranci prym trzymali w tym względzie, choć i krajowcy dotrzymywali im kroku.

Po drugiej stronie stołu rozwalil się był i siedział z łokciami daleko na stół wysuniętymi człowiek lat czterdziestu z górą, o twarzy czerwonej i surowych oczach. Rozpiął koszulę, rozluźnił chustkę i głośno sapał. Oczy miał wlepione w Rafała.

Rzekł do niego:

— A waszmość z jakich Olbromskich, jeśli łaska?...

— Słyszałeś, że z Sandomierszczyzny — burknął Jarzyski przerywając rozmowę z kim innym.

— Ciebie się pytają, filozofie? Z Sandomierskiego? Jeśli z Sandomierskiego i Olbromski, to powinien być bratem czy krewniakiem Piotra...

— Brat jestem.

— A no! Gdzież on teraz siedzi, ten mizantrop?

— Umarł kilka lat temu.

— Umarł... — rzekł tamten ze spokojem, jakby się dowiadywał, że brat Rafałów inny folwark wziął w dzierzawę. — Szkoda chłopca, oficer był co się zowie, z instrukcją, choć pedant i kaznodzieja. Stał w mojej okolicy. Żyliśmy. *Febris* go trzęsła z indygnacji, kiedyśmy, młodzież okoliczna, sprowadzała sobie guziki modne do fraków, szlaczki do kamizelek, sprzączki do trzewików, paryskie trzewiki i worki do włosów od Carpentiera, kiedyśmy o tym gadali, sprzecali się, dysputy wiedli. Bywał u mnie w Oleśnicy, kiedy to pod Połańcem leżeli.

— W Oleśnicy! — żywo zawołał Olbromski.

Jedno z najpiękniejszych wspomnień żywota, noc słowicza z precudownymi gwiazdami, jakich już nigdy potem oczyma nie widział, przemknęło w lotnym widzeniu.

— No, w Oleśnicy, w moim gnieździe. Znasz może waszmość to miejsce?

— Tak. Jeździłem tamtędy do brata pod Małogoszcz.

— A toś sobie wasze twardą drogę wybrał... Ze Staszowa na Brody, co?

— A właśnie! Wielkie tam stawy, trzciny, dalekie łąki.

— A stawy piękne, to prawda. Knieja tam teraz, bracie, otworem staje... Psy skomlą! Tylko patrzeć, rychło pierwszy przymrozek pobiele suche liście...

Podniósł się, wyciągnął rękę i patrząc w Rafała swymi ciężkimi oczyma, mówił:

— Skoroś waść dobrze o Brodach wspomniał, a Oleśnicę znasz, z mojej strony jesteś, a nadto brat dawnego towarzysza, toś sam towarzysz i brat. Piję w twe ręce, bracie... jak ci na imię?

— Rafał.

— W twoje ręce, Rafał! Nasamprzód za tamtego, za Piotra. Niech sobie odpoczywa w pokoju wiecznym!

— Niech odpoczywa w pokoju wiecznym... — rzekł Rafał rozrzewniony, wychylając wielki kielich do ostatniej kropelki.

— *Iterum*, bracie!

— *Iterum atque iterum!*

— To nie był łotr, pies i zawalidroga taki jak ja i ty. Boś i ty łotr, pies i zawalidroga, skoro siedzisz między tymi urwipółciami i żłopiesz wińsko, zamiast psiarnię puszczać. Ty myślisz, że ci psy nie zależą pola, że ty godnego psa możesz latami trzymać w zamknięciu. Bajki!

Rafał kiwał dobroduszenie głową i przez lzy patrzył w twarz mówcy.

— Tamten to był statysta, mądrała. Cho-cho! Jak nam nieraz zaczął *de publicis* bajać, to my się mało nie pobeczeli. Choć co do szermierki, to nie. Nigdy się z nim, dziękować Bogu, nie składał ze zwady i w kolerze, ale też zimnym okiem snadniej widział. Poszatkowałbym go na kapustę, gdyby do rzeczy przyszło, bo ręki, powiem ci otwarcie, nie miał...

Rafał pomyślał sobie, że pewnie dlatego nieboszczyk brat wybrał pistolety po sprzeczce z Gintułtem. Zląkł się walki na szpady. Ze strachu umarł... Niemiłe rozczarowanie co do brata, obrzydliwe rozstrzygnięcie zagadki przewinięło się w jego sercu. Uderzył w kielichy i pił tego, żeby z siebie wygnąć zmorę wspomnienia. Wnet zaczął mu imponować nowy przyjaciel. Pragnął rzucić mu się w objęcia, czymkolwiek wyrazić swoje uczucie. W pewnej chwili wstał i zawołał na cały głos, uroczysto wznosząc szkło do góry:

— Wnoszę ten toast na cześć psiarni w Oleśnicy!

— A ten co znowu? — wołano.

— Słyszeliście!

— Kto to jest?

— Dojeżdżacz Kalinowskiego...

— Ja wnoszę ten toast — wołał zezowaty naśladując do złudzenia drżący nieco głos Rafała — nie tylko na cześć psiarni w Oleśnicy, lecz i na cześć kurnika w Pacanowie!

Głosy te ginęły w nadzwyczajnej wrzawie. Rafał ze ściśniętymi pięściami zaczął się przedzierać do zezującego prześmiewcy, ale nie mógł roztrącić zbitego tłumu. Dwaj przeciwnicy rzucali się tutaj na siebie z krzykiem:

— Twoje dobra na Litwie! Kłamco, drżyj! Wiadomo przecie, żeś się dorobił jako hecmajster na Brackiej ulicy.

— Cha cha cha — ryczał tłum zgromadzony. — To cię zajechał. Tej plamy nawet Caren z ciebie nie wywabi.

W całej sali nie było już ogólnej rozmowy ani rozmowy w ogóle. Przekrwione oczy ledwo widziały. Jedni ściskali się z niezmierną serdecznością, inni patrzyli na się wzajem spođe łba.

Przez rozwarte okna wiał przejmujący chłód jesienny.

Rotmistrz przekrzyczał wszystkich:

— Czy tu myślicie do rana siedzieć? Teatr!

— Prawda — wołano — teatr! Teatr się zaczął. Co żywo! Zbierajcie się. Kończcie!

Jak na zawołanie, okrągły gospodarz zjawił się we drzwiach. Nisko schylił wypudrowaną głowę... Wymienił jakąś sumę, a wnet ten i ów zaczął rzucać na stół dukaty obrączkowe. Gospodarz zgarniał je z rzewnym uśmiechem, schylając kark i przymrużając oczy w taki sposób, jakby tylko-tylko oczekiwał ciosu katowskiego topora. Zjawili się lokaje podający kapelusze, laski, płaszczki, okrywki. Cała banda z hałasem minęła salony klubu i wypadła na ulicę. Mżył drobny, zimny deszczyk. Ciemności niezgłębione panowały naokół. Nigdzie nie było widać ani fiaków, ani przewodnika z latarnią, więc całe towarzystwo głośno hałasując ruszyło środkiem ulicy, po błocie. Jarzyski chwycił Rafała pod rękę i pociągnął go naprzód:

— Idziemy na teatr...

— Teatr... Czy to tego Bogusławskiego?

— Co pleciesz?!

— A przecież go wszyscy chwalą, co widzieli...

— U was na wsi?

Teatr, Zabawa, Bijatyka,
Szlachcic, Warszawa

— A no...

— Wiedźże o tym, że tamto jest buda, o której się nawet nie mówi. Dobre to sobie jest dla stangretów, lokajstwa, łyków i wszelkiej gawiedzi z miasta. Nigdy się z tym nie odzywaj, że chcesz to widzieć, bo byś się finalnie skompromitował. No i mnie przy tej okazji. Idziemy na *théâtre de société*, do Radziwiłłowskiego pałacu...

— Ależ dobrze! Nie wiem o niczym...

— Trzeba, żebyś wiedział, skoro jesteś między ludźmi należącymi do socjety. I tam chodzi wprawdzie banda Sołtykowska i Sapieżyńska dla pokazania na złość nam swej polakierii, ale główny kontyngens widzów — to motłoch. Uważasz?

— Jeszcze jak!

Wlekli się środkiem ulicy, skręcali za drugimi z zaułka w zaułek, utykając w dołach i kałużach. Idący przodem śpiewali jakąś pieśń awanturniczą. Rafał, już w klubie zamroczony, na powietrzu tracił coraz więcej władzę w nogach i rękach. Gdyby nie Jarzyski, runąłby był w pierwszą lepszą kałużę. Długo nie wiedział wcale, gdzie jest. Dopiero wprowadzony na schody wiodące do sali teatralnej — przyszedł nieco do siebie.

Banda tłoczyła się przy drzwiach zamkniętych, usiłując wejść, chociaż już pierwsza komedijka Dorata pt. *La feinte par amour* miała się ku końcowi. Kiedy Rafał za innymi wtoczył się do sali, spostrzegł, że była pełna po brzegi. Znalazłszy się na parterze, w sąsiedztwie łóż zajętych przez damy, towarzysze wyprawy przycichli i uspokoili się. Wejście ich zwróciło uwagę wszystkich. Spostrzeżono wyrazy ich twarzy i we wszystkich łóżach poczęto szeptać. Rotmistrz zauważył to i mówił swym basowym szeptem:

— Widzą nas nawskroś. Jesteśmy śmieszni.

— Wychodźmy, jak tylko sztuka się skończy.

— Wychodźmy!

— Duszno...

— Anizetka — szeptał rotmistrz — podaję myśl: chodźmy *in corpore* do budy Bogusławskiego. Tam także dziś pokazują. Można będzie zabawić się.

— Dobra myśl!

— Wychodźmy!

— Dalej w drogę!

Wkrótce, skoro tylko zasłona spadła, całe gremium wysunęło się chyłkiem. Większość miała tu oczekujące przed teatrem powozy, karykle i lokajów ze światłem, ruszono tedy na plac Krasieńskich gwarno i z pieśniami. Jarzyski jechał w powozie z Rafałem i kimś jeszcze, kogo zwano Bursztyńkiem. Ów towarzysz wyprawy ciągle coś gwarzył zanosząc się od śmiechu.

— Cóż oni tam będą odstawiali? Jarzymek, ty wiesz pewno?

— Jakiego prawdopodobnie *Cyda* albo *Hamleta*. Kto ich tam wie? Może jaką niemiecko-czułą operę, jaki *Flet zaczarowany*...

— Piękne, ach, dekoracje „pędzla” pana Smuglewicza i wycie tych oberwańców w języku przodków... Cóż my tam będziemy robili?

— Zobacz się. Jest bufet.

— No bufet... Ale ja nie jestem spragniony ich lokajskiego piwa... Przepraszam, może tam sprzedają piwo szlacheckie?...

— Wyrzucę cię z powozu!

— Wobec tego...

— Siedź spokojnie i czekaj!

— Podejrzewam cię od dawna, że jesteś owładnięty przez wulkaniczne ognie patriotyzmu *d'antichambre* i dlatego mię tam wiesz w chwili, kiedy otoczony jestem przez mdłości.

— Mogę cię, powtarzam, zaraz wyrzucić, jeśli ci o to idzie.

— A, przepraszam! Nie masz po temu prawa, skoro w perspektywie jest bufet.

Za chwilę wszyscy znaleźli się w ciemnych, lojowych świeczkami nędznie rozwidlonych przejściach i sionkach teatru. Z hałasem i wrzaskami kazali sobie sprowadzić aktora sprzedającego bilety, który już był kasę zamknął, i rozmawiając na głos weszli do sali. Było tam pełno, tylko publiczność była zupełnie inna. Grano tragedię Racine'a pt. *Brytannik*. Ponure gadanie wierszem rymowanym rozlegało się ze sceny słabo rozwidnionej

świeczkami.

— To jest ogromnie wzruszające, mości panowie, nieprawdaż? — mówił głośno do kolegów rotmistrz, ledwie wszedł na salę i nim spojrzął na scenę.

— Jesteśmy poruszeni do głębi żołądków...

— Mnie wątroba wyskoczyła z klubów i chodzi samopas.

— Rozepchnijcie, jeśli łaska, tych rodaków z Podwała i Krzywego Koła! — wołał Anizetka. — Nie po to przyszedłem do tej otchłani z zapłaconym biletem, żeby mieli sposobność deptania po moich wypielegnowanych nagniotkach.

— Żądaj natychmiastowego zadośćuczynienia od tej chudej aktorki, która do reszty zgłupiała ujrawszy boleść wyrytą na twym obliczu.

— Wielki Boże! widzę mego fagasa. Ogromne uczucia miotają jego piersią, gdy słucha tych pięknych banialuków... A jednak tytoń kradnie mi wciąż tak samo, nie bacząc na doznaną podniosłość wrażeń.

— Gdzież jest bufet zapowiedziany w programie widowiska? — wołał towarzysz, który przyjechał w karetce Jarzymskiego.

— Bufet jest w izbie sąsiedniej! — głośno odezwał się jakiś mężczyzna siedzący w łoży parterowej.

— Dziękujemy za tak dramatyczną wskazówkę nieznanemu przyjacielowi naszej niedoli... — mówił impertynencko rotmistrz w kierunku owej łoży.

Rozepchnął tłum, który w milczeniu przysłuchiwał się awanturze, i szedł w stronę bufetu. Większość towarzyszków udała się za nim, niektórzy zostali na środku parteru. Rafał znalazł się w bufecie i znowu pił dużo. Słabo wiedział, że czegoś krzyczano, a sam miał przed oczyma to salę widzów, to znowu przekąski i flaszki, rozłożone na stole bufetowym. Rzucił na ten stół dukaty wygarnięte z kieszeni, leżał w czyichś ramionach... Kłuły go po twarzy ogolone brody, muskały wąsy, świeciły się przed nim roziskrzzone oczy i przyjazne głosy mówiły mu jakieś zdania, na które zgadzał się bez zastrzeżeń.

Przez pustą już salę teatru, którą oświetlała samotna świeczka w latarni, późno w noc wyszedł w towarzystwie innych osób, z płonąca głową. Włókł się po błocie ulicznym, hałasując tak samo jak inni. O jakiejś porze zobaczył przed sobą w grubej ciemności dwie latarnie nadjeżdżającego powozu. Furman krzychał ordynarnie z kozła, żeby się z drogi usuwać. W tej samej chwili Rafał ujrzał w świetle prawej latarni eleganckie żółte sztylpy i buty unurzane w błocie, a stojące na szprychach koła. Gruby pomruk rotmistrza rozległ się nad głowami idących i furman, z krzykiem przerażenia runął z kozła w kałużę. Nogi w sztyłpach znalazły się na miejscu furmańskich. Konie, ściągnięte potężnym ciosem barta, skoczyły z miejsca jak oszalałe i kareta poleciała w zaulek. Słysząc było przez chwilę rozpaczliwe wrzaski zamkniętych w niej kobiet.

Ktoś mówił:

— Nic się wam, baby, nie stanie! Rotmistrz odwiezie was na miejsce dwa razy prędzej niż to bydło...

Ulice były zupełnie puste i ciemne jak pieczary. Strącenie z kozła furmana było dla tłumu, idącego dotychczas w spokoju, jak gdyby pobudką do czynu. Opanowała wszystkich istna furia. Rafał słyszał ciosy lasek spadające na łeb i grzbiet furmana i zanosił się od śmiechu słysząc jego wrzaski. Gdy stangret wydarł się z rąk napastników, laski poczęły spadać na ściany kamienic, drzwi sklepów, żelazne kraty ogrodów. Co chwila jakaś szybka, śpiąca skromnie w ciemności, wydawała dziewiczo przeraźliwy wrzask rozlatując się w kawałki. Świstały w powietrzu zerwane ze ścian blaszane szyldy, dudniły bramy szczelnie zamknięte, w które łomotano pięściami, kijami, obcasami. Ktoś skrzesał ognia i przez chwilę Rafał podziwiał czterech ze swych nowych towarzyszków, z których dwaj stali na balkonie pierwszego piętra wąskiej kamieniczki. Dostali się tam po żelaznych sztachetach otaczających sąsiedni ogródek. Dwaj inni stali jeszcze na szczycie ogrodzenia, przechyleni nad ulicą. Tak wspólnymi siłami wrywano ze ściany szyld przytwierdzony do żelaznej sztaby nad zamkniętymi drzwiami sklepu. Kilka par tych potężnych rąk szarpało sztangę do góry i na dół. Gruz sypał się w oczy... W tej samej chwili trzeszczały podważane drzwi, i wydawały znakomity łoskot talerze felczerskie strącone z wysoka, którymi ktoś wydzwaniał marsza. Tu i owdzie w oknach zapalało się światło. Przerażone białe figury snuły się i biegały za wybitymi szybami...

Dopiero połowa ulicy została w ten sposób oporzędzona, gdy naraz z głębi sąsiedniego zaułka dały się słyszeć kroki ludzi równo maszerujących. Jak błyskawica — cisnęła w ciemności swój nagły strzał światła ślepa latarnia.

— *Zybenknopfy* — wrzasnął przyjaciel Rafałów, właściciel oleśnickiej psiarni.

— A lotry, jesteście!

— Bij pludra!

— *Hab Acht!* — rozległ się w ciemności spokojny głos.

Tłum pijany zbił się w gęstą kupę. Gdy nowy sztylet światła latarni przebił mroki głębokie, Rafał zobaczył w nim potężne ręce, trzymające niby sztandar wyrwaną sztabę z szyldem. W chwilę potem blacha szyldu zgrzytnęła w powietrzu. Rozległ się furkot drąga i urywany ryk. Po nim drugi, trzeci. Żołnierze patrolu dobyli szabel i poczęli z ramienia rąbać na ślepo. Anizetka, Bursztynek, Szpic, Szpilka i wszystek tłum towarzyszków runął na nich z laskami, z kamieniami znalezionymi na ziemi. Wnet żelazny drąg siłacza z Oleśnicy przeważył szalę zwycięstwa na stronę awanturników. Ront rozsunał się i cofał pod ścianami kamienic. Rozległy się świstki, krzyki niemieckie wołające o pomoc, jęki i przekleństwa.

— Do kupy! — wołano.

— Do kupy, mości panowie! — komenderował przygodny wódz.

— Wziąć się za ręce, i w tył!

— Osaczają nas, w tył! — wołali wszyscy.

Rafał nie miał nic w ręku, nawet laski. Mimo to z wyciągniętymi rękoma szedł naprzód, co chwila ściskając dłońmi ciemność. Gniew ukropem kipiał w nim i gnał go do boju. Szukając tak w mrokach rękoma, ujął mizerne drzewko przywiązane do wysokiego i tęgiego kołka. W mgnieniu żrenicy owa żerdka poczęła śmigać i szeroko grać w powietrzu, zataczając obszerne kręgi. Koniec jej trafił wreszcie na żywe mięso.

Wówczas dopiero Olbromski wziął walić z sandomierska. Żołnierz, z którym się zmagił, płaął go do krwi raz i drugi pałaszem w szyję i w rękę. To podnieciło animusz aż do wściekłości. Wymacawszy go dobrze obłudnymi ciosami, Rafał rypnął z góry, w łeb, od jednego razu i obezwładnił. Prusak osunął się na ziemię. Wówczas zwycięzca znalazł go nagimi rękami i począł kuć w zęby. Gdy tamten na dobre omdlał, powłókł go ze sobą po błocie, mamrocząc sobie pod nosem.

Wedle rozkazu wodza garść walecznych awanturników cofała się pośpiesznym marszem ku wylotowi ulicy. Patrol, nie czując przed sobą napastujących, zaczął posuwać się naprzód, świecąc sobie latarniami, dźwigając z ziemi poturbowanych, cucąc omdlałych.

Tymczasem *Blacha* uchodziła coraz szybciej zwartą kolumną. Kiedy osiągnięto placu i ulic z niego wychodzących, wszyscy czym prędzej dla zmylenia pościgu rozeszli się w różne strony. Rafał jakoś otrzeźwiał i zdołał dopytać się o Jarzymskiego. Szli w kilku, prędko, bocznymi ulicami, zaułkami, przejściami, wzięwszy się za ręce. Nie zatrzymali się wcześniej, aż dosięgli bezpiecznego schronienia. Znaleźli je w wiadomych Jarzymskiemu rozkosznych gajach asyryjskiej Mylitty.

GNOSIS

Nazajutrz Rafał ocknął się bardzo późno w jakimś ciemnym schronieniu. Była to sypialnia Jarzymskiego, który obok chrapał na sofie. Z niewysłowionym podziwem Rafał zaczął liczyć czas i spostrzegł, że okna stancyjki nie były zasłonięte. Był to więc wieczór dnia następnego. W przyległych pokojach słycać było gwar rozmów osób grających w karty. Olbromski leżał na swej pościeli z oczyma przymkniętymi, pełen takiego do siebie wstrętu, że z najgłębszą wdzięcznością powitałby kata i jego propozycję przechadzki na szafot, byleby z zawiązanymi oczyma. Nie był w możności znoszenia fizycznych uczuć wczorajszego dnia, a osobliwie nocy. Chował przed nimi głowę to tu, to tam, odwracając się ku czemuś jaśniejszemu, ale w każdym miejscu ciemności bielalo straszliwie — śmiejące się podle, ociekłe cynizmem, nagie cielsko dnia wczorajszego. Miliardy ukłuć bezsilnego żalu kęsały piersi jak nocne komary błotnistej okolicy. Nie można było ani ich odegnać, ani spostrzec. Tylko żądła ich zostawały w człowieku i rozlegał się cichy, bezmyślny, obrzydły głos.

W jednej chwili Rafał zdecydował się, że musi wyjść z tego lokalu. Znalazł po ciemku ubranie i wdział. Narzucił płaszcz na ramiona i wyszedł. W kieszeni namacał jeszcze kilka

dukatów. Jednego z nich wcisnął w garść lokajowi, którego w przedsionku zdybał, i kazał się odprowadzić do pałacu księcia Gintuła. Był pewny, że go tam już wcale nie wpuszczą, a jednak tam właśnie dążył.

— Jeśli — myślał — nie zechce mnie więcej widzieć, no, to co innego... Wtedy poszukam jakiego hotelu, zajazdu...

Pragnął tę noc za jaką bądź cenę przepędzić w samotności, nie słysząc obok siebie chrapania Jarzymskiego. Nie myślał o tym wcale, co będzie czynił później; chodziło mu jedynie o chwilę bieżącą, o zdarcie koszuli Dejaniry. Gdy wreszcie stanął przede drzwiami pałacu i zadzwonił, wydało mu się to rzeczą tak głupią, że kazał służącemu Jarzymskiego czekać na siebie. Był pewien, że go krótko i węzłowato wyprawią tam, skąd przyszedł. Tymczasem stary Łukasz otworzył mu drzwi z tym samym powinnym i grzecznym ukłonem, prowadził go z życzliwymi ruchami.

W pokoju, gdzie Rafał pierwszą noc spędził, było ciepło. Służący zapalił dwie woskowe świece i cicho oddalił się. Rafał czuł dla niego wielką i rzewną wdzięczność. Był oto nareszcie sam w cichym i poważnym miejscu. Co tchu rozebrał się, zakopał w pościeli i miał zamiar zdmuchnąć świecę, gdy drzwi się znowu z cicha otwarły i Łukasz wniósł na tacy dużą szklankę jakiegoś napoju. Ustawił to na stoliku obok łóżka z łagodnym i uroczystym wyrazem twarzy, a z ukłonem wyszedł. Rafał skosztował owego napoju i znalazł, że jest dobry nad wszelki wyraz. Wypił do dna.

Zaledwie zgasił świecę, uczuł się znowu w mocy niezwykłego wstrętu. Nie były to wspomnienia, gdyż te pieściły go raczej i władały nim jeszcze, nie były wyrzuty sumienia, tylko nieznośne, przemierzłe uczucie obecności złego.

Zamykał oczy, poczynął myśleć o czym innym, budował plany na przyszłość, nerwowo grał w karty, wykonywał w marzeniu bohaterskie napady w gronie elegantów pierwszej wody, gdy oto nagle zjawiała się na jego piersiach ohydna głowa. To było właśnie samo, w osobie swojej — złe. Coś jak głowonóg-ośmiornica z kostnymi ssawkami, potworne, bez kształtu, zimne, oślizgłe, opasujące. Nie dawało się odtrącić ani zedrzyć z piersi. Zimny pot osiadł kroplami na czole pełnym ołowiu, a na duszy owa tajemnicza zmaza, której żadna z potęg nie mogła zniweczyć. Gdy ciężki sen zawarł powieki, i wówczas cierpienie zostało na piersiach. Głowonóg przemienił się w kobiecego trupa, w rozdęte, opuchłe, śliskie i lepkie ciało topielicy. Straszliwe zwłoki oploty szyję śpiącego grubymi rękoma, wygniłe oczy wlepiły się w jego sen, i dawno struchlałe usta przywarły do jego ust. Słyszał w głębi swej duszy przemierzyć podszept miłosny...

Obudził się późno w nocy i usiadł na pościeli, wstrząśnięty czymś obcym, jakby ręką mocnego człowieka. Łzy płynęły z jego oczu, zalewały twarz, łzy dobywające się z najgłębszego dna duszy. Ale zarazem wylewy ich oczyszczały tajemnicze, podziemne głębie, z których pochodziły. Całe ciało trzęsło się, gdy tak spływały, podobnie jak drży ziemia, gdy burza w dal i noc uchodząca grzmi i strzela piorunami. Nagle z mroków półsnu wywinęła się jasna myśl, zupełnie jak postrzegalny dla oczu, kształtny gzygzak światła:

— Cóż mi to jest?

Ale odpowiedź nie wysuwała się z ciemności. Tylko nowy potok bujnych, silnych wzruszeń, niby młoda krew z rany zadanej żegadłem zbója, spłynął i obmył twarz skrytą w dłoniach. I tak już prawie do samego rana trwało bezkształtne dumanie, walka nie-dająca się wyrazić słowami, jakoby zawód choroby z chorobą o całe bary i piersi, jakoby zapasy siły z siłą. Na podobieństwo przelotnych obłoków widziadła przemierzłe objaśniały straszliwe dzieje tych rzeczy, spraw i ludzi, z którymi stykał się wczoraj. Dolatywało do niego z próżni niewysłowione skowyczenie nędz ludzkiego motłochu, zionął z pojedynczych chwil wczorajszych, jak gdyby z zaklętych grobów, fetor gnojowisk podłości, upadku, pomsty, zbrodni, zdychania w hańbie. Co kiedykolwiek słyszał o tych sprawach, to teraz z siłą roztrzaskującą głowę rwało obok, stronami. Ręce drętwiały z ohydy, że się nimi dotykał tych ran broczących siną, zgniłą krwią, głowa płonęła od myśli, których rozum, zdawało się, nie był w stanie objąć i zmieścić w sobie.

Nazajutrz wstał z łóżka blady, zdruzgotany na duszy, sam dla siebie odmienny i nie-zupełnie zrozumiały. Obojętnie szedł do sali, gdzie poprzednio zastał księcia. Już zbliżając się do drzwi żelaznych usłyszał rozmowę, która pod wysokim sklepieniem donośnie się rozlegała. Książę rozmawiał ze swoim towarzyszem, owym majorem wojsk pruskich. Obadwaj pochyleni byli nad księgami wielkich rozmiarów, oprawionymi w białą skórę.

Gdy Rafał wszedł, na chwilę zamilkli i przerwali swą pracę. Wojskowy, podobnie jak za pierwszym razem, skierował na niego swe oczy naiwne i badawcze, zdumiewające oczy olbrzymiego dziecka. Na ukłon Rafała odpowiedział przyjaznym pochyleniem wielkiej głowy i uśmiechem tak szczerym, pełnym dobroci, zachęty, jakiejś nieśmiałej przychylności, która narzucać się nie chce, lecz przyjętą być pragnie, że Rafał znowu uczuł się wzruszonym. Tylko dziś w daleko większej mierze...

— Miałem już zaszczyt — rzekł książę wskazując Olbromskiego oczyma — przedstawić mego sekretarza.

— A tak... Bardzo mi przyjemnie poznać waszmość pana.

— Będziemy teraz mieli możliwość szybszego dociekania w Augustynie — szepnął jeszcze książę jakby prosząco.

— To bardzo dobrze, osobliwie dla mnie. Waćpan przyjeżdżasz wprost ze wsi? — spytał major.

— Tak, nie był tu wcale i nigdy. Nikogo w Warszawie nie zna. Wszak prawda?

— Tak, prawda... — wyszeptał Rafał.

— Przez kilka lat sam gospodarował, własnoręcznie siał, orał... Wszak prawda? takes mi wasze donosił w liście?

— Tak, donosiłem...

Na twarzy majora zaświecił się uśmiech dobry, głęboki, jakby do dna rozwidniał całe jego ciało. Zarazem jakieś prędkie zachłyśnięcie, dające się często zauważyć u nieśmiałych chłopców, wstrząsnęło kilkakrotnie jego olbrzymią, niedźwiedzią figurę.

— Praca na zoranej roli — zaczął mówić głosem wstrzemięźliwym, dopraszającym się o łaskawy posłuch — wydaje mi się być najwyższym szczęściem, jakiego człowiek dostąpił. Tak sądzę, tak w głębi serca mniemam. Nigdy sam nie byłem do tyła szczęśliwy, żeby tej łaski dostąpić. Jestem żołnierzem... Mieć w ręku swych możliwość wyprowadzania z nagiej ziemi czegoś tak tajemniczego, cudnego w swej budowie, w swym życiu i śmierci, jak kłos pszeniczny, nie jestże to być współtwórcą cudu?

Rafałowi nie trafił do przekonania ten wywód. Toteż na twarzy jego odmalował się mętny jakiś wyraz. Major niezrażony mówił dalej głosem cichym, z niemiecka akcentując wyrazy i zdania:

— Nigdzie potęga, niewysłowiona mądrość, miłość jednako zawsze silna, bez początku i końca, wiekuiście ta sama, wielki duch Budownika świata, nie objawia się bardziej niż w dojrzewaniu ziarna, w rodzeniu się traw na łące, gdy przygrzeje słońce wiosenne — i w umieraniu ostatniego potrawu, gdy sloty października zasłaniać je zaczynają. Czyś waszmość kiedy widział taką chwilę, czyś okiem wewnętrznym z głębi siebie patrzył na to, jak naga ziemia drży pod słońcem, jak wody stojące na niej trzęsą się i raz wraz polśniewają, a mech drobnutki trawy schyla się i wałęsa za wiatrem jakoby nikły dymek?

— Widziałem... — rzekł Rafał ze drżeniem.

W myśli jego jak żywa stanęła taka chwila. Zdawało mu się, że wypukłe, przymglone oczy majora widzą tę chwilę dokładnie, jasno, nie gorzej od niego. Jakiś nieprzyjemny lęk obszedł go dookoła.

— Już w duchu dawnych, mgłą czasu zakrytych plemion żyła ta sama trwoga i wytryskała z niej cześć dla trawy rodzącej się z małego ziarna, które wiatr nosi, dla drzewa wypuszczającego śliczne liście i niedościgłe gałęzie, dla kwiatu, co kielich swój kształtuje w mrokach nocy, przed zimnym porankiem...

Zadumał się na chwilę, jakby zapomniał, że ma słuchaczy, i z uśmiechem niemal radości, z oczyma zaszklonymi sennymi łzami, mówił:

— Dawny, zapomniany bóg... Mithras! Władca, od którego woli zależy barwa młodych listeczków, kiście zbóż, kielichy kwiatów na tej całej cudownej ziemi... Boski ogrodnik! On, który sprawia, że owoc gruszki dojrzewa, że jabłka wonne wyciekają z żył prętów, że czerwienieją pod zwiędłymi liśćmi, zwiędłymi tak samo, jak więdną piękna matka z nienasyconej miłości dla czerstwego synka... On sprawia, że ciemne śliwki okrywa cudowna, jedyna barwa, a winograd zwisa z wątego szczepu i ciąży, jakby się klonił do snu. U pelazgijskich, pono, plemion wykwitło inne widziadło, którym tylekroć poiłiśmy się z księciem. Nieprawdaż?

— Tak jest, Mistrzu...

Ziarno, Rośliny,
Zmartwychwstanie, Religia,
Odrodzenie, Bogini

— Widomy kształt Demetery zwanej „Pelagis”, to jest niby to osoby, ducha tego, czym jest rodzenie się z ziarna. Demeter jest symbolem ziarna nasiennego, ostatniego tworu całego żywota wszystkich na ziemi roślin. W ziarnie ustaje twórczość rośliny, a ono samo staje się twórcą, macierzą, rodzącą niezliczone pokolenia. Ziarno nasienne jest obrazem prawzoru, z którego pierwsza roślina poczęła się przed wiekami. Demeter jest obrazem praziarna i wszystkich jego potomków, jest zarazem widowym znakiem siły, która nigdy się nie wyczerpie, potęgi, która była, jest i będzie aż do skończenia świata. Ja... przepraszam, że nadużywam właściwej cierpliwości... Ja tak jestem porwany tą boską opowieścią o dziejach Demetery i, co jest najciekawsze, o jej uroczystościach w Eleuzis, że często — może zbyt często? — rozpowiadam. Czy waszmość raczysz przebaczyć tej gadatliwej naturze żołnierskiej?...

— Ależ, miłośniwy panie!... — bełkotał Rafał.

— Czymże jest znane wacpanu porwanie Persefony-Kory? Sławny *katodos*? To dzieje ziarna każdego po szczególe, więc dziecięcia Demetery. Pochłonięcie zasianego przez skibę ziemi. Ciężka żaloba matki Demetery — to zima, szereg dni mrocznych i dżdżystych, w których ciągu ziarno leży ukryte w gruncie. Persefona przebywa tam u swego podziemnego małżonka. Ale nadchodzi radosny *anodos*. Niewolnica w pełnym blasku piękności wydostaje się nad ziemię i łączy z rozkwitłym Dionizosem. Ziarno wypuszcza ze siebie kiel, przebija ziemię, wystrzela jako łodyga, ozdabia się kwiatem i nowe rodzi ziarna. W Eleuzis oddawano cześć tej właśnie wiecznej sile natury, jej precudownej nieskończoności. Przez hymny, święte tańce, sceny mimiczne, nagle zjawienie się kształtów przy brzmieniu w tej samej chwili słów uroczystych, nakazów wygłaszanych przez hierofanta z rodu Eumolpidów, wlewały się do serc i otaczały czcigodną wszystko żywiącą promienie słoneczne, której my zapomnieliśmy zgoła...

Demeter szuka swej córki po całej ziemi przez dni dziewięć a dziesiątego przybywa do Eleuzis... — mówił major, coraz bardziej zwrócony do księcia i zapominając zupełnie o obecności Rafała. — Niesie w ręku swych dwie pochodnie, znak widomy oczyszczającej siły ognia. Spoczywa w Eleuzis i łamie długotrwały post przez popijanie napoju z wody i miodu, zwanego *kikeon*. To wszystko działo się przed nocą tajemnic. Ci, którzy są *mystaj*, bez różnicy pici pozostają sami, oddzieleni od profanów. Z pochodniami w ręku zwiedzają miejsca boleści Demetry, więc zdroj Antion i Smutny Kamień. Tajemniczą część uroczystości zwiastował głos *hierokeryksa*, nakazujący tym, którzy są *mystaj*, zupełne milczenie... Milczenie, milczenie... — mówił z wolna, topiąc wzrok w oczach księcia.

Obaj siedzieli naprzeciwko siebie uśmiechając się prawie ze szczęściem do jakichś myśli, Rafałowi nieznanym.

Pierwszy książę odwrócił głowę i schyliwszy ją nad książką rzekł z cicha:

— Ponieważ jest sekretarz... wrócimy może do Augustyna...

— Ach, tak... Ponieważ jest sekretarz... ilekroć zetknę się z pięknym światem Greków, staję się poganinem...

Książę przez chwilę wyglądał niecierpliwie w ręku kartę wielkiej książki, a wreszcie rzekł obracając się do Rafała:

— Chciałem cię właśnie prosić, żebyś mi wytłumaczył ten oto ustęp z łaciny na polskie.

To mówiąc posunął ku niemu olbrzymi wolumin.

Rafał skwapliwie jął się tej roboty, uszczęśliwiony, że nareszcie zyskuje w tym towarzystwie jakąś wyraźną rolę. W tej samej chwili książę mówił do majora:

— Świat grecki... Co do mnie, nic mi jeszcze nie mogło zastąpić wspomnienia odлюдnych pieczar pustyni. Kryjówki dziś drapieżnych zwierząt tam, gdzie wykołysał się duch ludzkości, gdzie w bezgranicznym odosobnieniu Paweł z Tebaidy sto lat przepędził, pierwszy pustelnik, gdzie Antoni w świętych marzeniach wyhodował nadziejską duszę swoją! Nigdy i nic już na świecie nie mogłoby przewyższyć uczuć zdumienia, skruchy i trwogi, jakich się tam doznaje.

— Na pewno tak jest, na pewno, jak mówisz, Bracie Straszny, a jednak... Ja się do tej wysokości wznieść nie mogę. Jestem ciężki jak kłoda ściętego drzewa, jestem jak głaz na pastwisku, który tylko od własnego ciężaru w ziemię wrasta. Oto wszystko. Wzruszenie moje jest tak leniwe, tak poziome... Jeżeli coś jeszcze wzruszyć mnie jest w stanie, to

wiosna. Gdy — jak mówi stary Hezjod w *Dniach i pracach* — „w liściach dębu pierwsza kukulka zakuka i rozraduje ludzi na ziemskim przestworze”... moje zbutwiałe serce uderzy jeszcze. A kiedy indziej...

— Należy wyteńczyć siły... — mówił książę głosem przejmującym, a tak cicho, że ledwie go było słychać. — Skierujmy dusze ku wzniosłości! Pomyślmy tylko, zanurzmy wszystek umysł w ten potężny widok, gdy Fortunatus, kapłan manichejski, po dysputcie ze świętym Augustynem odchodzi z Hipponu. Znowu na puszczy! Wczoraj czytaliśmy dysputę. Całe zdania świętego stoją mi w pamięci, jakby promieniami ognistymi wysmalone. Te proste słowa: *versatur ibi quaestio — unde sit malum?*... To nie dwaj ludzie mocują się w słowie, nie dwaj kapłani, nie wyobraziciele dwu kultów, lecz zaiste dwa olbrzymie symbole, dwa żywioły. *Unde sit malum?*... Święty biskup, który tak słusznie nosi miano *divus*, czyli Mąż z Boga... mądry i myśli przeźroczyściej jako krynica w górach, twierdzi, że zło urodziło się w człowieku z jego wolnej woli. Człowiek sam jest winowajcą. On jest grzesznikiem przed wiekuistym Panem. A tamten przychodzi z pustyni, gdzie ze swej pieczary w ciągu wielu lat wpatrywał się w niebiosa, gdzie przez szereg dni i nocy w samotności rozważał, ośmiela się głosić, że natura złego współwieczna jest Bogu. Rzuca przed rodem ludzkim ten olbrzymi cios, to brzemię myśli, tak ciężkie, że, zda mi się, ziemia pod nim zadrzeć musiała. Ale następnego dnia, po dwu stoczonych dysputach publicznych, Fortunatus wyznaje, że nie znalazł dostatecznych odpowiedzi na kwestie zadane mu przez biskupa. Wyznaje, że jest zwalczony w słowie. Zarazem wszakże zaznacza, że nie jest przekonany w duchu i do katolików się nie przyłącza. Dziś już owego miasta *Hippo regius*, gdzie numidyjscy królowie władali — wcale nie ma. Kamienne domki, zamki, termy, świątynie, place — zasypał piasek. Przekreślona jest potęga miecza i zmazana. Został przecież każdy dreszcz dwu duchów spierających się o poznanie wieczności, i nas tak samo jak ich przenika. Ci, którzy odtrącili wszystko, aż do napoju i jadła — żyją wiecznie.

Oto w zwątpieniu stokrotnym, tysiącokrotnie rozbity i niepewny bardziej, niż gdy do miasta przyszedł, Fortunatus oddała się na pustynię, by znowu w samotności żgać, podniecać i wyostrzać myśl swoją, palić ją srogimi żagwiami głodu, biczowań i udręczeń ciała. Zacznie tam na nowo zgłębiać, ważyć i przenikać duchem widziadła staroparskie Azji... Spójrzmy, jak samotnego, niby gęste obłoki, otaczają Angramajniu i Ahuramazda — *in exordio duae substantiae a sese divisae*... Jakże się nie ulitować nad nim, gdy w ciemnej nocy spogląda na ziemię głębokością mroku okrytą, i żrenicą wlepioną w niebiosa usiłuje zobaczyć cień przedbytu, pierwsze ciała ogniste, światy rozproszone, słyszeć huk wichrów straszliwych pędzących światy i głos jedyne wodza ich, jak mu kazano uwierzyć. Jaskinię jego otacza ślad lwa i hieny, przelatuje nad nią cień orła i sępa, głowę okrąża myśl o krokodylu i skorpionie, którzy się pasą mordem słabych a żywią śmiercią niewinnych. Przelatują nad nim samum i kamsin, dzicy, bez rozumu zabójcy wszystkiego, co żywie. We dnie pali go słońce aż do śmierci, a w nocy udręcza zimno, za którym czai się choroba. Mdła mucha roznosi śmierć wyssaną ze zwierzęcego trupa i zaszczepia ją w ciało dzieciątka, które już mówić i myśleć zaczęło, którego oczy stawały się cudniejsze niż złote wino, a zęby bielsze niż mleko. Któż jej nakazał taki uczynek?

Patrzmy, jak oczy Pustelnika wyschły i spalone wznoszą się do niebios szukając tego, który jest *Propater* czyli *Bythos*, co znaczy Głębia, który jest *Arretos*, co znaczy Niewypowiedziany... Za plecami swymi ma plemię ludzkie. Widzi całe jego dzieje i wszystek żywot. Wiekuisty tryumfliktor i wiekuiście zdeptany duch. Widzi, że wszystko, co jest, jest materią swaru, przyczyną bitwy, że zaiste wojna bez końca, *Polemos propater*, jest losem człowieka, a ginie w niej słabszy i lepszy. W sobie samym ma żywioły nieznanne, gdzie rozkosz spleta się z boleścią, gdzie mądra myśl wyrasta wolno i wśród większego mozołu niż palma w szczerej puszczy, a jeden wybuch namiętności do cna łamie i niweczy przez setkę nocy i dni trudu wypielęgowaną...

Gdzież wzrok obróci? W dziecinne lata... Tam, dokąd chodzi najchętniej ludzka niedola, żeby się wśród łez uciszyć. Ale przenikające i badawcze wejrzenie mądrości ujrzy tam jeno bytowanie cielesne, pełne dziedzictwa złości, wyniesionej z żył ojca i z łona matki. Spójrzy w idącą bezlitośnie starość i z przerażeniem zobaczy złe najstraszniejsze: choroby ciała, jak z bezrozumną głupotą — młotem z żelaza rozbijają przemądrze zbu-

dowane kości i doskonale tkanki. Ujrzy ruinę ducha równego Bogu, który wśród nędzy i rozpaczki upada, drży i skamle... Któż uczynił to wszystko złe? Któż je wysnuł ze swego łona? Skąd się poczęło trzęsienie ziemi i burza na szlakach morskich? Azaliż człowiek stworzył jadowitą żmiję i podłą hienę? Azaliż on wymyślił śmierć?

Skierujmy dusze nasze ku wzniosłości! Idźmy za wzrokiem Fortunata... Oto wpatruje się ze swej pieczary w najwyższą potęgę ziemi, w najzawilszą sprawę świata, w sprawę odrodzenia rodu ludzkiego. Widzi na brzegu morskich zalewisk pelikana, który błąka się nad falami i znosi dzieciom swym strawę. Jest on jakoby znak hieroglificzny wszęgo żywota, napisany w chwili poczęcia ziemi między morzem a lądem suchym. Mówią dawne legendy, że pelikan krwią żył swoich wskrzesza zabite dzieci, że rozdziera dziobem pierś swoją... Stamtąd wychodząc, Fortunatus przejrzał wszystko, przemyślał wszystko. Widział w dumaniu szczęśliwego ojca, któremu los dał kości twarde a w nich niepożyty szpik. Widział go, jak się doczekał siwizny syna, jak w nim po wtóre przeżył dojrzały żywot, zamknął w pamięci ogrom zdarzeń, od dziejów pierwszej miłości aż do dziejów ostatniego złudzenia. Z nich wysnuł niewzruszoną mądrość męską. Widział go, gdy się doczekał wnuka i w jego szczeciocie trzeci raz usłyszał gwarę swego niemowlęctwa.

Widział go wreszcie zaszłego w lata, w głęboką, „dobrą”, jak mówi Pismo, starość, kiedy z wolna, a chętnie i z pociechą, stawał się jakoby rolą niską i płaską, gruntem spokojnym i niemym, próchnicą, gliną i piachem bez imienia, w który wrastają korzeniami rozłożyste, szumiące drzewa. Z niego idzie w gruby śniat, w tęgie konary i w oble gibkie gałęzie, w lotne, poświstne za każdym wietrzykiem różgi i witki — sok żywota... Widział go, gdy się w głuchej tajemnicy przed resztą ludzi kłonił do snu wiecznego i chętnie marzył o wypoczynku w śmierci, nad którym unaszać się będzie gwar i szczebiot pokoleń. Widział tę jego chwilę, kiedy znużony długością a niskością zabiegów i zdobyczy żywota zapragnął odpocząć i usnąć tęgo. Położyć, jako Jakub patriarcha, spracowane i osłabłe nogi na łożu i nie wstawać już, lecz na wieki umrzeć.

Katodos Persefony!... Ale wnet wspomnił mu się inny... Tamten, dojrzałych lat, któremu grozi rozstanie z synkiem maleńkim. Patrzy nieszczęsny ojciec na białe kudelki swego jedynaka, na okrągłe rączki i nogi, na małe barki, które będą musiały dźwigać wszystką niedolę życia, wszystkie jego męczarnie, zbrodnie, krzywdy, widziane i przeżyte w ciągu ubiegłych lat. Wdycha oddech bezwonny, przenika wzrokiem krynice oczu, pięknnością równe gwiazdom świecącym po nocach. Przytuła do ust jasne czołeczko, w którym przeglądają się myśli młodociane na obraz białego obłoku, kiedy stoi nad tonią jeziora w górach — do kości piersiowych przyciska główkę, jakby ją pragnął wgnieść, wprowadzić na powrót we wnętrzości żył swoich, wtulić całego w serce rozszarpane od boleści i z nim razem ująć w zaświaty, na pagórki wieczności. Widzi z pieczary swej Fortunatus nieszczęśliwego, kiedy dojrzał już śmierć idącą ku wezłowi i bawi się po raz ostatni rączkami dzieciny swojej, zlewa nań błogosławieństwo, jak mówi Pismo, piersi i żywota, a ona krekorze i gędzioli wesoło jak ptaszek w wiosenne rano, pyta się o nędzne rzeczy bieżącej godziny, nic a nic nie wiedząc, jaka to ręka nad nią się wznosi. Nie mógł doczekać piątej rocznicy urodzin swego jedynaka, jako ów Hektor, który w szyszaku bojowym, syna drogiego całując i pieszcząc rękoma, mówił modlitwę do Zeusa i bogów: „Niech o nim kiedyś powiedzą: O wiele był lepszym od ojca”.

Któż stworzył dzieje tamtego żywota? Azali ta sama ręka tworzy dobro i złe? Czemu tak bez rachuby skrzywdzony jest umierający na korzyść szczęśliwego Jakuba? Jakaż to nagroda niebios okupi boleść opuszczenia bezsilnego dziecka, stracenia go z oczu, wydarcia z ramion? Cóż jest gorszego pod słońcem nad ową przepaść cierpień ojcostwa? Puścić samotne chłopiátko w świat owładnięty przez krokodyle i skorpiony, na ląd, w który uderza niespodzianie trzęsienie ziemi, na morze, które gonitwa wszechwichrów zamienia na bezrozumnego kata... Myśleć konając, że pójdzie samo jedno pomiędzy zbiry ludzkie, że je bezbronne otoczą przemądrze, chytrze ukryte, niezbadane choroby — trąd i syfiliś, ospa i tyfus, że stokroć gorsze od chorób otoczą je zbrodnie ludzkie, nieprzeliczone wymysły łajdactwa, co się już formą żywota stały, rozuzdane chuci i brudy... Myśleć, że czystymi oczyma, w których zamknięty jest firmament niewinności, będzie widziało ową walkę zbójców ze zbójcami, że z czasem stanie się samo jedną więcej sztuką jakiejś gromady...

Oto powiedział w duchu swym Fortunatus, że złem jest ojcostwo i rodzenie. Zaprzysiął przed swoją duszą, że nie chce mieć syna, że zamordowałby zrodzonego wespół grzechów. Sam wyniesie ducha swego w pustyni ponad ludzi, jedyne urobi na obraz Ahuramazdy, i wówczas wyda wojnę ciemnościom. Wywiedzie duch swój z bagna grzechów ludzkich, wydzwignie z błot Arymana i stanie ponad światem jako wiekuista pochodnia.

Rafał miał oczy spuszczone na wiersze książki, ale rozmowa, chociaż półgłosem w jego obecności prowadzona, przeszkadzała mu rozumieć tekst owego rozdziału *Contra Fortunatum quendam Manichaeorum presbyterum*.

Książkę, wypowiadając zdania na pół rozumiane przez nowego słuchacza, co chwila zwracał nań oczy swe przymglone, ściemniałe, niewidzące, skierowane do wewnątrz. W pewnej chwili oczy te ożywiły się i książkę rzekł innym głosem:

— Tu ci będziemy przeszkadzali rozmową naszą. Zdaje mi się, że wygodniej ci będzie w pokoju, który jest obok.

Rafał zabrał ową księgę, ciężką jak naręcze bukowego drzewa, i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Była to pracownia. Na środku mieścił się ogromny stół, a dokoła niego stały fotele obite skórą. Okno było otwarte i na prost niego sunęła się w dół stara grabowa aleja. Rafał przymknął drzwi i usiadł w fotelu. Skoro tylko poczuł, że jest sam, zaraz upadł w łóżko duchowego lenistwa, dał się ogarnąć doskonałej bezwładności woli. Głowa jego zsunęła się na rozłożone karty książki jak ciężki lity, nędzny kamień. Ani jednej myśli, ani najslabszego uczucia! Jedno jeszcze, co by mogło dźwignąć i podniecić, to znowu burgund. Z wolna, jak parny obłok, przesunęła się tajna żądza w czystej swojej postaci, niepochwyciona jeszcze przez myśl ani nawet przez chęć. Czuł to, że skoro się tylko oblatwi z tłumaczeniem łaciny, pójdzie znowu do Jarzyskiego. Nic to, że przychodzi w nocy obmierzłe uczucie złego...

Z największą niechęcią zabrał się do przekładu. Przyszło mu to z łatwością, większą nawet niż przewidywał. Nawykły w szkołach do zagadnień sofistycznych, z pewnym rodzajem satysfakcji wciągnął się w przedziwną dysputę św. Augustyna z przeciwnikami Kościoła.

Minęło południe i jesienny wieczór nadchodził, gdy wreszcie skończył wyznaczoną pracę. Odsuwał ją z dziwnym uczuciem. Zdawało mu się, że myśli, które przełożył, ożyły i że się weń wpatrują zastygłymi oczyma... Z kart tej olbrzymiej książki wionęła ubiegła noc, jej widma i wzdychania.

Liście o barwie jasnego mosiądzu i liście o barwie rdzy żelaza, wolno spływające z grabów, z topol i lip, zasłały sobą całą długość i szerokość alejki. Roztrącały promienie słońca, które przez miejsca ogołocone, przez pustki świeżo powstałe wlewało się do głębi. Chłód zimny powiewał z wąskiej, dalekiej uliczki.

LOŻA UCZNIA

W mroźny wieczór marcowy Rafał jechał z księciem saniami na ulicę Mazowiecką do pełnego tajemnic „czerwonego domu”. Otulony w niedźwiedzie futro, wzdrygał się jednak od przykrych dreszczów wewnętrznych i napadów gorąca. Zdawało mu się, że konie biegną za prędko, pragnął nawrócić jeszcze, prosić o chwilę przejażdżki po mieście... Jeszcze, jeszcze... Tymczasem furman zatrzymał konie na rogu ulicy, i młodzieniec poddał się konieczności. Wyskoczył z sanek, zrzucił z ramion szubę i śmiało wszedł za księciem w ciemne przejście za bramą. Kiedy przewodnik jego zastukał do pierwszych drzwi, otworzył je stary, zgarbiony służący, odebrał płaszcz i wskazał ręką korytarz prawie ciemny, bo rozwidniony tylko przez płomyk latarni daleko umieszczonej. Mimo woli Rafał zapinał swój czarny frak na wszystkie guziki i przyciskał do boku kapelusz.

Napotkane drzwi otworzyły się. Książkę wprowadził swego sekretarza do małej salki i wyszedł. Gdy za chwilę powrócił, był we fraku zapiętym na wszystkie guziki, w czarnych ponczochach i płytkach trzewiakach ze stalowymi klamrami. Spod jego fraka wysuwał się biały fartuch z jedwabiu, niedosięgający kolan, a z lewego ramienia na prawy bok szła szeroka, biała szarfa. Na rękę miał rękawiczki.

Przeszli teraz w milczeniu przez dwa puste i zupełnie ciemne pokoje. Z nagła drzwi się piorunująco otwarły i Rafał znalazł się sam jeden w sali wysokiej, sklepionej, ciemnej prawie, obitej sukнем. Był tam stół czarny dziwnego kształtu, a na nim trupia głowa,

Obrzędy, Tajemnica, Brat,
Cnota, Przyjaźń

w którą wstawiona świeca tliła się bynajmniej nie tajemniczo. Przychodzień powiódł oczyma wokoło i nie bez drżenia zobaczył w kątach czaszki, piszczele, gnaty ludzkie. Zamiast wszakże spodziewanego dawniej wzruszenia doświadczył raczej drgawek gniewu. Wściekał się, że oto zostawiono umyślnie trupie piszczele i głowy dla przestraszenia go jak durnia.

Wspomniał swoje nocne przeprawy i zaśmiał się czaszkom w oczy. Zamiast modlitwy i skupienia, tylekroć zalecanej mu na tę chwilę przez księcia, czuł niecierpliwość sprzeciwiającą się wszelkiemu nabożeństwu. Za drzwiami słyszał gwar przemów uroczystych wygłaszanych podniosłym tonem albo okrzyki chóralne, jakby żołnierskie na placu musztry potwierdzenia. Ale oto po ciszy chwilowej wydzwignęła się z mroku i ciszy pieśń. Zrazu przez jeden głos zaczęta rozlała się w chór szeroki:

*O, selig war dieses Pilgerleben
An meines Freundes Arm durchlebt,
Fest steht er wie ein Fels im Meere,
Von Ungemach sein Haupt erhebt...*

Jeszcze brzmiała pieśń, gdy błysło światło jakoby w rozdzielonym murze. Miętko odsunęły się niewidzialne drzwi i stanęli w ich świetle trzej mężowie ubrani tak samo jak książę. Znajdujący się pośrodku miał na ramieniu obnażoną szpadę. Zbliżywszy się do Rafała ów mąż środkowy począł mówić po polsku głosem cichym i łagodnym. Z długiej jego przemowy słuchający zapamiętał powtarzane wielokrotnie wyrazy: zaufanie i szczerłość, miłosierdzie dla ubogich, posłuszeństwo, łagodność, cierpliwość, odwaga i milczenie. Na zapytanie: czy trwa w zamiarze pełnienia wszelkich wymagań? — odpowiedział twierdząco. Wówczas trzej mężowie znikli, znowu pozostawiając go w samotności.

Nim wszakże zdołał przyjść do siebie i uczuć przyjemność odosobnienia, drzwi, jak poprzednio, rozstały się i te same osoby weszły powtórnie. Stojący pośrodku zaczął mówić na temat wymienionych siedmiu obowiązków, każdego z nich znaczenie, ważność i rozciągłość oznaczając w długim wywodzie. Gdy na zadane w końcu pytanie: czy chce należeć do zgromadzenia praktykującego te cnoty? — znowu twierdząco odpowiedział, mówca dał znak a jego towarzysze przystąpili do Rafała i zaczęli go rozbierać. Ściągnęli z niego frak, kamizelkę i obnażyli lewą pierś; ściągnęli trzewik, pończochę i obnażyli do kolana lewą nogę. Szeroką i grubą chustą zawiązali mu oczy. Wówczas usłyszał głos mówcy:

— Zabieram kapelusz waćpana, szpadę, zegarek i wszelkie metale, jakiegokolwiek masz przy sobie.

Drzwi cicho zaszemrały i dał się słyszeć podniesiony głos, a po nim trzykroć hałaśliwe przyklaskiwanie i chóralny okrzyk:

— *Huze, huze, huze!*

Po chwili Rafał uczuł, że stoi między dwoma ludźmi, że ktoś jest przed nim i dotyka jego piersi końcem szpady. Głos tak łagodny poprzedniego mówcy brzmiał teraz dziko i nienawistnie w brutalnym zapytaniu:

— Czego tu chcesz?

— Chcę być przyjęty do społeczności wolnych mularzów — rzekł Rafał.

— Stanie się zadość twej woli — odpowiedział ten sam głos — może z niezmiernym narzekaniem twoim. Bacz, co mówię.

Dwaj towarzysze, stojący u boku przychodnia, poprowadzili go naprzód. Idący przed nim zastukał. Obcy jakiś głos znowu kilkakrotnie zapytywał Rafała, kim jest? z jakiego kraju? ile ma lat? czy oddał wszelkie metale, czy trwa w zamiarze wstąpienia do towarzystwa? — a gdy udzielił odpowiedzi na każde z tych żądań, z trzaskiem drzwi się otworzyły, i pytający przed chwilą pchnął go w ręce dwu dozorców stojących obok, z wołaniem:

— Precz, nieszczęśliwy! Oddaję cię losowi twemu...

Wówczas Rafał uczuł, że go prowadzą do sali wielkiej, ciepłej, pełnej ludzi i światła. Ustawiony twarzą w jakimś kierunku, którego ruchami nakazano mu trzymać się ściśle i ciągle, usłyszał znajomy sobie dobrze głos książecego przyjaciela, majora wojsk pruskich. Ten mówił:

— Zuchwalco światowy! Jakież przedsięwzięcie wiedzie cię tutaj! Może prosta ciekawość? Może chęć przeniknięcia skrytości? Drżysz! Drżysz, nieszczęśliwy! Stoisz nad brzegiem przepaści, która ci się odgraża zgubą ostateczną. Odpowiedz! Czyli prosta ciekawość wiodła cię tutaj?

— Nie.

— Słowa twe nie starczą za dowód. Bracie Dozorco! przyłóż koniec szpady do serca zuchwałego! Każ mu dla poszukiwania światła odbyć drogę z Zachodu na Wschód, a gdybyś ujrzał najłżejszy w nim upór, przesyj mu na wylot zdradzieckie serce!

Wówczas Rafał uczuł znowu mocno o pierś swą oparte ostrze szpady w tym miejscu, gdzie bije serce. Ktoś ujął go za prawą rękę i prowadził w półokrąg sali. W pewnym miejscu kazał mu złożyć głęboki ukłon, o kilka kroków dalej zalecił, żeby się nisko schylić, jak gdyby się przechodziło pod nawisłym sklepieniem, to znowu wysoko podnosić nogę, jak dla ominięcia przeszkody. Gdy go nareszcie prowadzono, jak sądził, na dawne miejsce, dało się słyszeć tępe uderzenie drewnianego młotka — i zaraz potem hałas, krzyk, szczęk broni. Rozległo się drugie uderzenie — i wszystko ucichło.

Wtedy ktoś po niemiecku pytał drugiego: jak się „przychodzień” sprawował? — a tamten odpowiedział, że z odwagą.

Dał się słyszeć głos majora mówiącego po polsku:

— Prowadźcie go pod stalowe sklepienie...

Młodzieniec usłyszał szczęk wielu szpad uderzających jedna o drugą i szedł pod stalowym szczękiem schylony, w półokrąg. Na końcu drogi znów oddał pokłon.

Po raz trzeci ozwał się major:

— Prowadźcie go w te okropne strony, do których my sami zbliżamy się ze drżeniem. Każcie mu doświadczyć skutków palącego ognia. Tak, Bracia moi! Dajcie mu poznać gwałtowność wszystkich żywiołów, a jeśli zadrży, rzućcie go w otchłań obok niego krążącą!

Rafał uczuł, że około jego twarzy płonie sucha żywica, to znowu, że z dwu stron leci nań wiatr z miechów. Za chwilę obalono go na taczki i wieziono po nierównej pochylni. Wreszcie, pozostawiony na chwilę w spokoju, zajął miejsce w końcu szeregu osób, które się wciąż naprzód posuwały.

W pewnej chwili usłyszał głos majora:

— Każ mu zgiać lewe kolano, położyć rękę na ewangelii, daj mu cyrkiel w rękę. Niech koniec jego do serca swego przyłoży...

W tej chwili po raz pierwszy Rafał doświadczył niewymownego, panicznego uczucia przestrachu. Słuchał łagodnej przemowy Mistrza, który mu tłumaczył ważność złożonej przysięgi... Zawahał się. Jeszcze chwila, jeszcze jedno mgnienie oka — i zerwie się na równe nogi, zedrze z oczu osłonę. Precz! Zimny pot oblał go całego...

Wtem rozległo się drewniane uderzenie młotka i wolę jego przetrząciło. Uczuł, że w tej samej chwili na ciemieniu głowy jego spoczęły zimne końce kilkudziesięciu szpad. Został tym dotknięciem jakby do ziemi przybity, jakby przykręcony mutrami. Wola zginęła do ostatniego źdźbła, do znaku. Tuż nad nim rozległ się miękki, dobrotliwy głos księcia Gintulta, który czytał słowa przysięgi. Rafał uradował się do głębi, do cna, jak wówczas, kiedy spostrzegł, że uratuje Krzysia Cedrę. Zaczął powtarzać cudze słowa z owym głębokim, przeraźliwym, a przecież wciągającym niezrozumieniem, z trwogą dochodzącą znów do szaleństwa, do furii, do zanikania tchu, jak wówczas w Sandomierzu, kiedy pierwszy raz miał przystąpić do konfesjonału.

— Przysięgam — powtarzał — przed Bogiem Najwyższym całego świata Budowniczym, na zbawienie moje i na honor mój nieskalany, jako skrytości Mularstwa z jak największą dochowam pilnością. Przysięgam, iż póki życia mego — nie dam żadnej pobudki, ażeby skrytości rozniesione były, nie dopuszczę, żeby do wiadomości publicznej bądź napisane, szychowane lub innym jakim bądź sposobem podane były. Nadto przysięgam i obiecuję jak najświętobliwiej dochować, a w razie konieczności krwią i życiem wszystkich statutów najpoważniejszej społeczności bronić. W przypadku przestąpienia pozwalam mieć gardło przetrzięte, serce i wnętrzności wyszarpane i do morskiej rzucone przepaści, ciało moje na popiół spalone i po wszystkich częściach świata od wiatru rozproszone. Niechaj mi Najwyższy świata Budowniczy udziela swej pomocy! Na potwierdzenie przysięgi całuję słowa Zbawiciela mego...

Ledwie nowy mularz ostatnie słowa wymówił, rzekł Mistrz katedry:

— Bracie Poświęcicielu, przybliż czarę do krwi!

Rafał rozpoznał, że to książę stoi obok niego i że on nosi miano Poświęciciela. Przystawiono mu pod serce chłodne naczynie mosiężne. Zarazem usłyszał głos majora, którego już w myśli nazywał Przewielebnym Mistrzem katedry. Mistrz przytknął ostrze cyrkla do lewej piersi nowego ucznia i mówił po niemiecku:

— W imię Najwyższego Budownika świata...

Nacisnął mocno cyrkiel i głośniejsze rzekł:

— *Im Namen der gesetzmässigen, verbesserten und vollkommenen St. Johannis-Loge, genannt „Zum goldenen Leuchter“...*

Trzeci raz nacisnął cyrkiel i wygłosił:

— Mocą powierzoną mi, za zezwoleniem wszystkich Braci, przyjmuję cię jako ucznia Mularza. Podnieś się. Prowadźcie go na Zachód.

Uczeń miał znowu obok siebie dwóch ludzi.

— Bracie Dozorco! — mówił Mistrz — zapytaj go, czy pragnie dostąpić pierwszego stopnia światła?

— Pragnę... — rzekł Rafał.

Poczuł gaszenie światła, śwąd świec i zadmuchiwanie płomienia żywicy. Zarazem usłyszał, że wszystkie kroki kierują się ku niemu, i uczył ostrza wszystkich szpad na swoich piersiach. Znowu *Meister vom Stuhl* rzekł uderzając młotkiem:

— Bracie Dozorco, daj mu pierwszy stopień światła.

Wówczas odsunięto nieco z oczu Rafała przepaskę.

Ujrzał płomień spirytusu palący się na wzniesieniu, gdzie siedział Mistrz. Twarz majora, oświetlona kiedy niekiedy przez migotliwy płomień, ukazywała się jakoby w chmurze. Rozległo się drugie uderzenie i znowu wyżej odsunięto opaskę. Gdy po raz trzeci miał uderzyć młotek, Mistrz mówił groźne słowa głosem tak niegroźnym, że Rafał pełen był wesołości i figlarnych conceptów:

— Drżnij waćpan, gdybyś miał zostać wiarołomcą! Drżyj!

Nie drżał ani trochę.

— Wszystkie zwrócone ku tobie oręże przeszyją zdradzieckie serce twoje, gdybyś kiedy złamał przysięgę!

Z wolna zaczęto łoże oświetlać, a w całym zgromadzeniu stała się solenna cisza. Rafał znowu został sam między dwoma dozorcami, ci zaś, którzy przed chwilą kierowali przeciw niemu swe szpady, uszykowali się we dwa szeregi, inni zajęli poprzeczne ławy, jeszcze inni — odosobnione miejsca przy stolikach. Stojący w szeregu trzymali szpady w rękę.

Najprzewielebniejszy zapytał:

— Czego chcesz, mości panie?

— Światła — rzekł Rafał.

— Dozorcy! udzielcie przyjętemu wielkiego światła!

Za trzecim uderzeniem zdjęto z oczu Rafała zasłonę.

— Bracie mój — rzekł Mistrz swoim dobrym, radosnym głosem — jesteś do nas za ucznia przyjęty. Jeśli na to zasługiwać będziesz, nie tylko te wydobyte, ale wszystkie na całej ziemi oręże Braci pośpieszą ku twej obronie.

Brat Rafał ogarnął to miejsce ciekawym spojrzeniem.

Był w sali obitej suknem niebieskim. W głębi jej stał tron ze złotymi ozdobami. Przed tronem był ołtarz, a wyżej stół ze świecznikiem trójramiennym. Po bokach wznosiły się dwie spiżowe kolumny. Na jednej z nich dostrzegł literę *B*, na drugiej *J*. W pobliżu kolumn stały dwa wielkie lichtarze z płonącymi świecami, w głębi, obok ołtarza — trzeci. Tuż przed sobą miał kobierzec z dziwnymi znakami

— *Zur Ordnung!* — rzekł Mistrz.

Wszyscy schowali szpady do pochew. Nareszcie zasłoniono nowemu uczniowi ramię i kazano mu iść naprzód, stawiając stopy pod kątem prostym. Gdy postawił siedem takich kroków, rzekł Mistrz:

— Postawcie go na cyrkle mądrości, na węgielnicy szczerości, na gwieździe płomienistej.

Wykonał znowu trzy trudne kroki we wskazanych miejscach. Mistrz zwrócił się do niego z długą i serdeczną przemową, wręczając mu podane przez mistrza obrzędów na

aksamitnej poduszce: fartuch haftowany z jedwabiu, białe rękawiczki męskie i białe rękawiczki damskie (znak czci dla kobiety), a wreszcie nauczył go znaku ucznia, to jest przykładania do gardła ręki złożonej w kształt węgielnicy oraz powitania braterskiego.

Gdy te wszystkie ceremonie zakończyły się pocałunkiem Mistrza, Rafał, oddany dozorcom, wysłuchał długiego i zagmatwanego wykładu kobierca. Niewiele z tego zrozumiał. W głowie miał szczególny szum i ogień, w skroniach czuł bicie krwi. Nieznane mu twarze braci przejmowały go teraz uczuciem nieokreślonym. Wiedział, że jest z nimi złączony na zawsze, a przecież byli dla niego obcy i jakby wrogowie.

Przewielebny uderzył młotkiem i zapytał:

— Bracie Pierwszy Dozorco, która jest godzina?

— Północ.

— Ponieważ jest północ, oświadczcie w rzędach swoich, że zamysłam tę sprawiedliwą i doskonałą lożę ucznia zamknąć przez trzy uderzenia wielkie i otworzyć lożę stołową.

Trzy uderzenia Mistrza, powtórzone przez dozorców, zamknęły posiedzenie. Zgromadzeni przeszli korytarzem do innej sali, gdzie już były zastawione stoły. Była to długa izba z nagimi ścianami. Mistrz katedralny zasiadł pośrodku, obok niego z prawej strony książe, a tuż przy tych dygnitarzach posadzono Rafała. Stoły były ustawione w podkowę i nowy mularz widział ze swego miejsca wszystkich współbraci. Sądził, że teraz skończą się już obrzędy, ale się zawiódł. Mistrz, zwrócony do dozorców, oświadczył uroczyście:

— Loża stołowa ucznia jest otwarta i każdy brat może pracować wedle projektu pracy, jaki dany będzie.

Gdy uderzył młotkiem, milczące aż dotychczas towarzystwo poczęło rozmawiać. Bracia sami roznosili potrawy. W drugim rzędzie poza nakryciami stały butelki z winem i szklanki okrągłe dziwnego kształtu, ze rżniętymi symbolami, a dnami grubymi na cal. Po trzecim daniu Mistrz uderzywszy młotkiem mówił:

— Bracia, napełnijcie strzelby prochem tęgim!

Bracia usługujący napełnili szklanki winem białym.

— Czy wszystkie strzelby nabite są prochem tęgim?

— Wszystkie — rzekł brat Dozorca.

— Damy ognia ten pierwszy raz na zdrowie króla i pana naszego Fryderyka Wilhelma! Ręka prawa do strzelby, strzelba do lica, do ust, ognia!

Wszyscy spełnili puchary. Ujrawszy to Mistrz komenderował:

— Strzelba do lewej piersi, do prawej, do środka piersi, dwa razy uczynić trójkąt!

Bracia sprawnie, jak jeden, wykonali tę komendę. Stawiając szklanki uderzyli nimi jednocześnie wszyscy z głośnym hałasem. Po wtóre w ten sam sposób wypilo zdrowie Wielkiego Mistrza, *Landes-Gross-Meistra*, Brata Fryderyka von Castillon, profesora filozofii w król. Akademii Berlina, później zdrowie Wielkiego Wschodu, Mistrza katedry, urzędników loży „Złoty lichtarz” i świeżo przed miesiącem powstałej „na wschodzie” Warszawy loży pod nazwą *Friedrich Wilhelm zur Säule*, wreszcie zawiązującej się loży siostr masonek. Wypite wino działało na Rafała w sposób nadzwyczajny. Nie był pijany, nie był nawet podochocony. Teraz jego myśli zaczęły żyć. Widział jasno, rozumiał jak nigdy w życiu, co się z nim dzieje — i był wszystkiemu rad. Męska, potężna siła płynęła teraz w jego żyłach, ramiona dźwigały się do czynu, umysł był ostry jak topór. Spoglądał w oczy nowych swych braci, w jedne oczy po drugich, w twarze Niemców i Polaków, po raz pierwszy widziane, i w każdym oku widział siłę nieubłaganą, taką samą jak w sobie.

Wtem Mistrz katedry wstał mówiąc:

— Ostatni ten raz wystrzelimy za zdrowie wszystkich masonów, od bieguna do bieguna ziemi, więc przed wystrzałem uczynicie, Bracia, na znak tej tajemniczej ligi, ciągły łańcuch, łącząc ogniwo z ogniwo.

Wówczas rozległa się pieśń Braci, mówiących po polsku:

Jedność jest kamień węgielny
I przybytek okazały,
Gdzie Budownik Nieśmiertelny
Żąda od nas wiecznej chwały.
W nim to moralni Mularze,
Wzgardziwszy przesądem świata,

Cnocie stawiają ołtarze,
W cnotliwym uznają Brata...

Wszyscy stanęli w otworze stołu i podali sobie ręce. Mistrz podał ręce dozorcóm, ci bracióm służącym, urzędnicy między sobą wszyscy aż do Rafała, najnowszego ucznia. Łokieć prawej ręki każdego łączył się z lewym łokciem sąsiada, a dłoń spoczęła na jego ramieniu. Wszystkie oczy skierowały się ku oczóm Mistrza, utopiły w nich i tak na długo zastygły. Jakże dziwnymi stały się te oczy Mistrza katedry! Jakże były wzniosłe, potężne, jakże były silne i wszechobjmujące! Ogromny, straszliwy dreszcz jak cios zatrzęsł całym ciałem Rafała, spadł powoli do jego stóp i zdało się, jak gdyby wsiąkł w ziemię...

LOŻA PROFANKI

Książę Gintułt przy pomocy „brata” Rafała pisał swe dzieło szczególne. Była to niby historia zakonu templariuszów, ale dzieje stanowiły tylko tło rzeczy. Właściwie zaś był to wykład systematu filozoficznego. Rafał z konieczności, wbrew woli, pogrążony został w surowe studia źródeł do tej pracy, począwszy od zamierzchłych kultów religijnych Azji i Afryki, badania sekt u ich źródeł, a kończąc na materiałach do historii Jakuba Bernarda Mollaya, arcybiskupa z Bordeaux Bertranda de Got, późniejszego Klemensa V, Filipa z przydomkiem *le Bel* i żony jego, królowej Joanny. Osobliwie król Filip stał się osobistością, z którą się niemal przestaje. Ciągłe również miał przed oczyma dzieła św. Bernarda, nade wszystko jedno z nich, mianowicie *Exhortatio ad Milites Templi*. Często pisał te słowa, które z dziwną rozkoszą to tu, to tam, w różnych miejscach tekstu książę mu dyktował:

„Żyli nie mając żadnej własności, a nawet własnej woli. Prosto odziani, pyłem zakurzeni, opaleni słonecznym promieniem, zdawali się być śmiertelnymi za życia, jak wiara, co ich żywiła. Nic ich odwagi zachwiać nie mogło, żadna przeciwność nie oziębiła. Wielkość niebezpieczeństwa zdołała im zwycięstwo. Każdy krok ich był krokiem ku potomności”.

Te studia niewiele wpłynęły na usposobienie Rafała. Ani jeden krok jego nie zmierzał ku potomności. Znużony i znudzony pisaniem wymykał się wieczorem w sekrecie do Jarzymka. Grał i hulał. Książę żyjący odludnie nie wiedział o tym trybie życia swego „brata” sekretarza, a jeszcze mniej mógł wiedzieć gruby a ciężki *Meister vom Stuhl*. Zresztą Rafał ukrywał się doskonale. Miał własny klucz od mieszkania, i nikt, z wyjątkiem starego sługi, nie wiedział o jego nocnych wycieczkach. Do łoży uczęszczał jak najpilniej i nigdy nie zasłużył na karę za spóźnienie. Sumiennie płacił składki (z pieniędzy wygranych w karty) i z wolna zyskiwał sobie opinię dobrego brata u ludzi najlepszego towarzystwa. Wprowadzony do łoży przez księcia poniekąd z konieczności, dla zupełnego utajenia prac i schadzek z Mistrzem katedry, stał się nie tylko członkiem najlepszego towarzystwa, lecz i poprawnym mularzem.

Nikt nie zwracał teraz uwagi na jego sekretarstwo. Wszyscy wiedzieli, że jest to rola przygotowana, jak urząd w łoży.

Na uroczystość świętojańską łoża warszawskie niemiecko-polskie: *Zum goldenen Leuchter* i *Friedrich Wilhelm zur Säule* pragnęły wystąpić okazale; by mieć o czym donosić Wielkiemu Wschodowi „na wschodzie” Berlina. Postanowiono tedy powołać do życia rozsypane łoża siostr masonek i złączyć je w jedną. Kilkanaście siostr z łoż dawnych Wschodu polskiego mieszkało w Warszawie. Były nowe kandydatki, pragnące z nudów i dla mody wstąpić do łoży, byleby się jaka otwarła, więc Polacy, pracujący pospołu z Niemcami, zakrzętnęli się żywo. W początkach czerwca powstał związek łoży niewieściej i wnet był „afliowany” do łoży męskiej na wschodzie Warszawy, pod nazwą *Zum goldenen Leuchter*. Odbyło się wkrótce pierwsze wspólne posiedzenie, wzbudzając nadzwyczajne zainteresowanie w świecie masonskim. Szeptano ciągle, że Mistrz katedry pragnie wprowadzić do łoży swą młodą małżonkę, przed rokiem poślubioną, z ciekawością wyliczano imiona siostr, które miały przybyć. Rafał z zapalem wybrał się na tę niezwykłą uroczystość.

Łoża tego wieczora była przybrana nieco inaczej niż zwykle, choć tymiż barwy. Mistrz zasiadł na wzniesieniu. Brat Straszny stanął za nim z mieczem i łańcuchem w ręku. Wśród

ogólnego napięcia Mistrz katedry zabrał głos i polecił mistrzowi ceremonii oraz wielkiemu przewodnikowi udać się do sali sąsiedniej i prosić zgromadzone tam siostry dawnych łóż polskich, aby weszły do świątyni. Nim się ukazały, na dany znak Bracia zanucili śpiew:

Witajcie, siostry swobody,
Witajcie w świątyni chwały,
Którą ręce świętej zgody
Dla dobra świata działy!
Wznoście z bratnimi ofiary
Podstawy cnoty ołtarzy
I złóżcie na nich te dary,
Co zdobią wolnych mularzy!

Po odbyciu ceremoniału wkroczyło do sali kilkanaście przekwitających albo już zupełnie przekwitłych piękności z ostatnich lat Stanisławowskich. Siostry złożyły naprzód gałązki oliwne u stóp ołtarza, a później zajęły miejsca w kolumnach. Wielki mistrz otworzył lożę i wygłosił w języku francuskim powitanie i naukę. Gdy wyrzekł ostatnie słowo i pięćkroć uderzył młotkiem, który dnia tego był przewiązany wstęgą błękitną, z cicha, jakby oniesmielony, zapytał, czy nikt nie ma żadnego przedłożenia. Mistrz ceremonii odpowiedział, że jest profanka, która pragnie być przyjętą do towarzystwa masonek. Na pytanie: czy nikt się nie sprzeciwia tej prośbie, gdy zgromadzeni powstawszy wyciągnęli prawe ręce ku obrazowi, Przewielebny wysłał jednego z braci, aby kandydatkę przygotował. Rafał doświadczał silnego uczucia niesmaku i zawodu.

Damy, które miał przed oczyma, nie budziły w nim entuzjazmu, a i kandydatka, jak należało przypuszczać, powiększyć miała liczbę tych malowanych i fryzowanych zwalisk, przyłożyć nowy grymas zalotności do sumy wystudiuowanych, ale dawno bezskutecznych uśmiezków. Toteż z jawną niechęcią myślał o długich ceregielach czekających go tej nocy w loży, dusznej jak łaźnia rzymska. Brat Stuart znikł był za drzwiami sali rozmyślał, dobrze Rafałowi pamiętnej, i długo nie wracał. Tymczasem Mistrz zadawał siostrze Mistrzynie masonek pytania z rytuału, na które ona wprawnie i z wypróchniałym wdziękiem odpowiadała:

— *Que faut-il pour rendre une loge juste et parfaite?*
— *Trois la composent, cinq la rendent juste, sept la rendent parfaite.*
— *Qui sont-ils?*
— *Le Vénérable, deux Surveillants, deux Compagnons et deux Apprentis.*
— *Dans quelle loge avez-vous été vécu?*
— *Dans la loge Saint-Jean.*
— *Pourquoi nos loges sont-elles dédiées à Saint-Jean?*
— *Parce que les Frères Maçons qui s'étoient unis pour la conquête de la Terre Sainte avoient choisi Saint-Jean pour patron...*

Wtem rozległo się twarde uderzenie we drzwi, i po zwykłych pytaniach oraz odpowiedziach stanęła na progu profanka. Oczy jej były zawiązane bardzo szeroką przepaską, która prawie całą twarz od czoła aż do ust zasłaniała. Złota frędzla przepaski spadła na ramiona śnieżnej białości, na piersi obnażone. Spod zasłony widać było tylko przepych bujnych pozłocistych włosów, w grecki pukiel *krobylos* związanych, i uchylone usta. Niepewne światło sześciu lamp spirytusowych rzuciło na tę postać przerywany blask. Rafał spostrzegł uchylenie ust, trwożliwe uchylenie jak u trzyletniego dziecka, spostrzegł je i zamarł w oczekiwaniu, tęsknym aż do boleści. Ani jedna myśl nie była w stanie wydzwignąć się z jego mózgu. Serce biło coraz wolniej i tylko same wargi bezdźwięcznie lkały:

— O, włosy, włosy złote... O, usta, o moje usta...

Bracia i siostry na widok profanki trzykroć przyklasnęły uderzając ręką po prawym biodrze. Dwaj bracia Stuarci oprowadzili przybywającą dwakroć dokoła loży, trzymając ją pod ręce, po czym umieszczona naprzeciwko Przewielebnego Mistrza katedry, z pochyloną głową czekała.

On rzekł:

— Kobieto, kim jesteś?

— Nazywam się Helena de With.

Usłyszawszy ten głos Rafał o mało nie krzyknął. Zdławił głos w piersiach i tylko palce jego prawej ręki wpiły się jak szpony w dłoń lewą. Rozpacz i szczęście płynęły przezeń jak wiatr przez gałęzie drzewa.

Przewielebny mówił coś do profanki i płątał się w tej przemowie jak żaczek wydająca lekcję. Nareszcie po nieskończeniu długich pytań i odpowiedziach, po ceremoniach, które, zdawało się, trwały dziesięć lat, Rafał ze drżeniem usłyszał te jego słowa:

— Damy ci pierwszy promyk światła, który ma kierować twoimi krokami. Niech dadzą pani de With pierwszy promyk światła.

Mgła leż zasłoniła oczy Rafała. Widział, że ktoś zbliża się do pani de With i odwiązuje przepaskę. Machinalnie podniósł swą szpadę jak wszyscy, żeby nad kandydatką utworzyć stalowe sklepienie. Błyski kling zasłoniły mu twarz odkrywającą się spod przepaski, ale ją ujrzał za chwilę. Bez oddechu, jakby bez wzruszenia, zimnym, obłąkanym wzrokiem zobaczył tę twarz, oczy królewskie, łuki brwi i policzki cudniejsze od woni kwiatów wiosennych. Usłyszał znowu głos jej, gdy przysięgała wobec Stwórcy wszechrzeczy i na wszystko, co może być świętego dla kobiety uczciwej, że dochowa tajemnic pod karą miecza Anioła Niszczyciela. Rafał trzął się i dygotał z zimna słysząc te wyrazy. Włosy jeżyły mu się na głowie, a wiatr śmiertelny owionął czoło. Kły i pazury wilcze werżnęły się w jego gardło, młotem biły go w dekę piersiową, włamały się pod żebra, a zielony blask ślepiów ozonał go wychodząc ze strasznej nocy. Przecudny głos brzmiał jakoby pieśń spod nieba:

— Oby ogień panujący w wyższych powietrznych sferach ogarnął moją duszę, a oczyszczając ją oświecił na drodze cnoty...

Brat Straszny potrząsnął łańcuchem, założył go na szyję nowej uczennicy. Rafał nie widział, co się działo, nie rozumiał, czemu wstępującej siostrze przypięto biały fartuch i dano białe rękawiczki. Nie rozumiał ani jednego słowa z przemowy Mistrza; patrząc nie widział, jak Mistrz z uśmiechem szczęścia oddał nowej siostrze, a żonie swej, pocałunek pokoju, mówiąc:

— Pozwól, abym ci dał pocałunek pokoju, a ty go oddasz braciom i siostram, równie jak słowo, znak i dotknięcie.

Rafał był wtedy w sobie samym. Na nieznanym, tamtym świecie. Krwawymi oczyma patrzył się w duszę swoją leżąc na dymiącym śniegu wśród pól. Widział śmierć, która idzie. Nowo przyjęta siostra posuwała się z wolna, jak piękny duch, jak wzniosły a rozkoszny dźwięk wydobyty z najczarowniejszych strun wiolonczeli, oddając braciom i siostram pocałunek pokoju. Wyciągniętą ręką dotykała palców każdego i z cicha, z uszanowaniem i pokorą wymawiała tajemnicze „słowo” — *Feix*, co znaczy: „Szkola”. Oczy jej były spuszczone, a cudne, prawie odsłonione piersi oddychały głęboko. Kiedy zbliżała się, obszedłszy środek, do kolumny, w której na samym końcu stał Rafał, powiodła okiem z wyrazem lekkiej, mglistej niechęci. Szła przeciw dalej, wykonywając rozkaz Mistrza. Tak przyszła przed Rafała. Wyciągnęła rękę i dotknęła stawów jego ręki, podniosła oczy z szacunkiem i cichą trwogą, pewnie dla zbadania, czemu ta dłoń tak drży, podniosła oczy jak na twarz każdego z braci... Ale ujrawszy tego, ostatniego w szeregu, oniemiała. Oczy jej nagle zastygły, twarz odchyliła się jeszcze bardziej w górę. Kolana pod nią zgięły się. Zdawało się, że padnie w tył. Wolno udźwignęła lejącą głowę. Wtedy uśmiech...

— *Feix* — wyszeptała drżąc jeszcze, ale w uśmiech cała pogrążona jak w blask miesiąca.

Usta jej zbliżyły się do warg Rafała i dotknęły ich cichym, strasliwym muśnięciem rozkoszy. W tej samej chwili szept, szept szczęścia przemieniony w strach piorunowy, spłynął z nich w usta kochanka:

— O, Boże...

POKUSZENIE

Helena de With błąkała się po swym buduarze. Gruby dywan tłumił szelest jej kroków, adamaszkowe ściany zasłaniały od zewnętrznego szmeru. Było dokoła niej cicho i ciemno. Parna noc czerwcową zesłała na ogród i dom, objęła wszystko wrzącym uściskiem. Liście drzew zasłaniające okna wisiały nieruchomie i ciężko, jak płyty młotem wykute z żelaza...

Helena zbliżała się do okien, wychodziła na balkon wiszący ponad trawnikiem, znowu cofała się w głąb pokoju, miotając się bez wiedzy, bez woli...

Palila ją suknią na ramionach i biodrach, cisnęły ją ciężmy ze śliskiego atlasu, dolegało jej związanie nieobjętych, nieogarnionych, ciężkich włosów. Tysiąc już razy pomyślała, żeby zrzucić suknie i rozpuścić włosy, ale za każdym razem ręce jej opadały bezwładnie i splatały się z boleścią. Spoglądała w czarną noc stojącą między pniami drzew, w noc słabo poczerwieniałą u brzegu od niezastygłej jeszcze żarnicy wieczornej czy nadchodzącego już wschodu, w noc upalną jak żelazo gdy stygnie, i usta jej szeptały ciche, sekretne, zakazane, w tęsknocie poczęte wyrazy. Wlepiała wzrok w aleje niewidoczne, których głębokie jaskinie przejmują zmysłowym lękiem, rozkosznym strachem, i słuchała, jak przed nią i za nią nieruchomą i wieczną jest cisza nocy. Wyciągała ku ogrodowi stęsknione ręce i stęsknione usta, przycisnęła do pustki czoło pragnące wsparcia, kładła je na ramieniu nocy, a rozchyłonymi nozdrzami chwyciła cierpką woń narcyzów, głuchą, niemą, bezdenną woń tęsknoty. Jakże dziwną była dla niej ta duszna noc, jakże była osobną, odmienną i jedyną w życiu! Porywała ku sobie, ku głębiom pełnym rozkoszy niewysłowionej, których przecież nie da zaznać nigdy...

Dłgie pogody, suche wiatry i morze upału składały się na nią, tworzyły ją od tygodni. Stała teraz nad ziemią straszna i urocza, mocna a nieprzemierzona, wołając z głębokich ciemności. Radość wznosiła się na kłębach zapachów z mroku jej, radość wszystko ogarniająca, wspaniała, olbrzymimi ruchy wyzwalająca ciało i duszę. Ale nie sama ta radość dawała szczęście. Och, nie! Była tylko jak gdyby nadzieją szczęścia, które jest w pobliżu, krąży dokoła domu, czai się w słupach dymiących aromatów, czeka i lękliwy krok stawia bez szelestu. Serce biło w Helenie de With twardymi ciosami, a uderzenia jego rozlegały się w uszach jak kroki szczęścia nadchodzącego. W jednym miejscu, między obłokami liści, widać było czyste, granatowe niebo i miliardy na nim gwiazd. Gwiazdy były jaskrawe, bliskie ziemi, brylantowe. Zdawało się oku, że widzi ich bryły i ostre kanty. Helena wzniosła oczy ku wiekuiestej nieskończoności nieba i stała tak długo, kołysząc się łagodnym, melodyjnym ruchem. Słyszała w sobie jakoby melodie gwiazd, śpiew ich wdzierający się do serca niewidzialnymi drogami, jak wdziera się do duszy zapach kwitnącego ogrodu. Mówiły gwiazdy:

— Czymże ty jesteś, który chciałeś nazwać mnie żoną? Ktoś ty jest i skąd wzięłeś prawo nad moją pięknoscią? Cóż mi ty w darze przyniesiesz? Czy masz oczy, które bym kochała aż do śmierci za dziewiczość moją? Czy masz włosy, które się śnią uśpionej w nocy i w zamyśleniu chodzącej we dnie?

Potworny jesteś i obmierzył w twojej mądrości i dobroci, z uśmiechem cnoty na ustach i od szukania po ziemi prawdy ze zmarszczkami na czole. Głowa twoja jest zimna i ciężka, słowa twoje żelazne, mądre i obojętne. Nie pachnie ani jeden wyraz, nie obudzi żalu ani tęsknoty... Gardzę wszystkimi słowy twoimi wysnutymi ze starych ksiąg, wspaniałym, wszystko wiedzącym uśmiechem i gorzkimi a szczerymi łzami nad nędzą i małością zachodów człowieczego rodu! Gardzę twoim niezwykłym rozumem i wspaniałym sercem!

Jeśliś jest wyższy nade mnie, to tobą za to właśnie gardzę.

Jeśliś jest lepszy ode mnie, to tobą gardzę po stokroć!

Nie chcę, żebyś miał prawo do jednego palca mej ręki, do jednego włosa mej głowy. Wszystkam jest jego w marzeniach całej młodości, wszystka jestem od stóp do głowy, od włosa na głowie do małego palca u nogi, wszystkam jest jego! Słowa jego szeleszczą za mną, wdychają we mnie i pogrążają się w moje oczy. Czy patrzę na falę morza, na widoki ziemi, na obłoki nieba — widzę jego spojrzenie. Usta jego czerwienią się od krwi jak róże w moim ogrodzie, czarne brwi zsuwają się potężnie od władzy strasznej i słodkiej nade mną, nad moją duszą i ciałem, od władzy, którą tak kocham. Za jego szczęście na ziemi dałabym sobie bez żalu uciąć tę rękę, za jego taką samą miłość dałabym sobie wyrwać piersi, a za to, żeby w głuche noce być jego, dałabym sobie wylupać oczy...

Łkała nie roniąc łzy z oczu. Szarpała cudnymi palcami żelazne ozdoby balkonu jakoby powrozy niedoli, które ją opasywały, i wila się na miejscu jak nadeptana żmija.

Ale oto ramiona jej zadrżały od niewiadomych dotknięć zapachu klombów. Wzburzona nienawiść ucichła w sercu. Coś jak wietrzyk lekkie i wonne owionęło jej czoło, głowę, poruszyło włosy i spłynęło na obnażoną szyję. Uczuła w sercu swym z niewy-

mowną pokorą powiew szczęścia. Złożyła ręce na piersiach, schyliła głowę... Przez serce jej płynęły wtedy marzenia:

— Widzę usta jego przy moich piersiach, a czoło przy nagim ramieniu. Włosy jego głowy są na ręce mej obnażonej, a białe czoło naprzeciwko ust. Czerwone są jego wargi jak róże z mego ogrodu, a ruchome są i żarliwe jak krew, kiedy wytryśnie ze świeżej rany i uchodzi. Białe zęby błyskają między uśmiechniętymi wargami jak krótka wiosenna błyskawica. Któż to mię całuje w tej ciszy i ciemności? Czy to ty mię całujesz, błyskawico? Czy to wy róże? Czy to ty mię całujesz, młody mój cieniu? Echo moje w górach, błękitne widmo na drogach morza, obłoku mój na niebie? Duszo mej duszy?...

TAM...

W pierwszych dniach lipca pani de With wyjechała z Warszawy na kurację do Bardyjowa. Do granicy austriackiej nad Pilicą jechała swymi rozstawnymi końmi, a dalej odbyła podróż dyliżansem pocztowym. Niezwykle krótko zatrzymała się w Krakowie. Co dziwniejsza, powzięła nagle postanowienie odwiedzenia swych stron macierzystych, Dersławic, dóbr swoich w Sandomierszczyźnie. Ochmistrzyńni i pannom służącym kazała czekać na siebie w Krakowie, a sama wczesnym rankiem wyjechała, gdy służące jeszcze spały. Uczyniła to tak niespodziewanie, bez poprzedniego rozważenia sprawy, jak to miała we zwyczaju, że stara Balbisia, ochmistrzyńni, która ją wyniańczyła i wychowała, z podziwu wyjść nie mogła.

Tymczasem pani de With jechała co prędzej, ale nie w stronę Sandomierza. Suto płaciła pocztylionom od stacji do stacji, zmieniała konie i pędziła w tumanach kurzu po urwistych górskich drogach. Gdy w ostatnim miasteczku, którego już w nocy dosięgła, wysiadła przed nędzną żydowską oberżą, była okryta pyłem od stóp do głowy. Rozognione jej oczy szukały czegoś — i znalazły. Rafał Olbromski stanął przy drzwiczkach powozu i uściskiem mocnym jak wieczny ślub objął jej rękę. Zaśmiała się krótko, gardłowym śmiechem i równie mocno rękę jego przygarnęła do serca.

— Pojedziemy dalej... — szepnęła.

— Nie! Tu zostańmy — błagał pochylony ku niej.

— Pojedziemy dalej! — rzekła stanowczo, zamknawszy oczy przed jego oszalałym spojrzeniem. — Czy są konie?

— Są... ale tu zostańmy...

— Jedziemy!

Rafał odszedł, żeby wydać rozkaz. Helena wyskoczyła, weszła do oberży i usiadła w kącie pustej izby. Świeciła się tam już na szynkwasiu łożowa świeczka. Po chwili on przyszedł i stanął w taki sposób, żeby ją od światła i żydowskich oczu zasłonić. Ale korzystał z tej samej chwili: patrzył na nią. W półciemności widzieli wzajem tylko swe oczy i tonęli w nich zapamiętawszy się na śmierć. Była to rozkosz zaiste śmiertelna, wyzwolona, naga, szczęście jednej chwili, trwające przez wieczność. Teraz dopiero czuli oboje, jak straszliwie i nad życie się kochali. Gdyby jedną chwilę trzeba było oddać, cofnąć, odjąć sobie za cenę życia, zrzekliby się życia z drwiącym śmiechem. Słowa, jak ciężary bez wartości, zwały się i upadły na dno dusz. Tylko anielskie uśmiechy wzajemnego pozdrowienia, jak o świcie mgła sucha z ziemi ukwieconej, wstały i rozszerzyły się w oczach i ustach.

Dał się słyszeć na brukowanym podcieniu radosny tętent kopyt końskich i hulaszczy a do gromu podobny turkot kół. Rafał uczynił znak głową, że już czas. Ale jego towarzysza nie podnosiła się z miejsca. Odsunął się od światła i zajrzał w oczy. Siedziała nieruchoma z oczyma idącymi za nim, z uśmiechem zaczarowanym. Rondo kapelusza związanego pod brodą oskrzydlało jej twarz. Tylko niektóre pasma włosów wymykały się wzdłuż policzków. Szary płaszcz podróżny z pospolitego płótna okrywał ją całą od stóp do szyi. Ręce leżały bezwładnie, splecione na kolanach. Była tak przecudowna, tak nieznaną, tak obca, a zarazem tak do jego istoty należąca, wydartą z głębi piersi, że jak skamieniały nie mógł się poruszyć. Toż jest Helena z Dersławic?

Stał w obłoku powietrza uszczęśliwiony przez jej obecność, i powtarzał stokroć ów pewnik, że ona jest na pewno tu, gdzie na nią czekał tyle godzin w spazmach tęsknoty i paroksyzmach zwątpienia. Nierychło, nierychło przesunęła się w jego duszy smuga łaskawego światła, ciepła i wonna myśl, że to jest pierwsza chwila, pierwsza godzina

i pierwszy dzień, że nastanie szereg godzin błogosławionych, dni szczęśliwych szereg nie-
skończony.

Ta sama myśl odbiła się w jej oczach, w ustach i na czole. Ujrzał ją wszystką roz-
kwitłą jak jerychońska róża. Serce nie biło w jego piersiach, lecz drżało, ręce same się
spłotły i błogosławieństwo wypłynęło na wargi. Tak samo spłotły się jej ręce i oczy zasłoniły
powiekami. Stał patrząc w swe zniszczone szczęście i modlił się bez słów, bez poruszenia
zastygłą wargą.

Za chwilę, rzuciwszy karczmarzowi sztukę złota, wsiedli do kutej krakowskiej bryki.
Tęgim klusem ruszyli z miejsca spasio, rosło konie. Na gościńcu za miastem poszły
jeszcze lepiej z kopyta. Zakochani siedzieli przytuleni do siebie, czując, jak w ich żyłach
przepływają te same strumienie ognia. Kiedy niekiedy tylko oddawali sobie wzajem kilka
słów, słów-pieszczot, słów-uściśnień. Konie parskaly na równym, wyschłym gościńcu.
Obłok kurzawy wstawał spod ich kopyt, otaczał wasąg i podróźnych.

Noc była księżycowa, widna. Nie powstała na niebie ani jedna chmurka. Wiatr rzeźwy
ciągnął od gór, gdzieniegdzie wywabiał z dolin wilgotne opary, mgielki w tych miejscach
zrodzone i niechzące odejść. Dźwigał je po zboczach i garbach wyniosłych regli. Gości-
niec biegł dolinami gór, które wierzchołki swoje wznosiły coraz wyżej i wyżej. Szerokie
lasy, czarne puszcze przelewały się z góry na górę, wznosiły i zniżały. I droga — to leciała
w dół, ku rzece błyszczącej na kamieniach, to znowu wspinała się na przełęcz, wdzierała
na strome zbocza. Tu i owdzie wzywał ze szczytu góry kadłub skalisty i szarzał w świetle
miesięcznym. Czasami droga szła przez modrzewiowe aleje, przez jaworowe ulice i świer-
kowe podgaja. Często bryka leciała z łoskotem wzdłuż uśpionych wsi podkarpackich,
między stadami psów, skaczących na wysokość drabinek wozu. Wsie spały, były puste
i jakby wymarłe. Ani jedno światelko nie zapowiadało w nich życia. Psy ze wściekłością
odpędzające wędrowców od tych schronisk rosły w oczach i zdawały się być potwornego
kształtu i ogromu.

W jednym miejscu konie krótko wytchnęły przed zatarasowaną we wsi karczmą.
Obok karczmy stała chata pod cieniem wielkich modrzewi. Światło księżyca przenikało
ruchome, miękkie, delikatne, żółtawe w tym blasku gałęzie, których szczyty chwiały się
z wolna, stykając się i rozchodząc pomiędzy sobą. Jedna ściana domostwa i połamane
linie górskiego dachu z szerokim okapem oblane były światłem księżyca, a cały dom
w mroku ginął. Na tej ścianie ubogiej światło uczyniło sobie królewski przybytek. Śniło
na niej przedwieczny swój sen. Widzieli każdą od lat szerniałą belkę, każdy w niej cios
siekiery, każdą okrągłą wypaść sęka, rysunek rdzenia i warstw drzewa. Płazy te miały
teraz nie swoje barwy. Któż wie — może śniły tej cudnej nocy sen o życiu na pochyłości
urwiska góry, w szumie gałęzi, w poświstach zielonych igieł, gdy huczają trąby górskiego
wiatru...

— To nasza droga, nasza biała, szczęśliwa droga... — szepnęła Helena. — Tam po-
jedziemy. Ta jest droga prowadząca do szczęścia...

— Patrz, a ta biała ściana domu... — mówił Rafał cicho, jakby zwierzał tajemnicę
i nie chciał przerwać zaczarowanego snu ściany.

— Nie, nie! Tam...

— Przecudna, biała ściana...

Głos obojga był inny, odmienny, zgoła niepodobny. Słuchali się wzajemnie z ra-
dosnym zdumieniem, a każde słowo, każdy dźwięk spadał w tajemniczą skarboneę, jak
diament bez ceny. Woźnica skoczył na kozieł i ruszyli dalej.

Gościniec biegł teraz chyżo w dół, ku rzece lśniącej, z szumem i zawodzeniem rwącej
po kamieniach. Łóżysko jej, wysłane szeroko rozmięcionymi głazami, widać było z od-
dalenia. Nad brzegiem stały wierzby o wąskich a długich liściach, które teraz w świetle
księżyca jaśniały od rosy szarobiałej. Liście te chwiały się i wyginały ku światu, hucząc, że
to one szemrzą tak głośno.

Wysoko wzbil się księżyc. Było po północy. Szczyty leśnych gór odrzynały się w zrze-
dłym błękitnie nieba kudłatą i potarganą albo kędzierzawą i wełnistą linią. Zimno było
coraz bardziej, jak na nizinach w późnej jesieni. Na prawo i na lewo leżały przy białej
drodze cienie tak głębokie i czarne, że zdały się być otchłaniami bez dna. Szły przed
oczyma w głębokość gruntu jakby wskroś ziemi jaskinie dolin. Tam to rzucala się droga

w rozwartą paszczę. Oczy wierzyć nie chciały, że ta jasna, srebrnolita wstęga tam pódzie, że tam właśnie ośmieli się powieść za sobą. Serca wołały na nią, gdy nagle zwracała w bór czarny i zimny, w gęsty jego mrok, w knieję ziejącą mroźnym oddechem. Olbrzymie świerki wychylały niespodziewanie kolosalne swe szczyty jak gotyckie wieże otoczone bogactwem kwiatonów. Słychać było, gdy konie szły pod górę noga za nogą, szept drzew, ni to mowę wysiłu tych miejsc niezdobytych przez człowieka, ni to przestrach pustyni ze snu ocknionej. W cieniu śniące gałęzie, cicho zwieszono ku ziemi, wzdrygały się niespodzianie i pochylały z cichym a złowieszczym sykiem. Łoskot kół bryki huczał, a porywcy tętent kopyt rozlegał się na sennej drodze. Leciał stamtąd w martwy las na podobieństwo tysiąca toporów rozrąbujących kamienną ciszę.

Strach-nie-strach owiewał dusze. Patrzali w ten kraj jakoby w obraz miłości swej, w tajemnicę swego życia. Skądże przyszła ku nim ta ziemia przedziwna? Kto ją dla nich uczynił? Oczy nurzały się w nią, nurzały bez końca i, zapamiętawszy się w cudnym blasku miesięcznym, nie mogły objąć piękności. W sercach powstawał niesłychany żal, przeobrażał się w krzyk przerażenia czy radości, w hymn święty, na który w mowie ludzkiej nie ma słów. Dusze, jak niemowy, chciały z siebie wydrzeć choćby jeden dźwięk, jedną nazwę, jedno imię, a tylko głębokie westchnienie, do stworzenia sylaby niezdolne, zawierające w sobie całkowite czucie — wyrывało się ku gwiazdom rozsyanym w niebiosach.

Wtem droga zawisała nad urwiskiem i skręciła się w miejscu. Las uciekł sprzed oczu i, jakoby ciemne skrzydło, chyżo poleciał w bok, na dół. Helena krzyknęła. W dali, w przestworzu, w odległej dolinie między dwiema górami, których czarne puszcze zlewały się ze sobą, ukazał się inny świat. Zdało się, że się odchyła kraina księżycy...

Z daleka, z nieskończoności, zza czarnych lasów płynął poziomo złoty dym obłoku i rozwiewał się w błękitną nicość. Nad nim, spomiędzy miękkich zwojów podnosiły w niebo kamienne głowy bezlesne turnie, rozszarpane, jakby były skamieniałym na wieki wiatrem. Zimne ich oblicza uśmiechały się w złotawym niebie. Helena przycisnęła ramię swe do ramienia kochanka i nachyliła ku niemu usta. Usłyszał jej szept:

— Widzisz! Tam jest nasze szczęście. Widzisz? To jest szczęście...

Cichy śmiech, cichy śmiech zadrzał jej w krtani. Po chwili znowu szeptała:

— Czekałam na ciebie tak długo, przez całą młodość, o szczęście, o złote moje, o niebotyczne, o najwyższe, uśmiechnięte!... Tu, na twoich piersiach, był wilk, tu, gdzie tak bije serce! Aleś go zabił. O panie mój! Straszna morda wilcza i białe kły były tu, obok gardła. Krzywe pazury wbijały się między żebra, a ślepie patrzyły w twe oczy! Jakżeś jest mężny, silny i straszny! Jakżeś jest niezwyczęzony! Mocniejszy jesteś niż zima, niż lód, niż wichur! Mocniejszy jesteś niż wilk. Ty się nie boisz nikogo na ziemi! Masz przy sobie sztylet, nabitą kulami broń, ale nade wszystko ty jeden masz serce z żelaza. Drwisz sobie i śmiejesz się wesoło z ludzi, z przysięg i ślubów. Nie boisz się nikogo, nikogo, nikogo na ziemi. Ani ludzi, ani zwierząt! Któż może wyjść naprzeciwko nas? Powiedz... Nikt! My jesteśmy sami jedni na świecie! Jesteś straszny! Jesteś piękny! Drzę na samą myśl... Jestem twoją służebnicą... O, miły! Tam...

GÓRY, DOLINY

Chata ich stała samotnie u skraju puszczy. Czarny jej dach ginął w cieniu odwiecznych jaworów. Z wielkich pniów świerka wyciosane były ściany chaty, jakoby zamek. Spiczasty a rozłamany pośrodku dach jej wysuwał się poza ściany i tworzył chodnik pod okapem, od dżdżu chroniący. Ściany domowe dawno szerniały: były ciemnobrązowe jak odświętna cucha górala. Mocne drzwi nabite kółkami prowadziły do tej świetlicy, gdzie się przed ludźmi schowało ich szczęście. Kochane były te drzwi!

Jakże im miły był śliski zgrzyt zasuwy, gdy o świcie stary gazda przynosił pod ich próg mleko jeszcze dymiące, placki z owsa, ser owczy, miód i poziomki! Jakże im miłe były te drzwi grube, składane niezwykle, okrągłe u góry, spojone drzewną swą mocą, nabite jesionowymi kółkami, a uroczyste jako organy, gdy w późną, dżdżystą noc, znużeni i głodni, przemokli i senni, przychodzili do nich z daleka i kolatali w nie hałaśliwie, mówiąc: Otwórzcie się, drzwi kochane, prowadźcie nas do domu szczęścia, do świetlicy miłości... Odemknij się, wrzeciędzy bukowy, litościwy bracie, coś nas już puścił za wysoki próg ciemnego domu szczęścia, za próg wysoki świetlicy miłości...

Przed chatą ciągnął się w dół smug łąki aż do potoku, który się pienił między kamiennymi złomami. Otaczał cały ten smug wał z drobnych kamieni, niby wąż różnobarwny, w rudą i sinawą rdzę obleczony. Gdy słońce ranne, jak przez witraż, wdzierało się przez tęczowe i małe szybeczki chaty i gdy przesuwano po ciemnych, sękatych ścianach malowidła z za świata, wstawiali, żeby zanurzać oczy i dusze w łące-kochance. Łąka zmieniała się jak ich dusze. Co dnia była ta sama, a co dnia inna, wciąż piękniejąca. Było w niej coś z wiatru, z płynących w niebie obłoków, coś ze spienionej wody. Leżała na zboczu pochylonym ku południowi. Szeptający spomiędzy korzeni, z podmokłego mechowiska, ukryty między ziołami ponik leśny tu i ówdzie rozkisał w młakę. W tych miejscach rozpleniały się trawy nasiąkłe wodą, o barwie najżywiej, najjaśniejszej zielonej, która wznieca w żyłach i kościach radosną siłę. Zagajnikami stały tam skrzypy i miękkie błotne paprotki zielonowłose, końskie ziele z białymi puszkami i nikle sity. Na suchych wzgórkach, do których woda przystępu nie miała, szerokimi bryzgami miotano się koniczyna i bujne fale mietlicy zawsze rozkołysane. W dole, gdzie w kamiennym łożysku pieniała się zdyszana, niemilkająca chuć potoku, młodego syna źródlisk podziemnych, co przeżarł granitową skalinę Tatr, aż się wyrwał w ciepłe niziny, kępami rosły niezapominajki. Łagodny zapach wznosił się z łąki-kochanki, mlekiem i miodem płynącej, w ciche, błękitnawe nadednia.

Jasna woń miodu płynęła z lepkiej koniczyny i szorstka woń z cząbrów. Patrzyły z jej głębi w okna chaty oczy łąkowych złocieni i ruchliwe liliowe dzwonki z łonami rozdartymi przed chwilą za sprawą słonecznych promieni, patrzyły wysokie kwiaty ostów o barwie gasnącej zorzy i przyziemne, żółte, zanikłe polne bratki. Pozdrowiały wstającą ze snu Helenę słodyczą swoją i mówiły do niej, że dla nikogo, dla samych siebie kwitły przez wieczność, że nieskończone szeregi wiosen, których myśl ludzka nie obejmie, minęły już, nim przysłała w to miejsce ze swym kochankiem. Pozdrowiały ją od wieczności, która dawno przeminęła, i kiwały ku niej fioletowymi, żółtymi i rumianymi głowami. Pojmowała ich sekretną mowę, wielbiła ją westchnieniem krótkim i trwożnym, tajemnicę bytu wiecznego, jakby niemowlętko poczęte w drżącym łonie.

Cóż im miała odpowiedzieć, żeby przeraźliwego krzyku o wieczności nie rzuciły jej w serce? Jakże je miała zakłąć? Co na swoje usprawiedliwienie powiedzieć? Nie mogła nic... Mówiła im, że jest grzesznicą, przytakiwała swemu potępieniu... Kiwała jasną głową ku kwiatom, spowiadała się ziemi rodzącej, wodzie, która pokazuje uciekanie wszystkiego, dalekim poświstom wiatru. Nie mogła nie przyjść w to miejsce ze swym kochankiem. To tylko, co miała do powiedzenia.

Częstokroć z sennych objęć wstawała po północy, gdy księżyc-wietek, z rogami zwróconymi w stronę zachodnią, niechętnie, rude swe światło wtrąca do ziemskiej ciemnicy, zbliżała się do okna, by widzieć, co czyni łąka. Ale kwiaty unikały wówczas jej oczu. Kryła je tajemnicza zasłona z rosy i z nikłego światła utkana, tuwalnia cieńsza od najniklejszej pajęczyny. Z nieprzełamaną wówczas chęcią zbliżała się ku progowi, żeby boso i tak jak stała iść cicho, zrazu po kamiennych skrzyżalach za progiem, a potem wskroś tej łąki, nie deptać kwiatów, schylać się nad każdym i wydierać z niego, gdy śpi, zelżywe tchnienie wieków.

Do dnia, w pogodne czasy, szli w góry. Helena ubierała się w kierpce góralki i w lekkie, wykwintne, najzodobniejsze szaty z jedwabiu, przeznaczone niby to do wód w Bardyjomie. Rafał przywdziewał strój myśliwski. Miał zawsze przy sobie damasceński puginał, przywieziony z Azji i darowany mu swego czasu przez księcia, oraz nabite pistolety. Ścieżkami najmniej znanymi wzdłuż szlaków, które były zazwyczaj suchymi łożyskami potoków, wskroś leśnych ostępów, po korzeniach, urwiskach i głazach przedzierał się dokąd oczy poniosą. Na wyniosłych wierzchołkach, gdzie żywej istoty nie było nigdzie, jak daleko i szeroko sięgną oczy, obejmowali się w pół i zapadali w głuchy sen albo splótłszy się na wzór dwu limb zrosłych od lat, szli oczyma po niezmiernych obszarach niebios i ziemi.

Strudzenie wydzierało z ciał ludzką namiętność. Wtargnąwszy na te wyżyny, odtrącali precz nie tylko suszę i wodę, strząsali ze stóp proch ziemski, ale również wychodzili duchem z kości swych, żył, ciał i krwi. Przystępowali wówczas do rozkoszy najwyższych, jakoby do początku szczęścia wiecznego, do granicy tamtego świata, do namiętności niebieskiej. Otoczeni przez gęste obłoki gór, w świetle przezczystych promieni słońca, po-

zostawali dla siebie siostrą i bratem, którzy się na wieki wieczne kochają. Przyciskając do piersi schudłe w miłości ciało, wyszczuplałe a zawiedłe i twarde od słońca, od wiatrów barki — przestawał widzieć w niej radości cielesne, szczęście człowiecze. Nie mógł odszukać w niej kobiety i niespodziewanie, a wciąż w oślepiającym jasnovidzeniu, które trwało bez przerwy, w radości nieznanego porządku, spostrzegął ducha. A gdy oczyma zatapiał się w jej oczy, gdy wdzierał się w nie, wstępował i przebywał nieznanne światy, tracił wiadomość o tym, że sam jest drugim duchem, odmiennym ciałem, innym człowiekiem. Na jawie, w biały dzień, własnymi oczyma widział w niej swojego własnego ducha.

Mijały długie godziny i rozległe czasy, w których przeciągu zapatrywali się w swe oczy aż do śmierci. Tylko uśmiech, kiedy niekiedy przepływający przez oczy, przez usta, przez powłoki ziemskie, przez ręce uściskiem zwarte, przypominał, że nie są odłamami góry, obłokami płynącymi w lazurze nieba, dwiema falami lecącej wody, że jeszcze żyją na ziemi. Wtedy przedziwne pragnienia wznosiły się z ich serc, podobnie jak z nicości wstają w szczelinach granitu błędne chmury, pożądania, które idą coraz wyżej, coraz wyżej i widzą pod sobą obszary niedosięgle.

Czasu jednej z takich minut wyszeptła:

— Umrzemy już...

Nie zdziwił się. Podnieśli czoła i, sparszy je na rękę, długo patrzyli za krawędź, na której były ich głowy. Śliska, czarna ściana spadała w przepaść zionącą z głębi ziemi. Potok szumiał na dnie, rojąc się w nim jak biały pędrak, który trupa pożera. Dokoła wąskiej czeluści jakoby kamienne ostrza, groty, obuchy, piły, łańcuchy i kleszcze katowskie czekały w zimnym milczeniu.

Rafał rzekł:

— Śmierć... Już nas nie będzie. Przystaniemy być, widzieć się nawzajem.

Uśmiechnęła się wesoło i łagodnie jak matka, kiedy objaśnia naiwny błąd dziecięcia.

— Zaczęłyby się naprawdę wieczność. Tak jak teraz, na zawsze, bez odmiany. Sen dusz, kiedy spoczywają w objęciach.

— A jeśli nie to?

— To! Już większego szczęścia być nie może. To jest granica. Widać tamto jak tę otę węgierską stronę. Wejdziemy do krainy szczęśliwości...

— Więc zdejm ubranie. Podrzemy suknie twoje na pasy, zwiążemy się nimi, żeby spadając nie rozlecieć się w rozmaite miejsca przepaści.

Ona powoli, jak przez sen, wstała i ze swym spokojnym uśmiechem poczęła rozrywać stanik. Ale gdy spomiędzy czarnego jedwabiu zajaśniało ramię bielsze od czystego obłoku, przywarł do niego ustami. Łzy spłynęły z oczu obojga... I znowu pochłaniał ich sen na jawie, pełen uludy bardziej istotnej niż twarde granit, na którym leżały ciała, bardziej rzeczywistej niż łoskot wód spadających w dół, w przedwieczne czary z kamienia, niż widok zaklętych żlebów, w które przez stulecia sypią się rzeki piargu. Dokoła twarzy fruwał wiatr szczytowy, osadzający na skórze coś jakby suche nici pajęczce. Niby rozlane wino pachniały z dołu kosówki przygrzane przez słońce. Daleko w głębiach rozpadlin widać było odległe hale, jasnozielone niby ogrody, obwiedzione kamiennymi płoty. Na zboczach niższych gór, obdartych z murawy, bielejących wiekuiestymi ranami i nigdy nieginącymi rzeki ospisk, zwisały królewskie delie lasów prastarych, puszc macierzystych. A wokół pobratymczo stały poszczerbione turnie. W mroku ich złomów wisały czarne łachmany śniegu o barwie trupiej kości, którą wichur, słońce i deszcz w próchno obracają. Czaiły się tam jak olbrzymie, białawe nietoperze z rozciągniętymi skrzydłami.

Zdarzyło się innym razem, że halny wiatr zastał ich na zrębie skały wapiennej, pod szczytem leśnej góry. Rzeźwe, gorące powiewy paliły im twarze. Siedzieli nieruchomo, trzymając się rękoma skały, którą czas łupał w tafle drobne a deszcz ścigał w doliny. Helena, z głową opartą na kamieniu patrzyła w małą, zwiędłą gencjanę, która pośród rudego mchu samotnie dogorywała. Białe, długie, prześliczne palce dotykały z czułością stulonych błonek chorego kwiatuszka, podnosiły je i usiłowały ocucić. Z boku nad przepaścią wrastały w skałę niewielkie świerki rozwarne, a u góry spłaszczone. Szczyty kolosalnych smreków, gdzieś w dole, jakby u samego podnóża góry wrosłych korzeniami, nachylały swe włochate wierzchołki obwieszone szyszkami do samych jej wysmukłych nóg, łąsiły

się na obraz dzikich zwierząt, które by ugłaskał widok piękności.

Wiatr halny mącił las, jak mistral mąci Liguryjskie Morze. Ciskał weń z nagle wzbuchający pocisk burzy. Kiedy przeciwko niemu chcieli stawić czoła i barki, chwycił się z nimi w zapasy. Uczuwaliby wtedy rozkosz porwania, stawali się podobnymi do świerków, jodeł i buków.

Była w tym rozkosz zamknięta, niewyrażona, osobna. Z radością patrzali, jak potężne świerki zwiwały się do wewnątrz, wokoło pnia. Był to znak, że idzie podmuch-moc, powiew-wódz. Pod ciosami jego tchu schylała się od korzenia wszystka puszcza. Jęk czolobitny z cicha zamierał, gdy przeszedł w chwale poświstów. Zdało się wówczas, że góra rusza się w swoich posadach, chwije z wolna na fundamentach i głucho skrzypi w węglach i przyciesiach.

Ale oto trzask gałęzi, łoskot i chaos nacichał i płynnymi falami przelewał się w szum, a z szumu wychodził w obszar milczenia. Trwało chwilę oczekiwanie nabożne, głuchy bezwład i odpoczynek w niemocy, dopóki cienkie gałęzie nie poczęły trzepać się i obłądnymi skoki bić pnia, podobnie jak zrozpaczony człowiek bije samego siebie w piersi i głowę. Gaje kosodrzewiny zaczynały szumieć żalobnie. Z dala, po górach zasłanych lasami, przechodził z hukiem wichur.

Helena rękoma objawszy kolana wpatrywała się w bure, gorące chmury, które pędem wylatywały z kamiennych dolin w szalejące lasy, i śpiewała pieśń złożoną z dziwnych słów. Nazwy uwielbiające moc wichur, pochwały piękności jego wybuchów płynęły z jej piersi tak samo jak owe śliczne a niespodziane chmury z łona gór. W ustach zmieniały się na śpiew solowy, dostrojony do melodii szumnych poświstów, do niezgłębionych akordów ryku puszczy wylatującego z dolin ku niebu, a w którym słychać jakby śmiganie olbrzymich ptasich skrzydeł po niezmiernych obszarach.

Niejednokrotnie długotrwały deszcz trzymał zamkniętych w jakiejś kolebie skalnej u wejścia do jaskini albo pod cieniem olbrzyma-świerka, którego dolne gałęzie obwisły i dach nieprzemakalny dokoła stworzyły. Bawili się wówczas i opowiadali „historie”. Rafał malował życie swoje, rozповідаł o świecie, jaki widział, jej niedostępnym i nieznanym zgoła. Nic w tych spowiedziach nie było tajnego, nie został ukryty ani jeden szczegół, nie zatajony grzech ani jeden, nie przeceniona cnota. Wszystko wychodziło na jaw w słowie tak, jak było. Tak samo mówiła ona. W tych godzinach nieporównanych wypełzała na światło całkowita jej natura, dobywał się wszystek instynkt aż do korzenia. Stawała się wówczas prostą, kryniczną, jasną, przeźroczą jak woda stoku, i tylko nowe kłęby przeźroczystości, wciąż z dna jej duszy bijące, czyniły ją pełną rozkoszy wciąż nowej a nieprzebranej, ciągle odmiennej, a zawsze jednak silnej. Wieczną falą biła z niej doskonała lekkomyślność, rzeczywista istota i pierwiastek natury, wesołość wszystko zwyciężająca, mądre, spokojne i jedyne w świecie lekceważenie tego, co jakoby jest wielkie, i tego, co jest jakoby małe.

Nic między nimi nie było, co być „powinno”, lecz wynurzało się wszystko, co jest w istocie, co było naprawdę, co przeczuwali, że z pewnością będzie. Z tym właśnie twarzą w twarz obcowali. Cieszyli się patrząc naga a nieustraszoną żrenicą w sprawy i zajścia ducha niebezpieczne, zakaźne, trujące. Byli dla siebie nowi, niespodziewani, rozciekawiający w tym, co było szczere i istotne. Stali się jak dwa kwiaty, co zawierają w sobie woń i truciznę. Kochali w sobie z natarczywą i porywającą gwałtownością owe jaskinie i zaułki, skrytki i sekretne rozpadliny dusz.

Zdarzało im się wśród ciemnych nocy, kiedy niewyczerpany, pracowity deszczyk górski z cicha siąpi, a woda kapie z każdej igielki świerkowej, błędzić bez celu po niedostępnych drożynach, które zdają się gardzić przechodniem, deptać go wzajem, za każde postawienie na nich nogi oddawać jej tysiące uderzeń. Po wygrodzonych żerdziami drogach, obok których stoją szeregiem modrzewie i szemrzą w ciemności jedwabne baśnie, lubili błąkać się w pobliżu swego domu. Świerki wyłaniające się z mroku zdały się być wówczas obojgu krzykami ciemności. Daleka woda potoków szumiała...

A gdy przemijał deszcz, rozdzielały się chmury i odmieniała niepogoda, wchodzili ciekawie w las, patrzeć, co się z nim stało. Badali pilnymi oczyma, jak przecudna nowa zieloność, trwająca jeden dzień, wpełza w pomrok pod ciemnymi smrekami, otacza pniaki drzew dawno ściętych i niebieskawoszare kamienie. Nad łuną jej płomieniejącą

zwieszają się tu i tam mokre, ciężarne gałęzie, niby ciemne dymy. Helena wciągała płucami zimną woń mokrych paproci, rozmiękłego próchna pniaków i zakrzepłej, stężałej od chłodu żywicy. Czystą rozkosz z serc wydobytą i ukazaną w zewnętrznym świetle odnajdowali patrząc w ściśle potoki, które się wyrwywają spomiędzy kamiennych głazów. Długie spędzali godziny pieszcząc oczyma nici wody wytryskujące spomiędzy pniów, ze mchu, jakby z przebitego boku góry.

Wielkie żabice, rozdzielające strumień na niezliczone potoczki, odziane były grubym, zielonym kozuchem. Świerki, co wysysają podziemne źródło, były w tym miejscu potwornej wielkości. Zwierzali sobie myśl, że ta dziwna woda rodzi się z niczego, a zjawia znikąd, że jest od początku rozdzielona przez głazy jak ich miłość, a później łączy się sama ze sobą, ażeby gnać w kamiennym łożysku, wśród rozkoszy, pian, rozdymać w banie i wiry, miotać się w szumnych, niespodziewanych wybuchach, aż do przepaści wodospadu... Czy i przepaść wodospadu będzie w ich życiu jak w tym potoku? — pytali się nawzajem...

W jednym miejscu znaleźli drzewo wyrwane, leżące w poprzek strumienia. Woda je jadła przez lata. Chciwą i wściekłą żuchwą, białymi kłami pian gryzła je wciąż, bez jednej chwili wytchnienia. Więc litowali się nad przeklętą dolą na poły zgniłego kłoca, brali udział w życiu jego, jak częstokroć żyjemy cudzym życiem we śnie, odchodzili stamtąd zasmuceni, jak gdyby w nich zamieszaly na nowo małe, dawno wygasłe, dobre dusze dziecięce.

Nade wszystko jednak kochali jeziorko. Zwali je „Zmiennym”. W odległej nieraz stronie zwracali na się oczy i bez wymienienia nazwy, pewnym ruchem brwi i powiek, pewnym uśmiechem wiadomym wspominali sobie o nim. Wtedy wstawszy z miejsc szli do niego prędko w odwiedzinę. „Zmienne” leżało na szczycie kamienistej wysokości, otoczone głuchym, zewsząd idącym lasem. Nie było do niego ani drogi, ani perci. Pełne było ciemnej a przezroczystej wody, gdzie zawartym kołem zielonym odbijały się świerki odwieczne i niska kosodrzewina. Czasami przeglądały się w nim żółte, dalekie turnie, jakby je ku tej wodzie samotnej i dalekiej gnała tęsknota. Nikt tam nigdy nie był. Ani człowiek, ani zwierzę. Nad głębią fruwały tylko niebieskie łątki.

Kiedy niekiedy zabłąkał się aż tam z odległych regli pomarańczowy motyl. Leśny ptaszek, siwarnik, ukryty w czarnej głębi smreków, z cicha i rzewnie świergoił. Zresztą była cisza. Las obejmował staw silnym ramieniem. Jak mąż ślepy, głuchy i zdziczały w mękach zazdrości, osłaniał wiekuistym uściskiem łono tej cudnej, mieniającej się wody, która zamykała w sobie wszystkie cuda niebios, poranną i zachodnią zorzę, różnobarwne obłoki, wiatr i złotą błyskawicę, gwiazdy, księżyc i samo wieczne słońce. Uwieczona woda czyniła sobie igraszkę ze wszystkiego, co wolność jej krępowało: ze świerków, kosówek, brzegów i złotego szlaku wędnących szuwarów. Ciągnęła w swoje odmetry las, pozwalała mu składać kosmate gałęzie na łonie swym spokrewnionym z zorzą poranną, na łonie swym niepochwytej barwy jak kolor piór na szyi pawia, ale nim chwila minęła, rozgarniała jego gałęzie, czyniła z nich smugi długie, jakoby włosy zielone, przędła je w sploty cudaczne, ciągnęła w poprzek swej tafli i kołysała powłóczyście zwoje na falach szklitych. Jak niespodziany uśmiech wznosiły się i cicho gasły ruchome wełny.

I oto ginął w nich kaprys. Wizerunki drzew odmieniały się w widma długie, niepodobne do niczego na ziemi, niby to w kliny włochate, nastrzępione, mokre, ostrzami zanurzone w głębinie i dosięgające tak nieskończenie niskiej granicy, że ją ludzkie oko ledwie mogło pochwycić. Widma drzew wracały stamtąd, umykały w górę, strwożone i chwiejne, wałęsały się drząc to tu, to tam, jak muzyka złowieszcza, szybka i okropna, piorunującymi zmianami swymi wyrażająca dokładniej niż rachunek bojaźń nocy bezsennej, bojaźń rozwartej przepaści bez dna.

Helena, skoro tylko na brzeg jeziora przypadła, siadała w nieruchomości i mówiła do wody:

— Cóż mu dziś zrobisz? Jak się odmienisz? Siostrzyczko-niewolnico, jakże się będziesz dzisiaj bawiła? Ach, sama nie wiesz, sama jeszcze nie wiesz, co się z tobą za chwilę stanie...

I oto, jak gdyby w odpowiedzi, rozwierało się lazurowe łono jeziora i z nieopisanym przepychem płynął w nim obłok oślepiająco biały, namaszczony królewską mocą i potęgą wszystkiego blasku słońca. Kształt swój przemieniał z wolna: cudowna, złoto-biała jego głowa układała się inaczej, coraz inaczej, by lepiej śnić jej było, śnić-myśleć o niebie bez-

miernym, ojcu wiecznym, o ziemi, ślicznej matce. Wskroś obszarów lazuru szedł rozwiązać się w postać inną, w coś innego się zamienić, przeistoczyć — i zginać.

OKNO SKALNE

Wysoko, wysoko, ponad szerokim, rozległym lasem, leżeli tego dnia u wejścia do pieczary. „Okno” skalne wychodziło na przepaściste zbocze grani. Stamtąd dopiero widać było dolinę, jak długa i szeroka. Wewnętrzna ściana wapiennej skały, wznoszącej we mgłę swój połupany szczyt, otwierała się w pewnym miejscu i ciasny otwór prowadził tamtędy do skalistego *asylum*, jakby na straszny dziedziniec zburzonego zamczyska. W górze, na zrębach podobnych do piór skrzydła pancernego rycerza, chwiały się odwieczne kępy świerków i zwisał rudy mech. Z owego kotła skalnego schodziła dokądś w dół grota ciągnąca się długim a ostro sklepionym korytarzem. W cieniach jego leżał lód ziemią okryty, a ze ścian sączyła się wilgoć obmierzła. Dzikie ściany tej niedosiętej fortecy i czarny las nad nimi stały nad rozkoszną słoneczną doliną, która leżała nisko, otulona w jasne hale, nadrzeczne murawy, wzdychając ciągle odmiennym szumem Dunajca, podobna do uśmiechu srogich i straszliwych gór. Strome turnie wychylały się ponad urwisko, wychodząc poza swoją podstawę, jakby mierzyły przepaść u ich stóp. Dziwnie uroczy mech przykrywał ich szczeliny. Wszczepiały w nie żarłoczne korzenie małe świerczki i nikłe drzewka jarzębiny.

Na bujnych trawach o szerokim liściu, na kępach zeschniętych borówek, co otulały luzem leżące kamienie, wypoczywali jak na puchu. Wygrzewali się w słońcu przy otworze pieczary i w szczelinach skalnych.

A gdy słońce zbyt doskwierało nagłością płomieni, z chichotem kryli się przed nim do wnętrza jaskini, zawierającego w swej głębi bryłę wiecznego lodu. Śmieli się w głos ze słońca, wyczuwając plecami jadowity chłód pieczary. Chwyтали czerstwe zimno zdrowymi płucami i spalone twarze znowu obracali ku słońcu. Tak im długie godziny spłynęły na wypatrywaniu ziemi i nieba. Sennymi oczyma witali pracowników górskiego południa, lekkie, wydłużone pomłody, białe obłoczki, jakoby tchnienia wiatru stężałe i w kształt zakłęte, kiedy z gór w cichości świętej wychodząc przepływają nad najpiękniejszą doliną świata. Ociężałymi źrenicami wodzili po otchłaniach leśnych szarozielonych, skąd pojedyncze skały wynurzają się niespodzianie, skąd wykwitają żywą barwą kiście buków. Od szczytów gór leciały ich oczy w dół za cieniami, pełnymi czarnego błękitu. Setnym i tyśiącznym spojrzeniem pozdrawiali pionowe skały, obwieszane subtelnym złotem żółtkłej jarzębiny. Napotykały ich oczy miejsca tak cudne, niewiarygodnie piękne, że Helena załamywała ręce i płakała z zachwytu. Kiedy niekiedy rzucali w ten wielki a bezludny przestwór, w ten olbrzymi kraj niczyj, krzyk zgodny i śpiewny.

Wywoływali swe imiona spieszczone, przemienione w pocałunek i, zachwyceni, z nabożną rozkoszą słuchali, jak wysmukłe, rzeźbione szczyty wapieniaków i niedostępne zwały dalekiego granitu, jak niezgłębione lochy i podziemia, lasy i potoki, hale i ścieżki skaliste wołają ich po imieniu, wzywają ku nim zewsząd. Rozkoszny dźwięk imienia Heleny oblatał przestwór daleki, aż jak melodia najcudniejsza tej ziemi wracał do nich i owiewał radością niewypowiedzianą. Wydawało się im wtedy, że to góry wołają same, że się góry i rzeki tak samo w nich kochają jak oni w sobie. Osiągali chwile szczęścia największego na ziemi. Cały świat zewnętrzny przemienił swą istotę na rozkosz, a rozkosz była na usługach miłości. Wywołując tak po drugie i po trzecie echo swych imion, wyrzucali zarazem z piersi błogosławieństwo nieba i ziemi, wychwalanie wszystkiego, co jest pod utwierdzeniem, hymn dusz wzruszonych do samej głębi, owo, jak mówi Pismo, błogosławieństwo niebieskie z wierzchu, błogosławieństwo przepaści leżącej w dole, błogosławieństwo piersi i żywota. Nie byli w stanie odejść stamtąd. Nie mogli oderwać się od doliny, bali się stracić z oczu najmilsze turnie, rozkoszny szum potoku i swoje echo kochane.

Zostali tam na noc. U wejścia do pieczary rozłożyli ognisko i zwyczajem swoim, płaszczem wspólnym okryci, usnęli.

Świtało, gdy Rafał zbudzony został z twardego snu przez straszne uczucie. Targnął się z ziemi... W mgnieniu oka poczuł, że jest związany. Chciał prawą ręką dosięgnąć sztyletu, który miał w zanadrzu, ale ręka nie ruszyła się z miejsca. Uczuł, że sztyletu już nie ma. Leżał twarzą ku ziemi, z rękoma w łokciach i dłoniach, z nogami w kolanach i stopach spętanymi powrozem, przywiązany do świerkowego pnia. Gdy to w półśnie

uczuwał i zaczął rozumieć, nagle usłyszał rozpaczliwy jęk Heleny. Szarpnął się ze wszech sił, wygiął jak żmija i zdołał odwrócić głowę.

Ujrzał wtedy w płomieniach buchającego ogniska bandę zbójców, złożoną z siedmiu czy ośmiu osób. W przerażeniu, które mu język wbiło do gardzieli, nie chciał uznać rzeczywistości, wlepił w nią oczy i nie był w stanie uwierzyć temu, co widziały. Przypatrzył się rzekomo sennemu widziadłu, wysokim czapkcom tych ludzi, do których jeden przyczepił sobie ogon lisa, drugi skrzydło wyrwane zabitemu orłowi, trzeci kły i paszczę niedźwiedzia, czwarty pazury wilcze... Widział, nie wierząc oczom, ich broń: zakrzywione sztylety, strzelby nabijane srebrem i mosiądzem, za pasem wąskie siekiery, pałki-bunkosze w rękę. Oglądał ich koszule czarne, wysmarowane tłuszczem, portki czerwone, cyfrowane bogato, szerokie pasy, wspaniałe cuchy...

Wydarł się raptem z taką mocą, że postronki werznęły się w niego aż do kości, a same kości zatrzęszczały. Ujrzał między tymi ludźmi Helenę, jak ją jedni drugim wydrzeć usiłowali. Ryk, jak nóż z żelaza, rozdzierał jego piersi i gardło, głowa, siepiąc się ślepych rzuty, trzaskała w pień smreka, a oczy wywracały w dołach. Krzyk Heleny wzywał go na pomoc... Zobaczył, jak ją jeden z chłopów powalił na ziemię. Widział, jak się zaciekłe, straszliwie, zębami bronila, jak ręce zbója zdzierały z niej suknie, szarpały koszulę, a wreszcie to najstraszniejsze, co mógł zobaczyć na ziemi. Począł żreć kamienie obląkaną gębą, nanosić się od wściekłego wrzasku, od bydłczego ryku, od wycia wariata. Ciało jego wiło się w sznurach, palce wszczepiły w żwir skalny. Ktoś siadł mu na plecach i potężną dłonią przydusił łeb do ziemi. Nie słyszał już wtedy nic i nie mógł nic widzieć. Płaty krwi zaczęły bić go w oczy, a ogień buchnął w mózgu. Udało mu się dźwignąć głowę. Dojrzał, że Helena z rąk drugiego zbója, który ją wśród chichotu bandy powtórnie obalić chciał na ziemię i, jak poprzedni, posiąść, wydarła się. Westchnął z ulgą, gdy półnaga, skrwawiona, jednym susem skoczyła przed siebie na wystający, najwyższy brzeg turni, a stamtąd — w przepaść.

MOC SZATANA

Był jasny dzień, kiedy się ocknął z morderczych objęć snu. Leżał długo bez ruchu, bez zdolności udźwignienia ręki, nogi, powieki. W chwili tej wspomniął, co się z nim stało... A kiedy wszystko przeszedł myślami, otworzył oczy, żeby zobaczyć, gdzie jest, z niedbałością tak wielką, że nie sprawiła mu zmartwienia wiadomość o śmierci własnej. Ujrzał dokoła siebie jamę skalistą, czarną i zaciszną. Olbrzymia wana, jak wystający okap, zwieszała się nad tą doskonałą i ciepłą kolebą. Pod głową miał obfitą kępę naniesionego mchu, na sobie obszerną, zbójczą cuchę. Słońce świeciło, a zielone upłazy łagodnie zniżając się w dół uśmiechały się dobrotliwie. Gdy dźwignął głowę i odsunął brunatną cuchę, spostrzegł, że jest odziany w jakieś cudackie ubranie, w czerwone spodnie obcisłe i wyszywany serdak. Obok postania leżał nóż kończysty, wygięty niby turecki jatagan, oprawiony w rękojeść z cisowego drzewa, z mosiężnym okuciem. Tuż leżała, cieńszym końcem podsunięta ku ręce, jesionowa maczuga z bulwami w grubszym końcu, którą od jednego razu można by zabić konia. Leżały dwa duże placki, owczy ser i trocha wina w grubej, brzydkiej butelce, Rafał uczył na głowie swej i na ciele bandaże, a pomacawszy rozeznał, że głowę ma obmytą i rany jej zawiązane czystymi szmatami.

Próbował wstać, ale skoro się z miejsca poruszył, uczył po raz pierwszy, że Heleny nie ma. Boleść runęła na niego, jakby się zwała owa nawisła skała. Leżał pod nią bez protestu, zabity i rozmiądzony. Długo to trwało, tak długo, jak tylko zmysły mogły udźwignąć. Ale po upływie niewiadomego czasu boleść zaczęła przemieniać się i doskonalic. Nie zechciała być dłużej nędznym głazem, który rozgniata ślepym i głupim ciężarem. Stała się jakoby chytrym a podłym człowiekiem. Wyrosły z jej kamiennego cielska dwa organy: wspomnienie i marzenie. Tymi dwiema rękoma ujęła głowę zbudzonego z niewiedzy i poczęła ją równo, łagodnie kołysać. Raz ją obracała oczyma ku ubiegłemu szczęściu, drugi raz ku przyszłości tonącej we mgle marzeń. Między jednym a drugim ruchem, jak mechaniczne wahadło, wydawała z żelaznych trzewiów swych szczęk suchy, przeraźliwy w zimnej łagodności, miękkki, dokonany głos: Nie ma...

Rafał leżał zrazu jak przedtem, zwyciężając wszystko siłą ciała, ale ona była mocniejsza nad wszelką siłę. Jej długa praca była nieskończenie wytrwała, obrachowana przed wiekami, zastosowana do wszelkiego oporu w ludzkim gatunku. Głos jej wdzierał się do

skrytości duszy niepostrzeżenie jak żądło komara, a działał straszliwie jak uderzenie kuli działowej. Nadeszła zła chwila.

Nieszczęśliwy zerwał się ze swego posłania. Wyszedł z koleby. Był w jakimś miejscu nieznanym, w zacisznej dolinie otoczonej lasami. Patrzył w te miejsca spłoszonymi oczyma. Uczuł katowskie prześladowanie, jakiego dopuszcza się na jego duszy ten obcy widok. I oto nagle rzuciła się na niego rozpacz. Zwalił się na ziemię, zaczął rwać włosy, zdzierać bandaż, targać na sobie szmaty, tarzać się po kamieniach... Zaczął krzyczeć wniebogłosy, byleby nie słyszeć cichego szcękku, melodyjnego poszeptu bóleści: Nie ma... Czaszka jego tłuła się o kamienie i bujna krew znowu broczyć zaczęła na jasne kwiatuszki hali, którym na słońcu tak dobrze było wysysać przedpołudniową rosę.

Głęboki ból w głowie, choć sprawiał ulgę zagłuszając nieszczęście, opamiętał go i wytrzeźwił. Przycichło zarówno marzenie jak wspomnienie... Wstał tedy, związał głowę szmatami, wziął w rękę bunkosz, za pas wetknął nóż. Z pośpiechem wypił wino i zjadł podplomyk. To uczyniwszy poszedł przed siebie z zamiarem szukania miejsca, na które spadła Helena. Dziwił się, jakim sposobem nie uczynił tego aż do tej chwili. Szedł wielkimi krokami, rozwalając po drodze piargi, miażdżąc młode smreki, wbijając w ziemię stopami górskie zioła. Było południe, gdy wyszedł z owej doliny. Skoro stanął u jej wylotu, spostrzegł natychmiast, że jest w bliskości podnóża skały, na której spędził ostatnią noc. Rozgarniając rękoma gałęzie świerków, szedł do podnóża niebotycznej krzesanicy...

Schyłał się ku ziemi, ku kwiatom jeszcze w wilgoci pogrążonym. Wszystkie były świeże, soczyste, szczęśliwe... Szukał na nich śladów krwi sercem zatwardziałym, okrutnym, pełnym zbójckiego męstwa, patrzył znieczulonymi oczyma. Przebiegły był w chwili tej jak pies, a władał wszystką siłą swych zmysłów, jak człowiek zimny i mężny. Tam jednak, gdzie przewidywał, śladów nie było. Dopiero gdy po stokroć wzduż i w poprzek obszedł podnóże skały, wciąż oddalając się od niej, i stanął u brzegów strumienia, nagle uczuł uderzenie w serce. W tym miejscu gałęzie świerka były oddarte od pnia, murawa zdeptana licznymi śladami stóp i umyślnie zatarta surową ziemią. Wzniósł oczy i dojrzał miejsce: podchmurny ów zrab na skale, wystający daleko.

Począł szukać wyraźniejszych dowodów i znalazł je w zdeptanej ziemi... Czarne, wilgotne zlepki gruntu były przesycone tak obficie krwią, że uwierzył. Znikło ostatnie złudzenie. Ślepy topór ściał ostatni sen czuwającego, czyli nadzieję. Serce poczęło na nowo szarpać się w piersiach, jakoby istota osobna, nienależąca do człowieka, jakoby siła samostna, jakoby druga nieużyta władza. Czyniło teraz rzecz swoją w piersiach nagle i strasznie, jak grabarz z trumną najdroższą. Wybladły, na drżących nogach, zlany potem, stał na tym miejscu z oczyma wlepionymi w ziemię. Słuchał. Łudziło mu się, że jest przed sądem, że mu czytają wyrok. Słyszał nie słowa, lecz przeraźliwy sens wyroku. Teraz dopiero zrozumiał, czemu wszystko stało się tak, jak się stało. Teraz dopiero wiedział, co z nim samym było, co jest i będzie. Jakże się niegdyś ludził sądząc inaczej! Ale głos przebrzmiał.

Dawał się słyszeć naokół tylko szorujący, kamienny szum potoku, płynna jego melodia, jak się przez wilgotne igły świerkowe przelewa. Stojąc tak bez sił, na cudzych niejako nogach, dziwił się i zdumiewał, że w żyłach jego nie płynie już zdrowa krew ludzka, lecz że błyskają i trzeszczą pryskając iskrami gibkie płomyki, że w kościach głowy buzuje się pożar, a mózg trawi ognisty wybuch. Ręce konwulsyjnie ścisnęły narzędzia służące do zadawania śmierci, a pełna żaru głowa o czymś strasznie skutecznym w struchleniu, w podnieceniach, wśród rachunku i łez zaczęła marzyć...

Poszedł na prawo i poszedł na lewo dla odszukania najgorszej prawdy. A gdy porwócił w to samo miejsce, upadł na niego głową, ustami i sercem, sercem samowładnie teraz chodzącym po bezmiarach niedoli, po ojczyźnie trwogi, wśród półmroku narodzin nowego dnia, straszliwej doby nieświadomości.

Zbliżał się wieczór, gdy powstał i z trzeźwością drugiego człowieka, który dawno, przed secinami, zdawało się, lat, z jego ciała został wytrącony, zaczął szukać mogiły Heleny, ciała jej, śladu zabójców. Niekiedy wśród tej cudzej trzeźwości przelatywała głupkowata chęć zemsty, jak gdyby chęć rozrywki u człowieka, który się nudzi. Wtedy szedł prędzej, dopóki nie zaczął śmiać się ze swych kroków, ze swej ręki obwisłej, niezdolnej do wywleczenia zza pasa sztyletu, do podźwignienia pałki. Z łatwością odnalazł ślady zbójników na trawie, choć już była wyschła i odprostowała się w ciągu upalnego dnia. Ślady szły

w górę doliny i potoku. Tam i sam znajdował miejsce, na którym składano ciało zabitej. Spostrzegł krew zaschlą na kamieniach i trawie. Ale w pewnym miejscu ślady weszły na kamienistą perć i prawie zginęły. Gdzieś tam czerniała jeszcze na szarym głazie grudka ziemi wilgotnej, przyniesionej na podeszwie kierzaka, rozartej i dotychczas niewyschłej. Raz jeszcze znalazł dużą kroplę krwi. Potem wszystko ustało. Szedł tedy naprzód i wracał. Szedł i wracał. Szukał miejsca, w którym banda zboczyła ze ścieżki, i nie mógł go już znaleźć.

Przelał się bardzo, gdy ujrzał dokoła siebie nagły górski mrok. Porwał się naprzód i poszedł percią w górę, biegł szybko, co prędzej, jakby uciekających przed nim ścigał na oko. Zdziwiony i pełen strachu stanął nagle u brzegów „Zmiennego” jeziora. Głos obcy, głos okrutny, jakby głos skał otaczających, powiedział mu, że w tę wodę musieli wrzucić ciało zabitej, przywiązawszy do szyi, do rąk, do nóg nadbrzeżne głazy wielkości młyńskiego kamienia. Pragnął odszukać potwierdzenia tej prawdy w zdeptanych szuwarach, w tatarakach i trzcinach, w zmaczonej mulem wodzie, ale noc już schodziła z turni, noc ciemna.

Jakże straszliwą wydała mu się ta noc zbiegająca szybką stopą ze szczytów górskich! Wietrzyk przenikający doliny, chłodnawy, rześki podmuch, nie mocniejszy od powiewu wachlarza z kości słoniowej skropionego wonią fiołków, był już dla jego zmysłów nie wiatrem, lecz żywym zbójcą, który się skrada, żeby zdradzieckie pchnięcie zadać pod serce. Nim chwila upłynęła, ten sam wiew odmieniał się, przeistaczał w wytrysk mądrości, przy którego dźwięku ubiegłe rzeczy ukazywały się osłepiająco wyraźnie jako ułamki całości, jako fragmenty i ziarna olbrzymiej a wszechmocnej sumy. Cicho w ostatnim blasku zorzy lśniła woda jeziora. Czasami zakołysała się wątła fala w tej samej chwili zrodzona, poruszyła wysmukły badyl trzciny i, uwikłana między szuwary, zasnęła wśród ich zastępu. Kiedy niekiedy coś na powierzchni plusnęło cicho, że ucho ledwo mogło rozeznaczyć ten głos. A nim serce zatrwożyć się zdołało, nim zdążyło zacząć oczekiwanie, już szmer ów na wieki wieków utonął w milczeniu.

Rafał siedział na brzegu jeziora objąwszy rękoma kolana. Tak tu zawsze siadywał z Heleną. Wszystko wiedział, wszystko pamiętał. Na czułych wagach ducha wszystko z kolei przeważał. Bezsilne nadzieje sączyły się z jego serca. Obiecowały przez mgnienie oka, że z fal tej wody wyjdzie utopiona, że się na płaskiej tafli zakolysze. Ale nim jedna chwila przeminęła, nadzieja spadła na ziemię, jak łza spada z rzęsy, a towarzyszył jej śmiech, potępiający ją jako głupstwo.

Ponad głową, w której myśli huczały i grzmiały, rozwałowało się milczenie na prawo i lewo, milczenie większe i cięższe od gór. Szeroka ciemność ogarnęła wszystko, ukoiliła snem wszystko, dała wszystkiemu spoczynek, z wyjątkiem jednej boleści. Na ciemnym niebie czerniejące ostrza świerków wrzynały się w duszę jak piła i rozszarpały ją na drzazgi. Niejasne zarysy skał zawisły nad głową jakoby młoty i obuchy siekier. Czarne niebo zaciężyło na ciemieniu, niby wieko skrzyni z żelaza, ustawionej między zachodem a wschodem słońca. Wtedy z piersi wydarł się głos, równie twardy, zimny i wyzywający, jak były te zjawiska:

— Cóżem wam uczynił? cóżem uczynił?

Czemu prześladowacie mnie, grozicie mi i mścicie się nade mną w straszliwej mojej męczarni?

Kochałem was nie tylko swoim sercem, ale i jej sercem, która w pośrodku was została zamordowana!

Męczarnia moja straszniejsza jest niż wszystko, co przecierpiane było na ziemi... Zmiłujcie się nade mną, góry skaliste! zmiłujcie się nade mną, drzewa czarne i ostre! zmiłuj się nade mną, wodo cudowna, wodo straszliwa, któraś miłość naszą widziała... i ty, o niebo...

Ale gdy te westchnienia wrywały się z jego piersi, uczył w sercu i w mózgu, że nie słyszy go nikt i nic. Pustynia na zachodzie, pustynia na wschodzie... Świerszcz tylko nocny w suchej trawie ukryty skrzypiał. Wówczas krwawa, bezrozumna, z każdą chwilą coraz dziksza pomsta wybuchnęła w piersiach, zapaliła mózg i oczy.

— Precz odejdźcie, widziadła!

Któż was uczynił współnikami mojej męczarni w ciągu jednego dnia! Któż was przemienił w części prześladowania, w narzędzia rozpasanej tyranii!

Stańcie się tym, czym jesteście...

O góry, góry — stańcie się na nowo zimnymi górami, budzącymi młode siły i radość...

Ty, lesie, bądź znowu szumiącym lasem...

O zmienna wodo, bądź tą, która nas oboje kochała...

Ty, niebo wieczne, bądź sobą, które wzrok nieszczęśliwego ku sobie przyciąga i każdą boleść uśmierza...

Odejdźcie od mego serca! Niech spocznie w dobroci nocnej, niech wytchnie na posłaniu lasów, na wodzie cichości, niech się splacze i ukoi w niebie wiecznym...

Mrok zachował swoją niezmienną potęgę.

Tak noc minęła. Nade dniem zaczęły wstawać z jeziora mgły. Wiotkie postawy rozpościerały się nad nieruchomą wodą. Nikłe ich włókna oplątywały wyniosłe badyle trzciny, o suche szypuły zaczepiały się niemi wiotkimi. Kołysząc się sennie, tkwały jakąś wiadomość, huśtały na płótnach swych bezdźwięczny wyraz niedocieczonej tajemnicy. Nim udęczone oczy mogły obaczyć pracę ich, dostrzec, co czynią, plątały ją chyżymi ruchy. Burzyły drogocenne, śniade tkaniny, zrywały nici subtelniejsze od księżycowych promieni i cisnęły je na wielki stos. Wznosiły się kłęby dymów, okrągłe fale czyniły szybkie obroty, zataczały się bystre, rozpędzone koła. Faliste, a za chwilę wzdęte opony jak żagle unosiły się nad czarną tonią. Oto wypływa spomiędzy nich obłoczek leżący na wznak, senne ciało, które woda niesie, dokąd chce. Płaczą się długie, faliste włosy dokoła bladej twarzy. Płyną na łono odsłonięte żalodne zwoje. Drżą i stulają się ze wstydu a trwogi okrągłe barki, kształtne biodra zanurzają w wodzie czarnej, w wodzie miedzianej, którą jaśniejąca pleśń rannej zorzy powleka. Coraz jaśniejszą, coraz bardziej wyraźną stawała się mgła nadwodna. Mrok spływał z wierzchołków leśnego ostępu niby szata posępna. W dali, na rozjaśnionym niebie ukazały się szczyty gór. Oblicza ich były przepiękne, ozdobione wspaniałością wschodu. Trupie czoła turni wdziały diademy ze złotych blach, uwieńczone kwiatami. Szaty mgieł owiewały ich tułowia, głębokie cienie fioletu spływały po nagich pieszczelach.

Nieszczęśliwy na widok tej nowej zimnej piękności, obojętnej na śmierć, która się tu dokonała, zapłonął gniewem, jakby i jego w zimną bryłę bytu przeistoczył pozłocisty ogień poranku. Chwycił rękojeść noża i poszedł przed siebie mocnym, wyteżonym krokiem, krokiem-czynem. Gniew spalił w nim wszystko prócz pragnień ruchu i gwałtu. Jak kozica wdarł się na wyniosłe pasmo. Stanąwszy na przełęczy jął orlimi oczyma wypatrywać wrogów. Był teraz silny, zwinny, pełen potęgi. Rzucił w kamienny świat krzyk z całej piersi. Na wschód, na zachód, na północ i na południe... Głos nieszczęśliwy leciał w ciemne doły, w błękitne przepaści, jak anioł z wątłymi skrzydłami, rozbijał się na krawędziach, roztrzaskiwał o strome gzymsy i skończył w łożyskach otchłani.

Wróciło echo imienia Heleny, żalobne i przebite, wróciło z północy i południa, ze wschodu i zachodu. A później cisza... Ale już wyważone zostało z zawias wszelkie uczucie i runęło w proch. Szedł przełęczami, szczytami. Mijał puste doły granitu, gdzie wiekusta pustka leży. Spoglądał w lasy dziewicze, gdzie tytaniczne drzewa rosną niedotknięte siekierą. Przeskakiwał przepaści, w których czeluściach marzy cementarny śnieg i skąd cieką wody ku ziemi, zaglądał w błękitne, zielone i litworowe jeziora... Ze żlebów, rozpadlin wdzierał się na nowe, coraz wyższe wierzchołki. Widział w drodze swej niedźwiedzia i orła, ale nie zwracał na nie uwagi, płoszył tu i tam stado kozic, ale nie śledził ich oczyma. Póki słońce w błękitnym niebie świeciło, szedł naprzód. Dawno zjadł resztkę chleba i okruchy sera. Nie czuł głodu. Usta mu wyschły i potrzaskały się, gardziel miał pełną ognia, a w piersiach dźwięk i tętent rozszalałego serca, które teraz łoskotem swoim nappełniło obszar pustyni. Nieraz zdawało mu się, że już te same turnie widział, że już je deptał i przeklinał, że z ich wierzchołków strącał już głazy, które tylko mógł udźwignąć. Ale o tym wiedział jakby przez sen.

Szukał teraz ludzi. Ludzi! Wbijać w ich piersi ostry sztylet, miażdżyć ich głowy jesionową maczugą, rozdzierać podług gardła i deptać nogami nikczemne trupy! Po łokcie uwalcać ręce w dymiącej krwi i płuć w nikczemne, zastygłe, wywrócone oczy! Nigdzie ludzkiego śladu... Nigdzie w nocy nie widać ogniska... Otaczały go krzesanice, turnie, wirchy — żółte, szare, czarne i niebieskawe. Więc je wymijał lub zdobywał, co siły w kolanach. Wbiegał na nie jak na pagórki. W nocy nie spał. Przytulony do skały czatował na zbójców.

Śniło mu się na jawie, że jest lisem, do którego jamy wdarły się jamniki. Widział oczyma, całym mózgiem i wszystkimi nerwami skoki lisa, sztuki jego i fortele. Widział, jak się pomyka na coraz wyższe piętra i kominki jamy i, cierpliwie siedząc, bada niebezpieczeństwo. A gdy niestrudzone psy podkopią jego kryjówkę, skacze na inną, na inną, aż do ostatniej. Nie opuszcza go nadzieja, wyrachowanie, wiara. Ale oto wydarte zostały ostatnie podstawy i najwyższy, ostatni krużganek lada chwila runie. Wówczas lis chybkiem i pewnym susem skoczy na łby psów przywalone gliną i, przebiegłszy po nich, popędzi do wylotu jamy. W struchlałym sercu słyszy huk strzału myśliwca, który tam nieruchomy czatuje. Nim wysunie głowę, przez mgnienie oka mierzy przestrzeń, a później rzuca się naprzód, wyczekując strzału nastawionym uchem, strzału, który już zna, który już wielokroć zadał mu rany straszliwe.

Oto on sam jest lisem i czeka na huk strzału. Za chwilę ma skoczyć z nory i wlec się później z odstrzelonymi nogami i przetrąconym krzyżem. Za chwilę, za mgnienie oka... Bo teraz ciężki jest jak głaz. Ręce jego, nogi, głowa, a osobliwie stopy — to głazy takie same jak naokół. Tym się tylko różnią od otaczających granitów, że w nich ani na sekundę nie zasypia cierpienie.

Skoro tylko wstał nad dalekimi krańcami świt i pierwszym promieniem ukazał mu długą drogę, nieprzebyty szlak, wstał z miejsca swego cierpienia i szedł co prędzej. Tak minął trzeci dzień i czwarty... Słońce budziło go i popędzało ognistą różgą do pochodu. Stał się podobny do czarnego cienia, do zgorzałych zwłok, w których płonie duch i oczy... Leciał w pustynię, nie widząc już skał ni drzew...

Nareszcie spotkał ludzi...

Szedł onego dnia w dół rozległego zbocza, które gdzieniegdzie porastała niska świerczyna. Okrągłe głazy wymiecione przed wiekami siłą lodowca leżały tam i sam. Kryształowych przestworów nocnego jeszcze chłodu wszystka potęga młodocianego słońca nie mogła przełamać. Z rzadka stojące wznioślejsze świerki rzucały na krótką trawę, jeszcze mlekiem rosy okrytą, nadzwyczaj długie cienie. Zacerwienione badyle goryczki zdobiły oddalone zakątki, jak kwiaty samotne, pełne smutku... Las w dole zapełniony był mgłą poranną o barwie ziarn jałowcu wczesną jesienią.

Wyniosły czub buka zabłąkanego między świerkową czeredą zdawał się spływać z chmur. Rafał z wolna szedł w las i trafił na potok płynący z boku góry. Poznał go... Zwalone drzewo i wodospad... Stanął nad jego brzegiem i patrzył, jak wartki nurt niesie między głazami liście przez wiatr zdarte z czoła buka, jak z nich tworzy rude groble, wiry krążące po pianiach i szerokie zatory.

Myślał żalobnie o liściu buka, który był niegdyś maleńki u łona matki-gałęzi, pełnego słodczy soków, o burzach wiosny, co nad młodym liściem przeleciały, w kościste turnie trzaskając ogniami piorunów, o halnych wiatrach, wydzierających z łona gór przepiękne chmury... Ten sam liść pędzi teraz pospołu z innymi, by stworzyć kupę gnoju, z dala od matki-gałęzi, z dala od rodzimej, wapiennej gleby buka, nawet z dala od ziemi.

Wtedy, gdy o tym myślał zwilżając zeschnięte wargi kwaśnym owocem dzikiej maliny, z nagła otoczyli go ludzie. Nareszcie ich widzi! Porwał za sztylet, ale już było za późno. Kilkanaście rąk chwyciło go za ramiona, wydarło nóż zza pasa. Poczul, że mu ręce skrępowano na plecach, łącząc dłonie za pomocą spojenia wielkich palców żelaznych pierścieniem. Gdy nogi zakuwano w kajdany, obejrzał tych ludzi wzgardliwym spojrzeniem. Byli to żołnierze. Poznał, jakiej są broni. Widywał za szkolnych czasów tych augsburskich piechurów. Kazano mu iść na dół. Nie chciał. Wówczas przystawiono do niego kilkanaście bagnatów. Nie chciał. Wtedy dźwignęły go z ziemi razy bata. W dolinie za lasem obaczył rozłożony obozem oddział kirasjerów lotaryńskich. Żołnierze przypatrywali mu się ciekawie i mówili do niego po niemiecku. Rozumiał ich doskonale, ale milczał zubożniały na wszystko, co nie miało styczności z jego duszą. Cieszyli się, że pojmali zbójnika...

Sześciu jeźdźców przywiązało go do swych siodeł. Skoczyli na koń, dobyli szabel i poprowadzili go między sobą w daleką drogę. Szedł teraz rozdołami, po podgórzu węgierskim, mijał łąki, wsie piękne, leżące spokojnie pod cieniem jaworów. Przebywał czystą, zieloną rzekę po drewnianych mostach, sztucznie wiązanych. Tu i tam sennymi oczyma widział bydlę rozrosłe, z niezmiernymi rogami. Kilkakroć w górskiej wiosce żołnierze przystanęli na chwilę, żeby się napić wody. Czasami który z nich wymienił nazwę wsi:

Krasnohorka, Krywe, Lekotka... Były to jedyne dźwięki, które od nich słyszał. Gnali go dalej a dalej...

Coraz częściej trafiały się wsie długie, ciasno zabudowane, z bielonymi chaty o dachach ze słomy albo szerniałego gonta. Z dała wśród nich widać było białe, grubomure kościołki z gontowymi dachami i baniami pokrytymi zardzewiałą blachą. Naokół widać było pod górąmi folwarki z murowanymi budynkami. Wyżej lasy świerków, buków, dębów. Szła obok drogi wierna towarzysząca rzeka, zasłana żabkami. W jednym miejscu siedział w czółnie kudłaty dziad czekając na tych, co by się na drugi brzeg przewieźć chcieli. Zgonionemu przyszło na myśl słowo „Charon”... Ale co znaczy to słowo? skąd przyszedł taki do głowy dźwięk?... Gryzł oczy i wargi biały kurz gościńca. Twarda i długa jest droga nieszczęścia. Załamuje się w stu kierunkach, zwiąja się w tysiące pierścieni. Na jeżyła się wszystka ostrym głazem jakoby grotami włóczy i stanęła nieprzyjazna a mściwa przeciwko bezbronny stopom.

Oto w trakcie tego pochodu wytrysnął w rozległej dolinie zamek na stromej skale. Kręty, kamienisty dostęp prowadził konwój do jego żelaznych drzwi. W dole szumiła zielona Orawa, w dali widać było polskie wielkogóry. Jeniec ujrzał przed sobą mocne, kute drzwi, odwieczną rdzą pokryte, krzywe zawiasy i haki z żelaza... Ciasne przejścia pod murem niezmiernie grubości, idące w półokrąg, zamknięte dziedzińce... Potem potworne podobizny dwu lwów z szarego kamienia, schody kamienne, wyszczerbione, ciemne przejścia, ganki, lochy podobne do kominów, wreszcie zimno podziemi, wydrążen omurowanych i jam we wnętrzościach turni... Trzask zardzewiałego rygła, przed oczyma nikły jakiś brzask światła, nad głową strop półokrągły, wykuty w skale, z którego cieknie szklivo wilgoci... Cisza nareszcie i legowisko...

„WŁADA”

Zostawiony w ciemności, usiadł na ziemi i z uciechą wsparł plecy o zimną ścianę. Głuche mroki lochu roztrącał w jednym miejscu promień światła padając spod sklepienia. W skale niezmiernie grubej wybita była kwadratowa jama. Kraty w niej kazały wierzyć, że to okno. Do tego źródła światłości prowadziła framuga tak głęboka, że zdała się być drugą izbą. Na warstwach skały, zwojami idących, na wsparciu ich i umocnieniu z granitu, przyniesionego pracowitą ręką człowieka, światło dnia pełzło niepewne, wylękle, kamienne jak wszystko naokół.

Więzien spoczął. Nie biegnie już krwawą stopą między cuchnącymi kadłubami zgrzanych koni, nie słyszy tętentu kopyt, dzwonięcia pałaszów i ostróg, trzaskania strzemion i trzęzli, nie czuje żądy oporu ani wybuchów gniewu szlachcica, którego chamy... Głowa leniwo zwisała na piersi, włosy zsunęły się na czoło i wśród delikatnego mrowienia na skórze czoła, gdy się zsuwały, przepływa żalonna myśl:

— Czemużemy się wtedy sznurami z sukni nie związali i nie rzucili razem?...

Straszliwe widmo żalu, *infelicissimum genus infortunii*, stanęło obok i napój z żółci a octu przykłada do warg.

W tej samej chwili ktoś w pobliżu wyszeptał, wysyczał słowo, drugie, trzecie... Więzien z odrazą i trwogą dźwignął głowę i zmrużonymi oczyma jął patrzeć w daleki kąt ciemnicy. Gdy oczy jego przywykły do mroku, zobaczył człowieka. Nieznany towarzysz siedział na ziemi. Przykuty był do swego miejsca, do haka, poza nim w białego w ścianę. Kilkakroć szeptał coś z cicha, wymawiał słowo tajemnicze. Gdy nie otrzymał wcale odpowiedzi, rzekł głośno po polsku:

— Cóżes jest za jeden, człowieku?

Rafał z najgłębszą odrazą usłyszał w tym miejscu mowę ludzką. Milczał.

— Cóżes jest za jeden, człowieku? Węgier, Liptak, czy nasz z Polskiej?

I teraz przybysz nie dał żadnej odpowiedzi. Ale tamten nie przestał mówić. Głos jego dygotał z rozkoszy. Coś w tonach jego drgało i zanosilo się od wytrysków uczucia. Zadawał nieskończoną liczbę pytań prędkich i namiętnych, dowiadywał się, czy też już jesień, czy buki po reglach czerwienieją, czy też już kurniawy jesienne były, czy nie. Pytał się i odpowiadał sobie, że pewno kierdele zeszyły w dół, a bace idą przy koniach, perciami. Hale puste, ino się ta niedźwiedz kole schronisk wałęsa...

Ten szepczący głos był tak silny, tak potężny, że zdawał się huczeć pod sklepieniem i w kątach ciemnego lochu, ale w tej samej chwili Rafał usłyszał w szumie swej głowy,

który go na chwilę nie opuszczał, w łoskotach i osłupiałych wzdrygnięciach serca — inny głos. Tamten rozlegał się między niebem a ziemią, strzelał jako młoty gromu i trzaskanie piorunu w głuchą noc, lecąc nad wielkim obszarem w odgłosach świstu bicza i ciosów rzemienia. Człowiek słuchał zdrętwiały w sobie aż do ostatniej kropli krwi, aż do korzeni włosów:

— Wyrwę ci z serca ostatnią pociechę, jakobym wyrwał ślepcowi kij z ręki, gdy się do przepaści przybliża.

Otoczę cię trwogą tak nieprzejrzaną jak ciemność głębokiej nocy, długą jak żal.

A później spuszczę na cię nie wąż trwogę, lecz smycz zgłodniałych nędz aż do nieznannej, aż do ostatniej, której jeszcze nawet wśród snu ciężkiego nie oglądałeś w mglistym przeczuciu.

Spojrzysz wtedy przy blasku piorunu w moje otchłanie, nad które górska koza nie chodzi, gdzie ptak w locie truchleje, gdzie wąż nie pelza, gdzie promień słońca na mgnienie ludzkiej źrenicy chyłkiem zagląda, gdzie odrętwiała ciemność leży przez wieki. Tam przebywa zemsta, która jest moją.

Wezmę na własność każdą chwilę, którą swoją przywykłeś nazywać, wyciągnę ją na długość rozleglejszą niż wszystkie władza twej wyobraźni.

Zatrzasnę drzwi mego zamku i zatarasuję okiennice, żeby ani jeden twój jęk nie doleciał do mego ucha.

Zapomnę, żeś jest na ziemi.

Niech cię upadającego potraça w samotności twoja zła dola, jako chce.

Przepadnij.

Zimne ciało słuchacza zsunęło się na ziemię. Głowa upadła na twarde kamienie, a spalone na węgiel usta uczuły smak więziennej wilgoci. Do serca spływały krople gorzkie jak żółć i ocet. Ciemność, ta ciemność, w której przebywa zemsta, ogarnęła jego głowę, a kolana swe wgniotła mu w piersi. Był jak kamień na drodze, który każda noga potraça. Wtedy to poczęły mu się wspominać odległe, odległe poszumy, jakoby świst-poświst na leśnej górze Łysicy w Świętokrzyskim paśmie. Przyjdą z daleka, nadciągną z końca świata, przepłyną dookoła ze śpiewem i zginą. Oto dźwięk łaskawy twarz mu owiał leśną jodłową wonią. Nim nadpłynął drugi, czoła dotknął błogosławionymi rękoma i trzeci, tamtych dwu towarzyszy. Uczuwać powiew i ich zapach, dotknięcie, uczuwać na ustach, w sercu — tak było dobrze. Płynęły przyniesione na skrzydle anielskim z dziecinnych lat... Zeschłymi wargami, nie wiedząc czemu, wymówił do Niego:

— Boże, bądź miłościw...

Serce nie szalało już teraz jak zamieć zimowa, nie burzyło wiązań piersi, nie szarpało się jak niewolnik w łykach. Szło znużonym, obojętnym krokiem wędrowca przybywającego do głuchej mety, która gdzie jest i jaka... komuż wiadomo?... Zdało mu się tylko przez niewyraźne drzemanie, że owa meta to wąskie, długie, z czarnego piachu i skał międzymorze, gdzie jedynie drapieżny ptak czasami spoczywa. Zdawało mu się za chwilę, że on sam to jest nie co innego, tylko wichur bezgraniczny lecący nad morzami. Wały pod nim morskie, brunatne, równie pod nim, porznięte w szkliste granitowe skiby. Granatowe ciemnowode wełny ubrały się w piany. Łąd zginął. Skaczą olbrzymie potwory, wiekuiście młode góry morza, przez niski łąd z okrzykiem swoim straszliwym.

Huczają zielone fale przypląwu przebiegając wydmę czarnych piachów, pękają u tej samej mety i z niepowtórzonym jękiem, z okrutną skargą wydają z łon ten sam głos odwiecznej żalości, głos wypływający z ludzkiej duszy... W sercu zostaje pusta ciemnica, miejsce, skąd odszedł nawet żal, nawet wyrzut, niby miejsce w domu, z którego wzięto na barki i wyniesiono trumnę.

Nie jest już wichrem, lecz topielcem wywleczonym za długie, mokre włosy z niezglębionego oddechu. Ręce ma zimne jak woda, nogi zdrętwiałe, oczy z lodu, serce nieruchome i obojętne bardziej niż podwodny kamień, przez który spienione skaczą fale. Głowa spoczywa jakoby na czyjejs dłoni dobrotliwej, zaznajac ciszy i nicości.

Tymczasem drzwi się dawno otwarły i dozorca więzienny, przestąpiwszy próg kaźni, postawił obok Rafała posilek i wodę. Był to chłop barczysty, w jakimś wyszarzałym urzędniczym kostiumie. Skoro tylko stanął w progach, więzień przykuty zaczął go o coś błagać jęcząc i skomląc.

Dozorca przez czas pewien śmiał się oschle. Miał przy tym różne wyrazy niemieckie i węgierskie, polskie i słowackie:

— *Die schwerste! Jo... Die schwerste! Die Kerkerstrafe des dritten Grades... Ne mohu...*

Więziń znowu zaskomlał jak pies. Strażnik ruszył ku niemu i kluczem żelaznym odemknął obręcz, która w połowie korpusu obejmowała skazańca. Zbój, spuszczonej z łańcucha, stanął na nogi i zawył radośnie. Wyciągnął ręce do góry i rozprostował zgięty krzyż. Dozorca cofnął się do drzwi i zaparł je swoją osobą. Wtedy uwolniony zaczął biegać w kółko po izbie, dzwoniąc kajdanami ręcznymi i nożnymi. Zawracał w miejscu i skakał aż do sufitu, zwinnie, pomimo kajdan, wyrzucając nogi. Splótł ręce i założył je na tył głowy...

— No, Mocarny, potaćnuj... Zbójnickiego! — mrucał dozorca śmiejąc się po sobie.

Góral puścił się w tan. Przeginał się w tył, ciskał naprzód, wywijając rękoma i skakał w prawo, skakał w lewo, od jednej ściany do drugiej. Jego nogi w mgnieniu żrenicy dokonywały błyskawicznych skurczów i wygięć nie do uwierzenia. To elastycznie ginęły, to znowu, jak doskonała stal, kuły kamienne płyty posadzki. Prędko, coraz wścieklej miotła się jego oszalala głowa. Była i pod stropem, i nad ziemią, leciała kołem. Czarna koszula migała to tu, to tam. Z piersi wypadał obłąkany krzyk, ptasie czy zwierzęce pogwizdywanie, pochutnywanie sylabowe, wilcze czy rysie.

W pewnej chwili ten ogromny chłop jednym skokiem znalazł się we framudze okna. Nim dozorca zdążył słowo rzec, gest uczynić, wdrapał się po murze, wszczepiając bosa stopy w szczeliny między głazami. Uchwyciwszy się rękoma żelaznych prętów małego okienka, zawisł pod sufitem jak pantera. Jego wychudła twarz, obwieszona pozlepianymi kudłami, przywarła do żelaznej kraty, a całe ciało znieruchomiło nagle i zastygło.

— Mocarny! *Halt!* Mocarny, ja tobie mówię! *Nieder!* — ryczał dozorca chwytając go za bary.

Góral nie poruszył się i nie odpowiadał. Oczy jego były wlepione w widne na niebie, dalekie polskie góry. Długi, czarny policzek przywarł do zardzewiałych krat, włosy zwisały w tyle zadartej głowy długimi strzępami jak nastroszone ptasie pióra. Tak wisząc w oknie zaśpiewał, zaklął, zaszlochał:

Ej, wirsycku, wirsycku, ej, dałbyk cię ozłocić,
E kieby mi się mogła, ej, moja wola wrócić...

Był to krzyk przeciągły, prawdziwy krzyk z głębi duszy wołający na góry, które żyją i czują. Całe podziemie, cały zamek nappełnił ten głos. Zdawało się, że zatrzęsł jego podmurowaniami i sufitem kowanym w skale. Dozorca siepał się z więźniem. Ten jakby zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje, śpiewał jeszcze mocniej:

Ej, wirsycku, wirsycku, ej, dałbyk cię ozłocić...

— Mocarny! — wrzasnął dozorca bijąc go kluczami.

Ej, wirsycku, wirsycku...

Udało się wreszcie strażnikowi grodu chwycić zbója za kołnierz i zwlec na dół. Stanęli obaj w smudze światła, tuż nad głową Rafała. Góral wstrzymał pilnowacza i pokazując leżącego spytał szeptem:

— Cóż to za człowiek?

— A kto jego wie? Taki tam pewnie zbój z gór jako i ty.

— To ta nie zbójnik.

— No?

— To jakisi sponiewierany ceper. Ka ta takiemu!...

— A skądże na nim cyfrowane portki zbójnickie, cucha i pas?

— Cy ja wiem skąd? Moze kany ukrad...

— Zbójom ukrad! To musi być chwata!

— Chwaty som ta jest wselnijakie.

Za chwilę góral, wtłoczony w obręcz, przykuty do haka, na swoim miejscu siedział już w kucki. Podbite obcasy strażnika zadźwięczały na chropawych głazach, zgrzytnęła zasuwa we drzwiach. Ucichł odgłos kroków na schodach.

Rafał od dawna ocknął się już był ze swego upadku, widział taniec i słyszał rozmowę. Wszystko, co przecierpiał, całe nieszczęście, którego udźwignąć już nie mógł, zwałił na głowę towarzysza kaźni. Gniew osobniczy wilka skupiał się w nim. Poczul w duszy nową siłę, jakoby w mocnej dłoni poczul nagle jedlca ciężkiego miecza. Z wolna przez jego głowę waliła się olbrzymia myśl, że to jest może jeden z tych, którzy się poważyli na nią, na tę, której już nie był w stanie wspomnieć... Zła krew zalała mu mózg i ogniem dymiącym napelniła żyły. Wstał ze swego barłogu i twardymi krokami zbliżył się do górala. Czul w garściach dziką siłę do zduszenia gardzieli, która przed chwilą napelniła to miejsce podłym krzykiem.

— Słuchaj — rzekł stojąc nad zbójem — zaduszę cię jak psa! Jesteś skuty. Nie ruszysz się. Zaduszę cię. Mów prawdę...

Góral skulił się, zwinął w siebie. Patrzył weń z mroku stalowymi oczyma. Milczał.

— Dawno tu siedzisz?

— Musi dawno!

— Ile czasu?

— Od siedmiu lat siedzę.

— Od siedmiu... — powtórzył Rafał głosem szyderczym, który się z niego samego natrzęsał jako wróg.

Spytał jeszcze:

— Za co siedzisz?

— Za co? A tobie na co wiedzieć?

— Nie powiesz?

— Co mi ta! Cłeku! Powim. Za cóż byk miał siedzieć, kieć dezenterował!

— Kiedy?

— He! Kie ja z wojska! Kęś casu, bracie. Wziemi me w halak. Kiecki nam koło usy pozaplatowali, portecky cyrwone dali i hybaj! Do pandurów. Poślimy we Węgry, het! ku morzu, w takie strasne równie, pustacie, co nie daj Boze. Wytrzymalek bez jeden rok, bez drugi, alek ni mógł dockać końca, kraju... Telo me docliwiło, cok wzion i zdezenterował. We dnie jek się krył, a na mroku leciał ku halom. Ale się w jednym mieścisku, na węgierskiej stronie, do mnie przyznali. Wziemi łapać. Dopadli me w takiej wąskiej ulicce, zaparłek sie do muru plecami — byłek chłop! — wzionek skalami prać, byłbyk to poprał na kupę, nie daliby rady. Ale me štukom wzieni. Zašli me ze zadku, postronek na syje zarucili i łapili. Toz to w seści me bez miasto wlekli. Musiałek bez takom ulice biegać, co me z dwok stron bili. Cosi pięćset kijów wsypali. Dobrze! Juści odesłali me z wartownike do Prěśburku, do regimenta. Ale w drodze useptaliśmy się z jednym wojakiem, co me wiód, co był z Luptowa, juści zdezenterowaliśmy oba. Kaz było iść? He, bracie! Co ino raz wiatier nas obleciał, wiedzielimy ka! Dopadlimy do hał, ozdobierali się, Luptak był za harnasia, i pošli na zbój. He, to było życie honorne! Ślimy w Polskom, cy ta na Węgry, na Śląsk, na Morawę, sedy nas było pełno, ale po kómorak ludzkich pusto...

Pandury a wojaki wse nam deptali po pięćtak a ślakowali. Na ostatek źle nam wysło. A syćko bez babe! Kto sie frajerek rad trzymał, ten niedługo zbójował. Zabawilimy sie hań u jednej nieskoro w nocy i po ćmie nas przysiedli. Pięcioro uciekło — ja zaś w pazdurak im ostał.

— Cóż wtedy?

— W sifcug, bracie.

— Cóż to jest?

— Nie wis? To sie lepiej ani nie pytaj...

— Ja się niczego nie lękam. Powiadaj.

— Sifcug, wis, to je tak: Hań nad okrutnom wodom, nad Dunajem, ka Sigedyn, wis? som ta jest młacyska, bory strasne, topiele, co ik ani nie zgruntujes, ani nie przeżres, bo to kansi idzie, aze do kraju świata. No, toz to nas hań przywiedli, śleje kie koniowi zarucili i wprzagli do takiego sifu ze siacem, psenicom — jako padło. Sif wodom seł, a tyś sie po kraju potykał ciągnęcy... Kieś nie wytrzymał a padł i skapiał, no, to cie hnet w tym

błocisku zagrzebli. Ale to ta nic. Dy lekcej hań na dnie w borze gnić z pniakami, niżli tak żyć. Gorzej było, kieś zesłał a nie zdeł i nie zdoł iść, kie cie postrzał ozbił abo ci gicale w tej młace pokręciło, abo gad uzar. Praśli cie na tym sifie, i tames cekał abo końca kary, albo śmierci. Kie przysła noc, toś, jako stał, pokalany po syje, w tyk stoplanyk gałganak, seleş spać. Ale przód ci łańcuski na ręce, na nogi włożyli, a do belki przykuli. I takeś gnł w tym gnoju i gawiedzi, a zima cie trzęsła. Bo w tyk młacyskak, kie sie zmirkało, sła ze ziemie taka mgła gęsta, brzycka, z takim pukem — to cie tak przejeno, coś zębami piknie kłapał jako wilk. A na raniu, lemze malučko namieniało na świtanie, hybaj! we wode, w młacysko! A nie kces, to cie tak kijem dobili, coś nie kciał a wstał i seł, choć ci płacki z oc durkały...

— No, dobrze, dobrze... Słuchaj! A żebyś tak spróbował wydać kryjówki tamtych wszystkich. Lżej by cię sądzili.

— Ni! To ta nic nie płaci. Choćbyś sto razy prawdę powiedział, to telo bedzie, co i przez niej. Wezmo cie na spytki, na męki.

— Na męki?

— Zje ba jakoz! To ino zabawa, kie ci myske na pępek pod garnusiem puścili. Więcej nie trza. Ale ja ta wolem dobrom, bo krotkom męke niżli długi kryminał.

— Słuchaj, a jakżeś wytrzymał, jakżeś wyżył tyle lat?

— Jakek wyżył? He, bracie, powiem ci, jako... Mas tu siedzieć — ani ja wiem, coś za jeden — ale cobyś wiedział: syćko przetrzymies, ino trza wiedzieć sposób.

— Sposób?

— Na jedno musis przystać: abo sie głodem zamórz, łeb se o mur ozwał, abo kieś chłop, kie mas siłę w zylak i kościak, to se upatrz takie jedno misce w sobie, chyc sie ónego pazdurami — i trzym, a powiedz se tak: Niekze ta! Niekze... Bij, kie mas wolom...

— Nic mi z twojej nauki... — rzekł Rafał śmiejąc się ze swej doli gorzkim, ostatnim śmiechem.

— Bedzie cię biło rok, bedzie dwa. Ty się trzym! Nic nie pytaj. Stępi sie to złe, kij mu sie na drzazgi ostrzepie, straci włade i pójdzie se w dyasi. Nie dam ci rady — rzece — boś chłop! Insy bedzie niby w sobie tęgi, ale go bieda w miesiąc stępi, bo siły nijakiej ni ma, jako ten pniak w lesie: po wierchu mocny, ale go kopnij — ozleci się próchno ś niego jak ciasto. Taki se będzie banował, a to na nic — to nagorse. Ty się trzym! Choć i płono, choć i boli... Wytrzymies, nie bój sie nic. Ha, kie juz telo zdoles wytrzymać, to sie w tobie, bracie, siła zsiadnie jak krzemień. Włada na cie przyńdzie telo, co każdej biedzie do gardła skocys... A zdusis! Hej!

ARCYKAPŁAN

Pomimo uwag woźniców i rad najdoświadczeńszych a najśmielszych górali ksiązę Gintuł uparł się, żeby jechać dalej. De With ani się nie opierał, ani go nie zachęcał. Był wciąż tak samo obojętny, tak samo pozornie wesoły. Uśmiech, niezłomną potęgą woli wydobyty, uśmiech stworzony chceniem z nicości wesela, uprzejmy i trwały, pozostał na jego ustach taki sam jak w zaraniu podróży. Wcześniej wyruszono z Waasen. Kilku wieśniaków szło przodem, żeby odwalać zasy, jeśli gdzie drogę przecięły, a obadwaj podróżni wybrali się w ich tropy pod opieką trzech silnych Szwajcarów.

Kiedy wstąpili w czeluść kamienną Reussu za Göschenen, przewodnicy nakazali surowe milczenie. Wszyscy szli wolno, skradając się na palcach. Pod chmurami, między szczytem a szczytem krzesanic, na zrębach i gzymsach, lekko i wdzięcznie przechylone w dół, marzyły w słońcu lawiny. Śliczny poranek wyzłacał ich łapy złożone na krawędziach, szyje i głowy zwisające dla zasłyszania grzmotów, skowyczeń, dzikiego szumu i samotnej pieśni górskiej rzeki, która przeraźliwymi skokami miotała się w czarnych turniach, w śnieżnobiałych zaspach, między zielonymi soplami i wśród tafel lodów olbrzymich jak same skały. Ze drzeniem, odsłoniwszy głowy, mijali Szwajcarowie diabelski most, oślizgły przesmyk w otchłani, gdzie przeszywające gwizdanie Hutschelma oddech tamuje. Dwaj podróżni szli z przymkniętymi oczyma. Trwoga śmiertelna obchodziła ich wokół. Spod ścian, z głębi bulw i garbów zielonych soplów patrzyły w nich oczy poległych w tym miejscu.

Potęga szumu zdziczałej wody powiadała dzieje boju. Kiedy noga za nogą idąc przebyli most i kamienne galerie, de With podniósł oczy po swojemu, sennie, w uroczystym oczy-

nieniu przypatrywał się temu miejscu, skałom, rozjuszonej rzece i tajemnicom przeszłości drzemiącym w czarnym cieniu.

— Jakież to urok!... — rzekł do towarzysza.

— Prawdziwie...

— Mówiłeś mi, że miejsce bitwy, Lecourbe?...

— Tak jest, miejsce bitwy. Czy chcesz może, kochany, poznać dzieje zdarzenia?

Skinął głową z wyrazem mniemanej ciekawości, sztucznego zajęcia. Rzucił pośpiesznie oczyma po skałach, po drodze, po moście... Już za chwilę oczy jego utknęły w próżni i powlokły się ze wstrętem na kulach niedoli, swą własną drogą, jak żebrak idący bez celu szlakami świata. Książę zamilkł.

Ruszyli dalej, ale tylko do Hospenthalu udało się im dotrzeć. Wnet słońce zaszło za garby Furki. Nikt z mieszkańców nie chciał słyszeć o drodze. Wypadło tedy nocować w tej ostatniej mieścinie przed łańcuchem gotardzkim, dokąd sięga gwara niemiecka. W małej, starożytnej izdebce z krzywą podłogą było duszno nad wyraz. Książę nie spał. Słyszał w drzemaniu wersety litanii do Wszystkich Świętych, którymi, głośno je wyśpiewując, stróż nocny zaznaczał kwadrans mijających godzin. Skoro świt ruszono dalej.

Szła już przez przełęcz gotardzką nowa, w roku 1800 zbudowana droga, ale w tym dniu śladu jej nie było. Zamiecie przywalały dolinę niezmiernymi zaspami. W poprzek drogi i rozdołu, wiodącego na szczyt, runęły nowe lodowate góry, nowe przełęcze, łańcuchy i doliny. Były to twory równie bezcelowe i niepojęte jak węzeł łańcuchów górskich, które się tu schodziły z czterech stron świata. Jechali zrazu konno, potem przesiedli na sanie. Ale zimno nie dawało pobłażania. Na połowie drogi do szczytu puścili się piechotą. Brnąc w sypkim śniegu, a torując sobie wciąż drogę łopatami, posuwali się w górę.

— Jesteśmy w samym siedlisku przyrody, na kalenicy dachu Europy. Jakże się to tutaj gmatwa kłęb jej pomysłów! Sama nie wie, co robi... — mówił książę. De With uśmiechnął się łagodnie.

— Po cóż są te góry, te bezgraniczne, ledwie ogarnione myślą łańcuchy kamienia i przepaście? Po cóż są te zasy? Na co była okropna zawieja, która je tu przyniosła?

Mistrz katedry patrzył w pole śnieżne czystymi oczyma, jakby szukając tam słów, które wyrzec należy. Wzruszył po dziecięcemu swą wielką głową i chrapliwym głosem, naraz zwróciwszy się do księcia, rzekł:

— Nie wiem.

— Dla człowieka, ażeby człowiek...

— Nic teraz nie wiem.

Na szczycie, około martwych jezior, które o tej dobie zginęły bez śladu pod lodami i zwałiskiem śniegów, zerwała się zamieć tak straszna, że obaj podróżni zwątpili o swym ocaleniu. Stali w samych chmurach, w lodowatej pracowni śniegu. Nie wiedzieli, czy dokoła nich krąży noc, czy dzień. Wichur straszliwy ryczał w trąby jaskiń niewidzianych. Przelatując tamtędy z północy na południe globu ziemskiego, grał na harfie łańcuchów górskich, świstał w szczeliny lodowych pieczar, gdzie już nie masz życia. Gardziel przepaści wyrzucała w chmury chichotem drgający dech.

Serca były przyśpieszonym tętnem a nogi drżały. Na pół skostniali, śmiertelnie znuzeni, upadając co krok w lotne zasy przywlekli się do schroniska. Tam przewodnicy po długich mozołach rozniecili ogień, zgotowali wody i jaki taki posiłek. Zawinięci w futrzane płaszcze, podróżni spędzili tę noc na drzemaniu w pobliżu ogniska. Następnego dnia z równym mozołem zeszli do Airolo na włoskim zboczu Alp. I tam leżały zasy, a zadyмка kryła światło. Najętymi końmi ruszyli co prędzej w dół przez Biasca, Bellinzonę, Lugano. Dopiero w lombardzkich nizinach wionęły ku nim powiewy italskich ogrodów i ciepłych mórz. Ziemia była jeszcze szara i zimna. Sennie nad jej mokrymi płaszczyznami, dokoła nieskończonych rowów, stało drzewo oliwne, podobne do wierzb Północy. Ale już tu i owdzie lśniąca murawa płonila się w ciepłym zaciszu przykop zwróconych ku południowi. Wieśniak wychodził do pracy w polu i z uśmiechem zdumienia a mimowolnej wzgardy poglądał na ciepłą, zabawnie obszerną odzież ludzi przybywających z gór. Nigdzie nie zatrzymując się dłużej, rozstali się podróżni na nizinach z rzeką Ticino, którą byli widzieli, gdy zlatwała potokiem ze śnieżnych jaskiń Gothardu. Przebyli leniwą, mułem i kamieniami zawaloną Po.

W pierwszych dniach marca dosięgli liguryjskich Apeninów i wjechali w ich wąwozy. Po górskich drogach wlokły się ładowne zaprzęgi o dwu olbrzymich kołach i prastarym, starorzymskim hamulcu, ciągnięte przez osły, muły i konie. Woźnica trząskając wesoło z bata, pędząc w doliny, gdzie stał perłowy zmrok wiosennych mgieł, wdzierając się na skaliste przełęcze, i znowu lecąc dołu. Gdzie rzucić okiem, stały się oliwne gaje powleka-
jąc srebrną szarością wyschłe, kamieniste pagóry. Lśniły się pod słońcem chropawe jak zeschnięta ziemia ściany domostw wieśniaczych. Po nadrzeczu tuliło się tam i sam zwarte, spiętrzone miasteczko o domach jasnożółtych. Zwiślał z ogrodowych murów przypoludnik o trójgraniastym liściu, a tu i owdzie kwiat jakoby naszego ostu wytryskał z jego zwojów. Potworny kaktus wwiercał w szczeliny skał i ścian szpony swych korzeni i wystawiał na słońce krzywe pazury łap rozplaszczonych. Za żelaznymi kratami domów zaślniła kiedy niekiedy rabata lewkonii, przemknął dokoła twarzy cudowny odór gajów różanych, musnął oczy daleki widok kamelii w kwiatach, siejących dokoła swych ślicznych osób białe i pąsowe płatki uwiedle.

De With, który był w tym kraju po raz pierwszy w życiu, patrzył na wszystko okiem zgasłym tak samo, jakby miał przed sobą ściany i piec zimowego mieszkania. Na szarą barwę jego twarzy gorący wiatr, przylatujący zza morze, wywabił słabe rumieńce. Między zsuniętymi brwiami została posępna rysa. Wjechali w granice Rzeczypospolitej Liguryjskiej, niegdys Genueńskiej. Góry były coraz wyższe, coraz bardziej skaliste.

Nareszcie po tylu dniach rozwarły się wyloty dolin, rozstąpiły się skały. Na widnokre-
gę lśniło się morze dalekie. Książę miał w oczach płomień, a okrzyk szczęścia w ści-
śniętych ustach. Nie mógł powstrzymać myśli, która, jako prawda nieujęta, niejasna, niedająca się zawrzeć w słowie, rozpiełała mu piersi. Rzecz wreszcie:

— Jakże obmierzłymi są kraje, w których los postawił naszą kolebkę! Oto jest ziemia godna człowieka. W niej się zamyka świat i jego dzieje. Przybiegliśmy do tych brzegów nie tylko cieleśnie, ale duszami, tak samo jak tu ciągnęły barbarzyńskie plemiona ze wszelkich obszarów i stron Północy, ze Wschodu i Zachodu. Nie mogę się zaprzecć... Kłamałbym mówiąc inaczej: jeżeli kocham jaką krainę, to tylko tę. To jest ojczyzna mojej duszy... Spójrzysz...

Na krańcach widnokre-
gę wyginał się lśniący huk morski, wiecznie napięty. Promienista strzała słońca leżała w jego cięciwie. Wzrok nurzał się w zieleni obszarów wodnych z taką rozkoszą jak w powietrzu. Chwiały się fale w świetle, podzielone przez wstęgi błękitne jakoby na chóry anielskie, śpiewające pieśń morza.

Daleko, ze skalistych w dole brzegów, olbrzymie pinie wychylały nad wodami czarne korony, a najdalej na cyplu kamienistym strzelala w niebo kępa cyprysów na podobieństwo pięciu czarnych płomieni. Z nicejskiego brzegu we mgle białaly liguryjskie Alpy, a na lewentyńskim czarną masą rozsiadły się Apeniny, chropawe od piargów, czarne, jakby spalone przez *sirocco* góry Rocca, Giugo, Santa-Croce...

— Genueńska Zatoka... — mówił książę do siebie. — Melodią fal swoich wykołysała dziecięce i młodzieńcze wichry marzeń, straszliwe burze żądź czynu Krzysztofa Kolumba. Jej to nawałnice ciosały w jego duszy wolę strasliwą. To ta zatoka wywiodła go w tajemnicze pustynie wód, w nieskończony, siwy ocean, w szlaki jego młodocianych marzeń, do Indów. My nędzni ledwie wątlymi myślami zdołamy obejść te drogi przezeń odkryte, przepłynione aż do ostatniej granicy, skąd mógł napisać do królowej Izabelli te dumne, zaiste królewskie słowa: „Ziemia nie jest tak wielka, jak pospolity lud mniema, przeciwnie, ziemia jest mała”. To samo błękitne morze wyrzuciło ze swoich pian na łód starego świata Korsykanina, pierwszego konsula, co teraz zbrodniami tyranii napelnia grozą Francję...

De With grzecznie potakiwał albo słuchał cierpliwie.

Powóz skierował się na prawo i wbiegł na główny gościniec prowadzący do Genui. Wkrótce podróżni znaleźli się w jej wąskich ulicach, w tych ciasnych lochach, wiodących z góry w otwarte morze. Krótco tu jednak bawili. Celem ich podróży była posiadłość „brata” Vicini w okolicach miasta. Przebrawszy się w hotelu w suknie lżejsze i cieńsze podążyli we wskazanym kierunku. Willa Vicini leżała na górze obrosłej krzewami. Było południe, kiedy stanęli u wejścia.

Wpuszczeni do ogrodu przez starożytną żelazną bramę, szli przez czas pewien w górę wąskim korytarzem, utworzonym przez dwa wysokie mury. Fale bluszczu przesadziły

Polak

szczyty murów i płynąc, kapiąc, wisząc soplami długimi aż do ziemi, uczyniły z tej drogi majestatyczny a zarazem cudnie przychylny krużganek. U krańca jego były drzwi domu. Jońskie i korynckie kolumny białe na słońcu, barwiąc dalekie tło ciemnych gajów niewymowną plamą. Służący prosił przybyszów, żeby zechcieli zaczekać na przebudzenie starego margrabiego w salonach dolnych czy w ogrodzie. Wybrali ogród i poszli w górę po ścieżce wysypanej żwirem drobnych kamyczków, które morze z dalekich stron przyniosło i na brzeg wyrzuciło, a pracowity człowiek na tej drodze rozsypał. Małe jaszczurki przebiegały słoneczne place, zatrzymując się chwilami i patrząc zielonymi oczyma na nieznanym ludzi. Ludzie Północy szli krok za krokiem, wielbiąc oczyma cudne drzewa, a raczej niewysłowioną ich piękność. W jednym miejscu mur był niższy i można było, wspinając się na palce, zajrzeć na drugą jego stronę. Rósł tam na południowym stoku, ze wszech stron okolony ścianami, wirydarz owocowy. Wiosna go już dotknęła.

Jak senna rozkosz ukazały się przed oczyma pod przeciwległym murem wysmukłe różgi brzoskwini, oblepione jasnorożowym kwieciem, które same liście wyprzedza. Stało pod słońcem. Książę zmrużył oczy od przelatującego ciała dreszczu. Marzył. Zdało mu się wskutek osobliwego złudzenia, że widzi jasną, niewinną, zawstydzoną dziewczynkę lat piętnastu. Byłaby to jego siostra, czy inna, obca? Widział ją kiedy, czy nie? Taka właśnie jak te gałęzie: wszystka różowa, skromna i siostrzanej duszy... Ma ją w oczach, a od tego widoku bezcennymi kroplami szczęście spływa w zaskorupiałe rany serca.

— Bądź pozdrowione, drzewko...

Całą przestrzeń zwartym gąszczem zarosły rozłożyste pomarańcze i cytryny. Każda gałązka była obarczona płomiennymi kulami dojrzewającego owocu. Jasnosrebrzyste cytryny liczne były jak liście. Już figa puściła ze swego szczytu nowotne, wątłe, prawie białe listowie, a słodki kasztan pąki, które ozdobiły końce jego nagich a powikłanych gałęzi.

Weszli do parku. Stanął przed nimi eukaliptus z pniem prostym i wyniosłym jak maszt, ukazał się jego cielisty odzimek, który zrzuca korę na podobieństwo człowieka pod zwrotnikiem, zrzucającego ciepłą odzież. Sięgnął od stóp do połowy, zda się, wysokości góry. Tam, w wyżynie rozpostarł swe nieogarnione konary i gałęzie, pręty i liście zwisające jak u topoli, ciemne i twarde niby pergamin. Wychylił się z gąszczów bukszpanu laur kamforowy z małym i wątłym liściem i magnolia, olbrzymia jak lipa wielowiekowa. Co krok zastępowało drogę i zasłaniało pół nieba inne zjawisko. Więc w jednym miejscu chwiał ciemnymi sukniami i żółtymi kwiaty, liśćmi jakby wyciskany ze skóry — bukszpan, dziwny obraz świerka i mirtu... W innym, między garbami góry, dumały brazylijskie i afrykańskie palmy. Ich pnie chropawe i włochate, najeżone tarczami i kleszczynami, książę przywitał westchnieniem. Łuszczaste kadłuby wydzwignęły się w przestwór i miotaly tam kity piór. Wśród ich gałęzi leżały już na złotych prętach żółte, okrągłe, tęgie gruzły niedojrzałych daktyłów. Wkroczyli w głęboki cień. Podniósłszy oczy ujrzeli niezmiernie widły, odnogi i pędy libańskiego cedru o korze brunatnej ze srebrzystą tam i sam poświęcą mchu, ze złotymi bulwami żywicznego obaru. Obwieszony niezmierną liczbą szyszek, obszar korony cedru tworzył sam z siebie puszcę. Stojąc na wyniosłości tej góry patrzył już może w liguryjskie wybrzeża tysiąc lat, a może dwa tysiące, bo długości jego wieku nikt nie wie i nie zbada... Może gałązkę jego zasadził tutaj pierwszy żeglarz fenicki, może rzucił ziarno idący światami Żyd Wieczny Tułacz.

Tu i owdzie otwierały się między gajami rozległe, pochyle trawniki, zamknięte ze wszech stron łączki, usiane kwieciem tymianku i rozmarynu. Zza drzew dochodził wesoły i niespokojny plusk małej fontanny i ciche szemranie wody, uchodzącej w głąb płaskiej cysterny z białego marmuru. Któż by się zdziwił, gdyby na jego spotkanie wyszedł z wilgotnych, lśniących zarośli nagi faun o ciele brunatnym i włochatym, gryząc złotą pomarańczę i śmiejąc się z lotrowską rozpustą? Któż by się zdziwił ujrzawszy na gżemse marmurowym białe jak on ciało nimfy? Ucho słuchało, czy nie odezwie się radosny głos puszczalek i krzyk wiosennej radości...

Przezierały w istocie z głębin liści białe ramiona. Ale to była podobizna człowieka wykuta w marmurze. Kiedy zbliżyli się do tego wizerunku, ujrzeli, że źrenice jego i powieki były wyżarte przez czas i deszcz. Patrzyły bezkształtnymi dołami. Ust już nie było, a spięcie togi na obnażonym ramieniu było tak samo porośnięte mchem jak czoło i brwi.

— Śpij w spokoju, potężny patrycjuszu... — rzeki Gintuł odchodząc z tego miejsca.

Drzewo, Wiosna

Z zadumy i znużenia wyrwał ich szelest listków cienkich jak jedwab, wątlých, gładkich i subtelnie kreślonych niby wodnymi znakami, a ruchliwych i czułych na każde tchnienie bardziej niż puch. Szept kończystych listków, gdy się jedne do drugich z trwogą tuliły ostrymi w brzegu powierzchniami modrawej barwy, wzbudzał szczególną litość. Białe, równe, okrągłe pędy, poprzedzielane obrączkami kolan, rosły tu w kępach odosobnione od reszty roślin, jak cudzoziemcy wyrzuceni na niegościnniej łąd. Był to biały bambus. A dalej o kilka kroków czerniały, lśniąć i świecąc, i dzwoniły tą samą zaiste mową kępy czarnego.

Wskutek ciągłej wędrówki pod górę podczas upału przybysze byli bardzo znużeni. Siedli na kamiennej ławce. Książę Gintuł wydobyl teczkę i ją przeglądać listy i papiery, które należało wręczyć „bratu” Vicini, skoro go według znaków poznają.

Wtem podniósł oczy — i papiery upadły mu z rąk na kolana. Naprzeciwko ławki, po drugiej stronie placu zasypanego szarym żwirem, stały cyprysy w grupie tworzącej jakby czarną i ciemną kaplicę. Szczyty ich strzeliste, zionące w niebo ostrymi języki, schodziły się w górze. W głębi, pomiędzy ich pniami, w mrocznej nawie, skąd ranna rosa jeszcze nie odeszła, stało rozłożyste drzewko rododendronu, na wysokość nieprzechodzącej wzrostu człowieka. Cała jego korona była w olbrzymich kwiatach, a wątle listki ginęły między nimi. Barwa kwiatów była karminowa, a w głębi kielichów ciemniejsza aż do najcięższego karmazynu. Wytryskała z cyprysowej ciemnicy jak gdyby krzyk symboliczny, znak — zwiastun prawdy, pierwszy raz spadającej między rzesze ludzkie. Ten krzak ognisty, zionący najpotężniejszym ogniem przyrody, stał w swym ciemnym odosobnieniu jakoby arcykapłan, wznosząc ku niebu tajemniczy, najwznioślejszy głos życia.

Obaj podróżni wstawszy zbliżyli się ku niemu. Z rozkoszą i czcią patrzyli na jego kwiaty olbrzymie, których głąb purpurową nakluwują czarne znaki, jakoby ukąszenia ciemności. Książę Gintuł podniósł rękę i ułamał jedną gałązkę otoczoną kwiatami. Podał ją Mistrzowi. Ten wziął ją i przez chwilę trzymał w ręku ściśniętych. Oczy miał spuszczone na kwiaty.

Z nagle ciężkie drżenie przebiegło całe jego wielkie ciało od stóp do głowy. Upuścił gałąź na ziemię i stał nad nią ze zwieszoną głową jak nad otwartym grobem. Książę poznał jego cierpienie.

— Nie ma już, bracie, tej — rzekł de With — która była godną tych kwiatów. Dla niej tu rosły. Ją wysławiają. Duch mój poznał...

Schylił się jeszcze bardziej, zgarbił. Splecione kurczowo ręce przycisnął do piersi. Z niewidocznych oczu jego padło na kwiaty kilka samotnych łez, a z ust te słowa ciche:

— Któraś wzgardziła mną i odeszła, któraś zdeptała głowę moją i serce, i duszę moją... Odpuszcza ci się twa wina... Tak żywej jako i umarłej. Niech będzie błogosławione szczęście twoje... We wszystkim, coś uczyniła dobrego i złego... A jeśli już odeszła z ziemi, bądź błogosławiona... na wieki... Na wieki...

NIZINY

Jednego z pierwszych dni września 1804 roku Rafał Olbromski wyszedł z dolin i lasów i zmierzał ku nizinom.

Rok z górą przesiedział w więzieniu na zamku orawskim jak pospolity zbrodniarz, aczkolwiek nie popełnił czynów, o które go posądzano. W ciągu kilku pierwszych miesięcy milczał wzgardliwie i nie chciał wymienić nawet swego nazwiska. Jako odmawiającego wszelkich zeznań, według nowej procedury austriackiej z roku 1803, karano go ciężkim więzieniem za samo milczenie. Nie mógł przecież inaczej. Musiałby był odsłonić całą nagość swego nieszczęścia, wykryć tajemnicę śmierci Heleny de With, opowiedzieć dzieje miłości i śmierci. Musiałby był wydobyć z lochów wspomnienia cały sekret, zniesławić po śmierci tę, która z jego winy zginęła, dla uratowania swego życia, życia, co obmierzło... Powiedział sobie, że lepiej tak, jak jest. Leżeć w barłogu więzienia, aż koniec jakiś będzie! I wzgardziwszy samą śmiercią czekał na nią obojętnie. Śmierć nie przyszła. Wysłała naprzód służebnicę swoją, chorobę. Tyfus więzienny porwał go w szpony i trzymał tak długo, jak chciał.

W trakcie tej choroby sprawa wykryła się nagle i prosto. Oddział piechoty — drugi regiment pandurów, Panalisten Croaten grafa von Nadasti, w kierpcach, czerwonych

Więzienie, Prawo,
Milczenie, Kara

majtkach i baranich czapach, „ślakujący” zbójników nowotarskich — wykrył podczas rewizji w chacie gazdy, u którego Rafał czasu szczęścia przemieszkował, jego paszport i niektóre rzeczy. Zabiegliwy gazda pieniądze na wszelki wypadek dobrze ukrył, a o papiery dbał niewiele. Sędzia obieralny, prowadzący na Węgrzech w komitacie najbliższym sprawy zbójckie, otrzymał te dokumenty po upływie znacznego przeciągu czasu, domyślił się jednak od razu, że należą do tajemniczego więźnia. Stwierdzenie tożsamości osoby było już tylko kwestią czasu. Kiedy w chwili badania sędzia wymienił jego nazwisko, ten zadrżał i wlepił weń oczy ślepe z bóleści. Ale za chwilę, gdy go pytano, gdzie jest kobieta, z którą, według świadectwa gazdy, mieszkał na Podhalu, skłamał z prostotą, szczerością dziecka i nadwyzwyczajnie bezczelnym sprytem, jakoby to było dziewczę lekkich obyczajów, spotkane przezeń na ulicach Krakowa. Sprzykrzywszy ją sobie, wygnał. Oto wszystko. Poszła do miasta z płaczem. Gdzie jest obecnie, tego nie wie. Zapewne w spekulacjach miejskich prowadzi swe rzemiosło. Przebranie swoje za zbójnika wytłumaczył łatwo i jasno, umiejętnie przeinaczając szczegóły rzeczywistego wypadku.

We wrześniu puszczony został na wolność. Jako szlachcic nie otrzymał nawet zwykłej porcji kijów, którą prawo austriackie żegnało swoich pupilów więziennych. Z całego dostatku otrzymał paszport swój pruski i kilka strzępów zbójckiego ubrania, w które nie sposób było się odziać. Dozorca więzienia z litości darował mu, co mógł zbyć bez żalu: zdarte zawadiackie buty węgierskie z cholewami, kaszkiet urzędowy pozbawiony oznak, wreszcie krótki i wyszarzany spencerek furmański. Tak odziany, Rafał wziął kij w rękę i ruszył z tego miejsca.

Kiedy minął żelazne drzwi zamczyska, nie obejrzał się poza siebie. Czmychał jak lis, którego rana się podgoiła. Co pary w piersiach, dolinami Wągu... przed siebie! Był zniszczony do ostatniej kości, zniweczony do ostatniej żyły. Twarz miał żółtą z sinymi plamami, nalaną, opuchłą, włosy przerzedzone, brodę zarosłą. Był tak słaby, że nogi w goleniach wyginały się pod nim, kolana same raz wraz leciały ku ziemi, a w dłoniach czuł wciąż ogień, jakby w nich ścisnął dwa płomienie żywe. Jedna w nim tylko była chęć mocna i niewzruszenie twarda: — Uciekać! Rwał też bez wytchnienia. Czasem na wozie Słowaka, wspinającego się w górę po drzewo, odpoczął i skrócił sobie drogę o zuchelek. Czasem przysiadł na rozworze bryki żydowskiej i niepostrzeżony przemknął kilkaset kroków.

Wśród nieopisanego mozołu przedostał się dolinami ku Czacy. Miał w tym miejscu odpocząć, ale ujrzał przy drodze kamienny słup z obrożami na łańcuchach do zamykania szyi a rąk skazanego na pręgierz, więc w nocy kopnął się dalej. Na przelaj, rzadko kiedy dopytując się o drogę, ciągnął ku Krakowu. Omijał trakty, szersze drogi, ludne wsie, aby go zaś kto nie poznał i nie zaczepił. Jeśli noc była ciepła, nie dżdżysta, sypiał w stogach siana, w kopach potrawiu, pod stertami zboża. Pożywał się, jak mógł. Zachodził na odludne plebanie kościelne i udając wędrownego Słowaka, który w „Polskom” idzie za zarobkiem, zdobywał miskę warzy albo kromkę chleba. Lepiej nieco podjadł sobie u braciszków w pewnym klasztorze, gdzie mu dano nocleg pod dachem; później tylko w ostatniej potrzebie zbliżał się do ludzi. Kilkakroć udało mu się nakopać rzepy albo kartofli w odległym stajanku i upiec je na zaraniu w jałowcowych gąszczach. Do chłopskich mieszkań wstępował kilkakrotnie w ostatnim głodzie. Słowo prośby, zwrócone do pańszczyźnianego chałupnika, nie mogło mu przeleźć przez gardło. A jednak musiał żebrać i jadł chłopskie kluski z mlekiem, zapraszany życzliwie do misy. Rozповідаł kmetonom żalosne a z przedziwnym arcyzmem zełgane historie i bawił się żywo rozdziawionymi gębami słuchaczy.

Nareszcie wzgórze poczęły się zniżać, doliny rozciągać szeroko. We mgłach stanęły przed okiem równie omglone...

Rafał powitał je z niewysłowioną radością. Jego nienawiść do gór równała się teraz ich wysokości. Niziny zapowiadały coś lepszego, odmianę, nadzieję...

Był pochmurny dzień. Obłoki o kształtach ledwie dostrzegalnych grubą nawałą zasłaniały niebo. Pospępna ich barwa ściagała i tępiła wypieki schorzałego światła, co się gdzie-niegdzie chyłkiem przekradało w przestrzeni. Północno-zachodni wiatr nadlatywał i zacihał micąc po polach przewiędłe i zeschłe źdźbła. Naokół stały ścierniska opustoszałe, czerniejące, brunatne od krwawnika. Tylko zarośla wysokich ostów zostały na miedzach po to, żeby wiatr mógł obdzierać ich posiwiałe kudły i roznosić po świecie. Tam i sam stojące wysmukłe brzozy nie straciły jeszcze letnich liści, ale kuliły się już i gięły bez dzie-

Więzienie, Prawo,
Szlachcic, Pozycja społeczna

wiczego wdzięku, gdy wicher podwiewał ich nadobne, strzępiaste suknie. Rzadko gdzie leżały jeszcze na zagonach krwawe garście tatarski i gęsto czerniały badyle ziemniaczanej naci.

Szedł przez bezpłodną piaszczystą okolicę. Włókł się suchymi lasami po niezmiernych wrzosowiskach, które, jak oko sięgło, okrył prześliczny kwiat liliowy, po zeschniętych mchach trzeszczących pod nogą. Czasami las się otworzył i okazywał rudą przestrzeń piachów, porosłą ciemnymi kępami jałowca.

Wąski szlak przemykał się kręto między krzakami, a na nim dwie zastygłe koleiny, wyorane w piasku i dawno przybite od deszczu, prowadziły do wsi dalekiej, z chatami krytymi słomą, szarymi, jak szarym jest piach i mech. Niekiedy wśród tej przestrzeni, tak pustej, jakby po to tylko istniała, żeby deszcz przelatujący tymi strefami miał na co padać, ukazywało się stojące między wydrami miasteczko, to znaczy — kościół wyniosły, a dokoła niego komunikiem zwartym żółtawe tyły stodół. Nad dachami kilka wielkich drzew obłamanych u dołu. A dalej znowu przymglony widnokrąg. Z niego przywykłe oko wydzieli mgliste smugi lasów, bliżej niebieskie ich pasma, i szare, suche szkielety topoli a wiązów, sterczące na straży jakiegoś folwarku. Głuchą ciszę przerwie tylko z dala niesione naszczekiwanie psiny, która kwaśnym, ochrypłym dyszkantem złości się na swoją dolę. Czasem wrona przelatująca wystraszy się śmiertelnie, ujrawszy niezwykłą posturę wędrowca, i z wraskiem poszybuję do najbliższej kniei.

Ta chmurna, spłowiata strona o barwie obłoku, niezawierająca w sobie nic zgoła, przygarnęła wędrownika jak żywioł rodzimy. Wciągał płucami jej powietrze i nie mógł się nasycić widokiem. Po stokroć przystawał; nakrył, bywało, ręką oczy od światła i patrzył. Czuł pieśczętę tego widoku prawie fizyczną. Było mu ciepłej. Odczyniało się samo przekleństwo uroku. Żeby tak jeszcze posłyszeć swoją własną, sandomierską gwarę, swój domowy akcent, żeby tak dobrać do swego dnia i swojej nocy!

W pewnym miejscu drożyny uboczne wywiodły go na ludny gościniec, na bitą, szeroką drogę. Boczną ścieżynką, twardym szlaczkiem ludzi ubogich, szedł szparko, nóg nie żałując. Był do kolan zblocony, schlastany przez wiatr, przeziebły do szpiku kości, a głodny jak pies bezpański. Raz wraz walila tym gościńcem to karetka czterokonna, to bryka krakowska, to lekka wolantka. Szły fury frachtowe, wlekli się najętymi szkapami pejsaci Żydzi.

Pod wieczór ukazała się przy tej drodze w szczerym polu murowana oberża, przed którą niemal wszyscy podróżni zatrzymywali się na dłużej. Rafał niewiele myśląc, aczkolwiek złamanego cwancygiera nie miał przy duszy, przesadził rozciapane bajora wejściowe i wkroczył do głównej stacji. Była to izba ogromna, wilgotna, zimna i pusta. Pod ścianami stały szerokie ławy i ciężkie stoły na skrzyżowanych nogach. W jednym rogu mieścił się szynkwas z wódką, piwem i pewną kolekcją zardzewiałych kiełbas. W subtelnym półcieniach antałków uwijał się chudy człeczyna z oczyma krzywoprzysięcy, biegającymi na wszystkie strony. Indywiduum to milczało zawzięcie i było złe, jakby jego goście byli członkami band karpackich.

Rafał kiwnął karczmarzowi niedbale głową i usiadł sobie wygodnie w ciemnym kąci. Zapach kiełbas przewracał mu kiszki i doprowadzał do głodowych mdłości, a odór wódki sprawiał szum i zamęt w głowie. W karczmie siedzieli kilkoro prostactwa. Jakiś furman grał w zatłuszczone karty ze sługusem w liberii, drąc się i swarząc. Leżały przed nimi pieniądze. Obok stały półkwarcia z piwem. Kurzył się na misce tłusty schab i wódka szklila w zielonej flaszy.

Olbromski podlegał napadom potyfusowego głodu. Domyślał się, że za chwilę coś przedsięwzię: wydrze mięso foszmanom albo zerwie kiełbasy wiszące w półmrokach szynkwasu i połknie je w mgnieniu oka... Siedział przecie jeszcze znieruchomiał jak jastrząb na żerdzi i przewracał oczyma szukając, co by rozszarpać. W pewnej chwili, daleki od samowiedzy, co się z nim dzieje, wstał ociągając się, poziewając nieszczerze, i z odległości a hardo spytał oberżystę:

— Słuchaj no... te... jegomość, masz tam co do jedzenia?

Szynkarz zatrzymał się w swych kieliszkowych czynnościach i, wykluwając zęby z karygodną niedbałością, odparł zapytaniem:

— A cóż byś tak... te... jegomość... kazał?

— No, coś z mięsiwa. Z mięsiwa! Z gotowanego, smażonego...

Karczmarz pomilczał chwilę, jakby wyliczał sobie w głowie szeregi potraw, następnie zmierzył drapichrusta wzrokiem nikiel łokciem i odrzekł:

— Nie. Nie mam ani gotowanego, ani pieczonego.

— A to, co zjadają tamci? To skąd?

— Co jedzą tamci? Tamci, jedzą gotowane.

— No, to i mnie podasz zaraz, co tam masz upitraszonego, i kwita! — wrzasnął rozkazującym tonem. — Słyszałeś, wasan?

— Słyszeć, słyszałem...

— No, to żywo! Bo czasu nie mam.

Karczmarz wycierał pracowicie jakąś szklanę.

— Myślisz może, że nie mam czym zapłacić za twoją chabaninę? — dodał Rafał z pogardą tak szczerą, jakby miał kieszenie pełne dukatów, zgoła nie wiedząc o tym, że nie ma przy duszy jednego grosza.

— Ja nic nie myślę — mruknął oberżysta. — Płacić to płacić. Co mam dawać?

— Dawaj, co masz, tylko żywo, żywo!

Mówił to z najzupełniejszym spokojem, ani myśląc, co będzie dalej. Byleby tylko jeść! Jeść kupę mięsa, które się dymi, chleba, co trzeszczy w zębach...

Grający w karty nie przerywając swej zabawy zwracali spojrzenia w stronę sierdzistego oberwańca. Z uśmiechami pobłażania i mrużeniem ironicznym powiek zwrzali sobie nawzajem jakieś o nim ciche półsłówka.

Karczmarz wyszedł małymi drzwiami do tajemniczych ostępów swoich, a jego miejsce zajęła błada dziewczynina w brudnym fartuszku i zdartych trepciach. Rafał szybkim ruchem zbliżył się do graczy i kiwnął głową na przywitanie, jak to szlachcic, posiadacz ziemski, kiwnie czasami z łaski a dobrej woli głową, odpowiadając na ukłon pracowitego wieśniaka. Tamci odpowiedzieli na ten niby ukłon w sposób niezdecydowany, ni tak, ni owak, i grając wciąż, pochrząkiwali i pokaszliwali, nie wiedząc, jak sobie począć. Rafał zajrzał w karty z wyniosłością, której mimo usiłowań nie mógł w sobie przytłumić.

— Nędzna jakaś dziura to karczmiszko.

— A bo i pewnie... — odrzekł furman.

— Wasan tutejszy jesteś? co?

— Nie, ja nie tutejszy.

— A z daleka?

— Z daleka.

— To jest skąd?

— No, a wasaneś skąd?

— Ja idę od węgierskiej strony wprost na Kraków.

— Od węgierskiej strony? — z niejakim szacunkiem zapytali gracze.

— Ba, ba! Od Pesztu... Od... Czacy — dodał ciszej.

— Sztuk drogi! Nawet nie umiem wyrozumieć, gdzie to być może.

— Żebyś wiedział! Człowiek się setnie zmitrężył, a tu jeszcze ten łajdak jadła nie daje.

— No, on tu pewnikiem w te pędy wyniesie...

— Jak też on to przyrządza — zadał sobie pytanie, spoglądając z ukosa na „boczek” wieprzowiny leżący na misce.

Nie pytając się o pozwolenie, odłamał partykę chleba, ukrajał porządny gnat mięsa i zaczął prędko i kategorycznie próbować, jak też smakuje. Okazało się, że owszem, jako tako. Wobec tego nalał sobie kieliszek wódki i wychylił go niedbale, przepijając do oszołomionych dworaków.

— Jeść mi się chce diablo, a tu jeszcze ta pokraka marudzi... — mruczał zabierając się do lepszej, tłuszcieszej części boczku.

Chleb zniknął w jego ustach ogromnymi skibami.

— Wasan u kogo służysz? — zapytał furmana nalewając sobie drugi kieliszek z jego butelki.

— A ja tu czekam na pana.

— Co za pana?

— A czekam z rozstawnymi końmi... — odrzekł woźnica, w głupkowskim osłupieniu patrząc na praktyki Rafałowe.

— Pan wasanów skąd jedzie?

— Z Wiednia.

— Jakże się, u kaduka, ten pan nazywa?

Furman zawahał się przez chwilę, a później udając, że nie dosłyszał pytania, zwrócił się do towarzysza:

— No, tera ty dajesz...

Olbromski nie nastawał.

Karczmarz wyniósł wreszcie ze swego laboratorium żelazną rynkę na trzech nogach i podał gościowi skwarzący się w czarnym tłuszczu kawał diabelskiej kielbasy oraz par-tykę razowego chleba. Przedziwny był smak i uroczy zapach tej potrawy! Rafał zmiotł ją do ostatniej kruszyny, a tłuszcz do kropli wytarł chlebem, głodu jednak nie uspokoił. Był o tyle pewniejszy siebie, że mógł pomyśleć, co przedsiębrać dalej. Zaczął od oględzin karczmarza i wymiaru jego sił na wypadek walki, gdyby przyszło bez pożegnania z karczmy czmychać. Miał zamiar znowu się zbliżyć do stangretów i skorzystać z nich w jakiś sposób. W tym celu przysuwał się do nich, gdy przed gospodą rozległ się łoskot i tętent zajeżdżającego powozu. Furman i jego towarzysz wyjrzeni przez okno i na łeb na szyję rzucili się do drzwi.

Wędrowiec żywił marzenie, że uda mu się skorzystać z rwetesu i wypaść za drzwi, ale przezorny właściciel kielbas stał sobie pobożnie u wejścia i skłaniał już grzbiet przed niewidzialnymi jeszcze przybyszami. Nie pozostało nic innego do zrobienia, tylko zaszyć się w ciemny kąt i czekać na uśmiech fortuny. Drzwi otworzono szeroko i z wolna wszedł do stancji wysmukły pan, modnie i pięknie ubrany. Jego kapelusz, płaszcz, wysokie buty z cholewami, aczkolwiek zabłocone i pomięte w drodze; czyniły w tej karczmie wrażenie przepychu. Młodzieniec rozejrzył się po izbie przymrużonymi oczyma i zaczął jednego ze służących rozpytywać się o zdrowie swej rodziny, o dom i tysiące drobiazgów. Znać było, że wraca z dalekiej podróży i po długiej nieobecności.

Olbromski przypatrywał mu się z bolesnym strachem. Od pierwszego rzutu oka poznał tego człowieka, ale jeszcze pocieszał się ile mógł, że go oczy mylą. Był to Krzysztof Cedro, towarzysz ze szkoły sandomierskiej, powiernik i przyjaciel... Głuchy wstyd, ruszt rozpalony, wsunął się pod ciało byłego więźnia. Ogarnęła go jakoby matnia wielkiego włoku niedoli. Oto najgorsze, co mógł jeszcze przeżyć: zetknąć się z dawnym kolegą w takiej odzieży, w takim położeniu i w takiej chwili! Nie mógł już nawet uciekać, gdyż hańba jego stałaby się jeszcze bardziej głośną i jawną. Zakrył twarz dłońmi.

Tymczasem Krzysztof Cedro zrzucił płaszcz i chodził po izbie, zadając służącym pytania. Gdy tak z kąta w kąt defilował, spostrzegł Rafała. Zwrócił się zaraz do oberżysty i zapytał, czy na czas swego pobytu w zajeździe może być sam. Zapłaci za to, ale chce zjeść posiłek bez świadków. Karczmarz w podskokach przybiegł do Rafała i więcej niż dobitnie żądał zapłaty tudzież wyniesienia się za drzwi. Wędrowiec wolno dźwignął głowę i rzekł mu przez zęby, że nie myśli wychodzić.

— Zapłacę ci, kiedy zechcę, i wyjdę, kiedy zechcę, a teraz bądź laskaw odejść ode mnie, jeżeli chcesz nadal mieć całe oko i wszystkie zęby.

Oberżysta skrzywił się, a jego szczęki zadrżały jak u psa.

— Słuchaj no, czleku — rzekł szeptem, dobrotliwie — idź zgodą. Zawołam parobków i na przykładkę każę ci gnaty połamać. Co ci to po tym?

Odraza do tej nędzy zbudziła w piersi Rafała wybuch postanowienia. Pojedynczym ciosem z dołu huknął karczmarza w brodę z taką siłą, że ten odleciał aż pod szynkwias. Potem wstał i zbliżył się do Cedry. Stał w świetle okna i rzekł:

— Czy też mię poznasz, koleżko Krzysiu?

Cedro z okrzykiem zachnął się w tył i wydobywszy szkiełko w rogowej oprawie, zaczął mu się przypatrywać z lekka otwierając usta.

— Krzyś!... Sandomierz, Wisła, nocna wycieczka pod Zawichost...

— Rafał... — rzekł tamten z cicha, zbliżając się ku niemu i wytrzeszczając swe krótkowzroczne oczy.

— Ten sam, bracie...

— Cóż ty tu robisz? — mamrotał — z przerażeniem, oglądając jego kostium z góry na dół, z dołu do góry, unikając widoku twarzy.

— Historia długa, a świadków zbyt wielu. Czy chcesz mi dopomóc w nieszczęściu?

— Ależ!... Na miły Bóg... Rafuś... Olbromski... To on!

— Wszystko ci powiem z czasem, tylko mię o nic teraz nie pytaj.
— Jedno mi powiedz, na Boga! Skąd się tu wzięłeś?
— Idę w stronę Krakowa.
— Idziesz?
— Tak.
— Czemuż, na Boga! idziesz piechotą?
— Bo jestem w ostatniej nędzy.
— Rafał!
— Umieram z głodu.
— Miłosierny Boże! Jacek, puzderko! Walus... — wołał Cedro nachylając przed Rafałem swą piękną twarz, jakby z zamiarem oddania mu pocałunku.

Wnet jednak cofnął się gwałtownie i z odrazą, uczuwszy fetor bielizny zgniłej na ciele i okropnego potu więźnia.

Służba wniosła puzdro z zapasami podróznymi, rozłożyła obrus, i za chwilę Rafał wobec zdumionych świadków jego nędzy pił chciwie burgunda, pożerał kurczęta, pieczone i przysmaki. Cedro sam usługiwał mu z nerwowym pośpiechem. W pewnej chwili odwrócił się do służących i namyślał... Rzekł do karczmarza:

— Nie macie tutaj osobnej stancjki?

— Nie, jasnie panie, osobnej nie ma.

— W takim razie...

Podniesionym głosem zakrzyknął:

— Prosiłem, do pioruna! żeby stąd wszyscy wyszli. Chcę zostać sam na sam z przyjacielem. Przynieść mi tu walizę, i wszyscy precz!

Wkrótce Rafał ujrzał bieliznę kolegi rozłożoną na stole.

Cedro rzekł:

— Sam nie wiem, co robić... Nie podobna, żeby mój człowiek i furman widzieli, że przebierasz się w moje suknie. Chyba zostań w tym, co masz na sobie. Tylko co tchu zmieniaj bieliznę!

Odwrócił się i zaczął pilnować drzwi, a Rafał przebierał się tymczasem. Ohydne, zgniłe gałgany, które miał na sobie, zwinął w kłęb i zatrzymał pod połą kubraka.

— Dawaj tamto! — syknął Cedro. — Sługa wyrzuci...

— Nie!

— Dawaj, to ja sam...

— Nie, to tylko ja sam mogę wyrzucić... — wyszeptał Rafał z uśmiechem krwawego sztyderstwa. — To jest moje dotychczasowe życie. Tylko ja sam mogę je odtrącić...

Wstał od stołu i wyszedł na dwór. Obszedłszy karczmisko dookoła, znalazł gnojówkę i rzucił tam swoje wstrętne zawiniątko. Uczyniwszy to oparł się o mur i w ciągu krótkiego momentu przemyślał bardzo wiele. Czuł wciąż na piersiach swych leżącą zdradę, jak płytę z granitu. Chciał się otrząsnąć i w nadchodzący spokój uwierzyć, ale mógł to czynić o tyle, o ile chore ramię może dźwignąć bryłę granitu. Ciężko westchnął i wrócił do towarzysza. Ten już zabierał się do dalszej drogi.

— Mówiłeś mi — rzekł — że dążysz w stronę Krakowa. Ja pędzę wprost na Tarnów, do siebie. Kraków omijam. Ale jeśli ci na tym zależy, walmy na Kraków.

— Broń Boże! — zawołał Olbromski. — Nie pragnę bynajmniej widoku Krakowa.

— Powiedz mi... Czy później... to jest, czy miałeś zamiar wracać do domu, do Tarnin?

Rafał namyślał się głęboko. Rzekł z wolna:

— Prawdę mówiąc, to żadnego nie miałem zamiaru dziś, wczoraj, onegdaj... Myślałem o tym, żeby z głodu pod plotem nie zamrzeć...

— Zlituj się!

— Juścić pewnie, że trzeba będzie do domu.

— Słuchaj!...

— Choć w tym nadzwyczajnym kostiumie wracać w progi rodzinne... Brr!

— Otóż to właśnie, otóż właśnie! — wołał z pośpiechem Krzysztof.

— Ale cóż mam czynić? Jestem jak trup. Przebyłem bardzo ciężką chorobę...

— To samo właśnie miałem na myśli. Słuchaj — jedź do mnie!...

— Jak to? do Olszyny?

— Do Olszyny, nie do Olszyny, ale wprost do mnie. Mam własny folwarczek.

— Masz własny?
— Jakże? Stokłosy!
— Bój się Pana Boga... Wstyd mię wracać do rodzinnego domu, a jakże ja pojedę do ciebie! Co na mój widok powie twój ojciec?

— Przede wszystkim pojedziemy do Tarnowa. Tam się przedzierzgniesz w eleganta pierwszej wody. Chodzi tylko o to, żeby służba nic nie wiedziała. Co zaś do ojca, to wierz mi, że przyjmie cię jak rodzzonego syna. Wszakże jesteśmy w kuzynostwie. A zresztą... Rafalku, błagam cię...

Powiedział to głosem dawnym, dziecięcym, sandomierskim.

— Rad bym z duszy-serca, ale zważ tylko...

— Wszystko rozważam. Przecież mówię ci, że mam swój własny folwark. Tam mieszkam i robię, co mi się żywnie podoba, wróciwszy z Wiednia.

— Wróciwszy z Wiednia... Czy ty stale w Wiedniu mieszkasz?

— Czy stale? Prawie...

— Co tam robisz?

— Co robię?

Przeciwnął się i uśmiechnął z goryczą.

— Robić nie nie robię, ale... staram się...

— O pannę?

— Na szczęście, jeszcze nie o pannę. Choć i to wkrótce spadnie na moje barki.

— Jakże to?

— Na teraz, uważasz... staram się o szambelanię...

— Bagatela!

— Ale *à propos*... Dochodziły nas wieści, że bawisz w Warszawie, że się ocierasz o najlepsze towarzystwo. Ktoś nawet wspominał, że należysz do kompanii spod Blachy.

— Tak, tak... byłem w Warszawie... Ale to już dawne rzeczy.

— A masz zamiar wracać tam kiedy?

— Do Warszawy? Przenigdy! — zawołał z ponurym na czole marszem na wspomnienie księcia Gintuła, masonów i ich przewodniczącego.

Teraz dopiero pomyślał, że powrót do Warszawy i w ogóle w granice Prus Południowych groziłby mu kryminałem, a co najmniej śledztwem z powodu zaginięcia pani de With. A na samo wspomnienie więzienia krew ścinała się w jego żyłach. O tak! Zniknąć w odległym folwarku przyjaciela, zaszyć się w głuszy, przypaść w kotlinie między zagonami jako zaszczyty szarak. Nie wiedzieć o niczym, o niczym... Podniósł na Krzysztofa oczy i rzekł:

— Jeżeli ci to będzie na rękę, to z rozkoszą, z prawdziwą rozkoszą pojechałbym do ciebie.

— *Voilà*. To lubię. Jacek, zakładać!

Wkrótce wygodna wolantka, ciągniona przez kasztany w lejc zaprzężone, unosiła ich tym samym gościńcem w dal zasnutą sinymi lasami. Olbromski miał teraz to, czego tak pragnął: nie wiedział o niczym. Okryty był burką przyjaciela i ta go chroniła od deszczu, który tego dnia był mu wrogiem osobistym. Nie czuł głodu ani pragnienia. Znużenie wyciągał ze strudzonych kości miarowy, rozkoszny ruch.

Zanosilo się na deszcz, i lekkie krople niekiedy muskały po twarzy. Wiatr rzeźwy i coraz surowszy powiewał. Wskutek odrębnych dziejów uczucia Rafał teraz dopiero zaczął pojmować swoją niedolę. Patrzył na ścieżkę biegnącą brzegiem błotnistej gościńca i widział tam siebie. Czuł swe schorzałe nogi w lachmanach uźebranych w więzieniu, jak idą po twardym gruncie. Spoglądał na gliniane przykopy i widział w nich miejsca swego spoczynku. Spoglądał w odległe strony i dostrzegał jeszcze swe podłe, nędzne, plugawe uczucia, lachmany gnojowe. Wzbierał w nim bezprzykładny gniew i bunt. Z całej duszy i ze wszystkich sił szukał winowajcy, ofiary...

Dzielne konie parowały, żwawo i ostro sadząc gościńcem. Kadłuby furmana i lokaja miarowo, sennym ruchem kołysały się w prawo i w lewo, do taktu z wahaniami pojazdu. W miarę tych ruchów w duszy Rafała tworzyć się poczęły fale myśli tak niestałe jak nachylenia wolantki, zależne od czegoś z zewnątrz, od byle trącenia do taktu. Pływały długimi smugami jak muzyka niestała, podarta, poszarpana, niepewna minuty, niepewna sekundy.

Oto pola, pola żalobne pod jesień. Zbrudziły je już nowe zagony. Żółta, czerwonawa glina wybija się w nich spod jałowej szarości piachu, sama bardziej od niego jałowa. Przewracaj, pracowity kmiotku, ten szczyry piach i szczyry il, przewracaj do ostatka drewnianą sochą! Zlewaj go potem i łzami, zasypuj chudym ziarnem, odjętym od ust dzieciom w brudnych gałganach...

W szczyrym polu, na ugorze, pasą się dwie krowiny, a obok nich kuca na ziemi pasturka, wózkem od deszczu i ziąbu nakryta, podobna z dala do szarej skiby czy do kamienia polnego. Bose nogi, nagie kolana podwinęła pod się, ręce wtuliła w zanadrze, okryła się wystrzępioną spódniczyną. Grzeje się jak może, to workiem, to płaczem, to piosnecką dziewczynką:

Oj, da moja, da-da-da!

Oj, da-da-da da moja...

Oto ugór, tak widać nędzny, że go tknąć nie chcą ręce niczyje. Trawa go ledwo-
-ledwo porasta. Na zagonach strzelają proste, wysokie złote dziewanny. Teraz okrywa je jasnożółty kwiat-złotogłów. Kwiat nędza. Zatknij go sobie za śmierdzącą czapczynę, kmiotku pracowity, gdy idziesz z karczmiska na rozstajnych drogach! Niech się serce twoje rozweseli, a oczy roześmieją do szczerozłotej dziewanny — nędzy...

Jarzab przydrożny. Niższe gałęzie obłamane ręką pracowitego, gdy idzie z karczmiska na rozstajnych drogach. Wydarto z pnia wiszą i suchymi listkami szeleszczą. Na wysokich, na niedostępnych różgach płoną cierpkie jagody, wyszczerzając się spomiędzy liści żółtych i rumianych, jak śmiech obrzydły, nie do zniesienia...

Z obu stron drogi zbliżały się coraz bardziej ku jadącym skrzydła rozległe szerokiego lasu. Padał zmierzch, kiedy bryczka znalazła się u jego skraju. Gościniec zanurzał się w ciemną głębinę i ginął zupełnie, jakby tam kres ostatni znajdował. Las był suchy, na piachach. Nędzne, cienkie sosny ledwo było widać w smutnej oćmie, co wolno zewsząd spływała. Zdawało się, że śniady, błękitnawy dym napelnia przestwór i widok drzew z oczu wydziera. Smutek się flańtał na tej ginącej, na niepewnej drodze. Niemila odraza oblała wszystkich: furman coś szeptał do lokaja, Cedro przeciągnął się i tęgo zawinął w płaszcz. Było cicho, chociaż górą, po szczytach drzew, przewracał się wiatr i kołysał je w prawo i w lewo. Na głębi spokój panował jak pod dachem i między domowymi ścianami. Słychać było nieustające poświstywanie późnych koników polnych.

Rafał uczył, jak serce w nim ściska się i drętwieje. Pierwszy to raz przestała go bić dola od tamtej chwili. To ciche, niecierpliwe ćwierkanie zdało się biec za nim, czepiać się wartkich kół bryczki i żelaznych podków końskich, a wołać z ziemi za uciekającym...

POWRÓT

W kilka dni później, dobrze po północy, obadwaj przyjaciele dojeżdżali do Olszyny. Zabawili dzień w Tarnowie, gdzie Rafał przeistoczył się w eleganckiego młodzieńca, a następnie w ciągu całej niemal doby, dwa razy przeprzągłszy konie, dążyli ku ostatecznemu celowi podróży.

Jakiś czas jechali brzegiem rzeki płynącej w dość wąskiej dolinie, którą zasypał kamieniec, żwir i piasek. Nad wieczorem dopiero powóz zjechał z wynioślejszych płaskowzgór, z garbów bezleśnych w sam rozdół Wisłoki. Rafał poczuł nozdrzami powiew z ziemi nasiąkłej wodą, zadrzewionej, wiklowej. Oczy jego nie mogły dojrzeć w szarzącym krajobrazie przeciwnych, zawiślańskich brzegów... Każdy szczegół był dla nich tutaj poniekąd znajomy. Mijali wsie długie, zamożne, gęsto zabudowane, gdzie pleciak wikłowy wygradza każdy zakątek, każdą ścieżkę. Pędzili alejami wierzb i brzoź, złożonymi z drzew tak grubych, wyniosłych i rozłożystych, że zdawały się być utworami ludzkiego snu o widziadłach. Latarnie powozowe ciskały w zapłocia, w podwórza i sady wiejskie raptowne smugi światła. Widzieli wtedy ogromne tarcze słoneczników, jakby przestraszone gęby prostacze, gapiące się zza parkanów... Wysokie, badylaste malwy i jaskrawe georginie przypominały Rafałowi wsie z tamtej strony... Tak samo jak tam śliwkowe drzewa gięły się w pół pod ciężarem owocu i, podpierane drągami, chyliły się ku przechodniowi gałęzie z nieskończonych sadów. Gruszki jak dzbany i śliczne jabłka migały między strzechami. Suchy liść łopotał już wszędy po drzewach i przejmował serce szczególną tęsknotą

do rodzinnego domu, troską o swoich.

Krzysztof opowiadał przyjacielowi o tych miejscach szczególnej ciekawości, legendy, dawne podania i dzieje. W umyśle słuchacza tworzył się jakoby welon, zasłona drogocenna, osłaniająca tajemniczo te siola ledwie widoczne, wzgórza, łąki, lasy, krzyże przydrożne...

W nocy powiał ostrzejszy wiatr od Wisłoki i odwieczne aleje wydały z głębin swych głos stary i potężny. Rafał nastawił twarz przeciwko temu powiewowi rzecznemu. Rzeźwo serce uderzyło mu w piersi, ale wnet je zdławiły wspomnienia... Znowu zamknęło się w sobie.

Dojeżdżając do Olszyny, Cedro nie mógł usiedzieć na miejscu. Stawał w bryce, przechylał się to na tę, to na tamtą stronę, o coś wypytywał woźniców... Czasami wyskakiwał i szedł prędko pod górę, wesoło gwizdząc i pośpiewując. Z pewnego pagórka dały się widzieć w oddaleniu światła.

— Nie śpią! — zawołał Krzysztof dziecięcym prawie dyszkantem.

Zawstydził się zaraz tej swojej czułości i dodał tonem sztucznie chłodnym a drwiącym:

— Będziesz musiał, kochanku, asystować przy ministranturze czułych scen familijnych od początku do końca...

Powóz stoczył się ze wzgórza i chwilę zatrzymał przed bramą. Ale nim służący zszedł z kozła, żeby otworzyć, już wierzeje rozwarły się z trzaskiem. Słychać było zajadłe naczekiwanie psów, wrzawę i wołania ludzi z latarniami biegnących do powozu. Wprędce obadwaj przyjezdni znaleźli się na stopniach szerokiego przedsionka. Krzysztof rzucił się w ramiona czyjeś, co stał w cieniu. Szeptał najczulsze nazwy, oddawał najrzewniejsze pocałunki. Rafał zażenowany stał z boku. Był onieśmielony i wściekły na przyjaciela za te czułości.

— Zaczyna się ministrantura... — myślał w pasji.

Krzysztof porwał go za ramię i ciągnął ku drzwiom. Tam przedstawił go ojcu mówiąc:

— Oto papa ma przed sobą mojego wybawcę z nurtów Wisły. Sam we własnej osobie — Rafuś Olbromski!

— Proszę, proszę... Witam! — mówił przyjaźnie stary pan, którego Rafał miał przed oczyma.

— Siłą go zabrałem z drogi...

— Wchodźcie, wchodźcie do pokoju, bo zimno. A gdzieście się to zdybali? To dobrze, że przybywasz, panie Rafale... Cieszę się podwójnie, boć jesteśmy w kuzynostwie, aczkolwiek dalekim. Ojca pańskiego pamiętam jeszcze z roku... czekajcie...

Rafał widział to doskonale, jak wielkiego wysiłku owocem było zastosowanie względem niego koniecznej grzeczności w chwili, gdy stary pan tak dalece był zajęty synem, że się potykał na progach, potracał o odrzwia i zawadzał o rogi stołów.

Był to szczupły mężczyzna lat około sześćdziesięciu, z twarzą schorowaną, wydelikowaną, subtelną i jeszcze piękną. Głowę jego osłaniała gładka peruczka bez pudru, a górną wargę okrywał mały, podgolony i przyczerniony wąsik. Ubrany był we francuskie, jedwabne szatki, w pończochy i pantofle. Żabot i chustka na szyi, koronkowe mankiety, utrzymanie paznokci i rąk, sposób trzymania ich na stole, nawet wówczas gdy oczyma i słowami pieścił syna, dawało możliwość w starszym panu Cedrze poznać eleganta pierwszej wody, człowieka najlepszego towarzystwa. Oczy jego były przymglone łzami szczęścia, gdy patrzył na syna, ale i wówczas nie ustał w nich wyraz badawczości i siły. Wśród najczulszych słów i najrzewniejszych uścisków padały z jego warg rozkazy, które w mgnieniu oka wykonywali lokaje kręcący się dokoła stołów.

Gdy przybyli zasiedli do wieczerzy w wąskim pokoju przylegającym do wielkiej sieni, z drzwiczek ukrytych w kącie za szafą kredensową wybiegła młoda panienska lat czternastu, piętnastu, w nocnym szlafrocuku. Rzuciła się w ramiona brata.

— Mery! — zawołał młody Cedro z uczuciem radości.

Panienska wnet podniosła głowę i spojrzała na niego z zabawnym uśmiechem. Za chwilę szepnęła:

— Czy przywiozłeś?

— Naturalnie! A teraz patrz no, trzpiocie...

— Jakżem szczęśliwa!

— Jesteś ubrana jak pasterka Filis, a tymczasem... Przedstawiam ci naszego kuzyna Rafała Olbromskiego.

— Kuzyna... — wyszeptala z najgłębszym zdumieniem, odgarniając loki i wlepiając w Rafała oczy tak oszołomione, jakby jej przedstawiano białego niedźwiedzia albo jaguara.

— Masz go czcić, szanować, poważać i *comme de raison* kochać, jest to bowiem wybawca z nurtów Wisły twego brata, szambelana Jego Cesarskiej Mości, rozumie się, szambelana *in spe*, a oprócz tego jest to przedstawiciel socjety warszawskiej, który właśnie wyda wyrok o twoich koafiurach. Ależ prawda, gdzież Kurtiwronka?

— *Elle dort...* — szepnęła siostra nie spuszczać oczu z Rafała. — Śpi ślicznie, złożyła ręce...

Krzysztof z błazeńską miną pokazał, jak to Kurtiwronka trzyma rączki złożone nadobnie na sześćdziesięcioletnim łonie dziewiczym.

— Ile razy ziewnęła przed zaśnieciem?

— Siedemnaście grubo i trzy w wiolinie.

— Siadajcie, siadajcie do stołu!... — wołał ojciec. — Jutro będziecie mieli dosyć czasu na plotki wiedeńskie i olszyńskie. Patrz no, Krzyś, co to tu podają...

Najstarszy z lokajów, uśmiechnięty z tak szczerą radością, jakby to jego rodzony syn zawitał pod strzechę domową, wlewał pieczołowicie na talerz Krzysztofa zupę z owoców, zaprawioną śmietaną. Młodzieniec ujrawszy to widowisko wyciągnął ręce ku niebu i zawołał:

— Garus! Nareszcie, nareszcie... O, Niemcy, jeśli wam kiedy przebaczę, że blisko rok nie kosztowałem ludzkiego jedzenia... O, Niemcy, narodzie filozofów i kiepskich generałów! Skarz mię, gromowładny Jowiszu, pozbaw mię nadziei otrzymania klucza szambelańskiego, wydrzyj mi z piersi serce hrabiowskie...

— Krzyś, już drugi raz... lekkomyślnie... — syknął ojciec wznosząc uroczyście palec do góry.

— Milczę, papo, gdyż jem i jestem wzorem kochających synów... A czy są i kartofle ze skwarkami?

— Ze świeżuteńką młodą szperką! — szepnął mu prawie do ucha ów najstarszy między lokajami.

Kilku młodszych z nabożnym niewolniczo zadowoleniem przypatrywało się, jak to jaśnie panicz zawija prostacką zupę.

— A gdyby też tak domniemany szambelan... przepraszam, papusiu... — mruczał Krzysztof — gdyby też wasz młody pan i dziedzic, przybywający z dalekich Niemców, dostał jeszcze „pędziźrybię”? Cóż wy na to?

— Jest gotowe... — uśmiechnął się lokaj wstawiając nowy talerz.

Za chwilę Krzysztof z błyszczącymi oczyma krajał na ćwierci *pain de gibier*, mrugając na Rafała, żeby czasu nie tracił. Ojciec i siostra w milczeniu i zachwycie przypatrywali się młodemu. Mery czasami odrywała wzrok od jego twarzy i zabawnie śledziła Rafała.

— Czy papa widzi, co za koafiura! — mówiła parszcząc śmiechem i wskazując ostrzyżenie głowy brata z pozostawieniem na ciemieniu wysokiego, ufrizowanego czuba.

— Nie śmieję się z elegantów wiedeńskich, bo zostaniesz starą panną i będziesz wtedy przed zaśnieciem ziewała siedemnaście razy grubo i trzy w wiolinie.

— Rafuś! czemu nie jesz? — wołał rzucając się z nożem i widelcem na ulubione potrawy. — Zlituj się, nie zwlekaj, bo ja za nic nie ręczę. Mogę zjeść wszystko. Tylko jeszcze pieczone kartofle...

— Już podają...

— Myślałam, że zgubisz nareszcie w Wiedniu swe furmańskie gusta... — szydziła siostra.

— Tylko jeszcze pieczone kartofle...! *Herr Je!* cóż za kartofle!... Tylko w Polsce, to jest w Zachodniej Galicji, ta amerykańska sierotka... Niemcy, jeśli w ogóle jedzą...

— Później będziesz obmawiał Niemców, teraz musisz, musisz opowiadać. Już mogłeś zaspokoić głód, więc zaczynaj. Ostrzegam, że jeśli nie będziesz mówił rzeczy ciekawych, wcale nie dostaniesz ciastek cioci Matyni.

— Opowiem wszystko, tylko dawajcie dużo ciastek cioci Matyni, dużo, jak dla choro! Rafuś! nie żyłeś jeszcze na świecie, jeśli nie znasz ciastek...

— *À propos...* gdzieście się panowie zetknęli? — spytał stary pan.

— W Tarnowie — szybko rzekł Krzysztof. — Rafał powracał właśnie z Bardyjowa, gdzie na wodach bawił z przyjaciółmi, szukając... czyż mam wyznać?

— Tu leży sekret... — śmiał się starzec.

— Ale nic sobie nie upatrzył. Niemieccki, Czeszki, Węgierki... To nie dla nas. Miał już z Tarnowa wracać do siebie w Sandomierskie, ale go namówiłem, żeby zamiast gnuśnieć u rodziców zawitał do mnie, żeby poznał oryginała Trepkę. Obiecałem mu dla zachęty, że papuś obmyśli dla niego jakąś doskonałą karierę... — dodał bez wahania, widząc dobrze, jak ojciec skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Opowiadaj... — nastawała Mery przypatrując się wciąż Rafałowi jak dziwowisku.

— Zaraz, zaraz... Nie można od razu, mościa panno... Ale skoro się tak wszyscy niecierpliwią, więc *incipiam...* Od czegoż? Naturalnie... Skoro zjawia się w domu rodzicielskim *hrabia* Krzysztof Cedro...

Policzki starego pana wolno się zabarwiły i radość śmiała się w jego oczach, z lekka przysłonionych rzęsami.

— Skoro zjawia się w domu rodzicielskim hrabia Krzysztof Cedro, to od czegoż ma zacząć swe wiedeńskie epos? Naturalnie od poszukiwań w archiwach. Okazało się, że Marcin Cedro...

— No, tak, tak... — rzucił ojciec z nieszczerym lekceważeniem — wiemy dobrze, kto był Marcin Cedro.

— Ależ kiedy wynalazłem nową jego misję, jakiej oko nie widziało ani ucho nie słyszało. Za Michała Korybuta jeździł w misji sekretnej...

— Kto tam dziś na takie rzeczy zwraca uwagę!... — rzekł ojciec sentencjonalnie. — Dziś dla nas powinno być maksymą to samo co za Rzeczypospolitą: równość szlachetka. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Posłuchaj, co mówi Trepka. Nieprawdaż, kuzynie?

Rafał mrknął coś niezdecydowanego. Uczuł tylko po tym pytaniu bardziej niż przed chwilą, jak go twarz pali, zarówno od schłostania drogowego przez wiatr jak od nawału wrażeń.

— Filut z papusia... — szepnął Krzysztof nachylając się ku ojcu i całując go w rękę. Po chwili rzekł głośno zwracając się do lokajów:

— Od dnia dzisiejszego macie, zbiry, tytułować jaśnie pana nie inaczej, tylko jaśnie panem hrabią, panienkę — panną hrabianką, a mnie... Mnie tymczasem jeszcze nie! Jak ma być równość, to równość. I tak jestem szlachcic na zagrodzie, więc równy temu... panu hrabiemu i pannie hrabiance.

Stary pan poprawiał mankiety, uśmiechał się, ale i sykał niecierpliwie.

— Jesteś hrabianką z mojej łaski... — rzekł Krzysztof zwracając się do siostry. — Przynies za to jeszcze ciastek. Gdyby nie ja, siedziałabyś między parafialnymi makolągwanami jako równa pierwszej lepszej na zagrodzie. Aha! Nakaż Kurtiwronce, żeby do ciebie nie przystępowała bez *comtesse'y*.

— No, teraz już opowiadaj o Wiedniu, Krzyś... — błagała siostra wieszając się u jego ramienia.

Rafał przypatrywał się tej pani, gdy tak z roziskrzonymi oczyma brała udział w rozmowie, z uczuciem nieuchwytej prawie odrazy. Jej loki, białe czoło, różowe policzki, ładna, ściągła twarzyczka przypominały mu o istnieniu kobiet i napełniły głowę niejasnym udręczeniem, piersi szlochaniem, których opanować nie ma czasu wśród ożywionej rozmowy. Nade wszystko gdy pochylała się z szeptem gorączkowym ku bratu, gdy zatapiała w nim oczy, Rafał wzdrygał się i cierpiał na całym ciele. Czuł, jak się w nim wówczas zatapiają niewidzialne kły męczarni.

Na szczęście, po wieczery wszyscy przeszli do pokojów paradnych, znajdujących się po prawej ręce od wejścia. Były świeżo, widać w przewidywaniu pełnoletności Mery, wyrestaurowane w guście angielskim. Wszystkie meble były z drzewa mahoniowego, a proste bez ozdób. Ściany pomalowano w arabeski albo widoki ruin i bladych pejzażów. Dwa niewielkie gabinety odznaczały się szczególnie ową modną *simplicité*; były powleczone nikłym kolorem z wątlymi szlaki, a ozdobione niewielkimi obrazami szkoły włoskiej. Ale w głębi domu istniały jeszcze stare, nieodnowione, zapomniane pokoiki, saloniki, nie

na pokaz, gdzie ocalały podniszczone, staromodne obicia szpalerowe i brokatele, dawne meble w guście francuskim, esowate, na wygiętych nóżkach z rzeźbionymi kwiatami i bukietami. Tam jeszcze marzyły o ubiegłej świetności i dniach tryumfu chińskie stoliczki, pooblamywane i starte inkrustowane szafki i cacka. Straciwszy prawa modnego bytu i laski w salonie, zdawały się kryć swoją nędzę po kątach najmniej widocznych.

Przechodząc obok dużego zwierciadła w pierwszym salonie, Rafał rzucił w taflę spojrzenie — i cofnął się na widok swojej osoby. Pomimo przebrania w przyzwoite, a nawet wykwentne suknie wyglądał na zamaskowanego zoczyńcę. Nalana twarz była w tej chwili pokryta sinymi i szkarłatnymi plamami, rzadkie włosy oblepiły czoło poorane w bruzdy, a oczy spoglądały z dzikością i drapieżnym brutalstwem. Wszedł prędko do sąsiedniej saliki. Staremu panu sprawiało to oczywiście przyjemność, że przed dalekim a niezamożnym krewniakiem może pochłubić się nowomodnym urządzeniem domu. W istocie salon był obszerny i pięknie umeblowany, ale Rafałowi nie zaimponował.

Lokaje zapalili świece w kandelabrach ściennych, w świecznikach wiszących i stojących. Krzysztof obrócił się do pantaleonu stojącego w rogu i zagrał ulubioną, widac prawie domową piosenkę;

*La nuit tombe dans la prairie,
L'Echo dormoit dans le vallon,
Près du ruisseau chantoit Amélie...*

Stary pan usiadł w fotelu, przymknął oczy i z uśmiechem rozkoszy, z niewymowną radością w zażawionych źrenicach oddychał tą melodią. Nogi jego, obute w płytke pantofle i pończochy, nieruchomo spoczywały na dywanie; splecione i zaciśnięte ręce zdawały się przytulać do serca oddalone głowy dzieci.

Panna Mery, wsparta na ramieniu brata, z początku nieśmiało, a później coraz wyraźniej, piękniej zaczęła nucić bez słów. Głowa jej otulona obłokiem loków, nachylona była zrazu ku bratu, ale stopniowo wznosiła się, zwracała ku ojcu, wreszcie ku niemu, ku gościowi. Z piersi dziewiczej płynęła coraz wyżej i wyżej, uroczysiej i piękniej, bujna melodia piosenki. Wreszcie popłynęły wyrazy:

*Au matin dans les prés de Flore
La rose à l'instant de s'ouvrir
Attend que la vermeille Aurore
Sur son char amène Zéphir...*

Ale Krzysztof przerzucił się wnet do innej melodii. Siostra z początku nie mogła jej znaleźć w pamięci. Zawołał nie przerywając gry:

— *Air: „Dans un bois solitaire et sombre...”*.

— Aha, już wiem!

Zacząła śpiewać:

*Auprès d'une féconde source,
D'où coulent cent petits ruisseaux,
L'Amour fatigué de sa course
Dormoit sur un lit de roseaux...*

Stary pan nie mógł udźwignąć powiek ani rozerwać uśmiechu leżącego na ustach. Nie chciał może sponżyć chwili głębokiego, śpiewnego szczęścia, co napelniało po brzegi zaciszne pokoje wiejskiego domu...

DZIWAŁ

Tylko kilka dni młodzi panowie zabawili w Olszynie. Krzysztof wrywał się do swoich Stokłosów, folwarku odległego o dobre pięć wiorst od Olszyny. Aczkolwiek dobrze mu było w domu rodzicielskim, pragnął przecież pochwalić się przed Rafałem swą własną chudobą i uwolnić go od dosyć ceremonialnego życia we dworze.

Pojechali nareszcie. Folwark leżał w lasach, między dwoma płaskowzgórzami, a w dolinie niewielkiej rzeczki wpadającej do Wisłoki. Trudno było wyobrazić sobie coś pięknieszego nad owe lasy. Każdy parów napelniony był ostępami buków, dębów, brzoź, grabów, klonów. Każdy pagórek był pięknym parkiem. Teraz, na jesieni, owe wzgórza i wąwozy płonęły od żółtej i rdzawej barwy. Jadącemu tamtędy pierwszy raz serce biło ze wzruszenia. Zdawało się, że płomienie i dymy kłębią się, buchają z tych wyniosłości i rozdołów. W głębi kryły się zimne polanki, tym zieleniejsze, im bardziej płomienista była barwa zwisających liści. Sam dwór w Stokłosach stał w lesie, między sosnami, na wysokim brzegu rzeki. Dach jego był już mocno zmurszały, wielokroć reparowany świeżym gontem, a mocno tu i owdzie wygięty. Modrzewiowe ściany zasuwały się w ziemię. Dookoła rozsiadał się ogród, przechodzący w las. Tuż za oknami kwitły, podobnie jak obok chłopskich chałup, wysokie malwy, żółte albo brunatne georginie, jasne nagietki i ogniste krzaki nasturcji.

Gdy bryczka zatrzymała się przed gankiem, na spotkanie przybywających wyszedł jegomość średniego wzrostu, zawiedły, w wieku, który trudno by było określić, gdyż mógł wahać się między czterdziestym a sześćdziesiątym rokiem życia. Twarz miał smagłą, ciemną. Gęste jego włosy związane były staromodnie, z niemiecka, w tyle głowy. Wystający, cienki nos sterczał nad ustami tak wąskimi, że stanowiły niemal linijkę. Podobnie oczy znać było jakoby dwie szpary pod czarnymi i grubymi brwiami.

Jegomość ów miał na sobie dosyć dziwaczne ubranie, bo żakiet, niegdyś wykwiwintny, krojem francuskim, z jedwabnymi wyłogami i kamizelką, a na nogach grube buty z cholewami do kolan, dobrze lojem smarowane dla uchronienia stóp od wilgoci. Zamiast żabotu, niezbędnego przy francuskim surducie, miał szalik, wełniany, obwiązujący kołnierz koszuli najzupełniej sarmackiego kroju.

— Upadam do nóg pana hrabiego!... — wołał schodząc ze stopni ganku bez zbyteń pośpiechu. — Nareszcie pan hrabia raczył sobie przypomnieć dziedzinę swoją... cha, cha!... Pewny już byłem, że pan...

— Hrabia... — dorzucił Cedro.

— Że pan... cha, cha! — nigdy do nas nie zjedzie.

Było rzeczą oczywistą, że podkreślał owe tytuły i że z nich właśnie śmiał się tak wesoło... Ku zdumieniu Rafała Krzysztof począł śmiać się również, choć nieszczerze i z przykrością.

— Witam i ja pana posła, dobrodzieja mojego, mentora... Jakże cenne zdrowie?... — krzyczał wyskakując z bryczki.

— Pan hrabia łaskawość swoją roztaczać raczy jako to słońce. Miło mi jest ogrzać się w promieniach łaski.

— Pan poseł siwiejesz nie na żarty...

— Z trosków o dobro pańskie... cha, cha... Ośmielę się zapytać nawzajem o zdrowie... choć to od jednego rzutu oka widać, że tyjemy na niemieckim chlebie...

— Czy być może?

— Prawdę mówię. Zupełny butrym!

— Cha, cha!... — śmiał się Krzysztof stając naprzeciwko i biorąc się pod boki.

— Jakże się ciesze!

— Pozwoli pan poseł dobrodzieju, że mu przedstawię przyjaciela a najbliższego socjusza od serca, kolegę z lat szkolnych, i że poproszę dla niego o gościnę w Stokłosach. Jest to imć pan Rafał Olbromski. Rafałku — imć pan Szczepan Nekanda Trepka, *ci-devant* posiadacz wielkiej fortuny, którą na polityczne interesa przefacjendował, prawie poseł na sejm, wielki peregrynant, wolterianista, encyklopedyk, tudzież szyderca z rzeczy, że się tak wyrażę...

— Cieszę się mocno z poznania przyjaciela pana hrabiego i służby moje pokorne polecam. Zarazem muszę zaprzeczyć nadawanej godności: nigdy w izbie poselskiej nie byłem.

— Ale mogłeś być. Był wybrany... Ale uważasz, upór, coś tego... cyrkumstancje...

— Zbyt wysoka godność jak na chudopacholski rozumek. *Nec sutor*... A co do uporu, to może i prawda. Twarde łby i karki rodziła nasza ziemia lubelska. Proszę pokornie do pokojów.

Weszli do izb wybielonych wapnem, o małych oknach i wielkich belkach podtrzymujących powałę. Stare, drewniane sprzęty, bardzo dawne karła, stoły, ławy i szafy były w porządku utrzymane. Krzysztof Cedro zrzucił płaszcz z ramion i objął Trepkę serdecznie a czule. Śmieli się obadwaj do rozpuku, leżąc w ramionach.

— Długo też pan hrabia myśli zabawić w tej dziurze?

— O, długo, stary adherencie diabłów, bardzo długo! Włazimy ci na kark obadwaj oto z Rafciem. Będziemy gospodarowali. Bierzemy się do roli.

— Pan hrabia także!

— Sądziś może, Szczepanku, że tylko ty masz prawo do gospodarki na roli dlatego właśnie, żeś swoją lekkomyślnie puścił z dymem?

— E, cóż tam moje sądy! Oto przyjaciel pana hrabiego mógłby w istocie myśleć, żeś wielką jakąś fortunę diabłom przyniósł w ofierze. Bynajmniej! Mierna to była, pośrednia fortunka szlachecka. Fenomena klimatyczne tudzież inne zmniejszyły jej okrągłość, a ostatecznie lubelski upór popchnął wyż wzmiankowaną Wólkę z przyległościami nad nieprzyjemną rzekę Kocytus. Dziś nie masz dla mnie nic z niej innego okrom pragnienia, ażeby terazniejszy właściciel udławił się jej dochodami. Oto wszystko.

— Nie wszystko. Opowiedz historycznie.

— Treść niewarta formy. Chyba na rozkaz hrabiowski. Byłem właśnie w stadium peregrynacji po obcych krajach, kiedy z mego dziedzictwa zostało jeno pewne *quantum* druków, traktujących o uzdrowieniu tego, co już było na dobre strupieszalo w grobie. Wówczas ten oto tutaj przytomny rodak, imię pan Krzysztof Cedro, spotkawszy mię w ciężkiej opresji na *ringach* wiedeńskich, zaprosił po sąsiedzku. Chodź, prawi, stary włóczykiju, na rezydenta do Stokłosów... Poszedłem *volens nolens*. Co większa, fomalów posłał aż do Wólki i ze starego lamusa zabrane kazał przywieźć dwa półkoszki druków oraz skryptów do tego oto Tusculum. Słyszane rzeczy? Przybywszy ja zaś *personaliter*, aby pożegnać *paterna rura* i zapłakawszy...

— Tyś zapłakał, szyderco!...

— A obaczywszy siedzącego w pradziadowskim gnieździe szczygiełka udałem się za książkami i razem z nimi znalazłem gościnę...

— Żebyż to gościnę! Zaczął się tu, Rafalku, rządzić jak szara gęś! Włada majątkiem, wtrąca się w interesa całego dominium, rachuje nas jak fiskus, akcydensa wydziela jak skąpy dziadzio. Toż z Wiednia musiałem go zasypywać słodkimi listami, żeby mi przysłał choć parę czeskich na makagigi. Pędza nam mandatariuszów tak dalece, że ani jeden wytrwać przy nim nie może...

— Przesada!

— W sztuce ekscytowania pejanów przeciwko zwierchności gruntowej przeszedł samych urzędników krajzamtu. Chaty im buduje z pałacowatymi oknami, felczerów sprowadza, gdy się w karczmie pokrawiają, dni na pańskim zmniejszył *usque ad absurdum*...

Trepka cmokał ustami.

— Ale co najzabawniejsza... cha, cha!... szkołę umyślił wybudować tu w Stokłosach. Sam powiedz, Rafalku, mogąż pozwolić na takie marnowanie mienia? Sam ja tu teraz popatrzę na twoje sprawki!

— Naprzód trza było waści same sprawki obaczyć we wzorze. Ale tego w Wiedniu nie znajdzie.

— A gdzie to trza jeździć, żeby obaczyć? Do Paryża?

— Nie, na honor, tylko do Puław, do Włostowic, do Pożoga, do Końskowoli, Celjowa... cha, cha!... — śmiał się Trepka.

— Cóż bym zobaczył w owej Końskowoli?

— Wielką kulturę. Jak mamę kocham! Wielką polską kulturę... Warsztat pracy dawno już rozpoczęty, a sprawki dokonane. No, ale po temu trza być wielkim panem... Mały panek polski szuka, czego nie zgubił, po całym świecie, a jeśli co znajdzie, to...

— Tytuł hrabiowski... — rzekł Cedro do Rafała.

— A waszmość również z Wiednia zstępujesz w te powiaty? — zapytał Rafała.

— Nie, on nie z Wiednia, tylko z Warszawy.

— Reprezentanci dwu stolic na mnie jednego. *Eheu me miserum!*

— A jakże też pan hrabia myśli brać się do roli, jeśli spytać wolno?
 — Rękami, chudopacholku, rękami i nogami.
 — Nowe jakieś podrygi mody wiedeńskiej?
 — Niech sobie będzie...
 — Pewnie jaki Turn-Taxis zakopał się w swoich folwarkach i teraz moda runęła na młodzież.
 — Jakbyś wiedział. Powinieneś chodzić po odpustach i zbierać cwancygiery za prokowanie.
 — Kiedyż znowu z powrotem do naddunajskiej stolicy?
 — Nic nie wiadomo. Aj, Nekando, Nekando! żebyś ty wiedział...
 — Do diaska!... Cóż takiego?
 — Żebyś ty wiedział, jak ja jestem znudzony. Powiedz no mi, braliście też już psy w pole?
 — Tędy go wiedli!...
 — Mówże!
 — Brać się brało.
 — Lotkę?
 — Była Lotka, był i Dskocz.
 — Któż jeździł?
 — Ja, nie chwając się, i Grzesik.
 — Powiedźże, na czymże ty jeździłeś?
 — Na karym.
 — Mój koń kochany! Chodzi?!
 — Chodzić chodzi!
 — A czy ja z moimi ślepiami nie zwałę się z niego pierwszego dnia?
 — Koń uważny, mądry... Reszta zależy od jeźdźca.
 — A w której też stronie zakładaliście?
 — Od Jałowcowego Smugu ku Bielom.
 — Paradne pole! Rafciu, będziemy szaleć co się nazywa! Powiesz mi, co myślisz o moich chartach...
 — Charty! — zapalił się Trepka, aż mu oczka zablęsnęły — charty lekkie jak upiory!
 — No, mości panie pośle, cóż tam teraz badasz, studiujesz? Powiedz prawdę.
 — Pan hrabia przybywasz z jednej ze stolic świata i mnie, chudeusza, wypytujesz o nowiny? Toż ja winien bym dowiadywać się czegoś nowego!
 — Wiesz dobrze o mnie, że nie jestem szczurem książkowym; więc czego się ze mną droczysz! Jeżeli chcesz nowin, to ci o jednej wspomnę; przywiozłem ci w darze taki sztucer dziwerowany, jakiego jeszcze twoje oko nie oglądało na tym padole. Teraz na ciebie kolej. Mów, co czytasz?
 — Sztucer... — szepnął Trepka przymrużając oko: — to mogłoby być ciekawe. Ale gdzież on jest?... niech go obejrzy moje oko na tym padole! Co do mnie, to czytam sobie na przemiany... Raz odczytuję jakiś rozdziałek z *Miasta mistycznego* Marii Agreda a Jesu, to znowu dla odmiany jakieś kazańko księdza Łuskiń... Oto i wszystko.
 — Ty wolterianisto! czytujesz księdza Łuskiń... Kto by cię nie znał, toby cię kupił. Toż lada dzień diabeł cię porwie w nocy i tylko kałuża mazi w tym dworzyszczu po tobie zostanie.
 — Pan hrabia żartuje sobie nieprzystojnie.
 — Skończ no, proszę cię, z tym hrabią!...
 — Albowiem?
 — Trepka! żebyś ja ci kości nie nadwerężył...
 — Może tedy można pana tytułować przynajmniej szwabskim, niemieckim, austriackim hrabią, bo jakże tak bez niczego? Nie przystoi szlachetce na dwu wioskach w Zachodniej Galicyi być bez tytułu, a cóż dopiero dziedzicowi tytułu kluczów!...
 — Nie jestem ani niemieckim, ani żadnym innym! Nie jestem wcale hrabią! — zawołał rumieniąc się dziewiczo. — Wiesz sam dobrze, że to ojciec mój życzył sobie tego tytułu, no więc, przyznasz... musiałem... Ma, czego pragnął.
 Trepka spuścił głowę i spode łba świdrował Krzysztofa ironicznymi spojrzeniami. Ostra drwina czała się w jego wargach zaciśniętych, jakby na zamki zawartych.

— Cóż tak patrzysz? — krzyknął Cedro.

— Patrzę i tyle.

— Nie radzę zbyt długo!

— Postanawiam i ja kupić sobie tytuł austriacki. Cóż u diaska! Przecież to wiadoma rzecz, że Trepkowie, Nekandy, Toporczyki z Grzegorzewic, ba! ba! Najstarsze w Polsce nazwisko: za Lechów byli wojewodami!

— Może nie wiesz, Rafał, że Rzepicha była Trepczanka z domu?

— A właśnie!

— Oni także świętego Stanisława ze Śmiałym królem zasiekli.

— Kłamstwo!

— I stąd wszyscy są wolteriani... Cóż tak patrzysz?

— Patrzę, którędy z waści niemiecki rozum wylezie.

— Myślisz, szlachciuro, że dam ci się zjeść w kaszy... Śni ci się, że będę tańczył, jak mi zagrasz. Wezmę ją się teraz do ciebie, Szczepanku!

— Może i to być.

— Zacznę ja cię edukować w polityce.

— Wszystko, okrom polityki. Nie bawię się. Teraz dopiero widzę, żem do polityki od urodzenia był dureń. Nie mam ucha do tej melodii. Sadzić ziemniaki, orać, żąć, konie leczyć, a nawet owce — oto moja dziedzina.

— Wcale nie przeczę. A po co się do moich spraw wtrącasz! Ja politykuję...

— A no, wyznaję, nie wiedziałem.

— Musimy, uważasz, żyć. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Samym sadzeniem i kopaniem ziemniaków nie wyżyjesz.

— I to rozumiem.

— Gdybyśmy, się wszyscy zamknęli w borach, w polach, schowali między kupy nawozu i sterty żyta, tobyśmy do reszty zmarnieli.

— Racja! Powinniśmy leżeć do Niemców.

— A tak! Tyś sam nie laził? Nie włóczyłeś się po Francji, po Włoszech, po Niemczech?

— Jam się włóczył z rozkazu starszych, jam żebrał. I nie przypominaj mi waść dróg moich, do wszystkich diabłów! Nędza, wywłóczenie gałganów, dziur i skamlanie — bodaj to!...

— Ja... — mówił Cedro przez ściśnięte zęby — nie żebrzę i nie bawię się z własnej woli. Ojcowski rozkaz jest dla mnie najwyższą świętością. To wszakże jest moja myśl, że musimy poznawać świat, rozumieć europejskie życie. Powinniśmy iść do Niemców! Właśnie do nich, do ich domu, przypatrywać się ich żywotowi, poznawać ich siłę. Jakże inaczej odwrócić ciosy? Trzeba zawiązywać stosunki, aby je wyzyskać. Gdybyś wiedział, ile razy ja nędzny przydałem się... Nie dla chwalby mówię, ale wyznaję jak bratu, żebyś wiedział. Palce nieraz do krwi gryzłem czekając w poczekalniach, składając wizyty, jeżdżąc, chodząc, wyczekując, prosząc...

Twarz Treпки była dziwacznie wykrzywiona. Śmiał się szyderczo.

— Bynajmniej mi waszmości nie żal... — cedził zmrużywszy oczy. — Wcale to jest zbyteczna fatyga.

— Zbyteczna fatyga!

— Owo zgoła.

— Tak... — przedrzeźniał go Krzysztof, szybko chodząc po pokoju. — Zamknąć się we dworze, zatarasować gumno — i niech się wali! Alboż to moja rzecz?... nie przy mnie się zaczęło i nie za mnie się skończy!

— A żebyś waszmość wiedział, że szydząc sobie lekce, prawdy samej dotykasz. Tyłem się odwrócić i swoje robić — oto wszystko. Żadnych a żadnych podłażeń i tych tam łagodzeń. Pyszneś słowo powiedział: nie przy nas się zaczęło i nie za nas się skończy! Nie tak to łatwo zmiamać, jak się byle amtowi wydaje. A odrobić! Ba! Miazga dopiero... Sama jeszcze nowina, nietknięta sochą. Życia mało, żeby ją w tylej cząsteczce przeorać, a waść swój czas, siłę, duszę i rozum tracisz na wysiadanie w antyszambrach. Starczy honoru na wyrabianie za pieniądze cudzoziemskiego tytułu, ale go nie ma na tyle, żeby w sobie zbudzić dumę.

— Jeżeli możesz powiedzieć, że ja tylko tego...
— Jeszcze nie powiedział, że tylko... Ale ja znam naturę ludzką. Ta natura — to jest szelma co się zowie. Wiem po sobie, a i napatrzyłem się świata. Widziałem duchy czyste, jak przemieniały się w glinę podłą, którą rzekomo gardziły. Środek w przeciągu niewielu lat staje się celem, osobliwie pod miękką dłonią podwiki.

— Aha, już swoje!

— A swoje... Bo zawsze, ilekroć waszmość wracasz znad modrego Dunaju, patrzę z abominacją, czy nie jadą za tobą niemieckie bety i kołyski.

— Ech, Rokito! nie będę z tobą rozmawiał. Rafał, chodź no, pokażę ci skrytkę tego szczura.

— Cóż znowu!

— Tak, odkryję cię w całej nagości.

To mówiąc młody Cedro otworzył drzwi do sąsiedniej stancji i ukazał ją Rafałowi. Pokój ten dawno, widać, nie był bielony, bo nagie, jędrne, brunatne belki z modrzewia gęsto przegłądały spod wapna. Cała ściana w głębi zastawiona była ogromnymi półkami najprostszej, ciesielskiej roboty, a na nich bez ładu i porządku stały i leżały książczyska. Stosy pism i bibulastych gazet piętrzyły się na szerokim stole pośrodku izby. Tu i owdzie wisiały na ścianach mapy, stare sztychy i karykatury. W ciemnym kącie stało sosnowe łóżko z lichą pościelą, a nad nim wisiała broń: pistolety, sztucery, dwururka i przybory myśliwskie.

— Tu siedzi i knuje swoje przemierzone myśli.

— O chorobie pyska i racic, o księgosuszu i kołowaciźnie... — odciął się Trepka.

Rafała na widok tych książek ogarnął nieprzełamany wstręt, właściwy jego naturze od pewnego czasu. Uczuł duszenie jak we śnie. Trepka, bystry spostrzegacz, nie dopuścił, żeby to uczucie rozwinęło się w gościu. Zajął się nim ze starannością człowieka zdrowego, który baczy na wszystko, a nerwy swoje trzyma na wodzy. Zaczął pokazywać fuzję i rzemienie, żeby odwrócić uwagę obecnych od książek, tak niemiłych szlacheckiemu oku.

— Więc o samych jeno zolzach i zawłokach traktują te wszystkie bibuły? — czepiał się jeszcze Krzysztof.

— A nie, owszem — i o motylicę zawadzają...

— Polityki ani za szeląg?

— Za szeląg może by i kupił, ale sam sprzedający nie radzi tentować o towar tak nędzny.

— Także się to zraził, przez tyle lat oną nędzą się bawiąc?

— Prawdziwie... Politycy, przewidywacze, znawcy! Jedno pole należycie zorane, jeden rów z loiką wybrany, żeby przerznął i wygoił sapowatą od wieków niwę, więcej mi znaczy niż sto broszur o rządzeniu narodem.

— Zaślepienie! Sto razy powtarzam: zaślepienie! — krzyczał Cedro zbliżając twarz aż do twarzy przyjaciela i wlepiając w niego krótkowzroczne oczy.

— Nie! Wiem, co mówię.

— Nie wiesz! Nie znasz Niemców! To jest nie naród, ale wprost zakon straszliwy, zorganizowany mądrze i bezwstydnie do wytępienia takich oto jak my rolników i marzących na jawie. Nad Łabą, nad Weltawą! Słuchaj!...

— Widziałem toto wszystko. Drwię ja sobie z Niemca, dopóki siedzę na roli, na swojej czy na cudzej. I cóż poradzi, choćbyś sto razy podpatrzył ich zakonne statuta, jeśli sam swoich nie tworzysz? Czy myślisz, że słowiańska nasza dusza przeistoczy się w duszę niemiecką od patrzenia i nauki? Nigdy! Jesteśmy inni, odmienni. Ty traf w to, co jest twoją naturą i twoją siłą, w rolniczą potęgę, którą beużytecznie trzymasz w ręku. Jeśli potrafisz wydobyć z niej wszystkie zasoby, to cały zakon niemiecki na tobie jednym zębem sobie wyłamie.

— Nie wiem, co mi ty mówisz. Ja się duszę z rozpaczy widząc, co się dzieje, czując w rozmowach pomysły zagłady, wytępienia. On ze mną politycznie mówi, grzecznie się bawi, a zarazem sondę zapuszcza...

— Wytępienia! — śmiał się Trepka — zagłady... Mnie tu kto zgładzi, mnie wytępi w Stokłosach? A no, owszem, niechże przychodzi ze swoim planem i zamysłem. Chłopów, których ja pracować, żyć, myśleć nauczę... — rzekł chwytając Cedrę za rękę.

— Otóż ja ci mówię, że się ludzisz okropnie! Jam zajrzał w duszę ich, głupca udając podszedłem ich skrytości. Wśród szelestu jedwabów w salonach, wśród koronkowych balów śledziłem ich zamysły. Ludzie ci nie cofną się przed niczym. Czy wiesz? — krzyknął błady i przerażony. — Ci ludzie mogą to sprawić, że ci oto twoi chłopcy podejną w nocy pod dom, wywleką cię z łóżka i łeb ci utną toporem!... Ich polityka tak daleko sięga...

Trepka śmiał się wesoło.

ZIMORODEK

Kilka długich tygodni Rafał spędził w Stokłosach w zupełnym próżniactwie. Był chory. Trepka, który wśród mnóstwa wiadomości miał niemało lekarskich, nie mógł odgadnąć, co mu jest. Toteż nie zalecał żadnego lekarstwa. Kazał tylko wynosić dla niego pod sosny łóżko polowe, i Rafał leżał w ubraniu, z oczyma zwróconymi ku niebu. Sam nie mógł odgadnąć, co mu dolega. Nie czuł żadnego bólu i nie doświadczał żadnego pragnienia. Jedno, co go pociągało, gdy się budził, i co zamykało jego dzień, to była leniwa chęć: nie być...

Otoczające życie, zarówno bliskie jak dalekie, nie miało dla niego żadnej literalnie wartości. Śliczne konie, w których tak się dawniej kochał, psy gończe, broń myśliwska, wrzawa, opowiadania o przygodach Krzysztofa i Treпки, gdy nad wieczorem z chartami wracali, wszystko to męczyło go tylko i przyprawiało o coraz większe zamknięcie w sobie. Ze wszech sił przymuszał się do uśmiechu, do rozmowy, a szczególnie do tonu i trybu życia ludzi tęgich i zdrowych. Na szczęście, nikt go o tajemnicę życia nie pytał.

Cudna była jesień.

Codziennie, gdy otwarto okiennice, wlewało się do bielonych izb roztopione w zlocie, chłodne powietrze. Gałęzie sosen zaglądały do okna, kiwając się sennie i szumiąc w ów głos rozkoszny, który zagłusza myśl i nakazuje poddanie się prześlicznej woli swojej. Ze wschodniej strony pnie sosen obite były jakoby złotolitymi blachami. Sroki pokrzykiwały na ich gałęziach, wiewiórki przychodziły aż do futryn okiennych, zięby i ciecioriki pogwizdywały nad dachem, okrytym grubo mchem. Cała ziemia w lesie odziana była suchymi igłami, po których noga ślizgała się jak na parkiecie. Woń grzybów i woń żywicy, płynącej z obarów na sosnach, napełniała powietrze.

Rafał budził się daleko wcześniej niż wszyscy w obejściu. Słyszał, jak pieją pierwsze koguty; nie otwierając oczu, przy zamkniętych okiennicach, wiedział, kiedy słońce wstaje. Poznawał to po szumie drzew wzmożonym, po odmianie głosów natury. Słyszał każdy dźwięk, każde we wsi szczeknięcie psa, krzyk wrony, każdy powiew wiatru. Wszystko to odbijało się w nim jak w kamieniu. Czasami z jego piersi wydzierano się westchnienie — i na tym koniec. Kamień leżał na sercu.

Ale w niskości swego ucisku nie umarło serce. W głębinach nocnego milczenia, kiedy ostatni szmer rozproszył się i oniemiał, ono jedno słyszało odgłos kroków niepewnych, lękliwych, przemierzających próżnię czasu. Echo wołania z głębi gór wychodziło z ciemności. Wtedy serce dźwigało kamień swój i samo nasłuchiwało bez nadziei usłyszenia po wtóre, patrzyło krwawym wzrokiem w ciemności bez wiary zobaczenia i lkało w ciągu godzin nie dlatego, żeby się ukoić. Bo taki padł mu ciężki los, że im dłuższy był płacz jego a narzekanie, tym większa boleść. Dopiero fizyczna wola, wysiłek ciała, odporna moc zwierzęcego bytu była w stanie ukrócić melodię tęsknoty. Ale była to czynność tak okropna, jak gdyby kto gardziel dwuletniego dzieciątka dusił muskularną garścią chłopską, żeby usmierzyć jego żalosne kwilenie. Serce upadało w swój grób i leżało w uspokojeniu niemocy aż do nadejścia nowego powiewu.

W czasie trwania tych zapasów usiłował nieraz naprawić swoją odrazę do głosów życia, do barw roślin, do wdzięku niewysłowionego światła i cienia. Na próżno! Ustał w nim wzrok żyjący i słuch szczęśliwy, który pozwala widzieć i słyszeć. Teraz obce było dla niego wszystko. Każdy przedmiot, każdy promień słoneczny i każdy cień, każdy zapach i kształt stał się sobą tylko. Przestał już służyć duszy. I oto została sama jedna. Szła, jakoby wśród ruin strzaskanych przez trzęsienie ziemi, wśród rzeczy odrażających dla niej i bezużytecznych. Stopniowo każda z tych spraw, wszystko, co mogło być osiągnięte przez spojrzenie, traciło swoją wartość i stawało się bytem nieprzyjaznym. A żeby nie czuć ciżby tych wrogo nastrojonych zjawisk, zamykał oczy, zaciskał usta, zacinał zęby i pogrążał się w sztuczny letarg milczenia. Był wtedy jak płomień zagasły. Ale gdy się

łudził pewnością, że rozszerzy tę chwilę mocy na godzinę, na dzień, rozlegał się daleko szept, głos, imię wymówione miłośnicie... Wiatr zniszczenia odzywał się w przestworzu i pustoszył wszystko, co pracowita wola z pośpiechem i mozołem dźwignąć zdołała.

Jednego ranka, w samym już końcu września, nie mogąc zgoła dać sobie rady, a nie będąc w możności uleżeć w barłogu, wstał o świcie i wyszedł z domu. Było chłodno. Wiatr południowy wzbudził szum sosen oblewając ciało zimnym strumieniem. Rafał sam nie wiedząc czemu poszedł nad rzekę, która w odległości kilkudziesięciu kroków od domu płynęła w korycie daleko niższym od poziomu piaszczystego płaskowzgórza. Jeszcze tam nigdy nie był. Szeroko, płytko rozlana woda bez najlżejszego szelestu toczyła swe migotliwe, bystre, drobne fale pomiędzy długimi smugami piachów, które jej łożysko tu i tam przegradzały. Cały horyzont był tu szczelnie zasłonięty przez zwarte olszyny, wyrastające już w drzewa. Rzeka snuła się w ich cieniu, jakby ukryta przed światem. Dołu widać było, jak zakręcała się i ginęła pod zwieszonymi gałęziami niby w grocie czarnozielonej, zostawiając po sobie wspomnienie w kształcie srebrzystego szlaku. Tam były już drzewa bardzo wysokie: strzeliste, nachylone brzozy, olbrzymie nadwiślańskie topole i wierzby, wici swe taplające w ruchomej wodzie. Spomiędzy nich buchała w przestwór wyniosłą koroną rozwidlona, stuletnia sosna. Bliżej, wśród samego koryta rzeki, były ostrowy z dawien dawna porośnięte drzewami, nad wszelki wyraz urocze ogrojce, dziewicze kępy, których człowiek nie przejął jeszcze w posiadanie od ptaków. Blisko i w dali rozciągały się mielizny, uzbrojone w suche pale, w sękate tramy i korzenie ściętych olch, w zeszkłe karpki, sterczące z wody na obraz potwornych kłów. Obwieszał je śluz szuwarów, zeszkłe jelita grąźelów, kępy zmulonego siana, chrusty i trzciny — pamiątki ubiegłych powodzi. Około tych miejsc woda zwijała się wartkimi, mrówczymi skręty, bez szelestu, bez szmeru, bez głosu. Suche ławice piasku leżały bezwładnymi smugami, jakoby trzewia i polcie równo rozcięte toporem a rzucone tutaj na wieczną pastwę czasu. Najlżejszy chwast nie czepiał się ich bezpłodnej nagości.

Słońce ostrymi grotami padało już na rzekę, przestrzeliwszy gęste zarośla. Woda żywa spłoneęła barwą ognistą. Tym głębszymi stały się cienie tam, gdzie nie dosięgło słońce. Olchy stanęły nad czarnym zakrętem jako ściana niezdojta. Odór czerniejących liści przeniknął powietrze. Rafałowi wydało się, że to tak dziwny zapach ma rosa, białym szronem leżąca na ziemi i liściach...

Wspomnienie czegoś bardzo dawnego — Włynanki, Wyrw czy Tarnin, a raczej nie wspomnienie, tylko na nowo przeżyte szczęście straconych na wieki dni dzieciństwa objęło go za szyję niby ręce siostry, którą jedno i to samo łono wypielęgnowało. Na chwilę oddał się temu uczuciu. Skruszyła się odrętwiałość serca i oczy zaszyły łzami ulgi. Z rozkoszą, jakiej zawsze doświadczał na widok nowych miejsc w kraju, z ową rozkoszą nienasyconą, zbliżającą się aż do granic bólu, wlepił oczy i przez łyby patrzył w owe zakręty rzeczne, w dzikie kępy olszowe. Wciągnął w piersi wilgotny zapach i nasłuchiwał pierwszy raz od tak dawna, jak z cicha jesienne liście szeleszczą. Z dala, z pół, polatał chłodny wietrzyk.

Rafał zatrzymał się w miejscu jak wryty i pierwszy raz od tylu czasów roześmiał się w głębi, z gruntu duszy, do myśli nowej dla niego, nieznannej jakoby obcy świat.

Zadumał się nad tym, jak to dobrze jest żyć... Poczł wolno sam z siebie przemyśliwać, jak piękny jest i jak niewysłowiony świat, jak wielkim a błogosławionym cudem jest życie, jak dziwnymi sposobami godzina cierpień przeistacza się w stokrotne bogactwo radości, płynące z widoku ziemi...

W tej samej chwili nad wodami, wzdłuż gałęzi, wskroś całego bugaju brzozy i olch, sosen i wierzb, zimorodek przeleciał z ostrym, zgiełkliwym, donośnym śpiewem. Lot jego ledwie było można pochwycić okiem, tak bardzo prędko przesył powietrze. Wydało się tylko, że to szafirowa czy lazuruobłękita nić, że cudnobarwny krzyk radości opasał, objął i związał ten bukiet ziemski. Krzyk ten przesył duszę słuchacza na wskroś, do dna. Cisza już była zupełna, a głos ten długo jeszcze w nim drżał i na zawsze pozostał w duchu...

RANKIEM

Jak z bicza strzelił, upłynął rok pobytu Rafała w Stokłosach. Jesień jako gość przepolował, zimę przetańczył, a na wiosnę gospodarował, już jako współrzędca, w towarzystwie Trepki, a poniekąd i Krzysztofa. Zdrowie i kawalerski humor nie zawodziły go w tym czasie. Osobliwie zimową porą czuł się jak w raj. Nie było tygodnia, żeby w okolicy nie wypadła

Szczęście, Radość, Natura,
Ptak, Jesień

zabawa, zabawa co się zowie, do białego dnia, do ciemnej nocy i znowu do białego dnia. Rafał był rozrywany, jako dobry tancerz, gładki kawaler i polerowany warszawiak. Toteż tu i owdzie puszczał się w konkury, szukając dużego posagu. Przebierał, namyślał się, a tymczasem bawił jak nigdy.

Trepka polubił go bardzo. Na wiosnę, w lecie i pod jesień stopniowo oddawał mu gospodarstwo w Stokłosach. Sam kopał się coraz głębiej w swych książkach. Polowanie, leczenie chłopów i bydła a peregrynacje od chałupy do chałupy — to były jego rozrywki. Młody Cedro zimę spędził z ojcem i siostrą we Lwowie, gdzie panna Mery w świat wchodziła. Trepka nadrwił się niemało z tego karnawałowania lwowskiego, choć w gruncie rzeczy rad był, że młody jego przyjaciel nie siedzi w Wiedniu. Tymczasem na jesieni r. 1805 Krzysztof, posłuszny woli ojca, znowu się udał do naddunajskiej stolicy. Trepka i Olbromski spędzali dni tej jesieni na koniu, za chartami, wieczory — na grze w szachy albo na czytaniu.

Trepka wywierał duży wpływ na towarzysza. W rozmowach, w śmiechach, w drwinach i uszczypliwościach jego siedziały szczególne żądła. Żeby nie doświadczać ich klucia, Rafał począł zagłębiać się w myśli starego dziwaka i im bardziej w nie wchodził, tym większą znajdował satysfakcję. Trepka był miłym człowiekiem, ciekawym na długą metę. Można z nim było rozmawiać o wszystkim, o rzeczach najbardziej trudnych, niewłażących do głowy, aż do najbłahszych, a nawet do rubasznie tłustych. We wszystkim był majster. Umiał tak oświetlać przedmioty i sprawy tego świata, że się wydawały zupełnie innymi, a tyle miał dowcipu, że nawet obcując bez przerwy nie można go było zgruntować.

Po długich słotach, jakoś w końcu października, rozwidnił się cieplejszy dzień. Mgła jesienna leżała na polach i na zwiędłych już liściastych lasach. Drogi były tak rozkisle, że tylko konno, i to na zgrabnym koniu, można było przemknąć się wśród bagnisk. Obadwaj w długich butach, zachlastani aż do czapek, jechali wczesnym rankiem z zamiarem puszczenia chartów, gdyby się okazało, że na polach płaskowzgórza role obsiały. Mieli zamiar dotrzeć do gościńca ciągnącego się w stronę Tarnowa, a stamtąd boczną, leśną drożyną przetrznąć się na owe pola przez lasy bukowe. Nieodwiedzana dróżka na gliniastym gruncie w lesie była twardsza, ale jak lód śliska.

Zimna, żalośliwa trawka ostro się zieleńiła pod ciemnymi drzewami. Liście na bukach, na dębach i klonach były już ciemne, przemokłe, nasiąknięte zgniłą cieczą. Zwieszały się ku ziemi bezsilnie i z gnuśnym bezwładem. Gdy wiatr powiał z pól, leciały za jego wolą te chore liście, jedne już zarażone żółtą barwą śmierci, inne tknięte dopiero szarą bladaczką. Na ziemi, pod kopytami koni, szemrały dawno spadłe. Cały las pełen był uczucia lęku i rozstania, rozłąki i żalu.

Trepka jechał przodem i nucił, sobie nie komu, starą a ulubioną swoją i jedyną romancę:

Kiedy twoje spotkam oczy,
Nim postrzegę, żem widziany,
Już się na bok wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany...
A mnie wówczas z głębi duszy
Wszystkie czucia żal poruszy...

Smutne, leśne milczenie, cichość płaszczyzn okrytych jesiennymi mgłami, ów posępny dzień domagały się niejako tej piosenki. I Rafał chętnie jej słuchał... Gdyby był Trepka przestał ją śpiewać dla siebie, sam by ją zaczął nucić...

Wyjechali z leśnej drożyny na równinę i skierowali się w stronę gościńca. Charty, idące samopas, skoczyły w mgnieniu oka i poszły lotem w dół. Rzucili się za nimi w mgłę polną. Z nagle stanęli jak wryci. Z tej mgły, na całej widzialnej długości gościńca, wywałała się zwarta masa ludzka połyskując tysiącem kolorów.

— Jakieś wojska... — wyszeptał Trepka osadzając wierzchowca.

Po chwili pilnego wpatrywania się dodał:

— Ależ to nie Austriaki!...

Nozdrza jego drgały nerwowo i zmrużone oczy świeciły się dziko ze swoich szparek. Puścił wolno konia. Obadwaj jeźdźcy noga za nogą zblizali się ku gościńcowi. Charty,

wyciągnięte jak struny, szły całkiem w tamtą stronę, ale stanęły wnet, jakby ich nogi w ziemię wrosły. Z nastawionymi uszama i wytkniętymi szycami wietrzyły bez ruchu.

Porzuciwszy bagnisty gościniec szły obok niego po niwach nieregularnie wyciągniętymi kolumnami roty grenadierów z ciężkimi karabinami na ramieniu a tornistrami na plecach. Olbrzymie, proste, dwubarwne kity na kaszkietach, kształtu wiadra przewróconego dnem do góry, chwiały się jak las. Białe nogi w sukiennych kamaszach aż do kolana nurzały się miarowo w rzadkiej glinie. Za grenadierami sunęły pułki jegrów pozbawione kit u czapek tegoż kształtu, objuczone wielkimi tornistrami, ładownicami, manierkami i pałaszami. Bagnety ich tworzyły jak gdyby ruchliwe jezioro, które wśród chmur i mgły idzie w nieskończoność, kołysze się stalowymi falami w ciszy i milczeniu.

Tam i sam fale jeziora zataczały półkole, zwijały się wirem w miejscu, kłębiły dookoła jakiegoś środka. Nekanda domyślił się, że tam ugrzęzły działa. W istocie, przyzwyczajwszy oczy, spostrzegli cały szereg armat zarzniętych w błocie. Około nich uwijali się artylerzyści w ciemnych kusych frackach, wyżej kolan taplając w bajorze sukienne kamasze. Szerokie białe pasy, na krzyż przecinające ich piersi, były uciaranne w bagnie, a wielkie czapy dotykały ziemi, gdy podkładając lewary dźwigali z topieliska koła, łoża i przodkary, ogony i jaszczyki.

Z dała za piechotę i artylerię ciągnęła bokiem konnica. Dragoneria ze strzelistymi kitami, ulani w czworograniastych czapkach, ozdobnym połyskującym strojem, wreszcie pułki białych kirasjerów na olbrzymich koniach. Wielkie ich czapy z włochatymi grzebieniami polśniewały. Zdawało się, że to żelazne legie rzymskich wojowników idą i idą falami bez końca z nieprzejrzanej nocnej mgły...

NA WOJENCIE DALEKIEJ

Dzień dogasał nad spłowiwałymi rolami. Tu i owdzie płonęła już ozimina, ale na ogół ziewało w polach pustkowie odłogów jesiennych. Na pastwiskach, po nadrzeczu lśniła się jeszcze jaskrawa zieloność trawników, a na równych łąkach jednostajnie połyskiwał ostatni, szorstki pokos otawy. Wśród drzew otaczających stary dom w Stokłosach rozpostarła się przejrzysta, śniada mgiełka. Nieprzeliczone gromady wróbla obsiadły nagie konary lip i zanosily się od jednostajnego szczebiotu. Stado wron z łopotem skrzydeł i krakaniem, spychając po sąsiedzku jedna drugą, drapało się na wyschłe szczyty włoskiej topoli. Stosy podmiecionych liści obejmowała w niepodzielne władanie wilgoć cmentarna. A z oddali, z południa, powiewał wiatr cichy i ciepły.

Trzej przyjaciele — Trepka, Cedro i Olbromski — siedzieli na ganku dworu, w milczeniu ciesząc się tym ostatnim dniem ciepła w późnym listopadzie. Każdy z nich przeżywał własne myśli, natrętą ciżbą oblegające głowę. Otwarte pola ciągnęły oczy człowieka w daleki, daleki widnokres. Piaszczysta droga w alei lip prowadząca do dworu, przyklepana od niedawnych deszczów, a teraz wyschła i stężała, z wolna tonęła w cieniu grubym i tęsknym pniów osierociałych.

— Czy też zważacie, mości pankowie, jak się to czule żegna z nami Favoni?... — rzekł Trepka.

— Iście całuje... — szepnął Cedro.

— Panu hrabiemu całusy zawsze nasamprzód do imaginacji przychodzą, kiedy mowa...

— Nie jestem jeszcze starcem zgrzybiałym, więc dlatego.

— Co innego Olbromsio! Ten myśli, dam głowę, o kolacji.

— A bo i prawda! Żołądek źle wychodzi na medytacjach i kontemplacjach.

— Miły wietrzyk! To wam powiadam pod słowem, że takiego oto dnia z takim wianiem wiatru w żadnych Florencjach nie napytacie, choćbyś latami czekał.

— Bo też pewnie nikt nie próbował latami we Firenze na jeden wietrzyk czekać.

Wtem psy, drzemiące na piasku przed gankiem, dźwignęły lby i nastawiły uszy. Szczeknął jeden, podniósł się żywo drugi i wnet jak na komendę zerwały się wszystkie zajadłe pędzić w aleję. Głowy przyjaciół ociężałe dźwignęły się w tamtą stronę w oczekiwaniu. Psy z nagła ucichły i z podwiniętymi ogonami trwożnie pojękując cofały się w podwórze. Z półmroku alei wolno wysuwał się na jaśnieź żebrak na kuli drewnianej, w lachmanach. Ciężko utykając zbliżał się do rozwartej bramy. Tam się zatrzymał. Słońce już gasło i ostatnia jego fala poziomo przepływała nad ziemią. Trepka nakrył oczy dłonią

Jesień

Żebrak, Kaleka, Żołnierz,
Polak, Historia

od blasku czerwonego, który mu prosto w źrenice padał, i rzekł:

— Żebrak.

Młody Cedro wydobyl z kieszonki cwancygiera i dał go kuchennemu chłopcu wskazując dziada ręką.

— Dać mu tam w kuchni rynkę warzy... — dorzucił Trepka. — Niech dziadowina podje i przed nocą wędruje dalej, bo tu psy złe i dziadom przeciwne.

Kuchcik skoczył ku wrotom i długo o coś z dziadkiem się spierał. Zdziwiło to wszystkich, że wrócił niosąc pieniążek na dłoni. Już z dala mówił ze śmiechem:

— Nie chce, jaśnie panie, ten dziadek brać pieniędzy. Pytał mi się, czy jaśnie panowie nie są z Niemców przypadkiem... Nie śmie, pada, wejść na dziedzinę.

— Jakiż to hardy dziad!

— Grosza nie bierze i w kwalifikacje dziedziców się zapuszcza...

— Prawi, że chciałby prosić o nocleg.

— Jeszcze czego!

Młody Cedro zwyczajem swym popędliwie skoczył do ubogiego. Za nim dla rozerwania monotonii ruszył się Trepka, wreszcie od niechcenia Rafał. Gdy do wrót dziedzińca podeszli, ujrzeli człowieka w łachmanach, z sakwami na krzyż przewieszonymi przez piersi, prostego i w średnim jeszcze wieku. Twarz jego była ogolona a ogorzała tak bardzo jak u żniwiarza, co przez lato cienia na zaznał. Włos płowy, od slot i pożaru słońca wypelzły, widać było spod czapczyny dziwnego kształtu; opończa i but zdrowej nogi pyłem były zasypane do cna. Patrzyły na nich oczy siwe, śmiałe aż do zuchwałości i czyste jak powietrze. Nie kłaniał się dziadowskim obyczajem, nie skamlał ani stękał. Czekał wyprostowany. Jasne jego oczy przechodziły z jednej twarzy na drugą, badając je do głębi. Wreszcie dłużej spoczęły na obliczu najstarszego.

— Cóż to, dziadku, tak nas bierzesz na spytki? — mruknął Trepka.

— Chciałem zapytać się... — rzekł ubogi śpiewną podlaską czy litewską mową — czy w waćpaństwa który wojskowo nie służywał?

— A to ci na co wiedzieć?

— Wojskowy człowiek przyjąłby w gościnę kamrata, a postronny człowiek nie przyjmie. Noclegu szukam. Strudziłem się drogą idący kikut-śtukut, och, bardzo...

— A skądże idziesz, człowieku, żeś się tak utrudził?

— Z daleca ja, kulhawiec, idę, bracia rodacy, z bardzo dalekiej strony.

Wszyscy trzej zamilkli i, szczególnie, prawie bolesnym uczuciem przejęci, patrzali w te prawdopodobne, szorstkie i czyste oczy.

— Ta... — rzekł nierychło Trepka cicho i życzliwie — jeśli o nocleg chodzi, to możesz przenocować w tym domu, bracie rodaku.

— Bóg zapłać, mili, że nie odpędzacie od swego proga żebraka wędrownego. Ale, jeśli woła wasza, odprawcie dalej służbę, aby nie rozpowiadziała, że od was łaski takiej doświadczam. Niedobrze by to dla was być mogło. A i dla mnie...

— Bądź spokojny! Włos ci z głowy nie spadnie pod dachem tego domu... — rzekł Cedro zniżonym głosem.

Weszli w dziedziniec. Słońce się kryło za pagórkami i od wielkich drzew, od ciemnych sosen i wysokich lip cień już padał tak gruby, że w głuchą noc przepływał. Kazano żebrakowi podać wicherzę. Panowie swoją z pośpiechem spożyli. Trepka wydał rozkaz, żeby służba szła spać. Przyjaciele sami pozamykali okiennice. Wędrowny dziad usiadł w kącie Nekandowego pokoju i zdjął swe sakwy. Spod grubej opończy wyrzwały resztki uniformu.

— Skądże teraz idziecie? skąd wracacie? — pytali wszyscy trzej otaczając go kołem.

— Do dom, do swego kukrzyska idę z miejsca Austerlitz zwanego, gdzie my niesłychaną batalią wygrali, a ja nogę oto postradał.

— Toż w grudniu zeszłego jeszcze roku ta batalia była!

— Prawdę mówisz, panie bracie, ale ja po szpitalach polowych przeleżał tę ciężką zimę. A od wiosny wlekę się z miejsca na miejsce, z miejsca na miejsce...

— Mówże, bracie, jak to było. Powiadaj!

— Dużo by mówić... Cesarz zrobił swoje. Źle mówię — swoje. Dziewięć ja lat na jego sprawy patrzący, takiego dzieła...

— Dziewięć lat, mówisz?

— Dwanaście już lat upłynęło w tym listopadzie miesiącu, jak ja z towarzyszami odszedł z jakimowieckiego placu. Tak, zda się, jakoby wczoraj było. Z rozpaczą my broń cisnęli, złamali my broń na kolanie, o świętą ziemię strzaskali. A oto z młodego draba ja dziad starzeńki powracam z dalecyny... sam jeden. Wszyscy moi kamraci... gdzie nie wiedz... Za górami, za lasami, za morzami...

— Za morzami nawet?

— Za morzami, tak ja mówię. Prawdę mówię, panowie bracia. Bo i ja, powiedzmy otwarcie, szlachcic herbowy, choć i na jednej habendzie, i na jednym zagonie, ta szlachcic dobry. Ojrzyński Sariusz Jelitczyk moje zawołanie, a przydomek nasz starodawny — Mieczyk. Za morzami, panowie bracia! Na bardzo dalekich morskich wyspach Antylów... Jedni w San Domingo, drudzy w auzońskim kraju, inni w górach niemieckich, inni we francuskiej stronie. Na ziemi płaskiej i na dnie morza niezgruntowanym śpią braciszkuwie serdeczni, dobra szlachta podlaska, tęgie męże, wspaniałe żołnierze, zabici czasem przez obce, a nieraz przez braterską ręką z obcego szeregu rzucone groty. Jam najszcześliwszy ze wszystkich został na świecie.

Wracam oto w swoje płaszczyny. Idę obaczyć ojcowski dom, barniaki swoje po piachach, a tak sobie idący myślę, że już pewno ani ojcowskiego budowa, ani brata, ani siostry. Zapomniał ja już, co to dom, co brat, co siostra. Idę, ta ciężkie myśli przed sobą toczę, panowie bracia.

— Braciszku! — rzekł do niego z pośpiechem Krzysztof drżącymi ustami — gdzie stąpisz, na czyj próg, tam dla ciebie wszędzie otwarty dom rodzinny.

— Bóg zapłać za dobre słowo...

— Powiedźcie nam o swoim życiu, o tym, coś przeżył i widział — nastawał Trepka — bo my tutaj na zagonie wiemy ledwie coś niecoś, ledwie ze słyhu, z wieści.

— Dobrze. Powiem wam wszystko, od początku do końca. Niech jeno myśli pozbieram. Ha, no słuchajcie... O scenach ja radoszyckich wspominałem... Bardzo ja się już otrząsał z wojną, a na myśl tamten dzień jak przyjdzie, serce od nowa gore! To tak dziś, a cóż wtedy! Młoda krew była w żyłach i wrzący honor w sercu. Było nas takich w szeregu dość, co my powiedzieli sobie: do dom wracać, półtorak broźnić, spokojnie grykę siać, zwady z sąsiadem o snopek prowadzić?... Taki koniec i skutek? A niedoczekanie! Jak ja dziś wspomnę a zliczę, panowie bracia, jak ja dziś pomyślę... Rada my w radę po zaściankach, gwaru dzień i noc pełno, krzyku między nami pocziwego. — Ta choćby brukanem z pola! — woła ten, woła drugi...

Dziwne to, dziwne zdarzenie — śmiał się żołnierz kiwając głową. — Zważcie ino, panowie bracia: między sobą, widziało się, paplali my, we swoich ścianach. Aż oto jednej i tej samej nocy we wszystkich okolicach szlacheckich wojsko na egzekucję zważyło. Kto ino głośniej mełł językiem, tego w rekruty... Już nas w Siedlcach, w Łukowie rozdzielili na partie, potem ubrali w kamasze i marsz, marsz w austriackie dziedziny. Jać nie byłem w gębie ostatni, więc, jak się patrzy, oparłem się aże w regimencie grafa von Koenigsegge-Rothenfels. W trzecim batalionie, aże w mieście Pilsen, w Czechach, wytchnąłem po marszu. Wdziali na mnie biały mundur półfraczasty, białe pantalony, białe kamasze. Żeby nie płytkie czarne ciżmy i płytki czarny kapelus, żeby nie mankiety, kołnierz i podszewka malinowego koloru — nic ino anioł.

Karabin, ładownica, biały pas przez piersi — i na musztrę. He, szelmy! Ile to kary, nim człowiek pojał, co taki kapral mamroce, co se pod nosem mruczy leda oficerek! Nie upłynął rok czasu, poszli my w górną Austrię, w góry Tyrolu bić Francuza i papieża bronić. Ale nie samego Ojca Świętego. We łbie się przewracało, kiedy przed frontem wzięli z polska po węgiersku wyczytywać, kto to na one nasze męstwo wyczekuje. Uczyli my się tego jak pacierza. A to — pamiętam — Karol Emanuel IV, sardyński król, któremu szubienicznik Buonaparte wydarł jakisi Piemont, a to książę Parmy, to samo Karol i to samo czwarty, ale już nie Emanuel, a to książę Herkules z Modeny i sama królowa Karolina z Neapolu. Niemal ja z kamratami ziemi zdeptał, onych person broniący. Jak ja dziś wspomnę a zliczę, panowie bracia, to my w onczas ze trzysta mil nieustającym przemierzali krokiem. Szli my piechtami przez kraje niemieckie, zielone, leśne a rolne, przez bardzo piękne sioła, przez one szumne rzeki-strumienie... Boże mój, Boże! Dołami onych pagórów, precz w wyżyny, pomiędzy skały i aże ku białym śniegom... Zrazu nawet wierzył

Wspomnienia, Polak,
Żołnierz, Walka, Historia,
Głód, Bieda, Strój, Polska

człowiek z drugim, że świętą osobę Najwyższego Pasterza jegomości piersią swoją osłaniać idzie. Z kim się było zrozumieć, komu zaufać, zwierzyć się a ugwarzyć? Naród zegnany z wszech stron, z czterech końców świata. Wilkiem patrzył jeden na drugiego i jako ten zbój czyhał na oficera, a oficer znowu jak wilk szczyrzył zębce na podkomendnych. Nie zostawił ta zresztą komendant pobratymca jednego z drugim w glicie, ba! w kompanii! Niechże to kapral wypatrzy, że się dwaj między sobą w głuchą noc zszeptują, że jeden do drugiego niby to przypadkiem, z głupia frant szlusuje w bitwie, że do się z dala gadają oczyma albo przez znaki: pierwszy raz będą oba biegali bez żywą ulicę, a drugi raz — kula w łeb. Toś ta i język umiał dobrze trzymać za zębami, a ślepie pod powieką...

A taki swój swego gdzie nie wie, w dziesiątym regimencie, po oczach, po kościach lica, po smętku a milczeniu rozezna. Ileż to razy, braciszku moi, na pobojuwyszczu gonisz zajadły, święty ugór zranionych przemierzasz twardym krokiem i skrzywdzisz obcasem braterską pierś czy głowę! Dopiero krzyk rodziwy, dopiero jęk przebiję cię z dołu jako ten bagnet. A ile takich pól przemierzył ja w pierwszej wojnie! ile w drugiej!

W drugiej wojnie zesli my byli z gór w pola lombardzkie. Tam to one drzewa oliwne, jakobyś wierzbinę swoją obaczył, tam to brzoskwiniowe sady... Sama była wiosna. Jedni z naszych kamratów pod arcyksięciem Karolem poszli w dół Renu na Jourdana, inni darli w Szwajcary na Massenę, a my pod felcajgmajstrem baronem von Kray zesli nad Adyge rzekę.

Wnet baron rozparł się lewym skrzydłem w Legnano, a prawe oddał pod komendę generała Kaim, i tamto stanęło za Weroną. Sam środek opierał się o to stare mieścisko. Generałowie Elsnitz i Gottesheim z siedmioma batalionami piechoty i trzema szwadronami huzarów zajęli stanowisko Bossolengo i Polo na prawym brzegu Adygi. Łańcuch graniczny od modrego jeziora Garda aż do miejsca zwanego Mamalagna trzymały dwa bataliony wojska granicznego, cztery kompanie strzelców i szwadron huzarów. W tej wsi Polo postawili na Adydze dwa mosty, a przed nimi usypali szańce ziemne. Dnia 26 marca od samego rana zwały się na nas dywizje francuskie. Młode bestie, żołnierz z pieluch, toteż to szło w biady, sięgało ci do gardła jak we szkole. Dywizja Grenier! Ale i cesarscy nie dawali się zjeść w kaszy. Żołnierz stary, wyćwiczony, w stu bataliach się terał. Tam to zawrzało! Skłębiły się i zagmatwały te dwa wojska, wżarło się jedno w drugie. Dawaj bić! Bagnet szczęka w bagnet, oczy łypią w oczy. A staremu wiarusowi spod Melasa czy spod Kraya nie tak znowu łatwo broń z garści wytrąci bele smyk, choćby, bestia, i młodymi zębami kłapał.

Ale był tam między nimi kto inny ku pomocy. W przedniej straży szedł batalion od innych odmienny. Walił środkiem, zaprawdę jak żywy mur. Chłop w chłop, ramię w ramię, puklerz przed nimi z bagnetów...

Panowie bracia! Spojrzę ja na tych ludzi krwawym ślepiem — w boju spracowany... Błąd się głowy czepia, gwer z ręców leci, włosy na głowie stają! Jezusie Maryja! Taże to nasze barwy i znak! Słyszę, przez Bóg żywy, swoja komenda! Pierwszy ja raz tak ich oko w oko zobaczył. Nim słowo rzec już ci ślocham w głębi szeregu. Nim słowo rzec, już ci z trupa bratniego mundur zwłóczę i na ramiona wciągam. A dokoła mnie swoi ludzie. Słyszę rozkaz. Wtedy! Myślę sobie: „A skoroś mi, Panie Jezu, takowego dnia dał dożyć i takowym miłosierdziem nad dolą moją zaświecił, toć i ja Ci pokażę, żem przecie sroce spod ogona nie wypadł!”

Z tym samym austriackim gwerem w Łapach jak pójdę! Jak stanę w szeregu, jak wezmę pospołu z bracią rznąć w batalion Koenigsegg-Rothenfels! Śmierć to śmierć! Tam w oczach moich poległ szef batalionu Lipczyński. Siedemdziesięcioletni starzec, pułkownik za naszych czasów, Darewski, walcząc na ochotnika jako prosty żołnierz w tym samym co i ja szeregu grenadierów, śmiercią mężną skonął. To samo porucznik Rafałowski, to samo dwaj Zaderowie na szańcach, to samo podporucznicy Borys i Majewicz u mostów na Adydze, a żołnierzy i podoficerów 150 chłopca.

Ale dywizje Delmas i Grenier po czterogodzinnym boju wzięły pazurami szańce z kompletem armat, wyparły moich Austriaków, przegnały ich na lewy brzeg, wzięły szturmem oba mosty i nie pozwoliły ich zniszczyć. W dywizji Victor był drugi batalion polski pod Rymkiewiczem generałem, co w wigilią tego dnia przybył z dalecyny, bo aż, mówili, z Konstantynopola. Męstwem swoim ten batalion samych zadziwił Francuzów.

Gnali my białasów aż pod mury Werony. Ale bitwa tego dnia kosztowała legion polski 750 zabitych.

Taką to ja drogą poszedł w one legiony... Wliczyli mię do trzeciego, co był ostatkiem, szcząteczkiem. Generał Scherer zaczął się cofać. Bataliony pierwszy i drugi w swoich dywizjach, trzeci z półbrygadą francuską i dwiema armat pod rozkazem Kosińskiego składał wystawioną straż w Rolta-Vecchia dla zasłonięcia obozu dywizjów Victor i Grenier od Marengo do Casteletto. A gdy armia francuska nie mogła dłużej ustać w tym położeniu bez obawy, że ją otoczą, wtedy Bartki francuskie uradziły, żeby się cofać. Generał Scherer — bodaj z piekła nie wyrza! — kazał nam dwustu nowym rekrutom, gdy główna siła naszych poszła do Mantui, zamknąć się w twierdzy mediolańskiej, co ledwie kilka dni bronić się mogła. Wiedzieli my, że leda dzień obsadzą nas Austriaki jak to morze, a skoro się poddamy, lby nam ukręca. Na nasze szczęście, splamiony Scherer opuścił dowództwo. Zaraz generał Moreau cofnął barbarzyński rozkaz. Wziął nas ze sobą, gdy za Ticino uchodził. Legion Wielhorskiego zamknięty był w Mantui i nasza z nim komunikacja zerwana. Poszli my z armią włoską. Byli my w boju pod Valence... Dawne męstwo odżyło, dawne się wspomniały czasy.

Wnet generał Macdonald, uchodząc z Neapolu przez wielkie włoskie góry, przyszedł na nieszczęście swoje pod Trebio i stoczył oną bitwę straszliwą. Złączył się potem z armią włoską i poszedł pod komendę generała Joubert. Bój pod Terzo i Medesima! Zginął mężny Joubert, prawdziwy żołnierz, gdy rankiem o godzinie trzeciej w pierwszym brnął szeregu... Bili my się tego dnia od świtu do późnej nocy we trzydzieści tysięcy przeciwko osiemdziesięciu zjednoczonych. Generał Colli z jednym batalionem francuskich mazurków i dwiema secinami naszych, co my się zwali legią trzecią, zasłaniał rejteradę. Po Joubercie — Championnet generał, a gdy ten umarł — Massena.

Legia pierwsza pod Dąbrowskim do połowy wybita przyszła w genueńskie góry. Tam my się spotkali. Ożyły nadzieje. Buchnęła w szeregi wieść o powrocie z egipskiej wyprawy „najstarszego Bartka”, jak zwali wtedy wielkiego wodza nasi żołnierze-wiara.

Oręż wraстал w dłonie od samego płomyka nadziei, że leda dzień, leda chwila przybędzie przed nasz front i powiedzie poprzez struchlały Wiedeń. Już my widzieli zjawę karpackich gór, krakowski rynek... Już my w pieśni przemierzali dalekie ziemie.

Wśród onych chrobrych dni wkroczyli my do Genui miasta, a bramy jego zatrzasły się za nami. Z lądu, ze wszystkich dolin i gór, oblegał generał Ott, a okręty angielskie lorda Keitha z morza. Ustał dowóz żywności. Ziarno zboża nie doszło już od tej chwili do miasta. Zrazu dawali nam połowicę porcjów, potem ćwiartkę, a koniec końców po dwa luty śmierdzącego mięsiwa na człeka, po gloneczku chleba. Przyszła nędza bardzo wielka. I nie tylko na wojsko, ale na całe miasto Genuę. Ludzie poczęli mrzeć jak muchy, i nieśli ich ta tłumem na owo piękne Camposanto.

W parę tygodni wymarło ze zgnilej strawy i z zaraźliwych chorób dwadzieścia tysięcy ludzi. Z nas znowu, z żołnierzy wdrożonych do biedy i twardziny żywota, zostało w kupie osiem tysięcy prawdziwych kościotrupów. Siedzieli my na tych górach grzebieniastych ponad grodem, czyhając jak te sępy.

Nasz tam, wiecie, Polak krótko się martwi. Wzdychać se wzdycha w najgorszej chwili, jako i zaklnie aż w kościach trzeszczy, ale wnet się przecie skrzepi bele czym. I juźci słyszysz, śpiewa swoje... Aby ino razem, aby w kupie, to i dobrze. Samego zostaw na dwa dni — juźci się rozstęka, że najteższy chłop na nic. Widzieli my austriackie zastępy rozwleczone w dolinach i het — precz! — po suchych gołogórach, jak se ta na nasze trupy ostrzyli bagnety. Wołali my na nich: „Chodźże, chodź, nienasytku, a po drodze przemień się w kruka, żebyś nas przecie całych pozżera!”.

W dali przed nami było wielkie morze. Jak je sobie wspomnieć!... Dalekie, modre lądy idą stamtąd we dwie strony świata, na wschód i na zachód słońca, a giną i rozplywają się we mgłach niebiosów i we mgłach wód. Jest takie miejsce, gdzie ich już oko nie chwyci — wypsną się najbystrzszemu — a długo patrzysz, żeby je gwałtem, jak idą między niebo a wodę, wysledzić, to ci ino ła z oka pociecze. Najbliższy ząb gór, Portolino, wrzynał się w morze z lewej strony, a na prawej za miastem Savoną już ledwie znać było ziemię. Morze dalekie było stamtąd widać, jak chodziło szumne, gromkie, zmiennobarwiste. Och, morze moje, morze!... Tam ja się poznał z tobą... Zatoko moja, zatoko... Jak to tam nad nią stały złomy nagie, w których spalone szczeliny wszczepia jastrzębie knykcie szary, drapieżny

kaktus. Jak to tam leżą w rozpadlinach uschłe łoża potoków, drogi, któredy ino chodzi złość a furia burzy wylęglej w morzach. Żyli my w pośrodku rumowisk, gdzie cienia nie znaleźć przed mściwym słońcem. Czasem się tam zabłąka pokręcony krzew bukszpanu i tuli pod sobą cień tyli, że w nim głowy nie schowasz.

Przyszedł na nas w ostatnich dniach obrony głód nie leda jaki. Spadziste ulice Genui! One ciemne a wąskie jamy, gdzie słońce nigdy nie dociera!... Puste były, gdyś tam szedł ku portowi, żeby choć z morza co nieco wyłowić na haczyk ze śpilki — jakby już wszyscy do nogi wysnęli.

Gdy my się tam szwendali jak psy bezpańskie, szukając byle ochłapa, żeby choć ducha odświeżyć, nieraz śmierć w oczy zajrzała. Skoroś ino ostrożnie wsunął nos i oczy z ulicy w czarną i zimną sień, wnet na cię warknął Włoszyn zielony z głodu abo ci lufę króciocy wprost między ślepie wstawił, abo ta na paluszkach szedł z nożem w rękawie, jak pies-milczek. To nieraz taka desperacka fantazja pchała człowieka, że właśnie szedł od nory do nory... Skutek zawsze był jeden: pustka w jelitach.

Kapitulowały wreszcie nasze „Bartki” — Massena i Soult. Resztki legionów wyszły z miasta w stronę Marsylii. Bez tynfa w wacku, bez butów i odzienia, w rękach starganych i zetlałych szmat, półnaczy i o głodzie, ciągnęli my w świat francuskimi górami. Zima była, deszcz, bieda! Gdyś się na bosaka podbił, stłukł a poranił nożyska, że popuchły jak bochenki chleba, brało się deszczułkę za podeszwę, szpagatem ją przytwierdzało do stopy — i dalej. Gałgany zlatywały z gnatów... Idziemy, bywało, przez włoskie w Morskich Alpach siedliska, śmieją się z nas piękne dziewczki stojąc przed progami murowanek i pokazują palcami nasze stroje. Tornistry na nas ino całe a czapki. Reszta dziury. Wstyd! Dopiero panowie dowódcy dawajże nas w ambit wbijać! idzie oto nasz Słoński, chłop osobisty, walny, z jednej sztuki, krokiem twardym a buńczucznie, a hardo. Mundur na nim białą nicią w stu miejscach ześcibany, buty jeść wrzeszczą, że to w szeregu całym sły chać. Kiszki w nim takiego marsza grają, że żadnej nam orkiestry nie trza... Wszystko — bajki! Wąs drze do góry, nadał się jak po trzech obiadach, mina jak sto tysięcy diabłów.

— Trzymaj się jeden z drugim! — wrzaśnie, gdy mu w glitach stękają. — Równaj się! Wiedz jeden z drugim, że najjaśniejszą Rzeczpospolitą w tornistrze dźwigasz!

Zaraz się ta mężniej nogi ruszały i głód się nie ważył doskwierać.

Trepka chodził po izbie cichymi krokami. Czasem stanął i, plecami oparty o ścianę, kołysał się tam i sam. Przez zaciśnięte jego zęby wydobywało się bezwiedne świstanie ulubionej melodii:

Kiedy twoje spotkam oczy,
Nim postrzegę, żem widziany..

Wędrowiec westchnął i zamilkł.

— Cóż się z wami stało później? — szepnął Cedro.

— W Marsylii równa nas czekała bieda. Rząd Dyrektorów nic o nas wiedzieć nie chciał. Za swój własny ostatni grosz oficerowie sprawiali żołnierzowi chusty, odziewali przybyszów w uniform i stawiali pod dawne chorągwie.

Przybyli oficerowie, w niewolę roku siódmego wzięci w Mantui, co w pustym klasztorze pod Leoben jedenaście miesięcy przetrwali. Uzyskawszy wolność, od razu ruszyli do nas. Za nimi ściągnęli żołnierze, co w czasie kapitulacji uszli byli, i przebywszy górę Cenis tułali się po Francji. Potem nie było już dnia, żeby po jednemu, po dwóch nie przybywali towarzysze wzięci w niewolę, co to w kajdankach rozesłani byli po regimentach austriackich, a teraz znowu, po wtóre, uszli z cesarskich szeregów i o setki mil szukali swojej komendy w legione. Objął nad nami komendę generał Kralewski a po nim Karwowski.

Nierychło, nierychło przeczytali nam wodzowie dekret Pierwszego Konsula, że idziemy na żołd Rzeczypospolitej Francuskiej. Na dwa my się rozpadli legiony. Pierwszy, z siedmiu batalionów piechoty i jednego artylerii, dostał się pod komendę naszego generała-porucznika i przyłączon do armii włoskich, a drugi, ze czterech batalionów pieszych, regimentu kawalerii i dwu kompanii artylerii konnej, pod komendą Kniaziewiczza poszedł do armii nadreńskiej. Wkrótce nasz pierwszy legion liczył sześć tysięcy ludzi. Ruszyli my się z Marsylii w Mantuańskie pod starego Massenę.

Polak, Żołnierz, Historia,
Walka, Wojna

Rok dziewiąty! Odparci cesarscy za Mincio. Część naszej legii poszła do obwołu Peschierzy, a ja w drugiej pod Mantuę. Dziwne losy zrzędzenie! Zważcie jeno, panowie bracia: przyszedli my w te same wądoły, nad one zgniłe rowy i murowane fosy, co je krew naszych braci zboczyła. Mieli my możność hojnie odplacić za podłą zdradę roku siódmego, za sekretny paragraf Kraya. Krzyk się w szeregach rozszerzył: „Nie darować!”.

Gdy my wyciągnęli linią na ćwierć mili, a białe wojska miały z murów wychodzić, legia jak jeden człowiek ścięła zęby i w bramę wlepiła krwawe oczy. Ci tu stali, co na tym miejscu hańbę ponieśli. Chwila, i rzucą się jak jastrzębie na schorowaną i bezsilną załogę. Broń u nogi, ale śmierć ziele z oczu... Wtem, jakoby na komendę, staną przed szeregami panowie oficerowie, i przemówią krótkim słowem do duszy wojska... Hańba by to, prawi, była i zmaza na honorze niepokalanym rycerzy plugawą i nędzną zemstą się parac. Nie fałszywymi przysięgi, nie zdeptaniem słabego, nie pobratymstwem z zakonem zbójców walczy Polak. Honor żołnierza rozkazuje równą wrogowi a kamienną pokazać stałość w niedoli i w chwili tryumfu.

Nie sprzeciwił się żołnierz legionowy swemu dowódcy. Stanęli my w porządnym szyku, gdy nieprzyjaciół wychodzić zaczął z twierdzy przez cytadelę. Zażądał tylko nasz pan generał, żeby wojsko austriackie nie krokiem paradnym szło, lecz żeby go odmieniło na prędko. Tak się też stało. A gdy tak szli bez sztandarów, a żywo, żywo — raz wraz z ich glitów występował żołnierz-Polak, roztrząskiwał broń w oczach komendantów i stawał w naszej kolumnie.

Ostatnia to była nasza piękna chwila. Pokój w Lunewilu! Zachmułyły się dusze... Wdzieli my, że przekrzęścił i opada ostatni kwiatek nadziei. Tak jakoby spod onych bram Wiednia... Legion drugi otrzymał rozkaz iść znad Renu w dziedzinę Toskanii, która Królestwa Etrurii wzięła tytuł. Rzucił mundur generał Kniaziewicz i co ognistsi jego oficerowie. Sokolnicki wiódł legią przez Szwajcary trzema szlakami na miejsce przeznaczenia. My w sile półsiedm tysięcy głów zajmowali Modenę i Reggio.

Nikt już teraz nie wiedział, co będzie dalej. Mówiono, że mamy iść w służbę króla Etrurii, to znowu, że na żołąd cyzalski. Złękli się ludzie. Wdała się dezercja, nastał bezład. Szepotali co świadomsy, że zrobią z nami to samo co jakiś Wielki Fryc z najemnym wojskiem po siedmioletniej wojnie, a że nikt dobrze nie wiedział, co zaś za Fryc i co on zrobił z onymi wojskami, więc strach szedł coraz większy. Wtedy to powstał plan obrony...

Jeden mocny nasz batalion stał załogą w Mantui i był najsilniejszą częścią garnizonu. Myśl obronna była taka, żeby opanować bramę Pradelli, gdzie tyle krwi naszych wyciekło w fosy — i przez to miejsce wpuścić drugą dywizję wojska pod Sokolnickim. W tym samym czasie miał regiment kawalerii pochwycić Peschierę i całą linią nad Mincio, wszystkie mocne i niezdojbyte miejsca. Wtedy garnizon puścić na parol i iść w biały czy w układy z Rzeczpospolitą Francuską. To była myśl Fiszera. Wezwano do rady oficerów po kilku z każdego batalionu. Wszyscy w jeden głos okrzyknęli, że się zgadzają, i z zapalem najgorętszym oświadczyli gotowość do dzieła. Ale się oparł sam pan generał. Inną myśl podał. Wyjdźmy, prawi, cichaczem z Modeny do Otranto, pochwyćmy statki, usiądźmy na nie i płynijmy zbrojnie na Korfu, Cefalonię i inne wyspy, co składały Rzeczpospolitą siedmiu wysp Jońskiego Morza. Tam radził opanować silne punkty, ogłosić wysp niepodległość, jako ich armia osiąść i czekać aż do czasu. Z tym planem udał się pan generał Dąbrowski do Pierwszego Konsula.

Kiedy takie zamysły nurtowały w naszych korpusach, przybył z kwatery głównej do Modeny generał Vignolie dla wykonania nowej organizacji. Przywiózł nam słowo Pierwszego Konsula, że skoro legiami być już nie możemy, a wzdramy się iść w służbę króla Etrurii, żeby nas za najemnych szwajcarów nie poczytał świat, tedy on proponuje nam, abyśmy przyjęli poddaństwo Francji. Kto z was, mówił generał, nogą stanie na ziemi francuskiej, otrzyma wszystkie prawa francuskiego obywatela. Zawierzono. Zaraz tedy odjęto nam tytuł legiów polskich i zamieniono na półbrygady wojsk cudzoziemskich. Jedenaście batalionów piechoty zredukowali do dziewięciu, to jest zmienili na trzy półbrygady. Stu blisko oficerów straciło miejsce w nagrodę zasług. Dwa pułki przeznaczone zostały do służby cyzalskiej, a trzeci miał zostać w Etrurii. Sztab legionowy odsunięty od komendy. Pierwszej półbrygadzie natychmiast kazano maszerować do Mediolanu... Tak to korpusy nasze zostały rozzerwane. Usiłowania pana generała żadnego nie odniosły skutku. Projekt ambarlowania się na siedem wysp i opanowania Morei nie znalazł aprobaty

chytrego ministra. W smutku powrócił wódz, oznajmiając upadek legionów.

Kiedy już się to dokonało, wówczas przez kilka miesięcy żołd trzeciej półbrygady został wstrzymany; a kiedy oficerowie dla wielkiego niedostatku nie byli w stanie z miejsca się oddalić, wysłała piąta i sześćdziesiąta ósma półbrygada, stanęły obie pod bronią z rozkazem użycia gwałtu w razie naszego oporu. Otoczono nas siłą przewyższającą i ponieniemem, pod paszczami armat przymuszono wsiadać na fregaty w Livornie...

— Dokąd? — wyszeptał Cedro.

— Dokąd? Zrazu mówili, że do Tulonu, a wreszcie wyznali wprost.

— Na Antyle?... — mruknął Trepka.

— Tak jest, panowie bracia.

— I to wy, co się honorem chlubicie, żołnierze z bronią w ręku!

— Z bronią w ręku...

— Trza było skonać, a nie iść ponieniemem.

— Słowo łatwiej powiedzieć, niż rzecz samą wypełnić. Onych i wtedy nie opuściła nadzieja. Mówili sobie: „Zginął nas jeden tysiąc, drugi, zginie trzeci — a taki zatrwamy!”. Dziesiąty tysiąc, a nie, to dwudziesty z kolei przyjdzie na miejsce swoje. Wielki wódz słowo dał. A żołnierz wodzowe słowo na czulej szali waży. Tylko widać tego ostatniego tysiąca, mówili wtedy, jeszcze nie wybiła godzina. A panowie oficerowie! Posłuchaj, panie bracie, chętnym sercem, a uważ...

Panowie oficerowie naszej półbrygady, choć wiedzieli, co ich czeka, nie chcieli się chyłkiem uwalniać ze służby, nie chcieli w tej bardzo złej godzinie opuścić żołnierza, któremu przewodzili w boju a z którym przeszli góry, niziny. Ani jeden nie uszedł z Livorna, żeby głowę ocalić, choć były po temu sposoby.

Słowem honorowym polskim przysięgli się dzielić los z bracią. Prawda, był później, słyszałem, jeden, co towarzyszym naszym w drodze do Genui, gdy szli naszymi tropy ambarkować się za morze, przystawił z boków i z tyłu szwadrony kawalerii francuskiej, żeby snadź żaden ucieczką się nie salwował. Z jego także naprawy wyszło posądzenie oficerów o spisek i bunt, co przyspieszyło rozkaz wsiadania. Sam ów został na lądzie, gdy fregaty wojenne od brzegu genueńskiego odbiły. Pierwsze to było i ostatnie złamanie wiary w legionach.

— Mówże waćpan, co z tobą — nastawał Cedro.

— Jam ci należał do 113 półbrygady, co w dniu 13 czerwca 1802 roku wstąpiła na pokład w Livornie. Ostrożność generała Rivaud, który z piechotą, konnicą i artylerią otoczył nas pierścieniem i pchał do portu, była całkiem zbyteczna. W porządku stanęli my na kamieniach portu. Rzędem czekały szalupy. Rozpacz tłukła nam piersi jak ona burza... Bo burza sroga wstawała tego dnia w morzu! Pomnę... One mury zimne, samotne płoty kamienne w morzu z południa, za cichą zatoką, jak na nie z czarnych dolów chlaszczą piany białe. Niebo wpośród dnia czarne jako o północy, a w nim niedaleka, zda się, tuż, tuż, grozi ponura skała Kaprai. Latarnia morska połyskuje na niej raz za razem, raz za razem, nikiel bolesny znak na trwogę. Ptactwo na żelaznym niebie z piskiem się chyba. Padnie piorunem w siwe, chodzące góry, w złe doły, w one dymy sieczne i palące — i znowuj lotem w górę, na skrzydłach, aż ta zginie. U nóg twoich, człowieku, morze między złomami chepa a ślocha. Jakie to ta w nim głosy! Jakie ta krzyki!

Stoi domek strażniczy na samym końcu molo. Przysiadł, zda się, i czeka. Tyłem się wykręci, mchy kamiennego daszku na się — i cierpi. Strzeli w niego bałwan rozbiegany z prawej, leci nań z daleka od Elby czy Korsyki góra wodna, jakoby dziki, zjuszony koń... W porcie wiatr przyciszony. Poszarpuje ino nasze korwety. Wydmie dolne żagle, naciągnie, aż zawarczą, zaświszczą liny. Górne zwinięte do cna. Wielki żagiel, co go nazywają marynarze *grand uual de mizen*, czasami ino rozciągnie się, jakoby siły swojej mocarskiej próbował.

Dali rozkaz: „W szalupy!”

Każą nam wyciągać kotwicę kontradmirałskiej fregaty. Werznęła się była w dno i zahaczyła o głazy. Stu kilkunastu nas dołożyło ramienia. Wreszcie poszła. Okręt manewruje żaglami i nastawia się... Wnet idzie spomiędzy kamiennych grobli na pełne morze. Nasza korweta dybie za nim trop w trop. Hejże, hej! Ledwie my się pokazali na głębokich toniach, na wiatrowisku, porwie nas i poniesie. W szyję między Elbą a Korsyką! Zda nam się krótko widzieć kamienny, pusty, ciemnorudy brzeg. Słyszymy, jak to tam dzwonią

Burza, Morze

w skały rozwścieczone welny, jak tam świszczą lasy po górach, jak grają skały czerwone. Wnet jeden maszt, złamany jakby ten pręt leszczyny i pospołu z żaglem ciśnięty w fale. Z trzaskiem lecą na pokład latarnie urywane z górnych masztów! Burza! Pójdzie nasz okręt w górę i na dół. Pocznie go zagon morskich wałów z boku na bok kłaść, bić w pierś jakoby belką! Straszne, siwe morze! Och, wściekle!

Dużo ja w życiu twardych dzieł widział, a nigdy jako wtedy. Strach me obszedł wokoło. Bliska a niespodziewana śmierć zajrzała w oczy, tchnęła w twarz... Rozmiotła burza naszą flotyllę z trzynastu okrętów złożoną w cztery strony świata. Dwa tylko zdołały na powrót do portu zawinąć. Trzy wpędzone zostały do kanału Piombino między wyspą Elbą a lądem suchym, okręt grecki rozbił się całkiem o skały i ze stu sześćdziesięciu ludzi tylko jeden kapitan Kastus ze swą żoną na brzeg się wydobył z toni. Reszta okrętów, a między innymi nasz, latała w morzach, miotana wściekłością żywiołów. Ani przez ten czas strawy, ani napitku. Kto leżał bez duszy i taczał się z końca w koniec sali pod pokładem, tego kapitan nie mógł brać do roboty, ale który mógł ustać na nogach, tego na pokład i do lin! Niejednego bałwan huknął w piersi i połknął pianami na wieki wieczne. Bosy, przemokły do ostatniej nitki, spracowany a zeszarpány od womitów, bez siły w sobie ciągnął człek one liny.

Jednego razu w ciemną noc grzmotnęło okrętem w jakieś skały. Zatrzeszczał, zadygotał i legł na boku. Stanął. Usłyszeli my krzyk kapitana: „Siekiry! Tnij liny! Tnij drugi maszt! Armaty z zatopionego krańca w morze!”. Dali go wtedy, co mocy w ramieniu! Plusnęły nasze działa, wszystkie sześć jak jedno — i okręt wolno, wolno wstał, sprostował się.

Po czterech dniach i czterech nocach zaczął wreszcie żywioł nacichać. Dopiero ja z towarzyszymi — spać. Zimnica trzęsie, sny straszne... Pić... Nie wiedziałeś, człeku, owo zgola, gdzieś jest, co się dzieje. Tymczasem rozbite nawy znalazły się między Wyspami Balearskimi a brzegiem Hiszpanii. Łatał się tam nasz statek, stroił w żagle. Po kilkunastu dniach zebrał się wreszcie i popłynął ku Maladze. Tam już i inne członki flotylli zdążyły. Dopędził nas okręt, na którym był szef batalionu Bolesta starszy, który to okręt pod Syrty afrykańskie był zapędzon. W lipcu okręt nasz podniósł kotwicę, a sterując po podładziu, między brzegami Gibraltaru i Algeciras a Ceutą w Afryce, szedł wolno w stronę naznaczoną.

Widzieli my gołym okiem z pokładu starą ziemię... Cicho było i pięknie. Ledwie się marszczy, ledwie gzi morze. Jeszcze mi w oczach do dziś dnia stoją one dwa brzegi dalekie. Brzeg hiszpański, z którego strzelają w niebo góry skaliste, nagie, gdzieśgdzie porośle pinią i cyprysem... Pierzaste liście wierzchołków palmowych wznoszą się z kujaw piachu, płasko rozciągniętych na brzegu Afryki. Jakoby wikłowe chlusty widzą się z dala, jak u nas po nadrzeczu. Jeden za drugim szły okręty. Ludzie nasi odkryli głowy. Milczą i żegnają się oczyma z lądem, co ich wydał. Straszny żal...

Nazajutrz zawinęli my do Kadyksu. Półbrygada, mająca się przesiąść na inne okręty, wysiadła w Kadyksie i dwanaście dni straciła na przygotowania do odjazdu. W sierpniu dopiero z pomyślnym, północno-wschodnim wiatrem opuścili my port, ominęli cypel Tangeru... Idziemy między wyspą Maderą a Kanaryjskimi, potem jeszcze dalej. Wiaterek się odmienił, weszli my na wody krążącego oceanu. Odtąd stateczny, wschodni wiaterek przy niebie pogodnym dozwolił nam sterować prosto po kędziorowatych falach ku Antyloom.

Upały nastąpiły najstraszliwsze. Noce tylko przynosiły chwilę odetchnienia. Pod sam koniec sierpnia taka cisza nastąpiła w morzach, że nawy stały jak na murowanym fundamencie, na litym zwierciadle. Czekali my z upragnieniem zachodu słońca. Ledwie się utopiło w onych stojących równinach, wznosił się w tym miejscu, gdzie zginęło, błady, sinawy pas światła zodiaku. Dygotał wtedy każdy, bo było tak, jakby z trójkąta nachylnego nad wodami patrzyło w nas oko wieczne. Podobne my widywali dzieckami w kościołach rodzinnych wsiów. Ale wtedy! Deska onego trójkąta była u podstawy rozległa jak samo morze, a szczyt jej gubił się w schodzącej nocy... Nocami świecił nam księżyc. Nieraz my go opasali oczyma i tak oto całą noc leżym na pokładzie czuwający, dokiela błady i zimny nie odszedł w odmęty zachodniej strony. Świeciła nam gwiazda wieczorna tak wielka, że się od niej strzała pozłocista kładła na poprzek morza.

Nieraz, bywało, wyjdzie z topielów błędna sucha chmura i wszystkie oczy powiedzie na wschód, w niezmierność oceanu, rzuci na nas widzenie senne lądu ojcowskiego...

Morze, Słońce, Światło

Zmniejszono nam racje jada i wody. Woda stała się brudna, cuchnąca, pełna robactwa, a i tej tylko kwartę na człowieka dziennie dawali. Par stał się taki, że mdlał najtęższy. Smaga w ustach dniem i nocą, że się wargi raz kole raz trzaskały. Język wysechł na suchą drzazgę. Żołnierz jako to żołnierz. Skakał z pokładu w morze dla ochłody. Żle się to najczęściej kończyło: jedni dostawali kurczów, a inni od rekinów i morskich wilków pożarci.

Około pierwszego września ocknął się wiatr wschodni i z największą szybkością pognął nas ku wyspom. Ale dopiero w połowie października ujrzeli my przylądek Samana. Wkrótce wpłynęli my do zatoki Mancenilla i pod miastem Cap-Français rzucili kotwicę. Odtąd zaczęły się nasze dzieje.

Już wtedy wódz zbuntowanych Murzynów, Tussen-Luwertiur, zdradą pochwycony został, odesłany do Francji i tam w jakimś ponurym zamku żywota tęgiego dokonał. W sierpniu 1802 roku rozeszła się po uciśnionej wyspie szeptana wieść o zaprowadzeniu pomiędzy Murzynami niewoli. Takie postanowienie francuskiego rządu wzbudziło powszechną zgrozę i stało się hasłem rokoszu. W górach San-Domingo stanie na czele kreolów Murzyn Lamur de Rans, w Wilier wzbudzi bunt San-Susi, w Dondon — Noël, w Plesans — Sylla, w okolicach Port diu Pe — Makaja. Istotnym przeciw wszystkim wodzem był Karol Beller, a tego siedliskiem były góry Kaho. Prawie cała ludność murzyńska na wyspie złączyła się z mulatami i chwyciła za broń.

Kapitan jeneralny Leklerk, podszczuwany przez naczelników murzyńskich, co jeszcze w służbie pozostali, takich jak Dessalin, ten sam, co się potem za cesarza wyspy Haity pono ogłosił — postanowił szerzyć wśród nieprzyjaciela postrach morderstwami. Pastwiono się na jeńcach wojennych. Wyszła taka zasada, że każdy jeńiec wojenny ma skonać wśród tortur. Murzyn złapany z bronią w rękę, a nawet i bez broni, ale w polu, wszystko jedno: winny czy niewinny, śmiercią konał. Przeciwna strona czyniła to samo. Nowy to dla nas był sposób prowadzenia wojny.

Okropne choroby zaścielały pole, a nade wszystko straszliwa „ciotucha” — żółta febra. Dziwna to była słabość. Jednych zabijała na miejscu, jak piorun, bez żadnych poprzednich oznak, a dla innych była długim, bezlitosnym konaniem. Tak to nagle, pamiętam, umarł nasz podporucznik Bergonzoni na pokładzie fregaty. Pewnego poranka, o samym świtaniu, wszedł był do kajuty kapitańskiej, w której przebywał szef Małachowski. Gdy go ten spytał, czego by żądał, Bergonzoni, jako że był służbista, wyprostował się i oświadczył, jako przybywa oświadczyć, że umiera. Wziął go szef pocieszać i uspokajać. Nic nie rzekł i wyszedł na pokład. Tam postąpił kilka kroków naprzód, padł i skonał. Włożyli go w wór, kulę wielkiego kalibru uwiązali przy nogach — i w morze.

Inaczej było z przewlekłą chorobą. Żołnierz czuł w marszu jakoby cios od kuli. Nieraz przysięgały się stare wiarusy, że ich kula przebiła, gdy naokół było cicho, a nieprzyjaciela nigdzie. Zaraz następowało wielkie osłabienie, dochodzące aż do omdleń. Ręce i nogi przesywał ból, jakby były połamane. Trzęsące zimno. Wszczywał się wielki trzask w czole, potem we wszystkich stawach i w krzyżu. Nieszczęśliwi słyszeli uderzenia pulsu w skroniach, oczy im wysadzało na wierzch i przemieniało w ślup. Straszliwa bojaźń i wielka, niezgruntowana tęsknota nie daje pono spocząć biednej myśli. Nigdzie ulgi. Dech pędzi, jakoby ci Murzyn piersi zgniótł kolanami. Już po upływie dnia twarz nabrzmiwia i zaczyna czerwienić się jak u człowieka mocno spitego winem. Myśli okropne hulają, a sen za oceany ucieka. Wnet skóra żółknie, a białka oczu staną się jak szafran. Na trzeci dzień zwidzi się choremu, że już przeszło, już lepiej. Duch mężniejszy, oddech wolniejszy. Ale oto zaczniesz ustami, nosem, uszami, a nieraz wprost ze skóry na szyi, na policzkach ciec wolno krew rzadka, czerwonoruda. Nogi zimne jak marmur, oczy ze szkła. Pot zimny, czarne womity, gangrena rąk i nóg — i wreszcie już upragniona śmierć. Ilu to ja tam kamratów wypatrzył w onych pochodach! Ile ja cierpień ich, zwierzeń, spowiedzi wziął na barki! Och, a tamten okręt...

Jednego razu zawinął z oceanu do przystani Cap-Français okręt pasażerski. Siedziałem ja wtedy na brzegu morskim, zabity na ciele i na duchu. Już to było po roku naszego wojowania na wyspie. Byłem zranion w nogę i kurowałem ją ta, zasypując ranę miałko tartym prochem strzelniczym, zalewając winem co najtęższym, a dla odmiany wodą morską. Kula murzyńska nadarła mi mięsa niemało, stłukła i roztrzepała kość. Spuchł kulas

Polak, Żołnierz, Historia,
Walka, Kolonializm

jak baran, więc pozwolili mi naczelnicy siedzieć i wylegiwać się u brzegu. A no siedziemy coś w dziesięciu czy we dwunastu towarzysza, wszystko kalek, i gwarzymy o naszej wyspie. A już my się na niej wyżej czuba nażyli. Co który powie zdarzenie, to jedno od drugiego lepsze, jakby je sam diabeł wymyślał. Duszy swojej to już żaden nie czuł czy nie miał... Każdemu wszystko jedno: śmierć — to śmierć, a żywot — to żywot. Darować komu życie czy mu je skrócić — jedna jedyna chwila. Ani ta przedtem zastanowienia, ani potem krzyny żalu.

Przygnały tedy fale pod brzeg okręt z daleka. Żagle na jego rejach rozpięte wisały trzema rzędami, jeden nad drugim. Czarne były, mokre, dziurawe jak lachmany na zbóju. Wietrzyk je czasem rozdał, i wtedy statek szedł kadysi w morze, to znowu środkowa połać żagłów zaczynała się flańtać i zwisać, a nawa do nas wracała, bezradna jak ten korek na fali. Podpłynął ta ku niej Murzynek portowy na swej pirodze z dębu korkowego, wdrapał się jak małpa po linach na pokład. Patrzymy: zrobił na nim krok, zrobił dwa — i jakże nie pójdzie w dół! Buch w łódkę i we wiosła! Tylko się migał. Wyskoczył na brzeg... Patrzymy: cały na popiół zbiełał ze strachu. Ślepie mu kołują, kołują, gęba się trzęsie, kolana tłuką jedno o drugie. Dopiero gdy my mu zagrozili, że kulą w łeb weźmie, jeśli nie będzie gadał a żywo, wybełkotał, co widział. Cała załoga, kapitan, sternik, wszyscy podróżni do ostatniego majtka, wszystko, co tchnie powietrzem, wymarłe na żółtą febrę, leży pokotem. Widzieli my go z dala, ów cmentarz chodzący po morzu, i śmieli my się z niego między sobą:

— Na taki ci to głupi koniec przyszło — mówili my — piękny okręcie!...

Fale były ciche i dobre, jak bywają nieraz rankiem w dzień jasny na jesieni. Przyplłyn je dopiero zaczął poganiać różaną gałązką, żeby tańczyły dokoła kamieni sterczących pod brzegiem, żeby z pluskiem leciały w kamienne ostoje. Każda nowa fala rzucała nam pod stopy swój niezapomniany dźwięk, w którym słycać głos znajomy, jakoby prędkiego wiatru w podlaskim lesie. Zaraz po niej grzmiała druga, za tamtą pędziła trzecia. Jeden głos wlewał się w drugi; przenikały się wzajem, obejmowały wół i dzwoniły nad naszymi głowami, jak daleko huczące dzwony w podlaskim kościele. Na tych błękitnych wełnach, na błękitnych albo powleczonych barwą żywego srebra, przyplłyn potępiony okręt tak blisko, że my weń oczyma zajrzeli. Szalupa zaczepiona biła go w bok, tłukła się i kłapała. Zwisającą banderę wiały kiedy niekiedy wydał... Kadłub okrętu szedł ku nam to prawym, to lewym bokiem, to kręcił się wkoło, przechylał, jak gdyby pragnął koniecznie pokazać nam swój pokład i taczające się po nim żółte, rozdęte trupy. Śmiali my się z niego i z nich... Minęło południe. Wzmógł się wiały. Aż się ów statek weźmie i wściecze ze złości! Wydał tego żagle, przechylił się na bok, zatoczył koło świszczące i poszedł w morski ocean. Widzieli my go, jak się stawał mały, coraz mniejszy, czerniał, znikał, jak się zawlókł siną mgłą i przepadł.

— Idź straszyć innych, głupcu — wołali my za nim. — Idź innym śmierzdiec swoimi trupami. Nam ta trupy nie dziwne...

Język ludzki tego opowiedzieć nie potrafi, co za bezrząd opanował wojsko francuskie. Trzecia ledwie część żołnierzy trzymała się na nogach. Każdy zniechęcony, drałas, w zniszczonym ubiorze, smętny, wypatrywał miejsca, w którym go śmierć dopadnie. Jeden tedy oddawał się najwścieklejszej rozpuście, swawoli i bezprawiom, jakich rozum nie obejmie, hulał, pił, rozbijał bagnetem, wydzierał majątek i cnotę, noce spędzał wśród kreolek, Murzynek, mulatek, a drugi gotował się na śmierć w postach i trawił noce krzyżem leżąc obok posłania. Szpitale pełne były chorych, zalegających pokotem na ziemi bez dozoru, pomocy i opatrzenia. Wszelka subordynacja ustała, porządki wojskowe zgoła znikły. Szeregowiec równy był wodzowi. Nikt ta już nie zajmował się myślą o wygrywaniu bitew, o sławie. Serca zlodowaciały, dusze się objawiły zbójcekie. Bagnet stał się ostatnim prawem. Każdy się tylko podle, haniebnie lękał albo jeszcze nikczemniej lajdaczył.

Była przecie jedna dusza, dusza bez trwogi... To Paulina Buonaparte, siostra Pierwszego Konsula a żona kapitana generalnego Leklerka. Nie straciła w owych czasach ani odrobiny fantazji. Przeniósłszy się z Cap-Français do miejskiego ustronia, wpośród nieustających uctw, zabaw, tańców, muzyki starała się zapomnieć o tym, co się rozgrywało dokoła. Był czas, kiedy my trzymali straż przy tej siedzibie. W lekkim i przewiewnym pałacu między palmami huczna muzyka, śpiew. Wino lało się brodem. Często wprost

z bału, z bezcennych kobierców podjęli my trupa tancerza, wynieśli za ogrody pałacu i zakopali w ziemię. Ale takie sprawy nie przerywały tańca. Mówiło się pięknym paniom i wesołemu gronu oficerów, że ten a ten poszedł spocząć na chwilę pod cieniem palm i magnolii.

Och, wyspo, wyspo!

Ziemiem zdalaś nam się rajem, gdy my z dala ujrzeli twą piękną górę Cibao, okrytą piniami i woniejącą jodłą. Śliczne twe rzeki wypływały stamtąd — Neira, Artibonit, Juna — o wodach przezroczystych jak drążony kryształ. Wilgotne ciepło biło na nas z niskich sawanów, z gęstwin lasów palmowych... Ona dzika, niewidziana obfitość ziół, co pokrywała wilgotne brzegi, poszarpane od fal morza. Oczy nie mogły się nacieszyć widokiem różowobarwnych ptaków, flamingów, jakby kwiatów latających, co uganiając się za rybami rozweselały płaszczyzny zatok. Ledwie my stanęli nogą na tym lądzie, oczu my oderwać nie mogli od palm wachlarzowatych i trzciniastych, co tworzą szemrające gaje i puszcze, od paproci wysokich jako nasze sosny i świerki. Szli my do pierwszego miasta szerokimi ulicami, które były wysadzone drzewami pomarańcz, cytryn i brezylią. Gdzieś okiem rzucił, widziałeś z radością figi, pola trzciny cukrowej, drzewa kakaorodne, tytuń, ryż, proso, kukurydzą...

Ale wprędce przyjdzie straszne ocknienie. Owe nadmorskie sawany są tak nisko położone, że się nie dźwigają ponad mielizny zatok. Porasta je drzewo manyles, podobne do blekociny. Te to smugowia mokną w porze deszczów, które się leją głównie w porze naszych godów zimowych. Kraby znowu, jaszczurki a gady zdychają i gniją zalane w swych karpach i dziurach od wylewu rzek. Takim tedy porządkiem wstaje zimową porą ponad morzem jedno bezgraniczne bajoro, pełne oknisk niezgruntowanych, duchowina, skąd wywała się ziew zgniły z zapachem smoły nie-smoły... Komar, zwany moskitem, tnie tak, że na miejscu ukąszonym zostaje krosta i bąbel jak od sparzenia ukropem. A dopiero gdy z wiosną pocnie ogniste słońce przepalać powietrze na wskroś! Nastaje taki par, że koniec świata. Rzuca się na człowieka kleszcz zaskórny, zwany *szik*, składa pod paznokciami torebkę z zarodkiem, a te we dwadzieścia cztery godziny urastają w gruczoł tyli jak laskowy orzech. Dopiero to *sklamantes!* Ból okropny, a po nim częsta gangrena i śmierć. Mrówki skrzydlate łążą po ścianach, po stołach i tną człowieka. Żebyś umierał ze strudzenia po całodziennym marszu, skoro ci się do łóżka dostaną, wstawaj, bratulu, i umykaj w pole! Potem nauczyli my się radzić sobie z nimi, ale w pierwszych początkach, cudeńki, co my cierpieli. Potem nie kładli my się spać inaczej, tylko w szalasach, gdzie mahoniowa deska zastępowała stół, łóżko było z surowej skóry bawołu, zawieszona na słupach, a przez całą noc dla odpędzenia komarów tliły się pniaki spróchniałe.

Och! noce, noce!

Nieraz już dawno wiatер począł wiać od lądu, noc późna, a ty, człowieku, usnąć nie możesz. Drzemiesz niby, a przez sen słyszysz, że żaby rechoczą jakoby u nas w parną a krótką lipcową noc... Konik polny poskrzypuje.

Przelatywały straszne burze, których słowo ludzkie nie wypowie. Wtedy w lasach, powiązanych lianami, wyrzywało dukty na parę wiorst, las walił się pokotem jak żyto po ulewie. Zwierz uciekał jak oszalały, a całe litwy ptactwa wicher straszliwy gnał w ocean i ciskał w wodę. Człowiek, nawykły do jagłów a do żelaznej kaszy, miał ci teraz, ile chciał pomarańczów, ananasów, moreli, cynamonowych jabłek, granatów. Mogłeś rabować w bród po plantacjach banany, pistacje żółto-różowe... Ale nasz żołnierz i tego nie czynił. Jak my pierwszego dnia po wylądowaniu dostali placki z manioku, zwane *kasaw*, tak my tym żyli ciągle, aż do ostatka, bo nam chleb swojski, sitny przypominało.

Ile to walk, ile pochodów, utarczek, śmiertelnych bojów! Od pierwszej do ostatniej chwili...

Pierwszy batalion pod dowództwem Murzyna, generała Klerwo, przyłączony do półbrygad murzyńskich, już w osiem godzin po wylądowaniu ruszył do boju. Wnet przeciw ów murzyński generał zdradził naszych i ze wszystkim czarnym wojskiem swoim przeszedł na stronę powstańców. Polacy pod kapitanem Wodzyńskim zatarasowali się w kościele i mężny dawali odpór, a później ze stratą stukilkudziesięciu żołnierzy wymknęli się z pułapki i uszli do fortecy pod Cap-Français. Dzięki tylko ramieniu polskiemu to miasto ocalone zostało od napaści i zagłady. Ale ten pierwszy batalion, walcząc tam właśnie pod

Zwierzęta, Owad

Żołnierz, Polak, Historia,
Walka, Kolonializm

Cap-Français, uległ zarazie. Z tysiąca ludzi, którzy weszli do miasta, w przeciągu jednego miesiąca zostało osiemdziesięciu kilku.

Drugi batalion pod wodzą starszego Bolesty, gdzie i ja służył, wyruszył pod rozkazy Dessalina, generała murzyńskiego, w kierunku rzeki Exter. Przeprawili my się przez rzekę Artibonit w czółnach pirogowych z jednego kłosa mahoni i przyszli my do miejsca St. Marc. W kilka dni później Dessalin z całą dywizją Murzynów przeszedł w nocy na stronę powstańców, którzy stali naprzeciwko nas pod komendą Krzysztofa i Pawła Luwertur. Ech, bieda, bieda!... Jeden batalion tych Murzynów, czterystu chłopów jak heban, nie zdążył udać się w pochód za Dessalinem. Ledwie na doświtku dnia spostrzeżona została zdrada tamtego. Jeden jedyny nasz polski batalion Bolesty nie był w stanie utrzymać w karbach i zmusić do boju z rodakami kilkuset tęgich a uzbrojonych Murzynów. Co z nimi robić? Puścić na wolność, to powiększą armię wroga, wlec ze sobą, to zdradzą w najgorszej chwili. Generał Fressinet, nasz nowy dowódca, Francuz rodowity, rozkazał czarnym wystąpić do apelu, jak co dnia. Zwyczaj wojskowy każe stawać do apelu bez broni. Skoro na plac wyszli, nasz batalion z rozkazu Bolesty otoczył ich ze czterech stron. Generał Fressinet wyszedł. Dał znak. Murzyni nie spodziewali się nawet. Chwycili my za broń i wykłuli my bagnietami bezbronnymi, wszystkich czterystu, co do nogi. Nie upłynęło pół godziny, już ani jeden nie zapał.

— Milcz! — wrzasnął Trepka zataczając się na ścianę. — Milcz, nie mów do mnie!...

Żołnierz patrzył na niego chłodnym, obojętnym okiem. Na chwilę zamilkł.

— Po toście tam popłynęli... — jęczał waląc w stół pięściami.

— Wojna jest wojna — rzekł Ojrzyński. — Bóg nasz sędzia, nie waszmość. W parę tygodni czasu z naszego batalionu, który tysiąc miał ludzi, zostało nas stu kilkunastu. Żółta febra... Och, złe to czasy! Tam my w gorącej ziemi złożyli starszego Bolestę, kapitanów Osękowskiego i Rębowskiego... Złe to czasy!

Trzeci batalion 113 półbrygady wylądował był w Port-au-Prince. W ciągłych marszach, utarczkach, walkach, znojach, gdy dzień i noc trza było z wrogiem brać się za orzydło, z chorób samych utracił sześciuset ludzi. Tak to, panowie bracia: z 3700 chłopów jak dzwona bukowe, którzy wysiedli na ląd w San-Domingo, zostało nas żywych trzystu, a oficerów naszych kilkunastu.

Po śmierci Leklerka przyszedł nad nami przewodzić Roszambò. Ten powziął myśl — psy rozjuszone, ćwiczone głodem i chłostą, puszczać na Murzynów. Wtedy już druga nasza legia, czyli 114 półbrygada, wsiadłszy na statki w Genui przyplłynęła do Antylów. Pamiętam, jak zawijały z oceanu do zatoki wolno idące okręty, *le Fougueux, Héros, la Vertu, la Serpente, l'Argonaute* i inne. Stała nas garsteczka na brzegu, żeby przybywającym oddać honory i przywitać ich w progu wyspy. Ujrzawszy nas zadrżeli. Cóż dopiero, gdy posłyszeli z ust kapitana Przebendowskiego, który był osobistym adiutantem generała Roszambò, że przed nimi stoi połowa pierwszej legii...

Wkrótce nowi przybysze wyruszyli przeciwko Murzynom. Rozdzieliły się nasze drogi. Wnet usłyszeli my o śmierci porucznika Weigla i dzielnego adiutanta — majora Królikiewicza w bitwie u reduct Carvahanac... W tym to czasie ja sam przebyłem żółtą febrę, ałem się z niej wylizał. Leżałem w barłogu długi czas między życiem a śmiercią. Nie wiem, co się działo z braćmi na przeklętym lądzie. Dusza moja szczerstwiała wtedy i uczynił się z niej jakoby płytki brzeszczot, co krwią ocieka. Udało mi się wreszcie dostać z kilku towarzyszami zwolnienie i wrócić do Europy.

Wsiadli my na fregatę idącą do Brestu i dopiero w morzach człowiek westchnął. Szczęśliwie przybyłem do Francji. Wyznaczono nam na mieszkanie Châlons-sur-Marne, dano pół żołdu. Ale skoro człowiek przyszedł do siebie, natura pociągnęła w szeregi.

Obwieścili nową kampanię. Wciągnęli my się w kilku do szeregów francuskich — i znowu marsz-marsz! Zabiło serce, boć my szli wprost na Wiedeń. I weszli my w otwarte jego bramy. Austerlitz! Oto ja ujrzał te czeskie i morawskie wzgórza, com je jako piechur austriacki przemierzył. W dali, w dali siniały nasze wysokie góry. Ale nie sądzono mi było wstąpić na swoją ziemię. U samych jej drzwi musiałem przykłąknąć i czekać: strzaskalo mi nogę, urzneli...

— Sprawiedliwie mówisz... — rzekł twardo Trepka. — Niegodne były wasze nogi, żeby na ziemię tę wstąpiły. Bóg pewnie karze za takie czyny jak wasze na wyspie.

— Zemsta jest moja, mówi Pan... — głucho odparł żołnierz.

— Na skinienie uzurpatora, wskutek intrygi jego współzalbierców deptać wolne ludy, dusić plemiona...

— Zemsta jest moją, mówi Pan. Nic waszmość nie wyrokuj! Spójrzaj no, co się stało... Dwanaście lat my przelewali krew w zawrociach świata. Bracia moi co do jednego prawie wwalili się w mogiły z głuchą rozpaczą. A teraz... Rakuskie mocarstwo roztrącone jak kupa zgonin. Dodał ramienia pod Jeną! pod Auerstädt — i pruskie państwo roztrącone! Uzurpator! Ten sam uzurpator jest panem Berlina i panem Wiednia. Nie wiesz waszmość owo zgoła, co mówisz... Niech żyje Cesarz! Po stokroć! Po tysiąckroć! Chwała mu wieczna! A teraz, słyszysz waszmość, dopadła mię tu wieść w jednym miasteczku: idzie w Poznańskie, w Mazowsze... Do Warszawy! Przez żywy Bóg tak będzie! Armie przemierzają równiny moje, gdzie rządził Prusak. Obok nich wstają ze snu powiaty, miasta, wsie. I teraz dopiero pójdą w bary! Niemca tam już jednego człowieka nie masz! Ja tylko jeden jedyny, com obszedł świat czekając na tę chwilę, nie pójdę z nimi. Ale nim piach mi oczy zasypie — dowiem się reszty. Niech żyje Cesarz!

Rzekłszy te słowa żołnierz wsunął głowę w ramiona i cały się zgarbił, jak gdyby w sobie samym ukryć chciał resztę myśli. Już ranny świt przeciekać zaczął przez szpary okiennic. Woskowe świece dawno pogasły. Trepka pchnął okno jedno i drugie. Mokry, rezedą pachnący chłód ciemnego rana jesieni buchnął do dusznego pokoju.

Młody Cedro ukazał się w oświetleniu poranka jak inny człowiek. Stał na tym samym miejscu z rękoma splecionymi na poręczu krzesła. Twarz jego była blada i szczególnie wydłużona. Włosy były podniesione jak od wichru. Spod nawisłych powiek surowe, zamysłone źrenice nie schodziły z twarzy żołnierza.

Z nagłą westchnął i wstrząsnął się gwałtownie. Zimny uśmiech przeleciał po jego twarzy.

— Rafał! — zawołał głosem gromkim, szukając towarzysza oczyma.

Tamten siedział na niskim stołeczku, z głową bezwładnie leżącą na dłoniach. Podniósł leniwie i niedbale czoło. Rzekł z wyrazem szczególnej wzgardy:

— Wiem, wiem...

Obadwaj uśmiechnęli się do siebie czy do jakiejś myśli nowej, nieznaney.

— Bodaj to wszyscy diabli! — zgrzytnął Trepka wychodząc z izby i z trzaskiem rzucając drzwi za sobą.

STRZEMIENNE

Rzeka Pilica, na którą w dniu 28 listopada 1806 roku spadł niespodziewany zaszczyt stanowienia granicy między Królestwem Galicji a sześcioma departamentami popruskimi, była tak uważnie i pieczołowicie przez *Gränzregimenty* strzeżona, że o przeprawie nawet mowy być nie mogło. Rozstawione wojska, nie przepuszczając nikogo zgoła, nawet poczty listowej, strzelały bezwarunkowo do każdego, kto się do rzeki zbliżał. Kara główna, to jest śmierć przez powieszenie, naznaczona przez rządy Galicjów na śmiałka, który by się ośmielił przekradać „do Polaków”, paraliżowała wykonanie zamiaru, dawno powziętego przez Cedrę i Rafała. Wielokrotnie Szczepan Trepka wymyślał się bryczką to tu, to tam, upatrując dyplomatycznie znośnego miejsca przeprawy. Wraciał przemarzły, zmoknięty, głodny i zły, a kłął na czym świat stoi. Trzy tygodnie czasu zeszyły na przygotowaniach i przeszpiegach. Nareszcie w połowie grudnia nadeszła sekretna wiadomość, że granica po Nadwiślu od strony Śląska mniej jest strzeżona, a przynajmniej, że kordon tamtejszy nie jest tak gęsty jak nad Pilicą. Postanowiono tedy korzystać ze sposobności i nie tracić ani chwili czasu. Dla niepoznaki obadwaj awanturnicy postanowili wyruszyć niby to na polowanie, konno i z psiarnią. Spod Tarnowa dopiero mieli wsiąść w dylizans jako młodzieńcy lekkomyślni, zdążający na karnawał do Krakowa. Trepka zostawał w domu. Był już, jak mówił, za stary do tego rodzaju wypraw i coś tam jeszcze na swoje usprawiedliwienie przyłączał bardzo uczonego, o czym młodzi jego przyjaciele słyszeć nie chcieli.

Co ostatecznie uradzono, zaraz weszło w życie. Osiodłane w nocy konie stały u żłobów. Strzelec Walek ze sforą chartów wyjechał poprzedniego dnia do znajomego myśliwca pod Tarnów. Wstało wreszcie owo do dnia zimne, wietrzne...

Deszcz ze śniegiem, chamerami przelatujący, powlekał grudę na drogach łańcuchem oknisk i kałuż, śliskich jak lód. Światło nie było w stanie wydrzeć się z powrozów nocy, choć dawno już był poranek. Zdawało się, że dzień nie nadejdzie... Ogień dymnie

i z oporem płaoną w czeluści pokojowego komina. Obadwaj spiskowi krzątali się z pośpiechem po izbach starego dworu, czyniąc ostatnie przygotowania. Byli ubrani w grube buty, w kurtki myśliwskie. Harapy mieli w ręku, kordelasy u pasa. W zanadrzu odzieży każdy z nich pieścił ukrytą krótką broń.

Trepka był zły, rozjątrzony, dokuczliwy. Mówił, że jest niezdrów, i o byle co wściekał się na służbę. Siedział w rogu sofy i co chwila zrywał się na równe nogi jakby z zamiarem ogłoszenia wielkiej tajemnicy. Kończyło się przecież na wybuchu przekleństw, w których mieszały się w chaos wyrazy niesalonowe polskie, francuskie, węgierskie, a może nawet i tureckie.

— W każdym razie — pomrukiwał — kiedy otrzymacie krótki a węzłowaty rozkaz wyrznięcia co do nogi klanu jakich Kafrów czy Botokudów w domniemanym interesie skolataney... hm, hm, miejcie również niejaką klemencją na oku. Po prostu przez zaskórne wyrachowanie. Zawiążcie sobie węzłki na końcach wąsów, żeby nie zapomnieć o tej przestrodze. Dobrze jest być tyranem względem sąsiada w swoim czy swoich interesie, ale przezornie jest zostawić sobie choć skromną furteczkę na wypadek, czego Boże broń, sądu historii. *Magistra vitae, uważasz, Olbromski.*

— Każ no dawać śniadanie... — przerwał Cedro.

— Dobrze jest wydrzeć język nieprzyjacielowi w sprawie przyjaciela Napoleona, który idzie na Berlin, ale darować kiedy niekiedy życie również nie zawadzi. Wszystkich pruć — stanowczo nie radzę. Niechże choć na zarybek zostanie. A nuż między ulaskawionymi trafi się Klopstock albo i zgoła Gutenberg?

Ostatni raz wniesiono do jadalnej komnaty winną polewkę i przyjaciele zasiedli do wspólnego stołu. Trepka odsunął kubek, poszedł do swej nory i wyniósł stamtąd niewielką, starą butelkę. Kazał ją służącemu otworzyć i nalał trzy kieliszki. Podniósł swój w górę i usiłował wygłosić jakiś toast czy wypić czyjeś zdrowie. Długo w ustach miamał najrozmaitsze wyrazy, ale poza owe węgierskie i francuskie kłatwy nie wyszedł. Jego febra udzielała się Krzysztofowi. Padli sobie w ramiona i długo ściskali się w milczeniu, nim ów toast spełnili.

— Nekanda! — wołał Cedro.

— Czekaj! Oto... na starą naszą w dziejach świata rację bytu!... Do pioruna, głupio mówię... Żebyście, do milion set nędz! nowej hańby nie dodali...

— Słuchaj, zaklinam cię! — wołał swoje Krzysztof. — Skoro tylko wyjedziemy, siadaj na bryczkę i leć do Olszyny zawiadomić ojca.

— Dobrze, dobrze...

— Zrobisz to dla mnie. Chodzi o to, żeby go przebłagać, wystawić całą istotę sprawy. Powiedz mu to, słyszysz? powiedz mu to, żem wyjeżdżając wiedział, jaką spełniam względem niego nikczemność.

— Powiem mu, powiem, do stu tysięcy...

— Szczepanie, chyba rozumiesz, jaką misję wkładam na ciebie? Wiem, że nie zgadzasz się z ojcem, że nie możecie ze sobą przestawać, ale w tej chwili, gdy ja sekretnie uchodzę...

— I boję się swoją drogą papy... Nie ucz mię pan hrabia z łaski swojej, o czym powinienem pamiętać! W tej chwili!... W każdej chwili mego życia wiem, co powinienem robić. Pojadę do Olszyny i uniewinnię cię. Powiedziałem, że pojadę. Mam zdolności dyplomatyczne, więc nie będziesz wydziedziczony ani pozbawion dziedzicznego tytułu.

— Czyż i w tej chwili nie możesz mu przebaczyć małych słabostek?

— Czy i ja mogę albo nie — przebaczać słabostki? to już chyba ja najlepiej!... Mój Rafale, bądź sędzią, czy ja w ogóle...

— Każ nam, stary, konie podawać — szepnął obojętnie trzeci — widzę bowiem, że zaczynasz się alterować.

— Wściekleś się! Niech słońce wszędzie! Będziesz zęby po ciemku zbijal i konia jeszcze hrabiemu skałeczysz. Niech się rozwidni.

— Nie marudź!

— Chłopak je śniadanie. Dajcież ludziom zjeść, do stu piorunów! Że sami się natkacie i opijecie grzanym winem, to nie racja, żeby ludzie o suchej gębie przemarzali dla waszych wybryków!

— Lepiej, żeby nas wyjeżdżających jak najmniej oczu widziało.

— Nie róbcie no tylko wielkich rzeczy z tych spraw żakowskich! Wiem, że wróćcie z drogi! Na trzecim popasie zajęczy strach was obleci, i za uzdy przyprowadzicie te same wierzchowce pod ganek. Tyle że dedy zgonicie.

— Proszę cię, Trepka...

— Wielkie mecyje... Mojeże wojaki!

— Niech podają! — mruknął Cedro.

Przywołany chłopiec pobiegł ku stajniom i za niewielką chwilę dało się słyszeć miarowe po grudzie stąpanie ośmiu kopyt. Trzej przyjaciele w milczeniu podnieśli kielichy, znowu napełnione starym węgryzmem. Spojrzenia ich skrzyżowały się jak szpady przysięgających. Nakryli głowy futrzanymi czapkami, wybiegli i skoczyli na siodła. Trepka z odkrytą głową szedł za nimi jakiś czas przez podwórze, ale konie skoczyły żywo, pomknęły i znikły za stodołami.

Dzień był ohydny. Dęła śnieżycą, to znowu sypały krupy, raptownie przechodzące w zimny deszcz. Trepka chwilę przystanął i słuchał, jak to wiatr świszczę za każdym węglem domu, jak się z jękiem wałęsa pod drzewami ogrodu, jak leci oślizgłymi polami i gnie zeschnięte badyle.

Usłyszał w jego gwizdzie polotnym coś jakby dźwięk ludzkiego głosu, jakby słowo na pół wyrzeczone, które twarzą siłą na wieki urwała. Głos ten przebódl mu serce. Oczy zmrużyły się, żeby nie widzieć pustki roztoczonej dokoła. Uczuł w sobie starość i opuszczenie. Dawna miłość, która tyle już sercu zgotowała zawodów, owa miłość-krzywda, znowu dźwignęła się w piersiach, jako ów feniks z popiołów. Nowe zażęgła ognisko zgryzoty.

— Jak wtedy, jak wtedy... — szeptał, dużymi krokami wracając do domu. Usta jego drgnęły i słowa bez związku, własne, prawie niedorzeczne słowa-symbole, świadki dawnych udręczeń i starych rozmyślań, słowa-westchnienia porwał mu z warg lotny wichur:

— Plemię moje, plemię... Najbiedniejsze moje...

Tymczasem dwaj młodzi ostrym klusem przebywali bezludną drogę, która prowadziła do szerokiego traktu. W dali czerniał las, a pod nim wioska. Ogieniaszki błyskały już tu i tam w małych, przyziemnych oknach grubo ogaconych chałup. Na prawo i na lewo szły w dal zagony, obleczone w czarne, zgniłe ścierniska. W bruzdach tuliły się smugi wody drżąc i marszcząc się z zimna. W pewnym miejscu oko Krzysztofa padło na kamionkę wśród miedzy, okrytą szkieletami uwiędłych pokrzyw. Ostatni, mokry, czarny liść jak lachman płątał się dokoła łodygi na falach krętego wiatru.

— Żegnaj i ty... — wyszeptały usta.

W głębiach ciemnego powietrza stała samotna gruszka polna z krzywymi a kolczastymi gałęziami. Pamiętał ją z najwcześniejszego dzieciństwa; widział z okna swego pokoiku, gdy jeszcze był małym Krzysiem. Wspomnił mu się jakiś dzień odległy, kiedy zbudzone ze snu jego oczy, jeszcze pełne łez po dziecięcej, sennej boleści, powitały widok jej daleki jako znak życia i pozdrowienie szczęśliwego bytu. Teraz krzywe pręty zadrgały, nagie gałęzie poczęły łkać, i głuche, ciemne szlochanie starej gruszy rozległo się wśród pola.

Zgłuszył je śmiały i potężny tętent konia pędzącego po śliskiej grudzie. Przybyli do miejsca, gdzie się drogi rozstają idąc w cztery strony świata. Stał na rozdrożu spróchniały słup, niegdyś pomalowany ciemną farbą. Pod jego szczytem widniał obrazek na blasze, przybity czterema gwoździami. Patrzyły z niego oczy miłościwe, zamazane jakoby łzami, wypłakane i skostniałe od żalu. Patrzyły w ciemną jaskinię nocy, uchodzącej za bory, lasy, w pustkę ugorów, w żal sennych dróg. Krzysztof ściągnął cugłami konia i osadził go w miejscu. Zwrócił go łbem do słupa. Zdjął czapkę i wznosił oczy na święty obrazek. Westchnął... Nie z głębi cielesnego serca, lecz z dna duszy wypłynęła krótka modlitwa. Nie za siebie, nie o zachowanie życia, nie za ojca, nie za siostrę i nie za duszę matki, lecz za one niskie i mokre zagony, za nieobeszły, spracowany kraj...

Wnet lecieli polem, wicher mając pełne uszy i pełne głowy. Minęli w skok drogę prowadzącą do Olszyny. Z dala na uboczu został rodzinny dom. Krzysztof raz tylko rzucił w jego stronę ukośne spojrzenie. Wśród mglicy nadrannej i przelatujących planet mętnie czerniały tyły stodoł z murowanymi słupami, dachy ich szeroko rozsiadłe, a nad nimi wielkie ogołocone drzewa, których szczyty chyliły się za wiatrem. Z głębin ogrodu

wznosiły się dwa białe kominy dworu, a z nich dym już się wymykał i rozwiewał między chmurami. Krzysztof stanął w strzemionach, poprawił się na siodle i ściągnął konia harapem. Mieli tylko jeszcze przebyć las brzozowy, żeby wyjechać na główny gościniec, zbliżali się właśnie do skraju...

Wtem Rafał zdarł konia z okrzykiem przerażenia.

Spomiędzy gęstych drzew wyszedł stary Cedro i brnął środkiem błotnego szlaku wprost na jeźdźców. Policzki jego były zapadłe, oczy wwały się w oczodoły, nieuczernione włosy siwymi kosmykami padały spod kapelusza. Ubiór był naprędce, krzywo włożony. Idąc nieprzerwanie starzec przywłókł się do szyi końskiej, do strzemienia, w którym była noga syna. Ujrzał go Krzysztof. Ręka wydelikaccona, biała, prześliczna, zgrzybiała ręka zaczęła ślizgać się bezsilnie po ubłoconym puślisku, po zachlastanej cholewie buta. Głowa z wysiłkiem dźwignęła się w górę i oczy zalane łzami, oślepiłe z rozpacz, szukały twarzy dziecka. Usta, te usta zawsze uśmiechnięte, usta nigdy nieskażone gminną boleścią, teraz pełne były łkania, szlochu i bezzębego bełkotu:

— Krzysiu, Krzysiu...

Ramiona wzdrygały się, a ręce trzęsły jak od przypalania białym żelazem.

— Krzysiu, Krzysiu...

Stopy plątały się bezładnie, następując jedna na drugą. Widać było, że nie ustoi, że jak badył złamany od wiatru padnie za chwilę na ziemię. A ręce bezwiednymi ruchami usiłowały ściągnąć syna na drogę, czepiały się jego rękawów, kieszeni...

— Każę zawołać... parobków... zwiążę cię... zamknę cię... — miały usta.

Krzysztof puścił wodze wolnym, obłąkanym ruchem. Śmiertelna błądź okryła jego twarz.

Oczy miał półzawarte, usta zacięte. Schylił się pomału i ujął ręce dziada, jakby go obezwładniał, jakby te ręce bolesne i cudne chciał związać, skrępować na zawsze. Podniósł je obie i z jękiem przycisnął do piersi. Głowy ich zetknęły się, oddechy zmieszały i bezsilne ciała ciągnęły ku sobie niewysłowiona potęgą.

Zdało się Rafałowi, że ta chwila nigdy się nie skończy. Był pewien, że już wszystko przepadło.

Ale z nagła Krzysztof się ocknął i dźwignął. Oczy mu się rozwarły szeroko i straszliwy wyraz mocy z twarzy uczynił jak gdyby maskę żelazną. Twardym ruchem odsunął rozwarte ramiona ojcowskie. Westchnął. Zdzielił konia straszliwym ciosem harapa. Oba rumaki stanęły dęba, skoczyły z miejsca i runęły naprzód. Krzysztof swojemu nie przestawał zadawać ciosów. Lecieli z głuchym, ciężkim tętentem, na wyścigi z wichrem, schyleni na siodłach. Chwyтали zimną zawieję łkającymi piersiami. Pędzili coraz szybciej, szybciej, szybciej... Zanurzali się we mgłę oddalenia, w bezbrzeżny tuman, w świszczące wiatry.

STARA CIOTKA

W mroźny, grudniowy dzień, około południa, przybyli do Krakowa. Tęgie konie cugowe zaprzężone do kutej bryki krakowskiej były dobrze zgrzane a podróżni zniecierpliwieni. Pragnęli co tchu a niepostrzeżenie wjechać do miasta i stawić się u pewnego jegomości, kuzyna Trepki, który dalszymi losami ich miał kierować.

Podjeżdżając do Bramy Floriańskiej, z dala już spostrzegli znaczny ruch pospólstwa, a w pewnym miejscu za zburzonymi murami miejskimi — zbiegowisko.

Nagle Rafał ścisnął niepostrzeżenie przedramię przyjaciela i niemym ruchem głowy wskazał coś w oddali. Krzysztof wytrzeszczył oczy, ale dla krótkości wzroku nic osobliwego nie dojrzał. Wtedy Olbromski nachylił się ku niemu i z dziwnym uśmiechem rzucił mu do ucha słowo:

— Ciotunia...

Cedro raz jeszcze skierował oczy we wskazanym kierunku... Dostrzegł wreszcie dziwny znak... Wyniosły słup z długim poprzecznym ramieniem... Tłum dokoła tego miejsca krążył i wrzał a wrzał. Leciąco stamtąd echo gwaru — chargetu.

Wrzawa wznosiła się, wznosiła wciąż jako wówczas, gdy burza idzie z boru w bór. Chwila jeszcze i strzeli piorun. Straszliwy grom zwał się w miasto i zatrząsę posadą ziemi. Wtedy gwar cichnie, przygasa, upada. Słychać jeno głuche krążenie szeptu.

Ponieważ Brama Floriańska była zawałona wyjeżdżającymi i wjeżdżającymi wozami, więc przyjaciele zeskoczyli z bryki i poszli w kierunku widomego kształtu. Wmieszali

Polak, Patriota, Ojciec, Syn,
Kara, Pozycja społeczna,
Lud, Tłum

się w tłum i zaczęli nasłuchiwać. Tylko urywki rozmów dochodziły ich uszu, bo każdy człowiek, aczkolwiek gadał namiętnie, przecie usiłował, żeby go słyszał tylko ten, komu szeptał do ucha. Posłyszeli jednak nazwiska. Dwa powtarzały się ciągle: Wysiekiński, Baum, Wysiekiński, Baum... Co parę kroków przystając za grupami rozmawiających i coraz lepiej nastawiając uszu, zrozumieli wreszcie, że wkrótce mają być przyprowadzeni na to miejsce stracenia trzech młodzieńcy, skazani na śmierć za to, że się „do Polaków” przekraść usiłowali. Ujęci na granicy przez patrol, pod gołymi szablami ściągnięci do Krakowa, w parę godzin osądzeni, mieli oto zawisnąć na hakach świeżo wkręconych dla postrachu setek i tysięcy.

Mróz przeszedł się po kościach słuchających. Na usta Rafała wypelzał z wolna więzienny uśmiezek, który już dawno, dawno znikł był z nich, czasu wytchnienia w Stokłosach.

— Baum, Baum... Ciekawość, czyby to miał być syn konsyliarza?... — mówił moszterdziej, w ciepłe futro po same uszy zakutany.

— A jakbyś jegomość wiedział: właśnie syn konsyliarza... — odpowiedział ktoś z tłumy.

— E, to mu ta stary łaskę wyprosi!

— Łaskę u wojskowego sądu wyprosi — a jakże! Będzie ją widział.

— Wysiekiński to samo ma brata urzędnika, więc mógłby na protekcję rachować, ale gdzie! Trzy haki w „ciotkę” wkręcone!

— Powiedzcież mi, ludkowie, któż to na trzecim ma dyndać?

— Nie wiem tego, moja imość.

— Potrzebne to było chłystkom!

— Ba, ba! We łbach się pali, mościpanku! Chuć do wojaczki gnała...

— Młode a głupie.

— Naści wojaczkę, jeden z drugim!

— Prawdę jegomość mówisz. Mondur z galonami osłom się spodobał. Zachciało się *parle franse*. A tu dragon w te tropy i za połę! Teraz ci po podgarlu powróż zrobi *parle franse*.

— Żal serce ściska...

— Ale za to co nauczą, to nauczą...

— Inaczej nie ma sposobu, boby kuźden w derdy leciał za Pilicę, robić by się żadnemu nie chciało.

— Bo i prawda! Sam smyka mam pod wąsem. Aże po sercu żga, jak se pomyśleć. O, stoi, patrzy... Stój, patrzaj! Odechce ci się, jak poczujesz, jak powąchasz, czym takie chętki pachną!

— Powiadali, że szło toto między posterunki, jak ja z imością między stragany na Kleparzu.

— I co też w takim łbie usiądzie! Żeby też tego rozumu nie mieć!

— To ta młodość szelmowska, widzisz pani. Krew takiego kluje ciągiem: idź, idź...

Mierzi go, widzisz pani, miejsce...

— Jedzie, jedzie!

— Kto jedzie?

— Dragony jada! Konnica! Zielone dragony Loewensteina!

— Białe dragony za nimi!

— Heskje dragony!

— Karabinierzy za nimi!

— Białe Althany za nimi!

— Bębny wała...

— Słyszycie... Za umarłe!

— Co to?

— Dzwon!

— Dzwon, dzwon!

W ulicy Sławkowskiej rozległ się głuchy, głęboki łoskot bębnow i straszny urokiem melodii swojej pognął lud. Gwar coraz głośniejszy, coraz żywszy rozciekawionej tłuszczy, zdawało się, że go zagłuszy. Było coś niewymownego, coś żelazną obręczą ścisnącego serca słuchaczy w tym pokrzyku tłumów coraz bardziej natężonym, coraz

silniej podbechtanym i jak gdyby radosnym. Cedro i Olbromski, potrąceni i pociągnięci przez ciżbę, szli, a raczej płynęli w masie z oczyma utkwionymi w nagie, żółtawe drewno z poprzecznym ramieniem. W oddali, w mrocznych czeluściach ulic, za opustoszałymi placami, w zdławionej, piersi miasta, rozległ się samotny, spiżowy głos dzwonu.

Tłum wychynął z ulic i wwałił się na wały, rozpierzchnął po gruzach murów i okrył je sobą. Wolno sunęła konnica dzwoniąc podkawkami, uprzężą a bronią. Za nią piechota środkiem ulicy. Bębny melodyjnym łoskotem biły wciąż jakoby wzburzone serce tłumu. Zmienacka ponad zbitą masą głów ukazały się trzy postacie. Trzy blade widma. Ręce ich związane w tył, szyje obnażone... Śmiało weszli...

Motłoch zamilkł, wtulił dobrze głowę w ramiona, znieruchomiał i zastygł. Wówczas i bębny raptownie urwały. Cisza śmiertelna. Nie ustał tylko samotny dzwon.

Dał się słyszeć jakiś jeden głos, dochodzący z dala, jakoby dziecięce gwarzenie, głos dziwny i okrutny, śmieszny w tej wielkiej gromadzie. Długo brzmiał, zlewając się w szereg dźwięków niezrozumiałych... Ucichł.

Wtedy na pomoście szafotu ukazała się czwarta postać. Wichler zduszonego westchnienia przeleciał po tłumie. Zdławiony strach zatrzęsł ludzkim jeziorem od brzegu do brzegu.

Ów człowiek zbliżył się do skazańców i pierwszemu z brzegu rozwiązał ręce. Potem go ujął za ramię i sprowadził z pomostu.

Tłum westchnął. Szept najcichszy, na obraz szelestu liści w brzoźowym lesie przed burzą, leciał z ust do ust, z końca na koniec placu:

— Wysiekierski, Wysiekierski, Wysiekierski...

Oprawca wrócił z wolna po schodach. Słyszał było w śmiertelnej ciszy, jak świeżo zbite stopnie skrzypią pod jego mocnymi stopami. Drugiemu skazańcowi z kolei rozwiązał ręce i sprowadził go ze schodów.

Lud głośniejszy, radośniej zaszemrał:

— Baum, Baum...

Wszystkie głowy drgnęły i z ust do uszu leciała błogosławiona wieść:

— Chwała bądź Bogu!

— Pan z nami...

— Do wojska oddali!

— Na wieczny czas!

— W kamasze ich!

— Darowali życie.

— Darowali życie, darowali życie.

Kat po raz trzeci wszedł na rusztowanie i ze spokojem na wielkie dłonie kładł czerwone rękawiczki.

Trzeci skazaniec stał nieporuszony. Głowa jego była zadarta do góry. Duże włosy czarnym puklem spadały na szyję nagą. Białe miał czoło. Nieruchome oczy, jak dwie głębokie jamy, patrzyły w lud.

— Ten ci jest winowajca!... — szept się rozszerzył.

— Tamtych podmówił.

— Wywiódł ich z domostw rodzicielskich.

— Bronił się w polu.

— Milczał w sądzie.

— Winowajca!

Kat zbliżył się do niego łagodnymi krokami. Bardziej mu szyję obnażył. Zręcznym ruchem zarzucił stryczek.

Nagle wyprężył się powróż.

Nim się pospólstwo opatrzyć zdołało, nim zdążyło westchnąć i oko przetrzeć dłonią, już nieznajomy ów człowiek zawisł na haku. Nogi jego w kolanach zgięły się, pięty stuliły i leniwym ciągiem dźwigały ku górze. Oprawca łagodnym ruchem przytrzymał ciało i mocno je za ramiona szarpnął ku dołowi. Za czym zdarł szybko z dłoni rękawiczki i cisnął je na szafot.

JAZ

Dawni przyjaciele i powinowaci Szczepana Trepki ułatwili Cedrze oraz jego towarzyszowi możliwość uzyskania paszportu do Wiednia, dokąd obadwaj rzekomo śpieszyli na karnawał. Częste wyprawy Krzysztofa do stolicy naddunajskiej, zadokumentowane wizami na dawnych paszportach, nieposzlakowanie lojalne stanowisko ojca i inne postronne okoliczności ułatwiły zadanie. Nieco trudności było z paszportem Olbromskiego, ale i te przełamano, a właściwie przebyto sposobem podleżenia. Rafał nosił teraz inne nazwisko. Przyjaciele zaopatrzyli się w kostiumy podróżne z sukna ciemnozielonego, gdyż, jak wiedzieli, o takie sukno trudno w „kraju Polaków” za Wisłą i Pilicą. Najęli sanie do pierwszego popasu, który, według ułożonego misternie planu, miał wypaść nad Wisłą w majątku Jazie — i w wigilię wigilii ruszyli w drogę.

Osoby ułatwiające wybrały kilka punktów po nadrzeczu, którądy można było przemknąć się za granicę. Jedno z pierwszych miejsc w tej liście zajmował Jaz, majątek szambelana Ołowskiego. Dla obudwu spiskowców była to rzecz najobojętniejsza w świecie, którądy mają się przemycać, ale oto Rafał z ust pewnego modnisia, kuzyna Trepki, usłyszał, że żoną owego pana Ołowskiego jest księżniczka Gintułtówna, jedna z siostr księcia Jana Gintułta grudzińskiego. To go troszeczkę podnieciło. Od niechcienia, bez śladu, nawet bez chęci nacisku, skierował tak akcję, żeby do Jazu jechać naprzód i tej drogi przede wszystkim próbować. Było to dla niego obojętną rzeczą, którą z księżniczek mógłby przy tej sposobności zobaczyć, ale ciekawość, leniwy pociąg, żeby spojrzeć na dawno niewidzianą twarz... Obadwaj wyglądali przepysnie w swych, jakoby w Wiedniu najbardziej modnych, fraczkach i obcisłych ze sprzążkami ineksprymablach, którym tylko brakowało galonów i kantów, żeby mogły być przekształcone na artyleryjskie mundury.

Cenne to były mundury! W każdym z nich zaszyte były umiejętnie rulony dukatów. W zanadru mieli weneckie sztylety i małą palną broń na wypadek. Za to modne kapelusze i futra czyniły z nich pustych młokosów, pędzących hulaszczą w poszukiwaniu zabawy.

W wigilię Bożego Narodzenia, pod wieczór, stanęli w Jazie. Zatrzymali się w oberży przy trakcie. Piętrowy pałac a raczej piętrową kamienicę bez ozdób, niedawno wzniesioną, widać było wśród drzew na wzgórzu, w dość znacznej odległości od Wisły. Olbromski szczegółowo lustrował okolicę i naturę gruntu pod pozorem troskliwości o konie. Cedro, niby to zabierając się do noclegu w oberży, począł rozpytywać karczmarza jak przejezdny ze stron dalekich: kto mieszka w pałacu? jak się zowie? czy ma dzieci?... Chodziło o zatarcie wszelkich podejrzeń. Z tej rozmowy z oberżystą wyłoniła się smutna prawda, okazało się bowiem, że w ostatnich dniach przysłano do Jazu oddział dragonów austriackich z oficerem na czele dla jak najściślejszego patrolowania nad Wisłą. Żołnierze — prawil karczmarz — rozstawieni są we wsi nad samą rzeką, a nawet oficer ma swą kwaterę nie we dworze, lecz w chłopskiej chacie. Patrol styka się z patrolem wsi sąsiedniej. Pałą nocą ogniska na całej linii i czuwają co się nazywa. Jeżeli się kto zbliża do rzeki z tej czy z tamtej strony — kula w łeb, i skończona zabawa. Tym sposobem Wisła, odgraniczająca Śląsk, już zajęty przez Francuzów, od Galicji, była strzeżona nie na żarty. Cedro nie tracąc tęgiej miny, pysznej obojętności i werwy, jakby te wiadomości ani odrobinę go nie obchodziły, zaczął rozpytywać się o dziedziców majątku.

Powziął tedy wiadomość, że sam dziedzic bawi w Wiedniu, ale oczekiwany jest na Święta, że pani dziedziczka w drugie święto daje wielki bal, na który zjedzie wiele osób z okolicy, a nawet zaproszony jest oficer komenderujący oddziałem dragonerii. Przyjaciele porozumiewali się głośno w obecności służby i oberżysty, czyby nie warto przez uszanowanie dla tak wielkiego święta złożyć wizyty pani dziedzicze i prosić jej o gościnność przynajmniej na pierwszy dzień święta, skoro już podróż do Wiednia w takim czasie odbywać wypadło. Po długim namyśle i głośnej naradzie zdecydowali, że należy pójść niezwłocznie do pałacu. Udali się tam piechotą. Mrok już zapadał, gdy weszli w aleję parku.

Rafała ogarnął teraz pewien niepokój. Świat dawno zamarły, zdrętwiały, odtrącony stanowczo i z młodą siłą wśród mocowań ducha, teraz był tak blisko... Nie obeszloby go bardziej, jeśliby to była nawet sama księżniczka Elżbieta. Ale ujrzyć kogoś z tamtych przedziwnych czasów młodości znaczyło tyle, co ocknąć się w zimie i ujrzyć dokoła siebie

dzień wiosenny. Ciekawość wzmagała się bez przerwy... Po chwili przemknęła twoga granicząca z odrazą i, co najdziwniejsza, popychała naprzód. Raz pragnął dowiedzieć się tylko i cofnąć od niedorzecznych widm i wspomnień, to znowu miał zamiar podmówić Krzysztofa, żeby wcale nie wchodzić... A jednak, gdyby tak przyszło cofnąć się naprawdę, zraniłoby go to do głębi jak rozkosz wydartą.

Gdy szli z wolna pomiędzy rzędami nagich drzew, które w zimnym wietrze huczały jednostajnie, Rafał zapytał towarzysza głosem najobojętniejszym, jaki mógł wydobyć z siebie:

— Czy nie wiesz czasem, jak na imię owej pani Ołowskiej?

— Na imię? Nie wiem. Skądże mógłbym?... Nie znam wcale.

— Może to jej imieniny pojutrze?

— W święty Szczepan? Mocno wątpię, czy jaka dama jest imienniczką naszego, ach, Trepki.

— Prawda, że to Szczepana...

— Jesteś troszeczkę, o ile sobie przypominam, nastrojony... Czy cię, jak tamten przewidywał, strach nie zaczyna oblatywać z czterech stron świata? Może chcesz wrócić?

— Za żadne skarby na kuli ziemskiej... — rzekł Rafał przeciągając się leniwie.

— Ale czekajże, będę wiedział imię tej pani. Zawsze to potrzebne, może się przydać. Nawet powinniśmy to sobie obecnie wziąć za maksymę, że należy zwracać pilną uwagę na wszelkie, na najmniejsze drobiazgi.

— Weź sobie za maksymę, co chcesz, tylko naprzód powiedz, skąd... to imię...

— No tak, naturalnie... Mam przecie do niej bilecik, rekomendujący nas, od tego utrefionego kuzynka Trepki.

— Pokaż.

Cedro wydobył z sekretnego przedziału w pugilaresie małeńki karteluszek śniadego papieru, misternie złożony. Przy gasnącym świetle dnia usiłowali przeczytać adres. Obadwaj nachylili się nad tym pismem i Rafał pierwszy dojrzał: „Madame, Madame Elisabeth de Ołowska”...

Zimne mrowie przemknęło po jego kościach... Później wrócił pozorny spokój i pozorna wesołość. Podniósł oczy na okna pałacu, w których właśnie tu i tam światła błyskać poczęły. Główne wejście z portykiem, ku któremu się zbliżyli, było na głucho zamknięte. Stopnie balkonu omarznięte i zasypane świeżym śniegiem... Rafał szedł obojętnie, z uczuciem wesołej ciekawości, prawie z rozczarowaniem... Podał się już pewnej milę, mistycznej niejako myśli, że to stać się musiało, że inaczej w jego życiu być nie mogło. Musiał tu przybyć. Doświadczał nawet nikłego wrażenia, jakby na jego ramieniu coś spoczęło, nikiej zimna ręka... Sprawiło to w nim szybki i trwogę miłą szerzący rozruch. Tym uczuciem teraz oddychał.

Okrzykli róg pałacu szukając dostępu i trafili wreszcie na uczęszczane, ciepłe, boczne drzwi. Były zupełnie otwarte i wiodły do ciemnej sieni. Zajrzeli na prawo, zajrzeli na lewo do pokojów służebnych, aż wreszcie trafili na starego lokaja w codziennym stroju i zbudzili go z drzemki. Ten dowiedziawszy się, że przybyli z Krakowa i mają sprawę do pani dziedziczki, jął krzątać się, przeproszać, dreptać i zaprowadził ich nareszcie do pokojów. Znaleźli się w małym, doskonale ogrzanym saloniku, którego sprzęty ledwie było widać przy gasnącej już zorzy wieczornej. Gdzieś w mrocznym kącie, na szczycie niskiej szafki napoleońskiej, wesoło szedł stojący zegar, obdarzony głosem, który, zdawało się, służył do mierzenia długości trwania tylko uroczych, radosnych momentów życia. Służący zapalił kilka woskowych świec, wziął dwie karty wizytowe z wypisanymi nazwiskami przybyłych, a ozdobione cudnymi winietami, które sztychował na miedzi najmodniejszy w Krakowie artysta — i oddał im. Płomyki świec, zrazu przygasłe, rozszerzyły się z wolna i żółte ich światło nappełniło salon.

Rafałowi marzyło się, że jest jakby w Warszawie... Czeką na Helenę de With czy co... Za chwilę wejdzie, za chwilę się ukaże... Czyż to możliwe? Helena de With... Rozkosz czekania roztrącała ciosy przytomności i wtedy przez zaciśnięte zęby szeptał w głębi do siebie:

— Milcz, milcz... Ucisz się, ucisz...

Za oknami, których szyby powłóczył mróz kryształowymi drzewkami, głucho i jednostajnie huczały nagie konary drzew. Krzysztof siedział zadumany z głową wspartą na

ręce i oczyma zatopionymi w płomieniu świecy. W pewnej chwili, gdy oczekiwanie przeciągało się bardzo długo, rzekł podnosząc głowę:

— Cóż u licha! Nikt nie przychodzi...

Rafał drgnął cały, tak dalece głos przyjaciela był ciosem obcej istności w tym świecie, wskroś którego błąkała się jego dusza. Z niechcenia dotknął ręką albumu oprawionego w skórę, ze ślicznymi złoceniami wyciśniętymi na rogach i grzbiecie. Otworzył je i zaraz na pierwszych kartach zobaczył akwarelowe widoki Grudna. Przerzucił kilka kart i znalazł „swoją” aleję. Artysta usiłował pochwycić i zatrzymać na zimnej karcie ów żywy, zielony blask wpadający do głębi ciemnika, i oddać niewysłowione piękno jego melancholii... Ale pochwycił tylko same barwy, surowe kolory. Nędzne i bezsilne były jeno zamysły, chociaż niepospolitym był malarzem. Toteż w jednym tylko widzu wywołał uczucie rzeczywistości, wspomnienie jasne tego, co nigdy już nie miało powrócić, wezwanie przed oczy ducha jeszcze raz chwili młodej, która już umarła na wieki. Widzem tym był Olbromski. Zapomniał, gdzie jest. Oczy jego utonęły w karcie. Przebywał w kole zaczarowanym dni, kiedy to po śmierci brata sam jeden był na świecie, wypędzony z domu, kiedy wśród ludzi obcych mu zgoła i nowych dla niego od stóp do głów znajdował swoją własną drogę, torował dla duszy swej szeroki gościniec.

— Alejo... — szeptał teraz — alejo moja...

W głębi, w zamglonym oddaleniu rysunku, widać było wylot szpaleru. Tamtędy z czarodziejskiego świata wyszło się w świat rzeczywisty... — marzył z gorzkim uśmiechem na ustach. Coś do niego mówił Krzysztof. Nie mógł i nie chciał dosłyszeć jego słów. Pragnął wypatrzeć z akwareli, którą miał przed oczyma, wszystko, co w niej było za osłoną barw. Stał się jak człowiek zaszuchany w ulubioną melodię, która mu budzi i nęka duszę, która porusza i wskrzesza obumarłe serce. Ileż by za to dał, by posiadać na własność ten bezcenny wizerunek!

Krzysztof znalazł na stolyczku również coś dla siebie. Leżało tam kilka książek. Jedną z nich otworzył w tym miejscu, gdzie była założona haftowaną zakładką — i począł czytać, nosem, według swego zwyczaju, jeżdżąc po stronicach. Treść znaleziona tak go zajęła, że w poszukiwaniu lepszego światła wstał ze swego miejsca i nachylony do płomienia świecy, który profil jego dobrze uwydatniał, na amen oddał się lekturze. Kiedy niekiedy zwracał się odruchowo do Rafała, żeby mu zakomunikować te niezwykle myśli, które teraz opromieniały mu czoło niby blask samoistny, ale napływ nowych, tryskających, widać, z wierszów książki, w coraz go głębsze, piękniejsze i bardziej zupełne pogrążał zdumienie. Byli teraz oddzieleni od siebie niezmiernymi przestworami...

Tymczasem u portiery salonu rozszerzył się jedwabny szelest. Naciśnięta lekka stopą któraś z tafelek topolowej posadzki ostrożnie trzasnęła. Przyjaciele nie zwrócili na to uwagi. Szelest uchłł. Nastąpiła znowu ta sama cisza. Tylko mały, marmurowy zegar wesoło mierzył szczęśliwe czasy...

Wtem Krzysztof nie mógł wytrzymać i prawie krzyknął:

— Posłuchaj! posłuchaj! Jest to coś fenomenalnego... Przecie ja to tysiąc... co mówię!... sto tysięcy razy myślałem...

— Co, co myślałeś? Nie krzycz!

— To samo myślałem!

— Ale co mianowicie?

— To są moje własne myśli!... Rafał! Gdybym ci to mógł słowami wyrazić, jakie to szczęście i jaki dziwny ból znaleźć swe myśli potwierdzone i wykryte, wyciągnięte z mroku!

— Jakież to myśli takie znów fenomenalne?

— Oto tu nareszcie znajduję samego siebie! Wydawało mi się zawsze, że jestem niepełna rozumu, gdy marzył takie rzeczy, a on to samo głosił tak już dawno! Już to wszystko przemierzył niewymownym rozumem! Jakże to mówił Posłuchaj tylko... O, Rousseau, Rousseau!... Posłuchaj...

Podniósł na Rafała oczy i nagle spuścił książkę. Stropił się i w eleganckim ukłonie cofnął się o dwa kroki. Rafał spostrzegłszy jego pomieszenie i ruchy wstał z miejsca i obrócił się.

Stała przed nim księżniczka Elżbieta.

Nie, nie dawna księżniczka. Stała pani Ołowska, dwakroć, trzykroć, dziesięćkroć piękniejsza jako kobieta, ale nie dawna już księżniczka Elżbieta. Była to dwudziestosześcioletnia piękność, wspaniała i rozkwitła jak najcudniejszy kwiat przy końcu wiosny.

Rafał nie mógł się nadziwić, napatrzeć tej zmianie, owemu przedzierzgnięciu się jednej formy piękna w inną, jeszcze bardziej zachwycającą. Pani Ołowska ubrana była w najmniejszy szlafroczek jasnoceglastego koloru, niedosięgający kolan, i w białą, dość krótką suknię. Na odsłonionej szyi i ramionach miała szal zielony z suto haftowanymi brzegami. Inne już teraz było uczesanie jej włosów, których loki ocieniały twarz, a olbrzymi pukiel był związany w węzeł na tyle głowy.

Przez chwilę mierzyła przybyszów dość wyniosłym, choć filuternym spojrzeniem, nim odpowiedziała na ich ukłony. Wreszcie posunęła się uprzejmie ku Krzysztofowi oddając mu ukłon za ukłon. Rzekła:

— Rada jestem, że mogę powitać Waszeć Mościpanów...

Rafała przyjęła nieco odmiennie, ale inaczej niż w Grudnie.

Wspomniała w urwanym półsłówku, że miała już przyjemność spotykać go dawniej. Słuchając tego głosu i patrząc na tę postać Olbromski liczył chwile, które pozostały do odjazdu. Cieszył się, że już ich niewiele zostało. Niezwykły ciężar uciskał mu piersi. Spuścił oczy na ziemię i kiedy Krzysztof bawił gospodynię grzeczną rozmową, tonął w obrzydłych myślach. Gdy tak w ich tłumie błąkał się tam i sam, trafił na jedną, która mu się od razu stała pocieszycielką:

— Idę sobie do wojska — i kwita! Będę sobie tęgim żołnierzem. Co mi tam. Nie masz pana nad hułana, a nad lancę nie masz broni!

Podniósł oczy z dawnym, grudzieńskim zuchwalstwem i spotkał się ze spojrzeniem pani Ołowskiej.

I ono nie było już dawne. Długo, spokojnie i śmiało patrzyły w jego twarz te oczy prześliczne, te same, a jednak inne. Nie zmierzchły i nie zasłyły gęstym obłokiem od ognia duszy ani nie zasloniły się mgłami wstydu od tajemniczej ciżby uczuć. Teraz już nie! Patrzyły badawczo i napastniczo. Chwilami lśnienia dzikie i pełne grozy migotały w nich jak błyskawica w chmurze. Usta miały nieprzebrany zasób uśmiechów dla Cedry. Z warg spływały słowa łaskawe i dobroci pełne.

— Byłam uprzedzona — mówiła — o waćpanów zamiarach i wszystko składało się jak najlepiej, ale teraz zasłyły niespodziewane przeszkody... Jak to przykro... — ciągnęła z niechcenia, odczytując bilecik kuzyna Trepki. — Wojsko jest we wsi. Jest także w sąsiedniej. I to tyle ich, takie hordy... Żołnierz żołnierza widzi, niemal ręką dotyka. Ognie wciąż palą po nocach i krzyczą, że spać nie można.

— Tak, słyszeliśmy o tym przybyciu wojska idąc do pałacu... — rzekł Cedro z ukłonem.

— I nie odwodzi to waćpanów od ryzykownego przedsięwzięcia?

— Nie, ani odrobiny!

— Istotnie... to po rycersku. Szczerze podziwiam... ich męstwo...

Powiedziawszy te słowa zmierzyla Rafała drwiąco napastniczym spojrzeniem. Po chwili rzekła:

— Skoro tak, to musimy brnąć dalej...

— Pani szambelanowo...

— Słowo się rzekło, a raczej napisano. Ale uprzedzam, że teraz sprawa istotnie jest groźna. Na wypadek ujęcia zbiegów władze ani myślą żartować. Słyszałam od osób najwiarogodniejszych, że po prostu w sposób najordynarniejszy założą stryk na szyję i wieszają na szubienicy, a nawet w braku szubienicy na belce w pierwszej lepszej spotkanej stodole.

— Mieliliśmy możliwość widzieć już tę procedurę austriacką... — rzekł Krzysztof ze swym bezwiednym dygiem.

— Wieszanie na belce, w stodole?

— A nie, na szubienicy.

— Na domiar złego mój mąż nie wraca z Wiednia. Miał już być... Wprawdzie on na nic by się w tej sprawie nie przydał jako czynny pomocnik, gdyż innych jest pryncypiów, a Napoleona za cesarza dotychczas nie uznał... — dodała z uśmiechem ledwie-ledwie znacznej ironii. — No, ale w razie poważnego wypadku musiałby użyć jakiegoś szczegółu ze skarbnicy swych stosunków i wpływów, których ja...

— Pani szambelanowa raczy być z nami zupełnie otwartą... — mówił Cedro. — Gdyby nasza przeprawa miała dla niej pociągnąć jakiegokolwiek przykrości...

— O, nie, nie. Ja lubię zwalczać przeszkody i lubię tego rodzaju przykrości. Trzebaż choć raz, około Bożego Narodzenia, zażyć odrobiny emocji. Bez tego lekarstwa życie by w nas zastygło, krew by stanęła w biegu.

— Czyż w tych stronach tak trudno o emocje?

— Białogłowom trudno jest zawsze i nie tylko w tych stronach przeżywać niepokoje wstrząsające światem. Ja już dałam wszelkie wskazówki i polecenia plenipotentowi mego męża, który tę sprawę podjął się przeprowadzić. Plan jest, a przynajmniej był taki: w święty Szczepan odbędzie się w tym domu zjazd i zabawa taneczna. Waćpanowie, jako podróżni, raczycie zabawić tu przez święta, a w czasie balu będziecie tańczyli dużo i ochoczo. Ale w nocy na dany znak trzeba wyjść chyłkiem i bez chwili oporu, namysłu i zwłoki udać się za przewodnikiem, w nocy na łodzi przepłynąć Wisłę... Czy zgoda?

— O, pani... — rzekł Cedro unosząc się z krzesła.

— Jeszcze nic nie mówmy, gdyż jeszcze sprawa niezłatwiona. Wisła tu nie szeroka, ale jej nie przeskoczy tak łatwo.

— Dla nas to tak, jakbyśmy już byli na tamtym brzegu. Już się tedy pojutrze zacznie wojna! — rzekł nachylając się do Rafała ze swym entuzjastycznym, szczerym i dziecięcym prawie uśmiechem.

— I to waszmość, który, jak słyszałam, miałeś w Wiedniu takie aspekta i takie mogłeś rościć nadzieje, puszczasz się na śliskie pola zdradnej Bellony! Bez żalu i skruchy rzucasz jednego cesarza dla innego...

— Pani szambelanowo! ze zdumieniem słyszę o moich wiedeńskich sukcesach... Więcej w tym famy niż prawdy, a co do cesarza, to uwielbiam tylko jednego. Niech żyje Cesarz!

— Słyszałam o powodzeniach pańskich od męża, który znowu wie wszystko, co się w Wiedniu dzieje, wie, co tam pantofle skrzypią, co fraki szeleszczą, co mówią kłamki i zgrzyty drzwi. Czy to może towarzysz waćpana pociągnął go na pole chwały? — spytała po chwili.

— Prawdziwie nie wiem. Zdaje mi się, że obydwu nas tknęła jedna iskra. Za Pilicą cały kraj na koń siada!

— Tak... słyszałam. A waszmość, kiedy o siadanie na koń idzie, zawsze pierwszy? — rzekła piękna pani zwracając się do Rafała.

— Tak... — rzekł zagadnięty głosem twardym i nieswoim — zdaje się, że do konia byłem i jestem stworzony.

Znalazł głębokie zadowolenie w dźwięku tych wyrazów, w ich szorstkości. Jeszcze przez chwilę z upodobaniem zatapiał myśl w kontemplacji swej siły. Zdało mu się, że dusza w nim zwiększa się i rozrasta. Nie był już teraz chłopcem szlacheckim, na którego z ukosa patrzano. Hardo podnosił oczy i tyle tylko ustępował ze swej żołnierskiej już sztywności a buty, ile było niezbędnie dla zachowania form salonowych. Ani cienia dawnego lęku.

Wskutek niewytłumaczonej zbieżności nastrojów pani Ołowska jak gdyby odczuła stan jego duszy. Była prawie zwyciężona. W jej ruchach, sposobie mówienia, w pochyleniach głowy, kiedy zwracała się, ażeby słuchać, co będzie mówił, przebijało się coś jak uszanowanie czy sama dążność do naprawienia złego. Ale zarazem modłę jej sposobu bycia począł cechować niewymowny powab, coś pociągającego, naturalnego, pięknego, bez żadnej rachuby i wysiłku. Oczy miały wyraz większej słodyczy, choć w pierwszych momentach błyskał w nich piorun.

Rafał począł wpatrywać się w nie, ile się dało, ile było można. Ani się spostrzegł, kiedy uległ niebezpiecznej władzy tych oczu, pokornych prawie i onieśmiałonych. Coraz dłużej trwały te chwile, w których ciągu nie był w możności oderwać wzroku od łuków powiek ocienionych błękitnym cieniem prześlicznych rzęs, od wyrazu oczu, w który spłynęło wszystko czarodziejstwo nieba nad ranem i wszystek urok wiosny rozkwitłej. Ogarnął go poryw niewysłowionej ciekawości, jakoby na widok nagle odsłoniętego nagiego morza, pustyni czy łańcucha śnieżystych gór. A w ślad za tym uczuciem pierwiastkowym płynęła do piersi wonnymi falami nieprzewyciężona radość zachwytu. Teraz dopiero począł czuć prędkiej niż widzieć niezrównany tok czoła lśniącego białością śniegu czy karijskiego kłoca, czoła, w którym tały się myśli niewiadome, nieznanne, subtelne, piękne

jak z ciszy nocnej wychodząca muzyka, i młode jak kłęby zdroju. Teraz dopiero zaczął przyswajać sobie, na własność brać różowy cień policzków, który wpływa w białosć lic niepostrzeżenie jak zorza ranna w błękit dnia. Przed chwilą jeszcze nie widział był nic prawie prócz surowego, jednolitego w swej treści wspomnienia. Teraz nie uszły jego oka cudne przemiany światła i cieniów krążące około rozkosznych ust, ani grubość warkocza włosów, którego nie zdołałby pewno objąć żołnierską swą garścią. Każdy ruch rąk wydelikacyonnych, przejrzystych prawie od próżniactwa, miał w sobie niepokojący powab. W piękności tej było coś duszącego, coś, co tamowało oddech i oszołomiało głowę. Im więcej się zdumiewał patrząc bez przerwy, tym bardziej się unosił w głębi siebie. Ale nade wszystko czarował go naturalny wdzięk bez śladu sztuki, chęci podobania się i kokieterii, owa łatwość, z jaką można rozsiewać najsubtelniejszy, najtrudniejszy, zdawałoby się, królewski urok. Ciche, łaskawe spojrzenie, kilka łagodnych, niejako swojskich wyrazów — i oto Rafał poczuł w sobie ucisk przerażenia tak wielki jak za najcięższych swych dni. A kiedy dochodził prawie do obłąkania nie wiedząc, co się dzieje, słyszał wciąż spokojne, powabne wyrazy, pełne niewinnej wesołości i naturalnej ciszy ducha. W żyłach jego poczęła wrzeć i rwać owa krew odmienna, jakby cudza, tryskająca z wiecznego źródła rozkoszy. Wówczas bardzo musiał zmienić się wyraz jego twarzy, gdyż piękna pani kilkakrotnie dłużej na nim zatrzymała spojrzenie.

Wszedł służący i zasłonił okna grubymi firankami. Spoza tych osłon i szyb dochodził teraz przyduszony huk wiatru, miły jak poduszczenie, pochutnywanie a oklask. Błask świec nappełniał salonik rozkosznym, żółtym światłem. Wszedł inny służący i zawiadomił swoją panią, że plenipotent oczekuje. Kazała go prosić. Za chwilę wszedł mężczyzna wysoki, w polskim stroju, z wąsami blond jak wiechy. Twarz miał tęgą, tłustą, czerwoną z wiatru, oczy wypukłe i ogniste. Sapał jak w polu, mało sobie robiąc ze wszystkich.

— Jegomość pan Kalwicki, nasz kochany opiekun — rzekła pani Ołowska. — A oto dwaj zdrajcy. Czy mam wymienić ich nazwiska?

— Nazywają się Polacy, a miny mają niczego. Po cóż mi tam ich nazwiska?... — wysapał wąsal. — Skoro mię wwałą na tortury, przynajmniej będę miał sposobność niewydania nazwisk i słowem honoru nie będę po próżnicy wywijał.

— Miło nam poznać waszmość pana... — kłaniał się Cedro. — Właśnie jego opieka i pomoc...

— A ba... pomoc! Tu się właśnie rozłazi... Bardzo mi miło... poznać... Myślę już od wczorajszego wieczora, skoro pani dziedziczka wyrwała się... te!... z tą gotowością pomagania waćpanom. Bo to z panią dziedziczką sprawa niełatwa. „Nudzę się, nudzę się”... A potem rób co chcesz... Upór...

— Panie Kalwicki, panie Kalwicki, trzymaj się, z łaski swej, w ryzach!

— Już milczę. Już trzymam język za wąsami!

— Cofnijże go waść jeszcze głębiej, bo mogę przyciąć, a to boli.

— Ale bo pani dziedziczka nie zwraca uwagi, a to pachnie najgrubszym powozem. Możemy w taką wleźć kalafutrynę, że nie tylko buty, ale i nogi w niej zostaną.

— A niech sobie zostają waścine nogi, a osobliwie... te buty...

— Chciałem coś jeszcze powiedzieć...

— Nic już nie słucham.

— Muszę przecie powiedzieć, że onego oficerka zaprosił wreszcie na święty Szczepan. Com ja miał z tym brzydactwem!

— Bardzo to dobrze. To chwałę.

— A i ja tak sobie myślę, że to jest dobrze.

— Cóż jeszcze, staruszku? Tylko żywo, bez elokwencji!

— O, zaraz: staruszku! To się nie godzi...

— Co jeszcze! pytam swego plenipotentę.

— Zaraz z książęcą! Muszę jeszcze dodać, że dla dragonów trzeba będzie postawić co najmniej kufę piwa. Panie Boże, mało mię udar nie zwali, jak pomyślę...

— Postaw im waszmość kufę...

— Włosy mi stają na głowie, pani dziedziczko, na samą myśl, gdy dziedzic przyjedzie — co to będzie?

— Nic mnie nie obchodzi włosy waszmości.

— Stało się tedy, że ja na stare lata muszę, jeśli nie piersi, to pleców nadstawiać pod kule, bo otwarcie mówię, pludry nie żartują. Sam waćpanów nocą powiozę, ale jaki to wyda owoc... — dodał szeptem, zbliżając się do Krzysztofa.

Kiedy ci dwaj zamieniali ze sobą ciche wyrazy, pani Ołowska odeszła od nich. Poprawiła od niechcienia śliczny ekran *à la Psyché*, a później stanęła od razu tuż przed Rafałem. Przez chwilę miała oczy spuszczone, na ustach precudny uśmiech.

Z wolna podniosła błękitne źrenice i zatrzymała je na twarzy gościa. Uśmiech z jej warg nie schodził, a stawał się coraz świetlistszy, coraz bardziej uduchowiony. Nozdrza szybko drgały. Kiedy Cedro wziął pod rękę starego szlachcica i zaczął z nim wśród ożywionej rozmowy chodzić tam i sam po saloniku, pani Ołowska zbliżyła się jeszcze o krok i nie spuszczać oczu z twarzy Rafała wyrzekła przez ściśnięte zęby, tak że tylko on mógł te wyrazy posłyszeć:

— Szukam... śladu... mojej szpicruty...

Olbromski stał nieporuszony, aczkolwiek zachwiał się słysząc te słowa. Płomień ognia buchnął mu na twarz, na szyję i czoło. Zadzwończyły mu w uszach te wyrazy prawdziwie jako świst stalowej różgi. Krew wolno spłynęła do serca.

W chwili gdy dwaj rozmawiający zbliżyli się do stołu, pani Ołowska otwarła z uśmiechem album rysunkowe i wskazując Rafałowi pejzaż po pejzażu rzekła z uprzejmą obojętnością:

— Grudno.

Przewracała kartę po karcie przypatrując się to tej, to innej kombinacji barw. Gdy otwarł się widok alei, Rafał przytrzymał go dłużej i spytał:

— Czy można wiedzieć, kto malował ten oto widok?

— Można.

— Któż to?

— Ten sam, co malował całe album; to widać.

— Któż to?

— Ja to malowałam.

— A czy można zapytać, dlaczego wybrała pani tę aleję? W Grudnie były miejsca daleko piękniejsze.

— Dlatego, że to był najulubieńszy mój kąt. Tu najczęściej chodziłam.

— Ach, tak...

Podczas wieczerzy, do której w jednym z sąsiednich pokojów we czworo zasiedli, Rafał znalazł się obok starego plenipotenty i musiał wdać się z nim w rozległy dyskurs *de omni re scibili*. Tymczasem gospodyni domu bawiła się z Krzysztofem tak żywo i przyjemnie, jakby od dawien dawna byli przyjaciółmi. Rafał słyszał tę całą rozmowę. Zdusił w sobie wściekłą zazdrość, bezlitosną wolą wpakował ją na dno. W pewnej chwili raz jeden pomyślał z postanowieniem żelaznym: „Zaduszę tego chłystka!”. Później mógł już rozmawiać swobodnie. Ani na jedną chwilę, na jedno mgnienie oka nie zwróciła się ku niemu królewska głowa, obciążona przepysznymi splotami włosów. Ani razu nie dostrzegło go oko.

Teraz dopiero poznał, że to jest ta sama księżniczka Elżbieta, która go napawała udręczeniami bez granic, a której przecie wyzbył się był za pomocą skutecznych środków. Ta sama. Widzi i nie widzi, słucha i nie słucha, wie o nim i nie wie... Przyszedł tedy na dawne miejsce, z dała obszedłszy tak wielki kawał świata. Dziwił się wewnątrz siebie temu porządkowi zdarzeń, temu jak gdyby prawu rządzącemu w ciemnościach. Ni to nienasycona chciwość tych dawnych cierpień wznosiła się w jego piersiach jak rozwścieczona burza. Wzywał ją na rękę, szarpał wolą ku sobie. Po dawnemu ją śledzić spod nawisłych powiek, z zasadzki rzęs, powab tej twarzy i tajemnice precudnego łona. Oczy jego z manowców tych szpiegowan wracały niemal z rozpaczą, gdy znajdowały się wobec niezbitej prawdy, że piękność ta nie zmniejszyła się, lecz wzmożła, że teraz stała się równą nieskończoności. Co najgorsza, była teraz świadoma swej potęgi i władała nią, jak wódz włada mieczem. Wobec tego w głowie miał taki zamęt, że na pytania plenipotenty Kalwickiego ledwie-ledwie mógł dawać odpowiedzi przytomne. Z oczu, kiedy je na piękną zwracał, buchały ognie wewnętrzne go pożaru, których żadnym wysiłkiem zdusić nie mógł.

Obojętność pani Ołowskiej doprowadziła go do szaleństwa. Toteż prawie z radością wstał od stołu i w jaką godzinę później udał się na spoczynek. Jak błędny szedł za lo-

kajem, który im przyświecał po schodach na piętro, mijał pokoje i znalazł się wreszcie w niewielkiej ogrzanej komnacie. Z tą sąsiadowała druga, gdzie miał spać Krzysztof. Rafał rozebrał się i rzucił na łóżko. Zaraz usnął. Późno w nocy zbudził się i podniósł.

Okrażała go woniejąca girlanda myśli, że jest w tym samym domu, co i księżniczka Elżbieta, że po tylu latach spotkał ją stokroć piękniejszą, niż była dawniej, tylko jeszcze bardziej w piękności swojej straszliwą. Ta myśl najglówniejsza obchodziła dokoła jego pościel jak ciche kroki szatana. Była tak olbrzymia, tak rozmaita i wielostronna, że jej głową ogarnąć nie mógł. Przybierała coraz to inną postać i formę, miała tysiące płaszczyzn i granic. Była współcześnie czarującym kuszeniem, tak oczywiste nasuwającym obrazy, że widział tuż przed spalonymi ustami nieśmiertelną piękność wpatrzonych oczu, wargami dotykał ust i chciwą ręką nagich ramion. Była także zachwycającą nadzieją, która wiedzie jakoby na skrzydłach motyli przez czas i przestrzeń aż do błękitnych krain, których nigdzie nie ma, i była żalem nie do zniesienia rozważającym, jak zegar, utratę tych minut bez ceny, które właśnie, szepcząc w pośpiechu niezrozumiale a groźne wyroki, uchodzą w ciemną sztolnię nocy. Dał się unieść marzeniom. Przebywał w szczęściu i zlatywał w głuche doły odtrącenia, gdzie wicher potępińczy wyszarpuje ze strun swej lutni nikczemne jęki. Cały świat porywało mu co chwila sprzed oczu nieoczekiwane wahanie się uczuć. Jak zdroje dotychczas nieznanne wybuchały z duszy postanowienia, by za chwilę zniknąć w podziemnych swoich cieśniach i łóżyskach, skąd nigdy już nie powrócą. Oto marzył długo i namiętnie, żeby za jaką bądź cenę tu zostać. W jakiegokolwiek roli! Przerzucić się na stronę austriacką, pruską czy diabelską, stać się żołdakiem, czyimkolwiek jurgieltnikiem — wszystko jedno! Zostać w pobliżu tego domu szczęścia, gdzie każdy sprzęt wzrasta w duszę, kamienieje i zamienia się w jej skarb, gdzie chropawe ściany są zasłonami rozkoszy, gdzie każdy szelest może być ukochanym zwiastunem łaski.

Usłyszał oddech śpiącego Krzysztofa i oto już drugi raz uczuł w sobie nienawiść. Przeszył mu głowę jego wesoły śmiech sprzed kilku godzin, ugodziły go spojrzenia rozmarzonych oczu, które był pochwyił podczas wieszery. Dla niego była łaskawa. On tutaj odniósł tryumf. Któż wie, może naprawdę odniesie go jutro, pojutrze? Gdyby tak było!... Pchnęła go z łóżka nagle myśl... Cóż trudnego? Właśnie są okoliczności po temu. Wyjdą w nocy. Puszczą się w manowce nadrzeczne. Tam krótki strzał w ucho głupca, trupa w wodę i pod łód. Wtedy — wrócić, wrócić... Och, i teraz nie byłoby to trudne chwycić gardziel tego szczygła, zatrzymać na zawsze oddech. Za cenę jednego uścisku, za cenę jednego sam na sam — czegoż by nie uczynił! Za cenę jednego takiego uśmiechu, jakich tamten tyle dziś odebrał!

Ale po cóż to czynić? po cóż to czynić? Wszakże można raz jeszcze spróbować napaści. Czy znać na twarzy ślad twojej szpicruty? Przyjrzyj się, zmij! Wzniesiesz znowu rękę do ciosu? To i cóż stąd? Dotknąć ustami przed odtrąceniem, przycisnąć ją do piersi i złote włosy mieć sekundę na ustach. A potem niechże strzela w łeb, kto chce — Niemiec czy Francuz, mąż czy kochanek!

Bezwiednym ruchem zaczął ścierać z szyby zamróz nocny i spojrział w świat. Księżyc raz wraz wypływał pomiędzy chmur szybko pędzących. W dali, za szczytami nagich drzew parku, rzeka w blasku miesięcznym to lśniła wszystkimi lodami, to gasła w cieniach. Nad jej brzegiem płonęły tu i owdzie przygasłe ogniska, od nich długie, drżące smugi światła spadały na wodę. Rafał roześmiał się patrząc na te ognie. To on tam ma się udać... Między te ognie... Tysiąc strzałów wymierza, gdyby kiedykolwiek chciał wrócić do tego domu. Spełni to dobrowolnie, żeby już tutaj nie mieć prawa powrotu. Już nigdy! Roześmiał się powtórnie. Każdy najnędrniejszy parobek ma prawo przebywać w tym okręgu rozkoszy, każdy pies ma prawo położyć głowę na tym progu — tylko nie on, który za to prawo gotów jest oddać połowę życia, nie, zaiste, całe życie! Ogarnięty bezrozumem i wichrem miłości, osłeplony od jej błyskawic, strachów i niewzycięzonych poduszczeń, zaczął chodzić tam i sam po komnacie cichymi, popłatanymi, szalonymi krokami.

NOC I PORANEK

Muzyka umieszczona na galerii stroiła instrumenty. Z głębokiego westybulu raz wraz wynurzały się nowe postacie i wolno szły w górę po marmurowych schodach. Szelest jedwabiu, zapach perfum płynął z dołu. Szmer rozmów...

Tysiące świec woskowych rzucały blaski na słupy z ciemnego marmuru podtrzymujące strop wspaniałego przedsionka. Przy jednym z tych słupów stał pan Ołowski, człowiek jeszcze młody, z twarzą subtelną, wydelikacaną i piękną. Niebieskie jego oczy były zapadłe pod bladym czołem, a przymusowy uśmiech w krótkich przerwach między jednym komplementem a drugim, między jednym a drugim powitaniem nowo przybywających gości, zsuwa się z twarzy jak maska.

Obok drugiego filaru stał plenipotent Kalwicki w najwspanialszym ze swych konтусzów; jeszcze niżej na platformie, gdzie się zawracały schody, kłaniał się przed każdą wkraczającą parą kamerdyner i okazałym ruchem prawicy wskazywał pana domu.

Kalwicki oczekiwał właśnie na oficera, którego już sam osobiście był przywiózł i w bocznej gotowalni na dole umieścił, żeby się tam dostatecznie po swojemu wymuskał i oczyścił. Wreszcie ukazał się ów porucznik. Szedł żwawo po schodach w swym półfraku świecącym od naramienników i ozdób, w obcisłych ineksprymablach i ciżmach, dumnie i swobodnie wydymając usta. Kamerdyner skłonił się przed nim we dwójnasób nisko i poprowadził go bokiem o kilka schodów, żeby snadź Niemiec nie pomylił się co do osoby gospodarza. Kalwicki łamaną, z łacińska-polską, a pan Ołowski wysmienitą niemczyzną przyjęli gościa i z wielką atencją, komplementami, wśród ukłonów prowadzili do salonu.

Tam już rozstawione pod ścianami kanapki i krzesła napełniły się doborem najpiękniejszych dam okolicy. We drzwiach do sąsiednich salonów tłoczył się zastęp tancerzy. Środek sali był pusty. Pani Ołowska w pobliżu głównego wejścia witała przybywających.

Włosy jej utrefione tego dnia w sposób szczególny, objęte były dwiema gałązkami lauru. Szyja i ramiona wylaniały się spomiędzy szerokich buf rękawów. Lekka, prześliczna suknia, z wpiętymi w przód spódnicy różami, *robe de gaze à raies de satin*, koloru morskiej wody, niedosięgająca ziemi, otoczona była u dołu liśćmi kamelii i odsłaniała nogi powyżej kostek. Długie aż do ramion rękawiczki osłaniały obnażone ręce. Za przepaską, pod osłoniętymi piersiami, drgał życiem bukiet fiołków z Parmy. Kiedy wszedł porucznik i z wyszukaną elegancją wiedeńczyka skłonił się przed nią, przyjęła go równie jak mąż, z honorami. Zażądała, aby jej podał ramię i przeszła z nim przez opróżniony środek salonu do grupy poważnych obywateli, wymieniając jego nazwisko.

Za chwilę jej atlasowe ciżmy prześliznęły się po parkiecie sali ku rozwartym podwojom głównego wejścia.

W grupie młodzieży, u przeciwnych drzwi salonu, stali — Olbromski i Cedro. Ujrzawszy Niemca poczuli, że zaczyna się ich epos. Krzysztof przyjął ten widok jako młodzieńczą podniętę, a Rafał jako pchnięcie kindżalem.

Należało decydować się szybko.

W ciągu tych dwu dni twarz Rafała osunęła się, a oczy pełgały niezdrowym połyskiem. Z godziny na godzinę zwiększała się jego namiętna, rozszalała miłość, żądza, przesycona poczuciem utraty. Nie czuł patrząc na piękną gospodynię radości ani zachwytu, lecz bezradną, stratowaną rozpacz. Wszystko miał teraz postawić na kartę. Tak lub inaczej zdecydować w ciągu tych godzin o całej swej przyszłości. Nie spał był nocami, a we dnie szukał, szukał, szukał spotkania. Wciąż pełno było gości, przybyszów, sąsiadów, z których każdego i każdą rozszarpywał i ćwiertował wzrokiem takiej nienawiści jak najzaciętszego wroga. Wciąż musiał z kimś rozmawiać, witać się, żegnać, ukrywać w sobie spiskowca i, co najgorsza, śmiać się. Toteż śmiał się czasami tak oryginalnie, że zimno przejmowało rozmówców. Czasami spostrzegł ją gdzieś daleko, w tłumie. Wtedy usta jego szeptały prawie głośne wyrazy uwielbienia, pochwały i pieścizotliwe bezmysły albo głuche i niebezpieczne przekleństwa, przywarło do uszu i serca w więzieniach orawskiego zamczyska. Nieraz w szale, bez wiedzy, przedzierał się ku niej, żeby nareszcie wyznać, co się z nim dzieje... A kiedy się zbliżał i słyszał mówiącą wesoło, zalotnie, rozkosznie, odchodził z duszą rozstrzelaną jej śmiechem, uśmiechając się z cicha.

Tak przetrwał te dwa dni świąteczne.

Teraz stał w tłumie wystrojony według ostatniego wzoru mody i nie spuszczał oka ze swego bożyszczka.

Jakże była piękna!

Głowa jej stała się podobną do odwiecznej kamei, wrytej ręką Greka w białych wstęgach onyksu. Włosy, ujęte w laurowe gałęzie, wiły się jak barwne jego zwoje. Bure

brwi stykały się jedna z drugą nad linią nosa niepostrzeżenie, ledwie dostrzegalnej barwy mchem, a to ich rozkoszne złączenie było jak obraz pocałunku. Nigdy cudniej nie wyróżniały się śnieżne skronie od płonących cichym żarzewiem rumieńców lica. Nigdy rozkoszniej nie uchylały się usta.

W pewnej chwili Rafał uczuł, że nie pojedzie na projektowaną wyprawę za Wisłę. Doświadczył zaraz znamienitej ulgi. Kamień spadł mu z serca. Miałżeby jeszcze tylko parę godzin ją widzieć, a za parę godzin utracić na wieki? Cóż za bezgraniczne głupstwo! Przenigdy! Zostanie tutaj za wszelką cenę. To, co raz w nocy prędko pomyślał, teraz wykona. Uda, że ma gorączkę, że jest chory, umierający. Wróci po świętach do Krakowa. Stamtąd będzie przyjeżdżał. Wymyśli interesy, do Kalwickiego, do Ołowskiego, weźmie tu folwark w dzierzawę. Będzie się tu włóczył po polach. Będzie zachodził niby to z polowania do rządcy. Z pól widać ten pałac. Oglądał przyszłe dni i noce swoje, przespiewy i przygody, jak na dłoni.

Chodziło tylko o to, jak rozmówić się z Krzysztofem. A może i on zostanie? Wylżą się przed Trepką trudnościami... Bo czyliż to istotnie nie traci obłudę iść prosto w pętlę stryczka? Czyż nie widzieli w Krakowie? Czyż nie lepiej pracować na roli jak Bóg przykazał, zamiast szukać wiatru, a raczej pewnej śmierci — na szczerym polu? Będzie z pewnością trochę wstydu, trochę szeptania i śmiechu, trochę gawęd i wytykania palcami, ale potem wszystko pójdzie w zapomnienie. Rzecz ludzka. Ci sami, którzy będą wytykali palcami, niegdyś sto razy gorzej dawali nurka.

Tylko jak zacząć z głuptaskiem Krzysztofem? Jak wyrazić pierwsze słowo po tylu dniach i nocach zapału? Ziewnął skrycie od przesywających dreszczów. Wyciągnął dłoń ze sztywnymi palcami, żeby ku sobie przyciągnąć Krzysztofa. Zdawało mu się nawet, że go przyciągnął... Tymczasem Cedro stał wyprostowany wpatrując się pilnie źle widzącymi oczyma w figurę austriackiego oficera. Ręka Rafała spoczęła na ramieniu towarzysza, a skrzywione usta wykaszły.

— Krzyś... boisz się?

Tamten drgnął jak od dotknięcia nagiego ciała soptem lodu.

— Nie boję się! — rzekł zupełnie jak dziecko, gdy mu w żywe oczy zadają kłamstwo.

— A ja...

— Co ci jest?

— A ja myślałem, że się boisz.

— Lepiej byś westchnął do Boga za pomyslną noc dzisiejszą, zamiast mię nękać i osłabiać.

— Głupcze... — szepnął mu w samo ucho Rafał. — „Trzeba zaczekać — pomyślał — jeszcze czas”.

I oto niespodziewanie olśnił go genialny pomysł. Gdy nadejdzie chwila odjazdu, skryć się w pałacu i zmarnować dogodną chwilę. Uda, że się spił. Człowiek pijany nie odpowiada za swe postęпки i nie traci na honorze. Wylezie wówczas, gdy wszystko będzie stracone, o świcie. Krzysztof, jeśli chce, niech idzie sam. Ależ owszem, niech idzie, nawet niech się przeprawi szczęśliwie w myśl swoich modlitw albo niech z chwałą zdechnie od kul dragońskich! Ależ owszem, niech — cha cha — idzie za Wisłę, do wszystkich diabłów! Dość już tutaj i tak nazbierał uśmiechów i słówek...

Doznał głębokiej znowu ulgi. Pachnący wiatr rozkosznej przyszłości wionął na jego czoło. Ujrzał przed sobą szereg świetlistych dni.

Właśnie kapela zagrała polskiego i wyniosłe, wspaniałe dźwięki porwały na skrzydła swoje nowe postanowienie Rafała. Unosił się wśród szczęścia odzyskanego, płynął wśród blasku. Jak w sennym złudzeniu widział szereg par z wdziękiem i powagą okrążający salę. Stary jakiś jegomość, z panią Ołowską marszałkujący temu tańcowi, zniknął mu sprzed oczu w sąsiednich salach i ukazywał się znowu. Odkryte ramiona i piersi, włosy przetykane perłami i przeplecione wstęgami, trefione i lśniące od kamieni, połysk i szelest cennego atlasu, migotanie brylantów, zapach perfum, czarodziejstwo spojrzeń a uśmiechów — i muzyka — przepływały dokoła jakoby fale rozkoszne. Oto przesuwały się pary jedna za drugą... Przemyka się, jak mgła, dziewica w przystroju głowy *l'oiseau de paradis*... Dalej szeleszczą suknie bramowane futrem *en lapin de Moscovie*, głowy półokryte, w tokach *de gaze argentée*, w turbanach *à pointe mameluck*, w szatach lewantyńskich i egipskich.

Ledwie skończono poloneza, melodyjny walc poniósł w wir wszystką młodzież. Rafał pragnął tańczyć z panią Elżbietą, ale nie mógł pochwycić ani jednej tak szczęśliwej chwili. Zawsze z nią walcował ktoś inny albo znikła mu z oczu pełniąc obowiązki gospodyni. Tańczył tedy z osobami, które były w pobliżu, żeby przynajmniej na miejscu nie stać. Raz jeden, już około północy, przez krótką chwilę udało mu się przebiec salon trzymając swój skarb w objęciu. Zniknęły wówczas z jego mózgu słowa, ustały, zdawało się, myśli. Ani jednego wyrazu nie znalazł, choć siłił się, żeby go wymówić. Milczał ze ściśniętymi zębami.

Minęła północ i Krzysztof coraz częściej począł szukać towarzysza oczyma. Rafał słyszał bicie nadchodzącej godziny w sercu, w głowie, w szpiku kości. Młodzieniec prowadzący tańce zapowiedział nowomodny taniec angielski *country dance*, w którym miało wziąć udział całe niemal towarzystwo. Pomimo wszelkich usiłowań, nie udało się Rafałowi tańczyć z panią Elżbietą. Dopiero los szczęśliwy zdarzył to w następnym lansjerze. Znał ów taniec jeszcze z Warszawy, wiedział tedy, że tańcząc na *vis-à-vis* będzie miał możliwość obcowania z nią w pewnych chwilach. Z przymkniętymi oczyma marzył o tym, co będzie.

O, gdybyż mógł wyznać jej mękę swej duszy! Odejść i odejść bez jednego słowa... Tancerkę swoją, pierwszą lepszą pannę z brzegu, zasypywał mnóstwem słów wesołych, dowcipnych, miłych, bezmyślnych. Bawił ją jak wesoły trzpiot, jednocześnie drwiąc z niej oczyma pełnymi odrazy i wzdąry i klnąc ją wewnątrz siebie najwstrętniejszymi przezwiskami. Wśród kaskad słów skierowanych do tancerki marzył o tamtej, córce nieba i dnia. Zaczął się taniec. Zaraz w pierwszej figurze, kiedy z panią Ołowską sam na sam został, rzekła do niego cichaczem:

— Za parę godzin...

— Co księżniczko? — wyszeptał białymi ustami.

— Tak niegościnnie muszę przypomnieć... Za parę godzin pójdziecie, waćpanowie.

— Wolalby tu umierać niż na rzece.

Rozłączył ich płynny, powabny płas. Odeszła wśród ukłonów, z uśmiechem na przeducudnym obliczu. Tylko nikły rumieniec... Ale za parę chwil znowu mu ją dał taniec. Wtedy z głębokości serca, targającego się w powrozach swych, wyszeptał:

— Księżniczko...

— Cóż to?...

— Księżniczko...

— Nie jestem już księżniczką, mości panie. Dawno już przeminęły tamte czasy...

— Dawno już przeminęły tamte czasy, a tylko moje nieszczęście...

— Cóż to waćpanu?

— Kocham cię... Na śmierć, do zatracenia duszy! Umieram z żalu za tobą... księżniczko!

Złożyła mu ukłon pełen wdzięku, dyg pełen czaru, jak kazał taniec, i zostawiła go z inną kobietą, z tancerką, którą sobie był wybrał. On szedł w taniec jedwabnymi krokami, z uśmiechem na ściśniętych wargach. Bielmo zasłaniało mu oczy, a krew ostygła w żyłach. Zdawało mu się, że już nigdy nie nadejdzie ta chwila, żeby mógł dotknąć tamtej ręki. Widziało mu się, że światła gasną, muzyka niemieje i ludzie stają zdumieni wokoło. Mijała chwila czekania. Setki w niej wieków przepłynęły. Mówiła coś do niego tancerka i on wesoło jej odpowiadał. Uśmiech wesoły wdział na twarz...

Nie, nie nadchodzi... Wabi ją już muzyka, wesoła jak śmiech serdeczny. Czy nigdy już nie nadejdzie? Czyż nie uczuje dłoni jej w swej dłoni i lazurów oczu nie przyjmie z uwielbieniem? Odmienią fala opłynęła go muzyka, jak mowa zrozumiała, zwrócona bezpośrednio do niego. Nie wiedząc o tym wcale wykonał prawidłowo figury tańca.

Nareszcie...

Poznał ją po błękitnym powietrzu, w którym była dla niego zawsze. Poznał ją po zapachu włosów i po szeleście szat. Nie mógł własnego spojrzenia udźwignąć z ziemi. Widział jej stopy w białym atłasie i białe wstążki skrzyżowane... Oto trzyma rękę jej w swej dłoni, nieruchomą, długą, trwożliwą, miękką i subtelną jak wiązka nikłej rezedy. Oczy wciąż jeszcze nie mogą objąć postaci, nie widzą. Dusza tylko nasycy się nią, jak kwiat nasycy się mgłą nocy.

Oto mówi do niego tak cicho, ciszej niż szelest jedwabiu:

— Nie powinnam była...
— Co, księżniczko?
— Nie powinnam była pozwolić, żebyś waćpan jedną godzinę przebywał w progach tego domu. Tylko wzgląd wyższy...
— Jeszcze tylko parę godzin... Odejdę zaraz i już na wieki.
— Niech się tak stanie.
— Ani jednego słowa litości...
— O litości wspomina ten bezczelny, który się porwał...
— Pani, pani... Kochałem cię nade wszystko w życiu moim. Dlatego... To tylko chciałem powiedzieć...
— Już się dokonało.

Odeszła znów. Jak woniejący dym okurzył go dźwięk tych wyrazów. — „Już się dokonało”. — Cóż mogą znaczyć te słowa? co mogą znaczyć te słowa? co mogą znaczyć? Wszystką władzę rozumu wytężył, żeby zrozumieć. Ale nim cokolwiek ułożył w myśli, przesunęła się obok niego wśród nieustających zbliżeń i oddaleń tańca. Gdy na moment znowu byli razem, rzekła:

— Nigdy waćpan nie wrócisz tutaj? Wszak to już sam wyrzekłeś?

— Tak wyrzekłem.

— I honorem ręczysz swoim?

— Co prędzej, co prędzej uchodź — cha cha...

— Nigdy nie będziesz się waćpan starał, żeby mię widzieć?

Milczał.

— Mówże waćpan...

— Nie mogę tego przyrzekać. Jeśli żyć będę, wszelkich owszem dołożę starań, żeby skrycie widywać to miejsce. Ale o tym nikt wiedzieć nie będzie.

— Przysięgnij waćpan, że tego nie uczynisz, a może byś usłyszał coś takiego, co cię do głębi...

— Przysięgam na moje życie, na mój honor, na dobrą sławę, że nie mogę... Kocham cię...

— Zamilcz.

Po chwili mówiła znowu:

— Słuchaj, co mówię. Chciałabym zawsze tak wspominać moją w Grudnie aleję, jak ją dotąd wspominałam. Chciałabym zawsze tak samo... Lubię tę w sobie pasję. Tam to chodziłam wieczorami do szaleństwa gardzić twoją zbójcką napaścią. Tam to chodziłam patrzeć w mrok i niby na jawie widzieć twe wilcze oczy wbite we mnie jak haki, twe śmiertelnie uśmiechnięte usta, słuchać, jak w piersi serce łomocze... Jak teraz...

— Jeszcze słowo...

— Chodziłam sama w puste ciemniki tęsknic, żebyś raz jeszcze spróbował napaść tak samo i żebym cię mogła zabić od jednego ciosu, ale nie rzemiennego pręta, nie! Żebym cię mogła zabić od jednego ciosu sztyltem w huczące serce. Miałam go zawsze w pogotowiu...

— O, gdyby teraz... Od jednego ciosu!...

— Już teraz nie chcę. Przeminięło.

— Jeśli rozkażesz, to dziś nad ranem dam się rozstrzelać, ale wysłuchaj wszystkiego.

— Ciszej waćpan szep taj, bo nam się przypatrują...

Głęboki ukłon.

Brak wzroku i tchu. Ocknął się widząc, iż należy tańczyć nową figurę. Śnił przez chwilę, iż inny zgoła człowiek jest w nim samym. Spoglądał wokoło jasnymi, uciszonymi oczyma. Pilnował w sercu płomyka cichego szczęścia. Już nie zbliżyła się w tych figurach. Dopiero w ostatniej, gdy razem na chwilę stanęli, rzekła mu:

— Będzie gawot. Czy tańczysz go waćpan?

— Tak.

— Czy dobrze?

— Dobrze.

— Ale czy bardzo dobrze?

— Zdaje mi się.

— Zaproś mię waćpan później do tego tańca.

— Książniczko, daruj mi jedną jedyną chwilę, nim stąd odejdę, jedną chwilę na osobności.

— Zamilcz.

Skończył się taniec i nastąpiła chwila przerwy. Rafał oddalił się do jednej z sąsiednich sal i tam ukrył we framudze okna. Był znużony, jakby wszystkie kości miał połamane. Był obojętny na wszystko, nawet na to, co się przed chwilą dokonało. Wiedział tylko tyle, że te sekundy, które przemijają, to najrozkoszniejsza doba życia. Samej ich rozkoszy nie czuł wcale. Otrząsnął się ze swego stanu wówczas dopiero, gdy spostrzegł panią Ołowską w otoczeniu kilkunastu osób, panów i pań. Wszyscy ją o coś usilnie prosili, a ona zaprzeczała śmiejąc się srebrnym swym uśmiechem. Rafał zbliżył się także i posłyszał wówczas, że ją proszono, by tańczyła *tamburino*. Nie chciała za nic. Trwało to dosyć długo. Nareszcie Rafał przypomniał sobie, co mu poleciła. Przecisnął się tedy ostrożnie przez tłum, skłonił się przed gospodynią i prosił, żeby raczyła tańczyć z nim gawota.

— Ach, więc jedni chcą, żebym tańczyła *szal*, ci, żeby *tamburino*, a jeszcze, waszmość pan... gawota. Nie. Wynajdę sama inną tancerkę.

— Pomimo ponowionych próśb?

— Nie mogę — *et tout est dit*.

Rafał począł nalegać, nastawać, prosić.

Po długim wahaniu się, którego na pozór nie mogły przewyciężyć nawet prośby pana Ołowskiego, przystąpiła wreszcie na odtączenie gawota. Zagrała muzyka.

Kreśląc w przestrzeni linie i szlaki niepewne, jakoby ślady bujania w kraju widzeń, zataczając zwroty kołujące i wśród niespodziewanych ukłonów, owych zaprzeczeń pełnych uprzejmego powabu, co są niby znaki symboliczne wstydlivosti i bojaźni, tancerka stała się podobną do muzycznego instrumentu, do harfy czy lutni, tworzycielki wzniosłej i pięknej melodii. Samemu zdawało się, że tworzy i pierwszy raz w życiu gra. Ruchy jej były z każdą chwilą wdzięczniejsze, coraz bardziej pewne swej piękności, jak tony muzyczne od wieków leżące w milczeniu, które teraz, po wyrwaniu z nicości, okazują wszystek swój przepych i potęgę władzy piękna. Bezkarne i bez przeszkody, jawnie a w myśl przepisów tańca, mogli obejmować się miłosnymi uśmiechami, tonąc w sobie nawzajem oczyma. Każdy ukłon i każdy przegub ciała więcej oznaczał, wypowiadał i dokonywał w sprawie miłosnej niż sonet ułożony ze słów i zawartych w nich pragnień.

Rafał, ledwie kilkanaście postawił śliskich a wytwornych kroków, między jednym a drugim zbliżeniem ciał usłyszał wyrazy.

— Pójdź...

— O, pani...

Przebiegła ślicznymi ruchy przestrzeni salonu, wróciła znowu. Oto ująwszy palcami gazę spódnicy uniosła jej lekko i łagodnymi rytmy, cichymi skoki mijała tancerza. Wtedy szepł:

— Boję się ciebie...

— Kocham...

Ukłon i szepł:

— Pójdź...

Znowu szepł.

— Przez szereg pokojów...

Musiał teraz oddalać się od niej i wracać, oddalać i wracać wciąż. Słuchał, słuchał, słuchał. Była obok i milczała. Nic, tylko ciosy własnego serca... Mijała go w milczeniu. Nareszcie, kiedy się najmniej spodziewał, kiedy oszalały tracił już wszelką nadzieję, posłyszał znowu wyrazy ledwie się dobywające spomiędzy nieruchomych warg.

— Pójdź... do siebie...

Za chwilę znowu:

— Stamtąd zejdziesz...

Szereg ukłonów i cichych, rzewnych kroków do taktu muzyki gawota, aż znowu szepł, głos cichy a wstrząsający do szpiku kości:

— Na dół schodami... tak... które są w końcu korytarza.

— Co dalej?

Muzyka nieco odmienna. Taniec znów. Uśmiech.

Oczy zemdlące w zaśnieniu. W różanych wargach zęby z trwogi szczękają:

— Będą tam półotwarte drzwi.

Nic już nie rzekła aż do końca. Żrenice oczu skryły się w cieniach rzęs. Na ustach wyraz bolesny. Włosy, rozrzucone w tańcu, tworzyły dokoła zbielejącej twarzy złotolitą burzę.

Rafał wcisnął się w tłum mężczyzn i stanął w przejściu wiodącym do sali sąsiedniej. Tył głowy wsparł o śliskie odrzwia mahoniowe i otwartymi oczyma patrzył w dal. Zbliżył się do niego Krzysztof i rzekł:

— Bądź gotów.

Rafał spojrzął na niego z ukosa i uśmiechnął się dobrodusznie. Rzekł cicho głosem spokojnym i łagodnym:

— Bardzo mi się podobasz dnia dzisiejszego.

— Ale z ciebie tancmistrz nie lada...

— Tak sądzisz?

— O, wierz mi, powinieneś być dawno wstąpić do baletu w Krakowie... Nie byłbyś się tułał po gościńcach...

— Jesteś, ile sobie przypominam, złośliwy, mości Cedro. Lubię dobry dowcip, a bez złośliwości nie ma dowcipu. Obawiam się, że dziś rano zginiesz. Wiesz co, idź do sąsiedniego pokoju, napisz testament według reguł procedury austriackiej, a mnie możesz, jeżeli ci to w smak pójdzie, zrobić generalnym spadkobiercą.

— Zapiszę ci, ale nie tak znowu wiele... — rzekł Krzysztof ze złym uśmiechem. — Co najwyżej mogę ci w puściźnie przekazać ten frak, który masz na sobie i w którym tak misterne stroiłeś piruety. Pończochy również i trzewiki...

— Jakże śmiesznym jest mąż, któremu zazdrość dziurawi skorupę mózgu!

— O ciebie... — szepnął Cedro ze ściśniętymi zębami, ale Rafał odsunął go od siebie łagodnym i łaskawym ruchem. Na przeciwległej stronie sali, w odosobnionym krześle siedziała jego księżniczka z głową opartą o kraj marmurowego kominka. Patrzali się w siebie zakłętymi oczyma przez długi, niewymowny czas. Nie umieliby powiedzieć, ile go upłynęło, nie umieliby określić, co się działo na świecie otaczającym ani w głębokości ich dusz. Nie wiedzieli nawet o tym, że upływające minuty niosły na falach najwyższe złudzenie rozkoszy.

Zakłócała ciszę muzyka i zajmowała przestrzeń młoda, piękna panna, z wdziękiem tańcząca solowy taniec — *szal*. Przebiegała salę to tu, to tam, rozciągając nad głową błękitny szal z kaszmiru. Jeśli stawała na złotolitej drodze spojrzeń oblakanych z rozkoszy, przywierali na mgnienie powieki, by za chwilę z tym straszniejszą miłością upajać się sobą.

Wreszcie, nim piękność ukończyła swój taniec, Rafał podniósł głowę. Od niewypowiedzianego uśmiechu zaćmiły się i ściemniały jego oczy i stały się do oczu księżniczki podobne. Usta oblekły się wyrazem potęgi i cudownej siły. Stał się piękny, wspaniały i niezwyčajony. Wolnymi krokami, z wdziękiem i zwinnością tygrysa poszedł nie widząc miejsc ni osób.

Przeszedł wskazane korytarze, schody, sienie, znowu schody. Wszędzie było pusto i cicho. Daleki gwar zagłuszał odgłos kroków. Pchnął półotwarte drzwi i wszedł do buduaru. Panował tam prawie mrok. Na kominku żarzył się stos bukowych węgli. Okrył je już popiół fioleto-woperłowy. Z dala, zza dziesiątych ścian, dochodziły tony stłumione i szczególnie urocze w tym oddaleniu. Olbromski zamknął za sobą drzwi i usiadł przed ogniem. Zapadł w zadumę przesyconą wonią róż i jaśminu. Oddychał westchnieniami, które płynęły z tajemniczego źródła na świętej górze szczęścia.

W pewnej chwili błysnęła jasność w przeciwległej ścianie. Pani Ołowska stanęła we drzwiach. Zamknęła je za sobą. Gdy wstał z fotelu przed ogniem, zajęła to miejsce i przez chwilę nieruchoma siedziała z rękoma na poręczach leżącymi bezwładnie. Ujrzał przed sobą, w słabych, brzaskach światła węgli, jej twarz, szyję, ręce. Ujrzał ją przed swoją duszą. Kiedy podniosła na niego oczy i kiedy znowu spoczął w spojrzeniu, przerwany odejściem z sali, upadł przy niej na kolana, objął jej nogi rękoma i pozwolił płynąć nieutulonym łzom szczęścia.

Nie odtrącała go ani się poruszyła na swym miejscu.

Dopiero nierychło, nierychło, kiedy już serce jego było spokojne i oschły lzy na powiekach, dotknęła ręką jego czoła.

Podniósł głowę.

—Spełniłam wszystko, czego chciałeś.

— Tak jest.

— Żegnam cię.

— Żegnam cię, pani.

— Przyniosłam ci ten z albumu widok alei w Grudnie. Sama go niegdyś zrobiłam... W latach moich szczęśliwych, w dobie moich snów na jawie... Weź go sobie i miej na sercu. Nie przebiją go kule.

— Czy nie chcesz, żebym dziś umarł?

— Nie.

— Czy nigdy więcej nie mam cię ujrzyć?

— Słyszę w tym pytaniu... Nie chcę powiedzieć... Idę już stąd.

— Księżniczko!

— I cóż jeszcze!

— Ciebie jedną kochałem w życiu. Wysłuchaj mię!

— Cóż chcesz, żebym jeszcze uczyniła?

— Dziś rano umrę, jeśli zechcesz... dam się w ręce dragonów. Grób zachowa tajemnicę... Na wieki, na wieki!

— Przenigdy!

— Więc kochasz kogo innego?

— Nie powiem!

— Powiedz, na Boga!

— Sam wiesz najlepiej.

— Nic nie wiem.

— Byłeś i jesteś jeden. Będziesz zawsze.

Wstała i odsunawszy go skierowała się ku drzwiom, którymi była weszła. Ale, nim ich dosięgła, zawołał na nią cichym szeptem oszalałej rozpacz, ślepej niedoli, niezwykłej miłości. Zatrzymała się u proga. Zawahała się... Potem wróciła jęcząc cicho i gryząc zębami chustkę...

O jakiejś porze usłyszeli w pokojach na piętrze żywe, gwałtowne kroki i łoskot. Rafał wiedział, co to oznacza. Szukają go. Myślał o tym z uśmiechem nie odrywając ust od czary swego szczęścia, nie budząc się z omdlenia. Wszystko jedno. Czy umrzeć już, czy jeszcze żyć — jednego to niewarte uśmiechu. Ale na rozkaz, że ma się udać z Krzysztofem na ową wyprawę, odszedł w oka mgnieniu i stanął w swoim pokoju. W istocie szukano go na wszystkie strony. Kalwicki kłął na czym świat stoi. Krzysztof był już gotów.

— Gdzieżeś ty był, wariacie, aż do tej pory! — wołał z największym gniewem.

— Jak to? Czyż ci nie wiadomo? Byłem, byłem na balu.

— Dzień się już za jaką godzinę zrobi! Przez twe guzdrałstwo możemy wszyscy zginąć.

— Ale dajże pokój. Nie zginiesz. Złego diabeł tak znowu chętnie nie bierze! Kto idzie na wojnę, mój krwiożerczy rycerzu, musi mieć odwagę w każdym calu duszy i w każdej żyłce. Chcesz, to pójdziemy w dzień. Cóż mi to szkodzi?

— Ubieraj się co tchu. Chwila najstosowniejsza, a tego nie ma!

— Dla mnie każda chwila nocy czy tam dnia zarówno stosowna.

— Waćpan sobie fanfaronuj i barszkuj, ale innym razem! — złościł się Kalwicki.

— Biada mi!

— Oficeram już napiłem szampanem do zupełnej miary, leży mi w poczekalni jak pień olszowy, konie czekają... Ech, ja bym wasanu zadał, żebym tak był twoim ojcem!

— A no... Bóg strzegł.

— Jeśli za dwa pacierze nie wyjedziemy, to nie ma co zaczynać, ja nie jadę. I niech was diabli!... Jestem stary człowiek, mam dzieci i wnuki.

Rafał kiwał głową. Od jednego zamachu zdzierał siebie balowe szaty. Wszystkie, nim je odrzucił, to żabot, to rękawy fraka, przesuwiał koło ust, chwycił wargami, wdychał zapach i całował. Po raz ostatni upajał się cielesną wonią dotknąć, która jeszcze nie uleciała, ciepłem rozkosznych oddechów, co jeszcze nie ostygło. Cisnął wreszcie wszystko w otwartą walizę jak w grób, zatrzasnął wieko i w kilka minut wdział swój obcisły rajtrok, do którego brakowało tylko obszlegów, żeby się stał artyleryjskim mundurem. Zatrzymał kartę papieru z darowanym pejzażem i schował ją według rozkazu. Wpakował za pas

parę dubeltowych pistoletów, wsunął pugnał. Był gotów. Wdziali swe krótkie kozuszki, czapki — i wyszli z cicha bocznymi schodami.

Muzyka wciąż jeszcze grała i pałac huczał od tańców, teraz dopiero na dobre rozhu-
kanych.

Miało się już pod świtanie, ale noc jeszcze stała. Prószył lotny śnieżek. Mróz pod
nogami skrzypiał.

Kalwicki znikł im z oczu, a za chwilę podjechał sam ku bocznemu wejściu saniami
zaprzęzonymi w parę koni jak wcielone diabły, szczękających podkowami po zmarzłym
śniegu. Według umowy Rafał siadł na koźle i ujął lejce. Krzysztof stanął w tyle sanek jako
lokaj. Kalwicki wrócił do pałacu. Czekali chwilę. Konie na miejscu kuły nogami i prężyły
się do biegu. Para z nich biła kłębami. Rafał widział ją w promykach światła padającego
ze szczelin w okiennicach.

Całe jego ciało jeszcze marzyło, a głowa wciąż leżała na obłokach, w niebie rozkoszy.
Słodkie szeptu snuły się bez końca po wargach i jako nici pajęczce oplatały wzrok, słuch,
dotyk. Wargi jeszcze były przyduszone od pocałunków nawiecznych, a wszystka dusza
przemieniła się w słupy dymów wonności.

Otworzyły się drzwi. Kalwicki wyprowadził, a raczej wyniósł oficera ubranego już w fu-
tro. Dociągnął go w swych barach aż do sanek, usadził w głównym siedzeniu, otulił
mu nogi bardzo starannie i krzyknął:

— Ruszaj!

Rafał puścił konie. Polecieli w skok. Kalwicki krótkimi rozkazami wskazywał kierunek
jazdy. Oficerek spity jak bela gadał wciąż do plenipotenty:

— *Bin doch ganz knall... Sacra! Wer bist du eigentlich?*

— Ależ tak... *jawohl...* panie lejtenancie!

— *Sind Sie vielleicht Olowski's Freund?*

— *Freund? A jakże! najzupełniejszy! Jedź tam ostro, te, guzdra! Koniom po bacie!*

Rafał zaciął konie.

— Niech się pan porucznik niczego nie lęka — wołał Kalwicki Niemcowi nad uchem
— mamy niezłego furmana, a i lokaj jest jaki taki, choć safandula. Dojedziemy z paradą.

— *Frau Olowski ist ja... Sind Sie vielleicht ein sogenannter Kalwicki? Frau Olowski ist
aber schön...*

— O, to się wie!

Konie wpadły w opłotki prowadzące do wsi i skokiem kopały się w głębokim śniegu.
Mdły brzask począł się niecić na wschodzie. Wiatr nadranny ocknął się w polach.

— Co pary w koniach! — wołał Kalwicki głosem tak rozkazującym, że Rafał poddał
mu się bez oporu.

Wpadli między stodoły, w ulicę wiejską. Najtęższym galopem lecieli czas jakiś utartą
drogą. W pewnej chwili plenipotent kazał zawrócić na lewo, w wąski, wygrodzony wygon,
wiodący w dół ku rzece. Sam stanął w saniach i poduszczał konie. Dom zajęty na kwatery
oficera stał znacznie dalej, we wsi. Gdzieś u końca drogi, którą lecieli, paliło się ognisko,
i z dala już widać było przy nim szyldwacha na koniu. Gdy się ku temu ogniovi sanie
pędem zbliżać zaczęły, jeździec skierował ku nim swego konia i ostrym kłusem nadjeżdżał,
krzycząc z całej siły:

— *Wer da! Wer da!*

Ujrzeli go tuż przed sobą, osędziałego i lśniącego od polerowanych rzemieni, od wy-
czyszczonej stali...

Kalwicki stanął w saniach i wołał głośno:

— *Herr Offizier! Herr Offizier!*

Odsonił przy tym kołnierz futra, pokazując kapelusz i twarz uśpionego oficera, który
leciał mu przez ręce. Dragon stanął w strzemionach, schylił się i dobrze, szczegółowo,
uważnie rzecz wybadał. Potem oddał swemu dowódcy honory wojskowe szablą, ale się
z miejsca nie ruszał.

— Gdzie jest kwatery komendanta? — wrzeszczał Kalwicki straszliwą niemczyzną.

Dragon wskazał szablą kierunek i daleki dom.

— Prowadź nas! Komendant zasłabł. Wraca z balu. Wieziemy go do domu! Prowadź!

Dragon zawahał się, jeszcze raz obejrzał kapelusz oficerski, wreszcie trącił konia ostro-
gą, żeby wjechać w opłotki czy dać znać do drugiego posterunku. Skoro tylko odwrócił

się tyłem do sanek, Rafał i Krzysztof zsunęli się ze swych miejsc i chyłkiem, wpół zgięci skoczyli za ognisko. Do wału rzecznego było kilka kroków. Minęli go jednym susem. Po drugiej stronie tego jazu rosły wikle. Całe to zbocze od strony rzeki pokryte było skorupą lodu, który wezbrana czasu powodzi rzeka wyniosła była i zostawiła na chaszczach. Pomiedzy tą skorupą a jazem umykali teraz jak lisy w dół rzeki. Świstali z cicha, wiadomym sposobem, według instrukcji. Kiedy tak dopadli połowy odległości między jednym a drugim ogniskiem, usłyszeli tuż za wałem tętent konia lecącego w skok. Przycupnęli. Koń przeleciał.

— To z drugiego posterunku... — szepnął Rafał. — Leci na znak do tamtego.

Tuż pod nimi rozległ się trzykrotny świst jakby kulika. Rozsunęli rokity i ujrzeli w pobliżu pod rozłożystym pnieniem starej wierzby, której pień wisiał nad nurtem, łódeczkę. Chłop w kozuchu chwycił silnie każdego z nich za ręce i wciągnął do łodzi. Mruknął ze srogim gniewem:

— Późno! Dzień wylazł...

Kazał im przytulić się do dna, sam siedząc w kucki na przodzie, pchnął łódź tak potężnym rzutem wiosła, że od razu wypadła w wart. Tam jeszcze raz wmiesił wiosła w nurty. Jeszcze jeden całoramienny zamach wiosła, jeszcze jeden... Wtem na brzegu rzeki rozległ się krzyk z kilku stron. Stało się to w mgnieniu oka. Zbiegi tyle że zdołali odwrócić głowy, kiedy im prosto w ślepie trzasnął błysk jeden, drugi, trzeci... Tuż koło nich przeciągle gwizdnęły kule.

Jedna z nich musnęła wodę koło burtu łodzi. Cicho i boleśnie jęknęła druga. Nieustraszony Ślązak-przewoźnik wstał teraz na nogi. Wiosła dzwignęły i zagrały w jego potężnych rękach. Ujrzeli przed sobą ogromną jego postać, od głowy do stóp zamkniętą w wielkim kozuchu. Łódź pomknęła w dół, ukośnie tnąc strzał środka rzeki. Lecieli nad wyraz chyżo. Ale na opuszczonym brzegu rozległ się nowy grzmot kanonady i rozwalili ciszę nocy.

Przewodnik raptem siadł na nogi swoje w tym miejscu, gdzie stał, zakaszlał się straszliwym chrzypieniem. Wiosła wypadły mu z rąk. Przez chwilę w zdumionych oczach kiwał się to w tył, to naprzód, charcząc i ciągnąc w piersi powietrze, aż runął na dziób łodzi, zwieszonymi rękawami kozucha trzepiąc i chlapiąc po wodzie. Silnie od początku pchnięta łódź przebiła wiry głębokiego koryta i leciała za wodą bez wiosła po drugiej już stronie warty wodnego. Rafał wychylił się i złapał jedno wiosło. Leżący chłop zawałił całe miejsce. Nieporęcznie, wydzierając sobie wiosło, to docierali do skorupy lodowej tamtego brzegu, to odpadali od niej ku środkowi rzeki. Lodowisko tamtej strony sięgało daleko w wodę i broniło przystępu. Rafał w rozpaczę zwałił je wiosłem, ale tylko zadzwignęło jak dzwon śmierci. Ciekli jeszcze w milczeniu i zgrozie, coraz szybciej, coraz szybciej... Wiry wlekły ich w środek rzeki... Wtem ujrzeli wyłom między lodami. Łódź spodem docierała mielizny, więc ze wszech sił wpierając ocalone wiosło w ławice piasku podwodnego dobijali. Już przedświt powlekał pędzącą wodę śniadą barwicą. Coraz wyraźniej było widać rzekę i przestworza. Na galicyjskim brzegu gromadził się zastęp żołnierzy...

Udało się Rafałowi werznąć łódź w piach i utwierdzić ją tyle, że mogli wyleźć w wodę. Kazał Krzysztofowi brnąć na brzeg, sam szarpnął barkę za łańcuch i wywłócił z wody na mieliznę w ostoje międzylodowe. Kiedy byli w łożach tamtego brzegu, runęło kilkadziesiąt strzałów. Kule gwizdnęły jak osy, trzaskaly z ostrym brzękiem w lód i rozpryskiwały go na wsze strony. Dźwignęli co tchu chłopca. Obrócili go twarzą ku niebu. Oczom ich przedstawił się widok brunatnej twarzy, z której rozwartych ust waliła się falą ciemna krew. Oczy już zaszkłone bielmem śmierci patrzyły w nich spojrzeniem tamtego świata. Ujrzawszy niewysłowioną mowę boleści w tej twarzy stężalej wśród życia, wśród siły, wśród potężnej pracy, Krzysztof zachwiał się na nogach. Kolana jego głęboko werznęły się w śnieg. Z załamanymi rękoma, z wyrazem rozpaczki bezdennej, stokroć mocniejszej niż wówczas, gdy żegnał ojca, patrzył i patrzył w leżącego trupa. Z nagłą zatrzęsł się cały i począł lkać jak dziecko; głowa jego padła do nóg zabitego, ręce kurczem objęły mokre, staplone buty. Począł w boleści skomleć i wyrzekać.

— To ja... To moja wina... To ja cię zamordowałem!... Dlatego, że mi się spodobało iść na wojnę, ty tu leżysz! Boże, Boże! Cóż ja teraz pocznę? cóż ja teraz pocznę, nieszczęsny! Boże wielkiego miłosierdzia!...

Wzniósł obłąkane, skostniałe oczy na Rafała i pytał go z ogłupiałym skamlaniem:

— Cóż teraz będzie? Zlituj się nade mną! Cóż ja teraz z nim pocznę?...

— Wiesz co — rzekł Rafał ściągnając przemoczkłe buty — ty nadzwyczajnie nadajesz się do stanu żołnierskiego. Bardzoś sobie właściwy zawód obmyślił. Bardzo! Jeżeli nad każdym trupem wojny będziesz tak piękne wigilie śpiewał, to z ciebie będzie najtęższy oficer w armii... Przedstawią cię generałowi Napoleonowi, jako żołnierza nad żołnierze, do stosownej nagrody...

Krzysztof słuchał uważnie. Wyrzeszczonymi oczyma patrzył, jak Rafał drze swą koszulę i suchymi onuczkaami przewija sobie nogi, jak znowu wdziewa buty...

— Cóż my pocniemy? — szeptał coraz ciszej...

— Przede wszystkim ściągnij buty, udrzyj z koszul płat i zawiń nogi.

Spełnił to wszystko co prędzej, siedząc za jazem rzeczonym, jakby w istocie taki był środek ratunku, o który się pytał. Gdy już byli obuci, Rafał kazał mu jeszcze bardziej wyciągnąć łódź na brzeg, sam okręcił łańcuch jej o pień wierzby. Wtedy zdjął czapkę, zwrócił się twarzą do trupa i przez sekundę modlił się cicho.

Dzień wstawał. Wyszli z zarośli nadbrzeżnych i wielkim krokiem wdarli się na wyniosłość pobrzeża. Ale skoro tylko ukazali się tam, znowu warcząc i bucząc górą przeleciały kule i rozległ się huk wystrzałów. Rafał parsknął śmiechem. Krzysztof patrzył na niego bezsilnymi oczyma, do których spływały jeszcze łzy.

— Niemce! — wrzasnął Olbromski nastawiwszy dłoni koło ust — Austriaki! Gałgany! Strzelajże jeden z drugim, a celnie! Godzinę celuj, a traf przecie raz w życiu!... Na szubienicy tobyś wieształ, austriacki wojaku! Celuj! Niedołęgo!

Świsnęło dokoła ze sześć, ze siedem kul. Wleźli obadwaj na biały piaszczysty wzgórek. Tam Rafał rozkraczył nogi i wrzasnął:

— Niech żyje Cesarz! Przyjdę ja tu do was, psy kulawe!

Poszedł naprzód wielkimi krokami, gwizdząc całą gębą. W pewnej chwili zwrócił się do Krzysztofa:

— Wciąż jeszcze beczysz?

— Słuchaj no, daj mi pokój...

— Jeżeli chcesz beczeć, to idź sobie osobno, bo gotowi ludzie pomyśleć, że to ja cię za uszy ciągnę do wojska.

Krzysztof był już od dawna spokojny. Szedł takimi samymi krokami jak jego mentor. W milczeniu przebyli płaszczyznę i zaczęli wstępować na wzgórek, długim wałem wyznaczające dolinę Wisły.

— Krzys — rzekł szybko Rafał głosem wesołym — a wiesz ty, bratku, o tym, że my już byliśmy w bitwie! Słyszysz, gazda! Kule nam koło uszu gwizdały jak najprawdziwszym żołnierzom. Słyszałeś, jak gwizdały?

— Słyszałem.

— Ale ty nie śpij, tylko odpowiadaj przytomnie.

— Mówiłem ci już raz, żebyś mię zostawił w spokoju.

— Dobrze, czuły Galicjaninie, zostawię cię w spokoju. Gdzież u licha jest ta chałupa? Kalwicky tu nam kazał się zgłosić. Powiedział, że na wzgórzu... Chodźmy jeszcze wyżej.

Weszli na najwyższy wydmuch, ledwie teraz owiany szronem i śniegiem. Czarny, zmarzły piach ustępował pod ich stopami... Rozejrzeli się wokoło. W dali, za Wisłą, w brunatnych zaroślach z błękitnawych mgieł świtu wylaniał się pałac w Jazie. Dach jego z ciemnej dachówki przerzynał brutalną plamą jasny błękit nieba.

Rafał zatrzymał się, znieruchomiał. Przyglądał się dalekiemu widokowi posępny spojrzaniem. Gdy tam stał zastygły i oniemiały, widziało mu się, że żyje w chwili tak bardzo dawnej od jego życia, jakby w dzieciństwie. Alboż to, na co patrzą oczy, istnieje? Cóż to go zajmowało wczoraj, dziś w nocy? Uczuł w sobie brak, pustkę, loch ciemny. Czyliż naprawdę istnieje ten wyniosły dom? Czy było w czasie szczęście, którego ten kształt widomy jest wyrazem? Różane zorze zabarwiały prześlicznie ów daleki, niebieskawo splacheć ziemi. Polyskiwała rzeka, szybko pędząca wśród brylantów lodu. Odwrócił się raptem od tego widoku i poszedł ku domostwu, które stało w pobliżu.

Na wzgórzu nagim sterczało to siedlisko rybackie czy miejsce ucieczki dla powodzian. Do resztek dawnego muru karczmy czy schroniska dla nędzy zalanej wodą przybudował

teraźniejszy mieszkaniec lepiankę z wiciny i rzeczno mułu, z kawałów belek, szczątków desek, krokwi a łat odebranych wiślanym falom. Nad połową tego budowania wysoki i spiczasty niegdyś dach zapadł się zgniłymi krokwiemi i zwiślał dziurawym lachmanem. Niskie drzwi były obite słomianą plecionką, ściany ogacone mchem i nawozem. Okienko z jednej szybki, jak ciepłe usta dziecka, wychuchało sobie głęboką donicę w zaspie, która je przydęła. Dym wywalał się już spomiędzy czarnych, oślizgłych gontów.

Zakołotali we drzwi pięściami. Nie zaraz otwarło je babsko wyschłe, czarne, kudłate. Za nim pokazały się głowy dzieci o twarzach jakoby kobuzów i kukulek.

Rafał odchylił całe drzwi i mimo smrodliwej pary, która ich owiała, wszedł do środka. Rozejrzał się naokoło w mroku i dziko uśmiechnął. Wspomnienie Baśki i tamta noc...

— Wasz przewozi bez Wisłę? — zwrócił się do baby.

— Ja ta nie wiem, przewozi czy nie przewozi... — odmruknęła niechętnie.

— No, nas przewiózł, więc wiadomo.

— Nie wiem, co i jak gadają. Mój jest rybak. Kto jego wie, czy przewozi? Teraz wojsko stoi i z gwerów bije. Ja o niczym nie wiem.

— No, my tu mieli do niego interes.

— To przyńdzie pod południe, a ja nie wiem.

— Kazał wama powiedzieć, matka... — rzekł Rafał licząc ponuro oczyma dzieci — że te... że przyńdzie dopiero na odwieczarz. Teraz nie przyńdzie. Rozumiecie?

— Czy ja niby rozumiem?

— No!... A co mu sie od nas za przewóz należy i za to wino, co je to przemycał, to wam kazał dać w rękę. Necie....

Wyjął z kieszeni garść pieniędzy, odliczył kilka dukatów i dał jej w rękę.

— Trzymaj to, babo, garścią, bo to nie koprowina, ino samo złoto! — krzyknął na nią.

Otrząsnął się i co prędzej miał ku drzwiom.

Ze dworu już wrócił po wyjaśnienie, gdzie tu najbliższa wieś czy dwór, żeby można furmankę nająć. Wtem ujrzał, że Krzysztof kozikiem pochwyconym ze stołu rozdziera brzeg swego rajtroka i wygarnia zaszyte złoto.

— Co robisz, wariacie, co robisz?! — syknął na niego. — Za cóż ty kupisz konia, mundur i najmiesz pocztowego?

Tamten nie odpowiedział ani słowa. Darł nożem podszewkę dookoła i co wymacał dukata, to wszystko, aż do ostatniej sztuki, kładł na stole. Baba z rozdziawioną gębą przypatrywała się wszystkiemu przekrzywając obojętnie głowę to na prawe, to na lewe ramię. Wreszcie gdy Krzysztof wyrzucił z kieszeni wszystko, co miał, aż do sztyletu i króciocy, Rafał go chwycił za rękę.

— Pytam ci się, co masz zamiar czynić?

Krzysztof nie odpowiedział. Całe jego ciało wstrząsało się co chwila od wewnętrznego rozruchu, szczęki były zwarte, oczy przysłonione powiekami.

— Zbierz te pieniądze ze stołu i schowaj, słyszysz! — rozkazał Rafał szeptem. — Dasz jej pięć dukatów, i tak będzie bogata. Czy ty słyszysz, co ja ci rozkazuję!

Szarpnął go za ramię. Ale zniemacka Krzysztof odtrącił go precz od siebie ruchem i gestem tak nieoczekiwanym, spojrział takim wzrokiem, że Rafał uchylił się dość pokornie. Opuścili domostwo.

Szli w milczeniu po śniegu z wierzchu obmarzłym i przyprószonym ponownie — ku wsi, którą widać było w przestworze. Słońce wznosiło się nad lasami, nad garbatą i pogiętą ziemią i zwiąjało w rozdołach błękitnawe tabory nocy.

PO DRODZE

Niepostrzeżeni przez nikogo dostali się jałowcowymi zaroślami aż do wioski. Wesole jej dymy błękitnymi smugi przerywały różową przestrzeń. Rafał wyprzedził towarzysza i wszedł do pierwszego z brzegu siedliska z zapytaniem: czyby nie można wynająć koni do Mysłowic? Kiedy Krzysztof nadszedł, już go przyjaźnie wołano do izby. Obszerne domostwo, otoczone z pola parkanem a ode drogi zaslonione sadkiem rozrostłym, kąpało się w porannym słońcu. Drzewa były okryte śniegiem od korzenia aż do najwyższej gałązki i ludziły oko, że mają potrójną liczbę owych białych a splątanych konarów. Dom był murowany z cegły, pod gontem. Na kominie świetlicy trzaskał ogień i przez drzwi uchylone

do sieni zdawał się wołać do środka. Tęgi rolnik naradzał się po cichu z Rafałem, stojąc w progach domowych.

— Do Mysłowic jednym ciągiem, bez noclegu?... Sztuk drogi! Nad samą polską granicą...

— Ech, jak konie dobre, niekutymi saneczkami przeleci jak ta jaskółka! — nastawał Rafał.

— Moje fuchsy ta nie ostatnie, śtreka je, ale święto...

— Widzicie, gospodarzu, świętowanie dobra rzecz, ale i zarobek coś znaczy.

— Jo, recht. A kieloz dadzą?

— Damy trzydzieści złotych.

— A tryngield dadzą?

— Damy.

— Jeśli wywałą nie papierkami, ino twardym pieniądzem, jeśli tryngield zaprzysięgną...

— Damy samymi niderlandzkimi talarami.

— No no... Niechże wstąpią...

Weszli do obszernej świetlicy i powitali gospodynię krzątającą się dokoła komina. Gospodarz był chłop młody, wesoły i kuty, widać, na cztery nogi. Spod oka przyglądał się swym gościom, choć nie dopytywał się, co są za jedni, skąd i dokąd zdążają. Z malowanej szafy wydobyl słodką gorzałkę w kolorowej karafce, chleb komiśny i piękny, masło, strucle święteczne, ser śląski, a z komory wyniósł gąsiorek przemycanego wina. Pykał żywo z glinianej fajeczki, kłaniał się i zapraszał:

— Niechże też nie pogardzą, niechże przecie jedzą jak za swoje pieniądze.

Rafał nie dał się prosić i tego zajadał. Krzysztof wypił kilka kieliszków wódki i w milczeniu żuł kawałek chleba z solą.

— Cóż wasze Niemcy, dobrze wam się sprawiają? — rzucił Rafał zapytanie, gdy gospodarz wrócił ze stajni do stancji, żeby się do drogi odziać.

— Niemcy? Nasze? E, jak to Niemcy...

— Teraz tu, podobno, u was chodzi, kto chce: są Niemcy, są Francuzy. Co kto lubi...

— Jo... trafiają się rozmaici... Co kto lubi. Śmiesznie to powiedzieli...

— A któż, u diabła, teraz panuje nad tym waszym Śląskiem?

Gospodarz rozejrzał się chytrze, pyknął kilkakrotnie ze swej fajeczki i rzekł wesoło:

— Kto ich wie. Panuje, kto chce, a tak sprawnie, jakby żadnego nie było.

— O bitwie jakiej nie słyhać?

— Co nie ma być słyhać? Gonia się z miejsca na miejsce.

— Któż kogo?

— Trudno wiedzieć. Ale tak cości miarkujem, że nasz Niemiec po wsiach nierad siedzi. Woli w mieście. A już najprędzej ku takiemu ślusuje, gdzie garnizon, i festung.

— Patrzajcież!

— Byłem ta zawczoraj w kościele, w Tarnowskich Górach. Wyszli my po sumie, słyszymy, a tu tumult, za miastem strzelają, aże szyby w kościele dzwoniły. Kto? co? A no lecą ludzie i gadają, że z Polski ślachta bije się z królewskimi.

— No i cóż?

— Polecili ludzie w Krakowską, w Lubliniecką, w Gliwicką ulicę patrzeć, ale już mało co było widać. Wyparły się wojska w pola jedne za drugimi. Ino się za nimi po zagonach dym włókl aże po rzekę, po Małapanew. Powiadał ta nad wieczorem jeden mieszczan, że podobno Polaków Prusaki pobiły, a zaraz potem same uciekły.

— Takie bitwy to aż miło!

— Che che! a bo i pewnie.

Wprędce zaprzężono zwięzłe kasztanki do niekutych, lekkich sanek, wysłano siedzenie kilimkiem i obadwaj przyjaciele ocknęli się w polu. Woźnica zaciął szkapki i galopem prawie dopadł lasu. Dopiero gdy wjechali w dobrą gęstwinę, zwolnił nieco i odwracając się bokiem rzekł:

— Tak mi się widzi, że pewno wołą nie spotykać się z Prusakami...

— E, nam wszystko jedno... — rzekł Rafał obłudnie — ale zawsze lepiej się nie spotykać.

— A no, i ja ta nierad ich widzę. Pojedziemy lasami.

— A czyje to lasy?

— Furt grafskie lasy.

Wąska drożynka, zasypana sypkim śniegiem, którego nie tknęło jeszcze kopyto ani sanica, przeciskała się wciąż lasem zwartym. Jechali już kilka godzin i miało się dobrze pod południe, kiedy woźnica rzekł, jako niezadługo ujrzą trakt z Tarnowic do Siewierza, idący na Niezdarę, a przy tym trakcie będzie austeria, gdzie warto by koniom wytchnąć a samym się posilić. Jakoż las począł rzednąć i ukazała się murowanka. Ślązak ostrożnie jak lis okrążył zajazd lasem, a nim podjechał, wyjrzał na trakt i długo zapuszczał bystre oczy w jedną i w drugą stronę. Przed karczmą nie było nikogo, na drodze również. Wróble stadem roztratywały siano i resztki obroku przed wrotami zajazdu. Nie wypuszczając z ręki bata woźnica wszedł w progi karczmy i zlustrował jej wnętrze. Wówczas dopiero podjechał, gdy się uspokoił zupełnie.

Kiedy podróżnicy weszli do szynkowni, za ladą jej, w otoczeniu antałów i beczek, ujrzeni tylko pejsatego Żydka, tak dalece pograżonego w medytacje, że ledwie ich dojrzał. Jednak marzące jego oczy z niechęcią i odrazą niejako zatrzymywać się począły na figurach młodych mężczyzn, na ich twarzy, odzieniu... Zażądali gorzałki. Przyniósł usługę i milcząc podawał, co kazali. Spożyli po kawałku chleba z serem i mięsiwem z zapasów woźnicy. Cedro był gniewny i oburkliwy. Na troskliwe pytania Rafała odpowiadał, że jest niezdrów. Teraz, po wypiciu kilku nowych kieliszków wódki, zwiesił głowę na ręce, oparł się całym ciałem na stole i drzemał czy udawał, że śpi. Olbromski wyciągnął się na długiej ławie pod ścianą i bezmyślnie ślepiął w powagę izby. Żydek powolnym, melancholijnym krokiem, nie chcąc, widocznie, przeszkadzać panom obecnością swoją, wyniósł się z szynkwasu. Po chwili jeszcze ciszej wrócił. Konie wprowadzone pod dach, do stajni, która stanowiła jakoby przedsionek oberży, parszając chrupały obrok.

Dość już długo trwał ten cichy wypoczynek, gdy wtem dał się słyszeć łoskot od gwałtownego zatrzaśnięcia obydwu wrót stajennych. W tej chwili furman, błądy śmiertelnie, rozwarł drzwi do stajni i rzucił wyraz:

— Jogry!

Rafał zerwał się na równe nogi i chwilę stał w bezczynności, nie wiedząc, co przedsięwziąć. Ślązak huknął nań jak na sługę:

— Drzwi tarasować!

Rzucili się obadwaj do stajni i zarówno wierzeje bramy wjazdowej jak furtkę boczną jęli podpierać znalezionymi kołami, drabiną, żłobem, półkoszkiem wozu, co jedno było pod ręką. Na dworze słyszeć się dał wesoly gwar, szczęk broni i łoskot końskich podków po grudzie. Wnet pchnięto drzwi. Rozległo się kołatanie, krzyk, rozkazy. Woźnica skoczył do izby i szukał Żyda. Karczmarz siedział spokojnie w cieniu beczek. Oczy jego świeciły się jak kocie.

— Masz broń?

— Ja... broń?

— Dawaj, co masz, naboje, żywo!

— Skąd ja mam mieć naboje?

Chłop nie mieszkając chwycił go za gardziel i trząsnął raz, drugi, trzeci. Izraelita, skoro złapał nieco powietrza, wskazał oczyma dyl w kącie. Podnieśli tę deskę z trudem i wydobyli nabitą fuzję oraz jakąś zardzewiałą karabelę. Gdy się to działo, już we drzwi karczemne łomotano szablami i bito sposobem szturmowym. W zamazłe okno huknęła pięść Prusaka i wybiła szyby. Kłęb białej pary buchnął na dwór. Duża łapa w rękawicy wsunęła się przez wybity otwór i ujmowała właśnie ramę okienną, kiedy zaczajony Ślązak ciał z całej siły w rękaw wyrwanym szabliskiem. Krzyk i zgiełk wszczął się na dworze. W otwór wsunęło się kilka na raz łuf i razem w różnych kierunkach huknęły słupy dymu. Olbromski wetknął Krzysztofowi, który wciąż osowiały i bezczynny siedział na swym miejscu, krócić w prawą rękę, szablę w drugą i — postawił go z boku, pod oknem. Chłopu z kobylicą wyrwaną ze stępy kazał pilnować drzwi, a sam chwycił Żyda za łeb i powłókł go ze sobą krzycząc, żeby wskazywał, gdzie jest wejście na strych.

W mgnieniu oka wtargnął po szczeblach drabiny na górę, stanął we drzwiach wystawy, przez którą podawano słomę na poddasze stajni. Uchylił owe zwieruszone drzwi

i przypatrzył się. Zliczył oczyma zielonych jegrów. Było ich siedmiu ze straży nadgranicznej. Trzech siedziało jeszcze na koniach, a czterej walili w bramę i podchodzili do okna murowanki. Kiedy Rafał wyjrzał, wszyscy trzej z konia opatrywali rękę kolegi. Trwało to chwilę, bo oto zdjęli z pleców karabiny, podsypali prochu na panewki i mieli razem huknąć ponownie w wywalone okno. Złożyli się. Rafał zmierzwił w kupę i wypalił. Razem huknęły strzały i poszły w las jak łoskot piorunowy. Jeden z żołnierzy padł na ziemię. Trzej, siedzący jeszcze na koniach, skoczyli ku niemu. Inni rzucili się z pałaszami do okna. Rafał znowu zmierzwił w kupę i strzelił. Nowy jęk. Rzucili się mężnie w otwór okienny. Tam Cedro ujrawszy ich przed sobą palnął z króćicy wprost, o krok. Rafał, spełniwszy swoje na górze, leciał ku niemu na pomoc. Włókl Żyda za pejsy, żeby go nie zdradził. Teraz we trzech wypadli do okna. Ślązak huknął w otwór swą kobylicą i zwałił dwu jegrów aż na środek drogi. Cedro niespodziewanie skoczył w to wywalone okno i połową ciała był na zewnątrz, gdy go chwycił Olbromski z krzykiem:

— Co robisz?

— Puszczaj! Chcę zginąć, do wszystkich diabłów!

Szarpnął się naprzód i beużytecznie wypalił w tłum żołnierzy ostatni strzał, jaki mieli. Rafał i przewodnik siłą wywlekli go z okna na środek szynkowni. Żyd pod groźbą śmierci nabijał strzelbę, gdy Rafał stał zacajony pod oknem z pałaszem w rękę, a Ślązak rychtował do ciosu swój taran.

Na dworze zaległa cisza. Kiedy chyłkiem wyjrzeli przez szczelinę we drzwiach, zobaczyli z pociechą, że jegry siadają na koń i że wciągają na siodła rannych czy trupów. Nim odjechali, nabili jeszcze broń i z konia dali pięć strzałów w karczmę, celując w okna, we drzwi i wrota. Potem w skok pomknęli w kierunku Tarnowic. Idąc za radą Ślązaka Rafał z Cedrą wymknęli się z karczmy na piechotę, skoro tylko konie założono do sanek.

Brnęli zrazu śniegami unikając gościńca w obawie spotkania z nowym oddziałem patrolującym. Ale drogi tu nie były woźnicy znane. Wkrótce tedy wypadli na trakt i, pilnie patrząc naprzód i poza siebie, pomknęli co koń wyskoczy. Drzewa leśne tylko-tylko migwały im się w oczach. Chłop wtulił czapkę na uszy i pogwizdywał a gnał. W pewnej chwili rzekł wesoło:

— Rychtyg my taką bitwę zwojowali jak te pod Tarnowskimi Górami. Prusaków my pobili, a teraz sami w nogi co pary w szkapach!

— Dobra i taka, bracie! Bóg ci zapłać. Gdyby nie ty, zgniliby my w lochach abo na szubienicy krukcom na żer służyli.

— No no... Żeby mię ino ten Żyd nie wydał, nic by ta nie było frymuśnego.

— A jakże wrócisz, bracie?

— Wrócić wrócę lasami. Ino ten Żydak... Oczy ma pogan psie, paskudne — uch! Trza go będzie poprosić, żeby nie szczekał...

— Poprosisz go?

— Już jak ja go poproszę, to nie piśnie.

— A no, rób ta, jak chcesz... — mruknął Rafał niechętnie.

Krzysztof, podobnie jak na początku dnia, był wciąż niemy i odrętwiały. Widać wskutek wypitej w oberży gorzałki drzemał na saniach i kiwał się w prawo i w lewo. Przez sen ciągle coś mamrotał i otrząsał się niespokojnie. Gdy otwierał oczy, wodził nimi ze zdumieniem po lesie i twarz jego miała wyraz przykrego uszczęśliwienia, dziecięcej prawie uciechy.

Nad samym już wieczorem przypadli do Mysłowic.

Tam już było bezpiecznie, gdyż w miasteczku i w majątku hrabiego Mieroszewskiego stał oddział szaserów francuskich.

Zaraz przy wjeździe ujrzeli żołnierzy w zielonych mundurach, w szerokich jak sto diabłów bermycach, z czerwonymi nochalami i z wąsem co się zowie. Krzysztof, mówiący po francusku bez porównania lepiej od Rafała, stał się teraz pierwszą osobą. Ślązak, zapłacony grubo i sowiciej, niż się umówił, pożegnany po bratersku, wesoło ruszył przed siebie i znikł w zaułku. Wędrowcy poszli do dworu, gdzie mieszkał komendant placu. Ów komendant, pijanica, widać, i awanturnik, zrazu począł obudwu badać sierzdzące, z niedowierzaniem, ale wkrótce złagodniał. Nie tylko że dał im kartę drożną na Siewierz do Częstochowy, ale nawet z własnej ochoty wyjednał stancijkę we dworze na nocleg dla

ochotników.

Przed zachodem słońca wyszli obadwaj dla przyjrzenia się okolicy. Stojąc na wzgórzu widzieli przed sobą za rzeczką Przemszą rozległe niziny leśne, które przedzielała fala wzgórz ginących w siwym oddaleniu. Słońce już gasło, a poziome jego rzuty złotem i czerwienią oblewały całą tę daleką, jałowcową niwę. Obadwaj młodzieńcy zadumali się patrząc w ten kraj pierwszy raz widziany, który mieli teraz przemierzyć krwawymi krokami. Głuche, zagmatwane przecucia grały w każdym z nich niby ułudny głos muszli, na który darmo ucho nastawiać...

O zmierzchu zwiedzili kuźnice niemieckie, założone niedawno, i cichaczem wrócili do swej stancjki.

Nazajutrz skoro świt puścili się najętą furmanką w drogę do Siewierza. Przybywszy do tego miasteczka, według zlecenia komendanta placu w Mysłowicach poczęli dopytywać się o mieszkanie komendanta placu miasta Siewierza, kapitana Jarzymskiego. Nazwisko nie było Rafałowi obce. Tajona nadzieja mówiła mu, że spotka w komendancie kolegę z liceum. W lokalu tego dygnitarza dowiedzieli się, że kapitana można widzieć dopiero o jakiejś godzinie południowej, gdyż obecnie pogrążony jest we śnie. Radzi nie radzi poszli w miasto. Zwiedzili stary zamek biskupów krakowskich, sypiący się w gruzy... W pobliżu ruin usłyszeli zgiełk wojskowy i wdrapawszy się na pewną wysokość spostrzegli jazdę odbywającą ćwiczenia. Pobiegli tam co tchu. Krzysztof teraz się dopiero ożywił.

Była to chorągiew pospolitego ruszenia z porucznikiem na czele, nie cała, bo tylko z pocztowych złożona. Pięćdziesięciu parobków siedziało na niezłych szkapach. Mieli na sobie granatowe kurtki i także rajtuzy z czerwonymi kantami, barwy województwa krakowskiego, czapki czarnym sukniem obszyte, a przy nich kitki włosiane na kilka cali wysokie. Niektórzy rajtuzy mieli szarego koloru, a kilku, miasto mundurów, było odzianych w zgrzebne lejbiki z rękawami. Jedni byli uzbrojeni w pałasze, pistolety, karabinki i ładownice, a inni, których w osobnym glicie musztrowano, tylko w piki drewniane, sześciolokciowe, z dzidami i żeleźcami na końcu. Nie było to wojsko efektowne, niezgrabnie jeszcze sprawiał się jego szyk na błoni, ale widzowie drżeli na jego widok. Sękaty garscie twardo dzierżyły drzewca pik i z ogniem machały szablicami najrozmaitszej miary i pochodzenia.

Zbliżało się południe. Ochotnicy przypomnieli sobie o terminie wizyty u komendanta placu i poszli ku miastu. Dość długo musieli czekać na ganku, potem wpuszczeni zostali do pierwszej stancji i tu znowu czekali blisko godzinę. Nareszcie posługujący wiarus dał im znać, że pan kapitan pije już kawę i że za chwilę nadejdzie. Drzwi się wreszcie otwarły i poważnie wyszedł w mundurze z błyszczącymi bulionami a z miną srogą — Jarzymski.

Ujrzawszy przed sobą tak dawno niewidzianego a tak zmienionego kolegę, Rafał nie mógł słowa przemówić i nie wiedział, jakie teraz obrać dla siebie stanowisko. Jarzymski, widać, to samo odczuwał, gdyż nie od razu głos zabrał. Jakoś jednak ośwładnął sobą i zbliżywszy się do Krzysztofa ze zmarszczonym czołem zapytał:

— Nazwisko waćpana?

— Cedro.

— A twoje Olbromski, to wiem. Znamy się przecie ze szkół. Czegóż to waćpanowie życzyście sobie ode mnie?

Podali mu swoje marszruty i wyjaśnili z uszanowaniem, że udają się do Częstochowy dla zaciągnięcia się do wojska. Kapitan przyglądał wąsika i słuchał z uśmiechem, patrząc niekiedy na kolegę spod oka. Gdy mu już wszystko wytłumaczyli, chwilę dumał i rzekł wreszcie:

— Czemuż to koniecznie do Częstochowy?

— Tak nam poradzono.

— Tak poradzono... Ha! Bo moglibyście i tutaj przecie znaleźć miejsce. Wszyscy przecie ruszymy pod Łowicz. Mamy tu dosyć tego, jak je Cesarz Jegomość nazywa, *la pospolité*. Sprawnie się to dosyć szykuje.

— My pragnęlibyśmy dostać się do artylerii — wtrącił Cedro.

— Do artylerii, a! to co innego. Uprzedzam jednak, że takie żywiąc zamiary, trzeba mieć pieniądze. Na żołnierskie umundurowanie, i to najprostsze, trzeba mieć 73 złote, nie licząc bielizny i rekwizytów. Cóż dopiero oficerskie!

— Przyjaciół mój jest człowiekiem zamożnym — rzekł Rafał.

Żołnierz, Pieniądz, Pozycja społeczna

— A jeśli tak, to co innego. Przepraszam, nie wiedziałem. Zaraz waćpanom każę wydać karty drożne. Owszem, w Częstochowie jest sześciuset naszych, którzy ją w posesję wzięli i garnizon składają. W gruncie rzeczy jednak tobie, Olbromski, radziłbym tutaj zostać. Byłbym w tym, żebyś miał stopień oficerski od razu i awans zapewniony. A i waćpanu także. Mamy tu młodzieży tegiej, dostatniej — kupę... Patrzcie, koledzy, na mnie! Miesiąc trwa ruchawka, a ja już jestem kapitanem i komendantem placu.

— Tak... To bardzo szczęśliwie...

— Rozumie się, że szczęśliwie. Mam tu krewnych, moja to jest okolica, wobec czego...

— Ułatwiono ci... — mruknął Olbromski.

— *A vrai dire...* — tłumaczył się Jarzyski z miną skupioną i poważną — właściwie, mój drogi, czego kto silnie pragnie, to osiąga na pewno, dołożywszy starania. Otoczeniu mogłoby się wydawać, że ja po prostu sam się mianowałem, ale tak nie jest, bo mianował mnie Męciński, rotmistrz, dowódca pospolitego ruszenia tej części województwa krakowskiego. Czas jest gorący, nagły. Kraj potrzebuje ludzi, a tu brak zupełny. Trzeba było pychę z serca złożyć, porzucić miękkie szaty, iść na służbę, przyłożyć ręki...

— Co do mnie... nie wiem, jak tam Rafał... — rzekł raptem Cedro cały czerwony i ze spuszczonej oczyma — ja... postanowiłem dosługiwać się stopni od najprostszego kanoniera.

— A!

— Nic nie umiem, więc jakżebym mógł być oficerem? Nawet nie mówię o wyższych stopniach...

— A chyba że waćpan nic nie umiesz... — odpalił z miejsca Jarzyski — to co innego. Ja sądziłem... Jeżeli się nic nie umie, ha! w takim razie trudno rzeczywiście zaczynać od czego innego, tylko od najprostszego kanoniera.

— Tak. Ja postanowiłem, że będę słuchał rozkazu — i basta.

— Bardzo dobrze... — rzekł Jarzyski.

Rafała śmiech ogarniał, ale i złość na Krzysztofa buzowała w nim jak ogień. Niemile uczucia wzbudziło w nim to spotkanie. Coś trupiego wylażyło jak spod ziemi...

— To jednak musi być ogromna satysfakcja tak szybko wykierować się na dygnitarza... — rzekł patrząc Jarzyskiemu prosto w oczy.

— Ja sądzę. Oczywiście mówiło się to *figurément...* samemu! — odparł kapitan nie-stropiony wcale i nadymając się jeszcze bardziej. — Każde sto koni wybiera trzech oficerów, jak za Rzeczypospolitej. Między oficerami ktoś przecie musi być starszy, ktoś młodszy...

Otrząsnął się, wyprostował po wojskowemu i patrząc na nich bestyjskimi oczyma, z dobrotliwym i wyrozumiałym uśmiechem ciągnął:

— Owszem, owszem, jest to bardzo zacna myśl dosługiwać się wyższych stopni od prostego kanoniera. Pochwalam tę myśl... A nawet będę was miał w pamięci, szlachetni młodzieńcy! Potrzebujemy, ale to potrzebujemy gwałtownie, ludzi z charakterem, ludzi oddanych, którzy by szli do szeregu nie dla kariery, nie dla pięknej szlufy i brzmiącego tytułu, lecz dla służby! Przecie to i książę Józef, niegdy wódz naczelny, stanął potem do apelu jako szeregowiec... Są to rzeczy znane... Bardzo to chlubnie świadczy o szlachetności uczuć waszych! Bardzo!

Było mu jednak trochę nieswojo, gdy obadwaj, wyprostowani, z oczyma wlepionymi w jego oczy, milczeli. Zmienił tedy nieco ton i rzekł:

— Żałuję, że w tej żołnierskiej kryjówce nie mam nawet czym kolegów poczęstować. Ale wiecie co... Jest tu resursa Greka, Pescarego, raczcie się tam udać na przekąskę. Rafał, ty po starej znajomości, a waćpan przez sentyment dla spółnego przyjaciela.

Dawna przeciw woli przyjaźń, zastarzałym nałogiem leżąca w duszy, ocknęła się w pamięci Rafała. Ileż to lat zbiegło od ławy w Collegium, od pohulanek w Warszawie! Z prośbą o zgodę w oczach spojrzął na Cedre i rzekł:

— A no, dobrze, owszem... O ile ty, kapitanie...

— No, no, przecie nie będziemy się tytułowali za każdym wyrazem, my, stare urwisy warszawskie... — szepnął mu do ucha. — Skądżeś się ty tu wziął, u diaska? Psujesz mi szyki, rujnujesz powagę...

— Toteż jadę, jadę!

— Przystać, mówię ci, na porucznika. Dam ci pięćdziesięciu drabów i będziesz ich ganiał po błoni. Znajdę takiego, co ci odstąpi swej rangi, a nawet konia i munduru, za niewielki grosz. Tak tedy... — ciągnął głośno — bądźcie łaskawi, koledzy, iść tam za przewodem mojego famulusa, a ja zaraz nadejdę.

Z cukierni, ledwo drzwi uchylili, buchnęło na nich duszne powietrze i gwar. W ciasnych stancyjkach chmurą wisiał dym, a wszystkie miejsca były zajęte. W głębi, w ciemnej izbie, kule bilardowe szczękały, głośne rozmowy i śpiewy towarzyszyły naokół grze w domino, w warcaby i kostkę. Przybyszom zrobiło się nieswojo. Znaleźli się wśród samych oficerów. Wszyscy mieli na sobie mundury prosto z igły, a galony wprost od szmuklerza. Kurtki mieli granatowe z wylogami w barwach wojewódzkich, rajtuzy z wypustkami i białe kolety, czapki tegoż koloru z czarnym barankiem i białymi piórami, Sami to byli porucznicy, podporucznicy, chorążowie i namiestnicy, młodzież zamaszysta, tęga, buńczuczna, zdrowa, wszystka, widać, z niedalekich okolic, gdyż mówili do siebie po imieniu albo po przewisku.

Szukając w tłumie jakiegoś osobnego stoliczka Rafał i Krzysztof znaleźli się w kącie wobec dwu młodych ludzi zranionych. Jeden z nich wspierał się na kuli świeżo wystruganej i miał głowę przewiązaną bandażem, drugi trzymał rękę na chustce. Obadwaj siedzieli w zapomnieniu i nic nawet nie mieli przed sobą do jedzenia ani picia. Cedro wśród swoich nieśmiały ukłonów zapytał ich, czy nie mógłby się z przyjacielem przysiąść do tego stolika. Ranni dość niezgrabnie przystali. Wnet się zawiązała rozmowa. Byli to, jak się po prezentacji wzajemnej okazało, dwaj sąsiedzi, synowie szlachty uboższej, dzierzawami siedzącej na małych folwarkach w okolicy Kurzelowa, w Galicji ówczesnej, za Pilicą rzeką. Po rozesłaniu wici przez wojewodę radzymińskiego, zasięgnąwszy języka, od razu siedli na koń i przybyli w miejsce wskazane.

— My ludzie niebogaci — mówił starszy — konie nasze dobre, ale bez rasy. Mamy to, co kazali: koń, powiadają, dobry, mocny — no jest; munsztuk, powiadają, grzebielec, szczotka, dera — no jest jak się patrzy. Ale to nie oficerskie, tylko jak na żołnierzy. My ludzie nietutejsi, obcy. Jak życie nasze, my za Pilicą nie byli. Za obszarem naszej włoszczońskiej czy kurzelowskiej parafii my koligacji nie mamy. Przybyli my tutaj, miejsca już pozajmowane; co miejsce oficerskie, żeby choć tego namiestnika, to już szczerze obsadzone. No, cóż my? Wpisali my się do chorągwi na proste rycerstwo. Wydali my resztkę grosza na mundury swoje i na pocztowych, i teraz te... czekamy, co dalej będzie. Dziesięciu nas w chorągwi rycerstwa, a pięćdziesięciu pocztowych.

— Toście waćpanowie z Galicji tak samo jak my!

— A no! My spod samego Kurzelowa. Historie my mieli z tą naszą wyprawą. Bo to my wyjechali niby na jarmark do Secemina gościńcem szczekocińskim. Dopiero z drogi buchnęli my w lasy chrząstowskie i precz już samymi lasami aż pod Konicopol. Dopieroż jednego razu wyjeżdżamy z lasu: rzeka okropna przed nami! Pilica! Czekaliśmy w lesie nocy i po ciemku w tę rzekę łomot na koniach. Tak to my ušli za granicę. To potem światami, Bóg wie gdzie, na Lelów, na Irządze, na Mrzygłód przerzneliśmy się do tego Siewierza.

— Aleście, koledzy, już widzę, w potrzebie byli!

— A no, nie chwaleć się, już my trochę łomotali Niemiaszków.

— Jakże to było?

— A no stoimy tu już ze dwa tygodnie w tym Siewierzu i musztrujemy się na błoni. Raptem przyszła wiadomość do tych panów dowódców (tu wskazał nieznacznie głową na hałasującą kompanię), że jeden batalion Prusaków został wykomenderowany z Wrocławia dla wzmocnienia załogi w Koźlu. Od razu zabrali nas około stu człowieka wraz z pocztowymi i pošli my na Niemców nocą. Zabrnęli my lasem aż pod Tarnowskie Góry. Rzeczywiście śli forsownym marszem.

W ciasnym miejscu, pod samym miasteczkiem Tarnowskie Góry, skoczyli my na nich z ukrycia. Piki, szable, sztucery, co kto miał — wszystko w kupę — i bij, zabij! Nawetem sam skrobnął z konia piechura szablikiem, że aż nogi zadarł. Ale gdzież to! Komendant ich, jak tylko zobaczył, że nas tyła ruchawki, jakże ci nie wrzaśnie na nich po swojemu! A to, widać, tresowane jak pudle... Od razu sformowali w szczerym polu czworobok — i ani weź! Jakże, hycle, nie wyrzną do nas! A niechże to wszyscy diabli! Cóż za szelmowski ból, jak rypnie w rękę! Ale i nas złość wzięła. Będziecie tu do nas

Żołnierz, Pozycja społeczna,
Pieniądz, Odwaga,
Tchórzostwo

jak do zajęcy na stanowisku... O, pludry! Nie chwalęcy się, jak skoczymy naprzód z kupą rycerstwa, a choćby ot i z Pawelkiem, sąsiadem Kuleszyńskim! Jak zaczniemy łupać we łby! I nie my jedni. Kto miał konia tęższego, a mógł go spiąć ostrogami, rzucić się w szereg abo, czy ja wiem, był odważniejszy czy co, to splatał Niemców do woli, no i dostał za swoje. Czternastu ich ta leży po mieszczańach, we dworach i tu w Siewierzu. Ośmiu na zagonach zostało. My jeszcze, dziękować Bogu, nie najgorzej na tej aferze wyszli. A kto miał konia ścięłego i nie czekał, to jakoś wyszedł na cało...

To mówiąc, powtórnie wskazał oczyma dowódców.

Tymczasem drzwi się otwały i z miną marsową, tęgą i w miarę wyniosłą wkroczył Jarzyski. Od razu go otoczono zwartym kołem. Krzyk się wzmógł. Jeden z oficerów, mocno już cięty, aczkolwiek nie od pałasza, wychodził z izby sąsiedniej wołając:

— Kapitanie komendancie, obowiązkiem to jest twoim, żebyś się nam wystarał o drugi bilard — czy to nie skandal?

— Bilardu nie mam — z powagą odpowiedział Jarzyski — ale za to mam radę dla tych, którym się chce grać, a nie mają na czym. Niech zdejmą mundury, odepną pióra, obszyją sobie czapki suknem zamiast baranka i zapiszą się u drugiego porucznika na szeregowych. Przynajmniej nie będą mieli prawa pchać się do resursy i zabierać miejsca.

— Racja! — zawołał ktoś z tłumu. — Braknie właśnie poczty do obrządzenia koni i tyłu wozów.

— Toteż zacznij awans od siebie i idź obrządzić mojego wałacha... — odciął się tamten.

— Czemu nie, jeśli o to chodzi, żeby pokazać, jaki z ciebie hołysz, skoro cię nie stać nawet na najem parobka!

— Cicho, cicho, wozowie!... — uspokajał Jarzyski. — Nie ma o co! Teraz żołnierze doprawdy lepiej się odznaczają niż dowódcy. Wspomnijcie sobie tylko Wosińskiego i Częstochowę.

— Ba! nie zawsze się ma do czynienia z Niemcem tak tchórzliwym jak ten komendant Częstochowy. Wspomnijcie sobie tylko Tarnowskie Góry!

— Cha cha, ma rację! To prawda — wołano naokół.

— Słuchajcie — rzekł Jarzyski, uroczyście podnosząc rękę. — Mam nowe wieści. Ale naprzód... Daj no mi, Pescary, kieliszek. Chcę wypić zdrowie starego Wosińskiego.

— Niech żyje! — huknął cały tłum.

— Takich nam!

— Bić Niemca!

— No, jak w tym wypadku, to chyba sztuką w pole wywodzić, bo co do bicia... — przekrzyczał innych pierwszy mówca.

— W pole wywodzić! Filozof! Bić Niemca i kwita! Na kwaśne jabłko pludrów!

— Zaraz, nie koniec jeszcze — mówił z wolna Jarzyski nalewając sobie nowy kieliszek. — Chcę wychylić ten drugi kielich za zdrowie Trembeckiego.

— Niech żyje!

Wyjął z kieszeni papier i na poły czytając, na poły mówiąc z pamięci, głosił:

— Komunikuje mi imci pan Męciński, rotmistrz-dowódca pospolitego ruszenia w tej części województwa krakowskiego, że oddział stu szlachty pod sprawą imci pana Trembeckiego...

— Nasz oddział.

— Że, mówię, hufiec, do którego niektórzy z waszmościów panów mieli honor należeć w potyczce pod Tarnowskimi Górami, wziął grafa Henkla, landrata z Tarnowie, w zakład za panów Mieroszewskiego i Siemieńskiego i odprowadził go do twierdzy częstochowskiej. Między papierami tego landrata znaleziono odezwę do Ślązaków, wydaną przez grafa Götza, fligel-adiutanta królewsko-pruskiego, do łączenia się z wojskiem pruskim i dostarczania koni oraz żywności. Ale co najważniejsza, to to, że imci pan Trembecki zabrał po drodze 118 koni przeznaczonych dla jazdy pruskiej, a co już najmilsza dla ucha, to to, że wziął kasę królewską.

— To chwacko, to wyśmienicie! Niech żyje Trembecki!

— Ten trzeci toast — mówił z wolna Jarzyski — chcę wypić przedzdrowie dwu młodzieńców z Galicji...

— Młodzieńców? Cóż za kliwie gdakanie...

— Gdzie? kto z Galicji?

— Panów Cedry i Olbromskiego...

Krzysztof, czerwony jak burak, wstał ze swego krzesła. Rafał poszedł za jego przykładem.

— Koledzy! — mówił komendant — ci młodzieńcy przekradają się do naszych szeregów przez Wisłę! Ci młodzieńcy nie żalują swoich ognisk domowych, narażają życie — pragnąc dotrzeć do Częstochowy, ażeby wstąpić w szeregi artylerzystów! Ci młodzieńcy odrzucają moją propozycję co do kariery w naszych szeregach i postanawiają... słuchajcie, słuchajcie!... dosługiwać się stopni oficerskich od prostego kanoniera! Wnoszę ich zdrowie.

— *Vivant!* — huknęła kompania.

Nastąpiła chwila ciszy. Krzysztof podniósł głowę i rzekł śmiało:

— Nie dziwcie się, waćpanowie, że jesteśmy zmieszani. Ten toast zastał nas nieprzygotowanych. Jesteśmy w drodze do naszego celu — oto i wszystko. Dziękuję w imieniu swoim i towarzysza za życzliwość dla nas. Wywdzięczając się chciałbym i ja wnieść zdrowie, a raczej... Już tedy wolne jest od niecnego wroga z prawików, od pruskiego zdrajcy, nasze pomorskie województwo, malborskie i inowrocławskie, gnieźnieńskie i poznańskie, kaliskie i sieradzkie, ziemia wieluńska, rawska i łęczycka. Wnoszę ten toast na cześć naszej przastarej macierzy Małopolski. Na cześć i zdrowie...

— Patrzajcie no! Tęgi chłop...

— Macierzy Małopolski!...

— Dobrze gada!

— Gębę ma, jakby się pod Słomnikami rodził...

— Bestia miła, mówię wam, że serce mięknie...

— Z siebie, widzisz, gada, nie z wierzchu, tylko ze środka...

— Ale — ciągnął Krzysztof — nim ten toast wychylę w imieniu Galicji...

— Co za Galicji?

— Nie ma Galicji!

— Zbazażrał się...

— Jest, panowie bracia, jest jeszcze, przez Bóg żywy! — zawołał Krzysztof głosem twardym i nieznośnym przeczeń. — Nim ten toast wnieść w imieniu Galicji, muszę naprzód spełnić poprzedni, który tu pito, Wosińskiego. Było to zdrowie, widać, godne, skoro je tak zacna kompania chórem podtrzymała? My przecież spod Austriaka, nie wiemy nawet, kogoście uczcili.

— Znowu z tym Austriakiem...

— Raczcież nas łaskawie oświecić...

— Który tam w gębie najobrotniejszy? Kończewski! tyś spod Wielonia... Rozkręcaj język!

Wypchnięto naprzód namiestnika przysadkowatej statury, a tęgiego co się zowie. Ten chwilę się namyślał musztrując oburącz najeżoną szopę na głowie, wreszcie dał folę wrodzonej swadzie:

— Żeby w niewielu słowach rzecz zmieścić... taka była afera. Nocą z 17 akuratnie na 18 listopada przyszło sto koni jazdy francuskiej pod dowódcą Dechampsem do podnóża Jasnej Góry. Prawdę mówię?

— Kto cię tam wie?... Ale jedź dalej!

— A no! Trzeba zaś waszmościom wiedzieć, że w murach warowni było pięćset lutrów dobrze zaopatrzonych we wszystko. Francuzi za to nie mieli ani jednego działka. Jakże tu dobywać twierdzy samą konnicą? Śmiech!

— Chyba płacz?

— Cicho tam, nie psuj mu porządku, bo się zmyli i co innego opowie.

— Ale od czegoż dowcip? Azaliż nie ma już głów na karkach między Sarmaty! Stary, jeszcze z Naczelnikowskich czasów kapitan strzelców, imci pan Stanisław Wosiński, który prowadził garsteczkę pospolitaków z ziemi Wielońskiej, nie chwalecy się, spędza w nocy chłopstwo okoliczne pod mury forteczne, każe temu pospólstwu rozpalic mnóstwo ognisk i uwijać się pejzanom koło ognia, żeby się wydawało, że liczne pułki piechoty oblegają Częstochowę. Dechamps znowu ze swojej strony strzelcom konnym rozdał znaki i epolety

grenadierskie i partię ich wysłał do Niemca, żeby, prawi, twierdząc poddawał bez namysłu a zwłoki, bo w przeciwnym razie natychmiast szturm przypuszczony będzie i wtedy załoga co do nogi w pień wycięta.

Nie myślę, powiada, w polu, na zimnie zębami kłapać. Dobrze. Poszli, powiadają. Niemiec, ten komendant Kune, tak się przecie spietrał, że tego samego wieczora pieronem twierdząc poddał. Dopiero o świcie, kiedy już wojsko bezbronne stanęło na stoku i broń złożyło, a Francuzi z naszymi wchodzili w bramy i obejmowali Jasną Górę, przekonał się, sierota, że wydał fortecę, trzydzieści dział, magazyny i kasę nieprzyjacielowi pięć razy słabszemu i bez jednej armaty. Załoga niemiecka poszła w niewolę do Francji. Poznacie, wacpanowie, dzielnego kapitana Wosińskiego, skoro idziecie do Częstochowy, bo on tam jest teraz komendantem fortecy. *Dixi*.

— Pijemy jego zdrowie! — rzekł Krzysztof.

— Skoro wznosimy toasty — zawołał nagle Olbromski — to ośmielę się i ja prosić wacpanów, żebyście wypili za zdrowie tych, którzy już proch wacchali pod Tarnowskimi Górami, a osobliwie zaś tych, którzy już rany ponieśli!

— Niech żyją! — wykrzyknięto.

— W górę ich! Tęgie chlopy co się zowie!

— A ba, jeszcze by też: spod Włoszczowy!

Ktoś z drugiej izby wołał:

— Zdrowia piją, a o Sieradzanach zapomnieli. Sieradzan zdrowie!... Oni pierwsi stanęli jak jeden człowiek. Z każdego dwudziestu dymów, rachując w czambuł wszystkie kominy, jeden kantonista, czy tam z ochoty, czy tam przez ciągnięcie losu. Z tego będzie infanteria jak mur! Każdy szlachcic posesjonat daje jednego. Masz konnicę. Nie chcesz iść *personaliter*, boś stary, niedołęga albo, uczciwszy uszy, tchórz, płac walor na umundurowanie i na żołd miesięczny! Wnet stanie kompania strzelców.

— Łęczycan zdrowie!

— Tych, którzy pod Łowiczem ramię w ramię z Frankami prali wroga na kwaśne jabłko!

— Słyszeliście? Już jednego Niemiaszka, burmistrza z Gołańczy, a drugiego Differta z Obrzycka rozstrzelali za to, że Prusakom ludzi wydali.

— Za poległych...

— Pod Łowicz!

— Wszystko pospolite rycerstwo — niech żyje!

— Niezmordowany!...

— Jan Henryk!... Wielki Napoleon! Wielki Napoleon! Napoleon!

Wrzawa powstała tak wielka, że zdawało się rozsadzi mury resursy Greka Pescarego...

NOWY ROK

Stało się, że „Galicjanie” Cedro i Olbromski nie dotarli do Częstochowy i upragnionej artylerii. Krzysztof nie miał ani grosza, gdyż wszystkie swoje pieniądze zostawił w chacie rybackiej. Jego również fundusz zaszyty w kurcie Rafała po skrupulatnym obliczeniu nie mógł pokryć kosztów umundurowania artyleryjskiego obudwu. Zresztą Jarzyski wdał się w tę sprawę i swoimi sposobami zdołał nakłonić Rafała do pozostania w Siewierzu. Na pozór wydawało się, że sami Galicjanie zepsuli swą myśl zbyt długo zatrzymując się w drodze. Czas leciał na skrzydłach, a dzień zwłoki o wszystkim stanowił. Już we dwa dni po świętach owa cząstka pospolitego ruszenia, która ćwiczyła się w Siewierzu, wyszła z „części Krakowskiej”, dążąc na miejsce zebrania, pod Łowicz. Ochotnicy z konieczności, a nadto pod wpływem namowy całego składu oficerskiego, przystali na pospolite rycerstwo w konnicy krakowskiej. Jarzyski sprzedał im dwa konie wierzchowe z własnej stajni, jakoby tak niezrównanej wartości, że cena ich pochłonęła wszystkie niemal dublony wygarnięte ze szwów Rafałowego rajtroka. Urządził nadto jakieś zastępstwo z łański pewnego sąsiada, co wołał zostać w domu, a zgadzał się za niewielkie wynagrodzenie zostawić tak zwane „mondury” na grzbietach dwu parobków dostawionych do szeregu. Tym sposobem, ochotnicy weszli na opróżnione miejsca w regimencie przeredzonym wskutek wyprawy pod Tarnowskie Góry. Znaczna część tego oddziału wciąż jeszcze pod wodzą Trembeckiego uwijała się po Śląsku między Nysą, Koźlem, Gliwicami a Bytomiem.

Zajadły komendant tamtego oddziału urywał, gdzie mógł, oddziały pruskie, zajmował miasta i wioski. Stamtąd na Kalisz ruszył w stronę Torunia pod rozkazy generała Zajęczka.

Mała armia siewierska, z konnicy samej złożona, wyruszyła pod wodzą rotmistrza wojewódzkiego Męcińskiego w szyku i sprawności na Częstochowę, Bełchatów, Brzezi-ny...

Po drodze spotykali małe oddziały piesze i konne, ciągnące pod Stokowskim z ziemi Wieluńskiej, pod Lipskim z Sieradzkiego, pod Janem Gliszczyńskim spod Kalisza. Nad wieczorem dnia 31 grudnia wkroczyli w niską równinę Bzury. Z dala, o dwie blisko mile, ujrzeni wieże kolegiackie Łowicza. Przebywszy rzekę regiment krakowski wszedł do miasta, ale tam, dookoła starego ratusza, gdzie mieścił się sztab główny, panował ścisk taki, że rycerze jak niepyszni musieli wycofać się i szukać schronienia aż na przedmieściu Bratkowickim. Zmarzli jeźdźcy, skoro tylko zdołali umieścić we wskazanych im stajenkach konie swe i obrządzić je ile można, rzucili się w objęcia snu.

Nazajutrz od samego świtu gotowali się do wystąpienia. Miejsce zebrania wyznaczono na polu marsowym wśród łowickiego błonia. Już przed godziną dziesiątą zaczęły ściągać się z muzyką wojskową poszczególne regimenty. Chlubny tytuł pułku pierwszego otrzymała konnica, prowadzona przez świeżo mianowanego pułkownikiem Jana Dąbrowskiego (syna), zorganizowana przez generała Niemojewskiego w Gnieźnie i Rogoźnie. Nadciągnęły zaraz wśród okrzyków ludu siły zgromadzone przez Walentego Skórzewskiego i przez Biernackiego. Nieświeżą była broń tego wojska. Pochodziła przeważnie z arsenału częstochowskiego. Karabiny były nienabite, brakowało kul, nabojów, skałek. Za to szabel i pik była obfitość. Ale porządek i karność w rozwinięciu szyku, piękna czerstwość i malownicza siła, bijąca z postawy tej młodzieży, zapal budziły w widzach. Około godziny dziesiątej już jazda w sile sześciu tysięcy ludzi, czyli bez mała trzy regimenty licząc po sześć dwukompaniowych szwadronów w regimentach, utworzyła zbity czworogran. W głównym jego ramieniu widać było otwarty namiot z ołtarzem polowym.

Zahuczał od strony miasta krzyk ludzki.

Wszyscy kawalerowie jak jeden zwrócili się twarzą w tę stronę. Cedro i Olbromski, stojąc obok siebie w strzemionach, wyteżyli oczy. Serca w nich stanęły jako i w tym całym tłumie.

W otoczeniu generałów i adiutantów wjechał na pole, między żywe mury, Jan Henryk Dąbrowski. Ciężko szedł koń cisawy pod jego olbrzymią posturą. Generał wiódł oczyma po szyku i niezgruntowana radość błyskawicą strzelała mu z oczu.

W milczeniu, ciężko zszedł z konia. Poszedł ku namiotowi. Wówczas otworzył się w innym miejscu szereg wojskowy i weszli tamtędy dwaj oficerowie: Roman Matusewicz, adiutant-major kawalerii, i Józef Lubieniecki, rotmistrz. Pierwszy niósł na pąsowej poduszce pałasz króla Jana Sobieskiego, przez legiony polskie zdobyty w Loretto, drugi na węgłowie — buławę hetmana Czarnieckiego.

Za wodzem postępował jego sztab świeżo przez Napoleona mianowany, więc Maurycy Hauke, pułkownik, niegdyś współdyrektor robót ziemnych w Mantui na San-Giorgio, obecnie pierwszy szef sztabu, za nim Tremo, podpułkownik i adiutant polny, dalej Pakosz, Weyssenhoff, Godebski i Cedrowski, podpułkownicy-adiutanci, za nimi porucznicy-adiutanci: Józef Hauke, Andrzej Stoss, Lettow, Jankowski, Bergonzoni, Stanisław i Józef Denhofowie.

Zaczęła się msza polowa. W milczeniu słuchało jej wszystko rycerstwo. Gdy skończyło się nabożeństwo, generałowie i oficerowie wyżsi pośpieszyli ku namiotowi. Nie bacząc na porządek kawaleria stanęła w strzemionach. Zwrócił się teraz wódz twarzą. Mówił:

— „Rycerze!

Za najszczęśliwszy dzień życia poczytuję ten, który po dwunastoletnim rozstaniu się połączył mię z wami, rodacy, który mi daje oglądać słodkie owoce prac moich za granicą podjętych ku utrzymaniu męznego ducha w Polaku. Jestem sownie od niebios nagrodzony, kiedyś was w istocie przekonał, że nie płonnymi ziemiówkami moich karmię nadziejami. Ten rok 1807 jest pierwszym, w którym każdy z was życie swoje poczyna...”

Ścisnął Cedro rękę towarzysza z całej siły i nie puszczał aż do końca mowy. Ale oto ujrzeni obadwaj, jak generałowie kolejną starszeństwa idą przysięgać. Podnosząc trzy palce prawej ręki do góry a lewą rękę kładąc na buławie Czarnieckiego, powtarzali uroczystie

słowa.

Na dany znak wojsko podniosło do góry broń.

KU MORZU

Okolo trzech tygodni pospolite ruszenie zabawiło w Łowiczu. Kotłowała się tam sprawa formacji korpusów, a nawet przewodnictwa nad całym wojskiem. Nosił, co prawda, w dniu przysięgi tytuł naczelnika Dąbrowski, ale szeptano na wszystkie strony o naczelnictwie księcia Józefa Poniatowskiego, który zdecydował się wreszcie na krok przystąpienia do Napoleona i jego sprawy. Tymczasem wojsko zgromadzone w Łowiczu podzielono z gruba na regimenty piesze i konne, i z nich w myśl Dąbrowskiego, wodza *de facto*, tworzone legie. Już poznańska siła wojskowa stanowiła najlepiej zorganizowaną legię pierwszą. Składały się na nią cztery regimenty piesze, jeden pułk jazdy i nieco artylerii.

W tej pierwiastkowej formacji każdy pułk jazdy miał w sobie sześć szwadronów. Szwadron tworzyły dwie kompanie. Kompania liczyła 170 kawalerów. Sztab składał się z pułkownika, sześciu szefów szwadronowych, jednego adiutanta-majora, kapitana i dwu adiutantów podoficerów. Na czele kompanii stał kapitan. Ten miał pod sobą: porucznika, podporucznika, wachmistrza starszego, furiera, czterech wachmistrzów, ośmiu kapralów, dwu trębaczów, kowala i 150 jazdy.

Gożej daleko prezentowały się wojska formacji kaliskiej. W batalionach pieszych można było widzieć nie tylko, jak chciały odezwy i instrukcje generała wojewódzkiego, młodzież od lat osiemnastu do dwudziestu pięciu, ale również i staruszków mocno zniedołężniałych. Siaki taki *possessionatus* wołał przecie wysłać na pola zdradnej Bellony najnieodolniejszego ze swych poddanych niż tęgą siłę roboczą. Ubranie tej piechoty było wielobarwne, aż miło. Ponieważ na miły Bóg wzywano w okólnikach, żeby dawać kantonistom majtki krótkie do kolan w takim tylko razie, jeśli im się daje buty z długimi cholewami, a trzewiki tylko w takim razie, jeśli kantonista otrzyma majtki długie do kostek i bardzo ciepłe, więc siaki taki *possessionatus* zaopatrywał swego obrońcę w majtki przez pomyłkę krótkie, ale za to dawał mu nie buty, lecz trzewiki. Tym porządkiem widziano w szeregach jakoby Tyrolczyków. Z szykiem i sprawnością, do taktu narodowej muzyki, połykiwali na mrozie z sarmacka — wątpliwą białością goleni.

Broń pruską zwożono furami z twierdzy wrocławskiej, która się była właśnie poddała, z Częstochowy i Koźła. Była to broń zapasowa rozmaitych kalibrów. Brakowało do niej skałek i nabojów, brakowało ładownic i tornistrów. W torbach parcianych po dawidowemu żołnierze nosili ładunki. Mimo to wszystko wojsko piesze występowało do apelu trzy razy dziennie, w gotowości jak do wymarszu. Bataliony z rana były egzericyrowane *en détail*, to jest po jednym rekrucie, a po południu plutonami i całym batalionem. Uczono głównie najpierwotniejszych ćwiczeń i poruszeń bojowych, tych jakoby skurczów i odruchów żywego ciała: formowania kolumny dywizjami i rozwijania jej w marszu, tworzenia z szybkością czworoboku i rozprostowania go w linie. Tę wszystką siłę pieszą podzielono na bataliony. Każdy batalion składał się z dziewięciu kompanii, z których jedna była grenadierska i jedna wołyżerska. Kompania liczyła 140 głów. Na czele batalionu stał jego szef. Ten miał pod sobą adiutanta-majora w stopniu porucznika i dwu adiutantów podoficerów. Kompanią dowodził kapitan, a miał pod sobą porucznika, podporucznika, sierżanta starszego, furiera, czterech sierżantów, ośmiu kapralów, dwu doboszów i 120 piechurów.

Lepiej daleko na ogół przedstawiała się jazda. Stali tu w szeregu ludzie lepiej odziani, zastępcy dziedziców i dzierzawców, więc ekonomowie, pisarze, leśniczowie, strzelcy, szlachta uboga, a nawet, powiedzmy, lokaje i kuchciki. Nie wszystkie konie były osiodłane, jako że odezwy mówiły jeno o koniu i uździe, toteż niektóre szwadrony ćwiczyły się i paradowały oklep. Jeszcze też prawie w tej armii nie było podkomendnych i wodzów. Wodzami z natury rzeczy byli ci, którzy żywot sterali w bojach, legionieści oraz jeńcy pruscy narodowości polskiej. Sam wódz naczelny nie był przez nikogo wodzem mianowany ani potwierdzony. Ten nim był, kto był naprawdę, to znaczy — Dąbrowski.

Obszlegi jeno a kanty kurtek znały, skąd ta kto rodem. Tu barwy papuzie — więc od Kalisza, tam pąsowe — to z Krakowskiego. Generał Krasieński przewodniczył całej jeździe kaliskiej, sieradzkiej, wieluńskiej i krakowskiej. Tak też zwano ów regiment —

Żołnierz, Polak, Wojsko

Strój, Żołnierz

„kalisko-sieradzko-wieluński”. Generał Niemojewski miał pod sobą regiment młodego Dąbrowskiego, najcelniejszy, strzelców poznańskich i kawalerię płocką. Surowy, mały, spiczastonosy generał Fiszer, albo raczej „Fiszerek”, komenderował całą infanterią i ćwiczył ją po polach tak akuratanie, że aż chłopom świeczki w oczach świeciły, a kolana tężały jak zgonionym zającom. Mimo wszelkie braki, mimo biedę kwiczącą, mimo niezapłacone *lenungi* albo wypłacane *fierkami* i trojakami zamiast należności właściwej i koniecznej na strawne — tęgie to było wojsko.

Cały Łowicz zmienił się w obóz wojenny. Jakąż to tam uroczystością było przestrzeganie parolu i hasła, tajemniczego *mot d'ordre* i *mot de ralliement*! Tłum cywilny, który nie miał prawa znać hasła ni parolu, umyślnie przecie chodził na przechadzkę tam właśnie, gdzie stały zaciągnięte warty i gdzie nie wolno było przystępować. Chodziło o to tylko, żeby słyszeć groźne a surowe pytanie sztyldwacha, czy trzeba było o to pytać, czy nie; — Kto idzie? — i odpowiadać głośno: — Swój, Polak!

Zaraz na początku stycznia generał Dąbrowski wyjechał do Warszawy, dokąd przybył już był właśnie sam Cesarz Napoleon spod Pułtusza, Gołymina, Czarnowa, Nasielska... Dnia 18 stycznia przyszedł rozkaz wyruszenia dla wszystkich sił łowickich. Usłyszeli, że mają iść do Bydgoszczy jedni, do Torunia drudzy. Z radością przyjęły ten rozkaz regimenty.

— Ponad rzekę! Z Wisłą! Na Prusaka!

Rozdzieliły się w Łowiczu drogi Rafała i Krzysztofa. Cedro został w szeregu, na miejscu, które zajął w pierwszej chwili. Rafał nie chciał za nic służyć w pstrej i przeważnie chudopacholskiej jeździe krakowskiej. Zakręcił się, pozawiazywał znajomości, stosunki, wynalazł koleżeństwa i został wreszcie wpisany do księgi kompanicznej jazdy Dziewanowskiego, do najprzedniejszego sztyku, który już był chodził w awangardzie Jana Henryka. Początek marszu na Bydgoszcz, wskutek tego że wojsko szło kupą, Galicjanie odbywali, choć nie w jednym szeregu, lecz jeszcze razem. Kazano wojsku ominąć Warszawę. Z żalem ten rozkaz spełnili. Z dala, z dala jeno widzieli bure dymy, a jasną lunę po nocy. Tam ci był on wódz nad wodze, niezwykciony Napoleon.

Przyszedłszy do nowego mostu na Wiśle między Zakroczymiem a Utratą, widzieli z dala we mgłach zimowych ów po Zawisłu splacheć ziemi pod galicyjską granicą, którądy w puszcze nadnarwiańskie weszły wojska Francuzów. Była przed nimi niedościgną gołemu oku, ale w nim krwawą kresą jakby ostrzem noża wryta granica galicyjska, od ujścia Świdra kierująca się na Miłosnę, na Zieloną do Grzybowskiej Woli tuż za Grochowem, żeby dalej przeciąć rzeczkę Długą, snuć się przed lasami Słupna i Radzymina, przez Wólkę Radzymińską, żeby od Wolicy raptownie wrócić pod sam brzeg Buga, okrążyć bliskie lasy Załubic i za ujściem Narwi w Bugu utonąć.

Stojąc przed szeregami uczyli swych żołnierzy wachmistrze, kaprale, furieri:

— Słuchaj, tamte oto czarne lasy, co pod Radzyminem widać, to już, psia ich mać, w Galicyi, a te bliższe — to nasze... Słuchaj! patrzaj!

Ruszyli w swoją drogę lewym brzegiem Wisły wielkimi marszami. Zima była niestała: dzień mrozu, nagle odwilż, wicher i deszcz, znowu przymrozek. Błota dróg, dopiero co zgęstniałe i ścięte od przymrozka nocnego, ranna odwilż przemieniała w rozciecze i bagna. Infanteria w swych kamaszach, butach, nieraz krypciach, a nieradko w obuwiu zostawiającym na glinie ślady pięciu palców i okrągłej pięty, brnęła z wysiłkiem i marzła siarczyście. Jeźdźca grzeje brat-koń, gdy pluta obu batem bije a wicher ćwiczy po udach. Piechura nie ogrzeje nic. Noclegi wypadały gdzie Bóg dał. Czasami w pobliżu dworów lub wiosiek, a nieraz w polu. Chwaliło sobie wojsko, jeśli kady choć pod borem, pod lasem. Jeśli była w pobliżu wioska, wnet jazda zajmowała dla zdrożonych koni stodoły, szopy, stajenki i wozówki. Tam je pocztowi z miejsca rozkulbaczali, żeby się zaś nie sedniły, a paśli czym się dało. Biada wtedy strzechom nie tylko chałup, ale i samych miejskich jurydyk! Nieraz i znaczny dworski dach piorunem zjechał na ziemię i przemienił się na kilkanaście przyziemnych budek.

Wydelikacyony kandydat na dyplomata, Krzysztof Cedro, nauczył się wnet cenić, jakoby skarb, zaczął mazowiecką sośninę. Skoro tylko wyznaczono obóz i dla szwadronów stanowiska czyli poczty, wnet schodzili się po staremu z Rafałem, zwinnie ścinali chojary co najbardziej rozrosłe, wkopywali je w ziemię jeden przy drugim, żeby zwartą z nich

ścianę uczynić od wiatru. Wierzchołki wiązali mocno, tworząc z nich jakby kopułę. Był to styl „bizantyjski”. W razie jeśli strzechy wieśniacze, a nawet — o *horror!* — dworskie, były w pobliżu, mościli na wierzchu gałęzi grubą strzechę z kłoci, nadartej w stylu niezupełnie misternym. Na dno tego wigwamu, którego otwarta ściana zwrócona była zawsze w stronę dużego ogniska, kładli umiejętnie gałęzie i wachlarzowate splewy świerkowe, zrazu wielkie, później drobniejsze, dopóki się z nich nie utworzyła wysoka aż pod kopułę a elastyczna pierzyna. Wówczas rzucali się na nią w pięciu, sześciu, pewni, że będzie unosiła jak sprężyny i od zetknięcia z błotem mazowieckim na pewno uchroni. Gdy się nadto oparli jeden o drugiego plecami a ponakrywali szczelnie dekami spod siodeł, zapadali w sen kamienny. W przymrozki odchodziło spanie kawalerskie. Wstawali rano weseli, wśród figłów, rzeźwi i czerstwi, jak z edredonowej pościeli. Ale w deszcz i wichry wylazili spod przemokłej słomy i spomiędzy ociekłych wodą gałęzi w humorach niezbyt edredonowych.

O chmurnych i ponurych świtaniach ostatnich dni stycznia wyrwał ich z legowisk gniewliwy a potężny łoskot ziemi, głuchy i tępy, głębią gruntu idący grom. Słuchali go we czci i zdumieniu. Zdawało się sennemu wojsku, że to łomoce w zmarzłą ziemię straszliwy kij-samobij, że wali w nią z góry, z wysoka młot-samogrzmot. Szedł polem-lasem ów grom daleki. Niosły go wiatry i dżdże, śniegi a nocne mgły.

— Wiara, słyszyta! — mruknie, bywało, starszy wachmistrz Jacek Gajkoś, co świat obszedł, jak długi i szeroki — słyszyta, jako to tupie!

— Słyszemy, panie wachmistrzu! A kto też to tak może tupać?

— E, gemajny! To i tego nie wiesz! Cesarz jegomość tupie. Zły.

— Zły?!

— Słyszysz, jeden z drugim, jak bije nogą w ziemię! Raz, raz! Jeszcze! Nie tak, jak kazał, nie tak, jak trzeba, zrobiły mu, widać, marszałki... Lecą tera ku niemu na chybkich koniach, a kapelusze w garściach, a łydki pod nimi dygocą, jeden przed drugim szwargoce, że nie on winien...

— A gdzie też to Cesarz jegomość siedzi tera, panie wachmistrzu?

— Bóg jego sam wie, gdzie on. Słuchaj, skąd głos idzie. Tam Cesarz siedzi. Sto armat bije. Słyszysz, my tu nad rzeką, nad Wisłą, a tam, widzisz, Zawisłe, tam Bug, tam Narew przez podlaskie i mazowieckie piachy cicho płyną. Gdzie to ta wlaź — Jezusie, Maryja! W puszcze, w lasy, w Pułtuskie, w Przasnyskie, ponad jeziora, het — precz w północną stronę! Już się tam zdrajca brandenburski rozsiadł na piękne, kartofli nasadził, faję zakurzył, a ty na swoim własnym zagonie czapkę przed nim trzymaj! Bo na to wyszło. — Na wieki, prawi, tu ostanę i ciebie, prawi, stąd wygonię, a swoich Michałków na twoją ziemię sprowadzę i Michałkom twoją ziemię oddam. A ty idź, precz mi się z tela wynoś! *Majn* to jest, prawi, *faterland*, moje panowanie i rozkaz. Twoja ziemia to jest teraz moja ziemia... Warszawę wziął i zabrał, Częstochowę wziął i zabrał, pod sam Kraków się podciągnął, ale gdzie! Za Górą Kalwarią, do Warki, ponad Wisłę się wszczepił! A tera, pludrze, portkiś zgubił, tak zmykasz! Gdzież to je twoja ziemia? Pokaż no ją! Berlina swego nie masz, zuchelka ziemi nie masz, złodzieju cudzego dobra! W głębokie morze chyba kozła magniesz ze świętej ziemi. Poznałeś, jako to pachnie, kiedy cię z pieleszów wykurzą ojcowych?

— Musi być, że się Niemiec jeszcze w kupę weźnie...

— Nie pomoże mu nikt, żebyś ta nie jednego, ale dziesięci zwołał, bo sam Cesarz idzie!

— A dokąd też tak zajdzie Cesarz jegomość?

— Nie waź się o to pytać! Nie waź się! Sam jeno Bóg Najwyższy tę rzecz wie. Jemu jednemu po nocach kazuje, jak prawo na świecie robić. On tylko jeden tę rzecz wie na tym świecie. A ty się nie waź pytać!

Cedro słuchał tych bajdów-pogwarów z twarzą surową i poważną. Wspominał mu się Jelitczyk-Ojrzyński, z przydomkiem Mieczyk. Czy też i on słyszy, czy też słyszy, jak wielki cesarz gniewnie tupie nogą w mazurską ziemię?...

Aczkolwiek miał pocztowego, Krzysztof sam pilnował swego konia. Czyszczenie tylko i zadawanie obroku zostawiał żołnierzowi, a zresztą wszystko sam pełnił. Uczył się służby obozowej i garnizonowej, składu musztry, szyku i porządków. Koń jego nie był nadzwyczajny, ale i nie ostatni. Krzyż miał żelazny, boki zwięzłe, mocny był w kolanach,

kopytach i zadzie, łeb trzymał prosto, a w pysku był miękki w miarę. Krzysztof jeszcze od Jarzymskiego nabył dekę obszerną, terlicę, choć nie nową, ale wytrzymałą, węgierskim krojem. Dekę zawsze sam składał we czworo pod kulbakę, według zasad starszego wachmistrza, o pięć palców od przedniej łopatki.

— A dekę wytrzepać, wytrzepać nie raz i nie dwa!... — mrucał stary Jacek. — Ze słomy, ze siana, z igłów sosnowych ochędożyć do znaku, bo my nie Żydy i nie na jarmark do Bełchatowa ciągniemy. Terlicę kłaść ostrożnie, żeby się zaś pasmo grzywy pod kulbaką nie zaplątało, bo głupi konia znarowi, jak mu grzywę terlicą przytnie. Popręgi upiąć nie mocno, bo głupi poprężnicę koniowi sfasuje, a znowu i nie za letko, bo kiep zleci ze szkapy w samym środku ataku, jak lancę przyjdzie za koński łeb wydalić albo pałaszem ciąć z góry a od serca. Albo i ten mantelzak! Mantelzak równo i mocno przytroczyć — to ta już pierwsza rzecz! Równo i mocno, a jak dobrze przypięty, wtedy dopiero noga w strzemię. Stopa zgięta, ostrogę nieść jak jajko. Trzy! No... Terazże na nas wychodź, czarny jucho, abo i sam, czerwony huzarze!

Zaraz po przybyciu do Torunia mała armia była rozdzielona na dwie części. Jedna z nich poszła dalej, do Bydgoszczy, a druga została pod komendą generała Zajączka. Do tej drugiej gromady, która miała wejść w skład legii drugiej, czyli północnej, należał Krzysztof Cedro. W Toruniu był już spory zastęp oficerów i żołnierzy polskich, sformowany w Hagenau i Lipsku z jeńców pruskich wziętych w niewolę pod Jeną, Auerstaedt i Prenzlöwem.

Rafał ze swym pułkiem pociągnął o milę od Wisły, do Bydgoszczy. Zastał tam już nie naczelnika siły zbrojnej polskiej, lecz tylko generała dywizji i komendanta legii pierwszej — Jana Henryka Dąbrowskiego. Legia składała się z kompanii artyleryjskiej, z czterech regimentów piechoty i jazdy pospolitego ruszenia. Mówiono wciąż o przekształceniu pułków jazdy. Trzy szwadrony miały się składać na pułk. Czekano lada chwila na rozkaz w tej materii komisji rządzącej — i ministra wojny.

Zawrzało w Bydgoszczy gorączkowe, rzec można, namiętne życie. Zwożono jeszcze broń, skóry, szyto siodła i ładownice. Krawcy nie mogli nastarczyć, nad siodlarzami żołnierz stał dzień i noc. Ściągały się jeszcze pojedynczo oddziały najświeższego składu. W jeździe pospolitego ruszenia fortragowano szybko i łatwo żołnierzy na stopnie podoficerskie, a nawet na subalternów, byleby „obiekt” posiadał choć jakie takie uzdolnienie. Ten i ów ani się obejrzał, kiedy otrzymał prawo na zamówienie u szmuklerza znaków szarzy oficerskiej i miał możliwość przyczepienia do prawego ramienia szlufy podporucznikowskiej z dwiema jedwabnymi pręgami, kontrepoletu, feldcechu i kordonków bez bulionu. Świeżo umundurowani porucznicy polyskiwali pręgami przerobionymi granatowym jedwabiem na taśmie przez całą jej długość u szlufy, nowi majorowie z dumą wznosili ramiona obciążone dwiema szlufami, których buliony trwogą przejmowały gemajnow, a „przeciwna” taśma urągała samym kordonom u pułkownikowskiego kapelusza.

W tym samym czasie trafiały się między żołnierstwem przypadki dezercji. Pojmano kilku, przeważnie starych, jak zmiatali w stronę domową na poły bosy, obdarci, z pustymi brzuchami. Tłumaczyli się, że przy żadnym wojsku nigdy nie byli, że głód marli, że duszy w sobie nie czują. Sąd wojenny, zebrany natychmiast, skazał ich na długotrwałe ciężkie roboty w łańcuskach, do twierdzy częstochowskiej. Na gwałt ustanawiane kresy między Bydgoszczą, Toruniem a Sieradzem do poczty listowej — musiały, w braku ludzi, odstawić na miejsce przeznaczenia pierwszy transport... zbiegów.

Krótko to wszystko trwało. Już w pierwszych dniach lutego generał Dąbrowski wyszedł z Notecizny i pociągnął ze swoją siłą w marsz, pod rozkazy zrazu Bernadotte'a, księcia Ponte Corvo, później generała Lefebvra-Desnouettes, operującego na prawym brzegu Wisły. Rozeszła się w legii wieść: „Na Gdańsk! na Kołobrzeg!”. W marszu, na postojach, nocą na pocztach uczył starszy żołnierz, co je ów Gdańsk, gdzie i na jakiej ziemi stoi Kołobrzeg. Nieśli z sobą i rozrzucali wszędzie odezwę generała Dąbrowskiego z kwatery głównej w Nowem wydaną „Do Holendrów i wszystkich rodu niemieckiego mieszkańców na ziemi Polskiej”, której to odezwę główne punkty głosiły:

„Holendrzy, Niemcy i jakiegokolwiek religii i rodu ludzie, zamieszkali na ziemi Polskiej, którzy się zachowają w swoich domach spokojnie, żadnego z nieprzyjaciółmi kraju nie będą mieć porozumienia, zachowają wierność dla rządu polskiego, wypłacać będą

postanowione kontrybucje i podatki, doświadczą wolności w wyznawaniu swojej religii, obrony swoich osób, majątków, uważani będą jako bracia i ziomkowie. Wy zaś, Polacy — głosila odezwa — którzy wyznajecie religię katolicką, pomnijcie, że przychodnie, na waszej osiadli ziemi, przez wspólne dla kraju obowiązki stali się waszymi braćmi; pomnijcie, że Ewangelia każe nam żyć po bratersku, zostawcie wolność każdemu od Boga nadaną wielbić go podług swojego przekonania i nie badając różnicy wiary bądźcie obywatelstwem połączeni z mieszkańcami, którzy przemysłem i pracą kraj wasz zbogacają...”.

Lewe skrzydło korpusu polskiego szło pod rozkazami generała „Amilkara” Kosińskiego, który grzmiał teraz ponad Brdą, w borach pomorskiego pojezierza, jak istotny Amilkar, tak przed nim chyżo Niemce uciekały. Lewe skrzydło jego oddziału sięgało Słupska, przezwanego Stolpem, i przecinało Gdańsk od Kołobrzega. Miasto Chojnice stanowiło miejsce oparcia i punkt koncentracyjny wszystkiej siły Amilkara. Dopiero około dwunastego lutego generał Łubieński z komendy Kosińskiego zmuszony był pod Szczecinkiem (Neu-Stettin), wśród wyżyny pojezierza, atakować nieprzyjaciela na czele rycerstwa z województwa rawskiego. Pokazały się znaczne siły Niemców. Była to nie tylko piechota liniowa pruska, ale nadto uzbrojeni mieszkańcy miasteczek, owi „Holendrzy i Niemcy...”. Siły te znacznie przewyższały co do liczby armię Amilkara, ale jazda rawska rzuciła się na tłum nastawionymi lancami, niewiele sobie robiąc ze strzelania, i skutek był pewny: dziesięciu położono trupem, a pięćdziesięciu zagarnięto w niewolę.

W tym samym czasie główny korpus wojska generała Dąbrowskiego nieustannie szedł naprzód. Znajdował się już na wysokim brzegu Wisły, skąd widać było po tamtej stronie rysujące się w dwumilowej odległości mury Grudziądza i Kwidzyna. W przedniej straży, która zostawała pod ogólnym naczelnictwem generała Niemojewskiego, szedł regiment jeźdźców poznańskich pospolitego ruszenia pod Dziewanowskim. Tam właśnie kwitł Rafał Olbromski.

Już pod Nowem, na brzegu Mątawy, ów regiment, dybący zawsze na sztychu, wpadł na mocny patrol czerwonych huzarów. Była to pierwsza utarczka Rafała. Mało z niej odniósł wrażeń. Z dala ujrzał jeźdźców w burki owiniętych, przemokłych, wskakujących na koń w popłochu. Rzucił się za innymi naprzód, dobywszy pałasza, ale jeno przecwałował w kupie ze dwa stajania pola. Prusacy odrąbując się, strzelając z rzadka, gdyż mieli, widocznie, broń zamkniętą, cofnęli się ku miastu na rozkiełznanych koniach pod osłonę piechoty i armat. Później dopiero Olbromski dowiedział się, że wzięto kilkunastu jeźdźców — i z podziwieniem oglądał pośepnych, bezbronnych, milczących chłopów niemieckich, gdy ich miano odstawić w kierunku na Bydgoszcz. Podobnie pomyślna gratka trafiła się poznańskim kawalerom pod Opaleniem, czyli Minsterwaldem, gdzie jazda dziewanowczyków dopadła i wzięła w jasyr 16 dragonów i ośmiu piechura z przedniej straży pruskiej.

Tegoż jeszcze dnia przyszło do bitwy. Dywizja polska musiała się w niej cofnąć przed nieprzyjacielem, który z drugiego, prawego brzegu Wisły przeszedł po lodzie. Grad kul sypała artyleria konna pruska, stojąc na prawym brzegu rzeki, w młodą piechotę polską. Batalion pierwszy regimentu trzeciego pod wodzą Fiszera i batalion pierwszy regimentu czwartego pod pułkownikiem Wasilewskim zostały napadnięte bagnetem. Pomimo całej nieumiejętności, braku skałek i nabojów młode wojsko zdołało bronić się przez cały dzień i odpierało napaść, ile mogło. Pierwszy to raz sześciu trupów, poległych na placu, nocną porą zakopała wiara w zmarzłą grudę. Kilkudziesięciu rannych wyniesiono z szeregów.

Runęła już była między wojska wieść o strasznej bitwie pod Pruską Ilawą. Wieść wychwalała ten bój jako zwycięstwo. Toteż nowy duch wstąpił w wojsko polskie, które przez zawieszenie blokady Grudziądza, przez wsteczny ruch wojsk prawego brzegu Wisły, mając odsłonięte i wskutek zamaznięcia Wisły bezbronne prawe skrzydło, musiało być skoncentrować się o trzy z górą mile od Bydgoszczy, w Świeciu. Po rozpoczęciu około 15 lutego ponownego oblężenia Grudziądza, przy czym dwie kompanie batalionu Fiszera przeszły pod gradem kul Wisłę i przyczyniły się do zdobycia twierdzy, generał Dąbrowski ruszył znowu naprzód. Stał wreszcie kwaterą w Gniewie nad Wierzycą. Stare mury, fosa wodą napełnione dawały tu niejaką nadzieję obrony. Mocne posterunki wysłane zostały na trakt bydgosko-gdański ku Tczewu i na drogi do Starogardu, ponad jezioro zwane Staw, ponad Wiejskie Jezioro do Rakowca, do Białej czyli Gellen, i do Królówlasu (Königswalde) nad rzeką Jonką. Z Gniewa do Gdańska zostawało jeszcze sześć mil drogi bronionej.

Wojsko spoczęło i miało tu przebyć czas pewien na leżach. Tylko 56 rycerstwa z jazdy sieradzkiej, która była przebyła Wisłę, żeby wziąć udział w bitwie pod Kwidzynem dnia 11 lutego, gdzie marszałek Lefebvre pobił na głowę generała Roquette, nie wróciło na miejsce swoje.

Niedługo jednak zostawiono Dąbrowskiego w spokoju. Już 18 lutego Prusacy z dużą siłą 3 000 ludzi napadli zarówno z prawego flanku na Starogard, w równinach między lasami na prawym brzegu Wierzycy, jak również i na Peplin. W Starogardzie tego właśnie dnia stanął korpus generała Menarda w sile sześciu tysięcy ludzi, przeznaczony do wzmocnienia generała Dąbrowskiego; w odległości niespełna dwu mil od tego miasta stał pułk Dziewanowskiego. Posłyszawszy strzały Dziewanowski pchnął szwadron ze swego regimentu pod wodzą porucznika Łojewskiego. Oddział ów szedł ze wszelkimi ostrożnościami, mając o 200 kroków przed sobą kwatermistrza dowodzącego tak zwaną szpicą.

Dragoneria pruska wypadła z lasu i obces, zwartym szykiem, rzuciła się na ów oddział. Jeźdźcy polscy, uzbrojeni w lance, ustawili się proporcami i skoczyli na nieprzyjaciół z taką furją, że dwu położyli trupem, a piętnastu wzięli do niewoli. Sam pułk Dziewanowskiego był w tymże czasie atakowany przez regimenty jazdy. Dzień był ohydny. Bił w oczy śnieg z deszczem, wicher niósł słotne chmury po samej ziemi. Z mroku, z lasów niewidzialnych w zamieci, jazda pruska wyrwała się jak nowa chmura. Pułkownik, trzymający swoich w pogotowiu i czuwaniu od chwili wysłania Łojewskiego, mógł dać dragonom silny odrzut, ale w regularnym starciu świeżo zebrana jazda nie mogła wytrzymać długiego natarcia umiejętnie ćwiczonej kawalerii pruskiej. Wszczęło się zamieszanie. Jeźdźcy rąbali szablami na odlew, z ramienia. Żołnierz polski walczył przeważnie lancą.

Gdzie mógł kupą się rzucić w skok z nastawionym proporcem, tam wywracał cały hufiec; Prusak zlatywał z konia albo chwycił się ostatniej obrony kawaleryjskiej: palił z pistoletów i umykał. Część dragonów została odparta, odpędzona aż pod baterie, wegnana za nie i znikła w tumanach zawiei. Wszelako i z polskiej strony były straty. Jeśli tylko dragoneria mogła nagle a sprawnie uderzyć pałaszem, pędząc z kopyta i wbijając się między konie polskie, tam zapewnione miała zwycięstwo. Z pistoletów i sztucerów ubito kilkanaście koni. Rafał wywijał tego dnia szabliskiem co się zowie. Nacierał już dwakroć i odrębywał się sprawnie. Nieszczęście jednak stało tego dnia przy nim. W mroku i wicherze, zapędziwszy się samotrzeć w starciu z kilką dragonów, nie spostrzegł, co się dzieje, i został otoczony. Ze zgrozą rzucił spojrzenie na bok, w tył... Dragony nań zewsząd z szablami. Obok niego jeno trębacz i trzech rycerstwa! Chciał się w ostatniej minucie rzucić w lukę między ludźmi. Zdarł konia. Do pistoletu! Wszystko za późno. Pierwszego trębacza chwycił dragon za kark i wykręcił mu w tył rękę. Wraz jemu samemu kilku ciosami obezwładnili ramię i wydarli pałasz. Wreszcie i trzech towarzyszyw ściśnięto kołem i odebrano im lance.

Najstraszniejszy wstyd i głęboka rozpacz buchnęły w piersi jeźdźca. Miał jeszcze w olstrach pistolety, a dragonów było ledwie kilkunastu. Wzięli jeńców we środek i co koń skoczy popędzili środkiem mokrego pastwiska kierując się w stronę Starogardu. Właśnie sypnęły krupy śnieżne i cała ziemia utonęła w kurniawie. Kiedy tak rwali z kopyta i kiedy właśnie z moczaru wypadli na trakt starogardzki, raptownie — tętent — krzyk:

— Bij! zabij!

Dragony wyrwały szable i w bój! Rafał co tchu w piersi szarpnął rękę, wydarł się, sięgnął w mgnieniu oka po pistolet i pierwszemu kawalerowi z brzoza huknął w łeb, przyłożywszy otwór lufy niemal do ucha. Szarpnął wodze, ostrogi w bok, wykręcił na miejscu i piersiami końskimi uderzył w najbliższego Niemca. Dym zasłonił mu obrót sprawy. Wypadł ze środka. Za nim wrzała utarczka. Prusacy rozpiezchli się, słyhać było szczęk walki i chlustający plusk wody po błoniu. Olbromski nie oglądał się poza siebie. Gnał pustkowieciem, aż zdało mu się, że cała łąka pierzcha pod jego koniem. Dopiero w przyległym lesie wstrzymał się i stanął. Koń jego robił bokami. Zgrzany od ognia, trwogi i biegu dymił się teraz kłębamii pary. Sam jeździec mokry był, jakby ze stawu wyłazł. Serce waliło mu w żebra jak dobosz w bęben. Wrzawa jeszcze trwała. Słyhać było w lasach i mgle od Starogardu piorunowe loskoty strzałów i ciągle echa leśne, jakoby posępne jęki puszczy. Po długiej chwili nasłuchiwania Rafał stwierdził nareszcie z radością, że gwar cichnie i znika w oddaleniu. Wtedy wolno ruszył przez las i po długich

błądzeniach dotarł do jakiejś wioszczyzny. Tam życzliwie przyjęty od włościan, powziął wiadomość o drodze do Peplina i trafił do swego szwadronu. Gdy przybył na miejsce, z niemałą radością dowiedział się, że jego trzej towarzysze wraz z trębaczem są już na miejscu, odbici z niewoli przez podjazd młodego pułkownika Jana Dąbrowskiego, i że on sam jednemu z eszelonów tego podjazdu winien jest swoje ocalenie.

Po odepchnięciu natarcia Prusaków od Starogardu i Peplina przez tydzień trwały mało znaczące utarczki forpocztów, osobliwie na lewym skrzydle. Przednie straże, prowadzone przez poruczników, podporuczników i chorążych regimentowych, wyjeżdżały małymi komendami w kraj i czyniły wywiady. Tu i owdzie, skoro tylko było to możliwe, zabierano ze sobą burmistrzów i amtmanów, żeby od nich powziąć wiadomość o stanie okolic i sile wojsk pruskich, rozlokowanych na drogach ku Tczewu.

Po upływie tych kilku dni generał Dąbrowski zdecydował się na krok stanowczy. W dniu 23 lutego wykonał atak na miasto powiatowe Tczew, o trzy mile odległe od Gdańska a stanowiące niejako klucz tej fortecy. Głównymi punktami koncentracji sił niemieckich poza murami Gdańska był właśnie Tczew (Dirschau), Miłobądz (Mühlbanz) i Skarszewy (Schöneck) nad Wietcisą, rzeczką zasilającą wody Wierzycy o dwie mile ku północy od Starogardu. Siły polskie i pomocnicze francuskie pod dowództwem Menarda wypoczywały na leżach w Gniewie, Peplinie i Starogardzie. Ostatni posterunek wzmocniły właśnie w ciągu tych dni: regiment badeński, jeden batalion młodej piechoty krakowsko-kaliskiej z legii północnej Zajączka oraz dwie armaty. Generał Dąbrowski stał kwaterą w Gniewie, a przednia jego straż koczowała na traktach bydgosko-gdańskich sięgając do Gręblina na wysokości lewego brzegu Wisły. Ta straż przednia składała się z regimentu jazdy poznańskiej, z czterech kompaniów strzeleckich i miała ze sobą cztery armaty. Ruch, wykonany w dniu 23 lutego, rozpoczął z rozkazu głównodowodzącego, Jana Henryka Dąbrowskiego, generał Menard.

Wyruszył mianowicie ze wszystką swoją siłą ze Starogardu na Skarszewy gościńcem starogardzko-tczewskim, wyparł nieprzyjaciela ze Skarszew i pewnej części swojej dywizji kazał je zająć. Sam pociągnął dalej. Przednia jego straż pod sprawą generała Putod, składająca się z dwu batalionów polskich i z jazdy badeńskiej, uzbrojona we cztery granatniki i jedną armatę, miała rozkaz zawrócić na północ i zagrozić drogę siłom, które by z Gdańska na odsiecz Tczewa śpieszyć mogły. Była to pierwsza kolumna wojska atakującego. Z Gniewa i Peplina szła druga, to jest korpus wojska generała Dąbrowskiego pod „Amilkarem”. Oprócz tego jeden batalion zdążył do Tczewa drogą prowadzącą z Rajkowy na Czyżykowo (Zeisendorf). Pierwsza kolumna, czyli lewe skrzydło, jak to przewidział Dąbrowski, wnet spostrzegła siły pruskie ciągnące z Łęgowa (Langenau), miejscowości o dwie mile odległej od Gdańska, bitym traktem tczewsko-gdańskim. Wnet przednie straże francusko-polskie zetknęły się z Prusakami pod Dąbrową (Domerau). Generał Menard pośpieszył na miejsce, a za nim cała jego komenda.

Zawrzała bitwa.

W tym samym niemal czasie prawe skrzydło uderzyło na szańce Tczewa. Piechota niemiecka, ukryta za starymi wałami, raziła napadających ogniem plutonowym, a dwie armaty, ustawione na prost traktu w bramie północnej, czyli Gdańskiej, oczyszczały drogę. Wnet jednak pod silnym impetem napaści strzelców polskich obrońcy wałów musieli cofnąć się na przedmieścia. Wypadło zdobywać miasto wstępnym bojem. Żołnierze pruscy i uzbrojeni mieszkańcy, zaczajeni w dymnikach, we drzwiach, sieniach, oknach, za węglami, strzelali bez przerwy. Szef sztabu, Maurycy Hauke, na czele grenadierów i woltażerów poznańskich uderzył na te domy bagnetem. Idąc na kule, w gęsty dym, zdobywano dom po domu, stodołę po stodołę. Major Sierawski z batalionem pierwszego regimentu piechoty pośpieszył im na pomoc. Niemcy ustąpili z lichych domostw przedmiejskich, ale uchodząc zapalili te wszystkie szopy i budy, żeby uniemożliwić dostęp do bram. Brama zachodnia zawarła się przed atakującymi, którzy teraz wystawieni zostali na strzały zza murów, a sami wili się między zgłiszczami jak w piecu ognistym.

Przy bramie Gdańskiej, gdzie Prusakami dowodził major von Bothe, wrzała walka tym ciętsza, że tam były bez przerwy armaty sześćofuntowe i strzelała piechota liniowa. Generał Niemojewski i sam wódz naczelny wszelkich dokładali starań, żeby złamać wejściowe wierzeje. Z dachów, ze strzelnic, z dziur, dymników leciały na oblegających kule i ogień kartaczowy. Cztery armaty i dwa granatniki pod komendą porucznika Cha-

relot krok za krokiem zbliżały się do tej bramy północnej. Drugi batalion regimentu piechoty, dybiący śladem tych armat, wytrzymywał z flegmą i stałością wszystkich ognień obrońców. Nareszcie porucznik Charelot zbliżył się tyle, że mógł wśród gradu kul ustawić dwie swoje haubice naprzeciwko bramy i zaczął w nią pracować na wylot, raz za razem. Ale stara brama nie puszczała. Walka z całą zaciętością ciągnęła się już sześć godzin. Trzydzieści trupów zaszło drogę prowadzącą do Gdańskiej bramy, a sześćdziesięciu ciężko rannych wilo się w rowach, pod przykopami, wśród zgliszcz. Dwunastu oficerów ciężko rannych wyniesiono z placu boju.

Kiedy tak ciężko walczyło pod dwiema bramami wojsko polskie i kiedy ciągle grozi mu niebezpieczeństwo odsieczy z Gdańska, gdyby Menard został pobity, zdarzył się wypadek, który na los oblężenia wpłynął od razu i decydująco. Miasto Tczew posiadało trzy bramy: Młyńską czyli Gdańską na północy, Wodną czyli Wiślańską na południu i Wysoką na zachodzie. O istnieniu bramy Wodnej nikt z oblegających nie wiedział. Z tej strony miasta, między ogrodami, wśród parowów stały tylko tu i owdzie na wyższych miejscach pikiety i podsłuchy polskie. Żywego człowieka nie było w całej okolicy. Błąkał się tylko ponad Wisłą jakiś niedorostek obdarty i półnagi. Kiedy zbliżył się do podsłuchu i był zapytany, co jest za jeden i czego tu łązi, odpowiedział, że jest świniarkiem, że służy u jakiegoś Steltnera i że ojcu jego na przewisko Ćwikliński. Skarżył się z bekiem, że go pan zbił i wygnał z domu. Ojcu, powiadał, boi się pokazać na oczy, panu to samo. Nie ma już teraz dachu nad głową. Idzie przed siebie i tyła. Ponieważ był z miasta i znał je wybornie, zaczął mu zadawać pytania. Wtedy rzekł:

— Oj, ludzie, ludzie!... Wy tam strzelacie z przodka, a tu od Wisły miasto całkiem gołe.

Rozpytano go szczegółowo i wtedy jasno wyłożył, że brama Wodna nie ma żadnej straży.

Pikiety odstawiły chłopca do czat, te podały go dalej, aż stanął przed obliczem generała Dąbrowskiego, który z wyniosłości pagórka pod Sztembargiem przypatrywał się kolejom bitwy i lustrował okolicę. Wysłuchawszy powieści chłopca generał kazał podwoić ogień na bramę północną i zachodnią. Młody książę Sułkowski, ranny już, na czele drugiego batalionu regimentu pierwszego, i major Brucken, jako dowódca piechoty badeńskiej, natarli z całą forsą na bramę Gdańską. W tym samym czasie generał Dąbrowski, wzięwszy ze sobą batalion majora Sierawskiego i batalion pułkownika Fiszera, ruszył chyłkiem według wskazań Ćwiklińskiego. Po wertepach, dołach, parowach, przesadziwszy płoty ogrodów, parkany i rowy, dotarł do Bramy Wodnej, czyli Wiślanej. Brama w istocie była na poły zepsuta i bez obrony. Bataliony wyłamały ją, weszły do miasta, przebiegły tylne ulice i z nastawionym bagnetem rzuciły się na osłupiałych Niemców.

W tej samej chwili zdruzgotane kulami wierzeje Bramy Gdańskiej runęły i wojsko z północy wdarło się do miasta. Prusacy strzelali z okien i ze drzwi. Wreszcie kiedy i bramę Zachodnią rozwalono, załoga w sile pięciuset ludzi z dowódcą poddała się. Zabrano działa. Kiedy po dokonanej kapitulacji Dąbrowski wjeżdżał na główną ulicę miasta, w pobliżu kościoła katolickiego św. Krzyża z okna kamienicy padło kilka strzałów. Jeden z tych zdradzieckich pocisków ranił generała w nogę. Rozjątrzone wojsko rzuciło się na ten dom i przetrząsnęło jego wnętrze nie szczędząc nikogo. Chwymano niewolnika, zabierano bagaże i broń, uprowadzano konie albo zabierano z nich uprzęż, ściągano wozy do przewiezienia z pola rannych, chromych i osłabłych. Stały wreszcie wojska w mieście. Rozeszła się wśród nich wieść, że opanowane są Skarszewy i Miłobądz, a nieprzyjaciel z pośpiechem cofnął się w mury fortecy. Wtedy jeden okrzyk rozległ się w szeregach:

— Na Gdańsk! ku morzu!

Popioły

Podstęp, Dziecko,
Zwycięstwo, Walka, Miasto

TOM III

SZLAK CESARSKI

Dywizja generała Zajączka, czyli tak zwana legia północna, podzielona została na trzy brygady. Pierwsza z nich, pod dowództwem generała Fiszera, składała się z regimentu piechoty zapożyczonego z dywizji trzeciej, z pierwszego regimentu kawalerii krakowskiej i czterech sztuk armat sześciofuntowych. Część tej siły, pod bezpośrednią komendą generała Fiszera, udała się była w lutym na pomoc generałowi Dąbrowskiemu i wzięła udział w wyprawie na Tczew, później w marcu przeszła Wisłę i wróciła do swej komendy. Druga brygada legii północnej słuchała rozkazu generała Izidora Krasińskiego, poprzednio komendanta wszytkiej jazdy rycerstwa. Składały ją: regiment trzeci piechoty i pułk kawalerii krakowskiej z dwiema armatami czterofuntowymi. Brygadą trzecią dowodził generał Wołodkiewicz, a miał pod sobą regiment czwarty piechoty, drugi kawalerii i dwa działa czterofuntowe. Wszystka ogółem artyleria tej dywizji zostawała pod dowództwem i sprawą szefa szwadronu Chopina.

Krzysztof Cedro nie wyszedł ze swego szeregu. Po zaprowadzeniu nowej organizacji znalazł się w drugiej brygadzie generała Krasińskiego. Pułki te stały w Toruniu do 28 lutego 1807 roku. Wyruszywszy stamtąd przeszły Wisłę i pociągnęły w marsz na Pokrzywno (Engelsburg) i Niborg (Neydenburg), gdzie generał Zajączek pozostał aż do dnia 26 maja, nieznaczny biorąc udział w akcji. W okolicy Niborga stały naokół wysunięte bataliony piechoty i kompanie jazdy. W Maldze stał batalion piechoty, 50 koni kawalerskich i jedna armata heska; Dębowca strzegł drugi batalion piechoty i 40 koni; w miejscowości zwanej Kot było 50 koni i druga armata heska; w Przysowie 20 koni, w Omulcu 10, wreszcie dwanaście koni rozmieszczono między Omulcem a Orłowem. Siła kawalerska tworzyła łańcuch zakrywający posterunek główny i osłaniała wszystkie drogi.

Skoro tylko rozlokowano wojsko po chatach, budowlach i w ogóle pod dachem, a dla koni urządzono w stodolach i wozowniach gródze, zaczęły się napaści lotnej konnicy nieprzyjaciela oraz podjazdowania odwrotowe ze strony polskiej. Krzysztof Cedro znalazł się w Kocie na początku marca. Gajkoś wyszykował tu dla konia dobre pomieszczenie, a niezły siennik na pryczy w alkierzu wieśniaka. Zrazu wszystko szło po dawnemu: musztry, egzerceunki, ćwiczenia gimnastyczne. Ale już po upływie dwóch tygodni zaczęły się czasy niespokojne. Konnica nieprzyjacielska wpadała do wsi w nocy, nad ranem, pod wieczór, w południe i przy śniadaniu, z wrzaskiem i gwizdaniem mknęła ulicami i gubiła się w zimowej szarudze. Gajkoś szczególnie lubił zabawy z tymi wojakami.

W dniu 25 marca o zmierzchu zdarzył się właśnie jeden z takich napadów. Co najmniej cztery seciny jeźdźców nieprzyjacielskich wpadły do wsi i usiłowały ją podpalić z czterech rogów. Podpułkownik Skalski kazał trąbić gwałtownie „na koń” i w mgnieniu oka cała siła posterunku rzuciła się na napastników. Atak był odparty równie szybko, jak się zaczął. Krzysztof pędził za innymi w mroku padającego wieczora, widział nawet przed sobą konnego brodacza, ale pomimo całej siły konia dopaść go nie mógł.

Pod zebraniem się sił obronnych uradziła starszyzna wykonać niezwłocznie podjazd. Okrzyknięto w szeregach, że kto na ochotnika chce do wyprawy należeć, ma się zgłosić do pułku Dąbrowskiego. Gajkoś z Cedrą poszli wraz na ochotnika. Dowodził pułkownik Sienkiewicz. Szli podzieleni na partie, ciemną nocą, polami, w nieznanym zgoła kierunku. Z dala pod leśnym wzgórzem ujrzeni ognie, toteż obeszlili je całe w promieniu kilkuwiorstowym, wertepem a moczarem. Napadli z boku z północnej strony. Oddziałem, w którym się Krzysztof znajdował, dowodził rotmistrz Zaborowski. Byli tu w kawalerii krakowskiej porucznicy: Gontkiewicz, Wychliński, Szymański i Rzeciszewski. Cedro znał ich wszystkich jeszcze z Siewierza. Jechali w głuchym milczeniu aż do chwili stanowczej. Krzysztof nie mógł zrozumieć nic a nic z całej tej wyprawy. Najbardziej był zdumiony, kiedy porucznik Wychliński spał nagle konia i rzucił się naprzód z takim wrzaskiem, zażywaniem pałasza i mocnych słów komendy, jakby go wściekły pies napadł. Natychmiast wszyscy uczynili to samo, nie wiedząc, o co chodzi. Jazda ochotnicza rzuciła się naprzód z lancami i wpadła między tlejące ogniska na ludzi rozespanych, którzy się zrywali z ziemi i siadali na koń wśród wrzasków, przekleństw i strzałów.

Zwycięstwo nad ową półsensną zgrają nie przyszło jednak z łatwością. Z głębokiego mroku wypadli sformowani w lotne oddziały. Wszczęła się walka na lance i piki, star-

cia mokrych koni i czarnych ludzi, bitwa w ciemności. Tam i sam wśród ognisk gonili się jeźdźcy na oko i z wrzaskiem wysadzali z siodeł. Tam to oficer Zaleski, dowodzący kompanią jazdy kaliskiej, w oczach żołnierzy od razu salwował się ucieczką, i tak dalece zdecydowaną, że Gajkoś wstrzymał konia. Splunął za nim w ciemność raz, splunął drugi raz jeszcze dalej, i tego nie było mu dosyć. Trzeci raz splunął w garść, chwycił nią jedlca szabli i dopiero! W trakcie utarczki świt nastał. W błękitnym mroku zimowym rozległ się szybki szczęk i trzask lanc, wzmogły się śmiertelne krzyki, stękanie koni i tętent skoków ich po żelaznej grudzie. Podjazd został panem obozowiska, kilkunastu koni, czterech trupów i siedmiu rannych jeńców. Tamci odrębując się i strzelając ustąpili z pola i znikli za lasem.

Nie upłynął jeszcze tydzień od tego wypadku, kiedy dywizja przeżyła nowe wzruszenie wojenne. Bardzki, szef szwadronu jazdy kalisko-sieradzko-wieluńskiej, stojącej na drodze ku Szymanowu, odebrał od marszałka Masseny nagły rozkaz maszerowania bez zwłoki, w kłus, pod Szczytno. Słychać było stamtąd strzały i łoskot bitwy. Szwadron, uszykowany *en bataille*, ruszył z kopyta i zaraz, ustawiony obok dragonii francuskiej, rozwinął kolumnę i atakował z lewego skrzydła. Utraczkami trwały przez całą noc bez odpoczynku, wytchnienia i popasu koni. Z rana, o godzinie siódmej, szef Bardzki atakował konnicę nieprzyjacielską dla zakrycia rejterady dywizji francuskiej ze Szczytna. Przed południem nieprzyjaciel w sile blisko trzech tysięcy jazdy uderzył forsownie na Kaliszan. Cugi pierzchnęły od razu i szwadron o mało nie był oskrzydłony. Dowódca dywizji przysłał rozkaz rejterowania się, co też wykonano z szybkością, precyzją i, jak to mówią, z chwałą, a pod osłoną lasu i kilkudziesięciu piechurów francuskich w nim ukrytych. Wielu oficerów i żołnierzy w tej sprawie dzielnie się spisało. Kapral Kwiatkowski dostał postrzał w bok, sam sobie kulę kozikiem spomiędzy żeber wydlubał, ranę opatrzył, a z pola bitwy nie zeszedł. Toteż zaraz następnego dnia fortragowany został na sierżanta. Kapitan Ostrowski świetnie odznaczył się zarówno w chwili awansowania w akcji jak i podczas rejterady, która poszła z chwałą. Porucznicy Zabłocki i Krasuski byli ciężko ranieni.

W tydzień później stosownie do planu wypracowanego przez generała Fiszera, wykonano atak na obozy zimowe nieprzyjacielskie pod wodzą generałów Fiszera, Krasińskiego i Męcińskiego. W tej sprawie miała udział kawaleria krakowska i kaliska, Poznańczycy i Mazury. Pułkownik Godebski uprzętnął niebezpieczeństwa z boków postępującej konnicy i niepokoił nieprzyjaciela w sposób drażniący wysuwaniem oraz cofaniem jazdy. Skoro się przeciwnik rzucił gwałtownie do pościgu, Godebski usiłował okrążyć go piechotą. Kapitanowie Krzyżewski i Kreczmer przedarli się lasami aż pod Burdingen, a kiedy jazda polska wywabiła nieprzyjaciela i, świadomie umykając, skłoniła go, że się zapuścił za daleko, rozwinęli linię i rzucili się do walki na bagnety. Kapitanowie piechoty Dobrogoyski i Tatarowicz torowali drogę pod Czarnym Piecem, zmagając się bagnetem z nieprzyjacielem, który zagradzał dostęp do Jedwabny. Natarcie było silne i śmiałe, z trzech stron. Cedro pierwszy raz w biały dzień widział nieprzyjaciół. Rwał w szeregu z nastawioną lancą i jeden z pierwszych wpadł w uliczkę wiejską. Podpułkownik Skalski, dowodzący siłą zdążającą od strony Kota, widział Krakowian, jak szli w ogień z kopyta, a strzelców wdzierających się z nastawionym bagnetem pod konie nieprzyjacielskiej jazdy. Spotkał ich też wkrótce wielki zaszczyt, zostali przeznaczeni do kompanii wyborowych, które formował właśnie z jazdy krakowskiej i z piechurów generał Izydor Krasiński. Cedro dostał szlufy paśowe ze srebrnymi brzegami i o jeden grosz więcej gaży na dzień oraz obowiązek pozostawania zawsze w służbie sztabu generała. Wybrani zostali do kompanii wyborowej konnej za wzięcie Jedwabny kaprale: Gajkoś, Malczewski i Myśliński, żołnierze, prócz Cedry: Suryń, Modliński, Karpiński, dwaj bracia stryjeczni Kuleszyńscy, Krasuski, Błęszyński, Leśniewski, Grabowski i Stefan Szyńka. Furier Zwierkowski za okazane męstwo otrzymał, prócz wyboru, zapewnienie pierwszego awansu, jaki się okaże.

Aż do dwunastego maja dywizja nie otrzymała żadnego alarmującego rozkazu. Toteż żywot jej zewnętrzny ograniczał się drobnymi utarczkami i małymi podjazdami.

Dwunastego maja rozbiegła się po posterunkach wieść-piorun, że pod Małą załoga została w pień wycięta. Ludzie zerwali się do oręża jak jeden, ale rozkaz trzymał ich w pętaczce na miejscu. Przyszła wreszcie dokładna wiadomość z oddziałem generała Fiszera, który chodził napadniętym na odsiecz. Okazało się tedy, że na młynek pod Małą, gdzie konsystował oddziałek złożony ze trzydziestu piechoty, napadła znaczna wataha nieprzy-

jacielskiej konnicy. Podpułkownik Krukowiecki, komenderujący w samej Małdze, ruszył tamtym na pomoc z oddziałem 140 piechoty. Podchodzącego już do młynka nieprzyjaciel obkoczył ze wszech stron, w sile dwóch tysięcy. Krukowiecki ścisnął swoją kolumnę, sformował czworobok, utworzył front z mężniejszych żołnierzy na wszystkie strony i zaciekle począł się bronić. Na wszelkie ataki i propozycje poddania się odpowiadał salwami wystrzałów i bagnetem. Walczył tym porządkiem przez półtrzeciej godziny.

Z rozpaczliwego położenia wybawił go generał Fiszer, którego konnica uderzyła na nieprzyjaciół i rozegnała.

Krukowiecki miał 25 żołnierzy poległych i 16 ciężko ranionych. Nieprzyjaciel utracił pułkownika, dwu oficerów i około stu ludzi zabitych. Prawdziwym męstwem, wytrwałością i rozsądkiem odznaczyli się młodzi oficerowie: kapitanowie Gras i Fontana, porucznik Cybulski; podporucznik Braun du Laurans, Jakobowski i Zalewski. Kapral Werbechowski i wołyżer Mamiński, obkoczeni przez tłum jeźdźców, wyrwali trzem z rąk piki i bronili się bagnetem ze stałością godną najstarszych i najdoświadczeńszych wojaków.

Chodziła w szeregach zazdrość i gorycz budząca wieść, że legia trzecia pod Gielgudem, który nią dowodził w zastępstwie wodza ranionego na rynku tczewskim, odznacza się świetnie pod Gdańskiem, że piechota pierwszego regimentu poszła aż nad morze, pod Kołobrzeg... Wreszcie 26 maja przeczytano legii wiadomość o poddaniu Gdańska i o marszu, który legia Dąbrowskiego ma wykonać na wschód, w stronę Niemna, dla połączenia się z Cesarzem.

Nareszcie i legia północna ruszyła się ze swego miejsca. Dziesiątego czerwca stała kwaterą w Ostradzie, stoczyła potyczkę pod Rudą i Wałami, czyli Wallendorfem; następnego dnia ruszyła do Loken, 18 przyszła do Dobrego Miasta (Gutstadtu). Tutaj w marszu między Gutstadtem a Oelsee odebrano od ministra wojny, majora wielkiej armii, księcia de Neufchâtel, jakąś niezwykłą wiadomość. Dzień to był upalny. Z kurzawy drożnej wynurzył się pędząc naprzeciwko kolumn oficer francuski z pocztowym. Obadwaj na nikogo nie zwracali uwagi. Szli wprost na generała dywizji i jemu dopiero zwierzili sekretny papier.

Chwilę tylko jednak trwała tajemniczość. Wnet starsi oficerowie wjechali między szeregi i czytali depezę o wielkim zwycięstwie frydlandzkim. Wojska stały w milczeniu, jakoby zmartwiałe! Krzysztof Cedro słuchał tej wieści nikiej baśni. Łudziło mu się, że słyszy na jawie opowiadanie starego żołnierza, Ojrzyńskiego Mieczyka. Tak wszystko, jak tamten zapowiedział prostą swą mową. Wszystko się spełniło co do joty. Zwierzył się z tym wrażeniem Gajkosiowi, a ten tylko wąsiska rozgarnął:

— A no i jakże! Tobo żołnierz żołnierza nie rozumiał... Kapral by nie rozumiał Cesarza! Każdy go tak samo rozumie, jak własną duszę. Nasze go ręce pchają i niosą tam przeciw, dokąd chcą, a jego dusza — to nasza dusza.

Nadeszły wnet i ustne wieści. Głosiły o śmiałych czynach dywizji trzeciej, o zdobyciu przez nią dwu armat, o brawurze konnicy i zimnej krwi piechoty, o tym wreszcie, że „Generał-porucznik” znowu na polu frydlandzkim odniósł ranę.

Teraz dywizja Zajączka ruszyła forsownym krokiem do Rastenburga dla pościgu za nieprzyjacielem i połączenia się z legią trzecią. Niedawna kawaleria krakowska i poznańska była nieustannie na linii strzałów nieprzyjacielskich, w polu, w awangardzie. Krzysztof Cedro znalazł się w końcu czerwca w Olecku, 13 lipca stanął w Hołynce około Sopoćkiń, w pobliżu już Grodna. Tu z woli cesarza Francuzów Męciński, dowódca siły zbrojnej krakowskiej, mianowany został pułkownikiem czwartego pułku jazdy, a powstanie krakowskie przyłączono do tegoż czwartego pułku. Około 10 lipca przeczytano wojskom wieść o pokoju tylżyckim. Dywizja Zajączka otrzymała rozkaz maszerowania ku Warszawie. Stanęła tam 15 sierpnia. Tegoż dnia wyszedł rozkaz generała dywizji oświadczający, że wszystka siła idzie na stały i długotrwały pobyt do Kalisza.

Pokój tedy i koniec awantury...

Tak myślał młody Cedro. Miał stanąć, a raczej zamieszkać w owym Kaliszu jako żołnierz czy wreszcie oficer-bałagula w czasie pokoju. Przewidywał, że dni upływać mu będą na grze w kartęta, w bilard czy domino, na próżniactwie, rozpuście i nudach w jakiejś resursie Pescarego, w towarzystwie kolegów, których widział tyłu. Nie nęciło go to życie.

Żołnierz, Przywódca

Dla takiego ideału porzucić starego ojca? Dla tego podeptać jego nadzieje i uludy? Dla tego przeżyć ów dzień grudniowy? Nie, nigdy! Więc wrócić się do domu? Wrócić jako rycerz, który wahał już proch, ale bardzo z daleka? który odbył konno dość szeroko zakreśloną wycieczkę po kraju?... I to już niemożliwe.

Widział on już z dala wojnę, i wrosła weń, jak drzewo wrasta w ziemię niezmiernymi korzeniami, pasja do wielkiego a mocnego czynu. Wrócić do cichych, rolniczych prac z Trepką, do pracowitego snycerstwa wzorów kultury w twardym kłocu kamiennym, kiedy tuż obok, za lasami sąsiedniego powiatu, tworzą się dzieje, łamią i rozstrzaskują kamienne tablice praw pisanych, spychają z przyciesi owe budynki i nowych plany misterne, z szatańskim sprytem wysnute, ze zdradzieckiego mózgu urzędników, które był w wiedeńskich poznał przedpokojach?

Z Warszawy, która za tych dni była jak pełny ul, gdy weń wyrojone pszczoły na pracę wracają, gdzie wszystkie siły ludu przeżyły się niby moc człowieka w jednej rozpętanej prawicy, w posepnym i gorzkim nastroju ducha wyruszył do Kalisza. Ciepłe były, łagodne, podjesienne noce. Gdy kolumny cicho i bezpiecznie ciągnęły od zmierzchu do rana gościńcem, a wyborowa kompania jazdy krakowskiej szła w tropy swego wodza, stary wachmistrz Gajkoś, dowodzący tą kompanią, wnet szlusował do młodego i mamrotał mu do ucha:

— Pokój, padają, na wieczny czas — i tyła.

— A no przecie czytali.

— Będziemy to w onym Kaliszu stoić?

— Taki rozkaz.

— Śliczności my wojnę zwojowali, ani słowa!

— Da Pan Bóg doczekać... Jeszcze, jeszcze... Dopieroć zucheleczek tyli jak gniazdo skowronkowe.

— Do stu par diabłów! To ja na musztrę mam jeźdźać pod Grodno? Ja musztry nauczyć. Lepiej chyba Żydom gnój spod kóz wyrzucać... Abo babę pojąć, żeby człowiekowi znaki obdarła i kopyścią po łbie praskała.

— Cichajcie, wachmistrz!

— Paniczu! Widział ja się we Warszawie z jednym.

— No?

— To samo spod Kniaziewicza jeszcze. Oba my z Neapolu przyśli, ino ja wcześniej, bom głupszy i na śmierć mię dockliwiło, a tamto szelma — jeden mur. Na Śląsko przyśli. Świdzki ich przyprowadził grosmajor.

— Cóż to za broń?

— Z nadwiślańskiej legii. Kamracy jeszcze — chy — gdzie! Spod starego jeszcze kochanka. Gdzie takie nie bywały! Wszystkie boje z Austriakiem, Hohenlinden, wielka droga bez Szwajcary ze Sokolnickim. A potem w służbach cyzalpińskich. Oni ta wreszcie pod króla Józefa pošli, a ja się do ziemie wydarł.

— No, a teraz cóż z nimi?

— Pada mi ten kamrat: naszą starą neapolitańską legię od nowa sztyftują. Jakisi książę Hieronim w nich się pokochał.

— Co za książę Hieronim?

— A diabeł go ta rozezna, co on za jeden! Książę Hieronim, powiedział, i tyła wiem. Pewnie cesarski abo brat, abo zgoła szwagier.

— A za cóż to ich tak sobie ulubił ten Hieronim?

— Za co? A za to, co powiem. Wszystko mi kamrat porządkiem opowiedział, to i ja teraz paniczowi tym samym porządkiem wyłożę. Idą oni z ziemie włoskiej, moje ulany, do Polski i przyśli na Śląsk ojczysty, do Lignicy. Idą se traktem w sześćset koni nocnymi porami, w maju... Dopiero im po tyłu leciech zapachnie ziemia... Była, powiadał ten kamrat, góra znaczna w tych miejscach, to stamtąd pierwszy raz dojrzeli daleki kraj. A że chłop gadać nie mógł, jak se wspomniął, choć ta i twardy w sobie na potęgę! No, dobrze. Jadą oni, jadą gościńcem, noga za nogą, cicha noc, a ma się na świtanie. Szedł na szpicu kapitana Fijałkowskiego oddział. Aliści traktem pędzi wprost na nich jakisi oficer wysoki ze sztabem. Wleciał obces między szeregi, patrzy po twarzach wielkimi oczyma, gorąco od niego bije. — Coście są za jedni ludzie? — pyta się — skądście się tu zjawili?

Bitwa, Polak, Żołnierz,
Przywódca, Walka

Kapitan Fijałkowski mówi mu spokojnie: tak i tak, że są, powiada, jeźdźce polskie, że idą wprost z Neapolu do Lignicy. Dopiero ten generał odkrywa mu się i powiada, że jest nie kto inny, tylko sam Lefebvre-Desnouettes. — Przez Wszechmocnego Boga jesteście mi, powiada, na ratunek zesłani. Ja przecie z Prusakami bitwę pod Kunt toczę. Samego mię tu, mówi, zostawili z Sasami, z Bawarami. Sasy mię podle zdradziły, nie chcą się bić z Prusakami, a Bawary, choć się i bronią, ale rady dać nie mogą. A tu, powiada, Wrocławia mogą dobywać, a we Wrocławiu książe Hieronim ma kwatery. Brońcie mię, Polacy!... Fijałkowski mu rzecze na to: Dobra! Prusaków łupać — o jej!

Pułk już się był rozkwaterował w Lignicy, więc ino skoczą, zatrąbią wsiadanego: — Na koń! Wiara myślała, że w mieście gore czy ki diabeł, bo o nieprzyjaciolach nie słychać było w tej stronie. Ale w siedem minut pułk stanął w strzemiach, jak mocny, stary las dębowy. Wyszedli w kłus traktem ku miejscu tak nazwanemu Jauer, a stamtąd na rozstajne drogi od Wrocławia i Lignicy. Akuratnie nadciągną Prusacy do tego miejsca pościgiem, a w wielkiej sile. Mieli okrągłe pięć tysięcy doborowej piechoty, mieli armat sztuk dwanaście, a oprócz tego huzarów swoich tabaczkowych szwadron, a oprócz tego bośniackich pikinierów konnych to samo szwadron.

Dzień się robił. Generał Lefebvre stanął w pierwszym szeregu ułańskim. Szedł przy nim kapitan Fortunat Skarżyński, a oprócz tego byli tam starzy znajomi: był Hupet, był Szulc młodszy, a z poruczników — Rybałtowski, Błoński, Dziurkiewicz, Ledóchowski, był brat wachmistrz, stary wyga, Pruski i drugi Skarżyński. Pierwszy i trzeci szwadron polski skrócił cugle. Broń do ataku! Runą w Prusactwo z kopyta, po polsku, co duchu w szkapach. Lancami psubratów — durch! Ich tam generał wystawił na pagórku dwanaście swoich armat i dawajże w drugi a czwarty szwadron, co im z boku, polem, zachodziły...

Ale gadki! W jednym momencie konnica pruska, dragony, huzary, bośniaki na łeb, na szyję, w drzazgi! Wgnietli toto impetem jedno w drugie, że ich własne konie stłamsiły, skłuli piechotę lancami, wyłupali jak oko dwanaście armat ze środka szyku i odstawili w tył, poza swoją linią, dwanaście wozów kieszonowych to samo, cztery tysiące piechurów w niewole i wszystkie, jakie ino były, bagaże. Dowódca tych Prusaków, jakisi ta Anhalt, na koniu w te pędy uciok. Dwóch pacierzy by nie zmówił, już ci było po całej batalii. Broń piechurów w kozły złożona, jeźdźcy na ziemi, łapy po boku. Nim się dzień wysoki podniósł, już ulani siadali na koń, żeby do Lignicy iść spać. Dopiero jak ze wszech piersiów buchnie nasza pieśń! Za to wszystko ich ten Hieronim tak pokochał. Pójdą tera gościńcami...

— Dokąd?

— Gościńcami, za Cesarzem.

— Ale dokąd?

— Bić się i tyła.

— Gajkość! Toć tu...

— E, mnie tu śmierdzi między onymi, z przeproszeniem, kapitanami, porucznikami, a choćby też i pułkownikami. Panie odpuść! Pułkowniki... Nic ino pułkownik na pułkowniku, a za nim parobcy od gnoju. Widziałem przecie na własne oczy jednego, jak wziął spychać kurek karabinowy garścią z góry, a tak szczerze, aż go i urwał. Pyta go się starszy delikatnie, czemu nie strzyła: — A jakże, pada tamten, bede strzył, kiej mi się kurcoba urwała?... Dopiero mu w batalii pokazują, że nie trza kurcoby z góry pchać, ino za cyngiel leciuszko pociągnąć, to samo strzeli galanto. To się przecie tak zdziwił i zamartwił, że mu aże gęba otworem stanęła. Takie to chytne wojsko.

— Nie obmawiaj, nie obmawiaj, stary włóczykiju!

— No, ja ta idę do wiary, do swoich. Co mi tu za niewola ziewać z nudów! Z nas kuźdemu sto bitew stoi w pamięci. Taki se Pawlikowski! W trzeciej jeich kompanii służy pod Fijałkowskim. Sam, jucha, na syngieltona wziął w niewolę 57 Szwabów piechotnych. To przecie wojska się zadziwiły i od kraja do kraja trzęsły ze śmiechu. Chciał go Moreau, generał dowodzący, natychmiast oficerem na placu mianować. — Natychmiast, powiada mu, wdziejaj szlufy, przypasuj szablę oficerską!... — A na to Pawlikowski jeno ramionami wzruszył i powiada: — *Ne se lir, ne se krir, ne pe ofisie*... Nagradzajże go! To mu dopiero karabin jakisi frymuśny przysłali z okuciem ze srebra i z napisami długimi we figlasach, jako że jest rycerz nad rycerze... A bo to jeden jedyny? Kuźden widział na oczy

świat szeroki, ziemię włoską, ziemię francuską, Niemce, góry, morza, wielkich bohaterów i straszne dzieła wojenne. Cóż mnie po tym, żeby mi miał bele fąfel przewodzić, co jeszcze od smrodu prochowego pocziwie nie kichną!

— Taka to subordynacja!

— Jak jeno do Kalisza przyjdzie, zaraz idę do szefa i wykładam. Tam i oni w tym Kaliszu mieli mieć swoje *dépôt*. Dopóki my instruktorami — a no to uczę toto ciaciastwo dzień dnia. A tera pokój! Wyborowa kompania — śmiech! Ja bym im pokazał wyborową kompanią, toby się w mysie dziury zmieścili ze wstydu. Niechże ich ta uczy, kto umie. A ja nie dyrektor. My są rycerze. Ja bez wojaczki — jak siodło bez konia. Jeszcze bym się rozpił albo, czego Boże zachowaj, obabił...

Po chwili szeptał jeszcze ciszej:

— Paniczu! chodźwa se oba... Z was będzie rycerz. Przeciem widział waszą jazdę i złożenie. Od maleńkości woma noga stawała w strzemię. Zmarnują waju te guwernery.

— Nie ma strachu.

— Jakom spojrzal na ubiór tamtego kamrata, na moderunek, na pałasz — Maryja!

— No?

— Takie same mają barwy, jakie my jeszcze w 1802 roku we Vigevano dostali granat z żółtym. Czapka na łbie wysoka, granatowa, sukienna, pikowana. Przy niej białe kordony. Kita! Tyla! Na froncie ma półsłońce z orłem.

— Z jakim?

— A diabli go ta wiedzą, z jakim!

— Z francuskim, bo to przecie nie polski pułk.

— Juści, pewno że z francuskim, bo ze skarbu cesarskiego będą dzień dnia dziesięć su lenungu brali. — Orzeł, mówię, a nad nim dwie lance skrzyżowane. Ten jeszcze mój komiliton był z kompanii grenadierskiej, to miał przy czapie kitę czerwoną jak ogień. Kurtka na nim granatowa, Panie święty, jak ułał, a wyłogi, rabaty, wypustki i lampasy na paradnych spodniach precz wokół żółte. Guzików ma u kurty dziewięć okrągłych a wypukłych. Huzarskie im tera guziki dali, odmienne od naszych dawniejszych. Spodnie paradne ma do samych kostek, na buty wykładane, z dwoma lampasami żółtymi, a na co dzień ma ci znowu szare rajtuzy z jednym lampasem granatowym. Codzienne rajtuzy wdziewamy, powiada, zimowym czasem na tamte paradne, a zapinają się z boku nogi na osiemnaście guzików. W deszcz, w plutę jedziesz jak w futerałe zapięty. Nie przemokniesz, choćbyś i chciał. Oficer ma płaszcz granatowy, okrągły, z białym kołnierzem, a żołnierz ma płaszcz biały, obfity, bez rękawów. Róg prawy zadasz na lewe ramię, toś jak w koldrę zawinięty. Trzy doby możesz na ulewnym deszczu stoić! Strasznie to piękny strój... Żołnierz ma ci akselbanty z lewego ramienia, żeby mu w robocie lancą nie przeszkadzały, oficer ma je z prawego ramienia. Pendenty z białej skóry, klamry żółte. Na pendent ma jeszcze pas niciany w pręgi białe z granatowym. Oficerski strój — ten by dopiero paniczowi śpilował! Na paradę ma oficer szarfy srebrne, ładownicę przez piersi. Czapraki na siodłach mają ostro ścinane, z huzarska, granatowego koloru. Wypustki na nich żółte, a galony znowu srebrne. Na tylnych rogach cesarzowa litera z koroną.

— Gadaj no: a lance jakież?

— Lance mają niewysokie. Nie włócznia ci to, nie dzida, nie pika, nie kopia husarska, ino broń ściągła, prędką, do dłoni, do prawicy wraz. Letka! pięć łokci będzie miała. Jak rosły chłop stanie w czapie, tylec na ziemi postawi u nogi, to ma chorągiewkę tej lancy nad samym denkiem czapy. Chorągiewki mają jako i my: gładkie, białe z czerwonym. Od tylca ma lanca piękne okucie. Pośrodku ma temlak z białego rzemienia do zakładania na przedramię. Przy obu strzemionach stoi otworem i czeka na tylec lancy tulejka, trokami do puśliska przymocowana. Biję się w pałasze, to lancę rzuci w lewą tulejkę. A pałasze mają sieczne, z żółtymi jedlcami. Temlaki przy nich z białej skóry... Paniczu, wam by pasował okropnie ten lansjerski strój!

— Próżno mi pochlebiasz.

— Po sprawiedliwości mówię... Abom to nie widział? Na koniu siedzi, jakby go mutrami przykręcił, sam towarzysza obrzędzi, rozsiodła i okulbaczy jak rataj, i jeszcze dotychczas nawet nie sierżant, jako że jest niedbający. Są w naszych szeregach takie niedbające chłopcy. Niemalóm ich widział. Biję się na śmierć, kuźden trud śmiertelny zniesie, zginie bez jednego słowa. Choroba wie, co to za ludzie są takie! Niejednom już, mówię,

Żołnierz, Strój

napotkał we włoskich legiach, a dotychczas nie wiem, skąd się bierą.

A są i inne. Będzie ci jechał na szkapie jak Żyd z obwarzankami, nie wie na żywy Bóg, co zganić, a co pochwalić w glicie, ale od razu z niego kapitan, bo ma folwark w tej samej parafii co grosmajor. A my między obcym narodem szewrony brali. Dopiero jakieś czterem, pięci nacjom pokazał sarmackie męstwo, a najstarszych wiarusów zdumiał, że japy rozdziawiali i szmer szedł między pułkami, dopiero jakieś dobre imię a honor całego legionu podwyższył walnym uczynkiem, dopiero ci ten galonik naszyć kazali. Nasze sztaboficery z prostej wiary wyrosły. Paniczu, chodźwa w lansjery!

— Cicho!

— Co náma! Abo nam to potrza złota — pieniędzy? Za ten grosz miedziany lenungu wszędzie kupi torbę obroku, wiązeczkę siana, skibę chleba. Wszędzie wedle białych gościńców studnię napotka. A nieraz, prosty jeździec cesarski, takie wina pijesz dzbanem, jakich królowie skąpią królom na ucztach...

— Ale dokądże to chcesz iść, stary wariacie?

— Dopóki on, paniczu, świata jak się patrzy nie oporzędzi, wara náma ze strzemięcia nogę wywłóczyć! Gdzie on, tam i my. On zażywa wczasu-spokoju — i nasza wiara śpi. A skoro on na koń siada, będziemy to spać? Tak starzy powiadali. Nie bele kto, paniczu! Tacy, co już padli w krwawym boju twarzą na ziemię, a teraz w obcych ziemiach bez krzyża-pamięci i bez imienia leżą. Aboby to mogło tak być, żeby w tym żadnej sprawiedliwości nie było? Po obcych piachach one trupy rozwleczone na darmo? Abo my to nie przyszli do swych strzech, w te lasy, gdzie ino trza? Z końca świata my przyszli, bo słowem wodzowym przysięgli. Obejdziemy ziemię het — precz, porządek zrobimy i dopiero znówuj do ziemi, ale już wtedy ostatni raz na dobre. Tak starzy powiadali...

Natarczywe podszepty starego wachmistrza były dla Cedry ową wagą śruciny, która czułą szalę przechyla. Niezwyciężony wstręt do obłudy życia wiedeńskiego, gdzie zmiażdżona duma szarpała duszę na strzępy — popychał do kraju prostackich marzeń żołnierza.

W Kaliszu obadwaj z Gajkosiem podali się o uwolnienie z rycerstwa i prosili o translokację do lansjerów. Długo ich odwodzono od tego kroku, wynikły różne korowody służbowe, ale koniec końców w październiku przedostali się do twierdzy w Koźlu, gdzie się szwadron lansjerów, złożony ze starych legionowych wiarusów, znajdował. Był to tłum wąsalców, ogorzałych wyjadaczy, mocarzów, cyników i poszukiwaczy wszelkiego rodzaju awantur. Cedro musiał się tego wkupić do glitu i najeść rozmaitych szykan, nim go przyjęto. Stare wygi niechętnie widziały między sobą młokosów, a osobliwie „cnotliwych”, entuzjastów. Za to dla Gajkosa znalazło się miejsce otwarte i nadzieja prędkiego awansu.

W początkach zimy przyszedł rozkaz wyruszenia ze Śląska i maszerowania do Osna-brücku, gdzie była kwatera pułkownika tego regimentu — Jana Konopki. Stamtąd wymaszerowano do Westfalii. W Erfurcie kompanie, z różnych stron przybywające, otrzymały jednostajne umundurowanie i wszystkie w tym mieście przepędziły zimę. Znaleźli się tam oficerowie wyżsi i niżsi, zgromadzeni spod różnych znaków, starsi i młodsi, wywodzący się z dawnej kawalerii, a nawet i z piechoty. Przybyli tedy — Ignacy Ferdynand Stokowski, Jaraczewski, Klicki, Telesfor Kostanecki, Routier, Pruszek, Prawdowski, Wincenty Konopka, Augustyn Przyszychowski, Adam Hupet, Wincenty Walewski, Szulc, Kajetan Stokowski, późniejszy płatnik pułkowy Gnatowski, Linkiewicz, Kazimierz Tański, Rybałtowski, Skarżyński, Porycki, Fijałkowski, Oyrzanowski, Trzebuchowski, Górecki, Niezabitowski, później adiutant pułku Moszyński, Leszczyński, Piotr Doliński, książę Woroniecki, Jagmiński, Kajetan Woyciechowski, Józef Bogusławski, Luzignan, Jan Nestorowicz, Topolczani, Jagielski, Szarski Antoni, Dziurkiewicz, Karłowicz, Ledóchowski, Ulewicz, Ambroży Borakowski, Rostkowski, Wojciech Dobiecki, Stawiarski, Korytowski i inni. Między prostymi żołnierzami wielu było posesjonatów i szlachty zagonowej. Między innymi zabłąkali się tutaj, idący w tropy Gajkosa i Cedry, dwaj Kuleszyńscy.

Na wiosnę roku 1808 zorganizowany pułk wyruszył w wielki marsz — aż do Bajonny. Szedł przez Gotha, Bisenach, Fulde, Hanau, Moguncję na Méziers, Charleville, Paryż, Mans, Alençon, Bordeaux, Dax... Po przebyciu w końcu kwietnia szerokich łąk Garonny pod Langon, minawszy obszary piasków ziemi Guyenne i Gaskonii, lasy dębu korkowego pod Roquefort, a kasztanowe dąbrowy pod Mont de Marsan, weszli w depar-

tament des Landes, w smutne i usypiające piaszczyste pola. Piechota płynęła na łodziach i tratwach rzeką l'Adour, toczącą swe fale po lewej ręce odwiecznego traktu na Tartas i Dax. Konnica szła z wolna owym gościńcem. Była to droga ponura, nierozweselona ani jednym widokiem łaskawszym.

Krzysztof Cedro w ciągu tych długich kawaleryjskich pochodów, od brzegów Niemna do brzegów Garonny, ogorzał, rozrósł się, przytył i szcerstwił na duchu. Zginął jako osoba w szorstkim i grubiańskim tłumie żołnierskim, zamknął się w sobie i umilkł. Był wciąż bez troski, wesół, dobrej myśli, zajęty żołnierskimi sprawami. Ale w istocie rzeczy jechał w najzupełniejszej samotności. Pochody były nocne. Gdy przed zmierzchem rozlegało się trąbienie — „na koń”, gdy szwadrony ludzkie wrastały w kulbaki, a pułk się zbierał, formował w kolumnę i wolno puszczał w drogę, Krzysztof poczynał żyć.

Oddziały, znużone za dnia czyszczeniem koni, rewizjami wachmistrzów, reparacjami rymsztunku, kuciem koni — spały twardo na siodle. Spali ludzie, od chłodu nocy wiosennej zawinięci w swe płaszcze, i spały wędrujące konie. Noga za nogą szedł senny pułk topolowymi alejami „słodkiej” Francji. Szarobłękitne obszary pól z wolna, z wolna ginęły w łagodnym, kwietniowym zaśnieniu dnia, w uroczym zmierzchu. Odległe domostwa z szarego muru, wieże kościelne, fermy i miasteczka, stare zamki i lasy chłonęła w siebie cicha, spływająca noc. Ziemia stawała się z wolna jakoby rzecz niebyła, jakoby lata przeżyte, jak sen odegnany przez rzeczywistość. Jedyne przestwór napełniony powietrzem przezroczystym, tchnący jeszcze ledwo umilkłym śpiewem skowronczym, jasnością dopiero co zgasłą młodych ról — świadczył o tym, co było. Ostry i mokry wiatr polny, ciągnąc za sobą ku nozdrzom zwiewną i uśmiech nęcącą mgłę woni fiołków — nie dawał młodemu twardo zasypiać. Nieskończone aleje topoli, które już nowe na się listki oblekły i nowym zadrgały życiem — głosiły szelestnym szumem o wiecznej sławie. Szelest ten duszę przenikał.

Zdawało się, że słychać w nocy pogwary przedwiecznych, wędrujących hord, że to modlitwy wieczorne Gotów idących w Ibery słychać o zmroku. Idą w pylnych polach Gaskonii na zachód, na zachód wiecznego słońca. Brną z ciemnych i wilgotnych puszczy, z ponurych płaszczyzn bez imienia, zza rzek tysiąca, zza gór Germanii w tę stronę, gdzie słońce z niebios w morze zstępuje. Ku wiekuistemu idą słońcu... Czyż ich bicz wygnał z leśnych legowisk, które mocnymi barkami wydarli byli zwierzętom? Czy ich wróg, od wilków i żubrów mocniejszy, wygryzł z dziedziny? Któż przed nimi niesie buńczuk grabieży, hasło gwałtu, zbójceki miecz? Wstali z ciemności ziemskiej, jak wstaje ogromny bałwan na morzach, wydzwignęli się nad obszarem milczącym na obraz chmur szarańczy, ciągną z szelestem jako chorągiew nieprzemierzona młodości i siły. Brną w piaskach, idą w bród przez rzeki, ciekną przez lasy. Zeżrą owoce cudzego posiewu u brzegu mórz ciepłych i niebieskich, porwą żony i córki nieznanych plemion i zasiądą na wonnych wzgórzach cyprysa, mirtu i pomarańczy.

— Idziemy szlakiem Karłomana Wielkiego — marzył Krzysztof. — Od Niemna za Ren, z dziedzin niemieckich w ziemię Celtyberów. Szlakiem Cesarza...

Nigdy Krzysztof Cesarza na oczy nie widział, lecz teraz w nocach wędrowania zdawało mu się, że go zna dawno. Ów wielki cesarz, jak w pieśni, co tysiąc lat przespała — bardzo był stary — dobiegł już kresu — liczy na pewno z górą lat dwieście. Po tyłu krajach włożył już stopy, tyle swą tarczą odparł pocisków, tylu już królów przewiodł do nędzy... Kiedyż go znużą te krwawe dzieła?...

— Przenigdy! — szepcą młode usta odpowiadając szumowi drzew.

— Aż się ludowa wypełni wiara i spełni swoje...

Oto minęli już seciny rzek, szumny i zgiełkliwy Paryż, sto miast, wyszli w płaszczyzny gaskońskie. Gdy nastawał poranek, widzieli przed sobą zrazu w mglistym niebie, a później coraz oczywściej, jakoby odległe chmury.

Lecz chmur owych wiatr nie rozwiewał. Stały i stały. Złociste po nich snuły się szlaki, ciemne szły doly.

Senne zastępy żołnierzy wskazywały sobie nawzajem ów kraj daleki, wołając, że wreszcie widać Pireneje. Cedro wlepił w dal oczy i szukał w górach swej drogi.

— Roncevall! — szeptał uśmiechając się do jasných widziadeł pieśni owej, co uszła cała, gdy ludy wraz ze swymi dziejami zginęły. Błękitne widziadło gór było piękne jak

sama pieśń o Rolandzie. Stało zamglone i niepewne jak ona. Oko skwapliwie chwyciło kształty, z trwogą śledząc, czy się nie rozchwieją i nie rozejdą między chmury. Z onych to gór podniebnych wylata gromowy głos rogu Rolanda:

— „Przyłożył Roland do ust róg złoty — potężnie, z całej mocy uderzył. Zadrżały góry, trzęsą się skały — dźwięki bojowe lecą wirchami. Z taką boleścią, z taką potęgą waleczny Roland zadął w róg złoty, że krew czerwona z ust mu buchnęła, że mózg rozsadził żyły na skroniach. Lecz huk przeleciał za góry, lasy...”.

Serce drżało w Krzysztofie. Żądza czynów, czynów Rolanda i Turpina, które się śmiercią własną wyważyła z nicości, czynów, co się w nich rozkochują pieśni wiecznotrwale i piękne wiecznie, czynów oplecionych przez bluszcze legend, a przez westchnienia pokoleń zmienionych w baśnię — płonęła w jego duszy. Jechał na koniu śniąc na jawie. Śniły mu się słowa dawno zapomniane, z kraju niewiadomego płynące:

— „Kiedy Karloman szuka Rolanda, widzi na łące kwiatów kielichy, sperlone w krople rosy czerwonej. Serce mu ściska boleść straszliwa, lecz łzy nie ujmą piersiom żaloby. Pod cień król sosny przyszedł zielonej, podnosi oczy, patrzy: na górze mieczem rąbane szczyty w marmurze. Wtem na murawie postrzega ciało! Serce królewskie z bólu truchleje. Biegnie i dłońmi jak liść drżącymi głowę Rolanda podnosi z ziemi, a sam przy zmarłym bez zmysłów pada...”.

Duma, w której mrokach knują się, kłębią i przewalają olbrzymie a jeszcze mgliste zamiary, wypełniła mu piersi. Uczucie męstwa przejęło i skrzepiło wszystkie niezwalzone żądze, duchowe porywy, podobnie jak czyste i żyzne powietrze gór umacnia ciało.

W pierwszych dniach maja konnica legii nadwiślańskiej stanęła w Bajonnie. Cesarz mieszkał tutaj w zamku Marrac i trzymał przy sobie królów hiszpańskich: Karola IV oraz Ferdynanda VII. Masa tu było wojska, a kraj pusty. Zuchwałe Gaskony nawet pod okiem Cesarza skąpiły dostaw. Osobliwie paszy dla koni nie było w okolicy ani nad rzeką Nive, ani nad Adurem.

Toteż, gdy weszło do miasta blisko tysięcy koni lansjerów, które tu miały dłużej popasać, intendenci potracili głowy. Zaraz następnego rana wysłano kompanię ułańską dla furazowania i dostawy paszy aż za Saint-Jean de Luz, na podgórze, w departament des Basses Pyrénées, pod samą granicę hiszpańską. Miały tam już być bujne trawy. Krzysztof Cedro, jako żołnierz władający doskonale językiem francuskim, przeznaczony został do tej dostawczej kompanii.

Wyszli, ledwo-ledwo z kurzu obmyci, nie obejrzawszy miasta. Ruszyli starą drogą w kierunku na Irun. Po prawej ręce mieli wciąż jeszcze diuny, wzgórze piasków zasłaniające świat, posępne półokrągłe zwały i fale, które gdzieniegdzie słabo przesłaniała krzewina tamaryszku. Idącemu w znużeniu oddziałowi przypominał się jałowiec rodzinny. Za Saint-Jean de Luz już łańcuchy górskie zabiegały z lewej strony sięgając aż do Ustaritz. Zmierzch się zbliżał, gdy oddziałek wyjechał na pierwszy wyniosły zakręt drogi. Chłód bliskich gór powiał.

W blasku zorzy wieczornej ujrzeli całkowity łańcuch śnieżnych Pirenejów. Stała przed nimi na południu niezmiernie ściana, stromymi przepaściami wałca się w dół, jakby ją piorun na poły rozłupał. Na zachodzie wlokła się nieskończona linia Gór Kantabryjskich, stawała się smugą, modrym zamgleniem błękitu nieba, jakoby snem patrzącego oka, aż wreszcie wymykała się z niego — ginąc w nicestwie oddalenia. Bliżej ciągnęły się ciemne, granatowe regle, niezmiernymi lasami sosny nadmorskiej okryte, kraju Guipuzcoa.

Przed oczyma sterczał na skalnym zboczu zamek i chropawe mury twierdzy Fuenterrabia. Ciemna, czerwona, okrągła wieża zamku porwała wzrok Krzysztofa. Była dziwnie straszna owa samotna wieża na wysokości. Stanął na miejscu i patrzył w nią zaczarowany przez milczące jej dzieje, przez dziką, a tak niewymownie piękną zuchwałość. Słońce zachodu uwydatniło ją całą, starą twierdzę, której mury krew tylekroć zboczyła.

Krzysztof stał na koniu. Olśniony od majestatu gór, nie mógł się ruszyć. Przytłukła go myśl-uczucie, myśl-cześć.

— Jakże wielkim, silnym i potężnym jest człowiek! — myślał namiętnie. — Ileż uczynił na ziemi! Te niezmiernie skrzydła gór, których prędkimi oczyma objąć nie sposób, wziął krótką ręką swoją w posiadanie, zamknął je w jedną ojczyznę. Nad niezgłębioną przepaścią i ponad najwyższym szczytem rozsiadła się jego wola. Fuenterrabia, rozparta

w milczeniu na podścielisku gór, była jak znak orla łomignata czy sępa lwa, czy wilka, wykuty w niezmiernej tarczy herbowej.

— Ileż on znaczny! Ile w sobie mieści! Ibery... Celty... Gotowie... Rzymianie... Maurzy...

Niezmyślony zachwyt wynosi z głębi duszy imię ukochane: Viriates!

Mężowie, niewiasty i dzieci miasta zgładzonego Numancji, po którym nie masz nawet miejsca, nawet okolicy, nic, prócz imienia i wiekuistej w ludzkich plemionach sławy... Wielki, płomienny siłacz — Diaz Campeador Cyd... Cristobal Kolumb... Ferdynand Korteż i straszliwy Pizarro...

Zmierch wolno padał na góry. Cedro spał konia ostrogami i popędził za oddziałem. Wyjechał zygzakiem na jedno jeszcze załamanie drogi. Stała tam wioska złożona z kilkudziesięciu murowanych domostw. Żołnierze zsiadli już byli z koni i niecili ognisko nosząc na nie ze wszech stron drwa i suchą mierzwę osłą. Krzysztof umieścił swego konia przy żłobie w jakiejś pustej stajence i poszedł za wioską, żeby się jeszcze lepiej przypatrzeć. Zbliżył się do skał ograniczających półko zasiane i stanął nagle w zdumieniu. Od jego piersi spadała pionowa ściana, a od jej podnóża ciągnął się w nieskończoność — ocean.

Krwawy puklerz słońca zapadał prędko za wzdętą i wyniosłą pręgę. Tam daleko, tam nieskończenie, tam za oczyma — to także ocean... Olbrzymie granatowe lechy, poradłone szarymi skibami, ślały się na całej długości, ciągnęły się wszędy. Znikała szybko barwa ciesząca oczy i pozostawał z falami jednolity zwiastun nocy. Stamtąd, gdzie tonęło słońce i płonęły jeszcze jego krwawe zorze, szedł po wierzchu zebrania wód białawy półbłysł o metalicznej, bez lśnienia, zimnej i odpychającej barwie cyny. Fale, wynurzające się stamtąd, nie miały już cieniów i barw w sobie złamanych. Były ciężkie i jednostajne, niby z jałowego metalu. Nurzały się w sobie coraz szybciej te skiby i bruzdy wodne, jedno w drugie wchodziły i pożerały się wzajem, bez końca.

W szerokim ujściu rzeki pogranicznej Bidassoa, zamkniętym między przylądkiem św. Anny, od skał najeżonym i śliskim, a hiszpańskim już Cap du Figuiet — z wolna wlewały się fale na ławice niskich piachów, dążąc bez ustanku a niepostrzeżenie aż pod same mury Fuenterrabii. W oczach żółte niziny i brzegi rzeźbione stawały się niczym, topniały i ginęły. Wnet przemieniły się w morze. Twierdza francuska Hendaye na tej stronie zatoki ukazała się na brzegu morza, kiedy niedawno stała wśród rozległej płaszczyzny ziemskiej. Nad zielonkowatym obrusem wodnym unosiły się teraz z piskiem rybitwy. W skalnych zatokach, w żółtych ostojach, między wapiennymi nogami skał nadbrzeżnych, w przesmykach najeżonych wypróchniałymi zębami, rozszerzał się tuman nieruchomy. Nigdzie wesołego żagla ani trwożliwej pracy wiosła...

Skały tylko naokół trupio szare, złupione przez czas i plutę, wyssane przez wody, z dziurami jak w zeschłej gąbce. W płonej ich masie, w chropawej odrażliwości lśniły się pod zorzą białe żyły marmuru, kryształu czy soli, wypukłe, jakoby sieć spleciona badyłów i kłęczów dawno uschłych i zaginionych porostów morza. W szczelinach, przepęknięciach, dziurach i niedostępnych lochach dogorywała ostatnim połyskiem, barwna jeszcze od zorzy, a w rzeczy zdechła, gęsta i gnijąca woda, karmicielka mchów żółtych i szarych pnączów. Z daleka od brzegu i calca skały tkwiły w morzu odosobnione pnie kamienne, zębate szkopyły i wydatne bryły. Zdało się w zmierzchu, że to chropawe skorupy olbrzymich żółwiów, że to krokodyle uśpione, że to kadłuby zabitych i zwałonych słoniów, hipopotamów czy nosorożców z wyciągniętymi członkami, ze skłębionymi zwojami trąb, łbów i karków. Bliżej lądu dźwigały się z brzegów jak gdyby zwałone baszty zamczysk, posępne ruiny kościołów, które zburzyło najście barbarzyńców. Sterczały zamierzając się na morze, spiczaste urwiska i zręby rozwalone — ni to siekiery, ni to młoty i piły poczarne koczujących w zaraniu świata plemion ziemi, ni to grotty spis, dłuta, widły, osęki....

Wyplął z głębi gór biały, jasnościczny, ostro zarysowany wietek księżyc na pierwocinach nowiu i brzask swój pylny, syпки a nikły z mroku poczał wywijać i siać na topiele oceanu, na szerokowładne przestwory wodnej równiny. Wygał powoli ostatni przeblysk dnia...

Ciemna schodziła noc. Niewidzialne w niej zgonne odmęty poczęły szumieć. Na rozłogi bez granic zstąpiło srebrzyste światło tworząc jak gdyby szlak i drogę prostą do tajemniczej a niezgłębionej ciemnicy oceanu. Poszła tą drogą za oczyma uniesiona myśl

Morze, Woda, Księżyc,
Żywioty

człowiecza, sama jak błędny, mistyczny pył blasku księżycy. Poszła w śródmorze, w samotnie zjednoczenia wód. Stała przerażona między otchłanią nieba a przepaścią chłonną oceanu — otoczy świata. Głębia pod nią wody, sześć wiorst licząca od powierzchni do dna. Noc nad nią ciężka.

Lecz oto jedno słabe a pożądliwe lśnienie księżycy... Wzruszą się wtedy wody! Dźwignie się z ciszy powierzchni, nieruchomo nad bezgruntem leżącej, olbrzymi wał. Powstał z oddechu żywy bałwan. Skrzelami trzepie w topieliska, pluszcze ogonem. Łeb jego ostry uśmiecha się w pięknym blasku wiecznej Seleny. Schyla się gruby kark, a grzbiet kudłami pian porasta. Wydarł się z wód, wyciągnął w górę aż do granicy ostatniej, kiedy ciężar jego śliskiej bryły stał się równy sile ciągnącej nikłych promieni. Wówczas olbrzymie cielsko zachwiało się w swojej posadzie: potworne łapy, wielkie płetwy brzuchowe rzucają się naprzód i cały kadłub skoczy i popędzi w ślad za białym rogiem miesięcznym.

Po wtóre, a stokroć głębiej, rozpadnie się na dwoje ciemne otchłisko na obraz kłębu źródła, które by biło z gruntu mórz. Rozwali się płaszczyna i wstanie z niej bałwan. Wyciągnie posłuszne barki w stronę słońca, co w morza Zachodu zstąpiło, a którego droga ku ziemi zesła się teraz na nowiu w jedno z drogą księżycy. Te dwa wełny morskie wychyną jeden za drugim z otworzeliska przepaści, roztrąca płynne łoże swe i pociągną szereg następców nieprzeliczony. Staną się wszystkie jako lotne wydmy i biegnące pagórki; poczną ścigać się po okręgu ziemi, biegnąc ze wschodu na zachód za blaskiem zwiewnym księżycy. Z kolebki oceanu wypadną między szumne rozcieki mórz na północ i południe, na wschód i zachód. Popędzą w swoją drogę nad przepaściami szybciej od zbieganych koni, gdy skaczą galopem, na przekór biegowi ziemi z zachodu na wschód; lot jej wieczny otamują i zwolnią zdyszanymi piersiami. Wyniosłe czuby i grzebienie ich łbów, grzywy ich karków rozbiegną się po rozdołach mórz i ocean stanie w pianach, siwy wszystek. Ten jest dzień syzygiów na nowiu, doba wód zzieleniałych.

Dwukroć dziennie zalew wychodzi z upustów swych i nosi wody spienione tłukąc się i kołając po brzegach ziemi suchej. Taka sama nastanie pora czasu pełni, gdy słońce i księżyc zjawiają się na przeciwległych biegunach i gdy pociągną nurty mórz we dwie strony, każde ku sobie. Trzykroć większy wstanie wał słońca niż wał księżycy. Dwutygodniowa praca mórz skończy się wówczas, gdy rozejdą się drogi ciał niebieskich i księżyc zaświeci w kwadrze. Wtedy rozdzielają się wielkie ruchy fal, w różne strony rozchodzą i cichnie żywioł. Fala, dźwignięta z oceanu przez księżyc, strącona zostaje ze swej podstawy i powściągniona w sile przez władzę kierowniczą słońca, stokroć możniejszą od księżycowej.

Gdy nadejdzie doba porównania dnia z nocą w porze wiosennej i druga w porze jesiennej — wzruszą się i zbełtają fale dwukroć wyżej. Zahuczą wełny sieczone basiorami tego samego wichru, który ich skoki z nicości i ciszy wywiodły. Pienistym i głuchym szumem ubiela się skały. Ryczące prądy runą w wąwozy między nadbrzeżnymi wantami, rozszarpia piersi swe o kły samotnych szkopolów, po całych nocach szlifować będą opoki najeżające dno zatok. Pianą i jękiem napełnią się skalne pieczary. Powstaną wiry, zakręty wodne i prądy śmiertelne w kotłach skalistych między pionowymi łańcuchami zatopionych gór. Wyjdą wreszcie rzeki morskie najwyżej, stworzą sobie wyłomy, przez które wali się zdradziecka napaść odwiecznych sił i klęska. Rozszerzy się najwyżej szlak możnego morza, rozniesie ciemność, strach i jęki po krańcach portów i ujściach rzek.

Krzysztof Cedro stał sam jeden w ciemności i nie mógł odejść, zaczarowany przez gwałtowne sprawy morza. Widział z bliska fale wód żywych, o których śnił na jawie, rozuzdane i rozpasane z popręgów. Huczały przed nim idąc z daleka. Coś jakby szybki ryk grzmotu dzwoniło w ich piersiach i trzewiach, gdy uderzyły o podwodne pnie. Oto bałwan jeszcze widoczny w zmierzchu nocy.

Grzbiet mu się w pałąk wygiął i porasta skłębionymi kłakami jakoby królewskiemu zwierzęciu, kiedy się w sobie do skoku zbiera. Leciał straszliwy i piękny, a wiekuiście młody od nadmiaru sił. Skoczył przez krokodyle i słonie, przez hipopotamy i nosorożce, przez podobieństwa wielbłądów i żółwiów; ścigłym podrzutem wtargnął aż na wysoki i cały ład. Bryły wodne runęły w skalne czeluście ćpając w nich i mlaszcząc. Zamieć wdzięcznych, śnieżnobiałych pian srebrnymi batami i nicmi wycięła w najwyższy kres, a za chwilę wydała przeciągły syk musując się na obeschłych stolnicach pochyłości, w wyssanych dziurach wapienia...

Im natarczywsza zstępowała ciemność, tym przestworniejszy stawał się głos mórz. Z dzikiego huku, ze zgiekliwego chaosu, ze zbiorowiska krzyków rozszarpanej fali, z szelstów i pluszczeń coraz wyżej wydobywał się głos goły, ni to solo dalekie, ni to wieszczba o sprawach przyszłych, ni to pienie o dziejach przeszłych. Otchłań wodna wznosiła ten psalm w przyciemnej i szarej poświacie miesięcznej. Martwej twarzy księżycy, której druga połowa nigdy się nie ukazała i nie ukaże ziemi, głosiła otchłań powieść, jak to w wieczności pracują fale. W tej pieśni-czynie była wiadomość, jak się co dnia wszystkie powierzchnie mórz ukazują z kolei przed martwymi oczyma Seleny. Jak posłusznie wstają z siedlisk okręgi oceanu, jak wędrują a biją w wysoki ląd, i znowu, zawróciwszy się na czopach swych, uciekają na głębie szeregami opieszłych i martwiejących strumieni. Brzmiała wieść-sprawa, jak morze jedne skały wyniszcza, a inne przez wieki kształtuje i zdobi; jak jedne brzegi sępimi szpony rozdziera, a inne daleko tworzy i hoduje; jak pracowicie zamula istniejące porty, a do innych oskardami kuje wrota w rozszarpanej ziemi...

Wzmogła się pieśń. Grzmi w niej wieszczący głos o dziejach mórz i lądów.

Cóż jest susza, na której człowiek rozpostarł swoje dziedzictwo i herb swojej potęgi wyrzył?

W łonie się oceanu poczęła jako plód i jednego dnia przez ocean może być zniszczoną. W łonie oceanu tworzył się jej piasek, zsiadała glina warstwami, rodziły się margle i głązy opok, gotowały wapienne skały, zraszał w tafle granit leżący na szczytach Alp i Pirenejów. Ciałem swym okrywał ocean najwyższe wierzchołki gór. Przed zupełnością czasów wydał ze siebie ląd, jak rodzic wydaje na świat ojcowica. Rzucił go nago pod słońce, księżyc i gwiazdy, wydał słabego na hodowanie powietrza...

ZA GÓRAMI

W końcu maja, po trzytygodniowym spoczynku w Bajonnie, pułk lansjerów Konopki ruszył sam w góry. Szedł nie drogą na Irun, lecz krótszą, prowadzącą wprost do Aragonii, prastarym szlakiem Karola Wielkiego, na wąwozy roncowalskie.

Tysiąc koni pod pułkownikiem Konopką, a pod szefalami szwadronów: Kostaneckim, Klickim i Routierem, zaraz za Bajonną wziął się na lewo idącą doliną. Ciągnęli między dwoma łańcuchami regłów na południowy wschód przez miejscowość zwaną Macaye aż do Jaxu. Tam spoczęli na noc.

Droga stamtąd zawracała się stromo i szła na zachód w górę do Saint-Jean Pied-de-Port. Już następnego dnia weszli w zawrotne wyżyny kamiennych Pirenejów przez Valcarlos. Drogi były tak wąskie, spadziste, rano śliskie od tających śniegów, że całe to przejście musieli odbyć piechotą, konie prowadząc u pysków.

Zimno było takie, że ułani powciągali na się wszelakie odzienie, co tylko kto miał. Więc każdy żołnierz kładł codzienne ubranie na paradny strój, a jeszcze na to wciągał lejbnik stajenny z drelichu, spodnie robocze, używane w czasie czyszczenia koni, i zapinał je na osiemnaście guzików z boku nogi. Na czapki ułańskie żołnierze powciągali czarne ceratowe futerały i odwinąwszy ich klapy zawiązywali je pod brodę, żeby osłonić uszy i szyje od wściekłych wiatrów i przeciągów górskich. Na wierzch dopiero kładli płaszcz i owijali się nimi. Oficerowie, którym moda i junactwo nie pozwalało nakładać na czapki żółtych futerałów z ceraty, marzli okropnie. Toteż często rozkładano ogniska.

Żołnierz szedł od strony przepaści i pchał do skały chrapiącego bieguna z Mazowsza, który miotał się w ręku, drżał z zimna i przerażenia na widok otchłani. Kilkakroć ukazali się na załamaniach górale aragońscy, uzbrojeni we flinty. Strzelali z daleka i nie czekając starcia ginęli w szczelinach, czarnych jak oni. Szef Kostanecki, idący ze swym szwadronem na czele, posyłał im salwę kul z karabinków, które oficerowie, podoficerowie i flankieri dostali byli w Bajonnie — i na tym kończyły się starcia.

Bardziej niż te epizody zajmował przybyszów z Północy sam świat górski. Piorunem spadające w przepaść boki krzesanic, strumienie, co się trzepią po nagich tarczach skał, jodły i pinie na zboczach niższych, wreszcie olbrzymimi zagajami rozrosły krzew dzikiego rozmarynu, który całe doliny jak gdyby kobiercem wyścięła, wszystko, na cokolwiek zwrócili oczy, w zdumienie ich wprawiało. Częstokroć nad rozległą doliną, w którą wkroczyli przebywszy najwyższy przesmyk, ukazywał się orzeł i zakreślał olbrzymie koła lotem, którego szybkości oko pochwycić nie mogło. Otworzył się przed oczyma, gdy tylko wyszli

Morze, Woda, Żywioty, Siła

ze stromych przejść, kraj garbaty od skał okrągłych, zbałwaniony od gór, kraj pochyły, stargany, leśny, idący w stronę południową na przestrzeni blisko sześciu mil.

Cedro, peregrynujący obok swego konia, dzwonił zębami z zimna, ale zarazem palił się z zachwytu. Dawało mu szczęście to przeświadczenie, że mija wąwóz Ronceval. Zdawało mu się, że w tej chwili zdobywa ostrogi rycerskie.

W ciągu dwu następnych dni pułk lansjerów szedł leniwo i ostrożnie w dół drogami górskimi. Mijali z rzadka leżące pasterskie siedliska, w których najczęściej drzwi były pozamykane, a obory pustką stojące. Spoczęli dopiero w Pampelunie, fortecy zajętej już przez garnizon francuski, zostający pod dowództwem generała Lefebvre-Desnouettes'a, starego przyjaciela Polaków. Wyszedszy z Pompejuszowskiej Pampeluny w przedniej straży małego korpusu generała Lefebvre'a na południe, pułk ułański dnia 6 czerwca pierwszy raz spotkał gromadę uzbrojonego ludu. Zbiorowisko to za zbliżeniem się jeźdźców rozproszyło się. Szli tedy dalej na Taffala, Olite, Caparoso w stronę Valtierra, miejscowości leżącej nad brzegiem rzeki Ebro. Stamtąd droga zwracała się na wschód ku Tudeli, idąc wciąż nad samym brzegiem rzeki w jej dolinie. Dopiero w Tudeli miał być most, a z tej strony rzeki za Tudelą już ani śladu drogi.

W tych to miejscach trafiono na wioskę opustoszałą. Wiara była zgłodniała, konie zmordowane, więc po rozstawieniu placówek ludzie rozbiegli się po wsi w poszukiwaniu obroku i jada. Któryś z pładujących znalazł w kościele, za wielkim ołtarzem, ukrytą pszenicę. Sypnięto jej obficie w puste żłoby. Kiedy ludzie zajęli się gotowaniem dla siebie posiłku, zgrzane konie chciwie chrupały hiszpańską pszenicę. Nazajutrz dały się słyszeć strzały placówek. Pułk zerwał się na nogi. Gdy zaczęto siodłać konie, spostrzegli wszyscy, że wierzchowce wstawać nie mogą. Jedne z nich, podźwignięte, stały z trudnością i nie były w możności utrzymać się na przodach kopyt. Kopyta ich były gorące, jakby pełne ognia. Dzielne rumaki wysuwały teraz obrzydliwie przednie nogi naprzód, tylne podsuwały pod brzuch dla utrzymania ciężaru ciała. Łby ich zwisały, a wreszcie cielska waliły się bezwładnie na ziemię.

Pomimo wszelkich środków, jak usilne wycierania, puszczenie krwi, struganie kopyt, tegoż jeszcze dnia około dwustu koni padło na miejscu. Inne ledwo się mogły ruszyć z owej wioski. Mała armia Lefebvre'a, która szła w tropy przedniej straży, wyścignęła teraz ułańców zdążając chyżo na wschód lewym brzegiem Ebru dla zajęcia Tudeli. Krzysztof musiał prowadzić swego konia za uzdę i iść obok niego piechotą. Zrazu miał kilkunastu towarzyszy, z których jedni wyprzedzili go jadąc konno noga za nogą, inni tak samo jak on wędrując obok wierzchowców. Około południa puścił się deszcz gęsty, dokuczliwy, nieustający ani na chwilę. Konie jeszcze bardziej słabły i słały się na schorzałych nogach. Pod wieczór strapiony Cedro spostrzegł, że jest sam jeden na drodze. Nie widział koło siebie nikogo. Jedne z koni jego towarzyszy pozdychały, inne legły bezwładnie z wyciągniętymi nogami. Idąc wciąż pilnie przy pysku towarzysza, spotykał te konie padłe, leżące bez siodła i uzd. Tym staranniej i prawie z rozpaczą pilnował swego. Szedł coraz wolniej, byleby go nie utracić na drodze. Koń trzął się z gorączki, stawał na piętach kopyt, słał się i rżał głucho. Jeździec poszarpał swoją koszulę, podał na pasy i użył ich na bandaże, którymi obwiązywał mokrą glinę na kopytach. Miało się ku zachodowi, gdy rumak zachwiał się i runął bezwładnie nad rowem drogi. Zębami gryzł ziemię, nozdrzami miotał płonący oddech. Szarpnął się raz, drugi, trzeci. Dreszcz głęboki przebiegł go, piękna głowa głucho runęła w miękką ziemię. Ustał płomienisty oddech...

Pełen głębokiego żalu stał nad nim jeździec z oczyma utkwionymi w zmierzchłych źrenicach, w dziwnym, jak gdyby szyderczym a nieskończenie bolesnym uśmiechu pyska.

Pchnęła go w piersi ta niespodziana przeszkoda i obudziła z dumnych zamyśleń rycerskich. Przyniósł go tutaj ten wierny, kochany towarzysz z ojczystej ziemi, przeprowadził przez tyle krain na jawie i przez taki ogrom widzeń, miał zanieść go do miejsca sławy... Teraz śmiał się z tego wszystkiego gorzkim śmiechem śmierci.

Spostrzegłszy, że nigdzie na drodze nie ma towarzyszy, a noc się zbliża, Krzysztof odpiął obergart czapraka, popręg siodła, ściągnął uzdę, podpierał... Gdy wyczuwał rękoma gorąco we wdętym brzuchu i krązenie w żyłach krwionośnych łba, trzął się sam i słał. Zarzucił derę, siodło z czaprakiem i trzęzł na kark własny, lancę ujął w garść i ruszył naprzód gościńcem. Szedł teraz co tchu, żeby dogonić pułk. Rozglądał się na wszystkie strony, a nie dostrzegając nigdzie żywej duszy począł równo, miarowo biec

Koń

z góry. Deszcz bił coraz rzęsiściej. Okolice wciąż była ta sama: garbata na północy i zjeżona od stromych gór na południu, przetrzęta doliną Ebru. W pewnej chwili Krzysztof zjadł kromkę chleba, którą miał być jeszcze z dnia poprzedniego w torbie skórzanej obok olstrów pistoletowych. Ale kromeczka była mała, stanowiła pierwsze śniadanie i obiad, toteż nie zaspokoila głodu. Napił się wody ze źródelka, które zdybał wędrując, i przepatrywał wciąż okolicę.

Stojąc na niewysokim wzniesieniu, widział przed sobą na pewnej przestrzeni gościńiec wijący się jak wstęga w dolinie rzeki. Z miejsca, na którym stał, zbaczała na lewo ku rzece węższa okoliczna droga, która jak cięciwa przecinać się zdawała na ukos cały rozdół rzeki. Wydało się Krzysztofowi, że tędy będzie daleko bliżej do szlaku gościńca, który był widział w oddali. Bez wahania puścił się tą boczną drogą. Wyjął w biegu z olstrów obadwa pistolety, wpakował je za pendent, lancę do boku przycisnął, pałasz przytroczył wysoko — i dalej, bez trwogi! Płaszcz nasiąkł od dżdżu i silnie ociężał. Czaprak z białych baranów, przykrywający siodło z wierzchu, namókł także. Z granatowych obszyci czapraka, idących w zęby, kapąła za kołnierz jakaś zębata woda. Mantelzak, po wyjęciu pistoletów z olstrów, przeważał teraz ciężar na prawą stronę i uwierał ramię. Tybinki kłapały, rzemienie podogonia, podpiersia, uzdy, puśliska i popręgi rozpelzały się z rąk co chwila i plątały dokoła nóg.

Ubiegł tak już z dziesięć stajañ pola zarosłego drzewem oliwnym, kiedy ostatnie brzaški słońca, przesączając się przez strugi deszczowe, ukazały mu dziwaczny w pobliżu widok. Zrazu myślał, że ktoś modli się pod krzyżem nabożnie złożowywszy dłonie. Gdy podszedł bliżej, zatrzęsł się i ścierplł ze strachu. Stały tu między drzewami naprędcie wkopane w ziemię słupy parkanu z poprzeczną żerdzią. Do tej poprzecznicy właśnie były przywiązane ręce wołyżera francuskiego w tornistrze i mundurze. Dłonie miał związane w tył postronkiem, wykręcone do góry w ramionach i zadzierzgnięte na poprzeczną żerdź w taki sposób, jak się wiesza na hakach spiżarni zabite sarny i dziki. Cedro zawołał na niego z odległości kilku kroków. Żadnej odpowiedzi.

Zbliżył się powoli i wtedy dopiero szczegółowo rozpoznał wszystko. Te ręce związane kręceno, widać, włożywszy kolek w miejscu ich złączenia, gdyż ramiona wylazły z rozpekłego munduru, jak nagie kolana wylażą z podartych spodni. Usta były zakneblowane gałganem zwiniętym w kolek, nos oberżnięty, uszy wyrwane ze łba, w obnażonych piersiach ze trzydzieści czarnych ran. Kiszki wywleczone z brzucha leżały na ziemi. Do pasa trup owinięty był czymś, co jeszcze dymiło się czarnym kopciem, choć ognisko pod stopami rozłożone zgasio już, przez deszcz zalane. Cedro pomacał wystające ramię. Było już chłodne.

Jęknął na widok czarnych, straszliwie rozpuchłych od palenia ogniem gnatów nożnych, okręconych słomą maczaną w oliwie. Zdjął trupa co tchu z owej żerdzi, położył na murawie. Gdy tak stanął nad nim rozkraczony i patrzył na leżącego jakoby z grubym cygarem w gębie, rozdętego w szyi, z oczyma wywalonymi na wierzch przez straszliwy ból, że były jak dwie gały z czerwonego kamienia, bez uszu i z brzuchem rozwalonym i z kupą kiszki, które zwisały jak obfita dewiza z brelokami, ogarnął go szczególny rodzaj wewnętrznego śmiechu. Nie myśląc o tym czuł, że śmieje się jak jego wierny koń, zdychający na pampeluńskiej drodze. Pomyślenie błędne, obce duszy, jakies niby to sformułowanie tego widoku nikle i prędko wypsnęło się w mózgu wpośród wzdrygnięć niezdrowego śmiechu: Do diabła! nie zawsze cierpienie jest piękne, nie zawsze, nie zawsze...

Chwycił lancę upuszczoną na ziemię, siodło na barki, otoczył sobie szyję rzemieniami, żeby mu nie zawadzały, i jelenimi skoki pomknął w swoją drogę. Już się walił na ziemię mrok szybkiej nocy. Wyteżał piechur ułomne oczy, żeby objąć całą drogę i nie zabłądzić w ciemnościach. Otoczyły go po przejściu zmiierzchu w noc szepty, szmery, szelesty drzew, szelesty oliw i platanów, obce uchu. Nigdy ich w życiu nie słyszał... Daleki plusk rzeki Ebro... Polne koniki sykały w otaczającej nawale ciemności. Dźwięknie, znienacka uderzywszy się o żelazo wędziła, rozetka na pierśnicy w kształcie serca spajająca rzemienie... Zadzwonili nagle strzemię o strzemię, zaskrzeczą sprzążki popręgów — i w mgnieniu oka włosy stają na głowie. Idą! Nadbiegają... Serce bije... Banda chłopów bieży czając się po zapłociu... Wargi ich zagryzione, oczy od wściekłości przymknięte, w rękach — żegadła. Gdyby przynajmniej można było widzieć! Gdyby tylko można było dojrzeć miejsce i tych ludzi! Zmierzyć oczyma ich liczbę! Bronić się, do stu piorunów!

Trup, Zemsta, Cierpienie

Przecież potrafi bronić się i umrzeć jak się należy! Ale ginąć podle, wśród podlej zgrai, wśród rozszartych zwierząt tłumem na jednego napadających. Jak tamten... mieć w ciągu godzin wykręcane ręce, a nogi palone wolnym ogniem!

Szedł w tym miejscu obcym na palcach, bez wiedzy, że to czyni, coraz ciszej, jakby na nogach już spalonych. Czuł kiszki wydarte niejako ze siebie i oczy wylupane...

— Tchórze, tchórze! — mamrotał z cicha, przyspieszając kroku. Skutkował taki okrzyk przez chwilę, ale wnet odprężyła się zasłona, ukazywał spalony trup wołyżera, i zgięta ohyda waliła się w serce. Kroki Krzysztofa stały się ciche, lisie, hienie. Wlepione oczy przebijały deszcz i mrok. Chwilami migały w nich ogniste widziadła, jak gdyby od nagłej błyskawicy odsłonięte, to znowu kładły się kształty płaskie, kwadratowe, czarne. W pewnych miejscach słyszał swe kroki z łoskotem powtórzone dziesięciokrotnie, jak gdyby stado ludzkie już go dopędzało. Krzyk wydierał się z piersi, ale go wola dusiła w gardle. Stawał wtedy i z odwiedzionym pistoletem w ręce nasłuchiwał.

Cisza wokół nieugięta.

Drożyna owa, którą szedł, kamienista i poryta przez deszcze, była z obudwu stron wygradzona niewysokimi płotami z surowych głazów. Te właśnie kamionki chroniły wędrowca od zboczenia. Kilkakrotnie wlaź już to na prawą, to na lewą. Poczł, że idzie pod górę, w wodzie zlatującej po kamieniach i stopniach z szelestem. Był już spocony, zdyszany od ciężaru siodła. Stał na pewnej wyżynie. Po ostrości przeciagu wietrznego domyślił się, że jest na samym wierzchołku wzniesienia. Uczynił jeszcze kilka kroków — i oto w niewielkiej odległości rzuciły mu się w oczy światła. Wymacawszy ręką przykopę kamienną przysiadł na niej i po stokroć zadawał sobie pytanie: kto też to może palić te ognie? Wróg czy swój? Słyszał było naszczekiwanie psa... Francuzi ani Polacy nie mają ze sobą psa... Daleko zarżał koń... Czyj też to koń? Znowu cisza. Przerwało ją coś rozkosznego, jakby echo gry na organach — i znowu milczenie.

Krzysztof wypoczął już i nabrał tchu. Ruszył ku owemu światłu cichymi krokami zmory nocnej. Zstępując wolno ze wzgórze usłyszał dalekie, w innej stronie wołanie płacówek: *Qui vive!*

Serce zabiło jak młot. Droga rozchodziła się tutaj w rozmaite strony. Przecinały ją szerokie kamienne schody. Na jednym z załamań zobaczył nagle z boku ogromny ogień tak blisko, że stanął w osłupieniu. Nie mógł się ruszyć z miejsca. Nie było to wcale okno płonące od światła, nie drzwi otwarte, lecz jakby szeroka czeluść kwadratowa, prowadząca do ognistego wnętrza.

Słyszał gwar ludzki.

Natężywszy ucho ku najwyższej radości swojej posłyszał mowę francuską, piosenki lekkomyślne, obozowe, krzyki, klótnie... Pobiegł tam skacząc przez mokre krzaki winne, przełaząc przez mury ogrodzeń i zapadając w rowy pełne wody. Wkrótce szyldwach przyłożył mu karabin do piersi. Sam ledwie mógł wykrztusić pytanie, tak był przerażony, gdy nań z mroku naskoczyło siodło kryjące głowę ulana. Przybysz ledwie mógł wykrztusić *mot d'ordre*, tak był strudzony. Obejrzano go ze wszech stron przy blasku latarni i puszczono ociekającego wodą do ognia razem z jego siodłem i dzidą. Tak dobrodusznie zdecydował przywołany kapral.

Krzysztof zbiegł po kilkunastu stopniach i stanął na progu głębokiej nawy wielkiego kościoła. Kilkanaście ognisk buchało pod jego środkowym sklepieniem i w bocznych kaplicach, filarami oddzielonych od głównego wnętrza. Na ołtarzach płonęły zapalone świece. Mnóstwo ich również jarzyło się w rozmaitych kątach pod chórem i na chórze, na ambonie i w kruchtach. Ze dwa tysiące żołnierzy biwakowało tam z wrzaskiem i śpiewem. Jedni chrapali już, leżąc pokotem na kościelnych dywanach, pod chórem, między filarami, dokoła ołtarzów, a nawet na ołtarzach. Inni piekli na ogniu półcie mięsa, prosięta, indyki, koguty, inni zarzynali drób i odzierali go z pierza. Cedro doświadczał uczucia niewymownej radości. Nie grozi mu już napaść z tyłu i straszliwa śmierć wołyżera, nie otacza go samotność w czarnych polach, nie leje się po plecach zaciek deszczu. Ogień, światło, suche płyty! Krzyk ludzki!

Naokół siła i wesele ludzi zdrowych!

W pierwszych minutach nie mógł się zorientować, co się to tutaj robi, czym się bawią jowialni kamraci. Wyszukał oczyma wolne miejsce pod boczną ścianą i zajął je prawem kaduka, z rozkoszą wyciągając zdrętwiałe nogi. Zaraz utworzyła się dokoła jego

Świątynia, Ogień, Żołnierz,
Bezpieczeństwo

figury kałuża z ociekającego płaszcza i odzienia. Dym ognisk zapchał głębie sklepień i ciągnął ku drzwiom. Deszcz pryskał przez wybite witraże. Ze dworu po ziemi szedł mokry chłód.

W kłębach owego dymu, w blasku kilkunastu świec przytwardzonych do gzymsu ambony, ukazywał się co chwila grenadier francuski, który wdziawszy na mundur komżę i założywszy na kark stułę głosił kazanie o najsprośniejszych objawach życia, o najohydniejszych przestępstwach, jakie tylko zgromadzić może w szczupłe ramy anegdoty kawalerska imaginacja. Mowę swoją ilustrował najzabawniej w świecie, skubiąc dużego koguta i co chwila z gestami krasomówczymi rozsypując na słuchaczy obdarte pierze. Umiał przy tym pisać i udawać gdakanie spłoszonych kokoszek w sposób iście zabawny. Cedro śmiał się do rozpuku mechanicznym, martwym śmiechem, bokami i gardłem, aczkolwiek doświadczał jednocześnie uczucia przykrości. Wciąż dokoła niego łamano konfesjonały, rąbano rzeźbione stalle i ławki, katafalki, schody, drabiny i lichtarze, sprzęty kruchciane, starodawne naczynia z drewna, bardziej już przez swą starość symbole wieczności niż przedmioty rzeczywiste. Rzucano je wraz z chorągwiemi, z mszałami w wielowiecznych oprawach, wraz z poczerniałymi obrazami w grubych ramach na stopy, i ognie pełgały coraz żywiej. Krzysztof ociężałymi oczyma patrzył na białe place po zerwanych ze ścian obrazach, gdzie nikiel pajęczyny chwiały się od przeciągu... Ziewał kurcząc się w sobie żałością. Na marmurowej posadzce stały pośrodku rozlane kałuże juchy prosiąt, cieląt, kogutów i indyków. Za nogami chodzących włóczyły się istne korowody puchu i pierza. Słychać było gwar przeważnie francuski, ale przebijały się dźwięki niemieckie, polskie, hiszpańskie, a nawet holenderskie.

— Holendrzy w Hiszpanii jako zdobywcy... — pomyślał leniwie Krzysztof ziewając z całego serca.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi prowadzących do zakrystii, tak znany uchu katolickiemu, a zwiastujący wyjście sumy. Wszyscy porzucili swe zajęcia i zwrócili głowy w tamtą stronę. Istotnie wychodził z zakrystii tłum poprzebieranych żołnierzy. Naprzód szedł szereg jakoby chłopców mających służyć do mszy, w komżach i pąsowych pelerynkach. Każdy z nich niósł dużą butlę omszałą, z minką skromną i pokornie spuszczonej oczkami. Ustawili butle na wielkim ołtarzu szeregiem i, złożywszy rączki, pośpiesznie zbiegli ku stopniom. Za nimi dopiero wylazł z zakrystii piechur z wąsiskami jak dwa lisie ogony, w lśniącej kapie i berecie, drugi za nim w ornacie, trzeci tylko w albie, którą podnosił w sposób damski, zwany *incroyable* czasu wielkiej rewolucji. Każdy z nich dźwigał olbrzymi gąsior z winem.

Tłum żołdacki ryczał z zachwytu i klaskał w ręce. Tamci, błaznujący, poustawiali przyniesione gąsiora na ołtarzu. Przydźwiganą przez kilku beczułkę z winem wtoczyli na ołtarz i ustawili na szczycie cyborium. Piechur w kapie wziął z rąk kolegi kadzielnice i niespodzianie zaczął wykonywać nieprzyzwoity taniec i odprawiać jakieś potworne nabożeństwo. Gdy wśród podrygów wyrzucił nogi, odgięła się kapa i wykazała, że celebrans jest wprawdzie w mundurze, ale bez innych, niezbędnych części uniformu, które właśnie suszyły się przy jednym z ognisk. W trakcie tych profanacji poubierani w komeżki wypchnęli przed ołtarz siwego człeczynę w nocnej koszuli i krótkich majtkach. Ubrany w kapę wciągnął go na stopnie ołtarza i przedstawił widzom jako księdza proboszcza.

— Hiszpan — wołał głosem błazeńskim — ale ksiądz proboszcz! Zdawałoby się, że tak niewiele, a przecież jest to właściciel i twórca tej całej piwniczki winnej. Szanujcie, barbarzyńcy, tego właściciela! Nic nie wypito potajemnie. Nie chciał nam czcigodny ojciec dobrowolnie pokazać skarbu, który przez tyle lat pielęgnował, więc go cokolwiek zaznajomiliśmy z grzecznością. Teraz już jest grzeczny i sfrancuziały do gruntu. Pięćdziesięcioletnia malaga w tym oto antałku...

Wrzask radości rozległ się w całym kościele. Cedro cieszył się na równi ze wszystkimi przemokniętymi i zziębniętymi kamratami, wbrew istotnym swoim uczuciom. Ceremonia wnoszenia butelek i gąsiorów zajmowała go prawdziwie i szczerze. Gdyby wiarusy wyprawiły stokroć bezpieczniejsze orgie, uznał by je na przekór głosowi duszy za ciekawe, godne uwagi i w szczególności właściwe. Pić mu się chciało tak okropnie, że zda się kilka lat życia oddałby za jeden z owych pękatek i omszałych gąsiorów wina. Po wielkim zmęczeniu, po trudzie drożnym aż do siódmego potu, po wykonaniu pracy ostatniej, która daje możliwość poznania forsy i trudu jucznego konia, jego znojów i niemal uczuć — było

Żołnierz, Świątynia,
Śmiech, Żart, Obrzędy,
Alkohol

mu teraz na kamieniach odwiecznej posadzki zimno i obmierzłe. Woda wlaźła w kości.

Włóczył spracowane oczy po płytach okolicznych. Sam leżał obok marmurowej tablicy, wielkością przewyższającej wzrost człowieka. Wykute na niej było niezgrabne wyobrażenie rycerza w zbroi, z mieczem w dłoniach splecionych. Twarz z płaskim nosem, pancerz i stopy — wszystko to dawno już było starte podszwami i obcasami wiernych parafian, wyniesione prochem przez niezliczone szeregi nóg, które w ciągu wieków deptały dumnego rycerza. Teraz był z niego tylko ślad, istne zwłoki, znak świadczący o znikomości pamięci ziemskiej. Dalej leżały tablice, których litery, podobnie jak wojownik, zstąpiły w kraj nicości. Obok napisów były okrągłe, żelazne antaby do podnoszenia tych drzwi grobowych. Spod nich to wiał ów przejmujący, zwilgły, trupi chłód.

Krzysztof nie mógł wytrzymać. Złożył swe siodło, lancę, powiesił przy ołtarzu płaszcz i uzdę. Wszedł między tłum. Trudno było przejść koło ognisk, gdyż wszędzie tam ludzie leżeli na rozciągniętych płaszczach, dywanach, ornatach, kapach kościelnych, na suknie do paradnego katafalku... W stronie prezbiterium utworzyła się zbita masa „przystępujących” do antalka z winem. Wiarus w kapie rozdzielał kielichy między pijących. Krzysztof grzał się i suszył, z dala stojąc przy jednym z ognisk, i rozglądał się naokoło. Drażniło go rozkoszne skwierczenie prosiaka pieczonego na bagnecie. Wstyd go palił na myśl, żeby poprosić o kąsek, ale głód kiszki skręcał. Kamraci przypatrywali mu się spode łba. Zaczęli między sobą mamrotać z niechęcią i zsunęli się koło ognia w taki sposób, żeby mu zagrozić dostęp. Cedro spojrzął na nich wyniośle i odszedł z głową zadartą do góry, w towarzystwie coraz donioślejszej symfonii kiszkowej.

Zahuczały organy, na których wygrywano skoczno sztajerka. W jednej z kaplic utworzył się pewien rodzaj sali balowej. Tańczono tam z nadzwyczajnym ożywieniem i ruchami. Szczególnie odznaczał się w tym kierunku jeden z grenadierów. Tańczył trzymając w objęciach z pieczołowitą i subtelną elegancją sporego prosiaka. Udawał, że w zapamiętałym szale wiruje w tańcu styryjskim, unosząc w objęciach nadobną i wiotką dziewczę. Ponieważ prawą ręką kręcił prosięciu ogon i szczypał je paznokciami, gdyż kwiczało obrzydliwie — więc uśmierzał jego boleść namiętными szeptami. Żołdactwo ryczało.

Przedzierając się ku ołtarzowi przez zwarty tłum, spostrzegł Krzysztof owego starego proboszcza. Księżyna lypał oczyma stojąc w ciemnym kąciku pomiędzy nagrobkami i wolniuteńko kwapił się w pewnym kierunku, widocznie z tym zamiarem, że się niepostrzeżenie zdoła wymknąć, gdy motloch na dobre podpije sobie. Zgłodniały lansjer przystąpił do księdza i zagadnął go ostro, w twardym tonie, czy rozumie po francusku. Proboszcz skrzywił się zarazem boleśnie i chytrze; kiwając głową niby potwierdzał, a niby zaprzeczał. Po wyrazie twarzy Krzysztof poznał, że został zrozumiany. Zażądał wtedy, dobitnie wymawiając wyrazy, żeby mu ksiądz przyniósł cokolwiek do jedzenia, gdyż jest głodny najokropniej, po prostu jak pies. Pleban wytrzeszczył oczy i prawie z płaczem jął bić się w piersi, przysięgać na świętości i wskazywać z jękiem, że już nic a nic nie ma, że jego oto prosięta, cielęta, krowę, kury, indyki — i wino — dodał, bokiem ze zgrozą i okropnym uśmiechem zwracając się ku ołtarzowi — zajada i zapija sławne po wsze czasy wojsko cesarskie. Cedro był tak zgłodniały, znużony i bezsilny z czczości, że namyślał się tylko nad tym, jakby z tym klechą począć sobie najskuteczniej.

Ujął go za kołnierz od koszuli i popchnął przed siebie, między tłum. Ksiądz pomknął żywo, schylając głowę, jakby się chronił od ciosu. Dotarli do zakrystii. Tam wszystko było powywalane razem z szufladami. Szafka ze świętym naczyniem była rozbita, szuflady jej wyrwane, a samych przedmiotów oczywiście nie było śladu. Naokół tarzały się po ziemi ornaty, kapy i bielizna kościelna. Ujrzawszy dużą, żalobną kapę z czarnego aksamitu Krzysztof narzucił ją co tchu na ramiona z myślą, że będzie mu służyła za koldrę. Zamierzał teraz na dobre zabrać się do księdza. Obejrzał się na niego... Zobaczył płaczącego pod ścianą, z twarzą ukrytą w dłoniach. Śmiesznie wydatny a doskonale okrągły brzuch księdza między naiwnie pierwotnymi szelkami wstrząsał się w krótkich i obcisłych majtkach od głębokich szlochów. Całe ciało targało się konwulsyjnym dreszczem.

Krzysztofa ogarnęła przelotna, krótka litość. Zbliżył się do starca i dotknął jego ramienia. Gdy tamten podniósł głowę, spojrzął mu w oczy z serca. Pokiwał głową, pokiwał głową... Później pocałował go w ramię i rzekł mu do ucha:

— Wielebny ojcze, dawaj mi, co masz jeszcze do zjedzenia, bo zdycham z głodu.

Taniec, Zabawa, Zwierzę

Ksiądz podniósł na niego zapłakane oczy i z załamanymi rękoma wskazywał owo zniszczenie sprzętów, szat kościelnych, naczyń... Byli ku sobie wzajem pochyleni, i właśnie Cedro miał zamiar wytłumaczyć staremu kanonikowi dobrotliwie, z wyrozumiałością, że to sam Bóg karze go zapewne za ów kult wina oraz cieląt widokiem świętego kadzenia przed wypielegnowaną beczką malagi, kiedy ksiądz schylił się, zaczął podnosić alby, komże, składać je sekretnie, pośpiesznie, ze czcią, w szufladach. Krzysztof mu nie przeszkadzał. Sam rozglądał się po kątach, czy nie znajdzie jeszcze czegoś sprofanowanego albo czegoś do jedzenia... W trakcie tych swoich zabiegów usłyszał szcęk klamki w najciemniejszym kąciku zakrystii. Rzucił okiem i posunął się w tamtym kierunku, ale ujrzał już tylko plecy i pięty proboszcza. Drzwi zatrzasnęły się i klucz w nich szybko z tamtej strony zgrzytnął. Cedro wzburzony skoczył, żeby ścigać księżynę, ale za naciśnięciem klamki przekonał się, że drzwi zostały z tamtej strony istotnie zamknięte.

Kanonik niewątpliwie czmychnął.

Nie pozostało nic innego, tylko wrócić do prezbiterium i szukać tam pożywienia. Stanął za innymi przed ołtarzem. Tłum rozgrzany wciąż za kolejną klękał na stopniach i chleptał malagę i andaluzyjskie wino Alikante, porządkiem otrzymując złoty kielich z rąk żołnierza w kapie. Już Krzysztof zbliżył się do ołtarza, żeby na stopniu klęknąć i pić za innymi, gdy na niego kolejka przyjdzie. Odchodził od przytomności z głodu, a głównie z pragnienia. Nagle pogarda buchnęła z niego jak womity. Wypchnęła go duma z tego szeregu. Poszedł precz wprost na swe miejsce klnąc głośno i bardzo brzydtko. Zawinął się szczelnie w aksamitną kapę z taką wściekłością, jakby za chwilę miał głowę położyć na nożu gilotyny, narzucił na suchą kapę mokry, biały płaszcz ułański, siodło ustawił jak wezgiel. Miał pod ręką lancę i rzemienie siodła, pistolety za pasem. Wydobył jeszcze furażerkę, podłożył ją pod policzek, żeby choć głowa leżała na suchym. Głodny jak pies bezpieczeństwa, zamknął oczy i wrzepił głowę między kule siodła, żeby spać i nie patrzeć na świat.

„*Siempre eroica*”

Blisko sześć tygodni Cedro spędził na siodle z rzemieniem lancy na rękę, z ostrogą wpartą w bok bieguna. Miał teraz iberyjczyka, konia szybkiego jak wiatr. Otrzymał go jeszcze w Tudeli, dokąd na piechotę przybył ze swym siodłem. Od chwili wtargnięcia z pułkiem jazdy na prawy brzeg Ebra i w radosną po górskich pustkowiach dolinę tej rzeki, nie zaznał już jednej chwili spokoju. Brał tedy udział w niezrównanych szarżach lansjerów pierwszego pułku pod Mallen i czternastego czerwca pod Alagon nad Xalonem, cudnym, bystrym, dzikim dopływem Ebra ze strony południowej. Szedł w przedniej straży całego wojska, kiedy 16 czerwca zbliżano się do Saragossy. Jeden z pierwszych przebiegł we wszelkich kierunkach ów ogród pracowicie uprawny, zroszony licznymi kanałami, zajrzał do każdego domu w podmiejskich wioskach — la Joyosa, Marlofa, Las Casetas, Utebo, Monzalbarba, pierwszy wreszcie dotarł do klasztoru San Lamberto w Molviedro. Stąd już nie było trzech wiorst do aragońskiej stolicy. Molviedro stało się od tej chwili niejako domem pułku. Tu po trudach wypraw odpoczywano w zimnych korytarzach klasztoru, tu nieraz można się było ukryć przed natarczywością dziennych upałów i zimna nocnego, stąd wreszcie wyruszano na setne i tysięczne ekspedycje, z których każda była zatraceniem. Zapomniał już był Krzysztof liczby starć, bójek, pościgów na gładkich szosach wapiennych, wysadzanych drzewem eukaliptusa i platanu w rozdole rzeki Ebro. Wiódł teraz życie na spalonych od słońca wyżynach szosy madryckiej, wijącej się przez la Muela, przez Calatayud — i w dolinie Huerby na drogach przez Daroca, ponad kanałem królewskim, i za rzeką, za Ebrem, na lewym, bagnistym brzegu u dolinie Gallego i na górach jałowych, solnych, kruchych od zwietrzałego kamienia i sypkich od gipsu.

Ponieważ szczupła armia generała Verdiera, której zadaniem miało być opanowanie Saragossy, nie posiadała wcale magazynów, więc ułani nadwiślańscy musieli dostarczać dla całego wojska zapasów żywności i furażu. Toteż dzień w dzień, podzieleni na oddziały, od wczesnego rana pomykali w góry. Bogata, mlekiem i miodem płynąca dolina Ebra była zupełnie pusta. Jedna część mieszkańców uszła do Saragossy, inna w góry, zabrawszy ze sobą dobytek. Trzeba było szukać stad owczych, krów i kóz w ich niedostępnych kryjówkach. W ciągu tych sześciu tygodni ułani wyćwiczyli w sobie instynkty tropicieli i zbójów. Cedro odnalazł w sobie duszę jakiegoś przodka z czasów Maćka Borkowica.

Żołnierz, Władza, Lud,
Polak, Historia

Zobojętniał już na przykrości tego zawodu. Owszem, odszukał w nim pewien szczególny urok, bezczelną dumę, rozkosz tyranii, śmiech zdrowy z ludzkich jęków. Każda teraz chwila jego życia upływała pod ruchomą skałą grozy.

Człowiek w górach napotkany to był wróg godzący nożem w serce. Zza każdego krzaka czyhała lufa strzelby, strzał padał i kula świstała zza każdego kamienia, a każdy cień przelatujący zwiastował śmierć. Ale w tym właśnie młoda dusza znalazła dla siebie żywioł. Była to rozkosz: wyjść w kilkanaście koni wczesnym, modrym, zimnym rankiem w lipcu, nim słońce wstanie zza gór ziemi Monnegros, co koń skoczy przebiec chłodne, mroczne aleje drogi pampeluńskiej, wyjechać z obrębu oliw i winnic, zawrócić na południe ku Placencji, a stamtąd cichaczem rzucić się w bok, w zgorzałe, sypkie, spadziste rumowia dolin. Wyjść z obszaru cyprysa w rzadkie gaje pinii. Stamtąd widać jak gdyby step zburzony, strzaskany, gdzie cisza i głusza, gdzie suchy, bezmglisty cień poranka leży nad dolinami jako wieko. Nagle wichrowym skokiem wpadną do jakichś kamiennych zagród, zastaną tam ludzi, złapią stada. Przystawią ze śmiechem lufy pistoletów między czarne oczy tym chłopom ponurym i zmuszą ich, żeby jak niewinne baranki pędzili swe stada na szosę i aż do samych bram obleżonej Saragossy.

Nie zawsze jednak udawało się tak łatwo. Trafiły się dni, w których ciągu na próżno płądrowali góry i wąwozy aż pod sam szczyt Puig Cervero za Huerbą, w kierunku na Belchite i ponurego w górach zamku Daroca, że darmo rzucali się w płone płaskowyzę ku Fuentes nie spotykając na drodze żywej duszy. Ileż to razy tropiąc bydło wpadli na zaczajoną bandę gerylasów, która rzucała się na nich z krzykiem i nożami. Były to chłopcy proste i dzikie, przyzwyczajone do żywota w ziemi pustej i do wędrówek w Pirenejach z kontrabandą. Przeszywani bez miłosierdzia grotami lanc, wieszali się u szyj końskich, ostrzem noża rznąli kłęby rumaka i godzili w serce jeźdźca. Wówczas to Cedro poznał, czym jest lanca i jak mądre są maksymy towarzysza Gajkosa. Nim wróg zdecyduje się na skok — pęd konia i nastawiony grot!

Struga krwi i jęk śmiertelny stratowanego — oto wszystko. Zawsze niezwycożony pułk lansjerski tratował już wielokroć tłumy. Nieraz już Krzysztof prał w falach Ebra płótno swej chorągiewki, gdy się stało twarde i jednej barwy od zeschłej aragońskiej krwi. Nieraz już wpływ przebył płytkie, letnie fale rzeki. Wielokroć śmigał po równinach lewego brzegu w uroczej dolinie rzeki Gallego, płynącej z Pirenejów, żeby wody swe połączyć z wodami Ebra tuż za murami Saragossy.

W tych wyprawach sześciotygodniowych już wielokroć okrążył starą Caesaraugustę ze wszech stron. Widział ją od strony wyniosłości Castellar z wyżyn płaskowzgórza Placencji, od strony południowej z la Torecilla, i ze wschodu z płaszczyny Val de Osera. Rysowały się przed oczyma niezliczone wieże: wyniosły szczyt katedry Del Seo; olbrzymie kadłuby klasztorów — franciszkańskiego, w środku miasta, za bramą zwaną Quemada, na prawym brzegu Huerby — świętego Józefa, na południu — czworokąt zamku inkwizycji Castel Aljaferia, na zachodzie — kapucynów, przed bramą Carmen; okrągłe kopuły i strzeliste wieże Nuostra Señora del Pilar, nad samym brzegiem rzeki.

Widzieli dobrze most łączący przedmieście Arcabal z głównymi przecznicami grodu, które sięgały aż do placu Engracia i bramy tegoż imienia na południu; szerokie zagłębienie między czarnymi gmachami w kształcie litery C — to jest Calle del Cosso, którego grube, środkowe brzuśce pod Franciszkanami i szpitalem obłąkanych stanowiło wydłużony plac, dolne wyjście kieruje się za gmachem uniwersytetu ku Puerta del Sol, a górne przechodzi w plac targowy i za klasztorem S. Juan de las Panales dosięga wąską uliczką rzeki Ebro.

Mamiło ich i czarowało to miasto posępne. Nie było fortecą, bo je otaczał jeno niski, dziesięciostopowy mur i liche bramy. Widzieli pierwsze targnięcie się na Saragossę dnia 15 czerwca i atak w dniu z lipca, zdobycie wyniosłości podmiejskiej Monte Torrero, opанowanie klasztoru kapucynów. Byli przy zaciekłym szturmie, obronie i spaleniu klasztoru świętego Józefa.

Poznali tu męstwo jeszcze niewidziane, upór stalowy. Rozumieli to już, że mają przed sobą nie oficerów i żołnierzy, nie lud burzliwy i lecący w rozsypkę, gdy natrze ćwiczony batalion, lecz lud potęgą fanatyzmu przeistoczony w armię. Dowódca w tej olbrzymiej gromadzie nie był mianowany z góry. „Góry” nie było.

Wodzem stawał się najtęższy, najdzielniejszy i najzacieklejszy — przez jednomyślny i jednogłośny rozkaz masy. Jeśli źle obmyślił, nieskutecznie rzecz poprowadził, słabo wy-

Polak, Walka, Historia,
Żołnierz, Powstaniec

Powstaniec, Walka

konał, nędznie zarządził, za słabo i miękko natarł, nie walczył, słowem, na śmierć, jak tego chciała wola powszechna, wydawano nań wyrok gorącym prawem, stawiano pod murem i jego własna podkomendna gromada kulami przeszywała mu serce. Tak zginął pułkownik artylerii Pesino, tak zginął dowódca zamku Cinco-Villas — i inni. Gromady walczące nie były wcale podzielone na regularne oddziały. Były to kohorty, które przyciągnął i skupił geniusz wodza. Im wydatniejszą była siła tego geniuszu, tym oddział liczniejszy. Wódz danego oddziału nie zależał właściwie od naczelnego dowódcy: spełniał rozkazy wydane z góry o tyle, o ile je uznał za zmierzające do celu. A jednak wszyscy jak jeden byli w danym razie posłuszni wodzowi na jakiego z woli ludu wyrósł Don José Palafox.

Ułani polscy stojąc na górach i patrząc na posępne miasto myśleli o nim jako o duszy znajomej i czującej. Lubili tak stanąć oddziałem, patrzeć w nie długo... Nieraz Krzysztof Cedro zatrzymał konia i zapamiętał się w dumaniu. Serce łamało się w nim od tych rozmysłów, ręce się trzęsły. Z duszy jego wybuchała zaciekłość, a z ust rwał się mściwy okrzyk: — Musisz i ty zginąć, maro! Nie będziesz nam stała przed oczyma, zmoro przekłeta! Przeciw karnym, przeciw regularnym, przeciw ćwiczonym czworobokom stawiasz dumę swej woli, potęgę swojej wyniosłej anarchii! Cha, cha! Musisz zginąć!

Gdy przedsięwzięto sprowadzenie z Pampeluny czterdziestu sześciu dział wałowych, haubic i moździerzy w celu rozpoczęcia regularnego oblężenia, pułk ułański bronił tego transportu od napaści gerylasów w czasie spławiania go Kanałem Aragońskim. W tej dobie nie było spoczynku ani dniem, ani nocą. Szli ciągle wplaw raz na tę, drugi raz na drugą stronę kanału. Zachodzili drogę bandom zstępującym z gór, siepali się z nimi w zasadzkach, po wyłomach skalnych i w dolach górskich. Nareszcie transport ściągnięto pod Saragossę i oblężenie zarządzono w ten sposób, że opasano część miasta z zachodu i południa, czyli od rzeki Ebro do fortu Monte Torrero. Część wschodnia z całym przedmieściem i zarzeczem była wolna.

Pod koniec lipca Krzysztof, jako znający język francuski, wybrany został z szeregu do kompanii inżynierskiej i artyleryjskiej, którą ze zdolniejszych ułanów i piechurów składał i formował kapitan lansjerów Hupet. Liczba wykwalifikowanych artylerzystów była tak w armii nieznaczna, że generał-inżynier Lacoste, który miał kierować robotami oblężniczymi, rozporządzał kilku zaledwie oficerami. Bateria powierzona kapitanowi Hupetowi stała pod Monte Torrero. Artylerzyści mieli teraz za zadanie kierować sypaniem baterii. Ułatwiała te prace wielka obfitość rowów irygacyjnych, wykopanych jeszcze przez pracowitych Morysków, oraz naturalnych fos, przez które szluzę z Kanału Królewskiego wyprowadzały wodę do ogrodów. Przechodziło tędy również wysoko obwałowane łóżysko rzeki Huerby. Drzewa oliwne rozciągały się aż do samych murów miasta. To też mieszkańcy dniem cięli kulami wypielegnowane gaje, rwali ogrody, burzyli w nich domki letnie, żeby odsłonić roboty Francuzów i kulami spędzać zatrudnionych chłopów.

Krzysztof porzucił konia i wyprawy, aczkolwiek nie zmienił uniformu ani nie przestał należeć do swego pułku. Siedział teraz w kanałach i dyrygował powierzonym mu oddziałem chłopów aragońskich, którzy pod karą śmierci musieli budować narzędzia śmierci dla swych współrodaków. Co chwila z bagnetem w rękę odpierał wycieczki mieszkańców miasta napastujących albo uśmierzał wybuchłe w rowach na podobieństwo prochowych min bunt robotników. Z murów i wież klasztornych bez przerwy sypały się kule, spadały brandkugle, kawały żelaza i kamienie. Nocami uczył się sztuki stawiania działobitni, sypiania przedpiersiów, rznienia strzelnic, ich policzków i pokolanków, układania podłoża armat, stawiania sworzniów i łuków wkopanych.

Oblężeni otrzymali w tym czasie posiłki w liczbie dwu tysięcy ludzi gwardii hiszpańskiej, ale i Francuzi wzmocnieni zostali przez dwa pułki liniowe, które z Francji nadeszły. Baterie zostały ustawione na legarach, ostatnie wbito gwoździe pomostowe, przedpiersia wyłożono faszynami. Na żądanie poddania miasta Palafox odpowiedział wyrazami: „Walka na noże!”.

Trzeciego sierpnia ryknęły wszystkie armaty. Czwartego bito od świtu w zamek Aljaferia, odwieczne więzienia inkwizycji, w bramę Carmen i w bramę Engracia. Zarazem strzelcy polscy ruszyli po drugiej stronie rzeki Ebro na przedmieście Arcabal. Krzysztof Cedro stał w baterii naprzeciwko klasztoru Engracia. Ponieważ przewidywano, że brama tego dnia musi być zatarasowana wańtuchami z piaskiem, bito wyłomy obok niej z prawej i lewej strony w murach należących do klasztoru. Ogromne zabudowania jego

Polak, Żołnierz, Chłop,
Lud

Walka, Żołnierz, Polak

stały na nieznacznym wzniesieniu i tworzyły całość odosobnioną. Batalion pułku siedemdziesiątego i cały pułk pierwszy piechoty polskiej stały w przykopach, czekając na dany znak. Cedro z towarzyszami artylerzystami otrzymał rozkaz wzięcia udziału w szturmie z karabinem w rękę, gdy szwadron konny nadszedł do asekuracji armat.

Ludzie byli spragnieni walki, kobiet, rabunku. Drżeli do bitwy. Około godziny jedenastej z rana poczęły walić się i w słupy kurzu obracać mury klasztorne. Na prawo od bramy, w pierwszy wyłom, rzucił się natychmiast kapitan Bal. Za nim przez most na rzece Huerba ruszyła garść ułanów artylerzystów. Wśród wściekłego upału, w ogniu strzałów buchających jak gromy i pioruny ze strzelnic kutych w murze klasztoru, przypadli do wyłomu. Ujrzeni tutaj oko w oko obrońców. Rzucili się jedni na drugich jak rozjuszony zwierzęta. Rzygnęła z przebitych piersi krew. Wał trupów zagroził wejście. Mury klasztorne z trzaskiem padały. Walily się sufity i z pięter leciały zastępy chłopów w głąb piwnic. Belki miażdżyły ich, oberwane piece i ściany zasypywały od razu. Krzysztof znalazł się nad brzegiem jednej z tych jam. Oniemiał. W dymie i słupach ceglanego pyłu, w ruchomych gruzach pod swymi stopami widział gmeranie się tej konającej miazgi. Głowy obwiązane czerwonymi chustkami w sposób świąteczny na obraz dużej obręczy; długie włosy wysmarowane tłuszczem, wełniane płaszcze w białe i niebieskie pasy, a sięgające do samej ziemi jak togi rzymskie. Wierzyły i roily się nogi w białych pończochach i czarnych aksamitnych spodniach, trepy drewniane z czarnymi wstążkami związanymi w tyle nogi. Wyciągały się jeszcze ręce ściskające długie noże.

Z rozwartych jam w rozpękłych ścianach wypadały coraz to nowe szeregi wystrojonych świątecznie; rzucały się na napastników ze ślepym męstwem. Zamordowano ich bagnetem i zepchnięto do wspólnego z tamtymi grobu. Piechota polska wtargnęła w wyłomy klasztoru. Depczą ranionych i konających, biegnąc po gzymsach obok piwnic pełnych konania, zboczeni krwią, w poszarpanych ubraniach, z lufami lepкими i ociekającymi, chyżo wypadli wreszcie na pierwszy plac.

Engracia!

Nareszcie włamali się do tego wściekłego miasta!

Plac był pusty. Gdy wyszli na jego środek, jak grad sygnęły się na nich strzały, runęły z góry kamienie. W ślepych murach, martwych, tylnych ścianach domów powybijane były od dawna oskardem wąskie otwory. Z każdego z nich błękitny dym wybuchał. Wąskie ulice wiodące w miasto, istne szpary między rzędami wysokich kamienic, były świeżo zamurowane albo zawałone worami piasku. Okna dolne w mieszkaniach, drzwi sklepów, wejścia do sieni były również zamurowane i pełne niedostrzegalnych strzelnic. Nigdzie drzwi! Ani jednego żywego człowieka! Nieprzyjaciela jak gdyby nie było!

Druga straszliwa salwa strzałów... Dym buchnął z jednolitych murów i sączył się smugami... Kilkadziesiąt trupów padło na bruk. Oficerowie sfurmowali plutony i popod murami dążyli co tchu nazad, ku bramie Engracia. Tu się ukryło wojsko za zrębami poszarpanego klasztoru. Znaleźli bramę zawałoną niezmierną masą worków ziemnych, które tworzyły za wieżkami górę równą ich wysokości. Kazano batalionowi drugiego pułku piechoty polskiej odciągnąć owe wory spod bramy. Rzucili się do roboty, radzi, że nie idą choć chwilę na ślepe, dymiące mury. Między innymi pracował tam i Cedro. Gdy już z dobrą godzinę nosił ogromne *sacs à terre*, omdlewał prawie z trudu. Cały był zlany potem, brudny i niemal ślepy od dymu i kurzu. Dysząc ciężko, usiadł na worku i wyciągnął nogi. Ani jednej myśli... Gdzie to on jest i co robi? Co to za wory i do czego? Huk straszliwy armat grzmota raz w raz w czoło, w ciemność głowy. Przerażliwe jęki umierania... Gdzie to on tu jest?

Tuż obok pod murem, w jego fioletowym cieniu, chodził tam i z powrotem niski oficer, szczupły, chudy brunet z pięknymi oczyma. Szpadę obnażoną trzymał w ręce. Cedro rzucił na niego przekrwawionym okiem i nie był pewny, czy rzeczywiście widzi tego człowieka, czy to może mu się przypomina jakiś wypadek z takim człowiekiem. Oficer stanął nad nim i z uśmiechem ironii coś mówił. Wśród buchania strzałów, wśród owych galopem pędzących fal powietrza, wśród walenia w mury pobliskie oskardów saperskich, wśród ryków „na pomoc!”, wrzasków konania i przesmutnych jęków a wołań — nie mógł dosłyszeć.

Zerwał się na nogi i wyprostował.

— Skąd się tu wziąłeś, ułanie z wciętą talią? — wkrzyczał mu kapitan w ucho.

— Odkomenderowany do armat Hupeta kapitana...

— Rozumiem. Spracowałeś się waćpan?

Cedro spojrział na niego ze zdumieniem.

— Znam waści z widzenia, z wieści, ze słuchu, panie Cedro.

Krzysztof uklonił się po wojskowemu.

— Jesteśmy w dalekim powinowactwie. Nazywam się Wyganowski.

Rotowe salwy strzałów i nowy huk armat spod Aljaferii przerwał rozmowę. Za chwilę Krzysztof siedział znowu na swym worku, a oficer chodził wzdłuż muru.

— A nazywaj się jak chcesz, diable czubaty... — rozmyślał Cedro. — Powinowactwo...

Rzucił mimo woli wzrokiem w stronę ruin klasztoru i znowu dojrzał zavalone piwnice. Z rumowia wyłazili ludzie. Gałgany na nich krwawe, obdarte. Gęby straszliwe, oczy w niego z daleka patrzą. Cóż za oczy!

— Wyganowski... — szepcą usta — w dalekim powinowactwie... Cedro... Cha, cha! Cedro! Nie ma już, bracie, Krzysztofa Cedry. Poszedł, braciszku, i nie ma... Och, nie ma...

Niedługo pozwolono mu melancholizować w tym sposobie. Wezwany ponownie do noszenia worków, musiał z kolegami chwycić za pierwszy ciężar z brzegu i dźwigać go wśród niewysłowionej spiekoty. Na placu Engracia rozwiązywano wory i wywalano piasek na kupę.

— Ciekawym — myślał Cedro ze śmiechem biegając tam i z powrotem jak koń w kieracie — jakie też to chłopczyki będą znowu nasypywały ten piasek w worki? Czy może my sami?

Skoro barykada zza bramy została usunięta, skruszono młotami jej olbrzymie wręczadze i rozwarło wrotnie na ścieżaj. Pułk czterdziesty czwarty wwałił się teraz w ulicę, na plac i w dziedzińce klasztorne. Co jeszcze nie zginęło pod gruzami murów, to teraz konało pod bagnetem. Opuszczono zabudowania klasztoru świętej Engracii wówczas dopiero, gdy już nie zawierały w sobie żywego obrońcy.

Wówczas cała siła francuska zebrała się w kolumnę, żeby wtargnąć do środka miasta i dojść do mostu. Z placu Engracia trzy wyjścia prowadziły w trzy strony. Pierwsze na zachód do placu i bramy Carmen obok klasztoru św. Józefa Del Calzas. Na północ szła główna arteria miasta — ulica Engracia, otwierająca się na Calle del Cosso i wraz z ulicą św. Giliusza (od Cosso do mostu) przecinająca gród na dwie prawie równe części. Trzecie wyjście wiodło na wschód, w ogrody i bocznicę ku bramie Quemada.

Wojska musiały iść wprost, w ulicę Engracia. Wezwano saperów odzianych w zbroje obłąknicze, zaopatrzonych w oskardy, i ruszono gromadnie na mur zagrządzający wąską szczelinę. Kiedy narzędzia z dźwiękiem uderzyły w kamienie barykady, istne piekło runęło na napastników. Z dachów, z facjat, z nielicznych okien i strzelnic, z każdego piętra i zza każdego niemal kamienia runęły głazy, bryły żelaza, chlusnęły kadzie wrzącego oleju i wody. Dym karabinowy buchał zewsząd, nawet z ziemi, z okien piwnicznych.

Francuzi i oddziały polskie były w mur bagnetem. Rypali w nim szczyrby, wszczepiali weń paznokcie i końce stóp, darli się na szczyt po wbitych karabinach jak po szczeblach. Skoro ruszono mur przecznicy z wierzchu, rzucili się na pojedyncze kamienie i rwali je gołą garścią w ogniu i dymie, wśród walących się gruzów.

Nim Hiszpanie zdołali wymordować pierwsze szeregi, już ta barykada była roztrzęsiona bagnetami i zamieniła się na oсыpisko cegły i wapna. Oszałały zastęp zdobywców wleciał w wąską czeluść ulicy jak wybuch, jak pocisk ludzki wyrzucony przez siłę piekielną. Zemsta rzuciła ich naprzód. Rozjuszony, ślepy gniew żelaznym kańczugiem gnał do biegu. Ale skoro tylko wychynęli z dołu na wyżynę gruzów zasłony i pokazali się w ulicy, z głębi tego przejścia runęły w nich strzały armatnie. Zatrzęsły się i stokroć oddały huk olbrzymie, czarne bezokienne gmachy, mury klasztorów, dzwonnice i wieże kościołów. Kartacze porwały w sztuki pierwsze głowy i piersi. Jasna krew strugą ściekała po ceglach w płaskie rynsztoki ulicy. Cała ona jak długa była poprzegradzana przedpiersiami. Wywalony bruk, płyty marmuru i porfiru, wywalona z głębin ziemia tworzyły jakoby schody olbrzymie, wiodące w dół.

Miejsca niezajęte pod barykady podarte były przez rowy. Za pierwszą baterią widać było niżej drugą, dalej trzecią. Cztery bliższe bocznicę z lewej strony ulicy Engracia i trzy

Miasto, Walka,
Bohaterstwo, Polak,
Żołnierz, Patriota

dalsze z prawej były zabarykadowane nagim murem powyżej pierwszego piętra, Wszystkie drzwi i okna zabite głazami. Entuzjastyczne, obłąkane zdumienie włosy napastującemu tłumowi zjeżyło. Mieli iść w tę czeluść wąską i sięgającą obłoków. Ulica ta wyglądała jak nieznaczące pęknięcie między niebotycznymi murami. Wstążeczkę ognistego błękitu ledwo było widać między gzemsem a gzemsem dachu. Tego jeszcze zdobywcy napoleońscy nie widzieli na szerokiej ziemi. Ścieli zęby, ścisnęli w rękach lufy karabinów i czekali na znak komendy. Jednym susem skoczyli ku ziejącym paszczom armat na wzniesieniu. Dopadli. Ujrzeni oczyma żywych ludzi w tych murach żywych. Ujrzeni zimnych, spokojnych kanonierów, ładujących strzał nowy. Tamci nie uszli przed lejącym tłumem. Z milczącą, bladą, nieustraszoną pogardą bronili się wyciorami. Na rozkaz poddania się odpowiadali mamrotaniem modlitwy śmiertelnej i śmiertelnymi ciosami. Powaleni na ziemię, bronili się nożem wyrwanym zza pasa. Konając od stu w jedne piersi pchnięć bagneta, szarpali zębami ręce i twarze żywych i umarłych, jak psy oszalałe z dzikiej miłości swojej, gdy nie dają napadniętego domostwa. Skłute i rozstrzęsione na bagnetach krwawe ich trupy po przejściu zwycięskiej kohorty Francuzów zwisły na wznak, z rozkrzyżowanymi rękoma, na łożach, kołach i osiach armat jak potargane strzępy sztandaru.

Pierwszy pułk piechoty nadwiślańskiej i batalion pułku siedemdziesiątego pod wodzą generałów Verdiera i Lacoste'a przeszły przez pierwszy wał i rzuciły się na drugą baterię. Zaledwie, trupami zawalając ulicę, wyminęli jedną z przecznic, rzucił się na nich zza barykady tłum Hiszpanów. Musieli teraz walczyć na wsze strony, rażeni z góry bez jednej chwili wytchnienia.

Krzysztof Cedro znalazł się w ulicy Engracia pod bezpośrednią komendą generała-inżyniera Lacoste'a. Wkrótce jednak koleje walki rzuciły go między inne grupy. Oszołomiony, ogłuchły od huk, jak w twardym śnie pędził naprzód z innymi, przyciskając figurę swoją do murów niezmiernych kamienic. Przebrnął rowy i żywe wały pierwszej baterii i z nagle trafił w wyłamane wejście trzeciej uliczki, skracającej od Engracia na lewą stronę. Wołyżerowie pierwszego pułku zmagali się tu jeszcze z Hiszpanami. Rzucił się i on w tłum. Obrońcy, wymordowani w samym wyłomie, poranieni i skłuci, rozpierzchli się, i tylko z górnych okien wciąż jeszcze padały strzały. Ktoś ze starych wiarusów doradzał, żeby się kryć popod murami i posuwać niepostrzeżenie za wyłom, ku zakrętowi uliczki. Krzysztof uczynił za innymi, co kazano. Przylepiony plecami do muru, posuwał się krok za krokiem z palcem na cynglu, hapiąc jeno oczyma, z której też strony pocisk go trafi. Okna w tym całym przejściu były na dole pozamurowywane do połowy, toteż tam i sam można było przewidzieć strzał, gdy ukazywała się czapka, koniec fuzji, gdy mignęły płomieniste, czarne oczy.

Przyszli nareszcie do rogu ulicy. Ich droga była prostopadła do kierunku głównej drogi ataku. Z miejsca, gdzie się znaleźli, szła wąska bocznic pod kątem prostym, a równoległe do ulicy Sant' Engracia w kierunku klasztoru franciszkanów. Nastawiwszy ucha słyszeli gwałtowną wrzawę przy końcu trzeciej linii tego kwadratu, która to linia musiała znowu łączyć się z ulicą Engracia. Tam pędzili jeszcze pojedynczo ranni Hiszpanie, wlekli się upadający.

Siedmiu przypadkowo zgromadzonych piechurów, a między nimi ułan-piechur Cedro — puściło się na oślep w te zaułki. Przeczuwali, że trafią na barykadę i zajmą jej tyły. Było tam mroczno i zupełnie pusto. Szli cichaczem, niepostrzeżeni przez nikogo. Skradali się na palcach jak lisy po obudwu stronach przesmyka, plecami szorując po murach. Bez straty i przeszkody dotarli do rogu.

W uliczce, która była czwartą przecznicą arterii Sant' Engracia, a pierwszą od strony klasztoru franciszkanów, wyjrawszy zza węgła ujrzeli garść Hiszpanów walczącą na murze. Trwała i wysoka podmurówka z cegły zamykała tę uliczkę i dzieliła ją od głównej krwawej arterii. Za murem leżały na kupie klawikordy, kanapy, szafy, wozy, stopy wyrzuconych mebli i kupy worów z piaskiem. Na nich to czyhali ludzie pokrwawieni, przeważnie ranni, i bez przerwy strzelali. Kobiety nabijały broń, dzieci podawały ją obrońcom. Na samym szczycie stało kilku młodych i zdrowych żołnierzy. Ci bronili przystępu do tego miejsca karabinem.

Wołyżerowie porachowali ów tłumek oczyma... Za chwilę wypadli zza węglów ulicy i z krzykiem rzucili się na barykadę. Spostrzegli ich obrońcy i przywitali strzałami, nim do

Żołnierz, Walka

podnóża barykady przypaść zdołano. Zarazem ocknęła się ulica. We wszystkich oknach na górze i dole przed nimi ukazały się głowy i lufy. Huknęły strzały i dym zaciągnął ulicę. Obrońcy barykady zeskoczyli z niej kilku susami i zwarli się z wołtyżerami. Przez górne otwory okien zaczęli wylazić ludzie starzy, baby z siekierami, z tasakami, ukazywały się pięście błyszczące od sztyletów i białe wyszczerzone zęby. Żołnierze polscy utworzyli maleńki czworobok najeżony bagnietami. Wołtyżer stojący w środku pchnął drzwi, przy których stał. Otworzył się z trzaskiem przymknięte połowy. Ujrzeni za sobą wąską sień i ceglane schody prowadzące w górę. W mgnieniu oka wśliznęli się czworobokiem do tej sieni i zwrócili wszystkie bagnety w ulicę. Dwu nabijało broń, pięciu wołtyżerów i szósty Cedro nie odejmowali kolb od szczęki.

Utworzył się za chwilę dokoła tej sieni zator ludzki z obudwu stron. Cedro był na froncie czworoboku, stał na progu i osłaniał kolumnę. Tuż za progiem od strony wschodniej, więc od strony ulicy Engracia i niezdobytej jeszcze barykady, wysoki, czarny dom występował w uliczkę grubą skarpą na jakie półtora łokcia. W tym to występie były na wszystkich piętrach okienka jedno nad drugim. Było także okno na dole, zamurowane do połowy. W górnym otworze, który Cedro mógł widzieć, bo znajdował się w linii jego strzałów, a na odległości co najwyżej dwu luf karabinowych ukazywała się raz po raz głowa. Dym stamtąd buchał. Wziąwszy w ręce nabity przez kamrata karabin Krzysztof uważnie zmierzył w to okno.. W tej samej chwili znowu mignęła tam biała twarz. Złożył się lepiej do strzału... Tak oto z kolbą przy szczęce znieruchomiał pod kulami nieprzyjaciół. Nie mógł ściągnąć cyngla. Prosto w jego oczy z mroków owego otworu patrzyły oczy jakby natchnionego anioła, straszne i cudowne, szeroko od uniesienia rozwarte. Czarna burza włosów nad białą twarzą, którą w maskę zgrozy ściągnęło męstwo i zdziczenie bojowe.

— Jakże jesteś piękna... — marzył Cedro, pełen płomienistego wesela i zachwytu, mierząc między te oczy, surowo w niego wlepione.

Runął jego strzał. Pocisk dymu osmalił mu twarz i na chwilę oślepił oczy. Gdy dym się rozpadł, bezwładnymi oczyma patrzył ułan w jamę okna. Oto zza futryny wysuwa się cichaczem białe czoło i oczy widma ogarną napastnika. Szczęście owiało mu twarz. Uśmiech owładnął jego oczyma i ustami. Stali przez mgnienie źrenicy, trwające dłużej niż setki lat, naprzeciwko siebie z oczyma w oczy zatopionymi. Chwila ta trwała krócej, niż zajmie czasu podanie z rąk do rąk nabitego karabina...

Biegł ku uwięzionym w bramie zastęp coraz większy. Ujrzawszy istny przed sobą tłum piechury rzuciły weń jeszcze jedną salwę strzałów, a potem, nie myśląc wcale, co będzie dalej, zatrzasnęły drzwi owej sieni za sobą, założyły ogromną sztangą żelazną od wewnątrz. Nie wiedzieli, gdzie są. Ciemność ich teraz ogarnęła zupełna. Nie mając nic do stracenia skierowali się w głąb sieni. Trafili tam na owe schody ceglane. Kiedy Krzysztof wbiegał pierwszy na wąskie, kręte, wydeptane stopnie z cegły, rozwarły się przed nim w ciemności jakieś drzwiczki. Ktoś krzyknął o kilka kroków przed nim. Żołnierz pchnął w to miejsce bagnietem, ale uderzył w szczyry mur. Czając się i wszystkie zmysły posyłając na wzwiady, szedł w górę za szelestem kroków, które przed nim w mroku zniknęły. Cicho skradali się towarzysze. Słyszać było tylko ich gorące, spracowane, złowieszcze oddechy. Zbójcekie oczy przenikały ciemność. Byli jak jednoosobowe widmo śmierci nawiedzające ciche dom. Rękoma wiedli po ciemnych i chłodnych ścianach, szukając drzwi do mieszkań. Komin krętych schodów otwarł się na pierwszym piętrze w niewielką platformę. Drzwi prowadziły na zamknięte podwórze, dookoła którego biegła galeria drewniana. Chyłkiem wyjrzeni na dziedzińczyk. Nikogo.

Trzy kury najspokojniej spacerowały w dole, na słońcu, pokrakując i dziobiąc niewidzialne ziarenka. Na balkonie papuga zielona bujała się w wysokiej klatce okrągłej z czerwonych prętów. Światło słoneczne ognistym, prawie żółtym płatem leżało na jednej ze ścian i cząstce maleńkiego dziedzińca.

Nie wydało się rzeczą bezpieczną wkroczenie z obrębu murów na ów balkon drewniany. Posunęli się wyżej, na drugie piętro, schodami tak samo krętymi, po wydeptanych stopniach z cegły. Gdy byli w połowie wysokości tego drugiego komina, posłyszeli na jego szczycie lekki szmer. Stanęli.

Była cisza. Ale skoro pierwszy z idących znalazł się w sferze światła, zezem padającego

Żołnierz

Żołnierz, Ksiądz, Wróg,
Polak

z góry, buchnął w nich strzał. Przodownik stęknął i bez słowa, jak wór piachu, bezwładnie siadł na miejscu. Natychmiast przeskoczył go następny i wypadł na wierzch. Za nim inni kolejną. Rozległ się drugi strzał. Po nim trzeci prawie jednocześnie. Ujrzeni przed sobą kilku mężczyzn uzbrojonych. Byli to księża. Pistolety dymiły się jeszcze w rękę tych sług ołtarza. W mgnieniu oka trzech starcy legli we własnej krwi, charcząc i pazurami szarpiąc nogi żołnierzy. Czwarty i piąty uciekał we drzwi na prawo. Jednego dopadł Cedro. Ksiądz nagle odwrócił się i jednym susem stanął przy ułanie. Był to człowiek w sile wieku, z twarzą szarobłękitną, z siwymi włosami, krótko, przy samej skórze ostrzyżonymi. Po lufie karabina zgrzytnął i ześliznął się siny promień sztyletu. Gdy tak raptem w przerażeniu i napastliwym szale znaleźli się pierś przy piersi, z rękoma wzniesionymi do ciosu, Cedro zobaczył jego straszne, czarne oczy, rozdarte od zemsty i nieruchome, jego zęby białe jak ser i rozdęte przez furję nozdrza. Zdzielił go karabinem z dołu w brzuch, od jednego zamachu ramion. Ksiądz zgął się wpół i z wolna padł w tył. Wtedy nie wiedząc wcale, co czyni, Krzysztof w mgnieniu oka dźwignął karabin, obrócił go młyncem kolbą do sufitu i zadał uderzenie w jęczące piersi. Bagnet przebił wszystko i uwiązał w podłodze. Wyrwał go ułan z trudem i poszedł za innymi we drzwi napotkane, otrząsając buty i spodnie zbroczone od krwi, która wytrysła i pierzchła na wsze strony.

— Kokoszki! — wrzasnął wołytyżer idący na przedzie.

Kiedy zajrzeli do pokoju, dostrzegli tam ze dwadzieścia kobiet różnego wieku, starych i młodych.

Stały skupione, zbite, jakby zlepione między sobą w jednolitą masę w ciemnym kącie dużego salonu. Martwymi oczyma patrzyły we drzwi. Nim słowo rzec, gromada ta została rozerwana, rozbita na sztuki, rozpatrzona w świetle okna. Stare i starzejące się wyrzucono za lby, kolbami i kolanem za drzwi, do następnego pokoju. Zostawiono siedem sztuk, co najmłodszych. Między ostatnimi Cedro ujrzał twarz z okna na dole tej kamienicy. Domyślił się, że ona to biegła przed nim w mroku po schodach. Ona dała znać księżom.

Przypadł do niej skokiem. Porwał w ramiona. Zawarł je z żelazną siłą. Nikt mu jej nie bronił. Teraz wśród strasznego milczenia, które tę ciemną salę napełniło, dawały się słyszeć tylko jęki, wzdychania i płacz konających. Żołnierze zawarli drzwi jedne i drugie. Z rozwścieczonym pośpiechem zabarykadowali je stołami, stółkami, wszystkim, co było pod ręką. Na chwilę przerwały ciszę błagania, skamlące szeptu o miłosierdzie, o zmiłowanie, zaklęcia i szloch. Wszystko to ucichło, gdy mazowieckie garście ścisnęły delikatne gardziolki Aragonek. Słabe, wypielegnowane ciała nie mogły się oprzeć powaleniu pięścią na ziemię, nogi ugięły się. Zdarte zostały w mig suknie...

Cedro stał przed swoją wybranką i patrzył na nią, blady jak trup. Oczy jego latały błyskawicami naokół, badając, czy już wszyscy towarzysze obezwładnieni. Wtedy znowu bez trwogi mógł spojrzeć na nią. Te same ujrzał samoświecące oczy, czarne a przezroczyście jak jasna, niezgruntowana woda. Nie miała więcej nad szesnaście lat. Była wysmukła, widzialna prawie w swej sukni przejrzystej. Oczy jej skamieniały od strasznego widoku, który się przed nimi roztoczył. Walka i szamotanie się jej siostr czy krewniaczek — zmiażdżyły ją na proch. Usta rozpadły się chwytając szybki dech. Jakies dźwięki w wiotkich wargach... Cedro postrzegł, że mózg w jej głowie wywraca się, żyły się wiją, a czaszka pęka. Zatrzęsła się, załopotała, wygięła ramiona. Nogi zaplotła jedną na drugą, ścisnęła ze wszech sił dygocące kolana. Rękoma jak ptak konający grabiejącymi szponami szukała koło siebie. Oto zaczęły te ręce obciskać suknię na lędźwiach, obciskać z całej mocy, obciskać... Zdawało się, że ze wstydu wlezie w mur, że się wwierci w ziemię.

Krzysztof co prędzej chwycił ją za ramię i pociągnął przemocą. Włókł ją jak szczenię, kłusując mu ręce, aż do drzwi. Rozwarł je uderzeniem nogi. Zatrzasnął za sobą po przestąpieniu progu. Tam uwolnił jej ramię. Stał się z niego w mgnieniu oka wiedeński salonowiec. Złożył jej skromny, a najpiękniejszy ze swoich eks-uklonów i gestem uprzejmym wskazał, że jeśli taka jest jej wola, może się oddalić z tego miejsca, dokąd chce. Tchu mu brakło w piersiach. Ledwie zdołał wykaszać:

— *Mademoiselle...*

Stała przed nim blada, zbieiała jak śnieg. Jej oczy, co własny swój blask miały jak słońce, tkwiły w jego twarzy. Drżały usta. Nie mówiąc słowa złożyła mu ukłon panieński, dyg salonowy. Odwróciła się i odeszła wolno w głąb pokoju. Znikła za drzwiami. On szedł za nią o kilka kroków, nieświadomy tego, co się z nim dzieje. Był w owej chwili nie jak

Kobieta, Żołnierz, Polak,
Przemoc, Gwałt

człowiek, lecz jak bezcielesne pożądanie widoku piękności. Szedł nie wiedząc o tym, że idzie.

Doświadczał błogiego olśnienia, że się oddala w zaświaty za duszą swoją, która go wie-
dzie w błogosławione dziedziny. Było szczęście dotykalne, żywe, całe w każdym z tych jego
kroków. Znikła już, a on ją jeszcze widział przed sobą oddalającą się szeregiem ruchów,
których piękności pamięć nie może w sobie zamknąć, oko nie może zmieścić w swym
polu, a słowo nie jest zdolne wyrazić. Każda z chwil, upływająca między jednym jej po-
ruszeniem a drugim, trwała jeszcze, jako wcielenie najwyższej rozkoszy. Piękna *doncella*
nie obróciła się wchodząc we drzwi napotkane. Zostawiła je otworem.

Zapomniał, że broni nie ma w rękę, że karabin zostawił w pokoju sześciu ujarzmio-
nych dam. Raz spojrzy, dokąd też poszła. Raz rzuci okiem. Może jeszcze załsnia przed
nim te oczy wieczne, oczy żywota...

Wszedł we drzwi i postąpił kilka jeszcze kroków. Nagle zdało mu się, że mdleje, że
stracił przytomność. Zaćmiło mu się w oczach. Usłyszał za sobą łoskot drzwi zatrzaśnię-
tych. Palce-szpony, palce-pazury wpiły się w jego gardziel. Ze dwadzieścia rąk czepiło
się ramion, nóg, bioder, kolan. Podbito mu nogi, chwycono go za kołnierzyk i akselbanty.
Szarpnięty niespodziewanie, stracił równowagę i runął na wznak jak długi.

Z nim razem zwała się na ziemię i przydusiła go kupa starych i podstarzałych bab,
wyrzucona za drzwi. Zdradziecko go napadły. Leżał teraz pod istną stertą zwalisk, usiłując
przez chwilę złapać cały oddech i pierwszą z brzoza myśl. Tymczasem wszystkie te wy-
schłe łapy, kościste, poskrzywane knykcie wbijały się weń jak gwoździe, jak haki stalowe,
szarpały go jak obcęgi.

— Nic to innego, tylko odwet za tamte damy... — myślał sobie ociężale, trzęsąc się
ze śmiechu. — Ależ, matrony... Nie jestem w stanie...

Pantofle zatupotały... Baby-truposze szepcą, jedna przez drugą, szepcą, szepcą... Jeden
wyrzaz jakiś syczy, świszczce, rzegocze w ich spróchniałych zębach. Coraz natarczywiej,
prędzej, namiętniej belkocą to słowo...

Spróbował poruszyć się z jednego boku, z drugiego... Ani mowy! Ręce rozkrzyżowane
i, zda się, bretnalami do ziemi przybite. Każdą z nich dziesięć ciotek trzyma ze wszech sił.

— Jak to? — począł mamrotać do nich po polsku — więc ja jeden... Mamże dać
zadośćuczynienie, o sympatyczne staruszki... Biada mi!

Zgromadził w sobie siły, długo nabierał pełne płuca tchu, a wreszcie porwał się z mie-
jsca. Ruszył z posad kopiec babski. Kilka spadło z wierzchołka. Poczęły jeszcze zacieklej
biegać, szeptać i znowu kłaść się na wierzch stosu. Nagle jakaś straszliwa łapa, sucha,
z żelaznymi stawami, które kłuły jak trzpienie, chwyciła go za gardziel. Wymacała krtań
i zdusiła. Płaty krwi załopotwały mu w żrenicach, a ogień buchnął w czerep. Ostatnim wy-
siłkiem zgął kark, huknął naprzód głową dla złapania tchu i trafił zębami na żyły i ścięgna
tej łapy, co go dusiła. Chwycił z całej siły i ciał szczękami. Szarpnął. Rozległ się krzyk.
Łapa puściła. Wtedy co tchu w piersi zaczął wołać:

— Ratunku! Na pomoc! Na pomoc!

Dokoła jego piersi, głowy, szyi — ruch rąk, szepty, gwar.

Szarpią go, siepią, drą pazurami. Coś sobie wzajem z ręki do ręki podają, jedna drugiej
z chargotem wydziera.

Zobaczył sztylet. Chwila ciszy, Sapią na nim wszystkie ze świstem. Oto jakaś jedna
ręka sunie się od dołu po jego piersiach. Szuka, medytuje... Wstrzymała się nad sercem.

Ostrze skierowane wpiera się z lekka w mundur badając pulsujące tętno. Rozwarł
przeżarzone oczy... Krew lodem się ścina. Cudowne nad nim oczy... Żrenica patrzy w źre-
nicę. Półotwarte usta ciężko, śmiertelnie dyszą. Teraz ją dopiero poznał... Onaż to na nim
leży?

— Jakże cię kocham... — szepnął chwytając dech w piersi.

W tej samej chwili, nie myśląc o niczym, udźwignął głowę, wyteżył wszystkie si-
ły i przysunął usta do gorejących warg. Sztylet w rękę cudnej dziewczyny zachwiał się,
zakolysał, zawahał. Cedro szarpnął w owej chwili prawą rękę. Wydarł ją z pazurów bab-
skich, wywlókl palce spomiędzy śrub i haków, zgął łokieć nadmiernym wysiłkiem i dłoń
przyciągnął ku sobie. Chwilę gotował cios. Zadał go z dołu we wszystkie pokład babskiego
próchna, które na nim leżało. Za chwilę wsunął dłoń między swe ciało i ciało dziewczyny,

żeby jej z ręki wydrzeć niebezpieczny sztylet. Ale nie sztylet napotkała ręką. Zapomniał o śmierci wiszącej, o nożu na sercu. Cudna Aragonka rzuciła się do góry najgwałtowniejszym z ruchów dziewiczych. Jakaś inna, doświadczeńsza dłoń porwała w tejsze chwili rękojęść pugiuału.

Ale oto rozległ się trzask wywalonych drzwi. Tupot nóg! Krzyk przeraźliwy... W mgnieniu oka na dywany posadzki rzygnęła krew. Woltyżerowie wpadali kolejną. Widząc towarzysza na ziemi i sądząc, że jest zamordowany, nie przepuszczali babom. By się długo nie bawić, chwyтали stare wiedźmy, nim zdołały wstać z ziemi, jedną po drugiej we dwu za łeb, za nogi — i wprost z progu drzwi ciskali za poręcz balkonu na podwórze, z drugiego piętra.

Cedro leżał dość jeszcze długo. Nareszcie dźwignął się z ziemi jak ciężko pijany. We łbie mu się mąciło, w żrenicach biegały płomyki. Z mozołem zbierał się, prostował, wyciągał ręce, kładł czapkę. Skoro stanął na nogach i rozejrzał się wokoło, co tchu pobiegł po karabin, który był w sąsiednich pokojach zostawił. Wracając z bronią w rękę do towarzyszów ujrzał śliczną swoją panienkę w rękę jednego z piechurów.

Zbliżył się wraz do tego wiarusa o krok i rzekł z całej duszy:

— Bracie, zaklinam cię — puść ją!

Tamten ani myślał puszczać. Mrugnął tylko chytrze na kolegów, żeby ułana odciągnęli i zabrali ze sobą. Ale Cedro położył mu rękę na ramieniu i rzekł prosto w ślepie:

— Mówię do ciebie drugi raz — puść ją!

— A żebyś wiedział, ty czapo, że nie puszcze! Żebyś wiedział! „Bracie, zaklinam cię...”. Komediant z teatru... Miałeś czas... A teraz moja kolejka! Krzos, weź ino na bok tego draba!

Cedro wyrwał zza pasa pistolet i w mgnieniu oka postawił mu lufę między oczyma, mówiąc od jednego tchu:

— No!

— To ja ciebie, ślepage, od haniebnej śmierci wybawił, babów za ciebie ze sześć sztuk bagnetem rozdarł, a ty mi dzieuchy bronisz!

— Bronię!

— Chyba ja w pułku jednego kamrata nie mam, jeśli ty dzisiejszego wieczora doczekasz...

— Puścisz, psubracie?!

— Chybaby na świecie żadnej sprawiedliwości nie było, żeby tobie to na sucho uszło! A i cóż wy, koledzy?

Hiszpanka wysliznęła się z rąk woltyżera. Czepiając się drżącymi dłońmi sprzętów, okien, drzwi, szła dokądś. Piechury spojrzwały po sobie straszonymi oczyma. Milczeli.

— To już chyba chodźmy... — rzekł wreszcie jeden.

— Chodźmy... — rzekł drugi.

Krzysztof obciągał na sobie kurtkę i zabierał się do wyjścia.

— Słuchaj no, panie jeździec, a tobie z nami wara! Ty idziesz z tela osobno...

— Osobno, osobno...

— No, żebyś zaś... My są piechota, a ty co tu robisz?

— Dobrze, dobrze...

— Za rabunkiem z karabinem piechotnym chadzasz po domach? Rycerz!

— Idę z rozkazu, jako i wy.

— Czego chcesz z nami łączyć?

— Takiemu, co sam bez komendy łązi — kula w łeb.

— A bo i pewnie: kula w łeb! — wrzasnął drugi.

— To strzelaj, gałganie! — zawołał Cedro.

— No, żebyś tylko drugi raz nie komenderował...

— Chodźmy, koledzy.

— A tobie wara z nami!

— Mójże, kawaler...

— Jeździec!

— Francuski pudel!

— Galant!

— Hrabia!

— Tkliwy kokiet!
— Czekaj, szepnie się między lansjery, jak cię to stuletnie baby na podłodze koziołem zgały po żebrach, a tyś im radeczki dać nie mógł...
— Byłyby cię ładnie oporządziły, żeby nie ja...
— Kto wie, co one z nim zrobiły?
— Trzech groszy bym nie dał...
— Cha, cha... jak mamę kocham!
— Jakże on teraz, towarzysze, przed obliczem swej bogdanki stanie?
— Konik polny...
— A jakiego to tonu ze siebie dobył, słyszeliście!

Ruszyli w tę stronę skąd przysli. Cedro rzeczywiście nie myślał iść z nimi. Siadł we framudze okna i bezmyślnie patrzył na stygnące trupy starych niewiast, na kałuże krwi i połamane sprzęty.

Zdawało mu się, że rozważa w tej chwili, co czynić dalej. W gruncie rzeczy drzemał, był w stanie pół snu, pół jawy. Widział i słyszał coraz niedokładniej... Zbudził go łoskot. Pękały gdzieś daleko drzwi, waliły się stoły i szafy zatarasowujące. Woltyżerowie szli nazad z pośpiechem wołając do Krzysztofa:

— Tłum na nas idzie!
— Wyłamały drzwi na dole!
— Banda!
— Idą...

Pobiegli wszyscy na ów balkon okalający podwórze. Obszedłszy go do połowy, z drugiej strony dziedzińca napotkali schody szersze od tych, którymi wdarli się do tego domu. Zaczęli ostrożnie, bacząc na wszystko, schodzić tamtędy w dół. Gdy zstąpili na wysokość pierwszego piętra i przechylili się przez balustradę schodów, ujrzeni wąską sień sklepioną. W końcu tej sieni były kute drzwi zamknięte na sztabę i zabarykadowane na glucho workami wełny, wańtuchami piasku, kamieniami, żelastwem i wszelkim rupieciem. Z tamtej strony, za tą bramą, wrzała bitwa. Słuchali chwilę w milczeniu jej obłąkanych odgłosów... Zrozumieli, że te drzwi prowadzą wprost na ulicę Engracia. Co tchu zaczęli odkładać na bok kamienie, odciążać worki za zawitki, odwalać graty. Już mieli oderwać żelazną sztabę i rozewrzeć bramę, kiedy Krzos rzekł szeptem:

— No, wiecie, chłopcy, że teraz albo nasza nagła śmierć, albo nasza głośna chwała! To wam trza wiedzieć, że za tymi drzwiami jest główna siła Spaniolów. Tak miarkuję, że wyjdziemy w sam środeczek, między dwie barykady... Ale już nie ma nam kaj iść. Za nami idą i za moment tu będą. A jak zobaczą, jakiego to my im ta piwa nawarzyli, co my zrobili jeich ciociom, a jakie kuku kuzynkom...

— Odwalać!

— Czekajcie, czekajcie, jeszcze moment! — zawołał Cedro zstępując za nimi z góry.

Gdy szedł po schodach ostatni i z dała od grupy, zobaczył na prawej ręce niewielkie drzwi, prowadzące do izby na piętrze. Otworzył je i co tchu przywołał towarzyszków.

— Czego tam? — wołali.

— O co mu idzie?

— Jucha, Scypion Afrykański Młodszy...

— Stąd dopiero będziecie mogli prażyć!... — wołał Krzysztof.

— Co ty tam możesz wiedzieć, skąd prażyć...

— Blondyn!...

Pobiegli jednak ku niemu. W niewielkim pokoju, do którego weszli, znaleźli kilkunastu zabitych żołnierzy hiszpańskich. Leżeli na ziemi i na sprzętach. Znoszono tu, widać, z ulicy i rzucono w popłochu ciężko rannych w bitwie ulicznej, a potem w zapale walki zapomniano o nich. Leżeli, rzućni na wznak i na twarz. Pelzali, widać, w przedśmiertniej agonii na wsze strony jak snące raki, a wreszcie wygaśli kolejno w dusznej, kamiennej izbie. Teraz, po wypuszczeniu z siebie kałuż skrzeplej krwi, spali bladzi ze straszliwym natchnieniem w zwiedzionych brwiach, w rozwartych ustach, z których krzyk zemsty jeszcze zdawał się lecieć... Jednemu wywalilo się z nozdrzy rozbitego nosa tyle krwi, że z niej powstała na ustach i brodzie skorupa nikiej larwa opuszczona z zadumanego czoła, z oczu we łzach. Drugi miał głowę rozwaloną czerepem granatu a usta skrzywione takim bólem, że widok ich dźwigał z piersi przemocą westchnienie.

Woltyżerowie odgarnęli ich z drogi uderzeniem nóg i przedarli się do dwu wąskich okien, zasłoniętych od wewnątrz drewnianymi okiennicami. Okna te, ze dworu opatrzone w żelazne kosze ze sztab kutych ozdobnie, wychodziły na ulicę Engracia, w miejscu jeszcze niezdobytym przez następujące szeregi. Tuż w ulicy była barykada, na której walczyła banda obrońców. Naprzeciwko wznosiły się mury klasztoru Panien Jerozolimskich. Za tymi gmachami, które tworzyły całą dzielnicę, prawie kwadrat opasany czterema przecznicami, widać było prześliczne ogrody klasztoru, pełne cienników cyprysowych, czarnych mirtowych kwadratów, podobnych z oddalenia do tkaniny precudnej z beczennego aksamitu, pełne rozpiechłych palm i magnoliowych alei. W głębi czerniały budynki gospodarskie i sam konwent, frontem zwrócony do poprzecznej uliczki.

Od strony głównej arterii Engracia wznosił się posępny czarny kościół z wyniosłą wieżą. Z tej to wieży waliły w szturmujących Francuzów małe armatki, padały ręczne granaty, spadały cegły i lała się wrząca woda.

Woltyżerowie nabili starannie broń, zawarli za sobą drzwi. Raptem, otwarli obadwa okna, wydali gromki okrzyk.

Zarazem wytknąwszy lufy karabinów zaczęli strzelać w Hiszpanów jak do celu, niechybnie. Dostrzeżono ich zaraz na wieży Panien Jerozolimskich, na barykadzie i w szeregach francusko-polskich. Wzmógł się atak. Zaczęły koło głów trzaskać kule i rypać kamienne obramowania okien. Jedna z nich trafiła żołnierza Zielińskiego w skroń. Runął na wznak, trzepnął rękoma. Gwałtownie, przez kilka chwil, nogi jego kopały mur. Potem westchnął i ucichł.

Cedro nie miał dostępu do okna. Zaczął chodzić między trupami nie unikając bynajmniej ich widoku, ale ich prawie nie dostrzegając. Był już obojętny na barwę krwi, kształt rany i obraz śmierci. Zadawał sobie wciąż pewne pytanie. Nieprzewyciężona nuda wlekła się za nim, oplątywała stopy, jak kajdany ścisnęła ręce.

Zadawał sobie pytanie, gdzie też jest w danej chwili *doncella*? W którym jest miejscu? Nie marzył wcale o tym, żeby do niej mówić, ani o tym, żeby ją widzieć... Tylko tę posiąść wiadomość, że jest. Nie zdając sobie wcale z tego sprawy ciągnął chceniem do tego tylko, ażeby wszystko raz skończyć, ażeby nareszcie do licha usnąć. Runąć na twarz między takich oto — i spoczywać na wieki wieczne. Przeczuwał przecie, że się w pamięci pod żelaznym jej wiekiem palą wszystkie widziane sprawy, że się bez przerwy w miękkich zwojach mózgu, jakby pod nieubłagany rylcem sztycharza w twardej miedzi, żłobią wszystkie obrazy. Tyle tylko szczęścia, że nie ma czasu, więc ich nie widno. Paść na twarz i zgnieć jako i ci, którzy leżą. Zgnieć tak, żeby razem zgasły i wygniły żyjące potajemnie, zdradzieckie myśli, myśli tchórzliwe i zrozpaczone, nie żołnierskie, lecz zaiste babskie, dziewczyńskie, chłopięce. Może by ustał ów chytrze niemy kierat mózgu! Czemuż nie pchnęła wtedy sztyletem do dna, do gruntu, po rękojeści poprzecznicę? Czemuż nie pchnęła i nie zabiła po męsku jako on starego księdza? Żeby głuchoniema podłoga zmuszona była oddać głos: — Dokonałeś!

Wzdrygnął się i rozejrzał.

— Ach, umrzeć trzymając w ramionach tę siostrę duszy swej, drżącą i kruchą jak żółty motyl w rubaszną garść złapaną! Umrzec przy tak czujnym sercu nie uczyniwszy mu krzywdy... Czuć jedną młodą duszę, płomieniste zarzewie życia we dwu innych ciałach... Tchnąć własną duszę, umierając, w te usta... Czemuż ci się, siostró, zatrzęsła miękka ręczyzna?... — mamrotał głośno ślaniając się ze szlochaniem wewnętrznym z kąta w kąt, z kąta w kąt...

— Trzymaj, te — ułan! — wrzasnął mu nad uchem woltyżer.

— Czego?

— Pójdę ja patrzeć, co się dzieje od onego podwórza, bo nas tu zejda i wyduszą jak gniazdo myszów. A pal celnie, bo ostatnie ładunki nama wychodzą.

Krzysztof chwycił z jego rąk nabity karabin i z furią zaczął strzelać w tłum. Dało mu to zapomnienie o chwilach poprzednich. Głowę miał pełną piachu i dymu, w ustach smak jakby centurii. Odrobina, ochłap głupiej umiejętności, jak broń nabijać, jak się składać, celować i ciągnąć za cyngiel, stanowiła wszystek jego rozum. Mierzył celnie i nad wyraz skutecznie.

Tymczasem woltyżer Krzos wysunął się na schody i znikł w ich mroku. Cedro nie dał jeszcze pięciu strzałów, kiedy tamten wleciał na palcach z wiadomością, że na podwórzu

stoją Hiszpany.

— Na dole... — mówił chwytając karabin zabitego towarzysza.

— Lećmy.

Wyszli wszyscy na paluszkach i wrócili na balkon długiego piętra. W istocie, na dnie podwórza kłapały *abarki*, drewniane trepy aragońskie. Krążyło tam kilku mężczyzn z karabinkami w ręku. Oglądali z krzykiem trupy kobiet wyrzucone za poręcz górnego balkonu. Natychmiast trzech z nich legło na tym miejscu od celnych strzałów polskich, reszta w milczeniu pędziła na górę. Słysząc było łoskot drewnianych postoiłów po schodach. Ukazali się we drzwiach na balkonie drugiego piętra w swych krwawych szmatach na rozczochranych łbach. W skok, tygrysimi susami, oblecieli drewniany balkon drugiego piętra. Wyjąc i gwizdząc gnali ku woltyżerom. We drzwiach na główne schody zawrzało. Bratobójczo, pierś w pierś się zwarli. Odpadły karabiny. Nagą garścią! Cedro ujrzał błysk sztyletu tolekańskiego. W tej samej chwili Krzos padł jak rażony gromem. Tyłem głowy wyrznął w kamienny próg i nie drgnął ani razu. Hiszpanów było trzech. Zginęli prędzej, niż tu przybiegli. Dwaj wyrzuceni zostali za poręcz tak samo jak ich rodaczki, a trzeci, zmiażdżony ciosami karabina w łeb, zmienił się po upływie kilku chwil w kupę krwawego mięsa. Wiarusów było teraz tylko pięciu. Ładunków już nie mieli. Na podwórze wchodzili Hiszpanie.

— No, teraz, bracia, nie ma co!

— Do dzieła!

— Drzwi na oścież!

Wielkimi krokami, z pieśnią na ustach rozszalałą zeszli na dół. Poprawili na sobie ładownice, pasy, lederwerki. Przekrzywili czapy. Mocno pod brodą złączyli podpinki. Jeden drugiemu wyprostował czarną kity na czapce.

— Ułan! chodź we środek.

— Dajcie mi pokój! ja idę osobno, sam!

— Chodź we środek! Ja ci kazuję, ja tu teraz wódz! — rzekł pierwszy z brzegu.

— Karabina niezwyczajny i jeszcze, widzisz go, sam!

— Broń do ataku!

— Marsz!

Zerwali ze drzwi wejściowych od ulicy Engracia żelazną sztabę. Dźwiękła jak miecz katowski żelazna sztaba padając na kamienie. Z trzaskiem rozwarli podwoje.

— Niech żyje Cesarz! — wrzasnęli jak jeden żelaznym krokiem wychodząc w ludzki tłum.

— Na bagnety!

Padli w obrońców barykady i rozwalili tłuszczę jak pękająca bomba. Gdy żółte rabaty zajaśniały na tyłach barykady, wrzask rozpaczy rozległ się na niej. Dosięgli pierwszych worków i sprzętów, tworzących stopnie ulicznego szańca. W skokach, wśród piorunowych czynów bagneta i kolby, wstępowali na górę. Chyżo przysiadając, skacząc, kołąc naprzód i w tył, w górę i na dół, młynem i sztychem czynili sobie ulicę. Teraz każdy walczył za siebie i za wszystkich pięciu, i za całe wojsko.

Nim Hiszpanie zdążyli zliczyć ich, wtargnęli przemocą na wierzchołek pozycji. Strącali stamtąd obrońców lecąc w podskokach, grzbietem szańca, po kołach i łożach armat jak żółty piorun po zrębach skał. Krzyk podjudzonego męstwa na ich widok buchnął z kolumn szturmujących. Bataliony nadwiślańskie ujrawszy swoich u mety rzuciły się na barykadę i wpadły na nią wśród zapasów, tratując wrogów na śmierć. Tysiąc luf nabili tymczasem Hiszpanie i tysiąc zmrużonych oczu mierzyło we łby tych pięciu. Runął też na twarz jeden, zachłysnął się krwią i rzygnął nią w biegu drugi, przyklął trzeci jak kosą podcięty. Cedro, zimnym strachem gnany, z urwaną połową czapki, skrwawiony w dziesięciu miejscach od kontuzji, ślepy od prochu i uniesienia, zląził z barykady wielkimi krokami po worach, trupach, gratach, razem już ze zdobywcami. Pieśń koło niego straszliwa... Widziała go była na czubie niezdobytej poprzecznicy cała kolumna, Lacoste i Chłopicki... Wskazywali go szpadami, pręc, gniotąc i goniąc Hiszpanów ku następnej baterii u wylotu ulicy Engracia, gdzie się już zaczynał biały od słońca, wydłużony plac Cosso.

W miejscu zdobytym ulica Engracia stanowiła wąską szczelinę. Z prawej strony wznosiły się mury szpitala, z lewej olbrzymie czarne mury klasztoru franciszkanów. Wieża

zdawała się zwiśać nad ciemnym przesmykiem. Zastęp hiszpański, który bronił barykady, nie cofnął się jeszcze w to przejście, lecz podzielony na dwa oddziały, zajął w mgnieniu oka klasztor Panien Jerozolimskich i franciszkański. Cedro wraz z tłumem towarzyszków uderzył na pierwszy z tych konwentów. Furty i bramy były zawalone, ale je wnet wyłamano. Hiszpanie zostali wytępieni bagnetem u wejścia do kościoła, w jego kruchtach i nawach, w przedsionku i korytarzach klasztornych. Gdy Krzysztof wszedł do głównego budynku, który stanowił mieszkanie zakonnic, już te miejsca były zupełnie opanowane. Długie, niezmierne, kręte korytarze, skąd na prawo i na lewo wchodziło się do cel, były zupełnie już puste. Panowała tam ciemność i nieprzyjemna cisza. Łoskot kroku rozbijał się jak gdyby w studni. Krzysztof był śmiertelnie strudzony.

Za jaką bądź cenę pragnął zasnąć przynajmniej na moment czasu. Myślał właśnie, żeby w jednym z tych lochów położyć się pod murem i udawać zabitego, gdy wtem o parę kroków od siebie, na załamaniu przejścia na wyższe piętro, usłyszał okrzyk:

— *Qui vive?*

Dał hasło. Z głębokiego mroku pod światło półokrągłego okna ze starych przepalonych szyb wyszedł oficer z obnażoną szpadą. Cedro pochylił się ku niemu i poznał go od razu.

— Ach, to znowu ten jakiś Wyganowski... Kuzyn... — myślał z niesmakiem.

Kapitan przypatrywał mu się z uśmiechem ironii, oglądał go od stóp do głowy. Rzecz wreszcie:

— Widziałem waćpana na barykadzie.

— Bardzo być może.

— Brawo!

— Znalazłem się tam przypadkiem, właściwie wbrew woli.

— Coraz lepiej.

— Zginęli ci, którzy ją zdobyli. Chwała im wieczna! Oni to mię wciągnęli...

— Co do chwały... No tak. Skromność godna zazdrości! Ale mówią głośniejsz od słów, napisów na papierze, pergaminie i, dajmy na to, piaskowcu — te chlubne czerwone plamy na portkach i butach. Odznaczasz się waćpan, mości Cedro, niepomału. Bijesz Celtyberów aż trzeszczy. Daj tylko jeszcze na tysiąc mszy u mnichów w Burgos, i będzie z ciebie Cyd jak sto tysięcy diabłów! Podobasz mi się.

— Tak, zamordowałem dzisiaj niejednego człowieka... — rzekł Krzysztof, tępo patrząc mu w żywe oczy.

— Bardzo pięknie, młodzieńcze.

— Szczególnie jeden, którego zatłukłem własnymi rękoma.

— Cha, cha... Od tego jest wojna, żeby każdy prawdziwy człowiek miał sposobność mordowania wrogów ile dusza zapragnie. Nie minie cię nagroda, ja w tym. Strzeż się tylko losu Hamilkara pod Saguntem, bo i to się na wojnie przytrafia.

Cedro grubiańsko milczał.

— Czemuż dalej nie odznaczasz się na arenie walki? Strzeż się jak śmierci — wypuszczenia raz z ręki gałęzi wawrzynu! Inny ją schwyci, a sława nie czeka na opieszalych. Musisz jej w biegu dotrzymać kroku. Czy może do kokoszek? Co? Powiedz szczerze... Żołnierz żołnierza rozumie jak baletnica baletnicę. Jest tu, powiem ci na ucho, mniszeczek wybór arcygodny. Są tak apetyczne, że klękaj kto żyje! Bo to widzisz, ascetki. Zakaz śmiertelny, marzenie i tęsknota... rozumiesz mię? Panny Jerozolimskie... Widziałem na własne oczy. Chodź no, pokażę ci cały bukiet. Wybierzesz, co ci serce podyktuje. Jedna tylko przykreść: blondynki ani jednej. No, żeby na lekarstwo!

Wstępowali po schodach z płaskich i ogromnych płyt. Szli długo korytarzem zupełnie ciemnym po drewnianej podłodze, zawrócili w drugi. Doszedł do uszu Krzysztofa gwałtowny łoskot bębna, bijący w nieznanym mu takt. Wkrótce stanęli przed dębowymi drzwiami wielkiego refektarza. Tu stało kilku grenadierów na warcie. Otwarli drzwi przed kapitanem śmiejąc się szelmowsko. Wyganowski wszedł pierwszy torując ulanowi drogę. Gdy się przez tłum, tworzący koło, naprzód przedarli, Krzysztof zobaczył kilkadziesiąt nagich kobiet, tańczących do taktu walenia pogrzebaczem w mosiężne rondle i miednice. Pod razami kolby i bagneta skakały dosyć sprawnie.

— Mniszeczki... — szepnął Wyganowski mlaszcząc ustami. — Nie wszystkie, ale przeważna większość. Nie powiem, żeby to im nie sprawiało przykreści, iż w danej chwili

nie potrzebują habitów, ale z drugiej strony nie widzę w nich śmiesznego uporu dziewic numantyńskich. Wprawdzie są wyjątki, ale o tym później...

W oczach jego, gdy to mówił, siedziało ponure szyderstwo. Dolna szczęka była wysadzona naprzód, a nozdrza drgały.

— Zostaniesz tu waćpan zapewne? — rzekł pieszczotliwie, zaglądając Krzysztofi w oczy. — Bo ja, uważasz, jestem na służbie: komenderuję, *sit venia verbo*, tym... klasztorem. Chciałem powiedzieć inny wyraz, ale boję się obrazić twe ucho.

— Nie zostanę tutaj — rzekł Cedro z przesadną wyniosłością.

— Czy podobna? — Ale cóż za przyczyna, jeżeli godzin jestem?...

— Pragnąłbym przespać się, panie kapitanie.

— Przespać... taką uroczystość! *Oh, c'est triste...*

— Już bardzo dawno nie spałem.

— Ależ to doprawdy rzecz smutna... Więc śpij waćpan!

— Czy mogę tu gdziekolwiek, na korytarzu?

— Możesz.

Cedro oddał mu ukłon wojskowy.

— Czekaj, przeprowadzę cię i dam miejsce. Słyszałeś, że jestem tutaj z polecenia zdobywców komendantem klasztoru i jego okolic, korytarzów, cel, refektarza.

Wyszli z hucznej sali i wlekli się ociężałymi krokami starców zgrzybiałych po tych samych płaskich schodach.

Znowu się ciemny nastreczył korytarz.

— Tu są cele... — rzekł Wyganowski. — Mógłbyś w którejkolwiek spocząć wygodnie, gdyby nie to, że są chwilowo zajęte. Mniszki goszczą u siebie nieznanym rycerzy. Dawno im się to nie zdarzało na tym padole.

— Są to żołnierze pana kapitana? — spytał Krzysztof.

— Są moi, są Francuzi.

— Gdyby to ode mnie zależało... — począł z trudem bełkotać Cedro dysząc i nie mogąc słów znaleźć — gdybym to ja... Kazałbym strzelać we łby tym gałganom, kazałbym!... Na miły Bóg... przecież to... wiesz jak kundłów!

— Mów, młodzieńcze, mów śmiało. Zwrócę jednak na jeden szczegół twą uwagę: to jest, proszę cię, wojna, nie manewry na placu Marsowym, pod okiem narzeczony w błękitnej przepasce. Jesteś, pochlebiam sobie, pierwszy raz przy zdobyciu miasta...

— Tak.

— Właśnie i ja tak przypuszczałem...

— Z czegoż to można przypuszczać? — zapytał Cedro wyniośle i z lodowatym uśmiechem na ustach.

— Przeżyłem już wiele szturmów forsownych, choć nigdy, wyznam, podobnie wariackiego. Bo to ani w kampaniach włoskich od samego początku, ani w austriackich pochodach. Mogę cię na podstawie długoletniej praktyki zapewnić, że gwałcenie masowe przyspiesza kapitulację daleko bardziej skutecznie niż bombardowanie działobitniami, a ma zarazem tę dobrą stronę, że oszczędza wiele żywotów ludzkich obudwu stronom walczącym. Wytrąca oręż z ręki cichaczem a nieodwołalnie ojcom, mężom, braciom i narzeczonym, kryje żołnierzy przed kartaczami, a zapewnia kapitulację. Przy tym, cóż chcesz? Tym, którzy idą na niewątpliwe mury, na podług śmierć żołnierską w ryszotoku, na gnojowisku, w piwnicach i wspólnych dołach, coś się, u pioruna, za to należy od tych, którzy żyją! Należy im się ta chwila przed śmiercią... Toteż wołę, gdy tu moje Maćki są po celach, niż żeby ich darły kartacze, a oni sami mordowali bez pardonu. Ręczę ci, że następny dom podda się nam dobrowolnie, gdy wieść gruchnie między jego dziewoje, cośmy to tutaj czynili. Ale najważniejsze to to, że znaczna część ofiar przyjęła tę karę Boską z pokorą i poddaniem się, rzekłbym nawet, że chętnym a ochotnym sercem...

Cedro już prawie spał, ramieniem wsparty o mur. Ledwie słyszał, co prawi wymowny oficer. Tymczasem tamten stanął przed celą bez drzwi, zajrzał do środka i pociągnął towarzysza za rękaw. Mówił zmienionym głosem:

— A tu mam coś specjalnie dla twego serduszka. Wejdz no! Chodź no, chodź!

Odsunął drzwi wyrwane z muru wraz z zawiasami, przystawione do wejścia. Wkroczyli do maleńkiej celki, do niskiej jakoby krypty z ceglana podłogą. Na wąskim tapczaniku leżała młoda zakonnica. Ręce jej były złożone pobożnie na piersiach, dłoni z dłonią, jak

Żołnierz, Wojna, Kobieta,
Męczyzna, Przemoc, Gwałt

to wyobrażali średniowieczni rzeźbiarze na pomnikach zgasłych królewien. Głowa okryta była kornetem. Habit na ciele potargany w strzępy, szmaty... Ale jego łachmanami ktoś tak starannie okrył ciało, że nagość nie przeświecała nigdzie. Wyganowski zbliżył się do śpiącej z potwornie bolesnym uśmiechem, nachylił się nad nią i rzekł do Cedry:

— Patrz!

Podniósł lewą rękę umarłej. Krzysztof nachylił się...

Zobaczył rękojeść sztyletu, tkwiącą pod piersią dziewiczą między żebrami. Bujna fala krwi oblała tę rękojeść, dokoła niej skrzepla i czarną lawą zastygła.

Ciało już było zimnym truchłem, nogi i ręce już zesztyniały, ale twarz spokojowi grobu i władaniu śmierci jeszcze się nie poddała. Jeszcze wszystka należała do ziemi. Jeszcze spomiędzy zwartych brwi, ze strasznego skrzywienia ust zionęły dwa płomienie: duma i bolesć. Wyganowski złożył ze czcią ostygłą rękę na dawnym miejscu. Splótł palce lewej dłoni umarłej z palcami prawej. Czynił to pobożnie, ze spokojem i ostrożnością, jak gdyby wykonywał przepis obrządku. Usta jego były skrzywione zupełnie tak samo jak u zakonnicy...

Po chwili wyprostował się, odstąpił dwa kroki w tył, stanął w pozycji, wydobył szpadę i sprezentował przed umarłą broń.

Wyszli stamtąd.

Wyganowski maszerował przed siebie dużymi krokami mówiąc prędko i obojętnie:

— Napadli ją w pięciu czy w sześciu. Tam, w tamtym załamaniu korytarza. Widziałem...

— Nie obroniłeś, co? — cisnął mu Cedro w twarz słowo jak rękawicę.

Tamten zaprzeczył ruchem głowy. Rzekł po chwili:

— Uciekła do swej celki. Zatrasnęła drzwi. Dość długo je wyważali... Nareszcie wyrwali zawiasy wraz z odrzwiami. Rzucili się na nią i zdarli suknie. Aliści nagła przeszkoda... Do diaska! Cha-cha — pod śliczną piersią nagła przeszkoda! Wszystko przewyciężone z wyjątkiem tego jednego drobiazgu! Zupełnie jak Zaragoza: już zdobyta, już wzięta, już na niej hyka. Teraz cię, krzyczymy, niewolnico, pożyjem! cha-cha... Naści! Cha-cha... Naści — trupa. Szarpaj go, podły lisie, i pożywaj na zdrowie!

Stanął wśród korytarza, sam błądy jak trup, i szeptał w zapamiętaniu:

— O zakonniczo, zakonniczo! Gdybym był pierwszym władcą plemienia, które cię wydało, imieniem twoim nazwałbym miasto, kraj mój, ziemię całą! Z osoby twej uczyniłbym herb narodu i pieczęć państwa. Kazałbym swoim armiom defilować przed twoim trupem z rozwiniętymi sztandarami...

Cedro, którego nudziły słowa tego oficera, patrzył na niego sennymi, zgasłymi oczyma i ledwie go w półmroku widział.

— Czy mogę się tu położyć? — rzekł przerywając potok szczodroblivej wymowy kapitana.

Wyganowski ocknął się i powiódł oczyma. Pchnął ręką drzwi na lewo i wszedł do celki pustej zupełnie i tak samo małej jak tamta, w której leżała samobójczyni.

— Kładź się, gnojku, i śpij!... — rzekł wskazując tapczan.

— Pan kapitan nie ma w sobie, ile wnieść mogę, nic z nieprzyjemnej twardości Scypiona Afrykańskiego... — rzekł Krzysztof z łagodną ironią, zmierzając do legowiska.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że to jego ktoś dziś przeżywał Scypionem Młodszym.

Miał zamiar rzucić Wyganowskiemu prosto w nos inne przezwiska, jak: pudel, jeździec, blondyn — ale już nie był pewny, czy rzeczywiście widzi przed sobą kapitana, czy tylko o nim śni.

— Ja nie mam w sobie nic ze Scypiona żadnego... Jestem proch i popiół...

— To śpij... — mruknął Cedro.

— Nie, ja tu sobie posiedzę. Poczekam na ciebie. Obudzę cię za kwadrans, gdy będę z moją kompanią z tego domu wychodził.

Krzysztof dopadłszy głową posłania w tej chwili zachrapał na cały klasztor. Zdawało mu się, że tylko co zamknął powieki, kiedy już zaczęto burzyć we drzwi, kołatać kolbami i słowem wzywać kapitana Wyganowskiego do dzieła. Cedro obudził się tak samo nagle, jak zasnął. Słuchał przez chwilę huku wystrzałów, wrzasków bitewnych... Kapitan siedział na krześle w tej samej pozycji, twarzą do okna zwrócony. Zdawał się wcale nie słyszeć

krzyków wzywających do boju. Zdjął był czapkę i jeszcze jej nie wdział. Twarz jego teraz wydawała się daleko mizerniejszą. Był bardzo piękny.

Suche, kościste czoło, ściągły nos, starannie utrzymany zarost mimo woli pociągnęły wzrok Krzysztofa. Nieruchome oczy kapitana zasłane były tumanem...

Cedro otrząsnął się i wstał z tapczana silniejszy i zdrowszy na duszy.

— Masz dosyć? — spytał Wyganowski nie odwracając głowy.

— Mam dosyć.

— To idziemy.

— Jestem gotów.

Przed klasztorem, w jego zdeptanych wirydarzach stały kolumny, gotowe do dzieł nowych. Rozwarto bramę. Wojsko żelaznym krokiem weszło w ulicę Engracia.

Pod narożnym z prawej strony budynkiem ujrzeli towarzyszków wywalających drzwi. Nikt nie wiedział, co to za gmach. Bramy miał potężne, zamczone, okute, ze straszny-
mi ryglami, mury grube, kraty niezłomne w oknach. Nowoprzybyli z klasztoru wsparli oblegających potężnym ramieniem. Przyciągnięto jedną ze zdobytych armat, postawiono paszczę jej o kilkanaście kroków od wejściowych drzwi. Grzmotnęła kula we wrótne raz, drugi, trzeci. Kamienne obramowania wierzew spękały się, wgięły do wewnątrz i wywaliły wreszcie pospołu z wrótniami. Szturmujący rzucili się ciałem swym na pochyl-
nię wrót, wpelzli przez górny otwór do ciemnego wnętrza. Ujrzeli przed sobą ogromną sien z szerokimi w głąb stopniami marmuru. Połowa jego zawalona była workami ziemi. Wcisnęli się tam po jednym i zaczęli uprzętać z drogi szykanę. Nikt im w tej pracy nie przeszkadzał wcale. Sądziło się zrazu, że dom ten nie będzie wcale broniony. Ale skoro więk-
szy tłum wołtyżerów dostał się do przedsionka i postąpił ku schodom, padły między nich ręczne granatki rzucane zza balustrady schodów drugiego piętra, trzasnęły o krawędzie schodów bomby puszczane z wysoka. Przerażliwy ich błysk rozłamał półciemność, trzask, czerepów rozbitych o nagie ściany zagłuszył jęki rozszarpanych. Huk wszystko pochłonał w siebie. Na białych stopniach z kararyjskiego marmuru miotaly się ciała drgające w spazmach śmiertelnych. Krew strugą, jak pąsowy wąż wijąc się po stopniach, w dół spływała.

Idący ze dwora mieli w oczach ten widok. Wlecieli też zaraz na schody wściekłym sko-
kiem, sadząc przez rannych. Dopadli piętra. Tam już na nich z długiego korytarza czekał wysunięty rząd luf. Huk strzałów, dym, błyskające w nim ognie... Korytarz pierwsze-
go piętra został zdobyty. Został zdobyty, ale zapłacono za niego drogo. Żołnierze zasłali schody i podłogę, ranni konali pod depcącymi obcasami. W ciemnych kątach, we framu-
gach zakratowanych okien ludzie dusili się rękoma, zarzynali nożem. Nareszcie rozjuszeni napastnicy dosięgli drzwi cel wychodzących na prawo i lewo. Obrońcy uciekli na drugie piętro. Sądzone, że to jest klasztor. Otwarto młotami i wylamano za pomocą sztab żelaza kilkadziesiąt cel. W mgnieniu oka wypadli na korytarz zamknięci tam ludzie. Straszliwy wrzask napelnił wnętrze tego gmachu.

Jedni z wypuszczonych byli nadzy, inni mieli na rękę kajdany, jeszcze inni odziani byli w gałgany, prześcieradła, szmatki. Wszyscy mieli ogolone lby.

Gdy Wyganowski z Cedrą wchodził na schody pierwszego piętra, ujrzął przed sobą w zwojach i kłębach dymu prochowego dwóch ludzi w gałganach, z białymi czaszkami, którzy wzajem pochwycili się za gardła i wżarli w siebie zębami. Runęli właśnie na ziemię. To jeden, to drugi był na wierzchu. Szarpali się paszczkami jak rozjuszone psy. Nagie ich ręce, kolana, lędźwie, brzuchy, łopatki; ramiona, szyje latały, dygocąc, z miejsca na miej-
sce. Wyrwali ze siebie nawzajem zębami żywą krew, dusili się kolanami, darli ostrzem pazurów, szczepiali się razem tak straszliwie, że zdali się być jednym człowiekiem o dwu głowach, o wielu rękach i nogach. Podwajały się, potrajały, stokroć mnożyły ciosy pięści. Katowali się bijąc czaszką w czaszkę z chichotem zawziętości. Dawał się słyszeć trzask ko-
ści i rżenie, trzask i rżenie... Nareszcie jeden z nich został na wierzchu dłużej. Drugi charczał pod nim. Tylko jego głowa wciąż się jeszcze dźwigała, szyja prężyła do ciosu. Ale oprawca już się nie dał zdusić. Krwawa jego wściekłość nie ustała ani na chwilę, nawet wówczas, gdy biała, posiniąta czaszka zwyciężonego zwisła bezwładnie w kałużę krwi. Ssał jego broczące rany, podnosił powieki oczu i patrzył w nie, zaglądał do dna; czaił się dłonią na każdy z ostatnich oddechów i chwycił je w lot, kiedy jeszcze były w tchawicy. Naresz-
cie wymierzył zabitemu ostatni policzek. Ostatni raz plunął w bezwładne usta. Wstał.

Walka, Szaleństwo, Śmierć

Powiódł dziwnym mięsem swych oczu, piekłem swego uśmiechu po szeregu zadumanych żołnierzy. Ujrzał ich teraz. Zaśmiał się, zaskowyczał, załkał, zachichotał... Dźwignął ramiona i jak radosny lew skoczył z góry w środek tłumu. Oficera, idącego w trzecim szeregu, chwycił za brodę, żołnierza sąsiedniego za gardziel i rycząc z uszczęśliwienia, z pianą radości w wyszczerzonych zębach, skonał na bagnetach.

Z korytarza wypadli teraz jak wichrem pędzone liście — tańczący, deklamatorowie, śpiewacy, mówcy, zamyśleni, obojętni, ślepi z szału, podobizny psów czających się i podobizny drzew ściętych, które jakoby grzyb obojętności porósł i zeżał, ludzie bez twarzy a z rozszalałymi oczyma, inni z mordami, w których nie ma oczu, przeraźliwe chimery w kształtach kobiet, okropne twory ze spojrzzeniami wilków i trytonów, z kajdanami na rękę i w kaftanach związanych rękawami w tyle. Tłum ten wyszedł na żołnierzy i zagroził drogę. Ryk zwierząt, głosy burzy, jęk wiatru w puszczy leśnej i pieśń zbieganego morza w nocy, na nowiu, krzyk najgłębszej ptasiej boleści i śmiech szczęścia, wydobyty z nicości przez narzędzia muzyczne, płacz nad opustoszałą kołyską i euforyczna pieśń duszy patrzącej w rozchylone niebiosy — wszystko to buchnęło w przychodniów z tego tłumu. Ze środka jego wyszedł wielki starzec w krwawej płachcie, głową przerastający wszystkich, nagi, z olbrzymią na głowie wiechą z jednej gałęzi cyprysa, z wyciągniętymi rękoma. Nie widział nikogo. Śpiewał rozpaczliwie jakąś pieśń głuchą, której słowa ginęły doszczętnie w chaosie dymu, w huku strzałów i głosach konania. Zstępował na dół jak geniusz, władca, czy prorok ze swym krzykiem na ustach...

W tej samej chwili czarny, mały, zwinny małpoczwólek, w zgrzebnych portczętach a bez koszuli, przelazł chyłkiem przez balustradę, mrugnął na wszystkich i z rzęgotem śmiechu takiej chytrości, takiego szczęścia, jakby w tej chwili oszukał nareszcie ród ludzki, gwizdnął przeciągle i skoczył goloną czaszką na dół. Nim zdołano dojrzeć, jak się tam roztrzaskał i rozprysnął w krwawą fontannę u drzwi wejściowych, już inny zajął uwagę idących widzów. Oto człowiek muskularny i na pozór zupełnie zdrowy, czając się pod ścianą, dopadł żołnierza, zabitego przed chwilą, chwycił lewą ręką karabin i w mgnieniu oka rzucił się w kupę obłąkanych. Począł ich przebijać piorunowymi ciosami, miażdżyć kolbą golone łby. Na dany znak żołnierze wzięli go na cel. Gdy zginął podarty kulami, roztrząpili wariatów i pomknęli na drugie piętro — w pościgu za zdrowymi.

Byli na platformie załamania się schodów z marmuru, kiedy z korytarza drugiego piętra dał się słyszeć chór stokroć bardziej niż na pierwszym żywy. Żołnierze stanęli.

Hiszpanie chcąc widocznie między sobą a zdobywcami utworzyć nową przeszkodę, otwarli na drugim piętrze separatki obłąkanych kobiet. Ukazał się z czarnej czeluści skłębiony wał potworów. Na przedzie szła megiera z siwymi i starganymi kudłami łba, z wywalonymi na wierzch oczyma, z zakrzepłym w gardzieli krzykiem na widok młodych żołnierzy. Skrzywione palce jej koślawych rąk lazły po murze. Bezzębna gęba była otwarta, wstrętne nagie piersi szybko dychały. Wał, toczący się za nią, kipiał. Szept w nim, klaskanie w ręce, podrygi, rżenie, poszczekiwanie jakoby psie, kwik jakoby kobył zhasanych w błonię, śpiew radości, krzyk przeszywający stu na raz słów. Śmiech w tłumie tym, śmiech, co włosy najeża, straszniejszy niż widzenie śmierci.

Żołnierze zlekli się i umknęli. Zająwszy pozycję obronną na pierwszym piętrze, czekali. Kobiety pelzły na dół chyłkiem, cichaczem. Jedne z nich wrzeszcząc skoczyły jak hieny ku wyjściu ze szpitala, inne rzuciły się w korytarz pierwszego piętra. Odtrącone bagnetem przez żołnierski szyk, zażywały rozkoszy z wariatami.

Kapitan Wyganowski skorzystał z chwili ustąpienia tego hufca z górnych schodów, rzucił się powtórnie ze swoją kompanią na górę. W korytarzu drugiego piętra straszliwa zawrzała walka. Hiszpanie zamknęli się w celkach kobiecych, w szalówkach furiatek, dopiero co wypuszczonych na wolność. Przez okienka we drzwiach kutych i zaopatrzonych w zamki doskonałe — razili napastników niechybnymi strzałami. Siedzieli jak w fortecy. Żołnierze francuscy, którzy przyszedli z dołu na pomoc Polakom, z wściekłości bezsilnej, zdawało się, mur gryźć poczną zębami. Nadaremnie strzelali przez okienka we drzwiach: żołnierz hiszpański krył się tuż pode drzwiami. Nabijał spokojnie karabin, wychylał lufę i celował niewidzialny. Przydźwigano z dołu żelazne sztaby, legary, wyciory od armat, belki i drągi. Zaczęto bić kolejną w niezdobyte drzwi taranami. Żołnierze przemienili się w oszalałe katapulty. Drzwi jęczały, szły w drzazgi i wióry, a padał zza nich nieubłagany

strzał. Oblężeni Hiszpanie zdobyci zostali wreszcie jeden po drugim, żywcem. Wyrywano ich sobie i podawano z rąk do rąk. Wykluci zostali, zatłuczeni kolbami, wytraceni w tych norach co do nogi.

Trupy ich rozszarpano bagnetami, twarze zmiażdżono, piersi złamano obcasami. Wiązani byli we własne pasy za gardła. Zaczepiano pasy u krat okiennych i duszono, tłumem ciągnąc za nogi w kierunku drzwi. Twardych w karku, opornych, dumnych, wrzeszczących swoje: „Niech żyje Ferdynand siódmy!” — dodławiano nagimi dłońmi.

Reszta obrońców, trwożliwszej natury, przebiegła była bocznymi schodami na strychy szpitala. Tam podłożono ogień. Kupy słomy zapalono na schodach prowadzących na poddasze. Kiedy ogień zaczął się szerzyć, reszta Hiszpanów wyskakiwała z płomieni na bagnety albo znalazła śmierć w ogniu.

Opanowawszy w ten sposób górną część gmachu stłumiono ogień i wojsko szło ku wyjściu. Wariatów i wariatki co posłuszniejsze zganiano na kupę, żeby ich wypędzić z miasta i zamknąć w gmachach Monte Torrero. Ów tłum rozpierzchał się na wsze strony. Jedni nie chcieli opuszczać swych szałówek, inni walczyli z żołnierzami jak najlepsi i najmężniejsi żołnierze. Potworna walka ze wściekłymi babami do rozpacz doprowadziła eskortujących żołnierzy. Wśród tego zgiełku, wśród potwornych scen, wśród mordów i bezceństwa, między rozszalałą tłuszcą przesuwiał się Cedro zstępując ze schodów. Stał wreszcie u drzwi na dole i spojrzał w górę. Szukał oczyma kapitana Wyganowskiego.

W owej chwili za bandą mężczyzn i kobiet pędzonych bagnetem szedł wysoki człowiek w ogromnym wieńcu z cyprysowej gałęzi. Oczy jego, wzniesione do góry, i teraz nie widziały nic zgoła. Ani jednego zjawiska... Bose nogi brodziły do kostek we krwi skrzepłej na schodach, ślizgając się deptały ciała zabite i zimne. Gołe ręce spod płachty krwią utłuszczonej wyciągały się do góry. W twarzy okrutnej i tak dalekiej od ludzkiego wyrazu, jak daleką jest fizjonomia kamienia, w straszliwej, zimnej masce odbijała się tylko jedna jedyna, niezmierna, wewnętrzna żądza. Krzywda żłobiła ją latami, a tak pracowicie, jak bezsenna praca wulkanu urabia formę krateru. Śpiewał, a raczej wzywał z głębi ducha, ze wszechwładzy serca, z całej piersi wołał w przestwór słowami psalmu:

„*Quis dabit mihi pennas, sicut columbae?... Et volabo et requiescam...*”.

Był to okrzyk tak niewymowny, że słuchającemu zdało się być niepodobieństwem, by na to wołanie nie odezwała się natychmiast odpowiedź. Znowu ten głos:

„*Quis dabit mihi pennas, sicut columbae?...*”.

Przeszedł. Nie widząc drogi, murów, ulicy, świata, ludzi, którzy go kłuli popędzając bagnetami i kijami, poszedł wyniosły starzec w czeluść ulicy Engracia i znikł pospołu z towarzyszami. Z dala, z ciemności zawałonej trupami i zawleczonej dymem prochowym, dolatywał jego nadludzki śpiew: — „*Et volabo et requiescam...*”.

Zeszedł wreszcie na dół Wyganowski. Kiedy spotkali się u drzwi, Cedro wziął go za rękę. Przycisnął ją do piersi nie wiedząc, że to uczynił. Kapitan spojrzał na niego spod oka, nieufnie, półszydlerczo, jak to było w jego zwyczaju. Nagle zaszlochał bez uronienia łzy, krótko i skrycie. Pokrył to sztucznym a głośnym i forsownym kaszlem. Zdarzało mu się to, widać, często, gdyż natychmiast się opanował. Powiedział coś pieprznie kawalerskiego...

Zniesiono trupy i rannych na wirydarz klasztorny, i kolumna odeszła ze szpitala. Skierowała się teraz ku wylotowi ulicy Engracia, na Calle del Cosso. Z dala już widać było, że to miejsce pełne jest szykan. Ale ludzie odetchnęli. Bić się na powietrzu! Iść przed siebie i walczyć z żołnierzem! Za rowami i przed przedpiersniem z bruku, ziemi i worków czatowali obrońcy. Migwały tam ich okrągłe, czerwone czapki, z kształtu podobne do uciętego stożka. Na środku placu widać było baterię z dział wałowych, wzniesioną wysoko, paszczami zwróconą w czarny wylot ulicy.

Pierwszy pułk polski pod Chłopickim utworzył kolumnę zbitą niby lity tłok i niezdobytym krokiem wyruszył. W jego tropy szedł czternasty pułk francuski pod pułkownikiem Henriotem. Obadwa te tarany wbiły się w Cosso masą swoją jak dwa drągi katalputy. Uderzyły we wzniesioną baterię i zmiażdżyły jej kanonierów. Bateria zamilkła. Ale wówczas ze wszystkich stron, ze wszystkich okien i niedostrzegalnych dziur w olbrzymich domach wydłużonego placu syknęły się na nich pociski. Stały tu posępne, wielkościennne gmachy, jak teatr, urzędy municypalne, a nade wszystko sąd i mieszkanie niegdyś, od czternastego wieku, najwyższego sędziego *justizy*, stróża swobód unii narodowej Ka-

Żołnierz, Walka, Miasto,
Polak, Historia

stylian i Aragonów przeciwko władzy Piotrów Okrutnych. Naprzeciwko ulicy Engracia, wylot w wylot, znajdowała się ślepa i wąska uliczka Arco de Cineja. O kilkanaście kroków na prawo szła główna arteria miejska po drugiej stronie Cosso — ulica świętego Giliusza. Prowadziła ona obok kościoła tegoż imienia, obok klasztoru świętego Piotra, zostawiała na prawej ręce katedrę del Seo, na lewej kościół Nuostra Señora del Pilar i wylot w wylot trafiała na most.

Pułkownik Chłopicki sformował swoją poszarpaną kolumnę pod strzałami całego Cosso i, złudzony położeniem ulicy Arco de Cineja, rzucił się w nią, zamiast w ulicę świętego Giliusza. I w tym zaułku, tak samo jak w całym mieście, domy zamienione były na niezdobyte warownie. Żołnierze ginęli na rozdrożu Cosso, u wejścia w uliczkę i w jej ślepej głębinie. Walily się na nich ściany, umyślnie z góry wyważone i strącone z czwartego piętra belki opalone, dymiące się jak główne, fortepiany i szafarnie, skrzynie i ręczne granaty. Sam Chłopicki ciężko raniony padł na placu. Wynieśli go żołnierze z pobojojowiska.

Noc wtedy spadała na wrzące miasto.

Klasztor franciszkanów, zdobyty szturmem przez oddział polski, z wyjątkiem wieży, gdzie usadowieni Hiszpanie razili wciąż granatami przechodzące wojsko, służyć miał za punkt zborny, za szpital i miejsce spoczynku. Na zdobytej ulicy Sant' Engracia palono ogień przy ogniu od samego zmierzchu. Warty stanęły gęsto i opasywały wszystkie punkty zdobyte. Cedro znalazł się pod kolumnadą klasztoru, która wychodziła na ogrody. Stały tu pod ścianami długie i szerokie ławy z ciosanego kamienia. Żołnierze powyciągali się na tych miejscach sjeisty mniszej...

Miasto kipiało wciąż jeszcze. W dzielnicy nadrzecznej, za placem Cosso, we wschodniej części około Uniwersytetu i na zachodzie w okolicach Pałacu Inkwizycji świętej, słychać było łomot pracy, szcęk młotów, szarpanie ziemi i odwiecznych murów. Ale żołnierze francuscy i polscy słysząc ten nocny rozgwar zbrojenia się miasta Fenicjan — Salduby, miasta Rzymian — Caesaraugusty, miasta Arabów — Zaragozy, miasta Aragonów i wreszcie zjednoczonych we wspólną ojczyznę Hiszpanów — nie zwracali już uwagi. Byli pewni, że wcześniej czy później zdepcą i stratuja, cokolwiek by stworzyła zrozpaczona praca.

Teraz pożąдали snu i spoczynku.

W starym tumie franciszkanów płonęły ognie. Skwarzyło się mięso na rożnach. Stare, rumiane wino, rozkosz mnichów, krążyło w złotych, kościelnych kielichach. Pieśń sławiąca siłę i przemoc, pieśń nakazująca popchnąć i zdeptać to, co upada bez sił, rozlegała się w ciemnych korytarzach, pustych celach i pod kopułą kościoła.

Okolo północy ostatnie echo rozmowy ucichło w klasztorze. Żołnierze, otuleni w płaszcz, spali leżąc w poprzek galerii portyku pokotem. Był to sen twardy i zaiste kamienny. Cedro leżał między innymi w szeregu, ale nie spał wcale.

Na końcu galerii u wejścia do ogrodu paliło się duże ognisko. Długie smugi ruchliwego ognia rzucały w ogród niepewne blaski. Chrapanie cielsk w całej galerii, w przestrzeni kilkudziesięciu kroków, było nie do zniesienia. Zdawało się Krzysztofowi, skoro tylko oddalał się myślami od tego miejsca, że trupy niedorznięte koło niego charczą. Wzdrygał się i z wściekłym gniewem zawijał w płaszcz. Ale chociaż zasłonił oczy, nie mógł zasłonić płynących myśli. Dźwigną się jutro z tego potwornego snu do dzieła mordowania albo na wieki legną po kanałach i rynsztokach miasta. Jaki też sen śni się temu leżącemu motlochowi?

I oto ujrzał sen tłuszczy, sen idący nad nimi w ciemnych załamaniach sufitu. Widział trzeźwymi oczyma ogniste, kręte zwoje bóleści, wlokące się po wąskich schodach, którądy ścieka krew... Wszczepił mu we włosy koślawe ręce swoje krzyk objijający się o ponure mury zaklętych dziedzińców, korytarzów, cel... Starzec, starzec w krwawym łachmanie! Oczy jego, oczy patrzą, wznosi się uschła ręka... Wskazuje, wskazuje... Boże miłosierny! — wskazuje ręką...

Ogarnął go nieprzełamany wstręt. Ciała spitych morderców, staplanych we krwi, śmierzących potem pracy od całodziennych siepań, owa bezwładność i nicość silnych gnatów, które się teraz podle wiły i kurczyły pod ciężarem widziadeł sennych, ohydne profile pysków, rozwarte usta, porozrzucone ręce i nogi, w trwodze i męczarni charczące gardziele i nosy — wzdrygnięciem go zimnym smagały. Nie był zdolny pozostać teraz

Żołnierz, Sen, Morderstwo,
Okrucieństwo, Sumienie

na chwilę sam ze sobą. Wnet myśli jego pędził i ścigał przestrach. Korpus cielesny wciąż musiał być w ruchu, w trudzie, w pierwszorzędnym zmaganiu się, wciąż musiał cośkolwiek ścigać forsownie. W każdej chwili spokoju zaczynały płynąć w poprzek logicznych myśli — wichry spłoszonych obrazów, haniebnych widoków, czynów spełnionych.

I teraz oto uczuł się zmuszonym do ruchu.

— Pogadam z szyldwachem... — myślał wyłażąc z szeregu leżących.

Ale zanim stanął na nogach, już zmienił projekt. Czuł, że rozmowa go nie zaspokoi. Wiedział, że musi szukać niebezpieczeństwa, jeśli chce w sobie zagłuszyć paroksyzm dawnej duszy.

— Cóż ja mam ze sobą teraz robić? — myślał bezzadnie, siedząc w kucki na miejscu i wodząc oczyma po ogrodzie i murach.

Wieszał mu się na ramionach płaszcz bezsennego sumienia. Obojętne wiedzenie dawało znać, że wypadnie chyba przesadzić mur ogrodowy i pójść samemu między szanice hiszpańskie na niedostępne zaułki Calle del Cosso...

Forsy, mocy, wytężenia sił! Walki z przemagającą liczbą! Oczy badające, któredy mur przeskoczyć, zabrnęły w pomrok zarośli bluszczu, między zaciszne uliczki strzyżonego bukszpanu, w kąty, gdzie gaje wyniosłych kamelii dokoła siebie rozpraszały białe i czerwone kwiaty. Z głębin ciemnej wytrysnął przed oczyma ponad szarzejący mur — czarny, strzelisty kształt wonnego cyprysa. Bliżej nikło bieląły przerywając nieugiętość mroku krzaki różane. Żarzyły się w ciemnych wnękach czarnej nocy, jakoby światła żalosne, zwiśle girlandy przedziwnych róż indyjskich, wiecznie kwitnących róż z Bengalu, kwiatów rodzącej się Afrodyty i kwiatów królowej Flandrii. Przewyciężały tam noc barwy ich śnieżnobiałe i bladeżółte, koloru ciała kobiety i koloru porannej zorzy. Zwartym kuszczem stały nad wydrążeniem starej cysterny, zawsze szemrzącej. Zapach ich dźwigał się z ciemności, powstawał ze smutku szmerów lecącej wody. Krzysztof uczuł go niespodzianie.

Usłyszał mowę wieczną szmeru strumienia. Ze szczęśliwym zdumieniem westchnął wciągając nozdrzami błędny zapach.

W owej chwili, jakby spomiędzy kapiących w ciemność polśnieć kęp różanych, spomiędzy białych jak śnieg skupień, wyjawiała się twarz blada, z oczyma rozwartymi szeroko od dumy, od pogardy, od strasznego uniesienia. Usta półotwarte i włosy wzburzone niby chmura burzy wiosennej nad białym czołem... Widać w chropawej ramie okna ze szerniałego marmuru tę głowę niewysłowionej piękności, oblicze boskie, kształt córy Diosy, Pallady Ateny. Ale wraz uwydatni się z ciemności inny jej kształt i wyraz, gdy zbieiała i martwa na obraz śniegu zamyka oczy przed ohydny widokiem. Kropli krwi nie ma w jej ustach. Światło uciekło ze źrenic. Padają powieki na zranione oczy jak drzwi bez zawias...

Krzysztof nie mógł już teraz przypomnieć sobie tego oblicza. Stała się jak gdyby widmo we śnie widziane. Stała się czymś tak niedokładnym jak wspomnienie starca i tak wątpliwego istnienia jak widziadłany obraz cielistych róż w mroku nocnym.

Żołnierz wstał ze swego miejsca po cichu. Wysoko przytroczył szablę. Ręce miał wyciągnięte, żeby zwiewny obraz zatrzymać... Na palcach zeszedł ku cysternie. Oto miał przed sobą uśpione krzaki różane. Wiotki zapach wzdychał ku niemu z ciemności. Zdało się idącemu, że to głowa niewidzialna spoczęła na jego piersiach, że wonne ręce oplatają mu szyję. Łkały przed nim w nocy te bezsenne białe róże. Same jego ręce zanurzyły się w krzew mokry, między pręty kolczaste, we włosy zimnych liści. Kalecząc sobie, drąc i przebijając palce, łamał gałązki obarczone kwiatami. Zerwał ich bukiet tak duży, że ledwo go dłonią skrwawioną mógł objąć. Wolno, kryjąc za sobą pęk zerwany, poszedł ku ognisku. Szyldwach nastawił ku niemu bagnet i mruknął, jak niedźwiedź, o hasło. Krzysztof rzucił mu je nie patrząc i wyszedł na ulicę. Cała teraz pełgała od ogniów strażniczych, rozpalonych co kilkanaście kroków pośród ulicy Sant' Engracia. Szyldwachy kołatały się między jednym a drugim ogniskiem jak wahadła. Żołnierze pilnujący ogniów znosili z domów meble i sprzęty drewniane. Ciskali je bez przerwy w płomienie. Buchały jasnym ogniem poręcze, boki i gzymsy mebli rzeźbionych z drzewa mahoniu, hebanu i czarnego dębu, może w czasach szalów i gwałtu na łądach i morzu zdobyte... Trzeszczały przyskajając iskrami bezcenne szkatułki, pełne papierów, pamiątek, świętości rodzinnych.

Tliły się smrodliwie stare palimpsesty, pergaminy i foliały bibliotek klasztornych. Drzwi wejściowe od ulicy były powyrywane z zawias, czarne sienie stały otworem i broczyły głębią ciemności jak rany świeżo zadane.

Idąc od ogniska do ogniska Krzysztof wypowiadał jednym głosem hasło i przeciskał się co prędzej, co tchu za mury klasztoru franciszkańskiego. Minął wylot bocznej uliczki, dwie czy trzy sienie, i oto stanął u wejścia do domu, który poprzedniego dnia zdobywał w gronie wołyżerów. I tu brama była wyrwana z zawias. Dawno już spłonęła w ogniu ulicznym. W sieni jakiś piechur pracowicie rąbał siekierą szafy, stoły i stołki. Cedro wyminął go szybko i wbiegł na piętro po znajomych, szerokich schodach.

Znalazł się tam w zupełnej ciemności. Łoskot siekiery słyhać było jako głuchy, natrętny stuk w ścianę. Wyciągnięte ręce dotykały murów śliskich jak lód. Oto drzwi prowadzące na wewnętrzny, podwórzowy ganek drugiego piętra. Znalazł je omackiem. Wyszukawszy ręką rygiel starego zamka podważył go końcem pochwy pałasa i wnet stanął na balkonie. Chlusnęło mu w oczy światło w oknach... Światło w tamtych oknach! Jacyś tam ludzie...

Cicho jak zmora szedł dookoła po deskach ganku, a zanim którą nadepnął, sto razy próbował stopą, czy nie zaskrzypi.

Szedł nieskończenie długo... Sądził, że nie dowlecze się nigdy do świetlistych okien... Ale nie skrzyknęła pod jego nogą podłoga, nie zaszeleścił pałasz. Przywłókł się nareszcie. Pierwsze, półotwarte okno założone było na hak środkowy. Zajrzał przez szeroką szczelinę do wnętrza.

Znał dobrze tę salę. Na dywanie pod szafą leżeli zamordowani. Starcy... Oto jego własny ksiądz... Siwa czupryna, niebieskawy podbródek. Sutanna nowa. Do pioruna, sutanna nowa... Ani śladu... Zmiażdżone trupy bab obok niego.

Wielka, woskowa gromnica w rogu pokoju. Dwie żywe przy trupach istoty. Zakonnik, franciszkanin, stary jak grzyb, z łusą, żółtką czaszką, nagą jak kolano, tyłem do okna zwrócony, klęczał przed zmarłymi i półgłosem mamrotał modlitwy.

Bliżej okna, w głębokim starym krześle z szerokimi poręczami, spała *doncella*. Zasnęła, widać, niedawno. Głowa jej upadła bez sił na tylną poręcz. Włosy rozpięzchły się, rozwiązały i klinem, na podobieństwo czarnego cyprysa wierzchołkiem zwróconego ku ziemi, zwisły ze spracowanej głowy. Bezwładne ręce leżały na kolanach. Można było mniemać, że i ta kobieta nie należy już do świata żywych. Tylko jeszcze tchnienie uroczych piersi pod czarną szatą świadczyło o życiu.

Krzysztof wsunął dłoń między połowy okienne i odrzucił zamknięcie tak cicho, że nie wywołał najłżejszego szelestu.

Roztworzył połowice okienne.

Ujrzał teraz w całej prawdzie i pełni tę salę, którą miał w mózgu jak widziadło. Ogarnął wzrokiem wszystko. Nie umiałby wyznać, jak długo tam stał pogrążony w dumanie. Najłżejszy szelest nie przerwał ciszy. Pryszał kiedy niekiedy knot gromnicy... Zadrzemał, widać, stary zakonnik zwiesiwszy głowę na ręce wsparte o klęcznik.

Ocknął się Krzysztof z głębokiego zachwyty. Wydobyła się jego dusza z wiązań całunów, z pęt zamyślenia. Wziął przed się bukiet róż, rozdzielał troskliwie gałązki szczipione liśćmi i kolcami. Rzucił na kolana śpiącej pierwszy kwiat tak wyśmienicie, że korona upadła między dłonie splecione palcami.

Rzucił potem drugą gałązkę, osypaną nierozwiniętymi jeszcze kłobuczkami, trzecią cudnie rozkwitłą, czwartą i piątą. Wszystkie aż do ostatniej. Wtedy przymknął okno tak samo, jak było. Sam został na swym miejscu.

Oczy miał utkwione w twarzy śpiącej. Dusza jego sphywała na powieki zawarte, na usta, na lica białe, na włosy czarnym płomieniem zwisające.

Ostry chłód nocy aragońskiej ścisnął mu ramiona i żebra. Pierwszy brzask przerzedzał już ciemność. Widać było występujące z mroków posępne mury, studzienną czeluść podwórza, czarne okna i drzwi. Jakże to wszystko okrutnym przemówiło teraz wyrazem! Te straszne nieme sienie, te straszne okna i drzwi wychodziły na spotkanie oczu jak kształt piekła duszy widzialny z bliska.

Wtem jak piorun rozległ się łoskot armatniego strzału.

Jakoby wrzask tysiąca odpowiedziała mu salwa karabinów. Cedro uczył taki ból, jakby to jego te wszystkie strzały przeszły. Śpiąca dźwignęła głowę, otwarła szeroko oczy.

Powiodła nimi po trupach.

Chwilę słuchała strażów z głową wtuloną w ramiona, błada i struchlała. Ręka jej dotknęła się mokrych i kojących róż. Bezmierne zdumienie usta rozchyliło do krzyku.

Zniżyła głowę gwałtownym ruchem nad tymi kwiatami. Zatopiła w nich oczy i siedziała tak nieruchoma, jakby w tej chwili i ją strzały armat o śmierć duszy przyprawiły. Zatrzęsły się wątłe okna od ponownego huku. Głucho zadrgały mury, jęły sienie i izby, korytarze i klatki schodowe...

Zawahały się ramiona dziewczęce.

Białe, liliane dłonie trwożliwie, a namiętym ruchem zgarnęły, objęły, schwyciły róże wszystkie bez wyboru, przycisnęły je do łona wstrząśniętego od łkań. Wstała dziewczeczka ze swego miejsca, jak gdyby z tym zamiarem, że dokądś pójdzie. Ale nie postąpiła ani kroku. Znieruchomiła na miejscu.

Z zamkniętymi oczyma, z ustami pełnymi żalonych słów, cisnęła coraz bardziej do serca kwiaty. Rozdzierała białe palce o ostre kolki, raniła miękkie dłonie...

Krzysztof na palcach pobiegł balkonem dokoła podwórza, zdążając na swoje miejsce między walczącymi.

POTYCZKA

W nocy z 14 na 15 sierpnia generał Verdier odstąpił od oblężenia Saragossy. Nie było sposobu zdobyć jej wstępnym bojem.

Krzysztof Cedro już od dnia 6 sierpnia znajdował się w Monte Torrero. W dniu 5 sierpnia został na ulicy Cosso raniony w udo odłamkiem granatu, wskutek czego nie mógł uczestniczyć w dalszych działaniach. Leżał w baraku szpitalnym aż do chwili wymarszu wojsk francuskich w górę rzeki Ebro, a w stronę Tudeli. Pod koniec tygodnia swego wypoczynku należał zresztą do lżejszych robót minierów przy zakładaniu prochów.

Trzeci szwadron lansjerów polskich wyszedł ostatni z Monte Torrero z improwizowaną artylerią Hupeta. Nie dochodząc do rzeki Xalon wojska francuskie zatrzymały się w oczekiwaniu na wybuch min. Cedro był jeszcze znużony chorobą. Szczególna w tym czasie zaszła w nim zmiana: uspokoił się i wzmocnił. Stał się jak gdyby dojrzały, stary i nieprześlągany, i nieugięty w swej obojętności. Znalazł bezwiednie w tym nastroju duszy wyjście z labiryntu moralnych drgań i niepokoju.

Oto nadeszła chwila długiej niepewności, naprężonego oczekiwania w milczeniu. Słychać było tylko huk rzeki Xalon. Kapitan minierów, który był prochy zakładał i zapaleniem lontów kierował, wydobyl z olstrów pistolet, żeby w łeb sobie strzelić, jeśli wybuch wcale nie nastąpi. Dla Cedry była ta chwila daleko bardziej obojętna niż dla starych wyjadaczy, dla wytrawnych łazęgów włoskich i młodych wisusów, a zbójców z temperamentu. Taką ciszę i spokojność wewnętrzną przeżywał we Francji czasu wielkich marszów pułkowych. Czekał teraz na wybuch, jak w teatrze oczekuje się na oświetlenie ogniem bengalskim efektownej grupy dziewic. Jeżeli doświadczał jakiej przykrości, to było nią zwątpienie o tym wybuchu.

Ale oto, na szczęście dla kapitana minierów, głucho jęknęła i zatrzęsła się ziemia, a loskot oddały góry Aragonii. Słupy ognia, fontanny dymu, gejzery kamienia i chmury gruzu buchnęły w niebo. W nich ludzie magali kozły w powietrzu jak zastrzelone w lot ptaki.

Ruszono w marsz dawną drogą przez Alagon, Mallen ku Tudeli wśród nieustających napastowań chłopów, zorganizowanych w bandy powstańcze zwane *guerillas*. Wojska regularne Don José Palafoxa y Melcy szły w te tropy. Pułk lansjerów stanął wreszcie obozem w budach drewnianych kleconych naprędcie, nad samą rzeką Ebro. Był wysunięty w stronę nieprzyjaciela i nie miał chwili spoczynku. Konie stały w błocie i glinie rozmięklej, toteż dostawały grudy i ochwatu. Szczury wodne nie dawały żołnierzom spać po nocach. A noce były już nadzwyczajnie zimne. Zaczęły bić deszcze jesienne. Toteż rozkoszą niemal była dla żołnierza każda wyprawa.

Krzysztof uwolnił się z artylerii, wrócił do szwadronu i lancy. Robił nią już od dawna i świetnie wszystkie *maniements*, wolty i piruety. Wykazał w potyczkach sprawność

zupelną. Kiedy poprzednio w górach otaczających Saragossę wyuczył się przede wszystkim przebijac ordynarnych chłopów w ognistym natarciu, teraz ćwiczyl się w sposobach walki z regularną konnicą. Był tedy już niezwalczony w zwykłym, wysadzającym z siodła „broń do ataku!” — w szarżach *en-avant-pointez!* — w parowaniu w lewo czy w prawo, w zdradzieckich, wściekłych a niezwalczonych ciosach w tył i w bok. Uczyl się tylko jeszcze pod Tudelą od mistrza Gajkosa najtrudniejszych napaści *par le moulinet*, zadawanych z wysoka, sponad głowy, kiedy się lancę trzyma lekko między palcami, a cała moc cielesna i siła ciosu spoczywa w palcu wskazującym. Były to piorunowe, a lekkie pociski w twarz, między oczy, w gardło wroga, a raczej wrogów. Gajkoś miał możność codziennie pokazywać uczniowi, jak te „prztyki” rozdawać w obskoczeniu. Rzucali się tedy dla nauki, praktyki i przykłądu w gęstwinę hiszpańskiej konnicy, *guerilleros*, lub regularnej piechoty samowtór czy samotrzec w moment po salwie strzałów, zanim tamci mogli broń nabić. Skokiem, co siły w bachmacie, wpadali w tłum. Byli niedosięgli ani dla bagnetu, ani dla szabli. Sztuka walki z przemagającym stokroć tłumem polegała na tym, że grot lancy niweczył opór nieprzyjaciela w odległości sześciu łokci od piersi ułana. Żołnierz hiszpański, pragnąc cios zadać, musiał zbliżyć się o dwa i trzy kroki. Furkot chorągiewki i błysk ostrza tworzył wnet wolne koła. Wokół trzech jeźdźców na koniach powstawały trzy place, a pierwsza luka stanowiła dla nich jakoby wyłom w murze fortecy. Widziano też nieraz pod Tudelą iście fenomenalne zjawiska. Bataliony piechoty i szwadrony jazdy hiszpańskiej rozsypywały się i pierzchały w pole jak zgraja dzieci przed byle garsteczką ułańską pędzącą z kopyta.

Długo trwały te codzienne lekcje i korepetycje nad rzeką Ebro, bo aż do wielkiej i sławnej bitwy pod Tudelą w dniu 23 listopada. Po tej bitwie, gdzie bataliony piesze legii, pierwszy pułkownika Kąsinowskiego i drugi, w którym walczył kapitan Wyganowski — wslawiły się męstwem nieustraszonym, zlały krwią ziemię i przyczyniły się przeważnie do wielkiego pogromu Hiszpanów — Krzysztof Cedro po szarży w tej bitwie został oficerem. Zaliczono mu służbę w przykopach pod Hupetem jako pierwsze awanse na brygadiera i na stopień *maréchal de logis*. Zakwitł teraz w swoim szwadronie jako pan *lieutenant en seconde*. Musiał się wkupić do koła, nabyć od kolegów okucie srebrne do daszka, łańcuszek do podpinania, szlify i hafty munduru, czapraka, akselbanty przerzucić na prawe ramię, rzemienie wszystkie safanem podszyć...

Sprawiło mu to niemałą radość, że nareszcie dosłużył się stopnia. Oficerowie powitali go życzliwie, znali go już bowiem dobrze, wiedzieli, co zacz jest na koniu, w ręce, w polu i pod dachem. Niejednemu z prostszej sfery pochlebiało nawet koleżeństwo z tym austriackim „hrabią”. Ujrzał się też „hrabia” otoczony przyjaciółmi co się nazywa. Duszę gotowi byli za niego położyć... Wina nie brakowało w tych miejscach — można się było nim na śmierć zapić wyznając sobie wzajem braterskie uczucia. Były jeszcze i uboczne powody tak serdecznego przyjęcia nowego porucznika. Oto z pułku szwoleżerów gwardii przysłano w tym czasie do zajęcia miejsc oficerskich sześciu jeźdźców. Byli to panowie: Stadnicki, Dominik Runowski, Sawicki, Adam Radłowski, Józefat Kadłubiński i Teofil Mikułowski. Sztab ułański, a nade wszystko młodzież bez stopnia, czyhająca na odznaczenie, z wielką niechęcią przyjęła gwardiaków. Ci przybysze zagradzali drogę do awansu istotnie zasłużonym, a nadto przybywając od boku Cesarza i z wielkiego świata mieli na obliczach marsa wyniosłości i protekcyjnalne uśmieszki. Cedro, którego widziano, jak pracowicie dostawał do obozu ciołki i owce, jak harował w rowach pod Saragossą i darł się z karabinem na barykadę, zyskiwał tym większą, na złość frantom szwoleżerskim okazywaną sympatię.

W przeciwieństwie do szyku żołnierskiego, w którym żył dotychczas, składającego się ze starych wilków, lwów, hien i dzików-pojedyneków, w przeciwieństwie do surowych służalców, do nieubłaganych kondotierów i srogich a ślepych żołdaków — znalazł się teraz w otoczeniu delikatniejszym, młodszym i bardziej ludzkim. Czuł to, że sam przewyższa kompanię oficerską zimną czerstwością, którą był nasiąkł w tłumie wiary. Męstwo w gronie, które powiększył, nie było jeszcze ową kamienną dzikością, sława tu świeciła na ostrzach szabel, honor był dźwignią i miłość dalekiej ziemi zakonem dusz. Nie wszystkich zresztą... Cedro stał się oficerem całą gębą, przyjął ryczałtem wszystkie zalety i wady tego stanu z pokorą a bez zastrzeżeń, jak prozelita świeżo nawrócony przyjmuje nie tylko rytuał, ale i związany z nim w życiu całkowity *modus vivendi*. Już po upływie

kilku dni w stanie nowego dostojęstwa spostrzegł, że przewyższa wielu kolegów wiedzą wojskową i doświadczeniem. Rzadko który z młodszych był tak długo jak on był właśnie prostym żołnierzem. Rzadko który walczył tak jak on w Saragossie i pod Tudelą...

Spod Tudeli, w ślad za cofającym się w popłochu dowódcą Hiszpanów Peña, który zajął miejsce Castaños, marszałek Ney pociągnął do Tarazona, a stamtąd górami, drogą równoległą do doliny rzeki Ebro, aż do Plasencji. Z Plasencji wzdłuż rzeki Xalon ciągniono ku południowi na Muela, El Almunia, Morata — starorzyskim szlakiem wojennym, odwieczną drogą z Caesaraugusty do Mantui Carpetanorum, czyli Madrytu, na Bilbilis...

Wiedzano już w wojsku, że Napoleon jest na ziemi hiszpańskiej i że równoległe zdąża do Madrytu na Burgos. Sto koni jazdy polskiej pod grosmajorem Klickim poszło z marszałkami Moncey i Lannesem znowu pod Saragossę, w ślad za Palafoxem, który szedł zamknąć się w straszliwym mieście, ażeby wypełnić nieśmiertelne dzieło drugiej obrony...

Generał Lefebvre-Desnottes dowodził jazdą korpusu szóstego, który szedł przodem dla połączenia się z główną armią. Pierwszy raz na własne oczy ujrawszy tak olbrzymią porażkę osiemdziesięciu tysięcy hiszpańskiego ludu pod Tudelą przez armie marszałków Lannesa, Ney'a i Victora, Cedro nabrał pewności siebie i ślepej wiary w szablę ułańską.

Były ciągle deszcze i srożyły się wichry, gdy armia francuska szła górkami drogami Aragonii w stronę Calatayud. Żołnierz polski odznaczał się czerstwością zdrowia i wytrzymałością na zimno. Więc kiedy Francuzów tłumy wleczono w furgonach, kawaleria nadwiślańska szła wciąż, zdrowa jak rydz, w przednim szyku. We dwa dni po pogromie tudelskim podjazdy ułanów zbliżały się do Calatayud. Armia była dosyć daleko. Wśród deszczu i przelatujących chamer śnieżycy widziano przednie stráže jazdy hiszpańskiej. Kiedy szwadron trzeci zbliżył się do tawerny zwanej Burviedro i wstąpił na górką płaszczynę otaczającą to miejsce, dały się słyszeć z gór otaczających strzały armatnie. Szwadron stanął na drodze i sformował się w kolumnę w oczekiwaniu na nadejście siły głównej. Deszcz bił ulewny. Gdy nieco ścichła nawałnica, ruszono kolumną w kierunku, gdzie widziano siły nieprzyjacielskie.

Cedro miał na sobie granatowy płaszcz z białym kołnierzem, ale go nie zapinał pod szyję i nie otulał nim ciała. Zuchowi między lansjery nie mogło być zimno. Na czapkę włożył przejrzysty, ceratowy futerał, żeby ją od deszczu ochronić, ale końców nie zawiązywał pod brodą. Nie używał również srebrnej podpinkki. Czyniąc zadość kanonowi mody, ustalonemu wśród oficerskiej tężyny, utrzymywał czapkę zsuniętą na prawe ucho bez niczego, „sposobem głowy”. Giał wiatr czaplą kitę, ale czapka nie drgnęła. Oczy ułana, przezrocyste jak jasne morze, nurzały się we mgłę, opar i zawieję. Konie wolno idące dymiły się i grzały pod czaprakami i oponami z płaszczów rzuconych poza siodła. Wtem jak pistoletowy strzał rozległ się głos komendy:

— Za broń!

Jak jedno machnęły prawe skrzydła płaszczów na ramię odrzuconych. We mgłę ukazała się jakoby gęsta, czarna, po ziemi idąca chmura.

— Broń do ataku!

Krzysztof wyrwał szablę. Wziął konia we władzę, kolanami, lewą dłonią, pięciami ostróg. Furknął młyniec chorągiewek, podobny do przeszywającego pisku jastrzębia...

— Flankiery naprzód!

— Szwadron do ataku!

— Plutonami — marsz!

— Marsz!

Zrazu wolno, miarowym klusem, szedł szwadron równiną, dopóki na oko nie dojrzał nieprzyjacielskich jeźdźców. Wtedy Cedro za innymi krzyknął w uniesieniu:

— Skróć cugle!

Grenaderski pluton flankierów na spiętych koniach ruszył cwałem. Jazda Hiszpanów zbliżała się miarowo. Przypuściwszy pędzący hufiec flankierów na strzał, dała ognia z karabinków. W mig po strzale, rozdzielivszy się we dwa skrzydła, pierzchnęła równina w prawo i lewo.

Konie pod Polakami szły już chyżo. Cedro, widząc przed sobą umykających na prawo, zakomenderował:

— Pędem.

W tej samej chwili jeźdźcy ujrzeli jasny piorun lecący po ziemi. Był to strzał linii piechoty ukrytej w rowach, w tyle za jazdą. Tam i sam w cugu Krzysztofa, obok niego i za nim jęknął człowiek. Dzwoniąc zbroją, z krzykiem walił się na ziemię. Chrapały straszliwie osierociałe konie. Jedne bez kawalerzystów pędziły w skok, nie wychodząc z szeregów ani o cal, inne, samotne w polu, latały rżąc po kamienistej równinie.

— Bij, zabij! — wołał szef szwadronu pewny, że teraz, po strzale, roztrąci piechotę i zmasakruje, ilekolwiek by jej było.

Puszczono bieguny w przecwał ścigania.

— Bij, zabij! — krzyknął Krzysztof, uszczęśliwiony, że idzie na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysiąca zdradzieckich karabinów. Leciał coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierny, jak anioł gromy ciskający.

Znowu złotozłoty błysk. Błysk długi, migotliwy, pędzący falą zygzakowatą... Ze szczęścia, z uczuć mocy — tchu aż brak... Już, już — karabinierowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tchu broń... Tchu brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne. Dymy... Krzyże, migotliwe koła, szkarłat i błękit... Ognie koliste buzują się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskier. Mocny Boże! Gdzie pałasz! gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej ręki w ciepły dół... Głowa dokądś leci jak góra kamienna... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekoce?... Tchu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka...

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści konwulsją ściśniętych uciekają kolczaste kaktusy i niskie tarniny... Aż oto pierwsza, przeraźliwa myśl:

— Noga mi została w strzemieniu. Trupa mojego zbiegany włoczy koń...

Wtem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rżą i kwiczą. Brzuchy końskie w płatach piany, wierzgające ponad ziemią kopyta. Tętent! Grzmiący tętent dudni po ziemi... Jakież to konie rżą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któż to mi spłoszył źrebce?

— Paniczu! — ryczy Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubymi rękami omdlającą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanym.

— Panicza náma zabili! — ryczy na cały szwadron. — Panicza zabili! Naści, psiokrew, zwycięstwo! Bodaj was jasne pierony zapaliły!...

Zwiotczałe poszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

WIDZIADŁA

Noc była zimna.

Przejmujący powiew ciągnął równinami od strony sterczących skał Guadarramy i Somosierry, które jak posępny, ciemny pas zostały na północy horyzontu. Armaty, furgony, wozy z prochem tocząc się po gościńcu huczały, i dudniły. Krzysztof leżał na wznak z oczyma utkwionymi w chmurne niebo. Słyszał wciąż trzaskanie bata, dziwaczne krzyki i pogwizdy mulnika, monotony klangor dzwonek, chrzęst żelastwa w zaprzęgu furgonu, loskot miarowy kół... Materac, zawieszony na żelaznych hakach, chwierutał się do taktu zgrzytliwie, a przecie melodyjnie, tak samo zgoła jak pewna okiennica w narożniku dworskim w Stokłosach. O okiennicy tej krążyła blisko i daleko wieść, że przepowiada niepogodę. Jeżeli tylko w najcudniejsze susze czerwca, w najcichsze czasy lipcowe zaczynała pozgrzytywać, jakby pokasływać od niechcenia, stękać na strzykanie w zawiasach i chrzypieć na łamanie w zasuwach, ludzie przyśpieszali roboty na łeb na szyję, grabili w kopki siano schnące na pokosach, rozwaloną koniczynę, czy wiązali w snopy zboże i żywo zwozili ku stertom. Z odległej nieraz wioski zachodził, bywało, pode dwór karbowy albo wódarz posłuchać na odwieczny, czy okiennica złego nie wróży.

Krzysztof słyszał teraz zgrzytanie haków, ale nie bardzo wiedział, gdzie jest. Ciemność nieprzyjazna, ciemność-kłęska, ciemność-krzywdą leżała na nim. Otaczał go lodowy obwód z szarymi wyrwami, skąd wypelzały ciągle korowody figur. Całkowite ich kształty,

które myśl czy oko chwycić usiłuje, wydostają się z szarości nie jak obrazy malowane na płótnie, nie jak rzeźby z marmuru, lecz tak jakoby maskary sztucznie ożywione... Jedne są z chropawego filcu, o włókienkach lśniących pod sennym, smutnym, gorzkim światłem... Rzęsy mają z włóczki przędzonej, z grubej frędzli, brwi na dwa palce wystające, włosy druciane. Oczy ich nieruchome prosto w płonący mózg zadają cios sukiennego spojrzenia i giną w tajemnicy i znikomości, w otchłani szlochów... Za ledwie jedna zniknie, wypływa inna i czuwa nad znużonymi myślami. Żadna nie da się odpędzić aktami woli... Głowa jest jako puste, rozległe, bezgraniczne niebo, po którym wloką się wielokształtne obłoki, niesione od skrytych wiatrów.

A jak wysokie chmury przypomną nieraz kształt ziemi i dumają nad nim niejako, tak samo myśli nieszczęsne niekiedy wspomną rzeczywistą ziemię. Widzą z daleka te myśli samowładne i bujne niby w dalekiej przeszłości, jak to w piersi tworzy się nagle a niespodziewanie przepaść rany. Ruchoma stamtąd bije pienista fala na obraz źródła wyrwanego spod gliny. Serce szalonymi ciosy, serce-młot bije raz wraz w głębie miękkich, klekocących fal! Płuca zrywają się, siepią i mocują w nadmiernym trudzie. Miecą ze siebie ogromne, galaretowate skrzepy i strugi cichej, słonej, płynnej krwi.

Senne, znużone, splakane widzenia zmierzchają, cichną i topią się z wolna w ciszy. Szare opony rozprzegły się, znicestwiały i pierzchły. Nie słycać nic, nie słycać nawet krzyku poganiacza mułów ani dzwonek, ani zgrzytu haków. Wszystko jest ciszą. Ciało zmartwiało, serce zamiera i bezwładne leży na obraz skrzypiec rzuconych. Nędzneż to deski! Struny żywe, struny wszystkogrające nie zabrzmia już! Skonała na zawsze melodia wasza, skrzypki lipowe... Dym ciężki błądzi przed oczyma, wlecze się po piasku, gdzie w zamyśleniu błądziła stopa, po ile czerwonym, po siwych opoczystych caliznach... Sprzymierza się i łączy dym ze skibami i wnętrzem brył, dotyka ze drżeniem ostrych kantów, ziarnistych wydeń kamienia.

— Tyżeś to jest, przeznaczenie moje? — skarżą się wargi. — Przyjacielu, przyjacielu... Tyż to obejmiesz piersi moje, kamieniu? Tyż to ostatnia ucałujesz me usta, żółta bryło?

Nareszcie głębokie westchnienie.

Cóż to jest wokoło?

Zeszły się dokoła głowy, obiegly nozdrza, napłynęły ku piersiom dymy z kwietnika przed domem w Olszynie.

O, błogosławione a niewypowiedziane szczęście obcowania z kwiatami w dniu uścisku śmierci!

— Tyżeś to jest ze mną — szeptały usta — siostrzyczko-rezedo? Tyżeś to przysłała na martwe ugory mej śmierci? Bóg-że ci zapłać... Jesteś zapach mojej młodości... Tak jak ty pachnie szczęście dzieciństwa. Zapachu mój, otocz mię i przygarnij do życia... Weź mię z ucisku gliny i kamieni...

Otwiera się przed oczyma cudne dziwactwo, widziane jakoby pierwszy raz, wypukłych, całobrzegich, strzępiastych goździków. Fiołkowymi powłóceniami całują przekrwienia oczu bratki jesienne... Bładfioletowa lewkonia leży na piersiach, na płucach dziurawych, a dobrotliwy jej zapach chłodnym a częstotliwym chuchaniem sączy się w jaskinię rany.

Wtem słycać, słycać...

Słycać, co się dzieje w uszach i głowie. Biją tam w dźwięczne kowadła małe, pracowite, zawzięte kowaliki. Małe to musi być, jak polne świerszcze... Szybko, szybko, z ramienia lupią młotami majsterkowie: raz raz — raz raz!

A potem jeden przed drugim, na wypródk! Aż tchu brak. Tworzy się z ciosów ciągły szum, unosi się w pustynię głowy huk jak w głębokim, starodrzewnym boru, lesie...

Dech zamiera. Serce się zrywa i łomocze skrzydłami w gałęzie niby złapany siecią dziki orzeł-zyz. Głowa bezwładna chwieje się w prawo i w lewo po ruchomym materacu, palce rąk błądzą, chodzą, wędrują. Nogi coś ciska w różne strony, jak drwal w złości ciska bierwionami...

Mózg się żywym płomieniem pali. W nim płoną pióra myśli. Spalone na węgiel wargi szeptały:

— Trepka... Szczepan... dajże mi pić, dajże mi pić... Już my dzisiaj z tego straszego lasu nie wyjedziemy... Święty jelen z krzyżem między rogami spotkał nas w lesie... Rafał

do niego strzelili... Szczepan... dajże mi pić, dajże mi pić...

Wolno nasuwa się, sztorcem nastawia jak grot lancy złowrogie pytanie:

— Skądże tu, u Boga, ma być Trepka? Gdzie?

Wracają trzeźwe i spokojne myśli, przypląwa jasna świadomość:

— Śniło mi się, widać, o Trepce...

I znowu niby ogromy chmur pędzą myśli innego porządku, wychodzą skądinąd sylogizmy namiętne, pytania natarczywe, odpowiedzi rączę i dowcipne, całe komplety genialnych widzeń, odkryć istotnych, wynalazków w dziedzinie myśli ludzkiej. Śmiech dobrotny otacza je niby mgła...

— Nie jesteś tak znowu głupi, Szczepanku, jak sądziłem... Nie, doprawdy nie! Jest w tym sens pewien, jest treść w twoich gładzeniach. Więcej znaczy nowy rów przerznęty w odwiecznych bajorach nad Wisłoką niż wygrana potyczka... Czy tak? Niż potyczka pod Burviedro, pod Calatayud? Więcej znaczy jeden przytułek, jeden szpital w twojej, prawi, dziedzinie niż zdobycie sztandaru... Czy tak? To rzeczy zgoła różne, braciszku miły... Toż przecie jasno widać... Głowa się pali, głowa kipi i wre. Jako snopy ognia latają w niej zdarzenia, obrazy, dowody, przykłady. Snują się łańcuchy myśli.

— Zabawnys ty, stary, zabawnys ty ze swoją przyziemną, chlebożerną filozofią! Poczciwa jest twoja głęboka, wymyślona głupota, lzy mi gorzkie wyciska z oczu. Wyrzekłeś się bohaterstwa nie tylko za siebie, ale za syny i wnuki, odpinasz na zawsze pióra od przyłbicy i miecz rzucasz rycerski. Pracy się nędznej poślubiłeś, żeby odkupić pradziady i prawnuki... Zabawnys ty, stary, zabawny...

Mówisz, że nam to sądziły dzieje... Nie to nam sądziły dzieje, co gorsze albo lepsze, jeno to, co najpodlejsze, co nogami zdeptane, co na samym dnie leży. Sądziły nam dzieje uciekać, jak psom zerzniętym batami, spod Krupczyc, spod Kobyłki, a po bohatersku wchodzić na Calle del Cosso... Tak nam sądzono...

— Alboż to prawda?... — śmieje się w ucho Trepka czy diabeł z obrazu w bocznej nawie kościoła świętego Jakuba w Saragossie. — Alboż to prawda? Nikomu nic nie sądzono. Każdy czyni, co chce, wola jego i rozkazanie. Chce żyć to żyje, a chce umierać, tak jak ty głupio i po zwierzęcemu, to umiera...

W piersiach wyważy się coś jak stawidło trzymające przemocą wody zdławione.

A wywała się i bucha nie woda, lecz ogień. Huczy krew.

Lodowaty strach błądzi po piersiach. Nogi ma z sopłów, lekkie jak zimny dech. Gdzie stanie, tam przeraźliwy dreszcz lata. Schyla się i szepce:

— Siadłbyś rankiem w saneczki, w jednego konia... Kopna, nieprzetarta droga. Pierwszy śnieg. Skoczyłbyś cwałem zobaczyć, co też tam w Olszynie słychać. Czy też zdrowi, czy ojciec... czy Mery...

Biją w swe kowadełka kowaliki: raz raz — raz raz...

Wszystko urwało się i zapadło w ziemię. Szum i trzask.

Wstręt... Któs pozywa na sąd za owo wino w świętym kielichu. Smak w ustach wina i gorzkości centurii. Piasku i rozpalonego popiołu pełne oczy.

Wtem natarczywy głos porusza półmartwe ciało:

— Panie podporuczniku, panie podporuczniku!...

— Któż tam? — odpowie z trudem.

— A dy ja...

— Kto taki?

— Ja... adiutant podoficer, Pruski.

— Nie wiem.

— Nie poznajecie mię to, panie podporuczniku?

— O niczym nie wiem.

— Przecie na mnie patrzycie?

— Patrzę.

— No, my razem pod Burviedro zranieni. Mnie łapę oberwało, a was durch przeszło. Razem nas więżą. Gajkoscia pamiętacie?

— Pewnie, pewnie.

— Zaprzysięgłem mu, że was odchowam. Wiecie?...

— A co to za miejsce?

Polak, Los, Historia

— Napijciez się tego bulonu, napijciez się duszkiem. Sam Hupka go warzył. Pijciez całą gębą, bo dobry!

— A gdzie to my jesteśmy?

— Już my minęli miasto.

— A jak się nazywało?

— Nazywało się Alkala de Henarez. Droga się nam wykręciła na zachód. Wiatr ustał. Powiadają, że wielką stolicę Madryt będzie zaraz widać, jak się tylko dzień dobry zrobi. Trzy mile niespełna do tej stolicy. Tam nas złożą w szpitalu, jak Cesarz stolicę zdobędzie... Ziąb szelma podły... Krupy z deszczem były, a teraz jakoś nacichło.

— A skąd to my jedziemy?

— O, la Boga świętego!... Przecie już tydzień czasu jedziemy od Burviedro.

— Już tydzień...

— Nic to nie pamiętacie?

— Może i pamiętam, ale opowiedz...

— W Calatayud przełożyli nas na ten wóz z materacami. Pamiętacie? Jeszczeście, panie podporuczniku, gadali ze mną, jakeśmy jechali przez Ateca, przez Alhama, przez Sisamon, przez Medinaceli. W Medinaceli rozdzieliły się drogi. Prawa poszła na jakąś Siguenzę, a lewa wprost na południe do Guadalaxara. Z Guadalaxara jedziemy już całe popołudnie i całą noc do Alcala...

Cedro przechylił do ust garnuszek, zanurzył wargi w płyn i pił chciwie, nienasyconie. Potem zaraz w moment usnął, nim mu Pruski lewą ręką zdołał wyjąć zgięte palce z ucha garnuszka.

Nie ocknął się aż późno w dzień. Świeciło wielkie, złotolite, oślepiające słońce. Uczuł, że go ludzie na ruchomym materacu niosą dokądś w pole, w równą, bezdrzewną przestrzeń. Kołysał się na swym posłaniu, nie mogąc pochwycić taktu ich kroków. Mrużył powieki przed ośniewającym światłem i ledwie-ledwie myślał:

— Co też ze mną myślą zrobić? Dokąd mię też zanoszą?

Wtem postawiono ruchome łóżko na ziemi. Krzysztof rozejrzał się na wsze strony i zrozumiał, że jest w szeregu rannych, którzy leżeli na ziemi pokotem, jedni na materacach, inni na łózkach polowych, na płaszczach i derach wełnianych. Wodził po nich sennym, obojętnym wzrokiem. Ziewając myślał ospale, że pewnie tu wszyscy pomrą z zimna na tej wyziewającej chłód i wilgoć, na przemokłej i ohydnej ziemi. Bez przykrości zagłębiał się w życzenie, wwiadywał w pożądanie, żeby już spocząć na zawsze. Byłe głęboko! Nie będzie się ruszał, trząsał, drżał... Spać tego, bez łajdackiego budzenia przez byle durnia... Tylko żeby choć samemu! Wśród trupów obcych żołdaków gnić we wspólnym dole i śmierdziec pospołu z motłochem... Wnet cicha, daleka muzyka onych skrzypiec... Anielski ich głos przepływa w duszę jako struga wonności...

Wtem krzyk potężny, łoskot jednolity z męskich, zdrowych żołnierskich piersi grzmi niby dźwięczny strzał stu armat:

— *Vive l'Empereur!*

Za chwilę drugi:

— Wiwat Cesarz!

Chwila cicho... Oto znowu bucha ten szalejący orkan radości, ten uniesiony hymn, w jedno słowo zawarte Atlantyckie Morze:

— Wiwat Cesarz!

Dreszcz odmienny przebiegł ciało. Znikł, a z nim razem myśl o tym, co znaczyć może ten wszechpotężny okrzyk.

Cisza nastała.

Zjawił się w ulicze między rannymi, ułożonymi szeregiem, oficer wielkiego wzrostu i czytał manifest cesarski głosem donośnym, wyraźnym, potężnym. Manifest głosił wszem wobec — zdrowym i konającym żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom i świeckim, Francuzom i Hiszpanom, wszystkim zgoła, kto oddycha na półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycję świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę zakonów i klasztorów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje...

Prawo, Rewolucja, Walka,
Przemiana

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko zrozumiał.

— Teraz już wiesz, Szczepanku — mamrotał śmiejąc się i ziewając — dlaczego łamaliśmy starą Saragossę, kastel Aliaferią z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucja, więźniu hiszpański.

Przechylił głowę na bok i patrzył w słoneczną przestrzeń. Patrzył na kamienisty grunt około swego posłania, na zmokłą w nocy i obsychającą dopiero glinę, rozciapaną od licznych butów. Czuł, że klei mu oczy prędko, gorączkowy sen, powieki chodzą jak po piasku, jak po pacynach zeschniętego wapna. Jeszcze jedno senne wokół spojrzenie...

Któż to się zbliża? Któż to idzie ku niemu? Zna przecież tego człowieka... Widział go, na żywy Bóg! Twarz biała i tajemnicza nikiej księżyc ukryty w chmurach. Oczy w niej zagmatwane latają, latają, to znowu w cieniu swe cofną się, żeby czyhać jak lwy w zasadzce...

Z barłogów, sienników, materaców, płaszców, der, z nagiej ziemi dźwigają się porwane szczątki, potrzaskane głowy, wspierają się na łokciach przesyte, bezsilne tułowia — i zeschnię gardła, uszczęśliwione usta miotają krzyk:

— Wiwat Cesarz!

Krzysztof podniósł się z legowiska. Coś w nim od tego ruchu złamało się, jak gdyby chrupnęło bez dźwięku. Siadł na posłaniu straszliwie biały, zlany potem, z gębą pełną krwi. Oczy jego jak kły werznęły się w nadchodzącego. Zatrzymały go w miejscu. Staął.

— *Sire!* — wymówił Cedro.

Ciemne, wojenne oczy wodza uderzyły w spojrzenie Krzysztofa.

Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiadomego metalu, była ku niemu wyczekująco i groźnie zwrócona.

— Jakie jest twoje życzenie? — spytał głuchym i zimnym głosem.

— Jeśli umrę... — zaczął mówić Cedro w języku francuskim, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc mu w oczy.

— Jakiej jesteś broni? — przerwał.

— Lansjer polski.

— Spod Tudeli?

— Tak.

— Nazwisko?

— Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, że moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nienadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!

Nieme i głuche oczy zagłębiły się i weszły w oszalałe ze śmiertelnej miłości spojrzenie rannego. Nieruchomy, zadumany stał Napoleon. Któż wie? Może w tych natchnionych oczach ujrzał duszę swą młodą. Może rumiane śniegi skał Monte Oro, pinie na cyplach Monte Rotondo, może kamienisty brzeg wyspy w pianach rozhukanego morza zobaczył. Może swoją korsykańską miłość wolności ważył przez chwilę na szali z koroną władcy nad obcymi mu ludami i berłem Karola Wielkiego. Może wzdychał w utrapieniu za tym, co już w duszy jego uschło, skruszyło się i od wiatrów rozwiane zostało jak badył umarłego kwiatu, za pochłonięciem młodą, sprawiedliwą i dumną duszą — niedoli ojczyzny.

— *Vive la Pologne!* — usiłował krzyknąć Cedro padając bez sił w swój barłóg. Ale nie krzyknął już, tylko te wyrazy wyjęczał przez fale krwi broczącej z ust.

Cesarz stał jeszcze nad nim długą chwilę. Kamiennym wzrokiem patrzył w jego twarz. Wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł:

— *Soit.*

Oddalił się wolnym, miarowym, zimnym krokiem. Za nim gromada generałów. Znikł między kolumnami wojsk pieszych, w tłumach konnicy...

VAL DE PEÑAS

Wieczór się robił, kiedy Krzysztof docierał nareszcie do wsi Val de Peñas, gdzie mu przepowiadano obecność pułku. W oczach miał jeszcze otaczające tę wieś faliste łany winnic o srebrnoszarym liściu, porysowane w nieskończone linie od białych palików. Gasły w łagodnym zamgleniu wiosennym wzgórza i szczyty Sierra-Moreny. W Ciudad-Real, Infantes, Almagro, Mansenares, Toboso i innych zakątkach Manszy stały siły francuskie, toteż Cedro czuł bezpieczeństwo dokoła siebie i towarzyszków, z którymi ze szpitala

Przywódca, Żołnierz

w Madrycie wyruszył po przyjsciu do zdrowia na poszukiwanie macierzystego pułku. Cieszyła go ziemia sucha i widok wiosennego nieba. Jakże się radował obrazem piaszczystych osypisk, w których brzeg urwisty pinie wszczepiają krzywe korzenie swoje, a poczwarne łopaty kaktusa, najeżone kolcami, kołacą od wiatru.

Gwizdał i pośpiewywał witając olbrzymie szare krzewiny ostu, co tworzą bezpańskie, a nawet bezptasie gaje. Nareszcie wjechał w ulicę wiejską. Witał się oczyma z niewysokimi domami, twardo ubitymi z mułu i chrustu. Dziwne wrażenie sprawiał obok tych niemal polskich chat ze słomianymi strzechy widok dziedzińców zasadzonych pomarańczami, sadów wygrodzonych żywopłotem z kamelij, róż i bukszpanu. Okna domostw były zakratowane i pospuszczane w nich zasłony. Zaraz w jednym z pierwszych siedlisk Cedro zobaczył stojącego pode drzwiami lansjera. Ujrzawszy oficerka, o którym sądzono, że dawno ziemię gryzie, wiarus wyjął z ust fajkę i przypadł do strzemienia.

Na krzyk jego z sąsiednich domów wybiegli koledzy, i wnet Krzysztof jechał jak tryumfator wśród pieszego tłumu.

— Witajcie, *los infernos!* — wołał.

— Pan podporucznik niech żyje!

— Teraz dopiero będziemy brygantów łupać!

— Na oficcerski dwór...

Setki pytań, opowieści i setki odpowiedzi zasypały Krzysztofa. To o jakichś haniebnych przejściach w górach Juvenes, to o zgubieniu sztandarów, o marszu nad rzeką Gwadiana, o bezprzykładnym boju pod Ciudad-Real, o pościgu na Miguelturra, Almagro, Santa-Cruz...

— A pan pułkownik tu z wami? — zdołał dopytać się Cedro.

— Pan pułkownik Konopka? Gdzie! Już we Francji nasz pan pułkownik.

— Patrzajcież! A szefowie?

— Pan szef Rutie do francuskich strzelców konnych na pułkownika fortragowany...

— To któż wami dowodzi?

— Sam jeno pan Hupet został nad nami.

— Do jego idziem kwatery...

W jednym z największych domostw wsi Val de Peñas mieściła się kwatery pana Hupeta. Był już zmierzch, kiedy gromada eskortująca Krzysztofa wwała się w podwórze domu. Na jej spotkanie wychyliły się ze drzwi i okien figury wiarusów w porozpinanych mundurach i koszulach tylko.

— Kto idzie? — wołano.

— Daj hasło!

— Moje hasło: Saragossa i Burviedro...

Wnet wciągnięty do wnętrza obszernego domu z wrzaskliwymi oznakami czci, Krzysztof posadzony został przy długim stole. Z początku wodził po tłumie oczyma nieprzyzwyczajonymi do blasku. Spozstrzegł dokoła siebie znajome twarze, srogie gęby lansjerskie z wąsem do góry zadartym albo posepnie zwieszonym, oczy wilcze i sępie. Pośrodku siedział w koszuli tylko i hajdawerach Niezabitowski z głową przez pół obwiązaną chustką. Obok niego ponury Prendowski, dalej Górecki, Jan Nestorowicz, Szarski. Na widok przybyśza Niezabitowski krzyknął:

— Widzieliście, przecie ten świszczypała żyje! Galicyjski hrabio, bywaj!

Siedzący za stołem zerwali się z miejsc swoich.

— Witajże, witaj! — wołali.

— Wina!

— Oto gość!... Jakby spod ziemi wylazł...

— Wódki mu dawajcie na otrzeźwienie!

— Gorzałę go częstujcie ojczystą!

— Nie wiesz nawet, bracie, nie przeczuwasz, jaką tu gorzałkę Majewski z wina pędzi. Gorzelnię, mówię ci, założył...

Podoficerowie, a nawet żołnierze, napełnili izbę. Cedro witał się z nimi radośnie. Rozglądając się wkoło spostrzegł w rogu izby wysoko na gwoździach zawieszone dwa mundury oficcerskie z czarnymi na plastronach znakami.

— Co to jest? — krzyknął.

— To jest mundur Pęczkowskiego z czwartego pułku piechoty. Zamordowany w Consuegra, a tamto, bracie, mundur Czyńskiego, porucznika z dziewiątego pułku. Książdz go w Herencia zdradą zabił.

— Chowacie je na pamiątkę?

— Chowamy je na pamiątkę. Muzeum tu nasze fundujemy w tym przybytku. W Manzanares piechury śpią, a my tu za nich na szpicu czuwamy dzień i noc.

— Te kandelabry to także muzealne? — pytał Cedro, ciekawie oglądając srebrnolite, wieloramienne świeczniki, których kilka w różnych miejscach długi stół obciążało.

Wielkie, żółte świece kościelne z wyciskanymi ozdobami rozmaitych kolorów płonęły pryskając iskrami. Cienkie obrusy haftowane, ściągnięte z oltarzów, okrywały stół. Ściana oddzielająca tę dużą izbę od następnej była na pół wywalona i przez okragły w niej wyłom ciągnął się stół do drugiej izby. Stamtąd zawracał pod kątem i biegł dalej w głąb domu. Cały zawałony był srebrem najkosztowniejszym. Roztruchany do wina, wszelkiego kształtu i rozmiarów, kute i cyzelowane przez mistrzów, pyszne złote kielichy, dzbany i nalewki z drążonego kryształu w kształcie łabędziów, pawic i krogulców, w kształcie dziwnych kwiatowych kielichów albo gryfów, rorogów i chimery; wielkie patery na owoce z malachitu i żółtego marmuru Sieny, bezcenne talerze porcelanowe z Limoges i czary pół garncowe do wina ze rzniętymi w czeskim szkłe herbami grandów hiszpańskich; pamiątkowe kubki i kielichy z kokosowego orzecha, rogu bizona i żółwiej szkarłupiny, dokonane przed wiekami przez nieznaną artystów Ameryki, wydarte przez konkwistadorów, zdobiły teraz, na nowo zrabowane, biesiadniczy stół lansjerów. Czarne, ciężkie, szumiące wino Val de Peñas napelniało konwie, roztruchany i kielichy. Setki butelek stały pod ścianami w koszach. Na srebrnych półmiskach i drogocennych talerzach dymiły się ogromne porcje kielbasy, ze słodkim sosem, po polsku przyrządzonej; w dziwacznych naczyniach starożytnych żołnierze roznosili kiszkę podgarlaną na gorąco, tłuste salcesony na zimno, pekeflejsze i szynki z chrzanem.

— Ależ to wy tu wielkanocne święta, widzę, obchodzicie! — wołał zachwycony Cedro.

— A ty coś myślał! Wprawdzie bab nie ma żadnych, ani takich, ani owakich, ale za to kielbasy Skarzyński takie porobił, że cały pułk drugi już tydzień smakuje i nie może się odjeść.

— Skądżeście świń nabrali?

— A to się tam Skarzyńskiego pytaj...

— Myślisz, że to już wszystko. Pełne ma chlewy świń, karmi je tak, że się ani jedna ruszyć nie może, a rznie tylko najtłuściejsze.

— Jedno ma tylko zmartwienie — pokpiwał stary Szulc — że, mili bracia, choć części tego świństwa nie może pognać na jarmark do Wąwolnicy albo Baranowa... Tuby zbił kabzę!

— Dalejże, dławikuffe! Pijmy zdrowie młokosa Cedry!... — zawołał Prendowski.

— Skoroś się, wiesz, z tego postrzału wylizał, toś chwat. Kozła magnąłeś jak pajac w cyrku, a farbowałeś, bracie, jak rogacz trafiony pod piąte żebro... — mrucał Niezabitoski.

— Chociażes z nami w podłych górach Juvenes nie był, aleś lansjer chrzczony. Pijmy za niego!

— Kołem za niego pijmy! — krzyknęli.

Wstał cały półpijany stół. Cedro powiódł po nich okiem i zakipiał cały od żołnierskiego wzruszenia. Gotów by był umrzeć za tych ludzi, dałby się w sztuki porąbać za honor, jaki mu wyświadczyli pijąc zań i zowiąc go lansjerem. Chciał im powiedzieć, że widział Napoleona. Podniósł kielich...

— Wołać tu Dysa! — krzyczał Prendowski — niech jucha śpiewa, bo markotno... śmierć w oczy zagłada...

— Dysa wołać!...

Wszedł zaraz żołnierz stary, niewielkiego wzrostu, z włosami bielusińkimi jak śnieg i z białym przyszyżonym wąsikiem, ale czerstwy i czerwony jak ćwik.

— Stary! Śpiewaj!... — wołano.

— Tylko nie z tych nowych pieśni...

— Stare nam śpiewaj! co najstarsze!
— Według rozkazu... — rzekł wyprostowany Dys.

Usunął się zaraz pod ścianę, odkaszlnął i powlókł ręką po wąsach. Za chwilę wzniosł dłoń uroczyście, jakby dyrygował orkiestrą, i niespodziewanie zaczął śpiewać głosem tak szczerym, silnym i cudnym, że w całej kompanii nastąpiła grobowa cisza:

Ocknij się, Lechu, przerwij sen twardy,
Czuwa na twój kark bisurman hardy...
Czas przetrzeć źrenice, a toczyć krynice
 łez gorzkich!

W głosie tym brzmiała najszczerza prawda, tryskały krynice łez gorzkich.

Już pod armatą ziemia przykłęka,
Już Ukraina pod Turkiem stęka.
Już braniec spętany, już brzęka kajdany,
 A ty śpisz?

Cały tłum oficerów chórem, w uniesieniu, powtarzał ostatnie wyrazy. Prendowski napelił sobie kielich i dolewał do niego łez gorzkich.

Orle Sarmacki! Gdzie są pierony,
Gdzie są ogniste grady Bellony?
Gdzie dziarska ochota? Gdzie pradziadów cnota?
 Gdzie męstwo?

Jeszcze brzmiała ta pieśń, kiedy dał się słyszeć gwałtowny tętent, zgiełk i krzyki. Tłum żołnierzy rozstąpił się we drzwiach i do biesiadnej izby wwalilo się kilku olbrzymich lansjerów w czapach i pełnym uzbrojeniu, dźwigających kogoś na rękach. Wszyscy byli pokrwawieni, w potarganym odzieniu, z twarzami zdziczałymi i czarnymi od prochu.

— Kto to? — krzyczał Niezabitowski.

— Pana Stokowskiego niesiemy...

— Kapitan! — wołali oficerowie.

— Żyje?

— Zrąbany, ale tchnie.

— Na górę z nim, do pokoiku.

— Chirurga!

— Stokowskiego zdrowie!

Tuż za żołnierzami wkroczył do izby porucznik Mikułowski.

— Widzieliście go! — zawołał Szulc.

— Całość wyszedł?

— Bogu dziękować.

— Jakże to było? Gadajże, nie stój!

— Boisz się, żeby we mnie przypadkiem słowa nie pogniły jak w nieboszczyku Sanszo Pansy... Jeść mi się chce.

Siadł do stołu i przygarnął ku sobie pierwszy z brzeża półmisek.

— Gdzież to było?

Mikułowski ruchem pełnym niewinności przyjął z rąk kaprała kopiastrą paterę wieprzowego mięsiwa, popchnął kęsy kielichem Val de Peñas i rzekł między jednym haustem a drugim:

— A no, w Mora.

— Cóż to za Mora? — zapytał Cedro.

Mikułowski spojrzał na niego z ukosa i rzekł:

— To acan żyjesz? Mora to taki zamek jak w Chęcinach abo i więkwszy. Postawili nas tam ze Stokowskim na straconą pocztę. Straszy, do diabła, w tym zamczysku... Okopaliśmy się, odgrzebaliśmy fosy, co je podobno Maurowie z Andaluzji przeciw królom Kastylii w skale pokopali...

— Co ty bredzisz o Kastyliach? Gadaj o rzeczy!

— No, tak. Napadli na nas jeszcze wczoraj, o północy, ze wszystkich stron. Było tego bydła z tysiąc ludzi, a nas pięćdziesięciu, zamkniętych w starych basztach. Broniliśmy się strzelaniną, póki nam prochu starczyło. Potem kamieniami. Ale i oni rozebrali mur, wybili dziurę w baszcie narożnej i podpalili schody.

— Jakżeście wyszli?

— Czy ja wiem? Szliśmy przez ogień. Pałaszami... Stokowski, jucha, wojował! Bodaj to!

— Któż zginął? — po długim milczeniu, w czasie którego Mikułowski jadł zawzięcie, zapytano z tłumu.

— Czy ja wiem? Poginęli... Niejeden zleciał na łeb w ogień. Jak my dopadli koni, to się tam jeszcze kotłowało. No, ja się już najadł — jadę.

— My z tobą! — wrzasnęli oficerowie.

Cedro roztrzącił tłum biegnąc do swego konia. Gdy się znalazł na siodle przed domem, płonęły już smolne pochodnie, oficerom podprowadzano konie, w stajniach słychać było rżenie i wrzawę. Za chwilę trąbiono wsiadanego.

— Chłopcy! dziś nie dawać brygantom pardonu! — słychać było w ciemności głos Niezabitowskiego.

NAD BRZEGIEM RAWKI

Druga kompania pierwszego szwadronu ułanów pułku Dziewanowskiego wczesnym rankiem wyruszyła na patrol główny. Deszcz lał przez całą noc. Nade dniem dopiero ustał. Obwisłe chmury dźwigały się z równin mazowieckich, ukazując w oddali leśny widnokrąg.

Kompania miała rozkaz przebyć błota rzeczki Rawki poniżej trzech stawów w Michałowicach i od pierwszego skrzydła, z miejsca, gdzie stała ostatnia wedeta, wejść w lasy, w różnych kierunkach je przejrzeć i złączyć się ze swym szóstym pułkiem oraz z brygadą konnicy Biegańskiego. Stu siedemdziesięciu jeźdźców z kapitanem, porucznikiem i dwoma podporucznikami, żwawo oddalało się od warszawskiego traktu. Zrazu co kilkaszt kroków próbowali miejsca dobre do przebycia, ale wszędzie na próżno.

Po roztopie wiosennym i po deszczach nizina Rawki stała pod płytkim zalewiskiem, które podchodziło aż pod suche pola. Zaraz pod Puchalami zaczynały się torfowiska, w których koń od samego brzegu po tybinki zapadał. Jedyne miejsce twardsze, z mostem, pod ogrodami folwarku w Michałowicach, mieli rozkaz ominąć. Szli tedy dalej. Pomiędzy ich szlakiem a Pęciami stało bagno-głębia, bezgruncie paskudne, zawleczone wodą i szerokie blisko na wiorstę. Długie rudawiska ciągnęły się stamtąd aż po wieś Tworki i Pruszków. Ogromny park, drzewa dzikie, rozrosłe w las nad stawami Pęcic, ginęły jeszcze w śniadych tumanach. Kiedy niekiedy wynurzały się z nich wielkie zastępy drzew i kryły znowu w tajemnicze półmroki. Tylko aleje starych lip na piaszczystych wzniesieniach, prowadzące w stronę Komorowa, stały już w błękitnym przestworzu.

Już świeża trawka puszczała się wszędy, gdzie tylko grunt zetknął się z falami, a jasne pędy tataraku tryskały szeregami, od spodu, jak zarzewie ognia buchające z głębin ziemi.

Olchy po nadrzeczu, w błotach rozrosłe w kępy i laski, czarne były jeszcze, jakby wśród młodocianego świata schorzone i opuchłe, ale już i na nich żółtawe bazie tam i sam omgłiły wierzchołek. Rowami i głębią skib z szelestem i szemraniem waliła w nizinę wiosenka i świeżo spadła woda. Nad długimi szyjami i gardzielami torfowia, które warzyło się w ciepłe wstającego dnia i kurzyło od oparów, śmigały wciąż wesołe pokrzyki i radosne loty czajek.

Żołnierze z cicha naśladowali ich głosy rodzime, niektórzy tak wybornie, że kompania śmiała się jak jeden człowiek. Nawet marsowaty i straszny kapitan, Franciszek Katerla, szybko awansujący jako najlepszy jeździec w armii, nie mógł skryć pod bujnym wąsem uśmiechu. Srogo chrząkał i oglądał się jak zwierzę gotowy do skoku, lecz ludzie dobrze wiedzieli, że wiosenkę ma taką samą w sercu jako i wszyscy.

Podporucznik Rafał Olbromski wesoły był tego ranka. Koń pod nim zdrowiem parskał i niósł go miłościwie. Każde czajki zawołanie przypominało coś miłego, jakowąś dawną, a już, widziało się, na zawsze obcą i zapomnianą radość.

Na płaskich wyniesieniach gruntu, po prawej stronie Rawki, kret wyrył kilkadziesiąt świeżych, czarnych kretowisk.

— Będzie pogoda... — szeptali żołnierze.

— Ten saper nie będzie ci wywałł ziemi przed deszczami, dopiero jak wiosny pewny, cabas za łopatę i sypie.

— Takiego wziąć, zaraz by za kościołem, pod Opaczą, okop wywałł na sto łokci.

— Będzie ta i bez niego, nie bój się...

Ziemia już na tych przypiaskowych góreczkach pachniała ostrym, przenikliwym czadem wiosny. Jeszcze, prawda, pańskie role nietknięte szarzały daleko, w stronę Warszawy, a piaski po drugiej stronie rzeczki szczyrzyły się nagimi splechciami, ale już ozime żyta płonęły gdzieniegdzie zielenią.

Zbliżywszy się do wioski Regul żołnierze spotkali chłopów orzących swe niwy. Mokre skiby, świeżo odwrócone, lśniły jak wypolerowane żelazo. Chwilami powiew wiatru z południowej strony przyniósł odór nawozu, odór, co uderzał i natychmiast ginął w czystości powietrza.

Kompania wyszła na twardszy grunt i sadziła ugorami. Kopyta końskie zapadały się jeszcze po pęczyny i, wrywane z tężającej ziemi, pojękiwały do taktu. Pod wioską Pruszkowem przebyto w bród Utratę, piachami ruszono na południe w lasy komorowskie i helenowskie. Zaraz za rzeczką kapitan Katerla zatrzymał oddział i uformował go do patrolowania. Dwadzieścia pięć koni dał na awangardę z porucznikiem na czele. Z tych dziesięciu miało patrolować, a piętnastu iść w kupie o dwa tysiące kroków przed oddziałem głównym. Dwudziestu jeźdźców z pierwszym podporucznikiem zostawił w ariergardzie o dwa tysiące kroków za oddziałem głównym. W takim tedy porządku wszedł w lasy.

Suche, na pół liściaste bory ciche były i nieme.

Podszewka leśna — grabina, dębczaki, kuszcze leszczynowe — ledwie-ledwie dawała znak życia. Zeschły i truchlejący liść pod końskimi kopytami szeleścił...

Wąską dróżką od Nowej Wsi, w stronę Nadarzyn, przeciskała się straż przednia. Oddział środkowy szedł kupą, mając po boku wachmistrza starszego, czterech wachmistrzów, furiera, kapralów i trębaczów. Szeregowi ciągnęli równo lasem. Milczeli głucho i dawali baczenie.

Słońce już wyszło i nagi las tak jakby przeciągał się i dźwigał ze snu. Tu i owdzie otwierało się pole jak zatoka werznięta w las, i oko biegło w pustą, milową, mazowiecką równinę. W jednej z takich ostoi bydliła samotna wioska. Kilkanaście bielonych chałup pod słomianymi strzechami. Siedliska mieściły się po obudwu stronach piaszczystej drogi. Nad strzechami górowały nagie lipy i rosochate wierzby. Pustka i cisza... Na szczycie najwyższego z drzew bociek klekotał. Pierwszego spotkanego chłopca, tak jak stał, wzięto między konie i kazano prowadzić oddział najbliższą drogą pod Nadarzyn. Kupa dzieci w koszulinach wybiegła patrząc na jasne wojsko i szła za nim długo, długo z wlepionymi oczyma. Psy szczekały bez końca, gdy już oddział dawno w lesie utonął.

Rafał wywiódł konia z koleiny i puścił go lasem na skraju szeregu żołnierzy. Słuchał z lubością, jak podkowy końskie rozmiatają brunatne, zgorzałe zwłoki zeszłorocznych liści bukowych i łamią zeschłe gałązki. Myśli biegnęły w dal, podobne do spojrzenia przebijającego gęsty las.

Niby na jawie, niby trzeźwymi oczyma ujrzął ojca... Nigdy prawie o nim nie myślał, ani razu chyba w życiu nie wspominał go sobie z tęsknotą. Skądże teraz?... Idzie staruszek zgarbiony, jakoby pleśnią żółtawą obrosły, kijkiem przed sobą ścieżynę maca. Czapczyisko na nim, bekiesza, buty wytarte, jak zawsze. Stary sknera, Olbromski z Tarnin. Cóż za dziwny, coś za cudaczny, niezgruntowany żal!

Ach, bił go ten ojciec zawsze, od najpierwszego dzieciństwa, znieważał zawsze, nękał, dokuczał, poniewierał, zdradzał. Z domu, spod dachu, na deszcz i slotę wygnał. A brata, brata! Na wieki wypędził z dziedziny... Na wieki, na wieki wieków... Serce mu nie zabiło, nie drgnęło, gdy się brat terał po świecie, w marszach, po leżach, w obozowiskach. Nie przeczuło, gdy zestrzelany kulami na polu leżał półumarły, nie pękło z żalu, gdy umarł niezjednany, bez uścisku. Gnije teraz daleko, daleko...

Skądże to ten dziwny, niezgruntowany żal?

Zda mu się, że to nie on myśli o ojcu, lecz że sam jest starcem zgrzybiałym z Tarnin, że wszystkie myśli tamtego, najgłębsze korzenie myśli, najcięższe nitki wiedzy, uczuwań

Ojciec, Syn, Gniew,
Rozstanie, Rodzina

ma w sobie. Czuje, jak drżą, jak się roją i cierpią. To nie jemu żal, och, nie! To starca nęka ów ciemny, niepowrotny, niezgłębiony ruch czucia.

Wiosna nowa nadeszła, nowy jar trącił i ze snu obudził każdą grudkę ziemi, ciepły wiatr powiał zza Wisły na sandomierską równinę. Wszędy, jak oczy daleko zasięgną, życie się rodzi. Tyle już lat to samo życie się rodzi... Tylko już Piotr nie wróci.

Już go nie ma. Stał się oto skibą gliny, kopką nawozu, szczyptą popiołu. Kość ta już jedna z niego nie została. Żeby choć to wiedzieć, ile z niego jeszcze tego próchna ocalało! żeby to choć ręką pomacać! Gdyby był leżał na cmentarzu, co go w polu widać, poszedłby teraz ku niemu, jak nikt nie widzi, i gadałby mu w mogiłę ojcowską swoją wolę i rozkaz. A tak... Jakaż to straszna rzecz przeżyć dziecko! Serce starca kurczy się, zwija i ściska w sobie, ale już ani jednej łzy wydać nie może.

Powiódł oczyma po polach. Naokół... Przystanął. Patrzy w dal. Nie ma i drugiego. Któż wie, czy i ten wróci? Kiedyż wróci? Zimne i twarde myśli odtrącają te trwogi. Wiatr wiosenny osuszył samotną kroplę na obwisłej dolnej powiece. Twarda wola weгнаła w kluby wzruszenie. Idzie znów starzec szybko, szybko kijkiem swym się podpira. Zaczyna ważyć w głowie pospolite, codzienne, folwarczne myśli. Co będzie siał na tej niwie? co na tamtej? czy jeszcze zawlec tę podorywkę? czy orać tamte uwrocia?

I oto znowu wypelza z niepostrzeżonej szczelinki dawna wola, zawzięta na śmierć i rozcinająca na dwoje, jakoby płytka, damasceńska stal. Nie, nie daruje, nigdy nie przebaczy! Niech ginie! niech przepada! Choćby jak kundel wygnany przyszedł i przyszwyc buta lizał, nie pogłaszcze go ręką. Szpadkę z pochwy na ojca dobywać? Cha cha!... Niechże na wieki przepada, kiedy tak!

Skiby ziemi sztorcem się nasuwają przed ogniste, czerwone oczy. Zgadnij, w którą też zmienił się teraz... Zgaduj, zgadula...

Coś w Rafale rozciąga stawy duszy i głęboki ból, zakłęty ból leżący między ojcem a synem, ból, któremu równego na świecie nie ma, wykrzywił mu twarz. Żal mu tego starca, cierpi za niego i w nim, a żal ów rżnie się wśród poczucia krzywdy, zniewagi, wskroś wstrętu i gniewu.

Zdumionym okiem powiódł dokoła.

Słońce jaśniało. Złotobiałe połyski szły w zabłąkaniu po lesie. Spoczęły na brzożach nagich i żałośnie uroczych, jakoby przesłiczne niewiasty zhańbione i obdarte z szat przez brutalną moc... Spoczęły, zmierzchły, odleciały. Weszły między zielone gaje sosen i pod zgniłymi liśćmi, pod uschłymi igłami szukały pracowicie, zdyszanych od trudu, kłów ziół wiosennych.

Wtem przed oczyma zamglonymi dumaniem błękit szeroki zajaśniał. Otworło się pole idące milami w południową stronę. Daleko w piaskach szarzały stodoły Nadarzyna i połyskiwał duży, miedziany dach kościoła oraz niewysoka jego wieżyczka.

Rafał obojętnie patrzył w piaszczyste ugory śledząc ledwie widoczne koleiny suchej już drogi, gdy raptem usłyszał chrapliwy, przyduszony głos kapitana:

— Stój!

Konie na ten głos, nim ręka jeźdźców przykróciła cugli, stanęły jak wryte. Złotogniade pokryły się ciemnymi łatami. Dymiały parą wszystkie. Na niektórych piana się już zamydliła.

— Bacność — do zsiadania!

Olbromski z zadowoleniem cielesnym przerzucił cugle na prawą stronę, okręcił grzywę około palców lewej ręki i z lekka wysunął prawą stopę ze strzemienia. Wsparłszy lewą rękę na kuli marzył jeszcze:

— U nas się tam już zazieleniły niwy. Rankiem po parowach mgły buzują...

— Z koni! — wyrzucił kapitan.

Sam, jako niedościgły wzór, przeniósł genialnie prawą nogę, palcami w dół, ostrogą do góry, przez swego cudnego wałacha.

Jak jeden człowiek stanęła kompania na ziemi w pozyturze aż do komendy:

— W miejscu — spocznij.

Rafał zostawił swego tresowanego Bratka samopas, z zarzuconymi na siodło wodzami, i wyszedł z szeregu, żeby rozprostować kolana. Ale kapitan nie dla samego wypoczynku tu stanął. Przeszedł przed awangardą mamrocząc do siebie niezupełnie salonowe wyrazy,

wybrał jednego z żołnierzy, Mazura jak świeca, i skinął nań, żeby wyszedł. Wybrał drugiego i skinął znowu. Kazał im odpiąć pałasze, złożyć na ziemi lance, zdjąć czapki i włożyć ostrożnie na najwyższe dwie sosny stojące na skraju leśnym.

Obaj poskoczyli i jak wiewiórki, idąc według rozkazu z północnej strony pniów do sęka do sęka, dostali się na wierzchołki.

— Co widać? — pytał kapitan z cicha.

Milczeli.

— Patrz jeden z drugim, gawronie! Wielki gościniec widzisz, jak z lasu idzie do Nadarzyna?

— Widać, panie kapitanie!

— Za Nadarzynem trakt widać jeszcze, czy nie?

— Widać, panie kapitanie.

— Pola wszystkie oglądaj, dokoła... Patrzysz?

— Patrzę, panie kapitanie.

— Puste?

— Pu...

Nagle obadwaj żołnierze jak na komendę zaczęli zsuwać się z drzew dzwoniąc ostrogami, śpiesznie odczepiając z sęków akselbanty.

— Czego? — zgrzytnął na nich kapitan.

Obadwaj skoczyli na ziemię z wysoka. Biegli do koni chwytając swe czapki i lance z szeptem:

— Konnica, konnica!

Kapitan rzucił się w kierunku, który wskazywali. Nic z początku nie dojrzał. Pola porznięte były kępami brzoźowych i sosnowych gajów. Od strony wielkiego lasu zwanego Dębakiem, przez środek pól szedł miarowy, chrzęstliwy, dzwonny pogłos. Serce Rafałowe zabiło gwałtownie i z wolna się uciszało.

— Duch-duch, duch-duch...

Płynęły rozpierzchłe myśli:

— Sarny z Łysicy idą, czy co?

— Bacność — do wsiadania! — zakomenderował kapitan cicho, sekretnie.

— Na koń!

Rafał bezwiednie, z oczyma utkwionymi w dal, przeniósł nogę przez grzbiet koński, wsunął stopę w strzemię do kostki wielkiego palca, rzucił końce cugłów na lewą stronę. Poprawił się w siedzeniu, zmocował w sobie, wrósł w siodło i stanął jak wryty.

Bratek pochrapywał nozdrzami i strzygł uszyna.

Daleka muzyka kopyt końskich po mokrej, miękkiej ziemi głucho, głucho przepływała polami. Oczy oficerów, wachmistrzów, kapralów, trębaczów, żołnierzy, jak cięciwa do ostatniego krańca naciągnięta, wyteżyły się w tę stronę, skąd szedł daleki takt. I oto w odległości co najmniej wiorsty, zza lasku, z wolna, płynnie, powabnie grając w słońcu kolorami wysunął się hufiec cesarskich huzarów. Kapitan stał na swym koniu zupełnie skamieniały. Twarz jego była jak gdyby z marmuru wykuta. Wszystek był w oczach.

Patrol austriacki szedł w stronę nadarzyńskiego traktu, wracając widocznie z rekonesansu. Ukośnie miał przeciąć pole przed frontem polskiego oddziału. Gdy cały wyszedł na plac i widać było całą jego siłę, daleko od polskiej znaczniejszą, z ust kapitana padła jak strzał komenda:

— Lance do ataku!

Prędszej, niż słowo rzec, prawe ręce zsunęły się po drzewcach kopij aż do miejsca, którego mogły dosięgnąć bez pochylenia korpusu ciała. Tam je chwyciły sękaty garście mazurskie. Tylca lanc wyjęli z rzemiennych u strzemięcia tulejek. Pierwszy szereg schylił lance grotem w piersi wroga, drzewca na pół łokcia od końca wziął pod pachę, przycisnął do żeber. Drugi szereg ujął drzewca — i czekał.

Kapitan się zasiadł mocno, rękę położył na głównej pałasza. Toż oficerowie. Wielki dech w piersi...

Świsnęły oficerskie szable, wyrwane z pochew jak jedna.

— Przykróć cugle!

Powiódł po ludziach okiem żelaznym.

— Naprzód!

— Marsz, marsz!

Ostrogi worały się w boki końskie. Hufiec drgnął i wypadł spomiędzy drzew. Zrazu szedł nierównymi skokami, jak gdyby szukał swego taktu, wspólnego dla wszystkiej siły. W jednym momencie go schwycił. Wtedy ludzie i konie stali się jak masa jednolita, jak zlepienie w bryłę olbrzymią, jak skała oderwana z czuba łańcucha gór i lecąca w doły przepaści. Żołnierze pierwszego cugu schylali się ku szyjom końskim w miarę wzrastania przecwału. Zafurczały chorągiewki. Bryły miękkiej roli, frygnięte końskimi kopyty, grały w powietrzu.

— Nacieraj.

Rafał czuł wściekłą rozkosz w tym wichrowym pędzie.

W zmrużonych oczach miał błękitną i błyszczącą smugę. Usłyszawszy ostatni krzyk kapitana rozwarł oczy. Był o jakie osiemdziesiąt kroków od linii nieprzyjaciół.

W półszwadronie kajzerhuzarów, jednym z sześciu w przedniej straży generała feldmarszałka von Schauroth idących, od dawna spostrzeżono podjazd. Sformowany patrol leciał na spotkanie co koń skoczy. Oficerowie gnali z krzykiem na skrzydłach jeźdźców, wyciągniętymi szablami dając kierunek napaści. Gdy pierwsze dwa szeregi polskiej kompanii naciśnięte zostały przez następne tak, że lby końskie wrzynały się między jeźdźców, a piersi rumaków napały w galopie na kłęby i wciskały się między uda koni pierwszszeregowych, szyk huzarski, lecący pod kątem, stracił się z polskim. Ułani werżnęli się w półszwadron jak pocisk. Na wsze strony rozpierzchł się pierwszy zbity cug. Kilkunastu zepchniętych z kulbak lancami wrzeszczało wśród kopyt końskich.

Ale drugie i trzecie linie natarły w mig z żelazną siłą i rąbały się szablą, z konia. Podporucznik Olbromski wciesał się w ten zwarty, żołnierski tłum. Miał szablę i wśród świstu szabel poczał w nie siec z furią i rozkoszą. Oczy w koło niego przywarte, brwi zwiedzione, nozdrza dyszą. Białe zęby połyskują. Świszcze i praska brzeszczot w brzeszczot. Strzały się rozlegają i dziki wokoło wrzask.

Przemógłszy skutki pierwszej, lancami, napaści, siła huzarska rzuciła się teraz wszystka z szablami. Rafał czuł to doskonale, jak roztrącone przed chwilą skrzydła Austriaków wciąż się zestępują i łączą, jak stary, ćwiczony i zwinny żołnierz palatyński dosięga nowozaciężnego ułana kordem na brusie toczonym i ścina go z wprawą i zemstą. Toteż ujrawszy przed sobą miejsce i starego rębacza w boju, rzucił się na niego co ducha. Ciął stojąc w strzemionach raz i drugi z błyskawiczną prędkością. Żołnierz ów odparował ciosy i pozornie umknął. Drugi najechał na jego miejsce jak sobowtór tamtego. Zwarli się końmi pierś w pierś, wrąbali w siebie nawzajem, aż stal z trzaskiem zgrzytała. Rafał pochwycił moment, wparł stopy w strzemię, stanął i płątnął na amen. Nagle tamten drugi, pozornie dezzerujący, zdarłszy konia wędzidłem tak wysoko, że z rozwartym pyskiem stanął dęba i rzucił się naprzód — z impetem runął w junaka.

— Wawrzek! A bijże! A bijże tę psiokrew! — wrzasnął gdzieś z boku skrzydłowy wachmistrz.

Rafał czuł się na siłach i odwalił wszystkie cięcia z pewnością siebie. Pałasz jego miotał się błyskawicą, strzelał wokoło i krzesał ogień. W pewnej chwili zgiął się na bok pod strasznym ciężarem.

— Przetrać mi ramię... — tyle zdążył pomyśleć.

Pałasz wylatywał mu z garści, spomiędzy zmarzłych palców... Chwycił go jeszcze raz z całej mocy, z całej siły, z całej duszy i wzniosł zdretniałą i ciężką rękę, ale nie mógł już zadać ciosu. Mrówki, mrowisko w dłoni, w łokciu, w ramieniu.

Huzar odsadził się na siodle i pchnął go wtedy sztychem w piersi. Ostrze zaorało po kości i ognistym jęzorem wżarło się w bok. Jeździec austriacki szarpnął się w tył i zleciał z siodła na bok, zajęchany szabliskiem przez skrzydłowego wachmistrza. Za chwilę siedział w kukki na zagonie, obiema rękami trzymając rozwaloną szczękę. Straszne jego, siwe oczy patrzyły w próżnię, z gardła wydobywał się bydlęcy ryk. Olbromski sekretnym ruchem wyciągnął z olstrów pistolet i strzelił mu w łeb z góry, prosto w te obłąkane ślepie. Uczyniwszy to rzucił okiem na swe spodnie i ze zdumieniem i złością zobaczył, że lewa noga, kolano, but aż do stopy zalane są krwią.

— Któż to, u stu diabłów, tak mię spaprał? — myślał jak przez sen.

Spostrzegł, że pole całe żółknie i że płomyki zielonawe wypadają z niego rzędami. Puścił wodze i lewą ręką zaczął przecierać sobie oczy.

Z krzykiem i tętentem, robiąc lancami, strzelając i tnąc się w szable, otoczyła go kupa bezładna ułanów i zagarnęła w środek. Słyszał w tym tłumie nieustający krzyk kapitana, porucznika i kolegi podporucznika: — Stój! równaj się! Jak oszalały wywrzaskiwał to samo wachmistrz starszy. Cofali się ku lasowi odpychając ze wszech sił nacisk huzarski. Pojedynczo jeźdźcy ganiali się jeszcze tam i sam, w polu. Patrol, który wreszcie zaczął *raliować* się pod lasem, uprowadzał ze sobą kilkunastu wziętych w niewolę.

Rafał nie rozumiał teraz dokładnie tego, co się dzieje. Było mu nieprzyjemnie, mdło i głupio. Dał się jak tchórz porąbać... Gdy wrzawa bitwy, szczęk szabel i okrzyki ucichać zaczęły, rozproszeni ułani dopadali co chwila w skok do tego miejsca. Byli zgrzani, na obłąkanych i spienionych koniach. Ten i ów prowadził rumaka węgierskiego, ten i ów włócił rannego czy potłuczonego huzara. Spostrzeżono wreszcie, że podporucznik Olbromski jest coś zanadto krwią obłany.

Bronił się i udawał zucha. Ale ściągnięto go z konia. Gdy mu starszy wachmistrz na rozkaz kapitana odpiął rozwalony mundur, krew bujną falą broczyć zaczęła z zana-drza. Bielizna była we krwi, mundur przemókł nią do cna. Położono wojaka na ziemi, ściągnięto garderobę i opatrzono ranę naprędce. Była w piersi i w boku. Szła z dołu pod pachę. Sam kapitan zaczął ją wymacywać szorstkimi palcami, szukając kuli. Gdy go ranny zapewnił, że to rana nie z postrzału, przemyto rozdarciem gorzałką i zawiązano szmatami. Obandażowany tak mocno, jakby był wtłoczony w gorset, podsadzony na koń, zasiadł w kulbace nikięj w krzesle. Kompania mając pośrodku swych rannych i jeńców z wolna posuwała się brzegiem komorowskich lasów w stronę traktu. W dali, pod Nadarzynem, tłumnie pieniały się wojska austriackie. Konnica wysuwała się naprzód. Dolatywał daleki gwar i spiżowy dźwięk.

Szmat jeszcze drogi zostawał do gościńca, kiedy w kierunku lasu wysunęła się równa, szeroka linia kawalerii austriackiej i ostrym a wzmagającym się klusem szła wzdłuż drogi. Ujrzawszy ten ruch kapitan wciągnął swoją kompanijkę w lasy, a sam z oficerami przypatrywał się z otwartego miejsca.

Koń Rafała stał w płytkiej wodzie leśnej i niecierpliwie kopytem rozpryskiwał ją w koło. Oczy jeźdźca z przelotnym smutkiem taczały się po wybrzeżach wiosennego smugowia. Dusza wspominała sobie wiosenny swój sen: drogę do Wygnanki. Tak żywe było widzenie tamtejszej chwili, tak oczywisty był przed okiem tamten kraj, że teraźniejszość prawie znikła. Jak przeszkoda w uczuwaniu swych własnych rzeczy nastęrczały się okrzyki żołnierzy i mimowiedny, wbrew zakazowi, szczęk szabel, ostróg, lanc, uprzęży. Tłum drgnął i podał się ku leśnemu wybrzeżu.

I Rafał podniósł oczy.

Na spotkanie huzarów od dawna wypadł był z lasu drugi pułk ułanów, pod komendą Tadeusza Tyszkiewicza. Po deszczach nie było w powietrzu jednej drobinki pyłu, toteż cały ów pułk widać było jak na dłoni. Zrazu szedł równo, sporą ryścią. Ale oto w oczach poczał się zrastać, skupiać, jakby się w siebie wciągał. Konie zwały się z końmi, ludzie z ludźmi. Barwa jeno została, lecąca w polu. Oto poszli co pary w koniach...

Kapitan Katerla nie wytrzymał. Zdarł konia, nawrócił nim w miejscu i stanąwszy przed swym oddziałkiem prędkie wydał rozkazy. Starszy wachmistrz z trzema dziesiątkami szeregowych poprowadzi jeńców i rannych w poprzek lasu, wprost do placówek pod Sękocinem i do kwatery głównej. Reszta w pole.

W moment wydzielono konwój, a zmniejszony półszwadron wyszedł z lasu. Uszykował się na roli i z kopyta poleciał w bój. Te sto kilkanaście koni, lecąc z ukosa do drogi, wsparły znakomicie szarżę główną i przyczyniły się do złamania austriackiego szeregu oraz uprowadzenia dwu setek niewolnika. Rafał już tego sukcesu nie widział. Otoczony przez swych żołnierzy jechał leśną drogą. Ułani szeptali, z nadzwyczajną ciekawością przypatrując się jeńcom, oglądając i taksując pojmane konie i zdobycz. Starszy wachmistrz śmiał się pod wąsem, ale wobec Rafała nie ważył ust otworzyć. Wreszcie, licząc oczywiście na niemoc podporucznika, nie wytrzymał i zagadał do najbliższego Niemca:

— A nie masz znowu czego tak *hergotać*, bo cię tu na różnie nie pieką. Szable toście sobie potoczyli na brusach, żeby nas ścinać bez miłosierdzia, psubraty.

Huzar podniósł na niego oczy przekrwione i pokazał swą rozplataną głowę. W istocie, skorupa krwi zwiększała się ciągle na skudłanych włosach.

— A to tak gadaj! — rzekł wachmistrz. — Boli cię?

Żołnierz coś wymamrotał po węgiersku czy po rumuńsku.

Rafał domyślał się, o co chodzi żołnierzowi, ale milczał. Widok krwi tego chłopca budził w nim zimny, niezłomny gniew. Żeby się odczepić od błagalnych spojrzeń, rzekł oschle:

— Wachmistrz, zawiązać mu ranę i wziąć go w tył, żeby mi na oczy nie laźł.

— Według rozkazu!

Zsiadł wachmistrz z konia i zwrócił się do huzara:

— Masz jaką chustkę? Hy?

Ranny wzruszeniem ramion pokazał, że nie rozumie.

— Nawet gadać żadną gwarą nie umiesz, kapcanie! *Gibnij* chustkę, to ci łeb zdrutuję, *fersztanden*? *Odgibam* ci tę szmatę, nie bój się, jak łeb naprawię.

Żołnierz powtórnie wskazywał, jako nie wie, czego chcą od niego. Wtedy jeden z ułanów wydobyl z mantelzaka czystą szmatę i uroczyście podał ją wachmistrzowi. Ten wpędce, nie zatrzymując pochodu, obmył wódką i zawiązał głowę Austriaka. Gwarzył mu wciąż w oczy:

— Szable sobie wyostrzyli jak brzytwy! A ja ci i bez toczenia na brusie łeb od zamachu zetnę, wiesz ty o tym? Jak cię ułan w pazury weźmie, mów pacierz, i to prędki! Tylko że ty i o pacierzu pierwszy raz pewno słyszysz, niemiecki sługo. O, juchy! Na Polaków idzicie, psubraty jedne? Cóż wam to zawinili? Skrzywdzili was kiedy? Diabli cię wiedzą, coś za jeden, a możeś i Węgier... Ja zaś ci powiem, żeś wcale nie Węgier, tylko węgrowata świnią, kiedy na nas z Niemcami sypiesz! Żeby tak nie był miętkiego serca, tobym cię wziął i tu na tym miejscu dorznął. Wiesz teraz?

Szli ostro, z ciekawością, z przyjaźnią i pewnym specjalnym uszanowaniem obserwując swych jeńców. Rafał nie czuł się dobrze. Było mu wciąż głupio i mdło. Nieprzyjemna senność ogarniała go, jak po bezmyślnej pijatyce. Głowę miał ciężką, a w rękach i nogach ogień.

Było już nieco po południu, kiedy wyszli z lasu i skierowali się na Sękocin. Trafili w wir wojska. Zza piaszczystych wzgórków około Lesznowoli i Łazów pokazywały się w lot i ginęły z oczu przednie strażę brygady generała Spatha. Okrążając las przebiegały nawet Mokrawolę. Brygada generała Roźnieckiego z czterema działami stała nieruchomo pod Janczewicami, przy karczmie zwanej Wygoda, na drodze z Falent do Lesznowoli. Lasy falenckie jęczały jak rozkołysany dzwon od huku bitwy, od strzałów ręcznej broni i okrzyków Tyszkiewiczowskiej jazdy. Cały trakt warszawski przed Falentami zajęty był przez najrozmaitsze rodzaje broni. Szedł tamtędy w kolumnach, brnąc w tęgim błocie po kolana, trzeci pułk fizylierów w kierunku Michałowic, inne wracały spod Komorowa czy Pęcic do Puchał. Latali do jazdy Roźnieckiego zbryzgani po czuby kit adiutanci. Co koń skoczy przeleciał jakiś podoficer w kierunku Jaworowa. Wszystkie wojska ustępowały przed idącym powoli konwojem. Całe bataliony spędzano w rowy z gościńca. Oficerowie, nawet wyższej rangi, salutowali.

Pierwszy to raz w życiu Rafał uczył, co jest sława. Dreszcz uniesienia nieznanego mu dotąd przeszedł po nim jak lew po puszczy. Oczy zaćmiły się od szczęścia i dumy. Dałby się w sztuki porąbać, żywcem spalić, włóczyć końmi za ów tryumf, jakiego doznał na dwuwiorstowej przestrzeni między Sękocinem a Falentami. Sama wioska Falenty wolna była zupełnie od wojska. Las olszowy za nią i okolica zrujnowanego pałacu, grobla i droga prowadząca do Raszyna — również. Dopiero około kościoła w Raszynie, w domach jego z prawej strony gościńca, a osobliwie za kościołem, gdzie kilkuset chłopów sypało szaniec, było tak pełno, że ledwie się zdołali przecisnąć. Ustępowano i tu, ile można. Piechota wyciągała szyje, żeby zobaczyć niewolnika, jazda podsuwała się, oficerowie zachodzili drogę.

Wszyscy biegli w nadziei, że zobaczą pieszych pandurów z zaplatanymi warkoczycami koło uszu. Wszystko tu było w ruchu. Nie wiadano, czy mała armia wyruszy dalej, na spotkanie nieprzyjaciela, czy zostanie w tym miejscu. Nikt nie umiał powiedzieć, gdzie umieścić rannych. W samym Raszynie miejsca nie starczyło, o Falentach nie mogło być mowy.

Nawinął się wreszcie chirurg i wziął Rafała w obroty. Jako pierwszym z oficerów rannym w tej okazji, zajął się w szczególny sposób. Wywiózł go o dwie wiorsty za Raszyn, w kierunku Warszawy, do Opaczy.

Wachmistrz tymczasem zabrał jeńców i powiódł do komendy swego pułku, żeby zdać raport generałowi, wręczyć mu raport i usłyszeć rozkazy.

Olbromski był znużony, widocznie wskutek dużej utraty krwi. Obojętnie spoglądał na dwór w Opaczy, który mu chirurg wskazywał, i obojętnie słuchał zapewnień, że tu będzie mu stokroć lepiej niż w szpitalu przewoźnym, założonym w oberży rasyńskiej. Dwór w Opaczy stał w niewielkim, pustym ogrodzie. Od strony drogi warszawskiej i pola otoczony był parkanem. Rafał zapamiętał sobie ten na pół rozwalony parkan, który tu i ówdzie spróchniał i runął. Zarazem łączkę... Było mu lepiej i weselej na widok bielonego dworu. Coś jakby rodzinne gniazdo stanęło przed oczyma. Muślinowe firanki wisiały w oknach „na drugiej stronie”, gdzie zapewne musiała być rzadko otwierana bawialnia. Z podwórza wychylał się gołębnik. Widać było w głębi gumno, obdarte zabudowania i kupy nawozu, świeżo wyrzuconego i dymiącego jak jałowcowe ognisko. Wejście do domu stało zamknięte.

Na błotnistym gościńcu ciągnęły się linie bagażów i kotłowały wozy amunicyjne. Chirurg zszedł swego pacjenta z konia, pobiegł w podwórze i hukał tam, kogoś szukając. Rafał przez ten czas siedział na ganku i dumał. Polami przeciągały kolumny wojska. Daleko pod Jaworowem, w stronie Piaseczna, rysowały się we mgle wiosennej ruchome linie batalionów idących pod komendą Jana Kamieńskiego.

Nareszcie klucz zgrzytnął w zamku i ranny wprowadzony został do sieni. Chirurg z wrzaskiem wymyślał na jakiegoś czelczyńcę, ekonoma czy podstarościego, który spode łba, z odrazą przypatrywał się Rafałowi wciąż pomlaskując wargami. Gdy mu kazano otwierać drzwi do najlepszego pokoju „na drugiej stronie”, ociągał się dopóty, aż go chirurg porwał za kołnierz.

W saloniku dziwnie pustym, jakby z niego dopiero co wywieziono sprzęty, było powietrze mocno stęchłe. Za pierwszym pokojem stała otworem stancyjka wygodniej urządzona. Znalazło się tam łóżko z pościelą zupełnie czystą, z atlasową koldrą, miękkimi piernatami i stosem haftowanych poduszek.

— O, to właśnie! Tego nam brakowało! — ucieszył się lekarz. — Tu podporucznikowi będzie lepiej...

— Ja tu nikogo nie puszcze! — zgrzytnął ów burgrabia.

— Nie puścisz wasan?

— Nie puszcze. To jest łóżko samej pani dziedziczki. — Mam rozkaz *strictissime* zaraz to łóżko wywieźć.

— To ja *strictissime* kasuję tamten rozkaz.

— Ehe...

— Rwij mi acan po gorącą wodę na dużej, czystej misce. Żeby mi za dwa pacierze była w tym miejscu! — wypalił dobroczyńca Rafała, chwytając tamtego za ramię po raz wtóry i otwierając nim drzwi na oścież.

Z sieni dał się słyszeć głos bynajmniej nie pokorny:

— Ja idę, ale wy, młokosy, popamiętacie!

— Konia odwiąż od płota! Zaprowadź go do stajni! Owsa mu daj pełny żłób! Słyszałeś?

— A jakże, słyszałem... — mruknął tamten w kącie sieni.

Wkrótce Rafał został opatrzony przez chirurga. Nacierpiał się niemało przy sondowaniu i myciu rany, ale się pocieszył, gdy go lekarz zapewnił, że ostrze huzarskiej broni niezbyt wiele przecięło więzów. Ześliznęło się jakoby po kościach i naszarpało tylko niemało mięsa na boku i pod pachą. Obandażowany i spokojny ułan legł w puchę. Chirurg nakazał spokój i przy pożegnaniu obiecał odwiedziny swe nazajutrz rano.

Dzień z wolna rozproszył się i w nocy utonął. Nikt nie przyszedł, żeby zapalić światło. Rafał nie miał o to pretensji: prawdziwie wypoczywał w zacisznej alkwie.

Było mu dobrze nad wszelki wyraz. Myśli przyjemne i wesołe schodziły się do niego i bawiły u węzłowia, niby goście pożądani, niby kształty ulubione i najprzyjemniejsze, niby zapachy znajomych kwiatów z dawnych lat, z rodzonych okolic. Najtrudniejszych spraw swego życia, najbardziej przykrych wypadków pierwszy raz od tylu czasów zażądał wolą ku sobie i oglądał je wszystkie w promieniach radosnego spokoju ducha. Ośmielił

się wejść bez trwogi w Tatry, przebyć znane drogi, z uśmiechem półlitości a półdrwiny kroczyć na skalne zręby. Zajrzał w przeźroczyste, błękitne i litworowe jeziora. Usłyszał z lubością szum potoku napełniający doliny aż do szczytu zbójceckich okien krzesanicy. Ogarnął go łagodny śmiech i pobrażliwa litość nad wszystkim. Nawet dźwięk tamtego imienia nie przerażał już duszy. Melodyjne sylaby, nie, raczej krople cichych łez, jedna złączona z drugą, z trzecią... Patrzą z ciemności tej izby modre źrenice... Ale nic już nie ujrzą, nic a nic.

— Co mnie i tobie, niewiasto? — pyta się jej z dobrotliwą mądrością życie. — Tyś już jest popiół, nie tylko jako ciało i krew, nie tylko jako piękność, nie tylko jako wspomnienie żywe piękności, ale popiół jako uczucie, a jam jest młodość, siła i żądza. Nic nie trwa wiecznie. Ostatni jeszcze przyjdzie wiatr i ostatnią garstkę popiołu uczuć w nicłość rozwieje.

Odsunął się od tych myśli jak od znajomych, którymi się już nacieszył do woli. Przeszedł do innych. Ach, to on, mistrz de With! Ujrzał wyraźnie wielką figurę, korpus, głowę, oczy... Wspomnił sobie wkroczenie do Gdańska i ów blokhaus niezdobyty... Wspomnił wywalone podkopami mury, wyrwane okienka i wejście, a wreszcie ostatnią w ruinach walkę.

— „Major de With, pruski oficer piechoty”... — czyta z listy oficer, kiedy rannych z fortu wynoszą. Rafał widzi jeszcze twarz bladą, masę krwi w skudłanych, krętych włosach, przygasłe oczy. Oczy te patrzą weń, gdy rannego dowódcę blokhausu niosą na tragałach. Patrzą weń uważnie, patrzą z dołu do góry. Spokojne, zimne, męzne oczy!

Ale oto skrzywienie odrazy maluje się w ustach i wielka głowa z niechęcią odwraca się na widok „brata”. Przemykają się powieki, żeby nie widzieć twarzy „ucznia”.

Mrok tej alkowy w Opaczy szeptać się zdaje: Ciebie to poznał wtedy...

Zraniona dusza szarpie się w piersi Rafała. Buchają niczym niezatamowane wyrzuty.

— Nie, nie, o tym jeszcze z uśmiechem marzyć nie sposób — marzy ranny odsuwając od siebie widok trupa mistrza katedry, taki, jak go ujrzał w kostnicy nazajutrz po wzięciu Gdańska. Pali go teraz spokój tego trupa, urąga mu nieruchoma głowa i dumnie zaciśnięte usta...

Zbudził go z tych marzeń niezwykły hałas.

Ktoś chodził po sieni ze światłem, głośno kłął, gadał, wreszcie wkroczył do sąsiedniej izby. Tu obejrzał z fukaniem wszystkie sprzęty, szturchał je i rzucał z miejsca na miejsce. Zbliżył się wielkim krokiem do łóżka. Rafał z wściekłością patrzył na tego natręta i miał właśnie zamiar wygnać go stąd, gdy oto spostrzegł jego odzienie i zamilkł. Ów oficer miał na sobie krótki, granatowy fraczek ułański z generalskim na rabatach haftem, długie, amarantowe spodnie. Zdjął był rogatą czapkę z wysokim, czarnym piórem, suto galonowaną i trzymał ją w ręce. Wznosząc wysoko łojową świeczkę w blaszanym lichtarzu schylił się sapiąc nad pierzynami.

— Diabli cię tu przynieśli... — mruknął przez zęby.

Była to twarz długa, wygolona, o kolorze zrudziałego piaskowca. Zimne jak lód, wypukłe oczy, obwieszone torbami powiek, patrzyły z pogardą i rozumem. Zaciśnięte usta, wąskie i surowe, zdało się, przemocą zatrzymują za zębami wyrazy znieważające. Ranny widział był już nieraz tę głowę z nosem grubym i długim, porzniętą fałdami idącymi wzdłuż twarzy, ale teraz przypatrywał się jej w dwójnasób ciekawie. Generał stał nad nim ze świecą przez czas pewien i badał go przeszywającym wzrokiem. Potem raptownie odwrócił się i wyszedł do pierwszego pokoju. Tam, szurgając stołkami i stolikiem, zasiadł nareszcie. Na jedynym stoliczku, jaki pozostał, rozłożył wielką mapę i podparłszy głowę pięściami utonął w badaniu czy rachunkach. Chwilami coś do siebie mruczał, to znowu coś zapisywał na kartkach pugilaresu.

Rafał nie mógł już myśleć o spaniu. Miał przed oczyma pelgający krąg światła, czarną, zwichrzoną, kędzierzawą czuprynę generała i olbrzymi cień jego głowy na przeciwległej ścianie. Był pewien, że lada chwila wyrzucą go z tych piernatów. Wcale go nie martwiła ta pewność, był bowiem dość wypoczęty i wesół. Rana nie sprawiała mu wielkiej przykrości, a ogólna ociężałość zupełnie przeszła.

Generał studiował swoją mapę więcej niż godzinę. Ukończywszy, widać, jakieś obliczenia, mapę złożył, zamknął notes, rozparł się na stoliku łokciami, złożył głowę na rękę...

Miłość, Śmierć, Kochanek

Drzemał tak przez czas pewien, ale gdy sen na dobre morzyć go zaczął, wstał i ociężałymi ruchy zaczął szukać miejsca, gdzie by się mógł wyciągnąć.

Nie było gdzie, chyba na ziemi. Zsunął dwa krzywe krzeselka, ale nie zdołał zmieścić się na nich. Raptem odwrócił głowę i patrzył w ciemny pokój Rafałów. Po chwili wszedł tam. Omackiem znalazł chorego, odsunął go do samej ściany i położył się na połowie łóżka.

Rafał z uszanowaniem odsunął się do ściany i ustępował kołdry.

— Nie potrzeba! — mruknął Sokolnicki. — Leż, wasan, kiedy ci dobrze. Mówił mi chirurg, że cię ranili. Gdzie to?

— Mam ranę w boku.

— Pytam się: w jakiej potrzebie? Chirurg niech się pieści twoją raną, nie ja!

— Pod Nadarzynem. To jest...

— Co jest?

— To jest pod lasem helenowskim.

— Więc gdzież ostatecznie? Bo Nadarzyn to mięścina, a las to las.

— Pod lasem, panie generale.

— Godność wasana? — mruknął już przez sen.

Rafał wymienił swe nazwisko.

— Był kadet Olbromski w Rycerskiej Szkole, a potem oficer za Rzeczypospolitą.

— Brat mój starszy.

— Aha!... — ziewnął generał.

W tej samej chwili zachrapał na cały dwór. Głowa jego leżała na brzegu poduszki, ogromna, długa, kudłata. Olbromski nie spuszczał z niej oka — i w tak dziwnej pozycji przeleżał, a właściwie przesiedział ze dwie godziny. Świeczka, zostawiona w pierwszym pokoju, dopaliła się i zgasła.

Twarda jeszcze była noc, kiedy dał się słyszeć głuchy tętent kilku koni. Słychać było kroki osób niecierpliwie chodzących dookoła ścian dworu i głośną rozmowę. Dobijano się do okien, szukano drzwi. Na pewien czas wszystko ucichło, a kiedy Rafał sądził, że przybysze już się oddalili, drzwi do pierwszego pokoju otwarły się i ktoś na cały głos zawołał:

— *Monsieur le général* Sokolnicki!

Śpiący generał ani drgnął. Olbromski zaczął go potrząsać, zrazu ostrożnie, potem coraz mocniej, aż wreszcie Sokolnicki zgrzytnął:

— Kto? Czego? Atakują?

— Generał Sokolnicki! — wołał głos w ciemności.

— *Vite, vite!*

Nareszcie, rozespany, porwał się na nogi. Zatoczył koło, przeciągnął się, aż w nim, zda się, wszystkie kości zatrzeszczały, i skrzesał ognia. Zapalono nową łożówkę i nędzny jej blask oświetlił kilka postaci wchodzących do pierwszej stancji. Byli to starsi oficerowie, zachlastani do ramion ciepłych płaszczów i utytlani w błocie do kolan. Jednemu z nich podano krzesło. Gdy usiadł za świecą, twarzą naprzeciwko Rafała, rozłożono przed nim mapę, i ten sam głos, który wołał na Sokolnickiego, ozwał się znowu.

Generał siedzący zwracał na mówcę ciekawe i uważne spojrzenie. Kiedy niekiedy sekretnie ziewał. Był to wysoki mężczyzna lat czterdziestu pięciu, sześciu, z twarzą tłustą, okrągłą i jeszcze piękną, choć już rozlaną i w policzkach obwisłą. Osobliwie piękne miał oczy: aksamitne, płomienne, pod szerokimi łukami brwi. Co chwila, pragnąc ukryć ziewanie, muskał pieścziotliwie małego wąsika. Pelletier wciąż wykladał po francusku swój pogląd.

— Co do mnie — rzekł książę Józef zwracając się do Sokolnickiego — nie przestanę żałować, że nie poszedł wprost i gdzieś za Nadarzynem nie rzuciłem się na nich z całą siłą, jaka jest. Nie przestanę żałować! Tylko chodkiewiczowski atak mógłby nam dać szansę zwycięstwa.

Sokolnicki uklonił się z obłudną zgodą na te słowa, z udanym współbolewaniem. Po chwili, rysując palcem na mapie długą linię, mówił:

— Chociaż z drugiej strony te błota i rudawiska nie są do pogardzenia. Idą tak długim pasem i tak znakomicie nas bronią od osaczenia. Żaden szaniec nie oddałby tylu usług...

— Ach, dajże pokój!

— Proszę tylko spojrzeć. Za Jaworowem, niemal od Piaseczna, zaczyna się nieprzebytą gać błotna, a idzie aż Bóg wie dokąd. Człowiek nie przebrnie tych moczarów, z wyjątkiem Raszyzna i Michałowic, koń nie zgruntuje, chyba za Pruszkowem i pod Piasecznem. Ku Piasecznu nie pójda z obawy przyparcia do Wisły. W Raszynie mamy szaniec, w Michałowicach...

— Ach, dajże pokój! Stać nad tym rynsztokiem i czekać na los kraju rozmyślając, w którym też miejscu nas obejdą i obskoczą...

— Mamy sumiennie rozstawione brygady konne aż do Błonia, do Woli i do Piaseczna. Obejść nas...

— Co to znaczy! Te brygady mogą nam tylko zwiastować, w którym miejscu przebyto bajora.

Młody, trzydziestoletni Francuz chwycił uchem obce mu dźwięki. Snadź coś rozumiał, bo kiedy niekiedy raptownie potakiwał. W pewnej chwili zaczął mówić prawie to samo co Sokolnicki. Wywodził tak bez przerwy aż do przybycia nowej osoby.

Był to Fiszer. Na jego widok książę wstał ze swego miejsca i gorączkowo wyciągając rękę mówił:

— Wciąż mię namawiają do oczekiwania w tej obmierzłej pozycji. Nawet Sokolnicki, którego zawsze trzeba *tenir par la basque*, żeby zbyt daleko nie poszedł. Co powiesz nowego, generale?

— Wracam z Michałowic. Zmarłem... — rzekł mały generał zacierając siarczyście rękę.

Po chwili dodał:

— Trafił mi się tam pewien *fygas Samios*...

— No, no? — zapytali słuchacze.

— Pewien Polaczek galicyjski zemknął ku nam lasami na Komorów, na Janki, Wolicę. Przyszedł o północy do Michałowic w ubraniu chłopca, tak zaciapany, że ledwie go było widać. Wziąłem go na dobre spytki, bom podejrzewałem, czy to czasem nie jakiś znawca, ale nie! — dobre człeczysko. Powiadał mi detale.

Fiszer zbliżył się o kilka kroków do stoliczka i mapy. Zimnym i jakby martwym okiem patrzył na nią. Wreszcie rzekł niby do siebie:

— Mało nas, bardzo mało. Wiecie wy, mości panowie? — jeden na czterech.

— To niemożliwe! — krzyknął Sokolnicki.

— Jeden na czterech! — powtórzył Fiszer. — Dziewięćdziesiąt cztery dział wyszło już z Nadarżyna. To znaczy: trzy działa na nasze jedno.

— Mówiłem, że iść naprzód... — zaczął książę Józef ze zmarszczonym czołem i zduszoną w głosie rozpaczą.

Po chwili zwrócił się do Fiszera z kategoriycznym pytaniem:

— Co mówisz?

— No, teraz już iść za późno. Trzeba było nie puścić ich za Pilicę, napaść od Inowłódza czy Czerwonej Karczmy. Teraz nie ma już o czym...

— Tylem zyskał, że mi Gartenberg rozpuścił milicję w Rawie, zabrał kasę i magazyny. Mam raport. Zapasy w Nowym Mieście... Zrabowane wszystko w Sadkowicach, w Białej...

— Już teraz za Rawkę się nie wydalimy, boby nas w nią wegnali i utopili. Nawet Roźniecki musi się pilnować i ustępując iść na zachód, ku Komorowu, ku Helenowu, piaskami. A tu, mości książę, miejsce jest dobre.

Pociągnął suchą ręką po wychudłej twarzy, przetarł blade oczy i mówił spokojnie:

— Gdyby tak na mnie, to stanąłbym w tym miejscu i biłbym się aż do śmierci.

Pelletier usłyszawszy z ust Sokolnickiego wytłumaczenie słów szefa sztabu machnął ręką z zadowoleniem i zaczął w tekę swoją zbierać papiery. Książę siedział zamyślony i patrzył w płomień świecy. Fiszer mówił zatopiony w sobie:

— Gdyby tak na mnie... Wyszedłbym za groblę z przednią strażą. Austriaki miejsca tego nie znają. Raszyn wygląda od Nadarżyna jakoby wzgórek na tamtej równinie. Biłoby w Falenty i w Puchały nie przeczuwając, że w celu zdobycia Raszyzna trzeba przede wszystkim zdobyć topiele Rawki. Topiele okryte olszyną tak szczelnie, że dopiero konający przekona się, jak to tam zdradnie a głęboko. Falenty są jak szpic. Chałupy tej

wsi stanowią najdalsze *angles saillants* całej naszej pozycji. Trzeba tę wieś zająć, mocno obsadzić, utwierdzić się w niej, no i bić się na śmierć. Grobla — to będzie drugi etap, a Raszyn trzeci. Armaty nasze z szanca za kościołem raszyńskim panują już nad groblą i mogą bić w olszynę.

Książę Poniatowski ocknął się i rzekł z uśmiechem:

— Panie generale brygady, zdaje mi się, że to do ciebie pito mówiąc o walce w Falentach...

— Jestem gotów... — odpowiedział Sokolnicki z ukłonem.

— Tak, tak, on zawsze gotów, kiedy mowa, żeby lecieć naprzód... — mówił Fiszer.

— A więc — zdecydował Poniatowski — generał Biegański z trzecim pułkiem piechoty i czterema armatami stoi w Michałowicach i broni tamtejszych suchych przejść pode dworem, między trzema stawami. Kamieński stoi w Jaworowie z dwoma batalionami ósmego i drugim batalionem pierwszego pułku. Ma 6 armat. Pan generał dziś jeszcze o świcie zajmiesz Falenty Małe i Duże, pałac, las olszowy, drogi i groblę. Wszak znasz te miejsca?

— Znam.

— Jakież wypadłoby wziąć bataliony? — zwrócił się książę do szefa sztabu.

Fiszer wydobył z portfela spisy i obadwaj z Pelletierem zagłębili się w dociekanie. Wkrótce szef czytał:

— Pierwszy batalion pierwszego pułku piechoty, pierwszy batalion ósmego pułku, świeżo przybyły z Modlina pod wodzą Godebskiego, jeden batalion szóstego pułku. Bateria młodego Sołtyka.

Sokolnicki słuchał wyprostowany. Książę liczył na palcach, kiedy Fiszer wyczytywał z papieru.

— Masz tedy, panie generale, czternaście kompanii fizylierskich, dwie grenadierów, dwie wołyżerów. Razem dwa tysiące pięćset chłopów. Sześć armat. Możesz się tego bronić.

— Osobliwie, że będę miał staw i bagna za sobą, a do ustąpienia w razie porażki groblę... — mówił Sokolnicki z ironiczną przechawką.

— Więcej dać nie można... — mrucał Fiszer. — Gdybyście byli otoczeni i wzięci w niewolę, Raszyn zostałby bez obrony.

— No, do bitwy tak zaraz nie przyjdzie. Austriacy nie decydują się zbyt szybko... — mówił książę. — Znam ich przecie. Co do grobli... to zapewne... Ale będziemy was wspierali. My tymczasem jeszcze podsypimy nasz zakop raszyński. Chciałbym go przeciągnąć za drogę warszawską ku Michałowicom i nad staw raszyński, w drugą stronę. Ufortyfikujemy kościół, mur kościelny i domostwa żydowskie, skoro już tu koniecznie bronić się mamy.

Sokolnicki usiadł przy stole i za dyktandem Fiszera oraz Pelletiera pisał rozkaz dzienny. Książę podpisał go i zaraz wyszedł, prędko żegnając obecnych. Za nim Pelletier. Fiszer zebrał swoje papiery, naciągnął płaszcz na ramiona i miał się również ku wyjściu. Już we drzwiach stojąc zwrócił się do generała brygady ze słowem:

— Szczęść Boże!

— Daj Panie Boże! — odrzekł brygadier.

Po wyjściu generałów zawrócił co tchu do łóżka, na którym Rafał siedział w kucki, słuchając wszystkiego.

— Nie śpisz wasan? — mruknął Sokolnicki.

— Nie śpię, panie generale.

— I nie masz zamiaru umierać?

— Ani myślę.

— A jakże się ma twoja tkliwa rana?

— Wcale dobrze.

— Teraz będziesz spał czy nie?

— Nie będę spał, panie generale.

— Na pewno?

— Na pewno, panie generale.

— Słuchajże, rycerzu. Rozkazy do marszu wyda szef sztabu, a ja się zdrzemnę jeszcze do świtu. Pojmujesz, co mówię? Zdrzemnę się do świtu. Jak tylko zaczniesz szarzyć, obudzisz mię. Obudzisz?

— Obudzę, panie generale.
 — Namyśl się, bo gdybyś miał zasnąć...
 — Obudzę, panie generale!
 Sokolnicki rzucił się na łóżko, Rafał postanowił korzystać ze sposobności i robić karierę. Rzekł tedy śmiało:
 — Panie generale, racz mię wysłuchać.
 — Tylko prędziej, prędziej!
 — Pozwól mi towarzyszyć sobie w tej ekspedycji.
 — W charakterze?
 — W charakterze... w charakterze...
 — Prędziej!
 — W charakterze... po prostu podporucznika *à la suite*.
 — Nie mam do tego prawa i nie znam takiej rangi. Jestem tylko generałem brygady, a ty rannym oficerkiem. Jak zostanę naczelnym wodzem *in partibus infidelium*, nie zapomnę, żeśmy spali pod jedną kołdrą.
 — Jestem już zdrow, a nie wiem, gdzie jest mój szwadron. Pono za Rawką. Pozwoli mi pan generał być w tej batalii przy sobie bez żadnej rangi aż do chwili, kiedy znajdę swoją komendę.
 — Dobrze. Obudź skoro świt, a teraz milcz z łaski swojej i... niech cię wszyscy diabli! Za chwilę chrapał.
 Skoro tylko ciemne rano dało widzieć szyby okienka w dużym pokoju, Rafał przelazł przez śpiącego snem kamiennym i jak umiał, jak mógł najprędzej, wdział swój uniform. Munduru nie zdołał zapiąć żadną miarą wskutek grubych powijaków bandaża, którym miał opasane żebra. Zaczął targać generała za ramię.
 — Kto? Czego? — wściekał się rozespany.
 — Generale, dnieje!
 — Idź, bo ubiję!
 — Generale, nie dam już spać ani chwili. Dnieje!
 Widząc, że słowami nie poradzi, użył siły. Sokolnicki rozwarł wreszcie ogromne powieki i kłął na czym świat stoi. Jeszcze niezupełnie rozbudzony pytał:
 — Czy atakują?
 — Atakują, atakują!
 Ocknął się wreszcie i siadł na łóżku. Za chwilę otrząsnął się i porwał na nogi.
 — No, chwałaż Bogu i za tę kruszynkę snu! U kaduka! Ja się już nigdy w życiu porządnie nie wyśpię. A no! Zaczynamy!
 — Pan generał raczy mi pozwolić, żeby mi towarzyszył?
 — Prawda, coś mi wasan w tej materii gadałeś. Cóż ja mam z tobą zrobić?
 — Jako zwyczajny widz...
 — Nie ma widzów w bitwach. A ja ci powiem *sub rosa*, że my nie na *bal paré* idziemy za tę grobelkę. Gdzie twój pułk stoi?
 — Właśnie tego nie wiem.
 — To się dowiedz i kwita!
 — Panie generale!
 — Zaraz... Umiesz po niemiecku?
 — Umiem.
 — Ale czy na pewno?
 — Umiem, panie generale.
 — No dobrze. Będziesz mi potrzebny jako tłumacz... w razie pojmania, uważasz, niewolnika. Ale czegoż łazisz rozpięty jak mamka?
 — Bandaż.
 — Bandaż... Pokaż no się. To szósty pułk. Z pierwszej formacji. Pod Tczewem byłeś?
 — Byłem.
 — Pod Gdańskiem?
 — Byłem, panie generale.
 — Jako „widz”?
 — Właściwie...

— Rozumiem! To wiedz, że ja cię kurować nie będę. Możesz przy mnie być i rób, jak ci się podoba. Olbromski. Pamiętam tamtego! Zaczny był oficjerek, choć mazgaj i sentymentalista. No, w drogę!

Wyszli na świat. Ciemne były jeszcze pola. Płaską otchłanią słały się na wschód i na zachód. W stronie Jaworowa, na wodach szeroko rozlanych, na stawach niecił się słaby brzask. Przejmujące zimno szło z nizin Rawki od strony południowej.

Rafał skoczył w podwórze i po chwili gwałtownego kołatania wynalazł ludzi, a ci mu w mig podali osiodłanego Bratka. General kazał dla siebie zaprząć szkapę do małej bryczulki. Wkrótce jechał do Raszyna, powożony przez brudnego parobka. Olbromski konno towarzyszył mu z boku.

Z dała już, na gościńcu i w obrębie szańca, przed kościołem raszyńskim, spostrzegli równe linie wojska stojącego w szyku. Rogate, czarne czapki z orłami i jednakie pompony, krótkie kurtki z białymi plastronami, białe spodnie, kamasze i ciżmy tworzyły długie rysy w ciemności. Tabor armat i wozów formował za plebanią, nad stawem, u jego niskiego wybrzeża, ciemne i chropawe wzgórze. Na prawo i na lewo od drogi, w polu, między Opaczą a Raszynem, bieleły namioty. Gdzieniedzie wałęsał się jeszcze dym gasnącego ogniska. Przy drodze, wzdłuż doliny, stały na koniach pikiety ułańskie z chorągiewkami w futerałach, z pistoletem na pogotowiu, nieruchome, błękitne we mgle i ciszy. Rafała ogarnął dawno nieuczujący lęk i smutek wśród tego snu wojska. Czekał z niecierpliwością na alarm, wystrzał...

Ale cisza była nieprzerwana. Mgły nad stawem kłębić się poczęły i błakać. Czarne zamajaczyły w nich olchy, wierzby...

Sokolnicki siedział w wózeku i bardziej do siebie niż do słuchacza mówił:

— Toż to bateria artylerii konnej, Sołtyka... Nieprawdaż? Cztery armaty ośmiofuntowe, dwa granatniki sześciocalowe. Sześć wozów do tej baterii, sto koni, powiedzmy, sto cztery konie. Na prawo cóż to tam śpi w tych wściekle białych namiotach?

— Sasi, panie generale.

— Masz słuszność, Sasi. Trzy bataliony, 150 huzarów. Dwanaście armat. A tamte ku Michałowicom działa... Widzisz? To kompania młodych frantów, Ostrowskiego i Włodzia Potockiego.

Wózek wolno brnął w kałużach i koleinach bagnistej drogi warszawskiej. Nie dojeżdżając do szańca Sokolnicki zlął z bryczki. Trzy bataliony ujrzawszy go uformowały się.

Wypadli z szeregów adiutanci i salutując okrążyli generała. Pułkownicy — Godebski, Małachowski, Sierawski, dowódcy tych batalionów na ten dzień 19 kwietnia, dosiedli koni i zajęli swe miejsca. Zabrział rozkaz, trzykroć powtórzony. Mignęły oficerskie szpady jak jedna. Linia bojowa wraz sprezentowała broń. Sokolnicki wyprostował się. Twardym krokiem szedł z wolna przed wyciągniętym frontem. Mijając pułkownika Godebskiego, który szlachetnym męstwem, krwią, ranami zdobył swe szlify we włoskich i niemieckich wojnach, pozdrowił go rycerskim spojrzeniem i ukłonem wodza. Mijając pułkownika Małachowskiego, który dowodził braćmi we Włoszech, na oceanie, na wyspie, który widział wszystko od początku do końca i z San Domingo powrócił, pozdrowił go ukłonem wodza, który był razem ukłonem czci. Mijając pułkownika Sierawskiego, który przebył, podobnie jak tamci dwaj, wszystką z żołnierzem dolę niedolę, pozdrowił go rycerskim spojrzeniem i ukłonem wodza. Przyprawdzono mu konia. Siadł nań ciężko. W milczeniu przez chwil kilka patrzył w głąb batalionów.

Już zorza ze słońca, wstającego daleko, spływała na wody stawu Raszyna. Granatowe fale lelejały się cudnie i melodyjnie chlupając tańczyły dokoła badyłów suchych trzcin. Żywym płomieniem z głębin przezroczystej wody wybiegły jasne pędy tataraku. Było tak cicho, że wojsko usłyszało daleki szelest suchych zeszlorocznych szuwarów.

Gorzko, żalobnie, smutno szumiały. Ich jasnożółte, złotawe liście dotykając się wzajem szerzyły w pustce ni to skrzeczenie, ni to śpiew. Chwiały się ostre kity nad głębinami. Mnóstwo z nich wiatr już obił, wicher obdarł, a granatowa fala przyniosła aż do grobli i ułożyła na jej krawędzi w równe, zygzakowate mogiły.

Z gąszczów oczeretu raz wraz wypływały dzikie kaczkę, kołysały się na modrych fałach. Kurki wodne pokrzykiwały w gęstwinie. Nad dalekimi błotami Jaworowa tuman stał gęsty.

Po drugiej stronie grobli wylaniało się z mroku bajoro, jeszcze nieokryte trawą. Zeschły chwast błotny, rude chrusty rokicin i ciemnobrunatne olchy z czerwonymi dziuplami zaścilały niski rozdół przerznity przez strumień, który sączył się z upustu w przeciwnym końcu grobli, od strony Falent. Grobowy, zimny wyziew wstawał z tego podziemia, jakoby widmo. Wyciągniętymi rękoma, które w siebie wchodzą i wychodzą, obejmował stojące rycerstwo. Schylał ku nim potworną głowę i mroźne usta przyciskał do czerstwych policzków młodości.

Sokolnicki noga za nogą podjechał do batalionu prowadzonego przez pułkownika Godebskiego. Rzucił półgłosny rozkaz:

— Przez groblę — naprzód!

Szefowie dwu batalionów obocznych po prawej i lewej stronie kazali zająć półplutonami, batalionowi na prawej stronie w lewo, a batalionowi na lewej stronie — w prawo. Jednocześnie batalion Godebskiego zaszedł półplutonami w lewo i w prawo. Dwa półplutony, stojące na drodze między kościołem a murowanymi domami, gdzie mieścił się sztab główny, ruszyły naprzód na podwójny odstęp półplutonu. Ujrawszy, że przewodni zajęli swe miejsca na prawym i lewym skrzydle półplutonów w pierwszym ich szeregu, generał Sokolnicki zakomenderował do uskutecznienia:

— Kolumna — naprzód!

Szefowie powtórzyli rozkaz. Sokolnicki zwrócił konia z rozkazem:

— Marsz!

Gdy powtórzony gruchnął ten rozkaz, półplutony, stojące u wejścia na groblę, pomaszzerowały naprzód krokiem taktowym. Kiedy ostatni z nich wszedł między dwa rzędy drzew, Roman Sołtyk, kapitan komendant parku artylerii, przeznaczonego do przedniej straży, rzucił rozkaz:

— Baczość! Na prawo do boju. Przewodni na prawo. Marsz!

Jezdni kanonierowie puścili konie. Ciężko zahuczał spíž. Głowy, wyloty, czopy, puste komory, zielone łoża, przodkary i koła dudniły potwornie w ciszy porankowej. Jęknęła do głębi pod kopytami wstrząśnięta ziemia. Pnie i konary drzew dzikich, z jednej i drugiej strony obrastające groblę, zadrżały, jakoby w ciemność bojaźni wtrącone.

Sokolnicki noga za nogą jechał z dala od wszystkich, sam. Przed oczyma jego po prawej i lewej ręce rozwierały się dwie niziny: staw i błota za groblą. W uszach mu szumiał przykry szelest trzciny. Spokojnie spod nasuniętych powiek patrzyły kamienne oczy. Na wargi wyszedł jad wrodzonego śmiechu. Przymknął wtedy oczy i myślał:

— Ja to was wiodę w to miejsce zgniłe, ja to was wiodę... Ja to waszymi trupami zapełnię te niziny...

Rozkazuj, wodzu! Słucha twój podkomendny. Nie było cię, wodzu, przy dalekich sprawach nad rzeką Padus, nad rzeką Tyber, nad rzeką Ren, nad jeziorami Włoch, w wąwozach Tyrolu, w czeluściach Szwajcar. Spałeś w puchu za onych dni, wodzu nasz. Żegnajcie, żegnajcie, młode moje lata! Ty, stary szwedzki okopie pod Grodnem, gdzie młodymi trudami związał pięć tysięcy faszyn, trzy tysiące upłócił koszów, dwa tysiące plotów — na darmo. — Gdzie moje kwatermistrzostwo ramię w ramię z Sułkowskim... Bądź pozdrowiony, cieniu...

Zwiesił głowę. Ręce oparł na kuli. Mgły snują się w oczach, cienie snują się w myślach.

— Warszawa... Pod Toruniem, pod Sochaczewem, pod Drzewicą, pod Radoszycami... Samotna, długa noc. Cisza. I widok w Kownie przysięgi!

Kiedyż to ja cię wyrąbię, ziemio!

Kiedyż ty przyjdiesz, dniu mojej władzy, początku mojej pozgonnej chwały?

Ale, o Boże mój, upokorz serce...

Daj mi w tym dniu rozkaz poczęty w mądrości, żebym jego szansem zasłonił bracią. Daj mi radę w najgorszej chwili. Daj mi męstwo ostatniej godziny, kiedy popłoch rozpędza żołnierzy jak zgrają dzieci.

Odwróć ode mnie śmierć... Zmiłuj się, Panie!

Któryś mię wywiódł spod Offenbach i Bergen, spod gradu kul pod Hohenlinden, spod paszcz u Salzburga, spomiędzy bagnietów nad Innem, nad Aachem, któryś mię ratował pod Stolpą, pod Heyburz, w dziele frydlandzkim...

Ty, coś mię krzepił w przejściu alpejskim, kiedym był sam jeden niezłomny wódz, kiedy odeszli wszyscy okrom Fiszera, kiedy tysiąc wiernych żołnierzy szło bez butów, dwa

tysiące na poły boso, połowa legii nie miała koszul, a dwa tysiące były bez ubrania.

Daleś mi łaskę walki na tych zagonach...

Zachowaj ramię me, wspomóż serce!

Ale, o Wszchemogący, jeśli Twa wola...

Daj mi śmierć Żółkiewskiego...

Który widzisz duszę moją w tej minucie aż do samego dna...

Druga kompania artyleryjska konna przebyła całą długość grobli, minęła upust i zstąpiła w płaszczynę.

Rafał dał wówczas koniowi ostrogę i ruszył spod Raszyna naprzód, wymijając za groblą całe wojsko. Podjechał do dowódcy. Sokolnicki w przelocie rzucił nań okiem i nie patrząc wydał rozkaz:

— Jedź waćpan do wsi Falent Wielkich, o pół wiorsty za folwarkiem leżących przy drodze nadarzyńskiej. Idzie w te tropy kompania piesza. Każesz babom i dzieciom wynieść się ze wsi co tchu. Każda może zabrać ze sobą wszystek żywy dobytek. Chłopów co do jednego zatrzymasz. Żeby mi żaden nie uszedł. Za cztery pacierze spalę wieś ze szczętem. To im powiedz. Wszystko masz wykonać natychmiast.

Odkomenderowana kompania grenadierów w bermycach z białymi kordonami, o szlifie czerwonej z włóczkową torsadą — ruszyła błotnistą drogą za pałac falencki. Wyszła z bagnisk porośniętych olchami i znalazła się u wylotu wioski. Dwadzieścia siedlisk stało tu po obu stronach odwiecznej, grząskiej drogi, prostą linią ciągnąc się w kierunku lasów i najbliższej wsi — Laski. We mgle widać było drzewa następnej — Janczewic.

Rafał wypuścił konia. Za chwilę był w środku wsi.

Ludność Falent, obudzona ze snu, wyległa z chat. Były to wszystko domostwa drewniane, mazurskie, bielone, pod słomianymi strzechy. Od dwu blisko lat posiadając prawo „przenieść się w obręb Księstwa Warszawskiego tam, gdzie jego dobra wola będzie” — wieśniak falencki pozostał przecie na miejscu. Zza płotów, z za węglów, z ciemnych sionek wyglądał teraz na wojsko maszerujące.

Olbromski donośnym krzykiem począł zwoływać chłopów do siebie. Zbliżali się lękliwie, niechętnie, noga za nogą.

Kiedy ich zawiadomił w formie jak najbardziej stanowczej, ordynarnej i rozstrzygającej, że baby i dzieci mają co ducha uciekać ze wsi, rozległ się straszny popłoch, jęk, płacz, zawodzenie. Jak spod ziemi wyrosłe, zjawiły się u jego strzemion kudłate, na pół odziane w wełniaki, brudne wiedźmy, dzieci z kołtuniastymi czuprykami, wstrętnei, schorziali starcy. Wszystko to skamlało jednym głosem:

— Zmiłuj się!...

Wyrwał pałasz, precz ich nim odegnał i ukazał schylone bagnety kompanii pieszej.

— Która teraz, we dwa pacierze, nie wywiedzie dobytku, nie wypędzi gadziny, to już straci na zawsze. Za cztery pacierze wieś będzie podpalona ze czterech rogów i pójdzie z dymem.

Rzucili się wszyscy do obór, do stajenek, do chlewów. W mgnieniu oka napełniła się ulica. Ryczały krowy, rżały konie, kwiczały świny, gdakały kury, gęgały gęsi. Wśród przekleństw i okrutnych wyklinań chłopskich, przeraźliwych jak sama chłopska tyłowieczna niewola, wśród modlitw, zaklęć, prośb, ciągniono na powrózkach krowiny-żywicielki, pędzono prosięta z pieczołowitością, jakoby dzieciątka rodzone, zaganiano ze szlochaniem koguty, kaczęta, gęsi. Rafał patrzył w ten obraz przygasłym okiem. Oto kobiecina z najbliższej chaty, zawiązawszy w płachtę na plecy jedno dziecko płaczące, drugie dźwiga w kołysce. Łka, zanosi się od chłopskiej, od zwierzęcej rozpacz.

Pojechał środkiem wsi i obnażonym pałaszem dawał na prawo i na lewo znaki pośpiechu. Widział w pierwszym na prawo siedlisku silnego chłopca, jak w portkach i koszuli, wprost ze snu, z paździorami słomy w kosmatym łbie, wyrzucał przeze drzwi graty, stątek, ławy, kosy, widły, garnki, szerniały od dymu i brudu święte obrazy, jak wyrzywał rozpaczliwie ze ściany zabita głucho gwoździami ramę pełną przepalonych szybek i niósł ją dokądś w pole niby najdroższy skarb. Ujrzał w drugiej chacie bosc dziecko wyrzucone pode drzwi... Chore było na jakieś krosty. Wyrwane z legowiska, drżało oparłszy się plecami o zmurszały słupek płotu. Przyciskając kolano do kolana przestępowało z nogi na nogę w fioletowym błocie gnojówki. Zamglony, zadymiony od gorączki wzrok jego skierował się na Rafała. Spalone usta wydawały nieznośny dźwięk. Na progu innej chaty

stare babsko z nieustannym jękiem pakowało pierze w rozdartą pierzynę, co chwila chwytając się oburącz za ogłupiałą głowę. Tam chłop biegał w dyrdy za wioską, wynosząc swe bety, tam wytaczano beczulki z kapustą, wynoszono worki, zdzierano co nowsze poszycia ze strzech i wiązano je w snopki.

Kiedy wypędzono już sprzężaj i gadzinę, wyniesiono z chałup, co tylko się dało, chłopci zaczęli rozgradzać płoty, wyrwać kołki, wrzucić, zawiasy...

Kompania piesza przeszła wzdłuż ulicę wioski. Oficer prowadzący ją zabronił chłopom ruszać się z miejsca. Każdemu polecono mieć w ręce rydel, łopatę, widły, siekiere.

Uszykowani w szereg, czekali. Tłum bab, dzieci, zwierząt i ptactwa eskortował odrębny patrol, wydzielony z kompanii, w kierunku Falent Małych, przy drodze ku Piasecznu. Był już dzień jasny, kiedy szlochający gwar oddalać się zaczął i wolno zacichł. Na drodze, w kałużach rozmazanych przez wojska, leżały resztki gratów, włóczyły się korowody pierza. Tam i sam wędrowała zdziwiona, osierociła kura. Połamane płotki przed chatami odkryły lechy ugracowane już i zasiane w ogródkach.

Rafał przeleciał jeszcze raz wzdłuż całej wsi, zajrzał to tu, to tam i w skok wrócił do dowódcy. Sokolnicki tymczasem rozmieścił już był swe siły. W lesie olszowym, który długim smugiem ciągnął się od Falent Małych, zasłaniał dwór i folwark, przedzielał go od Falent Dużych i sięgał aż do wsi Puchały, postawił batalion fizyliarów Godebskiego. Część tego batalionu przeznaczył do zajęcia Falent Dużych, czyli Wielkich, wsi sztorcem wysuniętej w pole. Między wsią Falenty Małe a przecinającą je drogą do Piaseczna oraz wsią Falenty Duże, na czele folwarku a jakoby u podstawy opustoszałej wioski, postawił batalion szóstego pułku pod Sierawskim i batalion Kazimierza Małachowskiego. Batalionowi pierwszej linii, broniącej lasu z pola, od strony Nadarzyna i bliższego Sękocina, przydał dwie haubice i dwa wozy z konnymi kanonierami, czyli trzecią sekcję siły artyleryjskiej. Cztery działa Sołtyka umieścił obok drogi raszyńsko-falenckiej między dwoma ramionami wojsk swoich, na suchym wzgórku, a w taki sposób, że miały przed wylotami otwarte pole i dostęp do wsi. Za armatami miał twardy dostęp do grobli i schodzące się w tym miejscu drogi do Piaseczna, do Janczewic i do Nadarzyna.

Dwie armaty mogły być w każdej chwili przyłączone do któregośkolwiek z batalionów. Wozy dostatkowe stały w pobliżu, o dwieście kilkadziesiąt kroków, pod zasłoną drzew. Bliżej, o jakie sto kroków, były na drodze wozy prochowe, a o trzydzieści kroków — zabudowania folwarku.

— Wypędzeni? — zapytał generał z daleka jadącego ułana.

— Według rozkazu.

Sokolnicki na czele kilku plutonów udał się sam do wioski. Skoro tylko piechota weszła w jej ulicę, otrzymała rozkaz złożenia broni w kozły i zabrania się do roboty. Pod kierunkiem oficerów żołnierze, a pod kierunkiem żołnierzy chłopci zdzierali co tchu słomiane strzechy i kłoc obdartą wynosili z dala za wioską. Tam ją układali rzędem na polu dla przysypania ziemią i utworzenia przedpiersia. Kiedy krokwie wszystkich chat były ze słomy ogołocone, kazano chłopom nosić na pułapy nawóz przygotowany na rolę, obficie zlewać go wodą i krowieńcem z gnojówek. Po upływie godziny usilnej pracy wszystkie polepy i powały grubo okryte zostały grząskim nawozem. Wówczas wnoszono tam wyrwane drzwi, szafy, ławy, beczki i tworzone z nich schrony i kryjówki dla strzelców. Jednocześnie rozgrodzono wszystkie płoty tworzące przede wsią zwarte opłotki i wycięto drzewa, które mogłyby nieprzyjacielowi służyć za osłonę w polu. Na południowym krańcu wsi, a jeszcze w jej obrębie, chłopci pod bagnetem kopali co tchu dwa szerokie a głębokie doły na całą rozległość drogi.

Wysypaną z nich gliną okrywano ułożoną słomę i tworzone naprędce przykopę ziemną. W owe doły wprowadzono po osie drabiniaste wozy naładowane kamieniami, graciwem, gnojem i dobrze zasypane ziemią. Ścięte grube sokory zza wioski, zbite na krzyż kłocami, wkopywano w ziemię w miejsca próżne. Przestrzeń między nimi gorliwie wypełniano faszyną, ziemią, gnojem, opłotkami wyrwanymi sprzed chat wewnątrz wioski, żeby przejść i pośpiesznego ruchu nie tamowały.

W przejściach między jedną chatą a drugą, pomiędzy gęsto zabudowanymi stodołami, sypano również fosy, wybierano rowy, stawiano za nimi podwójne palisady, wkopywano zasieki z przyciesi i belek. Niektóre chałupy zostały rozebrane zupełnie, z tego względu że

stały nieco na osobności i nie mogły być włączone do umocnionego obszaru.

Kiedy koniec południowy wsi z pola był już nieco oszańcowany, Sokolnicki użył dziesięciu kompanii żołnierskich do zniszczenia drogi w kierunku Nadarzyna. Zrównano precz w polach rowy, przykopy, płoty, ścięto wszystkie drzewa. Pozostałe osiem kompanii zapędzone zostały do innej roboty. Ponieważ od zatkania wejść, a osobliwie południowego, do wsi zostało jeszcze nieco dylów, belek i wyrwanych wrotni, kazano je opierać o ściany wysuniętych chałup i okładać z zewnątrz bardzo grubo mokrym nawozem. Rozbierano wciąż jeszcze niektóre stodoły, umacniano miejsca co słabsze, podpie-rano z zewnątrz zasieki i sypano, sypano ziemię bez końca.

Batalion pułku szóstego pod komendą legionisty Sierawskiego, stojący najbliżej Małych Falent i grobli, okryty był lasem najszczelniej, toteż ten batalion pracował najciężej około umocnienia wioski.

Było już popołudnie, kiedy przygotowania do odporu zostały jako tako uskutecz-nione. Żołnierze od dźwigania ziemi nawozu na chłopskich noszach, belek i ciężarów byli zbloceni, zgrzani, brudni, a nade wszystko zgłodnieli. Dano sygnał na spoczynek. Pozwo-lono zjeść posiłek. Właśnie wiara siadła na ziemi i zabrała się do mantelzaków i manierek, kiedy polem, po głęboko miękkich zagonach, przypadł w galopie oficer z jazdy Roźniec-kiego. Szybki zdał raport dowódcy i co koń skoczy pognął na Puchały ku Michałowicom. Sokolnicki spokojnie posilał się kromką chleba i kawałkiem zimnego mięsiva. Poszukał Olbromskiego oczyma i rzekł do niego:

— Jedź waćpan brzegiem olszyny i bajorów aż ku Puchałom. Będzie tam droga pro-wadząca na cmentarz. Objedź cmentarz z tamtej strony i wysuń się ile tylko można naj-dalej w szczerze pola, na owe nieznaczące wzgórki i na prost Raszyna. Patrz stamtąd pilnie na wsze strony, a osobliwie w kierunku na Laski, na Janczewice, Lesznowolę. Skoro coś ciekawego zobaczysz, leć ku mnie z raportem.

Rafał puścił konia we wskazanym kierunku i wkrótce był za cmentarzem. Grunt tam był lżejszy, przypiaskowy. Rola nie lgnęła już, lecz nawet z lekka pyliła. Koń szedł po niej ostrą ryścią, a w jeźdźcu biła, jak spiżowy, przepotężny dzwon na trwogę, rozkosz życia.

Siły w nim wszystkie wzmożyły się i podniosły. Czuł w sobie ową rozkosz szczególną, podnieconą aż do najwyższej kresy, rozkosz niebezpieczeństwa i zniszczenia, jak na widok pożaru w ciemną noc, który obejmie drewnianą wieś, słomiane, zwarte jej strzechy i oszalałych ludzi. Niby to jest żal, strach, boleść, a w rzeczy radość niesłychana. Jęk ludzki podaje duszy skrzydła, krzyk rozpaczy podjudza ją jak wicher ptaka, a widok wysokich, krwistych kłębów dymu szelmowsko ją zaspokaja.

Pod karczmą zwaną Wygoda, na drodze do Janczewic, tak samo jak i dnia poprze-dzającego stała konnica Roźnieckiego. Część jej można było jeszcze dostrzec pod lasem nadarzyńskim, za Sękocinem. Nie widząc żadnego w tej jeździe ruchu i wyczekawszy sporą chwilę Rafał posunął się dalej, żeby z płaskiego wzniesienia szerzej okiem sięgnąć. W tej samej chwili konnica polska zaczęła wolno, wolno rozsuwać się szwadronami i co-fać w kierunku Sokołowa, Komorowa, Pęcic. Dalekie barwy grały w cudnym słońcu kwietniowym, w gęstym oparze wysychających ról. Raptem dymiące się słupy drgnęły, jakoby wpół nożem przecięte. Ogromny, błękitny kłęb wypadł znad szwadronów uchod-zających i wraz po nim cudnodźwięczny huk przeleciał nad okolicą niby drżący okrzyk. Rafał roześmiał się wesoło. Zawołał prawie z rozkoszą:

— Aha! Nareszcie!

Drugi huk, trzeci. Potem dwa prawie jednocześnie.

— No! No! — wyzywał je kawaler. — Bij, bij!

Jak na zawołanie runęły: raz, dwa, trzy, cztery! Chwila ciszy — i znowu, a coraz częściej. Słupy błękitnego dymu i cudnie okrągłe albo wydłużone jego obręcze wzniosły się ociężale w stronę Lesznowoli, linie jazdy polskiej łamały się szybko, łączyły ze sobą i wciąż ustępując szły miarowo w kierunku Pęcic. Olbromski ujrzał Wygodę opuszczoną, w płaskich polach. Wyteżył w tamtą stronę wzrok i w dalekich oparach ujrzał szarawe, ruchome chmury. Zupełnie jakby bardzo daleki las, porznięty w poręby, zbliżał się polami.

— Idą... — wyszeptał.

Serce w nim zadygotało na widok nieprzejranych mas. Brzmienie słów bez sensu i związku pływało koło uszu. Oczy nie mogły się dość napatrzeć. Nogi zdrętwiały tak dalece, że nie mógł trącić konia ostrogą.

Pozostał na tym polu dopóty, aż konnica Roźnieckiego oddaliła się i stała w oczach także wędrownym, szarym lasem. Strzały armatnie ucichły. Tylko owe linie stawały się coraz bardziej jawnymi. Widział już dokładnie płonące linie migotliwą rzędą bagnatów, ruchy nóg, barwy... Jeźdźcy wysunęli się naprzód spomiędzy kolumn. Zrazu można było rozpoznać jedynie maść koni, wkrótce jednak ukazały się barwy huzarów palatynskich z kompaniami pandurów, z dwoma skrzydłami kajzerhuzarów pod wodzą generała Schauratha, a wreszcie brygada generała Spetha. Wszystka jazda ostrym cwałem sunęła ku Wygodzie.

Rafał spał Bratka ostrogami i co koń skoczy poleciał prosto ku olszynie. Zdumionymi oczyma szukał batalionów. Nie widział ich nigdzie. Dopiero przed samymi zaroślami ujrzał wyprostowane linie pośród drzew... W Falentach również nie było nikogo. Całe miejsce spało w pustce i ciszy. Ani jednego człowieka... Dziwnie bolesny żal tknął jeźdźca... Koń jego leciał po stratowanej, dziurawej od kopyt roli, do kolan zapadając w glinę. Na drodze błotnistej między drzewami w pobliżu pałacu i rezerwy Sierawskiego, stał na koniu Sokolnicki. Trzymał przy oczach perspektywę połową. Nie zwrócił na Olbromskiego uwagi, gdy ten stanął przed nim, z mistrzostwem i potężną siłą osadziwszy konia. Koń ów chwycił dech ze świstem, a oficer był w pocie. Czuł, że rana pod pachą i na boku krwawi, że krew idzie w bandaż obficie. Był tak szczęśliwy...

Obok odprzodkowanych armat stali kanonierowie i pomocnicy, twarzami zwrócenii do swych dział. Pierwsi dwaj pomocnicy równo z wylotem, drudzy dwaj równo z osią, kanonierowie na prost grona, trzecia para pomocników równo z osią przodkary, czwarta para o krok dalej w stronę dyszla i piąta o krok dalej. Jedenasty pomocnik stał z prawej strony przy samym końcu dyszla. Nieruchome konie od armat i wozów, zwrócone w kierunku Raszyna, strzygły uszami. Zapalone powrozy lontów tliły się w ręku kanonierów żywymi, mocnymi, kończystymi stożkami.

— Widziałeś waćpan naszą konnicę? — zapytał Sokolnicki głosem grubym, bezczelnym w tej ciszy i oczekiwaniu.

— Widziałem, generale.

— W którym miejscu?

— Około karczmy, w miejscu rozstania się dróg, później w polu, gdy uchodziła na Sokołów...

— Wszystka odstąpiła?

— Tak jest, panie generale.

Sokolnicki przesunął lunetę w innym kierunku. Po chwili przytrzymał ją silniej, wreszcie odjął od oczu i złożył. Twarz jego była zamazana, jakby przemarzła. Cmoknął ustami... Oczy leniwie wlokły się po dziwacznej karykaturze wioski Falent, po rowach, zasiekach, wilczych dołach, naprędcie tu i ówdzie w ziemi wydartych i zarzuconych chrustem... Przeszły na zaczajonych w lasu żołnierzy ósmego pułku, pierwszy raz do boju wiedzionych, szły po linii starych, pruskich karabinów z rozkołatnymi skalkami...

Jak grom runął w ciszę strzał armatni. Za pierwszym huknęło ich z dziesięć od razu. Drzewa zatrzęsły się całymi pniami aż do korzeni, zadygotały ich nagie gałęzie i delikatne baze jakoby piąstki wylękłego dziecka. Z Raszyna wybuchła naraz kanonada wszystkich dwunastu dział saskich Dyherrna, szwadronu artylerii Antoniego Ostrowskiego i kompanii Włodzimierza Potockiego.

Sokolnicki skinał brwiami na Rafała i obadwaj ruszyli środkiem drogi ku Falentom. W linii międzydrzewnej, idącej przez groblę wprost na Raszyn, widzieli tyralierów polskich cychających na samym wybrzeżu bagna. Dym z Raszyna wywalał się już nad jasne wody stawu i ciężkim cielskiem wpełzał między trzciny.

— Spróbuj teraz leżeć wprost przez błoto na Raszyn, z pola... Nie znają drogi... — mówił Sokolnicki otrzepując szpicrutą bryzgi błota ze spodni i ciżmów. — Przekonają się, że nie przeleżą, bo to głęboko, a wtedy runą na nas w Falenty. Cóż ty w tej zabawie myślisz robić, mości ułanie? Skończyła się już twoja rola...

Pomimo strasliwego huku Rafał słyszał te wesołe drwiące słowa. Nogi pod nim drżały jak wczoraj, kiedy to osłabł w lesie nadarzyńskim. Serce waliło z niepowstrzymaną siłą... Tchu nie mógł złapać... Błysnęły białe zęby generała.

— Boisz się, kiedy strzelają nie do ciebie. Nie lubisz tego? Cóż to będzie, jeśli zapolują na twoje łody?

— Nie boję się, generale! — krzyknął dumnie i hardo.

— A widzę.

Trzaskający łoskot karabinowy wyrwał się spomiędzy grzmotu armat; huczał coraz bliżej i bliżej, wzmagął się i potężniał tuż w dymie. Sokolnicki dźwignął się na strzemiönach, przeciągnął ramiona...

W tej samej chwili na zakręcie drogi ukazał się adiutant i, salutując w biegu, ukazywał pole przed wioską.

Generał nie czekając na jego słowo polecił:

— Plutonami!

Zjechali obaj z drogi wolno, noga za nogą zbliżyli się do batalionu Godebskiego. Wnet usłyszeli komendę:

— Dwoma szeregami!

— Pluton!

— Tuj!

— Cel!

— Pal!

Runęły pociski batalionowe.

Za chwilę dokoła jeźdźców warknęły kule austriackie z daleka idące, ścinając gałęzie olch i gwizdząc przeciągle po wodach. Sokolnicki wjechał w szeregi fizylierów i wesoło, głośno zaczął sam komenderować trzaskając w powietrzu szpicrutą.

— Nabij!

— Do ładunku!

— Odgryź ładunek!

— W rurę!

— Za stempel!

— Przybij!

— Stempel na miejsce!

— Plutonami!

— Cel! Pal!

Wrzynał się swym koniem coraz głębiej między szeregi rogatych czapek aż ku przodowi batalionu i podbrzeżu lasku. Rafał, zostawszy w tyle, widział go owianego błękitnym dymem i pomimo strzałów huczących słyszał wciąż skróconą komendę:

— Nabij!

— Dwa!

— Trzy!

— Cztery!

— Cel! Pal!

Rafał był w stanie niesłychanego podniecenia, ale już nie drżał tak całym ciałem jak przed chwilą. Mordowała go tylko jedna myśl: czemu nie ma w ręku karabina? Mieć karabin! Brać go do nogi, nabijać, wznosić, na oko — i znowu, znowu, bez końca. Stać w szeregu! Słyszeć rozkaz tego jaśnie wielmożnego głosu jak gdyby rozkaz rodzzonego ojca: dwa, trzy, cztery!...

Wtem jedno z drzew w lasku olszowym zaskrzypiało, jakby je niewidzialna siła zacięła do rdzenia u ziemi toporem. W tej samej chwili w rzadkie bagno palnął ciężar kuli działowej, rozdarł je i wyrzucił w górę dwiema bryzgającymi skibami jakoby dwie potworne wargi. Tuż w pobliżu Rafała przeleciał potężny ziew powietrza i pocisk z jękiem grzmotnął w groblę wywalając w niej dziurę.

Koń ułana trwożnie zadreptał na miejscu, stulił uszy i zatargał łbem.

W dymie, daleko, w polach, przez które niedawno leciał jego koń, Rafał ujrzał na prostop siebie zionące ognie i wybuchy kłębow dymu. Ognie poziome i dymy, ognie i dymy. Po każdym ogniu — słyszał huk tłukący tępo w ziemię, jakby w nią waliła olbrzymia stępa.

Chaos otoczył mu głowę. Huk ze wszech stron...

Zbliża się, zbliża. Widziało się, że za otaczającym go laskiem ziemia raz wraz pęka i że z jej głębokiej calizny wywala się ogień i dym.

Serce uspokoiło się i miejsce trwogi zajęło zdumienie. Ciekawość: co też z tego może wyniknąć? co się jeszcze stać może? — zagłuszyła wszystko. Naokół waliły się w bagno olchy ścięte kulami.

Niewidzialne siły ciskały konary, gałęzie, odszczepy, a nawet całe drzewa. W szeregach ciągle rozlegał się jęk tak straszliwy, jakby kogoś zarzynano nożem. Dym zasłaniał linie piechoty. Rafał chcąc wszystko lepiej widzieć tknął konia ostrogą i podjechał do armat.

Kapitan komendant leniwym krokiem przechadzał się od dział do dział, które były ustawione o osiemnaście kroków jedno od drugiego. Naczelnicy sekcji stali przy przodkach między jedną armatą a drugą.

Oficer od wozów i ogniomistrze czekali na skinienie kapitana komendanta. W oddali stały osiodlane konie kanonierów i naczelników sekcyjnych.

Z dymu wyjechał niespodziewanie Sokolnicki. Wyszukał oczyma Sołtyka i dał mu rozkaz:

— Ognia!

Sołtyk grzmiącym głosem zawołał na swoich:

— Bacność!

Każdy drugi pomocnik lewy uderzył lont w lewe ramię dla strząśnięcia ostrza popiołu, przeniósł go w wyciągniętej ręce o cztery cale przy końcu śladu prochowego...

— Pal!

Dotknęli lontami podsypki — i cofnęli się w swoje luki. Cztery działa wstrząsnęły i skoczyły w tył. Dym osłonił ich chmurą. Rafał słyszał tylko wokoło siebie komendy:

— Nabij!

— Za wycior!

— Przytkaj zapał!

— Po nabój!

I znowu:

— Wytrzyj!

— Za stempel!

I znowu:

— Przybij!

— Pocisk w działo!

Młody jakiś oficer z twarzą surową i natchnioną, z okiem zimnym, schylał się nad dioptrą.

— Na cel!

— Pal!

Migały w dymie wyciory, głowy kanonierów, w rogatych czapkach, obsługujących działa, złote hafty i akselbanty oficerów w zielonych mundurach, drągi, uzbrojenia — i ogień. W to miejsce zaraz skierowały się kule austriackie dwunastu armat przedniej straży generała Mohra. Od huku (gdyż i dwa granatniki polskie przy batalionie Godebskiego bić zaczęły) nastał w uszach jednostajny dźwięk — jakby człowiek latał w rozkołysanym dzwonie. Bałwany dymu gęstniały wciąż, stały się z niebieskich bure, pełne sadzy prochowej, która dusiła i wyżerała oczy. Znieruchomiały jeździec nie poruszał ani ręką, ani nogą. Słyszał wokoło wołania i krzyki straszne. Nic jednak, nic nie mogło zepchnąć go z miejsca.

Z nagła jakiś żołnierz w bermycy z białymi kordonami znalazł się u jego strzemięcia i wznosił na niego oczy przeraźliwe, tak dziko wywrócone, że Rafał ocknął się jak ze snu. Tamten pchnął go kolbą karabina i wegnał między konie artylerii. Jeden z artylerzystów w rozpiętym mundurze, spod którego ukazywała się skrwawiona aksamitna kamizelka, wrzasnął na niego, inny podniósł szablę. Rafał zdarł swego konia i stępa pojechał na prawo, ale tuż o kilka kroków koń jego potknął się na leżących ludziach.

Olbromski schylił się, żeby przez mrok dymu zobaczyć, co to za jedni, gdy wtem koń jego skoczył, cisnął się całym korpusem, jakby przerażony okropnością widoku. Chrapnął jak ongi zdychająca Baśka, wspiął się dęba i z wysoka runął na przednie kolana. Rafał wyrwał nogi ze strzemion i zszedł na ziemię. Koń jego drżał cały. Kłęby jego kurczyły się, skóra wyteżała na nich. Pyskiem chwycił ziemię, a jeźdźcem lizał naokół przestwór. Wtedy dopiero Rafał zobaczył, że ze zwierzęcia wypływają wnętrzności i krew się wali. Odszedł stamtąd i nie wiedząc zgoła, w jakim posuwa się kierunku, brnął przed siebie. Za chwilę znalazł się w szeregach woltizerów. Uderzyły jego oczy znane mu barwy: żółte kołnierze, żółto-zielone szlify i zielone piórka na czapkach.

Stali w bagnie prawie po kolana. Nabijali bez komendy. Strzelali. Rafał potykał się na kępach, pniakach, gałęziach, wlaził na ciała zabitych i gnany siłą ciekawości przeciskał się naprzód. Twarzy niczyjej nie widział. Tak doszedł do plutonów, które były się prawie na oko. Działo się to o kilkadziesiąt kroków przed nim. Dym nie pozwalał nic widzieć. Przy każdym tęższym drzewie czał się człowiek, nabijał, strzelał, nabijał, strzelał.

Rafał chwycił karabin leżący na ziemi i stanął w szeregu.

— Równaj się! — krzyczał wciąż młody oficerek usiłując sformować tu kolumnę i ruszyć z nią naprzód.

Starania jego szły na marne. Ludzie walili się co chwila. Kule rznęły jak grad. Spośród drzew wynurzyli się żołnierze o twarzach bladych, z wystraszonymi oczyma. Były to bataliony Wukasowicza pod dowództwem pułkownika barona Pabelkoveny. Zwartym szeregiem, ile było można wśród drzew, walili naprzód. Rafał w osłupieniu patrzył na ich wysokie czapy i skrzyżowane na piersiach białe pasy.

— Toż, u pioruna, oni... — tyle zdołał pomyśleć.

Na widok wrogów żołnierze batalionu Godebskiego chwycili broń i rzucili się naprzód. Rafał ogarnięty szaleem szedł z nimi.

Napadli na piechotę Wukasowicza z chłopską furją. Kłuli bez sztuki wojennej, po chamsku, bagnetem, bili kolbami...

Rafał, nieumiejący robić bronią, chwycił starą pruską landarę za koniec lufy i zaczął prac co siły w ramionach. Za nim to samo uczynili inni. Widząc koło siebie kupę jał nie komenderować, lecz przewodzić, jako szlachcic chłopom na pożarze: — A bijże! A dyc to Niemcy! A nie dajta się! — Wbijali się w szeregi najeżone skrwawionymi bagnetami, rzucali się na lufy ociekające krwią.

Krótko trwało ich męstwo. Za chwilę musieli ustąpić. Żołnierz austriacki szedł na nich z wyniosłości w nizinę, szedł kolumną liczącą trzy tysiące chłopów, zwartą i grubą. Były to bataliony Weidenfelda, batalion Dawidowicza i pułk siedmiogrodzko-wołoski.

Woltyżerowie uchodzili brnąć coraz głębiej w bajora, odbijając się, odstrzeliwując, trupami zaściewając pole. Austriacy wbijali się w lasek olszowy potężną masą i zagarniali cały. Fizyliery polskie szły w tył coraz bezładniej. Panika padała na nich z wolna jak rżęsiasty a stale wzmagający się deszcz. Darmo szablami oficerowie pędzili do boju. Nadaremnie z gołą szpadą w ręce parł ich swym koniem Godebski...

Rafał znalazł się w truchlejącym tłoku, zbitym w masę, gniotącym człek człeka. W pas brnęli w rudawicy ku grobli stawu, swarząc się już między sobą. Kiedy wy dostał się na twardsze miejsce i przetał oczy, ujrzał przed sobą szlak ku grobli, na którym stał niedawno z generałem. Teraz walił się nań zdemoralizowany batalion. Wprędce napełnili te miejsca chargocząc, gadając, w kupę zbici. Armaty huczały przed nimi. Kule bluzgały po wodach stawu i kosily żółte trzciny.

Wtem od strony Raszyna pędem nadciągnął hufiec jezdny. Przewodził mu książę Józef.

Za nim jechał Pelletier i kilkunastu adiutantów. Rafał poznał ich wszystkich oczyma, nie myśląc wcale o tym, kogo widzi. Baczył tylko na to, żeby nie być zepchniętym do stawu.

— Anizetka, Szpilka... — myślał przypatrując się im przez małą chwilę.

Książę mierzył rozgromiony batalion ognistymi oczyma. Żołnierze widząc go zaczęli się opamiętywać, jako tako formować i zwracać ku olszynie. Wódz zsiadł z konia i nie wyjmując z ust krótkiej fajeczki *brûle-gueule* stanął pośród żołnierzy. Od pierwszego z brzegu wziął z rąk karabin i zawołał:

— Za mną, bracia!

Żołnierze wydarli się masą z gęstego błota i ruszyli jak jeden. Wpadli na piechurów austriackich z furją, z wściekłością, z szałem, tak nagle, jakby wyrosli z ziemi czy wypadli z zasadki. Książę szedł w szeregu walcząc jak prosty żołnierz. Nigdy furia bojowa nie była wścieklejsza. Pierwsze szeregi austriackie wgniotły się w następujące i wdeptywały je w bagno. Nie było miejsca na bitwę. Kto był na placu, musiał zginąć. Sami oficerowie austriaccy, żeby zyskać miejsce, musieli wydać tylnym szeregom kolumny rozkaz odstąpienia. W kilka chwil laszek olszowy został zdobyty aż do wioski. Tam także wrzała straszna walka. Austriacy wdzierali się na oszańcowane chałupy, zdobywali każdą piędź ziemi, każdy rów, zasiek. Z góry, z pułapów, zza desek, zza węglów, z dziur, szczelin razili

Przywódca, Żołnierz

ich nieustanny grad kul. Ale już z trzech stron, od Puchał, z pola i od strony Jaworowa, wioska była osaczona. Cały drugi pułk piechoty szedł na nią głębokim szykiem.

Rwano już deski rękoma, rujnowano zasieki, wyciągano dyle. Książę Józef wezwał przez adiutanta Krasińskiego pierwszy batalion pierwszego pułku, który pospołu z artylerią strzelał bez przerwy, i dwunastu kompaniami natarł na oblegających wioskę. Szedł w pierwszym szeregu porucznik Skrzynecki. W ciągu kilku minut oblegający zostali spędzeni bagnetem i wyrzuceni w pole. Zarazem trzy lekkie armaty, przyprowadzone do Falent z Raszyna, wzmogły ogień artyleryjski. Fizyliery zamknięte w wiosce, którymi kierował sam Sokolnicki, pozdrowiły księcia okrzykami chwały.

On siadł na koń i otoczony swym sztabem przejeżdżał wśród szeregów. Teraz rezerwa wysunęła się naprzód, dziewięć dział stanęło razem i poczęły spod dworu w Falentach bić nieszczędnie.

Książę cofnął się do głównego swego stanowiska w Raszynie. Gdy z wolna jechał przez groblę, kule świstały koło niego jak grad. Sokolnicki polecił umocnić pod ogniem nieprzyjacielskim zburzone oszańcowanie Falent i formował znowu swoje trzy bataliony, żeby, w myśl tej samej co rano zasady, oszczędzić żołnierza. Ale kiedy to spełnił i kiedy infanteria austriacka cofnęła się w pola, sypnął się na jego piechotę i artylerię grad kul sześciofuntowych.

To nadchodzący korpus armii austriackiej, a mianowicie pierwsza jego brygada pod generałem von Civalard i Pflacher wzmocniła przednie straże Mohra. Walily teraz dwadzieścia i cztery armaty, sześć nowych batalionów przyłączyło swój ogień do dawnych pięciu. Odpowiadało im dziewięć tylko armat. Rafał był w ich pobliżu. Słyszał hurgot taczających się, spracowanych dział. Cała bateria wiła się teraz w kurczach śmiertelnej pracy, miotała jak skorpion w środku ognia. Ułan drżał nie jak na początku bitwy, ale jak wówczas, gdy szukał zabitej Heleny. Wrzaski rannych, jęki, wołania o pomoc, płacz i skomlenie zabiły jego duszę. Ściskając sobie głowę ślaniał się z miejsca na miejsce. Ktoś z artylerzystów kazał mu nosić wiadrem wodę, więc ją przydzwigał kilkakroć. Kiedy po raz trzeci biegł do zalewiska w olszynie, tuż o kilkanaście kroków od niego wyleciał w powietrze keson prochowy. Słup ognia porwał w górę i roztrzaskał o ziemię zielone złomy, zabite konie, rozrzucił koła, postronki, chomąta. W ogniu ludzie poparzeni jęczeli. Jeszcze Olbromski nie zdążył nabrać wody w wiadro, kiedy wybuchnął drugi wóz. Za chwilę trzeci... Jakiś kanonier w dymie krzychał:

— Granatnik zбитy na ziemię!

Straszny trzask granatów rozlegał się w tym miejscu. Wyrwana ziemia, lecąc w wybuchu powietrza, grzmotnęła Rafała w plecy i rzuciła w błoto stratowanej drogi.

W głuchym półomdleniu leżał wciągając w płuca wolniejsze od dymu przy samej ziemi powietrze.

Coraz bliższe wybuchy dymu z kilku i kilkunastu naraz strzałów odtrąciły bataliony polskie. I oto z nagła ucichły. Lecz w tejże samej chwili wyszły z kłębow burej sadyz nieprzejrzone szeregi piechoty.

Lasek od strony Puchał znowu dostał się w ich posiadanie. W pobliżu drogi wrzała walka na bagnety.

Sokolnicki, w ciągu całej bitwy kryjący żołnierza za lichymi osłonami, i teraz połowę swej siły wtoczył do zabarykadowanej wioski. Rezerwę krył między nią a dworem, a batalion Godebskiego w lesie. Artylerię trzymał wciąż na drodze i całą baczność zwrócił na obronę i bezpieczne posiadanie odwrotu przez groblę. Cały teraz nacisk artylerii austriackiej wywarł się na wioskę. Kiedy piechota Mohra powtórnie wdzierła się do głębi lasku, targając bagnetami piechurów Godebskiego, armaty austriackie poza plecami tej piechoty zwrócone zostały paszczami na wschód, prostopadle do Wielkich Falent, i poczęły bić w resztki siedlisk wieśniaczych.

Rafał trafił tam właśnie pospołu z kolumnami zostającymi pod wodzą Sierawskiego.

Gruchnęła w tłumie wieść, że Godebski usunięty został z pola z raną śmiertelną i że go cnotliwy Fiszer zastąpił.

Nie wiedzieć kiedy, wraz z tłumem znalazł się ułan między stodołami. Odetchnął. Nie było tu takiej ulewy pocisków. Do czasu... Na powalach chat, w stodołach, za wyrwanymi wrótniami siedzieli, stali, kłęczeli i leżeli żołnierze, odpierając strzałami szturm

infanterii austriackiej uderzającej na wioskę z południa. Jeszcze starczyło na pewien czas ładunków. Każdy żołnierz wypalił ich po sześćdziesiąt. Gdy kule armatnie rozwały którą stodołę, powyciągały z węglów jej belki, wyważyły przyciesi, wyrwały z ziemi słupy, żołnierze przenosili się kupą do drugiej, do trzeciej, włązili na wierzch obdartych chat i bili znowu. Sokolnicki formował sam partię. Był wciąż na środku drogi wioskowej i dyrygował obroną. Widział stamtąd przez tylne, północne, odsłonięte przejście swą świeżo złożoną rezerwę, do czego znowu powrócił, i artylerię. Pewna partia żołnierzy nosiła wciąż wodę w konwiach, wiadrach, lusofach i zalewała wzniecone pożary. To tu, to tam buchał ogień. Gdy artyleria wystawiona na ogień cofać się zaczęła za pałac, ku grobli, cała siła dwudziestu czterech armat napastniczych buchnęła w Falenty.

Piekielny zaczął się ogień.

Belki, krokwie, łaty trzeszczały i łamały się, darły na szczapy i wióry. Ściany wyginały się i waliły na ziemię jak długie. Od pożaru ratował mokry gnój i ziemia... Tworzyła się kupa ruin drewnianych, złanych krowieńcem, stos spiętrzony wywróconych domostw. Za nim stawali wnet żołnierze i razili jeszcze wroga stojącego w polu i sunącego wciąż naprzód z południa i wschodu.

Rafał podjął karabin zabitego grenadiera, przypasał jego ładownicę i zachyliwszy się pod sterzącą ścianę zaczął nabijać i walić. Dzika żądza w nim biła jak ten nabój w rozpalonej lufie. Zapomniał, gdzie jest i co się z nim przytrafia. Chwilami mu się zdało, że bije w kufę wilka w śnieżnym parowie i ma wszczepione w piersi jego pazury.

Słyszał głos Sokolnickiego zachryplę:

— Podsypuj, bracie, podsypuj! Ładunków nie gub! Mocno przybij! Nie żałuj! A zasie, pludry! Tuś to przywędrował, niemiecki ryju! Twoja tu ziemia, złodzieju? Bij, braciszku, jeden z drugim, nie żałuj!

To tu, to tam wzmagał się wrzask niebezpieczeństwa, okrzyk rozpacz. Zaczęły padać w wioskę, a raczej w zdruzgotane jej gnaty, płonące bomby mózdzierzowe. Bomby te w chwili pęknięcia na ziemi albo w powietrzu miotały ogień we wszystkich kierunkach. Były to wielkie wydrążone kule z żelaza, napełnione prochem. Miały w sobie otwory zabite czopami, długimi blisko na ćwierć łokcia, w których mieściły się tuleje napełnione materiałami palnymi.

Ogień obejmował stosy drzewa, mundury żywych i zabitych. Zalewano go, duszono nawozem, ale bomby zaprawne sztucznymi ogniami szły coraz gęściej jakoby stada ognistych ptaków. Zapalała się i gasła wioska Falenty w stu naraz miejscach. Szerokie żagle płomienia widać było na przodzie i w tyle, ponad głowami i u stóp. Kule ośmioletowe łamały resztki rumowia.

Sokolnicki wyjął okrągły zegarek, rozejrzał się wokoło. Wytarł pięściami oczy pełne piachu, dymu, sadzy. Odsapnął z głębi piersi. Strzepnął palcami. Była blisko godzina piąta po południu. Najbliższemu z oficerów rzekł z cicha, nad uchem:

— Batalion w tył... prawym skrzydłem... Marsz...

Wołyżerowie wynurzyli się z ognia i dymów. Byli czarni, okopceni, z tłącymi się mundurami. Przez północne wyjście z wioski tłoczyli się na drogę pod pałacem. Z trudem formowali oficerowie sekcje i pancernowe rotę z boku armat.

Sołtyk otrzymawszy rozkaz wołał w dymie ochryplym głosem:

— Bacność! Ognia w odwodzie! Półbateriami! Marsz!

Wozy dostatkowe weszły na groblę pod osłoną dwu batalionów, zbitych w kupę i wypartych z olszowego lasu. Bataliony te wciąż szarpały się z nieprzyjacielem. Pierwsza półbateria, złożona z trzech armat i granatnika, wyszła z dymnej jaskini i przez zawady rannych, przez kupy zabitych cofała się w tył, aż do linii wozów. Tam stanawszy przysposobiła się do dawania ognia. Druga półbateria, złożona z trzech dział (gdym dwa zdemontowane i rozbite zostały na placu), z pośpiechem dążyła do pierwszej.

Huknęły jeszcze strzały... Armaty kolejno wchodziły na groblę. Za szprychy, za osie i grona ciągnęli je żołnierze piechoty pospołu z rannymi końmi. Większość kanonierów czynnych upadła pod kulami silnego nieprzyjaciela. Czerwone akselbanty zarumieniły drogę falencką. Zielone kurtki zasłały ją jako wiosenna murawa. Z koni ledwie połowa została.

Sokolnicki, uwiadomiony, że i Fiszer z ranami wyniesiony został za groblę, sformował zdziętkowany Godebskiego batalion. Stanął w szeregu i, niezłomną pierś zatarasowawszy dostęp, osłaniał odwrót armat. Żołnierze jego szli nie tylko przez groblę, ale i obok niej, wskroś bagien, po pas zanurzeni. Nieprzyjaciel walił się za nimi krok w krok, szedł w ich tropy tym samym bajorem. Tu, wśród pniaków, suchych chrustów, w zeszló-rocznych kępach trzciny, zaczął się bój na śmierć i na życie. Ci, którzy szli groblą, wspierali walczących. Cały zastęp był skrwawiony, mokry i rudy od błota.

Rafał z innymi osłaniał armaty. Ziemia waliła się ogromnymi skibami z rozgniecionej grobli. Drzewa wjeżdżały w bagno Rawki, gdy koła armat wytoczyły z grobli ich korzenie. Trzeba było co chwila wywlekać te koła z rozpadlin gruntu i z jam nagle powstałych, pchać i dźwigać spiże co tchu w piersi a siły w ramionach.

Po wielkim trudzie dosięgli nareszcie twardego wybrzeża przed kuźnią raszyńską.

Stamtąd same już konie pociągnęły dalej działa. Spychając piechurów austriackich w bagno, łamiąc się z nimi oko za oko, ząb za ząb, wychodziła na suszę piechota i dążyła pod kościółek.

Nieprzyjaciel przedzierał się tą samą drogą. Ale teraz wszystkie siły polskie miał przeciwko sobie. Dwanaście dział baterii saskiej, armaty Włodzimierza Potockiego i trzynasta kompania artylerii pieszej Ostrowskiego stanęły na szanicy za kościołem, na polu od strony Michałowic i nad stawem od strony Jaworowa. Wszystkie paszczami zwróciły się na groblę. Żołnierz austriacki musiał przebyć wąski jej przesmyk. Toteż najcięższa tutaj wywiązała się walka.

Armatom polskim bardzo niewiele szkodziły baterie Mohra, Civalarda i innych, ustawione w nizinie falenckiej, za groblą. Tymczasem każdy pocisk polski, rzucony wzdłuż grobli z raszyńskiego wzgórzka, wyrывał istne jaskinie w zwartych szeregach idącej piechoty.

Kościółek, otoczony czworobokiem muru, i domostwa z cegły przy placu kościelnym służyły za doskonale schrony dla piechoty polskiej. Na grobli z wolna wyrastały wzgórza rzuconych śmiertelnym pokotem polskich chłopów zza Pilicy, Rusinów, Czechów, Słowaków, Węgrów, Cyganów, Wołochów...

Wodzowie polscy stanęli przy armatach. Książę Poniatowski chodził od jednej do drugiej, pracowicie, zimno i umiejętnie celując. Co chwila słał adiutantów w stronę Michałowic i w stronę Jaworowa, gdyż na obudwu tych punktach działa tego grzmiały. Wieści wciąż były pomyslnie, nigdzie nieprzyjaciel błota nie przebył.

Już się wczesny, wiosenny wieczór nachylał, kiedy infanteria Wukasuwicza przez wzgórzka zabitych na grobli wtargnęła na brzeg raszyński. Ale potężne natarcie batalionów Sokolnickiego, wypoczywających za kościołem, zepchnęło ją znowu z grobli i wzgórzka. Z podwójną mocą zaczęły pracować armaty, dym zasłonił wodę jasnego stawu, groblę, drzewa i biedną przydrożną osadę.

Noc zapadała, a wciąż jeszcze wyziewały śmierć zdyszane i rozpalone spiże. Dopiero gdy ciemność nastąpiła zupełna, wolno, wolno przestały szczeleć.

Dogasała luna nad zgliszczami Falent. Jęki wieczorny powiew niósł z grobli, z bagien, z wybrzeża. Mgła biała, pełną powoli znad suchych trzciny, powłóczyła te głosy śmierci niby całun dobrotliwy.

Na grobli trupem leżały dwa tysiące Austriaków, a tysiąc z górą naszych skonało w falenckiej olszynie.

Noc już była głęboka, gdy Rafał wydostał się z walczących glidów — w potarganym mundurze, bez czapki, mokry aż do ramion. Szedł na oślep przez zorane pola w stronę Opaczy. Zdawało mu się, że tam jeszcze znajdzie swe wczorajsze legowisko. W Raszynie nie było gdzie postawić nóg, nie tylko przytulić głowy. Widział odchodząc, jak do kościoła i domostw znoszono rannych. Na polach przy drodze pokotem składano trupy.

Olbromski cały był w ogniu.

Szarpała go wczorajsza rana. Teraz dopiero czuł stłuczenia od pchnięć bagneta. Płomień miał w oczach i w głowie, a jednak zimno go trzęsło. Włókł w sobie śmiertelne cierpienie, dźwigał w zamkniętych oczach widok całego tego pola, miał w ramionach ruchome kupy ciał na grobli...

Po nocy, spędzonej w pustej szopie na żydowskim przedmieściu Warszawy — a w pobliżu szubienicy miejskiej, Rafał ocknął się nade dniem. Szopa stała z dala od drogi, usłyszał jednak szcęk i turkot idących armat, taborów, piechoty. Wylazł ze swego legowiska i dopytał się u idących piechurów, że to nasi odступują na całej linii. Ogarnęło go tępe zdumienie. Kiedy na początku tej nocy odchodził z Raszyna, cała armia kipiała od dumy z odniesionego zwycięstwa! Teraz ze wszystką swoją siłą uchodziła z placu! Jakże straszliwie dudniły armaty na tej nocnej drodze odwrotu! Jakże ciężki, znużony i grobowy był krok ustępującego żołnierza!

— Sasi uszli! — tłumaczono Rafałowi z szeregów.

— Niemiec Niemcu brat!

— Podłe psy saskie! ze środka bitwy w tył poszły...

— Tysiąc dwieście głów, stu pięćdziesięciu huzarów, dwanaście armat, wszystkie swoje trzy bataliony zebrali w kupę i uszli...

Rafał wmieszał się w szeregi i pociągnął z nimi. Po drodze rozpytywał się wciąż o brygadę Sokolnickiego. Dopiero rankiem powziął wiadomość, że ten generał mianowany został naczelnikiem lewego skrzydła i że osłania nizinę Powiśla od strony Wilanowa za Czerniakowskimi i Mokotowskimi rogatkami. Olbromski z małym oddziałem piechoty, który brnął samopas, powlókł się za okopami w tamtym kierunku.

O świcie dał się słyszeć daleki ogień tyralierski. Przemknął w rannej mgle jakiś oddziałek konny i zjechał w nizinę wilanowską. Na wzgórzu w okolicach Mokotowa zaczęła Rafała straż gwardii obywatelskiej i z wielkimi, ceremoniami powiodła do oficera komenderującego wartą. Stary ów wiarus na pytania Rafała o generała Sokolnickiego nic pewnego powiedzieć nie chciał i kazał mu czekać w obozie gwardii na skraju Łazienkowskiego parku. Wyrosło tam istne miasteczko, wzniesione poprzedniego wieczora. Ze stołów, drzwi, okiennic, ławek i stolków pobudowali obrońcy miasta rodzaj chat, szałasów, namiotów, a przede wszystkim kuczek. Spali w tych schroniskach nie tylko sami, ale i ich rodziny, które przyniosły im zapasy i napoje. W chwili gdy Rafał nadszedł, gwardia już była wstała, przebudzona nadzwyczaj niedelikatnie przez pułkownika Łubieńskiego i jego adiutanta Rokickiego.

Dowódcy ustawiali w szyku bojowym rozespanych mieszczan, gdyż od strony Piaszcza słyhać było coraz bliżej strzały karabinowe. Rafał zatrzymał się w jednym z przygodnych szałasów, usiadł tam w kucki pod nakryciem drzwi wyrwanych skądś z zawiasami i zapadł w stan drzemania. Po dniu wczorajszym miał wciąż jeszcze huk w głowie. Z krótkiego snu wyrwało go silne targnięcie za ramię. Jakiś nieznany mu oficer budził go i wołał do generała.

Sokolnicki stał niedaleko na koniu. Był schlastany bryłami gliny do galonów i kity na czapce. Ciżmów i amarantowych spodni nie widać było pod błotem. Twarz miał czarną i posępną od znużenia. Koń jego cały był w pianach. Para szła z niego.

Gdy Rafał przybiegł do strzemięcia z ukłonem, generał zażartował:

— Tak to się sprawiasz, panie adiutancie? Po szałasach tej babskiej piechoty muszę cię szukać! Co za czapkę masz na głowie?

— Panie generale... czapka spadła na grobli, gdyśmy dygowali armaty. Podjąłem pierwszą z brzegu na szosie, w nocy. A konia mi zabito koło Falent. Jestem niezdrów...

— Ech, piecuchy! czy dostałeś co nowego w lasku?

— Zdaje mi się, że mię szturchano, ale dokładnie nie wiem, gdzie i kiedy...

— Cóż myślisz zrobić?

— Muszę poszukać schronienia, bo mi trudno stać na nogach.

— No, radź sobie, jak umiesz.

— Panie generale...

— Czegóż jeszcze!

— Czy, gdybym wyzdrowiał, mogę mieć nadzieję służby pod jego rozkazami?

Sokolnicki pomyślał przez chwilę, obejrzał go od stóp do głowy i rzekł niechętnie:

— Możesz zgłosić się do mnie. Tylko nie piechotą. Pomyśl o dobrym koniu i lepszym uniformie. Może się znajdzie dla ciebie miejsce adiutanta.

Rafał podziękował mu ukłonem i spojrzeniem. General w tłumie oficerów popędził w kierunku Mokotowa.

Olbromski ze zdziwieniem dowiedział się, że to już popołudnie. Mówiono w szeregach gwardii o zawieszeniu broni. Nie mając tu co czynić, strudzony ułan poszedł wprost przez park Łazienkowski ku miastu. Minął nogą za nogą dolne aleje, wszedł na górną i obok drewnianych domków brnął po błocie. Często przystawał, opierając się o drzewa. Kiedy wszedł w miasto, był tak osłabiony, że wciąż przysiadł na ziemi. Wspominał sobie to głód, to pragnienie, ale przede wszystkim miał w oczach i myśli wczorajsze pole. Blisko trzy dni nie jadł.

Kiedy ostatni raz dźwignął się z ziemi i podniósł oczy, ujrzał przed sobą żelazną kratę ogrodu, przerzucone przez nią suche jeszcze, poplątane badyle dzikiego wina, a w głębi ogrodu front pałacyku i balkon. Stały naprzeciwko jego oczu drzwi zamknięte, okna z zapuszczonymi firankami, kamienne schody z lewej strony balkonu, byliny zeszłorocznych kwiatów na klombach...

Wsparł się rękami i ramieniem na tępych grotach żelaznej balustrady ogrodzenia i patrzył uważnie w to miejsce. Tu za lustrzanymi drzwiami rozlegał się szelest sukni Heleny de With. Tu szemrały pod atlasowymi stopy małe ziarenka piasku, zaniesione przez wiatr na gładkie skrzyżłaje z marmuru, gdy zstępowała cicho jak duch. Prawdaż to, o mocny Boże, że już jej nie ma?... Serce tłukło się o żelazne kraty, przy których było niegdyś w oczekiwaniu. Żelazne szczeble okryła ruda rdza. Rygiel furtki był zasunięty, na ścieżce leżały badyle i czarne liście. Na szybach, na stopniach ganku, za nieruchomymi firankami gnili niezblągane i niezłomne milczenie.

Ulicami ciągnęły podwozy chłopskie, zwożące do Warszawy w gnojnicach i drabinkach rannych spod Raszyna i spod Piaseczna. Gdy szpitale były już przepełnione, mieszkańcy zabierali do swoich domów nieszczęśliwych, odstawionych częstokroć bez żadnego opatrzenia, w oplakany stan.

Jakiś oddziałek gwardii spostrzegł Rafała przytulonego do kraty ogrodu i zabrał go ze sobą. Ranny poszedł bez oporu. Na pytanie, czy nie ma w Warszawie rodziny, krewnych, znajomych, nie umiał odpowiedzieć, przytłoczony mocą ostatniego wzruszenia. Ale wreszcie przypomniał sobie dom księcia Gintulta i prosił, żeby go tam odprowadzono.

Brama pałacowa była otwarta, a na podwórzu stało kilkanaście chłopskich furmanek. Chude konięta chrupały obrok w torbach i siano w półkoszkach tuż pod oknami. Główne wejście, dawniej szczelnie zawsze zamknięte, teraz rozwarło się na ścieżaj. Rozmaici ubodzy ludkowie wchodzili i wychodzili tamtędy. Kiedy dwaj gwardziści wprowadzili Rafała do przedziona, na ich spotkanie wyszedł stary kamerdyner z Grudna. Nie poznał wcale Rafała i zajął się nim z ledwie ukrywaną niechęcią.

W salonach dolnych i w przepyszej bibliotece stały teraz łóżka, łóżka i łóżka, jak w szpitalu, a na nich stękali ranni. Ciche, wykwintne pokoiki, zamienione na sale operacyjne, zalane były kałużami krwi, pełne straszliwych krzyków ludzi operowanych na trzeźwo, wijących się w konwulsjach pod piłką i lancetem. W innych dogasali z jękiem konający. Kilku młodych chirurgów w krwawych koszulach uwijało się między łóżkami. Za nimi nosił wodę w miskach, ręczniki, gąbki, przyrządy operacyjne stary, na pół oślepy Andrzej. Rafał widział to wszystko jakby we śnie. Posadzony na krześle w jednym z przyległych pokoiów, oparł głowę o ścianę i śnił na jawie o pustym domu Heleny de With.

Wiosenne słońce płonęło. Potok światła wlewał się do ogrodu. Długa uliczka wysychała w tym blasku i dymiała się od wiosennego, przedwieczornego czadu.

— Oto jeszcze jeden ranny... — wyszeptał jakiś głos we drzwiach pokoju.

Rafał dźwignął ciężką głowę i skierował oczy w to miejsce. We drzwiach stał książę Gintult. Ranny poznał go bardziej po wzruszeniu całego swego ciała, po drzeniu serca, po dreszczu rąk i nóg niż zamglonym wzrokiem. Książę zmienił się prawie do niepoznania. Ciemnoszara twarz porznięta była brudami, oczy skryły się pod osłoną powiek. Zęby powypadały, a ostatni z nich sterczał zabawnie na przodzie.

Książę Gintult zbliżył się do Rafała i długo patrzył nań z odcieniem zdumienia.

— Przecie to jest Rafuś Olbromski... — rzekł wreszcie z cicha do swego starego sługi.

Andrzej chwilę łypał oczyma, zanim zdołał wykrztusić:

— Ale co też to książę pan!... Przecież to jakiś oficer.

Rafał dźwignął się ze swego miejsca i wyciągnął do księcia rękę.

— Rahuś! na miły Bóg... Więc i ty między wojaki? No, chwałaż Bogu, żeś żywy i żeś się pod ten dach dostał. Andrzejku! żywo, żywo, dajcież mu osobny pokój, ten, w którym mieszkał swego czasu.

Ranny znalazł się wkrótce w dawnym swym łóżku. Chirurg opatrzył jego starą ranę na nowo, przemył, oczyścił i zalepił świeżo otrzymane pchnięcia, kazał mu dać posiłek i ułożyć do snu.

Rafał ocknął się dopiero nazajutrz rano. Okna były już półluchylone. Stary Andrzej w swych pantoflach z żółtej skóry bezdźwięcznie sprzątał w pokoju.

Rafał czuł się daleko lepiej. Miał wprawdzie jeszcze ból głowy, ale już ani śladu wczorajszego ucisku. Andrzej patrzył na niego uważnymi oczyma i zginał sztywny kark w łaskawym ukłonie. Wkrótce nadszedł książę z chirurgiem. Kiedy ostatni opatrywał rany, Gintuł siadł w nogach Rafałowego posłania i przypatrywał się obojętnie tym czynnościom. Chirurg wnet wyszedł oznajmując, że chory za dwa, trzy dni będzie mógł wstać z łóżka.

— Cieszę się — rzeki Gintuł — że nie jesteś ciężiej chory, gdyż w takim razie musielibyśmy się zaraz rozstać.

Rafał nie zrozumiał.

— Będę zmuszony wyjechać z Warszawy — ciągnął książę — a chciałbym mieć w tobie towarzysza podróży.

— Niestety, jestem teraz skrępowany służbą żołnierską. Skoro tylko wyzdrowieję, muszę się udać do obozu.

— Tam właśnie i ja podążę.

— Książę pan wstępuje do wojska?

— Aha.

— Jakże się cieszę!

— Nie masz czego... Ja nie z chęci walczenia z Austriakami idę do obozu. Powinien byś mnie rozumieć. Idę spełnić powinność... Nie wiem, czy z tobą mogę mówić jeszcze jak dawniej. Postąpiłeś ze mną tak dziwnie... wyjechałeś bez słowa oznajmienia.

Olbromski posępnie milczał.

— Przyszedłem tutaj nie po to, żeby ci robić jakiekolwiek wymówki. Bóg z tobą. Rad jestem, że wracasz do zdrowia.

— Nie mogę wypowiedzieć w tej chwili wszystkiego, co mię skłoniło wówczas do nagłego wyjazdu — to tylko wyznać jestem zdolny...

— Nie trudź się.

— Ojciec mię wezwał...

Gintuł uśmiechnął się pobłażliwie.

— Ojciec pisał tu do mnie po twym wyjeździe, zasięgając wiadomości, gdzie jesteś.

Rafał zamilkł. I książę siedział w milczeniu.

Po jakimś dopiero czasie rzekł:

— Nieraz wspominaliśmy cię z mistrzem katedry...

— Czy przebywa tutaj major de With? — spytał bezczelnie Olbromski.

Książę podniósł na niego blade oczy i rzucił wzgardliwe słówko:

— Nie.

— Gdzież jest?

— Przed Bogiem. Mistrz katedry zginął.

— Walcząc z nami!

— Jeżeli wiedziałeś o tym, to dlaczego trudzisz mnie i siebie niskim kłamstwem?

— W jakim celu książę pan udaje się do obozu? — wykrętnie spytał Rafał.

— W celu przypatrywania się, jak to mam zwyczaj, biegowi rzeczy ludzkich.

— Dziwny cel... W chwili nieszczęścia kraju... — mówił Rafał ze spuszczonymi oczyma.

— Tak sądzisz?

— Wczoraj byłem w bitwie. Widziałem, że tam nie ma miejsca na badania rzeczy ludzkich.

— Nie ma?

— Można tam przynieść duszę swą i ciało z wiarą w skuteczność boju. Wtedy się jest potrzebnym. Kto by szedł po to, żeby patrzeć, jak inni umierają...

— Jeśli mię pamięć nie myli, można dostrzec jeszcze jedno miejsce w bitwie, właśnie dla siebie.

— Nie rozumiem.

— Bo też złym byłeś uczniem, twardego byłeś karku i zmysłowych oczu.

— Dziś jestem żołnierzem i za jedyną cnotę uznaję i wyznaję niezłomne męstwo.

— Mówisz też jak żołdak.

— Każdy dziś człowiek na tej ziemi powinien być żołnierzem. Widziałem, jak generał Sokolnicki po żołniersku stał piersią całą naprzeciwko wroga.

— Widzisz, bracie, ja jestem ten, który o wszystkim i o tym męstwie Sokolnickiego chce mieć swój własny sąd, wyważony z sumienia.

— Nie pora na to.

— Mnie zawsze pora.

— Nie! Teraz pora iść na wały! Kto żyje! Czynić, co każą.

Książę spochmurniał. Zaćmiła się jego twarz. Rzekł wstając ze swego miejsca:

— Nie pora już na to, co tak ordynarnie zalecasz mi, mój rycerzu, ale tylko z tego względu, że podpisano konwencję: Warszawa będzie ustąpiona Austriakom.

— Kto podpisał? — krzyknął Rafał wyskakując z łóżka.

— Leż spokojnie.

— Za krew, co bluznęła z tysiąca kilkuset piersi na drodze raszyńskiej — ustąpienie!

— Leż spokojnie. Już wojska nasze idą na Pragę.

— Więc jestem jeniec?!

— Ranni w potrzebie raszyńskiej mają prawo po wyleczeniu się iść do swych brygad. Gdy się wyliziesz, pójdziemy obadwaj. A po drodze jeszcze ze sobą porozmawiamy. Teraz masz jeszcze gorączkowe w głbie i może dlatego brutalne słowa, a ja tego nie znoszę.

— Raczy książę przebaczyć...

— Nie jestem wcale obrażony, aczkolwiek lubię prowadzić roztrząsania bez krzyku.

— Kiedyż stąd wyjdziemy?

— Jak tylko ty i twoi kamraci, a przynajmniej pewna ich garstka, będziecie mogli stać na nogach.

— Czy nie wiadomo księciu, gdzie się obraca generał Sokolnicki?

— Poszedł już na Pragę.

— Czy Austriacy są już w mieście?

— Nie, jeszcze ich nie ma. Zapewne w tych dniach wejdą. Konwencja jest zaszczytna i, ile ja wnosić mogę słabym rozumem ze wszystkiego, nadzwyczajnie dla nas zyskowna.

— Jakże to?

— Masa wojska cesarskiego uwięziona zostanie w stolicy, a nasz żołnierz wyruszy w pole...

RADA

Nim upłynęło zawieszenie broni, rankiem dnia dwudziestego trzeciego kwietnia książę Gintuł schodził ze wzgórz Dynasowskich w towarzystwie Rafała dla przeprowadzenia się za Wisłę.

Ulice, przez które dążyli, były puste, a okna pozamykane okiennicami. Już most na pontonach naprzeciwko ulicy Bednarskiej był zwinięty, a i same krypy z materiałem woj-skowym wyprawione w dół rzeki. Mieli tedy przebyć Wisłę łodzią. Gintuł zatrzymał się u stóp wzgórza i wodził okiem po swym pałacu, który zostawił na łasce obcego rządu i kilku starych lokajów, pełen chorych oficerów i żołnierzy. Nie było tam już miejsca dla niego, gdyż liczba rannych trzystu dochodziła.

— Zdaje się — rzekł z cicha do Rafała — że już więcej nie zobaczę tego domu. Praga nie jest objęta konwencją. Łatwo przewidzieć, że nastąpi bombardowanie Warszawy przez Pragę i Pragi przez Warszawę. Urodziłem się pod tym dachem, tam jest moja biblioteka, zbiory, pamiątki... Żegnaj, stara chato...

Rafał usiłował skleić coś pocieszającego, ale książę machnął ręką. Zeszli ku rzece i zdą-żali jej wybrzeżem, pustkami ulicy Dobrej aż do rogu Bednarskiej. Obmurowany kanał wodny, sięgający od Wisły w głąb ulicy Dobrej, dziwacznie teraz wyglądał po zdjęciu

pontonów. Thukły się w nim łodzie przewoźników, wrzaskliwie zapraszających do jazdy za wodę. Książę i Rafał siedli w jedną z nich i wkrótce stanęli na tamtym brzegu. W okopach pełno było wojska. Rewidowano i sprawdzano tożsamość osób przybyszów zza Wisły, ciągniono ich do jakichś władz na ulicy Olszowej, które nie mogły sobie dać rady i nie wiedziały, jak się właściwie zachowywać.

Po załatwieniu formalności wyszli z dusznych izdebek w drewnianych barakach, gdzie ludzie dusili się czekając na swoją kolej, i poczęli szukać wyjścia z obrębu okopów. Szli tedy w ulicę Brukowaną, prostopadłą do Wisły, ale trzeba było stamtąd cofnąć się, gdyż zabrnęli w kąt narożnikowy trzeciej lunety. Żołnierz-wartownik wskazał im właściwą drogę, która prowadziła między dwoma skrzydłami koszar wojskowych, zdążyła do szyi drugiego biretu, stamtąd szła na prawo i wychodziła w stronę ratusza oraz rogatek Brudzińskich. Wydostawszy się z obrębu szańca przedmostowego Gintult przystanął na przecięciu dróg i patrzył na fortyfikacje. Zrazu twarz jego była senna i bezśloneczna, znudzona i skrzepla w smutku. Ale oto wzrok mu się ożywił.

— A wiesz ty — rzekł szeptem, jakby się bał, że ich ktoś może podsłuchać — że to jest wcale godny szaneczek! Na miły Bóg... Widzisz ty tamten biret środkowy, ostrzem zwrócony w rogatkę Ząbkowską? To tęga sztuka. Albo i tamta luneta zwrócona ku rogatkom Gołędzinowskim i drodze do Nowego Dworu. Właściwie to ona jedna, sierota, i ku Warszawie się zwraca. Któż by pomyślał, że taki los ci padnie, niebożę, przeciwko matce Warszawie dziób swój i pazury nastawiać...

Zawrócił się na lewo w kierunku trzeciej reduty, zamykającej dostęp od ulicy Sprzecznej i rogatek Grochowskich. Z ożywieniem pośpieszył wielkimi krokami w stronę Saskiej Kępy i rozpatrywał szanec nad łachą obok drogi, okop na samej Kępie za promem łachy tuż nad Wisłą, a obok drogi do młyna wodnego. Oglądał teraz uważnie i szczegółowo skarpy nasypów idących ponad Wisłą od szańca przedmostowego aż do zagięcia łachy. Wrócił potem na drogę i szedł w zamyśleniu, kierując się ku klasztorowi bernardyńców. W pewnej chwili zapytał:

— Czy nie wiesz czasem, jakie są szańce za rogatką Grochowską?

— Nie wiem.

— Pamiętam z dawnych czasów... Szedł tam nasyp od Kamionek, przecinał drogę Okuniewską i w pobliżu traktu do Radzimina kończył się tęgim barkanem.

— Nie wiem tego.

— Szkoda, że nie możemy zobaczyć na własne oczy, czy są jakie działa w tamtej stronie, na wprost Targówka. Ale nie ma już czasu. Spieszmy się!

Wielkimi krokami minęli klasztor bernardyński i weszli w ulicę Szeroką. Tłoczyło się tu mnóstwo furmanek, bud przekupniów, brnęła lekka piechota wołyżerska. Książę najął furmankę nie pytając się o cenę. Wsiedli i przez rogatki Gołędzinowskie wyjechali pod szanec przedrogatkowy. Droga okrążyła go kołem z prawej strony, toteż książę mógł dobrze obejrzeć nasypy, równie jak głęboką fosę wodną, która szła od szańca do Wisły.

— Tęga księża rogatywka... — mówił na pół do siebie. — Niczego... Nie myślałem, żeby tutaj takich prac dokonano... Chłopiec! — zawołał na woźnicę — jedź no mi żywo, śpiesz się...

Wózek potoczył się traktem do Nowego Dworu. Na prawo widać było przed rogatką Ząbkowską jeszcze dwa w polu szańce, oddzielnie jeden od drugiego, rzucone na prost żydowskiego cmentarza. Mgła jeszcze stała nad nizinami, nad łachami, szła z wód, z zalewisk, z szeroko wyciągniętych ramion Wisły. Wózek szybko pomykał za wojskiem, którego straż przednia zostawała pod rozkazami Sokolnickiego. Dopędzili wojska o jakie dwie mile od Pragi, na połowie drogi z Warszawy do Modlina. Bagaże szły przodem pod eskortą trzystu ludzi. Piechota miała żywności na dni cztery, po sześćdziesiąt ostrych ładunków i po dwie skalki. Żołnierze wyszli z okopów Pragi o ciemnej nocy. Teraz w marszu, prowadzącym w trójkąt między Wisłą, Bug i ujście Narwi, bez wiadomości dokąd i po co idą, sarkali omal nie głośno.

Brygada Sokolnickiego składała się z trzech regimentów: dwunastego, ósmego, szóstego. Generał Kamieniecki na czele regimentów: pierwszego, drugiego i trzeciego dawał straż odwodową. Artyleria, przywiązana do batalionów, szła w szyku bojowym, każda sztuka za swym batalionem. Awangarda i ariergarda szły o pięćset kroków tylko oddalone od kolumny. Co kwadrans dawano wojsku krótki spoczynek i uprowadzano je dalej

a dalej forsownym krokiem. Bagaże miały rozkaz nie wkraczać do fortyfikacji Modlina, lecz wyjść poza nie od strony Płocka i tam zatrzymać się w jednej linii. Furmanka wioząca księcia Gintuła dostała się między markietanów, z których każdy miał numer dający mu prawo do dwu wozów. Wnet piesi i jadący markietanie oraz markietanki zaczęli sarkać i odwoływać się do dywizyjnego wagenmajstra, ażeby usunął nową podwodę za kolumnę wojska. Po rekomendacji udało się przecie Rafałowi i księciu pozostać w kolumnie i zawiązać rozmowę z oficerami. Nikt z nich nie rozumiał celu tego marszu. Przewidywali tylko, że zamknąć się przyjdzie w forticy. Zniechęcenie było ogólne. Po południu czoło kolumny zbliżyło się do Modlina, ale bryczka książęca długo musiała pozostać na miejscu.

Generał brygady Biegański odłamywał z kolumny swojej jeden batalion dla pilnowania mostu, który właśnie z łyżew warszawskich przytwierdzono kotwicami i zaścielano pomostem. Rafał powziął wiadomość, że generał Sokolnicki wskazuje brygadam miejsca ich w obozie, cała bowiem piechota otrzymała rozkaz obozowania militarnie z zachowaniem wszelkich ostrożności wojennych. Po długiej przerwie otworzyła się wreszcie droga i książę Gintuł powziął wiadomość o miejscu pobytu sztabu. Tam kazał jechać.

Zbliżając się traktem do starego Modlina spotkali jadącego w gronie kilku oficerów różnego stopnia generała Niemojewskiego. Stary legionista przypatrzył się dobrze księciu i zagadnął go z konia:

— Jakim to prawem, mości książę, na moje podwórko?

— Także to szerokie zatoczyło płoty? Aż po Modlin?

— Tak jest! Musicie z waszych Galicjów chodzić do nas w Wielkąpolskę, chcący wytchnąć. Do kogo książę?

— Mam interes do kogoś z naczelników.

— Może aż do samego wodza?

— A pewnie, że i do niego przyjdzie dotrzeć.

— Nie wiem, czy się to uda, bo właśnie zdążam na radę wojenną.

— Och, to nie mam po co się śpieszyć...

— Osobliwie, jeśli sprawa prywatnej natury.

— Prywatnej nie prywatnej, ale osobista. Chcę dać, co mam ze sobą, na formację szpitalów wojskowych, lepiej urządzonych, niżem to widział w Warszawie po akcji raszyńskiej. A nadto...

— Jeślibym mógł pomóc...

Generał podjechał bliżej do bryczki. Rafał wysiadł z niej i szedł ścieżką nad rowem. Książę z generałem rozmawiali z cicha:

— Mam tu za Świdrem, w Galicji — mówił książę — parę wiosek. Byłoby tam łatwo utworzyć jaki batalion, a może i pułk nie najgorszy, gdyby tylko jakiś oddział przekradł się za kordon i zwołał lud młody. Chciałem właśnie rady zasięgnąć...

— Brawo, panie bracie! Cho-cho... Idziemy z tym do wodza. Także nam gadajcie, Galicjanie!

— Dobrze waćpanu dworować sobie z naszej galicyjskiej niedoli, gdy masz dom i wioskę pod bokiem.

Wkrótce wjechali w opłotki wsi i zatrzymali się przed murowaną oberżą. Zaledwie Niemojewski otworzył drzwi, posłyszeli w sąsiedniej stancji gwar żywej rozmowy. Książę chciał zatrzymać się w pierwszej izbie, ale Niemojewski pociągnął go ze sobą i przedstawił zgromadzonym. Mało kto zwrócił na to uwagę. Widać było od rzutu oka, że na tym posiedzeniu musi być powzięta decyzja zasadnicza. Wszystkie twarze były pełne niepokoju, skupienia i ciekawości dochodzącej aż do granic trwogi. Książę Poniatowski, wtłoczony na małą kanapkę za okrągłym stołem, zwijał i rozkręcał dłonią arkusz papieru. Obok wysoko zasłanego łóżka stał Zajączek, z przesadną, umyślnie podkreślaną służbistością nie zajmując miejsca, nie ośmielając się usiąść. W kącie pokoju od ściany do ściany chodził olbrzymi Dąbrowski.

Wielka twarz jego, długi, mięsisty, pałkowaty nos, wygolone wargi grubych ust, każdy muskuł drgał i kurczył się od wewnętrznych wzruszeń. Wielka ręka niecierpliwie wicherzyła i tak już nastroszone włosy. Sapał, przystawał, oglądał zebranych oczyma i znowu zaczynał chodzić w swoim kącie. Pod ścianą stał ze skrzyżowanymi na piersiach

rękoma Sokolnicki, Biegański, dalej Kamiński, Kamieniecki, Fiszer, Piotrowski, Hebdowski, Grabowski, Woczyński, Izidor Krasiński, Roźniecki, Hauke.

Kiedy Niemojewski z Gintułem wszedł do pokoju, Dąbrowski przyjrzał się gościowi i rzekł półgłosem:

— Gdzie ja go widziałem?...

Książę uklonił mu się z dala. Stary generał pokiwał ku niemu głową i mruczał do siebie:

— Aha, już wiem... Zestarzeliśmy się, mości panie, od tamtych czasów w Weronie, kiedyś to mię tradował o szkapy Aleksandra Macedończyka...

Wszyscy zwrócili na przybyszów spojrzenia, w których malowała się myśl nie o tym wcale, na co patrzą.

— Mości książę! — rzekł Niemojewski do naczelnego wodza — idąc tutaj spotkałem księcia Gintuła. Ma on zamiar ufundować pułk jazdy na swój koszt wyłącznie. Sądziłem, że wasza książęca mość raczy przyjąć...

— Cieszę się niewymownie z ofiarności obywatelskiej waćpana. Ale czas nie po temu...

Po chwili, jakby dla naprawienia tego, co powiedział, dorzucił:

— Służyliśmy pod dawnymi znakami, nieprawdaż? Przypominam sobie...

Gintuł skłonił się z dala.

— Racz, mości książę, zająć miejsce. Mamy tu radzić o dalszych naszych krokach. Może nam podasz myśl szczęśliwą...

Gintuł zatrzymał się u drzwi i głębokim spojrzeniem, pełnym miłości i żalu, oglądał tych ludzi.

— Tak tedy — rzekł wódz naczelny — raczcie, waćpanowie, dać radę, co dalej czynimy.

To mówiąc podniósł spłoszone oczy przede wszystkim na Zajączka. Wyraz antypatii, dochodzącej do najwyższych granic, wyrwał się z tych oczu. Wyraz dumy i wgardy drgał w każdej sylabie słów:

— Proszę przede wszystkim o zdanie ichmość panów generałów dywizji.

Zaległo milczenie.

— To, co przedstawiłem, nie jest moim własnym widzimisię — ciągnął jeszcze książę Józef. — Ja osobiście gotów jestem na wszystko. Kazałem Hornowskiemu walić przede wszystkim mój dom „Pod Błachą”, jeśli przyjdzie do bombardowania Warszawy.

Wyraz jadowitego szyderstwa przewinał się po wąskich wargach Zajączka.

— Sądzę — rzekł ten naczelnik dywizji — że nie przyjdzie aż do takiej klęski ostatecznej...

— Jak bombardowanie Warszawy... — wtrącił Fiszer pragnąc, widocznie, złagodzić sens słów starego zawistnika.

— Jak zburzenie pałacu „Pod Błachą”... — wyrębał Zajączek zwracając się ku Fiszerowi z tym samym uśmiechem, zmazanym w jadowitej złości.

Wódz zniósł to spokojnie. Błady z ran Fiszer rzekł dalej:

— Dlaczego sądzisz, generale, że nie przyjdzie do tego?

— Tak sądzę. Strzały z Pragi na Warszawę weгнаłyby Austriaków w biedę nie lepszą od pamiętnej sprzed lat piętnastu. Toteż nie złączą oni strzelać na Pragę. Ale cóż mi z tego, że zatrzymamy tę fortecę i skraweczek ziemi? Gdzież się tu podziąć? Z czego wyżywić żołnierza? Prusaki nad karkiem, tych trzydzieści tysięcy z górą, miasto zajęte, popłoch, a Cesarz o setki mil. Jesteśmy jak łacha przed przyplywem.

— To wiemy, ale jakież wniosek? — rzekł oschle książę Poniatowski.

— Moje zdanie jest takie: zebrać wszystkie siły co do nogi w hufiec, przejść Wisłę i forsownym marszem dążyć przez Śląsk Cieszyński do Saksonii. Złączyć się z Cesarzem i czynić, co rozkaże. Oto wszystko...

— Księstwa tak porzucić nie mamy prawa! — wtrącił Fiszer porywczo. — Cóż pomysli sobie mieszkaniec? Po jednej bitwie, po odstąpieniu Warszawy precz uchodzimy z kraju!...

— Mnie przede wszystkim wcale nie obchodzi zdanie mieszkańca — odrzekł Zajączek — tylko moje zdanie, to znaczy racja wojskowa. Jestem generałem Cesarza, nie mam

prawa zmarnować wojska, które mi powierzył, a tu mogę je tylko zmarnować.

Szmer niechęci wionął po zgromadzeniu.

— Tak, tak, tak! Ja powtarzam tę samą myśl: jestem generałem cesarskim i tylko cesarskim...

— A waćpan co radzisz czynić? — zwrócił się książę Józef do Fiszera, widocznie pragnąc przerwać potok słów Zajączka.

— Prędeż bym wołał zamknąć się w fortecach i czekać. Jest Modlin, Głogowa, Gdańsk, Kistrzyń. W każdej z tych fortec jest garść naszego żołnierza. Możemy się bronić miesiącami.

— O głodzie — wtrącił Zajączek zapisując coś w swoim notesie.

— Wolalbym bronić się o głodzie niż ujść z kraju. Ja znam się z głodem, więc wiem, co mówię!

— Toteż waćpan możesz się głodzić do woli, ale nie masz prawa głodzić żołnierza. Kiedy mówię o wyjściu z kraju, to w tej chwili żywię nadzieję powrotu mając Cesarza na czele armii. Nie ucieczkę doradzam, tylko wyjście z pułapki, manewr wojenny. Sami tu nic nie zbudujemy. Stracimy tylko tę garstkę naszych rekrutów, działka i na tym nasz haniebny koniec.

— Widzieliśmy wszyscy tych rekrutów w boju... — zaczął książę Józef.

— Cokolwiek książę pan raczy powiedzieć na pochwałę tych, powtarzam, kantoni-
stów, to tylko powinno zachęcać do wykonania mego planu. Złożymy ich tu kupami
znowu w jakim Raszynie i znowu zawrzemy szlachetny akt złożenia na kupę pruskich
karabinów. Powtarzam: to nie nasz żołnierz, tylko posiłkowy, więc cesarski.

Książę był błądliwy jak papier, który trzymał w ręce. Generałowie milczeli, ale znać było, że większość podziela zdanie Zajączka albo nie ma żadnego. Po długiej i ciężkiej ciszy mówca rzekł łagodniej:

— Ja tu zresztą słyszałem, oprócz swego, jedno tylko zdanie, Fiszera. Rad bym wysłuchać innych opinii.

— Sądziłbym — zaczął mówić generał Kamieniecki — że moglibyśmy posunąć się ku granicom litewskim i czekać tam sprzymierzeńca.

— Słyszymy o obywatelach galicyjskich, gotowych złożyć nowe pułki... — wtrącił Sokolnicki.

— To ostatnie jest szczególnie pocieszającą nowiną. Nieprzyjaciół rozsiadł się w naszej stolicy, a my werbujemy pułki za jego kordonem, w jego kraju, pod jego okiem. To przynajmniej po polsku! — szydził Zajączek.

— Rzeczywiście, że to po polsku! — ozwał się z kąta Dąbrowski grubym, chrapliwym głosem. — Tak robił stary Czarniecki: Ty, Rakoczeńku, do mnie, na moje śmiecie, to ja, Rakoczeńku, do ciebie! A tu jeszcze nie na cudze, mospanku, tylko na swoje własne.

Wszyscy spojrzeli ku starcowi i wlepili oczy w jego oblicze.

— „Ja” — to znaczy ów pułk jeszcze niesformowany za cudzą granicę... Czarniecki!... — mruknął Zajączek, bokiem zwrócony do antagonisty i nie patrząc na niego.

— „Ja” — to znaczy my wszyscy, żołnierze, jak tu jesteśmy!

— Zbyt to dla mnie enigmatyczne.

— To jasne jak słońce. Waćpan widzisz ten plan od czterech dni, bo ślepy by go nie widział, ale po zwyczajach z pychy mącisz w głowach i w sumieniach.

— Mości panie! — zapienił się Zajączek szarpiąc ręką szpadę.

— Żebyśmy nie zapomnieli, żeś między nami rangą najstarszy — ciągnął Dąbrowski. — Pamiętamy.

— Jestem rangą najstarszy, to niewątpliwa. Nie dlatego jednak podałem zdrową i jedyną radę, tylko dla pospolitego dobra. Niech książę Ferdynand pójdzie na ziemie pruskie i pobudzi Wszechniemce — co wtedy? Kto będzie bronił ludu, o którego mniemania tak wam chodzi? Rozdepcą go wtedy i w obcy nam naród obróć.

— To samo mogliby zrobić bez chodzenia we Wszechniemce, gdybyśmy, stosownie do rady waścinej, szli marszem... w tropy Dyhernna.

— Jam już wszystko powiedział. Teraz słucham rozkazów.

Dąbrowski przez chwilę milczał. Potem ciężkimi krokami bezwiednie wyszedł ku środkowi izby. Ołbrzymie jego ciało ledwie się mieściło w ciasnym wojskowym uniformie. Ciężko westchnął. Obejrzał płomieniami oczu twarze generałów i rzekł:

— Moja rada jest taka: nie ustąpić! Ani piędzi. Owszem — napaść!

— Dobra rada... — zgnął go szyderstwem Zajączek.

— Napaść co tchu, nim przekroczą Wisłę. Jeszcze jej nigdzie nie przeszli. Mostu nie mają. Jeśli tedy ją przejdą, to w bród albo na krypach, to znaczy garstką. Tę zgnieść napaścią. Nim most zbudują przejść Świder i całą siłą zagarniać Galicję po prawej stronie Wisły aż do jej źródła. Możemy po drodze zetknąć się z Cesarzem i księcia Ferdynanda wziąć we dwie kluby. Całą Galicję skrzyknąć i podnieść. Nasza to ziemia rodzona. Od wieków... Na głos twoich kroków, wodzu, cała się zatrzęsie po szczyt karpacki. Z tym żołnierzem, który stał nad błotem raszyńskim... Mocny Boże! widziałem przecie tymi starymi oczyma, co już nie na jedno patrzyły... Idź w kraj nie jako oficer, lecz jako zwia-
stun!

— Prawdę powiedział! — jak jeden krzyknęli generalowie.

Poniatowski po tych słowach wstał i oczy jego zaszklily się łzami rycerskiego uniesienia. Wszyscy zbliżyli się ku Dąbrowskiemu. Twarze ogniem gorzały.

— Za wygraną bitwę obstoi takie słowo! — rzekł twardo Sokolnicki.

— Pójdziesz z nami, generale! — mówił wyciągając rękę wódz naczelny.

— Nie — odpowiedział twórca legionów. — Szczerze wyznam, co w sercu: stary jestem i do słuchania rozkazu ciężki. Rogata dusza — to darmo. Co robię, to robię sam ze siebie i wtedy dopiero z ramienia. Takim już warchołem. Na tym mi życie zeszło. Oto, mości księżę, daj mi rozkaz. Tego usłucham. Każ wsiąść na bryczkę i jechać w Poznańskie. Moja to dziedzina. Nim dojdiesz do Krakowa, ja ci znad Gopła tłum Mazura przywiode...

SZANIEC

Drobny deszcz siał bez przerwy na zieloną już nizinę Wisły. Sosnowe lasy zapachniały wiosennym oparem. Brzoza miękką i lotną mgiełką się zdała między sośniami Mazowsza. Bataliony dwunastego pułku piechoty pod wodzą pułkownika Weyssenhoffa, drugi pułk jazdy i dwa działa artylerii konnej, wszystko pod wodzą naczelną Sokolnickiego, chyłkiem a lekko dybały spod okopów Pragi nad Świder. Kolumna ta, która bagnetem pułku Weyssenhoffa zdobyła wioskę Grochów najeżoną austriackimi działami, wyszedłszy z Radzimina 29 kwietnia, prawie bez przerwy szła forsownym marszem wzdłuż Wisły, starodawną drogą na Gocław, Lasy, Zerzeń, Miedzeszyn, Falenicę i Świdry Dalsze. Lasy były puste, piaski zdeptane przez ustępującego Austriaka, porzniete od kół armatnich. Nikt nie wiedział, jaką siłą nieprzyjacieli przeczuli na prawy brzeg Wisły, czy miał gotowy most, czy tylko przewiózł część wojska na krypach. Chłopi z Falenicy nie umieli nic powiedzieć. Po wiórach świeżych, gęsto w rzece płynących, rybacy nadbrzeżni wnosili, że most chyba gdzieś w górze budują. Jeden z przewoźników, któremu udało się dotrzeć do tamtego brzegu, przywiózł wiadomość, że Niemcy zabrali z Warszawy cieślów, ilu znaleźli, i wszystkich pognali do Góry Kalwarii. Wspominał także, jakoby pewien zdrajca Prusak wydał skład drzewa obrobionego na Szulcu, ale te wiadomości były mętne i trąciły plotką. Na równych i jałowych piaskach, których jeszcze trawa nie okryła, w pobliżu Zagóździa, strwożeni wieśniacy zeznawali, że Niemce dopiero co przeszły w stronę Świdrów i że coś musiały spalić po drodze, bo dym walił spomiędzy drzew. Ile na to pozwalały siły koni ciągnących w piachu armaty, Sokolnicki pośpieszał w marszu.

Z rana i maja ujrzeli wynurzające się z jednolitych sosnowych borów olbrzymie sokory Nadświdrza, dalekie piaski, wody Wisły, zamglone smugi drzew tamtego brzegu, pod Zawadami, Kępą Oborską i dalej aż pod Obórkami, Jeziorną, Łęgiem, po Gassy i Czernidło, tonące w oddaleniu. Wkrótce stanęli nad brzegiem Świdra. Po wiosennym roztopie jeszcze woda nie opadła. Wartko bulgotała między pniami olch, w cieniu kilkusetletnich sosen wrastających w wydmy piasków i w cieniu topoli nadwiślańskich. Stanąwszy już nad rzeką w pobliżu jej ujścia do Wisły, naprzeciwko wioski Świdry Małe, które leżały po tamtej już stronie, a więc w ówczesnej Galicji, zobaczyli przed sobą most dopiero co spalony. Pale jego były jeszcze czerwonymi głowniami i kurzyły się obficie. Wieśniacy ze Świdrów stali na wzgórkach obok swoich chat ze słomianymi strzechy i przypatrywali się w milczeniu. Ani jeden się nie ruszył, pomimo że ich wzywano znakami i krzykiem. Na błoni z tamtej strony rzeki zieleniły się już pędy wierzbowe i pastuch doglądający krów wesoło wygrywał na fujarce. Przywołano go nad brzeg, żeby pokazał, gdzie tu woda

najpłytsza. Prąd leciał wartko, lecz widać było piasek na dnie. Żołnierze zzuwali wesoło ciżmy, kamasze i zawinąwszy pantalony szli w bród za przewodem pastucha. Ciężko było z przeprawą armat, ale je przeciągnięto bez szwanku i wywleczono z wody. Za mostem droga szła wciąż lasem w stronę Karczewia.

Kolumna wytchnęła w Świdrach oraz na okolicznych wydmuchach litego piasku. Radość była powszechna z tego tytułu, że stare wierzby już zielenieją, że się włamano w granice Galicji i że pastuch tak po swojsku wycina na ligawce. Chłopi miejscowi rozpowiedzieli dowódcy całą historię spalenia mostu i przemarszu Austriaków do Karczewia, nie potrafili tylko objaśnić, gdzie istnieje przewóz na Wiśle. Około południa Sokolnicki ruszył w pochód. Żołnierze szli rażno. Pikiety nie dawały żadnego znaku alarmującego. Wyszedszy z lasu na piaski wyniesione ponad Wisłę, które otaczają Karczew zanurzony w tym sypkim morzu, nie dostrzegali nigdzie nieprzyjaciela. Gdyby nie zbyt wyraźne ślady armat, konnicy i piechoty, Sokolnicki skłonny by był do przypuszczenia, że nieprzyjaciel czyha w zasadzce, gdzieś w lasach otwockich, daleko, szeroko, jak oko sięgnąć zdoła, rozciągniętych. Dopiero zbliżywszy się pod same domy Karczewia i zajmąwszy pozycję na piaszczystych wzniesieniach poza Kępą Nadbrzeską, spostrzegli wojska austriackie przeprowadzające się za Wisłę na krypach. Chłopi wezwani z Nadbrzezia i Kępy zeznali, że cała siła austriacka, która przyszła była zza Świdra, teraz przeprowiała się właśnie. Sokolnicki odłamał od swej kolumny szwadron jazdy, dwie kompanie piechoty i rzucił się w nizinę wiślaną. Główna siła jego wojska zajmowała Karczew.

Łęgi nadwiślańskie, okryte już runią wiosenną, cudowny wystawiały widok. Kwiat jary je ubarwił. Iwina przydrożna wypuściła z pniów jasne różgi. Rozlana struga Jagodna tworzyła modre jeziora i pasmugi świetliste, po których wiosenny wietrzyk chwiał i przeganiał śliczne fale. Gdy wojsko weszło w wieś, nadziwić się nie mogło jej krasie. Jakże ta Kępa odmienna była od swoich siostrzyc na płaskowyżu piaszczystym, które stały o wiorstę! Tłusta ziemia, przesiąknięta wilgocią, czarowała tu nieobliczalnym mnóstwem roślin i pachniała kwiatami. Z urodzajnej nad miarę gleby strzelały w niebo drzewa jak z baśni, rozrastały się sady owocowe tworząc jeden ogród tak zwarty, że wśród niego ledwo się mogła przecisnąć wioskowa ulica. Obfitość wikliny podała wieśniakom sposób wygrodzenia dróg, ścieżek, ogródków, gumien i sadów. Każde siedlisko było jak świat odrębny. Bielone chaty świeciły się między rozkwitającymi drzewami. Zamożność, chłopskie bogactwo wiało z każdego kąta, dobytek przewalał się przez próg i płot. Po zawrocie stali parobcy jak dęby, dziewczęta jak łanie, lud oswojony z hukiem wylewów Wisły, z grozą i niebezpieczeństwem.

Dopiero tędy przeszły Niemce. Koła ich armat i wozów rznąły się po osie w glinie bezdennej a rozmokłej na żur. Jeszcze leżały w poprzek żerdzie, koły, drągi, pawęzy, którymi podważali z bajora swe statki. Jeszcze ciekły bryzgi błota rozpierzchnętego po ścianach domostw. Kiedy Rafał, jako adiutant generała brygady, wyjechał przy jego boku w ciemną ulicę utworzoną przez rozrosłe różgi i pławiny wierzb, cały oddział idący przed nimi huknął z nagłą pieśnią. Jak łoskoty piorunu rozlegała się między ścianami chat:

Fortuna się do nas śmieje,
Głosi szczęście i nadzieję,
A w wyraźnym objawieniu
Pobłyskuje promień w cieniu.

Już zasłona spada z góry,
Niebo jasne, znikły chmury,
Widać na wielkiej przestrzeni,
Iż się ziemia znów zieleni...

Ulica zawróciła w dół, ku Wiśle. Znać tu było jeszcze ślady wiosennego wylewu. Na gałązkach śliwin i grusz dyndały kłaki zeschłego szuwaru. Na przyżbach i przyciesiach znać było ślady ilowatych fal. Opar szedł z rozkopanych lech, gdzie już tkwiły czarne listki rozsady. Wkrótce z ciemnej i pogiętej uliczki wydostali się jeźdźcy dwójkami na zboczne wału wysypanego przez Nadbrzeżian. W dole tańczącymi baniami mknęła Wisła.

Ziemia była zdeptana, brzeg poobrywany od statków, które niedawno spychano z mokrą wału. Chłopi zbiegli się i pokazywali miejsce ku Dębowej, przez które przewiozła się piechota. Dalej za wsią, na prost Czernidła leżącego z przeciwnej strony, wskazywano płaskie miejsce, z którego wsiadła konnica i wtoczono sześć dział. Sokolnicki nastawił perspektywę i długo patrzył w górę rzeki. Nie było na niej widać mostu aż do miejsca, gdzie się zaczynało kolano rzeczne pod Czernidłem, wklęsłe z lewej strony. We mgle błękitniały drzewa Starego Otwocka i baszty marszałkowskiego zamku wynurzające się z koron. Generał pozdrowił chłopów na pożegnanie i chyżo wyjechał z Nadbrzezia na wzgórek od strony pastwisk i Zagórnego Otwocka. W skok powracano z innej strony do Karczewia.

W tym samym czasie nadchodziły z północnej strony roty piesze i konne. Była to kolumna generała Dąbrowskiego nadciągająca z Okuniewa. Stary wódz prowadził trzy bataliony pułku Sierawskiego i trzy szwadrony ułańskie Dziewanowskiego. Rafał z dala poznał swe barwy. Na błotnistym rynku zjechali się dowódcy. Wszystkie ulice miasteczka, wszystkie jej domki drewniane zajęło wojsko. Nie było tu obszerniejszego budynku, gdzieby się większa kompania oficerów pomieścić mogła. Ruszono na plebanię. Dąbrowski niedługo wypoczywał. Komendę nad przyprowadzoną kolumną oddał Sokolnickiemu, a sam kazał przysposobić sobie konie do odjazdu w Poznańskie. Pułkownicy i szefowie z żalem go żegnali. Posiliwszy się, czym było można, Dąbrowski kazał wystąpić wszystkim sile żołnierskiej i przemówił kilka wyrazów na cześć dowódcy Sokolnickiego. Wojsko odpowiedziało mu pieśnią na jego cześć i wieczną chwałę. Stary wódz zdjął czapkę i słuchał z pochyloną głową. Zaraz potem odjechał.

Noc się zbliżała. Konnicy kazano zostać w Karczewiu. Część piechoty stanęła obozem w Otwocku Zagórnym, a część w Otwocku Wielkim.

Obozy obstawiono pilnie placówkami. Od placówek wykomenderowano wedety, a między nimi wystawiono podsłuchy. Starszyna rozlokowała się w pałacu i zabudowaniach otwockich, Rafał znalazł pomieszczenie w sąsiedztwie swego dowódcy. Miał spać w małym narożnym pokoiku na górze, którego okno wychodziło wprost w korony lip. Ściany tam były malowane przez niepośledniego artystę, sprzęty wykwiłtne. Pałac, od lat niezamieszany, miał w sobie coś z rozpusty saskiej, wszystek się w niej począł i do niej należał. Rafał nie mógł usnąć. Wstał w nocy i na palcach poszedł do parku. Drobną deszcz szemrał po liściach. Ulice parku, wąskie, dzikie, na pół zarosłe, pełne były mgieł, które chodziły z miejsca na miejsce. To wstawały jak widma, to nagle przed idącym nikły jak cienie trwożliwe. Słowik daleko świstał swe pierwsze, krótkie, niewymowne pieśni. Młody szedł za jego głosem i w którąkolwiek zmierzał stronę, zawsze dochodził do głębokich i szerokich wód. Stał w jednym miejscu nad płaszczyzną wodną zastępującą drogę. Drzewa olbrzymimi konarami ginęły w mrokach i słabo odbijały się w toni. Z dala, zza Wisły, kiedy niekiedy nadlatywały krzyki pikiet austriackich, rozciągających się od Warszawy aż do Góry. I oto gdy natężonym uchem wojaka wsłuchiwał się w te zdradzieckie echa i wciągał je wilczymi nozdrzami do mściwej piersi, rzuciło się nań wspomnienie. Ścisnęło mu serce boleścią nie do zniesienia, jakoby piąstkę dziecka. Coś poczęło się czołgać za nim... Szło zaczajone za drzewami, wyciągając ręce.

Przez krótkie chwile mniemał, że jest w Grudnie i że waleśa się w tamtejszym parku. Ale te płochliwe złudzenia zniknęły zupełnie jak mgły nocne. Ani już śladu dawnych, czynnych wzruszeń, co rozpychały serce...

Wszystko przesiąkło ociężałą mądrością, każde wzruszenie z niezdolnym trudem przedostawało się przez igielne ucho rozsądku.

Szedł zadumany nad sprawami życia, zatopiony w sobie, pośród mokrych mgieł, między wilgotnymi krzewy, pośród gąszczów szeleszczących z cicha od drobnego deszczu. Zrobiło się tak ciemno, że bliskość wody rozpoznawał jedynie nozdrzami, a pałacu nie mógł przed sobą dojrzeć. Poblądziwszy w ciemności, wyszedł za most, między zabudowania folwarku. Niespodzianie tuż obok niego rozległ się w mroku natarczywy głos:

— Kto idzie? Stój! Daj hasło!

Była to pierwsza pikiet obozowa. Dał hasło, parol — i został przepuszczony. Senny i nieswój szedł jeszcze drogą czas jakiś, gdy wtem posłyszał tętent i zgiełkiwe głosy od strony placówek. Nastawił ciekawie ucha. W tym rozstroju nocnym z chęcią usłyszałby

zapowiedź jakiegokolwiek awantury. Zawiodły go jednak nadzieje: był to konny goniec z pismem do generała od pułkownika piątego pułku jazdy. Trafił on na wysuniętą wedetę i był prowadzony z ostrożnościami po groblach i około upustu przez żołnierzy podsluchu do oficera komenderującego placówką. Rafał poszedł za nimi z dala i słyszał całą sprawę. Kiedy goniec zszedł z konia w pianach, dymiącego, schłastanego błotem, i ledwie wyprostował gnaty, dano znać do kwatery.

Za chwilę wołano już do generała. Rafał wsunął się do pałacowego przedsionka, gdzie Sokolnicki w płaszczu czekał przy świeczce łojowej, przylepionej do krawędzi mozaikowego stoliczka. Skoro tylko oficer wszedł i wyciągnął się przed dowódcą, generał zażądał pisma. Przeczytał je od rzutu oka i zagadnął oddawcę:

— Czy byłeś waćpan pod Ostrówkiem?

— Tak jest, panie generale.

— Wczoraj?

— Wczoraj nad wieczorem.

— Z której strony: z naszej, czy z góry rzeki?

— Poszliśmy podjazdem w poprzek traktu z Pogorzeli ku Kępie Warszawickiej, w górę rzeki. Z dala postrzegliśmy łyżwy wolno ciągnione przez flisów linami na naszym brzegu. Kapitan mojego szwadronu dał rozkazy. Zaczailiśmy się w kępach łyży i gdy chłopci ku nam podeszli, wzięliśmy ich żywcem. Musieli wywlec łyżwy na brzeg. Każda z nich miała po pięciu ludzi obsługi.

— Ile ich było?

— Cztery. Miały długości po 18 stóp, a po 5 stóp szerokości. Były drewniane, obite blachą.

— Tak. Co zrobiliście z nimi?

— Zrąbaliśmy na drzazgi.

— Co dalej?

— Żołnierze i dwaj oficerowie, którzy na kryptach konwojowali te mostolodzie, dali do nas kilka strzałów, ale zobaczywszy siłę rzucili się ku tamtemu brzegowi i po piaskach wyszli na suszę.

— Czy nie udało się wam widzieć mostu?

— Mostu — nie. Szaniec widziałem.

— Widziałeś waćpan? Kiedy i jakim sposobem?

— Nad samym wieczorem wykonaliśmy rekonesans zarówno od strony Kosumców jak i od Kępy Glinieckiej.

— Więc most budują naprzeciw Góry?

— Tak jest. Między Górą a Ostrówkiem.

— Ten Ostrówek leży w samej nizinie Wisły?

— W nizinie, ale na brzegu dość wysokim.

— Ten brzeg wysoki daleko być może od szyi szanca?

— Trudno mi powiedzieć...

— Czy nie wiesz waćpan, bo tego w liście nie znajduję, jaki może być *relief* przedpiersia tego szanca?

— Co do mnie... Nie mogę odpowiedzieć, panie generale...

— Czy to jest *rédián*, barkan, czy *bonnet de prêtre*?

Oficer, nowozaciężny szlachcic, tęgi, widać, jeździec i szermierz, ale nowicjusz w rzeczy wojskowej, począł wykreślać ręką na powietrzu jakieś figury. Niewiele z tego można było zrozumieć. Sokolnicki siadł przy stoliku i zaczął pośpiesznie pisać list do naczelnego wodza. Przerzywał często pisanie i wolnymi krokami chodził tam i z powrotem. W pewnej chwili kazał Rafałowi z ułańskiego pułku wybrać kuriera, który by natychmiast gnał do Okuniewa. Ledwie list skończył i dołączył do niego raport Turny, goniec był już gotów. Generał wyszedł do niego, sam obejrzał konia i broń. Za chwilę ułan z kopyta ruszył w drogę. Ciemno jeszcze było na dworze, mgła gęsta nad całą niziną otwocką, ale śniady brzask rozniecał się już nad lasami. Z obozu słychać było komendy i pieśni. Wnet piechota wyciągnęła starym traktem na Ostrowiec, Sobiekursk, Kępę Gliniecką ku Dziecinowu. Szedł naprzód pluton saperów, dwie kompanie wołyżerskie Weysenhoffa i dwa szwadrony szóstego pułku jazdy. Ten oddział tworzył czoło kolumny. Dalej

maszerowały kompanie fizylierskie dwunastego pułku z artylerią do niego przywiązaną. Dwie kompanie grenadierów i szwadron jazdy zamykały kolumnę.

Piąty pułk strzelców konnych pod dowództwem Kazimierza Turny, już poprzedniego dnia szeroką siecią rozciągnięty, przeniknął lasy w kierunku dróg na Tabor, Podbiel, dotarł do Osiecka, Pogorzeli i Warszewic. Ślady tego przejścia malowały się w opowiadaniach pastuchów chodzących za bydłem. Mówiono wciąż o jakimś wojsku, które lasami powędrowało ku rzece. Na odwieczny mała armia ściągnęła do Dziecinowa i stanęła obozem militarnym, zajmując trzydzieści kilka domów i błonie za wsią. Z dala widać było wieżyczkę drewnianego kościółka w Ostrówku i kępy drzew otaczające kilkanaście chat tej wioski. Za nią, od strony Kępy Glinieckiej, w niewielkiej odległości od brzegu rzeczno-rudziały surowe linie szańca. Sokolnicki wzięszy ze sobą kilku oficerów wyjechał ze wsi i puścił się na oględziny miejsca.

— Jeszcze go nie zdążyli darnią odziać... To dobra wróżba... — mruknął do siebie.

Jechał z wolna, trzymając lunetę przy oczach. Kiedy na chwilę odjął szkła, rzekł do towarzyszków:

— Miał Turno rację. Nie widzę palisad przy skarpie. Chybaby je bili przy przeciwskarpach, żeby nam utrudnić wyrąbanie. Może zresztą biorą teraz wilcze doły w rowach i w nie pale biją. Zobaczmy...

Ruszyli cwałem po błoniu, zasłanym cudną trawą. Wieś Ostrówek oddaliła im się w oczach od Wisły i szaniec ostrym dziobem wysunął się w pole ku Glinkom. Generał powstrzymał swego konia i gołym okiem mierzył przedpiersia. Szyja mu się wtedy wyciągnęła, nos zaostriął, ścięły usta, a oczy miały ogień. Miał w sobie coś z drapieżnego ptaka.

— Barkanik... — szepnął z szyderskim uśmiechem.

Zamilkł i znowu ryl nasypy ziemi pociskami krwawych oczu.

Długo to trwało. Oficerowie, wyprostowani na swych siodłach, bez ruchu czekali. Rzekł odwracając się do nich:

— Mogą mieć wewnątrz naprędce zrobiony blokhauz. Wtedy trzeba będzie kłaść się pod nim stosami trupów, jak w 1807 roku pod Gdańskiem.

Rafał słysząc te słowa ujrzał blokhauz pod Gdańskiem i twarz majora de With, ale z taką obojętnością, jakby mu się wspomniał sztych kolorowany, wyobrażający tę scenę.

— Oni tymczasem — ciągnął generał — mogliby most kończyć.

Zwrócił znowu szkła na szaniec i gwarzył do siebie:

— Kąt narożnikowy ma z dziewięćdziesiąt stopni. Czola długie, barki mocno kryją. Musimy ten szaniec im wydrzeć i most zniszczyć, chociażby nas to miało diablo kosztować. Jeśli tego dziś nie zrobimy, jutro most skończą, przejdą na naszą stronę, otoczą nas i rozdepną na miazgę. Rów niebroniony, bez palisad, stoki bez darni. Jak wiadomo, wycinki przed narożnikiem frontowym i przed narożnikami ramiennymi ogołoczone są z ognia. Powinno nam ludzi wystarczyć. Jeśli most nie jest skończony, to nie może być w tym barkanie więcej nad jeden pułk. Dziś mamy drugi maja. Życie musimy postawić na kartę, żeby dzień jutrzejszy święcić na szczycie tego szańca.

— Dziś tedy w nocy... — rzekł ktoś z boku.

— Proszę o milczenie aż do chwili rozkazu... — rzekł dowódca nie odwracając głowy. — Sądziłem, że ujrzymy przed sobą linijkę dwuramienników albo biret. Mieli przecie czas i ludzi, w swoim są państwie...

Zwrócił konia i pomknął z towarzyszami ku Glinkom, a nawet ku Kępie Glinieckiej. Zmrok zapadał. Krwawa luna świeciła na wodzie Wisły, widocznej z dala. W tym świetle jak na dłoni widać było setki ludzi pracujących około szańca z taczkami, wycinających rzeźakami darninę, zatrudnionych przy okolcieniu spadków i jak białe mrówki rojących się w fosach. Przez chwilę wszyscy w milczeniu przypatrywali się temu obrazowi i odczuwali ściśnienie serca na widok tego ludu, który nastawiał rodzinną ziemię przeciwko rodakom.

Powracając do obozu generał powziął wiadomość, że ujęto kilkadziesiąt wozów z konwojem służby leśnej, wiozących z poręb obrobione pale, dyle, deski, żerdzie. Byli to chłopcy z Kępy Glinieckiej. Z niemalą radością otrzymali pozwolenie składania łupu na stos i umykali do domów ze sprzężajem. Sokolnicki kazał zatrzymać forsterów i gajowych i polecił badać ich w kwestii szańca. Niewiele powziął wiadomości ponad to, co sam wiedział, gdyż

furmanki zatrzymywały się przed krytymi drogami szańca i tam składały budulec.

Miał siadać w chłopskiej chacie do wieczery, a wojsko już ją spożywało, kiedy od wart dano znać, że nadjeżdża wyższy oficer z kwatery głównej. Sokolnicki wyszedł na przeciw i spostrzegł Pelletiera. Francuz był stłuczony na siodle, gdyż bez odpoczynku pędził z kompanią jazdy wprost z Okuniewa, ale jeszcze stopy nie postawił na ziemi, a już pytał:

- Czy zaczynamy?
- Naturalnie.
- A szaniec?
- Widziałem. To luneta.
- A most?
- Mam wszelkie szanse, że nie jest skończony.
- No, to dawajcie co do jedzenia. Mam rozkaz wodza...
- Trzymania mię za poły...
- Rozumie się.
- Ale my idziemy razem?
- Rozumie się.

Pelletier rzucił się na koguta, wychudłego na przednówku w kątach pańszczyźnianego podwórka, którego upitrasił naprędce kucharz generała brygady. W trakcie łamania gnatów kura zębami rzucał półradę, półpytania:

- Posłać by parlamentarza z żądaniem poddania szańca?
- Po co? na co?
- Żeby zobaczyć, czy most skończony.
- Jakże on to zobaczy?
- Może zmiarkować z byle czego. Musimy działać ostrożnie. Wódz miał wiadomość z Warszawy, że dwanaście tysięcy Austriaków gdzieś przeszło Wisłę.
- Jeżeli ją przeszli, to tak daleko, że dziś mię we dwa ognie nie wezmą.
- Most! most!
- Cztery pontony wzięte.
- Posłałbym parlamentarza... Nic na tym nie stracimy, jeśli się akcja o godzinę opóźni.

Sokolnicki rozmyślał przez chwilę, a później kazał wezwać do siebie kapitana Siemiątkowskiego. Gdy ten stanął przed nim, ujął go pod rękę i zaczął w ciemności chodzić po drodze tam i z powrotem, o czymś go pouczając.

Wkrótce kapitan znikł w mroku. Uplłynął od tej chwili może kwadrans czasu, kiedy w nizinie Powiśla dał się słyszeć głos dwu bębnow bijących bez przerwy. Głos ten leciał do obozu po rosie, ale się szybko od niego oddalał. Pelletier kończył właśnie swą ucztę, gdy usłyszał takt pierwszy. Podniósł tedy głowę, skinął oczyma i rzekł:

- Dziękuję.

Później zapatrzył się w płomień świecy. Sokolnicki wyszedł z izby, gdzie mieszkał, i wkroczył między szeregi. Żołnierze spoczywali jeszcze, ale słysząc łoskot bębnow bijących w ciemności, czuli, że to ich do boju wzywa ten srogi głos.

Milczenie legło na obóz jak ciemna noc. Każdy człowiek spojrział przez ciemność i przez milczenie w życie swoje, w dalekie miejsce rodzinne. Głuchy żal i ciężki smutek wszystkie ku ziemi nachylił głowy. Generał szedł między szeregi, tak samo milczący jak oni wszyscy, tak samo ze zwieszoną głową. I w jego sercu odbił się łoskot bębnow jak dźwięk brył ziemi lejących na trumnę. Coraz ciszej, coraz ciszej, coraz ciszej...

Wtem od jednego razu łoskot zamilkł.

Sokolnicki obrócił się twarzą w stronę Ostrówka. Patrzył w mrok i czekał. Tak samo dźwignął głowę naród wojska. Krew odpłynęła od serc i na swój posterunek wróciło codzienne męstwo.

We wszystkich wsiach okolicznych było ciemno. Ani jednego światełka! Dopiero nieskończenie daleko, gdzieś za Wisłą, tliły się światła zamglone i długimi iglicami odbijały w wodzie. Około godziny dziesiątej dały się słyszeć głosy nadciągającego pułku Sierawskiego.

Pułk ten stanął obozem, ale pod bronią. Wykomenderowane były straże i łańcuch podsłuchów wyciągnięty. Każda kompania wyznaczyła czwartą część swoich ludzi do wsi

okolicznych po drzewo, słomę i wodę, ale tymczasem wstrzymywano ich wyjście. Całkowite trzy bataliony musiały spocząć z bronią w ręku. Za pułkiem ściągnęły dwie podwozy zajęte pod medykamenty i chirurgi. Lekkich armat Sołtyka, zapowiedzianych przez generała Pelletiera, nie było widać. Minęła godzina dziesiąta, kwadrans, pół godziny, trzy kwadranse, wreszcie jedenasta. Sokolnicki chodził jak sztyldwach, na końcu wsi. Gdy przy świetle zatlonej hubki zobaczył godzinę na zegarku, raptownie zmobilizował swą małą armię. Przybyły pułk Sierawskiego wysunął za wieś i rozdzielił na trzy części. Batalion Bogusławskiego, pierwszy, postawił na lewym skrzydle; batalion drugi pod Sierawskim wyprawił w stronę Glinek, a pośrodku umieścił batalion Blumera za wsią Ostrówek. Miała to być pierwsza linia. W drugiej uszykował się pułk Weyssenhoffa z czterema armatami połowymi. Piąty pułk strzelców konnych, ściągnięty sztafetami na miejsce, rozpostarł się jak włók i miał postępować za infanterią dla osaczenia szanca. Te przygotowania zajęły z górą godzinę czasu.

Było po północy, kiedy nareszcie rozległy się daleko głosy bębnow. Zrazu zdawało się, że biją wciąż w tym samym miejscu, ale wkrótce wojsko rozróżniło zbliżanie się ich dwugłosu. Było tak ciemno, że wracający kapitan Siemiątkowski wpadł na pierwsze sekcje Bogusławskiego. Natychmiast stawiono go przed generałami.

— A więc? — zapytał Sokolnicki po francusku, macając ręką w ciemności szlifę parlamentarza.

— Zażądałem, generale, w twoim imieniu poddania szanca bez zwłoki.

— Odmowa?

— Tak jest.

— Z kim mówiłeś?

— Z dowódcą pułku imienia Latour-Baillet, pułkownikiem Czerwinkiem.

— Jakiś Czech-pobratymiec?

— Zapewne. Mówiłem z nim po francusku.

— Opowiedz ze szczegółami.

— Kiedy zbliżyliśmy się do szanca, na głos naszych bębnow wyszedł i otoczył nas oddział pieszy. Doboszów zostawiono w polu pod silną strażą, a mnie oficer dowodzący zawiązał oczy i pod strażą zaprowadził w przykopy.

— Jakie było wejście? czy po stoku kurtyny?

— Nie. Ile wnosić mogę, szedłem przez otwór w przedpiersiu, zastawiony z wnętrza poprzecznicą. Rękoma dotknąłem bariery. Sztyldwach nas przepuszczał.

— Cóż dalej?

— Prowadzono mię umyślnie to tu, to tam, żeby mi w głowie zamącić. Wyprowadzony zostałem z przeciwnej strony.

— Tak samo przez otwór, czy może przechodziłeś waćpan ławę dla działa?

— Nie.

— Dalej.

— Skoro rozwiązano mi oczy, byłem w namiocie. Stał przede mną tęgi, starszy oficer. Był to właśnie pułkownik Czerwinek. Wyłożyłem mu twoje, generale, zlecenie po francusku, a kiedy zaczął do mnie mówić po niemiecku, odparłem, że nie rozumiem ani jednego wyrazu. Kilkakrotnie usiłował zagadnąć jeszcze po niemiecku, ale robiłem wówczas jak najgłupszą minę i powtarzałem z naciskiem, że nie rozumiem. Wtedy zaczął łamaną francuszczyzną podrwiwać sobie z naszego żądania, mówił mi o nadzwyczajnej wielkości szanca, o jego budowie, nieznaney nam wcale. Słyszałem nieustający huk siekier i młotów. Kończą, widać, most z nadzwyczajną forsą. W pewnej chwili pułkownik rzekł nieznacznie do podkomendnego oficera po niemiecku, żeby między kryptami wybrać łódkę niewielką dla pięciu żołnierzy i oficera, który powiezie raport do Góry. Wtedy już wiedziałem, że mostu całego nie ma, skoro muszą do Kalwarii przeprować się łodzią.

Sokolnicki ścisnął mówiącego za ramię i coś mruknął na jego pochwałę.

— Pojechali tedy do Góry łódką, a ja siedziałem w owym namiocie. Pułkownik bawił mię rozmową. Chwalił Warszawę... Wkrótce potem przyszło do tego namiotu kilkunastu oficerów. Wszyscy mówili po francusku nie tylko ze mną, ale i między sobą. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że i ze zwierzchnikami swoimi również po francusku się porozumiewają, a po niemiecku wcale nie umieją. Są to ludzie wykwinieni, robią wrażenie panów przebranych za oficerów. Wdali się ze mną w rozmowę. Skoro tylko zacząłem się

przysłuchiwać głosom pracy w szańcu, podnosili umyślnie rozmaite kwestie i tworzyli hałas, żeby zmącić moje wrażenia. Słyszałem jednak, że w szańcu i za jego szyją wre robota ciesielska. Po jedenastej dopiero posłany oficer wrócił z rozkazem na piśmie. Pułkownik Czerwinek przeczytał je i rzekł mi, że powierzonego posterunku potrafi bronić do ostatka. Grono owych oficerów, których mam za jakichś cudzoziemców, przyjęło jego decyzję okrzykami. Śmiali się szydlerczo, kiedy mię wyprowadzano. Znalazłem się znowu między mymi doboszami. Warta nas odprowadziła o jakie dwa tysiące kroków.

— Dzielnieś się waćpan sprawił... — rzekł pośpiesznie Sokolnicki.

Zaraz wykręcił się i wezwał do siebie pułkownika Sierawskiego. Za chwilę szef lewego, czyli pierwszego batalionu cicho zakomenderował:

— Pierwszy batalion — naprzód, do boju! Marsz!

— Drugi batalion!

— Trzeci batalion! — brzmiały komendy w ciemności.

Pułk ruszył w nizinę z trzech stron wsi Ostrówka i bez szelestu prawie, podwójnym krokiem zdążył w mroku.

O kilkadziesiąt kroków za kolumną Sierawskiego jechał na koniu Sokolnicki. Rafał widział przed sobą jego czarną, pochyloną figurę, ledwo wynurzającą się z nocy. Za sobą słyszał jękliwy, szelestny w płytkich wodach krok koni, świst kół armatnich, rznących mokrą ziemię. Gdzieś w głębi miał za sobą pochód pułku Weyssenhoffa. W pewnej chwili generał skierował swego konia na prawo i wraz z Rafałem pojechał za prawym skrzydłem batalionu prawego, który wciskał się w przestrzeń między Kępą Gliniecką a Ostrówkiem.

Chłód powiał od bliskiej rzeki. Usłyszeli w ciemności wyraźny loskot siekier i młotów na rzece. Wparłszy w mrok oczy ujrzeli poprzez łoży ostre płomyki światła lśniące na wodzie. Generał wstrzymał konia i szepnął do Rafała:

— Czy widzisz szaniec?

Olbromski rozpoznawał go już od dawna na tle bardzo słabej łuny światła wychodzącej zza przedpiersiów i ramion barkanu. Wskazał wodzowi linię na horyzoncie.

Natarli końmi na szeregi żołnierzy i w najgłębszej ciszy, powstrzymując oddech, skradali się dalej. Wkrótce szaniec począł czarną linią wyrastać przed nimi. Jeszcze chwila i dał się słyszeć szmer, zbiorowe słowo, podobne do szumu wiatru:

— Rowy...

Sokolnicki zatrzymał konia i rzekł do Rafała:

— Stój przy mnie.

Słysząc było, jak wiatr szeleszcze w zaroślach nadwodnych, dalekie echa rozmów ludzi pracujących na moście... Rafał był znużony poprzednią bezsenną nocą i całodziennym marszem. Miał słuch bardzo wyczulony i pewien w sobie obmierzły niepokój. Zdawało mu się chwilami, że jeszcze błądzi w parku otwockim i marzy o zmarłych. Ale nie wiedział prawie, o kim myśli i kogo wspomina. Oto z dala, z dala, zza Wisły doleciał wrzask austriackich placówek: *Wer da!* Głos ten wiał nad wodą, znikał w nocy, tonął w sercu ścierpłym, pełnym gniewu i zemsty:

— Och, żeby prędeży!

Szeleszczą łoży, świszczą na wietrze jakoby badyle na dawnym cmentarzu w rodzinnych stronach. Wargi nie wiedząc poszeptują:

— Wieczny odpoczynek...

Wtem z przeraźliwym loskotem runął werbel doboszów całego pułku, zgromadzonych przy trzecim batalionie, który przedostawszy się przez wieś Ostrówek stanął już pod kątem narożnikowym szańca.

— Hura! — ryknął batalion Blumera.

— Na szaniec! — zakomenderował Sokolnicki.

Sam zsiadł z konia i prowadząc go za uzdę doszedł aż do rowu. Wojsko zginęło im z oczu. Słyszeli salwy strzałów z narożników i czół szańca, bijące w napastniczy batalion tyralierski, który wciąż krzyczał, bił w bębny i strzelał. Jak ciemna fala nadpłynęła z tyłu część pułku Weyssenhoffa. Sokolnicki zatrzymał jednego żołnierza z linii i kazał mu pilnować swego konia. Sam stanął w szeregu między żołnierzami i ruszył naprzód. Olbromski dotrzymywał mu kroku. Wpadli po ciemku w przedrów, na sześć stóp głęboki, walili się w doły, grzęźli w rozmiękłych kupach ziemi, która wraz z nimi zjeżdżała w jakieś

dziury najeżone palami, w trójgran zaciosanymi.

— Co tchu naprzód! — wołał ktoś w ciemności. — Tu mogą być pozakładane *fugassy*, miny prochowe...

Żołnierze czołgali się po glinie i zarabiali w niej do pasa. W pewnym miejscu leżały wkopane w stok szańca zasklepienia z drzew, ściętych u samego odziemka i wszystkimi gałęziami w dół zwrócone. Były to jakby potworne łapy i pazury, spychające w jamy na dole, wążące między żebra, gotowe do chwytania za gardziel. Kiedy zdeptali gałęzie i wdarli się nad nie, uderzyli pierściami w krótkie kołki ostro zaciosane. Ale nareszcie pokonali i te szykany. Usłyszeli przed sobą wrzawę, łoskot broni, przeraźliwe krzyki, klątwy i jęki. W pewnej chwili Olbromski znalazł się wraz z innymi na wierzchołku szańca. W słabym świetle latarni płonących niżej ujrzał śmiertelny bój. Bagnety w siwym blasku migotały. Ludzie skłębili się w bezkształtną masę. Obadwa bataliony Sierawskiego walczyły już w głębi szańca. Austriacy stali oparci o jakąś niską, drewnianą budowlę. Przebiegając obok ławowego działka stojącego na barbecie, ujrzano kanoniera austriackiego, jak młotem wbijał ogromny bretnal w zapal, a za chwilę począł bić stemplem wewnątrz kanału w celu zagięcia szpica bretnala i zagwożdżenia działka. Rafałowi wydała się tak podłą ta jego czynność, że skoczył ku niemu ze szpadą. Tamten podniósł głowę i w świetle latarni Olbromski ujrzał twarz jakby natchnioną, pełną świętej grozy i uniesienia. Szpada jego rozszarpała mundur Austriaka. W tej samej chwili tłum nadbiegających piechurów Weyssenhoffa rozrząsał kanoniera na bagnietach, rozwalił mu głowę, przebił piersi, brzuch, boki, plecy...

Rafał poskoczył ku miejscu bitwy pod barakami. Zwarty, podwójny, a za chwilę potrójny szereg żgał Austriaków bagnietem. Bronili się po bohatersku. Formując trójkąt oparty o budynek podstawą, działali z szaloną furią. Natarcia niewprawnych rekrutów polskich niweczyli potężną sztuką i kładli ich pokotem, wałem jak szaniec między sobą a nowymi szeregami napastujących. Żołnierze polscy patrząc na ów trójkąt niezwalczony poczęli stronić od tego miejsca. Właśnie zjawił się w szańcu generał Pelletier. Długo stał bezczynnie, wpatrując się w walczących. Sokolnicki spostrzegł, że część pułku Sierawskiego cofa się ku szyi szańca. Zwołał tedy ludzi i biegł z nimi na tamtych. Pelletier poskoczył ku niemu i rzekł wskazując na mężnych:

— Weź ich żywcem, generale...

— Czemuż to żywcem?

— To moi rodacy, emigranci, nieprzejednani...

— Cóż oni tu robią?

— Protestują przeciwko straceniu ostatniego Kapeta.

Szary świt rozniecił się i dał widzieć obraz morderczej bitwy. Klin arystokratów francuskich topniał pod bagnietami Maćków polskich, ale i ostatni z walczących zachował zimną krew i niezłomne bohaterstwo. Jakiś ich oficer ze wzdargą w skrzywionych ustach komenderował po francusku, dopóki nie runął pod ciosami. Zalany krwią, zawalony umierającymi szaniec został zdobyty. Dwa tysiące jeńców złożyły broń. Generał Schaueroth umknął na krypie do Góry, żeby stamtąd bić ze wszystkich armat w zdobywców pod Ostrówkiem.

W STARYM DWORZE

Kiedy w pierwszych dniach czerwca generał Schaueroth przeszedł z lewego na prawy brzeg Wisły pod Połańcem oraz pod Niekuszą, Rafał Olbromski znajdował się przypadkowo w tłumie oficerów sztabu księcia Poniatowskiego. Był wysłany przez generała Sokolnickiego ze szczegółowym raportem o wyprawie kawaleryjskiej pod Rożki, o działaniach w polu na północ od Sandomierza pod folwarkiem Kruków i pod Mąkoszynom.

Dnia dziewiątego czerwca nastąpiła potyczka pod Mielcem. Wojska księcia Józefa musiały cofnąć się wobec przemagających sił Austriaków i przekroczyć Wisłokę. Rzeka, tak dobrze Rafałowi znana, wyschła była teraz zupełnie i nie mogła stanowić przeszkody w przeprawie nieprzyjaciela. Rzucano też pośpiesznie wydłużoną smugę jej piachu i kamieni.

Było południe chmurnego dnia, kiedy tłum elegantów sztabowych, w którym znajdował się Rafał, wyjechał z lasów nadbrzeżnych, w półkrąg otaczających Stokłosy. Dalekie krajobrazy leśne już niebieśniały pod pogodą, choć pasma najbliższe wciąż jeszcze nasy-

cone były wilgotnym, granatowym tumanem. Cała ziemia, odziana we zboża, stała się mokra i miększa od fali. W brzdach lśniła jeszcze zmulona woda. Wąskie, polne drogi, które innego dnia ledwie by oko wytropić zdołało między łanami zbóż, srebrzyły się teraz od pasmugów zlewnej wody. Deszcz ustał. Obłoki bure, pełne w sobie białych jam i dołów, ciężko zwisając wlokły się stronami. Głębokie, stubarwne, przemokłe trawy łąk zanosły się po tym deszczu od kwiatów.

Gromadka oficerska jechała gwarząc o wypadkach dnia. Rafał, niewiele tutaj znający osób i niemający udziału w akcji ani żadnego określonego charakteru po załatwieniu zlecenia, kłusował obojętnie z boku drogi. Ujrzał z dala Stokłosy... Ponieważ tam być nie mógł, przepatrywał jeno zmiany w zasiewach pól, w koronach drzew, w barwach płotów i dachów. Na zakręcie drogi, pod wzgórkim, zdało mu się rzucić okiem na prawo — i oto ujrzał tuż tuż samego, we własnej osobie Szczepana Trepkę. „Pan poseł” jechał na koniu pełną drożyną-miedzą ku gościńcowi. Koń pod nim stał właściwie na miejscu, o tyle tylko przebiegając nogami, żeby się wydawało, jako jeździec nie patrzy beczynnym, jako za swoją dąży sprawą. Rafał znał doskonale ów wyraz twarzy zubożniały, półsmutny, półszyderczy i owo niby to tępe gapiostwo prostaka... Serce w nim uderzyło na widok zgarbionej figury w zgrzebnym kitlu, w grubych butach, na widok twarzy szarej, zestarzałej, surowej i smutnej. Nie wytrzymał. Pchnął konia ostrogami przez szeroki rów w młode zboże, pod wzgórek. Sącząc skokami zaśpiewał przejmująco, z serca:

Ledwie twoje spotkam oczy,
Nim postrzegę, żem widziany,
Już się na bok wzrok twój toczy
I martwe przebiega ściany...

Trepka wsadził głowę jeszcze bardziej w ramiona i wstrzymał konia. Patrzył spode łba. Nawet poznawszy już w oficerze towarzysza, nie zmienił wyrazu twarzy. Ukłonił mu się kapelusinią z wyrazem pokornej, a chytrej grzeczności.

— Pan poseł nie poznaje, widzę, starych przyjaciół!...

— Ale gdzie tam... ale gdzie tam... — mamrotał Trepka z uprzejmym, z uniżonym pochlebstwem.

— Przecie to widać...

— Krótki mam wzrok, nie mogę dojrzeć od razu.

— Na wzwiady pan poseł wyjeżdżasz, siły narodowe z za żyta lustrujesz... Kto cię wie?... Z nieprzyjacielem może trzymasz...

— Cicho no, cicho, mości Olbromski... kapitanie...

— Czemuż to cicho ma być porucznik Olbromski?

— Głośno krzykniesz, poruczniku, i pojedziesz na bystrym koniu... A mnie tu mogą powieścić... W tropy twoje przyjdzie na tę samą miedzę jużci ten nieprzyjaciół. Ja zaś nie mogę od niego uciec na bystrym koniu. Muszę, widzisz, pozostać.

— A przyjdzie ten nieprzyjaciół do ciebie, przyjdzie i to niezadługo.

— Widzisz — ha! Przyjdzie...

— Ależ cię przecie nie zjedzą!

— Zjeść nie zjedzą, ale z dymem puścić mogą dwór, gumno, chałupy...

— Wiecznie się strachasz o to, co być może...

— Wiecznie się stracham...

— Istne się z ciebie strachajło zrobiło, panie pośle!

— Bardzo mię za młodu, widzisz, straszili, toteż na starość jakby znalazł. Niejednym stracha za życia widział, piękny wojaku... I taki teraz tchórz ze mnie.

— A toż nie doda ci ducha? Stary przyjacielu, patrzaj no!

Z lasu wszystkimi, zda się, jego międzydrzewnymi przestworami wypływać poczęło wojsko siły odwodowej księcia. Piechota szła szybko, sfornym marszem w bród trawami łąk, w pas zbożami pól. Szeroką drogą migotliwie sunął wąż konnicy. Grały na słońcu barwy wielorakie, a splótlszy się z kolorami pól tworzyły obraz zachwycający. Trepka stał na koniu prawie na szczycie wzgórka i patrzył w owo cudnobarwne zdarzenie. Rafał na mocy starego przyzwyczajenia nie ważył się przerywać jego zadumy. Wspomniał sobie, jak to jesienią przed laty patrzali na inny pochód. Chciał wcisnąć między myśli przyjaciela

Żołnierz, Gospodarz,
Wojna, Strach

słowo przypomnienia o tamtej chwili, słowo żywiącej otuchy. Trepka przeczuł niejako jego zamiar. Uśmiechnął się gorzko, gorzko, gorzko. Pokiwał głową... Zapytał nagle:

— To i Sandomierz oddacie, czy jak?

— Jak to oddamy?! — wrzasnął na niego grubiańsko młody. — Żeby kije z nieba leciały, żeby w kupę gruzów miało się zapaść całe miasto! Jednej cegły nie da im darmo Sokolnicki! Aby on nie da! Wziął garścią swoją, zdobył i garścią zatrzyma!

— Pewnie, że należałoby trzymać to to aż do skutku... Miejsce bogate. „Bram cztery ułamki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki...”.

Rafała przeszył do szpiku kości gniew. Teraz poczuł, jak innym już jest człowiekiem, jak się wyzwolił z libertyńskich formułek myślenia tego dziwaka. Czuł, że ma wyobrażenie całości, kiedy ten wciąż się zajmuje ulubionym sobie ułamkiem. Walki widziane pod murami Sandomierza, szturm, bombardowanie własnymi armatami starych kościołów, prace ziemne po zdobyciu miasta — wszystko to jak wielki skarb duszy ukazało mu się od razu. Zamilkł i razem z Trepką ruszył cwałem za oficerskim orszakiem, który zmierzał w stronę Olszyny.

— Czyż to do Olszyny jedziemy? — spytał po drodze.

— Pono. Spotkałem tu w polu konnego, który leciał do miasteczka po sprawunki. We dworze, u starego Cedry, ksiączę dowódca stanął kwaterą... No, chwilowo, bo *periculum in mora*. Obiad stary Cedro wydaje dla sztabu. Aby jeno między pieczystym a leguminą diabli Schaurotha nie nadali w czarnożółtym sosie! Powinieneś być na tej uczcie, mości poruczniku. Po pańsku występuje stary. Chce się pokazać, choć łydki pod nim pewnie drżą, choć grubo ryzykuje...

— Jedziesz tam przecie?

— Jadę jako domowy jegomości pana Cedry...

Spojrzał dawnymi, drwiącymi oczyma, zaśmiał się w głos rubasznie:

— Na miły Bóg! — oficer z ciebie najsroźszego kalibru, Olbromski Rafale! Co za koń, co za statura! Wyglancowali cię, wyszwarcowali... Nie byłeś dawniej taki szczwany... Daleko zajedziesz! No, to i dobrze.

— A cóż waszmość myślisz? Obadwaj my z Krzysztofem na ludzi wyszli. Światem rządźmy! zamiast tu z wami wśród kup nawozu rządu sprawować...

Ledwie imię Krzysztofa padło, stary Trepka zmarszczył się i zmarniał w sobie. Stał się z niego w krótkiej chwili zgrzybiały safandula. Jechał na swym wierzchowcu zgarbiony, z obwisłymi rękoma.

— Krzysztofa, powiadasz?...

Machnął prętem w powietrzu raz, drugi. Wskazał nim coś w polu. Potem w drugiej stronie, a gdy odwrócił się ku towarzyszowi, ukazał mu twarz niemal zdzieciniałą.

— Nie ma Krzysia... — wypowiedział z cicha jak gdyby sekret żaloszny.

— No, tu go nie ma, bo jest we świecie. Wojuje.

— Wojuje...

— Mielście też od niego jakie wieści?

— Pisał z Paryża listek jeden, a potem nic już, ani słowa. Przysłali tu gazetę francuską z wiadomością, że pułk jego w Hiszpanii. I tyle wiemy...

Wjechali w szeroką brzozową aleję prowadzącą do dworu. Stare pnie, spodem czarne, wyżej śnieżnobiałe, przegowane jak marmur, nasunęły się przed oczy niby wierzeje gościnnie rozwarte, niby sienie. Prawie niepochwytny szum zwieszonych liści wieścił dumę o tym, czego nic nie wyjawi krom niego, o uczuciach minionych. Ujechali już kilkaset kroków tą aleją w milczeniu.

Rafał obejrzał się poza siebie... Miał złudzenie, półzłudzenie, niejasną sensację cielesną, że z dala ktoś jeszcze pędzi na koniu w cwał...

Nie chciałby tego przed sobą wyznać, że ma na myśli Krzysztofa. Było mu przykro i obmierzłe tym się zajmować. Wylot alei, jakoby okno półokrągłe u góry, otwierał się w pola rozległe. Ciemniejąca w lanach wielkim płatem pszenica tworzyła tam obraz niezrównany. Zaczęli chcąc nie chcąc przebąkiwać o zbożu, o urodzajach, o deszczach i rozprawiając jak dwaj hreczkosieje sąsiadujący o miedzę, których nic zgoła oprócz urodzaju wsianego zboża nie obchodzi, wjechali na dziedziniec dworski. Jakże się zmienił! Pelen był koni pod siodłem wojennym, z lekka tylko odpopręgowanych, pelen żołnie-

rzy, obiadujących po kątach z pośpiechem, pełen żołdackiego krzyku. Okna we dworze pootwierane, drzwi na ganek szeroko rozwarte... Słysząc było muzykę, śpiew, oklaski. Służba lokajska i żołnierze ordynansowi wbiegali i wybiegali ze dworu.

Obiad, naprędce podany dla księcia i jego świty, już się był skończył. Wódz z kilku generałami był w ogrodowej altanie, gdzie toczono jakąś naradę. Młodzi oficerowie napelnili wielki salon i przyległe pokoiki. Kiedy Trepka prowadząc pod rękę Rafała wszedł na ganek, ozwały się znowu tony starego pantaleonu. Pan poseł puścił towarzysza do salonu, a sam na palcach przeszedł sionkami w poprzek dworu na taras, z którego zstępowało się do ogrodu. Odchodząc z pośpiechem, wskazywał gestami swój kostium arcygospodarski i srodze zachlapane buty. Rafał wsunął się do salonu. Powiódł oczyma po zgromadzonych.

Jeden z młodszych oficerów grał. Panna Mery stała obok instrumentu. To samo pochylenie głowy, ten sam wyraz twarzy. Czyż przymknięte... Podniosła głowę i zaczęła śpiewać:

*La nuit tomboit dans la prairie,
L'Echo dormoit dans le vallon,
Près du ruisseau chantoit Amélie...*

Nie było to śpiewanie podlotka, które był słyszał przed laty, lecz piękny głos młodej, zażywej i silnej kobiety. Powiodła uroczymi oczyma po zgromadzeniu mężczyzn. Widać było radość życia, siłę serca i żądę szczęścia we wzroku tym, słysząc ją było w śpiewie. Ta pieśń skarżyła się przed całym pokrewnym światem młodości jakoby przed sądem przenikliwym, znającym istotę rzeczy i pełnym sprawiedliwości, na pustkę i smutek tego domu, na gorycz lat młodych a samotnych. Skarżyła się nie słowem, lecz dźwiękiem samym, szeregiem przedziwnych, muzycznych akcentów, a całe grono młodzieńcze słuchało jej w skupieniu ducha. Ani jeden ze słuchaczy nie został obojętny na te przejmujące skargi, na te samotne głosy i okrzyki. Ale oto coś zadrzało w melodii tej piosenki, zakowały się tony od najwyższego uniesienia... Rafał podniósł oczy i ujrzał wbite w siebie dwie brylantowe strzały oczu panny Mery. Uczuł z rozkoszą, że to jego właśnie wita i pozdrowia dawna piosenka tym najwyższym uniesieniem... Uśmiech radości, woniejący blask szczęścia kwitł na ustach śpiewaczki.

W chwilę potem zdarzyło się Rafałowi spojrzeć na prawo. Tam, wśród kilku najwykwintniejszych socjuszów księcia, siedział stary pan Cedro. Nie zmieniły go prawie lata ubiegłe. Ta sama piękna, starcza twarz, ten sam wykwintny ruch głowy, ułożenie rąk i nóg. Siedział w fotelu z wdziękiem lekkiego dandysa, uśmiechał się tkliwie lub łaskawie, sztywnie i foremnie trzymał korpus i nogi. Spojrzenie, zarazem pobłażliwe i wyniosłe, padało na gości z pańskich oczu. Ale oto przy dźwiękach radosnych piosenki, gdy wszystkie westchnienia młodości jej szlakiem uleciały, stare wargi zaczęły się rozciągać wszerek jak guma rozdartej piłki, nos zetknął się prawie ze spiczastą brodą, powieki zwiły i nabiegły krwią. Nie drgnęły ręce, ozdobnie złożone na poręczach, nie poruszyły się skrzyżowane nogi, tylko spod powiek zaczęły kapać na kolana lzy piołunowe, wielkie krople żalości. Nikt na nie uwagi nie zwrócił prócz Rafała. Po skończeniu śpiewu rozległy się frenetyczne oklaski i prośby o nową piosenkę. Kiedy panna Mery na pozór wzdragając się i wymawiając szukała nut w tece, stary pan Cedro wysunął się z tłumu.

Szedł omackiem, grzecznie uśmiechnięty, nikogo nie widząc. Przemknął się wśród zgromadzonych z ukłonami na prawo i lewo, nie wiedząc do kogo skierowanymi, i wyszedł na taras ogrodowy. Tam zatoczył się bezwładnie na ławkę. Podniósł oczy i spostrzegł siedzącego Trepkę.

— Ach, to waćpan!... — wysyczał ze wściekłością, z nienawiścią, przebijającą jak pchnięcie nożem w serce.

— Jużci ja...

— Dziecko mi zabrałeś! Zgubiłeś mi mędrkowaniem syna!

— Uspokój się, panie, uspokój.

— Tyłu ich tu przyjechało, tyłu naszło! Pełen dom... Zdrowi, rumiani, weseli. A jego nie masz! Krzysia nie ma... Kazałem ich wszystkich godnie przyjąć na jego cześć, ale cóż mi z tego?... Krzysia nie ma...

— Przyjedzie i on.

Starzec podniósł oczy splakane. Pokorne pytanie, jakoby ubogiego chłopca, który się doprasza łaski, słowa-odpowiedzi od możnego dziedzica, od jaśnie pana, wypełzło z warg:

— Kiedyż przyjedzie?

— Przyjdzie taki czas, nadejdzie taki dzień, schyli się ku nam taka błogosławiona godzina, że przyjdzie niespodziewanie czerstwy i wesół.

— Skądże to wiesz?

— Tyłu ich idzie na wojnę i tyłu wraca... Czemużby on, najlepszy spomiędzy wszystkich, nie miał powrócić?

— Tyle wiesz! Jużem to sobie tysiąc razy mówił i przegadywał po nocach, jużem w siebie stokroć wmawiał to wszystko. Czekam i czekam...

Słyszając, że ktoś z pokojów nadchodzi, zeszedł z balkonu na ulicę ogrodową i wlekli się obaj, ramieniem o ramię oparci. Tuż za szpalerem i płotem z tarniny kołysał się ów łąk pszeniczny, bardzo rozległy, wiatr już po nim ciemne smugi przeganiał, a po gałęziach brzoź wzdychał i smutne szumy przeciągał. Wypłukana od zlewy gliniasta ulica ogrodu była twarda i niemal sucha. Nogi obudwu idących stukwały po niej jak po deskach. Przeszedłszy do końca szpalera stary Cedro powiódł oczyma i ręką po widzialnych obszarach zboża, po drzewach sadu, których gałęzie gięły się już od owocowych zawiązków, i począł bezsilnie narzekać:

— Wszystko to jego, wszystko to miał... Dla niego rośnie to zboże, dla niego dojrzewają owoce, pachną kwiaty... Jego ta glina, ten wiatr, ten szum... Cała tu ziemia na niego czeka, dziedzina pradziadowska... Czegóż jeszcze chciał? Czego poleciał szukać?...

— Pojechał szukać — mówił Trepka z uśmiechem dobrotliwym i nauczającym — ziemi innej, nie mojej ani twojej, tylko naszej, gminnej, gromadzkiej. Młodemu śni się ta wielka ziemia, która do nikogo nie należy, staremu śni się mała, która należy tylko do niego... Choćby też najmniejsza, byle do niego tylko... Aż przyjdzie taki wiek w życiu człowieka, że go już żadna nie ęci.

— Tyś to go wywiódł z mojego domu tymi przemądrzałymi głupstwami! tyś go podmówił do buntu! — na nowo zaczął użalać się Cedro.

— Nie jam go podmawiał, tylko ocknienie, przebudzenie, siła żywota. Jam winien, że go nie wstrzymałem, to prawda. Ale go nie wstrzymywałem, to wyznaję.

— Wiedziałem, żeś to ty sprawił! Ty, nie kto inny! Czemuś go nie związał słowami, skoro taki wpływ na niego sobie wyrobiłeś? Gdybyż choć bił się tutaj jak ci oto, którzy mój dom napelnili weselem... Ale gdzież on jest? co czyni?

— Nie wstrzymywałem — mówił Trepka cicho, na poły do słuchacza, a właściwie do siebie — bom nie mógł. Straciłem wiadomość rzeczy. Nic już teraz nie wiem... Nic nie wiem! Zawiodły mnie wszystkie lekarstwa, wszystkie nadzieje rozbiły się i oszukały duszę. Widziałem spodenie wszystkich instynktów, powolne znikanie zmysłu plemiennego bytu. Poczucie hańby zżarło mię całego. Wspomnij, jak z pruskich banków brali pieniądze na ziemię, wiedząc, że ją zaprzędają na wieki. Niemiec drwił z nas czynami, instytucjami, pobudzaniem do rozpusty. Za pięćdziesiąt lat nogi by polskiej w tych Prusach Południowych nie było: chłopów by zniemczyli szkołami, kulturę, szlachtę wysadzili z ziemi licytacjami, miasta zalali przemysłem i handlem. Młodzież zładaczała, gałgaństwo i głupota padły na cały naród jak morowe powietrze... — zaczął szeptać staremu do ucha tak, żeby nikt nie słyszał.

— Co mi ty bajasz! co opowiadasz! Kłamstwo to twoje...

— A w tej Galicji...

— Przestań!

— Trzeba było ratować. Honor plemienny za jaką bądź cenę musiał się obudzić. Wołałbym, żeby zamiast uprowadzenia Krzysztofa ucięto mi tę rękę, tę nogę, ale musiałem, przyjacielu, podmawiać, żeby szedł.

Zstępowali w dół, w najniższą część ogrodu, ramieniem o ramię oparci, ze zwieszonymi głowami, szepcząc do siebie wciąż starcze pogawędki-pociechy, zgrzybiali obadwaj, starzy i bezsilni od smutku.

— Na cóż mi się to wszystko zda w mojej niedoli?... — mamrotał Cedro.

— Musiało co lepsze ocknąć się i rzucić w krwawą kąpiel. Mógłże to on spać w domu i władać kawałkiem ziemi? Przypomnij sobie jego duszę... On, Krzyszto! Pomyślże

tylko... On, Krzysztof!

SANDOMIERZ

Rafał Olbromski zdołał dnia 9 czerwca w sam czas dotrzeć do Nadbrzezia i przeprowić się przez pokład na mostołodziach do Sandomierza. Nazajutrz rano cały most sprzątnięto, a baterię szańca przedmostowego ku Trześni zburzono ze szczętem. Z natury swego stanowiska, jako adiutant trzeci generała Sokolnickiego, Rafał musiał ciągle przebiegać Sandomierz i jego cały obwód, uzbrojony w najrozmaitszych kierunkach. Stary Sandomierz!... Znał go przecie od lat dziecinnych równie dobrze, równie szczegółowo jak ogród i gumno w Tarninach. Gnał tedy konno to na Góry Pieprzowe, gdzie przy sypaniu okopów wyrzucano z ziemi urny staropogańskie ze słowiańskiego zgliszcza, to na pola folwarku kapitulnego Kamienia; za chwilę co koń skoczy pędził z rozkazami w stronę zachodnią, do fortalicjów zamku, i dalej w stronę Rajeckiego folwarku na Krakówce, w stronę Chwałek i Strochcic, to znowu ku Lenarczycom i Kobiernikom, by wkrótce rzucić pocztowemu cugle konia i na piechotę zdążyć już to ku baszcie nad Rybitwami, już ku posterunkom umocnionym za klasztorem Św. Jakuba, za kościołem Św. Pawła, Św. Józefa i Św. Michała, czyli klasztorom benedyktynek.

Ów trójkąt, który tworzył powyżej wymienione kościoły, złączony z miastem przezpaścistymi wąwozami, stanowił punkt najbardziej umacniany. Nad ostatecznym ufortyfikowaniem tych miejsc pracował pod rozkazami generała dowódcy książę Gintuł. Przyprowadził on ze sobą do Sandomierza batalion ludzi, których w swoich przeważnie majątkach zgromadził z tamtej strony Wisły. Ludzie ci nie byli dotychczas uzbrojeni ani umundurowani należycie, wzięto ich tak jak stali, w wieśniaczych odzieniach. Książę sam nimi dowodził, ale nie jako oficer, gdyż do wojska nie wstąpił, tylko jako cywilny inżynier i dozorca. Teraz przy umacnianiu Sandomierza „batalion” Gintułowski osobliwie się przydał.

Za jego to staraniem i nieprzerwaną saperską pracą wzniesiono szańce naokoło miasta, które stworzyły przednią straż obrony wewnętrznej. Kościoły i klasztory zamiejskie były wciągnięte do tej linii obronnej, a ich cmentarze, dzwonnice, wieże i mury do odporu umocowane. Parowy, stromo ścięte, stanowiły nieźrównany systemat dróg krytych do komunikacji z szaniami świętego Jakuba, na Górze Świętopawelskiej, świętego Józefa i benedyktyńskim. Szańce odpolne poza tymi kościołami i przedmieściem opatowskim podsypano wysoko, a nadto, dla nadania im pozoru jeszcze bardziej straszniejszego, odziało w puste beczki, które przysypano ziemią. Stodoły folwarczków Psalterzyskich w tych stronach pourządzano do obrony w ten sposób, że wewnątrz nich wydzwignięto świetnie zamaskowane ziemne przedpiersia, które dawały możliwość uporczywej obrony. Podobnie wszystkie klasztory były wewnątrz przemienione w warownie. W samym mieście kierował robotami generał Sokolnicki. Starożytny mur obwodowy dopełniał nieustannie, a wyłomy w nim nie do naprawienia zastąpił palanką. Poza murem bito jeszcze palisady w spadek góry, wciągano na pozycje austriackie osiemnastofuntowe armaty.

Książę Gintuł osobliwą pieczę darzył jeden z klasztorów zamiejskich, a mianowicie kościół i klasztor Świętego Jakuba. Wznosząc w tamtej stronie, od zamku aż po drogę opatowską, owe wysunięte *ouvrages extérieurs*, w czasie dozoru swych chłopów długie godziny trawił na kontemplacji odwiecznych romańskich murów kościoła, jego ceglanych ścian, pokrytych sześćsetletnią patyną czasu. Rozkopując tak do głębi ziemię tych pagórków, pokrytą młodymi zbożami, gdzie drzewiej, przed wieki, na początku stało miasto Sandomierz, trafiano wciąż na ślady wałów, murowanych fos, resztki palisad. Może to były wały sypane przeciw Tatarom przez wójta sandomierskiego Witkonia i wojewodę Dersława z Obręczny... Rydel kopacza odwalał zapadłe wejścia do lochów. W ich głębokości i mroku szarzały wzgórze kostne.

Były to jaskinie, w które przywiodła Tatarów mężna Halina, córka Piotra Krempy, i gdzie śmiercią zginęła dla ocalenia ojczystego miasta?... Ludzie sandomierscy oglądali ze czcią owe popioły zgasłych pokoleń, dumając sobie i zgadując daremnie, czyje też są. Któż to mógł zgadnąć? Były to kości Jadźwingów czy Tatarów, Litwy czy Rusi, Szwedów czy Niemców?... Nie było czasu na szanowanie podziemnych cmentarzysk. Sypano stare kości wraz z ziemią górną na nowe szańce...

Polska, Historia

Tylko księżę Gintuł, po skończeniu dziennych robót, sam, w nocy, obwiązany sznurkiem, puszczał się częstokroć w owe podziemne chodniki. Znajdował szczególną rozkosz w dotykaniu się ręką, w obejmowaniu trwożliwą żrenicą sennego popiołu przeszłości. Łudził się dobrowolnie, postępując w mroki podziemia, wiedziony przez ruchliwy krąg światła, przez bojaźliwą smugę pochodni, że przepatruje tajemne szlaki śmierci i bada przeszłe dzieje zgasłego człowieka... Rozkosz znajdował w tych złudach. Stawał się w głębi lochów sam dla siebie niezupełnie zrozumiały, był sam dla siebie na poły człowiekiem, półduchem i dochodził do stanu złudzenia, utraty zmysłów. Za dnia, wśród najpilniejszej pracy, wsłuchiwał się bardzo ciekawie w pogwary ludku o tych lochach, w gadki o przejściach podziemnych, w legendy przysypane gruzem ciemnoty, zarosłe chwastem i darnią powszedniego dnia, podobnie jak same lochy. Z wolna wytworzyło się w jego sercu łaskawe przyzwolenie na prawdziwość światła, które tylekroć w ciemne noce widzieli ludzie nad kościołem świętego Jakuba. Księżę śmiał się dobrotliwie, radośnie i szczerze, słuchając, jak to pułkownik szwedzki uciekał co tchu z klasztoru, ujrzawszy o północy światłość jarzącą, co wychodziła z okien, i usłyszawszy śpiew nadziemski czterdziestu sześciu dominikanów z Sadokiem na czele, zamordowanych przed pięciu z górą secinami lat. Powiadał sobie wówczas w duchu, że przecie nie masz nic na tej ziemi sprawiedliwszego od wyroku baśni cudownej... Jakże głęboką, jak zrosłą z ziemią wydała mu się powieść o wiecznym śpiewie, o wiekuiestej wigilii nocnej w tej świątyni, gdzie się modlili za życia wymordowani!... Omszałe mury dominikańskie poczęły promienieć dla księcia przeczystą światłością, niematerialnym jaśnieniem, które otacza cnotę męstwa, honor przysięgi dotrzymanej i grób męczeński. Między jego duszą a owym murem, stromo wystrzelającym ze szczytu wzgórką, między kopułką kaplicy-celi Jacka Odrowąża wyrosła w tym czasie jak gdyby żyła nierozzerwalna.

Nieraz Rafał zdybał tak księcia siedzącego pod przykopą, na wystającym kawałku żerdzi, w miejscu gdzie w trzynastym wieku istniały winnice dominikańskie, zapatrzonogo w uroczy portal północny, w ozdobne łuki półkoliste okien, we floresy frontonu. Nietajne mu też były zabiegi, żeby ten klasztor osłonić najbardziej zarówno od nieprzyjacielskich pocisków jak i od możliwego zbombardowania z miasta. Najwyższe tu powysypywano odkosy ziemi po wzgórkach i najwyżej powznoszono koszokopy. Wszystko to działo się pod ogniem bombardowania i napadów, jak całodzienna kanonada 27 maja, siedmiogodzinną nocną z 4 na 5 czerwca, trzygodzinna południowa 6 czerwca.

Po powrocie swoim zza Wisły Rafał rzadziej widywał księcia. Przebywał wciąż przy generale. Obserwował dnia dwunastego czerwca z kopuły kolegiackiego kościoła przebieg bitwy na Dąbrowie, we Wrzawach i pod Gorzycami — wysiadywał na dachu kolegium jezuickiego w dymnikach, tak dobrze sobie znanych, wypatrując stanowisko Austriaków pod Dębiną i cofanie się wojsk naszych pod Rachów. Czuwanie po nocach, dni na siodle bez pożywienia i chwili odpoczynku zmarnowały adiutanta. Toteż w nocy z 15 na 16 czerwca, kiedy toczyły się narady z przysłanym parlamentarzem, postanowił wyspać się należycie. Dopadł jakiejś stancyjki w domu księżym, stojącym w głębi podwórza. Całe to domostwo było spróchniałe i bardzo stare, toteż mieszkańcy dawno z niego uciekli. Olbromski rzucił się w ubraniu na łóżko napotkane i głośno zachrapał. Ale przed północą zbudził go wściekły łoskot. Przez otwarte okno widać było mnóstwo kul ognistych, puszczonej na Sandomierz z Nadbrzezia, z Zarzykowic i poburzonych szańców. Kule te śmigały jak race w dzień godowy, z hukiem pękały w powietrzu, miotając ogień na wsze strony. Na pół rozbudzony oficer usłyszał tuż gdzieś za ścianą wrzaski na trwogę. Trzeba było wstać. Dźwigał się właśnie z łóżka, kiedy mu przed oczyma wybuchnął olbrzymi żagiel ognia. Pożar w podwórzu! Palił się jakiś spichlerz czy lamus o kilkanaście kroków od okna.

— Pana Saniewskiego lamus gore! — wrzeszczały oszalałe głosy.

Kiedy Rafał wybiegł z domostwa, już dach je okrywający stał w ogniu. Wiatr wionął i oto płomieniste jezory musnęły dachy połąci domów w ulicy Panny Marii. Stare, wyschłe, poczerniałe, powyginane, różnokształtne dachy zajmowały się jeden po drugim z cicha, posłuszenie i uroczyście. Wszystkie ich załamania, okapy, wygłady, dymniki i dziury widać było teraz jak lica nieboszczyka szczególnie wyostrome, wydatne i oczywiste. Tyle lat osłaniały skupione, ubogie życie ludzkie od slot i wichrów! Teraz same, w jednej chwili wydane na łup, ginęły od śmierci nagłej i również strasznej jak ludzka.

Potok ognia skakał z dachu na dach, przelewał się z jednej pochyłości na drugą. Gdziekolwiek tylko mknął z podwórza człowiek struchlały. Gdziekolwiek wybuchał płacz i wnet nacichał jakby przez ogień pożarty. Krzyk tam i sam, a po nim cisza śmiertelna, bardziej przeraźliwa od krzyku. Trzask w niej słychać wszechmocnego pożaru... Szelest płomieni jakoby łamanie kości żywych przez obcego kata, jakoby czynienie wyroku tyrana. Rafałowi niewymowny żal serce w piersiach zatargał. Dziecięce i młode lata spędził pod osłoną tych starych podcieni, tych wielkich, czarnych dachów zrósłych w jedno, podobnych do sioseł i przełęczy górskich... Teraz oto przed jego oczyma wszystkie bezsilnie konały. Zdjął czapkę i gorzko jak dziecko wzdychał. Ale przecie ocknął się w mig.

Spojrzy, alści pożar straszliwym zagonem sięga do kamienicy Saula Dziordźiego, Greka. Poskoczył w rynek. Ujrzał w pobliżu ratusza tłum żołnierzy polskich, wywłóczących sikawki. Garstka mieszczan w koszulach i portkach na bosaka laziła po rynku lamentując i rwąc włosy. W mgnieniu oka Rafał ich zaprzął do roboty. Kazał przynieść drabiny i zarówno żołnierzy jak hyków popędził na dach narożnego domostwa zwanego Wójcikowszczyzną, z rozkazem odarcia go z gontów. Ściany poczęto lać wodą z sikawek, żeby nie puścić ognia w rynek. Teraz wszystek motłoch począł krzyczeć i powtarzać:

— Nie puścić ognia w rynek!

— Lać ściany! Rąbać wszystkie chlewy i stajnie od Wójcikowszczyzny!

Zatrzeszczały pod siekierami stare parkany, daszki i przyciesie, w ziemię wrosłe. Cała już połać na wzgórzu wraz z tyłami gorzała jak żywy stos. Perzyna stamtąd poszła jak śnieg. Żar straszny. Granaty poczną bić coraz gęściej w płomienie. Na ludzi padła wraz z tą perzyną i trzaskiem brandkugłów trwoga śmiertelna, popłoch paniczny. Mieszczanie uciekali od własnych domów, ode drzwi mieszkań, z rąk żołnierzy, chroniąc się do piwnic i murowanych kościołów. A i sami żołnierze chyłkiem pomykali za mury.

Opuszczony od wszystkich Rafał zaniechał ratunku. Idąc w kierunku kolegiaty, usłyszał nagle szczególny wśród tego zgiewu i trzasku dźwięk. Przystanął, leniwie pytając siebie: co też to być może?... Nierychło pojął, że stary zegar, strącony kulami wraz ze szczytem wieży kolegiackiej, leciał przez powietrze. Posępny był rumor tego miernika czasu. Dzwoniły przez chwilę jego rozsypane koła po miedzianym dachu kościelnym, charczały i klekotały rozbite sprężyny i wagi, aż w powszechnej ruinie zapadły w nicość. Przez kopułę kolegiaty dym począł buchać z granatów, które do kruchty i w środek nawy popadały. Szeroka luna rozpostarła się nad plebaniami Świętego Pawła, które stanęły w ogniu, nad Krakowskim Przedmieściem, gdzie płonęły rzędy podmiejskich chałupek, nad folwarkiem klasztoru Panien Benedyktynek, nad świeżo wystawionym folwarkiem miejskim.

Rozlegał się co chwila krzyk, że gore browar na Czwartaku pojezuickim, że pali się płomieniem cały folwark na przedmieściu Zawichostskim za sadzawką benedyktyńską, że płonie wielka szopa cegielni kapitulnej...

Widno się zrobiło na górze sandomierskiej jak w biały dzień. W dali, pod luną, sterczały czarne widma spalonego w pierwszym szturmie kościoła reformatów i czerniały popieliska Świętego Wojciecha. Dymy białymi zwojami osłoniły miasto i poczęły magać się ponad czubami kościołów. Ludzie z rynków, z uliczek, z mieszkań, z powierzchni ziemskiej poznikali. Wchłonęły ich głębokie piwnice, lochy i chodniki, podziemne miasto trwogi.

Była już blisko pierwsza po północy, kiedy ozwały się armaty austriackie na lewym brzegu Wisły, jednocześnie z trzech stron. Olbromski poszedł z rynku w parów północny. Wiedział, że tam znajdzie swego dowódcę. Istotnie Sokolnicki wydawał w tym miejscu rozkazy. W chwili gdy Rafał zbliżał się, ryknęły z zamku i od bramy Krakowskiej osiemnastofuntowe działa, zdobyte na Austriakach, a teraz wymierzone w ich kolumny idące Jagiellońską drogą na baterię drugą i trzecią, czyli na zamek i bramę. Rafał otrzymał rozkaz przyniesienia wiadomości z baterii czwartej, to jest od kościoła Świętego Pawła.

Na przecięciu parowów spotkał dwie kompanie grenadierskie pod wodzą pułkownika Weyssenhoffa, pędzące w cwał na wzgórze Świętopawelskie. Pobiegł z nimi i trafił w wir najzacieklejszej bitwy. Kolumna nieprzyjacielska, którą odepchnięto od wzgórza Salve Regina, przeszła rozdołem Piszczeli pod narożniki oszańcowań kościoła Świętego Pawła. Szef batalionu Białkowski z dwiema kompaniami pułku dwunastego wytrzyma-

wał tam atak broniąc się zaciekle. Z prawego boku baterii na wale opalisadowanym były armaty, kierowane przez porucznika Bilskiego i podporucznika Tykła. Ale już jeden z granatników został zdobyty i zagwożdżony, palisady narożnika wyrąbane siekierami, kanonierowie wyklucili bagnetem, a cała trzecia i czwarta kolumna austriacka wdzierała się na nasypy. Grenadierowie Weyssenhoffa uszykowali się w kolumnę na kościelnym cmentarzu. Z cicha otwarli bramę. Zwarty ich zastęp wyszedł pod wyłom i czekał tam z nastawionym bagnetem. Ledwie piechury austriackie zdążyły rzucić okiem na wnętrze szańca, grenadierowie rzucili się na nich z zaciekłym męstwem. Powstała mordercza bitwa na nasypach i w fosach. Zrazu umiejscowiona w wyłomie baterii czwartej, stopniowo rozciągnęła się w obie strony za kościół Świętego Jakuba i aż do klasztoru benedyktynek. Trzy silne kolumny austriackie, a więc jakie pięć tysięcy ludzi, spitych gorzałką, kilkakrotnie już dopadały tego ostatniego klasztoru, aż wreszcie zdobyły go wraz z czterema armatami.

Folwarki, szopy, stodoły, chaty palące się naokoło miasta, pożar olbrzymi w śródmieściu, dawały widzieć jak na dłoni wszystko, co się dzieje.

Rafał pracował wraz z innymi oficerami przy armatach baterii czwartej aż do momentu zupełnego odepchnięcia napadu. Widząc, że pozycja na teraz jest bezpieczna, skierował się wielkimi krokami w wąwóz Świętego Jakuba, ażeby generałowi zdać sprawę. Gdy przebiegał obok kościoła, ktoś go zawołał po imieniu. To książe Gintułt stał przy portalu i kiwał na niego ręką. Bujne płomienie buchające z miasta oświetlały kościół. Cień od figury Gintułta, ruchomy, olbrzymi i długi, pływał po całej olbrzymiej ścianie, padał na staję młodego jęczmienia, który tuż za murem bujnie się plenił. Wewnątrz kościoła stali zaczajeni chłopcy Gintułta, ściskając gwery austriackie, nabite austriackimi ładunkami niedawno wydobytymi z ratusza.

- Dokąd idziesz? — krzyknął książe.
- Do generała.
- Z dobrą wieścią?
- Z dobrą.
- Pamiętaj, pamiętaj, żeby mi Świętego Jakuba szanował!
- Cóż ja mogę...
- Pamiętaj, pamiętaj!...

Rafał, nie słuchając dalej, pobiegł w parów, skręcił na lewo i dążył w górę między pachnącymi ogrodami, między domkami, przyczepionymi do góry jak gniazda jaskółcze. Znalazł generała przy baterii głównej. Sokolnicki wydał właśnie rozkaz:

- Bić w klasztor benedyktynek na wyłom!

Wielkie armaty wałowe poczęły miotać kule w klasztor i ogród kościelny, w mury cmentarza i dzwonnice, zdobyte przez Austriaków. W tej samej chwili nadbiegli oficerowie przyboczni z doniesieniem, że silne kolumny atakują miasto od strony Zawichosta, że szturmują całą przestrzeń od murów klasztornych Marii Magdaleny aż do zamku, że ciągną zarówno samym wybrzeżem Wisły jak i szczytem Gór Pieprzowych.

Zaledwie Rafał wybiegł z parowu na jaśnię, generał obcesowo zapytał:

- Bateria czwarta?
- Trzyma się.
- Co tam?
- Oficerowie rychtują działa i strzelają, bo kanonierów wybito. Pułkownik sam pracuje, twarz ma spaloną od prochu.

- Święty Jakub?
- Nasz.
- Czy oblegany?
- W tej chwili jeszcze nie. Ale z zachodniej strony lada chwila...

— Biegnij tam i zachęć do wytrwania! To klucz naszych wąwozów. Dasz mi znać, ale dopiero w takiej chwili, gdyby się nie mogli żadną miarą utrzymać. Pomocy im dać nie mogę, ani jednego człowieka. Rozumiesz?

- Rozumiem.
- Gdyby się żadną miarą utrzymać nie mogli, niechaj wszyscy uchodzą wraz, co do nogi, a ja ruderę natychmiast zburzę ze szczętem i Austriaków pod nią pochowam.

— Świętego Jakuba! — zawołał Rafał przypomniawszy sobie zlecenie książęce.

Ale generał już go nie słuchał. Cały był pochłonięty ekspedycją kapitana Czajkowskiego na czele kompanii trzeciego pułku dla odebrania ogrodów i murów Panien Benedyktynek, kapitana Szymanieckiego na czele pięćdziesięciu ochotników dla zdobycia karczmy za bramą Opatowską i adiutanta swego, Jordana, ze stu ludźmi na baterię szóstą i siódmą.

Przybiegłszy na miejsce wskazane Rafał zastał już wśród obrońców zamieszanie. Piechota austriacka, wdarłszy się po okrągłym pagórku od strony Wisły i starej Krakowskiej bramy murowanej, usiłowała zdobyć szańce, jeszcze przez generała Egermana sypane. Kompania pułku dwunastego, ukryta za nasypem, biła się już z napastnikami na bagnety. Niewyćwiczeni chłopci Gintuła, poumieszczani w oknach i korytarzach klasztoru, na poddaszach i w dymnikach, na wieży i za murem, strzelali ile weszło.

Sam książę, nie mając żadnej broni, z laską w rękę przechadzał się między tłumem udzielając rad i wskazówek nie tylko żołnierzom, ale i oficerom. Ruchy jego były zgorączkowane, słowa gwałtowne i nieopatrne. Wchodził w środek szeregów, krzyczał, łajał, rozkazywał. Kiedy Olbromski przebiegał obwód umocniony w poszukiwaniu dowódcy oddziału, któremu by zakomunikował rozkazy generała, jakiś oficer pociągnął go za poję i wskazując księcia mówił:

— Czy nie mógłbyś, panie adiutancie, zabrać ze sobą tego donkiszota?

— Równie dobrze waćpan możesz go zabrać, gdzie wola...

— Łazi tu i rozporządza się jak ekonom. Jeszcze mu kto przez pomyłkę w łeb strzeli.

— Gdzie ja go wezmę?

— Zamknij go w kaplicy Św. Jacka.

— To go sobie waćpan zamykaj!

Najbardziej napastowany był wysunięty narożnik szańczyka. Żołnierze austriaccy wdarli się już nań masą, postrącali puste beczki i powyrywali pale. Garstka żołnierzy polskich zmagala się z nimi ze wszech sił, ale nie była zdolna odtrącić naporu masy. Oficerowie widzieli, że tego miejsca nie utrzymają bez pomocy.

Tymczasem adiutant generała przyniósł im wiadomość, że pomocy nie otrzymają. Książę Gintuł skoczył w stracony wyłom i podniecał żołnierzy krzykiem do oporu. Tak pchając ich pięściami do czynu i faktycznie dowodząc, zagradzał drogę. Widząc, że spracowani żołnierze nie są już zdolni dotrzymać placu, chwycił z ziemi karabin i w gronie kilkunastu wołyżerów poskoczył w fatalny kąt. Zwarli się tam bagnetem z piechurami Schöcklera. Z początku cofnięto się przed ich wilczymi susami, ale chwilę trwała niepewność. Gintuł pośliznął się na ruchomych glinach i runął na twarz w rów za wałem. W mgnieniu oka rzuciło się na niego z dziesięciu chłopów, żeby go żywcem pojmać. Ale się nie dał. Wstał w błocie rowu na kolana i gołymi rękoma zaczął się szarpać z pijanym żołdactwem. Krzyczał o ratunek, widząc, że kilku żołnierzy, co mu na pomoc skoczyli, broni się pod nasypem. Ale i tamci wnet zostali przez tłum obezwładnieni. Wtedy opanowała go śmiertelna podnieta. Huknął pierwszego z brzoza draba między oczy, w piersi drugiego. Targnął się z kupy całą siłą. Nie dał rady. Powtórnie runął w błoto rowu na wznak, czując, że traci siły. Plunął w pysk najbliższemu, który go kadłubem swoim całkowicie przywalił. Charknął mu w ślepie:

— Prędej morduj, chamie!

Ale oto ów żołdak garścią zasłania mu usta. Coś do niego szepce, coś sekretnie gada. Jąka się, jąka... Książę otwarł oczy. Nie może pochwycić tchu...

— Cichaj... cichaj... jaśnie panie... — szepce ów żołdak austriacki. — Nie waz się ruszać!

Gintuł przymknął oczy. Pękały mu zduszone piersi. Piorunem leciała myśl szukając miejsca, czasu, wypadków, kiedy on widział tę głębę, słyszał ten głos. Znalazła wreszcie...

— Nie inaczej... Piotra Olbromskiego sekundant — cha, cha...

Naokoło szczeł karabinów, wrzask, tupot nóg... Depcą po nich, leżących w rowie, wałą się w jamę zdobytą. W szańcu krzyk, zgiełk, strzały, łomot pustych beczek, kamieni, padanie gruzu.

— Ktoś ty — wyjęczał książę.

— Cichaj!

Mijały tak minuty długie jak stulecia. W pewnej chwili wysłuchawszy, że główna masa wojska wtargnęła do wnętrza szańca, Michcik dźwignął się z ziemi, obejrzał wkoło i jednym szarpnięciem wywlókł księcia z rowu. Chyżym krokiem, nienagabywani przez żołdaków, którzy pędzili na zdobycie szańca, pobiegli, poskoczyli obaj fosą zachodnią aż do końca murów klasztornych. Tam pochwyleni zostali przez chłopów Gintuła, zacząjonych w poprzecznym parowie. Wnet byli w ich tłumie. Księżę dał się poznać i niezwłocznie zeszedł z Michcikiem na dno wąwozu. Już w ten wąwóz z obwodu murów Świętego Jakuba wywał się tłum żołnierzy i chłopów pod parciem zdobywczej kolumny austriackiej. Nadaremnie usiłowali przedostać się do kościoła. Wir masy ludzkiej rozbitej i pędzonej odepchnął ich w głąb rozpadliny.

Stamtąd słyszeli, co się dzieje... Oto środkiem tłumy biegł z gołą szpadą oficer komenderujący i szkował lud żołnierski w kolumnę, która by weszła w obręb baterii czwartej Świętego Pawła. Oficerowie młodszy stosownie do rozkazu opróżniali teraz mury klasztoru Świętego Jakuba. Jednego z nich księżę zaczepił niezwłocznie w sposób ostry i wyzywający: czemu to zamiast ludzi pędzić na obronę starej świątyni on ich właśnie stamtąd z takim męstwem wywłoczy? Oficer spojrział na niego z góry i mruknął, żeby się odczepić:

— Kamień na kamieniu za godzinę z tych murów nie pozostanie. Jakże mam ludzi w nich trzymać!

— Czemuż to ma z tych murów kamień na kamieniu nie pozostać?

— Bo będą z naszych bateriów armatami zdruzgotane. Wzięły klasztor Austriaki, ale w nim zginą.

Księżę, nie słuchając dłużej, pobiegł pędem ku górze. Michcik dążył za nim. Gdy tak Gintuł wbiegał po gliniastych stopniach, miał chwilę samowiedzy, że już raz spełniał coś podobnego, że fatalność nieunikniona czeka na niego u szczytu tej góry. Wiedział, że źle czyni sobie, czuł gorzki żal, że biec musi... Ale gniew nie dał mu stanąć. Zwalany błotem, bez czapki, z rozwianym włosom miał baterie. Ludzie, stojący w milczeniu u armat i strzelnic, zwieriali sobie myśl, że musi być bardzo źle, że to, widać, zwiastun nieszczęścia. Księżę dopadł miejsca generalskiego w tej właśnie chwili, kiedy wydane zostały rozkazy zburzenia starego kościoła, żeby z niego noga austriacka w wąwóz nie zesła.

Kanonierowie wyrzucili działa na łożach. Z zapalonymi lontami czekali na komendę ogniomistrzów. Sokolnicki stał bez ruchu z lunetą przy oczach i lustrował jeszcze kościół. Świątynia stała przed nim w lunie, w blasku ognistym, zgrzybiała, straszna, jakoby grobowiec, na który nie masz dość potężnej siły, która by go tknąć mogła. Oto przybiegł zdyszany adiutant Rafał Olbromski i zdawał sprawę, że wszystka siła wyszła z murów Świętego Jakuba, że już jest w baterii „numer czwarty”, że tam ledwie i tych sił połączonych starczy do obrony, że opuszczone mury nieprzyjacieli zapełnił, że ciągnie działa w obręb klasztoru ażeby stamtąd bić w Sandomierz. Generał skinął głową i złożył lunetę. Gintuł stanął przed nim.

— Czego? — krzyknął Sokolnicki.

— Święty Jakub ma być zburzony?

— Kto waści wzywał do mnie?

— Nikt mnie nie wzywał.

— A więc...

— Przychodzę zapytać się...

— Pa! — rzekł Sokolnicki odtrącając natręta.

Nim komenda została powtórzona, Gintuł schwycił generała za rękę, za ramię... Błagał go z krzykiem:

— Patrz! Świeci się cała...

Rozległ się pierwszy strzał.

— Wstrzymaj rozkaz, generale! Zbierz wszystkie siły, uderz na tę pozycję, jeszcze ją wydrzesz!

— Nie mam sił żadnych... — mruknął generał, oszołomiony napaścią.

— Masz pięć tysięcy ludzi!

— Idź precz, człowieku!

Huknął strzał drugi i trzeci.

— Święte popioły rujnujesz i depcesz... Czyliż nie widzisz, co zburzą te kule! Patrz!

— Widzę nie gorzej od waści. Ale zburzę święte popioły dla ocalenia żywego miasta. Słyszałeś?

— Nie zburzysz!

Nowe rozległy się strzały. Gintuł chwycił Sokolnickiego za piersi, krzycząc, żeby kazał zaprzestać. Oficerowie przyboczni oderwali go siłą i odepchnęli. Wtedy w męcie bezrozumnej skoczył ku armatom, wydarł z rąk kanoniera lont zapalony i cisnął go na ziemię. Oniemiały żołnierz stał bez ruchu. Książę przypadł do drugiego... Ale oto oficer sekcyjny pchnął go szpadą w piersi. Żołnierze odtrącili rozszalałego wyciorami. Jęknęły armaty od strzałów.

— Żołnierze! — krzyknął Gintuł, leżąc na ziemi — nie słuchajcie tego rozkazu! Żołnierze, żołnierze...

Huk wystrzałów był mu odpowiedzią. Wtedy książę zebrał ostatek sił i zawołał z całej mocy cielesnej i ze wszystkiej mocy ducha:

— Do mnie, dzieci wdowy!

Rafał Olbromski usłyszał ten okrzyk jak trzask piorunu. Straszna trwoga włosy mu zjeżyła na głowie. Ujrzał w duszy swej moc przysięgi na ten okrzyk i pętlę jej czarodziejstwa uczuł na sobie. Bez tchu, z bielmem na oczach, wyrwał pałasz z pochwy i przyskoczył do księcia. Ten spojrzał na niego półmartwymi oczyma i rozkazał:

— Wydrzyj im lonty i zgaś! Nie daj świętych popiołów!

Rafał rzucił się na kanoniera i wyrwał mu lont z ręki. Rzucił się na drugiego i wyrwał mu lont z ręki. Skoczył ku trzeciemu, ale w tej chwili runął na ziemię, powalony ciosami szabel i pięści.

Kiedy po jakimś czasie przyszedł do siebie, spostrzegł, że leży pod murem, w wąskiej uliczce, która prowadziła na sandomierski rynek. Obok niego leżał skrwawiony książę. Kilku żołnierzy przebiegło tamtędy. Dał się słyszeć łoskot strzałów karabinowych, trzask dalekiego pożaru... Ktoś podłożył ręce pod głowę Rafała, dźwignął go z ziemi i posadził na kamieniu. Schyliła się nad nim twarz jednego z kolegów. Człowiek ten szepce z pośpiechem:

— Uchodź stąd! Skryj się co tchu! Za chwilę będziesz rozstrzelany, jeśli nie ujdiesz. Już cię szukają... Umykaj!

Rafał zrozumiał tę radę. Powiódł oczyma po ziemi. To książę Gintuł... Nad nim pochyla się i twarz mu wodą ociera żołnierz austriacki. Cóż to ma znaczyć?... Po chwili ów żołnierz bierze księcia na bary, zadaje go sobie na plecy, jego samego ciągnie za rękaw. Idą wraz, biegną... Pożar przed nimi. Olbrzymie zgłiszczą rodzą biały dym i lotne perzyny... Idą jak we śnie między domy spalone już do przyciesi, między stosy główni kopających. Z Gór Pieprzowych biją w miasto armaty, zza Wisły padają wciąż brandkule, z pól sandomierskich puszczone świszczą nad miastem pociski. Wokoło nigdzie żywego człowieka... Rafał, a za nim żołnierz niosący księcia, biegną w podskokach, rozglądają się, lustrują miejsce. Zawrócili w jakiś brukowany dziedziniec czy na cmentarz kościelny, którego po spaleniu okolicznych budowli nie było sposobu rozpoznać.

Przyszli na oślep do okrągłego ogródka czy kostnicy w głębi długiego podwórza. Pchnęli drzwi, zawarte na zardzewiałą klamkę, i po schodach na poły zburzonych zbiegli w głąb ciemnego lochu. Ujrzeni w podziemiu tym skupionych ludzi. Kobiety, siedzące w kucki nad kołyskami, powitały ich krzykiem przerażenia, dzieci kryły się po kątach. Michcik dał im znak ręką, żeby milczały. Rozejrzawszy się w mroku, ujrzał dalszy ciąg tego podziemnego korytarza. Tam poszli. Zagradały im drogę kupy kamienia zwalonego ze sklepień. Szli chyłkiem przez duszne otwory, przez szerokie jaskinie, przez bramy i ciasne korytarze, w gęstym mroku. Aż oto w jednym miejscu przyjmie ich światło! Zimne, czystsze powietrze... Ujrzeni w gorze sklepienia zakratowane okienko. Strudzony żołnierz złożył księcia na ziemi. Ściągnął ze siebie zwinięty płaszcz i rzucił go na mokre pokłady gliny, odpaśał broń... Gintuła ułożył na płaszczu, Rafała obok. Sam usiadł w kącie.

Książę z wolna przychodził do siebie. Ciężko dyszał i kaszłał, bezsilnie rżęzał. Olbromski rozejrzął się wkoło. Zrazu widział tylko szarą, jakby posiwiąłą gęstwinę mroku. Ze szpary okiennej padała jednolita smuga półblasku, w dole rozpraszała się i nicestwiała. Ale gdy oczy przywykły do mroku, dojrzał w głębi jakoby wzgórze szare, jakoby kopiec

pochyły...

Wstał ze swego miejsca i podszedł bliżej. Wielka w głębi pieczara była zavalona kośćmi ludzkimi. Nikłe światło dawało widzieć czoła czaszek i kości policzków. Po ustach uśmiechniętych boleśnie wiodło nici półjasne, ukazywało skurczone palce i bojowo wyciągnięte piszczele rąk. Zadrzał przychodzień, bo mu się zdawało, że góra kości śmieje się z niego w ciszy...

NAROŻNA IZBA

W nocy 30 czerwca, po zupełnym opuszczeniu Sandomierza przez Austriaków, którzy go na mocy kapitulacji 19 czerwca posiadli, Rafał Olbromski, ksiązę Gintult i żołnierz Michcik cichaczem wymknęli się z miasta. Właśnie mieli je zająć Kozacy, przeprowiający się na łodziach zza Wisły. Michcik, przebrany w mundur ułana Dziewanowskiego, zdobył gdzieś w mieście konia-chabetę i wystarał się o lepszego dla Rafała. Ułański płaszcz, związany między kulbakami koni, służył za łożo dla ciężko chorego księcia. Wyjeżdżali nad ranem przez Krakowską Bramę. Dość już było światła, żeby Rafał mógł dojrzeć, co się stało z miastem. Ani śladu palisad! Wszystko zrównane z ziemią i spalone na stosach. Doły i rowy pracowicie pokopane — zavalone, szańców ani śladu. Przez chwilę czuł w sobie gniew, gniew najbardziej ludzki, na widok ogromnej pracy zniweczonej bez śladu. Ale zmiażdżył go w sobie młotem potężnej myśli:

— Teraz do Tarnin!

W skok zjechali z góry. W mieście bezpiecznym, bezbronnym i spalonym nikt ich tej nocy o hasło nie pytał. Zorza ranna, szerząca się nad rozdołem Wisły, dawała widzieć zgłiszcza wszędy, ziemię zjeżdżoną armatami, stratowane zboża. Pomknęli ku Samborcowi co pary w koniach, żeby przed jasnym dniem wjechać między pola, w wąwozy. Słońce wschodziło, kiedy za Goryczanami wzięli się na prawo w wąwozik i wjechali w mylne i wąskie drogi. W dali, w dali na wzgórzu widać było Tarniny. Konie jeźdźców weszły w koleje i ocierały się bokami. Wyżej przytroczyli płaszcz i podnieśli chorego. Twarz miał koloru ziemi, oczy szkliste. Słowa bez związku snuły się w jego poczerniałych wargach. Rafał marzył jak o szczęściu, żeby nareszcie, bez szwanku dopaść do domu. W Sandomierzu nie było gdzie trzymać rannego. Szpitale pełne były oficerów i żołnierzy, w prywatnych domach panowała nędza i trwoga. Przyłgnęło zresztą do nich obudwu jakieś echo podejrzenia, które towarzyszyło każdemu ich krokowi. W ciągu straszliwych dni kapitulacji, wyjścia sił polskich w stronę Zawichosta i panowania austriackiego w mieście, Rafał zgłębiał swoje położenie. Jakże się to stało, że z oficera pełnego nadziei, stojącego u szczytu powodzenia, przeistoczył się niemal w zdrajcę, w podkomendnego, który niweczy samowolnie rozkazy swego generała? Jakże się to stać mogło, że zamiast krzyża zasługi zarobił sobie dobrowolnie na sąd polowy i prawdopodobnie na haniebną śmierć? Sam to uczynił, o dziwo... Wraca oto znowu w progi domowe nie jak zwycięzca i bohater, o czym tyle lat marzył, lecz jako wymazany z list pułkowych... Sam to uczynił... Myślał o tym patrząc na zboża rodzime, falujące jak daleko oko sięgnie, na niwy sandomierskiej pszenicy, czarne, zroszone... Skowronczy chór dzwonił pod niebem... Mgły poranne wstawały z parowów.

Za Chobrzezanami wzięli się w lewo ku Koprzywnicy. Z prawej i lewej strony drogi zboża były pogniecione, wbite w ziemię przez pułki konnicy idącej pod Połaniec. Z nadzwyczajną pieczołowitością jeźdźcy zbadali lasek sosnowy na wzgórzu, czy w nim aby nie czai się patrol austriacki. Ale las był pusty, pełen tylko woni żywicznej, błękitnej mgły i poświstu zień. Co siły w koniach zjechali w dolinę Koprzywianki i zbliżyli się do miejsca. Ogród rodzinny przed oczyma Rafała! Cały w gęstym obłoku... Środkiem jego biegnie w dół, po zboczu góry, aleja wiśni lutówek. Wszystka rubinowa od niezmiernej masy owocu, wszystka skąpana w barwie, nad wszelkie słowo uroczej. Wilgi wykrzykują w gęstwinach starych wiśni o spękanej korze, o liściu miękkim i miłym jak włosy kobiece, sroki i wrony na szczytach drzew wyjadają już pracowicie od wczesnego rana, nim ludzie na dobre się zbudzą, niezrównany owoc. Cień jeszcze w sadzie, czad od tysiąca nocnych zapachów, mrok pod okapami wielkich jabłonek, przy pniach grusz, których owoce już ciągną gałęzie ku ziemi. Chmiel dziki wyrósł bujnie, nieznanym oczom Rafała dziwny przybysz rozwiłkł się po zmurszałych balasach płotu i zarzuca nici swe na gałęzie sąsiedniej jodły. Dzikie drzewa wyrosły na podziw. Młody modrzew buja wierzchołkiem w lazurze nieba, a lśniące liście klonu, ciemne liście włoskiego orzecha poranny wiatr

przegina. Z głębi, z rozdołu, zapachniały grzędy truskawek. Tam, jeszcze dalej, gęstwina malin nieprzebyta, wielki jałowiec, urwisko i czub starego brzościu...

Szybko wjechali po wzgórzu, obok dwu wypróchniałych siostrzyc-wierzb, na dziedzińcu. Już w ganku siedział na drewnianym zydelku stary pan Olbromski w swej wyszarzałej bekieszy i odwiecznej rogatywce. Ujrawszy z nagle jeźdźców zerwał się na równe nogi z najoczywistszym zamiarem wykonania przezornej rejterady. Ale już było za późno. Zstępował tedy ze stopni z brwią namarszczoną, zły i srogi. Czapkę na głowie ręką miętosił, niby to z gotowością do ukłonu. Piorunem oka przeszywał przybyszów. Ale naraż w zgrzybiałej, jakoby pleśnią pokrytej twarzy coś błysnie... Kurcz stuli usta... Szłocha starzec na piersi synowskiej jak dziecko...

Krzyk powstał w całym domu. Poczęły wychylać się kobiece figury, wyległa służba. Oto matka... Staruszka, babinka, ledwie ją można poznać... Twarz cała w zmarszczkach i faldach, oczy wypełzłe ledwie patrzą. Zofka! Ogromna kobieta, na pół ubrana, przy nadziei, w jakim ósmym miesiącu.

Wszyscy ledwie mieli czas ochłonąć z uniesienia na widok Rafała, a już w zdumieniu słuchali wieści, że mają dać gościnę rannemu księciu Gintułtowi. Gwałt powstał w całym domu, bieganie, znoszenie pościeli do izby narożnej, niegdyś Rafałowej, wołanie służby i rwetes nie do opisania. Na dworze przy koniach, za progiem, został jeno sam Michcik. Odziany w mundur ułana zabitego na sandomierskim placu — wyglądał jak stary wiarus. Oczy jego niespokojnie oblatywały okolicę, pola, wąwozy. Księcia wniesiono do izdebki i ułożono na czystej, wysoko zasłanej pościeli. Otwarte okno wpuściło do stancji woń różaną. On leżał z przymkniętymi oczyma, na pół przytomny, patrzący w jeden kąt. Czoło miał jednostajnie, nieodmiennie zmarszczone, jakby nad tą samą wciąż myślą głęboko, głęboko się biedził. Dawno niegolony, siwiejący zarost oblókł wargi, policzki, podbródek i uczynił z niego starca.

Wszyscy wyszli w nadziei, że chory będzie spał. Chciano niby obmyślić dla tak wielkiego gościa posiłek jak najlepszy, najbardziej leczniczy; chciano powziąć wiadomość o wszystkim na raz, a w gruncie rzeczy usiłowano tylko bez przeszkody patrzeć w Rafała. Staruszkowie obścapiłi syna z dwu stron, zagarnęli pod światło okna. Wycierają do sucha oczy, żeby jak najlepiej widzieć, nastawiają ogłuchłe uszy, żeby zaś czego ze słów nie uronić... Drepcą na miejscu, podglądają...

Tymczasem Zofka minęła powtórnie w sposób sekretny sień prowadzącą do izby rannego. Uchyliła drzwi, zajrzała przez szczelinę. Leżał tak samo ze zmarszczonym czołem, z zagryzioną wargą, wszystek w jedną jakąś myśl okuty jak w kajdany. Wsunęła się za drzwi bez szelestu, wtuliła w kąt wedle pieca. Patrzy weń, patrzy, napatrzeć się nie może... Przed rokiem wydali ją za męża za konkurenta, za przyjezdnego kawalera, za sąsiada, który stanowił dla niej partię. Myśli sobie teraz o tym. Była narzeczoną, uszyli jej wyprawę, sprawili huczne wesele z muzyką i tańcami, był ślub, oczepiny, przenosiny. Wszystko jak sen. Teraz jest w ciąży... I dopiero w takiej chwili zjawia się przed nią jej „książę”... Tenże to jest człowiek, którego we snach i radosnych jawach dziewiczych widywała? Toż to jest marzenie jej spełnione? Książę leży w tej izbie, gdzie tylekroć o nim po nocach śniła.

Czemuż stało się tak właśnie, a nie inaczej?...

Wtem struchlała ze wstydu! Zmarszczki żelazne na jego czole zaczęły się rozchodzić, rozplywać jak chmury od łagodnego wiatru pod słońcem. Uśmiech, niby jutrenka daleka, zajaśniał na ustach i twarz rozwidnił. Tylko oczy zostały szkliste i nic niewidzące. W całym obliczu odbiło się ukojenie, spłynęła na nie łaska ciszy i błogosławiony chryzmat pociechy. Zgrabięte, bezwładne ręce zsuwają się ku sobie, palce jednej dłoni zaplotą bez sił na palce drugiej... Obiedwie przycisną piersi ciężko dyszące. Usta szepcą wyrazy, które w ucho Zofki padają wyraźnie, jasno, kwiecście. Zda się jej przez chwilę, że rozumie wszystko, co szepcują do siebie te wargi, że to już dawno słyszała, że wie doskonale...

Powtórzył te słowa, powtórzył drugi raz i jeszcze:

*Ad Rosam per Crucem,
ad Crucem per Rosam!
In ea, in eis
gemmatu resurgam...*

Przytuliła się do ściany i przemieniła w cień nic niewiedzący, a przecie wierny aż do ostatniego kroku...

Wtem poza domem rozległ się przeraźliwy krzyk. Zofka buchnęła we drzwi. Rafał biegł na dwór wdzwiewając po drodze czapkę i zapinając rzemienne pasy uzbrojenia. Michcik wskazywał w oddali, po drugiej stronie rozdołu Koprzywianki, austriacką konnicę i piechotę, które wolno zmierzały w tę stronę. Skoczyli obadwaj do koni. Ale zarówno koń Rafała jak Michcika był zgrzany, robił bokami i dymił się jeszcze z trudu. Stary Olbromski dreptał za synem przynaglając go do pośpiechu. Oczy starca padły na zbiedzone konie obudwu jeźdźców. Coś począł krzyczeć... Pobiegnął nagle ku stajni rozkazując:

— Michcik! Michcik! Dawaj tu szkapy... Żywo!

Obadwaj z Rafałem pośpieszyli za starcem. On tymczasem trzęsącymi się rękoma rozwarł drzwi stajenne takim ruchem, jakby ze siebie wyrwał wnętrzności. Wołał:

— Wałacha gniedego pod panicza! Sobie tę siwą klacz zabieraj! Żywo! Nie stój! Tyś to mi syna Piotra zratował... Przepinaj siodło... Żywo! już ich widać...

Michcik okiełznał przepyszne konie, wyhodowane pod pańskim okiem, w ciemności, wypielęgowane na chlebie i owsie, a chabety, na których przybyli, wprowadził w grodzie. Rafał zapinał popręgi. Za chwilę siedzieli na siodłach.

Wparli ostrogi w boki biegunów.

— Michcik! — krzyczy jeszcze starzec. — Bógże ci zapłać... Broń mi chłopca!...

Ushyśleli za sobą dziadowskie łkanie, ujrzeli wyciągnięte z ganku ręce.

Wypadli z podwórza olbrzymimi susami w wąwozik kole cmentarza, stamtąd na płaszczynę i w zielone, jasne, szerokie pola. Ku Klimontowu! W konie! Lecą jak ów ranny wicher na skrzydłach wiatronogich koni, ścigani dalekim krzykiem austriackim... Aby jeno do lasów górskich! aby jeno do lasów!

POD ŁYSICĄ

Po stracie miejsca przy boku generała Sokolnickiego wskutek zajść podczas szturm Sandomierza Rafał powrócił jak niepyszny do swego pułku i na dawne miejsce. Tylko dzięki szybkości wypadków, jak kapitulacja i wymarsz załogi sandomierskiej do Puław, udało mu się wyjść niepostrzeżenie z całej afery bez sądu, degradacji i gorszych następstw.

W dniu 4 lipca, kiedy wszystkie siły polskie wyruszyły z Radomia na południe w ślad za ustępującym nieprzyjacielem, Olbromski na czele kilkudziesięciu ułanów ze swego szwadronu szedł na szpicy przedniej straży kawaleryjskiej w Świętokrzyskie Góry od strony Kunowa. Minął szybko Bodzentyn, przez który dopiero co przeciągnęła znaczna siła austriacka, i wkroczył ostrożnie w lasy. Zrazu wziął się na prawo przez wieś Psary, ażeby uniknąć głównego gościńca, gdzie mógł łatwo zetknąć się z maruderami Mondeta. Chłopi okoliczni zawiadomili go, że wojsko austriackie poszło gościńcem i że zabiegając mu drogę spoza góry Strawczanej tym łatwiej może się zetknąć z siłami i być zaskoczonym w lesie. Ruszył tedy wolnym gościńcem wprost na Wzorki i Świętą Katarzynę.

Mzył letni deszczyk-kapuśniaczek. Chłodne łąki w smugach i gozdach leśnych jeszcze nie były pokoszone całkowicie. Dopiero gdzieniegdzie pachniało siano przewiędłe. Jeszcze się słały po łąkach najczarowniejsze leśne smółki, kosańce, jaskółki i koniczyny. Śniade dymy rzadkich, dżdżystych obłoków wałęsały się nisko po lasach, po łańcuchu gór, po puszczy zbójcekiej. Łysica rozwinęła przed jadącym oddziałkiem żołnierzy swoją granatową delię, utkaną jasnymi kępami buków. Tam i sam wzbijały się ku górze powłóczyste smugi chmur jakoby dech żywy, idący w niebo ze świętych buków. Ciągnęły się blisko mokre tumany między korami przedawnych jodeł, ukazując zdumionym oczom ich tytaniczne kolumny i rozpostarty ponad nimi czarny strop z koron wielkolasu.

Im bardziej się zbliżali do góry, tym bardziej pachniała knieja. Stała przed oczyma jej głębia wewnętrzna, jej gleba dziwna, pełna wypłukanych kamyków porosłych rdzą, rudziczną i zielonkową pleśnią, jej pochyła górska ziemia, którą we władzę wzięły olbrzymie korzenie. Naokoło stanęły odziemi ki jodłowe, pokryte barwą przyćmionego srebra. Z północnej strony zwisły na każdym kożuchy mchów twardych i suchych o barwie jaspisu, kosmate i potargane brody a kłaki. W wilgotnym wietrze zachodnim zagrały szerokie igły spławów, rozkolywały się chwianiem rytmicznym, poczęły przeginać ogromne piętra gałęzi, a szyszki wzniesione do góry wylały tajemnicę swej woni. Zięby po gęstwinach poświstywały...

Oddziałek konny wyminał leśnictwo na Wzorkach, wioskę tejże nazwy leśną, zbudowaną w głębi puszczy, siedlisko ludzi krzepkich jak jodły i twardych jak buki. Grunt był ku górze coraz twardszy, złożony z krwawego, łamliwego kamyka. Ukazał się w ciemnicy jodłowej wyniosły, czworograniasty słup wieży klasztoru i białe jego mury. Tuż za kuźnią i za gospodą klasztorną był wysoki parkan ogrodu.

Olbromski zaczął za murowanicą oberży i kuźni, stojącymi naprzeciwko siebie, część swego oddziału i podzielił go na dwie partie. Jednej kazał iść dalej drogą aż przed kościółek, a sam na czele drugiej postanowił zbadać niepostrzeżenie dziedzińce klasztorne, czy w nich nie ma Austriaków. Zsiadł z konia i to samo kazał uczynić dziesiątkowi jeźdźców. Jedenasty został przy koniach ukryty za oberżą. Na dany znak przez trębacza miał z końmi w las uciekać na lewo, aż do wskazanej polanki. Rafał na czele swoich przeskoczył przez wysoki z daszkiem parkan tuż za oberżą i znalazł się w ogrodzie.

Gdy tam wszedł, opuściła go chęć patrolowania, badania, poszukiwań... Stanął w cichej altance z dzikich drzew na końcu ogrodu i na chwilę dał wolność duszy. Ujrzał jak gdyby dzieciństwo swoje, śnił o sobie widomy na jawie sen. Był tu w tym ogrodzie małym dzieckiem, a wszystko, wszystko doskonale zapamiętał... Strumień świętego Franciszka, który jest głównym rodzicem Czarnej Nidy, biegnie przez ogród z gwałtem swych małych wód, z siłą i gniewem małych pian. Tam oto spada srebrzystym snopem z drewnianej rynny wprawionej w ogrodowy mur, tu dudni, jak gdyby wpadał w głębinę pustej stągwi, tam z szelestem i szemraniem biegnie przez ogród pod białymi mostkami, pomiędzy korzenie śliwin i grusz, które słodkie jego wody wypijają. Dopadł drugiego muru i znowu ujęty w rynnę, wyciosaną w półpniu świerkowym, puszczonej został na wolność.

Spomiędzy drzew, w wylotach owocowych alejek, widniały białe mury. To, co niegdyś tak uderzyło wyobraźnię dziecięcą niezwykłością swoją, uderzało i dziś z tą samą siłą...

Klasztor! Z podziwem, zdumieniem i dawnym lękiem patrzył na owo zniszczone wspomnienie dzieciństwa. Te same szare skarpy rozkraczone, wyrażające niesłychany wysił, moc, chłopskie podsadzanie się ze wszej potęgi. Te same kamienie, co od zwietrzenia już to stały się czarne i okryte rdzą jak żelazo, już zlasowane, powlekły się białą, niezniszczalną polewą i stały podobne do kafla wiecznotrwałego. Nad skarpami ściany zimne i wysokie, z małymi pod dachem oknami. Zła myśl nieci uśmiech, kiedy się дума mimo woli nad owym celem, który kazał okienka zakonnicy umieszczać tak wysoko. Zła myśl przewija się i sama siebie zawstydzając chyłkiem wbiega kędyś w gęste zastępy owocowych drzew, między rabaty kwiatowe, gdzie wysmukłe lilie o strzępiastych i rozprysłych płatkach kielichów, o brunatnych pylnikach i lepkiem, żółtawym soku, wylewają odór czystości. Plamy wilgotne w narożnikach muru niby cień wiecznie obecny czyha na białość wapiennych ścian, podobnie jak szyderstwo czyha na zachwyty, podobnie jak tłusta drwina czyha na dziewiczość uniesienia. Błazniane rynny przy dachu, przyrząd tak niezwykły w tych stronach... Albowiem w tych stronach nieznanne jest jeszcze nic, co by było wymysłem ku udogodnieniu życia. Wszystko tu jest jeszcze jak za Chrobrego króla, jak za króla Krzywoustą albo Mnicha. Pierwszy tu obraz domu murowanego z kamienia przyniosły mniszki za Bodzanty, kościelnego księcia i łowcy, miłośnika tych puszczy dzikich. Drogę, która w te miejsca prowadzi, mniszkom należy zawdzięczyć, i cudny sad w dzikim boru, na kamienistym, zimnym gruncie. Im należy zawdzięczyć okrziesanie wioskowego ludu po siołach, tępienie przez szeregi wieków świętokrzyskiego zbójstwa, im założenie pierwszych sadów przy leśnych izbach, uprawę warzyw po lechach, naukę tkania szmat z wełny i haftowania lnianych chust.

Żołnierze przebiegli prędko ogród i wydostali się na obszerny dziedzińec. Stajnie klasztorne i podwórza były puste, ale wzdłuż płotu znać było ślady popasu konnicy. Na środku jeszcze się tliły ogniska obozowe. Schwytali w stajni parobka i powzięli szybką wiadomość, że w nocy, nad samym rankiem, stało w klasztorze wojsko niemieckie piesze i konne, że oficerowie kazali sobie dać jeść w refektarzu, a potem wszystko poszło ku Kielcom, ino gdzieś po drodze tego strzelały.

Zbadawszy wszystko dokładnie Rafał poszedł na spotkanie drugiej połowy swych sił, która miała czekać przed kościołem. Zmierzał przez wirydarzyk między murem odpołnym a ścianą kościoła. Gruszki tam rosły osłonięte od wiatru i wygrzewały się w ciepłe zaciśca. Biała brzoza uderzała długimi splotami gałęzi w żelazne pręty kościelnego okienka. A okienko, okienko... Wydlubane w murze niewiarogodnej grubości, półokrągłe u góry,

zaplecione tarniną kraty. Istna strzelnica przeciwko Jadźwingom...

Nagle wspomnienie oblało duszę... Toż przez to okienko wdarł się ciemną nocą złodziej-świętokradca, kraty porozginał i wyrwał, złupał nożem spróchniałą szafkę cyborium i ukradł kielich złoty. Drżą jeszcze w uszach straszliwe sylaby słów kapelana, kiedy w niedzielny dzień stoi na niskiej ambonie i opowiada ludowi z górskich wsi o tym, co się stało w świątyni. Blady, ze zwieszoną na piersi głową, usta sobie stulą zakrywa... A stulą mu w rękę drży.

Lud wszystek wzdycha i szlocha. Gdy księżyna wskazał z drzeniem na okno i wylamane kraty, wszystkie się oczy na to okno obróca, wybladłe milczenie zalega ciżbę. Oto rozwija sukienkę kielicha i pokazuje, że święte komunikanty złodziej w nią zawinął i na ołtarzu porzucił. Wtedy ów jęk i trwoga...

Lud pada na twarz i boi się wszystek, a grube mury kościoła w posadach swoich drżą. Któż by się zdziwił, któż by wyrzekał, gdyby sklepienie zważyło się wówczas i wieża leżących przythukła? A później, a później... Kapelan po mszy wynosi monstrancję i intonuje pieśń, a sam przez świętą Hostię patrzy w tłum. Jest głuchoniema wiara w tym tłumie, że w takiej chwili kapłan wszystkie zbrodnie ludzkie widzi jak na dłoni. Ale milczy, milczy aż do grobu. Widzi oto w tej chwili człowieka, co kraty wylał i święte komunikanty w sukience kielicha rzucił, widzi go jasno przed sobą, ale palcem wskazać nie może...

Serce struchlałego dziecka łomoce pod mundurem ulana i niewymowna trwoga żelaznymi obcęgami ścisną piersi, gdy wchodzi tłumem szumnym w progi kościoła. Jakże wydaje się niski i mały! jakże ubogi i ciasny! Wszystko w nim z grubasnego kamienia, mur wszędzie prostacki, krzywy.

Przy wejściu kropielnica, wydłubana w głazie kwarcytu. W głębi, pod amboną, pomnik rycerza śpiącego w zbroi, wykuty przed wiekami w pięknym włoskim marmurze, a teraz poczwicie i pracowicie zabieleny wapnem i zabieleny rokrocznie z troskliwością na każde Godnie Święta.

W miejscu szumnego napisu pod leżącą postacią rycerza znać w wapnie wgłębienia liter, co żadną miarą nie dały się zabielić... *Sic transit gloria mundi*...

W ołtarzu wyłożony posążek świętej Katarzyny, która trzyma w ręce koło swego męczeństwa i królewski miecz. Tak jej niegdyś tego złotego miecza zazdrościły dziecięce oczy!...

Nad ołtarzem znowu dwa okienka — strzelnice. Fioletowy smętek osiadł na starych, szerniałych obrazach. Słychać w ciszy jakowyś szept... Jest to może ćwierkanie piskląt w gniazdach jaskółczych, a może szelest owej brzozy, co o kraty kościelne włosy swe zielone czesze.

Żołnierze poklękali w środku kościoła, oficer siadł w ławce i zatonął w marzeniu, we wspomnieniach. Podniósł oczy — i drgnął. W szerokim oknie weneckiego kształtu, które z tajemniczych korytarzów klasztornych na kościół wychodzi, ujrzał trzy cienie. Głowy obramowane w kwadraty kwefów zakonnych, w białe z zewnątrz załamanie kornetów, okryte ciemnym sukniem... Na piersiach złożone ręce. Oczy nieruchome... Bolesne, starcze, żółte twarze, jakoby widm z za świata...

Wstał ze swego miejsca i szybko wyszedł z kościoła. Rozkosz mu sprawiało dzwonienie szabli i ostróg, przepych ubioru wojennego w przeciwieństwie do zakonnej szarzyzny i nędzy. Prędko zbiegł po szerokich stopniach między istnymi skałami białych podstaw wieży. Dał rozkaz do wsiadania i sam skoczył na siodło.

— Teraz — marzył — do Wyrw... Do wujaszka Nardzewskiego w gościnę, a potem dalej, na południe...

Pędząc na przedzie, powtarzał sobie ze ściśniętymi zębami wciąż jedno słowo, jak hasło:

— Jaz! Jaz!...

Skokiem wylecieli na gościniec z lasu Łysicy na pierwsze wzgórze. Ale zaledwie Rafał rzucił okiem w nizinę, zdał konia i stanął w miejscu jak skamieniały. Z Wyrw wznoszą się w niebo słupy czarnego dymu! Dworu nie widać, dworu wcale nie ma, stodoła nie ma... Czerwone zgliszcze pełga kiedy niekiedy w tym miejscu między czarnymi koronami drzew. Oddział popędził przez pastwiska, przez łąki, przez płoty i wąwozy, co pary w koniach. Przypadli jak wichura do wsi, w opłotki, na dziedziniec. Wszędzie pustka. Ani

jednego człowieka. Ze dworu została tylko kupa zgliszcz, przyciesi opalonych, twardych głównie modrzewiowych i czarne rumowia piecowisk. W całej dziedzinie tylko murowany lamus ocalał. Ułany wpadły do wnętrza. Słychać było stamtąd ich krzyk. Rafał poskoczył za nimi. Zatoczył się jak pijany... Ujrzał Nardzewskiego na ziemi w krwawej kałuży, porąbanego szablami tak straszliwie, że z niego tylko ślad człowieka pozostał. Twarz była zmasakrowana, ramiona, piersi i ręce pocięte. Ale naokół, w pustych sąsiadkach, na grubych dylach podłogi, przed progiem i za progiem, stały czarne strugi krwi. Stary szlachcic nie za darmo sprzedał swe życie. Rafał przypadł ku niemu ze szlochaniem. Kazał go dźwignąć żołnierzom i wynieść na dwór. Trup już był ostygł. W ręce ścisnął jeszcze swój cudnie dziwerowany pistolet. Żołnierze przetrząsnęli lamus. Jeden z nich spostrzegł drabinę wciągniętą pod dach na wiązanie krokwi. Wypatrzone siedzącego w dymniku człowieka. Ściągnięty na dół, stawiony został przed oblicze oficera. Był to stary Nardzewskiego strzelec, Kasper. Długo się spode łba podejrzliwie przyglądał żołnierzom i oficerowi. Milczał zawzięcie.

— Co się tu stało? — krzyczał nań Olbromski.

— Pana zabili.

— Kto zabił?

— Wojsko?

— Jakie wojsko?

— Miemce.

— Kiedy?

— Dzisiaj rano. Przyszły od Świętej Katarzyny. Napchało ich się pełne podwórze, pełny dwór.

— Konnica czy piechota?

— Była konnica, była i piechota.

— Jak się to stało?

— Kazały wielmożnemu panu, żeby natychmiast spichlerz otwierał, stodoły to samo, żeby im od spiżarni klucze dawał! Zarazem poznał, że źle. Pan na mnie kiwnął palicem i raz dwa kazał przez zęby, żebym leciał we wieś po chłopach. Niech mi, pada, kto żyje, idzie na pomoc z cepami, z widłami, z siekierą. Ja we drzwi, a tu, słyszę, tych oficerów pan skłął, zmaścił słowem i kazał im, żeby natychmiast precz szły ze dwora!

— Poszli?

— Ale!... poszli! Jakem od sołtysa przez sadek do dworu przyleciał, to już szły na niego ze siablami. Pan wielmożny już wtedy w swoją najgorszą złość weszedł. Uskoczył do małej stancji i drzwi za sobą zaparł. Dopiero łap za pistolety, za dubeltówkę i przez sadek do lamusa. Mnie kazał wynieść torby z prochem to samo do onego. Wszystkie te oficery za nami! Zatrzaśli my drzwi... Pan mi powiada: — Leż w dymnik i bij z góry! Poszedłem i układałem ta niejednego. Tymczasem drzwi wywały. Nie miał się, chudziak, kady oprzeć...

— Toś go nie mógł bronić, łajdaku!

— Dy ja go broniał, chyla wlażło...

— A wieś?

— Wyszły chłopcy z chałup, nawet niektóre leciały obces, ale jak do nich wycelowali rzędem, skryły się, psubraty, po zapłociu, a potem w nogi. Ja tu spojrzę bez dziurę w dachu: — dym! Stodoły się palą, ze dwora dym wali! Jezusie, Maryja... Ino tego spichlerza nie mogły podkurzyć... Jak już pan nie zipał, powywlóczyli trupy swoich kamratów za próg, zakopali w dół i poszli ku Kielcom.

— Gdzie leżą?

— Wszystkich za lamusem pogrzebli.

Rafał bezmyślnie poszedł w tę stronę. Ujrzał przed sobą ziemię świeżo narzuconą, wysoki, okrągły kopiec.

W GRUZACH

Zadaniem partii ułanów pod wodzą kapitana Fijałkowskiego, idącej pod Calatayud i Saragossę w drugiej połowie grudnia 1809 roku, było zniszczenie band gerylasów w Aragonii. Partyzant Porliera, zwany Marquesito, przeciął był wszystkie drogi i przesmyki pirenejskie, tamował komunikację wojsk francuskich, przejmował pocztę i unicestwiał wszelkie

dostawy. Młody Cedro, który do tej wyprawy należał, ciekawie zdążył ku starej Saldubie. Okolice z północnej strony Burviedro lubił wspominać jak rodzinne. Piękne w tych wąwozach przeżył czasy. I teraz, w deszcz, wśród wiatru i okrutnej słoty, szedł wesoło jak niegdyś. Najbliższym celem marszu była już Saragossa. Wyglądał jej z załamań drogi, wlepił oczy we mgłę. Wreszcie stary Gajkoś mruknął z drugiego szeregu:

— Widać już, widać tamtę juchę.

— Doprawdy? A czegoż to, stary, tak ją poniewierasz?

— Jucha to jest, panie podporuczniku! Ile tam naszego narodu zepsuły za pierwszego obłączenia! Ile tam złotego kołnierza ziemia zeżarła, a teraz woda gnoi!

— No, i Hiszpanów niemało!

— A co mnie Hiszpanie! Mało ich to! Naszych garsteczka. Gdzie jednego ubędzie, tam ci już dziura na zawsze. Czymże to ją zatkać? Ich kupa zginie, zaraz druga kupa w to miejsce wyrasta.

Po chwili dodał tajemniczym szeptem:

— Paniczu, mnie się widzi, że ja wykrył prawdę.

— No?

— Ony, choć to i chrześcijanie są, i katoliki prawowierne, ale nie może inaczej być, tylko, musi, to są żydy chrzczone.

— Cóż ty pleciesz?

— Sprawiedliwie! Nieraz ja już trupy ich rewidowałem na placu. Już ci tegom nie napotkałem, żeby były oczywiste żydy, bo już snadź za ojców wychrzczone. Dawne wychrzty, jednym słowem. Nawet mi jeden Francuzina z woltyżerów w Toledo gwarzył, jak to tam z nimi było, tylko że nie mogłem wszystkiego wyrozumieć, bo prędko kłapał. Skądby zaś tyle tych gerylasów być mogło, żeby się z Żydów nie wywodziły?

Od Xalonu popędzili na wschód pampeluńską drogą pragnąc zobaczyć, co też się stało? W dolinie nad Ebrem, między oliwami, w pustych niegdyś domach widać już było mieszkańców. Za klasztorem otwarł się przed nimi widok, bo w całej prawie dolinie drzewa były wycięte. Pniaki tylko sterczały. Dopiero na podgórzach z tej i tamtej strony rzeki szarzały liście. Już przed zamczyskiem Inkwizycji dopadli robót ziemnych, w poprzek przecinających drogę, co prowadzi do kościoła Kapucynów. Te niezmierne prace teraz były już puste i porzucone. Gdzieniedzie tylko po nich wałęsał się szyldwach francuski. Wzięli się w górę i przez pola, skacząc w poprzek rowów, dosięgli Huerby. Był na niej w jednym miejscu rzucony w górę most. Tędy wydostali się na drogę do Belchite, prowadzącą wprost do bramy Engracia. W zdumieniu i bojaźni cały oddział stanął bez rozkazu.

Droga ta, jak wszystkie inne, jak droga z Monte Torrero do Świętego Józefa i jak szosa walencka, była po trzykroć przerznięta paralelami, nieprzerwanie idącymi aż ponad Ebro. Stojąc na górze, widzieli olbrzymie prace oblężnicze francuskie. Na prost przed sobą mieli szanice przedmostowe na Huerbie, które zakrywały cały dalszy widok. Na prawej ręce, dookoła klasztoru Świętego Józefa rysowały się ząbienia, gzygzaki, wariackie na pozór poplątania linii aproszów, podobne do znaków przebiegu gorączki na karcie historii choroby. Jedna linia tych przykopów biegła w dół, stosując się prawie do zagięcia Huerby, druga szła do niej równoległe, później wypaczała się w rozciągnięte, rozszalałe zęby, przeskoczyła Huerbę i straszliwym znakiem ryła się w złotodajnych niwach na wschodzie, aż pod sam klasztor Świętej Moniki. Gdzie oko padło, widać było drogi kryte, szlaki koszokopów, zagłówki, ganki narożne... Dalej jeszcze sięgała linia drugiej równoległej, niezbyt gzygzakowata, zakończona baterią, z której sześć armat biło swego czasu na most i przedmieścia zarzeczne. Podobną figurę krętych rowów i powyginanych nasypów przedstawiały za rzeką Ebro roboty ziemne od wschodu przedmieścia. Wszystko to leżało teraz zaniedbanym pustkowiem, mokło na deszczu jesiennym. Cała ta ziemia była jeszcze żółta, wyrwconą trzewiami do góry. Dumne klasztory przysiadły. Ze Świętego Józefa zostały jeno baszty i dziurawe ściany...

Ułani w milczeniu szli górą na wschód aż do samej rzeki. Dopiero tamtędy wjechali w miasto. Widok, który ich spotkał, gdy wpuszczeni przez szyldwachów francuskich zbliżyli się do bramy del Sol, przeszedł wszystko, co sobie mogli wyobrazić. Ziemia zryta przez forty obronne hiszpańskie za klasztorem Świętego Augustyna, porwana w strzępy przez zdradzieckie ich fugasy, odłupane przez kule armatnie powleczenia z cegły, do-

Żyd, Czary, Antysemityzm,
Wierzenia, Zabobony

my spalone, straszne pustki mieszkań, od których oderwały się frontowe ściany, sufity zwisłe ponad pustką pokoiów, dachy zakłęsłe... Mijając uniwersytet widzieli ogromne wylomy w murach biblioteki spowodowane przez wybuchy min prochowych. Przez te kanały i pęknięcia murów wywalała się na ulicę rzeka książek. Ulica Cosso była od min i kontrmin porwana. Ułani jechali groźnym zastępem z czapkami na ucho, ze zmarszczoną brwią. Kiedy przybyli przed wylot ulicy Engracia, kapitan Fijałkowski, pod pozorem trudności przebycia terenu i pod pozorem konieczności rozpytania się o rezydencję komendanta placu, kazał oddziałowi stanąć. W gruncie rzeczy chciał się pospołu z towarzyszami przypatrzeć.

Ulica Engracia — znikła. Na jej miejscu wznosiły się góry fantastyczne, coś jakby widok z wyżyny lodowca Rodanu na łańcuchy Alp Berneńskich. Klasztor franciszkanów, roztrzęsiony minami, które cały obszar jego posiadłości aż poza ogrody, aż do klasztoru Świętego Tomasza i z drugiej strony do kościoła San Diego objęły strasznym ramieniem, leżał wyrwany z węglów, zepchnięty z przyciesi, zdruzgotany na szczapy i drzazgi. Szpital obłąkanych, klasztor Panien Jerozolimskich i wszystkie domy dzielnicy aż do uliczki Recogidas stanowiły nieprzejrane zwałisko. Tu i owdzie sterczała jeszcze samotna ściana. Tkwiły w niej belki, wisiały okna, resztki drzwi... Gdzieś tam wznosiły się niewymownie posępne skupienia murów, z których narożniki wyrwano minami. Trudno było odgadnąć, do czego służyły ich węgly i sklepienia. Stały teraz przed oczyma jak trupy gnijące. Z całej tej otchłani zniszczenia biła woń trupów, których nikt nie pogrzebał. Rozłożone w upały letnie — wznosiły teraz z gruzów powitanie i cześć zwycięzcom.

Cedro wykręcił się na siodle, o bok wsparł rękę i patrzył w zwałiska. Nie przychodziła mu do głowy nijaka myśl. Ani jedno wspomnienie nie wałęsało się w pamięci. Trzymał go w żelaznych klubach fizyczny zachwyty. Oslupiałymi oczyma włócił się z miejsca na miejsce, utwierdzając w sobie pewność, że to jednak spełnione zostało z potęgą. Wywalili z gruntu tyle mury jak klasztor franciszkański! Rozsypali w drobny pył głązy złożone przed wiekami! Strzaskali to, co przetrwało wszystkich emirów maurytańskich, wszystkich *justizów* i królów Kastylii! Zmiażdżyli dumę Aragonów. Urok potęgi zniszczenia, piękno okrutnej władzy powiało ku niemu z tej dzikiej pustyni. Wojenna duma podźwięła się w nim na widok leżących gmachów.

— Upokorzyłaś się, Saragosso... — pomyślał w głębi siebie. — Złożyłaś broń u nogi obcych przychodniów. Nie stoisz wreszcie przed oczyma ze starodawnym krzykiem wolności — *avi fuerza!* — z hasłem odwiecznych a niezliczonych rokoszów twoich. Niezwyciężona, *siempre eroica* — spodlałaś i ty! Leżysz nareszcie w gruzach, a gardziel twoja w pętlicy...

Wysłany po rozkazy *maréchal des logis* wrócił z rozkazem udania się na kwaterę do skasowanego klasztoru Świętego Tomasza. Oddział ruszył tam niezwłocznie i rozłożył się po pańsku w obszernych refektarzach i licznych celach. Wyborowe stajnie pomieściły wszystkie konie. Oficerowie i żołnierze poszli wnet spać, od tyłu czasów po raz pierwszy bezpiecznie i spokojnie.

O zmroku Cedro nabił swe pistolety, wysoko przypiął szablę i sam jeden poszedł w miasto. Bił deszcz, wicher ze świstem i wyciem leciał ulicami. Bramy były pozamykane, sienie puste. Tylko gdzieś tam przesuwiał się człowiek, z uszami i oczyma zawinięty w opończę. Biały płaszcz, który był Krzysztof przypadkowo zarzucił, zwracał uwagę tych nielicznych przechodniów. Ten i ów z nich stanął w biegu i wiódł oczyma białą postać. Charczące słowo jakoby zgrzyt ostrza puginału, który z pochwy wyciągnąć się nie da dla zakrzepłej na nim w rdzę krwi — gonilo go wskroś mroku:

— *Carajo!*

Ułan nie zwracał na te głosy uwagi i nie raczył skierować głowy, by dostrzec, kto nań w ciemności szczeka.

Szedł zawinięty w swój płaszcz, zadumany. Widział w marzeniu Olszynę i Stokłosy, dom rodzinny, ojca, Mery i Trepkę. Przywiózł im gościa z dalekiego Południa. Widział Mery i nieznaną *doncellę*, jak rozmawiają w dzień letni pod cieniem wielkich brzoź, których długie korytarze wychodzą w pola zbożowe, w łany żywiące. Azali spodoba się jej kraj północny, azali powita sercem życzliwym ubogi rozdół Wisłoki? Przyjmiesz go sercem, dziecino Aragonii? Zrozumiesz szept pól żytnich, szelest poźółkłych zagonów

Miasto, Wojna, Ruiny,
Zwycięstwo, Duma

owsianych, szum tamecznego lasu i plusk cichy tamtejszej wody? Pojmiesz ona sennej a mglistej równiny wymowę? Przyniesie między tamtych ludzi ogień i niezłomną dumę, złączy duszę swoją rozpaloną i wzniosłą z ciszą i spokojnością słowiańską. Ona to będzie żarem i zapalem pod strzechą olszyńską! Widział chwilę powitania, prowadził z Trepką rozkoszne spory o tego gościa nowego w Stokłosach. Cha-cha! przewidziałeś dobrze, stary polityku... Przywiozę ci niespodziankę z obcych krajów. Konne polowania z chartami... Pędził w marzeniu polem jesiennym obok niej, słyszał wiatr ścigający się z lotnymi końmi. O, przezroczyście, niezgłębione oczy! o, róże jasne tamtej nocy!

Szedł obskoczony przez marzenia, na poły wiedząc, że zdąża ku miejscu, które był zdobywał półtora roku temu. Wszedł w uliczki, pod prostym kątem załamujące się w kierunku klasztoru Franciszkanów. Minął jedną z nich, drugą i wstąpił w trzecią. Nigdzie tu światła nie było, nigdzie śladu ludzkiego życia. Krzysztof tak doskonale poznał odległość od rogu tej ulicy do wejścia w ciemną sień domu w dniu bitwy, że teraz wyczuł ją nieświadomie. Musiał wyciągać ręce pragnąc dotknąć murów po przeciwległej stronie ulicy. Ale kiedy zaczął iść w tamtym kierunku, potknął się i uderzył piersiami, kolanem i wreszcie czołem o gruzy. Chropawe, bezkształtne bryły i złomy muru, kupy cegieł otoczyły go ze wszech stron. Dotykał rękoma zwalisk oślizgłych od deszczu i mokrych żwirów. Nogi jego wykręcały się w ostrych zębcach kamieni jakby schwyte w żelazo, kolana tłukły się i zbijały o nastawione urwiska. Wstępował coraz wyżej na górę zrujnowaną, na poszarpane zburzyszcze. Szedł zrazu naprzód, potem na prawo i mocując się z gruzami lał jeszcze kilkadziesiąt kroków. Zapadał w doły, wpełzał na strącone mury, zlatywał w szczeliny, padał na twarz w głębokie jamy, aż wreszcie obszedł w różnych kierunkach tę dzielnicę całą, do Cosso. Wtedy, spracowany ciałem i duchem, zwałił się między kamienie powiedziawszy sobie, że nic tu już nie ma.

Spadła nań zupełna, dawniejsza obojętność. Czuł tylko spracowanie się ciała i duszy, znużenie i odrazę. Z rzadka rozlegał się w nim śmiech rozczarowania, śmiech nieznośny i przekłety. Któż wie, myślał obojętnie, leżąc bez ruchu na ospiskach wapna, może tu ona gdzieś pode mną gnije? Może, gdyby rękoma piach ten rozgrzebać, trafiłoby się na jej zmiażdżonego trupa. Deszcz spływa między skruszone cegły, między zzieleniały piaskowiec. Kapie brudna woda w jej oczy, rozwarte od wielkiego przerażenia... Zatopiony w sobie, nie czuł siekącego deszczu, nie słyszał wycia wiatru.

Ale oto uderzyły go szczególne dźwięki. Zbudził się jak ze snu twardego. Czuł wstrząśnienie ziemi, na której leżał, jakoby dreszcz gruzów i zwalisk. Leniwie podniósł głowę. W pobliżu, gdzieś obok, za urwiskiem ścian słyhać było ciężkie łomotanie żelaznych drągów i ciosy kilofa. Krzysztof słuchał tego przez czas pewien, a później zapomniał, że się rozlegają. Przyszedł do wniosku, że to nędznicy odzierający trupy rozkopują zwaliska — i na tym poprzestał. Leżał tak samo.

Tymczasem ciężkie kroki, szcęk drağa i szepty rozmowy poczęły zbliżać się w jego stronę. Wtedy gniew go dźwignął z ziemi. W nieprzejrzanym mroku nocy zamajaczyło kilka ciemnych figur. Krzysztof wyciągnął zza pasa pistolet, odwiódł go i czekał znieruchomiały.

Ludzie nocni szli wolno, zgrzytając po kamieniach podkutymi podeszwami. Poznał z rozległości łoskotu, że jest ich co najmniej pięciu w obrębie zwalisk. W kupie szło trzech. Dojrawszy, widąc, jego płaszcz, stanęli. Wszczęła się cisza. Wicher tylko kwiczał latając po złomach. Wtem prędko błysk ślepej latarni jak gzygzak piorunu padł na figurę Cedry. Wtedy on podniósł pistolet i rzekł spokojnie po francusku:

— Kto tu jest?

Milczenie.

Po chwili drugi, pośpieszny błysk latarni obleciał przestrzeń za Krzysztofem, z prawej strony i z lewej, jakoby gończy pies, szukający, czy są poplecznicy. Jednocześnie ciemne figury rozpierzchyły się i rozplynęły w mroku w ten sposób, że białą figurę ułana osaczyły ze wszech stron. On wziął na cel pierwszy z brzegu czarny cień, który zdołał uchwycić oczyma. Parękroć razy sprawdził kierunek i szarpnął cyngiel. Echo strzału runęło w rozwalone mury jak pocisk armatni. Cedro wyrwał drugi pistolet zza pasa. W lewą garść ujął szablę. Słyszał obok siebie i za sobą skoki po jęczących kamieniach. Żelazny drąg dosięgnął go i wymacał. Wtedy odwróciwszy się Cedro nagle strzelił przystawivszy lufę niemal do piersi człowieka, który go chwycił rękoma. Tamten runął na wznak z jękiem

śmiertelnym. Krzysztof skoczył przez niego, tnąc szablą, którą w prawą dłoń chwycił, na prawo, na lewo, w tył i naprzód. Nogi jego wyłamywały się i spadały z kamieni. Walił się na kolana, na ręce, zrywał i odskakiwał od wrogów, którzy go dosięgali. Gruzy, po których uciekał, nie miały końca. Stał się z nich straszliwy labirynt zaułków, ścian, izb i dołów! W jednym z takich Cedro stanął. Czuł po zmienionym głosie wiatru, że się znajduje w ruinach jakiegoś domu. Oparty plecami o resztkę komina, czatował na napastników.

Przyszło z nich dwu w to miejsce i zaświecili mu wprost w ślepie latarnią. Przez jedno mgnienie źrenicy widział straszliwe ich twarze. Skoczył susem na obu i ciął na oślep pałaszem ze wszystkich sił, czując, że nadeszła okrutna godzina. Ramię jego miotło piorunowe ciosy, krzyżowe i sztychem. Tamci bili weń drągami z góry, żeby od jednego ciosu łeb mu rozwalić. Jeden z nich wrzasnął przeraźliwie i ustał w walce, ale drugi zadawał razy okropne. Krzysztof czuł jego chrapliwy oddech i odór jego ciała. Idąc za głosem skoczył na niego tygrysim rzutem, chcąc zadać cios w piersi. Obadwaj runęli na ziemię. Na śmierć dusząc się rękoma i zmagając tarzali się po kamieniach. Raz Krzysztof był na wierzchu, drugi raz tamten. Głowy ich prały w głązy, zęby wszczepiały się w ubrania targając je kęsami, ręce jak żelazne kły szukały nawzajem gardzieli. Hiszpan był chłop gruby i żelaznej mocy, toteż Cedro nie mógł mu sprostać. Ratowała go zwinność i młodość. Wyrwał się co chwila, wyslizgał z okrutnych objęć, rzucał od nowa do gardła ruchami przęszymi od myśli. Bronił się wciąż, szalenie napadając. Czuł jednak, że nie da rady. Śmiertelny pot go oblał.

Rozpacz rozdarła mózg. Przez mgnienie oka decydował: — wyrwać się i uciekać co sił! Targnął się, wygiął w krzyżu i oderwał. Ale tamten poczuł jego niemoc. Klęczeli teraz obaj na ziemi z twarzą przy twarzy i chwilę czekali na śmierć słabszego. Hiszpan nabrał w piersi tchu i rzucił się pierwszy na Cedrę od razu całym ciałem. Rękoma chciwymi dosięgnął jego szyi. W tym to momencie, tarzając się w konwulsjach, zlecieli obaj w jakąś wąską czeluść. Toczyli się po stromych schodach dusząc się i żrąc wzajem. Na dnie, gdzie przeraźliwy fetor trupów stał nieruchomo, Krzysztof wydarł się z rąk zbira. Odruchem, czuciem świeżego tchu, trafił w czeluść schodów i we dwu, trzech susach dopadł powietrza. W tej samej chwili schylił się i porwał z ziemi olbrzymią bryłę, którą stopami potracił a kolaniem poznał jako ruchomą. Wzniósł ją oburącz ponad głowę siłą nie swoją, lecz jakoby sześciu ludzi, i z chichotem szczęścia, od jednego zamachu cisnął nieomylnie w otwór schodowy. Usłyszał westchnienie-śmierć, stęknienie, koniec, urwany szloch. Wtedy drugą bryłę w to samo miejsce, trzecią, czwartą! Szukał po ziemi coraz większych, nieudźwignionych, i nadludzka, oszalała siła miotał je z wściekłym pośpiechem w czarny otwór. Widział teraz ów otwór oczyma jakoby w biały dzień. Nie miał zgoła wiadomości o tym, gdzie jest i co robi. Rypał nagimi rękoma przemokłe skiby muru i walił je w dół wciąż, bez końca, spychał rozpękle gruzy kolanami.

POSTERUNEK

W ciągu zimy kompania kapitana Fijałkowskiego czyniła wielokrotne wyprawy z Saragossy. Zazwyczaj kapitan zostawał w mieście z częścią oddziału, a na wyprawę szła partia pod wodzą porucznika albo jednego z dwu podporuczników. Czasami znowu kompania dzieliła się na kilka części, nad którymi brali dowództwo obsługujący ją czterej wachmistrze, wachmistrz starszy, ośmiu kaprali, a nawet dwaj trębacze. Tym sposobem pilnowano dróg prowadzących z gór do Saragossy.

Jedne z tych małych partii chadzały drogą pampeluńską i dolinami do niej przyległymi, inne w rozdół rzeki Gallega, jeszcze inne na wschód południowy drogą walenczką, ku sinemu morzu, na Fuentes de Ebro, przecinając kanał królewski, na la Puebla de Hajar, na San Per, do Alcaniz i stamtąd aż pod Monroyo. Wracali z tych wypraw poranieni, zestrzelani nieraz potężnie od gerylasów, zbici na siodłach, zniszczeni od wichru i deszczu.

Krzysztof Cedro przez czas dosyć długi nie brał udziału w akcji ze względu na fatalny stan zdrowia. Kości miał potłuczone, płuca i wątrobę jakby odbite drągami. Był dręczony od smutków i tęsknot. Łaził po Saragossie w samotności zupełnej, zły i zapamiętały. Kiedy go towarzysze dawnych wypraw i zabaw rycerskich pytali, co z sobą wyrabia i czemu się dziwaczy, mówił im krótko a węzłowato, jako jest kuszony od diabła i że zмага się z nim w opustoszałych kościołach, w ruinach klasztorów i w gruzach ludzkich domów.

Na wiosnę, pierwszych dni marca, gdy w zwaliskach puściły się trawy, a radosny krzew zdrzewistrącza-wistarii, barwę nieba południowego wsysający w gruzły i torebki swych kwiatów, osłaniać zaczął zręby murów, przerzucać przez nie ręce swoje, gdy z ziemi pełnej trupów poduszonych w piwnicach, zgasłych z morowej zarazy, trysnęły bujne różgi drzewa miłosnego *cercis*, gdy wybujały niesłychane kępy fiołków, hiacyntów o tysiącu barw, lilij i tulipanów, Krzysztof ocknął się, zażądał wyznaczenia do czynu i na czele podjazdu uszedł w góry. Miał pod sobą jego wachmistrzowską mość Gajkosa i dwudziestu chłopów. Wskazano mu kierunek zgoła nowy. Mieli dotrzeć aż do przesmyków górskich wiodących w stronę francuską, pod Valée d'Aran w środkowych Pirenejach. Przejścia te ogarnione były przez siły powstańcze. Należało je wysledzić, zbadać i, jeśli to możliwe, drogi oczyścić.

Szli z początku wielkimi marszami wprost na północ, do Monzon, następnie do Barbastro. Trzeciego dnia znaleźli się już w bezdrożach górskich około Puente Montagnana ponad rzeczką Noguera, dopływem Ebra z północy. Skończyły się poszarpane grzbiety pagórków wapiennych, osypiska gipsu, płone ławy i wyniosłości przesiąkłe solą. Wąskie *barrancos*, szczeliny tak puste, że nie było w nich drzewa, krzaka, kępy zieleń, wzniosły się w górę na płaskowzgórzu kraju Sobrarbe, między górnym biegiem rzeki Cinca i Noguera. Dosięgli tu wiatru i nawału chmur. Odetchnęli zimnym, ale wilgotniejszym powietrzem.

W wąwozach, które minęli, w owych ciasnych przepaściach, wąskich od osypisk zwątlanej skały, było cicho i duszno. Wiatr tam nie dolatał, martwe powietrze stało nieruchomo jak w zapartej izbie. W górzystej krainie, na którą teraz wstąpili, częściej trafiało się ludzkie mieszkanie. Były to przeważnie chaty pasterskie z lasującego się kamienia, połączone z zagrodami dla kóz i krów. Kiedy niekiedy trafiały się domostwa okazalsze przemytników zawodowych, ludzi górskich.

Tam i sam, w miejscach najbardziej dogodnych do uprawy ogrodu, warzyw i pola, widać było gruzły osad i folwarków maurytańskich, od chwili wygnania przed wiekami morysków tak już pokryte bluszczami i trawą, że trudno je było odróżnić od zburzonych siedlisk hidalgów-rozbójników. Ułani nie spotykali w tych stronach ludzi na swej drodze. Długo nieraz musieli czatować, nim zdołali pojmać w chacie mieszkańca i wydobyć od niego zeznanie. Jedni z tych jeńców nielicznych byli zakamieniali, nieprzystępni i niezdobyci w uporze swoim, zupełnie jak Góry Pirenejskie; woleli konać w męczarniach niż wyznać słowo o miejscu pobytu bandy powstańczej; woleli dać się spalić na wolnym ogniu niż wyjaśnić, gdzie się zakręca albo rozwidła drożyna, po której dążono. Trafiali się jednak i ludzie łakomi na grosz albo jowialni i dobroduszni, za niuch dobrej tabaki wyjawiający wieść pożądaną, najczęściej zresztą niedołążnie wymyśloną, niepotrzebną albo fałszywą. Trafiali się politycy trzeźwi i przewidywacze nieomylni, zawsze uznający siłę i władzę tego, kto jej posiada najwięcej. Byli i podli zdrajcy. Ci przychodzili sami, niewzywani, chyłkiem, w godzinie nocy i mroku, wiedli niedostępnymi szlakami i wydawali na śmierć bezpiecznie śpiących rodaków. W godzinie nocy i mroku brali za to zapłatę i znikali w szczelinach górskich.

Niedościgłym inkwizytorem i badaczem co się zowie był Gajkoś. Umiał tak zadawać pytania i tak je popierać argumentami, że niezwłocznie okazywało się, co zacy jest człowiek. Po dwu, trzech „sposobach” już było wiadomo, czy należy kawalera ogieniaszkiem przypiec, czyli też ze słowiańską gościnnością uczęstować hiszpańskim winem. Gajkoś władał nawet językiem, wprawdzie nie hiszpańskim, ale z inkwizytorska aragońskim. Jego bełkot, rzecz dziwna, był zrozumiały dla jeńców wszelkiego usposobienia, charakteru i temperamentu, jak powszechnie wiadomy kodeks. Wyprawami dowodził sam Krzysztof. Chodzili najczęściej gęsiego, jeden za drugim, zestrachane konie ciągnąc za uzdy po zupełnych bezdrożach, upłazami, gdzie sypki miał leciał spod stopy w głuche przepaście. Skradali się przy blasku księżycy i w najciemniejsze noce, czynili napaści rankami i z wieczora na obozy i wędrowne partie.

Po długich trudach całej niemal wiosny udało się Krzysztofowi odegnąć bandy od przesmyków i szlaków górskich, otworzyć łańcuch kresów pocztowych przez góry dla armii generała Sucheta. Nareszcie oddziałek uwolniony został z tych miejsc diabelskich i otrzymał rozkaz przywrócenia komunikacji — również przez gerylasów przeciętej — z załogami francuskimi na południu, w łańcuchach iberyjskich za Ebrem. Prawie tedy z Vallée d'Aran poszli na południe, na Leridę, doliną rzeki Serge do Mequinenzy. Tu

Żołnierz, Powstaniec, Lud,
Obyczaje

dłuższy czas wśród wojsk francuskich wychnawszy pomaszrowali nową drogą, którą generał Suchet budował właśnie w celu oblężenia Tortozy. Szybkimi marszami weszli w dolinę rzeki Algas, a stamtąd, idąc wciąż górami, minęli Monroyo.

Celem ich drogi była Morella, forteczka w górach, gdzie z dwiema secinami ludzi broił się przed zbuntowaną okolicą kapitan Wyganowski. Krzysztof miał przełamać niemałe trudności, nim się ku zameczkowi Morelli zbliżyć zdołał. Wsie, fermy, folwarki okoliczne, jak oto: Bellestar, Chiva, Rosel, Trayguera, Tordelella, Mata, Herbes itd., były zbuntowane i w stanie wojny. Oddziałek ułański musiał się zwijać jak skorpion otoczony żarzewiem, żeby nie ulec doszczętnemu zduszeniu przez wielkie siły. Prawie tedy nie sypiali w ciągłym marszu. Od miejsca do miejsca lecieli zazwyczaj galopem, żeby napadać niespodzianie i nie dać się gerylasom spostrzec, ilu ich jest naprawdę.

Nareszcie, po długich jздздach naprzód i w tył, jednego dnia o zmroku dosięgli bram Morelli. Radość to była istotna, kiedy ujrzeli się w towarzystwie dwustu piechurów znad Wisły i pod tkliwą strażą ich karabinów. Cedro powitał Wyganowskiego jak rodzzonego brata. Kapitan był jeszcze bardziej zawiędły niż w Saragossie.

Twarz jego w marszach i na wietrze szerniała i zeschnęła. Wydatne kości policzków i szczękd nadawały jej wyraz grozy i surowości nieubłaganej.

Uśmiech anielskiego uradowania, który na ustach zmartwychwstał na widok młodego Cedry, był czymś nad wyraz dziwnym i niespodzianym w tej twarzy srogiej. Podobnie w sposób niezwykle brzmiał głos jego, gdy przyszło witać i rozmieszczać przybyszów. Ale za chwilę już postawa i brzmienie głosu wróciły do dawnej sztywności.

Kapitan Wyganowski zajmował w zamku Morelli małą izbę narożną z oknami wychodzącymi we dwie strony świata. Widać było stamtąd miasteczko u stóp góry rozłożone i drogi do niego prowadzące. Kapitan miał tu łóżko, stoliczek i dwa krzesła. Kazał zaraz wnieść do tej izby drugą pościel i zaczął gościć młokosa. Krzątał się po kątach przygotowując strawę, wycierał szklanki, znosił jakieś przybory. Cedro przypatrywał mu się spod oka, leżąc na tapczanie.

Wyganowski rzekł:

— Ktoś mi tu mówił, tfy! na psa urok, że cię w potyczce ubili. Na szczęście — kłamstwo.

— Niezupełnie. Było mi trzy ćwierci do śmierci.

— No, żartuj zdrów! Wyglądasz jak koń andaluzyjski, dobrze pasiony kukurydzą.

— Kula mię *durch* przeszła.

— Kula — to głupstwo. To jakby cię febryczny dreszcz przeszedł.

— Nie radzę takich dreszczów...

— Miałem ja je w sobie.

— Co? Dreszcze?

— Co to gadać! Wiesz ty? — rzekł nagle, zwracając się twarzą do słuchacza: — ja już nie mogę wytrzymać!

— Czego?

— Tego życia.

— Cóż znowu za sentymentalizm!

— Mówię jak żołnierz żołnierzowi, na honor ci niesplamiony przysięgam, że śmierć by mi była miłsza...

— Dlaczego?

— Życie mi tu zmierzło do cna — oto dlaczego!

— Ależ dlaczego?

— Nie mogę wytrzymać tej służby. Nie mogę! Zarznęło mię to, zadusiło. Ja nie po to do wojska poszedł, żeby hiszpańskich chłopów żywcem palić, wsie całe z babami i dziećmi do nogi wytracać, miasta uśmierzać ogniem i mieczem. Szczerze ci mówię, że duszą jestem po ich stronie.

— To źle!

— Toteż dwa lata temu zażądałem dymisji. Jak poszła moja prośba, tak do tej pory nie wraca. Cesarz wojuje w Austrii, siedzi w Paryżu, a dla mnie abszytu jak nie ma, tak nie ma. Tymczasem muszę przeciw sumieniu, przeciw własnemu pałaszowi służyć. Biję się z samym sobą, wojuję ze swoim własnym rozumem. Sto tysięcy razy szedłem oślep

Żołnierz

na zginienie, żeby raz nie być już podłym ludzkim pacholkiem!... To mię omija! Teraz już dłużej nie mogę!

— Czy kapitan chcesz wracać do kraju?

Wyganowski prędko przełknął powietrze.

— Czy ja do kraju?... Tak, ja... do kraju... — wyszeptał suchymi wargami.

Wszedł oficer służbowy z raportem o rozmieszczeniu w zamku koni ułańskich. Wyganowski rozmawiał z nim już głosem tak ostrym, nieubłagany i twardym, jakby to innego człowieka był dźwięk mowy. Po załatwieniu formalności i wyjściu oficera wrócił do poprzedniego wątku.

— Spadłeś mi jak z nieba! Sam nawet nie wiesz, jak wielką mógłbyś mi oddać usługę.

— Jestem gotów do każdej.

— Ba! Jeśli się zdarzy, że pójdziesz stąd w stronę właściwą. Jaka jest dalsza twoja marszruta?

— Mam przejść drogę do Tortozy, dać wieść o tobie i innych po drodze załogach. Potem wracam do Saragossy i do pułku.

— Do Tortozy, do sztabu Sucheta!... — wołał z radością Wyganowski.

— O cóż idzie?

— Bracie! Przecież tam może być dla mnie od dawien dawna dymisja i leży w jakiej kancelarii. Komunikacje nasze z Francją były tak długo zerwane... Mówiłeś, że kresy pocztowe zostały dzięki twoim staraniom nawiązane... Może właśnie nadeszła.

— W takim razie ruszam jutro.

Wyganowski rozpostarł ramiona i zaśmiał się w głos jak dziecko. Ale za chwilę był już sobą.

— Żartujesz, braciszku! Gdzieżbym cię mógł stąd puścić bez wycieczki.

— Jutro jadę. Byłem się dziś wyspał z żołnierzami. Konie wytchną...

Mówił to już prawie we śnie pogrążony, choć widział jeszcze Wyganowskiego twarz bladą. Spał jak kłoda aż do południa następnego dnia. Obudził go straszliwy upał lipcowy, buchający do izby oknami. Cedro siadł na posłaniu rześki i zdrów, silny rzeczywiście jak andaluzyjski rumak. Z rozkoszą myślał o przygodach, które go czekają jutro, pojutrze, nim się do Tortozy przedostać potrafi. Wszedł Wyganowski. Już we drzwiach mówił:

— No, ale ten twój Gajkoś! Ja bym go, szelmę, pierwszego przypiekać kazał. Jeżeli to prawda, co on tam moim Wickom rozpowiada...

— Cóż takiego? — śmiał się Krzysztof.

— Wyszedłem na lustrację zamku i zastałem już wszystkich przy butlach. Pyszne rzeczy, bo nie oni jego, lecz on ich podejmuje: ma ze sobą przednie wino.

— O, to wiadomo...

— Minę ma jak byk przeznaczony na arenę w Burgos. Takiego kwiatka jużem dawno między naszymi nie widział. Siedzi sam wśród moich piechurów, ssie dym z cybucha, kiedy niekiedy pociągając tęgie łyki z kubka, a właściwie z półkwarcia. Gdy zaczyna mówić, dym cedzi mu się przez wiechy wąsów i okrąża czerwony nochal. A zakwitł mu różnobarwnie na drogich winach — ani słowa.

— Życie mi uratował.

— Gdzie?

— Pod Burwiedro. Byłem stratowany na śmierć. Konia mojego złapał w biegu, gdy m przestrelony zleciał z siodła...

— Przekłęte wszystkie te bitwy, te wsie i miasta! — krzyknął Wyganowski chodząc po izbie. — Alboż to i ja nie mam pod swoją komendą zbirów, siepaczów, morderców, a przecież ich szcędzę i cenię, bo ci najlepiej umieją... Najpewniej ci właśnie wywioda z nieszczęścia w razie obskoczenia. Co my tu robimy, do pioruna! Ty długo tu jeszcze myślisz przebywać?

— Dopóki mi nie każą iść gdzie indziej. To chyba jasne. Może się przecie wojna skończy.

— Ta wojna nigdy się nie skończy. Jestem żołnierzem od tylu lat, więc wiem, jaką wojnę można skończyć i kiedy. Napoleon nie cofnie przecie oręża przed gerylasami, boby całą swoją sławę postradał, a pobić ten lud — bajki wierutne! Przeszedłem z tą szpadą niemało świata, widziałem ludy walczące. Nie można ich pobić, bo mają za sobą rację

Żołnierz, Obowiązek,
Sprawiedliwość

i entuzjazm. To mówiłem w oczy wszystkim moim zwierzchnikom, kiedym uzasadniał żądanie dymisji.

— Można by z równą słusznością dowodzić, że wcale racji nie mają.

— A to ciekawe!

— Więc tak nadzwyczajnie powinni bronić inkwizycji, nietykalności praw feudalów, dóbr klasztornych i tej dynastii Burbońskiej! Toż przeciwko tej samej dynastii bronił się Aragon, Katalonia i Walencja zębami i pazurami sto lat temu w wojnie o następstwo hiszpańskie. Jak dziś gwałtem chcą mieć nad sobą Ferdynanda VII czy Karola IV, obu Burbonów, tak wówczas na gwałt chciało im się Karola, Austriaka, przeciwko Burbonom. Ciemny naród. Myśmy takie idee kilkaset lat temu przeżyli. Kto by się dziś u nas chciał bić z duszy za takie czy inne następstwo? Pomyśl tylko...

— A ty się za kogo bijesz? — zadrwił krwawo kapitan.

Cedro przyskoczył do niego z okrzykiem:

— Ja się biję z duszy za kraj!

— No, powiadajże sobie w dalszym ciągu tę dewizę przed sobą i Panem Bogiem. Ja już nie chcę. Ja idę.

Po chwili mówił z wypiekami na twarzy:

— Taki plan uknułem dzisiejszej nocy. Kiedy stąd będziesz ze swymi ludźmi wychodził, dam ci przewodnika, Hiszpana. Zrobi mu się mundur podobny do waszego, żeby go zaś nie poznali rodacy. Dam mu swego konia. Powiedzie was pewnym, najbliższym i zupełnie bezpiecznym szlakiem do Tortozy.

— Cóż to za człowiek? Żeby mię tylko nie sprzedał za jakie srebrniki. Bom widział już takich między nimi, co się to Francuzów trzymają dla zysku, ale zarazem i od swoich radzi biorą.

— Człowiek najpewniejszy! Głową ci za niego ręczę. Doświadczyłem jego wierności w stu okazjach. Hiszpan to prawdziwy, ale szalawiła i wolnomyślnik. Stąd ma pasję do Francuzów. Wierzy, że z pomocą francuską prędzej w kraju zakwitną urzędnia nowoczesne. Nie myśl, żeby to był płatny zdrajca. Mówią, że to Hiszpan, ale ma kulturę wyższą, więc go fanatyzm chłopów, mnichów i przemytników nie zadowala. Doświadczył ode mnie wielokroć dobrodziejstw. Niejedno życie ode mnie wyprosił. Całym miasteczkiem, całym wsiom na jego słowo przepuszczałem. Chce mi się teraz wielką przysługą odwdziżyć. Dasz mu w rękę dymisję, jeśli nadeszła — i nic więcej. On mi ją przyniesie.

Mówiąc to wsparł ręce na ramionach Cedry i uśmiechał się z głębi duszy.

— Dobrze — powiedział Krzysztof — spełnię to wszystko. A jakże myślisz stąd się wydostać? Boć sam jeden nie wyjdiesz, a oddział, ile wiem, musi tu jeszcze długo wartować, aż do rozkazu.

— Tak, aż do rozkazu. Ten sam człowiek, don José, wywiedzie i mnie. Ma on już dla nas obudwu przygotowane paszporty generałów hiszpańskich, Villacampy i Barsoncourta, na przejście do Tortozy. Zwierzyłem mu się z całej duszy swojej. Pojął mię jak brat rodzony.

— Ha, skoro tak, to dawaj go żywo. Dziś na noc idę.

— Co znowu? — wzdragał się Wyganowski obłudnie.

— Chcę i ja być coś wart w twoich oczach. Dobrzem się swego czasu przespał u Panien Jerozolimskich pod strażą tej szpady.

— Chodź ze mną do kraju... — zagadnął cicho Wyganowski.

— Nigdy! Wołaj tego człowieka.

Kapitan skinął głową i wyszedł. Cedro udał się do swoich ludzi z rozkazami:

— Konie tego paść, zbroje trzymać w pogotowiu, o zmroku marsz — marsz!

Westchnęli jeno posępnie i — bywaj! do koni.

Nad wieczorem tego dnia zjawił się Hiszpan. Był wysoki, zwinny i silny. Mówił niezłe po francusku. Cedro wszczął z nim rozmowę i badał go pilnie oczyma. Nie ufając sobie powiódł go do Gajkosa i po polsku powiedział wachmistrzowi, kto to jest i co ma za misję. Gajkoś go „uważał” spod oka, nim począł rozmawiać. Nie przyszedł jednak do złych wniosków. Rzekł tylko, że chłop musi być sielny, więc go trza mieć między końmi i na oku.

Don José wdział mundur jednego z ułanów, a tamten został w ubiorze stajennym. Ciemnym wieczorem ruszyli za bramę. Na odjeźdźnym Wyganowski prosił na wszystko

Krzysztofa, żeby nań czekał w Tortozie, jeśli dymisja nadeszła. Cedro przyrzekł.

DYMISJA

Kilka dni już Krzysztof oczekiwał w Tortozie na przybycie Wyganowskiego. Dymisja, która leżała w kancelarii generała Chłopickiego, wręczona została Hiszpanowi, a ten, przebrany w ludowe suknie, ponosił ją natychmiast do Morelli. Cedro pod różnymi pozorami, jak leczenie koni, reparacje siodła, itd., przedłużał swój pobyt w okopach generała Sucheta. Ale dzieńznaczony mu do wymarszu zbliżał się szybko.

Z wyżyn La Roqueta widać było miasteczko Tortozę rozłożone na samym brzegu rzeki Ebro. Tuż za nim ciągnął się łańcuch gór skalistych, jałowych i wysokich. W pobliżu klasztoru jezuitów, gdzie stał batalion trzeci polski i batalion pułku sto piętnastego, widać było szaniec francuskie otaczające miasto. Dokoła rozciągał się pas nieużytków, z którym dziwnie harmonizował widok zamku w środku miasta, widok silnie obmurowanego fortu de las Tenaxas oraz bram: Mostowej, del Rastro i posepnych bastionów: Świętego Jana, Świętego Krzyża, karmelickiego itd. Daleko na wschód wysuwał się stary fort d'Orléans.

W tamtej stronie za rzeką stały dwa bataliony polskie pułku drugiego, dokąd powinien był skierować swe kroki Wyganowski dla zameldowania się po przybyciu. Toteż Cedro codziennie jeździł w tę stronę, wymijając paralele idące ze wschodu po obu stronach rzeki. Piątego dnia pobytu swego pod Tortozą, z rana, kiedy spał w kwaterze polnej przyjaciela Rybałtowskiego na la Roqueta, zbudzono go nagle wieścią, że Wyganowski przybył. Cedro porwał się z pościeli i co prędzej począł wdziewać odzienie.

Ale ten, co mu wiadomość przyniósł, dorzucił:

— Przybył kapitan Wyganowski, ale go ktoś pod obozem drugiego pułku zamordował.

Krzysztof skoczył jak pchnięty nożem. Oniemiał. Upadł na posłanie swe i leżał bez ruchu, słuchając rozmów, przypuszczeń, wniosków.

Nierychło, jak przez sen, włożył mundur, przypasał szablę, zarzucił płaszcz i pojechał za Ebro. W pobliżu obozu pułku drugiego zobaczył kilku żołnierzy wśród pola. Po wzgórkach wieszały się tutaj zarośla agawy i dzikie krzewy krępli. W dali stały nagie, spękane góry. Już się upał sierpniowego dnia zaczął. Słońce przepalało na wskroś żółte piaski nadrzeczca, ogniem trawiło usychające pod skałami rośliny. Na błyszczącym piasku leżał nagi zupełnie Wyganowski trup.

Gdy Cedro skoczył z konia i przypadł ku niemu, ujrzał dwa ciosy sztyletu czy noża, zadane w serce na wylot, ręką nieomylną. Morderca zdarł z ofiary swojej suknie hiszpańskie i rzucił je niedaleko, między krzewy. Czynił to w takim widocznie pośpiechu, że ściągnawszy koszulę przez głowę zostawił ręce trupa wyprostowane w górę. Te nagie ręce, bezbronne i bezsilne, ciśnięte równolegle jedna do drugiej wzdłuż głowy, zdawały się wołać na Krzysztofa z ziemi. Roje moskitów, much i drobnych, ledwie widzialnych robaczek szarozielonych z brzękiem krążyły już nad zwłokami, wpijały się w zaschlą krew rany. Słońce płomiennie już wydobywać zaczęło z trupa woń śmierci.

Ten i ów z wiarusów zakopcił fajkę i splunął. Pomedytowali, pogwarzyli o dziwnym zdarzeniu i odeszli. Cedro został sam. Przy głowie zmarłego leżał głaz. Ułan siadł na nim, łokcie spał na kolanach, głowę na dłoniach i patrzył w twarz przyjaciela. Czasami jego oczy wałęsały się to tu, to tam. Wyschły piach, sypki i lotny, przepalony na łokieć, zdeptany obcasami nóg, które się prężył śmiertelnie. Tu walczyli ze sobą. Tu go napadł niespodzianie. Tu mu cios zadał. Tu go włócił, żeby pohańbić przed oczyma całego wojska. Tu z niego zdzierał szmaty pokoju...

— Don José... — wyszeptaly usta.

Serce załomotało jak jastrząb zgłodzony i straszliwy. Gniew pognał krew. Ale z wolną ją uciszyła gorycz myśli. Zamknęło się serce i dusza znowu stanęła przed obliczem tego trupa. Niewymowny upał przepalał ciało, że było gorące jak ów piasek pod stopami. Trup cuchnął.

Krzysztof wstał i wielkimi krokami poszedł w stronę obozowiska pułku drugiego. Stąpnawszy tam, znalazł bataliony szykujące się do bitwy. Wyszedł przed front i gromkim głosem zwrócił się do oficerów i żołnierzy, żeby pomścili śmierć towarzysza i żeby poszli pogrześć jego nagi trup. Wołał:

Żołnierz, Morderstwo,
Pogarda, Honor, Przyjaźń

— Już go słońce żre, żołnierze, już go porwało w pazury. Leży sam jeden przed wami wszystkimi, a nad nim słońce niezblagane. Nie zlituje się nad nim słońce i ognia swego nie przygasi. Piach pod nim płonie od żaru. Krew się już wzdyma i skórę rozsadza. Komar i mucha ssie jego krew sprawiedliwą. Idźcie mu dół wykopać, żołnierzowi — żołnierze! Cześć mu bratnią oddajcie!

Z szeregów odpowiedział mu głos:

— Cześć mu sam oddaj. I dół mu sam wykop. Już on nie żołnierz i nie towarzysz. Przypatrz się dobrze. Całymi batalionami idziemy w bitwę tej godziny, a on dla siebie jednego zwolnienie wyprosił. Sprawiedliwie mu uczynił los! Niechaj gnije pode skwarem.

Uderzyły bębny. Bataliony, wykręciwszy się sekcjami w prawo, twardym krokiem poszły wraz w kierunku fortu orleańskiego. Widać było wielki ich żelazny szyk, błysk karabinów. Wkrótce ich pył drogi i kurzawa dymu zasłoniła.

Krzysztof wrócił do przyjaciela. Wyciągnął z pochwy szablę swą i koniec jej twardo zanurzył w głębokość rany zadanej sztyletem. Siadł na kamieniu i gadał do trupa:

— Taki to jest nasz Ronceval, towarzyszu....

Nadszedł czas, że wstał z miejsca i począł wygrzebywać w lotnym piasku dół grobowy. Zrazu nagimi rękoma, potem znalezionym ułamkiem czerepa granatu. Tęgo się zgrzał, dobrze spracował, nim nad wieczorem wybrał dół na chłopca. Złożył tam zwłoki. Wyciągnięte ręce skrzyżował na piersiach. Zasyłał towarzysza gorącą hiszpańską ziemią, śpiewając sobie i jemu pieśń pożegnalną, pieśń bez wyrazów, pieśń samotną.

DOM

W urzędzie regentowskim kieleckim od dawien dawna leżał złożony testament szlachcica Nardzewskiego. Według brzmienia tego aktu dziedzic Wyrw całe ruchome i nieruchome mienie swoje zapisywał na własność siostrzeńcowi swemu, Olbromskiemu.

Skończyła się wojna krajowa roku dziewiątego i ulan, w mizernym stopniu porucznika, miał z Krakowa powracać na leże ze swym pułkiem. Aliści kolega Jarzyski, który w Kieleckim jakimś dobrami administrował, zetknąwszy się z nim obwieścił mu radosną nowinę. Rafał co prędzej wziął z wojska dymisję i pospieszył do Kielc. Urzędowe otwarcie testamentu ziściło wszystkie jego nadzieje. Był samowładnym dziedzicem. Wiedział o tym wprawdzie, że z folwarku została tylko ziemia niezaorana i trocha płotów, że chłopci uwolnieni z pańszczyzny nie podtrzymają już teraz najmizerniejszego bytu... Mimo to ochotnie pośpieszył na miejsce. A gdy raz wkroczył w te góry, to już i został.

W tym czasie do Tarnin sprowadził się mąż Zofki i łapczywie objął gospodarstwo, niby to chwilowo, niby to dla ulżenia staremu. Rafał przeczuwał, że tylko ze srogimi walkami mógłby nową rodzinę z Tarnin wysadzić. Toteż usiłował wydobyć jedynie stamtąd co można i nie kwapił się do domu.

W Wyrwach początkowo mieszkał w czworaku, który po drugiej stronie sadzawki ocalał z austriackiej pożogi. Wyporządził sobie w końcu tego domostwa stancijkę i dwie zimy przepędził w niej znośnie. Wszystek teraz poszedł w myślistwo. Strzelec Kacper i Michcik, którego z wojska do Wyrw zabrał, stanowili dwór: Kacper jako strzelec, a Michcik jako kucharz, szatny i doradca. W rok po osiedleniu się już Rafał wznosił stodoły o murowanych słupach, gontem kryte, wysokie, odbudował stajnie, obory i do porządku przywiódł spichlerz. Następnego roku ufundował nową groblę z upustem na palach bitych i odrestaurował młyn, a wreszcie od wiosny trzeciego roku budował dla siebie dom.

Dom był z modrzewia i wielkiej jodły. Od dawna wszystek sprzężaj zwoził zimową porą z Łysicy, Bukowej i Strawczanej góry olbrzymie tramy modrzewia, buku i jodły.

Obrobione z nich przyciesi i belki schły w porze letniej pod osobną wystawą. Z Kłownowa zwieziono jędrne gonty, w Bodzentynie stolarz dopasowywał już okna i drzwi. Przez całe lato słyhać było loskot siekier, a już w lipcu zrąb dworu z wiązaniem belek, krokwi i lat bielił się na okolicę.

Rafał przeżył duszą całe to budowanie. Sam każde z drzew, czasu wypraw myśliwskich, obejrzał i wybrał na górach. Był przy ściąganiu go z wyżyny na chłopskich barkach, przy zwożeniu pod wystawę na rozworach. Był przy rozplataniu każdej belki, przy oddzieleniu północnej jej części od twardziny południowej, każdy cios topora widział, każdy sęk, rdzeń i wypaść pomacał ręką. Całe dni wiosny i początku lata przepędzał wśród traczów

i cieślów. Przywykł do tego, żeby mu się nogi plątały w miękkich i cienkich wstążkach heblowin, żeby ucho chwyciło szelest odciosanego toporem oszastu, śliską melodię hebla, dzwonienie dłuta w jądro rdzenia modrzewiowego. Nie było przyciesi, której by nie dźwigał wspólnie z ludźmi, nie było wiązania, którego by nie zbadał do cna rachunkiem, okiem i ręką. Gdy ściany z niezmiernych pniów wyrastały, cieszył się jak dziecko. Nowe życie zakładał tu sobie, mocne ściany na kamiennym murowaniu fundował, zwierzał zrąb mocnymi belkami i niewzruszonym stragarzem na moc, na siłę przeciwko wiatrowi i wszystkim burzy. Sam rok i napis na tym stragarzu wydłubał. Nareszcie wyniosły dach z kupy rozrzuconych gontów i łat zaczął wyrastać.

Jednocześnie z tą budową domu prowadzony był forsownie karczunek nieużytków, wydzieranie jałowców i wynoszenie kamieni. Coś z dążeń brata Piotra, nie tyle działaniem przykładu na rozum i wolę, ile mocą nieświadomego dziedzictwa, przyłgnęło do młodego rolnika. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni kurzyły się w obszarach tak zwanych odpadków, po zboczach górskich, kupy wydartego z ziemi jałowcu, który palono wraz z pniakami jodeł. Oswobodzeni z niewoli, ale ubodzy zarobnicy darli z ziemi korzenie wielkich pniaków po świerkach, jodłach i bukach, które tam niegdyś szumiały. Wielkie wykroty, obwieszane kamieniami kwarcu oplecionymi przez niezliczone korzenie, sterczały na każdej szerokości. Doły pod nimi zawałano ziemią i równano pracowicie. Dzieci i wyrostki zbierały niezliczone masy kamienia i wynosiły na przydrożne kamionki.

Gleba tam była kamienista. Okrągły, siwy, twardy głaz leżał nie tylko na powierzchni, ale i pod cienką warstwą ziemi rodzajnej, którą okrywała trawa, mech, kwiatek leśny. Łysy jego czerep wyglądał z gruntu, gdziekolwiek rzucić było okiem, gdzie stąpnąć nogą. Kiedy poruszono glebę falistą po wykrotach, starganą kilofami w góry i doły, kamienie zdawały się wylać gronami, wyłuskiwać się jak orzechy, rodzić w oczach i mnożyć jak niezliczony owad. Pług, puszczonego pierwszy raz w nowinę, zgrzytał, skwierczał, wił się i prawdziwie walczył. Rwał korzenie, przecinał nadgnile kije i rozrywał odwieczne legowiska głazów. Pierwsze skiby były krzywe, tam płytkie, tu sięgające za głęboko, aż do podgleby skalistej, rzucane w prawo i lewo. Ziemia nie dawała swego dziewictwa za darmo. Trzeba było rozedrzeć jej zrosłą caliznę, wyrwać tysiączne spojenia, rozplatać żyły, wyorać oporny kamień i z niemałym bólem krzyża odnieść daleko.

Nadeszło lato dwunastego roku.

Rafał w tym czasie, po zżęciu żyta, ku końcowi lipca, najusilniej karczował nowinę. Jeszcze stały płowiejącymi pasami owsy po polach. Był po starym lesie wielki szmat ziemi otaczający szerokim ramieniem rozdół łąk, przez które płynęła rzeka. Niwa ta służyła aż dotąd za pastwisko. Wyrosły już na dawnych porębach nowe chrusty i młody lasanek, przeważnie liściasty. Obok pniaka ściętego wysoko, który oblaźł z kory, zbieleł jak kość, stwardniał i wysechł, można tam było spotkać gaje leszczynowe, zwarte ostępy grabiny z buczyną, młode dąbki lśniące jak spalone żrebce, najcudniejsze gęstwiny iście dzikich krzewów, kolczastych tarnin, które w drzewa porosły, tęgich sumaków, dzikich gruszek, glogów i jeżyn. W dawnych, zarosłych wykrotach, gdzie teraz gnieździła się wilgoć najdłuższej, powystrzelały olbrzymie lodygi kwiatów, dudy łopianów, niezdojbyte barykady dzikich malin i wielkich ostów. Cały ów „stary las” kopał się teraz od ognisk, przyduszanych nowymi wciąż warstwami gałęzi, badyłów, pniaków i korzeni. Ludzie w chłodku, przejętym od drobnego dżdżu, pracowali chętnie i żywo. Każdy rad był brać udział w tym dziwowisku, jakie miał przed oczyma. Nie będzie już starego lasu! Już po poziomki, po czarną jagodę, maliny, dziady, orzechy nie pójdziesz w stary las, nie bój się!

Rafał zakładał sobie wiele na uprawie tego łąnu. Miał zamiar siać z wiosną owies i paść nim stadninę, którą w myśli stale powiększał. Właśnie siedząc na pniaku ćmił z małej, glinianej fajeczki *tiutun* i rozmyślał o przyszłym stadzie. Z lekka przemógł od kołnierza i pleców, więc się zagrzewał fajeczką, wesołymi myślami i skurczeniem postawy. Dymy z ognisk wałęsały się przez pola już przetrzebione i niosły woń jałowcową po pierwszych skibach. Michcik, pracujący w pobliżu na równi z najemnikami, odchrząknął, wyprostował się... Coś mamrotał.

- Co gadasz? — spytał porucznik nie wypuszczając z zębów fajeczki.
- Melduję...
- Cóż meldujesz, stary Austriaku?
- Me... melduję... jako gość je... jedzie.

- Wściekleś się czy co? Do mnie gość jedzie?
- Widać ano, że z góry gość jedzie...
- Prawda! Ktoś jedzie. Bryka w trzy konie...
- Bryka nie... nietutejsza... Bryka jak się patrzy... krakowska...
- Prawda! Bryka krakowska... Konie wspaniałe...

Z góry, po wertepach drogi, po wybojach i kamieniach, ostrożnie zjeżdżał zaprząg solidny. Z dała widać było, że wysoko schlastany jest błotem. Para roslých koni szła w dyszlu. Trzeci na przyprzążkę podreptywał luzno. W siedzeniu owinięty w burkę jechał podróżny. Rafał nie spuszczał go z oka. W pewnej chwili zakrzyknął:

— Ejże, Michcik, ejże! Czy to tylko nie pan Cedro do nas jedzie?

— Nie mogę odpowiedzieć, jako żem nigdy takiego pana Cedra na oczy nie uświarczył.

— Ejże, Michcik!

Zbliżyła się bryka o staje, o dwa. Rafał stanął na pniaku. Podróżny ujrawszy go przyłożył szkła do oczu. Już teraz Olbromski nie wątpił. Jakże nie huknie ku niemu z całej piersi:

— Krzysztof! Krzysztof!

Podbiegli ku sobie i padli wzajem w ramiona bez słów.

Za chwilę Rafał siedział z przyjacielem na bryce, zdążając do dworu w Wyrwach. Michcikowi kazał wleźć na kozieł. Nie mógł się napatrzeć na Cedrę, który z wysmukłego młodziana stał się mężczyzną muskularnym, o bujnym wąsie zadartym w górę, o ruchach porywczych, żołnierskich. Zaledwie z miejsca ruszyli, Rafał zaczął pytać:

— Skądże w tej chwili jedziesz, braciszku?

— Z domu.

— A dawnoś wrócił?

— Już w marcu pułk nasz przelazł przez Pirenejskie Góry. Z Francji wyprzedziłem go dyliżansem...

— Kiedyżeś do Olszyny przybył?

— Dopiero w czerwcu.

— Przez cały czas przy ojcu byłeś?

— Aż do tej chwili. Ledwie się oto wydarł.

— Ależ wacha masz, niech go pioruny! Cóż za koń! — nie mógł Rafał powstrzymać okrzyku, patrząc na żrebca idącego przy koniach na przyprzążkę.

— Iberyjczyk... a jeszcze w Olszynie go paśli — skromnie wtrącił Cedro.

— Ależ koń!

— Musiałem dobrego konia wziąć na tak wielką wyprawę.

— Na jakąż to znowu wielką wyprawę?

Krzysztof popatrzał na niego z ukosa i rzekł:

— Na wielką wojnę.

— A no tak, rozumie się... — poprawił się Rafał — Ja bo siedzę tak na uboczu...

— Rzeczywiście, tak się zaszyleś, żem ledwo się dopytał.

— To ty idziesz znowu?

— Kpisz, bracie, czy o drogę pytasz? Już w końcu czerwca nasz piąty korpus przeszedł granicę.

— O niczym nie wiem. Siedzę tu, mówię ci, za górami, za lasami, ludzi prawie nie widzę... skądże mam?...

— Toteż po ciebie umyślnie zajechałem. Potężniem zboczył z radomskiego traktu.

— Bardzo... bardzo się cieszę... — nieszczerze mruczał Olbromski. — A jakże myślisz dalej? kiedy i dokąd ciągnąć?

— Jutro, rozumie się, w kierunku Puław na Lublin. Nasze wojska, jakem się w Kielcach dowiedział, poszły z Serocka, z Pułtuska na Łomżę i Augustów pod Mir. Ale gdzie nasz pułk siódmy być może, ani wiem. Ty się dziś zbierasz?

— Ja?! — krzyknął Rafał. — Czyś oszalał? Patrzajże, co ja tu mam do roboty! Dom stawiam!

— Dom stawiasz! — wybuchnął Cedro śmiechem tak wesołym i hucznym, że Rafała aż złość wzięła. Zarazem jednak wstyd go ogarnął.

— No, cóż ty myślisz! — zaperzył się. — Objąłem ziemię, muszę się raz wreszcie jąć pracy. Wiecznie będę bąki zbijał?

— Pracy się imasz, kiedy na wielką wojnę wszyscy idziemy? Siedemdziesiąt tysięcy naszych wyruszyło...

Olbromski mało nie płakał. Naraz go objął żal niewysłowiony tych nowin, pól, płotów... Spojrzał na dom biejący w oddali między rozłożystymi drzewami...

— Kiedyż to ty chcesz jechać? — zawołał.

— Jak się tylko zbierzesz. Choćby jutro.

— Kiedy ja się zbiorę!... Ależ ja nie mam...

— Czego nie masz?

— Koni... — mruknął wymijająco.

— Można by wziąć Samo... Samosiłka... — wmieszał się do rozmowy Michcik czyniąc na koźle foremny półzwrot w tył.

— Milcz, głupi! Sobie bierz Samosiłka.

— Według... według rozkazu.

— Któż to jest? Twój koniuszy? — spytał Cedro.

— To jest taki Michcik, jeszcze brata Piotra famulus.

— To Michcik... — rzekł Cedro z uszanowaniem. — Słyszałem o tobie, bracie, dużo dobrego... — zwrócił się do żołnierza. — Pójdiesz i ty na wojnę?

— Skoro panicz...

— A cóżes to w tych czasach porabiał?

— W austriackich glidach przeciwko nam służył! — wtrącił Rafał, przejęty nagłą złością do Michcika.

— Do diabła — mruknął Cedro.

— Dopraszam się łaski pana porucznika... — począł bełkotać żołnierz — sześć razy dezert... dezerto... Kije brałem trzy razy, w kajdanach... pod sądem bywałem... Nie udało mi się do swoich dostać.

— Przeszedł na polską stronę dopiero pod Sandomierzem... — dodał Olbromski. — Teraz u mnie na folwarku burmistrzuje.

— Toś, Michcik, i strony swoje zdradził dla tego panicza?

— Trza było, bo karczunku tu dużo, a pan młody.

— No, i podoba ci się w tych górach?

— Niczego. Miejsce dosyć wesołe, ino...

— Ino co?

— Ino piachu, jak się patrzy, mało.

— Piachu mało?

— Kamienia dużo, a piachu, po prawdzie, mało.

— Więc ze mną na wielką wojnę obaj idziecie! — rzekł nagle Cedro zmieniając przedmiot rozmowy. — Wielka to będzie wojna. Wojna nad wojnami.

— Już ci ja, według rozkazu pana porucznika... Jako że i Samosiłka... pan mi przyobiegał pod siodło...

Rafał milczał posępnie. W pewnej chwili rzekł nie patrząc na towarzysza:

— Idę i ja... do pioruna!

Już dom był blisko. Ledwie wysiedli, udali się zaraz do stajni oglądać konie i wybierać dla Rafała wierzchowca.

SŁOWO HONORU

W okolicach Orszy w połowie sierpnia korpus pod rozkazami księcia Józefa Poniatowskiego złączył się z wielką armią.

Tam odbyła się rewia powszechna. Cedro i Rafał Olbromski spodziewali się ujrzeć Cesarza. Ujrzeli go też w samej rzeczy. We mgle wietrznego ranka dostrzegli stojącego nieruchomie daleko, daleko na urwistym brzegu. Za nim błyszczał barwami mundurów sztab i wyprężone, polyskliwe gwardie konne. Wojska defilujące równiną w dole, ujrawszy szarą kapotę i trójgraniasty kapelusz bez ozdób, wznosiły jednolite okrzyki, podobne do salw działobitni. Mijały pułki francuskie, holenderskie, włoskie, niemieckie, polskie... Wszystkie oczy skierowane były na ową niską, krępą postać szarego człowieka z ramionami wzniesionymi ku górze.

Przywódca, Żołnierz,
Wierność

Krzysztof Cedro nie spuszczał z niego wlepionych oczu. Widział oto spełniony na jawie swojego życia wielki sen. Dotrzymał Cesarz słowa honoru, danego pod Madrytem najsłabszemu ze swych żołnierzy, konającemu w polu kalece. Dla tego jednego słowa wielkie pułki złączył, umundurował, wyżywił i poruszył. Sprzął ze sobą obce narody...

Cofnął się sztab. Podano bułanego araba. Cesarz siadł nań i zjechał ze wzgórza. Gwardie szły przed nim, świta za nim, i znowu gwardie. Pułki defilujące zatrzymały się na równinie, wyciągnęły w linie, kwadraty, podłużne kolumny. Jechał wolno przed wyprostowanymi frontami, wiodąc oczyma po liniach ludzkich jakoby po nasypach martwej ziemi, po palisadach z drzewa, po rowach z kamienia. Twarz jego była zimna i obojętnie ponura jak złom glazu. Spojrzenie oczu mijalo twarze po twarzach, szło po spojrzaniach tysięcy jako po martwym szlaku. Oczy straszliwe, w których gromady ludzkie przyuczone zostały widzieć jeno radość i gniew, były w tej chwili nijakie, obojętne, zasłonięte olbrzymością myśli dalekich.

Ręka pociągnęła cugle konia i jakiś rozkaz padł z ust. Wstrzymał się Cesarz. Podniósł oczy. Patrzy w pułk. Widzi każdą twarz, przechodzi kolejno jedną po drugiej. Spotkał wlepione w siebie oczy Krzysztofa Cedry, oczy skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgłe. Przez chwilę coś zamigotało w twardych źrenicach cesarskich jak daleki błysk w burej, bezlicej, bezkształtnej chmurze. Wspomnienie stało się jasnym widzeniem rzeczywistości. Przelotny, półsmutny uśmiech spłynął po granitowym obliczu...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://www.wolnelektury.pl/katalog/lektura/zeromski-popioly>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, *Popioły*. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku, Tom I-III, Spółdzielnia Wydawnicza "Czytelnik", Warszawa 1953.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek, Wojciech Kottwica.

Okładka na podstawie: Guilherme Nicholas@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1049-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).